

STEPHEN  
KING  
PETER  
STRAUB



TALIZMAN

Prószyński i S-ka

Ta książka dedykowana jest Ruth King i Elvenie Straub

No i kiedy z Tomem stanąłem na skraju wzgórza, wyrzeliśmy w dół na wioskę. Widać było trzy czy cztery migające światełka - może byli tam jacyś chorzy biedacy. Gwiazdy nad nami skrzyły się niewymownie pięknie, a w dole za wsią płynęła rzeka, na milę szeroka, spokojna i dostojna.

Mark Twain

*Przygody Hucka*

Moje nowe ubranie potłuszczone było i całe zawałane gliną, a ja okropnie zmęczony.

Mark Twain

*Przygody Hucka*

## **Część I - Jack Rusza w drogę**

## Rozdział pierwszy - Hotel Alhambra

### 1

Piętnastego września 1981 roku Jack Sawyer stał w miejscu, gdzie woda stykała się z lądem, i z rękami w kieszeniach spoglądał na nieruchomy Atlantyk. Jack miał dwanaście lat i był wysoki jak na swój wiek. Morska bryza zdmuchiwała jego długie włosy znad ładnych, płowych brwi. Stał w tym miejscu, przepełniony niejasnymi i bolesnymi uczuciami, towarzyszącymi mu stale przez ostatnie trzy miesiące - od czasu gdy jego matka zamknęła dom na Rodeo Drive w Los Angeles i po wszystkich problemach związanych z przeprowadzką wynajęła apartament przy Central Park West. Z tego mieszkania uciekli do spokojnego miasteczka letniskowego na wybrzeżu New Hampshire. Ład i porządek znikły z życia Jacka. Jego życie wydawało się tak zmienne i nieopanowane jak wznoszące się przed nim fale. Matka wozila go po świecie, przerzucała z miejsca na miejsce - ale co nią kierowało?

Ona ukrywała się - uciekała.

Chłopiec odwrócił się i rozejrzał po pustej plaży, najpierw w lewo, następnie w prawo. Po lewej znajdowało się wesołe miasteczko Arcadia - park wypoczynkowy, w którym roiło się od ludzi od Dnia Pamięci do Święta Pracy. Teraz było jednak ciche i opustoszałe - jak serce pomiędzy uderzeniami. Stroma kolejka na tle matowej powłoki chmur przypominała ogołoczone rusztowanie, pionowe słupy i skośne wsporniki kojarzyły się ze szkicem stworzonym pociągnięciami węgla. Jack miał w miasteczku przyjaciela, Speedy'ego Parkera, ale nie potrafił o nim teraz o nim myśleć. Po prawej stronie stał hotel o dumnej nazwie Alhambra Inn and Gardens - Zajazd i Ogrody Alhambra. Do niego właśnie wracały nieodparcie myśli chłopca. W dzień przyjazdu wydało się mu przez chwilę, że nad urozmaiconym mansardami dwuspadowym dachem dostrzega tęczę - swego rodzaju omen, zapowiedź lepszej przyszłości. Żadnej tęczy jednak nie było. Pochwycony w szpony wiatru kurek obracał się z prawa na lewo i z powrotem. Jack wysiadł z wynajętego samochodu, nie zwracając uwagi na niewypowiedziane pragnienie matki, by zrobił coś z bagażami. Podniósł głowę. Nad kręcącym się mosiężnym kurkiem rozpościerało się tylko martwe niebo.

- Otwórz bagażnik i wyciągnij torby - zawołała do niego matka. - Stara, złamana przez życie aktorka chciałaby się zameldować i pójść na drinka.

- Porządne martini - odparł Jack.

- Powinieneś powiedzieć: "Wcale nie jesteś stara". - Matka z wysiłkiem wstała z fotela kierowcy.

- Wcale nie jesteś stara.

Spojrzała na niego z iskrą w oku - przeblyskiem dawnej, gotowej urwać diabłu głowę Lily Cavanaugh, po mężu Sawyer, przez dwa dziesięciolecia królowej filmów klasy B. Wyprostowała plecy.

- Będzie nam tu dobrze, Jacky - powiedziała. - Tutaj wszystko się ułoży. To dobre miejsce.

Mewa zatoczyła koło nad dachem hotelu. Przez sekundę Jack miał nieprzyjemne wrażenie, że to kurek zerwał się do lotu.

- Na jakiś czas oderwiemy się od telefonów, prawda?

- Pewnie - odparł Jack.

Matka chciała ukryć się przed wujem Morganem - pragnęła uniknąć dalszych kłótni z partnerem w interesach zmarłego męża. Miała ochotę zaszyć się w łóżku z porządnym martini i naciągnąć sobie pościel na głowę...

*Mamo, co się z tobą dzieje?*

Wszędzie było za dużo śmierci. Świat w połowie składał się ze śmierci. Mewa zakrzyczała nad ich głowami.

- *Andelay*, dzieciaku, *andelay*\*[\* Zawołanie Speedy'ego Gonzalesa z "Królika Bugsa".] - powiedziała matka. - Chodźmy do Wielkiego Dobrego Hotelu.

W tym momencie Jack pomyślał: Jeśli naprawdę zrobi się niewesoło, to przynajmniej możemy zawsze liczyć na pomoc wujka Tommy'ego.

Wujek Tommy jednak już nie żył - po prostu wiadomość o jego śmierci wciąż jeszcze do nich nie dotarła.

## 2

Hotel Alhambra wznosił się nad wodą. Wielki, wiktoriański gmach na gigantycznych granitowych blokach, zdających się zlewać z niskim przylądkiem - granitowym obojczykiem wystającym z paru skąpych mil wybrzeża New Hampshire. Dekoracyjne ogrody po stronie lądu były ledwie widoczne z plaży, gdzie stał Jack; dostrzegało się jedynie ciemnozielony skrawek żywopłotu. Mosięzny kurek sterczał na tle nieba, wskazując zachód-północny zachód. Tablica w holu głosiła, że właśnie tutaj w 1838 roku Północna Konferencja Metodystów urządziła pierwszy z wielkich wieców na rzecz zniesienia niewolnictwa, na którym Daniel Webster wygłosił ognistą, natchnioną przemowę. Według tablicy Webster powiedział: "Wiedźcie od dzisiejszego dnia, że niewolnictwo jako amerykańska instytucja

poczęło chorować i wkrótce będzie musiało obumrzeć we wszystkich naszych stanach i terytoriach powierniczych”.

### 3

Tak oto wyglądał ich przyjazd w minionym tygodniu - tego dnia, w którym skończyły się miesiące udręki w Nowym Jorku. W Arcadia Beach nie było wynajętych przez Morgana Sloata prawników, wyskakujących z samochodów i wymachujących papierami, które trzeba było podpisać, by następnie je złożyć w odpowiednich urzędach. W Arcadia Beach telefony nie wydzwaniały od południa do trzeciej nad ranem (wuj Morgan najwidoczniej zapomniał, że mieszkańcy Central Park West nie żyli według kalifornijskiego czasu). W istocie w Arcadia Beach telefony nie dzwoniły w ogóle.

Podczas jazdy do tego niewielkiego miasteczka wypoczynkowego matka cały czas koncentrowała uwagę na drodze. Jack dojrzał na ulicach tylko jedną osobę - starego szaleńca, nieuważnie pchającego chodnikiem pusty wózek na zakupy. Nad nimi rozpościerała się matowa, szara powoła - wzbudzające niepokój niebo. W całkowitym odróżnieniu od Nowego Jorku tu słyszało się jedynie miarowy szum wiatru, zawodzącego na opustoszałych ulicach, które wyglądały na zbyt szerokie, ponieważ nie tłoczyły się na nich samochody. Pełno było pustych sklepów z tabliczkami w oknach: OTWARTE TYLKO W WEEKENDY lub jeszcze gorzej: DO ZOBACZENIA W LIPCU! Na ulicy przed Alhambra, ujrzeli sto wolnych miejsc do parkowania, a w sąsiadującej z hotelem herbaciarni Arcadia Tea and Jam Shoppe stały puste stoliki.

A obszarpani, starzy szaleńcy pchali wózki opustoszałymi ulicami.

- Spędziłam w tym śmiesznym miasteczku najszczęśliwsze trzy tygodnie swojego życia - powiedziała Lily do Jacka, mijając starca (który obrócił się i powiódł za nimi wzrokiem z podszytą przerażeniem podejrzliwością; coś mamrotał, ale Jack nie potrafił zorientować się, co takiego). Matka wjechała po chwili na łukowaty podjazd, biegnący przez ogród przed hotelem.

Dlatego właśnie wpakowali wszystko, bez czego nie mogli żyć, do walizek, teczek i plastikowych toreb na zakupy, przekręcili klucz w zamku apartamentu (ignorując przenikliwe dzwonienie telefonu, zdające się przeciskać przez dziurkę i ścigać ich korytarzem); dlatego właśnie zapchali przepełnionymi torbami i pudłami bagażnik oraz tylne siedzenie wynajętego samochodu, po czym godzinami wlekli się na północ Henry Hudson Parkway, a potem jeszcze przez wiele godzin toczyli się z łoskotem po autostradzie międzystanowej 95 - Lily Cavanaugh Sawyer była tu niegdyś szczęśliwa. W 1968 roku, na rok przed urodzeniem Jacka,

nominowano ją do Oscara za rolę w filmie "Blaze". Był to obraz znacznie lepszy od większości filmów, w których występowała Lily; postacie złych kobiet, które na ogół kreowała, nie dawały jej możliwości zabłyśnięcia talentem, tym razem było inaczej. Nikt nie spodziewał się, że Lily zdobędzie Oscara, a najmniej ona sama, jednak dla Lily zwyczajowy frazes, iż sama nominacja to prawdziwy zaszczyt, brzmiał prawdziwie. Istotnie czuła szczerze i głęboko, że jest to zaszczyt. Aby uczcić tę jedyną chwilę autentycznego zawodowego uznania, Phil Sawyer wykazał się wielką mądrością i zabrał Lily na trzy tygodnie do Alhambra Inn and Gardens po drugiej stronie kontynentu, gdzie popijając w łożku szampana, oglądali rozdanie Oscarów. (Gdyby Jack był starszy i wykazał odrobinę zainteresowania, mógłby wykonać proste odejmowanie i odkryć, że właśnie Alhambra była miejscem jego poczęcia).

Według rodzinnej legendy, gdy wyczytywano nominacje w kategorii kobiecej roli drugoplanowej, Lily wymruczała do Phila: "Jeżeli wygram i mnie tam nie będzie, odtańczę ci na piersi monkey w szpilkach".

Zwyciężyła jednak Ruth Gordon. Lilly powiedziała wówczas: "Pewnie, zasługuje na to. Wspaniała dziewczyna". Natychmiast później szturchnęła męża w pierś i dodała: "Lepiej zdobądź dla mnie kolejną taką rolę, ty wielki agenciel!".

Kolejne role takiego kalibru jednak nie nadeszły. Ostatnią, w dwa lata po śmierci Jacka, była postać cynicznej, nawróconej prostytutki w filmie "Motorcycle Maniacs".

Jack zdawał sobie sprawę, że ten właśnie okres rozpamiętuje Lily. Zabrał się do wywlekania rzeczy z bagażnika i tylnego siedzenia. Torba z godłem D'Agostino rozdarła się na trzech pierwszych literach. Stos zwiniętych skarpetek, szachownica oraz komikszy zasypały resztę bagażnika. Jack zdołał poupychać większość rzeczy do innych toreb. Lily wchodziła właśnie powoli po hotelowych schodach, podciągając się po poręczy jak staruszka.

- Znajdę boya - powiedziała.

Jack wyprostował się znad wybrzuszonych toreb i ponownie popatrzył na niebo; wciąż uważał, że dojrzał na nim tęczę. Nie było jej jednak, jedynie przyprawiające o niepokój skłębione niebiosy.

"Chodź do mnie" - odezwał się po chwili ktoś za plecami Jacka cichym, lecz wyraźnym głosem.

- Słucham? - zapytał i się odwrócił.

Dookoła niego rozpościerały się puste ogrody i droga.



- Tak? - powiedziała matka; stała przygarbiona, opierając się o gałkę wielkich drewnianych drzwi.

- Przesłyszałem się - odparł. Nie było żadnego głosu, żadnej tęczy. Zapomniał o incydencie i popatrzył na matkę mocującą się z olbrzymimi drzwiami. - Zaczekaj, pomogę ci!  
- zawołał.

Wbiegł po schodach, niezdarnie targając wielką walizkę i pękającą od swetrów papierową torbę.

#### 4

Dopóki Jack nie spotkał Speedy'ego Parkera, snuł się po hotelu, nieświadomy upływu czasu jak śpiący pies. Przez te dni jego całe życie wydawało mu się niemal snem, pełnym cieni i niewytłumaczalnych przemian. Nawet straszne wieści o wujku Tommym, które dotarły liniami telefonicznymi poprzedniego wieczora, nie przebudziły go zupełnie, chociaż nim wstrząsnęły. Gdyby Jack należał do mistyków, mógłby pomyśleć, że znalazł się we władaniu mocy z zaświatów, które manipulowały nim oraz jego matką. Dwunastoletni Jack Sawyer lubił, gdy wokół coś się działo, a cisza po zgiełku Manhattanu wywołała zamęt w jego głowie i w jakiś sposób go przytłoczyła.

Jack zorientował się, że stoi na plaży; nie przypominał sobie, w jaki sposób tam trafił ani co w ogóle tam robi. Sądził, że rozpacza po wujku Tommym, faktycznie jednak jego umysł jakby zasnął, porzucając ciało na pastwę losu. Jack nie potrafił skupić się, by pochwycić wątek telewizyjnych seriali komediowych, które oglądał wieczorami z Lily, a tym bardziej wyczuwać niuanse prozy.

- Jesteś zmęczony tymi wszystkimi przeprowadzkami - powiedziała matka, zaciągając się głęboko papierosem i mrużąc oczy w obłoku dymu. - Wystarczy, że się trochę odprężysz, Jack-O. Trafiliśmy w dobre miejsce. Cieszymy się nim tak długo, jak to możliwe.

Bob Newhart\*,[\* Aktor komediowy, w latach 1972-78 gospodarz programu "Bob Newhart Show".] nieco zbyt czerwony na ekranie telewizora, wpatrywał się z zadumą w but trzymany w prawej ręce.

- Sama właśnie to robię - dodała Lily i uśmiechnęła się do syna. - Relaksuję się i mam z tego przyjemność.

Jack popatrzył na zegarek. Minęły dwie godziny od chwili, gdy usiadł przed telewizorem, ale nie potrafił sobie przypomnieć żadnego wcześniejszego programu.

Wstał, by pójść spać, gdy zadzwonił telefon. Odnalazł ich dobry, stary wujaszek Morgan Sloat. Wieści od wuja Morgana nigdy nie były porywające, ale tym razem przeszedł sam siebie. Jack zatrzymał się na środku pokoju i przyglądał się, jak twarz matki bladła, aż wreszcie nabrała kredowej barwy. Uniosła mimowolnie dłoń do szyi, na której w ciągu kilku minionych miesięcy pojawiły się nowe zmarszczki, i lekko ją zacisnęła. Aż do końca rozmowy nie powiedziała niemal słowa.

- Dziękuję, Morgan - rzekła wreszcie i odłożyła słuchawkę. Odwróciła się w stronę Jacka; wyglądała na jeszcze starszą i bardziej chorą. - Musisz być teraz twardy, Jacky, dobrze?

Nie czuł się twardy.

Wzięła go za rękę i powiedziała, co się stało.

- Wujek Tommy zginął dzisiaj po południu. Ktoś go przejechał i uciekł z miejsca wypadku.

Jack stęknął, czując się, jakby wyciśnięto z niego powietrze.

- Jakaś furgonetka wpadła na niego, gdy przechodził przez bulwar La Cienega. Świadek podał, że była czarna i miała na boku napis: DZIKIE DZIECKO... ale to wszystko.

Lily zaczęła płakać. W chwilę później Jack również się rozplakał - i prawie go to zaskoczyło. Wszystko to zdarzyło się trzy dni temu, które chłopcu wydawały się wiecznością.

## 5

Piętnastego września 1981 roku Jack Sawyer spoglądał na nieruchome morze, stojąc na bezimiennej plaży przed hotelem, który przypominał zamek z powieści sir Waltera Scotta. Chciał płakać, ale łzy nie chciały napłynąć do oczu. Otaczała go śmierć, świat w połowie składał się ze śmierci, tęcze nie istniały. Furgonetka z napisem DZIKIE DZIECKO zabrała wujka Tommy'ego z tego świata. Wujek Tommy zginął w Los Angeles - za daleko od wschodniego wybrzeża. Chociaż Jack był dzieckiem, wiedział, że miejsce wujka Tommy'ego było właśnie tam. Mężczyzna, który wkładał krawat przed pójściem na kanapkę z rostbefem do Arby'ego, nie miał w ogóle czego szukać na zachodnim wybrzeżu.

Nie żył ojciec Jacka, wujek Tommy również, jego matka chyba umierała. Jack wyczuwał w Arcadia Beach obecność śmierci - mówiła przez telefon głosem wuja Morgana. Nie chodziło o nic tak tandetnego i oczywistego jak melancholia miasteczka wypoczynkowego po sezonie, kiedy człowiek stale napotyka Zjawy Minionego Lata; śmierć wydawała się tkwić w fakturze rzeczywistości, jej woń niosła morską bryza. Jack bał się... bał

się od dawna. Trafienie tutaj, gdzie panowała taka cisza, pomogło mu tylko to sobie uświadomić - zdał sobie sprawę, że Śmierć mogła dojechać za nimi autostradą numer 95 aż tutaj, mrużąc oczy od papierosowego dymu i prosząc, by znalazł w radiu jakiś bebop.

Jack przypominał sobie jak przez mgłę, iż ojciec mówił mu, że urodził się ze starą głową. W tej chwili nie miał jednak uczucia, że jest stara. W tym momencie odnosił wrażenie, że jest bardzo młoda. Boję się, pomyślał. Jestem piekielnie przerażony. Tu właśnie kończy się świat, prawda?

Mewy krążyły po szarym niebie. Cisza była tak samo szara jak powietrze - równie naznaczona śmiercią jak rosnące kręgi pod oczyma Lily.

## 6

Gdy Jack zawędrował do wesołego miasteczka i spotkał Lestera Speedy'ego Parkera po nie wiadomo dokładnie ilu dniach marnotrawienia czasu w otępieniu, w jakiś sposób uczucie trwania w zawieszeniu wreszcie go opuściło. Lester Parker był czarnoskórym mężczyzną o kędzierzawych siwych włosach i przecinających policzki grubych bruzdach. Nie wyróżniał się absolutnie niczym, chociaż kiedyś osiągnął co nieco jako wędrowny muzyk bluesowy. Nie powiedział również niczego specjalnie godnego uwagi. Mimo to, gdy tylko Jack bez celu zawędrował do salonu gier w wesołym miasteczku i napotkał spojrzenie bladych oczu Speedy'ego, poczuł, że znika wypełniająca jego umysł wata, jakby między starcem i chłopcem przemknął magiczny prąd.

- No, widzi mi się, że mam towarzystwo. Właśnie przyszedł mały wędrowniczek - powiedział Speedy, uśmiechając się do Jacka.

Rzeczywiście, Jack przestał trwać w zawieszeniu. Zaledwie chwilę wcześniej odnosił wrażenie, że spowija go mokra wełna i cukrowa wata, lecz nagle odzyskał swobodę odczuwania. Przez moment dookoła starego mężczyzny wydawał się mżyć srebrzysty nimb - ulotna aureola, która znikła, gdy tylko Jack zmrużył oczy. Po chwili zorientował się, że mężczyzna trzyma trzonek grubej, ciężkiej szczotki.

- Nic ci nie jest, synu? - Pracownik wesołego miasteczka przytknął dłoń do krzyża i przegiął się do tyłu. - Jak tam na świecie, lepiej czy gorzej?

- Ee... lepiej - odparł Jack.

- No to powiem ci, że przyszedłeś w dobre miejsce. Jak cię zwą?

Mały wędrowniczek, nazwał go tego pierwszego dnia Speedy, dobry Jack Wędrowniczek. Wysoki Murzyn oparł się o automat Skee-Ball i zacisnął dłonie na szczotce,

jakby tańczył z dziewczyną. *Masz tu przed sobą Lestera Speedy'ego Parkera, ho-ho, synu, dawniej też wędrownika. O tak, Speedy wiedział, co to droga, znalazł wszystkie drogi - wtedy, za dawnych czasów. Miałem grupę, się nazywała Travelling Jack. Graliśmy bluesa, bluesa na git-tarach. Nagrałem i parę płyt, ale nie będę cię zawstydział i pytał, czy którąś z nich słyszałeś.* Każda sylaba Parkera brzmiała śpiewnie i rytmicznie, każda fraza miała wznoszącą się, a następnie opadającą kadencję; Speedy Parker trzymał w rękach szczotkę zamiast gitary, ale mimo to był muzykiem. W ciągu pierwszych pięciu sekund rozmowy ze Speedym Jack zdał sobie sprawę, że jego kochającemu jazz ojcu przypadłoby do gustu towarzystwo tego człowieka.

Jack włączył się za Speedym przez większą część następnych trzech czy czterech dni. Przyglądał się pracy starszego mężczyzny i pomagał mu, kiedy tylko mógł. Speedy pozwalał mu wbijać gwoździe i szlifować wymagające pomalowania kolki. Proste czynności, wykonywane według wskazówek Parkera, stanowiły jedyną naukę chłopca w Arcadia Beach, a jednak poprawiały mu samopoczucie. Jack zrozumiał, że jego pierwsze dni w miasteczku stanowiły okres udręki, od której wybawił go nowy przyjaciel. Speedy Parker został bowiem jego przyjacielem, to pewne - w istocie tak pewne, że aż nieco tajemnicze. W ciągu kilku dni, od kiedy Jack otrząsnął się z otępienia (lub od kiedy Speedy wyzwolił go z niego, rozpraszając je jednym spojrzeniem swych jasnych oczu), starszy mężczyzna stał się mu bliższy niż którykolwiek z dawnych przyjaciół, może z wyjątkiem Richarda Sloata, którego Jack właściwie znał od kołyski. Obecnie znów poczuł, że ciepło i mądrość Speedy'ego przyciągają go z końca ulicy. Towarzystwo czarnoskórego mężczyzny zmniejszyło grozę wywołaną śmiercią wuja Tommy'ego oraz strach, że matka naprawdę umiera.

Jack ponownie odniósł niepokojące i pojawiające się już od dawna wrażenie, że jest kierowany, manipulowany - jak gdyby on i matka zostali ściągnięci do porzuconego miasteczka nad morzem po jakimś długim, niewidzialnym drucie.

Chcieli, by się tu znalazł - kimkolwiek są.

Czy też tak po prostu wygląda obłąd? Oczami duszy Jack ujrzał zgarbionego starca, najwyraźniej niespełna rozumu, który mruczał pod nosem i pchał po chodniku pusty wózek na zakupy.

Krzyk mewy rozdarł powietrze i Jack przyrzekł sobie, że zmusi się do porozmawiania przynajmniej o niektórych ze swoich odczuć ze Speedym Parkerem - jeśli by nawet przyjaciel miał uznać, że mu odbiło i uśmieć się. W tajemnicy wiedział jednak, że Parker nie będzie się śmiał. Zostali dobrymi przyjaciółmi, ponieważ Jack zrozumiał jedną ważną rzecz, dotyczącą starego dozorczy: mógł mu powiedzieć niemal wszystko.

Nie był jednak jeszcze gotowy. To zbyt przypominało obłąd; poza tym sam na razie wszystkiego nie zrozumiał. Jack niemal z niechęcią odwrócił się plecami do wesołego miasteczka i pobrnął przez piach w stronę hotelu.

## Rozdział drugi - Lej się otwiera

### 1

Nastał nowy dzień, lecz Jack nie doszedł jeszcze do żadnych mądrych wniosków. Zdarzyło się jednak coś innego: tej nocy przyśnił się mu jeden z najstraszliwszych koszmarów w życiu. Jakiś potwór ścigał jego matkę - karłowate monstrum z przemieszczonymi oczyma i gnijącą, serowatą skórą. "Twoja matka już prawie nie żyje, Jack - możesz zawołać: alleluja?", wycharczało monstrum, a Jack zrozumiał - tak jak rozumie się we śnie - że ta istota była radioaktywna i gdyby go dotknęła, on również by umarł. Obudził się zły z potem, niemal z krzykiem. Dopiero miarowy łoskot przyboju przypomniał mu, gdzie się naprawdę znajduje; minęły całe godziny, nim ponownie zasnął.

Rano zamierzał matce opowiedzieć sen, ale kryjąca się za chmurą papierosowego dymu Lily była nie w humorze. Dopiero gdy wychodził z hotelowej kawiarni, by załatwić jakąś wymyśloną sprawą, uśmiechnęła się do niego blade.

- Zastanów się, co chcesz zjeść wieczorem.

- Tak?

- Tak. Wszystko, byle nie tanie żarcie. Nie przyjechałam z Los Angeles aż do New Hampshire po to, żeby truć się hot dogami.

- Wybierzmy się do jednej z tych morskich restauracji w Hampton Beach - odparł Jack.

- Doskonale. No, idź się pobaw.

Idź się pobaw, pomyślał Jack z całkowicie nietypową dla siebie goryczą. Och, tak, mam, oby tak dalej. Naprawdę klawo. Idź się pobaw. Z kim? Dlaczego tu przyjechałaś, mam? Dlaczego oboje tu jesteśmy? Jak bardzo jesteś chora? Dlaczego nie chcesz porozmawiać ze mną o wujku Tommym? O co chodzi wujowi Morganowi? Co...

Pytania, pytania. Nie przedstawiały żadnej wartości, bo nie miał na nie kto odpowiedzieć.

Chyba że Speedy...

Nonsens. Jak jakiś stary Murzyn, którego Jack niedawno poznał, mógł rozwiązać jakiegokolwiek z jego problemów?

Mimo to myśl o Speedym Parkerze nie opuszczała Jacka, gdy schodził po chodniku z desek na przygnębiająco pustą plażę.

### 2

Tu właśnie kończy się świat, prawda? - pomyślał znowu Jack.

Mewy kołowały po szarym niebie. Według kalendarza lato się jeszcze nie skończyło, ale w Arcadia Beach jego kres nadchodził w Święto Pracy. Cisza była równie szara jak powietrze.

Jack opuścił wzrok na tenisówki i zauważył, że przylepiła się do nich jakaś smołowata maź. Plażowy syf, pomyślał. Jakieś skażenie. Nie miał pojęcia, gdzie w to wdepnął. Cofnął się z obawą od brzegu.

Mewy nadal wisiały w powietrzu, kołując i zawodząc. Jedna z nich krzyknęła wprost nad jego głową. Jack usłyszał głuchy, niemal metaliczny trzask. Odwrócił się na czas, by ujrzeć, jak ptak z łopotem skrzydeł ląduje niezgrabnie na garbatym głazie. Mewa gwałtownie kręciła łebkiem zupełnie jak robot, jakby chciała się upewnić, że jest sama. Następnie zeskoczyła do upuszczonego przez siebie małża, który leżał na gładkim, ubitym piachu. Skorupa mięczaka pękła jak jajko; Jack dostrzegł wciąż podrygujące wewnątrz surowe mięso... a może tylko to sobie wyobraził.

*Nie chcę na to patrzeć.*

Zanim jednak zdążył się odwrócić, mewa zaczęła wyszarpywać mięso żółtym, haczykowatym dziobem, ciągnąc je jak gumową taśmę. Chłopiec poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. W duchu słyszał wołanie rozciąganych tkanek - nic składnego, jedynie głupie, wrzeszczące z bólu ciało.

Znów spróbował odwrócić wzrok od mewy, ale i tym razem mu się to nie udało. Ptak otworzył dziób i Jack przez moment dojrzał brudnoróżową gardziel. Ciało małża znikło z młaśnięciem w pękniętej skorupie. Mewa przez chwilę wpatrzyła się w Jacka czarnymi jak śmierć oczkami, potwierdzając każdą straszną prawdę: ojcowie umierają, matki umierają, wujowie umierają, nawet jeśli studiowali w Yale i wyglądali w trzyczęściowych garniturach z Savile Row solidnie jak bankowe mury. Dzieci również umierały... może, a u kresu zapewne zostawał jedynie głupi, bezmyślny krzyk żywej tkanki.

- Hej - powiedział Jack; nie zdawał sobie z tego nawet sprawy, wydawało mu się, że to tylko myśl obija się mu pod czaszką. - Hej, daj mi trochę luzu.

Mewa siedziała nad swoją zdobyczą, wpatrując się w chłopca paciorkowatymi, czarnymi oczkami. Po chwili znów zaczęła szarpać mięso. *Chcesz trochę, Jack? Jeszcze podryguje! Na Boga, jest tak świeże, że pewnie nie wie, że już jest martwe!*

Silny żółty dziób wpił się znowu w mięso i pociągnął. Poociiiiiąągnąąąłłł...

Małż został rozerwany. Łeb mewy podskoczył ku sinemu wrześnieowemu niebu, a gardło się wybrzuszyło. Wydawało się, że ptak ponownie spojrział na Jacka - tak jak oczy na niektórych obrazach zdają się stale patrzeć na człowieka, bez względu na to, w którym miejscu sali się stoi. Te oczy... Jack znał takie oczy.

Nagle zapragnął znaleźć się przy matce - zajrzeć w jej ciemnoniebieskie oczy. Nie przypominał sobie, by tak bardzo pragnął jej obecności od czasów, kiedy był naprawdę mały. *La-la, usłyszał w duchu jej śpiew. Głos Lily był jak dźwięk wiatru - dopiero co tutaj, po chwili gdzie indziej. La-la, zaśnij już, Jacky, kochanie, tatuś pojechał na polowanie.* I reszta tych bzdetów. Jack rozpamiętywał wspomnienie o kołysaniu, o matce palącej jednego herberta tareytona za drugim, może przeglądającej scenariusz - mówiła na scenariusze niebieskie kartki, przypominał sobie: niebieskie kartki. *La-la, Jacky, wszystko fajnie. Kocham cię, Jacky. Szz... śpij. La-la.*

Mewa nadal się w niego wpatrywała.

Z nagłą zgrozą, od której ścisnęło mu się gardło, jakby napił się gorącej osolonej wody, zrozumiał, że ptak rzeczywiście się mu przyglądał. Czarne oczka (czyje?) naprawdę go widziały. A Jack znał to spojrzenie.

Pasmo surowego mięsa wciąż zwiślało z dzioba mewy. Na oczach Jacka ptak wessał je i rozchylił dziób w niesamowitym, a mimo to oczywistym uśmiechu.

W tej samej chwili chłopiec odwrócił się i rzucił do biegu z pochyloną głową i zaciśniętymi oczyma, do których napływały gorące, słone łzy. Tenisówki zagłębiały się w piach.

Gdyby istniał sposób, by wznieść się wysoko i popatrzeć na tę scenę z pozycji mewy, pośród tego szarego dnia widać by było tylko jego i ślady, które zostawiał. Jack Sawyer, samotny dwunastolatek biegnący z powrotem do hotelu. Nie myślał już o Speedym Parkerze. Łzy i wiatr niemal tłumiły jego wołanie - powtarzane raz po raz zaprzeczenie: nie, nie, nie.

### 3

Zatrzymał się zdyszany u szczytu plaży. Gorący szew bólu rozciągał się przez jego ciało od środkowych żeber po najgłębszą część lewej pachy. Jack usiadł na jednej z ławek, rozstawionych przez władze miejskie dla starszych ludzi. Odgarnął włosy z oczu.

Musisz się opanować. Jeśli Sierżantowi Furiatowi odbije szajba, kto poprowadzi Komando Wyjców\*?[\* “Sergeant Fury and his Howling Commandos”, publikowany od 1962



roku (do 1968, reaktywowany od 1989 roku) przez Marvel Comics cykl komiksów Staną Lee i Jacka Kirby'ego, rozgrywający się w trakcie drugiej wojny światowej.]

Uśmiechnął się i rzeczywiście poczuł się odrobinę lepiej. Pięćdziesiąt stóp od brzegu i znacznie ponad poziomem wody sprawy wyglądały nieco lepiej. Może spadło ciśnienie atmosferyczne albo coś w tym rodzaju. To, co spotkało wujka Tommy'ego, było okropne, ale Jack domyślał się, że z czasem się z tym pogodzi. Tak przynajmniej powiedziała matka. Wuj Morgan był ostatnio nadzwyczaj nachalny, ale ostatecznie zawsze był nachalny.

Co do jego matki... no cóż, jeden wielki znak zapytania, czyż nie?

W istocie, pomyślał Jack, siedząc na ławce i grzebiąc czubkiem tenisówki w piasku za skrajem chodnika z desek, matka wkrótce może wrócić do normy. Mogła wyzdrowieć, było to prawdopodobne. Ostatecznie nikt się nie wychylił i nie powiedział, że ma tego, co chodzi tyłem, prawda? Nie. Gdyby miała raka, nie przyjechałaby tutaj z Jackiem, prawda? Siedzieliby raczej w Szwajcarii, a matka brałaby zimne kąpiele mineralne, opychałaby się kozłimi gruczołami czy czymś w tym rodzaju. Na pewno właśnie tak by zrobiła.

Może zatem...

W jego świadomość wtargnął niski, szemrzący odgłos. Gdy opuścił głowę, oczy mu się zrobiły jak spodki. Piach po wewnętrznej stronie lewej tenisówki ożył. Drobne białe ziarenka zsuwały się do środka małego okręgu o średnicy mniej więcej palca. Piach w środku kółka nagle zapadł się, tworząc wklęsnięcie w podłożu głębokości około dwóch cali. Boki leja również się poruszały - ziarenka zataczały kręgi w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara.

To nieprawda, powiedział sobie natychmiast Jack, lecz jego serce już zaczynało bić jak szalone, przyspieszył również oddech. Nieprawda, to jeden ze Snów Na Jawie, może krab czy coś...

Nie był to jednak krab ani jeden ze Snów Na Jawie, ani owo inne miejsce, o którym marzył, gdy było nudno lub trochę strasznie. W każdym razie na pewno nie żaden cholerny krab.

Piach wirował coraz szybciej z suchym, szeleszczącym odgłosem, przywodzącym Jackowi na myśl statyczną elektryczność i eksperyment z butelką lejdejską z zeszłorocznej lekcji fizyki. Ledwie słyszalny odgłos kojarzył się wszakże jeszcze silniej z przeciągłym, szaleńczym krzykiem czy ostatnim tchem umierającego człowieka.

Jeszcze więcej piasku zsunęło się do środka i zaczęło wirować. Wgłębienie zamieniło się w lej w piachu, swego rodzaju przeciwieństwo wzbijanej przez wiatr kurzawy. Dojrzał jaskrawożółte opakowanie po gumie do żucia. Zniknęło, pokazało się, zniknęło, pojawiło się

raz jeszcze - za każdym razem widać było coraz większą jego część. Jack odczytywał kolejne litery: JU, następnie JUI, potem JUICY F. Lej zrobił się jeszcze większy, zmiatając resztę przykrywającego opakowanie piasku. Szybkość i nieustępliwość tego procesu przywodziła na myśl nachalną dłoń, spieszenie zrywającą narzuty z zasłanego łóżka. JUICY FRUIT, przeczytał Jack na chwilę, zanim papierek podskoczył w górę.

Piach wirował z syczącą furią coraz prędzej, wydając dźwięk brzmiący jak: *Hhhhhhaaaaahhhhhh*. Jack przyglądał się temu, zrazu zafascynowany, a następnie przerażony. Lej otwierał się jak wielkie, ciemne oko - oko mewy, która zrzuciła małża na skałę, a potem wyciągała z niego żywe mięso jak gumową taśmę.

*Hhhhhhaaaaahhhhhh*, szedł piaskowy lej martwym, suchym głosem. Głos ten nie brzmiał wyłącznie w umyśle Jacka. Bez względu na to, jak bardzo chłopiec pragnął, by tak było, głos był rzeczywisty. *Wyleciały mu sztuczne zęby, Jack, kiedy najechało na niego stare dobre DZIKIE DZIECKO, wyskoczyły jak z procy, trzask-prask! Yale czy nie Yale, kiedy wpada na ciebie stare dobre DZIKIE DZIECKO i wybija ci z gęby sztuczne zęby, Jacky, to już po tobie. A twoja matka...*

Znów zerwał się na równe nogi, biegł na oślep, nie oglądając się za siebie, z rozszerzonymi z przerażenia oczyma, a wiatr zwiewał mu włosy z czoła.

#### 4

Jack przeszedł szybko przez mroczny hol hotelu. Atmosfera tego miejsca nie pozwalała biec; było tu cicho jak w bibliotece, a wpadające przez wysokie, poprzedzielane kamiennymi słupkami okna szare światło zmiękczało oraz rozmywało kolory i tak wypłowiałych dywanów. Minąwszy biurko, Jack przeszedł w trucht, lecz przygarbiony dzienny recepcjonista o popielatej skórze wybrał właśnie ten moment, by wyłonić się z łukowatego, wyłożonego drewnem przejścia. Mężczyzna nic nie powiedział, ale stale opuszczone w chmurnym wyrazie kąci ust jeszcze mu się obniżyły. Jack poczuł się, jakby został przyłapany na bieganiu po kościele. Otarł rękawem czoło i do wind podszedł statecznym krokiem. Nacisnął guzik, czując na plecach świdrujące, posępne spojrzenie recepcjonisty. W ciągu tego tygodnia mężczyzna tylko raz się uśmiechnął - gdy rozpoznał jego matkę. Uśmiech ten zresztą był bardzo słaby.

- Domyślam się, że trzeba być aż tak starym, żeby pamiętać Lily Cavanaugh - powiedziała matka do Jacka, gdy tylko zostali sami w jednym z pokoiów.

Był czas, nie tak dawno temu, gdy rozpoznanie dzięki któremukolwiek z pięćdziesiątki filmów, jakie nakręciła w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych (nazywano ją Królową Filmów Klasy B, ona zaś mówiła o sobie: Ulubienica Kin Dla Zmotoryzowanych) - czy to przez taksówkarza, kelnera, czy też ekspedientkę w stoisku z bluzkami magazynu Saks przy Wilshire Boulevard - poprawiało jej nastrój na wiele godzin. Obecnie jednak nawet z tego nie czerpała przyjemności.

Jack wiercił się przed nieruchomymi drzwiami windy, wciąż słysząc niemożliwy, choć znajomy głos, docierający do niego z leja w piasku. Przez moment ujrzał Thomasa Woodbine'a, solidnego, tchnącego spokojem wujka Tommy'ego Woodbine'a, który w założeniu miał być jednym z jego opiekunów - potężnym murem, chroniącym przed kłopotami i zamętem - martwego i zmasakrowanego na bulwarze La Cienega, oraz jego sztuczne zęby poniewierające się jak prażona kukurydza dwadzieścia stóp dalej w rynsztoku. Jack znów szturchnął guzik windy.

*Szybciej!*

Po chwili zobaczył coś jeszcze gorszego - matkę wciągana przez dwóch obojętnych mężczyzn do podstawionego samochodu. Nagle Jackowi zachciało się siusiu, przyłożył dłoń do krocza, a zgarbiony, szary mężczyzna za biurkiem chrząknął z dezaprobatą. Jack przycisnął kant drugiej dłoni do magicznego miejsca tuż poniżej żołądka, dzięki któremu zmniejszył się nacisk na pęcherz. Do chłopca dobiegł szum zjeżdżającej powoli windy. Przymknął oczy i ścisnął nogi. Jego matka wyglądała na niepewną siebie, zagubioną i zdezorientowaną, a mężczyźni wpychali ją do samochodu z równą łatwością jak zmęczonego owczarka szkockiego. Jack wiedział jednak, że nie działo się to naprawdę. Było to zniekształcone wspomnienie - na pewno część jednego ze Snów Na Jawie - a poza tym dotyczyło matki, a nie jego samego.

Gdy rozsuwały się mahoniowe drzwi windy, ukazując pogrążone w cieniu wnętrze, z którego na Jacka popatrzyła jego własna twarz, odbita w porysowanym i oblażącym lustrze, ta scena z siódmego roku życia znów zdominowała jego świadomość. Zobaczył, jak oczy jednego z mężczyzn nabierają żółtej barwy, poczuł, jak ręka drugiego zamienia się w coś szponiastego, twardego i nieludzkiego... Wskoczył do windy, jakby go dźgnięto widłami.

Niemożliwe. Nie można mieć Snów Na Jawie, nie widział oczu mężczyzny zmieniających kolor z niebieskiego na żółty, a jego matka była w wysmienitej formie, nie miał się czego bać, nikt nie umierał, i tylko małżowi groziło niebezpieczeństwo w postaci mewy. Jack zamknął oczy, a winda mozolnie ruszyła w górę.

Istota w piasku śmiała się z niego.

Jack przecisnął się przez szczelinę w drzwiach, gdy tylko zaczęły się rozsuwać. Minął truchtem zamknięte wyloty pozostałych wind, skręcił w prawo w wyłożony drewnianymi panelami korytarz i pobiegł między kinkietami i obrazami w stronę ich pokojów. Bieg na piętrze nie wydawał się aż takim bluźnierstwem. Jack i Lily mieli apartamenty 407 i 408 - składały się z dwóch sypialni, małej kuchni i salonu, z którego widać było długą, gładką plażę oraz bezmiar oceanu. Matka wzięła sobie skądś kwiaty, ułożyła je w wazonach, a obok nich rozstawiła niewielką kolekcję oprawionych w ramki fotografii. Jack w wieku pięciu lat, Jack w wieku lat jedenastu, Jack jako niemowlę na rękach u ojca. Ojciec, Philip Sawyer, za kierownicą starego desoto, którym przyjechali z Morganem Sloatem do Kalifornii w czasach, gdy byli tak biedni, że często sypiali w samochodzie.

- Mamo? - zawołał Jack, gdy otworzył gwałtownie drzwi prowadzące do salonu pokoju 408

- Mamo?

Przywitały go kwiaty, fotografie uśmiechały się do niego. Odpowiedzi nie usłyszał.

- Mamo!

Drzwi zatrzasnęły się za nim. Jack poczuł, że robi mu się zimno w żołądku. Przebiegł przez salon do dużej sypialni po prawej.

- Mamo!

Był tu kolejny wazon pełen wysokich, jaskrawych kwiatów. Kołdra na pustym łóżku wyglądała na nakrochmaloną i wyprasowaną, tak sztywną, że odbiłaby się od niej ćwierć - dolarówka. Na stoliku obok stał zestaw brązowych buteleczek zawierających witaminy i inne leki. Jack cofnął się. Okno pokoju matki ukazywało czarne fale, toczące się nieugięcie w jego stronę.

Dwaj mężczyźni, wysiadający z niczym niewyróżniającego się samochodu, sami też bez żadnych cech szczególnych, wyciągający ręce w jej stronę...

- Mamo! - krzyknął Jack.

- Słyszę - zza drzwi łazienki rozległ się głos Lily. - O co ci, na miłość boską...

- Och - powiedział i poczuł, jak rozluźniają się mu wszystkie mięśnie. - Och, przepraszam. Po prostu nie wiedziałem, gdzie jesteś.

- Brałam kąpiel - odparła. - Szykowałam się do kolacji. Chyba to mi jeszcze wolno?

Jack zdał sobie sprawę, że nie musi już iść za potrzebą. Opadł na jeden z elegancko obitych foteli i zamknął oczy z ulgą. Mimo wszystko nic jej się nie stało...

Na razie nic się nie stało, szepnął mroczny głos, a w duchu Jack znów ujrzał otwierający się, wirujący lej.

Sześć czy siedem mil dalej wzdłuż nadmorskiej drogi tuż obok miasteczka Hampton Township znaleźli restaurację o nazwie “Lobster Chateau” - “Pałac Homarów”. Jack zdał pobieżną relację z tego, co robił w ciągu dnia - już wypierał z pamięci grozę, jakiej doznał na plaży, tłumił jej wspomnienia. Kelner w czerwonej marynarce z nadrukowanym rysunkiem homara na plecach zaprowadził ich do stolika przy długim, pokrytym smugami oknie.

- Czy szanowna pani życzy sobie drinka?

Ponieważ było już po sezonie, twarz kelnera, rodowitego mieszkańca Nowej Anglii, miała lodowaty wyraz. Widząc to oraz dostrzegając w wodnistoniebieskich oczach mężczyzny zawieść, jaką czuje na widok jego sportowej kurtki od Ralphi Laurena oraz noszonej z gracją przez matkę wieczorowej sukni od Halstona, Jack doznał ukłucia bardziej znajomej udręki - zwykłej tęsknoty za domem. *Mamo, jeśli naprawdę nie jesteś chora, co my tu, u diabła, robimy? Tutaj jest pusto! Strasznie! Jezu!*

- Poproszę porządne martini - powiedziała Lily.

- Słucham? - Kelner uniósł brwi.

- Lód do szklanki - odparła. - Na lód oliwka. Dzin tanqueray na oliwkę. Potem... spamięta pan?

*Mamo, na miłość boską, nie widzisz jego spojrzenia? Myślisz, że jesteś czarująca - a on uważa, że sobie z niego kpisz! Nie widzisz jego spojrzenia?*

Nie. Nie zauważyła. Ten brak empatii u matki, zwykle błyskawicznie orientującej się, jak czują się inni ludzie, stanowił kolejny kamień, który ugodził w serce Jacka. Matka zrywała więzi ze światem... na wszystkie sposoby.

- Tak, proszę pani.

- Następnie bierze pan butelkę wermutu dowolnej marki i przykłada ją do szklanki - powiedziała - Potem odstawia pan wermut na półkę i przynosi mi szklankę. Zgoda?

- Tak, proszę pani. - Wodniste, zimne nowoangielskie oczy wpatrywały się w matkę bez odrobiny miłości. Jesteśmy tu sami, pomyślał Jack, uświadamiając to sobie w istocie po raz pierwszy. Jezu, i to jak! - A panicz?

- Poproszę coca-colę - powiedział żałośnie Jack.

Kelner odszedł. Lily pogrzebała w torebce, aż znalazła paczkę herbertów tarrytoonów (tak nazywała je, od kiedy Jack był jeszcze małym dzieckiem - wołała na przykład: “Podaj mi

moje tarrytoony z tamtej półki, Jacky” - więc tak właśnie wciąż o nich myślał), po czym zapaliła papierosa. Zakrztusiła się i wydmuchnęła dym w trzech gęstych kłębach.

Kolejny kamień ugodził Jacka w serce. Dwa lata temu jego matka całkowicie rzuciła palenie. Jack wyczekiwał, aż wróci do nałogu z owym dziwnym fatalizmem, który stanowi odwrotną stronę dziecięcej łatwowierności i niewinności. Matka zawsze paliła, więc niedługo będzie palić znowu. Jakoś wytrzymała... ale trzy miesiące temu, w Nowym Jorku, sięgnęła po carltony. Krążyła po salonie apartamentu przy Park Central West, dymiła jak lokomotywa, lub też kuciała przed szafką z płytami, grzebiąc w swoich starych longplayach rockowych czy kolekcji płyt jazzowych zmarłego męża.

- Znow palisz, mamó? - zapytał ją.

- Tak, kapuściane liście - odpowiedziała.

- Wolałbym, żebyś tego nie robiła.

- Dlaczego nie włączysz telewizora? - zareagowała z nietypową ostrością, obracając się w jego stronę z surowo zaciśniętymi wargami. - Może znajdziesz Jimmy’ego Swaggarta\*[\* Kaznodzieja telewizyjny o fundamentalistycznych poglądach.] czy Wielebnego Ike’a\*?[\* Właściwie: Frederick Eikerenkootter. Kaznodzieja telewizyjny. Mawiał: “Biblia twierdzi, że Jezus jeździł na pożyczonym osiołku. Ja jednak wolę jeździć rolls-royce’em niż na czyims ośle”.] Urządź sobie kącik do wołania “alleluja” i znajdziesz jakieś zakonnice, żeby ci wtórowały “amen”.

- Przepraszam - wymamrotał.

Cóż - wtedy były to tylko carltony. Kapuściane liście. Obecnie jednak matka jechała na herbertach tarrytoonach - w staromodnych niebiesko-białych paczkach, z ustnikami wyglądającymi jak filtry, którymi jednak nie były. Jack przypominał sobie słabo, jak ojciec mówił komuś, że pali winstony, a jego żona - smolipluca.

- Zobaczyłeś coś niezwykłego, Jack? - spytała, utkwivszy w nim spojrzenie nienaturalnie gorejących oczu.

Trzymała papierosa tym samym, nieco ekscentrycznym gestem między drugim i trzecim palcem prawej ręki. Czekwała, czy jakoś to skomentuje. Podpuszczała go, by powiedział: “Mamo, zauważyłem, że znowu palisz herberty tarrytoony - czy to znaczy, że doszłaś do wniosku, iż nie masz nic do stracenia?”.

- Nie - powiedział. Znow ogarnęło go dręczące uczucie otepiałej tęsknoty za domem i zachciało mu się płakać. - Tyle że to miejsce... jest trochę niesamowite.

Lily rozejrzała się i uśmiechnęła. Dwaj inni kelnerzy, jeden chudy, drugi gruby, obydwa w czerwonych kurtkach ze złotymi homarami na plecach, stali przy wahadłowych

drzwiach do kuchni i cicho rozmawiali. Welwetowy sznur wisiał w przejściu do wielkiej jadalni za alkową, w której siedzieli Jack z matką. Odwrócone krzesła na stołach tworzyły w tej ciemnej jaskini kształty przypominające zikkuraty. W przeciwległym końcu przez przeszkloną ścianę dostrzegł stromy brzeg morza, jak z gotyckiego horroru. Jackowi przypomniał się "Death's Darling", film z udziałem matki. Lily grała w nim młodą kobietę z mnóstwem pieniędzy, która wbrew woli rodziców poślubiła ciemnowłosego, przystojnego nieznajomego. Ciemnowłosey, przystojny nieznajomy zabrał ją do wielkiego domu nad oceanem i usiłował doprowadzić do obłędu. "Death's Darling" był filmem typowym dla kariery Lily Cavanaugh - matka kreowała główne role w wielu czarno-białych filmach, w których przystojni aktorzy prowadzili w kapeluszach fordya kabriolety.

Wiszący na przegradzającym wejście do ciemnej pieczary welwetowym sznurze znak oznajmił: SALA ZAMKNIĘTA.

- Trochę tu ponuro, prawda? - spytała matka.

- Jak w "Strefie mroku" - odparł, na co Lily wybuchła chrapliwym, zaraźliwym, lecz mimo wszystko uroczym śmiechem.

- Tak, Jacky, Jacky, Jacky - powiedziała, pochyliła się i z uśmiechem przyciągnęła go za długie włosy.

Odsunął jej dłoń, również się uśmiechając (ale w jego głowie pojawiła się myśl: Och, jej palce wyglądają jak kości, może nie? *Ona już prawie umarła, Jack...*).

- Ni dotykać towaru.

- Zejdź ze mnie.

- Nawet równa z ciebie babka jak na taką starą jędzę.

- Och, chłopcze, spróbuj wydebić ze mnie w tym tygodniu pieniądze na kino.

- No.

Uśmiechnęli się do siebie. Jack nie potrafił przypomnieć sobie, kiedy tak bardzo chciało mu się płakać ani kiedy tak bardzo kochał Lily. Matkę cechowała teraz jakaś desperacka twardość... czego częścią był powrót do smolipluc.

Podano napoje. Lily wzniosła w toaście szklankę w stronę syna.

- Za nas.

- Za nas.

Wypili. Kelner wrócił z menu.

- Czy nie nadepnęłam mu przypadkiem wcześniej na odcisk, Jacky?

- Może trochę - odrzekł.

Zastanowiła się przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

- Co chcesz?

- Chyba solę.

- W takim razie ja też.

Zamówił więc dla nich obydwójga. Czuł się niezręcznie i był zażenowany, ale wiedział, że jej na tym zależało - a poza tym po odejściu kelnera po jej spojrzeniu zorientował się, że nie wyszło mu najgorzej. W dużym stopniu zawdzięczał to wujkowi Tommy'emu. Po wyprawie do restauracji sieci Hardee's wujek Tommy powiedział: "Myślę, że jest jeszcze dla ciebie nadzieja, Jack - pod warunkiem że zdołamy wyleczyć cię z obrzydliwej obsesji na punkcie topionego żółtego sera".

Podano jedzenie. Jack łapczywie zabrał się do gorącej, smakującej cytryną pysznej soli. Lily jedynie dłużyła w potrawie. Jadła kilka ziaren fasoli, po czym znowu przegarniała jedzenie po talerzu.

- Szkoła zaczęła się tutaj dwa tygodnie temu - oświadczył Jack w połowie kolacji.

Widok wielkich, żółtych autobusów z napisami: SZKOŁY DYSTRYKTU ARCADIA na bokach wzbudzał w nim poczucie winy. Czuł, że zważywszy na okoliczności, było ono zapewne absurdalne, ale mimo to go doznawał. Wagarował.

Lily popatrzyła na niego pytająco. Zamówiła i wypiła drugiego drinka; kelner właśnie przyniósł trzeciego.

- Po prostu pomyślałem, że o tym wspomnę. - Jack wzruszył ramionami.

- Chcesz pójść do szkoły?

- Hę? Nie! Nie tutaj!

- Dobrze, bo nie mam twoich cholernych papierów ze szczepień - odparła. - Nie wpuszczą cię do szkoły bez rodowodu, chłopie.

- Nie mów do mnie: chłopie - powiedział Jack, ale Lily nie uśmiechnęła się po tym starym żarciku.

*Chłopcze, dlaczego nie jesteś w szkole?*

Mrugnął, jakby głos rozległ się w rzeczywistości, a nie tylko w jego umyśle.

- Coś się stało? - zapytała.

- Nic. No... w wesołym miasteczku jest taki człowiek. W parku rozrywki. Dozorca, konserwator, coś takiego. Stary Murzyn. Zapytał mnie, dlaczego nie jestem w szkole.

Pochyliła się do przodu, straciwszy humor. Na jej twarzy pojawiła się niemal przerażająca powaga.

- Co mu powiedziałaś?



- Że dochodzę do siebie po mononukleozie. - Jack wzruszył ramionami. - Pamiętasz, jak to było, kiedy Richard na nią chorował? Lekarz powiedział wujowi Morganowi, że Richard ma nie chodzić do szkoły przez sześć tygodni, ale może wychodzić na dwór i robić, na co ma ochotę. - Jack uśmiechnął się blado. - Uważałem go za szczęściarza.

Lily nieco się odprężyła.

- Nie chcę, żebyś rozmawiał z nieznajomymi, Jack.

- Mamo, to tylko...

- Nie obchodzi mnie, kto to taki. Nie chcę, żebyś rozmawiał z nieznajomymi.

Jack pomyślał o czarnoskórym mężczyźnie z włosami barwy szarych stalowych opiłków, ciemnej, głęboko pobrużdżonej twarzy i osobliwych, jasnych oczach. Speedy wymachiwał szczotką w wielkim salonie gier na molo - salon stanowił jedyną atrakcję wesołego miasteczka Arcadia otwartą przez cały rok, był jednak opustoszały, jeśli nie liczyć Jacka, Murzyna i jeszcze dwóch czarnoskórych staruszków w głębi, apatycznie grających na automacie Skee-Ball.

Tym razem, siedząc z matką w nieco niesamowitej restauracji, Jack zadał sobie pytanie, które wcześniej usłyszał z ust Murzyna:

*Dlaczego nie chodzę do szkoły?*

*Bo tak właśnie jest, jak ona mówi, synu. Nie masz szczepień, nie masz rodowodu. Myślisz, że przyjechała tutaj z twoim świadectwem urodzenia? Tak myślisz? Ona ucieka, synu, a ty razem z nią. Ty...*

- Miałeś jakieś wiadomości od Richarda?

Pytanie matki przerwało rozmyślenia Jacka. Gdy wypowiadała te słowa, dotarła do niego prawda - nie, to było zbyt łagodne określenie. Rąbnęła w niego. Zadrzały mu ręce, szklanka zsunęła się ze stołu i rozbiła na podłodze w drobny mak.

*Ona już prawie umarła. Jack.*

Głos z wirującego piaskowego leja. Ten, który słyszał w swoim umyśle.

Był to głos wuja Morgana. Nie: może, nie: prawie, nie: coś jakby. To był naprawdę właśnie ten głos. Głos ojca Richarda.

## 6

- Co ci się stało przy kolacji, Jack? - spytała go matka w samochodzie, gdy wracali do domu.

- Nic. Serce zabiło mi w dziwnym rytmie, jakby to był riff Gene'a Krupy. - Zastukał szybko po desce rozdzielczej, by to zademonstrować. - Dostałem przedwczesnego skurczu komorowego - słyszałem to w "General Hospital".

- Nie zgrywaj mądrali, Jack.

W blasku bijącym od deski rozdzielczej matka wyglądała na bladą i wynędzniałą. Papieros tlił się między drugim i trzecim palcem jej prawej ręki. Prowadziła bardzo powoli - nie przekraczała czterdziestu mil na godzinę, tak jak zawsze, gdy za dużo wypła. Wysunęła swój fotel maksymalnie do przodu i podciągnęła dół sukni, tak że kolana sterczały jej jak bocianowi po obu stronach kolumny kierownicy. Jej podbródek zdawał się wisieć nad nią. Przez chwilę wyglądała jak wiedźma, wskutek czego Jack szybko odwrócił głowę.

- Nie zgrywam się - wymamrotał.

- Słucham?

- Nie mądrzę się - powiedział. - Miałem coś jak skurcz, to wszystko. Przepraszam.

- No dobrze - odparła. - Myślałam, że chodzi o Richarda Sloata.

- Nie.

*Jego ojciec przemówił do mnie z dołu w piasku na plaży, to wszystko. Odezwał się do mnie w mojej głowie, jak w filmie, gdy słyhać głos spoza kadru. Powiedział mi, że prawie umarłaś.*

- Brakuje ci go, Jack?

- Kogo, Richarda?

- Nie, Spiro Agnew. Oczywiście, że Richarda.

- Czasami.

Richard Sloat chodził obecnie do szkoły w Illinois - jednej z tych, w których obowiązkowe było chodzenie do kaplicy i nikt nie miał trądziku.

- Jeszcze go zobaczysz.

Przejechała mu dłonią po włosach.

- Nic ci nie jest, mamó? - wyrwało mu się i poczuł, jak wbija sobie paznokcie w uda.

- Nic - odparła, zapalając kolejnego papierosa (zanim to zrobiła, zwolniła do dwudziestu mil na godzinę; wyminął ich z trąbieniem klaksonu stary pick-up). - Nigdy nie czułam się lepiej.

- Ile schudłaś?

- Jacky, nigdy nie można być zbyt szczupłym ani zbyt bogatym.

Urwała i po chwili uśmiechnęła się do niego - znużonym uśmiechem zabarwionym cierpieniem, który powiedział mu całą prawdę.

- Mamo...

- Przestań - przerwała mu. - Wszystko jest dobrze, możesz mi wierzyć na słowo.

Poszukaj dla nas w radiu jakiegoś bebopu.

- Ale...

- Znajdź jakiś bebop i zamknij się.

Wyszukał jazz z jakiejś bostońskiej rozgłośni - na saksofonie altowym grano "All the Things You Are". Przez muzykę przebijał jednak miarowy, bezsensowny kontrapunkt - ocean. Nieco później Jack dostrzegł na tle nieba wielki szkielet kolejki z wesołego miasteczka oraz rozłożyste skrzydła hotelu Alhambra. Wrócili do domu, jeśli to był dom.

## Rozdział trzeci - Speedy Parker

### 1

Następnego dnia wróciło słońce - ostre i jaskrawe, jak farba kładło się warstwami na płaskiej plaży i wyłożonym czerwonymi dachówkami, pochyłym kawałku dachu, który Jack mógł dojrzeć z okna swojej sypialni. Długa, niska fala daleko na oceanie zdawała się twardnieć pod wpływem światła, raziła oczy chłopca odbitymi refleksami. Słoneczny blask zdaniem Jacka wyglądał tu inaczej niż w Kalifornii. Wydawał się jakby bardziej rozrzedzony i zimniejszy - mniej odżywczy. Fala na ciemnym oceanie stopniała, po czym znów się wydzwignęła; przeskoczyło po niej twarde, oślepiająco złote pasmo. Jack odwrócił się od okna. Wziął już prysznic i ubrał się, a biologiczny zegar podpowiadał mu, że czas iść na przystanek szkolnego autobusu. Siódma piętnaście - ale oczywiście nie wybierał się dzisiaj do szkoły, wszystko przestało być normalne, a on i matka mieli znów dryfować jak duchy przez dwanaście godzin dnia. Bez rozkładu, bez odpowiedzialności, bez prac domowych... bez żadnego porządku z wyjątkiem tego, który wytyczały godziny posiłków.

Zresztą czy dziś w ogóle był dzień nauki? Jack zatrzymał się koło łóżka, czując ulotny dreszcz paniki, że jego świat stał się tak bezkształtny... wydawało mu się, że dziś nie jest sobota. Odliczył wstecz do ostatniego dającego się z pewnością zidentyfikować dnia, jaki pozostał mu w pamięci - była nim miniona niedziela. Licząc do przodu, doszedł do wniosku, że jest czwartek. W czwartki Jack miał naukę obsługi komputera z panem Balgo i poranną lekcję wychowania fizycznego. Tak przynajmniej wszystko biegło, gdy jego życie było normalne. Czas ten wydawał się bezpowrotnie stracony, chociaż zakończył się zaledwie kilka miesięcy temu.

Jack przeszedł z sypialni do salonu. Gdy pociągnął za sznur zasłony, pokój załało ostre, jaskrawe światło, od którego płowiały meble. Następnie włączył telewizor i ulokował się na twardej sofie. Matka mogła się pojawić najwcześniej za kwadrans. Może później, bo przecież poprzedniego wieczora wypila do kolacji trzy drinki.

Jack obejrzał się na drzwi do jej sypialni.

Dwadzieścia minut później zastukał delikatnie.

- Mamo?

Odpowiedziało mu niewyraźne mamrotanie. Uchylił odrobinę drzwi i zajrzał do środka. Matka podniosła głowę znad poduszki i popatrzyła na niego spod pół przymkniętych powiek.

- Dzień dobry, Jacky. Która godzina?

- Około ósmej.

- Boże! Pewnie umierasz z głodu?

Usiadła i przycisnęła wierzchy dłoni do oczu.

- Coś w tym stylu. Niedobrze mi się robi od siedzenia tutaj. Zastanawiałem się, czy niedługo wstaniesz.

- Nie, jeśli mogę coś na to poradzić. Przeszkadza ci? Zejdź do jadalni, zamów sobie jakieś śniadanie. Powłócz się po plaży, dobrze? Jeśli dasz matce powylegiwać się jeszcze godzinę w łóżku, będzie o wiele znośniejsza.

- Pewnie - odparł. - No dobra. Do zobaczenia później.

Jej głowa już opadła z powrotem na poduszkę.

Jack wyłączył telewizor i wyszedł z pokoju, upewniwszy się, że ma klucz w kieszeni dzinsów.

W windzie pachniało kamforą i amoniakiem - pewnie pokojówce spadła z wózka butelka. Drzwi otworzyły się, a szary recepcjonista popatrzył na chłopca, marszcząc brwi, i ostentacyjnie się odwrócił. Chociaż jesteś dzieciakiem gwiazdy filmowej, to nie znaczy, że będziemy cię tu traktować jako kogoś wyjątkowego, synu... a poza tym dlaczego nie jesteś w szkole? Jack skręcił w stronę wykładanego drewnianymi panelami wejścia do jadalni - ochrzczonej "Saddle of Lamb", czyli "Cieleca krzyżówka". W pogrążonym w cieniu wielkim wnętrzu zobaczył rzędy pustych stolików. Nakryto raptem może sześć z nich. Kelnerka w białej bluzce i czerwonej plisowanej spódnicy popatrzyła na chłopca i odwróciła wzrok. W drugim końcu sali po przeciwnych stronach stolika siedziała para starszych ludzi, wyglądali na zmęczonych. Nikt inny nie przyszedł na śniadanie. Jack zobaczył, że stary mężczyzna pochyla się nad stolikiem i automatycznie kroi smażone jajko żony na cztery kawałki wielkości cala.

- Stolik na jedną osobę?

Obok Jacka zmaterializowała się kierowniczką dziennej zmiany w restauracji i natychmiast podała mu kartę dań.

- Przepraszam, rozmyśliłem się.

Wymknął się za drzwi. Hotelowa kawiarnia "Beachcomber Lounge" znajdowała się po przeciwnej stronie lobby, na końcu długiego, ponurego, pełnego pustych gablot korytarza. Jack przestał odczuwać głód na myśl, iż miałby usiąść przy kontuarze i patrzeć, jak znudzony kucharz rzuca płatki boczku na pokryty okruchami ruszt. Postanowił zaczekać, aż matka

wstanie - albo jeszcze lepiej, pójdzie po pączka i karton mleka do jednego ze sklepów przy ulicy prowadzącej do miasta.

Pchnął wysokie, masywne frontowe drzwi hotelu i wyszedł na zalany słońcem podest. Przez moment ostry blask poraził jego oczy - świat zamienił się w płaski, oślepiający miraż. Jack zmrużył powieki, żałując, że nie zabrał okularów przeciwsłonecznych. Przeszedł po wykładanym czerwonymi ceglami podeście i zstąpił po czterech łukowatych stopniach na główny chodnik, wiodący przez ogrody z frontu hotelu.

Co by się stało, gdyby umarła?

Co by go czekało - gdzie by się podział, kto by się nim zajął, gdyby rzeczywiście zdarzyła się najgorsza rzecz na świecie i matka by umarła, umarła na dobre w tym hotelowym pokoju?

Potrząsnął głową, starając się odpędzić tę straszną myśl - nim ukryta panika wynurzy się z uporządkowanych ogrodów Alhambry i rozerwie go na strzępy. Nie mógł płakać, nie mógł sobie na to pozwolić - i nie zamierzał myśleć o tarrytoonach oraz tym, jak bardzo schudła. Nie chciał znów dopuścić do ogarniającego go czasem uczucia, że matka również była bezradna i straciła cel w życiu. Jack przyspieszył kroku i wepchnął ręce w kieszenie, gdy przeskoczył ze skracającego w głąb ogrodów chodnika na hotelowy podjazd. *Ona ucieka, synu, a ty razem z nią.* Ucieka, ale przed kim? I dokąd? Tutaj - właśnie tutaj, do tego opustoszałego letniska?

Dotarł do szerokiej ulicy i ruszył wzdłuż brzegu morza w stronę miasta. Cały otaczający go pusty krajobraz zamienił się w lej gotowy wessać go i wypluć w czarne miejsce, gdzie nigdy nie istniał spokój ani bezpieczeństwo. Nad pustą drogą unosiła się mewa. Zatoczyła szeroki krąg i zanurkowała w stronę plaży. Jack przyglądał się, jak ptak maleje, aż zamienił się w białą plamkę w powietrzu nad nierówną linią torów kolejki wesołego miasteczka.

Gdzieś tam, właśnie w wesołym miasteczku, był Lester Speedy Parker, Murzyn z kędzierzawymi, siwymi włosami i pobrużdżonymi policzkami. Jack musiał go zobaczyć. Nagle zdał sobie z tego sprawę tak jasno, jak wcześniej uświadomił sobie pewną rzecz o ojcu swego przyjaciela Richarda.

Mewa zakrzyczała, od fali odbił się ostry, złoty blask, a Jack wyobraził sobie wuja Morgana i swojego nowego przyjaciela Speedy'ego Parkera jako postacie stanowiące prawie alegoryczne przeciwieństwo - jakby były to osadzone na cokołach posągi, przedstawiające Noc i Dzień, Księżyc i Słońce - ciemność i światło. Gdy tylko Jack zdał sobie sprawę, że jego ojciec polubiłby Speedy'ego Parkera, pojął, że stary muzyk bluesowy nie potrafi nikomu

wyrządzić krzywdy. Co innego wuj Morgan... wuj Morgan był zupełnie innym człowiekiem. Żył interesami, spiesznym handlem i dobijaniem targów. Był tak ambitny, że kwestionował każdą wątpliwą decyzję sędziego podczas partii tenisa - w istocie tak przepełniony ambicją, że oszukiwał przy grze w karty o groszowe stawki, na które od czasu do czasu namawiał go syn. Jack przynajmniej podejrzewał, że wuj Morgan oszukiwał podczas kilku z nich... Nie był to człowiek, który z klasą pogodziłby się z przegraną.

Noc i Dzień, Księżyc i Słońce, Ciemność i Światło - czarnoskóry mężczyzna był jasnością we wszystkich tych zestawieniach. Gdy myśli Jacka dotarły do tego miejsca, ogarnęła go panika, z którą walczył w miniaturowym hotelowym ogrodzie. Zerwał się do biegu.

## 2

Kiedy chłopiec zobaczył Speedy'ego, który klęczał obok szarego, oblażącego z farby budynku salonu gier, Murzyn okręcał właśnie taśmą izolacyjną grubo kabel. Pokrytą włosami jak stalowy druciak głowę miał prawie przygiętą do desek, chude pośladki wypychały przetarte siedzenie zielonych roboczych spodni, a zakurzone podeszwy butów przypominały parę postawionych na sztorc desek surfingowych - uświadomił sobie, że nie miał pojęcia, co chce powiedzieć dozorca i czy nawet zamierza w ogóle z czegoś mu się zwierzyć. Speedy jeszcze raz czarną taśmę owinął kabel, skinał głowę, wyjął z kieszeni roboczej koszuli wysłużony kozik i odciął taśmę z chirurgiczną precyzją. Jack uciekłby również stąd, gdyby mógł - przeszkadzał staremu człowiekowi w pracy, a poza tym wariactwem było myśleć, że Speedy zdoła mu jakkolwiek pomóc. W czym mógłby wesprzeć go stary dozorca opustoszałego wesołego miasteczka?

Po chwili Speedy odwrócił głowę i na jego twarzy zagościł podtrzymujący na duchu serdeczny wyraz powitania - nie tyle się uśmiechał, ile pogłębiły mu się wszystkie bruzdy na twarzy - dzięki czemu Jack zdał sobie sprawę, że nie jest przynajmniej intruzem.

- Jack Wędrowniczek - powiedział Speedy. - Zaczynałem się bać, że postanowiłeś nie pokazywać mi się na oczy, a przecież właśnie zaczęliśmy się przyjaźnić. Cieszę się, że cię znowu widzę, synu.

- No - odparł Jack. - Mnie również miło pana widzieć.

Speedy wetknął metalowy nóż z powrotem do kieszeni i dźwignął swe wysokie, szczupłe ciało tak łatwo, z taką energią, że wydawało się nieważkie.

- Wszystko tutaj wali mi się na łeb - powiedział. - Naprawiam, co mogę, po kawałku, żeby działało mniej więcej tak, jak powinno. - Urwał w pół zdania, gdy przyjrzał się uważniej twarzy Jacka. - Wygląda na to, że na świecie zrobiło się nieklawo, co? Jack Wędrowniczek ma na karku mnóstwo kłopotów. Racja?

- Tak, mniej więcej - odrzekł Jack.

Nie wiedział, od czego zacząć tłumaczenie, czym się martwi. Nie sposób było tego ująć w zwyczajne zdania, który by sprawiły, że wszystko stałoby się racjonalne. Raz-dwa-trzy: świat Jacka przestał układać się w tak proste linie. Wszystko, czego nie mógł wyrazić, przygniatało go.

Popatrzył żałośnie na wysokiego, chudego mężczyznę przed sobą. Speedy wepchnął ręce głęboko w kieszenie; gęste siwe brwi ściągnął tak, że między nimi utworzyła się głęboka, pionowa bruzda. Oczyma tak jasnymi, że niemal pozbawionymi koloru, powiódł po pokrytej pęcherzami farbie pomostu, aż skrzyżował spojrzenie z Jackiem - i chłopiec nagle poczuł się lepiej. Nie rozumiał dlaczego, ale Speedy chyba potrafił przekazywać mu bezpośrednio emocje - jakby poznali się nie tydzień temu, ale całe lata, i zamienili więcej niż parę słów w opustoszałym salonie gier.

- No, na razie wystarczy tej roboty - powiedział Speedy, oglądając się w stronę Alhambry. - Jak teraz nie przestanę, to wszystko sknocę. Pewnie nie widziałeś jeszcze mojego biura, co? - Jack pokręcił głową. - No to czas na trochę odpoczynku, chłopcze. Najwyższa pora.

Ruszył mołem charakterystycznym dla siebie długim krokiem, a Jack truchtał za nim. Zeskoczyli ze schodów i zaczęli przedzierać się przez zmarniałą trawę i ubitą brunatną ziemię w stronę budynków stojących na drugim końcu wesołego miasteczka. Speedy zaskoczył Jacka tym, że zaczął śpiewać.

*Jack Wędrowniczek, dobry Jack Wędrowniczek,*

*Czeka go daleka droga,*

*A jeszcze dłuższa z powrotem.*

Ściśle rzecz biorąc, nie była to piosenka, pomyślał Jack, ale coś pomiędzy śpiewem i deklamacją. Gdyby nie słowa, słuchanie surowego głosu Speedy'ego, który przepelniała pewnością siebie, sprawiłoby mu przyjemność.

*Daleka droga czeka tego chłopca,*



*A jeszcze dłuższa z powrotem.*

Speedy rzucił mu przez ramię niemal figlarne spojrzenie.

- Dlaczego pan mnie tak nazywa? - spytał go Jack. - Dlaczego zostałem Jackiem Wędrowniczkiem? Bo jestem z Kalifornii?

Dotarli do bładoniebieskiej budki biletera przy furtce w ogrodzeniu kolejki. Speedy wsunął z powrotem ręce w kieszenie workowatych zielonych spodni, obrócił się na pięcie i oparł łokcie na niskiej, niebieskiej poprzeczce. Oszczędność i szybkość jego ruchów były niemal teatralne - jak gdyby wiedział, że chłopiec zada właśnie to pytanie akurat w tej chwili, pomyślał Jack.

*Mówi, że przyjechał z Kalifornii*

*I nie wie, że zaraz ma tam wracać...*

- zaśpiewał Speedy. Przez jego poważną, rzeźbioną twarz przemknęło coś, co Jack odebrał jako niezadowolenie.

*Mówi, że przyjechał aż tutaj.*

*Biedny Jack Wędrowniczek wracać ma zaraz...*

- Co? - spytał Jack. - Wracać? O ile wiem, matka sprzedała już dom albo go wynajęła czy coś takiego. Nie mam pojęcia, co u diabła chcesz mi wmówić, Speedy.

Poczuł ulgę, gdy Speedy odpowiedział mu nie melodyjnym, rytmicznym śpiewem, lecz normalnym głosem:

- Założę się, że sobie nie przypominasz, jak się dawniej spotkaliśmy, Jack. Nie przypominasz sobie, prawda?

- Spotkaliśmy się wcześniej? Gdzie?

- W Kalifornii - tak przynajmniej mi się wydaje. Pewnie i tak tego nie pamiętasz, Jacku Wędrowniczku. Straszny ruch panował przez tamtych kilka chwil. Pewnie to było... niech pomyślę... mniej więcej cztery, pięć lat temu. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym.

Całkiem zdezorientowany Jack podniósł wzrok. Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty szósty? Miał wtedy siedem lat.

- Dobra, poszukajmy mojego gabinetu - powiedział Speedy i z dziwną lekkością odepchnął się od budki biletera.

Jack ruszył za nim, klucząc między wysokimi wspornikami kolejki. Czarne cienie, przypominające kreski diagramów do gry w kółko i krzyżyk, kładły się na pylistej jałowej ziemi, upstrzonej puszkami po piwie i papierkami po cukierkach. Tory kolejki pięły się nad nimi jak niedokończony wieżowiec. Jack przyglądał się, jak Speedy porusza się z pozbawioną wysiłku gracją gracza w koszykówkę, z uniesioną głową i swobodnie zwieszonymi rękami. Kąt, pod jakim pochylał ciało, postawa w poprzecinanym cieniami półmroku pod wspornikami - sprawiały, że wydawał się bardzo młody. Ktoś mógłby wziąć Speedy'ego za mężczyznę przed trzydziestką.

Dozorca wyszedł wreszcie z powrotem w ostre światło słońca, a pięćdziesiąt lat pokryło mu siwizną włosy i pobruździło kark. Jack przystanął, gdy dotarł do ostatniego rzędu wsporników, czując, że iluzoryczne odmłodnienie Speedy'ego Parkera stanowi dla nich obydwóch sygnał, że *Sny Na Jawie* są w jakiś sposób bardzo blisko, w zasięgu ich rąk.

Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty szósty? Kalifornia? Jack ruszył ociężale za Speedym, który skierował się ku małej, pomalowanej na czerwono szopie, przylegającej do ogrodzenia z drutu po przeciwnej stronie wesołego miasteczka. Chłopiec był pewien, że nigdy nie spotkał Speedy'ego w Kalifornii... ale niemal namacalna natura jego fantazji obudziła w nim kolejne konkretne wspomnienie z tamtych dni - obrazy i wrażenia z późnego popołudnia w szóstym roku życia. Jack bawił się czarną taksówką za kanapą w gabinecie ojca... a ojciec i wuj Morgan w niewytłumaczalny, magiczny sposób rozmawiali właśnie o *Snach Na Jawie*. *Mają magię, tak jak my mamy fizykę, zgadza się? Monarchia agrarna, w której magia jest wykorzystywana zamiast nauki. Dociera do ciebie, jakiego mielibyśmy na nich kurewskiego haka, gdybyśmy dali im elektryczność? Gdybyśmy przekazali odpowiednim ludziom nowoczesną broń? Wyobrażasz to sobie?*

*Zaczekaj chwilę, Morgan. Mam mnóstwo pomysłów, które widocznie tobie nie przyszły do głowy...*

Jack prawie słyszał głos ojca, a wyjątkowe, niepokojące królestwo *Snów Na Jawie* zdawało się odżywać w pogrążonej w cieniu, jałowej przestrzeni pod kolejką. Chłopiec ruszył szybciej za Speedym, który otworzył drzwi małej, czerwonej szopy i oparł się o nie, uśmiechając się bez cienia wesołości.

- Coś ci przyszło do głowy, Jacku Wędrowniczku. Coś ci się tam kotłuje jak pszczoły w ulu. Włóż do mojego apartamentu i opowiedz o tym.

Gdyby uśmiech Murzyna był szerszy, bardziej oczywisty, Jack pewnie odwróciłby się i uciekł; widmo upokorzenia wciąż unosiło się niepokojąco blisko. Speedy zdawał się jednak całą swoją istotą wyrażać zaproszenie i troskę - przekazywały to wszystkie bruzdy na jego twarzy - więc Jack przeszedł obok niego do środka.

“Gabinetem” Speedy’ego była mała klitka ze ścianami z desek, tak samo czerwonych jak z zewnątrz, pozbawiona biurka czy telefonu. Dwie odwrócone skrzynki po pomarańczach opierały się o jedną z bocznych ścian, a pomiędzy nimi stał elektryczny grzejnik z kratką przypominającą wlot chłodnicy pontiaca z lat pięćdziesiątych. Na środku pokoiku drewniane szkolne krzesło z zaokrąglonym oparciem towarzyszyło miękkiemu fotelowi, obitemu spłowiałym szarym materiałem.

Wyglądało na to, że kilka pokoleń kotów podarło poręczę fotela: brudne pasma wyściółki przylegały do nich jak włosy. Na tylnej stronie oparcia szkolnego krzesła widniało skomplikowane graffiti z wydrapanych inicjałów. Meble najwyraźniej pochodziły ze śmietniska. W kącie leżały dwa równe stosy książek w miękkiej oprawie, a w kolejnym rogu - imitująca skórę aligatora, prostokątna pokrywa taniego adaptera. Speedy wskazał skinieniem głowy grzejnik.

- Jakbyś przyjechał tu w styczniu, chłopcze, zobaczyłbyś, po co mi to - powiedział. - Zimno? Jeszcze jak!

Jack patrzył jednak na zdjęcia przyklejone taśmą do ściany nad grzejnikiem i skrzynkami po pomarańczach.

Wszystkie z wyjątkiem jednego stanowiły akty, wycięte z magazynów dla mężczyzn. Kobiety z piersiami równie wielkimi jak ich głowy opierały się o niewygodne drzewa, szeroko rozstawiając spracowane, przypominające kolumny nogi. Dla Jacka ich twarze były równocześnie fascynujące i drapieżne - jak gdyby kobiety te były gotowe wygryźć mu kawałki skóry zaraz po złożeniu pocałunku. Niektóre nie były młodsze od jego matki; inne wydawały się najwyżej kilka lat starsze od niego. Jack wodził oczyma po pożądlivych ciałach - wszystkich, młodych i niemłodych, różowych, brązowych jak czekolada i złotych jak miód - zdających się wrywać ku jego dotykowi. Zorientował się, że Speedy stoi obok niego i mu się przygląda. Wreszcie spojrzenie Jacka padło na pejzaż uchwycony na zdjęciu, który wisiał pomiędzy pornograficznymi fotografiami. Przez chwilę praktycznie zapomniał o oddychaniu.

I on wydawał się sięgać ku niemu, jakby był trójwymiarowy. Rozległa równina, porośnięta intensywnie zieloną trawą ciągnęła się ku niskim, zerodowanym górom. Nad równiną i szczytami rozpościerało się głębokie, przejrzyste niebo. Jack mógł niemal wyczuć

węchem świeżość tej scenerii. Znał to miejsce. Nigdy go nie odwiedzał, nie naprawdę, ale je znał. Był to jeden z pejzaży z jego Snów Na Jawie.

- Przyciąga spojrzenie, prawda? - odezwał się Speedy.

Jack przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Odwrócona plecami do aparatu Euroazjatka wypinała tyłeczek w kształcie serca i uśmiechała się przez ramię. Tak, pomyślał Jack.

- Naprawdę ładne miejsce - powiedział Speedy. - To ja powiesiłem tę fotkę. Te wszystkie dziewczyny czekały tu na mnie, kiedy się wprowadziłem. Nie miałem serca, żeby pozdzierać je ze ściany. Przypominają mi na swój sposób dawne czasy - kiedy byłem w drodze.

Jack przeniósł spojrzenie na Speedy'ego. Starszy mężczyzna mrugnął do niego.

- Znasz to miejsce, Speedy? - spytał. - To znaczy, wiesz, gdzie jest?

- Może tak, może nie. Może być w Afryce - gdzieś w Kenii. A może to tylko moje wspomnienie. Siadaj, Jacku Wędrowniczku, w tym wygodnym fotelu.

Jack obrócił się w foteliku, tak by wciąż móc widzieć scenę ze Snów Na Jawie.

- To Afryka?

- Albo miejsce gdzieś o wiele bliżej. Może gdzieś, gdzie człowiek mógłby się dostać - za każdym razem, gdyby tego zechciał - to znaczy, gdyby naprawdę aż tak bardzo chciał je zobaczyć.

Jack nagle zdał sobie sprawę, że drży i trwa to już jakąś chwilę. Zacisnął pięści i poczuł, że drżenie przemieszcza się do jego brzucha. Nie był pewien, czy kiedykolwiek chciał naprawdę zobaczyć miejsce ze Snów Na Jawie, ale popatrzył pytająco na Speedy'ego, który ulokował się na szkolnym krześle.

- To nie jest nigdzie w Afryce, prawda?

- No, nie wiem. Może. Mam dla niego własną nazwę. Mówię na to po prostu Terytoria.

Jack podniósł wzrok na fotografię - szeroką równinę z niewielkimi zagłębieniami, niskie, brązowe góry. Terytoria. Nazwa była trafna - tak właśnie powinna nazywać się ta kraina. *Mają magię, tak jak my mamy fizykę, zgadza się?... odpowiednim ludziom nowoczesną broń... Knucie wuja Morgana. Odpowiedź ojca, wciśnięcie hamulców: Musimy zachować ostrożność, kiedy tam działamy, partnerze... Pamiętaj, jesteśmy ich dłużnikami. Mówię poważnie: ich dłużnikami.*

- Terytoria - powiedział Jack do Speedy'ego, smakując tę nazwę, a zarazem zadając pytanie.

- Powietrze jak najlepsze wino z piwnicy bogacza. Ciepłe deszcze. To właśnie to miejsce, synu.

- Byłeś tam, Speedy? - spytał Jack, gorączkowo pragnąc usłyszeć odpowiedź.

Speedy go jednak zawiódł; chłopiec był zresztą prawie pewny, że tak się stanie. Dozorca uśmiechnął się do niego - tym razem szczerze, a nie tylko z tą minimalną dawką ciepła.

- Do diabła, nigdy nie byłem za granicą tych tutaj Stanów Zjednoczonych - odparł po chwili Speedy. - Nawet w czasie wojny. Nigdy nie zawędrowałem dalej niż Teksas i Alabama.

- Skąd wiesz o... Terytoriach? - Nazwa ta dopiero zadomawiała się w umyśle Jacka.

- Taki człowiek jak ja słyszy najrozmaitsze historie. Opowieści o papugach z dwiema głowami, o ludziach, co mają własne skrzydła i na nich latają, o takich, co zamieniają się w wilki, opowieści o królowych. Chorych królowych.

*...magię, tak jak my mamy fizykę, zgadza się?*

Anioły i wilkołaki.

- Znam historie o wilkołakach - odrzekł Jack. - Są nawet w kreskówkach. To jeszcze nic nie znaczy, Speedy.

- Pewnie nie, ale słyszałem, że jak człowiek wyciągnie tam z ziemi rzodkiewkę, drugi, pół mili dalej, zdoła poczuć jej zapach - takie tam czyste i słodkie powietrze.

- Ale anioły...

- Skrzydlaci ludzie.

- I chore królowe - dokończył Jack.

Chciał, żeby zabrzmiało to jak dowcip: *Rany, aleś durne miejsce sobie wymyślił, kowboju od mioty*. Nie zdołał jednak wypowiedzieć tych słów, bo zrobiło się mu niedobrze. Przypomniawszy sobie czarne oko mewy, odbicie jej poczucia dobra i zła, gdy ptak wyszarpywał małża ze skorupy. W duszy dosłyszał też głos zaaferowanego i wiecznie zaganianego wuja Morgana, który prosił, żeby zawołał do telefonu Królową Lily.

Królowa klasy B. Królowa Lily Cavanaugh.

- No - powiedział cicho Speedy. - Wszędzie kłopoty, synu. Królowa jest chora... może umiera. Umiera, synu. A świat czy dwa światy czekają i przyglądają się, czy ktoś zdoła ją ocalić.

Jack utkwiał w nim wzrok, usta miał na pół otwarte i czuł się mniej więcej tak, jakby dozorca kopnął go w żołądek. Ocalić ją? Ocalić jego matkę? Znow zaczęła wzbierać w nim

panika - jak on mógłby ją ocalić? I czy ta obłądna gadanina znaczyła, że matka naprawdę umiera tam, w swoim pokoju?

- Czeka cię robota, Jacku Wędrowniczku - powiedział Speedy. - Robota, która cię nie minie, i to są święte słowa. Sam żałuję, że nie jest inaczej.

- Nie wiem, o czym mówisz - odrzekł Jack.

Oddech zdawał się więznąć mu w gorącym, małym zachyłku u podstawy kręgosłupa. Spojrzał w inny kąt małego, czerwonego pokoiku i dostrzegł w cieniu opartą o ścianę obtłuczoną gitarę. Obok niej leżał zwinięty w równy rulon cienki materac. Speedy spał obok swojej gitary.

- Bo ja wiem? - powiedział dozorca. - Są takie czasy - rozumiesz, o co mi chodzi - kiedy wiesz więcej, niż ci się wydaje. Diabelsko więcej.

- Ale ja nic... - zaczął Jack i urwał, bo w tym samym momencie przypomniał sobie coś jeszcze.

Ogarnęło go większe przerażenie - wcisnął się mu do głowy kolejny fragment przeszłości, przyciągając jego uwagę. Skórę natychmiast pokryła mu warstewka potu. Poczul lodowate zimno - jak gdyby oblała go rozpylona struga wody. Właśnie to wspomnienie starał się wyrzucić z myśli poprzedniego ranka, gdy stał przed windą i udawał, że pęcherz nie chce mu pęknąć.

- Nie mówiłem, że nadszedł czas, aby się trochę odświeżyć? - zapytał Speedy, pochylił się i odepchnął nieprzybitą podłogową deskę.

Jackowi ponownie stanęli przed oczyma dwaj zwyczajnie wyglądający mężczyźni, którzy starali się wepchnąć matkę do samochodu. Nad nimi na dach wozu opadały łuskowate gałązki olbrzymiego drzewa.

Speedy ostrożnie wyjął półkwartową butelkę ze szczeliny między deskami. Szkło było ciemnozielone, a ciecz wyglądała na czarną.

- To ci pomoże, synu. Wystarczy, że posmakujesz - a trafisz w nowe miejsce i będziesz mógł zacząć rozglądać się za robotą, o której ci mówiłem.

- Nie mogę zostać dłużej, Speedy - wykrztusił Jack, rozpaczliwie pragnąc jak najszybciej wrócić do Alhambry. Starszy mężczyzna najwidoczniej dostrzegł zaskoczenie na jego twarzy i wsunął butelkę pod obłuzowaną deskę. Jack wstał już z fotela. - Martwię się - powiedział.

- O mamę?

Jack pokiwał głową, cofając się w stronę otwartych drzwi.

- W takim razie lepiej idź. Jak zobaczysz, że nic jej nie jest, to się uspokoisz. Możesz tu wrócić, kiedy tylko zechcesz, Jacku Wędrowniczku.

- Dobrze - rzekł chłopiec, po czym zawahał się przed wybiegnięciem na zewnątrz. - Myślę... myślę, że przypominam sobie, kiedy się wcześniej widzieliśmy.

Nie, to mnie się coś pokręciło odpowiedział Speedy, potrząsnął głową i zamachał rękami. - Miałaś rację. Spotkaliśmy się po raz pierwszy w zeszłym tygodniu. Wracaj do mamy, to się uspokoisz.

Jack wypadł przez drzwi i pobiegł w zacierającym wymiary blasku słońca w stronę prowadzącego na ulicę szerokiego łuku wejściowego, nad którym na tle nieba widać było litery AIDACRA OKZCETSAIM EŁOSEW. W nocy po obu stronach szyldu paliły się kolorowe żarówki. Spod podeszew butów Jacka wzbijały się kłęby kurzu. Chłopiec walczył z własnymi mięśniami, zmuszając się do jeszcze szybszego biegu. W chwili gdy przebiegł przez wejście, czuł się niemal tak, jakby frunął.

Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty szósty. Jack snuł się Rodeo Drive popołudniem... w czerwcu? lipcu?... któregoś dnia podczas pory suchej, zanim jednak tamtego roku wszyscy zaczęli się obawiać, że zapali się poszycie na wzgórzach. Obecnie nie przypominał sobie nawet, dokąd szedł. Do domu przyjaciela? Nie chodziło o żadną pilną sprawę. Przypomniawszy sobie, że właśnie osiągnął etap, kiedy nie myślał już o ojcu w każdej wolnej chwili. Przez wiele miesięcy po śmierci Philipa Sawyera w wypadku na polowaniu gorycz z powodu utraty ojca dopadała Jacka z bolesną gwałtownością w najmniej odpowiednich momentach. Jack miał zaledwie siedem lat, ale czuł, że tę część dzieciństwa mu ukradziono - jego sześciolatnie wcielenie wydawało się już wówczas nieprawdopodobnie naiwne i bezmyślne - nauczył się jednak ufać w siłę matki. Bezkształtne, dzikie zagrożenia nie wydawały się już czyhać na niego w każdym ciemnym rogu, w szafkach z półotwartymi drzwiami, na spowitych cieniem ulicach i w pustych pokojach.

Wydarzenia tego pozbawionego celu letniego popołudnia w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku zburzyły jego tymczasowy spokój ducha. Przez kolejne sześć miesięcy Jack spał przy włączonym świetle, a we śnie dręczyły go koszmary.

Po drugiej stronie ulicy, kilka budynków od trzypiętrowego domu w stylu kolonialnym, należącego do Sawyerów, stał zaparkowany samochód. Wóz był zielony - nic więcej Jack nie potrafił o nim powiedzieć z wyjątkiem tego, że nie był to mercedes; nie potrafił rozpoznać po wyglądzie żadnej innej marki. Mężczyzna za kierownicą opuścił szybę i uśmiechnął się do Jacka. Chłopiec z początku pomyślał, że zna tego człowieka - mężczyzna widocznie znał Phila Sawyera i chciał przywitać się z jego synem. Wyrażał to uśmiech tego

kogoś, taki naturalny. Drugi mężczyzna pochylił się do przodu na siedzeniu obok kierowcy i popatrzył na Jacka przez okulary jak u ślepego - okrągłe i tak ciemne, że niemal czarne. Człowiek w okularach miał na sobie śnieżnobiały garnitur. Kierowca pozwolił mu uśmiechać się jeszcze przez chwilę.

- Synu, wiesz, jak możemy dojechać do hotelu Beverly Hills? - spytał wreszcie.

Jednak to nie był znajomy. Jack doznał osobliwego, ogromnego rozczarowania.

Wskazał prosto przed siebie. Hotel był nieco dalej, jednak tak blisko, że ojciec mógł chodzić na lunch do tamtejszej restauracji "Loggia" i omawiać przy okazji interesy.

- Prosto? - spytał kierowca, wciąż się uśmiechając.

Jack skinął głową.

- Sprytny z ciebie gość - powiedział mężczyzna, a jego towarzysz zachichotał. - Masz pojęcie, jak to daleko? - Jack pokręcił głową. - Pewnie parę przecznic?

- No.

Jack zaczął się niepokoić. Kierowca nadal się uśmiechał, ale uśmiech ten stał się nienaturalny, promienny, lecz pusty. Chichot pasażera z kolei był charczący i bulgoczący, jakby facet ssał coś mokrego.

- Może pięć? Sześć? Jak myślisz?

- Mniej więcej pięć czy sześć, tak mi się wydaje - odparł Jack, cofając się.

- Cóż, na pewno jestem ci winien podziękowania, mały. - Mężczyzna wyciągnął przez okno zaciśniętą dłoń, a następnie ją otworzył. Leżał na niej baton Tootsie Roli. - Jest twój. Weź.

Jack ostrożnie zrobił krok naprzód, słysząc w duchu słowa tysięcy ostrzeżeń dotyczących nieznanym ludzi i słodczy. Mężczyzna siedział nadal w samochodzie; gdyby cokolwiek spróbował, Jack zdążyłby przebiec pół przecznicy, nim kierowca otworzyłby drzwi. Odrzucenie propozycji wydawało się poza tym naruszeniem zasad uprzejmości. Jack zrobił kolejny krok. Spojrzał mężczyźnie w oczy - niebieskie oraz tak promienne i puste jak jego uśmiech. Instykt podpowiadał chłopcu, by opuścić rękę i odejść. Pozwolił jednak dłoni przysunąć się cal czy dwa w stronę batonu, po czym szturchnął go dwoma palcami.

Kierowca zacisnął rękę na dłoni Jacka, a pasażer w okularach ślepego roześmiał się w głos. Zdumiony chłopiec spojrział w oczy ściskającego jego rękę mężczyzny i zobaczył, że zaczynają zmieniać kolor - tak mu się przynajmniej wydawało - z niebieskiego na żółty.

Później stały się rzeczywiście żółte.



Człowiek z drugiego siedzenia otworzył drzwi i obiegł samochód od tyłu. W klapie jedwabnej marynarki nosił mały złoty krzyż. Jack szarpnął się gorączkowo, lecz kierowca uśmiechał się, nie rozluźniając uścisku.

- NIE! - krzyknął Jack! - POMOCY!

Mężczyzna w ciemnych okularach otworzył tylne drzwi od strony chłopca.

- POMOCY! - zawył Jack.

Człowiek za kierownicą zaczął zginać go tak, by zmieścić się w uchylonych drzwiach. Jack szarpał się, wciąż krzycząc, ale mężczyzna bez wysiłku wzmocnił uścisk. Chłopiec uderzył go po rękach, a potem spróbował się wyrwać. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że to, co czuł pod palcami, nie jest skórą. Przekręcił głowę i dojrzał, że w jego bok wczepia się wystające z czarnego rękawa coś twardego i szczypiącego, co przypominało pazur lub szpon ze stawami. Jack krzyknął raz jeszcze.

- Hej, dajcie spokój temu chłopakowi! - rozległ się donośny głos z ulicy. - Wy tam! Zostawcie chłopaka!

Jack stęknął z ulgi i szarpnął się w ramionach mężczyzny tak mocno, jak tylko potrafił. Od następnej przecznicy biegł w ich stronę wysoki i chudy Murzyn. Obejmujący Jacka mężczyzna upuścił go na chodnik i okrążył samochód od tyłu. Trzasnęły otwierane frontowe drzwi jednego z domów za plecami chłopca - pojawił się kolejny świadek.

- Ruszaj się! No, ruszaj się! - zawołał kierowca, od razu naciskając pedał gazu.

Biały Garnitur wskoczył na siedzenie obok. Koła samochodu zapiszczały, wóz wyjechał po skosie na Rodeo Drive, ledwie mijając długiego białego cleneta, prowadzonego przez opalonego mężczyznę w butach do tenisa, który wcisnął przeraźliwie głośny klakson.

Jack podniósł się z chodnika. Kręciło mu się w głowie. Obok niego pojawił się jakiś łysy mężczyzna w płowym kostiumie w stylu safari.

- Kto to był? Wiesz, jak się nazywają?

Jack pokręcił głową.

- Jak się czujesz? Powinniśmy zawiadomić policję.

- Chcę usiąść - rzekł Jack, a mężczyzna cofnął się o krok.

- Chcesz, żebym zadzwonił po policję? - zapytał, na co Jack zrobił przeczący gest.

- Nie do wiary - powiedział mężczyzna. - Mieszkasz tutaj? Widziałem cię już wcześniej, prawda?

- Jestem Jack Sawyer. Mieszkam trochę dalej.

- W tym białym domu - odparł mężczyzna, kiwając głową. - Jesteś dzieciak Lily Cavanaugh. Odprowadzę cię do domu, jeśli masz ochotę.

- Gdzie ten drugi pan? - zapytał go Jack. - Czarny, ten, który krzyczał?

Z niepokojem odstąpił na krok od mężczyzny w stroju safari. Oprócz ich dwóch na ulicy nie było nikogo.

Biegącym w jego stronę mężczyzną był Lester Speedy Parker. Speedy uratował mu wtedy życie, zdał sobie sprawę Jack, i pobiegł jeszcze szybciej w stronę hotelu.

### 3

- Zjadłeś śniadanie? - spytała go matka, wypuszczając z ust obłok papierosowego dymu.

Lily owinęła głowę chustką jak turbanem; gdy miała schowane włosy, jej twarz wydawała się Jackowi koścista i krucha. Pół cała papierosa tliło się między jej drugim i trzecim palcem. Kiedy dostrzegła spojrzenie syna, zgasiła go w popielniczce na toalecie.

- Och, nie, właściwie nie - odpowiedział, stojąc wciąż w drzwiach sypialni.

- Odpowiedz konkretnie: tak czy nie? - spytała, odwracając się w stronę lustra. - Ta dwuznaczność mnie dobija.

Ręka, którą robiła sobie makijaż, wyglądała w lustrze na cienką jak patyk.

- Nie - powiedział.

- Cóż, w takim razie poczekaj chwilę. Kiedy twoja matka zrobi się na bóstwo, zejdziemy na dół i kupimy, na co ci tylko przyjdzie ochota.

- Dobrze - odparł. - Po prostu to strasznie przygnębiające siedzieć tu samemu.

- No też, co w tym takiego przygnębiającego... - Wychyliła się do przodu i przyjrzała się swojej twarzy w lustrze. - Chyba nie masz nic przeciwko temu, żeby zaczekać w salonie, Jacky? Wolalabym zrobić to sama - to takie nasze plemienne tajemnice.

Jack bez słowa odwrócił się i przeszedł do salonu.

Kiedy zadzwonił telefon, aż podskoczył.

- Mam odebrać? - zawołał.

- Dzięki - dobiegł go spokojny głos matki.

Jack podniósł słuchawkę i powiedział "halo".

- Hej, mały, wreszcie was dopadłem - odezwał się wuj Morgan Sloat. - Na miłość boską, co też dzieje się z tą twoją matką? Jezu, moglibyśmy władować się w porządne kłopoty, gdyby ktoś tutaj nie zaczął pilnować wszystkiego. Jest tam matka? Powiedz jej, że musi ze mną porozmawiać - nie obchodzi mnie, jak zareaguje, musi ze mną pogadać. Zaufaj mi, dzieciaku.

Słuchawka zwisała bezwładnie z dłoni Jacka. Miał ochotę przerwać połączenie, wsiąść z matką do samochodu i wyjechać do jakiegoś hotelu w innym stanie. Ale się nie rozłączył.

- Mamo? - zawołał. - Dzwoni wuj Morgan. Mówi, że musisz z nim porozmawiać.

Przez chwilę milczała, a Jack żałował, że nie widzi jej twarzy.

- Odbiorę tutaj, Jacky - powiedziała wreszcie.

Jack obmyślił już, co zrobi. Matka delikatnie zamknęła drzwi sypialni; słyszał, jak wraca do toaletki. Podniosła słuchawkę telefonu w swoim pokoju.

- Już, Jacky! - zawołała przez drzwi.

- Dobrze - odrzyknął, po czym przyłożył słuchawkę do ucha, zakrywając mikrofon ręką, by nie było słychać jego oddechu.

- Wspaniały wyczyn, Lily - powiedział wuj Morgan. - Doskonały. Gdybyś nadal grała, pewnie zdołalibyśmy wycisnąć z tego trochę reklamy. "Co kryje się za zniknięciem aktorki?"

- coś takiego. Nie sądzisz jednak, że czas zacząć znowu zachowywać się jak odpowiedzialna osoba?

- Jak mnie odnalazłeś? - zapytała Lily.

- Myślisz, że było trudno? Daj spokój, Lily. Chcę, żebyś pozbiierała się i wróciła do Nowego Jorku. Czas przestać uciekać.

- To właśnie robię, Morgan?

- Nie możesz czekać do końca świata, Lily, a ja nie mam tyle czasu, żeby go marnować na ganieńnię cię po całej Nowej Anglii. Ej, chwila. Twój dzieciak nie odłożył słuchawki.

- Oczywiście, że odłożył.

Serce Jacka stanęło kilka sekund wcześniej.

- Spadaj z linii, dzieciaku - dobiegł go głos Morgana Sloata.

- Nie zachowuj się jak idiota, Sloat - ostrzegła matka.

- Powiem ci, co jest idiotyzmem, szanowna pani. To, że zaszywasz się w jakimś zdziadziałym letnisku, podczas gdy powinnaś być w szpitalu - to jest idiotyzm. Jezusie, nie dociera do ciebie, że musimy podjąć jakiś milion decyzji w sprawie interesów? Martwię się też o wykształcenie twojego syna. Mam wrażenie, że w ogóle dałaś sobie z tym spokój.

- Nie chcę już z tobą rozmawiać - powiedziała Lily.

- Może i nie chcesz, ale musisz. Pojadę do ciebie i siłą wpakuję cię do szpitala, jeśli będzie trzeba. Musimy pozalátwiać sprawy, Lily. Należy do ciebie połowa firmy, którą staram się kierować - połowa, którą dostanie Jack, kiedy cię już nie będzie. Chcę dopilnować,

żeby Jack miał właściwą opiekę. A jeśli myślisz, że właściwa opieka polega na tym, co robisz w tym przeklętym New Hampshire, to jesteś o wiele bardziej chora, niż ci się wydaje.

- Czego chcesz, Sloat? - spytała Lily znużonym głosem.

- Wiesz czego - zająć się wszystkim. Chcę tego, co mi się uczciwie należy. Zajmę się Jackiem, Lily. Dostanie ode mnie pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie - zastanów się nad tym, Lily. Dopilnuję, żeby poszedł do dobrego college'u. Nie zadbałaś nawet, żeby dalej chodził do szkoły.

- Szlachetny Sloat - rzekła matka.

- Uważasz, że to jest odpowiedź? Potrzebujesz pomocy, Lily, a tylko ja ją proponuję.

- A jakiej chcesz działki, Sloat? - spytała matka.

- Wiesz cholernie dobrze. Chcę tego, co mi się uczciwie należy, i to dostanę. Twoich udziałów w firmie Sawyer i Sloat. Urabiałem sobie dla niej ręce po łokcie i powinna być moja. Rano możemy uporać się z papierami, Lily, a później skupimy się nad tym, jak zająć się tobą.

- Tak, jak zajęto się Tommym Woodbine'em - odparła. - Czasami myślę, że tobie i Philowi powiodło się za bardzo, Morgan. Łatwiej było prowadzić Sawyer i Sloat, zanim wdałeś się w inwestowanie w nieruchomości i produkcję filmów. Pamiętasz, kiedy waszymi klientami było tylko paru zgranych komików oraz pół tuzina nieopierzonych aktorów i scenarzystów? Wołałam życie przed nastaniem ery megadolarów.

- Łatwiej było ją prowadzić? Kogo chcesz nabrać?! - krzyknął wuj Morgan. - Nie potrafisz nawet sama pokierować swoimi sprawami. - Z trudem się opanowałam. - Zapomnę, że wspomniałaś o Tommym Woodbinie. Było to poniżej nawet twojego poziomu, Lily.

- Zamierzam się rozłączyć, Sloat. Trzymaj się daleko stąd. I trzymaj się z dala od Jacka.

- Czekaj cię szpital, Lily, a przez to uciekanie...

Matka rozłączyła się w pół zdania wuja Morgana. Jack delikatnie odłożył słuchawkę, po czym zrobił parę kroków w stronę okna, nie chcąc, by można go było zobaczyć w pobliżu telefonu. Zza zamkniętych drzwi sypialni nie dobiegał żaden odgłos.

- Mamo? - spytał.

- Tak, Jacky? - Dosłyszał lekkie drżenie w jej głosie.

- Nic ci nie jest? Wszystko w porządku?

- Pewnie. - Usłyszał kroki zbliżające się do drzwi, które po chwili się uchyliły. Spojrzenia ich niebieskich oczu spotkały się, Lily otworzyła drzwi na całą szerokość. Przez

chwilę ponownie patrzyli sobie w oczy tak intensywnie, jakby chcieli się przejrzeć na wskroś.

- Oczywiście, że wszystko w porządku. Dlaczego miałyby być inaczej?

Odwrócili wzrok. Złączyła ich świadomość czegoś - ale czego? Jack zastanawiał się, czy matka wie, że słyszał ich rozmowę. Po chwili pomyślał, że teraz - po raz pierwszy - obydwójce wiedzą, iż ona jest chora.

- Cóż - powiedział, czując zażenowanie. Choroba matki, dotąd temat nie do poruszenia, nabierała przygnębiająco wielkiego znaczenia. - Nie wiem właściwie, dlaczego tak pomyślałem. Wuj Morgan wydawał się... - Wzruszył ramionami.

Lily zadrżała, a Jack uświadomił sobie kolejną bardzo istotną prawdę. Jego matka bała się - co najmniej tak samo jak on.

Wetknęła papierosa w usta i otworzyła zapalniczkę. Obrzuciła syna kolejnym przeszywającym spojrzeniem.

- Nie zwracaj uwagi na tę zarazę, Jack. Zdenerwowałam się, bo mam wrażenie, że naprawdę nigdzie nie zdołam od niego uciec. Twój wuj Morgan lubi mną pomiatać. - Wypuściła z ust szary dym. - Obawiam się, że przeszedł mi apetyt na śniadanie. Może zejdziesz sam na dół, ale tym razem rzeczywiście coś zjesz?

- Chodź ze mną - odrzekł.

- Na razie wolałabym zostać sama, Jack. Spróbuj to zrozumieć.

*Spróbuj to zrozumieć.*

*Zaufaj mi.*

Dorośli mówili takie rzeczy, mając na myśli coś zupełnie innego.

- Kiedy wrócisz, będę bardziej towarzyska - dodała. - Obiecuję.

Naprawdę mówiła: *Chce mi się wyć, nie zniosę tego więcej, idź, idź sobie!*

- Mam ci coś przynieść?

Pokręciła głową, z trudem zdobywając się na uśmiech. Musiał wyjść z pokoju, chociaż też stracił ochotę na jakiegokolwiek śniadanie. Ruszył korytarzem w stronę wind. Znowu zostało mu tylko jedno miejsce, gdzie mógł się udać, ale tym razem zdał sobie z tego sprawę, zanim dotarł do posępnego lobby z recepcjonistą o popielatej skórze i krytycznym spojrzeniu.

#### 4

Speedy'ego Parkera nie było w małej, pomalowanej na czerwono szopie, którą mianował swoim gabinetem: nie było go w salonie gier na długim molu, gdzie dwóch starszków uwijało się przy skee-ballu, jak gdyby toczyli wojnę, którą obydwaj mieli

przegrać, co z góry wiedzieli; nie było go na zapyłonym terenie pod kolejką. Jack Sawyer snuł się bez celu w ostrym blasku słońca, rozglądając się po pustych alejkach i wyludnionych placówkach wesołego miasteczka. Jego lęk się wzmógł. A jeśli coś złego spotkało Speedy'ego? Co prawda było to niemożliwe, lecz jeśli wuj Morgan dowiedział się o Speedym (ale właściwie czego?) i... oczyma duszy Jack ujrzał furgonetkę z napisem DZIKIE DZIECKO, wytaczającą się zza rogu ze zgrzytającą podczas przyspieszania skrzynią biegów.

Zmusił się do ruchu, choć właściwie nie wiedział, dokąd ma pójść. Ogarnęła go panika, wyobraził sobie wuja Morgana biegnącego wzdłuż rzędu zniekształcających luster, w których zamieniał się w ciąg monstrualnych, zdeformowanych postaci. Z jego łysego czoła wyrastały rogi, między mięsistymi łopatkami wykwitał garb, szerokie palce stawały się wielkie jak łopaty. Jack skręcił ostro w prawo i znalazł się koło prawie okrągłego, obitego białymi deszczułkami budynku o osobliwym kształcie.

Nagle ze środka dobiegło go rytmiczne postukiwanie. Chłopiec pobiegł w stronę źródła dźwięku - odgłosu pracy, może uderzającego w rurę klucza, może trafiającego w kowadło młotka. Wypatrzył gałkę sterczącą pomiędzy deszczułkami i otworzył zbite z nich kruche drzwiczki.

Zanurzył się w pasiastym półmroku, a dźwięk stał się głośniejszy. Rozpostarła się wokół niego ciemność, zmieniająca swą postać i rozmiary. Jack wyciągnął ręce i namacał płótno. Zsunęło się w bok; natychmiast otoczyło go żółte, sztuczne światło.

- Jack Wędrowniczek - rozległ się głos Speedy'ego.

Jack obrócił się w jego stronę i zobaczył, że dozorca siedzi na ziemi obok częściowo zdemontowanej karuzeli. Speedy trzymał klucz w ręku, przed sobą miał białego konia z grzywą jak piana, osadzonego na długim srebrnym kołku, wyglądającym jak przeszywający go od brzucha po łęk pal. Dozorca delikatnie odłożył klucz na ziemię.

- Jesteś już gotów porozmawiać ze mną, synu? - zapytał.

## Rozdział czwarty - Jack przechodzi na drugą stronę

### 1

- Tak, jestem gotów - powiedział Jack całkowicie spokojnym głosem, po czym wybuchnął płaczem.

- No, no, Jacku Wędrowniczku - odezwał się Speedy, upuszczając klucz i podchodząc do niego. - No, już, synku, nie łam się. Nie łam się...

Jack nie potrafił się jednak nie załamywać. Poczł nagle, że tego wszystkiego jest za dużo, o wiele za dużo. Pozostawało mu rozplakać się albo utonąć pod wielką falą ciemności - falą, której nie mógł przeniknąć najjaskrawszy złoty promień. Łzy raniły, ale wyczuwał, że gdyby się nie rozplakał, groza by go zabiła.

- No, wypłacz się, Jacku Wędrowniczku - rzekł Speedy i otoczył go ramionami. Jack wtulił rozpaloną, obrzmiałą twarz w ciemną koszulę dozorca i poczuł roztaczany przez niego zapach - po trosze przywodzący na myśl old spice, po trosze cynamon, po trosze książki, których od dawna nikt nie wypożyczał z biblioteki. Dobre, niosące pociechę zapachy. Objął niezdarnie Speedy'ego; wyczuł pod dłońmi kości na plecach dozorca, znajdowały się tuż pod skórą i cienką warstwą mięśni.

- Wypłacz się, jeśli ma ci to pomóc - powiedział Speedy, kołysząc go. - Czasami tak jest, sam wiem. Speedy wie, jak daleko byłeś, Jacku Wędrowniczku, jak daleko masz jeszcze wyruszyć i jak bardzo jesteś zmęczony. Więc płacz, jeśli to ci ma pomóc.

Jack ledwie rozumiał te słowa; docierało do niego jedynie ich brzmienie, kojące i niosące pociechę.

- Moja matka jest naprawdę chora - powiedział wreszcie wprost w pierś Speedy'ego. - Myślę, że przyjechała tutaj, żeby uciec od dawnego partnera ojca, pana Morgana Sloata.

Siąknął potężnie, puścił Speedy'ego i otarł podpuchnięte oczy grzbietami dłoni. Był zdumiony, że nie czuje zażenowania - wcześniej zawsze wstydził się łez i czuł w takich sytuacjach niesmak do siebie... niemal tak, jakby posikał się w spodnie. Czy działo się tak dlatego, że jego matka zawsze była bardzo twarda? Domyślał się, że po części właśnie dlatego, zgoda - łzy nie na wiele się zdały Lily Cavanaugh.

- Ale to nie jedyny powód, dla którego tutaj przyjechała, prawda?

- Nie - odparł cicho Jack. - Myślę... że przyjechała tu umrzeć.

Głos uniósł się mu ohydnie przy ostatnim słowie; wypadło piskliwie, jakby wydał je nienaoliwiony zawias.

- Może - powiedział Speedy, nie spuszczać wzroku z chłopca. - A może przyjechałeś z nią tutaj, żeby ją ocalić. Ją... i kobietę taką jak ona.

- Kogo? - Jack czuł, że zdrętwiały mu wargi.

Wiedział kogo. Nie znał jej nazwiska, ale wiedział kogo.

- Królową - odrzekł Speedy. - Nazywa się Laura DeLoessian i jest Królową Terytoriów.

## 2

- Pomóż mi - stęknął Speedy. - Złap starą Srebrną Damę tuż pod ogonem. Spoufalisz się z nią, ale pewnie nie będzie jej to przeszkadzać, jeśli pomożesz mi ją wsadzić na właściwe miejsce.

- Tak ją nazywasz? Srebrna Dama?

- Się wie - odparł Speedy z uśmiechem, w którym ukazywał mniej więcej tuzin górnych i dolnych zębów. - Wszystkie konie na karuzeli mają imiona, nie wiedziałeś o tym? Chwytaj ją, Jacku Wędrowniczku.

Jack wsunął ręce pod drewniany ogon białego konia i splótł palce. Speedy ze sieknięciem objął wielkimi, brązowymi dłońmi przednie nogi Damy. Razem przenieśli drewnianą figurę na przechylony pomost karuzeli. Kołek sterczał z brzucha konia w stronę ziemi; jego koniec połyskiwał złowieszczo warstwą oleju.

- Trochę w lewo... - stęknął Speedy. - Dobra... teraz ją nasadź, Jacku Wędrowniczku. Nasadź ją, jak należy!

Osadzili konia na kołku i odsunęli się - Jack zadyszany, Speedy uśmiechnięty i chrapliwie chwyający powietrze. Czarny mężczyzna otarł ramieniem pot z czoła i nie przestając się uśmiechać, przeniósł wzrok na chłopca.

- No, spisaliśmy się na schwał, prawda?

- Skoro tak twierdzisz - odparł nieco weselszy Jack.

- Tak właśnie twierdzą. O, tak!

Speedy sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął ciemnozieloną, półkwartową butelkę. Odkręcił korek i napił się - a Jack przez chwilę poczuł niesamowitą pewność, że potrafi patrzeć przez Speedy'ego na wylot. Dozorca stał się przezroczyty, równie upiorny jak jedna ze zjaw z serialu "Topper", emitowanego przez którąś z niezależnych stacji w Los Angeles. Speedy niknął. Znika, pomyślał Jack, czy przenosi się gdzieś indziej? Kolejna wariacka myśl; nie miała absolutnie żadnego sensu.



Po chwili Speedy był znowu równie rzeczywisty jak zwykle. Pewnie Jacka zwiódł wzrok, doznał chwilowej...

*Nie, to nie to! Przez sekundę prawie go tu nie było!*

...halucynacji.

Speedy przyglądał się mu badawczo. Zaczął wyciągać w jego stronę dłoń z butelką, lecz natychmiast pokręcił lekko głową. Zakorkował ją, a następnie wsunął z powrotem do tylnej kieszeni. Odwrócił się, popatrzył uważnie na Srebrną Damę usadowioną z powrotem na swoim miejscu; trzeba było jeszcze tylko przykręcić mocujące ją śruby. Dozorca przez cały czas się uśmiechał.

- Spisaliśmy się tak, że lepiej już nie można, Jacku Wędrowniczku.

- Speedy...

- Wszystkie z nich mają imiona - powiedział Speedy i ruszył powoli dookoła przechylonej platformy karuzeli. Jego kroki odbijały się echem w wysokim wnętrzu. Spomiędzy pogrążonej w cieniu krzyżowej więzby pod dachem dobiegało ciche popiskiwanie jaskółek. Jack ruszył za Speedym. - Srebrna Dama... Północ... ten tutaj to Harcerzyk... a ta klacz to Ella Speed. - Czarnoskóry mężczyzna odrzucił w tył głowę i zaśpiewał tak, że wystraszone jaskółki zerwały się do lotu: "Ella Speed zachciała sobie dogodzić... posłuchajcie, jak Bili Martin zaczął do niej przychodzić...". Hej! Popatrz, jak latają! - Roześmiał się... ale kiedy odwrócił się w stronę Jacka, zdążył na powrót spoważnieć. - Masz ochotę spróbować uratować życie swojej matce, Jack? Jej i tej drugiej kobiecie, o której ci mówiłem?

- Ja...

*...nie wiem jak, chciał odpowiedzieć chłopiec, ale wewnętrzny głos wydobywający się z tej samej poprzednio zamkniętej komnaty, skąd pochodziło wspomnienie dwóch mężczyzn i usiłowania porwania, które odżyło tego ranka - odezwał się z mocą: *Wiesz, jak! Pewnie potrzebujesz Speedy'ego, żeby pomógł ci zacząć, ale wiesz, jak tego dokonać, Jack.**

Znał bardzo dobrze ten głos. Należał do jego ojca.

- Tak, jeśli powiesz mi, w jaki sposób - dokończył łamiącym się głosem.

Speedy przeszedł w przeciwny koniec wielkiej, kolistej hali o ścianach z wąskich deszczulek, na których wymalowano prymitywne, ale emanujące dziką energią malowidła, które przedstawiały rozpedzone konie. Jackowi ściany te przypominały wyciągany blat biurka jego ojca (stało w gabinecie Morgana Sloata, kiedy był tam ostatni raz z matką, przypomniawszy sobie nagle - i ta myśl wzbudziła w nim trzeźwiący, jęczący gniew).

Speedy wyciągnął gigantyczny pęk kluczy, wyszukał uważnie ten, o który mu chodziło, po czym otworzył kłódkę. Zdjął ją z ucha, zatrzasnął z powrotem i wrzucił sobie do kieszeni na piersi. Następnie pchnął drzwi po prowadnicy. Do środka wpadł olśniewający blask słońca, zmuszając Jacka do zmrużenia oczu. Rzucane przez zmarszczki na wodzie refleksy zatańczyły po suficie. Przed Jackiem i Speedym roztoczył się majestatyczny morski pejzaż, który jeżdżący na karuzeli w wesołym miasteczku Arcadia widzieli za każdym razem, gdy Srebrna Dama, Północ i Harcerzyk podwozili ich na wschodnią stronę hali. Lekka morska bryza odgarnęła chłopcu włosy z czoła.

- Najlepiej pogadać o tym na słońcu - powiedział Speedy. - Chodź tutaj, Jacku Wędrowniczku, a powiem ci tyle, ile mogę... chociaż nie jest to tyle, ile wiem. Niech cię zresztą ręka boska broni, żebyś miał się dowiedzieć wszystkiego.

### 3

Speedy mówił cicho - kojącym, łagodnym tonem, kojarzącym się Jackowi z dobrze wyprawioną skórą. Chłopiec wsłuchiwał się w jego słowa, czasami marszcząc brwi, kiedy indziej otwierając usta.

- Pamiętasz to, co nazwałeś Snami Na Jawie? Jack pokiwał głową.

- To nie sny, Jacku Wędrowniczku. Ani mrzonki, ani koszmary. Ta kraina istnieje naprawdę. A przynajmniej jest wystarczająco prawdziwa. Bardzo się różni od naszego świata, ale jest prawdziwa.

- Speedy, moja mama mówi...

- Nie zwracaj sobie tym teraz głowy. Twoja matka nie wie o Terytoriach... lecz na swój sposób mimo wszystko wie o nich - bo wiedział o nich twój ojciec. A ten drugi człowiek...

- Morgan Sloat?

- No, pewnie on - on też o nich wie. - Po czym Speedy dodał enigmatycznie: - Wiem też, kim tam jest. Może nie? Pewnie!

- Fotografia w twoim gabinecie... to nie Afryka?

- Nie Afryka.

- Nie trik?

- Nie trik.

- I mój ojciec tam wędrował? - spytał Jack.

W duszy znał już odpowiedź - wyjaśniała zbyt wiele rzeczy, by nie była prawdziwa. Czy była jednak prawdziwa, czy nie, Jack nie był pewny, jak bardzo chciał w nią uwierzyć. Magiczne krainy? Chore królowe? Budziło to w nim niepokój. Czyż jego matka nie powtarzała mu wiecznie, kiedy był mały, że nie powinien mylić Snów Na Jawie z tym, co jest naprawdę rzeczywiste? Mówiła tak bardzo surowo, aż budziło to w jej synu lekki strach. Być może sama się tego bała, pomyślał teraz Jack. Czy mogła żyć tak długo z ojcem i niczego się nie dowiedzieć? Może wiedziała niewiele... ale i tak ją to przerażało, pomyślał.

*Szajba.* Takiego określenia używała. Ludziom niepotrafiącym odróżniać rzeczywistości od fikcji odbijała szajba.

Prawda jego ojca była jednak odmienna, czyż nie? Tak. Jego i Morgana Sloata.

*Mają magię, tak jak my mamy fizykę, zgadza się?*

- Tak, twój ojciec często się tam wyprawiał. A ten drugi człowiek, Groat...

- Sloat.

- Się wie! Właśnie on - on też tam wędrował. Tyle tylko, Jacky, że twój ojciec wyruszał tam, żeby się uczyć. Tamten drugi gość zapuszczał się tam, żeby ukraść fortunę.

- Czy Morgan Sloat zabił wujka Tommy'ego? - zapytał Jack.

- Nic o tym nie wiem. Posłuchaj mnie, Jacku Wędrowniczku, bo zostało mało czasu. Jeżeli naprawdę myślisz, że ten cały Sloat się tutaj pokaże...

- Wyglądał na bardzo rozwścieczonego - powiedział Jack; sama myśl o tym, że wuj Morgan mógłby zjawić się w Arcadia Beach, budziła w nim zdenerwowanie.

-...to zostało jeszcze mniej czasu niż dawniej. Pewnie by się za bardzo nie przejął, gdyby twoja matka umarła. Bo jego Dwójnik bez dwóch zdań liczy na to, że Królowa Laura umrze.

- Dwójnik?

- Są tacy ludzie na tym świecie, co mają Dwójników w Terytoriach - powiedział Speedy. - Niewielu, bo tam jest o wiele mniej ludzi - może jeden na każde sto tysięcy tutaj. Dwójnicy potrafią jednak najłatwiej przenosić się tam i z powrotem.

- Ta Królowa... to moja matka... jej Dwójnik?

- No - na to wygląda.

- Ale moja matka nigdy nie...

- Nie, nigdy. Nie miała powodu.

- Mój ojciec miał... Dwójnika?

- W istocie. Wspaniałego człowieka.

Jack zwilżył wargi - nie ma co, uczestniczył w naprawdę zwariowanej rozmowie.  
Dwójnicy i Terytoria!

- Czy kiedy mój ojciec tutaj zginął, zmarł też jego Dwójnik?

- No. Niezupełnie w tej samej chwili, ale mniej więcej.

- Speedy?

- Co?

- Czyja mam Dwójnika? W Terytoriach?

Speedy popatrzył na niego tak poważnie, że Jackowi przeszedł po jego plecach lodowaty dreszcz.

- Ty nie, synu. Jesteś tylko jeden, wyjątkowy. A ten gość, Smoot...

- Sloat - poprawił go Jack z bladym uśmiechem.

-...tak, jak mu tam - wie o tym. To jeden z powodów, że wkrótce tu będzie. I jeden z powodów, że ty musisz ruszać w drogę.

- Dlaczego? - wybuchnął Jack. - Co ja poradzę, jeśli ma raka? Jeżeli to rak, a matka jest tutaj zamiast w jakiejś klinice, to dlatego, że nie ma na to żadnej rady; jeśli tu przyjechała, to znaczy, posłuchaj... - Znow zagroziło mu, że się rozplacze; gorączkowo przełknął łyżę. - To znaczy, że rak pożera ją całą.

*Pożera ją całą.* Tak. Była to kolejna prawda, z której zdał sobie sprawę - ona właśnie kryła się za narastającą utratą wagi, za brązowymi cieniami pod oczyma. Pożera ją całą, ale - Boże, proszę cię, Boże, rany, przecież to moja matka...

- Chodzi mi o to - dokończył zdławionym głosem - że w czym mi mogą pomóc Sny Na Jawie?

- Myślę, że na razie wystarczy tej gadaniny - odparł Speedy. - Uwierz mi tylko w jedno, Jacku Wędrowniczku: nigdy bym ci nie powiedział, że powinieneś się tam wybrać, gdybyś w ogóle nie mógł jej pomóc.

- Ale...

- Opanuj się, Jacku Wędrowniczku. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć, dopóki nie zobaczysz, o co mi chodzi. Na nic by się to nie zdało. Chodźmy.

Speedy objął chłopca ramieniem i poprowadził dookoła platformy karuzeli. Wyszli razem na zewnątrz i zapuścili się w jedną z opustoszałych alejek wesołego miasteczka. Po lewej stronie mieli zabita deskami halę do jazdy samochodzikami - Demon Dodgem Cars. Po prawej ciągnął się rząd budek: salon rzutów do celu Pitch Til U Win, kiosk z jedzeniem Famous Pier Pizza & Dough Boys, strzelnica Rimfire Shooting Gallery. Wszystkie budki też

były zabite na głucho (po deskach hasały spłowiełe dzikie zwierzęta: lwy, tygrysy i niedźwiedzie - o, rany).

Jack i Speedy dotarli do szerokiej głównej uliczki, nazwanej Boardwalk Avenue w nieoczywistym dla wszystkich naśladownictwie Atlantic City. W wesołym miasteczku Arcadia znajdowało się molo, ale brakowało tu autentycznego chodnika z desek. Salon gier rozłożył się sto jardów w lewo, a łuk przy wejściu do miasteczka - około dwustu jardów po prawej. Do Jacka dobiegał równy, chrzęszczący grzmot łamiących się fal i samotne zawodzenie mew.

Obejrzał się na Speedy'ego, chcąc zapytać go, co teraz, co dalej, czyjego przyjaciół mówił poważnie, czy był to tylko okrutny żart... nie odezwał się jednak ani słowem. Speedy trzymał w dłoni butelkę z zielonego szkła.

- To... - zaczął mówić Jack.

-...cię tam zabierze - dokończył Speedy. - Mnóstwo ludzi, którzy się tam wyprawiają, nie potrzebują nic takiego, ale ty jakiś czas tam nie byłeś - prawda, Jacky?

- Prawda.

Kiedy ostatni raz zamknął oczy i otworzył je w magicznym świecie Snów Na Jawie - świecie pełnym bogatych, życiodajnych woni, o głębokim, przejrzystym niebie? W zeszłym roku? Nie. Dawniej... w Kalifornii... po śmierci ojca. Miał wtedy chyba...

Oczy Jacka się rozszerzyły. Dziewięć lat? Tak dawno? Trzy lata?

Przerażająca była myśl, jak cicho i ukradkowo te sny, czasami słodkie, czasami mroczne i niepokojące, opuściły go - jakby spora część jego wyobraźni bezboleśnie i potajemnie obumarła.

Szybko wziął butelkę od Speedy'ego i o mało co jej nie upuścił. Poczł przyplwy paniki. Niektóre Sny Na Jawie faktycznie były niepokojące, a starannie formułowane napomnienia matki, by nie mylić rzeczywistości i fantazji (*innymi słowami nie zwariuj, Jack, dobrze?*), budziły w nim trwogę, ale teraz doszedł do wniosku, że mimo wszystko nie chciał stracić tamtego świata.

Popatrzył w oczy Speedy'emu i pomyślał: On też to wie. Wie wszystko to, co ja. Kim jesteś, Speedy?

- Jeśli człowiek tam jakiś czas nie był, to zapomina, jak tam trafić o własnych siłach - powiedział Speedy i wskazał butelkę skinieniem głowy. - Dlatego właśnie skombinowałem trochę magicznego napitku. To wyjątkowy napitek. - Ostatnie słowa Speedy wyrzekł tonem niemal nabożnego szacunku.

- Pochodzi stamtąd? Z Terytoriów?

- Nie. Tutaj też mają trochę magii, Jacku Wędrowniczku. Niewiele, ale zawsze coś. Ten magiczny napitek jest z Kalifornii. - Jack popatrzył na niego z powątpiewaniem. - No, śmiało. Łyknij trochę, a zobaczysz, czy nie wyruszysz w drogę. - Speedy się uśmiechnął. - Jak dość się napijesz, możesz trafić w zasadzie wszędzie, dokąd zechcesz. Masz przed sobą człowieka, który to wie.

- Jezu, Speedy, ale...

Jack zaczął się bać. W ustach mu zaschło, słońce wydawało się zbyt jaskrawe, czuł, jak puls łomocze mu w skroniach. Poczul też miedziany posmak pod językiem i pomyślał: Tak właśnie będzie smakował "magiczny napitek" Speedy'ego - obrzydliwie.

- Jeżeli się przestraszysz i zachcesz wracać, to wypij jeszcze jeden łyk - powiedział Speedy.

- Butelka przeniesie się ze mną? Obiecujesz?

Myśl, że mógłby ugrzęznąć gdzieś tam, w mistycznym innym świecie, podczas gdy jego chorą matkę dręczył Morgan Sloat, była wprost straszna.

- Obiecuję.

- No dobrze.

Jack uniósł butelkę do ust... po czym ją nieco odsunął. Płyn miał ohydny woń - ostrą i skwaśniałą.

- Nie chcę, Speedy - szepnął chłopiec.

Lester Parker popatrzył na niego z uśmiechem na ustach - nie było go jednak w oczach Murzyna. Patrzyły na Jacka nieugięcie i z surowością. Budziły lęk. Jack przypomniał sobie czarne oczy - lej w piasku, ślepka mewy. Ogarnęła go groza. Wyciągnął butelkę w stronę Speedy'ego.

- Możesz wziąć ją z powrotem? - spytał pozbawionym siły szeptem. - Proszę.

Speedy się nie odezwał. Nie przypomniał Jackowi, że jego matka umiera, że zbliżał się Morgan Sloat. Nie nazwał Jacka tchórzem, chociaż chłopiec jeszcze nigdy w życiu nie czuł się nim tak bardzo - nawet wtedy, gdy cofnął się z trampoliny na letnim obozie w Accomac i wygwizdały go inne dzieciaki. Speedy jedynie odwrócił się, popatrzył na jakąś chmurę i zaświstał.

Do grozy dołączyło poczucie osamotnienia, wobec którego Jack czuł się całkowicie bezradny. Speedy odwrócił się od niego. Speedy pokazał mu plecy.

- Dobrze - powiedział nagle Jack. - No dobrze, jeśli właśnie tego ode mnie wymagasz.

Uniósł znów butelkę i zanim zdołał się po raz kolejny rozmyślić, upił łyk.

Smak był gorszy, niż sobie wyobrażał. Pił już wino, zdołał się nawet w pewnym stopniu w nim rozsmakować (lubił zwłaszcza wytrawne białe wina, jakie matka podawała do soli, lucjana czy miecznika). Płyn trochę przypominał wino... lecz jednocześnie stanowił obrzydliwą parodię wszystkich win, jakie Jack próbował do tej pory. Słodki, zgniły smak uderzał do głowy - nie jak w przypadku świeżych winogron, lecz martwych, które źle się przechowały.

Równocześnie z przepelniającym usta słodko-purpurowym smakiem Jack ujrzał te winogrona - matowe, zakurzone, spęczniałe i obrzydliwe, pnące się po brudnym stiukowym murze; w tej scenie panowała cisza, zakłócana jedynie idiotycznym brzęczeniem mnóstwa much.

Gdy przełknął, struzka rozrzedzonego ognia wyłobila ścieżkę w jego gardle.

Zamknął oczy i skrzywił się, czuł ogarniające go mdłości. Ale nie wymiotował, chociaż był pewny, że niewątpliwie by go to spotkało, gdyby zjadł śniadanie.

- Speedy...

Otworzył oczy i dalsze słowa zamarły mu w gardle. Zapomniał o chęci zwrócenia tej obrzydliwej parodii wina. Zapomniał o matce, wuju Morganie, ojcu i prawie wszystkim innym.

Speedy zniknął. Znikły wdzięczne łuki kolejki na tle nieba. Znikła Boardwalk Avenue.

Jack znalazł się gdzieś indziej. Wokół niego były...

- Terytoria - wyszeptał.

Przez całe ciało przebiegł mu dreszcz grozy i podniecenia. Czuł, jak włosy na karku stają mu dęba. Domyślił się, że kąciki ust wykrzywają się mu w idiotycznym uśmiechu.

- Speedy, jestem tutaj! Mój Boże, jestem w Terytoriach! Jestem...

Tu było cudownie. Jack przycisnął dłoń do ust i obrócił o trzysta sześćdziesiąt stopni, rozglądając po świecie, do którego trafił dzięki "magicznemu napitkowi" Speedy'ego.

#### 4

Ocean też tu był, lecz miał ciemniejszy, bogatszy odcień - najbardziej autentyczną barwę indygo, jaką Jack widział. Przez chwilę stał oszołomiony, czując we włosach morską bryzę i wpatrując się w linię horyzontu, gdzie ciemnoniebieski ocean stykał się z niebem koloru spłowiałego drelichu.

Horyzont lekko się zakrzywił.

Jack potrząsnął głową, zmarszczył czoło i odwrócił się w drugą stronę. Wysoka, zdziczała i splątana trawa morska rozpościerała się od cypla, na którym zaledwie przed minutą stała okrągła hala z karuzelą. Molo z salonem gier również znikło; w tym miejscu w ocean zagłębiało się bezładne zwałisko granitowych głazów. Fale uderzały w najniższe z nich oraz wpadały w odwieczne szczeliny i tunele z głuchym łoskotem. Gęsta jak ubita śmietana piana wzbijała się w powietrze i zdmuchiwał ją wiatr.

Jack nagle mocno uszczypnął się w policzek. Oczy zaszczyły mu łzami, ale nic się nie zmieniło.

- To prawda - szepnął, a kolejna fala wpadła z łoskotem na przylądek, zamieniając się w pianę.

Jack nagle zorientował się, że Boardwalk Avenue nadal tu była... w pewnym sensie. Od wierzchołka przylądka - od miejsca, gdzie Boardwalk Avenue kończyła się u wejścia do salonu gier w tym, co umysł chłopca upierał się nazywać "prawdziwym światem" - biegła droga z pozostawionymi przez wozy koleinami. Trakt mijał miejsce, gdzie stał Jack, i wiódł dalej na północ - tak samo jak Boardwalk Avenue, przechodząca w Arcadia Avenue po minięciu łuku wejściowego wesołego miasteczka. Środek drogi pokrywała trawa morska, była jednak matowa i pogięta, dzięki czemu Jack domyślił się, że trakt jest nadal używany, przynajmniej od czasu do czasu.

Ruszył na północ, wciąż trzymając w prawej dłoni zieloną butelkę. Przyszło mu do głowy, że gdzieś w tym drugim świecie Speedy wciąż trzyma korek, którym ją zatykał.

*Czy zniknąłem na jego oczach? Pewnie tak. Jezu!*

Okolo czterdziestu kroków dalej natknął się przy drodze na kępę jeżyn. Pomiędzy cierniami rosły grona największych, najciemniejszych i najbujniejszych jeżyn, jakie kiedykolwiek widział. Jackowi zaburczało głośno w żołądku - najwidoczniej uporał się z podłym smakiem "magicznego napitku".

*Jeżyny? We wrześniu?*

Nieważne. Po wszystkim, co go dzisiaj spotkało (a nie minęła jeszcze dziesiąta), czepianie się jeżyn owocujących we wrześniu przypominało trochę odmawianie wzięcia aspiryny po tym, jak się połknęło kłamkę.

Jack pochylił się, nazbierał garść jeżyn i wrzucił je sobie w usta. Były zdumiewająco słodkie i dobre. Uśmiechając się (jego wargi nabrały wyraźnie niebieskawego odcienia) i uważając za zupełnie możliwe, że postradał zmysły, chłopiec nazbierał kolejną garść jeżyn... a po niej trzecią. Nigdy nie jadł nic równie doskonałego - chociaż nie chodziło tylko o jeżyny, pomyślał później; w części przyczyniało się do tego niewiarygodnie czyste powietrze.



Zbierając czwartą porcję, zadrapał się w paru miejscach - jak gdyby krzaki chciały mu powiedzieć, żeby dał sobie już spokój, że wystarczy tego dobrego. Possał najgłębsze z zadrapań na kciuku, po czym ruszył dalej na północ wzdłuż bliźniaczych kolein. Szedł powoli, starając się rozglądać naraz we wszystkie strony.

Przystanął kawałek za gąszczem jeżyn i podniósł wzrok na słońce, które wydawało się jakby mniejsze, a mimo to bardziej ogniste. Czyżby miało bladopomarańczowy odcień, jak na średniowiecznych malowidłach? Jack pomyślał, że tak jest w istocie. Poza tym...

Nagle z prawej strony rozległ się krzyk, tak nieprzyjemny jak odgłos wyciąganego powoli z deski starego, zardzewiałego gwoźdźca, rozproszył myśli chłopca. Odwrócił się w jego kierunku, prostując się i otwierając szerzej oczy.

Była to mewa - o oszołamiających, niemal niewiarygodnych rozmiarach (ale rzeczywista, solidna jak głaz, realna jak dom). W istocie ptak był wielkości orła. Przekrzywił w bok gładki, biały łeb przypominający pocisk. Mewa otworzyła i zamknęła haczykowaty dziób. Załopotąła wielkimi skrzydłami, wywołując fale wśród trawy morskiej, w której stała.

A potem bez widocznego strachu zaczęła skakać w stronę Jacka.

Jack dosłyszał słaby, ale wyraźny dźwięk prostej fanfary, wygrywanej na mnóstwie spizowych instrumentów. Nie wiedzieć czemu przyszła mu do głowy matka.

Obejrzał się na chwilę na północ - w kierunku, w którym ruszył. Fanfara ciągnęła go w tę stronę, w pewien sposób go ponaglała. Przypominało to, pomyślał (kiedy miał czas pomyśleć), głód czegoś konkretnego, czego się od dawna nie miało w ustach: lodów, chipsów ziemniaczanych czy taco. Nie ma się o tym pojęcia, dopóki nie zobaczy się tego czegoś - a zanim to nastąpi, jest tylko nienazwana potrzeba, budząca niepokój i nerwowość.

Dojrzał na tle nieba proporce i szczyt czegoś, co pewnie było wielkim namiotem - pawilonem.

Tam właśnie jest Alhambra, pomyślał, a w tej samej chwili mewa go okrzyknęła. Odwrócił się w jej stronę i z lękiem stwierdził, że ptak znalazł się niecałe sześć stóp od niego. Mewa znów otworzyła dziób, ukazując brudnoróżowe śluzówki. Przypomniawszy sobie ptaka, którego widział poprzedniego dnia; tamta mewa upuściła małża na skałę, a potem zmierzyła go dokładnie takim samym strasznym spojrzeniem. Mewa uśmiechała się do niego - był tego pewny. Gdy podskoczyła bliżej, Jack wyczuł roztaczaną przez nią dyskretną, a zarazem natarczywą woń martwych ryb i zgniłych wodorostów.

Mewa zasyczała i ponownie załopotąła skrzydłami.

- Wynocha! - powiedział głośno Jack. Serce pompowało mu spieszenie krew, zaschło mu w ustach, ale nie zamierzał dać się przestraszyć byle mewie, nawet wielkiej. - Won!

Mewa znowu otworzyła dziób... a następnie z szeroko rozchylonym gardłem wyartykułowała - lub przynajmniej tak się wydawało - koszmarny ciąg zgłosek:

- *Aaatkaa uiieeraaaa, aaack... aaatkaa uiieeeeeeeeraaa...*

*Matka umiera, Jack.*

Mewa zrobiła kolejny niezgrabny podskok w jego stronę. Łuskowate łapy wczepiały się w zwoje trawy, dziób otwierał się i zamykał, czarne oczka wciąż były utkwione w chłopcu. Ledwie zdając sobie sprawę z tego, co robi, Jack uniósł zieloną butelkę i wypił łyk.

Obrzydliwy smak znów zmusił go do zaniknięcia oczu - a gdy je otworzył, popatrzył tępo na żółty znak, przedstawiający dwie sylwetki biegnących maluchów, chłopca i dziewczynki. UWAGA, DZIECI, głosił podpis. Mewa - ta z kolei całkowicie normalnych rozmiarów - wzbila się ze znaku z piskiem, bez wątpienia wystraszona nagłym pojawieniem się Jacka.

Chłopiec rozejrzał się; był tak zdezorientowany, że aż ogłuszony. Pełen jeżyn i ropiejącego "magicznego napitku" Speedy'ego żołądek wywinął mu kozła i zaburczał. Mięśnie nóg Jacka ogarnęło nieprzyjemne drżenie. W jednej chwili osunął się na krawężnik przy słupku znaku i wylądował na siedzeniu tak ciężko, że wskutek przeniesionego przez kręgosłup impetu szczęknięły mu zęby.

Nagle pochylił się między rozpostartymi nogami i otworzył szeroko usta; był pewien, że wszystko zwróci. Zamiast tego czknał dwa razy, niemal się dławiąc, a potem poczuł, że żołądek mu się rozluźnia.

To dzięki jeżynom, pomyślał. Gdyby nie jeżyny, na pewno bym rzygnął.

Podniósł wzrok i znowu przeniknęło go uczucie nierealności. W świetle Terytoriów uszedł traktem dla wozów najwyżej sześćdziesiąt kroków. Był tego pewny. Załóżmy, że jego krok miał dwie stopy - nie, powiedzmy dla pewności, że dwie i pół. Znaczyło to, że przeszedł raptem sto pięćdziesiąt stóp. Jednak...

Obejrzał się za siebie na łuk z wielkimi czerwonymi literami: WESOŁE MIASTECZKO ARCADIA. Chociaż miał idealnie ostry wzrok, napis był tak daleko, że ledwie mógł go odczytać. Po prawej stronie Jacka znajdował się rozłożysty, wieloskrzydłowy budynek Alhambra Inn, przed nim - dekoracyjne ogrody, a dalej ocean.

W Terytoriach Jack uszedł sto pięćdziesiąt stóp.

W tym świecie przemierzył w jakiś sposób pół mili.

- Jezu Chryste - wyszeptał Jack Sawyer i zakrył oczy rękami.

- Jack! Jack, chłopcze! Jacku Wędrowniczku!

Głos Speedy'ego przebił się przez przypominające odgłos pralki wycie starego sześciocyndrowego silnika. Jack podniósł głowę - wydawała się nieprawdopodobnie ciężka, a ręce i nogi też miał z ołowiu - i zobaczył bardzo starą ciężarówkę Harvester International, powoli toczącą się ulicą w jego stronę. Tył samochodu uzupełniono domowej roboty zagrodą z kołków, które bujały się jak obluzowane zęby. Kabinę pomalowano na ohydny turkusowy kolor. Za kierownicą siedział Speedy.

Dozorca zatrzymał się przy krawężniku, dodał gazu (*Łup! Łup! Łup-łup-fup!*), po czym zgasił silnik (*Hahhhhhhhhhh...*). Szybko wysiadł z kabiny.

- Nic ci nie jest, Jack?

Chłopiec wyciągnął butelkę w stronę Speedy'ego.

- Twój magiczny napitek to prawdziwy syf - powiedział słabo.

Speedy zrobił skrzywdzoną minę... lecz po chwili się uśmiechnął.

- A ktoś ci kiedyś powiedział, że lekarstwo ma dobrze smakować, Jacku Wędrowniczku?

- Chyba nie - odparł Jack.

Czuł, że wracają mu powoli siły, a równocześnie ustępuje przytłaczająca dezorientacja.

- Teraz wierzysz, Jack? Chłopiec pokiwał głową.

- Nie - rzekł Speedy. - Tak nie da rady. Powiedz to na głos.

- Widziałem Terytoria - potwierdził Jack. - Istnieją naprawdę. Widziałem ptaka... - Urwał i zadrzał.

- Jakiego ptaka? - spytał kategorycznym tonem Speedy.

- Mewę. Największą przeklętą mewę... - Jack potrząsnął głową. - Nie uwierzyłbyś. - Zastanowił się, po czym dodał: - Nie, pewnie byś uwierzył. Nikt inny, ale ty tak.

- Mówiła? Mnóstwo ptaków tam to umie. Przeważnie gadają głupoty, ale niektóre mówią z sensem... lecz złe rzeczy, a poza tym najczęściej kłamstwa.

Jack przytakiwał mu kiwaniem głowy. Samo słuchanie, jak Speedy mówi o tych rzeczach tak, jakby były absolutnie zrozumiałe i racjonalne, poprawiało mu samopoczucie.

- Myślę, że rzeczywiście mówiła, ale było to tak, jakby... - Zastanowił się usilnie. - W szkole, do której chodziłem z Richardem w Los Angeles, był taki dzieciak, Brandon Lewis. Miał wadę wymowy i kiedy się odzywał, ledwie go było można zrozumieć. Ptak mówił tak samo, ale wiem, co powiedział: że moja matka umiera.

Speedy otoczył Jacka ramieniem. Przez jakiś czas siedzieli razem na krawężniku. Recepcjonista z Alhambry, blady, wychudły i sprawiający wrażenie podejrzliwego wobec każdej żywej istoty we wszechświecie, wyszedł na zewnątrz ze stertą poczty. Speedy i Jack przyglądali się, jak idzie na róg Arcadia i Beach Drive, by wrzucić korespondencję z hotelu do skrzynki. Recepcjonista zawrócił, zmierzył Jacka i dozorcę spojrzeniem wodnistych oczu, po czym skręcił na główny podjazd. Nad gęstymi żywopłotami ledwie można było dojrzeć czubek jego głowy.

Dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi frontowych było wyraźnie słyhać. Jackowi udzieliła się atmosfera tego opustoszałego jesienią miejsca. Puste, bezludne ulice, szeroka plaża, wydmy z przypominającego cukier piasku. Wyludnione wesołe miasteczko z wagonami kolejki odstawionymi na bocznicy i przykrytymi płóciennymi plandekami, zamknięte wszystkie budki. Chłopcu przyszło do głowy, że miejsce, do którego przywiozła go matka, bardzo przypomina koniec świata.

Speedy odrzucił w tył głowę i zaśpiewał czystym, miękkim głosem:

- *Well, I've laid around... and played around... this old town so long... summer's almost gone, yes, and winter's coming on... winter's coming on, and I feel like... I got to travel on...* - Urwał i popatrzył na Jacka. - Czujesz, że powinieneś ruszyć w drogę, Jacku Wędrowniczku?

Chłopiec poczuł wzbierający w nim strach.

- Chyba tak - odpowiedział. - Jeśli to jej pomoże. Matce. Mogę jej pomóc, Speedy?

- Możesz - rzeki śmiertelnie poważnie dozorca.

- Ale...

- Och, jest mnóstwo "ale" - przerwał mu Speedy. - Całe wagony "ale", Jacku Wędrowniczku. Nie obiecuję ci, że to będzie łatwe. Nie obiecuję ci, że ci się uda. Nie przyrzekam, że wrócisz żywy, a jeśli nawet, to po powrocie nie wszystkie klepki możesz mieć na swoim miejscu. - Po chwili dodał: - W miarę możliwości musisz wędrować po Terytoriach, bo są o wiele mniejsze. Zauważyłeś?

- Tak.

- Domyślałem się, że tak będzie. Uszedłeś przecież spory kawał drogi, nie?

Jackowi przyszło do głowy pytanie, które zadał sobie wcześniej. Chociaż odbiegało od tematu, musiał poznać na nie odpowiedź.

- Czy zniknąłem, Speedy? Widziałeś, jak znikam?

- Zniknąłeś - odparł Speedy i klasnął mocno w dłonie: - Ot, tak.

Jack poczuł, że usta rozciągają mu się powoli w wymuszonym uśmiechu... na co Speedy odpowiedział tym samym.

- Chciałbym kiedyś tak zrobić na lekcji u pana Balgo - powiedział, a Speedy zarechotał jak dziecko.

Jack przyłączył się do niego - śmiech był dobry, niemal tak dobry jak tamte jeżyny. Po kilku chwilach Speedy spoważniał.

- Jest powód, że musisz ruszyć w Terytoria, Jack. Musisz tam coś zdobyć. To coś bardzo potężnego.

- I jest właśnie tam?

- Się wie.

- To coś pomoże mojej matce?

- Jej... i tej drugiej.

- Królowej? - Speedy kiwnął głową. - Co to jest? Gdzie? Kiedy mam...

- Chwila! Zaczekaj! - Speedy uniósł rękę. Uśmiechał się, jego oczy miały jednak poważny wyraz. - Jedna rzecz na raz. Poza tym nie mogę ci powiedzieć tego, czego sam nie wiem, Jack... ani tego, czego mi nie wolno.

- Nie wolno? - spytał zdezorientowany chłopiec. - Kto...

- Znowu zaczynasz - przerwał mu Speedy. - Posłuchaj teraz, Jacku Wędrowniczku. Musisz ruszyć tak szybko, jak tylko możesz, zanim ten cały Bloat się tutaj zjawi i cię przyskrzyni...

- Sloat.

- No, ten sam. Musisz ruszać, zanim tu przybędzie.

- Ale on zadręczy moją matkę - powiedział Jack, zastanawiając się, dlaczego to mówi: czy dlatego, że była to prawda, czy po to, by wykręcić się od podróży, do której namawiał go Speedy, jak od skosztowania być może zatrutej potrawy. - Nie znasz go! On jest...

- Znam go - odpowiedział spokojnie Speedy. - Znam go od dawna, Jacku Wędrowniczku. A on zna mnie. Ma na sobie moje ślady. Nie widać ich - aleje ma. Twoja mama potrafi zadbać o siebie - a przynajmniej przez jakiś czas będzie musiała, bo tobie pora ruszać w drogę.

- Dokąd?

- Na zachód - powiedział Speedy. - Od tego oceanu do drugiego.

- Co? - zawołał Jack, przerażony myślą o takiej odległości.

Wtedy przypomniał sobie reklamę, którą widział w telewizji trzy dni temu: mężczyzna wybierał smakołyki z delikatesowego bufetu jakieś trzydzieści pięć tysięcy stóp nad ziemią,

jakby to było coś najnaturalniejszego w świecie. Jack przeleciał z matką z jednego końca kontynentu na drugi co najmniej dwa tuziny razy i zawsze w tajemnicy cieszył się, że jeśli startowało się z Los Angeles, a lądowało w Nowym Jorku, dzień robił się szesnastogodzinny. W ten sposób jakby oszukiwało się czas. I było to bardzo proste.

- Mogę polecieć samolotem? - spytał dozorcę.

- Nie! - prawie krzyknął Speedy, otwierając szerzej oczy z konsternacji. Chwyił silnie Jacka za ramię. - W żadnym razie wolno ci latać! Ani mi się waż! Gdybyś przeskoczył do Terytoriów, znajdując się w górze...

Nie dokończył; nie musiał. Jackowi nagle stanęła przed oczami przerażająca wizja siebie samego, koziółkującego przez jasne, bezchmurne niebo - wrzeszczący chłopiec-bomba w dżinsach i koszulce rugbisty w czerwono-białe pasy, wyczynowy skoczek bez spadochronu...

- Masz iść - powiedział Speedy. - I łapać każdą podwózkę, jaka ci się trafi... ale musisz uważać, bo tam jest pełno nieznanym. Część z nich to po prostu wariaci, wycieczki, które miałyby ochotę cię pomacać, albo łotry, gotowe cię obrabować. Ale inni to prawdziwi Obcy. Ludzie, którzy są po trochu w obydwóch światach - patrzą na obie strony jak jakiś przeklęty posąg Janusa. Boję się, że niedługo dowiedzą się o twoim przybyciu i będą cię szukać.

- Czy to... - Jack poszukał właściwego słowa - ...Dwójnicy?

- Niektórzy. Inni nie. Na razie nie mogę więcej powiedzieć, ale musisz dotrzeć aż do końca, jeśli tylko zdołasz. Musisz dotrzeć do drugiego oceanu. Wędruj po Terytoriach, kiedy tylko będziesz mógł, to będziesz tam szybciej. Weźmiesz napitek...

- Brzydę się nim!

- Nieważne, czym się brzydzisz - powiedział surowo Speedy. - Jak się znajdziesz po drugiej stronie, masz odszukać takie miejsce - drugą Alhambrę. Musisz tam wejść. To straszne, złe miejsce, ale musisz dostać się do środka.

- Jak je znajdę?

- Wezwie cię do siebie. Będzie cię wołało głośno i wyraźnie, synu.

- Po co? - spytał Jack i obliznął wargi. - Po co mam tam iść, skoro to takie złe miejsce?

- Bo tam właśnie jest Talizman - powiedział Speedy. - Gdzieś w tej drugiej Alhambrze.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz!

- Zrozumiesz - odrzekł dozorca.

Podniósł się i ujął Jacka za rękę. Stanęli naprzeciwko siebie: stary czarnoskóry mężczyzna i młody biały chłopiec.

- Posłuchaj - powiedział Speedy i jego głos nabrał powolnego, śpiewnego rytmu. - Talizman w dłoń dostaniesz, Jacku Wędrowniczku. Nie za duży, nie za mały, wygląda jak kryształowa kula. Jacku Wędrowniczku. Wędrowniczku Jacku, ruszasz do Kalifornii, by zabrać go z powrotem. To twoje brzemie i twój krzyż - upuścisz go, Jack, i wszystko przepadnie.

- Nie wiem, o czym mówisz - powtórzył Jack z płynącym z przestrochu uporem. - Musisz...

- Nie - przerwał mu delikatnie Speedy. - Muszę dziś rano skończyć karuzelę, Jack - to właśnie muszę. Nie mam więcej czasu na pogaduszki. Muszę wracać, a ty musisz ruszać w drogę. Nic więcej nie mogę ci teraz powiedzieć. Pewnie się jeszcze zobaczymy. Tutaj... albo tam.

- Ale nie wiem, co mam zrobić! - zawołał Jack, gdy Speedy wsiadał do kabiny starej ciężarówki.

- Wiesz dość, żeby ruszać - odparł Murzyn. - Powędrujesz do Talizmanu. On sam cię do siebie przywoła.

- Nie wiem nawet, co to jest Talizman!

Speedy zaśmiał się i obrócił kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył, z rury wydechowej buchnął wielki kłęb niebieskiego dymu.

- Sprawdź w słowniku! - zawołał Speedy i wrzucił wsteczny bieg.

Odjechał w tył i wykonał nawrót. Po chwili samochód potoczył się ze szczękiem z powrotem do wesołego miasteczka. Jack stał przy krawężniku i patrzył, jak się oddala. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się równie samotny.

## Rozdział piąty - Jack i Lily

### 1

Kiedy ciężarówka Speedy'ego skręciła z drogi i znikła pod łukiem wejścia do wesołego miasteczka, Jack zaczął iść w stronę hotelu. Talizman. W drugiej Alhambrze. Na skraju drugiego oceanu. Czuł się tak, jakby w sercu miał pustkę. Bez towarzystwa Speedy'ego nałożone na Jacka zadanie wydawało się niewyobrażalnie trudne, a na dodatek niejasne. Gdy Murzyn je omawiał, chłopiec odnosił wrażenie, że prawie rozumie gmatwaninę napomknień, gróźb i instrukcji. Teraz wszystko na powrót stało się skomplikowane. Terytoria istniały jednak naprawdę. Jack trzymał się tej świadomości z całych sił; napawała go otuchą, a zarazem przejmowała strachem. Terytoria istniały naprawdę, a on miał wyruszyć w nie ponownie. Choć nie wszystko jeszcze rozumiał - chociaż miał zostać pielgrzymem-ignorantem - to i tak ruszał w drogę. Teraz pozostawało mu jeszcze tylko spróbować przekonać matkę. "Talizman", powiedział do siebie. Przeciął pustą Boardwalk Avenue i wbiegł po schodkach na ścieżkę między żywopłotami.

Gdy tylko zatrzasnęły się za nim ciężkie drzwi, wytrąciła go z równowagi ciemność panująca we wnętrzu Alhambry. Hol przypominał długą pieczarę - trzeba by ognia, żeby rozproszyć zalegające w nim cienie. Błady recepcjonista zamajaczył za długim biurkiem, przesywając Jacka spojrzeniem białych oczu. Widniało w nich przesłanie, i owszem. Jack przełknął i odwrócił się. Przesłanie dodało mu sił i uczyniło pewniejszym siebie, chociaż miało wyłącznie szyderczą wymowę.

Niespiesznym krokiem podszedł wyprostowany do wind. *Zadajesz się z czarnuchami, co? Pozwalasz się im obejmować, hę?* Winda zjechała na dół z powarkiwaniem jak wielkie, ciężkie ptaszysko, drzwi rozsunęły się i Jack wszedł do środka. Odwrócił się, by nacisnąć jarzący się guzik z cyfrą 4. Recepcjonista wciąż czaił się jak widmo za biurkiem, śląc raniące jak pocisk dum-dum przesłanie: *Murzyński kochaś, murzyński kochaś, murzyński kochaś (lubisz coś takiego, co, gówniarzu? Czarnego i gorącego - to ci odpowiada, tak?).* Drzwi na szczęście wreszcie się zasunęły. Winda skoczyła w górę. Jack poczuł, jak żołądek ucieka mu w buty.

Nienawiść pozostała w holu; nawet powietrze w windzie wydawało się lepsze, gdy uniosła się ponad parter. Jackowi pozostawało jeszcze tylko przekazać matce, że musi ruszyć samemu do Kalifornii.

Tylko nie pozwól, żeby wuj Morgan podpisywał za ciebie jakiegokolwiek papiery...



Gdy Jack wysiadał z windy, po raz pierwszy w życiu zadał sobie pytanie, czy Richard Sloat wie, jaki jest jego ojciec.

## 2

Jack minął puste kinkiety i obrazy, przedstawiające małe łódki na spienionych, karbowanych falach; drzwi oznaczone numerem 408 były uchylone do wewnątrz, ukazując błądy dywan w środku. Wpadający przez okna salonu słoneczny blask kładł się długim prostokątem na wewnętrznej ścianie.

- Hej, mamó? - zawołał Jack, wchodząc do apartamentu. - Nie zamknęłaś drzwi, o co ci... - zorientował się, że jest w pokoju sam -...chodziło? - powiedział do mebli. - Mamó?

W uporządkowany pokój zdawał się wlewać chaos: przepelniona popielniczka, napelniony do połowy dzbanek z wodą, pozostawiony na stoliku do kawy.

Jack przyrzekł sobie, że tym razem nie wpadnie w panikę.

Powoli obrócił się dookoła. Drzwi sypialni stały otworem; było tam tak ciemno jak w holu, bo Lily nigdy nie rozsuwała zasłon.

- Hej, wiem, że tu jesteś - powiedział.

Przeszedł przez pustą sypialnię i zastukał do drzwi łazienki. Otworzył drzwi i zobaczył różową szczoteczkę do zębów obok umywalki oraz szczotkę do włosów leżącą na toalecie. Pomiędzy włosiem uwięzły splątane jasne pasma. Laura DeLoessian, oznajmił głos w mózgu Jacka. Cofnął się z małej łazienki, jakby to nazwisko go użądliło.

- Och, znowu to samo - rzekł do siebie. - Gdzież ona się podziała?

W jego umyśle już rozgrywała się scena.

Widział ją, gdy przeszedł do swojej sypialni, widział ją, gdy otworzył drzwi swojego pokoju i przyjrzał się skotłowanemu łóżku, spłaszczonemu plecakowi, niewielkiemu stosikowi książek w miękkiej oprawie i zwiniętym skarpetkom na wierzchu sterty ubrań. Widział ją, gdy zajrzał do swojej łazienki, gdzie po podłodze poniewierały się w nieładzie ręczniki, gdy patrzył na boki wanny i laminatowe blaty.

Morgan Sloat wpychał się przez drzwi, chwycił matkę za ramiona i włókł ją na dół...

Jack spiesznie wypadł do salonu i tym razem zajrzał za kanapę.

...wyciągał ją przez boczne wyjście i wpychał do samochodu, a jego oczy robiły się żółte...

Chłopiec wziął do ręki słuchawkę i wcisnął 0.

- Tutaj, mm, Jack Sawyer, z, no, pokoju czterysta osiem. Może moja matka gdzieś wyszła i zostawiła dla mnie wiadomość? Miała być tutaj... a nie wiem, dlaczego... ach...

- Sprawdzę - odpowiedziała telefonistka. Jack przez chwilę ścisnął słuchawkę, czując palenie w piersiach, aż wreszcie ponownie usłyszał: - Przykro mi, ale nie ma żadnej wiadomości dla czterysta osiem.

- A dla czterysta siedem?

- To ta sama przegródka - odparła dziewczyna.

- Ee, czy może ktoś ją odwiedził w ciągu ostatniej pół godziny? Był u niej ktoś dzisiaj rano? Żeby się z nią zobaczyć?

- O to trzeba zapytać w recepcji - powiedziała dziewczyna. - Nie mam pojęcia. Chce pan, żebym to sprawdziła?

- Proszę - rzekł Jack.

- Och, cieszę się, gdy mam coś do roboty w tej kostnicy - odparła. - Niech pan się nie rozłącza.

Kolejna paląca chwila.

- Gości nie miała - odezwała się dziewczyna, gdy wreszcie wróciła do telefonu. - Może zostawiła wiadomość gdzieś w waszych pokojach?

- Tak, sprawdzę - szepnął żałośnie Jack i się rozłączył.

Czy dziewczyna na pewno mówiła prawdę? Czy też Morgan Sloat podsunął jej mięsistą dłoń z dwudziestodolarowym banknotem, złożonym do formatu znaczka pocztowego? To też Jack zobaczył.

Opadł na kanapę, tłumiąc irracjonalną ochotę, by zajrzeć pod poduszki. Wuj Morgan na pewno nie mógł wejść do pokoi i porwać matki - przebywał w Kalifornii. Mógł jednak wysłać ludzi, żeby zrobili to dla niego. Tych, o których wspominał Speedy: Obcych, stojących na rozdrożu dwóch światów.

Jack nie mógł usiedzieć dłużej w pokoju. Zerwał się z kanapy, wyszedł na korytarz i zamknął drzwi za sobą. Po przejściu paru kroków nagle obrócił się na pięcie, zawrócił i otworzył drzwi swoim kluczem. Uchylił je na cal, po czym podbiegł do wind. Było przecież możliwe, że matka wyszła bez klucza - na zakupy do holu, do kiosku po gazetę lub czasopismo.

Pewnie. Jack od początku lata nie widział, żeby kupiła gazetę. Wszystkich wiadomości, jakie ją interesowały, wysłuchiwała przez należące do wyposażenia apartamentu radio.

W takim razie może wyszła na spacer.

No pewnie, ćwiczyła i głęboko oddychała. A może uprawiała jogging. Może Lily Cavanaugh nagle zaczęła trenować sprint. Poustawiała na plaży płotki i ćwiczyła na następną olimpiadę...

Gdy winda zatrzymała się w holu, Jack zajrzał do sklepu. Starsza blondynka za ladą popatrzyła na niego znad okularów. Wypchane zwierzęta, niewielki stos cienkich gazet, gablota ze szminkami Chap Stick w wielu smakach. Z kieszeni w ściennym stoisku zwieszały się egzemplarze "People", "Us" i "New Hampshire Magazine".

- Przepraszam - powiedział Jack i zawrócił.

Zorientował się, że patrzy na tablicę z brązu obok wielkiej, smętnie zwisającej paproci: *...poczęła chorować i wkrótce będzie musiała obumrzeć.*

Kobieta ze sklepu odchrząknęła. Jack pomyślał, że pewnie gapił się na słowa Daniela Webstera przez kilka minut.

- Proszę? - powiedziała ekspedientka za jego plecami.

- Przepraszam - powtórzył Jack i zmusił się do przejścia na środek holu.

Pałający nienawiścią recepcjonista uniósł brew, po czym odwrócił się bokiem i utkwiał wzrok w pustej klatce schodowej. Jack zmusił się, żeby do niego podejść.

- Proszę pana? - powiedział, gdy znalazł się przed biurkiem.

Recepcjonista udawał, że stara się sobie przypomnieć, jakie miasto jest stolicą Karoliny Północnej albo jaki jest podstawowy artykuł eksportowy Peru.

Proszę pana?

Mężczyzna zmarszczył brwi: proszę bardzo, ma to na końcu języka, nie wolno mu przeszkadzać. Jack doskonale zdawał sobie sprawę, że to tylko poza.

- Może zdoła mi pan pomóc?

W końcu mężczyzna zdecydował się na niego spojrzeć.

- Zależy w czym, synku.

Jack świadomie zdecydował się zignorować zakamuflowane szyderstwo.

- Nie widział pan może przypadkiem, czy moja mama niedawno tędy przechodziła?

- Jak niedawno? - Szyderstwo tym razem było niemal jawne.

- Widział pan, czy wychodziła? O nic więcej nie pytam.

- Boisz się, że zobaczyła, jak trzymasz się za ręce ze swoim chłopakiem?

- Boże, ale z pana palant. - Jack sam był zaskoczony swoją śmiałością. - Nie, nie tego się boję. Po prostu chcę wiedzieć, czy wyszła, a gdyby nie był pan takim palantem, toby mi pan odpowiedział.

Czuł gorąco na twarzy; zdał sobie sprawę, że zacisnął pięści.

- No cóż, istotnie wyszła - odparł recepcjonista, przesuając się w stronę rzędów przegródek za jego plecami. - Lepiej pilnuj, jak się odzywasz, chłopcze. Powinieneś mnie przeprosić, cacany paniczku Sawyer. Ja też mam oczy i wiem niejedno.

- Pilnuj pan swojego języka, a ja będę pilnował własnych interesów. - Jack to zdanie usłyszał w piosence z jednej ze starych płyt ojca; może niezupełnie pasowało do sytuacji, ale powiedział je z satysfakcją i zobaczył, że recepcjonista mruży z zaskoczenia oczy.

- Może jest w ogrodzie, bo ja wiem? - dodał posępnie mężczyzna, lecz Jack już szedł w stronę drzwi.

Natychmiast się zorientował, że Ulubienicy Kin Dla Zmotoryzowanych i Królowej Filmów Klasy B nie było widać w rozległym ogrodzie za hotelem - wiedział zresztą, że jej tam nie ma, bo zobaczyłby ją, idąc do hotelu. Poza tym Lily Cavanaugh nie zwykła pałętać się po ogrodach; pasowało to do niej mniej więcej tak samo jak rozstawianie płotków na plaży.

Po Boardwalk Avenue toczyło się kilka samochodów. Wysoko w powietrzu zakrzyczała mewa, a Jackowi ścisnęło się serce.

Chłopiec przecesał palcami włosy i powiódł wzrokiem po zalanej słońcem ulicy. Niewykluczone, że matka zainteresowała się Speedym - może zechciała sprawdzić niezwykle nowego przyjaciela swojego syna i zawędrowała do parku rozrywki. Jack jednak nie potrafił wyobrazić jej sobie w wesołym miasteczku Arcadia, to było równie mało prawdopodobne jak zastanie matki w ogrodzie.

Herbaciarnia Arcadia Tea and Jam Shoppe oddzielona była od terenów hotelu wysokim, gęstym żywopłotem - był to pierwszy z rzędu jaskrawo pomalowanych sklepików. Z całego pasażu jedynie herbaciarnia i apteka New England Drugs pozostawały otwarte po Świącie Pracy. Jack wahał się chwilę, stojąc na spękany chodniku. Herbaciarnia - zwłaszcza z tak pretensjonalną nazwą - stanowiła mało odpowiedni lokal dla Ulubienicy Kin Dla Zmotoryzowanych. Mimo to zajrzał do wewnątrz przez okno.

Za kasą siedziała kobieta z wysoko upiętymi włosami i paliła papierosa. Kelnerka w różowej sukience z nylonu opierała się o przeciwległą ścianę. Jack nie widział żadnych klientów. Dopiero po chwili dojrzał starą kobietę z filiżanką w ręku. Oprócz personelu tylko ona znajdowała się we wnętrzu. Jack patrzył, jak stara kobieta delikatnie odstawia filiżankę na spodek, a następnie wyławia z torebki papierosa. Ze zgrozą uświadomił sobie, że to jego matka. W chwilę później przestała mu się wydawać stara.

Ale zapamiętał to pierwsze wrażenie - i od tej chwili miał uczucie, jakby patrzył na nią przez dwuogniskowe okulary: widział w tym samym ciele Lily Cavanaugh Sawyer i kruchą, starą kobietę.

Jack ostrożnie uchylił drzwi, lecz mimo to potrącił dzwonek, wiszący nad nimi; jakimś cudem wiedział, że on tam jest. Kelnerka wyprostowała się i wygładziła podolek sukienki. Matka popatrzyła na Jacka z wyraźnym zaskoczeniem, po czym obdarzyła go szczerym uśmiechem.

- Cóż, Jacku Podróżniczku, tak urosłeś, że kiedy wchodziłeś przez te drzwi, wyglądałeś tak samo jak twój ojciec - powiedziała. - Czasami zapominam, że masz dopiero dwanaście lat.

### 3

- Nazwałaś mnie "Jackiem Podróżnikiem" - rzekł, odsuwając krzesło i sadwając się na nim.

Twarz Lily była bardzo blada; kręgi pod oczyma wyglądały prawie jak sińce.

- Przecież tak mówił na ciebie ojciec. Właśnie to sobie przypomniałam; bo wędrowałeś przez całe rano.

- Nazywał mnie Jackiem Podróżnikiem?

- Coś w tym rodzaju... pewnie. Kiedy byłeś malutki. Jack Wędrowniczek - powiedziała nagle zdecydowanie. - Właśnie tak. Nazywał cię Jackiem Wędrowniczkiem - no wiesz, kiedy patrzyliśmy, jak szalejesz po trawniku. Pewnie nas to bawiło. Tak przy okazji, zostawiłam ci uchylone drzwi. Nie wiedziałam, czy pamiętałeś, by zabrać klucz.

- Widziałem - odparł, wciąż podekscytowany nową informacją, którą mu tak beztrąsko przekazała.

- Chcesz jakieś śniadanie? Po prostu nie mogłam znieść myśli, że jeszcze raz miałabym się do posiłku w tym hotelu.

Obok nich pojawiła się kelnerka.

- Młody człowieku? - Uniosła bloczek zamówień.

- Skąd wiedziałaś, że cię tu znajdę?

- A gdzie jeszcze miałabym pójść? - spytała rozsądnie matka i zwróciła się do kelnerki: - Proszę mu dać trzygwiazdkowe śniadanie. Rośnie mniej więcej cał dziennie.

Jack odchylił się na oparcie krzesła. Od czego miał zacząć?"

Matka popatrzyła na niego z zaciekawieniem, toteż zaczął, bo musiał, i to natychmiast.

- Mamo, nic ci się nie stanie, gdybym musiał na jakiś czas wyjechać?

- Co to znaczy: nic mi się nie stanie? I co to znaczy, że musisz na jakiś czas wyjechać?

- Czy zdołasz... och, czy będziesz miała kłopoty z wujem Morganem?

- Dam sobie radę ze starym Sloatem - powiedziała, uśmiechając się z lekkim niepokojem. - Przynajmniej przez jakiś czas. O co ci chodzi, Jacky? Nigdzie się nie wybierasz.

- Muszę - odparł. - Naprawdę.

W tym momencie zdał sobie sprawę, że mówi jak dziecko proszące o zabawkę. Na szczęście zjawiała się kelnerka z tostem na podstawce i pękata szklanką soku pomidorowego. Na chwilę odwrócił wzrok, a gdy ponownie popatrzył na matkę, rozsmarowywała dżem z jednego z dzbanuszków na stole po trójkątnym kawałku tostu.

- Muszę - powtórzył.

Matka podała mu tost; widać było, że różne myśli krążyły jej po głowie, ale się nie odezwała.

- Przez jakiś czas mnie pewnie nie zobaczysz, mamo - powiedział. - Muszę spróbować ci pomóc. Dlatego właśnie stąd wyjeżdżam.

- Pomóc mi? - spytała i zdaniem Jacka jej chłodne niedowierzanie było w jakichś siedemdziesięciu pięciu procentach autentyczne.

- Chcę spróbować uratować ci życie - kontynuował.

- To wszystko?

- Mogę to zrobić.

- Możesz uratować mi życie. Bardzo zabawne, Jacky; można by to kiedyś pokazać w najlepszym czasie antenowym. Myślałeś kiedyś, żeby układać programy dla sieci telewizyjnych?

Odłożyła usmarowany na czerwono nóż, otwierając szeroko oczy na znak powątpienia. Oprócz rozmyślnego niezrozumienia Jack dojrzał u matki nagły przypływ zgrozy oraz słabą, niemal niedostrzegalną nadzieję, że mimo wszystko mogłoby mu się udać.

- Jeżeli nawet zabronisz mi spróbować, i tak to zrobię, więc po prostu pozwól.

- Och, doskonały interes. Zwłaszcza że nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Myślę, że jednak masz - myślę, że co nieco się domyślasz, mamo, bo tata wiedziałby dokładnie, o czym mówię.

Policzki matki poczerwieniały, a usta ściągnęły się w wąską kreskę.

- To tak niesprawiedliwe, że godne pogardy, Jacky. Nie możesz wykorzystywać tego, co mógł wiedzieć Philip, jako broni przeciwko mnie.

- Tego, co wiedział, a nie mógł wiedzieć.

- Pieprzysz bez żadnego sensu, chłopczyku.

Kelnerka głośno sapnęła, gdy stawiała przed Jackiem talerz z jajecznicą, domowymi frytkami i parówkami. Kiedy odeszła, matka wzruszyła ramionami.

- Chyba nie potrafię wyrażać się w odpowiedni sposób przy służbie, ale pierdoły to pierdoły i nic, tylko pierdoły, żeby zacytować Getrudę Stein.

- Zamierzam uratować ci życie, mamó - powtórzył Jack. - Czeka mnie bardzo długa droga - muszę dotrzeć do czegoś i zabrać to. Tak uczynię.

- Szkoda, że nie wiem, o co ci chodzi.

To tylko zwyczajna rozmowa, powiedział sobie Jack - tak zwyczajna jak prośba o pozwolenie na spędzenie paru nocy w domu przyjaciela. Przekroił parówkę na połowy i włożył jedną z nich w usta. Matka przyglądała mu się bacznie. Przeżuwszy i połknąwszy parówkę, Jack wsunął w usta porcję jajecznicy. Butelka Speedy'ego ciążyła mu jak kamień na plecach.

- Życzyłabym sobie również, żeby docierały do ciebie uwagi, które kierują pod twoim adresem, nawet jeżeli wydają ci się drętwe.

Jack z niezmaconym spokojem przełknął jajka i włożył w usta słony kłęb chrupkich frytek.

Lily złożyła dłonie na kolanach. Im dłużej milczał, tym bardziej rosła szansa, że go wysłucha. Udawał, że koncentruje się na śniadaniu: jajka parówka frytki, parówka frytki jajka, frytki jajka parówka - aż wyczuł, że matka ledwie się powstrzymuje, żeby na niego nie wrzasnąć.

Mój ojciec nazywał mnie Jackiem Wędrowniczkiem, pomyślał. Zgadza się; wędrowka jest mi przeznaczona.

- Jack...

- Mamó - powiedział. - Czy ojciec czasami nie dzwonił do ciebie z bardzo daleka, chociaż wiedziałaś, że ma być w mieście? - Uniosła brwi. - I czy czasami nie... ee, nie wchodziłaś do pokoju, myśląc, że tam jest, a może nawet wiedząc, że tam jest - a jednak go nie było?

Niech to przetrawi.

- Nie - odrzekła matka. Obydwoje odczekali, aż przebrzmi daremne zaprzeczenie. - Prawie nigdy.

- Mamo, to zdarzało się nawet mnie - powiedział Jack.

- Zawsze istniało jakieś wytłumaczenie, wiesz o tym.

- Mój ojciec - jak doskonale się orientujesz - zawsze sobie nieźle radził z wyjaśnieniami. Zwłaszcza rzeczy, których nie sposób było wytłumaczyć. Był w tym bardzo dobry. Między innymi właśnie z tego powodu był doskonałym agentem. - Matka znowu zamilkła. - Cóż, wiem, dokąd się przeniósł - podjął Jack. - Już tam byłem. Dzisiaj rano. A jeśli wybiorę się tam jeszcze raz, niewykluczone, że uratuję ci życie.

- Nie potrzeba, żebyś ratował mi życie. Nie potrzeba, żeby ktokolwiek mnie ratował - syknęła matka. Jack popatrzył na swój opustoszony talerz i coś wymruczał. - Co powiedziałaś? - spytała matka świdrującym tonem.

- Powiedziałem, że chyba potrzeba.

Popatrzył jej prosto w oczy.

- Założmy, że zapytam cię, jak twoim zdaniem zamierzasz się zabrać do ratowania mi życia?

- Nie mogę ci odpowiedzieć, bo w gruncie rzeczy sam tego jeszcze nie rozumiem. Mamo, i tak nie chodzę do szkoły... daj mi szansę. Przecież mnie nie będzie tylko przez tydzień czy coś koło tego. - Uniosła brwi. - Ale może to potrwać dłużej - przyznał.

- Myślę, że zwariowałaś - rzekła. Jack dostrzegł jednak, że jakąś częścią siebie chciała mu uwierzyć, czego dowiodły jej kolejne słowa: - Jeśli... jeśli będę na tyle szalona, żeby pozwolić ci na wyruszenie w tę tajemniczą misję, muszę być pewna, że nie będzie ci groziło żadne niebezpieczeństwo.

- Tata zawsze wracał - przypomniał Jack.

- Wolalabym ryzykować swoje życie, nie twoje - powiedziała, a prawda zawarta w tych słowach na długą chwilę przytłoczyła ich obydwójce.

- Będę dzwonił, kiedy tylko zdołam, ale nie martw się, jeśli minie kilka tygodni, a ja nie zatelefonuję. Wrócę, tak jak zawsze wracał ojciec.

- Świat zwariował - podsumowała. - Włącznie ze mną. Jak zamierzasz dotrzeć tam, gdzie się wybierasz? Gdzie to właściwie jest? Masz dość pieniędzy?

- Mam wszystko, czego potrzebuję - powiedział z nadzieją, że nie będzie naciskała, by poznać odpowiedzi na dwa pierwsze pytania. Milczenie się przeciągało, aż wreszcie dodał: - Przypuszczam, że głównie będę szedł. Nie bardzo mogę o tym mówić, mamo.

- Jack Wędrowniczek - rzekła. - Prawie potrafię w to uwierzyć...



- Tak. - Jack pokiwał głową. - Tak. - Może wiesz trochę tego, co ona, pomyślał, prawdziwa Królowa, i właśnie dlatego tak łatwo ustępujesz. - Zgadza się. Ja też w to wierzę. Dlatego właśnie to słuszna sprawa.

- Cóż... skoro zamierzasz wyruszyć bez względu na moje pozwolenie...

- Właśnie tak.

-...chyba nie ma znaczenia, co powiem. - Popatrzyła na syna, starając się zachować opanowanie. - Nie, ma znaczenie. Wiem o tym. Chcę, żebyś wrócił jak najszybciej, chłopcze. Chyba nie wyruszasz natychmiast, prawda?

- Muszę. - Wciągnął głęboko powietrze. - Tak. Wyruszam natychmiast. Kiedy tylko się z tobą pożegnam.

- Niemal potrafię uwierzyć w ten bezsens. Nie da się ukryć, jesteś synem Phila Sawyera. Chyba nie znalazłeś gdzieś tam sobie dziewczyny, co? - Przyjrzała się mu bardzo uważnie. - Nie. Nie znalazłeś. No dobrze. Uratuj mi życie. Ruszaj. - Potrząsnęła głową, a Jackowi wydało się, że w jej oczach dostrzega nowy blask. - Jeśli zamierzasz ruszać, to idź już, Jacky. Zadzwoń jutro.

- Jeśli będę mógł.

Wstał.

- Jeśli będziesz mógł. Oczywiście. Wybacz.

Popatrzyła przed siebie, a Jack dostrzegł, że jej spojrzenie jest całkowicie nieobecne. Na środkach jej policzków gorzały czerwone plamki.

Jack pochylił się i ją pocałował, zbyła go jednak machnięciem ręki. Kelnerka przyglądała się im, jakby odgrywali przedstawienie. Mimo niedawnej wypowiedzi matki, Jack czuł, że obniżył poziom jej niewiary o jakieś pięćdziesiąt procent - co oznaczało, że matka nie wiedziała już, w co wierzyć.

Skupiła na nim przez chwilę spojrzenie; znów dojrzał w jej oczach gorączkowe lśnienie. Gniew? Łzy?

- Dbaj o siebie - powiedziała i dała znak kelnerce.

- Kocham cię - rzekł Jack.

- Nigdy nie wygłaszaj takiej kwestii przed wyjściem. - Teraz prawie się uśmiechała. - Ruszaj w drogę, Jack. Ruszaj, zanim zdam sobie sprawę, jakie to szaleństwo.

- Już mnie nie ma.

Odwrócił się i wymaszerował z restauracji. Czuł napięcie w głowie, jakby kości czaszki mu urosły i zaczęły rozsadać skórę. Żółty słoneczny blask znów zaatakował jego oczy. Usłyszał, jak drzwi Arcadia Tea and Jam Shoppe zamykają się z łoskotem w chwilę po

brzęknięciu dzwoneczka. Mrugnął i przebiegł przez Boardwalk Avenue, nie patrząc, czy jadą samochody. Kiedy dotarł do chodnika po drugiej stronie, zdał sobie sprawę, że musi wrócić do apartamentu po jakieś ubrania. Matka nie opuściła herbaciarni do chwili, gdy Jack otwierał wielkie frontowe drzwi hotelu.

Recepcjonista zrobił krok w tył i rzucił mu ponure spojrzenie. Jack czuł, że z mężczyzny parują jakieś emocje, ale przez chwilę nie potrafił sobie przypomnieć, dlaczego recepcjonista zareagował tak gwałtownie na jego widok. Rozmowa z matką - faktycznie krótsza, niż sobie początkowo wyobrażał - zdawała się trwać całe dni. Przed tą niezmierną otchłanią czasu, jaką spędził w herbaciarni, nazwał recepcjonistę palantem. Może powinien przeprosić? Nie przypominał już sobie, dlaczego zapłonął w nim taki gniew...

Matka zgodziła się na jego wyprawę, przyzwoliła na odbycie tej podróży. Przechodząc pod obstrzałem spojrzeń recepcjonisty, wreszcie zrozumiał dlaczego. Nie wspominał o Talizmanie - nie konkretnie - lecz gdyby nawet powiedział o najbardziej obłądnym aspekcie swej misji, matka i z tym by się pogodziła. Z kolei gdyby zapowiedział, że wróci z motylem długości stopy i upiecze go w piecu, matka zgodziłaby się na zjedzenie pieczonego motyla. Jej zgoda była ironiczna, ale autentyczna. To, iż chwytala się takiego żdźbła, ujawniało częściowo głębię jej strachu.

Matka chwytala się jednak żdźbła dlatego, że gdzieś w głębi czuła, iż daje jej to oparcie. Pozwoliła mu ruszać w drogę, bo w jakimś zakamarku duszy skrywała fakt, iż również wie o Terytoriach.

Czy kiedykolwiek budziła się w nocy z tym nazwiskiem, Laura DeLoessian, odbijającym się echem w jej uszach?

Dotarłszy do połączonych pokoi 407 i 408, zaczął wrzucać niemal na chybił trafił ubrania do plecaka. Jeśli namacał w szufladzie coś niezbyt dużego, wędrowało do worka. Koszule, skarpety, sweter, bokserki. Jack zrolował ciasno parę płowej barwy dżinsów i też je wcisnął do środka. Dopiero wtedy sobie uświadomił, że plecak zrobił się niewygodnie ciężki. Wyjął większość koszul i skarpetek. Wyciągnął również sweter. W ostatniej minucie przypomniał sobie o szczoteczce do zębów. Potem zarzucił paski na ramiona i poczuł nieco ciągnący w dół, ale nie za wielki, ciężar. Mógł iść cały dzień, dźwigając tych kilka funtów. Przez chwilę po prostu stał w milczeniu na środku salonu, czując - niespodziewanie silnie - brak jakiegokolwiek osoby, z którą mógłby się pożegnać. Wiedział, że matka wróci do apartamentu dopiero wtedy, kiedy będzie miała pewność, że już go nie zastanie. Gdyby go teraz zobaczyła, kazałaby mu zostać. Nie mógł pożegnać się z tymi trzema pokojami tak, jak z ukochanym domem; hotelowe apartamenty przyjmowały chłodne rozstania. W końcu

podszedł do bloczka obok telefonu; na jego cienkich jak skorupka jajka kartkach wydrukowano szkic hotelu. Stępnym firmowym ołówkiem napisał trzy linijki, wyrażające prawie wszystko to, co chciał przekazać:

*Dziękuję*

*Kocham cię*

*i wrócę*

#### 4

Jack szedł Boardwalk Avenue w rzadkim północnym świetle, zastanawiając się, gdzie powinien... przeskoczyć. Tak, to było odpowiednie słowo. I czy powinien zobaczyć się ze Speedym, zanim przeskoczy? Niemal musiał porozmawiać z nim jeszcze raz, bo tak niewiele wiedział o tym, dokąd się wybiera, kogo może spotkać, czego szuka... *Wygląda jakby z kryształu była.* Czy to wszystkie wskazówki, jakich Speedy zamierzał mu udzielić na temat Talizmanu? To i ostrzeżenie, że nie wolno mu go upuścić? Jackowi zbierało się niemal na mdłości z powodu nieprzygotowania - jakby przystępował do egzaminu końcowego z przedmiotu, na który nigdy nie chodził.

Czuł, że mógłby przeskoczyć stąd, gdzie właśnie stał - tak wielka ogarniała go niecierpliwość, by już zacząć, ruszyć w drogę. Musiał znów znaleźć się w Terytoriach, zrozumiał nagle; było to niczym jasna nić snująca się wśród kłębowiska uczuć i pragnień. Znów chciał odetchnąć tym powietrzem; czuł jego głód. Terytoria wzywały go: rozległe równiny i pasma niskich gór, wysoka trawa na łąkach i wijące się przez nie strumienie. Całe ciało Jacka pragnęło tego krajobrazu. Pewnie już tutaj wyjąłby butelkę z kieszeni i wmusił w siebie łyk ohydnygo napitku, gdyby nie zobaczył poprzedniego właściciela butelki, który kuczał na piętach pod drzewem, splatając na kolanach ręce. Obok Speedy'ego stała brązowa torba na zakupy, na której położył olbrzymią kanapkę, bodajże z wątrobianki z cebulą.

- Już ruszasz - powiedział Speedy, uśmiechając się do Jacka. - Widzę, że już jesteś w drodze. Pożegnałeś się, z kim trzeba? Twoja mama wie, że jakiś czas nie będzie cię w domu?

Jack skinął głową, a Speedy wyciągnął kanapkę w jego stronę.

- Jesteś głodny? Nie dam rady jej zjeść.

- Dostałem śniadanie - odparł chłopiec. - Cieszę się, że mogę się z tobą pożegnać.

- Dobry Jack aż rwie się do drogi, jakby się ziemia pod nim paliła - powiedział Speedy, przekrzywiając w bok głowę. - Chłopak jest gotów ruszać.

- Speedy?

- Ale zostań tu, aż dam ci parę drobiazgów, które przyniosłem. Mam je w tej torbie.

Chcesz zobaczyć?

- Speedy?

Siedzący u podstawy drzewa mężczyzna zmrużył oczy.

- Wiedziałaś, że mój ojciec nazywał mnie Jackiem Wędrowniczkiem?

- Och, pewnie gdzieś to słyszałem - odrzekł Speedy z uśmiechem. - Podejdź tutaj i zobacz, co przyniosłem. Poza tym muszę ci powiedzieć, dokąd masz najpierw pójść, prawda?

Jack z ulgą przeszedł przez chodnik w stronę drzewa. Stary mężczyzna położył sobie kanapkę na kolanach i przyciągnął bliżej torbę.

- Wesółych świąt - powiedział i wyjął z torby dość dużą, postrzępioną książkę w miękkiej oprawie; Jack zobaczył, że to stary atlas drogowy wydawnictwa Rand McNally.

- Dziękuję - rzekł, wyjmując go z wyciągniętej ręki Speedy'ego.

- Tam nie ma żadnych map, więc trzymaj się dróg ze starego dobrego Randa McNally'ego. W ten sposób trafisz tam, gdzie chcesz.

- Dobrze - odparł Jack.

Zsunął paski plecaka, tak by móc wcisnąć księgę do środka.

- Drugiej rzeczy nie będziesz musiał dźwigać w tym szykownym plecaku, który masz na grzbiecie - oświadczył Speedy. Odłożył kanapkę na spłaszczoną torbę papierową i wstał jednym płynnym ruchem. - Nie, możesz to nosić nawet w kieszeni. - Wsunął dłoń w kieszeń na lewej piersi roboczej koszuli. Gdy ją wyjął, między drugim i trzecim palcem - jak jeden z tarrytoonów Lily - pojawił się biały, trójkątny przedmiot. Dopiero po chwili chłopiec poznał, że jest to kostka do gry na gitarze. - Weź i pilnuj. Będziesz musiał ją pokazać pewnemu człowiekowi. On ci pomoże.

Jack obrócił kostkę w palcach. Nigdy takiej nie widział, została wykonana z kości słoniowej, wiły się na niej skośne filigranowe wzory i arabeski, kojarzące się z jakimś nieziemskim pismem. Była piękna w abstrakcyjny sposób, chociaż niemal zbyt ciężka, by dawało się nią grać.

- Kto to jest? - spytał Jack i wsunął kostkę do kieszeni spodni.

- Ma wielką bliznę na twarzy. Szybko na niego trafisz, kiedy znajdziesz się w Terytoriach. To strażnik. Po prawdzie to kapitan Straży Zewnętrznej. Zabierze cię w miejsce, gdzie jest ta dama, którą musisz zobaczyć. No, powinieneś zobaczyć, żeby znać drugi powód, dla którego masz nadstawiać karku. Ten tam mój przyjaciel będzie wiedział, co robisz, i znajdzie jakiś sposób, żeby zabrać cię do tej pani.

- Ta pani... - zaczął Jack.

- No - odparł Speedy. - Dobrze się domyślasz.

- To Królowa.

- Dobrze jej się przyjrzyj, Jack. Wszystko zobaczysz, jak na nią popatrzysz. Zobaczysz, kim ona jest, rozumiesz? Potem ruszaj na zachód. - Speedy stał i przyglądał się chłopcu uważnie, jakby powątpiewał, że jeszcze kiedykolwiek zobaczy Jacka Saweyra żywego. Twarz mu drgnęła i dodał: - Trzymaj się z dala od starego Bloata. Uważaj na jego ślady - jego samego i jego Dwójnika. Jak nie będziesz ostrożny, stary Bloat cię znajdzie, a jak to zrobi, będzie cię gonił jak lis kurę. - Speedy wetknął ręce w kieszenie i ponownie przyjrzał się Jackowi; sprawiał wrażenie, że stara się wymyślić, co jeszcze mógłby powiedzieć. - Wydostań Talizman, synu - dokończył. - Wydostań go i postaraj się z nim wrócić. Będzie to twoje brzemię, ale musisz je unieść.

Jack tak bardzo koncentrował się na tym, co Speedy mówi, że zmrużył oczy i wpatrywał się z bardzo bliska w pomarszczoną twarz starszego mężczyzny. Człowiek z blizną, kapitan Gwardii Zewnętrznej. Królowa. Morgan Sloat tropiący go jak drapieżnik. Brzemię. W złym miejscu po drugiej stronie kontynentu.

- Dobrze - powiedział, żałując nagle, że nie jest znowu w herbaciarni ze swoją matką.

- Się wie. - Speedy uśmiechnął się ciepło, ukazując nierówne zęby. - Dobry Jack Wędrowniczek to równy chłop. - Uśmiech stał się szerszy. - Chyba czas, żebyś znów sobie łyknął tego specjalnego napitku. Co ty na to?

- Pewnie tak - odrzekł Jack.

Wyciągnął ciemną butelkę z kieszeni na biodrze i odkręcił korek. Obejrzał się na Speedy'ego, którego blade oczy zdawały się przeszywać go na wskroś.

- Speedy ci pomoże w miarę możliwości.

Jack kiwnął głową, mrugnął i przystawił szyjkę butelki do ust. Słodkawy, zgniły zapach, który z niej buchnął, sprawił, że mimowolnie ścisnęło mu się gardło. Przekrzywił butelkę i poczuł w ustach towarzyszący smrodowi smak. Żołądek wywinął mu kozła. Przełknął, a surowy, palący płyn rozlał się mu po gardle.

Na wiele sekund, nim Jack otworzył oczy, bogactwo i klarowność roztaczających się wokół niego woni podpowiedziały mu, że rzeczywiście przeskoczył w Terytoria. Szeptaly mu to zapachy koni i trawy, wywołujący zawrót głowy zapach surowego mięsa, kurz - a przede wszystkim czyste powietrze.

## **Interludium - Sloat w tym świecie (I)**

- Wiem, że pracuję zbyt ciężko - powiedział Morgan Sloat przez telefon swojemu synowi. Richard Sloat rozmawiał ze wspólnego aparatu na korytarzu na parterze swojego dormitorium, jego ojciec zaś siedział za biurkiem na najwyższym piętrze budynku stanowiącego pierwszy i najlepszy interes firmy Sawyer i Sloat związany z nieruchomościami w Beverly Hills. - Ale mówię ci, synu, że mnóstwo razy trzeba coś zrobić samemu, żeby to wyszło jak należy. Zwłaszcza jeśli chodzi o rodzinę mojego zmarłego partnera. Mam nadzieję, że to będzie tylko krótka podróż. Prawdopodobnie podopinam wszystko w tym przeklętym New Hampshire najwyżej w ciągu tygodnia. Zadzwoń do ciebie znowu, kiedy będzie po wszystkim. Może przejedziemy się koleją po Kalifornii, jak za dawnych czasów. Jeszcze wywalczymy sobie sprawiedliwość. Zaufaj swojemu staruszkowi.

Interes, dotyczący budynku, okazał się wyjątkowo udany ze względu na gotowość Sloata do załatwiania spraw samemu. Po tym, gdy on i Sawyer wynegocjowali krótkoterminowy najem budynku, uzyskali (pod ostrzałem sądowych pozwów) długoterminową dzierżawę, ustalili raty czynszu na poziomie tyłu a tyłu dolarów za stopę kwadratową, dokonali niezbędnych remontów oraz zamówili ogłoszenia, że szukają nowych dzierżawców. Jediną pozostałością ze starych czasów była chińska restauracja na parterze; jej właściciel z łaski płacił jedną trzecią tego, ile wart był lokal. Sloat próbował prowadzić z Chińczykami rozsądne negocjacje, kiedy jednak restauratorzy pojęli, że chodzi o nakłonienie ich do płacenia wyższego czynszu, nagle przestali mówić i rozumieć po angielsku. Podejmowane przez Sloata próby dyskusji kulały przez kilka dni. Wreszcie zobaczył, jak jeden z pomocników kuchennych wynosi tylnymi drzwiami kubeł tłuszczu. Sloat natychmiast poczuł się lepiej. Ruszył za mężczyzną w ciemny i wąski ślepy zaułek, po czym przyglądał się, jak Chińczyk wylewa tłuszcz do śmietnika. Następnego dnia restaurację od zaułka odgradziła siatka; kolejnego - inspektor z Departamentu Zdrowia wręczył Chińczykowi skargę i wezwanie do urzędu. Pomoc kuchenna musiała od tej pory wynosić wszystkie odpadki, włącznie z tłuszczem, przez główną salę i wąskie przejście z siatki, przypominające tor psich wyścigów, jakie Sloat postawił przed restauracją. Obroty restauracji spadły, bo do klientów zaczęły docierać dziwne, nieprzyjemne zapachy wyrzucanych nieopodał odpadków. Właściciele odkryli na nowo język angielski i z własnej inicjatywy wystąpili z propozycją podwojenia miesięcznej opłaty. Sloat odpowiedział wdzięcznie brzmiącą przemową, która nic nie znaczyła. Tej samej nocy wprawił się w odpowiedni nastrój trzema martini, po czym pojechał z domu pod restaurację i zabranym w bagażniku kijem baseballowym wybił długie

okno, z którego niegdyś roztaczał się przyjemny widok na ulicę, obecnie zaś widać było zagrodzone przejście, kończące się zbiorowiskiem metalowych pojemników.

Sloat zrobił to wszystko... ale nie był wtedy zupełnie sobą.

Następnego ranka Chińczycy poprosili o kolejne spotkanie. Tym razem zaproponowali płacenie czterokrotnie większego czynszu. "Teraz mówicie jak ludzie - powiedział Sloat gościom o kamiennych obliczach. - I coś wam powiem! Ażeby udowodnić, że wszyscy gramy w tej samej drużynie, pokryjemy połowę kosztów wstawienia nowej szyby".

W ciągu dziewięciu miesięcy od przejęcia przez firmę Sawyer i Sloat budynku wszystkie czynsze znacznie wzrosły, a wstępne szacunki kosztów i zysków zaczęły wyglądać na bezzasadnie pesymistyczne. Obecnie budynek był jedną ze skromniejszych nieruchomości firmy, lecz Morgan Sloat był z niego równie dumny, jak z masywnych nowych gmachów, które wybudowali w śródmieściu. Samo mijanie rano po drodze do pracy miejsca, gdzie kazał ustawić ogrodzenie, przypominało mu - dzień w dzień - jak bardzo przyczynił się do rozwoju firmy Sawyer i Sloat oraz jak rozsądne były jego żądania.

Poczucie, iż jego największe pragnienia są usprawiedliwione, rozgorzało w nim w trakcie rozmowy z Richardem - ostatecznie właśnie dla syna chciał przejąć udziały po Philu Sawyerze. Richard w pewnym sensie zapewniał nieśmiertelność Sloatowi. Powinien uczyć się zarządzania w najlepszych szkołach i zdobyć dyplom prawniczy przed przystąpieniem do firmy; uzbrojony w ten sposób Richard zdołałby poprowadzić całą skomplikowaną i delikatną maszynę Sawyer i Sloat w następne stulecie. Niedorzeczne ambicje chłopaka, by zostać chemikiem, nie mogły ostać się długo, jeśli ojciec postanowił je uśmiercić - Richard był wystarczająco inteligentny, by pojąć, że działalność jego ojca jest o wiele bardziej interesująca, nie wspominając o tym, że znacznie bardziej popłatna niż ślęczenie z probówką nad palnikiem bunsenowskim. Rojenia o byciu "chemikiem eksperymentalnym" powinny szybko zblednąć, gdy tylko chłopak zacznie poznawać prawdziwy świat. A jeśli Richard przejmował się uczciwym potraktowaniem Jacka Sawyera, trzeba mu było uświadomić, że pięćdziesiąt tysięcy rocznie i zagwarantowana nauka w college'u to nie tylko uczciwość, ale wręcz wspaniałomyślność. Było to potraktowanie wręcz książęce. Poza tym, czy ktokolwiek mógł powiedzieć, że Jack chciałby mieć udział w firmie lub był obdarzony jakimkolwiek talentem do jej prowadzenia?

No i bez przerwy zdarzały się jakieś wypadki. Kto mógł zagwarantować, że Jack Sawyer w ogóle dożyje dwudziestki?

- W gruncie rzeczy to tylko kwestia uporządkowania wszystkich papierów, wszystkich tytułów własności - powiedział Sloat synowi. - Lily za długo się przede mną ukrywała. Możesz mi wierzyć na słowo, że jej mózg zamienił się do tej pory w ser szwajcarski. Prawdopodobnie nie przeżyje roku. Jeśli się do niej nie pofatyguję teraz, kiedy wreszcie ją namierzyłem, będzie grać na zwłokę wystarczająco długo, żeby objąć wszystko postępowaniem spadkowym albo funduszem powierniczym, a nie sądzę, żeby mamuśka twojego kumpla pozwoliła mi nim zarządzać. Och, nie chcę cię nudzić moimi kłopotami. Po prostu chciałem ci powiedzieć, że nie będzie mnie w domu przez kilka dni, na wypadek gdybyś dzwonił. Pamiętaj o pociągu, dobrze? Musimy się nim znowu przejechać.

Chłopiec obiecał, że napisze, będzie ciężko pracował i przestanie martwić się o swojego ojca, Lily Cavanaugh czy Jacka.

Sloat zamierzał pokazać swojemu posłusznemu synowi Terytoria, kiedy ten będzie, powiedzmy, na ostatnim roku Stanfordu czy Yale. Richard byłby wówczas sześć czy siedem lat młodszy niż jego ojciec, kiedy Phil Sawyer na pogodnym odlocie po trawce w ich pierwszym biurze w północnym Hollywood po raz pierwszy zdumiał, następnie rozwścieczył (gdyż Sloat był pewny, że Phil kpi sobie z niego), a wreszcie zaintrygował swojego partnera (ponieważ Phil był na pewno zbyt nawalony, żeby wymyślić sobie ten cały szajs o innym świecie - rodem z science fiction). Kiedy Richard zobaczy Terytoria, będzie po robocie - jeśli ojciec nie zdoła zmienić jego światopoglądu, one na pewno zrobią to za niego. Nawet ulotne zerknięcie na Terytoria wstrząsało posadami wiary we wszechmoc naukowców.

Sloat przejechał dłonią po lśniącem czubku głowy, następnie z satysfakcją pogładził wąsy. Dźwięk głosu syna w niejasny sposób podniósł go na duchu - dopóki Richard uprzejmie podążał jego śladami, wszystko było dobrze, wszystko było dobrze i wszelkie sprawy układały się dobrze. W Springfield w Illinois zapadła już noc. W dormitorium Nelson House w Thayer School Richard wracał korytarzem do biurka w swoim pokoju, być może rozmyślając o wspaniałym ubawie, jaki mieli - i będą mieć ponownie - w pociągu-zabawce Morgana, kursującym po prywatnej linii na wybrzeżu Kalifornii. Powinien już spać, gdy odrzutowiec ojca będzie przedzierać się przez odporne powietrze wysoko w górze i mniej więcej sto mil dalej na północ; Morgan Sloat mimo to zamierzał odsunąć zasłonkę iluminatora w kabinie pierwszej klasy i wyjrzeć w dół, licząc, że rozejdą się chmury i pokaże się księżyc.

Morgan chciał natychmiast pojechać do domu - znajdował się zaledwie trzydzieści minut drogi od biura - by móc się przebrać i coś zjeść, może wciągnąć działkę koki, nim ruszy



na lotnisko. Zamiast tego musiał jednak telepać się autostradą do Marina del Rey i spotkać się z klientem, który spłoszył się i pewnie trzeba go będzie wyślizgać z całego interesu; potem Morgana czekało spotkanie z tłumem przeszkadzaczy głoszących, że planowana przez Sawyer i Sloat budowa tuż za miastem doprowadzi do zanieczyszczenia plaży - spraw tych nie dawało się już było przełożyć. Chociaż Sloat przyrzekł sobie, że gdy tylko zajmie się Lily Cavanaugh i jej chłopakiem, zacznie redukować listę klientów, na razie łapał za ogon jeszcze większe sroki. Miał do przehandlowania całe światy i zamierza! dostać działkę o wiele większą niż marne dziesięć procent. Patrząc wstecz, Sloat sam sobie się dziwił, że aż tak długo tolerował Phila Sawyera. Jego partnerowi nigdy nie zależało na zwycięstwie w grze, nie na poważnie; przeszkadzały mu sentymenty - lojalność i honor. Uległ zepsuciu przez rzeczy, które wmawiało się dzieciom, żeby jako tako je ucywilizować, zanim otworzy im się oczy na cały ten świat. Chociaż w świetle stawek, o jakie Sloat grał obecnie, wydawało się to banalne, nie potrafił zapomnieć, że Sawyer był jego dłużnikiem - i to jakim! Na myśl, ile winien był mu jego partner, zgaga ścisnęła go w piersiach jak atak serca. Zanim Sloat dotarł do samochodu stojącego na wciąż oświetlonym słońcem parkingu, wepchnął rękę do kieszeni marynarki i wyciągnął pomięte opakowanie digelu.

Phil Sawyer nie docenił go, co wciąż jątrzyło. Ponieważ Phil traktował go niczym tresowanego grzechotnika, którego wypuszczało się z klatki jedynie w kontrolowanych warunkach, podobnie odnosili się do niego i inni. Chłopiec parkingowy, wsiowy kmiotek w połamanym kowbojskim kapeluszu, przyglądał się spod oka, jak Sloat okrąża niewielki samochód i sprawdza, czy nie ma na nim wgnieceń lub rys. Lekarstwo przeciw nadkwasocie niemal ugasiło ogień gorejący w piersi Morgana. Poczuł, że kołnierzyk zaczyna mu się lepić od potu. Pracownik parkingu nauczył się już, by się z nim nie spoufalać. Sloat mało nie obdarł go żywcem ze skóry kilka tygodni temu, gdy odkrył na drzwiach bmw drobne zadrapanie. W trakcie awantury zobaczył, że w zielonych oczach kmiotka wzbiera mroczna gwałtowność; z nagłym przyływem czegoś na kształt radości Sloat przysunął się do niego, wciąż obrzucając go mięsem i niemal oczekując, że mężczyzna się na niego zamierzy. Kmiotek jednak nagle stracił animusz. Słabo, wręcz przepaszająco zasugerował, że może ta tutaj maciupka, w zasadzie żadna ryska wzięła się skądinąd. Może kiedy parkowano bmw pod restauracją? Wiesz pan, jak się tam obchodzą z wozami, a po ciemku nie najlepiej widać, no to może...

“Zamknij śmierdzący ryj - powiedział Sloat. - Ta żadna ryska, jak ją nazwałeś, będzie mnie kosztowała mniej więcej tyle, ile zarabiasz przez dwa tygodnie. Powinienem cię od ręki wywalić, żebyś wracał do gnoju. Nie zrobię tylko dlatego, że istnieje mniej więcej dwuprocentowa szansa, że masz rację. Kiedy wczoraj wieczorem wychodziłem z Chasen's,

może nie zajrzałem pod klamkę. Może ZAJRZAŁEM, a może NIE ZAJRZAŁEM, ale jeżeli jeszcze raz odezwiesz się do mnie w ten sposób, jeżeli jeszcze raz powiesz cokolwiek poza «Dzień dobry, panie Sloat» czy «Do widzenia, panie Sloat», postaram się, żeby cię wywalono tak szybko, że się poczujesz, jakby ci ucięto głowę». Dlatego właśnie kmiotek przyglądał się inspekcji samochodu, wiedząc, że jeśli Sloat znajdzie jakiegokolwiek niedoskonałości na karoserii wozu, to topór opadnie. Bał się nawet podejść, żeby wypowiedzieć grzecznościowe pożegnanie. Czasami przez wychodzące na parking okno Sloat widział, jak chłopiec parkingowy z determinacją wyciera plamy ptasich odchodów czy błota z maski bmw. To właśnie jest zarządzanie, brachu.

Gdy Sloat wyjeżdżał z parkingu, popatrzył w tylne lusterko i zobaczył na twarzy kmiotka wyraz mniej więcej taki sam jak u Phila Sawyera w ostatnich sekundach życia - u czorta na uliczkach w Utah. Uśmiechał się niemal przez całą drogę do wjazdu na autostradę.

Philip Sawyer nie doceniał Morgana Sloata od czasu, gdy się poznali na pierwszym roku w Yale. Może dlatego, pomyślał z refleksją Sloat, że łatwo było go nie docenić. Mopsowaty osiemnastolatek z Akron, pozbawiony wdzięku, przytłoczony brzemieniem obaw i ambicji, który po raz pierwszy w życiu wyrwał się z Ohio. Słuchając, jak koledzy z roku beztrosko rozmawiają o Nowym Jorku, klubie "21" i "Stork Club", o wyprawach na koncerty Brubecka przy Basin Street i Errolla Garnera w "Vanguardzie", oblewał się potem, pragnąc zatuszować swoją ignorancję. "Naprawdę lubię ten ruch w śródmieściu", wtrącił tak obojętnie, jak tylko potrafił. Potniały mu jednak dłonie, skurcz ogarniał zaciśnięte palce. (Rankami Sloat często znajdował na nich tatuaże sinych wgnieceń, pozostawione przez paznokcie). "W której jego części?", spytał go Tom Woodbine. Pozostali zachichotali. "No, wiecie, na Broadwayu i w Village. Mniej więcej tam". Kolejne chichoty, jeszcze głośniejsze. Sloat był nieatrakcyjny i źle ubrany; jego garderoba składała się z dwóch garniturów, obydwóch szarych jak węgiel drzewny i najwidoczniej uszytych na człowieka o barkach jak strach na wróble. Zaczął łysieć jeszcze w szkole średniej; różowe ciemnię przeświecało przez krótkie, przyplaszczzone fryzury.

Nie, Sloat nie był piękny, i o to między innymi chodziło. Czuł się przez tamtych jak zaciśnięta pięść; w tamte porankisińce na dłoniach stanowiły niedoświetlone fotografie jego duszy. Tamci, wszyscy zainteresowani teatrem tak jak on i Sawyer, mieli dobre profile, płaskie brzuchy oraz pełne wdzięku i beztroski maniery. Wyciągali się na klubowych fotelach ich apartamentu w Davenport, podczas gdy Sloat stał w mgiełce potu, by nie pomiąć sobie spodni, bo dzięki temu mógł je nosić jeszcze kilka dni dłużej. Wydawali mu się czasami

zgrupowaniem młodych bogów - kaszmirowe swetry, które zarzucali sobie na ramiona, kojarzyły mu się ze złotym runem. Snuli plany zostania aktorami, dramaturgami, pisarzami. Sloat widział się natomiast w roli reżysera - wplątującego ich w sieć intryg i komplikacji, którą tylko on mógł rozwikłać.

Sawyer i Tom Woodbine - obydwaj wydający się Sloatowi niewyobrażalnie bogaci - zajmowali wspólny pokój. Woodbine jedynie trochę interesował się teatrem i kręcił się przy studenckim kółku dramatycznym tylko dlatego, że występował w nim Phil. Thomas Woodbine, kolejny pozłacany chłopiec z prywatnej szkoły, różnił się od pozostałych swoją absolutną powagą i bezpośredniością. Zamierzał zostać prawnikiem i już wydawał się cechować uczciwością i bezstronnością godną sędziego. (W istocie większość znajomych Woodbine'a myślała, że znajdzie się ostatecznie w Sądzie Najwyższym, ku sporemu zażenowaniu samego zainteresowanego). Woodbine był według kryteriów Sloata pozbawiony ambicji; bardziej interesowało go życie prawe niż wygodne. Oczywiście miał wszystko, a to, czego mu przypadkiem brakowało, błyskawicznie dostawał od innych. Jakim cudem tak rozpuszczony przez naturę i przyjaźń młokos mógłby być ambitny? Sloat niemal podświadomie gardził Woodbine'em i nie potrafił zmusić się do mówienia mu "Tommy".

Sloat wyreżyserował dwie sztuki podczas czterech lat nauki na Yale: "Bez wyjścia", którą w studenckiej gazecie określono "pełnym furii zamętem", oraz "Volpone". Tę inscenizację oceniono jako "zgrzytającą, cyniczną, złowieszczą i niemal niewiarygodnie bałaganiarską". Odpowiedzialnością za większość tych określeń obarczono Sloata. Być może istotnie nie nadawał się na reżysera - być może jego widzenie rzeczywistości było zbyt intensywne i zawężone. Jego ambicje nie zmniejszyły się jednak, tylko przeniósł się punkt ich ciężkości. Skoro ostatecznie nie miał stanąć za kamerą, mógł być za plecami tych, którzy się nią posługiwali. Phil Sawyer również zaczął myśleć w ten sposób - Phil nigdy nie był pewny, do czego może go doprowadzić jego fascynacja teatrem, chociaż pewnie podejrzewał, że ma talent do reprezentowania aktorów i pisarzy. "Wyjedźmy do Los Angeles i otwórzmy agencję - zaproponował Sloatowi Phil na ostatnim roku. - Wariacki pomysł, a nasi rodzice nas znienawidzą, ale może się uda. Najwyżej przez parę lat będziemy głodować".

Phil Sawyer, jak Sloat zdążył się dowiedzieć od czasów pierwszego roku, nie był w rzeczywistości bogaty. Jedynie wyglądał na bogatego.

"Kiedy będziemy mogli sobie na to pozwolić, zatrudnimy Tommy'ego jako naszego prawnika. Do tego czasu skończy studia prawnicze".

"Jasne, zgoda - powiedział Sloat, myśląc, że we właściwym czasie zdoła storpedować ten pomysł. - Jak się nazwiemy?"

“Jak zechcesz. Sloat i Sawyer? Czy też mamy trzymać się kolejności alfabetycznej?”.

“Sawyer i Sloat. Pewnie, wspaniale, w porządku alfabetycznym”, odrzekł Morgan, burząc się w duchu, bo doszedł do wniosku, że jego partner celowo nie dał mu innego wyjścia i musi zaakceptować nazwę, która wiecznie będzie sugerować, że on, Sloat, gra w tym układzie drugie skrzypce.

Zgodnie z przewidywaniami Phila ich rodzice niechętnie odnieśli się do tego pomysłu, lecz wspólnicy będącej w powijakach agencji artystycznej pojechali do Los Angeles starym desoto (własnością Morgana - co znowu dowodziło, ile Sawyer mu zawdzięczał), urządzili biuro w obdarzonym szczęśliwą populacją szczurów i pcheł budynku w północnym Hollywood, po czym zaczęli wysiadywać w klubach i rozdawać jeszcze ciepłe firmowe wizytówki. I nic - prawie przez cztery miesiące dosłownie nic. Mieli komika, który za bardzo się upijał, by śmieszyć, niepotrafiącego pisać pisarza i striptizerkę upierającą się przy honorariach w gotówce, by mogła wykiwać swoich agentów. Wreszcie pewnego późnego popołudnia nawalony marihuaną i whisky Phil Sawyer opowiedział z chichotem Sloatowi o Terytoriach.

*Wiesz, co potrafisz, ty ambitny taki-owaki? Och, umiem podróżować, partnerze. Tak daleko, jak tylko można.*

Wkrótce potem, gdy obydwaj już podróżowali, Phil Sawyer poznał na przyjęciu w studiu wybijającą się młodą aktorkę i w ciągu godziny mieli pierwszego poważnego klienta. Aktorka z kolei miała troje przyjaciół, równie niezadowolonych ze swoich agentów. Jedna z przyjaciółek miała chłopaka, który napisał rzeczywiście udany scenariusz, a chłopak miał kumpla... Nim dobiegł końca trzeci rok ich działalności, dorobili się nowego biura, nowego mieszkania i kawałka hollywoodzkiego placka. W sposób, z którym Sloat się godził, ale którego nigdy nie pojął, Terytoria obdarzyły ich swym błogosławieństwem.

Sawyer zajmował się klientami, a Sloat - pieniędzmi, inwestycjami i rynkową stroną agencji. Sawyer wydawał pieniądze - na obiady czy bilety lotnicze - a Sloat je oszczędzał; było to dla niego wystarczające usprawiedliwienie, by uszczknąć ich trochę dla siebie. To właśnie Sloat popychał partnera do zapuszczania się w nowe sfery działalności: przygotowania pod budowy, nieruchomości, produkcję filmów. Zanim w Los Angeles zjawił się Tommy Woodbine, firma Sawyer i Sloat była warta pięć milionów dolarów.

Sloat doszedł do wniosku, że nadal gardzi dawnym kolegą z roku. Tommy Woodbine przytył trzydzieści funtów; w trzyczęściowych garniturach wyglądał i zachowywał się jeszcze bardziej po sędziowsku. Miał zawsze lekko zarumienione policzki (alkoholik? - zastanawiał się Sloat); zachowywał się nieodmiennie łaskawie i rozważnie. Świat pozostawił na nim

swoje znaki - eleganckie zmarszczki w kącikach oczu, które miały znacznie czujniejszy wyraz niż u pozłacanego chłopca z Yale. Sloat prawie od razu się zorientował - i wiedział, że Phil Sawyer pewnie nigdy by tego nie dostrzegł, gdyby mu nie powiedziano - iż Tommy Woodbine żył z wielką tajemnicą. Kimkolwiek pozłacany chłopak był w przeszłości, teraz był homoseksualistą. Pewnie nazywał się gejem. To wszystko ułatwiało - w końcu uprościło nawet pozbycie się Tommy'ego.

Pedały przecież stale giną, czyż nie? Poza tym czy ktokolwiek rzeczywiście chciałby, żeby dwustudziesięciofuntowy pedał odpowiadał za wychowywanie nastoletniego chłopca? Można by rzec, że Sloat jedynie ocalił Phila Sawyera od pośmiertnych konsekwencji poważnego błędu w ocenie. Gdyby Sawyer uczynił Sloata wykonawcą swojego testamentu i opiekunem prawnym syna, obyłoby się bez kłopotów. Ponieważ stało się inaczej, zabójcy z Terytoriów - ta sama para, która schrzaniła porwanie chłopca - przejechali skrzyżowanie na czerwonym świetle i niemal zostali aresztowani, zanim zdolali wrócić do swojego świata.

Wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, rozmyślał Sloat chyba po raz tysięczny, gdyby Phil Sawyer nigdy się nie ożenił. Gdyby nie było Lily, nie urodziłby się Jack. Gdyby nie było Jacka, nie pojawiłyby się problemy. Phil pewnie nawet nigdy nie zajrzał w raporty Sloata dotyczące młodości Lily Cavanaugh: znajdowały się w nich adnotacje gdzie, z kim i jak często, co powinno uśmiercić ten romans równie nieodwołalnie, jak czarna furgonetka zamieniła Tommy'ego Woodbine'a w placek na drodze. Jeśli Sawyer przeczytał te drobiazgowo raporty, to w zdumiewający sposób nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Chciał ożenić się z Lily Cavanaugh i to zrobił. A jego przeklęty Dwójnik poślubił Królową Laurę. Kolejny dowód niedoceniań realiiów - co Dwójnik przypłacił w ten sam sposób i sprawiedliwości stało się zadość.

Oznaczało to, pomyślał z niejaką satysfakcją Sloat, iż po zajęciu się kilkoma szczegółami wszystko wreszcie ułoży się jak należy. Po tylu latach - gdy wróci z Arcadia Beach, powinien mieć całą firmę Sawyer i Sloat w kieszeni. Również w Terytoriach wszystko układało się tak, jak powinno: balansowało, gotowe wpaść Morganowi w ręce. Natychmiast po śmierci Królowej były zastępca jej małżonka miał objąć rządy w całej krainie, wprowadzając drobne, interesujące zmiany, których pożądał zarówno on, jak i Sloat. Wtedy pozostanie tylko patrzeć, jak forsa wpada im w ręce, pomyślał Sloat, zjeżdżając z autostrady w Marina del Rey. Nie tylko pieniądze - wszystko będzie w nie wpadać!

Jego klient, Asher Dondorf, mieszkał tuż przy plaży w dolnej połowie nowego kondominium przy jednej z wąskich, przypominających zaułki ulic miasteczka. Dondorf był starym aktorem charakterystycznym, który osiągnął zaskakujący poziom sławy i popularności

pod koniec lat siedemdziesiątych dzięki roli w serialu telewizyjnym. Kreował gospodarza domu, w którym mieszkała para młodych detektywów, gwiazd tego filmu - milusich jak małe pandy. Dondorf dostał tyle listów po krótkich sekwencjach w pierwszych odcinkach, że scenarzyści poszerzyli jego rolę; uczynili go nieoficjalnym ojcem pary detektywów, pozwolili rozwiązać jedno czy dwa morderstwa, narażali go na niebezpieczeństwa i tak dalej. Honorarium aktora wzrosło dwukrotnie, trzykrotnie, czterokrotnie - a gdy po sześciu latach zaprzestano produkcji serialu, wrócił do gry w filmach kinowych. Na tym właśnie polegał problem. Dondorfowi wydawało się, że jest gwiazdą, lecz producenci nadal uważali go za aktora charakterystycznego - popularnego, ale nie stanowiącego poważnej atrakcji w żadnym przedsięwzięciu. Dondorf pragnął kwiatów w garderobie, własnej fryzjerki i instruktora dialogów, więcej pieniędzy, więcej respektu, więcej miłości - więcej wszystkiego. W rzeczywistości był żalonym kutasem.

Gdy Sloat wprowadził samochód na ciasne miejsce do parkowania i wysiadł ostrożnie, by nie porysować skraju drzwi o cegły, uświadomił sobie kolejną rzecz: jeśli w ciągu kilku najbliższych dni dowie się czy choćby zacznie podejrzewać, że Jack Sawyer odkrył istnienie Terytoriów, to go zabije. Istniało przecież coś takiego jak ryzyko nie do przyjęcia.

Sloat uśmiechnął się do siebie, wrzucił w usta kolejną tabletkę digelu i zastukał do drzwi mieszkania. Wiedział już: Ashen Dondorf zamierzał odebrać sobie życie. Dokona tego w salonie, robiąc olbrzymi bałagan. Pełen temperamentu palant w rodzaju jego wkrótce byłego klienta na pewno doszedłby do wniosku, że bałaganiarskie na potęgę samobójstwo stanowi idealny sposób zemsty na banku, w którym zaciągnięto pożyczkę na hipotekę domu. Gdy blade, drżący Dondorf otworzył drzwi, ciepły uśmiech Sloata był autentycznie szczery.

## **Część II - Szlak próby**

## Rozdział szósty - Pawilon Królowej

### 1

Przypominające zęby piły żdźbła traw znajdujące się na wprost oczu Jacka wydawały się wysokie i sztywne jak szable. Cięły wiatr, a nie zginały się pod jego naporem. Jack stęknął i unióśł głowę. W żołądku niemiło mu się przelewało, paliły go oczy i czoło. Dźwignął się na kolana i wreszcie zmusił się, żeby wstać. Po pokrytym kurzem trakcie toczył się w jego kierunku długi wóz ciągnięty przez konia. Woźnica, brodaty mężczyzna o rumianej twarzy oraz postawie i rozmiarach mniej więcej takich samych jak grzechoczące za jego plecami beczki, patrzył uważnie na chłopca. Jack kiwnął głową i spróbował dobrze przyjrzeć się woźnicy, równocześnie starając się wyrzucić wrażenie obiboka, który wymknął się bez pozwolenia, żeby sobie trochę pospać. Gdy wstał, przeszły mu mdłości; w istocie poczuł się lepiej niż kiedykolwiek od wyjazdu z Los Angeles - nie tylko zdrowy, lecz w jakiś tajemniczy sposób w harmonii ze swoim ciałem. Ciepłe powietrze Terytoriów, przeniknięte wyjątkowo przyjemną wonią, muskało delikatnie jego twarz. Mimo silniejszego odoru surowego mięsa dawał się w nim wyraźnie wyczuć jego własny, delikatny i kwietny aromat. Jack przetarł twarz rękami i popatrzył spomiędzy palców na woźnicę - pierwszego reprezentanta mieszkańców Terytoriów.

Jak powinien odpowiedzieć, jeśli mężczyzna się do niego odezwie? Czy w ogóle znano tu angielski? Przez chwilę Jack wyobraził sobie, jak stara się pozostać niezauważony w świecie, w którym ludzie zwracali się do siebie: "Racz waść" bądź "Azaliż chodzisz z podwiązkami na krzyż, chudopachołku?". Uznał, że jeśli tak właśnie jest, uda niemowę.

Woźnica oderwał wreszcie wzrok od Jacka i wymamrotał do koni coś zdecydowanie nieprzypominającego amerykańskiej angielszczyzny lat osiemdziesiątych dwudziestego stulecia: *Slusza, slusza, slusza!* A może tak właśnie mówiło się do koni? Jack cofnął się głębiej w trawę morską, żałując, że nie zdołał wstać kilka sekund wcześniej. Mężczyzna spojrzał na chłopca ponownie i zaskoczył go kiwnięciem głowy - gestem ani przyjaznym, ani nieprzyjaznym, stanowiącym jedynie symbol porozumiewania się między równymi sobie. *Będę zadowolony, kiedy skończę z pracą na dzisiaj, bracie.* Jack odpowiedział skinieniem i spróbował wsunąć ręce w kieszenie. Przez chwilę na skutek tego swojego zdumienia musiał wyglądać na półgłówka. Woźnica roześmiał się - dość życzliwie.

Ubranie Jacka uległo przemianie: zamiast sztruksowych spodni miał teraz na sobie obszerne portki z surowej wełny. Powyżej pasa okrywała go dopasowana kurta z miękkiej,



niebieskiej tkaniny. Zamiast guzików do kurtki, może kaftana? - spróbował się domyślić, przyszyto rząd płóciennych oczek i haftek. Podobnie jak spodnie, najwyraźniej wykonano ją ręcznie. Znikły też tenisówki, a zastąpiły je płaskie skórzane sandały. Plecak przemienił się w skórzaną sakwę, trzymającą się na cienkim pasku na ramieniu. Woźnica był ubrany niemal dokładnie w ten sam sposób; jego kaftan pokrywały tak gęste, zlewające się ze sobą plamy, że widać było koncentryczne pierścienie, jak na pniu starego drzewa.

Wóz minął Jacka, grzechocząc i wznosząc obłok kurzu. Z beczek rozchodziła się woń drożdży piwnych. Za beczkami znajdowała się potrójna sterta czegoś, co Jack z początku wziął za opony samochodowe. Wyczuł jednak ich zapach i w tej samej chwili zobaczył, że były całkowicie łyse - woń była śmietankowa, pełna tajemnych głębi i subtelnych rozkoszy. Natychmiast obudziła w chłopcu głód. Był to ser, ale zupełnie inny od tych, których dotąd próbował. Za kręgami sera przy końcu wozu leżały płyty surowego mięsa: długie, obdarte ze skóry tusze wołowe, wielkie jak chodnikowe płyty zrazy, zwał przypominających sznury narządów wewnętrznych, których Jack nie potrafił zidentyfikować. Pokrywał je rój lśniących much. Potężny smród surowego mięsa oszołomił chłopca, zabijając rozbudzony przez sery głód. Gdy wóz minął Jacka, chłopiec wyszedł na środek traktu i patrzył, jak podskakujący pojazd wspina się na szczyt niewielkiego wzniesienia. Sekundę później ruszył jego śladem na północ.

Dotarł do połowy wysokości wzgórza, gdy ponownie dojrzał wierzchołek wielkiego pawilonu - nieruchome tło dla rzędu wąskich, łopoczących flag. Przypuszczał, że właśnie letni pałac był pierwszym z jego celów. Po kilku kolejnych krokach minął kępę jeżyn, przy których zatrzymał się poprzednio (przypominając sobie, jakie były pyszne, wrzucił do ust dwa wielkie owoce), a po chwili mógł już zobaczyć namiot w całości. Był to w istocie wielki, rozłożysty pawilon z długimi skrzydłami po bokach, bramą i dziedzińcem. Podobnie jak Alhambra, ta ekscentryczna budowla - letni pałac, jak podpowiadała Jackowi intuicja - stał tuż nad oceanem. Sznureczki ludzi sunęły do środka i dookoła pawilonu, kierowane siłami tak potężnymi i niewidzialnymi, jak oddziaływanie magnesu na żelazne opiłki. Małe grupki spotykały się, rozdzielały i ruszały w dalszą drogę.

Niektórzy mężczyźni mieli na sobie jaskrawe, wystawne kostiumy, chociaż wielu było ubranych podobnie jak Jack. Nieliczne kobiety w długich, lśniących białych sukniach czy też szatach wędrowały po dziedzińcu, roztaczając aurę takiego zdecydowania jak generałowie. Pod bramą rozstawiono zbieraninę mniejszych namiotów i najwyraźniej naprędce skleconych drewnianych szop; tu również kręcili się ludzie - jedli, kupowali i rozmawiali, ale

zachowywali się o wiele chaotyczniej i swobodniej. Jack musiał odnaleźć w tym krzątającym się tłumie człowieka z blizną.

Przedtem jednak popatrzył za siebie wzdłuż traktu z głębokimi koleinami, bo nurtowało go, co stało się z wesołym miasteczkiem.

Najpierw dojrzał dwa niewielkie, ciemne konie, ciągnące pługi i pomyślał, że park rozrywki zamienił się w farmę, następnie jednak dostrzegł na końcu pola przyglądający się oraczom tłumek i domyślił się, że to jakiegoś rodzaju zawody. Po chwili jego spojrzenie przykuł olbrzymi, rudowłosy mężczyzna, rozebrany do pasa i wirujący jak bąk. Mężczyzna nagle przestał się obracać i wypuścił z rąk jakiś przedmiot, który przeleciał sporą odległość i upadł z łoskotem w trawę. Okazało się, że to młot. Wesołe miasteczko zamieniło się w jarmark, nie farmę - Jack dostrzegł wreszcie zawałone jedzeniem stoły i dzieci na ramionach rodziców.

Czy gdzieś po jarmarku kręcił się pilnujący, czy wszystkie rzemienie i uprząże są solidne, a pod każdy piec dołożono drewna - Speedy Parker? Jack miał nadzieję, że tak.

Czy matka wciąż siedziała sama w "Arcadia Tea and Jam Shoppe", zastanawiając się, dlaczego pozwoliła synowi na tę wyprawę?

Jack odwrócił się i zobaczył, że długi wóz wtacza się przez bramę letniego pałacu i skręca w lewo, rozdzielając tłum tak, jak skręcający z Piątej Alei samochód wciska się pomiędzy ludzi na przejściu przez boczną ulicę. W chwilę później chłopiec ruszył jego śladem.

## 2

Jack bał się, że wszyscy ludzie, którzy kręcili się wokół pawilonu, będą odwracali się i obserwowali go, natychmiast wyczuwając, że się od nich różni. Kiedy tylko mógł, skromnie spuszczał oczy i udawał chłopca, którego posłano ze skomplikowanym zadaniem - miał wrócić z wieloma różnymi rzeczami, a na jego twarzy odbijał się wysiłek, z jakim starał się wszystko spamiętać. *Szpadel, dwa kilofy, kłębek sznurka, butelka gęsiego smalcu...* Stopniowo zdał sobie jednak sprawę, że żaden z dorosłych ludzi pod letnim pałacem nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Spieszyli się lub marudzili, przyglądali się towarom - dywanom, żelaznym garnkom, bransoletom - wystawionym w małych namiotach, pili z drewnianych kubków, szarpali się za rękawy, by poczynić uwagę czy wszcząć rozmowę, wyklócali się z wartownikami przy bramie. Każdego bez reszty pochłaniały jego sprawy. Poza Jacka była tak

niepotrzebna, że aż niedorzeczna. Wyprostował się i ruszył szybciej w stronę bramy, zataczając nierówny półokrąg.

Niemal natychmiast dostrzegł, że nie zdoła tak po prostu przez nią przejść - dwaj wartownicy po bokach zatrzymywali i przepytывali niemal każdego, kto chciał dostać się do środka letniego pałacu. Trzeba było okazać dokument, godło lub pieczęć, upoważniające do wejścia. Jack miał tylko kostkę do gry na gitarze od Speedy'ego; nie sądził, żeby pozwoliła mu ona przedostać się przez inspekcję straży. Mężczyzna, który właśnie podszedł do bramy, machnął okrągłą srebrną odznaką; wpuszczono go do środka, ale człowieka za nim zatrzymano. Z początku się klócił, lecz wkrótce zmienił strategię. Jack dostrzegł, że błaga, ale strażnik pokręcił głową i kazał mężczyźnie odejść.

- Jego ludzie nie mają żadnych kłopotów z wejściem - powiedział ktoś po prawej stronie Jacka, natychmiast rozwiązując problem języka Terytoriów.

Chłopiec odwrócił głowę, by zorientować się, czy mężczyzna w średnim wieku mówił do niego. Zwracał się on jednak do swego towarzysza, również ubranego w prosty, pospolity strój, jakie nosiła większość mężczyzn i kobiet pod pałacem.

- Lepiej, żeby nie mieli - odparł drugi człowiek. - Ma się tu zjawić, i to pewnie dzisiaj. Jack ustawił się za nimi i podszedł ich śladem do bramy.

Wartownicy wyszli na ich spotkanie. Ponieważ obydwaj mężczyźni podeszli do tego samego strażnika, drugi przywołał do siebie stojącego bliżej. Jack trzymał się z tyłu. Wciąż nie widział nikogo z blizną ani żadnego oficera. Wartownicy byli jedynymi żołnierzami w zasięgu wzroku. Młodzieńcy sprawiali wrażenie wieśniaków przebranych w wymyślne kostiumy - wyglądali tak przez szerokie, rumiane twarze, wychylające się z nad kunsztownie marszczonych i plisowanych uniformów. Dwaj mężczyźni, za którymi posuwał się Jack, odpowiedzieli zadowolająco na pytania straży, ponieważ po chwili rozmowy wartownicy cofnęli się i przepuścili ich. Jeden ze strażników rzucił chłopcu surowe spojrzenie. Jack zwiesił głowę i cofnął się.

Gdyby nie znalazł kapitana z blizną, nie miałby żadnej szansy dostać się na teren pałacu.

Do strażnika, który przyglądał się Jackowi, podeszła grupka ludzi i natychmiast zaczęła się handryczyć. Byli umówieni, trzeba ich wpuścić, to sprawa wielkich pieniędzy. Niestety nie mieli papierów. Wartownik potrząsnął głową, ocierając podbródkiem o białą kryzę uniformu. Zastanawiając się, w jaki sposób odszukać kapitana, Jack przyglądał się, jak przywódca grupki wymachuje rękami, aż wreszcie wali zwiniętą pięścią w dłoń. Twarz mężczyzny nabrała tak samo rumianej barwy jak oblicze strażnika. W końcu zaczął szturchać

go wskazującym palcem. Drugi wartownik dołączył do towarzysza - obydwaj wyglądali na znudzonych i nieprzychylnie nastawionych.

Po chwili obok nich bezgłośnie zmaterializował się wysoki, wyprostowany mężczyzna w nieco odmiennym mundurze. Być może wiązało się to ze sposobem, w jaki go nosił, ale przynajmniej on wyglądał na kogoś, kto w takim kostiumie mógłby pojawić się na polu bitwy, a nie tylko w operetce. Po paru sekundach Jack zauważył, że mężczyzna nie miał kryzy, a jego kapelusz był spiczasty, a nie trójrożny. Powiedział coś do wartowników i zwrócił się do przywódcy grupki. Krzyki i szturchanie palcem ustały, mężczyzna zniżył ton. Jack zorientował się, że minęła groźba awantury. Członkowie grupki opuścili ręce i wiercili się w miejscu. Powoli zaczęli się rozchodzić. Oficer popatrzył za nimi, po czym odwrócił się do strażników, by udzielić im napomnienia.

Kiedy przez chwilę oficer stał zwrócony w stronę Jacka - w rezultacie przeganiając grupkę natrętów samą swoją obecnością - Jack dostrzegł na jego twarzy długą, bladą bliznę o kształcie błyskawicy, rozpoczynającą się pod okiem i kończącą tuż nad szczęką.

Oficer kiwnął głową wartownikom i ruszył rażno dalej. Nie oglądając się na boki, przebijał się przez tłum, najwyraźniej kierując się za róg pawilonu. Jack poszedł za nim.

- Proszę pana! - krzyknął, ale oficer zmierzał dalej przez powoli przemieszczający się tłum.

Jack obiegł garstkę mężczyzn i kobiet, wlokących świnie w stronę jednego z małych namiotów. Przepchnął się przez lukę między dwoma kolejnymi grupkami, zmierzającymi w stronę bramy, i wreszcie zbliżył się do oficera na tyle, by dosięgnąć jego łokcia.

- Panie kapitanie?

Oficer obrócił się na pięcie. Jack zamarł w miejscu. Z bliska gruba blizna wydawała się żyć własnym życiem. Nawet bez niej to oblicze wyrażałoby wyjątkowe zniecierpliwienie, pomyślał Jack.

- O co chodzi, chłopcze? - zapytał mężczyzna.

- Mam zwrócić się do pana, kapitanie... Muszę zobaczyć Królową, ale chyba nie zdołam dostać się do pałacu. Och, miałem to panu pokazać.

Wepchnął rękę do obszernej kieszeni portek, w których jeszcze czuł się obco, i zacisnął palce na trójkątnym przedmiocie.

Gdy zobaczył go na swej rozpostartej dłoni, wstrząsnęło nim zdumienie. Trzymał w niej nie kostkę do gry na gitarze, lecz długi ząb, być może rekina, inkrustowany krętym, zawiłym wzorem ze złota.

Jack podniósł wzrok na twarz kapitana, trochę spodziewając się razów, lecz dostrzegł na niej jedynie odbicie swojego oszołomienia. Zniecierpliwienie oficera - wydające się jego nieodłączną cechą - całkowicie znikło; surowe rysy mężczyzny momentalnie wykrzywiła niepewność, może nawet lęk. Kapitan wyciągnął rękę; Jack pomyślał, że chce wziąć od niego ozdobny ząb. Dałby mu go, lecz mężczyzna jedynie zacisnął palce chłopca na przedmiocie.

- Idź za mną - powiedział po prostu.

Przeszli za róg wielkiego pawilonu. Kapitan zaprowadził Jacka w zakątek za wielkim, trójkątnym jak żagiel splecionym białym, sztywnym płótnem. W panującym pod nim półcieniu twarz żołnierza wyglądała, jakby narysowano ją grubą, różową kredką.

- Ten znak - rzekł dość spokojnie oficer. - Skąd go masz?

- Od Speedy'ego Parkera. Powiedział, że jak pana odszukam, mam go pokazać.

- Nie znam tego nazwiska. - Kapitan potrząsnął głową. - Daj mi ten znak. Natychmiast. - Silnie chwycił nadgarstek Jacka. - Masz mi go oddać i powiedzieć, gdzie go ukradłeś.

- Mówię prawdę - odparł Jack. - Dostałem go od Lestera Speedy'ego Parkera. Pracuje w wesołym miasteczku. Tyle tylko, że kiedy go od niego dostałem, to nie był ząb, ale kostka do gry na gitarze.

- Chyba nie rozumiesz, co cię czeka, chłopcze.

- Zna go pan - rzekł błagalnie Jack. - Opisał mi pana, powiedział, że jest pan kapitanem Gwardii Zewnętrznej. Speedy kazał mi pana odnaleźć.

Kapitan pokręcił głową i jeszcze wzmocnił uścisk na nadgarstku Jacka.

- Opisz mi tego człowieka. Jeśli kłamiesz, chłopcze, to natychmiast się zorientuję, więc na twoim miejscu bym się postarał.

- Speedy jest stary - powiedział Jack. - Był kiedyś muzykiem. - Chyba dostrzegł w oczach żołnierza iskrę zrozumienia. - To Murzyn... ma czarną skórę. I siwe włosy. Głębokie zmarszczki na twarzy. I jest bardzo chudy, ale o wiele silniejszy, niż wygląda.

- Czarny? Chciałeś powiedzieć: brązowy?

- No... czarni nie są naprawdę czarni. Tak jak biali nie są naprawdę biali.

- Brązowy człowiek o nazwisku Parker. - Kapitan ostrożnie wypuścił z dłoni nadgarstek Jacka. - Tutaj nazywa się Parkus. A więc jesteś z... - Skinieniem głowy wskazał odległy, niewidzialny punkt na horyzoncie.

- Właśnie - odparł Jack.

- A Parkus... Parker... przysłał cię, żebyś zobaczył naszą Królową.

- Powiedział, że chciałby, bym ją zobaczył. I że pan może mnie do niej zabrać.

- Musimy to zrobić szybko - odrzekł kapitan. - Chyba wiem, jak się do tego zabrać, ale nie mamy czasu do stracenia. - Zmienił z wojskową sprawnością tok rozumowania. - Posłuchaj mnie teraz: mamy tu mnóstwo bękartów, toteż udamy, że jesteś moim synem z nieprawego łoża. Nie posłuchałeś mnie w jakiejś drobnej sprawie, więc jestem na ciebie zły. Chyba nikt nas nie zatrzyma, jeśli przekonująco to zagramy. Przynajmniej zdołam zabrać cię do środka - ale kiedy się tam znajdziemy, zrobi się trochę gorzej. Myślisz, że potrafisz to zrobić? Przekonać ludzi, że jesteś moim synem?

- Moja matka jest aktorką - odparł Jack, czując na nowo dumę z tego faktu.

- No cóż, zobaczymy w takim razie, czego się nauczyłeś - powiedział kapitan i mrugnął do Jacka, co chłopca trochę zdziwiło. - Postaram się nie sprawiać ci bólu. - Następnie ponownie zaskoczył Jacka, tym razem zaciskając silnie dłoń na jego ramieniu. - Idziemy! - rzekł i wyszedł spod osłony fałdu płótna, na poły wlokąc chłopca za sobą.

- Kiedy ci każę myć bruk pod kuchnią, to masz to wykonać! - niemal krzyczał kapitan, nie patrząc na Jacka. - Zrozumiałeś? Masz robić, co do ciebie należy. A jeśli nie, to trzeba cię ukarać.

- Przecież zmyłem kawałek bruku... - jęknął Jack.

- Nie kazałem ci zmyć kawałka! - wrzasnął kapitan, wlokąc dalej chłopca.

Ludzie przed nimi rozstępowali się, dając im przejście. Niektórzy uśmiechali się do Jacka ze współczuciem.

- Miałem to zrobić! Naprawdę! Zamierzałem wrócić za minutę...

Żołnierz pociągnął go w stronę bramy i przeprowadził przez nią, nie oglądając się nawet na wartowników.

- Tato, nie! - zawył Jack. - Boli!

- Dopiero cię zaboli, już ja tego dopilnuję! - odezwał się kapitan i powłókł go przez szeroki dziedziniec, który Jack zobaczył z drogi.

Po drugiej stronie dziedzińca wciągnął go po drewnianych schodkach do wnętrza pałacu.

- Teraz musisz grać naprawdę dobrze - szepnął i natychmiast ruszył długim korytarzem, ściskając ramię chłopca wystarczająco silnie, by zostawić sińce.

- Obiecuję, że się poprawię! - krzyknął Jack.

Mężczyzna wciągnął go w drugi, węższy korytarz. Jack zorientował się, że układ pałacu w niczym nie przypomina wnętrza zwykłego namiotu. Był to labirynt przejść i małych pomieszczeń, w którym dominowała woń dymu i tłuszczu.

- Obiecuj! - ryknął kapitan.

- Obiecuję! Naprawdę!

Gdy wyszli z kolejnego korytarza, wykwintnie ubrani członkowie stojącej przed nimi grupki, którzy opierali się o ściany lub leżeli na sofach, obrócili głowy w stronę hałaśliwego duetu. Jeden z nich, zabawiający się komenderowaniem parą kobiet, dźwigających naręcza poskładanych płasko prześcieradeł, popatrzył podejrzliwie na kapitana i Jacka.

- A ja obiecuję, że wytlukę z ciebie grzeszność! - powiedział głośno oficer.

Paru mężczyzn się roześmiało. Mieli miękkie kapelusze o szerokich, lamowanych futrem rondach, welwetowe, wysokie buty - i bezmyślne twarze, z których biła chciwość. Wydający polecenia służącym mężczyzna, najwidoczniej najważniejszy spośród nich rangą, był wysoki i chudy jak szkielet. Na jego twarzy malowało się napięcie i nieposkromiona ambicja, powiódł wzrokiem za żołnierzem i chłopcem.

- Proszę, nie! - jęknął Jack. - Proszę!

- Za każdą prośbę oberwiesz jeszcze raz pasem - burknął oficer, a dworzanie znów się roześmieli.

Chudy mężczyzna uśmiechnął się lodowato, ledwie rozchylając wąskie wargi, nim odwrócił się z powrotem do służących.

Kapitan pociągnął chłopca do pustego pokoju, pełnego zakurzonych drewnianych mebli. Wreszcie puścił obolałe ramię Jacka.

- To byli jego ludzie - szepnął. - Jakie życie nas czeka, kiedy... - Potrząsnął głową i przez chwilę jakby zapomniał o pośpiechu. - W Księdze Dobrej Uprawy jest napisane, że łagodni posiadają ziemię, ale z nich wszystkich nie zebraloby się nawet łyżeczki pokory. Potrafią o niej tylko gadać. Pożądam bogactw, pragną... - Popatrzył w górę, nie chcąc lub nie potrafiąc powiedzieć, na czym jeszcze zależało tamtym ludziom. Po chwili spojrzął z powrotem na chłopca. - Będziemy musieli się pospieszyć, lecz pałac ma jeszcze na szczęście parę tajemnic, o których tamci nie wiedzą.

Skinął głową, wskazując spłowiałą drewnianą ściankę.

Jack ruszył za kapitanem. Zrozumiał, o co mu chodziło, gdy żołnierz pchnął dwie z płaskich, brązowych główek gwoździ wystających z końca pokrytej kurzem deski. Kawałek zrudziałej ściany uchylił się do środka, ukazując wąskie, ciemne przejście, nie wyższe niż postawiona na sztorc trumna.

- Będziesz mógł tylko rzucić na nią okiem, ale myślę, że to ci wystarczy. I tak niczego więcej nie możesz się spodziewać.

Chłopiec usłuchał niewypowiedzianej komendy, by wcisnąć się w przejście.

- Posuwaj się prosto, aż powiem ci, żebyś stanął - szepnął kapitan i zamknął za nimi ścienny panel.

Jack zaczął powoli iść naprzód w całkowitych ciemnościach. Przejście rozchodziło się na boki; tu i ówdzie wpadało trochę światła przez szczeliny ukrytych drzwi czy okno nad głową chłopca. Wkrótce stracił wszelkie poczucie kierunku i ślepo słuchał poleceń swojego towarzysza. W pewnej chwili dotarł do niego cudowny zapach pieczonego mięsiwa, nieco dalej - niedający się z niczym pomylić smród nieczystości.

- Stań! - polecił wreszcie kapitan. - Teraz będę musiał cię podnieść. Unieś ręce.

- Czy coś zobaczę?

- Za chwilę się przekonasz - odparł kapitan, wsunął chłopcu ręce pod pachy i podniósł go nad podłogę. - Masz przed sobą płytkę - szepnął. - Przesuń ją w lewo.

Jack na oślep wyciągnął dłoń i dotknął gładkiego drewna. Płytkę bez trudu się przesunęła; do przejścia wpadło dość światła, by Jack zobaczył, jak pajak wielkości kocięcia zmyka pod sufit. Chłopiec zajął do sali wielkości hotelowego holu, pełnego kobiet w bieli i mebli tak wspaniałych, że przypominały mu się wszystkie muzea, jakie odwiedził z rodzicami. W olbrzymim łożu na środku sali leżała śpiąca lub nieprzytomna kobieta; spod pościeli wystawały tylko jej głowa i barki.

W tej samej chwili Jack niemal krzyknął ze zdumienia i zgrozy, kobietą na łożu była bowiem jego matka - umierała.

- Zobaczyłeś ją szepnął kapitan i napiął silniej ramiona.

Jack przyglądał się matce z otwartymi ustami. Umierała - nie mógł już w to dłużej wątpić. Nawet jej skóra była wyblakła i wyglądała niezdrowo, a włosy posiwiały. Pielęgnujące ją kobiety krzątały się, wygładzając pościel i przekładając książki na stole, ale w gruncie rzeczy udawały zaabsorbowanie i to, że ich praca jest celowa, bo nie miały pojęcia, jak pomóc chorej. Wiedziały, że dla ich podopiecznej nie ma ratunku. Gdyby nawet dały z siebie wszystko, zdołałyby opóźnić śmierć zaledwie o tydzień czy najwyżej miesiąc.

Jack wrócił spojrzeniem do przypominającej woskową maskę twarzy i wreszcie spostrzegł, że kobieta na łożu nie jest w istocie jego matką. Miała bardziej zaokrąglony podbródek i nieco bardziej klasyczny kształt nosa. Umierającą kobietą była Dwójniczka jego matki - Laura DeLoessian. Jeśli Speedy chciał, by Jack zobaczył coś więcej, to chłopiec tego nie potrafił: biała, nieruchoma twarz nie mówiła nic więcej o kobiecie.

- Wystarczy - szepnął Jack i zasunął klapkę. Kapitan opuścił go na podłogę. - Co jej jest? - spytał chłopiec.



- Nikt nie potrafi tego ustalić - dobiegł go głos z góry. - Królowa nie widzi, nie może mówić, nie może się poruszyć... - Przez chwilę milczeli, aż wreszcie kapitan dotknął ręki Jacka i dodał: - Musimy wracać.

Po cichu wyszli z ciemności do pełnego kurzu, pustego pokoju. Kapitan otarł sznurowate pajęczyny, które przykleiły się do munduru. Przekrzywiwszy głowę, przez długą chwilę przyglądał się Jackowi wyraźnie zmartwiony.

- Teraz musisz odpowiedzieć na moje pytanie - nakazał.

- Tak?

- Przysłano cię, żebyś ją uratował? Żebyś ocalił Królową?

- Tak uważam... - Jack skinął głową. - Myślę, że po części dlatego. Proszę mi jedno powiedzieć. - Zawahał się. - Dlaczego ci cwaniacy nie przejmą władzy? Królowa przecież nie może ich powstrzymać.

Kapitan uśmiechnął się bez cienia wesołości.

- Dzięki mnie - odparł. - I moim ludziom. Powstrzymalibyśmy ich. Nie wiem, co knują na Rubieżach, bo tam trudno utrzymać ład - ale my tutaj pozostajemy wierni Królowej.

- Mięsień tuż pod powierzchnią policzka bez blizny zatrzepotał mu jak ryba. Przycisnął złożone do siebie dłonie. - Twoje rozkazy, wskazówki, cokolwiek... chodzi w nich o to, że masz ruszać na zachód, zgadza się?

Jack niemal wyczuwał wibrację w oficerze - żołnierz panował nad rosnącym podnieceniem jedynie dzięki wpajanej sobie przez całe życie dyscyplinie.

- Tak jest - przyznał. - Mam powędrować na zachód. Może nie? Nie powinienem tam właśnie zmierzać? Do drugiej Alhambry?

- Nie umiem powiedzieć - wystękał kapitan, robiąc krok do tyłu. - Nie umiem powiedzieć. Musimy natychmiast stąd iść. Nie mogę ci mówić, co masz robić. - Chłopiec zorientował się, że żołnierz nie chce nawet już na niego patrzeć. - Ale nie możesz zostać tu ani minuty dłużej... Zobaczmy... och, niewykluczone, że uda mi się zabrać cię stąd przed przybyciem Morgana.

- Morgana? - zapytał Jack, czując się niemal tak, jakby niedokładnie dosłyszał to imię. - Morgana Sloata? Ma się tu zjawić?

## Rozdział siódmy - Farren

### 1

Wydawało się, że kapitan nie usłyszał pytania Jacka. Patrzył w kąt pustego, nieużywanego pokoju, jakby mógł tam coś zobaczyć. Jack zdał sobie sprawę, że usilnie i szybko się nad czymś zastanawia. Wujek Tommy nauczył chłopca, że przeszkadzanie dorosłemu, gdy się namyśla, jest równie niegrzeczne jak przerywanie mu, gdy mówi. Jednak...

*Trzymaj się z dala od starego Bloata. Uważaj na jego ślady - jego samego i jego Dwójnika... będzie cię gonił jak lis kurę.*

To powiedział Speedy, a Jack tak bardzo koncentrował się na Talizmanie, że niemal uszło to jego uwagi. Obecnie słowa starego dozorca wypłynęły z jego pamięci i ugodziły go tak silnie, jakby dostał po karku.

- Jak on wygląda? - spytał spieszenie kapitana.

- Morgan? - odpowiedział pytaniem oficer, jakby przerwano mu snucie marzeń.

- Jest gruby? Tłusty i trochę łysieje? Czy tak chodzi, gdy jest wściekły?

Posługując się wrodzonym darem naśladownictwa - który jego ojca doprowadzał do paroksyzmu śmiechu nawet wówczas, gdy był zmęczony i przygnębiony - Jack "zrobił" Morgana Sloata. Lata pojawiły się na jego twarzy, gdy ściągnął czoło, które się zmarszczyło tak samo, jak u wuja Morgana, kiedy był czymś wkurzony. Jack równocześnie wciągnął policzki i przygiął głowę, wskutek czego powstał podwójny podbródek. Złożył usta w ciup jak ryba i zaczął szybko opuszczać i podnosić brwi.

- Tak wygląda?

- Nie - odparł kapitan, ale coś zamigotało w jego oczach - tak samo jak wtedy, gdy Jack powiedział mu, że Speedy jest stary. - Morgan jest wysoki. Nosi długie włosy - kapitan przystawił dłoń do prawego barku, by to zademonstrować - i kuleje. Ma zniekształconą stopę. Nosi but na koturnie, ale...

- Wzruszył ramionami.

- Kiedy go opisywałem, odniosłem wrażenie, że pan go rozpoznał, pan...

- Szz! Nie tak głośno, chłopcze, niech Bóg cię przygwoździ!

- Chyba znam tego faceta - powiedział Jack zniżonym tonem, i po raz pierwszy poczuł, że jego strach ma konkretne źródło; coś, co mógł ogarnąć rozumem, tak jak nie potrafił jeszcze ogarnąć tego świata. Wuj Morgan tutaj? Jezu!

- Morgan to po prostu Morgan. Ktoś, z kim się nie igrza, chłopcze. Chodź, musimy się stąd wydostać.

Kapitan ponownie zacisnął rękę na ramieniu Jacka. Chłopiec skrzywił się, ale pozostał w miejscu.

*Parker staje się Parcusem. A Morgan... to zbyt wielki zbieg okoliczności.*

- Jeszcze chwilę - powiedział. Przyszło mu do głowy kolejne pytanie. - Czy ona ma syna?

- Królowa?

- Tak.

- Miała syna - odparł niechętnie kapitan. - Tak. Nie możemy tu zostać, chłopcze. Musimy...

- Opowiedz mi o nim!

- Nie ma co opowiadać - rzekł kapitan. - Zmarł jako niemowlę, niecałe sześć tygodni po opuszczeniu jej łona. Powiadano, że jeden z ludzi Morgana - może Osmond - zadusił chłopczyka, ale takie plotki zawsze się rodzą. Nie żywię miłości do Morgana z Orris, lecz wszyscy wiedzą, że jedno dziecko na tuzin umiera w kołysce. Nikt nie ma pojęcia dlaczego; dzieci umierają bez żadnej przyczyny. Jest takie powiedzenie: "Bóg wbija swoje ćwieki". Nawet królewskie dziecko nie jest wyjątkiem w oczach Cieśli. On... Chłopcze? Nic ci nie jest?

Jack miał wrażenie, jakby świat wokół niego poszarzał. Zatoczył się, a gdy kapitan go złapał, ręce oficera wydawały się miękkie jak puchowe poduszki.

On również o mało nie umarł jako niemowlę.

Matka mu o tym opowiedziała - jak znalazła go w kołysce nieruchomego i pozornie bez życia. Miał posiniąle wargi i policzki barwy zgaszonych gromnic. Mówiła, jak wybiegła z krzykiem do salonu, niosąc go na rękach. Ojciec i Sloat siedzieli na podłodze, nawaleni winem i trawką; oglądali w telewizji mecz zapaśniczy. Ojciec wyrwał go z ramion matki, zacisnął mu gwałtownie lewą dłońią nozdrza ("Miałeś sińce prawie przez miesiąc, Jacky", powiedziała mu matka z nerwowym śmiechem), po czym przyłożył wargi do drobnych ust chłopca, podczas gdy Morgan krzyczał: "Nie sądzę, żeby mu to pomogło, Phil. Nie sądzę, żeby mu to pomogło!".

("Wuj Morgan śmiesznie się zachował, prawda, mamó?" - zapytał Jack. "Tak, bardzo śmiesznie, Jack-O", odparła matka, uśmiechnęła się w osobliwy, pozbawiony humoru sposób i odpaliła kolejnego herberta tarrytoona od tłącego się w popielniczce niedopałka).

- Chłopcze! - wyszeptał kapitan i potrząsnął Jackiem tak silnie, że głowa zachwiała mu się na karku. - Do diabła, chłopcze! Jeśli zamierzasz tu zemdleć...

- Nic mi nie jest - odrzekł Jack. Miał wrażenie, że jego głos dobiega z oddali; przypominał głos sprawozdawcy komentującego w radiu meczu Dodgersów, gdy jechało się nocą Chavez Ravine ze spuszczonego dachem kabrioletu - słyszaną w błogim półśnie relację z każdego zagrania meczu baseballu. - No dobra, może pan mnie puści? Niech pan da mi trochę luzu.

Kapitan przestał nim potrząsać, ale nadal czujnie mu się przyglądał.

- Dobra - powtórzył Jack i raptownie trzepnął się z całych sił w policzek - Au!

Świat nabrał z powrotem ostrości.

Jack o mało nie umarł w kołysce. W mieszkaniu, które wówczas zajmowali; ledwie to pamiętał, matka nazywała je Pałacem Snów W technikolorze, z salonu roztaczał się bowiem zapierający dech w piersiach widok na wzgórza Hollywood. O mało nie umarł w kołysce - ojciec i Morgan Sloat pili wino, a kiedy wypiło się mnóstwo wina, często się chodziło do toalety; Jack zapamiętał Pałac Snów W technikolorze na tyle dobrze, że wiedział, iż z salonu do najbliższej łazienki przechodziło się przez pokój dziecienny.

Stanęło mu to przed oczami: Morgan Sloat podnosi się, uśmiecha beztrąsko, mówi coś w rodzaju: "Chwileczkę, tylko zrobię sobie trochę wolnego miejsca, Phil"; ojciec niemal nie odwraca głowy, bo Haystack Calhoun szykuje się do powalenia na matę Spinnera, Sleepera czy jakiegoś innego podrzędnego przeciwnika; Morgan wychodzi z rozświetlonego przez telewizor salonu do popielato mętnego pokoju dzieciennego, w którym mały Jacky Sawyer leży w śpiochach z Kubusiem Puchatkiem - mały Jacky Sawyer, któremu jest ciepło i bezpiecznie w suchych pieluszkach. Zobaczył teraz, jak wuj Morgan ogląda się ukradkiem w stronę jaskrawego prostokąta drzwi do salonu, na jego łysiejącym czole pojawiają się szczelki drabiny zmarszczek, usta ściągają się mu jak zimny pyszczyk okonia; zobaczył, jak wuj Morgan bierze Jasię z fotela obok, jak delikatnie, lecz zdecydowanie kładzie poduszkę na całą głowę śpiącego niemowlęcia i przytrzymuje ją jedną ręką, podczas gdy drugą wsuwa płasko dłoń pod plecy dziecka. A gdy wszystkie ruchy ustały, zobaczył, jak wuj Morgan odkłada poduszkę na fotel, w którym Lily siadała do karmienia, i wychodzi do łazienki, żeby załatwić potrzebę.

Gdyby matka szybko nie przyszła sprawdzić, co się z nim dzieje...

Lodowaty pot wystąpił mu na całe ciało.

Czy tak to właśnie przebiegło? Możliwe. Serce podpowiadało Jackowi, że jednak tak było. Zbieg okoliczności był zbyt idealny.

W wieku sześciu tygodni syn Laury DeLoessian, Królowej Terytoriów, umarł w kołysce.

W wieku sześciu tygodni syn Phila i Lily Sawyer prawie umarł w kołysce... i był tam Morgan Sloat.

Matka zawsze kończyła opowieść o tym w żartobliwej tonacji: iż Phil Sawyer niemal zarznął ich chryslera, pędząc z rykiem do szpitala, gdy Jacky zaczął na nowo oddychać.

Bardzo śmieszne. Pewnie.

## 2

- Chodź już - powiedział kapitan.

- Dobrze - odparł Jack. Wciąż było mu słabo i czuł się oszołomiony. - No dobrze, chodź...

- Szsz!

Kapitan obejrzał się raptownie, bo dobiegał go dźwięk zbliżających się głosów. Ściana po prawej nie była z drewna, lecz z grubego płótna. Tkanina kończyła się cztery cale nad podłogą. Jack dojrzał w szczelinie stopy w ciężkich butach. Pięć par. Żołnierskie buty.

-...nie wiedziałem, że ma syna - przebił się poprzez zgiełk jeden z głosów.

- Cóż - padła odpowiedź. - Bękarci płodzą bękartów. Powinieneś o tym bardzo dobrze wiedzieć, Simon.

Rozległ się hałaśliwy, brutalny śmiech - Jack słyszał taki śmiech z ust większych chłopców w szkole, kiedy palili skręty za stolarnią i obrzucali młodszych tajemniczymi, lecz w jakiś sposób przerażającymi przezwiskami: "ciota", "wacek" czy "hemorfadyta". Po każdej z tych niewymownie obślizgłych nazw rozbrzmiewał wesoły rechot.

- Zamknij się! Zatkajcie dzioby! - zabrzmiał trzeci głos. - Jeśli was usłyszysz, będziecie pełnić wartę na Alei Rubieży, nim słońce zajdzie trzydzieści razy.

Pomruki.

Stłumiony wybuch śmiechu.

Kolejny żart, tym razem niezrozumiały. Wesołe rozmowy odchodzących żołnierzy.

Jack obejrzał się na kapitana, który wpatrywał się w krótkie płótno, obnażając jednocześnie zęby aż po dziąsła. Nie było wątpliwości, kogo mieli na myśli. A skoro mówili, to mógł tego ktoś słuchać... ktoś niepożądany. Kto mógł zastanawiać się, kim był ów bękart. Nawet dziecko w wieku Jacka potrafiło to pojąć.

- Dość się nasłuchałeś? - spytał kapitan. - Musimy ruszać.

Wyglądał, jakby miał ochotę potrząsnąć Jackiem... ale nie zdobył się na odwagę.

*Twoje rozkazy, wskazówki, cokolwiek... chodzi w nich o to, że masz ruszać na zachód, zgadza się?*

Zmienił się, pomyślał Jack. Zmienił się dwukrotnie.

Pierwszy raz oficer zmienił nastawienie do chłopca, gdy Jack pokazał mu ząb rekina, będący filigranową kostką do gry na gitarze w świetle, gdzie po drogach jeździły ciężarówki dostawcze zamiast ciągniętych przez konie wozów. Zmienił je ponownie, gdy Jack potwierdził, że rusza na zachód. Od gróźb przeszedł przez chęć pomocy do... czego właściwie?

*Nie umiem powiedzieć... Nie mogę ci mówić, co masz robić.*

Do czegoś przypominającego nabożny respekt... lub religijną trwogę.

Chce, żebyśmy stąd poszli, bo boi się, że zostaniemy złapani, pomyślał Jack. Ale nie tylko o to chodzi, prawda? Boi się mnie. Boi się...

- Chodźmy - powiedział kapitan. - Chodź już, na miłość Jasona.

- Czyją? - zapytał idiotycznie Jack, lecz kapitan już popychał go przed sobą.

Pociągnął chłopca raptownie w lewo, a następnie niemal powłókł za sobą korytarzykiem, mającym za jedną ścianę deski, a za drugą - sztywne, cuchnące pleśnią płótno.

- Nie tędy przyszliśmy - szepnął Jack.

- Nie chcę przejść po raz drugi koło tych dobrodziejów, których spotkaliśmy - szepnął kapitan. - To ludzie Morgana. Przyjrzałeś się temu wysokiemu? Tak chudemu, że prawie można patrzeć przez niego na wylot?

- Tak.

Jack przypomniał sobie słaby uśmiech i pozbawione wesołości oczy. Pozostali wyglądali na miękkich, chudzielec - na twardziela. Sprawiał też wrażenie szaleńca. I jeszcze jedno: wyglądał w jakiś sposób znajomo.

- To Osmond - rzekł kapitan i pociągnął Jacka tym razem w prawo.

Zapach pieczonego mięsiwa przybierał na sile; powietrze było nim już przesycone. Jack jeszcze nigdy w życiu nie wachał mięsa, którego miałby tak wielką ochotę posmakować. Bał się, emocjonalnie i umysłowo leżał na deskach, może balansował na krawędzi oblędu... ale ślinił się jak głupi.

- Osmond to prawa ręka Morgana - mruknął kapitan. - Widzi za dużo i dlatego wolałbym, żeby cię nie zobaczył dwa razy.

- O co panu chodzi?

- Pssst!

Oficer silniej ścisnął rękę Jacka. Zbliźali się do szerokiej, wiszącej w wejściu kotary. Jackowi przypominała zasłonę od prysznic - tyle tylko, że konopne włókno utkano tak niedbale i rzadko, że tkanina przypominała siatkę, a wisiała nie na chromowanych, lecz na kościanych pierścieniach.

- Teraz płacz! - Jack poczuł w uchu ciepły oddech kapitana.

Oficer odsunął zasłonę i powłókł chłopca za sobą do olbrzymiej kuchni, przesyconej wspaniałymi aromatami (pośród których nadal dominowała woń mięsa) i kłębam gorącej pary. Mimo zamętu w głowie Jack dojrzał kosze na węgiel, wielki kamienny komin, kobiece twarze pod nastroszonymi, białymi chustami, które skojarzyły się mu z kornetami zakonnice. Niektóre z kucharek stały w rzędzie przy długim żelaznym korycie na kozłach; z zaczerwienionymi i pokrytymi kroplami potu twarzami zmywały garnki i kuchenne utensylia. Inne stały przy biegnącym przez całą długość kuchni blacie - obierały, siekały, wydłubywały i krajały na plastry. Jeszcze inna dźwigała druciany stojak ze świeżo uformowanymi bułkami. Wszystkie wpatrzyły się w Jacka i kapitana, gdy zaczęli przepychać się przez kuchnię.

- Żeby to było ostatni raz! - ryknął oficer, potrząsając nim jak terier szczurem... a równocześnie szybko ciągnąc go ku podwójnym drzwiom w przeciwnym końcu kuchni. - Ostatni raz, słyszysz?! Jeśli jeszcze raz będziesz się wykręcał od pracy, rozetnę ci skórę na grzbiecie i obedrę cię z niej jak pieczony kartofel! - Po czym kapitan dorzucił pod nosem: - Wszystkie to zapamiętaj i będą o tym gadać, więc płacz, do diabła!

Podczas gdy kapitan z blizną na twarzy włókł go za kark przez zaparowaną kuchnię i pulsujące bólem ramię, Jack rozmyślnie przywołał okropny widok matki, leżącej w salonie pogrzebowym. Wyobraził ją sobie w obszernych fałdach białej organdy - spoczywała w trumnie w sukni ślubnej, w której grała w "Drag Strip Rumble" (RKO, 1953). Jej twarz coraz wyraźniej pojawiała się przed oczyma Jacka - idealna, woskowa maska. Zobaczył, że miała w uszach złote kolczyki w kształcie małych krzyżyków, które Jack podarował jej na Boże Narodzenie dwa lata temu. Po chwili twarz się zmieniła. Podbródek stał się bardziej okrągły, nos - prostszy, patrycjuszowski. Włosy zrobiły się o odcień jaśniejsze i jakby grubsze. Widział teraz w trumnie Laurę DeLoessian - sama zaś trumna przestała być gładkim, anonimowym standardowym modelem z salonu pogrzebowego, lecz czymś jakby wyrąbanym z brutalną furią ze starej kłody. Trumną wikinga, gdyby coś takiego kiedykolwiek istniało. Łatwiej było sobie wyobrazić, jak płonie w ogniu podłożonym pod zebrany pod nią stos oblanym olejem drow, niż to, że zostaje opuszczona do nieprotestującej ziemi. Leżała w niej Laura DeLoessian, Królowa Terytoriów, lecz w tej scenie, klarownej jak wizja, władczyni była odziana w ślubną suknię, w której matka Jacka wystąpiła w "Drag Strip Rumble", oraz

złote kolczyki, które wujek Tommy pomógł chłopcu wybrać w sklepie Sharpa w Beverly Hills. Do oczu Jacka nagle napłynął potok gorących, palących łez - nie udawanych, lecz autentycznych, wylewanych nie tylko z powodu jego matki, lecz po obydwóch skazanych na zgubę kobietach, umierających w oddzielnych wszechświatach, niemniej połączonych jakąś niewidoczną linią, która mogła nadgnić, ale nie mogła nigdy pęknąć - przynajmniej dopóki którakolwiek z tych kobiet żyła.

Poprzez łzy Jack zobaczył olbrzymiego mężczyznę w wydymającym się białym stroju, pędził przez salę w ich stronę. Mężczyzna miał na głowie czerwoną przepaskę zamiast nastroszonej kucharskiej czapki - jednak wystarczała ona, by zaświadczyć, iż on tu rządzi. Wywijał też rażno złowieszco wyglądającym drewnianym widelcem o trzech zębach.

- Wyy-NOCHA! - zaskrzeczał szef kuchni.

Dobywający się z wielkiej, beczkowatej klatki piersiowej głos był absurdalnie piskliwy - jak u zniewieściałego homoseksualisty wyżywającego się na ekspedientce ze sklepu z obuwiem. Nie było jednak nic absurdalnego w widelcu; wyglądał na śmiercionośne narzędzie. Kobiety rozproszyły się jak ptactwo przed jego szarżą. Tej, która niosła stojak, wypadła bułka z najniższej półki. Gdy rozleciała się na deskach, kobieta piskliwie krzyknęła. Truskawkowe nadzienie rozbryznęło się i pociekło po podłodze - jaskrawoczerwone jak świeża krew tętnicza.

- *WYNOCHA Z MOJEJ KUCHNI, HULDAJE! DO NIE ŻADEN ZGRÓD! DO NIE ŻADEN DOR WYŻDZIGOWY! DO MOJA KUCHNIA, A JAK NIE PODRĄ WICIE DEGO ZAPAMIENDADZ, DO NA BOGA DZIEŹLĘ POKRAJE WAM DUPY!*

Szturchnął w ich stronę widelcem i równocześnie odwrócił nieco głowę oraz niemal całkowicie zacisnął powieki, jakby mimo hardej przemowy sama myśl o gorącej, bryzgającej krwi była nie do zniesienia. Kapitan zdjął rękę z karku Jacka i wystawił ją przed siebie - niemal obojętnym ruchem, jak wydało się chłopcu. Po chwili potężny kucharz leżał na podłodze. Widelec do mięsa wylądował w kałuży truskawkowego nadzienia pomiędzy grudami białego ciasta. Kucharz przetaczał się na boki, ściskając złamany prawy nadgarstek i wyjąc wysokim, przypominającym dźwięk fletu głosikiem. To, co obwieszczał krzykiem wszystkim w kuchni, było niewątpliwie nader żałosne: nie żył, kapitan na pewno go zamordował (za sprawą osobliwego, prawie teutońskiego akcentu zabrzmiało to: "zmurr-dował"), a przynajmniej zrobił z niego kalekę; okrutny, pozbawiony serca kapitan Gwardii Zewnętrznej okaleczył jego dobrą prawą rękę, a przez to odebrał możliwość utrzymania się przy życiu, w ten sposób skazując go na nędzny żebraczy żywot do kresu dni; kapitan wyrządził mu straszny, niewiarygodny ból, którego nie sposób było znieść...



- Zamknij się! - ryknął kapitan.

Kucharz go posłuchał. Natychmiast. Leżał na podłodze jak wielkie dziecko, z prawą ręką zgiętą i przyciśniętą do piersi. Czerwona, zrolowana chustka na głowie przekrzywiła się jak u pijaka, tak iż widać było jedno ucho (z małą, czarną perłą na środku małżowiny), trzęsły mu się tłuste policzki. Podkuchenne stękały i trajkotały na widok kapitana pochylającego się nad dręczącym ich potworem, władcą parnej jaskini, w której spędzały dni i noce. Wciąż płaczącemu Jackowi wpadł w oko czarny chłopiec (brązowy, poprawił się w myślach), stojący z boku największego rusztu. Chłopiec otwierał usta, a na jego twarzy widniało tak komiczne zaskoczenie jak u postaci ze spektaklu minstreli, ale nie przestawał kręcić korbą; zawieszony nad gorejącymi węglami udziec wciąż się obracał.

- Teraz ty mnie posłuchaj: dam ci parę rad, których nie znajdziesz w Księdze Dobrej Uprawy - powiedział kapitan. Pochylił się nad kucharzem tak, że ich nosy prawie się stykały (paralizujący uścisk na ramieniu Jacka - które na szczęście zaczynało drętwieć - nie osłabił nawet na chwilę). - Nigdy... przenigdy... nie podchodź do człowieka z nożem... czy widelcem... czy włócznią... czy nawet z zagwożdżoną przez Boga drzazgą w ręce, jeśli nie zamierzasz go zabić. Po szefach kuchni można spodziewać się temperamentu, ale nie takiego, by uzasadniał on zamach na życie kapitana Gwardii Zewnętrznej. Zrozumiałeś?

Kucharz wyjęczał coś ze łzami w oczach, jeszcze się nie ukorzył. Jack nie zdołał wszystkiego zrozumieć - akcent mężczyzny stał się jeszcze silniejszy - chodziło jednak między innymi o matkę kapitana i psy pożywiające się na śmietniskach za pawilonem.

- Możliwe - odparł oficer. - Nie miałem przyjemności jej poznać, ale niewątpliwie nie jest to odpowiedź na moje pytanie.

Szturchnął kucharza zakurzonym, pozdieranym butem. Szturchnięcie było dość lekkie, lecz mężczyzna zaskrzeczał, jakby kapitan kopnął go z całej siły. Kobiety znowu zatrajkotały.

- Czy zrozumieliśmy się, jeśli chodzi o szefów kuchni, broń i kapitanów, czy też nie? Jeśli nie, może powinienem ci udzielić kilku dalszych nauk.

- Rozumiemy się! - stęknął kucharz. - Rozumiemy się! Rozumiemy! Rózu...

- Bardzo dobrze, bo dzisiaj przyszło mi udzielić aż nazbyt wielu pouczeń. - Potrząsnął Jackiem. - Nieprawdaż, chłopcze? - Potrząsnął nim znowu, a Jack wydał całkowicie nieudawany jęk. - Cóż... myślę, że nic więcej nie zdoła powiedzieć. Ten chłopak to matolek, podobnie jak jego matka.

Kapitan powiódł po kuchni spojrzeniem ciemnych, lśniących oczu.

- Do widzenia, szanowne panie. Niech Królowa wam błogosławi.

- I tobie, dobry panie - zdołała rzec najstarsza z kucharek.

Przypadła na kolano w pozbawionym gracji, niewprawnym ukłonie. Pozostałe kobiety poszły za jej przykładem.

Kapitan pociągnął Jacka dalej przez kuchnię. Chłopiec zawadził boleśnie biodrem o skraj koryta do zmywania naczyń i znowu krzyknął. Chlusnęła gorąca woda. Parujące krople poleciały na deski i pociekły po nich z sykiem. Te kobiety trzymały w tym ręce, pomyślał Jack. Jak mogą to znieść? Po chwili kapitan, niemal niosąc go nad ziemią, wypchnął Jacka przez kolejną konopną zasłonę na korytarz za kuchnią.

- Faj! - powiedział oficer zniżonym głosem. - Nie podoba mi się to ani trochę, a poza tym strasznie tam śmierdzi.

W lewo, w prawo, potem znowu w lewo. Jack zaczął wyczuwać, że zbliżają się do zewnętrznej ściany pawilonu. Miał wreszcie czas się zastanowić, dlaczego pałac wydawał się o wiele większy od środka niż z zewnątrz. Kapitan pchnął go wreszcie za następną zasłonę i znaleźli się znowu pod otwartym niebem. W pawilonie panował migocący półmrok, natomiast popołudniowy blask słoneczny był tak ostry, że Jack musiał zmrużyć oczy.

Kapitan nie zawahał się nawet przez chwilę. Błoto cmokało i plaskało pod ich stopami. Czuć było siano, konie i gnój. Jack otworzył z powrotem oczy i zobaczył, że przechodzą przez padok, zagrodę dla bydła lub też zwykłe podwórze. Dojrzał otwarty korytarz o ścianach z płótna i dosłyszał gdzieś w głębi gdakanie kur. Żyłasty mężczyzna, odziany jedynie w brudny kilt i rzemieńne sandały, wrzucał widłami o drewnianych zębach siano do otwartej zagrody. Z boksu spoglądał na nich frasobliwie koń niewiele większy od kuca szetlandzkiego. Minęli go, nim umysł Jacka zdołał pogodzić się z tym, o czym poinformowały go oczy: koń miał dwie głowy.

- Hej! - powiedział. - Mogę jeszcze raz zajrzeć do tej zagrody? Ten...

- Nie ma czasu.

- Ale ten koń miał...

- Powiedziałem, że nie ma czasu. - Oficer krzyknął podniesionym głosem: - A jeśli jeszcze raz przyłapię cię, że się obijasz, kiedy jest robota, zleję cię dwa razy mocniej!

- Nie będę się obijał! - krzyknął Jack (prawdę mówiąc, zaczynał sądzić, że ta scena już się ograła). - Przysięgam, że nie będę! Powiedziałem, że się poprawię!

Na wprost siebie mieli teraz wysokie drewniane wrota, osadzone w ogrodzeniu z nieokorowanych bali, które przypominały palisadę ze starych westernów (matka Jacka w kilku wystąpiła). We wrota wkręcono ciężkie obejmy, ale gruba jak podkład kolejowy belka, do której podtrzymywania służyły, stała oparta o stos drewna po lewej stronie. Wrota były

uchylone na parę cali. Nieco zmacone wycucie kierunku podpowiedziało Jackowi, że przeszli przez cały pawilon na jego drugą stronę.

- Dzięki Bogu - powiedział kapitan normalniejszym tonem. - Teraz...

- Kapitanie! - rozległo się wołanie za ich plecami.

Głos wołającego był cichy i zwodniczo obojętny, lecz niósł się daleko. Kapitan zatrzymał się w pół kroku. Wołanie rozległo się w chwili, gdy oficer z blizną sięgał do lewej połowy wrót, by je otworzyć szerzej. Zdawało się, że człowiek, który ich zatrzymał, celowo odczekał aż do tego momentu.

- Czy będziesz tak łaskaw, by przedstawić mnie swojemu... hm... synowi?

Kapitan odwrócił się, pociągając Jacka za sobą. W połowie długości padoku stał chudy jak szkielet dworzaniin, którego obawiał się kapitan - Osmond. Zupełnie tutaj nie pasował. Mężczyzna przyglądał się im ciemnoszarymi, melancholijnymi oczyma. Jack odniósł wrażenie, że coś ożywa gdzieś na ich dnie. Lęk chłopca nagle wzrósł i stał się ostrzejszy; było to niemal fizyczne odczucie. To szalenie, pojawiło się w jego umyśle intuicyjne, spontaniczne odczucie. Brakuje mu wszystkich klepek, a nie tylko piątej.

Osmond podszedł dwa kroki. W lewej dłoni trzymał pejcz z owiniętą w surową skórę rękojeścią, niewiele grubszą od samego biczyska - ciemnego i giętkiego - które owijało się trzykrotnie na ramieniu Osmonda. Rzemień był równie gruby jak grzechotnik. Na końcu biczysko rozdzielało się na tuzin odnóg, splecionych z surowej skóry, a każda z nich kończyła się prymitywnie wykonaną, lecz błyszczącą metalową ostrogą.

Osmond poruszył rękojeścią pejcza i sploty zsunęły się mu z barku z suchym sykiem. Zakręcił trzonkiem, a zakończone metalem pasma surowej skóry zawily się powoli po zasłanym trawą błocie.

- Synowi - powtórzył Osmond i zrobił jeszcze krok w ich stronę.

Jack nagle pojął, dlaczego ten człowiek wydał się mu wcześniej znajomy. Tamtego dnia, gdy niemal go porwano - czyż nie on właśnie nosił biały garnitur?

Jack podejrzał, że to ten sam człowiek.

### 3

Kapitan zacisnął pięść, przyłożył ją do czoła i skłonił się. Po ledwie chwilowym wahaniu Jack zrobił to samo.

- Lewis, mój syn - powiedział sztywno kapitan.

Oficer wciąż się pochylał, zobaczył Jack kątem oka, dlatego sam też się nie prostował; czuł, jak wali mu serce.

- Dziękuję, kapitanie. Dziękuję, Lewis. Niech Królowa was błogosławi.

Dotknął Jacka ręką ręką ręką ręką. Chłopiec niemal wrzasnął, ale wyprostował się, tłumiając krzyk.

Osmond stał w odległości zaledwie dwóch kroków; przyglądał się Jackowi swym obłądnym, melancholijnym wzrokiem. Był ubrany w skórzaną kurtkę z zapinkami zapewne z diamentów oraz koszulę z ekstrawagancko wielkim żabotem. Bransoletka z ogniw poszczekiwała ostentacyjnie na jego prawym nadgarstku (sądząc po tym, jak posługiwał się pejczem, Jack doszedł do wniosku, że Osmond jest leworęczny). Włosy miał ściągnięte do tyłu i przewiązane szeroką wstążką, najprawdopodobniej z białej satyny. Roztaczał dwie wonie. Pierwszą matka Jacka nazywała "tymi wszystkimi męskimi perfumami"; była to woń płynu po goleniu, wody kolońskiej, czegoś w tym rodzaju. Zapach Osmonda był intensywny i kojarzył się z pudrem. Przypominał Jackowi stare czarno-białe brytyjskie filmy, w których jakiś biedak stoi przed sądem Old Bailey. Sędziowie i adwokaci w tych filmach zawsze nosili peruki; Jack pomyślał, że pudła, w których je przechowywano, na pewno pachniały jak Osmond - jak wyschnięte, słodkie okruchy, jak najstarszy na świecie pączek z cukrem pudrem. Głębiej skrywała się jednak bardziej witalna, jeszcze mniej przyjemna woń; zdawała się docierać do Jacka oddzielnymi pulsami. Był to zapach warstw potu i brudu, odór człowieka, który mył się rzadko, a może nawet nigdy.

Tak. To jedna z kreatur, które próbowały tamtego dnia porwać Jacka.

Żołądek zacisnął się chłopcu i wywinął kozła.

- Nie wiedziałem, że masz syna, Farren - powiedział Osmond.

Chociaż zwracał się do kapitana, nie spuszczał oczu z Jacka. *Lewis, nie wolno mi zapomnieć, że jestem Lewis.*

- Sam tego żałuję - odrzekł kapitan, spoglądając na Jacka z gniewem i pogardą. - Zrobiłem mu ten honor, że wziąłem go do pawilonu, a on wymknął się jak pies. Nakryłem go, jak bawił się w...

- Tak, tak - przerwał mu Osmond, uśmiechając się z nieobecną miną. Nie wierzy ani słowu! - pomyślał gorączkowo Jack i poczuł, że za chwilę ogarnie go panika. Ani jednemu słowu! - Chłopcy są źli. Wszyscy chłopcy są źli. To pewnik.

Postukał Jacka lekko po nadgarstku ręką ręką ręką. Wskutek napiętych poza granice wytrzymałości nerwów chłopiec krzyknął... i natychmiast spał z palącego wstydu. Osmond zachichotał.

- Żli. Och, tak, to pewnik, wszyscy chłopcy są źli. Sam byłem niedobry i założę się, że z tobą było tak samo, kapitanie. Hę? Hę? Byłeś zły?

- Tak, Osmondzie - odrzekł kapitan.

- Bardzo zły? - spytał Osmond. Nie do wiary, ale zaczął podskakiwać w błocie. Nie było w tym nic zniewieściałego. Chudego jak szczapa i niemal delikatnej budowy Osmonda nie otaczała aura homoseksualizmu. Jack czuł, że jeśli w jego słowach kryła się jakaś aluzja, to dotyczyła czegoś zupełnie innego. O nie, emanowała od niego przede wszystkim aura podłości... i szaleństwa. - Bardzo zły? Wyjątkowo, strasznie zły?

- Tak, Osmondzie - odparł kapitan Farren drewnianym tonem.

Blizna na jego twarzy załśniła w popołudniowym blasku; w tej chwili była bardziej czerwona niż różowa. Osmond zaprzestał swojego improwizowanego tańca tak nagle, jak go rozpoczął. Popatrzył zimno na Farrena.

- Nikt nie wiedział, że masz syna, kapitanie.

- To bękart - odpowiedział Farren. - I matolek. Okazuje się, że również leniwy.

Odwrócił się nagle na pięcie i zdzielił Jacka w policzek. Nie włożył w cios zbytnej siły, lecz jego ręka była twarda jak cegła. Jack zawył i ściskając ucho, zwałił się w błoto.

- Bardzo zły, wyjątkowo, strasznie zły - powiedział Osmond, lecz jego twarz nabrała nieprzytomnego wyrazu, obojętnego i nieprzeniknionego. - Wstawaj, zły chłopcze. Złych chłopców, którzy nie słuchają swoich ojców, trzeba karać. Złych chłopców trzeba też przepytować.

Zamachnął się w bok pejczem, który wydał głuche trzaśnięcie. Rozchwiany umysł Jacka poczynił kolejne skojarzenie - sięgając, jak się później domyślał, na wszelkie znane sobie sposoby do świata, z którego pochodził. Kłaśnięcie bicia Osmonda przypomniało chłopcu pukanie karabinka pneumatycznego, który miał w wieku ośmiu lat. Richard Sloat również takim się bawił.

Osmond wyciągnął rękę i zacisnął na ramieniu Jacka białą, przypominającą pająka dłoń. Przyciągnął chłopca do siebie - bliżej źródła zapachów zleżałego, słodkiego pudru i zastarzałego, skwaśniałego brudu. Niesamowite szare oczy popatrzyły z powagą w niebieskie tęczęwki Jacka. Chłopiec poczuł, że nabrzmięwa mu pęcherz i zaczął walczyć, by nie zmoczyć się w spodnie.

- Kim jesteś? - zapytał Osmond.

Słowa zawisły w powietrzu.

Jack zdawał sobie sprawę, że kapitan patrzy na niego z surową miną, która nie mogła całkowicie ukryć jego desperacji. Do chłopca dobiegało gdakanie kur i szczekanie psa; skądś dochodził łoskot nadjeżdżającego ciężkiego wozu.

*Powiedz mi prawdę; poznam się na kłamstwie, mówiły oczy Osmonda. Wyglądasz jak pewien zły chłopiec, którego po raz pierwszy spotkałem w Kalifornii - czy nim właśnie jesteś?*

Przez chwilę odpowiedź zadrzała na ustach syna Lily Cavanaugh:

*Jack, jestem Jack Sawyer. Tak, to ja jestem ten dzieciak z Kalifornii, Królowa tego świata była moją matką, tyle że umarłem; znam twojego szefa, znam Morgana - wuja Morgana - i powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć, tylko przestań się gapić we mnie tymi swoimi wariackimi ślepiami, pewnie, bo jestem tylko dzieckiem, a przecież tak właśnie robią dzieci: mówią, wszystko mówią...*

W tej samej chwili usłyszał głos swojej matki - twardy, brzmiący niemal szyderczo:

*Wypaplasz wszystko temu facetowi, Jack-O? TEMU facetowi? Który pachnie jak stoisko z przeterminowanymi męskimi kosmetykami i wygląda jak średniowieczne wcielenie Charlesa Mansona... ale rób, jak ci się podoba. Możesz go oszukać, jeśli zechcesz - bez problemu - ale rób, jak ci się podoba.*

- Kim jesteś? - zapytał znowu Osmond, przysuwając się jeszcze bliżej.

Jack dojrzał w jego twarzy bezgraniczną pewność siebie - był to ktoś przyzwyczajony do uzyskiwania od ludzi odpowiedzi, na których mu zależało, i to nie tylko od dwunastolatków.

Chłopiec zaczerpnął głęboko tchu ("Kiedy potrzebujesz maksymalnej siły głosu - kiedy chcesz, żeby twój głos dotarł do ostatniego rzędu balkonu - musisz wydobyć go z przepony, Jacky. Tak żeby przeszedł po drodze praktycznie niezmienny przez krtań") i krzyknął:

- CHCIAŁEM WRÓCIĆ! PRZYSIĘGAM NA BOGA!

Osmond, pochylający się jeszcze niżej w oczekiwaniu na bezsilny, złamany szep, szarpnął się w tył, jakby Jack nieoczekiwanie go spoliczkował. Nastąpił obcasem wysokiego buta na włokące się po ziemi rzemienie pejcza i niemal się przez nie przewrócił.

- A niech cię Bóg przygwoździ, ty przekłety, mały...

- CHCIAŁEM WRÓCIĆ! PROSZĘ, NIE BIJ MNIE, OSMOND, CHCIAŁEM WRÓCIĆ! W OGÓLE NIE CHCIAŁEM TU PRZYCHODZIĆ, NIGDY NIGDY NIGDY...

Kapitan Farren rzucił się do przodu i zdzielił Jacka w plecy. Wciąż wrzeszcząc, chłopiec rozciągnął się jak długi w błocie.

- Mówiłem ci, że to matolek - usłyszał głos kapitana. - Przyjmij moje przeprosiny, Osmond. Możesz być pewny, że złożę mu skórę. On...

- Co on w ogóle tu robi? - wrzasnął Osmond, wysoko i swarliwie jak przekupka. - Co twój zasmarkany, mazgający się bękart w ogóle tu robi? Nie mów tylko, że pokażesz mi jego przepustkę. Wiem, że nie ma żadnej przepustki. Przemyciłeś go do środka, żeby nażarł się ze stołu Królowej... a może i nakradł jej sreber... jest zły... jedno spojrzenie na niego wystarczy, żeby każdy mógł orzec, że jest bardzo, nieznośnie, bez cienia wątpliwości zły!

Pejcz opadł ponownie, tym razem nie z delikatnym puknięciem pneumatycznego karabinka, lecz z czystym, donośnym traskiem dwudziestkiwójki. Jack miał czas pomyśleć: "Wiem, gdzie wyląduję", po czym wielka, ognista łapa wbiła się w jego grzbiet. Ból zdawał się pograżać w jego ciele, nie malał, lecz wręcz przeciwnie - rósł. Niczym żelazo rozpalone do białości, doprowadzające do obłędu. Jack zawył i zwinął się w błocie.

- Zły! Wyjątkowo, strasznie zły! Niewątpliwie zły!

Każdemu powtórzeniu słowa "zły" towarzyszył kolejny trzask pejcza Osmonda - kolejny odcisk rozpalonej dłoni i kolejny krzyk Jacka. Chłopiec nie miał pojęcia, jak długo mogłoby to trwać - Osmond wprawiał się z każdym ciosem w jeszcze większą furię - jednak w tej chwili rozległo się wołanie:

- Osmond! Osmond! Tu jesteś! Bogu dzięki!

Zabrzmiały kroki biegnącego człowieka.

- No? No? - rzucił Osmond, rozwścieczony i lekko zadyszany. - O co chodzi?

Czyjaś dłoń chwyciła Jacka za łokieć i pomogła mu wstać. Gdy się zatoczył, ramię objęło go w pasie i podtrzymało. Trudno było uwierzyć, że kapitan, tak hardy i pewny siebie podczas oszałamiającej przeprawy przez pawilon, potrafił okazywać taką delikatność.

Jack znowu się zatoczył. Świat miał cały czas ochotę rozmazywać się mu przed oczami. Po plecach chłopca ściekały strużki krwi. Popatrzył na Osmonda z szybko budzącą się nienawiścią. Dobrze było ją czuć; stanowiła pożądane antidotum na strach i zamęt w głowie.

*To ty to zrobiłeś - zraniłeś mnie, pobiteś. Posłuchaj mnie, dziadu, jeśli będę miał szansę ci odplacić...*

- Nic ci się nie stało? - szepnął kapitan.

- Nic.

- Co?! - wrzasnął Osmond do dwóch mężczyzn, którzy przeszkodzili w katowaniu Jacka.

Pierwszym z nich był jeden z dandysów, których Jack i kapitan minęli po drodze do tajemnej komnaty. Drugi nieco przypominał woźnicę, którego chłopiec zobaczył wkrótce po powrocie do Terytoriów. Mężczyzna wyglądał na porządnie wystraszonego - oraz nieźle poturbowanego: krew wzbierała w rozcięciu po lewej stronie głowy, zdążyła już pokryć połowę jego twarzy. Miał rozdarty kaftan i podrapane lewe ramię.

- Co ty wygadujesz, ośle?! - nie przestawał krzyczeć Osmond.

- Wóz mi się przewrócił na zakręcie po drugiej stronie Wioski Podręcznych - powiedział woźnica powoli, z pełną oszołomienia cierpliwością kogoś znajdującego się w głębokim szoku. - Mój syn się zabił, panie. Beczki zgmiotły go na śmierć. W ostatni Dzień Zagród skończył szesnaście lat. Jego matka...

- Co?! - krzyknął znowu Osmond. - Beczki? Piwo? Chyba nie "Królewskie Włości"? Nie chcesz chyba powiedzieć, że przewróciłeś wóz pełen "Królewskich Włości", dumny koźli członku? Chyba nie chcesz mi tego powiedzieć, praaaaawdaaaaa?!

Osmond uniósł głos przy ostatnim słowie jak człowiek bezlitośnie parodiujący operową diwę. Równocześnie znów zaczął tańczyć... tym razem jednak z gniewu. Było to zestawienie tak upiorne, że Jack musiał zakryć usta dłońmi, by zdusić mimowolny chichot. Przy tym ruchu koszula otarła się o pokryty szramami grzbiet; to go otrzeźwiło, zanim kapitan wypowiedział choćby jedno słowo ostrzeżenia.

- Skończył dopiero szesnaście lat w ostatni Dzień Zagród - podjął cierpliwie woźnica, jakby Osmondowi umknął jedyny istotny fakt (pewnie chłopu tak właśnie się wydawało). - Jego matka nie chciała, żeby ze mną jechał. Nie mam pojęcia, co...

Osmond podniósł pejcz i zamachnął się nim ze świstem, z oślepiającą, niespodziewaną prędkością. W jednej chwili trzymał rękojeść luźno w dłoni, a rzemienie z niewyprawionej skóry wałały się w błocie; w następnej rozległo się trzaśnięcie, tym razem przypominające nie tyle dwudziestkędwójkę, ile dziecięcą pukawkę. Woźnica zatoczył się w tył z wrzaskiem, przyciskając dłonie do twarzy. Spomiędzy brudnych palców obficie ściekała świeża krew.

- Mój panie! Mój panie! - wystękał zduszonym, charczącym głosem i zwałił się na ziemię.

- Chodźmy stąd - jęknął Jack. - Szybko!

- Zaczekaj - odrzekł kapitan.

Posępny wyraz jego twarzy zdawał się odrobinę ustępować. W jego oczach pojawiło się coś, co można było uznać za nadzieję.



Osmond obrócił się w stronę dandysa, który cofnął się o krok, mając bezdźwięcznie jakieś słowa w ustach.

- Czy to były "Królewskie Włości"? - stęknął Osmond.

- Osmondzie, nie powinienes się tak nadweręzać...

Chudy mężczyzna śmignął w odpowiedzi lewym nadgarstkiem; stalowe ostrogi na końcach rzemieni zabrzęczały o buty dandysa. Mężczyzna cofnął się jeszcze o krok.

- Nie mów mi, co mam robić, a czego nie - rzucił Osmond. - Odpowiadaj tylko na pytania. Jestem rozdrażniony, Stephen, wyjątkowo nieznośnie i niewątpliwie rozdrażniony. Czy to były "Królewskie Włości"?

- Tak - odrzekł Stephen. - Przykro mi to mówić, ale...

- Na trakcie na Rubieże?

- Osmond...

- Na trakcie na Rubieże, ciekący członku?

- Tak - stęknął Stephen.

- Oczywiście - rzekł Osmond, a jego chudą twarz rozszczępił koszmarny, biały uśmiech. - Gdzie jest Wioska Podręcznych, jeśli nie przy trakcie na Rubieże? A może wioska potrafi latać z miejsca na miejsce? He? Czy wioska mogła w jakiś sposób przelecieć z jednego traktu na drugi, Stephen? Mogła? Mogła?

- Nie, Osmondzie, oczywiście, że nie.

- Nie. Wobec tego po całym trakcie na Rubieże walają się beczki, zgadza się? Czy mam rację, zakładając, że beczki i przewrócony wóz tarasują trakt na Rubieże, a najlepsze piwo Terytoriów wsiąka w ziemię, by mogły się go opić glisty? Zgadza się?

- Tak... tak, ale...

- Traktem na Rubieże nadjeżdża Morgan! - krzyknął Osmond. - Nadjeżdża Morgan, a sami wiecie, jak obchodzi się ze swoimi końmi! Jeżeli karoca wyjedzie z zakrętu prosto na ten bajzel, woźnica może się nie zatrzymać! Jego karoca może się wywrócić! On sam może zginąć!

- Boże-drogi - powiedział Stephen, jakby to było jedno słowo.

Jego blada twarz zrobiła się jeszcze o dwa odcienie bielsza. Osmond powoli pokiwał głową.

- Myślę, że gdyby karoca Morgana miała się wywrócić, wszyscy powinniśmy modlić się raczej o jego śmierć niż powrót do zdrowia.

- Ale... ale...

Osmond odwrócił się od niego i prawie biegiem zawrócił do miejsca, gdzie stał kapitan Gwardii Zewnętrznej i jego "syn". Za plecami chudego mężczyzny nieszczęsny woźnica nadal wił się na ziemi, stękając bez ustanku "Mój panie! Mój panie!".

Wzrok Osmonda spoczął na Jacku, po czym minął go, jakby go tu w ogóle nie było.

- Kapitanie Farren - powiedział. - Śledziłeś wydarzenia ostatnich pięciu minut?

- Tak, Osmondzie.

- Śledziłeś je uważnie? Zgłębiłeś ich istotę? Zgłębiłeś ją jak najdokładniej?

- Tak. Tak sądzę.

- Tak sądzisz? Wspaniały z ciebie kapitan, kapitanie! Myślę, że jeszcze porozmawiamy, jak tak doskonały kapitan mógł spłodzić takie żabie jądło, które nazywa swoim synem. - Zimne spojrzenie jego oczu na chwilę spoczęło na Jacku. - Ale nie mamy teraz na to czasu, prawda? Nie. Proponuję, żebyś zebrał tuzin swoich najtęższych ludzi i wysłał ich jak najszybciej - nie, natychmiast - na trakt na Rubieże. Chyba zdołasz trafić za własnym nosem na miejsce wypadku, prawda?

- Tak, Osmondzie.

Osmond popatrzył szybko na niebo.

- Oczekuję, że Morgan przyjedzie o szóstej - może nieco wcześniej. Teraz jest... druga. Myślę, że około drugiej. Zgadzasz się ze mną, kapitanie?

- Tak, Osmondzie.

- A ty, co powiesz, psie łajno? Trzynasta? Dwudziesta trzecia? Osiemdziesiąta pierwsza godzina?

Jack rozdziawił usta. Osmond skrzywił się pogardliwie, a chłopiec ponownie poczuł, że wzbiera w nim nienawiść.

*Zrobiłeś mi krzywdę i jeśli tylko będę miał okazję...!*

Osmond obejrzał się na kapitana.

- Sugeruję, żebyś do piątej zebrał wszystkie beczki, które ocalały. Po piątej po prostu jak najszybciej oczyść trakt. Zrozumiałeś?

- Tak, Osmondzie.

- To zmiataj stąd.

Kapitan Farren przyłożył pięść do czoła i się skłonił. Wciąż rozdziawiając usta jak idiota i nienawidząc Osmonda tak gwałtownie, że mózg wydawał się mu pulsować, Jack zrobił to samo. Osmond odwrócił się od nich, nim zdołali na dobre zacząć swoje saluty. Wychudły mężczyzna zawrócił w stronę woźnicy, znów tak potrzaskując biczem, że wydawał odgłosy jak karabinek pneumatyczny.

Woźnica usłyszał, że Osmond się zbliża, i zaczął krzyczeć.

- Chodźmy - powiedział kapitan, ciągnąc Jacka za ramię po raz ostatni. - Nie powinieneś tego oglądać.

- Nie - wydusił z siebie chłopiec. - Boże, nie.

Gdy kapitan Farren uchylił prawe skrzydło wrót i wreszcie opuścili teren pawilonu, Jack mimo wszystko usłyszał - to, co od tej nocy prześladowało go w snach: jeden świszczący trzask karabinka po drugim, a po każdym z nich krzyk skazanego na zgubę woźnicy. Osmond też wydawał pewien odgłos - dyszał bez tchu tak głośno, że trudno było odgadnąć, co to za dźwięk. Ale Jack nie miał ochoty oglądać się, by zobaczyć jego twarz.

Wydawało się mu jednak, że wie, co to za odgłos.

Domyślał się, że Osmond się śmieje.

## 5

Jack i kapitan znaleźli się w publicznej części terenu wokół pawilonu. Mijający ich ludzie spoglądali na Farrena kątem oka... i omijali go szerokim łukiem. Kapitan maszerował spiesznie, ze ściągniętą i pochmurną twarzą. Jack musiał niemal biec, by dotrzymać mu kroku.

- Mieliśmy szczęście - powiedział nagle kapitan. - Piekielne szczęście. Myślę, że zamierzał cię zabić. - Jack obejrzał się na niego z rozdziawionymi ustami; zaschło mu w nich na wiór. - Jest szalony, sam widziałeś. Szalony jak facet, co gania za ciastem.

Jack nie miał pojęcia, co to mogło oznaczać, ale zgadzał się, że Osmond jest szalony.

- Co...

- Zaczekaj - przerwał mu kapitan. Wrócili pod niewielki namiot, do którego Farren zabrał Jacka, gdy chłopiec pokazał mu ząb rekina. - Stój tutaj i czekaj na mnie. Z nikim nie rozmawiaj.

Kapitan wszedł do namiotu. Jack czekał na niego i się rozglądał. Minął go żongler; obejrzał się na chłopca, lecz nawet na moment nie zgubił rytmu, w którym podrzucał pół tuzina kul w skomplikowanym, obszernym układzie. Garstka odartej dzieciarni wlokła się za cyrkowcem jak za Szczurołapem z Hamelin. Młoda kobieta z brudnym dzieckiem u wielkiej piersi powiedziała Jackowi, że mogłaby nauczyć go robić parę rzeczy fajfusem poza sikaniem, gdyby miał monetę czy dwie. Jack z zakłopotaniem odwrócił wzrok, czując rumieniec na twarzy.

- Ooooo, śliczny panicz jest NIEŚMIAŁY! - Młoda kobieta wydała gdaczący śmiech.  
- Podejdz tu, piękniśiu! No, chodź...

- Znikaj, ladacznico, albo skończysz dzień w najgorszej kuchni.

Był to kapitan. Wyszedł z namiotu z drugim mężczyzną. Jego towarzysz był stary i gruby, ale miał wspólną cechę z Farrenem - wyglądał jak prawdziwy żołnierz, a nie postać z operetki Gilberta i Sullivana. Starał się dopiąć uniform na wystającym brzuchu, jednocześnie podtrzymując spiralny instrument przypominający rożek francuski.

Dziewucha z brudnym dzieciakiem umknęła, nie oglądając się nawet na Jacka. Kapitan wziął róg od grubego mężczyzny, by ten mógł doprowadzić się do ładu. Zamienili jeszcze parę słów. Tłuszcioch skinął głową, dopiął koszulę, odebrał róg i odszedł, dmąc weń. Instrument wydawał dźwięk inny niż ten, który Jack usłyszał przy swoim pierwszym wypadzie w Terytoria; wówczas na paradną nutę grało wiele instrumentów dętych - była to fanfara heroldów. Ten róg brzmiał jak fabryczna syrena, która oznajmia, że jest robota do wykonania.

Kapitan wrócił do Jacka.

- Chodź ze mną - polecił.

- Dokąd?

- Wyprowadzę cię na trakt na Rubieże - odparł kapitan Farren, po czym obrzucił Jacka Sawyera spojrzeniem, w którym zaduma mieszała się z lękiem. - Ojciec mojego ojca nazywał go Szlakiem Zachodnim. Biegnie on na zachód przez coraz mniejsze wioski, aż dociera do Rubieży. Za Rubieżami prowadzi donikąd... albo do piekła. Jeżeli zmierzasz na zachód, to powinieneś z niego korzystać, jeśli Bóg cię nie opuści, chłopcze. Słyszałem jednak, że nawet On nigdy nie zapuszcza się poza Rubieże. Chodźmy.

W umyśle Jacka tłoczyły się pytania - cały milion - ale kapitan narzucił zabójcze tempo, wskutek czego chłopcu zabrakło tchu. Pokonali wzniesienie na południe od wielkiego pawilonu i minęli miejsce, w którym Jack za pierwszym razem opuścił Terytoria. Znaleźli się niedaleko ludowego jarmarku - Jack słyszał nawoływacza zachęcającego gości do spróbowania szczęścia na Cudzie, Ośle Z Piekła Rodem. Człowiek dostaje wygraną, jeśli zdołał się na nim utrzymać przez dwie minuty, ogłaszał nawoływacz. Bryza od morza niosła głos mężczyzny z idealną klarownością, a także zapachy gorącego jedzenia, od którego ślina napływała do ust - tym razem oprócz mięsa pachniała prażona kukurydza. Jackowi zaburczało w brzuchu. W bezpiecznej odległości od Osmonda Wielkiego i Groźnego poczuł wilczy głód.

Zanim dotarli do jarmarku, skręcili jednak w prawo na drogę o wiele szerszą od tej, która wiodła do wielkiego pawilonu. Trakt na Rubieże, pomyślał Jack, po czym z lekkim dreszczem lęku i oczekiwania poprawił się: Szlak Zachodni. Droga do Talizmanu.

Znów ruszył spieszenie za kapitanem Farrenem.

## 6

Osmond miał rację: w razie konieczności mogli kierować się powonieniem. Byli o milę od wsi o dziwnej nazwie, gdy wiatr doniósł do nich pierwsze kwaśne tchnienie rozlanego jęczmiennego piwa.

Traktem na wschód sunęły wozy przeważnie ciągnięte przez zaprzęgi spienionych koni (choć żaden z nich nie miał dwóch łbów). Wozy stanowią w tym świecie odpowiednik ciężarówek marki Reo czy Peterbilt, domyślił się Jack. Na niektórych piętrzyły się wory, bele i torby, na innych - surowe mięso, na jeszcze innych - klatki z gdaczącymi kurami. Na obrzeżach Wioski Podręcznych minął ich w alarmującym tempie otwarty wóz pełen kobiet. Kobiety śmiały się i krzyczały. Jedna z trudem stanęła, podniosła spódnicę po owłosione krocze i zakołysała po pijanemu biodrami. Zwałyby się przez bok wozu do rowu - i pewnie złamałaby kark - gdyby któraś z koleżanek nie pociągnęła jej za tył spódnicy i bezceremonialnie nie usadziła na miejscu.

Jack znów się zaczerwienił: przed oczyma stanęła mu biała pierś dziewczyny i sutek w ustach ssącego z całych sił niemowlęcia. *Ooooo, śliczny panicz jest NIEŚMIAŁY!*

- Boże! - mruknął Farren, jeszcze bardziej przyspieszając kroku. - Wszystkie były pijane! Uchwały się rozlanym piwem. I te dziwki, i woźnica! Pewnie wywali się na drodze albo zjedzie z nimi z nadmorskiego urwiska. Żadna strata! Zarażone ladacznice!

- Przynajmniej droga musi być przejezdna, skoro wszystkie te wozy tu dotarły - wydyszał Jack. - Nie myłę się?

Dotarli do Wioski Podręcznych. Szeroki Szlak Zachodni polewano tu olejem, by nie dopuścić do wzbijania się kurzu. Wozy nadjeżdżały i odjeżdżały, grupki ludzi przechodziły przez drogę i wszyscy zdawali się mówić zbyt głośno. Jack zobaczył dwóch mężczyzn klócących się pod budynkiem wyglądającym na oberżę. W chwili potem obydwaj kotłowali się na ziemi. Nie tylko te ladacznice spiły się rozlanym piwem, pomyślał Jack. Wygląda na to, że każdy we wsi dostał swoją działkę.

- Wszystkie wielkie wozy, które nas mijaly, wyruszyły stąd - powiedział Farren. - Niektóre z mniejszych mogły się przedostać, ale zapewniam cię, że karoca Morgana nie jest mała, chłopcze.

- Morgan...

- Nie zawracaj sobie nim teraz głowy.

Woń piwa stawała się coraz ostrzejsza, w miarę jak przechodzili przez środek wsi na jej drugą stronę. Jacka rozbolały nogi, gdyż starał się dotrzymać kroku kapitanowi. Oceniał, że uszli już trzy mile. Ile to jest w moim świecie? - zadał sobie pytanie, co z kolei przywiodło mu na myśl magiczny napitek Speedy'ego. Gorączkowo pogrzebał w kaftanie, przekonany, że butelka znikła - ale tkwiła bezpiecznie, zatknięta w tutejszy odpowiednik bielizny, który zastąpił bokserki chłopca.

Gdy wydostali się na zachodnią stronę wioski, ruch wozów zelżał, jednak było tu znacznie więcej pieszych, którzy kierowali się na zachód. Większość chwiała się, śmiała i potykała. Wszyscy cuchnęli piwskim. Niektórym ociekały ubrania, jakby kładli się na ziemi i spijali piwo jak psy. Jack podejrzewał, że tak właśnie było. Zobaczył śmiejącego się mężczyznę, który prowadził za rękę również roześmianego, może ośmioletniego chłopca. Mężczyzna wykazywał koszmarnie podobieństwo do recepcjonisty z Alhambry, Jack zaś w lot pojął, że jest to Dwójnik tamtego człowieka. Zarówno mężczyzna, jak i prowadzony przezeń chłopiec byli pijani, a gdy Jack odwrócił się za nimi, chłopczyk zaczął wymiotować. Ojciec - bo chyba to był ojciec - szarpnął dzieciaka za ramię, gdy spróbował wleźć w krzaki w przydrożnym rowie, gdzie mógłby zwracać we względnym odosobnieniu. Chłopiec zatoczył się z powrotem w stronę ojca jak szczenię na krótkiej smyczy, ochlapując wymiocinami starszego mężczyznę, który jakiś czas temu zwał się na skraju traktu i chrapał w najlepsze.

Twarz kapitana Farrena stawała się coraz pochmurniejsza.

- Niech Bóg ich wszystkich przygwoździ - burknął.

Nawet najbardziej pijani dla własnego dobra omijali szerokim łukiem oficera z blizną. Gdy kapitan wszedł po raz drugi do strażnicy pod pawilonem, przypasał krótką, solidną pochwę ze skóry. Jack podejrzewał (nie bez podstaw), że tkwi w niej krótki, solidny miecz. Gdy tylko któryś z pijaków za bardzo się zbliżył, kapitan dotykał miecza, i wówczas człowiek ów szybko skręcał w inną stronę.

Dziesięć minut później - gdy Jack nabierał pewności, że nie zdoła dłużej dotrzymać oficerowi kroku - dotarli do miejsca wypadku. Woźnica pokonywał zakręt od wewnętrznej strony, gdy wóz przechylił się i wywrócił. W rezultacie beczki wytoczyły się na całą szerokość drogi. Wiele z nich rozbiło się; droga na odcinku dwudziestu stóp zamieniła się w

trzęsawisko. Jeden z koni leżał martwy pod wozem; widać było tylko jego zad. Drugi zwałił się do rowu; z ucha sterczał mu kawałek strzaskanej klepki. Jack nie sądził, że stało się to przypadkiem. Domyślił się, że koń był śmiertelnie ranny i ktoś skrócił jego cierpienia, posłużwszy się pierwszym narzędziem, jakie nawinęło się pod rękę. Pozostałych koni nigdzie nie dostrzegął.

Na drodze między koniem pod wozem i tym w rowie leżał syn woźnicy z rozrzuconymi rękami i nogami. Połową twarzy wpatrywał się w jaskrawoniebieskie niebo Terytoriów z wyrazem idiotycznego zdziwienia. W miejscu drugiej połowy była teraz jedynie czerwona papka, spośród której sterczały jak grudki gipsu białe odłamki kości.

Jack zobaczył, że kieszenie chłopaka były wywrócone na lewą stronę.

Wokół miejsca wypadku kręciło się ponad dwudziestu ludzi. Chodzili powoli, często pochylali się, by złożonymi dłońmi nabrać piwa z odcisku kopyta albo zmoczyć w kałuży chustkę do nosa lub oderwany kawałek podkoszulka. Większość się zataczała; śmiali się i wyklócali podniesionymi głosami. Matka Jacka pozwoliła mu kiedyś wskutek jego usilnych próśb pójść z Richardem na nocny podwójny seans "Nocy żywych trupów" i "Dawn of the Dead" do kina w Westwood. Szurający stopami, pijani ludzie przypominali Jackowi ożywionych nieboszczyków z tych filmów.

Kapitan Farren wyciągnął miecz - krótki i solidny, właśnie taki, jaki wyobraził go sobie Jack. Stanowił dokładne przeciwieństwo miecza z romansu. Był niewiele większy od długiego rzeźnickiego noża, wyszczerbiony, pokryty nierównościami i rysami; rękojeść owijała stara skóra, pociemniała od potu. Sam brzusiec też było ciemny... z wyjątkiem tnącego brzegu, jasnego, równego i wyglądającego na bardzo ostry.

- Rozejść się! - ryknął Farren. - Rozejść się! Nie ruszać królewskiego piwa, żeby Bóg was przygwoździł! Rozejść się i nie wtykać pysków, gdzie nie ich miejsce!

Spotkało się to z pomrukami niezadowolenia, ale pijacy odsunęli się od kapitana - wszyscy z wyjątkiem zwałistego mężczyzny, z którego łysej głowy sterczało w przypadkowych miejscach parę kępek włosów. Jack ocenił, że mężczyzna waży prawie trzysta funtów i ma niemal siedem stóp wzrostu.

- Roi ci się, że dasz nam wszystkim radę, żołnierzu? - zapytał olbrzym i machnięciem uwalanej błotem ręki wskazał grupkę wieśniaków, którzy na rozkaz Farrena cofnęli się od piwnego bagienka i resztek beczek.

- Pewnie - odrzekł kapitan i uśmiechnął się do wielkiego mężczyzny. - Bardzo mi się podoba ta myśl, jeśli tylko będziesz pierwszy, wielka, pijana bryła gówna. - Uśmiech Farrena stał się szerszy, a olbrzym cofnął się przed siłą bijącą od kapitana. - Chodź do mnie, jeśli

masz ochotę. Posiekam cię na plasterki i będzie to pierwsza porządna rzecz, jaką dzisiaj zrobię.

Pijany olbrzym przygarbił się i z gniewnymi pomrukami odsunął na bok.

- A teraz wy wszyscy! - zawołał Farren. - Rozejść się! Tuzin moich ludzi właśnie wyruszył z pawilonu Królowej. Nie są zadowoleni z tego, co mają do zrobienia. Wcale ich za to nie winię i nie odpowiadam za nich! Mam nadzieję, że zdążycie wrócić do wsi i pozamykać się w piwnicach, zanim się tu zjawią! Tak będzie najrozsądniej, więc macie się rozejść!

Chłopi natychmiast ruszyli ławą w stronę Wioski Podręcznych; przewodził im olbrzym, który chciał stawić opór kapitanowi. Farren mruknął i odwrócił się z powrotem w stronę miejsca wypadku. Zdjął kurtę i przykrył nią twarz syna woźnicy.

- Ciekaw jestem, który z nich przetrząsnął kieszenie chłopaka, kiedy leżał tu martwy czy umierający na drodze - odezwał się Farren. - Gdybym wiedział, dopilnowałbym, żeby ten łotr do zachodu słońca zawisł na krzyżu.

Jack nic nie odparł.

Kapitan wpatrywał się w martwego młodzieńca długą chwilę, pocierając dłonią gładką powierzchnię zygzakowatej blizny. Gdy podniósł wzrok na Jacka, wyglądał tak, jakby właśnie odzyskał świadomość.

- Musisz już iść, chłopcze. Natychmiast - zanim Osmond uzna, że powinien dokładniej przyjrzeć się mojemu synowi-idiocie.

- Będzie miał pan przeze mnie duże kłopoty? - zapytał Jack.

- Nie, jeśli znikniesz. - Kapitan zdobył się na słaby uśmiech. - Będę mógł powiedzieć, że odesłałem cię z powrotem do matki albo że wpadłem w szal i ubiłem cię kawałkiem drewna. Osmond uwierzyłby i w to, i w to. Ma inne rzeczy na głowie - jak oni wszyscy. Czekają na śmierć Królowej. Nie będą musieli czekać długo - chyba że... - Nie dokończył. Po chwili podjął na nowo: - Ruszaj. Nie zwlekaj. Kiedy usłyszysz, że nadjeżdża karoca Morgana, zejdziesz z drogi i zaszyj się głęboko w lesie. Głęboko. Inaczej wyczuje cię jak kot szczura. Orientuje się natychmiast, jeśli coś jest nie w porządku. Nie po jego myśli. To diabeł.

- Usłyszę, jak nadjeżdża? Jego karoca? - spytał pokornie Jack.

Popatrzył na drogę za porozbijanymi beczkami. Trakt równomiernie piał się w górę ku skrajowi sosnowego lasu. Będzie tam ciemno, pomyślał chłopiec... a Morgan nadjedzie z drugiej strony. Strach i samotność połączyły się w najostrejszym, najbardziej zniechęcającym przyplwywie nieszczęścia, jakiego kiedykolwiek doznał. *Speedy, nie uda mi się! Nie zdajesz sobie z tego sprawy? Jestem tylko dzieckiem!*



- Karocę Morgana ciągnie sześć par koni i trzynasty na czele - powiedział Farren. - W pełnym galopie ten piekielny karawan hałasuje jak przetaczający się po ziemi grzmot. Nie obawiaj się, usłyszysz go. Będziesz miał dość czasu, żeby się ukryć w lesie. Nie zapomnij tylko tego zrobić.

Jack coś wyszeptał.

- Co? - zapytał ostro Farren.

- Powiedziałem, że nie chcę iść - rzekł Jack nieco głośniej. Pod powiekami wzbierały mu łzy. Wiedział, że jeśli da im upust, to się rozklei, nerwy mu puszczą do reszty i będzie błagał kapitana Farrena, żeby go stąd zabrał, zaopiekował się nim, zrobił cokolwiek...

- Chyba już za późno, żeby brać pod uwagę to, na co masz ochotę - odpowiedział oficer. - Nie znam twojej historii, chłopcze, i wcale nie chcę jej poznać. Nie chcę znać nawet twojego imienia.

Przygarbiony Jack wpatrywał się w niego płonąłym wzrokiem, a usta mu drżały.

- Wyprostuj barki! - krzyknął na niego Farren z nagłą furią. - Kogo masz uratować? Jak daleko zajdziesz? Nawet dziesięciu stóp, sądząc po twoim wyglądzie! Jesteś za młody, by być mężczyzną, ale możesz przynajmniej udawać, prawda? Wyglądasz jak skopany kundel.

Słowa oficera ubodły Jacka. Wyprostował się i przełknął łzy. Jego wzrok padł na zwłoki syna woźnicy i pomyślał: Przynajmniej nie skończyłem tak jak on. Jeszcze nie. Farren ma rację. Litowanie się nad sobą to luksus, na który nie mogę sobie pozwolić. Była to prawda. Mimo wszystko nic nie poradził na to, że przez chwilę nienawidził kapitana z blizną za to, że sięgnął do jego wnętrza i tak łatwo nacisnął właściwe guziki.

- Lepiej - powiedział sucho Farren. - Niewiele, ale lepiej.

- Dziękuję - odparł sarkastycznie Jack.

- Nie możesz się z tego wykręcić płaczem, chłopcze. Osmond będzie cię tropił. Morgan również, kiedy tylko się o tobie dowie. Może... może tam, skąd przybywasz, też są problemy. Coś ci dam. Jeśli Parkus przysłał cię do mnie, chciał, żebyś to ode mnie dostał - więc weź to i ruszaj dalej.

Farren wyciągnął dłoń z monetą. Jack zawahał się, po czym wziął ją od niego. Moneta miała rozmiary półdolarówki z Kennedym, była jednak znacznie cięższa - tak ciężka, jakby wybito ją ze złota, domyślił się, chociaż miała matowy, srebrny kolor. Widniał na niej profil Laury DeLoessian. Jack ponownie doznał wstrząsu - na krótko, lecz z całą siłą - wywołanego podobieństwem Królowej do jego matki. Nie, czymś więcej niż podobieństwem - mimo takich różnic, jak szerokość nosa czy wykrój podbródka, Królowa była jego matką. Jack wiedział to z całą pewnością. Odwrócił monetę i na rewersie zobaczył zwierzę z łbem i

skrzydłami orła oraz tułowiem lwa. Stwór zdawał przyglądać się Jackowi. Nieco go to wytrąciło z równowagi, więc schował monetę pod kaftan - w to samo miejsce, gdzie tkwiła butelka magicznego napitku Speedy'ego.

- Po co mi ona? - spytał Farrena.

- Dowiesz się we właściwym czasie - odpowiedział kapitan. - A może nie. Tak czy inaczej, spełniłem swój obowiązek wobec ciebie. Przekaż to Parkusowi, kiedy go zobaczysz.

Jack znowu poczuł, że ogarnia go poczucie obłądnej nierzeczywistości.

- Idź, synu - powiedział Farren niższym, lecz wcale nie łagodniejszym głosem. - Zrób, co do ciebie należy... albo przynajmniej tyle, ile zdołasz.

W końcu właśnie uczucie nierzeczywistości - przenikliwe wrażenie, że był jedynie wytworem czyjejś halucynacji - wprawiło Jacka w ruch. Lewa, prawa - słoma, siano. Kopnął przesiąkniętą piwem szczapę. Przesząpił resztki strzaskanego koła. Okrążył koniec wozu, nie zwracając uwagi na schnącą krew i brzęczące muchy. Co znaczyła krew czy natrętne muchy we śnie?

Dotarł do końca odcinka drogi pokrytego błotem i kawałkami drewna z beczek oraz wozu. Obejrzał się... ale kapitan Farren stał odwrócony w drugą stronę, pewnie wyglądając swoich ludzi, a może po to, by nie patrzeć na Jacka. Tak czy inaczej tył to tył; nie ma się na co oglądać, doszedł do wniosku Jack.

Sięgnął pod kaftan, ostrożnie musnął monetę, którą dostał od Farrena, a potem zacisnął ją w dłoni. Dzięki temu poczuł się jakby trochę lepiej. Trzymając ją w dłoni tak, jak dziecko ściska ćwierćdolarówkę, za którą może kupić cukierki w sklepie, Jack ruszył przed siebie.

## 7

Minęły pewnie niecałe dwie godziny - chociaż może i cztery - gdy Jack usłyszał dźwięk opisany przez kapitana Farrena jako "grzmot przetaczający się po ziemi". Gdy tylko słońce znikło za zachodnim skrajem lasu (co nastąpiło niedługo po tym, gdy Jack do niego dotarł), ocena upływu czasu przysparzała trudności.

Niejednokrotnie mijały go nadjeżdżające z zachodu pojazdy, zapewne zmierzające do pawilonu Królowej. Słyszac każdy z nich (a zbliżające się wozy czyniły straszny hałas; czystość, z jaką niósł się dźwięk, przypomniła Jackowi słowa Speedy'ego o człowieku wrywającym rzodkiew i drugim, który czuł jej zapach pół mili dalej), chłopiec myślał od razu o Morganie. Za każdym razem nurkował do rowu, wyłaził z niego po drugiej stronie i

zaszywał się w lesie. Nie podobało mu się w mrocznej puszczy - nawet niedaleko jej skraju, gdzie wciąż mógł dojrzeć trakt zza pnia drzewa; nie było to ukojenie dla znekanych nerwów, ale jeszcze mniej pociągała go myśl, że wuj Morgan (tak przynajmniej nazywał w duchu mocodawcę Osmonda, mimo słów kapitana Farrena) mógłby zastać go na drodze.

Dlatego też Jack znikał z otwartego terenu za każdym razem, kiedy dosłyszał nadjeżdżający wóz czy karetę, i wracał nań, gdy pojazd go minął. Gdy za którymś razem przeleził przez podmokły, zarośnięty chwastami rów po prawej stronie, coś przebiegło - lub przepelzło - po jego nodze. Jack krzyknął.

Ruch na drodze dokuczał jak pryszcz na tyłku i nie ułatwiał szybkiej wędrówki, ale w nieregularnym przejeżdżaniu wozów było coś napawającego otuchą - przynajmniej wiedział, że nie jest sam.

Miał ochotę wynieść się do diabła z Terytoriów.

Magiczny napitek Speedy'ego był najgorszym specyfikiem, jakiego chłopiec popróbował w życiu, ale z zadowoleniem wypiłby wykręcający trzewia łyk, gdyby ktoś - na przykład Speedy - ni z tego, ni z owego pojawił się i zapewnił go, że kiedy znowu otworzy oczy, od razu ujrzy złote łuki McDonalds'a - nazywane przez jego matkę Wielkimi Cyckami Ameryki. W Jacku narastało uczucie przytłaczającego zagrożenia - wrażenie, że las jest rzeczywiście niebezpieczny, że ukryte w nim istoty wyczuwają jego obecność, że być może sam las zdaje sobie sprawę, że chłopiec wędruje. Drzewa zbliżyły się do drogi, może nie? Owszem. Przedtem urywały się za rowami; teraz rosły i po drugiej stronie. Przedtem las składał się bodajże wyłącznie ze świerków i sosem. Teraz ze wszystkich stron tłoczyły się i inne gatunki drzew, niektóre o czarnych pniach, poskręcanych ze sobą jak kłęby przegniłych sznurków, inne wyglądające jak niesamowite hybrydy jodeł i paproci - te ostatnie miały obrzydliwe szare korzenie, wczepiające się w ziemię jak ciastowate paluchy. Nasz chłopiec? - zdawały się szeptać te ohydne stwory w głowie Jacka. NASZ chłopiec?

*Wszystko to dzieje się tylko w twoim umyśle, Jack-O. Po prostu trochę ci odbija.*

W gruncie rzeczy jednak w to nie wierzył.

Drzewa rzeczywiście się zmieniały. Wiszące w powietrzu duszące, przytłaczające uczucie, że Jack jest obserwowany, było aż nadto prawdziwe. Zaczynał dochodzić do wniosku, że obsesyjne powracanie do koszmarnych myśli powodował las... jak gdyby drzewa emitowały jakieś straszliwe sygnały.

Butelka z magicznym napitkiem Speedy'ego była już do połowy opróżniona. Tak czy inaczej, musiała wystarczyć Jackowi na resztę drogi przez Stany Zjednoczone. Gdyby

pociągał z niej za każdym razem, kiedy dostawał pietra, nie wystarczyłoby mu nawet na przemierzenie Nowej Anglii.

W myślach wracał również stale do zdumiewającej odległości, jaką pokonał w swoim świecie, gdy przeskoczył do niego z powrotem z Terytoriów. Sto pięćdziesiąt stóp tutaj równało się pół mili tam. Przy zachowaniu takiej relacji - chyba że stosunek pokonanych odległości w jakiś sposób się zmieniał, a Jack przypuszczał, że jest to możliwe - mógł przejść tutaj dziesięć mil i nieomal wydostać się z New Hampshire w swoim świecie. Przypominało to chodzenie w siedmiomilowych butach.

Mimo to te drzewa... ich szare, ciastowate korzenie...

*Kiedy zaczniesz naprawdę się ściemniać - kiedy niebo zamieni się z niebieskiego na purpurowe - przeskoczę z powrotem. O to chodzi: i będzie po krzyku. Nie będę szedł przez ten las po ciemku. A jeśli magiczny napitek skończy mi się w Indianie czy gdzieś tam, stary Speedy może mi dostać kolejną butelkę UPS czy coś w tym rodzaju.*

Wciąż snując takie myśli - i czując się o wiele lepiej dzięki temu, że miał coś na kształt planu (choćby obejmował on mniej więcej następne dwie godziny) Jack nagle zdał sobie sprawę, że słyszy kolejny pojazd i tętent wielu koni.

Przekrzywił głowę i zatrzymał się na środku drogi. Oczy mu się rozszerzyły; dwa obrazy pojawiły się w jego umyśle z taką szybkością, jakby odsłoniła się migawka: wielki samochód z dwoma mężczyznami - wóz, który nie był mercedesem - a następnie furgonetka DZIKIEGO DZIECKA. Oddalała się pędem ulicą od ciała wujka Tommy'ego, a z połamanych kłów kraty chłodnicy skapywała krew. Jack zobaczył ręce na kierownicy furgonetki... tyle że nie były to ręce, lecz upiorne kopyta o niezliczonych stawach.

*W pełnym galopie ten przeklęty karawan wydaje odgłos jak grzmot przetaczający się po ziemi.*

Usłyszawszy ten dźwięk - wciąż odległy, lecz idealnie klarowny w czystym powietrzu - Jack zdumiał się, że w ogóle mógł brać inne nadjeżdżające wozy za karocę Morgana. Zdał sobie sprawę, że nie popełni więcej takiej pomyłki. Dobiegający do niego teraz dźwięk był bezgranicznie złowieszczy, nabrzmiały złem - odgłos karawanu powożonego przez diabła.

Jack stał nieruchomo na drodze niemal zahipnotyzowany, jak królik w świetle reflektorów. Odgłos stawał się coraz głośniejszy - grzmot kół i kopyt, skrzypienie skórzanej uprzęży. Po chwili do chłopca dobiegły okrzyki woźnicy: "Wiiii-ooo! Wiiii-oooo! WIIIII-OOOOO!"

Sterczał na drodze, stał na niej, czując łomoczącą w głowie zgrozę. *Nie mogę się ruszyć, och Boże drogi Chryste Panie nie mogę się ruszyć mamó mamó mamuuuuuu...!*

Sterczał na drodze, a oczyma wyobraźni zobaczył mknący traktem wielki czarny wóz przypominający dylizans, ciągnięty przez czarne zwierzęta, wyglądające raczej jak pумы niż konie; zobaczył łopoczące, wdmuchiwane do środka i wydymane na zewnątrz czarne zasłonki w oknach; zobaczył stojącego na pomoście woźnicę z rozwianymi w tył włosami i obłądnym, nieprzytomnym wzrokiem jak u wariata ze sprężynowym nożem.

Zobaczył, że karoca jedzie w jego stronę i nie zwalnia nawet odrobinę.

Zobaczył, że go przejeżdża.

Przerwało to jego paraliż. Zbiegł na prawą stronę, ześliznął się po stoku, zawadził stopą o jeden z węzlastych korzeni, potknął się i przetoczył. Plecy, przez ostatnich parę godzin dające mu względny spokój, rozgorzały ogniem; Jack ściągnął wargi w grymasie bólu.

Poderwał się na równe nogi i zgarbiony prysnął w las.

Wśliznął się najpierw za jedno z czarnych drzew, ale węzlasty pień - przypominający figowce, które widział w czasie wakacji na Hawajach w zeszłym roku - okazał się w dotyku nieprzyjemny, jakby naoliwiony. Jack przesunął się w lewo i schował za pniem sosny.

Grzmot karocy i krzyki asysty stawały się z każdą chwilą coraz głośniejsze. Jack spodziewał się, że orszak lada sekunda przetoczy się koło niego w stronę Wioski Podręcznych. Przygryzał wargi, zaciskał i rozluźniał palce na gumowatej korze sosny.

Na wprost siebie miał wąski, lecz wystarczający prześwit - tunel o ścianach z liści, paproci i świerkowych igieł - przez który widział drogę. W chwili gdy Jack zaczął dochodzić do wniosku, że świta Morgana już nigdy się nie pojawi, zobaczył około tuzina konnych żołnierzy, którzy przejechali galopem na wschód. Pierwszy z nich dzierżył proporzec, ale chłopiec nie zdołał dojrzeć, jakie jest na nim godło... nie był zresztą pewien, czy ma ochotę je oglądać. Po chwili w wąskim prześwicie mignęła karoca.

Pojazd pokazał się w ograniczonym polu widzenia na krótko - na sekundę, może nawet mniej - ale Jack przypominał sobie później każdy szczegół. Karoca była olbrzymia; miała na pewno dwanaście stóp wysokości. Kolejne trzy stopy dodawały przywiązane do dachu grubym sznurem skrzynie i toboły. Łby wszystkich koni z zaprzęgu przyozdobiono czarnymi pióropuszcami - pęd powietrza kładł je niemal płasko. Jack pomyślał później, że Morgan na pewno potrzebuje nowego zaprzęgu na każdą wyprawę, bo konie wyglądały na skrajnie wyczerpane. Z otwierających się i zamykających pysków tryskały im płaty piany i krople krwi; zwierzęta toczyły obłądnie ślepiami, błyskając półksiężycowatymi białkami.

Tak jak we wcześniejszym wyobrażeniu - a może wizji - Jack dostrzegł łopoczące w okienkach bez szyb firanki z czarnej krepy. Nagle w jednym z czarnych prostokątów pojawiła się biała twarz - blade oblicze, obramowane dziwnymi, zawiłymi motywami wykończenia

framugi. Nagłość, z jaką pojawiła się ta twarz, była równie szokująca jak widok oblicza ducha w oknie zrujnowanego, nawiedzonego domu. Nie była to twarz Morgana Sloata - lecz równocześnie nią była.

Właściciel tej twarzy wyczuł, że Jack - czy jakieś inne zagrożenie, równie zniechęcone i osobiste - kryje się w lesie. Chłopiec dojrzał to po sposobie, w jaki rozszerzyły się mu oczy, a kąćki ust opuściły się w złowrogim grymasie.

Kapitan Farren powiedział: Wyczuje cię jak szczura, Jack zaś pomyślał w tym momencie: Zgadza się, wyczuł mnie. Wie, że tu jestem - i co teraz? Założę się, że zatrzyma całą bandę i wyśle żołnierzy w las, żeby mnie znaleźli.

Minęła go kolejna grupa żołnierzy - pilnowali karocy Morgana od tyłu. Jack czekał, z rękami jakby przygwożdżonymi do pnia drzewa, pewien, że Morgan każe się zatrzymać. Orszak jednak nie stanął; wkrótce ciężki łoskot karocy i jeźdźców zaczął cichnąć.

*Jego oczy. Wiośnie one są takie same. Ciemne oczy w bladej twarzy. I...*

*Nasz chłopiec? TAAAAK!*

Coś przeczołgało się po stopie Jacka... i popęzło w górę po kostce. Krzyknął i szarpnął się do tyłu, pewien, że to wąż. Gdy opuścił wzrok, zobaczył, że na stopę wczołgał się mu jeden z szarych korzeni... a teraz owijał się mu wokół łydki.

To niemożliwe, pomyślał. Korzenie się nie ruszają...

Poderwał gwałtownie nogę, wyszarpując ją z prymitywnych pęt, jakie utworzył szary korzeń. Poczul lekki ból w kostce, jak od otarcia przez linę. Podniósł oczy i w jego serce wlał się odrętwiający strach. Pomyślał, że wie, dlaczego Morgan pojechał dalej, chociaż go wyczuł: wiedział, że wejście w ten las przypomina zanurzenie się w pełen piranii strumień w dżungli. Dlaczego kapitan Farren go nie ostrzegł? Jackowi przychodziło do głowy tylko to, że oficer nie wiedział; może nigdy nie zapuścił się tak daleko na zachód.

Szarawe korzenie hybryd jodeł z paprociami ogarnęło ogólne poruszenie: unosiły się, trzepotały, przemykały po próchniczym gruncie w stronę Jacka. Entowie i żony Entów, pomyślał szaleńczo Jack. ŻLI Entowie i żony Entów. Wyjątkowo gruby korzeń, którego ostatnich sześć cali pokrywała wilgotna ziemia, dźwignął się na wysokość oczu chłopca i kołysał się przed nim jak kobra, wywołana z kosza przez flet fakira. *NASZ chłopiec! TAAK!*

Korzeń rzucił się w stronę Jacka. Chłopiec cofnął się świadom, że korzenie utworzyły żywą zasłonę, odgradzającą go od zapewniającej bezpieczeństwo drogi. Plecami dotknął pnia drzewa... i oderwał się od niego z wrzaskiem, bo kora zaczęła się marszczyć i podrygiwać - miał wrażenie, jakby oparł się o mięsień, który ogarnęły dzikie skurcze. Jack rozejrzał się dookoła i zobaczył jedno z czarnych drzew z węzłastymi pniami. Ten pień również zaczął się

wić i wykręcać. Poplątane węzły kory utworzyły coś na kształt straszliwej, pobrużdżonej twarzy z szeroko otwartym jednym czarnym okiem, a drugim przymkniętym w potwornym mrugnięciu. Pień poniżej rozszczepił się ze zgrzytliwym, rozdzierającym dźwiękiem, ze szczeliny zaczęła się sączyć białawożółta żywica. *NASZ! Och, taaaak!*

Przypominające palce korzenie wśliznęły się między ramię i klatkę piersiową Jacka, jakby chciały go połaskotać.

Oderwał się od nich, olbrzymim wysiłkiem woli starając się myśleć racjonalnie. Wymacał pod kaftanem butelkę od Speedy'ego. Zdawał sobie sprawę, choć słabo, że słychać ogłuszające odgłosy darcia. Domyślił się, że drzewa same siebie wyrywają z ziemi. Tolkienowi coś takiego nawet nie przyszłoby do głowy.

Zacisnął dłoń na szyjce butelki i wyciągnął ją z za pazuchy. Niezdarnie sięgnął po korek i w tej samej chwili jeden z szarych korzeni owinał się wokół jego szyi. Moment później zacisnął się tak brutalnie jak katowska pętla.

Jack stracił oddech. Butelka wypadła mu z rąk, gdy zaczął szarpać duszące go monstrum. Zdołał wcisnąć palce pod korzeń - nie sztywny i zimny, ale giętki i przypominający w dotyku ciało. Próbował go rozerwać i jednocześnie sobie zdawał sobie sprawę, że wydaje charczący, bulgoczący odgłos, a po brodzie cieknie mu strużka śliny.

Wreszcie konwulsyjnym szarpnięciem zdołał zerwać korzeń z szyi. Próbował owinać mu się wokół nadgarstka, Jack jednak odrzucił go z krzykiem od siebie. Opuścił wzrok i zobaczył, że butelka podskakuje i odsuwa się od niego - kolejny szary korzeń okręcił się na jej szyjce.

Jack skoczył za nią. Korzenie chwyciły go za nogi i pewnie się wokół nich owinęły. Chłopiec padł jak długi. Wyciągnął ręce, starając się dosięgnąć butelki. Końce palców wbijał w gęstą, czarną glebę, by podciągnąć się choćby jeszcze o cal...

Zdołał dotknąć boku zielonej flaszki... i zacisnąć na niej dłoń. Ze wszystkich sił szarpnął ją ku sobie, zdając sobie niejasno sprawę, że korzenie poowijały się mu już wokół całych nóg, krzyżując się i unieruchamiając go tak pewnie jak sieć. Odkręcił korek. Kolejny korzeń spłynął z góry lekko jak pajęczyna i spróbował mu wyrwać butelkę. Jack odepchnął go od siebie i uniósł butelkę do ust. Zapach gnijących owoców nagle wydał się mu wszechobecny, tworzył odgradzającą go od świata żywą membranę.

*Niech to zadziała, Speedy, proszę!*

Podczas gdy kolejne korzenie wpełzały mu na plecy i owijały się dookoła tułowia, potrząsając na boki jego bezwładnym ciałem, Jack wypił łyk, czując, jak tanie wino rozchlapuje się po jego policzkach. Przełknął, jęknął, wyszeptał w duchu modlitwę - wszystko

na nic, napitek nie poskutkował. Jack wciąż zaciskał oczy, ale wiedział, że korzenie zwijają się na jego ramionach i nogach, czuł

## 8

wsiąkającą w dżinsy i koszulę wodę, do nozdrzy dobiegł zapach

*Wody?*

błota i wilgoci, słyszał

*Dżinsy? Koszula?*

miarowy rechot żab i otworzył oczy, ujrzał odbicie pomarańczowego blasku zachodzącego słońca na powierzchni szerokiej rzeki. Po wschodniej stronie rzeki rósł nieprzerwany las; po zachodniej - na której znajdował się chłopiec - nad skraj wody zbiegało długie pole, obecnie częściowo przesłonięte unoszącą się pod wieczór znad ziemi mgiełką. Grunt był w tym miejscu mokry i grząski. Jack leżał nad brzegiem rzeki, w najbardziej bagnistym jego odcinku. Wciąż rosły tu gęste chwasty - surowe mrozy, które je zwarzą, nadejdą dopiero za miesiąc. Jack tak się zamotał w łodygi, jak budzący się z koszmaru człowiek wplątuje się czasem w pościel.

Chłopiec wygramolił się z chaszczy i podniósł z ziemi. Był mokry, oblepiony cuchnącym mułem; paski plecaka wpijały się mu pod pachy. Ze zgrozą otarł twarz i ramiona z kawałków liści i źdźbeł. Zaczął odchodzić od brzegu, ale obejrzał się i zobaczył butelkę Speedy'ego w błocie, a obok niej korek. Trochę "magicznego napitku" rozchlapało się lub wylało w trakcie szarpaniny ze złowrogimi drzewami Terytoriów; w butelce została najwyżej jedna trzecia zawartości.

Jack stał przez chwilę nieruchomo, z pograżonymi w błocie, oblepionymi mułem tenisówkami. Przyglądał się rzece. Był w swoim świecie; w starych, dobrych Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Nie ujrzał złotych łuków, które miał nadzieję zobaczyć - ani drapacza chmur, ani migoczącego na ciemniejszym niebie satelity, ale wiedział, gdzie jest, równie pewnie, jak znał własne nazwisko. Pozostawało tylko pytanie: czy w ogóle był wcześniej w innym świecie?

Rozejrzał się po nieznajomej rzece i równie nieznannej wiejskiej okolicy; wsłuchał się w dobiegające z oddali łagodne muczenie krów. Pomyślał: Jesteś gdzieś indziej. Na pewno to już nie Arcadia Beach, Jack-O.

Nie, nie była to Arcadia Beach, ale Jack nie znał dość dobrze okolic miasteczka, by stwierdzić z całą pewnością, że nie jest trzy czy cztery mile od niego - powiedzmy,



wystarczająco daleko od Atlantyku, by nie czuć zapachu oceanu. Znalazł się w tym miejscu w takim stanie, jakby się budził z koszmaru - może faktycznie dręczył go koszmar. Może wszystko, począwszy od woźnicy z ładunkiem pokrytego muchami mięsa po żywe drzewa, było tylko złym snem? Koszmarem na jawie, w którym niepoślednią rolę odegrał lunatyzm? Miało to sens. Matka Jacka umierała; czuł teraz, że od jakiegoś czasu zdawał sobie z tego sprawę - oznaki były wyraźne, więc jego podświadomość wyciągnęła poprawne wnioski, chociaż świadomość im zaprzeczała. Stwarzało to odpowiednią atmosferę dla aktu autohipnozy, a zwariowany włóczęga Speedy Parker tylko podkręcił Jacka. Pewnie. Wszystko trzymało się kupy.

Wuj Morgan wpadłby w zachwyty.

Jack zadrzał i z trudem przełknął ślinę. Przełknięcie go zabolowało - nie tak, jak przy przeziębieniu, lecz przy nadwężeniu mięśni.

Uniósł lewą rękę - tę, w której nie miał butelki - i łagodnie potarł dłonią gardło. Przez chwilę absurdalnie przypominał kobietę, która sprawdza, czy nie ma zmarszczek lub podwójnego podbródka. Wyczuł wypukłe otarcie tuż nad jabłkiem Adama. Pręga krwawiła minimalnie, ale była bolesna w dotyku. To sprawka korzenia, który zacisnął się na szyi Jacka.

- Prawda - wyszeptał, wpatrując się w pomarańczową wodę, wsłuchując się w kumkanie żab i melancholijny ryk krów z oddali. - Wszystko to prawda.

## 9

Jack ruszył na zachód po zaoranym stoku, zostawiając rzekę w tyle. Po ujściu pół mili miarowe ocieranie się i przesuwanie plecaka po pulsującym bólem grzbiecie (przy okazji podskakujący plecak przypominał chłopcu, że nadal ma szramy po razach Osmonda) pobudziło pamięć Jacka. Nie przyjął od Speedy'ego olbrzymiej kanapki, ale czy stary Murzyn nie wsunął jej resztki do plecaka, gdy chłopiec przyglądał się kostce do gry na gitarze?

Jego żołądek się gorliwie podchwycił ten pomysł.

Jack zdjął plecak, zatrzymawszy się pod gwiazdą wieczorną w kłębie unoszącej się znad ziemi mgły. Odpiął sprzączkę. Kanapka rzeczywiście tam leżała; nie kawałek, nie połowa, ale cała, zawinięta w gazetę. Oczy Jacka napełniły się ciepłymi łzami; pożałował, że Speedy'ego nie ma przy nim, bo mógłby go uściskać.

*Dziesięć minut temu nazywałeś go zwariowanym, starym włóczęgą.*

Zarumienił się na tę myśl, ale wstyd nie powstrzymał go od pochłonięcia kanapki w kilku kęsach. Zapiął plecak i zarzucił go z powrotem na plecy. Ruszył dalej, czuł się lepiej, znowu był sobą, gdyż piszcząca dziura w brzuchu została na razie zatkana.

Niedługo później dojrzał światełka migoczące wśród coraz gęstszej ciemności. Farma. Zaczął szczekać pies - głośno, co świadczyło, że jest naprawdę wielki - i Jack zamarł na chwilę w bezruchu.

W domu, pomyślał. Albo na łańcuchu... mam nadzieję.

Skręcił w prawo i po chwili pies przestał szczekać. Kierując się według świateł farmy, Jack wkrótce wyszedł na wąską asfaltową drogę. Stał na jej skraju i rozejrzał się w prawo i w lewo. Nie miał pojęcia, w którą stronę iść.

*No, ludziska, oto Jack Sawyer, w poi drogi między kwękaniem i wyciem, przemoczony do suchej nitki, z zapchanymi błotem tenisówkami. Tak trzymaj, Jack!*

Znów wezbrało w nim poczucie osamotnienia i tęsknota za domem. Próbował z tym walczyć. Napluł na lewy palec wskazujący, po czym zdecydowanie nim potrząsnął. Większość cieczy poleciała na prawą stronę - tak przynajmniej się Jackowi wydawało - toteż ruszył w tym kierunku. Czterdzieści minut później, padając ze znużenia (na dodatek głód ponownie dawał o sobie znać, co w pewien sposób było jeszcze gorsze), wypatrzył na końcu przegrodzonej łańcuchem bocznej drogi żwirowisko, na którego skraju stała szopa.

Jack zanurkował pod łańcuchem i podszedł do szopy. Drzwi były zamknięte na kłódkę, ale zobaczył, że spod boku małego budyneczku została wypłukana ziemia. Chłopcu wystarczyła minuta na zdjęcie plecaka, przeciśnięcie się pod bokiem szopy i wciągnięcie plecaka do środka. Dzięki kłóдке na drzwiach poczuł się bezpieczniej.

Rozejrzał się i zobaczył w środku trochę bardzo starych narzędzi - najwidoczniej żwirowiska od dawna nie eksploatowano, co bardzo Jackowi odpowiadało. Rozebrał się całkowicie, brzydząc się dotyku ubłoconego, lepkiego ubrania. W kieszeni spodni wyczuł monetę, którą dostał od kapitana Farrena; na tle zwyczajniejszego bilonu wyróżniała się olbrzymimi rozmiarami. Jack wyjął ją i zobaczył, że moneta z portretem Królowej z jednej strony oraz skrzydlatym lwem z drugiej zamieniła się w srebrną dolarówkę z 1921 roku. Jack przyglądał się przez parę chwil profilowi Statuy Wolności, aż wreszcie wsunął ją z powrotem do kieszeni dzinsów.

Wygrzebał czyste ubranie, brudne zamierzał schować rano do plecaka - do tego czasu powinno przeschnąć - i w miarę możliwości uprać gdzieś po drodze. Może w pralni samoobsługowej, a może w jakimś strumieniu.

Gdy szukał skarpetek, jego dłoń natrafiła na coś cienkiego i twardego - szczoteczkę do zębów. Natychmiast ogarnęła go tęsknota za domem, poczuciem bezpieczeństwa i racjonalnością - wszystkim, co mogła reprezentować szczoteczka do zębów. Tym razem Jack nie potrafił zdusić tego uczucia ani się z nim uporać. Szczoteczka pasowała do dobrze oświetlonej łazienki, do której wchodziło się w bawełnianej pidżamie i ciepłych kapciach - nie była czymś, co wygrzebuje się z dna plecaka w zimnej, ciemnej szopie koło żwirowni na obrzeżu opustoszałej miejsciny, której nazwy się nawet nie znało.

Przejmujące osamotnienie dławiło Jacka; dotarło do niego, że obecnie jest wyrzutkiem. Zaczął płakać, nie histerycznie lub z krzykiem, jak ludzie maskujący łzami gniew - szlochał cicho jak ktoś, kto właśnie odkrył, że jest bardzo samotny i że prędko sytuacja się nie zmieni. Płakał, bo wszystek rozsądek i bezpieczeństwo jakby znikły ze świata. Samotność była rzeczywista i namacalna, lecz w obecnym stanie również nie można było odrzucić szaleństwa.

Jack zapadł w sen, nim jego szloch do reszty ustał. Spał skulony przy plecaku, tylko w skarpetach i spodenkach. Łzy wyłobily bruzdy na jego brudnych policzkach. W dłoni luźno trzymał szczoteczkę do zębów.

## Rozdział ósmy - Tunel przed Oatley

### 1

Sześć dni później Jack otrząsnął się niemal do reszty z rozpacz. Pod koniec pierwszych dni wędrówki miał wrażenie, że wyrósł z dzieciństwa i osiągnął dojrzałość z pominięciem wieku młodzieńczego. Co prawda nie wrócił w Terytoria od znalezienia się na zachodnim brzegu rzeki, ale powolniejszy marsz tłumaczył sobie tym, że oszczędza napitek Speedy'ego na czas, kiedy będzie go naprawdę potrzebował.

Poza tym czy Speedy nie powiedział mu, żeby podróżował przede wszystkim po drogach tego świata? Ja tylko wykonuję rozkazy, facet.

Kiedy wstawało słońce, Jacka mijaly rozpędzone samochody, a on sam nie cierpiał już głodu, Terytoria wydawały się mu niewiarygodnie odległe i przypominały sen: były jak film, który zaczynał zapominać, chwilowa fantazja. Czasami, gdy Jack rozpiął się na siedzeniu w samochodzie jakiegoś nauczyciela, odpowiadając na zwykłe pytania o Historyjkę, rzeczywiście o nich zapominał. Terytoria go opuszczały i znów był - przynajmniej prawie - tym samym chłopcem co na początku lata.

Zwłaszcza gdy ktoś wyrzucał go koło zjazdu na wielkich autostradach międzystanowych, zwykle udawało się mu złapać kolejną okazję po dziesięciu, piętnastu minutach wystawiania kciuka. Znajdował się obecnie w pobliżu Batavii, daleko w zachodniej części stanu Nowy Jork. Skrajnym pasem autostrady międzystanowej 1-90 szedł powoli z kciukiem wystawionym w przeciwną do kierunku ruchu stronę. Zdązał w kierunku Buffalo - a dalej zamierzał skręcić na południe.

Wszystko sprowadzało się do obmyślenia najlepszej drogi wiodącej do celu, doszedł do wniosku Jack, potem tylko należało zgodnie z nią postępować. Dzięki Randowi McNally'emu i Historyjce dotarł aż tutaj; potrzebował trochę szczęścia, żeby znaleźć kierowcę, który zabierze go aż do Chicago czy Denver (a może Los Angeles, jeśli mamy sobie naprawdę pomarzyć o szczęściu, Jacky) - wtedy zdołałby ruszyć w drogę powrotną przed połową października.

Opalił się, miał w kieszeni piętnaście dolarów, które zarobił w ostatniej pracy - zmywał naczynia w "Golden Spoon Diner" w Auburn - a jego mięśnie rozciągnęły się i stwardniały. Chociaż czasami miał ochotę płakać, od tamtej pierwszej nieszczęsnej nocy nie poddawał się łzom. Panował nad sytuacją, na tym polegała różnica. Teraz, gdy wiedział już, jak postępować, skrupulatnie to obmyślił - kontrolował bieg wypadków. Wydawało się mu, że

dostrzega już kres podróży, chociaż jeszcze wiele go od niego dzieliło. Gdyby wędrował głównie w tym świecie, jak zalecał mu Speedy, mógłby posuwać się naprzód bardzo szybko i wrócić do New Hampshire z Talizmanem, mając jeszcze sporo czasu w zapasie. Był przekonany, że mu się uda i że będzie miał o wiele mniej problemów, niż się z początku spodziewał.

Tak przynajmniej Jack Sawyer wyobrażał sobie, gdy zakurzony ford fairlane zjechał na skraj drogi i czekał, aż chłopiec dobiegnie do niego. Trzydzieści, może czterdzieści mil, pomyślał Jack. Wyobraził sobie przestudiowaną tego ranka stronę z atlasu Randa McNally'ego i postanowił: Oatley. Nazwa sugerowała małą miścinę, nudną i bezpieczną - Jack był w drodze i nic nie mogło mu już zaszkodzić.

## 2

Jack pochylił się i zajrzał przez okno, nim otworzył drzwi fairlane'a. Na tylnym siedzeniu leżały w nieładzie tłuste książki z próbkami i drukowane foldery; siedzenie dla pasażera zajmowały dwie wielkie walizki. Czarnowłosa mężczyzna z niewielkim brzuszkiem, zdający się w tej chwili naśladować pozycję Jacka i przyglądający się chłopcu przez otwarte okno, był komiwojażerem. Niebieska marynarka wisiała na haczyku za jego plecami; miał poluzowany krawat i podwinięte rękawy. Komiwojażer po trzydziestce, bez pośpiechu objeżdżający swój teren. Na pewno uwielbiał gadać, jak wszyscy komiwojażerowie. Mężczyzna uśmiechnął się do Jacka, dźwignął jedną z wielkich waliz, przerzucił ją przez wierzch siedzenia na papiery leżące w nieładzie na tylnym siedzeniu, po czym to samo zrobił z drugą.

- Zróbmy tu trochę miejsca - rzekł.

Jack wiedział, że mężczyzna zaraz go zapyta, dlaczego nie jest w szkole. Otworzył drzwi.

- Dziękuję - powiedział i wsiadł do środka.

- Daleko jedziesz? - spytał komiwojażer, popatrzył we wsteczne lusterko, pchnął w dół dźwignię biegów i wyjechał tyłem na drogę.

- Do Oatley - odparł Jack. - To jakieś trzydzieści mil stąd.

- Właśnie oblałeś geografię - oznajmił komiwojażer. - Do Oatley jest mniej więcej czterdzieści pięć mil. - Odwrócił głowę w stronę Jacka i mrugnął, czym go zaskoczył. - Bez obrazy, ale nie cierpię widoku dzieci jadących autostopem - dodał. - Dlatego właśnie zawsze je biorę. Przynajmniej wiem, że są przy mnie bezpieczne. Bez macanek - domyślasz się, o co

mi chodzi? Za dużo wszędzie wariatów, mały. Czytasz gazety? Słowo daję, to prawdziwe drapieżniki. Bój się, żebyś nie stał się zagrożonym gatunkiem.

- Chyba ma pan rację - przyznał Jack. - Postaram się uważać.

- Domyślam się, że mieszkasz gdzieś niedaleko?

Mężczyzna wciąż mu się przyglądał, od czasu do czasu rzucając szybkie spojrzenie na drogę przed nimi. Jack gorączkowo poszukał w pamięci nazwy najbliższego miasteczka, jakie znajdowało się za nimi.

- Palmyra. Mieszkam w Palmyra.

Komiwojazer pokiwał głową.

- Nawet miła miejscina - powiedział i wrócił wzrokiem do autostrady. Jack usadowił się wygodniej na pluszowym fotelu. Mężczyzna dodał po chwili: - Domyślam się, że nie jesteś po prostu na wagarach? - i nadeszła pora na Historyjkę.

Jack opowiadał ją tak często, zmieniając nazwy miast po drodze na zachód, że padała z ust jak wykuty na blachę monolog.

- Nie, proszę pana. Po prostu muszę dojechać do Oatley, bo mam na jakiś czas zamieszkać u ciotki Helen. Helen Vaughan. To siostra mojej mamy, nauczycielka. Mój tata zmarł zeszłej zimy, rozumie pan, i teraz jest dość ciężko. Od dwóch tygodni mama jeszcze gorzej kaszlała i ledwie mogła wchodzić na wzgórze, a lekarz powiedział, że musi jak najdłużej leżeć w łóżku. Dlatego zapytała siostrę, czy nie mógłbym u niej na jakiś czas zamieszkać. Ciotka to nauczycielka i w ogóle, więc na pewno będę chodził w Oatley do szkoły. Nie ma co, ciocia Helen nikomu nie pozwoli wagarować.

- Chcesz powiedzieć, że matka kazała ci pojechać stopem całą drogę z Palmyry aż do Oatley? - spytał mężczyzna.

- Och, wcale nie, nigdy by tego nie zrobiła. Nie, dała mi pieniądze na autobus, ale postanowiłem, że je zaoszczędzę. Pewnie prędko się nie doczekam jakichś pieniędzy z domu, a u ciotki Helen też się nie przelewa. Mama byłaby naprawdę zła, gdyby wiedziała, że łapię okazję, ale pomyślałem, że inaczej bym tylko stracił pieniądze. Pięć dolców to przecież pięć dolców, prawda? Po co miałbym je wydać na autobus?

- Jak myślisz, długo zostaniesz w Oatley? - spytał komiwojazer, patrząc kątem oka na Jacka.

- Trudno powiedzieć. Mam nadzieję, że mama szybko wyzdrowieje.

- W każdym razie nie jedź z powrotem stopem, dobrze?

- I tak nie mamy już samochodu - rzekł Jack, uzupełniając Historyjkę o nowy element. Zaczynał się nieźle bawić. - Da pan wiarę? Przyjechali w środku nocy i zajęli nam samochód.

Śmierzące tchórze. Wiedzieli, że wszyscy będą spali. Po prostu przyjechali w środku nocy i ukradli samochód prosto z garażu. Biłbym się o niego, proszę pana - i to nie dlatego, żebym miał czym pojechać do cioci. Kiedy mama wybiera się do doktora, musi zejść z samego wierzchołka wzgórza, a potem przejść jeszcze pięć przecznic po to tylko, żeby dostać się na przystanek. Nie powinni im pozwalać robić takich rzeczy, prawda? Tak po prostu przyjść sobie i zabrać człowiekowi jego własny samochód? Przecież płacilibyśmy raty, kiedy tylko pojawiłyby się jakieś pieniądze. No co, może pan nie nazwie tego kradzieżą?

- Pewnie bym to tak nazwał, gdyby to mnie spotkało - odparł mężczyzna. - Cóż, mam nadzieję, że twoja mama szybko wyzdrowieje.

- Ja też - powiedział Jack z całkowitą szczerością.

I na tym rozmowa się skończyła do chwili, gdy zaczęły pojawiać się znaki obwieszające zjazd do Oatley. Komiwojażer zjechał na skrajny pas tuż za rampą i uśmiechnął się znowu do Jacka.

- Powodzenia, mały.

Jack kiwnął głową i otworzył drzwi.

- Tak czy inaczej, mam nadzieję, że nie zabawisz długo w Oatley.

Jack popatrzył na niego pytająco.

- No, znasz to miasto, prawda?

- Mało. W gruncie rzeczy wcale.

- Och, to prawdziwa dziura. Miejsce z takich, gdzie zjadają to, co znajdują rozjechanego na drodze. Gorillaville. Jesz piwo, a potem popijasz szklanką, mniej więcej tak.

- Dzięki za ostrzeżenie - rzekł Jack i wysiadł z samochodu. Komiwojażer pomachał mu i ruszył. Po chwili samochód zamienił się w ciemny kształt, sunący w stronę nisko wiszącego pomarańczowego słońca.

### 3

Mniej więcej przez milę droga wiodła przez płaski i nudny wiejski teren. W oddali majaczyły małe, jednopiętrowe domy z drewna, usadowione na skraju pól. Same pola były brunatne i gołe, zabudowania zaś nie przypominały farm. Rozrzucone daleko od siebie, na ogołoconych polach domy egzystowały w szarej, nieruchomej ciszy, przerywanej jedynie wyciem samochodów przejeżdżających autostradą międzystanową 1-90. Nie ryczały krowy, nie rżały konie - nie było tu żadnych zwierząt ani narzędzi gospodarskich. Pod jednym z tych małych domków przycupnęło pół tuzina przerdzewiałych, nieużywanych samochodów. W

takich domach żyli ludzie nieznoszący swojego gatunku tak bardzo, że nawet Oatley było dla nich za tłoczne. Puste pola stanowiły dla nich fosy, których potrzebowali wokół swoich oblażących z farby zamków z drewna.

W końcu Jack dotarł do skrzyżowania wyglądającego jak z kreskówki: dwie puste drogi przecinały się pod kątem prostym na absolutnym pustkowiu i biegły ku innym pustkowiom. Jack zaczynał powątpiewać w swoje wyczucie stron świata; poprawił plecak na grzbiecie i podszedł do wysokiej przerdzewiałej rury, do której przytwierdzono również rdzewiejące prostokątne tabliczki z nazwami. Może powinien był skręcić za zjazdem z autostrady w lewo zamiast w prawo? Znak, który wskazywał drogę równoległą do autostrady, głosił: DOGTOWN ROAD. Dogtown? Psie Miasto? Jack popatrzył wzdłuż tej drogi. Zobaczył jedynie nieskończoną płaszczyznę, wypełnione chwastami pola i rozwijającą się wstążkę czarnego asfaltu. Druga wstążka, na której stał, według tabliczki nazywała się MILL ROAD. Mniej więcej milę dalej wchodziła się w tunel, niemal całkowicie zasłonięty pochyłymi drzewami oraz dywanem bluszczu, dziwnie podobnym do owłosienia łonowego. W gęstwinie bluszczu wisiała biała tablica; wyglądała, jakby zarośla ją podtrzymywały. Słowa były zbyt małe, by je odczytać. Jack wsunął prawą dłoń do kieszeni i zacisnął na monecie, którą dostał od kapitana Farrena.

Odezwał się żołądek. Zbliżała się pora kolacji, musiał więc ruszyć z miejsca i znaleźć miasteczko, w którym zdoła zarobić na posiłki. Zdecydował się na Mill Road - postanowił pójść przynajmniej tak daleko, by zobaczyć, co jest na drugim końcu tunelu. Niechętnie powlókł się w jego stronę, a ciemny otwór pomiędzy drzewami rósł z każdym krokiem.

W tunelu było chłodno, wilgotno i pachniało ceglany pyłem oraz przekopaną ziemią. Zdawało się, że tunel wchłonął chłopca, a następnie zacisnął się wokół niego. Przez chwilę Jack przestraszył się, że schodzi głębiej pod ziemię - nie widział kręgu światła po drugiej stronie - potem jednak zorientował się, że asfaltowe podłoże jest równe. WŁĄCZ ŚWIATŁA, głosiła tablica przed tunelem. Jack wpadł na ceglana ścianę i poczuł, że na dłonie osypuje się mu ziarnisty pył.

- Światła - powiedział do siebie, żałując, że nie ma żadnego, które mógłby włączyć.

Zdał sobie sprawę, że tunel musi gdzieś po drodze zakręcać. Ostrożnie i powoli - z wyciągniętymi jak ślepiec rękami - wszedł prosto na ścianę. Ruszył dalej, sunąc dłonią po murze. Gdy coś takiego robił kojot z kreskówek ze Strusiem Pędziwiatrem, zwykle kończył rozpląszczony na masce ciężarówki.

Coś energicznie zagrzechotało na podłożu tunelu. Jack zamarł.



Szczur, pomyślał. Może królik wędrujący na skróty z pola na pole. Odgłos sugerował jednak, że to coś większego.

Usłyszał go znowu, gdzieś dalej w ciemnościach. Zrobił na oślep kolejny krok. Przed sobą usłyszał pojedynczy wdech. Jack zatrzymał się. Czy to zwierzę? - zastanawiał się. Nie odrywając koniuszków palców od wilgotnego ceglanego muru, czekał na wydech. Oddech nie przypominał odgłosu zwierzęcia - szczur czy królik na pewno nie mógł zrobić tak głębokiego wdechu. Chłopiec posunął się kilka cali do przodu, niemal nie przyznając się przed sobą, że przeraziło go to coś, co kryło się przed nim.

Zamarł znowu, słysząc gdzieś z przodu dobiegający z mroku cichy dźwięk, przypominający ochryply chichot. Po sekundzie dotarł do niego znajomy, lecz niemożliwy do zidentyfikowania zapach - surowy, silny i przypominający piżmo.

Jack obejrzał się przez ramię. Ledwie widział wlot tunelu - częściowo zasłaniała go krzywizna zakrętu. Do wyjścia było daleko; wydawało się małe jak królicza nora.

- Co to? - zawołał Jack. - Hej! Jest tu jeszcze ktoś? Ktokolwiek?

Wydawało się mu, że słyszy szept w głębi tunelu.

Przypomniał sobie, że nie jest w Terytoriach - w najgorszym razie mógł wypłoszyć jakiegoś kretyńskiego psa, który zaszył się w chłodzie i ciemności na drzemkę. W takim wypadku uratowałby kundlowi życie, budząc go, zanim nadjedzie samochód.

- Hej, piesku! - krzyknął. - Piesku!

Natychmiast nagrodził go odgłos człapiących przez tunel łap. Ale czy dźwięk oddalał się... czy zbliżał? Wsluchując się w ciche *człap-człap-człap*, nie potrafił odgadnąć, czy zwierzę idzie w jego stronę, czy przeciwną. Po chwili przyszło mu do głowy, że odgłos mógł dobiegać zza jego pleców. Przekrzywił szyję, obejrzał się za siebie i pojął, że zawędrował tak daleko, iż przestał widzieć i wejście do tunelu.

- Gdzie jesteś, piesku? - zapytał.

Coś zaskrobało po ziemi zaledwie stopę czy dwie za nim. Jack wyskoczył do przodu i uderzył mocno barkiem w łukowatą ścianę.

Wyczuł przemieszczającą się w ciemności wielką postać - może to rzeczywiście pies. Jack zrobił krok do przodu i stanął jak wryty; przesuwano się coś tak potężnego, że wyobraził sobie, iż na powrót znalazł się w Terytoriach. Tunel przesyciła woń piżmowa jak w zoo, a cokolwiek zbliżało się ku chłopcu, na pewno nie było psem.

Do Jacka dotarł powiew zimnego powietrza, pachnącego tłuszczem i alkoholem. Wyczuł, że postać znalazła się jeszcze bliżej niego.

Tylko przez chwilę zdołał dojrzeć unoszącą się w ciemności twarz, jaśniejącą, jakby rozświetlało ją od środka własne, gasnące i chore źródło światła - pociągłe, pełne goryczy oblicze, które powinno być niemal młodzieńcze, chociaż było inaczej. W oddechu tej istoty czuł odór tłuszczu i potu oraz smród alkoholu. Jack rozpląszczył się na ścianie i uniósł pięści, ale w tym samym momencie twarz znikła w ciemnościach.

Mimo zgrozy chłopcu wydało się, że słyszy ciche kroki, szybko oddalające się w stronę wylotu tunelu. Odwrócił się, za nim były tylko ciemności i cisza. Tunel znowu opustoszał. Jack wcisnął ręce pod pachy i ostrożnie osunął się o ścianę, przyjmując impet uderzenia na plecak. W chwilę później ruszył dalej.

Gdy tylko wyszedł z tunelu, odwrócił się w jego kierunku. Nie wydobywały się stamtąd żadne dźwięki, żadne niesamowite istoty nie pełzły w jego stronę. Zrobił trzy kroki przed siebie i zajrzał do środka. Wtedy serce niemalże mu stanęło, bo ujrzał zbliżającą się w jego stronę parę żółtych ślepi. W ciągu zaledwie kilku sekund pokonały połowę dzielącej je od Jacka odległości. Chłopiec nie mógł ruszyć się z miejsca - jak gdyby jego nogi zapadły się powyżej kostek w asfalt. Wreszcie zdołał wyciągnąć przed siebie ręce w instynktownym, obronnym geście. Oczy nadal zbliżały się ku niemu. Zawył klakson. Sekundę przed tym, nim kierowany przez rumianego, wymachującego pięścią mężczyznę samochód wypadł z tunelu, Jack rzucił się w bok.

- KUUURRRWAAA... - wyrwało się kierowcy.

Wciąż oszołomiony, Jack odwrócił się i patrzył, jak samochód zjeżdża ze wzniesienia ku miścinie - niewątpliwie Oatley.

#### 4

Położone w długim zagłębieniu terenu Oatley rozpościerało się załośnie wzdłuż dwóch głównych ulic. Jedna, przedłużenie Mill Road, mijała olbrzymi, niechlujny budynek na środku gigantycznego parkingu - Jack przypuszczał, że to fabryka - i przechodziła w ciąg handlowy, składający się z placów z używanymi samochodami (obwisłe proporczyki), restauracji należących do wielkich sieci (Wielkie Cycki Ameryki), kręgielni z wielki neonem (BOWL-A-RAMA!), sklepów spożywczych i stacji benzynowych. Jeszcze dalej Mili Road biegła przez pięć czy sześć przecznic śródmieścia Oatley - pas starych piętrowych budynków, przed którymi parkowały przodem do krawężnika samochody. Przy drugiej ulicy znajdowały się siedziby niewątpliwie najważniejszych obywateli miasteczka - wielkie drewniane domy z gankami i długimi, pochyłymi trawnikami. Na przecięciu ulic stał sygnalizator, mrugający

czerwonym okiem w blasku popołudnia. Kolejne światła, osiem przecznic dalej, zmieniły się na zielone. Znajdowały się przed wysokim, obskurnym budynkiem, przypominającym szpital dla psychicznie chorych - a zatem była to pewnie szkoła podstawowa albo gimnazjum. Wokół dwóch ulic rozpościerał się labirynt domków, przemieszanych z anonimowymi budynkami, które otaczały wysokie druczane ogrodzenia.

Wiele szyb w fabryce zostało wybitych; niektóre okna budynków ciągu handlowego pozabijano deskami. Po zagrodzonych siatką betonowych dziedzińcach walały się sterty śmieci i łopoczących papierzysek. Nawet wystawne domy wyglądały na zaniedbane, ponieważ ganki trochę osiadły, a i wierzchnia farba spłowieła. Ich właściciele prowadzili zapewne komisje samochodowe, zapelnione wozami, na które nie było kupców.

Przez chwilę Jack zastanawiał się, czy odwrócić się do Oatley plecami i ruszyć pieszo do Dogtown, gdziekolwiek się znajdowało. Oznaczałoby to jednak przejście ponownie przez tunel pod miastem. Gdzieś ze środka dzielnicy handlowej rozległo się wycie klaksonu; dźwięk ten wydał się Jackowi pełen niewymownej samotności i nostalgii.

Nie potrafił się odprężyć, dopóki nie minął bram fabryki, a tunel na Mill Road został daleko za nim. Prawie jedna trzecia okien wzdłuż brudnej ceglanej fasady została wybita, a w wielu innych widać było płaską, brunatną fakturę. Nawet z drogi Jack wciąż mógł wyczuć woń oleju, smaru, tłących się pasów transmisyjnych i zużytych trybów. Wcisnął ręce w kieszenie i ruszył szparkim krokiem w stronę śródmieścia.

## 5

Z bliska miasto wyglądało jeszcze bardziej przygnębiająco niż widziane ze wznieśnienia. Sprzedawcy z salonów używanych samochodów stali w oknach swoich biur, zbyt znudzeni, by wyjść na zewnątrz. Postrzępione proporce zwisały posepnie; optymistyczne tablice, rozstawione na spękanych chodniku przed rzędami samochodów - JEDEN WŁAŚCICIEL! FANTASTYCZNA OKAZJA! SAMOCHÓD TYGODNIA! - zdążyły pozołknąć. Z niektórych atrament pospływał pasemkami - pewnie zostawiono je na deszczu. Po ulicach chodziło niewielu ludzi. Po drodze do centrum miasteczka Jack zobaczył starego mężczyznę z zapadniętymi policzkami i szarą skórą, który starał się przepchnąć pusty wózek na zakupy przez krawężnik. Gdy Jack do niego podszedł, starzec zaskrzeczał coś wrogiego i przerażającego, obnażając dźbła pociemniałe jak u borsuka. Sądził pewnie, że Jack chce mu ukraść wózek. Chłopiec mruknął "przepraszam", a serce znowu mu załomotało. Starzec

przyciskał niezgrabną ramę wózka do siebie, chroniąc go i cały czas pokazując poczerwiałe dziąsła wrogowi.

- Przepraszam - powtórzył Jack. - Chciałem tylko...

- Churefskiszlóciej! ChurefskiSZŁOCIEEEJ! - zaskrzeczał staruch, a bruzdami na jego policzkach popłynęły łzy.

Dwadzieścia lat wcześniej - w latach sześćdziesiątych - Oatley musiało przeżywać okres prosperity. Względna elegancja odcinka Mill Road na obrzeżach miasta narodziła się w epoce, kiedy akcje zwykowały jak szalone, benzyna była wciąż tania, a podatki niewysokie. Ludzie utopili pieniądze w koncesjach i małych sklepach; przez pewien czas utrzymywali się na powierzchni, choćby nawet nie szło im najlepiej. Krótki ciąg zabudowań wciąż świadczył o tej powierzchownej nadziei - ale w koncesjonowanych restauracjach przesiadywało nad coca-colą zaledwie kilku znudzonych nastolatków, a w witrynach zbyt wielu sklepików widniały plakaty równie spłowiałe jak tablice przed salonami samochodowymi: WSZYSTKO NA SPRZEDAŻ! LIKWIDACJA SKLEPU. Jack nie widział żadnych wywieszek, że potrzebna jest pomoc, toteż wędrował dalej.

W śródmieściu Oatley rzeczywistość wyczerała zza pozostałych po latach sześćdziesiątych radosnych, błazeńskich kolorów. W miarę jak Jack mijał rzędy budynków z cegły sprawiających wrażenie spieczonych, plecak wydawał mu się coraz cięższy, a stopy bolały go coraz bardziej. Mimo wszystko ruszyłby do Dogtown, gdyby nie stan nóg i konieczność przejścia raz jeszcze przez tunel na Mill Road. Oczywiście nie czaił się tam żaden warczący człowiek-wilk - Jack zdążył to wykluczyć. Nikt nie zaczepił go w tunelu. Wciąż przeżywał swój pobyt w Terytoriach - najpierw wstrząsnął nim widok Królowej, następnie martwego chłopca ze zmiażdżoną połową twarzy, wreszcie spotkanie z Morganem i drzewami. Zdarzyło się to jednak tam, gdzie takie rzeczy mogły stanowić, a może nawet stanowiły normę. Tutaj normalność nie zezwalała na taką ekstrawagancję.

Jack znalazł się pod długim, brudnym oknem, nad którym na ceglany murze widniał ledwie czytelny napis: SKŁAD MEBLI. Przyłożył rękę do czoła i zajrzał do środka. Przykryte białymi prześcieradłami sofa i fotel stały na obszernym drewnianym parkiecie w odległości piętnastu stóp od siebie. Jack ruszył dalej, zastanawiając się, czy przyjdzie mu zebrać o jedzenie.

Nieco dalej, jeszcze przed skrzyżowaniem, pod zabitym deskami sklepem siedziało w samochodzie czterech mężczyzn. Minęła chwila, nim Jack zorientował się, że wóz - wiekowy desoto, wyglądający, jakby lada chwila miał się z niego wyłonić zaaferowany Broderick

Crawford, nie ma opon. Do przedniej szyby przyczepiono taśmą żółtą kartkę rozmiarów pięć na osiem cali, na której napisano: KLUB POD CHMURKĄ. Mężczyźni w środku, dwaj na przednim siedzeniu i dwaj na tylnym, grali w karty. Jack podszedł do samochodu od prawej strony.

- Przepraszam - odezwał się, a gracz najbliższy niego skierował w jego stronę szare, rybie oko. - Wie pan, gdzie...

- Spadaj - powiedział mężczyzna zaflegmionym, zduszonym tonem, jakby pomyślał, że w ogóle można mówić, był czymś absurdalnym; połowa twarzy, którą widział Jack, była upstrzona głębokimi bliznami po trądziku i dziwnie spłaszczona, jakby ktoś nastąpił temu człowiekowi na głowę w niemowlęctwie.

- Chciałem się tylko dowiedzieć, czy wie pan, gdzie mógłbym zatrudnić się na kilka dni?

- Spróbuj w Teksasie - odparł mężczyzna siedzący na miejscu kierowcy, a para na tylnym siedzeniu ryknęła śmiechem, rozlewając piwo na karty.

- Mówiłem ci, spadaj, szczeniaku - rzekł mężczyzna z płaską twarzą i szarymi oczami, ten najbliższy Jacka. - Albo osobiście skroję ci dupę na plasterki.

Jack zrozumiał, że człowiek ten mówi poważnie - gdyby został tu jeszcze chwilę, gniew mężczyzny osiągnąłby punkt wrzenia, facet wyszedłby z samochodu i pobił chłopca do utraty przytomności. Potem wszedłby z powrotem i otworzył kolejne piwo. Na podłodze wozu walały się puszki po rolling rocku; otwarte przechylały się na różne strony, zamknięte łączyły jeszcze białe plastikowe pętelki. Jack cofnął się, a rybie oko odwróciło się od niego.

- Chyba rzeczywiście spróbuję w Teksasie - powiedział.

Odchodząc, nasłuchiwał, czy nie usłyszy skrzypienia otwieranych drzwi desoto, ale dobiegł go tylko odgłos kolejnej otwieranej puszki rolling rocka.

*Trzask! Sss!*

Nie zatrzymywał się.

Dotarł do skrzyżowania i zauważył, że w bok od niego odchodzi druga główna ulica miasta. W jej głębi ciągnął się usychający trawnik, pełen pożółkłych chwastów, spomiędzy których wyzierały figurki disneyowskich łani z włókna szklanego. Bezkształtna, stara kobieta z packą na muchy popatrzyła na Jacka z huśtawki na ganku.

Chłopiec odwrócił się od jej podejrzliwego spojrzenia i zobaczył przed sobą resztę pozbawionych życia ceglanych budynków przy Mill Road. Trzy betonowe stopnie prowadziły do otwartych i zablokowanych siatkowych drzwi. W długim, ciemnym oknie widać było neon reklamujący budweisera, a nieco po prawej malowaną tablicę z nazwą: UPDIKE'S OATLEY

TAP - "Kufłowe u Updike'a". Kilka cali niżej na żółtej tabliczce rozmiarów osiem na pięć, takiej samej jak na desoto, widniały dwa czarodziejskie słowa: POTRZEBNA POMOC. Jack ściągnął plecak z grzbietu, przycisnął go ramieniem i wszedł po schodach. Przez chwilę, gdy przechodził z leniwego blasku słońca w mrok baru, przypomniało mu się, jak po minięciu gęstej zasłony bluszczu zanurzył się w tunel na Mill Road.

## Rozdział dziewiąty - Jack w dzbaneczniku

### 1

Niecałe sześćdziesiąt godzin później Jack Sawyer, znajdujący się w zupełnie innym nastroju od Jacka Sawyera, który zapuścił się w tunel przed Oatley w środę, chował w wyźębionym magazynku "Oatley Tap" plecak za ustawionymi w kącie beczkami piwa Busch, przypominającymi kręgle dla gigantów. Jack zamierzał uciec za niecałe dwie godziny, gdy piwiarnia zostanie wreszcie zamknięta na noc. Fakt, iż w ogóle myślał o tym w ten sposób - nie jako o odejściu, nie jako o ruszeniu w dalszą drogę, lecz jako o ucieczce - świadczył, jak bardzo był zdesperowany.

*Miałem sześć lat. Sześć. John B Sawyer miał sześć lat. Jacky miał sześć lat. Sześć.*

Ta myśl, pozornie bezsensowna, przyszła mu do głowy tego wieczora i powracała bezustannie. Jack podejrzewał, że w dużym stopniu dowodzi ona, jak bardzo jest przerażony i pewny tego, że nie panuje nad sytuacją. Nie miał pojęcia, co oznacza ta myśl; po prostu krążyła mu po głowie jak przyśrubowany do karuzeli drewniany koń.

*Sześć lat. Miałem sześć lat. Jack Sawyer miał sześć lat.*

Raz dookoła, dwa dookoła, w kółko to samo.

Magazyn miał wspólną ścianę z główną salą knajpy. Tej nocy mur dosłownie wibrował od hałasu, jak skóra na bębnie. Zaledwie dwadzieścia minut temu skończył się piątkowy wieczór, a tego dnia była wypłata zarówno w tkalni Oatley Textiles and Weaving, jak i fabryce wyrobów gumowych Dogtown Custom Rubber. "Oatley Tap" dzięki temu niemal pękało w szwach. Wielki plakat na lewo od baru głosił: OBECNOŚĆ PONAD 220 KLIENTÓW STANOWI NARUSZENIE ARTYKUŁU 331 KODEKSU PRZECIWPOŻAROWEGO OKRĘGU GENESEE. Najwidoczniej przepis ten zawieszano na weekend, ponieważ Jack ocenił, że w knajpie jest co najmniej trzystu ludzi; bawili się w rytm muzyki country and western w wykonaniu lokalnej grupy The Genny Valley Boys. Kapela była straszna, ale facet z niej grał na stalowej gitarze. "Są tu goście, którzy by byli gotowi ją zerznąć", powiedział Smokey.

- Jack! - przebiło się przez ścianę dźwięku wołanie Lori.

Lori była kobietą Smokeya. Jack wciąż nie wiedział, jak miała na nazwisko. Ledwie ją dosłyszał przez hałas nastawionej na cały regulator szafy grającej - kapela miała przerwę. Jak wiedział, że wszystkich pięciu muzyków stoi przy przeciwległym końcu baru i tankuje black russians za pół ceny. Lori wetknęła głowę przez drzwi magazynku. Zmierzwione, jasne

włosy, podtrzymywane z tyłu dziecinnymi spinkami z białego plastiku, lśniły w świetle jarzeniówki pod sufitem.

- Jak szybko nie wytoczysz tej beczki, Jack, to pewnie Smokey powyrywa ci nogi z tyłka.

- Dobra! - odparł Jack. - Powiedz mu, że zaraz będę.

Poczuł gęsią skórkę na ramionach, wywołaną nie tylko chłodem w magazynku. Smokeyowi Updike'owi nie należało podpadać - Smokeyowi, który na wąskiej głowie nosił papierowe czapki kucharskie, Smokeyowi z wielką, plastikową sztuczną szczęką, zamówioną z katalogu wysyłkowego, ohydną i w jakiś sposób kojarzącą się z pogrzebem - wskutek idealnego wyglądu uzębienia, Smokeyowi o gwałtownych, brązowych oczach obramowanych barwą brudnożółtą. Smokeyowi Updike'owi, który wciąż pozostawał dla Jacka niewiadomą - z tego powodu był tym bardziej przerażający - i zdołał jakimś sposobem uczynić z chłopca swojego więźnia.

Szafa grająca na razie ucichła, ale w istocie gwar się nasilił, jakby ludzie pragnęli to nadrobić. Jakiś kowboj znad jeziora Ontario ryknął donośnym, pijackim głosem "Jiiii-HAU". Krzyknęła jakaś kobieta, rozległ się odgłos tłuczonej szklanki. Po chwili szafa grająca ruszyła od nowa, nieco przypominając raketę Saturn osiągnącą prędkość ucieczki.

*To takie miejsce, gdzie zjadają to, co znajdą rozjechanego na drodze.*

Na surowo.

Jack pochylił się nad jedną z aluminiowych beczek. Przeciągnął ją mniej więcej trzy stopy, zaciskając i krzywiąc z bólu usta. Jego grzbiet zaprotestował, mimo chłodu w klimatyzowanym wnętrzu na czoło wystąpił mu pot. Beczka zgrzytała i piszczała na surowym cemencie. Jack stanął, ciężko dysząc i czując dzwonienie w uszach.

Podtoczył pod beczkę ręczny wózek, ustawił go pionowo, po czym wrócił do beczki. Zdołał ją przechylić i podtoczyć zakosami bliżej wózka. Gdy ją opuszczał, wymsknęła mu się z rąk - wielka beczka z tych, które sprzedawano głównie restauracjom, ważyła zaledwie kilka funtów mniej od samego Jacka. Beka opadła ciężko na platformę ręcznego wózka, specjalnie wyłożoną na taki wypadek resztką dywanu. Jack próbował równocześnie wpasować ją na miejsce i na czas wyciągnąć ręce. Spóźnił się - beczka przygniotła mu dłonie do tyłu wózka. Rozległo się łupnięcie, Jack poczuł przeszywający ból, jednak jakimś cudem zdołał wyszarpnąć palce. Wcisnął pół lewej dłoni do ust i possał ją, a w jego oczach pojawiły się łzy.

Przytłuczenie sobie palców nie było najgorsze: Jack usłyszał powolny syk gazów, wydobywały się z odpowietrznika na wierzchu beczki. Gdyby piwo okazało się spienione,



kiedy Smokey podłączy beczkę... albo jeszcze gorzej, otworzy ją, a piwny gejzer buchnie mu w twarz...

Lepiej nie myśleć o takich rzeczach.

Zeszłego wieczora - w czwartek - gdy Jack próbował “wytoczyć Smokeyowi beczkę”, stoczyła się z wózka. Odpowietrznik wyskoczył pod ciśnieniem i przeleciał przez cały magazynek. Białozłote, spienione piwo pociekło po podłodze w stronę odpływu. Jack stał w miejscu zamarły ze strachu, ogarniały go mdłości i nie zwracał uwagi na krzyki Smokeya. Nie był to w tej chwili busch, ale “Królewskie Włości”. Piwo nie chmielowe, ale jęczmieniane - z browaru Królowej.

Wtedy właśnie Smokey uderzył Jacka po raz pierwszy - szybkim hakiem, po którym chłopiec wpadł na nierówną ścianę magazynku.

- Pożegnaj się z dzisiejszą zapłątą - powiedział Smokey. - I postaraj się, żeby się to nigdy więcej nie powtórzyło, Jack.

W zwrocie “żeby się to nigdy więcej nie powtórzyło” Jacka zmroziła ukryta aluzja: że będzie jeszcze wiele okazji, by zdarzyło się to ponownie - jak gdyby Smokey Updike spodziewał się, że Jack zostanie tu bardzo, bardzo długo.

- Pospiesz się, Jack!

- Idę! - stęknął chłopiec.

Przetoczył wózek pod drzwi, namacał za sobą klamkę, przekręcił ją i pchnął. Uderzył w coś dużego i miękkiego.

- Chryste, uważaj!

- Och, przepraszam - powiedział Jack.

- Już ja cię ochnę, zasrańcu - odrzekł głos.

Jack odczekał, aż ciężkie kroki na korytarzu pod magazynkiem ucichną, po czym spróbował ponownie otworzyć drzwi.

Wąski korytarz pomalowano na kolor zielonożółty. Śmierdziało w nim gównem, szczynami i środkiem dezynfekcyjnym TidyBowl. Tu i tam w tynku i listwach na ścianach powybijano dziury; wszędzie widniały wężyki napisów, wysmarowanych przez znudzonych pijaków i pijaczki, którzy czekali na możliwość skorzystania z kabin dla CELOWNICZYCH lub KUCAJĄCYCH. Największe graffiti nakreślono na zielonej ścianie czarnym, niezmywalnym mazakiem; jego treść zdawała się wykrzykiwać całą głębię tępej, bezcelowej furii Oatley: WYKOPAĆ WSZYSTKICH AMERYKAŃSKICH CZARNUCHÓW I ŻYDÓW DO IRANU.

Hałas w knajpie słychać było wyraźnie i w magazynku; na korytarzu stawał się olbrzymią, jakby nigdy się niełamiącą falą dźwięku. Jack spojrział jeszcze raz do wnętrza magazynku, by upewnić się, że nie widać jego plecaka.

Musiał się stąd wydostać. Musiał. Martwy telefon wreszcie się odezwał i jakby zamknął go w kapsule z ciemnego lodu... Straszne, ale Randolph Scott był jeszcze gorszy. Tak naprawdę nie był to Randolph Scott; jedynie wyglądał tak, jak ów aktor w filmach z lat pięćdziesiątych. Smokey Updike był zapewne jeszcze gorszy... chociaż Jack nie miał pewności - od chwili gdy zobaczył (lub tylko mu się tak wydawało), że oczy podobnego do Randolpha Scotta mężczyzny zmieniają kolor.

Jack był pewien jednego - że Oatley jest najgorsze ze wszystkiego.

Oatley w stanie Nowy Jork, w samym środku okręgu Genny, wydawało się mu teraz straszliwą, zastawioną właśnie na niego pułapką - swego rodzaju municypalnym dzbanecznikiem. Dzbanecznik to jeden z cudów natury. Łatwo się do niego dostać. Niemal nie sposób uciec.

## 2

Sterczący przed Jackiem wysoki mężczyzna z wielkim, kołyszącym się brzuszyskiem czekał na skorzystanie z męskiej toalety, przetaczając plastikową wykałaczkę z jednego kąta ust w drugi i spojierając ponuro na chłopca. Jack domyślił się, że uderzył drzwiami w brzuch olbrzyma.

- Zasraniec - powtórzył tłuscioch.

W tej samej chwili drzwi toalety szarpnięto od środka. Wyszedł z niej mężczyzna. Przez chwilę spojrzenia jego i Jacka się spotkały. Chłopcu zamarło serce. To ten sam człowiek podobny do Randolpha Scotta. Nie była to jednak żadna gwiazda filmowa, ale robotnik z tkalni w Oatley, przepijający tygodniową wypłatę. Później pewnie odjeżdżał zasyfionym, splecionym do połowy mustangiem lub motocyklem splecionym w trzech czwartych - wielkim, starym harleyem, pewnie z naklejką na baku KUPUJ AMERYKAŃSKIE TOWARY.

*Jego oczy przybrały żółty kolor.*

*Nie, to twoja wyobraźnia, Jack. Tylko twoja wyobraźnia. To tylko...*

...tylko robotnik z tkalni patrzący na niego spode łba, bo chłopiec był tu nowy. Facet pewnie chodził do gimnazjum tu, w mieście, grał w futbol, zrobił bachora katolickiej

cheerleaderce i się z nią ożenił, a dziewczyna roztyła się na czekoladkach i mrożonych obiadach od Stouffera; zwyczajny wół z Oatley, po prostu...

*Ale jego oczy zmieniły kolor na żółty.*

*Przestań! Wcale nie zmieniły!*

Mimo to coś w mężczyźnie przypominało Jackowi jego przejścia w drodze do miasta... wydarzenia, które rozegrały się w ciemnościach.

Tłuścioch, który nazwał Jacka zasrańcem, zszedł z drogi smukłemu mężczyźnie w lewisach i czystej, białej koszulce z krótkimi rękawami. Randolph Scott ruszył w stronę Jacka, kołyszając przy bokach wielkimi, żylastymi dłońmi.

Jego oczy zaiskrzyły się lodowatym błękitem... a potem zaczęły się zmieniać, coraz to bardziej jaśnieć.

- Dzieciaku... - powiedział.

Jack czmychnął niezgrabnie, wpadł tyłkiem na wahadłowe drzwi, ale nie zwrócił uwagi, że mógłby kogoś uderzyć.

Uderzył weń hałas. Kenny Rogers wrykiwał entuzjastyczny, rubaszny pean na cześć kogoś nazwiskiem Reuben James. "Zawsze nadstawiałeś DRUGI policzek", zaświadczał Kenny sali pełnej przebierających nogami pijaczyn o posępnych twarzach - "i mówiłeś o lepszym świecie, co czeka na POKORNYCH!". Jack nie widział tu nikogo, kto sprawiałby wrażenie zbyt pokornego. The Genny Valley Boys wdrapywali się na podest i podnosili instrumenty. Wszyscy z wyjątkiem gitarzysty wyglądali na tak bardzo pijanych, że nie wiedzieli, co się wokół nich dzieje... a może nawet, gdzie w ogóle się znajdują. Mężczyzna ze stalową gitarą sprawiał wrażenie jedynie znudzonego.

Po lewej stronie Jacka jakaś kobieta mówiła coś poważnie do słuchawki zainstalowanego w knajpie automatu - telefonu, którego chłopiec nie dotknąłby za żadne skarby, gdyby miał w tej sprawie coś do powiedzenia. Nawet za tysiąc dolarów. Pijany towarzysz rozmawiającej kobiety wpychał dłoń pod jej rozpiętą do połowy kowbojską koszulę. Na wielkim parkiecie tanecznym mniej więcej siedemdziesiąt par obmacywało się i przebierało nogami, nie zwracając uwagi na dynamiczne tempo odtwarzanej właśnie piosenki. Zwyczajnie obściskowały się i ocierały brzuchami, ścisnęły dłońmi pośladki, zlepiły zaślinione wargi. Pot spływał tancerzom po policzkach i tworzył wielkie kręgi pod pachami.

- No, Bogu dzięki! - powiedziała Lori i otworzyła przed Jackiem podnoszoną klapę w kontuarze.

Smokey stał w połowie długości baru i napełniał lampki na tacy Glorii ginem z tonikiem, wódką z sokiem cytrynowym oraz jedynym konkurentem piwa w kategorii Ulubionego Drinka Oatley: black russian.

Jack zobaczył, że Randolph Scott wychodzi przez wahadłowe drzwi. Mężczyzna popatrzył w stronę chłopca i niebieskie oczy natychmiast napotkały jego wzrok. Skinął lekko głową, jakby chciał rzec: *Jeszcze porozmawiamy. O, tak, szanowny panie. Może porozmawiamy o tym, co mogło być lub czego nie mogło być w tunelu przed Oatley. Albo o pejczech. Albo chorych matkach. Może porozmawiamy o tym, że zostaniesz w okręgu Genny długo, bardzo długo... może do czasu, kiedy zamienisz się w rozpaczającego nad wózkiem na zakupy starucha. Jak myślisz, Jacky?*

Jack zadrzał.

Randolph Scott uśmiechnął się, jak gdyby dojrzał jego dreszcz... lub go wyczuł. Potem zniknął w tłumie i zgęstniałym powietrzu.

W chwilę później chude, niezwykle silne palce Smokeya wpiły się w bark Jacka - szukając najbardziej bolesnego miejsca i jak zawsze je znajdując. Palce Smokeya miały w wyszukiwaniu nerwów wielką wprawę.

- Musisz się szybciej ruszać, Jack - powiedział Smokey niemal współczującym tonem, jednak jego palce wciąż wbijały się w ciało, sondowały i grzebały. Oddech restauratora pachniał cukierkami Canada Mints, które ssał niemal bez przerwy. Sztuczna szczęka z katalogu szczękała i kłapała. Czasami rozlegało się obrzydliwe siorbanie, gdy Smokey lokował ją ssaniem na właściwym miejscu. - Musisz się szybciej ruszać, bo inaczej będę ci musiał podłożyć ognia pod zadek. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- T-tak - powiedział Jack, starając się nie jęknąć.

- W porządku. No to dobra.

Przez sekundę palce Smokeya wbiły się jeszcze głębiej, miażdżąc z entuzjazmem niewielki splot nerwów. Jack wreszcie jęknął. Smokeyowi to wystarczyło. Zdjął rękę.

- Pomóż mi podłączyć beczkę, Jack. I pospiesz się. Jest piątkowy wieczór, ludziom chce się pić.

- Sobota rano - odparł idiotycznie Jack.

- To też. Rusz się.

Jack jakoś zdołał pomóc Smokeyowi przenieść beczkę do prostokątnej szafki pod barem. Szczupłe, postronkowate mięśnie ramion restauratora napinały się i zwijały pod koszulą z napisem "Oatley Tap". Papierowa czapka kucharska w dziwny sposób utrzymała się na jego wąskiej jak u łasicy głowie; przedni brzeg niemal dotykał lewej brwi, pozornie nie

licząc się z prawem ciężenia. Jack przyglądał się, wstrzymując oddech, jak Smokey strącił z beczki czerwony, plastikowy odpowietrznik. Rozległ się syk głośniejszy, niż powinien... ale piwo się nie spieniło. Jack bezgłośnie wypuścił powietrze.

Smokey potoczył pustą beczkę w jego stronę.

- Zabierz ją do magazynku. Potem przetrzyj toaletę. Pamiętaj, co ci mówiłem dziś po południu.

Jack pamiętał. O trzeciej rozległo się wycie, niczym syreny przeciwlotniczej. Chłopiec mało nie dostał apopleksji. Lori roześmiała się i powiedziała: "Sprawdź Jacka, Smokey - chyba właśnie zsiąkał się w majtki". Smokey rzucił jej pozbawione wesołości spojrzenie i skinął na Jacka, by podszedł do niego. Powiedział chłopcu, że ten gwizdek oznacza wypłatę w Oatley T & W. Powiedział, że prawie taki sam gwizdek rozlega się w Dogtown Rubber - firmie produkującej zabawki na plażę, nadmuchiwane gumowe lalki i kondomy o nazwie Żeberka Rozkoszy. Wkrótce, powiedział Smokey, "Oatley Tap" zacznie się zapełniać.

- Ty, ja, Lori i Gloria będziemy musieli ruszać się błyskawicznie, bo kiedy w piątek krzyczy ten orzeł, mamy okazję nadrobić to, czego nie zarobiliśmy przez poniedziałek, wtorek, środę i czwartek - powiedział. - Kiedy ci każe przytoczyć beczkę, masz ją trzymać przede mną, zanim skończę wołać. Do tego co pół godziny włączysz do kibla ze szczotką. W piątek każdy facet odcedza kartofelki mniej więcej co kwadrans.

- Ja sprzątni w damskiej - powiedziała Lori, podchodząc do niego. Cienkie, złote włosy miała ułożone w fale, a cerę bladą jak wampir z komiksu. Albo była przeziębiona, albo nie dawała sobie rady z koką; przez cały czas ciągnęła nosem. Jack uznał, że to jednak skutek przeziębienia. Wątpił, czy ktokolwiek w Oatley może sobie pozwolić na zażywanie dużych ilości kokainy. - W babskim sraczu nie jest tak źle jak w męskim. Prawie, ale niezupełnie.

- Zamknij się, Lori.

- Zesraj się - odparła.

Ręka Smokeya wystrzeliła do przodu jak błyskawica. Rozległo się klaśnięcie i nagle na bladym policzku Lori pojawił się odcisk dłoni restauratora, jakby to był dziecięcy, zmywalny tatuaż. Kelnerka zaczęła siąkać czy szlochać... ale Jack z obrzydzeniem i zdumieniem dojrzał, w jej oczach niemal szczęście. Spoglądała, jakby jej zdaniem Smokey dał wyraz swej trosce o nią.

- Ruszaj tyłek, to nie będzie problemu - powiedział Smokey. - Pamiętaj, działaj szybko, kiedy zawołam, żebyś przytoczył beczkę. I nie zapominaj wleźć ze szczotką do męskiego kibla co pół godziny i powycierać rzygi.

Jack powiedział wtedy ponownie Smokeyowi, że chciałby odejść, a restaurator powtórzył fałszywą obietnicę o niedzieli po południu... ale po co o tym myśleć?

Rozległy się głośniejsze krzyki i wybuchy chrapliwego śmiechu. Trzask łamanego krzesła i zduszony krzyk bólu. Na parkiecie tanecznym wybuchła bójka - trzecia tego wieczora. Smokey zaklął i przecisnął się obok Jacka.

- Sprzątnij wreszcie tę beczkę - polecił.

Jack władował pustą beczkę na wózek i potoczył ją w kierunku wahadłowych drzwi, rozglądając się po drodze z niepokojem za Randolphem Scottem. Zobaczył, że mężczyzna stoi w przyglądającym się bójce tłumie, i nieco się odprężył.

W magazynku odstawił pustą beczkę do pozostałych na rampie wyładunkowej - w "Updike's Oatley Tap" zużyto ich tego wieczora już sześć. Następnie raz jeszcze sprawdził swój plecak. Przez chwilę w panice wydało mu się, że zniknął; serce zaczęło mu łomotać w piersiach. Miał w nim magiczny napitek i monetę, która w tym świecie zamieniała się w srebrną dolarówkę. Przeszedł na prawo, a pot wystąpił mu na czoło, i pomacał między dwoma kolejnymi beczkami. Plecak na szczęście tam był - Jack wyczuł przez zielony nylon krzywiznę butelki od Speedy'ego. Puls zaczął mu zwalniać, wciąż jednak czuł się roztrzęsiony, a nogi miał jak z waty - tak jak wtedy, gdy cudem uniknie się niebezpieczeństwa.

Męska toaleta przypominała najgorszy koszmar. Wcześniej tego wieczora Jack mógłby zwymiotować na znak solidarności z klientelą, teraz jednak zaczął się nawet przyzwyczajać do smrodu... i to w pewien sposób było najgorsze. Nalał gorącej wody, dodał płynu Comet i zaczął wycierać skąpaną w mydlinach szczotką cały ten syf na posadzce. W myślach odtwarzał wydarzenia ostatnich paru dni, dręcząc się nimi tak, jak zwierzę katuje uwięzioną w pułapce kończynę.

### 3

"Oatley Tap" było brudne, obskurne i najwidoczniej wymarłe, gdy Jack wszedł po raz pierwszy do piwiarni. Powyciągano wtyczki z szafy grającej, elektrycznego bilardu i gry Space Invaders. Palila się tylko reklama piwa Busch nad barem - cyfrowy zegar, uwięziony między szczytami dwóch gór, wyglądający jak najdziwniejsze UFO, jakie kiedykolwiek wylęgło się w ludzkiej wyobraźni.

Uśmiechając się blado, Jack podszedł do baru. Niemal do niego dotarł, gdy zza jego pleców rozległ się bezbarwny głos:

- To jest bar. Nieletnim wstęp wzbroniony. Co, głupi jesteś? Wynocha.

Jack o mało co nie wyskoczył ze skóry. W kieszeni trzymał pieniądze w garści; wyobrażał sobie, że wszystko odbędzie się jak w "Golden Spoon": usiądzie na stołku, coś zamówi, a potem zapyta o pracę. Oczywiście zatrudnianie dzieci w jego wieku było nielegalne - przynajmniej bez zezwolenia podpisanego przez jednego z rodziców czy prawnego opiekuna - co oznaczało, że można było dać mu mniej, niż wynosiła płaca minimalna. O wiele mniej. Od tego punktu rozpoczynały się negocjacje, zwykle zainaugurowane Historyjką nr 2: Jack i Wredny Ojczym.

Chłopiec odwrócił się na pięcie i zobaczył mężczyznę, który siedział samotnie przy jednym ze stolików i wpatrywał się w niego z lodowatą, pogardliwą czujnością. Facet był szczupły, lecz postronki mięśni wiły się po bokach jego szyi i pod białym podkoszulkiem. Ubrany był w workowate kucharskie spodnie. Na czoło zjeżdżała mu przekrzywiona na lewą stronę papierowa czapka. Głowę miał wąską jak łeb łasicy; włosy krótko przystrzyżone i siwiejące na końcach. Między jego dłońmi leżał stos rachunków i kalkulator.

- Widziałem wywieszkę, że potrzebna jest pomoc - odezwał się Jack.

Nie żywił wielkiej nadziei: facet i tak go nie wynajmie, a poza tym nie był pewny, czy chciałby dla niego pracować. Gość wyglądał na kawał zarazy.

- Widziałeś, tak? - powiedział mężczyzna przy stoliku. - Pewnie nauczyłeś się czytać akurat tego dnia, kiedy nie byłeś na wagarach.

Na stole leżała paczka cygaretek. Mężczyzna wytrząsnął jedną z nich.

- No, nie wiedziałem, że to bar - odparł Jack, robiąc krok w stronę drzwi. Blask słońca zdawał przedostawać się przez brudną szybę, a następnie padać bez życia na podłogę, jakby "Oatley Tap" znajdowało się w nieco innym wymiarze. - Chyba wydawało mi się, że... no, wie pan, że to restauracja z grillem. Coś takiego. Pójdę już sobie.

- Podejź tutaj. - Brązowe oczy mężczyzny wpatrywały się w Jacka nieruchomo.

- Nie, nic się nie stało - odrzekł nerwowo chłopiec. - Po prostu...

- Podejź tutaj i siadaj. - Mężczyzna zapalił drewnianą zapałkę o paznokieć kciuka i przypalił cygaretkę. Mucha ocierająca odnóża na jego papierowej czapce sfrunęła i znikła z brzęczeniem w mroku. - Nie ugryzę cię.

Jack powoli podszedł do stolika, po chwili wsunął się na ławę naprzeciwko mężczyzny i złożył równo dłonie przed sobą. Jakies sześćdziesiąt godzin później, kiedy o wpół do pierwszej nad ranem Jack szorował podłogę w męskiej toalecie i czuł wpadające w oczy przepocone włosy, doszedł do wniosku, że to przez jego głupią pewność siebie pułapka się zatrzasnęła (co nastąpiło właśnie w tym momencie, gdy usiadł naprzeciw Smokeya

Updike'a, chociaż wtedy jeszcze tego nie wiedział). Płatki muchołówki zamykają się, więżąc nieszczęsne owadzie ofiary; dzbanecznik, obdarzony rozkosznym zapachem i śmiercionośnymi, gładkimi jak szkło płatkami, czeka natomiast, aż jakiś latający, pokićkany owad zanurzy się do środka - aż w końcu utonie w zebranej na spodzie kwiatu deszczówce. W Oatley dzbanecznik był pełen piwa, a nie wody - i tylko na tym polegała różnica.

*Gdyby uciekł...*

Ale Jack nie uciekł. Starając się wytrzymać zimne spojrzenie brązowych oczu, pomyślał, że może mimo wszystko znajdzie się tu praca. Minette Banberry, właścicielka "Golden Spoon" w Auburn, była dla Jacka dość miła; wyściskała go nawet na pożegnanie, cmoknęła w policzek i ofiarowała trzy grube kanapki, nie dał się jednak zwieść. Uprzejmość, a nawet swego rodzaju sympatia nie wykluczały zimnego zainteresowania zyskami czy nawet czegoś nader zbliżonego do otwartej chciwości.

Minimalna płaca w stanie Nowy Jork wynosiła trzy dolary i czterdzieści centów za godzinę - informację tę zgodnie z wymogiem prawa wywieszono w kuchni "Golden Spoon" na jaskraworóżowej planszy niemal tak dużej jak afisz filmowy. Kucharzem od prostych potraw był mimo to Haitańczyk, który prawie nie znał angielskiego i zdaniem Jacka niemal na pewno przebywał w Stanach nielegalnie. Facet jednak gotował jak czarodziej, nigdy nie pozwalając ziemniakom czy smażonym mażom spędzić chwili za długo w piekarnikach. Dziewczyna, która pomagała pani Banberry jako druga kelnerka, była miła, ale tępawa; została zatrudniona w ramach programu praktyk dla upośledzonych w Rome. W takich wypadkach minimalna płaca nie obowiązywała, a sepleniąca, niedorozwinięta dziewczyna powiedziała Jackowi z nieudawaną dumą, że dostaje dolara dwadzieścia pięć centów za każdą godzinę i że wszystko to jest dla niej.

Jack dostał półtora dolara. Wytargował taką stawkę i wiedział, że gdyby pani Banberry nie znalazła się w przymusowej sytuacji - poprzedni pomywacz rzucił pracę właśnie tego ranka: wyszedł na przerwę na kawę i po prostu nie wrócił - w ogóle by się nie targowała; powiedziałyby mu po prostu, bierz dolara i ćwierć, dzieciaku, a jak nie, to droga wolna, żyjemy w wolnym kraju.

Trafił teraz - pomyślał z cynizmem, również stanowiącym część świeżo zyskanej pewności siebie - na kolejną panią Banberry. W spodniach, a nie w spódnicy, chudą jak szczapa, a nie tłustą i przypominającą babcię, skwaśniałą, a nie uśmiechniętą, ale mimo wszystko panią Banberry.

- Szukasz roboty, co?



Mężczyzna w białych spodniach i papierowej czapce odłożył cygaretkę na starą blaszaną popielniczkę z wytłoczonym na dnie słowem: CAMELS. Mucha ponownie przestała myć nóżki i odleciała.

- Tak, proszę pana, ale jak pan mówi, to jest bar i tak dalej...

Ponownie obudził się w nim niepokój. Wywołały go te brązowe oczy, obrzeżone na żółto - oczy starego, łownego kocura, który już wcześniej widział mnóstwo podobnych do chłopca zbłąkanych myszy.

- Tak, to moja knajpa - powiedział mężczyzna. - Jestem Smokey Updike. - Wyciągnął rękę. Zaskoczony Jack ją uściśnął. Dłoń mężczyzny zwarła się na krótko na jego ręce, niemal aż do bólu. Po chwili rozwarła się... ale Smokey nie wypuścił ręki chłopca. - No? - spytał.

- Hę? - odparł Jack.

Zdał sobie sprawę, że brzmi to idiotycznie i słyhać w tym strach - ale czuł się zarówno ogłupiały, jak i przestraszony. Chciał też, żeby Smokey Updike puścił jego rękę.

- Twoi starzy nie nauczyli cię, jak się przedstawiać?

Tak to zaskoczyło Jacka, że mało nie wypaplał prawdziwego nazwiska zamiast tego, którym posłużył się w "Golden Spoon" i którym przedstawiał się tym wszystkim ciekawskim kierowcom. Ksywka - o której zaczął myśleć jako o swoim "nazwisku na drogę" - brzmiała Lewis Farren.

- Jack Saw... ee... Sawtelle - powiedział.

Updike potrzymał dłoń Jacka jeszcze chwilę, nie spuszczać z niego spojrzenia brązowych oczu. Wreszcie puścił.

- Jack Sawee-Sawtelle - powtórzył. - Kurwa, to chyba najdłuższe nazwisko w książce telefonicznej, co, mały? - Jack zarumienił się, ale nie odpowiedział. - Nie jesteś za duży - rzekł Updike. - Myślisz, że zdołasz przegiąć dziewięćdziesięciofuntową beczkę piwa na bok i przetoczyć ją na ręczny wózek?

- Chyba tak - odparł Jack, nie wiedząc, czy tak jest w istocie. I tak nie zapowiadało się, by mogło to stanowić problem - w tak zapadłej dziurze beczki zmienia się pewnie dopiero wtedy, gdy w podłączonej do baru zwietrzeje piwo.

- Taa, nikogo tu teraz nie ma, ale koło czwartej, piątej robi się spory ruch - powiedział Updike, jakby czytał w jego myślach. - W weekendy mamy prawdziwy tłok. Wtedy właśnie zarobisz na swoje utrzymanie, Jack.

- No, bo ja wiem? - odrzekł chłopiec. - Ile bym za to dostał?

- Dolara za godzinę - oświadczył Updike. - Szkoda, że nie mogę płacić ci więcej, ale...  
- Wzruszył ramionami i poklepał stos rachunków. Uśmiechnął się nawet słabo, jakby chciał

powiedzieć: *Rozumiesz, jak to jest, maty. Wszystko w Oatley staje jak tani zegarek, którego ktoś zapomniał nakręcić - staje tak od siedemdziesiątego pierwszego.* Oczy Smokeya jednak się nie uśmiechały. Nieruchomo wpatrywały się z kocim skupieniem w twarz Jacka.

- Rany, to niedużo - powiedział chłopiec powoli, chociaż w tej chwili myślał błyskawicznie.

W "Oatley Tap" panował spokój jak w grobowcu - nie było tu nawet jednego skacowanego pijusa, ciągnącego pomału piwo i gapiącego się na "General Hospital" w telewizji. W Oatley najwidoczniej chlało się w samochodzie i nazywało go klubem. Dolar pięćdziesiąt to marna płaca, gdy trzeba urobić sobie ręce po łokcie; w takiej dziurze doleć za godzinę mógł stanowić łatwy zarobek.

- Nie - zgodził się Updike, wracając do stukania w kalkulator. - Niedużo.

Ton jego głosu świadczył, że pozostawia decyzję Jackowi: albo zgadza się, albo spada; żadnych negocjacji nie będzie.

- Może wystarczy - rzekł Jack.

- No, to dobrze - powiedział Updike. - Powinniśmy sobie jeszcze jedno wyjaśnić. Przed kim uciekasz i kto cię szuka? - Spojrzenie brązowych oczu znów spoczęło na nim, świdrując go bezlitośnie. - Jeżeli ktoś cię tropi, nie chcę, żeby mi się wpierdalał w interes.

Słowa te nie wstrząsnęły pewnością siebie Jacka. Nie był być może najbystrzejszym dzieciakiem na świecie, ale starczało mu inteligencji, by zdać sobie sprawę, że jego wędrówka nie potrwałaby długo, gdyby nie miał drugiej legendy na użytek potencjalnych pracodawców. Do tego właśnie służyła Historyjka nr 2: Wredny Ojczym.

- Jestem z miasteczka w Vermoncie - powiedział. - Fenderville. Mama i tata rozwiedli się dwa lata temu. Tata starał się dostać prawo do opieki nad mną, ale sędzia przyznał je mamie. Tak przeważnie robią.

- Kurewska prawda.

Smokey wrócił do rachunków i tak pochylił się nad kalkulatorem, że prawie dotykał nosem klawiszy. Jack miał jednak wrażenie, że mimo wszystko go słucha.

- No, tata wyjechał do Chicago i dostał tam pracę w fabryce - kontynuował Jack. - Píše do mnie mniej więcej raz na tydzień, ale przestał przyjeżdżać w zeszłym roku, kiedy Aubrey go pobił. Aubrey to...

- Twój ojczym - powiedział Updike.

Jackowi przez chwilę zwężyły się oczy i poczuł na nowo początkową nieufność. W głosie Updike'a nie było ani odrobiny współczucia; wydawało się niemal, że Smokey się z

niego naśmiewa, jak gdyby wiedział, że opowieść chłopca została całkowicie wyssana z palca.

- Tak - przyznał Jack. - Mama wyszła za niego półtora roku temu. Często mnie bije.

- To smutne, Jack. Bardzo smutne. - Updike wreszcie spojrzał na swego rozmówcę, sardonicznie i niedowierzająco. - Więc wyruszyłeś do Shytown, gdzie będziesz żył z tatuńciem długo i szczęśliwie.

- No, mam nadzieję - powiedział Jack i poczuł nagłe natchnienie. - Wiem jedno: mój prawdziwy tata nigdy nie wieszał mnie za szyję w szafie.

Obciągnął wierzch koszulki, odsłaniając szramę. Zbladła już; podczas dni w "Golden Spoon" wciąż była ohydnej czerwonopurpurowej barwy, jak wypalone znamię. W tamtej restauracji Jack nie miał jednak nigdy okazji jej zaprezentować. Oczywiście był to ślad pozostawiony przez korzeń, który w drugim świecie omal go nie udusił.

Z zadowoleniem zobaczył, że oczy Smokeya Updike'a rozszerzają się z zaskoczenia i czegoś na kształt wstrząsu. Mężczyzna wychylił się do przodu, roztrzając trochę żółtych i różowych kartek.

- To robota twojego ojczyma?

- Wtedy właśnie postanowiłem się zerwać.

- Może się tu pokaże, szukając swojego samochodu, motocykla, portfela czy kurewskiego zapasu koki?

Jack pokręcił głową.

Smokey popatrzył na niego jeszcze przez chwilę, po czym wyłączył kalkulator.

- Chodź ze mną do magazynku, mały - powiedział Smokey.

- Po co?

- Chcę zobaczyć, czy rzeczywiście zdołasz przewrócić beczkę na bok. Jeśli zdołasz wytoczyć beczkę, kiedy będzie potrzebna, to masz pracę.

#### 4

Jack zademonstrował ku zadowoleniu Smokeya Updike'a, że jest zdolny postawić jedną z wielkich aluminiowych beczek na skraju i przetoczyć ją tak, by oparła się o platformę wózka. Zdołał nawet sprawić wrażenie, że przychodzi mu to bez trudu - na wypuszczenie beczki i oberwanie w nos przyszło mu zaczekać jeszcze dzień.

- No, nie wyszło to najgorzej - powiedział Updike. - Nie jesteś dość duży do tej roboty i pewnie nabawisz się kurewskiej raptury, ale to twoje zmartwienie.

Powiedział Jackowi, że zacznie od południa i będzie pracował do pierwszej nad ranem (“Albo dopóki wytrzymasz”). Poinformował chłopca, że będzie płacił mu każdego dnia przy zamknięciu. Gotówką do ręki.

Wyszli z magazynku i natknęli się na Lori, ubraną w ciemnoniebieskie szorty do koszykówki tak krótkie, że widać było brzeg majtek z nylonu, oraz bezrękawnik, niemal na pewno pochodzący z Mammoth Mart w Batavii. Cienkie, jasne włosy kelnerki podtrzymywały plastikowe spinki; paliła paliłką ze zwilżonym i grubo umazanym szminką filtrem. Między jej piersiami wisiał wielki krucyfiks.

- To Jack - powiedział Smokey. - Możesz zdjąć z okna tabliczkę, że potrzebna pomoc.

- Uciekaj, mały - odparła Lori. - Masz jeszcze czas.

- Zamknij się, kurwa mać.

- Sam mnie zamknij.

Updike klepnął ją w zadek - nie pieszczotliwie, ale tak silnie, że zatoczyła się na obity skraj kontuaru. Jack zmrużył oczy - przypomniał sobie odgłos wydawany przez pejcz Osmonda.

- Samiec - powiedziała Lori.

Oczy wezbrały jej łzami... lecz jednocześnie pojawiło się w nich zadowolenie, jakby właśnie tak powinno być.

Wcześniejszy niepokój Jacka stał się wyraźniejszy, ostrzejszy... teraz niemal zmienił się w przerażenie.

- Nie pozwól, żebyśmy wleźli ci na głowę, to nic ci nie będzie, mały - rzekła Lori, idąc po tabliczkę w oknie.

- Nazywa się Jack, nie “mały” - powiedział Smokey. Wrócił do stolika, przy którym prowadził “rozmowę kwalifikacyjną” i zaczął zbierać rachunki. - Małe to mają zwierzęta. Nie nauczyli cię tego w szkole? Zrób dzieciakowi parę hamburgerów. Zaczyna robotę o czwartej.

Lori zdjęła z okna tabliczkę POTRZEBNA POMOC i wsunęła ją za szafę grającą z miną świadcząca, że robiła to już wiele razy. Mijając Jacka, mrugnęła do niego.

Zadzwonił telefon.

Wszyscy troje popatrzyli na aparat, zaskoczeni jego nagłym brzęczeniem. Jackowi wydał się przez chwilę czarnym, przyklejonym do ściany ślimakiem. Była to osobliwa chwila, jakby wyrwana z czasu. Miał czas dostrzec, że Lori pobladła - na jej policzkach barwę miały jedynie czerwone plamy po ginącym młodzieńczym trądziku. Jack miał czas przyjrzeć się badawczo okrutnej twarzy Smokeya Updike'a i dostrzec, jak na jego długich rękach wystają

żyły. Zdążył też jeszcze odczytać poźółkłą tabliczkę nad telefonem: PROSIMY OGRANICZAĆ ROZMOWY DO TRZECH MINUT.

Telefon dzwonił raz po razie, a oni milczeli.

Jack pomyślał z nagłym przestrawem: To do mnie. Zamiejscowa... z bardzo, BARDZO daleka.

- Odbierz, Lori - polecił Updike. - No co, upośledzona jesteś?

Lori podeszła do telefonu.

- "Oatley Tap" - odezwała się drżącym, słabym głosem.

- Halo? Halo?... Och, odpierdol się. - Odłożyła z trzaskiem słuchawkę. - Nikt się nie odzywał. Jakieś dzieciaki. Czasami dopytują, czy mamy prince alberta w puszkach. Jakie lubisz hamburgery, mały?

- Jack! - ryknął Updike.

- Jack, dobra, dobra. Jack. Jakie lubisz hamburgery, Jack?

Chłopiec powiedział, że średnie - i dokładnie takie dostał gorące, z brązową musztardą i bermudzką cebulą. Jego niepokój ustał wraz z głodem. Dzieciaki, jak powiedziała Lori. Mimo to jego spojrzenie co jakiś czas błędziło w stronę telefonu i zastanawiał się, czy tak było rzeczywiście.

## 5

Nadeszła czwarta i jak gdyby całkowita pustka w "Tap" była jedynie sprytną dekoracją, służącą zwabieniu Jacka w pułapkę - jak dzbanecznik o niewinnym wyglądzie i smakowitym zapachu - otwały się drzwi i do środka wkroczył prawie tuzin ludzi w roboczych strojach. Lori włączyła do sieci szafę grającą, elektryczny bilard i Space Invaders. Kilku mężczyzn wyrzycało pozdrowienia pod adresem Smokeya, który zaprezentował swój wąski uśmiech, ukazując wielkie zębiska z katalogu. Większość mężczyzn zamówiła piwo, dwóch czy trzech - black russians. Jeden z nich - Jack był niemal pewien, że był to członek Klubu Pod Chmurką - nawrzucał ćwierćdolarówek do szafy grającej, przywołując głosy Mickeya Gilleya, Eddiego Rabbita, Waylona Jenningsa i tym podobnych. Smokey kazał Jackowi brać się do szczoty, przetrzeć podłogę w magazynku i parkiet przed pustym podium dla orkiestry, które wyczekiwało na piątkowy wieczór i The Genny Valley Boys. Updike zapowiedział Jackowi, że po wyschnięciu parkietu ma go wypastować pastą Pledge.

- Będziesz wiedział, że wystarczy, gdy zdołasz zobaczyć w nim swój uśmiech - rzekł Smokey.

I tak zaczął się czas służby Jacka w “Updike’s Oatley Tap”.

*Koło czwartej, piątej robi się tu spory ruch.*

Cóż, Jack nie mógł upierać się, że Smokey go okłamał. Do momentu, gdy odsunął talerz i zabrał się do pracy, w knajpie było pusto. O szóstej w “Oatley Tap” zgromadziło się jednak około pięćdziesięciu osób, a zawadiacka kelnerka - Gloria - rozpoczęła zmianę przy asyście nawoływań i wiwatów części klientów. Gloria dołączyła do Lori, podając kilka karafek wina, mnóstwo black russian i oceany piwa.

Poza beczkami buscha Jack targał skrzynkę po skrzynce piwa butelkowanego - oczywiście budweisera, ale również takich lokalnych faworytów, jak genesse, utica club i rolling rock. Dłonie zaczęły się mu pokrywać pęcherzami, a grzbiet tętnić bólem.

Pomiędzy wyprawami do magazynku po skrzynki butelkowanego piwa i po to, żeby “wytoczyć beczkę, Jack” (przed tym zwrotem chłopiec już zaczynał czuć pierwotny lęk), poszedł na parkiet taneczny z wiadrem, szczotką i wielką butlą pasty Pledge. W pewnej chwili koło jego głowy przeleciała pusta butelka po piwie, mijając go o parę cali. Skulił się z łomoczącym sercem, gdy roztrzaskała się o ścianę. Smokey wywalił pijanego sprawcę, szczerząc sztuczną szczękę w wielkim, fałszywym uśmiechu aligatora. Przez okno Jack zobaczył, że pijak wpadł na automat parkingowy z wystarczającym impetem, by wyskoczyła czerwona tabliczka: LIMIT PRZEKROCZONY.

- Daj spokój, Jack! - zawołał niecierpliwie Smokey od baru. - Przecież spudłował, nie? Posprzątaj ten bajzel.

Smokey wysłał go do męskiej toalety pół godziny później. Mężczyzna w średnim wieku z fryzurą *a la* Joe Pyne\*[\* Gospodarz telewizyjnego talk show, o dość konserwatywnych poglądach.] chwiał się, opierając się dłonią o ścianę nad jednym z dwóch zapchanych lodem urynałów, w drugiej dzierżąc wielkiego, nieobrzezanego penisa. Pomiędzy jego szeroko rozstawionymi roboczymi butami parowała kałuża rzygowin.

- Weź to wysprzątaj, mały - powiedział mężczyzna, ruszając wężykiem w stronę sali i waląc po drodze Jacka w plecy niemal tak silnie, by go przewrócić. - Człowiek musi se zrobić wolnego miejsca, jak tylko się da, no nie?

Jack zdołał wytrzymać, aż drzwi się zamkną, lecz później nie potrafił już zapanować nad żołądkiem.

Zdążył dotrzeć do jedynej kabiny w "Oatley Tap", gdzie czekał na niego niespłukany i prowokujący torsje swoim smrodem ślad ostatniego klienta. Jack zwymiotował resztkę obiadu, parę razy zaczerpnął z trudem tchu, a potem zwrócił raz jeszcze. Drżącą ręką namacał spłuczkę i nacisnął. Zza ściany tępo łomotała śpiewka Waylona i Williego o Luckenbach w Teksasie.

Nagle przed oczyma Jacka pojawiła się twarz matki, piękniejsza niż kiedykolwiek na ekranie, z wielkimi, ciemnymi i pełnymi współczucia oczyma. W jego wyobraźni matka siedziała samotnie w pokoju w Alhambrze. Obok niej w popielniczce tlił się papieros. Płakała. Płakała za Jackiem. Serce zabolowało go tak bardzo, że miał wrażenie, iż umrze z miłości i tęsknoty za Lily - za życiem, w którym nie było takich rzeczy, jak tunele, kobiety, pragnące obrywać i być zmuszane do płaczu, czy mężczyźni wymiotujący przy sikaniu pomiędzy swe nogi. Jack pragnął być z matką i poczuł nienawiść do Speedy'ego Parkera za to, że zdołał go namówić do tej strasznej wędrówki na zachód.

W tym momencie znikły reszki pewności siebie, jakie się jeszcze w nim ostały - zostały zdruzgotane nieodwołalnie i na zawsze. Myśli przytłoczył głęboki, pierwotny, dziecięcy lament: *Chcę do mamy Boże proszę chcę do MAMY...*

Rozdygotany, wytoczył się z kabiny na nogach jak z waty i pomyślał: No dobra to koniec wszyscy wychodzą z basenu pieprzę cię Speedy ten chłopak wraca do domu. Czy jak tam to nazwać. W tej chwili nie dbał o to, czy jego matka umiera. Przez moment niedającego się wyrazić cierpienia w Jacku nie było nic oprócz Jacka; stał się tak nieświadomie egoistyczny jak zwierzę, na które polują wszystkie drapieżniki, jak jeleń, królik, wiewiórka. W tej chwili z niezmaconym spokojem pozwoliliby matce umrzeć na raka płuc, dającego dzikie przerzuty, gdyby tylko go objęła, pocałowała na dobranoc i powiedziała, żeby nie włączał piekielnego tranzystora w łóżku ani nie czytał pół nocy z latarką pod kołdrą.

Przyłożył rękę do ściany i po trochu zdołał się opanować. Wzięcie się w garść nie było procesem świadomym, lecz jakby nałożeniem na umysł obręczy - procesem, który bardzo podobnie przebiegał u Phila Sawyera i Lily Cavanaugh. Jack popełnił błąd, istotnie, ale nie zawracał. Terytoria były prawdziwe, Talizman więc również mógł istnieć; nie zamierzał ściągnąć śmierci na matkę przez tchórzostwo.

Jack napełnił wiadro gorącą wodą z kranu w magazynku i posprzątał.

Kiedy wyszedł z magazynku, dochodziło wpół do jedenastej i tłum w piwiarni zaczął się przeredzać - Oatley było miastem przemysłowym, więc pijacy mający zatrudnienie wracali w dni powszednie wcześniej do domów.

- Jesteś błąd jak prześcieradło, Jack - powiedziała Lori. - Nic ci nie jest?

- Jak myślisz, mogę dostać piwo korzenne? - zapytał.

Kelnerka przyniosła mu napój; Jack wypił go, kończąc woskować parkiet. Za kwadrans dwunasta Smokey kazał mu "wytoczyć beczkę" z magazynku. Jack zdołał to zrobić - ale ledwo, ledwo. Za kwadrans pierwsza Smokey zaczął krzyczeć na klientelę, żeby się zbierała. Lori wyciągnęła wtyczkę z szafy grającej - Dick Curless zamarł z przeciągłym, opadającym jękiem - co spotkało się z paroma pozbawionymi animuszu okruciami protestu. Gloria powylała gry, włożyła sweter (różowy tak samo jak ssane regularnie przez Smokeya cukierki Canada Mints i fałszywe dziaśła jego sztucznych szczęk) i wyszła. Smokey zaczął gasić światła i przeganiać ostatnich czterech czy pięciu pijaków w stronę drzwi.

- No dobra, Jack - powiedział, gdy się ich pozbył. - Nieźle się spisałeś. Możesz jeszcze się poprawić, ale na początek wyszło ci jako tako. Jak chcesz, przekimaj w magazynku.

Zamiast poprosić o wypłatę (której zresztą Smokey nie zaproponował), Jack ruszył chwiejnie w stronę magazynku, tak wyczerpany, że wyglądał jak nieco mniejsza wersja ochlapusów, których dopiero co wyprowadzał na zewnątrz.

W magazynku zobaczył przykucniętą w kącie Lori - wskutek czego szorty do koszykówki podjechały jej na niemal alarmującą wysokość - i przez chwilę pomyślał ze zgrozą, że kelnerka grzebie w jego plecaku. Moment później zorientował się, że Lori rozściela parę koców na warstwie jutowych worków na jabłka. Przyniosła też małą satynową poduszkę z napisem po jednej stronie: WYSTAWA ŚWIATOWA W NOWYM JORKU.

- Pomyślałam, że uwiję ci gniazdko, mały - powiedziała.

- Dziękuję - odparł. Była to prosta, niemal zdawkowa uprzejmość, lecz Jack z trudem powstrzymał się od wybuchnięcia płaczem. Zdołał w zamian się uśmiechnąć. - Wielkie dzięki, Lori.

- Nie ma sprawy. Będzie ci tu dobrze, Jack. Smokey nie jest najgorszy. Kiedy go lepiej poznasz, sam zobaczysz, że nie jest taki zły. - Powiedziała to z nieświadomym smutkiem, jakby pragnęła, by rzeczywiście tak było.

- Pewnie nie - odrzekł Jack, po czym dodał pod wpływem impulsu: - Ale i tak jutro odchodzę. Czuję, że Oatley jest nie dla mnie.

- Może odejdziesz, Jack... a może postanowisz na razie zostać. Zdecyduj, jak się wyśpisz, dobrze?

W tej małej przemowie było coś wymuszonego i nienaturalnego - brakowało w niej szczerości uśmiechu Lori, gdy mówiła: "Pomyślałam, że uwiję ci gniazdko, mały". Jack to spostrzegł, lecz był zbyt zmęczony, by się nad tym zastanawiać.

- No cóż, zobaczymy - powiedział.



- Pewnie, że zobaczymy - zgodziła się Lori, podchodząc do drzwi. Zdmuchnęła w jego stronę pocałunek, który złożyła na swej brudnej dłoni. - Dobranoc, Jack.

Chłopiec zaczął zdejmować koszulę... po czym zostawił ją na sobie, postanowiwszy ograniczyć się do zsunięcia tenisówek. W magazynku było przejmująco chłodno. Usiadł na workach, rozwiązał supły sznurowadeł i ściągnął po kolei buty. Miał już wesprzeć głowę na pamiętce Lori z Wystawy Światowej w Nowym Jorku - i pewnie by zasnął, nimby jego głowa w ogóle się z nią zetknęła - lecz w barze zadzwonił telefon. Przenikliwe dzwonięcie rozrywało ciszę, wwiercało się w nią, zmuszało Jacka do myślenia o chwiejących się, matowoszarych korzeniach, pejcach i dwugłowych kucach.

Drrr, drrr, drrr - w milczeniu, w martwej ciszy.

Drrr, drrr, drrr - długo po zaśnięciu dzieciaków, wypyujących o prince alberta w puszkach. Drrr, drrr, drrr. *Halo, Jack, tu Morgan. Wyczulem cię w moim lesie, cwany zasrańcu. WYWĘSZYŁEM cię w moim lesie, a poza tym skąd przyszło ci do głowy, że będziesz bezpieczny w swoim świecie? W nim też mam swoje lasy. Ostatnia szansa, Jacky. Wracaj do domu albo wysyłam za tobą wojsko. Nie będziesz miał najmniejszej szansy. Nie będziesz...*

Jack poderwał się i przebiegł przez magazynek w skarpetkach. Cienka warstwa lodowato zimnego potu pokryła całe jego ciało.

Uchylił odrobinę drzwi.

Drrr, drrr, drrr, drrr.

- "Oatley Tap", halo? - rozległ się wreszcie głos Smokeya. - Lepiej niech to będzie coś ważnego. - Przerwa. - Halo? - Kolejna przerwa. - Odpierdol się!

Smokey odwiesił słuchawkę z trzaskiem. Jack dosłyszał, że Updike przechodzi przez salę i wspina się po schodach do dzielonego z Lori mieszkanka na piętrze.

## 7

Jack przeniósł z niedowierzaniem wzrok z zielonego paska papieru w lewej ręce na mały stosik banknotów - wyłącznie jednodolarowych - oraz bilonu obok prawej dłoni. Była jedenasta rano następnego dnia. Czwartek przed południem, kiedy poprosił o wypłatę.

- Co to jest? - zapytał, wciąż nie mogąc w to uwierzyć.

- Umiesz przecież czytać i liczyć - powiedział Smokey. - Nie ruszasz się tak szybko, jak chcę, Jack - przynajmniej jeszcze nie teraz - ale jesteś wystarczająco bystry.

Chłopiec siedział z zielonym świstkiem w jeden ręce i pieniędzmi koło drugiej. Tępy gniew zaczął pulsować mu jak żyła na środku czoła. Zielony papierek był zatytułowany:

RACHUNEK. Był dokładnie taki sam jak te, których używała pani Banberry w "Golden Spoon". Widniało na nim:

1 hmbrg 1,35

1 hmbrg 1,35

1 d. ml. 0,55

1 pw. korz. 0,55

Pdtk 0,30

U dołu wypisano wielkimi cyframi sumę 4,10 i obwiedziono ją kółkiem. Jack zarobił dziewięć dolarów za pracę od czwartej do pierwszej nad ranem. Smokey potracił mu prawie połowę; chłopcu zostało cztery dolary i dziewięćdziesiąt centów, które leżały przy jego prawej ręce.

Podniósł wzrok z furją - najpierw na Lori, która odwróciła głowę, jakby była niejasno zakłopotana, następnie na Smokeya, który po prostu odpowiedział mu spojrzeniem.

- To oszustwo - powiedział Jack słabym głosem.

- Nieprawda, Jack. Sprawdź ceny na menu.

- Nie o to chodzi i pan dobrze o tym wie!

Lori zmrużyła nieco oczy, jakby spodziewała się, że Smokey przyłoży chłopcu... ale restaurator wpatrywał się tylko w niego z dziwną, niesamowitą cierpliwością.

- Nie policzyłem ci za łóżko, prawda?

- Łóżko! - krzyknął Jack, czując, jak na policzki wpływa mu rumieniec gniewu. - Niezłe mi łóżko! Rozcięte jutowe worki na betonowej podłodze! Niezłe mi łóżko! Spróbowałbyś mi tylko za nie policzyć, brudny oszuście!

Lori stęknęła z przestachu i rzuciła Smokeyowi spojrzenie... Updike jednak siedział dalej przy stoliku naprzeciwko Jacka. Między nimi kłębił się błękitny dym z cygaretki. Na wąskiej głowie Smokeya spoczywała świeża kucharska czapka z papieru.

- Rozmawialiśmy o tym, czy będziesz mógł się tu przekimać - powiedział Smokey. - Pytałeś, czy ci to przysługuje. Powiedziałem, że tak. Nie było mowy o posiłkach. Gdybyś o tym wspomniał, może coś dałoby się zrobić. Może nie. Chodzi o to, że nie wspomniałeś o tym ani słowem, dlatego musisz się z tym pogodzić.

Jack siedział rozdygotany, pod powiekami czuł łyzy wściekłości. Spróbował coś powiedzieć, ale z gardła wydobyło się mu jedynie zduszone, ciche jęknięcie. Był zbyt rozwścieczony, by dyskutować.

- Oczywiście, jeśli chcesz omówić zniżkę na posiłki dla personelu...

- Idź do diabła! - zdołał wreszcie wydusić Jack i zgarnął cztery jednodolarówki z garstką bilonu. - Naucz następnego dzieciaka, który się tu zjawi, jak szukać frajera. Ja odchodzę!

Ruszył w stronę drzwi, mimo gniewu wiedząc - nie tylko czując, ale dokładnie wiedząc - że nie dotrze na chodnik.

- Jack.

Dotknął gałki w drzwiach, pomyślał, czyby nie zacisnąć na niej dłoni i jej nie przekręcić - ale pełnemu nieokreślonej groźby głosowi Smokeya nie sposób było się oprzeć. Jack opuścił dłoń i obrócił się. Gniew go opuścił; nagle poczuł się stary i pomarszczony. Lori znikła za barem, gdzie zamiatała, nucąc coś pod nosem. Najwidoczniej uznała, że Smokey nie obłoży Jacka pięściami, a ponieważ nic innego w gruncie rzeczy się nie liczyło, wszystko było w porządku.

- Nie chcesz chyba zostawić mnie z ręką w nocniku, kiedy spodziewam się weekendowego tłumu.

- Chcę stąd odejść. Pan mnie oszukał.

- Nie, szanowny panie - odparł Smokey. - Już to wyjaśniłem. Jeśli ktokolwiek namieszał ci w rachunkach, Jack, to ty sam. Teraz możemy podyskutować o twoich posiłkach - powiedzmy, pięćdziesiąt procent zniżki na jedzenie, a może nawet darmowe napoje. Nigdy nie posunąłem się aż tak daleko z młodszą pomocą, jaką zatrudniam od czasu do czasu, ale ten weekend będzie wyjątkowo trudny, zważywszy na to, że w okręgu roi się od sezonowych robotników, którzy najmują się do zbierania jabłek. Poza tym lubię cię, Jack. Dlatego nie przyłożyłem ci, kiedy podniosłeś na mnie głos, chociaż pewnie powinienem to zrobić. Mimo wszystko jesteś mi potrzebny na weekend.

Jack poczuł, że na chwilę wraca jego gniew, po czym z powrotem zamiera.

- A jeśli mimo to odejdę? - zapytał. - Tak czy inaczej, jestem pięć dolarów do przodu, a wydostanie się z tej zaszranego miasteczka mogę uznać za dodatkowy plus.

- Pamiętasz, jak wczoraj wieczorem poszedłeś do toalety posprzątać po facecie, który puścił pawia? - spytał Smokey, wciąż wpatrując się w Jacka i obdarzając go wąskim uśmiechem. Jack przytaknął. - Pamiętasz, jak wyglądał?

- Krótko strzyżony. W khaki. No i co?

- To Grabarz Atwell. Naprawdę nazywa się Carlton, ale przez dziesięć lat zajmował się miejskimi cmentarzami, dlatego wszyscy mówią na niego Grabarz. To było... och, dwadzieścia, trzydzieści lat temu. Wstąpił do miejskiej policji mniej więcej wtedy, kiedy Nixon został wybrany na prezydenta. Teraz jest jej szefem.

Smokey podniósł cygaretkę, pociągnął i popatrzył ponownie na Jacka.

- Znamy się z Grabarzem od dawna - kontynuował. - Gdybyś tak po prostu sobie poszedł, Jack, nie mogę zagwarantować, że nie miałbyś jakichś kłopotów z Grabarzem. Może w końcu odesłałby cię do domu. Może skończyłbyś przy zrywaniu jabłek w miejskich sadach - w Oatley Township jest... no, ze czterdzieści akrów dobrych drzewek. Może skończyłoby się na tym, że dostałbyś w skórę. A może... och, słyszałem, że staruszek Grabarz lubuje się w dzieciakach zgarnianych z drogi. Przeważnie w chłopcach.

Jackowi przypomniał się wielki jak pałka członek. Zrobiło mu się naraz niedobrze i zimno.

- Tutaj jesteś pod moimi skrzydłami, by tak rzec - powiedział Smokey. - Jak ruszysz w drogę, to kto wie? Grabarz na pewno będzie się po niej kręcił. Może bez trudu dotrzesz do granicy miasta. Z drugiej strony niewykluczone, że w każdej chwili zatrzyma się koło ciebie w wielkim plymoucie. Grabarz nie jest za bystry, ale czasami ma nosa. A może... ktoś do niego zadzwoni.

Lori zmywała naczynia za barem. Wytarła ręce, włączyła radio i zaczęła podśpiewywać w rytm starego kawałka grupy Steppenwolf.

- Coś ci powiem - rzekł Smokey. - Zostań tutaj, Jack. Przepracuj weekend. Potem załaduję cię do mojego pick-upa i sam wywiozę za granicę miasta. Co ty na to? W niedzielę w południe wyjdiesz stąd z prawie trzydziestoma dolcami, których nie miałeś, jak się tu zjawiłeś. Wyjedziesz przekonany, że Oatley ostatecznie nie jest takie najgorsze. No więc, co ty na to?

Jack popatrzył w brązowe oczy Updike'a i ponownie spostrzegł żółte twardówki z małymi, czerwonymi plamkami oraz szeroki, szczery uśmiech pełen sztucznych zębów. Zo baczył nawet z niesamowitym, budzącym przestrasz uczuciem *deja vu*, że mucha wróciła na papierową czapkę kucharską, i teraz pręży i myje cienkie jak włosy przednie nóżki.

Podejrzewał, że Smokey wie, że on wie, iż każde jego słowo jest kłamstwem, ale go to nic nie obchodzi. Po pracy do wczesnych godzin rannych w sobotę i niedzielę Jack będzie spał pewnie do drugiej. Smokey powie mu, że nie podwiezie go, bo jest już za późno, a poza tym jest zajęty - ogląda mecz Coltów i Patriotów. A Jack będzie zbyt zmęczony, by iść, i za bardzo będzie się bał, że Updike straci zainteresowanie drużynami futbolowymi na

wystarczająco długo, by zadzwonić do swojego dobrego kumpla Grabarza Atwella i powiedzieć mu: “Grabarz, stary, szczeniak właśnie idzie Mill Road, więc może go zgarniesz? Jak to zrobisz, przyjedź na drugą połowę. Piwko za darmo, ale masz nie rzygać mi do urynału, dopóki nie dostanę dzieciaka z powrotem”.

Tak wyglądał jeden scenariusz. Były inne, które Jack potrafił sobie wyobrazić - każdy nieco inny, ale w ostatecznym rozrachunku sprowadzający się do tego samego.

Smokey Updike uśmiechnął się nieco szerzej.

## Rozdział dziesiąty - Elroy

### 1

*Kiedy miałem sześć lat...*

“Oatley Tap” przez dwa minione wieczory zaczynało pustoszeć trochę wcześniej, lecz tej nocy panował tu ruch w najlepsze, jakby klienci chcieli doczekać świtu. Jack widział, jak znikły dwa stoliki - padły ofiarami bójki, która wywiązała się tuż przed jego ostatnią wyprawą do klopa. Na ich miejscu tańczyli teraz ludzie.

- Najwyższa pora - powiedział Smokey, gdy chłopiec przetaszczył skrzynkę po wewnętrznej stronie kontuaru i postawił ją przed szafkami chłodniczymi. - Ustaw ją i wracaj po cholernego buda. I tak powinienes go przynieść najpierw.

- Lori nie powiedziała...

Rozpalony, niewiarygodny ból eksplodował w jego stopie - Smokey wbił ciężki bucior w tenisówek Jacka. Chłopiec wydał stłumiony krzyk i poczuł kręcące się w oczach łzy.

- Zamknij się - rzekł Smokey. - Lori nie potrafiłaby znaleźć własnej dupy, a ty chyba jesteś dość bystry, żeby zdać sobie z tego sprawę. Wracaj i przynieś mi skrzynkę buda.

Jack zawrócił do magazynku, kulejąc na nadeptanej przez Smokeya stopie i zastanawiając się, czy nie ma połamanych kości. Wydawało się to możliwe. W głosie huczało mu od dymu, hałasu i nierównej rąbaniny The Genny Valley Boys; dwaj muzycy wyraźnie chwiali się na podium. W tym zamęcie ostała się tylko jedna wyraźna myśl: mógł nie wytrzymać aż do zamknięcia. Skoro miasteczko było więzieniem, a “Oatley Tap” jego celą, to z pewnością wyczerpanie było klawiszem w równym stopniu jak Smokey Updike - może nawet bardziej.

Mimo niepewności, jak Terytoria mogły wyglądać w odpowiedniku tego miejsca, magiczny napitek wydawał się coraz bardziej obiecujący jako metoda ucieczki. Jack mógłby

napić się go i przeskoczyć... a gdyby zdołał przejść tam milę na zachód, najwyżej dwie, mógłby napić się go ponownie i wrócić do USA daleko od granicy tego potwornego miasteczka - może nawet koło Bushville czy Pembroke.

*Kiedy miałem sześć lat, kiedy Jack - O miał sześć lat, kiedy...*

Chwycił skrzynkę buda, zataczając się oraz potykając, wyszedł z magazynku... i znalazł się przed wysokim, smukłym kowbojem z wielkimi dłońmi - tym, który przypominał Randolpha Scotta, a teraz wpatrywał się uważnie w chłopca.

- Halo, Jack - odezwał się, a chłopiec dojrzał z narastającą grozą, że jego oczy są żółte jak kurze łapki. - Nikt ci nie powiedział, żebyś spadał? Nie potrafisz za dobrze słuchać, co?

Jack stanął z ciężącą ku ziemi skrzynką piwa w rękach. Nagle wcisnęła się mu do głowy straszna myśl: iż właśnie ten człowiek-nieczłowiek czał się w tunelu, ten stwór o żółtych ślepiach.

- Daj mi spokój. - Słowa te powiedział szeptem ulotnym jak zimowy powiew.

Mężczyzna przysunął się bliżej.

- Miałeś spadać.

Jack próbował cofnąć się... ale stał plecami do ściany, a gdy wyglądający jak Randolph Scott kowboj pochylał się w jego stronę, chłopiec wyczuł w jego oddechu smród rozkładającego się mięsa.

2

Pomiędzy rozpoczęciem przez Jacka pracy w czwartek w południe i czwartą, gdy do "Oatley Tap" zaczął napływać zwykły tłumek po pracy, płatny telefon z tabliczką: PROSIMY OGRANICZAĆ ROZMOWY DO TRZECH MINUT zadzwonił dwukrotnie.

Za pierwszym razem Jack nie poczuł w ogóle lęku - okazało się zresztą, że to tylko agent, namawiający do zapisania się do United Fund.

Dwie godziny później, gdy Jack ładował do worków resztę butelek z ubiegłego wieczora, przenikliwe brzęczenie telefonu zabrzmiało ponownie. Tym razem chłopiec poderwał głowę jak zwierzę, wyczuwające pożar w suchym lesie... tyle że Jack poczuł lód, nie ogień. Odwrócił się w stronę telefonu, który wisiał od niego niemal na wyciągnięcie ręki. Usłyszał, jak trzaskają mu ścięgna w szyi. Odniósł wrażenie, że automat jest pokryty lodem - lodem, narastającym spod czarnej plastikowej obudowy i przeciskającym się przez otwory na głośnik i mikrofon niebieskawymi, cienkimi jak wkłady do ołówków pręcikami, które zwisały podobnymi do bród soplami z tarczy i wnęki na zwrot monet.

Był to jednak tylko telefon, a zimno i śmierć dotyczyły jedynie wnętrza Jacka.

Wpatrywał się w automat jak zahipnotyzowany.

- Jack! - krzyknął Smokey. - Odbierz ten cholerny telefon! Za co ja ci płacę, kurwa?

Chłopiec obejrzał się w stronę Smokeya, zdesperowany jak zagnane w kąt zwierzę... ale Updike wpatrywał się w niego z zaciśniętymi ustami, co świadczyło o tym, że wyczerpała się jego cierpliwość - z takim samym wyrazem twarzy, jak na chwilę przed tym, zanim przyłożył Lori. Jack ruszył w kierunku telefonu, ledwie zdając sobie sprawę, że przebiera nogami. Zanurzał się coraz głębiej w kapsułę zimna, czując przebiegającą po przedramionach gęsią skórę i zamarzającą z potrzaskiwaniem w nozdrzach wilgoć.

Wyciągnął dłoń i zacisnął ją na słuchawce. Natychmiast zdrętwiała.

Przyłożył słuchawkę do ucha. Ucho też mu zdrętwiało.

- "Oatley Tap" - powiedział w tę śmiertcioną czerń i zdrętwiały mu usta.

Z automatu wydobyło się chrapliwe, łamiące się skrzeczenie od dawna nieżyjącego stworzenia, jakiego nigdy nie mogły ujrzeć oczy żywego człowieka, bo sam jego widok doprowadziłby go do szaleństwa lub sprawił, że padłby trupem z kwieciami mrozu na wargach i kataraktami lodu na wytrzeszczonych oczach.

- Jack - wyszeptał grzechoczący, obmierzły głos w słuchawce, a chłopcu zdrętwiała twarz tak jak wtedy, gdy czeka cię poważny zabieg dentystyczny, a facet w fartuchu przedobrzy trochę z nowokainą. - Zabieraj dupę z powrotem do domu, Jack.

- "Oatley Tap" - usłyszał swój głos z oddali, zdawałoby się z odległości całych lat świetlnych. - Jest tam kto? Halo?... Halo?...

Zimno, potwornie zimno.

Zdrętwiało mu gardło. Wciągnął powietrze i poczuł, jakby zamarzały mu płuca. Bał się, że wkrótce komory jego serca wypełnią się lodem i po prostu padnie trupem.

- Wędrującym samotnie chłopcom mogą się przytrafić straszne rzeczy, Jack - wyszeptał lodowaty głos. - Spytaj, kogo chcesz.

Jack odłożył słuchawkę niezgrabnym, konwulsyjnym ruchem. Oderwał od niej dłoń i znieruchomiał, wpatrując się w automat.

- Ten sam zasraniec, Jack? - zapytała Lori.

Głos kelnerki wydawał się dobiegać z bardzo daleka... ale z nieco mniejszej odległości niż własne słowa Jacka kilka chwil wcześniej. Świat wracał na swoje miejsce. Jack zobaczył na słuchawce odcisk swojej dłoni, obrysowany lśniąca otoczką szronu. Na jego oczach szron stopniał i ściekł po czarnym plastiku.

Tego właśnie wieczora - w czwartek - Jack po raz pierwszy zobaczył Randolpha Scotta w wydaniu z okręgu Genny. Tłum był nieco mniejszy niż w środę - bądź co bądź był dzień przed wypłatą - ale ludzi mimo wszystko przyszło dość, by obsiąść cały bar, a reszta musiała szukać sobie miejsca przy stolikach.

Byli to miastowi mężczyźni z wiejskiego regionu, w którym pługi zapewne rdzewiały zapomniane w szopach za domami, ludzie, którzy pewnie chcieliby być farmerami, ale zapomnieli jak. Jack widział pełno czapek z godłem firmy John Deere, lecz miał wrażenie, że niewielu z gości czułoby się dobrze na traktorze. Nosili ubrania z szarego, brązowego lub zielonego diagonalu; na kieszeniach niebieskich koszul mieli wyszyte złotą nicią nazwiska; chodzili w wysokich butach z kwadratowymi czubami lub wielkich, łomoczących survivalach. Nosili kluczyki przy paskach. Twarze przecinały im zmarszczki, ale nie od śmiechu; usta miały posępny wyraz. Nosili kowbojskie kapelusze, a gdy Jack popatrzył z głębi sali w stronę baru, zobaczył co najmniej ośmiu, którzy wyglądali jak Charlie Daniels w reklamach tytoniu do żucia. Mężczyźni ci jednak nie żuli tytoniu, lecz palili papierosy, i to mnóstwo.

Kiedy wszedł Grabarz Atwell, Jack czyścił wypukły front szafy grającej. Szafę wyłączono; w kablówce szedł mecz Jankeśów, obserwowany ze skupieniem przez ludzi przy barze. Poprzedniego wieczora Atwell wystąpił w obowiązującej w Oatley męskiej wersji sportowego stroju (diagonal, koszula khaki z mnóstwem długopisów w dwóch wielkich kieszeniach i roboczych butach ze stalowymi okuciami). Dzisiaj był w niebieskim policyjnym mundurze. W kaburze przy skrzypiącym skórzanym pasie tkwił wielki rewolwer z drewnianą okładziną kolby.

Policjant popatrzył na Jacka, który przypomniał sobie słowa Smokeya: "Słyszałem, że staruszek Grabarz lubuje się w dzieciakach zgarnianych z drogi. Przeważnie w chłopcach", i skulił się, jakby czemuś zawinił. Grabarz Atwell rozciągnął powoli usta w uśmiechu.

- Zdecydowałeś się na razie zostać, co, mały?

- Tak, proszę pana - bąknął Jack i prysnął kolejną porcję windeksu na wypukły front szafy grającej, chociaż czystsza już być nie mogła.

Czekał, aż Atwell odejdzie. Po jakimś czasie policjant wreszcie to zrobił. Jack odwrócił się za zwałistym Grabarzem, który zmierzał w stronę baru... i właśnie w tym momencie mężczyzna przy lewym końcu lady obrócił się i popatrzył na chłopca.

Randolph Scott, pomyślał natychmiast Jack. Właśnie jego przypomina.



Mimo pociągłej, surowej twarzy, prawdziwego Randolpha Scotta niezaprzeczalnie cechował heroiczny wygląd; chociaż był w pewien sposób przystojny, mimo wszystko potrafił się uśmiechać. Mężczyzna w barze wyglądał jednocześnie na znudzonego i w jakiś sposób szalonego.

Chłopiec natomiast zdał sobie z lękiem sprawę, że facet patrzy właśnie na niego - na Jacka. Nie odwrócił się po prostu w czasie reklamy, by rozejrzeć się, kto jest w barze; obrócił się, by popatrzeć na Jacka. Chłopiec co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

Telefon. Brzęczący telefon.

Z niezwykłym wysiłkiem Jack oderwał wzrok. Przeniósł spojrzenie na wypukły front szafy i dostrzegł nad płytami w środku upiorne odbicie swej przestraszonej twarzy.

Telefon na ścianie rozdzwonił się krzykliwie.

Mężczyzna na lewym końcu baru popatrzył na aparat... a następnie przeniósł wzrok na Jacka. Chłopiec zamarł przy szafie grającej z butelką windeksu w jednej ręce i ścierką w drugiej, czując, jak włosy stają mu dęba, a skóra pokrywa się lodem.

- Jeśli to znowu ten zasraniec, to sprawię sobie gwizdek, żeby miał czego posłuchać, kiedy znowu zadzwoni - powiedziała Lori do Smokeya, podchodząc do aparatu. - Przysięgam na Boga, że tak zrobię.

Mogłaby być aktorką na scenie, a wszyscy klienci statystami dostającymi standardową stawkę związku aktorów, czyli trzydzieści pięć dolarów dziennie. Jedynymi dwoma autentycznymi postaciami w "Oatley Tap" byli Jack i budzący strach kowboj z wielkimi dłońmi i oczyma, których chłopiec... nie mógł... dokładnie zobaczyć...

Niespodziewanie kowboj wymówił bezdźwięcznie cztery budzące grozę słowa: *Zabieraj dupę do domu*. I mrugnął.

Telefon przestał dzwonić w chwili, gdy Lori wyciągnęła do niego rękę.

Randolph Scott odwrócił się, dopił zawartość szklanki i krzyknął:

- Jeszcze jeden browar, dobra?

- A niech mnie szlag - powiedziała Lori. - Ten telefon jest nawiedzony.

4

Później w magazynku Jack zapytał Lori, kim był facet wyglądający jak Randolph Scott.

- Wygląda jak kto? - odpowiedziała pytaniem.

- Aktor ze starych westernów. Siedział przy końcu baru.

- Dla mnie wszyscy wyglądają tak samo, Jack. - Lori wzruszyła ramionami. - Zbieranina dyndających kutasów, co chcą się zabawić. W czwartki wieczorem zwykle płacą za to zaskórniakami, którą buchną swoim kobitom.

- Mówi na piwo "browar".

- Ach, tak! - Oczy Lori pojaśniały. - On. Wygląda na paskudnego typu. - Ostatnie słowa wypowiedziała z autentycznym respektem... jakby podziwiała prostą linię nosa czy biel uśmiechu mężczyzny.

- Kto to?

- Nie wiem, jak się nazywa - odparła Lori. - Jest tu dopiero tydzień czy dwa. Pewnie tkalnia znowu przyjmuje robotników. To...

- Na miłość boską, Jack, kazałem ci wytoczyć beczkę czy nie?!

Jack właśnie przetaczał jedną z wielkich beczek na platformę ręcznego wózka. Ponieważ ona i on wazyli niemal tyle samo, czynność ta wymagała sporej dozy ostrożnego balansowania. Gdy Smokey wrzasnął od drzwi, Lori krzyknęła, a Jack podskoczył. Stracił kontrolę nad beczką, która przewróciła się na bok. Korek wystrzelił jak z butelki szampana, trysnęła struga białozłotego piwa. Smokey wciąż darł się na niego, ale Jack był w stanie jedynie wpatrywać się w piwo jak skamieniały... aż Updike go trzepnął.

Gdy mniej więcej po dwudziestu minutach wyszedł z magazynku, trzymając chusteczkę higieniczną przy puchącym nosie, Randolph Scott zniknął.

5

*Mam sześć lat.*

*John Benjamin Sawyer ma sześć lat.*

*Sześć...*

Jack potrząsnął głową, starając się pozbyć tej uporczywie powracającej się myśli, podczas gdy robotnik z tkalni, który wcale nim nie był, pochylał się coraz bliżej w jego stronę. Jego oczy... stały się żółte i jakby pokryte łuskami. Mężczyzna - to coś - mrugnął raptownym, płynnym ruchem, a Jack spostrzegł, że gałki oczne skryły się pod błonami.

- Powinieneś być spadać - szepnęło znowu to coś i wyciągnęło w stronę Jacka rękę, zaczynając się skręcać, twardnieć i pokrywać skorupą.

Drzwi otworzyły się ze szcękaniem, wpuszczając zgiełkliwy zalew muzyki Oak Ridge Boys.

- Jak nie przestaniesz się obijać, Jack, to postaram się, żebyś tego pożałował - rzekł Smokey zza pleców Randalpha Scotta.

Scott cofnął się. Znikły zmieniające kształt i twardniejące kopyta; jego ręce stały się na powrót rękami - wielkimi i potężnymi, o grzbietach pokrytych wyraźnie wystającymi żyłami. Nastąpiło kolejne, mleczone i przypominające wir mrugnięcie, w które nie były zaangażowane powieki... a po chwili z oczu mężczyzny znikła żółta barwa i przybrały kolor spłowiałego błękitu. Scott rzucił Jackowi ostatnie spojrzenie i ruszył w stronę męskiej toalety.

Smokey podszedł do chłopca, czapka kucharska była przesunięta do przodu i lekko przekrzywiona, rozchylone usta ukazywały zębiska jak u aligatora.

- Nie zmuszaj mnie, żebym się powtarzał - powiedział. - To ostatnie ostrzeżenie i nie myśl, że żartuję.

Podobnie jak podczas zetknięcia z Osmondem, Jack poczuł gwałtownie narastającą furję, ściśle powiązaną z uczuciem beznadziei i najsilniejszą, gdy człowiek ma dwanaście lat. Uczniom college'ow czasami się wydaje, że doznają czegoś identycznego, ale zwykle jest to co najwyżej intelektualne echo.

Tym razem furia zawrzała.

- Nie jestem twoim psem, więc nie traktuj mnie, jakbym nim był - powiedział Jack i zrobił krok w stronę Smokeya Updike'a na nogach miękkich ze strachu.

Zaskoczony - może nawet śmiertelnie zdumiony - całkowicie niespodziewanym gniewem Jacka Smokey cofnął się o krok.

- Ostrzegam cię, Jack...

- Nie, to ja cię ostrzegam - usłyszał Jack swoje słowa. - Nie jestem Lori. Nie mam ochoty obrywać. Jeśli mnie uderzysz, to ci oddam albo coś w tym rodzaju.

Konsternacja Smokeya Updike'a trwała moment. Z pewnością nie widział wszystkiego - na pewno nie, skoro żył w Oatley - ale tak mu się wydawało, a czasami pewność siebie wystarczy nawet tandeciarzowi.

Sięgnął do kołnierzyka chłopca.

- Nie pyskuj, Jack - powiedział, przyciągając go do siebie. - Dopóki jesteś w Oatley, jesteś moim pieskiem, i tyle. Dopóki jesteś w Oatley, głaszczę cię, kiedy mam ochotę, i sprawiam ci lanie, kiedy mi się spodoba.

Dla podkreślenia swoich słów potrząsnął Jackiem tak silnie, że mało nie złamał mu karku. Chłopiec przygryzł język i krzyknął. Plamy gorączkowego gniewu błyszcząły na białych policzkach Smokeya jak tani róż.

- Na razie może ci się wydaje, że jest inaczej, ale się mylisz, Jack. Dopóki siedzisz w Oatley, jesteś moim pieskiem, a będziesz tu siedział, aż cię puszczę. Możemy zacząć cię tego uczyć już teraz.

Zamachnął się pięścią. Przez chwilę blask trzech wiszących w wąskim korytarzu nagich, sześćdziesięciowatowych żarówek zaiskrzył się jak szalony na diamentowych okruchach w sygnecie w kształcie podkowy, który restaurator nosił na palcu wskazującym, po czym pięść ruszyła do przodu jak tłok i trafiła Jacka w bok głowy. Chłopiec wpadł plecami na usmarowaną napisami ścianę. W skroni najpierw zapłonął ogień, a potem stracił w niej czucie. Poczł wzbierający w ustach smak krwi.

Smokey popatrzył na niego z bliska w taki sposób, jakby zastanawiał się nad kupnem jałówki czy losu na loterię. Widocznie nie dostrzegł w twarzy Jacka pożądanego wyrazu, bo chwycił oszołomionego chłopca ponownie, przypuszczalnie po to, by ustawić go do drugiego ciosu.

W tej samej chwili rozległ się kobiecy krzyk z sali: "Nie! Glen, nie!".

Zabrzmiały zlewające się ze sobą męskie krzyki, w większości alarmujące. Rozległo się wysokie, zawodzące wołanie innej kobiety - a następnie odgłos wystrzału.

- O żeż ty w mordę jebany! - wrzasnął Smokey, artykułując każde słowo jak aktor na Broadwayu.

Pchnął Jacka na ścianę, obrócił się na pięcie i wypadł przez wahadłowe drzwi. Rozległ się kolejny strzał i krzyk bólu.

Jack doszedł do wniosku, że nadszedł czas się stąd wydostać. Nie po skończeniu dzisiejszej zmiany, nie jutro ani w niedzielę rano. Teraz, natychmiast.

Wrzawa nieco przycichła. Nie słyhać było syren, więc może nikt nie oberwał... lecz Jack przypomniał sobie z chłodnym opamiętaniem, że mężczyzna podobny do Randolpha Scotta wciąż był w męskiej toalecie.

Chłopiec przeszedł do chłodnego, cuchnącego piwem magazynku, ukląkł przy beczkach i zaczął macać w poszukiwaniu plecaka. Znów doznał duszącej niepewności, gdy jego palce natrafiły tylko na powietrze i brudną betonową posadzkę - iż któreś z nich, Smokey lub Lori, widziało, jak chowa plecak, i go zabrało. Żeby cię łatwiej zatrzymać w Oatley, mój drogi. Po chwili doznał ulgi, niemal równie duszącej jak strach, gdy jego palce natrafiły na nylonową tkaninę. Jack włożył plecak i obejrzał się tęsknie ku drzwiom prowadzącym na rampę wyładunkową w głębi magazynku. Wolałby z nich skorzystać - nie chciał wychodzić drzwiami przeciwpożarowymi w końcu korytarza, bo były zbyt blisko męskiej toalety. Gdyby

jednak otworzył drzwi na rampę, w barze zapaliłoby się czerwone światło. Nawet jeśli Smokey wciąż radził sobie z zadymą na parkiecie, Lori zobaczyłaby światło i dała mu znać.

A zatem...

Jack podszedł do drzwi wiodących na korytarz z tyłu budynku. Uchylił je odrobinę i przyłożył oko do szczeliny. Korytarz był pusty. W porządku, wszystko cacy. Randolph Scott odcedził kartofelki i wrócił tam, gdzie coś się działo, podczas gdy Jack szukał plecaka. Świetnie.

*No, tyle tylko, że może dalej tam siedzi. Chcesz spotkać się z nim na korytarzu, Jacky? Chcesz znowu zobaczyć, jak jego oczy robią się żółte?*

Nie miał na to ochoty. Wiedział jednak, że Smokey wkrótce się zorientuje, że Jacka nie ma na sali, że nie pomaga Lori i Glorii wycierać stolików ani nie wyciąga kufli ze zmywarki za barem. Wróci, żeby skończyć uczyć Jacka, jakie jest jego właściwe miejsce w porządku wszechrzeczy. A zatem...

*Zatem co? Rusz się!*

*Może facet czeka tam na ciebie, Jacky... może wyskoczy na ciebie jak wielki, zły diabeł z pudełka...*

Dama czy tygrys? Smokey czy robotnik z tkalni? Jack zawahał się jeszcze chwilę, udręczony niezdecydowaniem. Możliwe, że człowiek z żółtymi oczami jest jeszcze w toalecie, ale Smokey wróci na pewno.

Chłopiec otworzył drzwi i wyszedł na wąski korytarz. Plecak na grzbiecie zdawał się jakby cięższy, wymownie świadczył o tym, że Jack zamierza prysnąć. Chłopiec ruszył przed siebie na palcach mimo ryczącej muzyki i zgielku tłumu, czuł, jak serce tłucze się mu w klatce piersiowej.

*Miałem sześć lat, Jacky miał sześć lat.*

I co z tego? Dlaczego ciągle przychodziło mu to do głowy?

*Sześć.*

Korytarz wydał się mu dłuższy niż przedtem. Miał wrażenie, że porusza się po ruchomym chodniku. Drzwi przeciwpożarowe w przeciwległym końcu zbliżały się z przerażającą powolnością. Pot pokrył czoło i górną wargę Jacka. Stale rzucał spojrzenia na drzwi po prawej stronie, widniała na nich czarna sylwetka psa, pod którą napisano: CELOWNICZY. Drzwi w końcu korytarza pokrywała spłowiała, obłaząca czerwona farba. Wisiała na nich tabliczka: KORZYSTAĆ TYLKO W RAZIE WYPADKU! OTWARCIE POWODUJE ALARM! W rzeczywistości dzwonek alarmowy był od dwóch lat zepsuty.

Powiedziała to Jackowi Lori, gdy zawahał się przed skorzystaniem z drzwi, by wynieść śmieci.

Wreszcie niemal do nich dotarł. Znalazł się dokładnie naprzeciw CELOWNICZYCH.

*Jest tam, wiem, że jest... a jeśli wyskoczy, to będę wrzeszczał... będę... będę...*

Jack wyciągnął drżącą dłoń i położył ją na poręczy na drzwiach. W dotyku była cudownie chłodna. Przez chwilę naprawdę wierzył, że zdoła po prostu wylecieć z dzbanecznika w noc... na wolność.

W tym momencie nagle otworzyły się z łoskotem drzwi za nim - dla KUCAJĄCYCH. Czyjaś dłoń schwyciła plecak Jacka. Chłopiec wydał wysoki, rozpaczliwy wrzask schwytanego w potrzask zwierzęcia i napał na drzwi przeciwpożarowe, nie zważając na plecak i schowany w nim magiczny napitek. Gdyby paski pękły, po prostu rzuciłby się do ucieczki przez zaśmiecony i porośnięty chwastami pusty plac za "Oatley Tap", nie dbając o nic.

Paski były jednak z mocnego nylonu i wytrzymały. Drzwi uchyliły się nieco, ukazując wąski, ciemny klin ciemności, po czym zatrzasnęły się z powrotem. Jack został wciągnięty do damskiej toalety. Obrócono go, a następnie pchnięto do tyłu. Gdyby trafił prosto w ścianę, niewątpliwie butelka z magicznym napitkiem w plecaku by się roztrzaskała, a jej cuchnąca gnijącymi winogronami zawartość zalałaby nieliczne ubrania i dobry, stary atlas Randa McNally'ego. Jack wszakże uderzył łędźwiami w jedyną umywalkę w toalecie. Poczł koszmarny ból.

Robotnik z tkalni ruszył powoli w jego stronę; podciągnął dżinsy dłońmi, które zaczynały zwijać się i nabrzmiewać.

- Powinieneś był spadać, mały - powiedział grubiejącym głosem, z każdą chwilą coraz bardziej przypominającym zwierzęce warczenie.

Jack zaczął przesuwac się w lewo, nie spuszczać z oczu twarzą przeciwnika. Oczy mężczyzny wydawały się w tym momencie niemal przezroczyste - nie tylko żółte, lecz i rozświetlone od wewnątrz... jak u koszarnej dyni w Halloween.

- Ale możesz zaufać staremu Elroyowi - rzekła udająca kowboja istota i uśmiechnęła się, ukazując pełną zakrzywionych zębów paszczę. Niektóre z nich były nadłamane, inne zepsute i poczerńałe. Jack krzyknął. - Och, możesz ufać Elroyowi - powtórzył stwór, chociaż jego głos zamienił się niemal do reszty w psie powarkiwanie. - Nie zrobi ci za wielkiej krzywdy... Nic ci nie będzie - warczał dalej stwór, przysuwając się do Jacka. - Nic ci nie będzie, o tak, nic ci...

Mówił dalej, ale Jack nic nie mógł zrozumieć; obecnie było to już tylko warczenie.

Chłopiec trafił stopą w wysoki kosz na śmieci stojący przy drzwiach. Gdy niby-kowboj sięgnął po niego łapami, które wieńczyły szpony, Jack chwycił pojemnik i rzucił go przed siebie. Kosz odbił się od klatki piersiowej niby-Elroya. Jack szarpnął drzwi toalety, wypadł na korytarz i pomknął w lewo, w stronę drzwi przeciwpożarowych. Uderzył w poręcz, zdając sobie sprawę, że Elroy jest tuż za jego plecami. Wypadł w ciemność z tyłu knajpy.

Po prawej stronie wyjścia ulokowała się kolonia przepelnionych pojemników na śmieci. Jack na oślep przewrócił trzy z nich za siebie. Usłyszał ich łoskot i szczekanie - a potem ryk furii, gdy Elroy na nie wpadł.

Odwrócił się na czas, by zobaczyć, jak stwór pada. Miał nawet chwilę na to, by zdać sobie sprawę - *Och Jezu drogi ogon ma coś jak ogon* - że istota nabrała niemal całkowicie zwierzęcego kształtu. Z jej oczu buchały upiorne promienie złotego światła, przypominające blask padający przez bliźniacze dziurki od klucza.

Jack cofnął się przed tym czymś. Ściągnął plecak z grzbietu i próbował rozpiąć sprzączki palcami, które jak gdyby pozamieniały się w drewniane kołki; jego głowę przepelniał ogłuszający zamęt -

*...Jacky miał sześć lat Boże pomóż mi Speedy Jacky miał SZEŚĆ lat proszę cię Boże...*

- myśli i nieartykułowanych błagań. Stwór prychał i rzucał się między pojemnikami. Jack zobaczył, że jedna z dłoni-kopyt wznosi się i opada ze świstem, rozpruwając karbowany bok metalowego pojemnika na długości niemal jarda. Potwór podniósł się, potknął, o mało nie upadł, po czym pobrnął w kierunku Jacka. Jego nieustannie zmieniająca kształt twarz znajdowała się teraz na wysokości klatki piersiowej chłopca. Mimo przypominających szczekanie powarkiwań Jack jakimś cudem potrafił zrozumieć słowa stwora:

- Teraz nie tylko zerznę ci skórę, kurczaczku. Zabiję cię... ale dopiero potem.

Słyszał to w uszach czy w głowie?

Nieważne. Dystans między tym a tamtym światem skurczyła się z całego uniwersum do membrany mikroskopijnej grubości.

Niby-Elroy warknął i podszedł bliżej Jacka - niezgrabnie i nierówno, na tylnych łapach. Jego ubranie wybrzuszało się w niewłaściwych miejscach, jęzor zwisał spomiędzy kłów. Oto wreszcie był pusty plac za "Oatley Tap" Smokeya Updike'a, pełen chwastów i naniesionego przez wiatr śmiecia - tu zardzewiała sprężyna od łóżka, tam krata chłodnicy fordka z 1957 roku, na niebie upiorny sierp księżycy przypominający krzywą kość, zamieniający każdy kawałek potłuczonego szkła w martwe, wytrzeszczone oko. A więc to wszystko nie zaczęło się w New Hampshire, prawda? Nie. Nie zaczęło się ani od choroby jego matki, ani od pojawienia się Lestera Parkera. Zaczęło się, kiedy...

*Jacky miał sześć lat. Kiedy wszyscy mieszkaliśmy w Kalifornii i nikt nie żył nigdzie indziej, a Jacky miał...*

Namacał niezdarnie paski plecaka.

Stwór ponownie ruszył w jego stronę; wydawał się niemal tańczyć i w niewyraźnym blasku księżycy przez chwilę skojarzył się Jackowi z jakąś animowaną postacią z filmów Disneya. Jack zaśmiał się, jakby postradał rozum. Stwór warknął i rzucił się w jego kierunku. Zamaszysty cios ciężkiego kopyta-pazura minął chłopca ledwie o parę cali; zdołał odskoczyć w tył przez chwasty i śmiecie. Niby-Elroy wlaźł na sprężynę od łóżka i w jakiś sposób się w nią zaplątał. Wyjął i parszając wielkimi splachciami piany, szarpał się, skręcał i skakał, usiłując uwolnić stopę z zardzewiałych zwojów.

Jack starał się wymacać butelkę w plecaku. Trafiał dłonią na skarpety, brudne spodnie i zwiniętą, śmierdzącą parę dżinsów. Wreszcie wymacał szyjkę butelki i ją wyszarpnął.

Niby-Elroy rozdarł powietrze rykiem gniewu i wreszcie zdołał uwolnić stopę ze sprężyny.

Jack padł na nierówną, pokrytą żużlem i trawą ziemię. Przetoczył się w bok, dwa palce lewej dłoni miał jeszcze wciśnięte pod pasek plecaka. W prawej ręce trzymał butelkę. Odkręcił korek kciukiem i palcem wskazującym lewej dłoni, wciąż walcząc z rozkołysanym plecakiem. Nakrętka wreszcie spadła.

Czy to coś może za mną podążyć? - pomyślał chaotycznie, przystawiając butelkę do ust. Czy kiedy przeskakuję, wybijam jakąś dziurę na wylot? Czy może przejść za mną i wykończyć mnie po drugiej stronie?

Usta Jacka wypełniły się posmakiem gnijących, obumarłych winogron. Zakrztusił się, poczuł, że ścisną mu gardło, a ruchy robaczkowe jelit zaczynają biec w przeciwnym kierunku. Ohydny posmak wypełnił również nozdrza i zatoki; chłopiec wydał głęboki, drżący jęk. Usłyszał, że niby-Elroy wrzeszczy, ale wrzask zdawał się dobiegać z oddali, jakby stwór zatrzymał się na końcu tunelu przed Oatley, a Jack zmierzał szybko w stronę jego przeciwnego końca. Równocześnie poczuł, że rzeczywiście spada i pomyślał: Och mój Boże a jeśli jak ostatni idiota przeskoczyłem w miejscu, gdzie po tamtej stronie jest urwisko czy skraj góry?

Zacisnął dłonie na plecaku oraz butelce i w desperacji zamknął oczy, czekając, co stanie się dalej - czy czeka tam na niego niby-Elroy, czy nie. Terytoria lub zguba; nawiedzająca go przez cały wieczór myśl wreszcie zatoczyła koło i znalazła się w tym samym miejscu jak koń na karuzeli - Srebrna Dama czy Ella Speed. Jack chwycił tę myśl i dosiadł jej,



poruszając się w obłoku okropnej woni magicznego napitku. Trzymał się jej, czekając, co spotka go za chwilę, i czując, jak zmienia się okrywające go ubranie.

*Sześć lat och tak wszyscy mieliśmy sześć lat i nikt nie miał więcej i to była Kalifornia kto tak smutno gra na saksofonie tato to Dexter Gordon a może to o co chodzi mamie kiedy mówi że mieszkamy na linii uskoku i gdzie gdzie och gdzie znikasz tato ty i wuj Morgan och tato czasami patrzy na ciebie jakby jakby och jakby miał uskok w głowie a za jego oczami trwało trzęsienie ziemi w którym ty giniesz och tato!*

Spadający, wirujący, obracający się w środku otchłani, w centrum zapachu jak purpurowa chmura, Jack Sawyer, John Benjamin Sawyer, Jacky, Jacky.

*...miał sześć lat, kiedy zaczęło się to dziać, i kto grał na tym saksofonie, tato? Kto grał na nim, kiedy miałem sześć lat, kiedy Jack miał sześć lat, kiedy Jacky...*

## Rozdział jedenasty - Śmierć Jerry'ego Bledsoe

1

*miał sześć lat...* Kiedy to się naprawdę zaczęło, tato, kiedy zaczęły tętnić motory, które ostatecznie pociągnęły go do Oatley i dalej. Grał głośno saksofon. Sześć lat. Jacky miał sześć lat. Z początku bez reszty skupiał uwagę na zabawce, którą dostał od ojca: pomniejszonym modelu londyńskiej taksówki. Samochód-zabawka był ciężki jak cegła, a porządne pchnięcie po gładkiej drewnianej posadzce w nowym biurze wystarczało, by zajechał z łoskotem na drugą stronę pokoju. Późne popołudnie, pierwsza klasa, elegancki nowy samochód, toczący się jak czołg po pasie odsłoniętego drewna za kanapą, uczucie zrelaksowania i błogości w klimatyzowanym biurze... bez pracy, bez telefonów, które nie mogą poczekać do następnego dnia. Jack popychał ciężką taksówkę-zabawkę po pasie gołego drewna, ledwie słysząc pomruk opon z litej gumy poprzez solo na saksofonie. Czarny samochód uderzył w jedną z nóżek kanapy, przekręcił się w bok i zatrzymał. Jack popętał tam, a wuj Morgan rozsiadł się w jednym z foteli po drugiej stronie kanapy. Obaj mężczyźni pili powoli drinki; wkrótce mieli odstawić szklanki, wyłączyć gramofon oraz wzmacniacz i zejść na dół do swoich samochodów.

*kiedy wszyscy mieliśmy po sześć lat i nikt nie miał więcej i to była Kalifornia.*

- Kto gra na saksofonie? - usłyszał pytanie wuja Morgana.

Pogrążony w rozpamiętywaniu tego wspomnienia, usłyszał znajomy głos w nowy sposób: do uszu Jacka dotarło coś ukradkowego i nieokreślonego, co pobrzmiwało w tonie Morgana Sloata. Wtedy położył rękę na dachu zabawki i odniósł wrażenie, że marzną mu palce, jakby dotknął lodu, a nie angielskiej stali.

- To Dexter Gordon - właśnie on - odpowiedział jego ojciec leniwym i przyjacielskim jak zawsze głosem, a Jack wsunął dłoń za ciężką taksówkę.

- Dobra płyta.

- "Daddy Plays the Horn". Miła, stara płyta, prawda?

- Będę musiał się za nią rozejrzeć.

Jackowi wydało się, że pojął, na czym polega osobliwość tonu wuja Morgana - Morgan tak naprawdę nie lubił jazzu, udawał to tylko przed ojcem Jacka. Chłopiec wiedział o tym fakcie przez większość swojego dzieciństwa i wydawało mu się idiotyczne, że ojciec się nie zorientował. Wuj Morgan nie zamierzał w ogóle szukać płyty pod tytułem "Daddy Plays the Horn"; podlizywał się tylko Philowi Sawyerowi - a być może Phil Sawyer nie dostrzegwał

tego, ponieważ podobnie jak wszyscy inni nigdy nie zwracał na Morgana Sloata wystarczającej uwagi. Wuj Morgan, sprytny i ambitny (“Cwany jak wilczyca, podstępny jak prawnik na sali sądowej”, powiedziała Lily), dobry stary wuj Morgan nie poddawał się obserwacji - ludzkie oko jak gdyby prześlizgiwało się po nim. Jacky mógłby się założyć, że gdy Morgan był dzieckiem, jego nauczyciele mieli kłopot nawet z zapamiętaniem jego nazwiska.

- Wyobraź sobie, kim ten facet byłby po tamtej stronie - powiedział wuj Morgan, tym razem wyjątkowo przykuwając uwagę Jacka.

Falsz wciąż pobrzmiwał w jego głosie, lecz to nie hipokryzja zmusiła chłopca do podniesienia głowy i zaciśnięcia palców na ciężkiej zabawce - słowa “po tamtej stronie” zawędrowały wprost do jego umysłu i rozbrzmiewały w nim jak dzwony. Albowiem “tamta strona” była krainą ze Snów Na Jawie Jacka. Zrozumiał to w jednej chwili. Ojciec i wuj Morgan zapomnieli, że siedział za kanapą, i zamierzali rozmawiać o Snach Na Jawie.

Ojciec Jacka wiedział o krainie ze Snów Na Jawie. Jack nie wspominał o niej nigdy ojcu ani matce, ale ojciec wiedział o Snach Na Jawie, bo musiał wiedzieć - było to aż tak proste. Kolejny krok w tym rozumowaniu Jacka wynikający raczej z emocji niż świadomego wnioskowania, polegał na tym, iż jego ojciec w jakiś sposób pomagał zapewnić Snom Na Jawie bezpieczeństwo.

Z jakiejś jednak przyczyny, równie trudnej do przełożenia na zwykłą mowę, połączenie Morgana Sloata i Snów Na Jawie budziło w chłopcu niepokój.

- Hej, facet naprawdę zawróciłby im w głowach, no nie? - powiedział wuj Morgan. - Pewnie zrobiliby go księciem Spustoszonych Ziem czy coś w tym rodzaju.

- Cóż, pewnie nie - odparł Phil Sawyer. - Nie daliby mu takiego tytułu, gdyby lubili go tak jak my.

Ale wuj Morgan wcale go nie lubi, tato, pomyślał Jacky, nagle zdając sobie jasno sprawę, że to istotne. Wcale go nie lubi, naprawdę - myśli, że ta muzyka jest za głośna, uważa, że coś mu odbiera...

- Och, wiesz na ten temat o wiele więcej niż ja - rzekł pozornie spokojnym i odprężonym głosem wuj Morgan.

- Cóż, częściej bywałem po tamtej stronie, ale z całych sił się starasz, żeby nadrobić zaległości. - Jacky wyczuł po tonie, że ojciec się uśmiecha.

- Nauczyłem się tego i owego, Phil, ale wiesz - naprawdę nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć za to, że pokazałeś mi to wszystko. - Dwie sylaby słowa “wszystko” wydawały się pełne dymu i dźwięku tłuczonego szkła.

Wszystkie te drobne ostrzeżenia nie zdołały jednak naruszyć niemal błogiej satysfakcji Jacka. Mówili o Snach Na Jawie. Zakrawało na czary, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Sens ich słów nie docierał do chłopca - posługiwali się zbyt dorosłymi pojęciami i słownictwem dorosłych, ale sześciolatek Jack znów doznawał cudowności i radości Snów Na Jawie. Był przynajmniej wystarczająco duży, by zrozumieć, w jakim kierunku zmierza rozmowa dorosłych. Sny Na Jawie istniały naprawdę, a Jack w jakiś sposób dzielił je z ojcem. Stanowiło to połowę jego radości.

2

- Pozwól, że wyjaśnimy sobie parę rzeczy - powiedział wuj Morgan, a Jacky przy słowie "wyjaśnimy" zobaczył dwie linie zwijające się wokół siebie jak węże. - Mają magię, tak jak my mamy fizykę, zgadza, się? Monarchia agrarna, w której magia jest wykorzystywana zamiast nauki - o tym mówimy?

- Pewnie - odparł Phil Sawyer.

- I zapewne tak to tam wygląda od stuleci. Życie tych ludzi nie ulegało żadnym większym zmianom.

- Zgadza się, jeśli nie liczyć wstrząsów politycznych.

Od tej chwili w tonie wuja Morgana pojawiło się większe napięcie; starał się ukrywać, jak jego głos załamuje się na spółgłoskach.

- No dobrze, dajmy sobie spokój z polityką. Dla urozmaicenia zastanówmy się nad nami. Powiesz - a ja się z tobą zgodzę, Phil - że dzięki znajomości Terytoriów już zdążyliśmy zupełnie nieźle się ustawić i że musimy uważać, jakie wprowadzamy tam zmiany. Nie mam żadnych zastrzeżeń do takiego podejścia. Sam uważam podobnie.

Jack wyczuł milczenie ojca.

- No dobrze - kontynuował Sloat. - Wyjdźmy z założenia, że w zasadniczo korzystnej dla nas sytuacji zdołamy sprawić, że wszyscy po naszej stronie osiągną korzyści. Nie poświęcamy tej przewagi, ale nie sięgamy z chciwością po bogactwa, jakie mogłyby z niej płynąć. Jesteśmy tym ludziom coś winni, Phil. Zastanów się, co dla nas zrobili. Myślę, że moglibyśmy po tamtej stronie doprowadzić do sytuacji dającej prawdziwą synergę. Nasza energia może wspomagać ich zapał, dzięki czemu moglibyśmy osiągnąć rzeczy, o jakich nam się nawet nie śniło, Phil. I możemy w ostatecznym rozrachunku wyjść na hojnych - bo przecież tacy jesteśmy - a równocześnie nie ponieść strat. - Morgan na pewno pochylił się do przodu ze zmarszczonym czołem i splecionymi dłońmi. - Oczywiście nie mam pełnego

oglądu tej sytuacji, wiesz o tym dobrze, ale prawdę mówiąc myślę, że sama ta synergia jest warta wpisowego. Ale, ale, Phil, czy dociera do ciebie, jakiego mielibyśmy na nich kurewskiego haka, gdybyśmy dali im elektryczność? Gdybyśmy przekazali odpowiednim ludziom nowoczesną broń? Wyobrażasz to sobie? Myślę, że byłoby to coś oszołamiającego. Oszołamiającego. - Rozległo się klaśnięcie wilgotnych dłoni, jakby zgnieciono jakąś żywą istotę. - Nie chcę zaskoczyć cię nieprzygotowanego ani nic takiego, ale pomyślałem, że nadszedł czas, żebyśmy zaczęli działać w tym kierunku - żebyśmy pomyśleli o zwiększeniu naszego zaangażowania, jeśli chodzi o działania w Terytoriach.

Phil Sawyer nadal nic nie mówił. Wuj Morgan ponownie klasnął w dłonie.

- Chcesz zastanowić się nad zwiększeniem naszego zaangażowania - odezwał się wreszcie Phil Sawyer niezdecydowanym tonem.

- Myślę, że tak powinniśmy postąpić. Mógłbym ci to wyłożyć jak chłop krowie na granicy, Phil, ale chyba nie muszę. Pewnie przypominasz sobie równie dobrze jak ja, jak było, zanim zaczęliśmy razem przechodzić na tamtą stronę. Och, może poradzilibyśmy sobie bez tego, a może nie, ale jeśli o mnie chodzi, cieszę się, że nie muszę być agentem pary kiepskich striptizerek i Little Timmy'ego Tiptoe.

- Zaczekaj - powiedział ojciec Jacka.

- Samoloty - odparł wuj Morgan. - Pomyśl o samolotach.

- Zaczekaj, Morgan, zaczekaj chwilę. Mam mnóstwo pomysłów, które widocznie tobie nie przyszły do głowy...

- Jestem zawsze otwarty na nowe pomysły - rzekł Morgan, a ton jego głosu znowu stał się trudny do określenia.

- No dobrze. Sądzę, że musimy uważać, co robimy po tamtej stronie, partnerze. Uważam, że każda poważna rzecz - każda prawdziwa zmiana, którą tam wprowadzamy - może się zwrócić przeciwko nam i ugryźć nas w tyłek. Wszystko ma konsekwencje, a niektóre z nich mogą być raczej nieprzyjemne.

- Na przykład? - spytał wuj Morgan.

- Na przykład wojna.

- Bzdury, Phil. Nigdy nie widzieliśmy niczego... chyba że myślisz o Bledsoe...

- Właśnie o nim myślę. Uważasz, że to był przypadek?

Bledsoe? - zastanowił się Jack. Słyszał już to nazwisko, ale nie potrafił przypomnieć sobie dokładnie, w jakich okolicznościach.

- Cóż, daleko od czegoś takiego do wojny, by ująć to delikatnie, a poza tym mimo wszystko nie przyznaję, że istniał jakiś związek.

- No dobrze. Pamiętasz, jak nam mówiono, że jakiś Obcy zabił tam starego Króla - dawno temu? Słyszałeś o tym kiedyś?

- No, chyba tak - zgodził się wuj Morgan, a Jack ponownie dosłyszał fałsz w jego głosie.

Fotel zaskrzypiał - ojciec zdjął stopy z biurka i pochylił się do przodu.

- Zabójstwo wywołało tam małą wojnę. Zwolennicy starego Króla musieli stłumić rebelię, której przewodziło kilku niezadowolonych szlachciców. Ci ludzie dostrzegli okazję, by przejąć władzę i zaprowadzić własny porządek - konfiskować ziemie i posiadłości, wtrącać swoich nieprzyjaciół do więzienia, wzbogacać się.

- Oj, bądź uczciwy - rzekł Morgan. - Też się o tym nasłuchałem. Chcieli również zaprowadzić jakiś polityczny ład w obłędnie niewydajnym systemie. Czasami na początku trzeba być twardym. Do mnie to dociera.

- Zgodzę się, że nie do nas należy osądzanie ich polityki. Chodzi mi o coś innego: ta wojenka trwała około trzech tygodni. Do jej zakończenia zginęło może stu ludzi. Pewnie nawet mniej. Czy ktokolwiek ci powiedział, kiedy się zaczęła? Który to był rok? Jaki dzień?

- Nie - mruknął wuj Morgan niechętnym tonem.

- Pierwszy września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Po tej stronie tego dnia Niemcy napadły na Polskę.

Ojciec przestał mówić, a ściskający za kanapą czarną taksówkę-zabawkę Jacky ziewnął bezgłośnie, lecz potężnie.

- Czysty obłąd - odrzekł wreszcie wuj Morgan. - Ich wojna doprowadziła do naszej? Naprawdę w to wierzysz?

- Naprawdę wierzę - potwierdził ojciec. - Wierzę, że trzytygodniowa awantura po tamtej stronie w jakiś sposób wywołała po tej wojnę, która trwała sześć lat i w której zginęły miliony ludzi. Właśnie tak.

- Cóż... - rzekł wuj Morgan, a Jack wyobraził sobie, że zaczyna nadymać policzki i sapać.

- To nie wszystko. Rozmawiałem o tym z wieloma ludźmi po tamtej stronie i odczułem, że sądzą, iż człowiek, który zamordował Króla, był prawdziwym Obcym, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Tym, którzy go widzieli, wydawało się, że czuje się niewygodnie w strojach Terytoriów. Zachowywał się, jakby nie był pewny miejscowych zwyczajów... dopiero po pewnym czasie nauczył się posługiwać pieniędzmi.

- Ach.

- Tak. Gdyby nie rozdarło go na strzępy po tym, jak zasztyletował Króla, zyskalibyśmy pewność, ale i tak jestem przekonany, że był...

- Taki jak my.

Taki jak my. Zgadza się. Był przybyszem. Nie sądzę, Morgan, żebyśmy mogli za bardzo wtrącać się w sprawy po tamtej stronie, bo po prostu nie wiemy, jakie to może przynieść efekty. Prawdę mówiąc, uważam, że rzeczy, które dzieją się w Terytoriach, przez cały czas wpływają na nas. I powiedzcie ci jeszcze coś szalonego?

- Dlaczego nie? - spytał Sloat.

- To nie jedyny inny świat.

3

- Bzdury - powiedział Sloat.

- Mówię poważnie. Miałem uczucie, raz czy dwa, kiedy znajdowałem się po tamtej stronie, że byłem blisko czegoś jeszcze - Terytoriów Terytoriów.

Tak, pomyślał Jack, zgadza się, tak właśnie musi być. Sny Na Jawie mają swoje Sny Na Jawie, miejsce jeszcze piękniejsze, a po ich drugiej stronie są Sny Na Jawie Snów Na Jawie Snów Na Jawie, a po ich drugiej stronie jest jeszcze inne miejsce, jeszcze rozkoszniejszy świat... Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że zachciało mu się bardzo spać.

*Sny Na Jawie Snów Na Jawie*

Wówczas zasnął prawie natychmiast, z ciężką taksóweczką na kolanach. Całe jego ciało stało się równocześnie ociążałe od snu - zakotwiczone na pasie drewnianej posadzki - i błogo, niewymownie lekkie...

Rozmowa musiała trwać dalej - wiele rzeczy musiało ująć uwagi Jacka. Budził się i zapadał z powrotem w drzemkę, lekki i ociążały, przez całą drugą stronę "Daddy Plays the Horn". Przez ten czas Morgan Sloat musiał najpierw argumentować - spokojnie, lecz bez wątpienia zaciskając pięści i marszcząc czoło! - na rzecz swojego planu; potem musiał sprawić wrażenie podatnego na perswazję, a wreszcie przekonanego wątpliwościami partnera. Pod koniec dyskusji, która powróciła we wspomnieniach Jacka na niebezpiecznym pograniczu między Oatley w stanie Nowy Jork i bezimiennymi Terytoriami, Morgan Sloat nie tylko starał się wywrzeć wrażenie przekonanego, ale i autentycznie wdzięcznego za udzieloną lekcję. Od razu po przebudzeniu Jack usłyszał pytanie ojca: "Hej, Jack chyba nie zniknął?", a następnie głos wuja Morgana: "Do diabła, myślę, że masz rację, Phil. Potrafisz wnikać w sedno sprawy i właśnie dzięki temu jesteś wielki".

- Gdzie, u diabła, podział się Jack? - zapytał ojciec.

Chłopiec zawiercił się za kanapą, w tym momencie rzeczywiście się budząc. Czarna taksówka spadła z łoskotem na posadzkę.

- Aha - rzekł wuj Morgan. - Małe szkraby mają wielkie uszy.

- Jesteś za kanapą, synku? - spytał ojciec.

Rozległy się odgłosy przepychanych po parkiecie foteli i wstających mężczyzn.

- Oooh. - Jack ziewnął i podniósł taksówkę.

Nogi zeszywniały mu od niewygodnej pozycji - wiedział, że gdy wstanie, poczuje w nich mrowienie.

Ojciec roześmiał się, rozległy się kroki. Znad oparcia kanapy wyjrzała czerwona, obrzmiała twarz Morgana Sloata. Jack ponownie ziewnął i wbił kolana w tył kanapy. Obok twarzy wuja pojawiło się oblicze ojca. Phil Sawyer się uśmiechał. Przez chwilę wydawało się, że głowy obydwóch dorosłych unoszą się jak balony nad oparciem kanapy.

- Jedźmy do domu, śpiochu - powiedział ojciec.

Gdy chłopiec popatrzył wujowi Morganowi w twarz, dostrzegł w niej wyrachowanie, wijące się pod policzkami pozornie wesołego tłuściocha jak wąż pod kamieniem. Wuj znów wyglądał jak tatuś Richarda Sloata - prawie tak, jak dobry, stary wuj Morgan, zawsze dający na urodziny i Gwiazdkę fajne prezenty, jak dobry, stary, spocony wuj Morgan, którego tak łatwo było nie zauważyć. Jak jednak wyglądał przedtem? *jak ludzkie trzęsienie ziemi, jak człowiek rozsypujący się na kawałki wzdłuż linii uskoku za oczami, jak coś nakręconego do ostateczności i czekającego na okazję, by eksplodować...*

- Co powiesz na porcję lodów po drodze do domu, Jack? - zapytał wuj Morgan. - Dasz się skusić?

- Um - odrzekł chłopiec.

- Tak, możemy zatrzymać się w lodziarni w holu - poparł propozycję ojciec.

- Mniam-mniam - powiedział wuj Morgan. - To właśnie rozumiem przez synergię.

Ponownie uśmiechnął się do Jacka.

To się działo, kiedy Jack miał sześć lat, a w trakcie spadania przez pozbawioną ciężenia otchłań powtórzyło się - obrzydliwy purpurowy smak napitku Speedy'ego wezbrał mu w ustach i w nosie, a całe leniwe popołudnie sprzed sześciu lat odtworzyło się na ekranie jego pamięci, jakby magiczny napój obdarzał darem pamięci absolutnej. Przewijało się z taką szybkością, że całe popołudnie przeżył w ciągu kilku sekund, podczas których zorientował się, że tym razem naprawdę zwymiotuje.



Zasnute mgłą oczy wuja Morgana i pytanie, które usilnie pchało się na usta Jackowi...

*Kto bawił się*

*Jakimi zmianami jakimi zmianami*

*Kto bawił się tymi zmianami, tato?*

*Kto*

zabił Jerry'ego Bledsoe? Magiczny napitek wdarł się w usta Jacka, lepkie, przyprawiające o mdłości strużki wcisnęły się mu do nosa. Gdy Jack poczuł pod dłońmi pulchną ziemię, poddał się i zwymiotował, byle tylko nie utopić się w tej treści. Co zabiło Jerry'ego Bledsoe? Ohydna, purpurowa breja wyleciała z ust chłopca, dławiąc go. Cofnął się na oślep, nogi uwięzły mu w wysokich, sztywnych chwastach. Dźwignął się na czworakach i z rozdziawionymi ustami czekał cierpliwie jak muł na drugi atak. Poczul ucisk w żołądku i nie miał nawet czasu jęknąć, nim cuchnąca ciecz wypaliła sobie drogę przez jego pierś i rozchlapała się po wnętrzu jamy ustnej. Pasemka różowej śliny ściekały mu z warg; otarł je trzęsącymi się dłońmi. Wytarł ręce o spodnie. Tak, Jerry Bledsoe. Jerry - który zawsze miał wyszyte imię na koszuli, jak sprzedawca ze stacji benzynowej. Jerry, który umarł, gdy... Chłopiec potrząsnął głową i ponownie otarł usta. Splunął w kępę zdziczałej, przypominającej zęby piły trawy, która sterczała z szarobrunatnej ziemi jak bukiet giganta. Jakiś mętny, zwierzęcy instynkt, którego nie potrafił pojąć, zmusił go do zgarnięcia pulchnego gruntu na kałużę różowawych wymiocin. W kolejnym odruchu wytarł dłonie o spodnie. Wreszcie podniósł głowę.

Kłęcząc na skraju bitej drogi w resztkę popołudniowego światła. Natychmiast zorientował się, że nie ściga go już żaden potworny niby-Elroy. Na chłopca warczały i szczekały psy, zamknięte w drewnianej, przypominającej klatkę zagrodzie. Zwierzęta wypychały pyski przez otwory w ścianach swojego więzienia. Po drugiej stronie zagrody z psami stał rozchwiany drewniany budynek, z którego również dobywały się odgłosy przypominające psy. Były bezsprzecznie podobne do hałasów, które Jack słyszał z drugiej strony muru w "Oatley Tap" - przypominały porykiwania pijanych mężczyzn. To jest bar, domyślił się Jack, raczej zajazd czy oberża. Ponieważ przeszły mu już mdłości po napitku Speedy'ego, poczuł przenikliwe, drożdżowate wonie słodu i chmielu. Nie mógł pozwolić, by znaleźli go ludzie z szynku.

Przez chwilę wyobraził sobie, jak ucieka przed wszystkimi psami, skamłającymi i warczącymi przez szczeliny w zagrodzie. Gdy się podniósł, niebo nad jego głową jakby się przekrzywiło i pociemniało. Co działo się po drugiej stronie, w jego świecie? Elegancka, mała katastrofa w środku Oatley? Może miła niewielka powódź, słodki mały pożar? Jack cichcem

odszedł od szynku, a następnie ruszył na ukos przez wysoką trawę. Około sześćdziesięciu stóp od siebie dostrzegł grube świece, które paliły się w oknach jednego innego budynku, jaki znajdował się w zasięgu wzroku. Gdzieś z bliska po prawej stronie dobiegał do niego odór świń. Kiedy uszedł połowę odległości między szynkiem i domem, psy przestały warczeć i szczekać. Jack powoli ruszył w stronę Szlaku Zachodniego. Była ciemna, bezksiężycowa noc.

*Jerry Bledsoe.*

4

W okolicy stały i inne domy, ale Jack dostrzegł je dopiero wówczas, gdy niemal do nich dochodził. Z wyjątkiem hałaśliwych pijaków w szynku za jego plecami w wiejskich częściach Terytoriów ludzie kładli się spać o zachodzie słońca. W żadnym z małych, kwadratowych okienek nie paliły się świece. Ciemne, pudełkowate domki po obu stronach Szlaku Zachodniego stały w sporej odległości od siebie - coś tu było nie w porządku, jak w obrazkowej zagadce z dziecięcego pisma, ale Jack nie potrafił określić co. Nic nie wisiało do góry nogami, nic nie płonęło, nic nie wyglądało, jakby znajdowało się nie na miejscu. Większość chat miała gęste, krzaczaste dachy, przypominające ostrzyżone najeża stogi. Jack domyślił się, że to strzechy - słyszał o nich, ale jeszcze nigdy ich nie widział. Morgan, pomyślał z nagłym przyływem paniki, Morgan z Orris. Przez chwilę ujrzał w duchu obu mężczyzn: długowłosego, z butem na koturnie, oraz przepoconego pracoholika, partnera jego ojca. Obydwie sylwetki zlewały się ze sobą - Morgan Sloat miał włosy jak pirat i kulał. Morgan Morgan z tego świata - nie był jednak Niepasującym Elementem W Tym Obrazku.

Jack właśnie mijał wąski, przysadzisty parterowy budynek, który przypominał przerośniętą szopę na króliki, bezładnie pokrytą mnóstwem poczerniałych desek skrzyżowanych ze sobą na kształt litery X. Również on był zwieńczony roztrzepaną, językową strzechą. Jeśliby Jack wychodził z Oatley - lub wybiegał, by być bliższym prawdy - to co mógłby ujrzeć w pojedynczym, ciemnym oknie takiej szopy dla królików-olbrzymów? Wiedział: majaczący blask telewizyjnego ekranu. Rzecz jasna w domach w Terytoriach nie było odbiorników telewizyjnych; nie brak kolorowych odbłasków wzbudził niepokój chłopca. Chodziło o coś innego, tak bardzo związane z jakimkolwiek zgrupowaniem domów przy drodze, że nieobecność tego czegoś pozostawiała lukę w krajobrazie. Zauważało się ją nawet wówczas, gdy nie można było dokładnie określić, czego brakowało.

Telewizja, odbiorniki telewizyjne... Jack przeszedł wzdłuż na poły obitej drewnem chaty i zobaczył przed sobą kolejny mały jak dla karłów domek, o drzwiach frontowych znajdujących się zaledwie parę cali od drogi. Ten dla odmiany wydawał się kryty murawą, nie strzechą. Jack uśmiechnął się do siebie - mała wioska skojarzyła się mu z Hobbitonem. Czy Hobbit-agent telewizji kablowej stukał do drzwi i wypytywał pań takich... szop? psiarni?... - tak czy inaczej, czy pytał: "Szanowna pani, instalujemy kablówkę w tej okolicy i za małą miesięczną opłatą mogę panią od ręki podłączyć. Będzie pani miała piętnaście nowych stacji, Midnight Blue oraz kanały ze sportem i pogodą przez dwadzieścia cztery godziny, będzie pani miała...?"

Nagle Jack zdał sobie sprawę, o co chodziło. Przed tymi domkami nie stały słupy. Nie zwisały kable. Ani jedna antena telewizyjna nie strzelała w niebo, ani jeden rząd wysokich drewnianych słupów nie ciągnął się wzdłuż Szlaku Zachodniego - Terytoria nie знаły elektryczności. Dlatego właśnie Jack nie pozwalał sobie na zidentyfikowanie nieobecnego elementu. Jerry Bledsoe był, przynajmniej na część etatu, elektrykiem i złotą rączką w firmie Sawyer i Sloat.

## 5

Kiedy ojciec i Morgan Sloat wymieniali nazwisko: "Bledsoe", Jack miał wrażenie, że słyszy je po raz pierwszy chociaż w retrospekcji doszedł do wniosku, że musiał usłyszeć je wcześniej raz czy dwa. Jerry Bledsoe był jednak zawsze "Jerrym", jak głosił napis na kieszeni jego koszuli. "Czy Jerry nie może zrobić czegoś z klimatyzacją?". "Każ Jerry'emu naoliwić zawiasy w tych drzwiach, dobrze? Pierdolca dostaję przez to skrzypienie". A Jerry zjawiał się w czystym, wyprasowanym ubraniu roboczym, z gładko zaczesanymi, rzadziejącymi włosami rdzaworudej barwy oraz z okrągłymi okularami na nosie, które nadawały mu poważnego wyrazu - i spokojnie naprawiał to, co się zepsuło. Była również pani Jerry Bledsoe, która dbała o czystość i równość kantów płowych spodni, oraz kilku małych Jerrych, o których firma Sawyer i Sloat niezmiennie pamiętała w Boże Narodzenie. Jack był na tyle mały, że imię "Jerry" kojarzyło się mu z wiecznym przeciwnikiem kota Toma z kreskówki. Dlatego właśnie wyobrażał sobie, że majster, pani Jerry, i stadko małych Jerrych mieszka w gigantycznej mysiej dziurze, do której wchodziło się przez łukowate wycięcie w przypodłogowej listwie.

Kto jednak zabił Jerry'ego Bledsoe? Ojciec Jacka i Morgan Sloat, zawsze okazujący dzieciom elektryka taką dobroć na Gwiazdkę?

Jack wyszedł na pograżony w ciemnościach Szlak Zachodni, żałując, że doszczętnie zapomniał o konserwatorze z Sawyer i Sloat, że zapadł w sen natychmiast, gdy tylko wpełzł za kanapę. Sen był tym, czego teraz właśnie pragnął - o wiele bardziej niż nieprzyjemnych rozmyślań, które obudziła w nim zapomniana od sześciu lat rozmowa. Obiecał sobie, że gdy tylko ujdzie przynajmniej parę mil od ostatniego domu, wyszuka sobie miejsce na spanie. Wystarczy pole, nawet rów. Nogi nie chciały go już nieść; wszystkie mięśnie, a nawet kości wydawały się dwakroć cięższe.

Zdarzyło się to wkrótce po jednym z tych razów, gdy Jack zawędrował za ojcem w jakieś zamknięte miejsce i przekonał się, że Philowi Sawyerowi udało się w tajemniczy sposób zniknąć. Później ojciec potrafił znikać z sypialni, jadalni czy sali konferencyjnej w firmie. Tamtym razem dokonał tej zdumiewającej sztuczki w garażu pod domem na Rodeo Drive.

Jack, siedzący niepostrzeżenie na niewielkiej wyniosłości - najlepszej imitacji wzgórza, jaką oferowała ta część Beverly Hills - zobaczył, że ojciec wychodzi z domu frontowym wejściem, przecina trawnik, grzebiąc po kieszeniach w poszukiwaniu drobnych czy kluczyków, po czym wchodzi przez boczne drzwi do garażu. Białe drzwi po prawej stronie powinny po kilku sekundach się unieść, ale pozostawały uparcie zamknięte. Po chwili Jack zdał sobie sprawę, że samochód ojca jest tam, gdzie stał cały sobotni poranek - przy krawężniku na wprost domu. Samochodu Lily nie było - matka wetknęła w usta papierosa i oświadczyła, że jedzie na zdjęcia próbne do "Dirt Track", najnowszego filmu reżysera "Death's Darling", więc niech nikomu, na Boga, nie przyjdzie do głowy jej zatrzymywać - dlatego też garaż był pusty. Przez kilka minut Jack czekał, co się stanie. Ani boczne, ani frontowe drzwi się nie otworzyły. Jack wreszcie ześlizgnął się po trawiastym stoku, dotarł do garażu i wszedł do środka. Ojca nie znalazł. Szarą betonową posadzkę znaczyły ciemne wzory plam po oleju, na ścianach wisiały narzędzia na srebrnych haczykach. Jack stęknął ze zdumienia, zawołał "Tato?" i raz jeszcze rozejrzał się wszędzie, by się do reszty upewnić. Tym razem zobaczył świerszcza odskakującego w zbawczy cień pod ścianą. Przez sekundę prawie uwierzył, że magia istnieje naprawdę, że napatoczył się jakiś złośliwy czarnoksiężnik i... świerszcz dotarł do ściany i zniknął w niewidocznej szczelinie. Nie, jego ojciec nie został zamieniony w świerszcza. Oczywiście, że nie. "Hej", powiedział chłopiec - właściwie do siebie. Wycofał się tyłem do bocznych drzwi i wyszedł z garażu. Blask słońca zalewał bujne, sprężyste trawniki przy Rodeo Drive. Jack czuł, że powinien do kogoś zadzwonić, ale do kogo? Na policję? *Mój tata wszedł do garażu, nie mogłem go tam znaleźć i bardzo się boję...*

Dwie godziny później Phil Sawyer wrócił ulicą od strony Beverly Wilshire. Niósł przerzuconą przez ramię marynarkę i rozluźnił węzeł krawata - dla Jacka wyglądał jak człowiek, który powraca z wyprawy dookoła świata.

Chłopiec zeskoczył z wzniesienia, na którym wyczekiwał w trwodze, i pomknął ku ojcu.

- Pomykasz rączo jak zając - powiedział z uśmiechem ojciec, a Jack rozpląszczył się o jego nogi. - Myślałem, że uciąłeś sobie drzemkę, Jacku Wędrowniczku.

Gdy szli podjazdem, usłyszeli dzwonenie telefonu. Jakiś instynkt - być może nakazujący chłopcu trzymać się blisko ojca - sprawił, iż Jack modlił się, by był to już dwunasty sygnał, by ktokolwiek dzwonił, rozłączył się, nim dotrą do drzwi frontowych. Ojciec zmierwił mu włosy na czubku głowy, po czym otworzył drzwi i dotarł do aparatu pięcioma długimi krokami.

- Tak, Morgan? - Jack usłyszał jego głos. - Och? Złe wiadomości? Tak, lepiej mi powiedz. - Zapadła długa cisza, w której Jack słyszał jedynie ulotny, brzęczący głos Morgana Sloata, przekradający się po telefonicznych łączach. - Jerry? Och, mój Boże. Biedny Jerry. Zaraz przyjadę. - Moment później ojciec obejrzał się na Jacka: bez uśmiechu, bez mrugnięcia okiem, jedynie rejestrując jego obecność. - Przyjadę, Morgan. Będę musiał zabrać Jacka, ale może zaczekać w samochodzie.

Jack poczuł, że rozluźniają się mu mięśnie. Doznał takiej ulgi, że nie zapytał nawet, dlaczego będzie musiał zaczekać w samochodzie - przy każdej innej okazji na pewno by o to zagadnął.

Phil dojechał Rodeo Drive do hotelu Beverly Hills, skręcił w Bulwar Zachodzącego Słońca i obrał kurs na budynek, w którym mieściło się biuro firmy. Nie odezwał się ani słowem.

Ojciec wcisnął się przed nadjeżdżające z naprzeciwka samochody i wjechał na parking przed biurowcem. Stały już na nim dwa samochody policyjne, wóz strażacki, kieszonkowy kabriolet Mercedes wuja Morgana oraz pokryty rdzą stary dwudrzwiowy plymouth, należący do konserwatora. Tuż za wejściem wuj Morgan rozmawiał z policjantem, który bardzo powoli kiwał głową, w sposób znamionujący współczucie. Prawą ręką Morgan Sloat obejmował barki szczupłej, młodej kobiety w przy dużej sukience, wtulającej twarz w jego pierś. Jack poznał panią Jerry, chociaż miała prawie całą twarz zasłoniętą przyciskaną do oczu białą chusteczką. Strażak w kapeluszu i płaszczu wodoodpornym sprzątał kawałki pogiętego plastiku i metalu, potłuczone szkło oraz popioły, tworzące w głębi korytarza nieporządną stertę.

- Posiedź tutaj chwilę, Jacky, dobrze? - powiedział Phil i podbiegł do wejścia.

Na cementowym murku w końcu parkingu siedziała młoda Chinka i rozmawiała z policjantem. Przed nią leżał pogięty kształt; dopiero po chwili Jack zorientował się, że był to rower. Chłopiec odetchnął głęboko i poczuł woń gorzkiego dymu.

Dwadzieścia minut później Phil Sawyer i Morgan Sloat wyszli z budynku. Wciąż obejmując panią Jerry, wuj Morgan pomachał Sawyerom na pożegnanie. Podprowadził kobietę do drzwi dla pasażera swojego kabrioletu. Jack wyprowadził swój wóz z parkingu i włączył się do ruchu na Bulwarze Zachodzącego Słońca.

- Czy Jerry'emu coś się stało? - spytał Jack.

- Miał jakiś potworny wypadek - odrzekł ojciec. - Z elektrycznością; cały budynek mógł pójść z dymem.

- Czy Jerry'emu coś się stało? - powtórzył Jack.

- Stało się - odparł ojciec. - Biedny skurczybyk nie żyje.

Jack i Richard Sloat potrzebowali dwóch miesięcy, żeby poskładać całą historię ze strzępów podsłuchanych rozmów. Matka Jacka i gospodyni Richarda dostarczyły pozostałych szczegółów, gospodyni - najkrwawszych.

Jerry Bledsoe przyjechał w sobotę, by spróbować usunąć usterki w systemie alarmowym budynku. Gdyby grzebał w delikatnym systemie w dzień roboczy, na pewno zdeorientowałby lub rozzłościł pracowników przypadkowym uruchamianiem alarmu. System alarmowy był połączony z główną rozdzielnicą prądu, ukrytą na parterze za dwoma zdejmowanymi panelami z orzechowego drewna. Jerry postawił torbę z narzędziami i zdjął panele; wcześniej upewnił się, że parking jest pusty i nikt nie wyskoczy ze skóry, jeśli rozlegnie się alarm. Potem zszedł na dół i ze swojego aparatu w piwnicy zadzwonił na lokalny posterunek, by policja ignorowała do następnego telefonu wszystkie sygnały spod adresu firmy Sawyer i Sloat. Kiedy wrócił na górę, by zabrać się do płątaniny przewodów na tablicy rozdzielczej - dochodziły do niej kable wszystkich czujników - na parking właśnie wjechała rowerem dwudziestotrzyletnia Lorette Chang. Dziewczyna rozprawiała broszurę reklamową restauracji, którą za piętnaście dni otwierano przy tej samej ulicy.

Panna Chang powiedziała później policji, że zajrzała przez szklane frontowe drzwi i zobaczyła wychodzącego z piwnicy pracownika. Zanim robotnik wziął do ręki śrubokręt i dotknął tablicy rozdzielczej, Chinka poczuła, że asfalt parkingu zatrzęsł się pod jej stopami. Pomyślała, że to miniaturowe trzęsienie ziemi. Mieszkająca przez całe życie w Los Angeles Lorette Chang nie przejmowała się wstrząsami sejsmicznymi, jeśli tylko wszystko trzymało się na swoim miejscu. Zobaczyła, że Jerry Bledsoe przestawia stopy (zatem i on poczuł

wstrząs, chociaż nie zauważył go nikt inny), kręci głową, a następnie delikatnie wsuwa czubek śrubokrętu w plątaninę przewodów.

W tym momencie wejście i korytarz parteru budynku firmy zamieniły się w piekło.

Cała tablica rozdzielcza w jednej chwili zamieniła się w prostokątny blok ognia; wystrzeliły z niej przypominające błyskawice błękitnożółte łuki i otoczyły robotnika. Rozjęczały się elektroniczne syreny: KA-WAAAM! KA-WAAAM! Wprost ze ściany wypadła kula ognia średnicy sześciu stóp, zmiotła na bok już martwego Jerry'ego Bledsoe i potoczyła się korytarzem w stronę holu. Przezroczyste drzwi rozleciały się, a w powietrzu fruwały okruchy szkła i dymiące, poskręcane kawałki metalu. Lorette Chang upuściła rower i rzuciła się sprintem do automatu telefonicznego po drugiej stronie ulicy. Gdy podawała strażakom adres budynku, kątem oka spostrzegła, że kula ognia, która wypadła na zewnątrz, zgięła wpół jej rower; upieczony trup Jerry'ego Bledsoe wciąż jeszcze kołysał się przed całkowicie zniszczoną tablicą. Przez ciało elektryka przeniknęły tysiące woltów, napływając w nie regularnymi impulsami i wstrząsając nim w równych odstępach. Całe owłosienie na ciele Jerry'ego i większość jego ubrania zwęgliły się; skóra nabrała plamistej, szarawej barwy gotowanej wołowiny. Okulary w plastikowych oprawkach stopiły się, po czym ponownie stwardniały, pokrywając jego nos niczym okładem.

Jerry Bledsoe. *Kto bawi się tymi zmianami, tato?* Jack zmusił nogi do ruchu, aż uszedł pół mili, ale nie ujrzał kolejnej chatki ze strzechą. Nad nim na niebie rozpościerały się tajemnicze konstelacje nieznanych gwiazd - komunikaty w języku, którego nie potrafił odczytać.

## Rozdział dwunasty - Jack idzie na targ

1

Jack spał tej nocy w wonnym stogu siana w Terytoriach - najpierw wkopał się weń, a potem obrócił się, by przez wydrążony tunel mogło dopływać świeże powietrze. Nasłuchiwał z lękiem cichego skrobania i szemrania, bo wiedział, że polne myszy są wielkim amatorkami siana. Jeśli nawet mieszkały w tym stogu, wielka mysz Jack Sawyer wystraszyła je tak, że siedziały cicho. Chłopiec stopniowo się odprężył, lewą dłonią wodząc po butelce od Speedy'ego - zakorkował ją kępką sprężystego mchu zerwanego nad strumieniem, z którego napił się wody. Niewykluczone, że trochę mchu wpadnie do środka - o ile już to się nie stało. Szkoda, zrujnuje pikantny smak i delikatny bukiet.

Gdy nareszcie zrobiło mu się ciepło i poczuł senną ociężałość, pojawiła się ulga... jak gdyby pozwolił opaść na ziemię tuzinowi przypasanych do jego grzbietu dziesięciofuntowych ciężarów. Znowu był w Terytoriach - w miejscu, które tak czarujące postaci jak Morgan z Orris, Osmond Biczownik i Elroy, Zdumiewający Człeko-Kozioł nazywali domem. W Terytoriach, gdzie wszystko mogło się zdarzyć.

W Terytoriach bywało jednak wspaniale. Przypomnił to sobie z najwcześniejszego dzieciństwa, kiedy wszyscy mieszkali w Kalifornii i nikt nie żył nigdzie indziej. Terytoria mogły być dobre, a Jack wyczuwał teraz to dobro wokół siebie, równie spokojne i niezaprzeczalnie błogie jak zapach siana, równie wszechobecne jak słodka woń tutejszego powietrza.

Czy mucha lub jętka jednodniówka czuje ulgę, jeśli nieoczekiwany powiew wiatru przechyla dzbanecznik na tyle, by umożliwić tonącemu owadowi wyfrunięcie? Jack tego nie wiedział... wiedział jednak, że wyrwał się z Oatley, że znalazł się daleko od Klubu Pod Chmurką i starców płaczących nad ukradzionymi wózkami na zakupy, z dala od smrodu piwa i odoru wymiocin... a przede wszystkim daleko od Smokeya Updike'a i "Oatley Tap".

Jack doszedł do wniosku, że mimo wszystko zapewne przez jakiś czas powędruje Terytoriami.

Rozmyślając o tym, zapadł w sen.

2



Następnego ranka Jack uszedł dwie, może trzy mile Szlakiem Zachodnim, napawając się blaskiem słońca i czystym zapachem ziemi bijącym od pól, niemal gotowych do żniw na koniec lata, gdy na skraj traktu zjechał wóz.

- Idziesz na targ, chłopcze? - zawołał wieśniak z wąsikami, w prosto skrojonych portkach i czymś, co przypominało togę.

Jack spojrzął na niego lekko wystraszony, zdając sobie jednocześnie sprawę, że mężczyzna nie mówi po angielsku. Nieważne, że nie mówił "Racz waść" lub "Azaliż chodzisz w podwiązki na krzyż, chudopachołku" - był to zupełnie inny język.

Obok wąsatego wieśniaka siedziała kobieta w obszernej sukience; na kolanach trzymała mniej więcej trzyletniego chłopczyka. Uśmiechnęła się dość uprzejmie i spojrzała na męża.

- To prostaczek, Henry - powiedziała.

*Nie mówią po angielsku... ale jakimkolwiek językiem się posługują, rozumiem go. W istocie myślę w tym języku... i to nie wszystko - widzę w nim, czy dzięki jego pomocy, czy jakkolwiek to nazwać.*

Jack uświadomił sobie, że tak samo było podczas poprzedniego pobytu w Terytoriach - wtedy jednak miał w głowie zbyt wielki zamęt, żeby zdać sobie z tego sprawę. Wydarzenia toczyły się zbyt szybko i wszystko wydawało się niezwykle.

Wieśniak wychylił się do przodu i uśmiechnął się, ukazując absolutnie koszarne zęby.

- Jesteś prostaczkiem, chłopaku? - zapytał bez złośliwości.

- Nie - odparł Jack, uśmiechając się tak otwarcie, jak tylko potrafił.

Zdał sobie sprawę, że nie użył angielskiego "no", lecz słowa, które to właśnie znaczyło w Terytoriach - kiedy przeskoczył na drugą stronę, zaczął się posługiwać innym językiem i przyjął odmienny sposób myślenia (a przynajmniej obrazowania - pojęcie to nie znajdowało się jeszcze w jego słowniku, ale mimo wszystko rozumiał, o co mu chodziło). - Nie jestem prostaczkiem. Po prostu matka kazała mi uważać na ludzi, których spotykam po drodze.

- Twoja matka miała rację. - Tym razem uśmiechnęła się żona wieśniaka. - Wybierasz się na targ?

- Tak - odrzekł Jack. - To znaczy, wędruję tą drogą... na zachód.

- No to wsiadaj na tył - rzucił wieśniak Henry. - Szkoda czasu. Chcę sprzedać to, co wiozę, jeśli tylko się uda, i wrócić do domu przed zachodem słońca. Kukurydza jest marna,

ale już prawie skończył się na nią sezon. W ogóle mam szczęście, że dotrwała do dziewiątnika. Może ktoś ją kupi.

- Dziękuję - powiedział i wspiął się na niski tył wozu.

Dziesiątki łodyg kukurydzy powiązано kawałkami prymitywnego sznurka i poukładano jak chrust. Jeśli kukurydza była marna, to Jack nie potrafił sobie wyobrazić, jak wyglądała ta, którą tu uznawano za udaną - większych kolb nie widział nigdy w życiu. Na wozie poukładano też niewielkie kopce dyni różnej wielkości - były jednak czerwone, nie pomarańczowe. Jack nie wiedział, co to takiego, ale czuł, że na pewno cudownie smakuje. Żołądek zaburczał mu ochoczo. Poznał już, co to głód - i nie była to przelotna znajomość: nie to, co odczuwa się niejasno po dniu w szkole i co można zaspokoić kilkoma ciastkami i szklanką mleka doprawionego Nestle Quik. Ten głód był zażyłym przyjacielem, który co jakiś czas odsuwa się na pewną odległość, ale nigdy całkowicie nie znika.

Jack usiadł plecami do przodu wozu. Zwisającymi stopami w sandałach niemal dotykał ubitej ziemi Szlaku Zachodniego. Tego ranka panował na nim duży ruch; Jack przypuszczał, że większość ludzi wyprawiała się na targ. Co jakiś czas Henry wykrzykiwał powitanie pod adresem kogoś znajomego.

Chłopiec wciąż zastanawiał się, jak smakują dynie barwy jabłek, oraz gdzie zdobędzie kolejny posiłek, gdy mała rączka wplątała się w jego włosy i energicznie nimi szarpnęła, na tyle silnie, że łzy napłynęły mu do oczu.

Odwrócił się i zobaczył trzylatka, który stał boso, z wielkim uśmiechem na twarzy i paroma kosmykami włosów Jacka w obu dłoniach.

- Jason! - krzyknęła matka dziecka, lecz było to na swój sposób pobłażliwe skarcenie (*Widzicie, jak pociągnął go za włosy? Niech mnie, ale jest silny!*). - Jason, nieładnie!

Jason uśmiechnął się bez cienia skruchy. Był to szeroki, naiwny, promieniejący ciepłem uśmiech, równie słodki jak woń stogu siana, w którym Jack spędził noc. Chłopiec nie potrafił oprzeć się przed odpowiedzią tym samym... i zobaczył, że dzięki temu zyskał w żonie Henry'ego przyjaciółkę.

- Siac - powiedział Jason, chwiejąc się w tył i w przód z nieświadomą wprawą weterana mórza. Wciąż uśmiechał się do Jacka.

- Hę?

- Tiu.

- Nie rozumiem, Jason.

- Siac-tiu.

- Nie...

W tym momencie ciężki jak na trzylatka Jason klapnął Jackowi na kolana, wciąż się uśmiechając.

Siać-tiu. Och, tak, zrozumiałem, pomyślał Jack, czując tępy ból, rozchodzący się od jąder po miejsce pod żebrami.

- Niegrzeczny Jason! - zawołała matka tym samym pobłażliwym tonem, mówiącym: "ale z niego spryciula"... a Jason, który dokładnie wiedział, kto tu jest szefem, jeszcze raz złożył usta do naiwnego, budzącego nieodpartą sympatię uśmiechu.

Jack poczuł, że dziecko ma mokro. Bardzo, wyjątkowo, niewątpliwie mokro.

*Witamy z powrotem w Terytoriach, Jack-O.*

Siedząc z dzieckiem na rękach, przez którego ubranie powoli przesiąkała ciepła wilgoć, Jack zaczął się śmiać z twarzą uniesioną ku niezrównanie niebieskiemu niebu.

3

Kilka minut później żona Henry'ego pogramoliła się na tył wozu i zdjęła Jasona z kolan Jacka.

- Oooch, mokre, niegrzeczne dzieciątko! - rzekła pobłażliwie.

Ale ten mój Jason leje jak trza! - pomyślał Jack i znowu się roześmiał. Wzbudziło to śmiech Jasona, a pani Henry przyłączyła się do nich.

Przebierając Jasona, kobieta zadawała Jackowi kolejne pytania - takie same, jakie słyszał wystarczająco często w swoim świecie. Tutaj musiał być jednak ostrożny. Był obcy, mógł więc wpaść w niewidzialne pułapki. Usłyszał w duchu, jak ojciec mówi Morganowi: "prawdziwy Obcy, jeśli wiesz, o czym mówię".

Jack wyczuł, że mąż kobiety przysłuchuje się uważnie ich rozmowie. W odpowiedzi na jej pytania przedstawił starannie skorygowaną wersję Historyjki - nie tej, którą się posługiwał, szukając pracy, lecz drugiej, prezentowanej, gdy ci, którzy zgarniali go z drogi, okazywali się ciekawscy.

Powiedział, że pochodzi z Wioski Podręcznych - matka Jasona niejasno przypominała sobie, że o niej słyszała, ale to wszystko. Chciała wiedzieć, czy naprawdę uszedł aż tak daleko. I dokąd się wybiera? Powiedział jej (i przysłuchującemu się w milczeniu Henry'emu), że zmierza do wsi Kalifornia. Kobieta nie słyszała o takiej ani słowa, w żadnej z opowieści wędrownych kramarzy spotykanych od czasu do czasu. Jacka niezbyt to zdziwiło... był jednak zadowolony, że żadne z nich nie zawołało: "Kalifornia? Kto kiedy słyszał o wsi nazwanej Kalifornia? Komu chcesz wciskać taki kit, chłopcze?". W Terytoriach musiało być mnóstwo

miejsce - całych krain, nie wspominając o wioskach - o których nie słyszeli ludzie niewypuszczający się poza swoje okolice. Nie stały tu słupy sieci elektrycznej. Nie było filmów. Brakowało telewizji kablowej, w której przedstawiano, jak wspaniale jest w Malibu czy Sarasocie. Terytoria nie miały swojej wersji Ma Bell\*[\* Mamcia Bell - żargonowe określenie telefonii (sieci Bell).] z reklamami, że trzyminutowe połączenie z Rubieżami po piątej po południu kosztuje tylko 5,83 dolara, plus podatek, stawka może być wyższa w Wigilię Boskich Ćwieków i niektóre inne święta. Ludzie tu żyją otoczeni tajemnicą, pomyślał Jack. Gdy żyje się wśród tajemnicy, nie podważa się istnienia jakiejś wsi tylko dlatego, że nigdy się o niej nie słyszało. Poza tym "Kalifornia" nie brzmi dziwaczniej niż miejsce o nazwie Wioska Podręcznych.

Para wieśniaków nie kwestionowała jego opowieści. Powiedział im, że ojciec umarł przed rokiem, a matka była bardzo chora (zastanawiał się, czy nie dodać, że komornicy Królowej zjawili się pewnej nocy i zajęli ich osła, uśmiechnął się i uznał, że tę część lepiej opuścić). Matka dała mu tyle pieniędzy, ile mogła (choć w obcym języku termin ten nie brzmiał "pieniądze", lecz bardziej jak "patyki") i wysłała go do wsi Kalifornia, by zamieszkał u cioci Heleny.

- Mamy ciężkie czasy - przyznała pani Henry, przytulając bliżej siebie przewiniętego już Jasona.

- Wioska Podręcznych jest niedaleko letniego pałacu, prawda, chłopcze? - Henry odezwał się po raz pierwszy od zaproszenia Jacka na wóz.

- Tak - odparł Jack. - To znaczy, dość blisko. Chodzi mi o to...

- Nie powiedziałaś, na co umarł twój ojciec.

Wieśniak odwrócił głowę. Wpatrywał się w Jacka zmrużonymi oczyma, oceniające - uprzednia uprzejmość znikła tak raptownie, jak gaśnie zdmuchnięta przez wiatr świeca. Tak, czaiły się tu pułapki.

- Chorował? - spytała pani Henry. - Tyle w tych czasach chorób - ospa, plaga... ciężkie czasy.

Przez chwilę Jackowi przyszła do głowy szaleńcza myśl, by odpowiedzieć: *Nie, nie chorował, proszę pani. Mój tata dostał mnóstwo woltów. Widzi pani, poszedł jednej soboty zrobić parę rzeczy i zostawił panią Jerry i wszystkich małych Jerrych - włącznie ze mną - w domu. Było to wtedy, kiedy wszyscy mieszkaliśmy w dziurze za listwą przy podłodze i nikt nie żył nigdzie indziej, rozumie pani. I wie pani co? Tata wsadził śrubokręt w kłęb drutów, a pani Fenny - ona pracuje w domu Richarda Sloata - słyszała, jak wuj Morgan powiedział przez telefon, że wyszła z nich elektryka, cała elektryka, i go usmażyła, usmażyła tak paskudnie, że*

*okulary stopiły się mu na nosie, tyle że pewnie pani nic nie wie o okularach, bo ich tu nie macie. Nie macie okularów, nie macie elektryczności... nie macie Midnight Blue... nie macie samolotów. Niech pani nie skończy tak, jak pani Jerry, pani Henry. Niech pani...*

- Nieważne, czy chorował - powiedział wąsaty farmer. - Czy był polityczny?

Jack popatrzył na niego. Poruszył ustami, ale nie wykrztusił ani słowa. Nie wiedział, co odpowiedzieć - zbyt wiele czyhało pułapek. Henry pokiwał głową, jakby usłyszał, co chciał.

- Zeskakuj, chłopaku. Targ jest za kolejnym pagórkiem. Myślę, że zdołasz tam doczłapać, prawda?

- Tak - odparł Jack. - Myślę, że zdołam.

Pani Henry wyglądała na zdezorientowaną... ale trzymała teraz Jasona z dala od Jacka, jakby dziecko mogło nabawić się jakiejś zakaźnej choroby.

- Przepraszam. - Wieśniak uśmiechnął się z niejakim smutkiem, wciąż oglądając się przez ramię. - Wyglądasz na dość miłego chłopaka, ale jesteśmy prostymi ludźmi - cokolwiek dzieje się tam, nad morzem, niech załatwiają to między sobą wielcy państwo. Albo Królowa umrze, albo nie... choć oczywiście kiedyś i tak do tego dojdzie. Bóg wbija wszystkie swoje ćwieki wcześniej czy później, a jeśli mali ludzie mieszają się w sprawy możnych, to czeka ich tylko krzywda.

- Mój ojciec...

- Nie chcę nic słyszeć o twoim ojcu! - powiedział ostro Henry. Jego żona spiesznie odsunęła się dalej od Jacka, przytrzymując Jasona przy piersi. - Nie wiem i nie chcę wiedzieć, czy był dobry, czy zły - wiem tyle, że nie żyje, i nie sądzę, żebyś mnie okłamał. Ważne, że jego syn spał pod gołym niebem i pachnie od niego kimś, kto się ukrywa. Ten syn nie mówi jak ktoś, kto pochodzi z tych stron, więc zeskakuj. Widzisz przecież, że mam własnego syna.

Jack zsiadł z wozu. Zrobiło mu się przykro, gdy zobaczył strach malujący się na twarzy młodej kobiety - strach, którego on był przyczyną. Wieśniak miał rację - mali ludkowie nie powinni wtrącać się w sprawy możnych tego świata. Nie powinni, jeśli mieli dość rozumu.

## Rozdział trzynasty - Ludzie na niebie

### 1

Jack przeżył szok, przekonując się, że pieniądze, na które tak ciężko pracował, zamieniły się dosłownie w patyki - wyglądały jak węże-zabawki, wykonane przez niezdarne rzemieślnika. Wstrząs potrwał jednak tylko chwilę, aż chłopiec zaśmiał się z politowaniem dla samego siebie. Oczywiście, patyki były pieniędzmi. Gdy przechodził na tę stronę, zmieniało się wszystko: srebrna dolarówka na monetę z gryfem, koszula na kaftan, angielski na język Terytoriów, a dobre, stare amerykańskie pieniądze na - no, na patyczki z przewężeniami. Jack przeskoczył na drugą stronę, mając przy sobie wszystkiego dwadzieścia dwa dolary i domyślał się, że dokładnie tyle samo ma w walucie Terytoriów, chociaż naliczył czternaście przewężeń na jednym z patyków i ponad dwadzieścia na drugim.

Problem stwarzały nie tyle pieniądze, ile ceny - Jack nie miał w zasadzie żadnego pojęcia, co jest drogie, a co tanie. Kręcąc się po rynku, chłopiec czuł się jak zawodnik w teleturnieju "New Price Is Right" - "Nowa lepsza cena" - tyle tylko, że gdyby tu nie zgał trafnie, Bob Barker nie dałby mu nagrody pocieszenia i nie poklepałby go po plecach. Gdyby Jack się omylił, mieszkańcy Terytoriów mogliby... cóż, nie miał pewności, co właściwie mogliby mu zrobić. Na pewno go przegonić. Zrobić mu krzywdę, spuścić mu lanie? Możliwe. Zabić? Prawdopodobnie nie, ale nie mógł być tego absolutnie pewnym. Byli to prości ludkowie, nie "polityczni", on zaś był tu obcy.

Jack przeszedł powoli z jednego końca zatłoczonego, hałaśliwego targowiska na drugi, martwiąc się tym problemem.

Dylemat jak gdyby podział na jego żołądek - chłopiec czuł straszny głód. W pewnym momencie zobaczył, że Henry handryczy się z człowiekiem oferującym kozy na sprzedaż. Pani Henry trzymała się męża, stała jednak nieco z tyłu, pozwalając handlować mężczyznom. Stała odwrócona plecami do Jacka, trzymała jednak dziecko na rękach - Jason, jeden z małych Henrych, pomyślał Jack. Dziecko zobaczyło go i pomachało tłustą rączką. Jack szybko się odwrócił i odszedł przez tłum jak najdalej od rodziny wieśniaka.

Wydawało się, że wszędzie czuć woń pieczonego mięsa. Jack widział sprzedawców obracających rożny z płatami wołowiny nad paleniskami z węglem drzewnym, zarówno małymi, jak i olbrzymich rozmiarów. Ich pomagierzy kładli grube plastry - zapewne wieprzowiny - na kromki chleba domowego wypieku i podawali je chętnym; wyglądali jak gońcy na aukcji. Większość kupujących stanowili wieśniacy pokroju Henry'ego; również

jedzenia żądali tak, jak ludzie stający do licytacji - po prostu podnosili władczo ręce z rozpostartymi palcami. Jack przyjrzał się dokładniej kilku takim transakcjom. Za każdym razem środkiem płatniczym okazywały się patyki z przewężeniami... nie potrafił jednak ocenić dokładnie, ile kawałków wystarczało. Było to w gruncie rzeczy nieistotne - musiał coś zjeść bez względu na to, czy przy kupnie wyjdzie na obcego, czy nie.

Minął pantomimę, ledwie rzuciwszy na nią okiem, chociaż zebrana spora publiczność - przeważnie kobiety i dzieci - wybuchała pełnym uznania śmiechem i klaskała. Podeszedł do stoiska z płóciennymi bokami, gdzie wielki mężczyzna z tatuażami na bicepsach, przypominających kamienne płyty, stał koło wrytego w ziemi rowu wypełnionego węglem drzewnym. Nad paleniskiem zawieszono żelazny ruszt długości mniej więcej siedmiu stóp. Po obu jego stronach stało dwóch spoconych, brudnych chłopców. Kręcili równomiernie różnem, na który nadziano pięć wielkich połci mięsa.

- Wyborne mięsiwo! - zawodził wielkolud. - Wyborne mięso! Wyyyyborne! Kupujcie moje wyborne mięsiwo! Tylko tutaj! Właśnie tutaj wyborne mięsko! - Na stronie rzucił do stojącego bliżej niego chłopca: - Przyłóż się lepiej, niech Bóg cię przygwoździ! - po czym wrócił do krzykliwego frymarzenia.

Przechodzący obok wieśniak z nastoletnią córką uniósł rękę, po czym wskazał na drugą od lewej sztukę mięsa. Chłopcy przestali obracać, by ich szef mógł odkroić plaster z połcia i nałożyć go na grubą kromkę chleba. Jeden z nich podbiegł do wieśniaka, który wydobyl patyk z przewężeniami. Przyglądający się temu pilnie Jack ujrzał, że chłop odłamał dwie gałki i podał je chłopcu. Gdy chłopiec biegł z powrotem na stoisko, klient schował patyk do kieszeni automatycznym, lecz czujnym ruchem, typowym dla zabierającego resztę człowieka. Odgryzł gigantyczny kawałek z jednej kromki, po czym podał resztę swojej córce, której pierwszy kęs był niemal równie wielki jak ojca.

Żołądek Jacka burczał i powarkiwał. Chłopiec miał nadzieję, że zobaczył to, co trzeba.

- Wyborne mięsiwo! Wyborne mięsiwo! Wyborne... - Wielkolud urwał i popatrzył z góry na Jacka, ściągając krzaczaste brwi nad małymi, lecz niezupełnie głupimi oczkami. - Słyszę, jaką piosenkę śpiewa twój żołądek, przyjacielu. Jeśli masz pieniądze, zostań moim klientem, a ja poproszę o błogosławieństwo dla ciebie dziś wieczorem w modlitwie. Jeśli nie masz, to zabieraj stąd swoją głupią, owczą gębę i idź do diabła.

Obaj chłopcy się roześmieli, chociaż byli wyraźnie zmęczeni - zachichotali, jakby nie mieli żadnej kontroli nad wydawanymi przez siebie dźwiękami.

Doprowadzający do pasji zapach powoli smażącego się mięsa mimo wszystko nie pozwolił Jackowi odejść. Wyciągnął krótszy z patyków i wskazał na drugi polec od lewej.

Nie odzywał się - wydawało się to bezpieczniejsze. Sprzedawca mruknął, znów wyciągnął z pasa nóż prymitywnej roboty i odciął plaster - mniejszy niż dla wieśniaka, zaobserwował Jack, ale jego żołądka, burczącego jak opętany w oczekiwaniu na strawę, to najwyraźniej nie obeszło.

Sprzedawca pacnął plastrem o kromkę chleba i sam podał ją Jackowi, zamiast powierzyć to zadanie któremuś z chłopców. Wyjął mu z ręki pieniężny patyk i odłamał z niego trzy zamiast dwóch gałek.

Jack usłyszał w duchu głos matki, mówiącej z ironicznym rozbawieniem: *Gratulacje, Jack-O... Właśnie zostałeś uratowany.*

Sprzedawca przypatrzył się mu, szczerząc w uśmiechu stado poczerniałych, koślawych zębów, jakby chciał sprowokować chłopca, by coś powiedział lub w jakikolwiek sposób zaprotestował. *Powinieneś być wdzięczny, że zabrałem ci tylko trzy gaiki zamiast wszystkich czternastu. Wiesz dobrze, że mogłem to zrobić. Równie dobrze mógłbyś nosić na szyi tabliczkę z napisem: JESTEM TU OBCY I SKAZANY NA WŁASNE SIŁY. No, powiedz mi, Owczu Gębo - chcesz robić z tego problem czy nie?*

Nieważne, czego chciał Jack - zdecydowanie nie mógł się sprzeciwić sprzedawcy. Znów jednak poczuł bezsilny gniew.

- Zmykaj - powiedział sprzedawca, mając go najwidoczniej dość. Zamachał Jackowi przed twarzą wielką łapą z bliznami na palcach i krwią pod paznokciami. - Dostałeś żarcie, to teraz zmiataj.

Jack pomyślał: Gdybym pokazał ci latarkę, to sam byś zwiewał, jakby cię goniły wszystkie diabły. Jakbyś zobaczył samolot, to pewnie byś zwariował. Chyba nie jesteś taki twardy facet, na jakiego się zgrywasz.

Uśmiechnął się i być może było w tym coś, co nie spodobało się sprzedawcy mięsiwa, ponieważ cofnął się przed Jackiem, a na jego twarzy przez moment pojawił się niepokój. Po chwili ponownie ściągnął brwi.

- Zmiataj, powiedziałem! - ryknął. - Zmiataj, niech Bóg cię przygwoździ!

Tym razem Jack go usłuchał.

2

Mięso było wyborne. Jack pochłonął łapczywie kanapkę, a potem nieświadomie zlizął tłuszcz z palców, wciąż wędrując dalej. Mięso faktycznie smakowało jak wieprzowina... a mimo to inaczej. Smak był w jakiś sposób bogatszy, intensywniejszy. Z jakiegokolwiek



zwierzęcia pochodziło mięso, doskonale wypełniło pustkę w żołądku chłopca. Pomyślał, że przez tysiąc lat mógłby nosić je do szkoły w torebkach na drugie śniadanie.

Ponieważ zdołał zmusić żołądek, żeby dał mu spokój - przynajmniej na jakiś czas - rozglądał się dookoła z większym zainteresowaniem... i chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, wreszcie zaczął wtapiać się w tłum. Stał się kolejnym wsiowym ciotkiem, który przyjechał na targ i włóczył się między straganami, starając się gapić naraz we wszystkie strony. Naganiacze traktowali go jako jeszcze jednego potencjalnego frajera. Wołali na niego i kiwali rękami, lecz gdy ich mijał, wołali i kiwali na każdego, kto szedł za nim - mężczyznę, kobietę czy dziecko. Jack gapił się otwarcie na porozkładane wszędzie towary, cudowne i osobliwe, i pośród rozglądającej się wraz z nim gawiedzi przestał czuć się obcy - być może dlatego, że zrezygnował z wysiłku udawania zblazowanego w miejscu, gdzie nikt nie był zblazowany. Ludzie śmiali się, kłócili, targowali... ale nikt nie wyglądał na znudzonego.

Targowisko przypominało Jackowi pawilon Królowej, lecz nie panowała tu atmosfera napięcia i zbyt gorączkowej wesołości - zarówno tam, jak i tu unosiła się tak samo absurdalnie bogata mieszanina zapachów (zdominowana przez pieczone mięso i zwierzęce odchody), również tu przewijał się barwnie odziany tłum (choć nawet najbardziej wystrojeni ludzie nie umywali się do paru dandysów, jakich widział w pawilonie), czuć było tak samo niepokojące, lecz jakoś podnoszące na duchu połączenie rzeczy całkowicie zwyczajnych, z ekstrawaganckimi dziwami.

Jack zatrzymał się przed straganem, którego właściciel handlował dywanami z wyhaftowanymi portretami Królowej. Chłopiec nagle przypomniał sobie matkę Hanka Scofflera i się uśmiechnął. Hank był kolegą z paczki Jacka i Richarda Sloata w Los Angeles. Pani Scoffler miała bzika na punkcie najbardziej krzykliwych ozdób, jakie Jack widział kiedykolwiek w życiu. Boże, na pewno zakochałaby się w makatkach z portretem Laury DeLoessian z włosami splecionymi w warkocze i wysoko upiętymi w królewską fryzurę. Były jeszcze bardziej pstrokate niż obrazy jeleni na alaskańskich rykowiskach czy ceramiczna panorama Ostatniej Wieczery za barkiem w salonie Scofflerów.

W pewnej chwili twarz z dywanów zaczęła się zmieniać na oczach Jacka. Znikła; zastąpiło ją powtórzone w nieskończoność oblicze jego matki o zbyt ciemnych oczach i zbyt bladej skórze.

Znów zniemacka dopadła go tęsknota za domem. Fala goryczy przelała się przez serce Jacka, a w duchu zawołał: Mamo! Och, mamó! Jezu, co ja tutaj robię?! Mamo! - zastanawiając się z intensywnością tęsknoty kochanka, czym właśnie w tej chwili zajmuje się

Lily Cavanaugh, dokładnie w tej minucie. Siedzi przy oknie, pali, wygląda na ocean, i trzyma otwartą książkę obok siebie? Ogląda telewizję? Jest w kinie? Śpi? Umiera?

*Umarła?* - dodał podstępny głos, nim zdołał go powstrzymać. *Umarła, Jack? Już nie żyje?*

*Przestań.*

Poczuł żądła palących łez.

- Czemuś taki smutny, chłopczyku?

Zaskoczony, podniósł wzrok i zobaczył, że obserwuje go handlarz dywanami. Był równie wielki jak sprzedawca mięsa, także miał wytatuowane ramiona, lecz jego uśmiech wydawał się szczery i promienny - nie było w nim podłości, co stanowiło zasadniczą różnicę.

- Nic takiego - odparł Jack.

- Jeśli tak wyglądasz od niczego, to może powinieneś o czymś pomyśleć, synku.

- Aż tak źle wyglądałem, co? - zapytał Jack, słabo się uśmiechając.

Świadomie przestał zważać na to, jakim językiem się posługuje - przynajmniej w tej chwili - i może właśnie dlatego handlarz dywanami nie zauważył niczego dziwnego czy niepoprawnego w jego wymowie.

- Wyglądałeś, chłopaku, jakbyś miał tylko jednego przyjaciela po tej stronie księżycy i właśnie zobaczył, że z północy przyszedł Dzikie Białe Wilk i pożarł go srebrną łyżką.

Jack zdobył się na wąty uśmiech. Handlarz dywanami odwrócił się i zdjął coś z niewielkiej gabloty po prawej stronie największej makatki - coś owalnego z krótką rączką. Gdy się odwracał, zabłysło w tym odbicie słońca - okazało się, że to lustro. Jackowi wydało się małe i tanie - takie, jakie można dostać za przewrócenie wszystkich trzech drewnianych butelek w wesołym miasteczku.

- Masz, chłopcze - powiedział handlarz. - Przejrzyj się i sam powiedz, czy nie mam racji.

Jack popatrzył w lustro i otworzył usta, przez chwilę tak oszołomiony, że jego serce pewnie zapomniało o normalnym rytmie. Był to on, jednak wyglądał jak postać z Wyspy Przyjemności w disnejowskiej wersji "Pinokia", w której nadmiar bilardu i cygar zamieniał chłopców w osły. Jego oczy, zwykle tak niebieskie i okrągłe dzięki anglosaskim genom, nabrały kształtu migdałów i brązowej barwy. Włosy, nieporządnie splątane i opadające na środek czoła, prezentowały się zdecydowanie jak grzywa. Uniósł rękę, by je odgarnąć, i dotknął gołej skóry - chociaż w lustrze palce znikły pod kosmykami. Najbardziej zdumiewające były długie jak u osła uszy, kończące się pod linią szczęki. Raptem zobaczył, że jedno z nich zastrzygło.

MIAŁEM coś takiego! - pomyślał nagle Jack.

Po chwili przyszła mu do głowy druga myśl: Miałem coś takiego w Snach Na Jawie. W zwyczajnym świecie było to... było to...

Miał wtedy na pewno nie więcej niż cztery lata. W zwyczajnym świecie (nawet nie zauważył, kiedy przestał go nazywać prawdziwym światem) była to wspaniała, wielka kulka z różanym środkiem. Gdy bawił się nią któregoś dnia, stoczyła się po cementowej drodze przed domem i nim zdołał ją złapać, wpadła przez kratę do kanału. Stracił ją - na zawsze, tak mu się wtedy wydawało, gdy siedział na krawężniku i szlochał z twarzą wciśniętą w brudne ręce. Okazało się jednak, że stara zabawka nie znikła - oto ją odnalazł, równie wspaniałą jak wtedy, gdy miał trzy czy cztery lata. Uśmiechnął się z zachwytem. Odbicie się zmieniło: Jack Osioł stał się Jackiem Kotem, o twarzy mądrej i pełnej tajemniczego rozbawienia. Oczy przestały być brązowe jak u osła, stały się zielonkawe jak u kocura. Spiczaste, pokryte szarym futerkiem uszka sterczały czujnie tam, gdzie przed chwilą zwisały smętne osłe słuchy.

- Już lepiej - powiedział sprzedawca. - Lepiej, mój synu. Lubię szczęśliwych chłopców. Szczęśliwy chłopiec to zdrowy chłopiec, a zdrowy chłopiec potrafi odnaleźć własną drogę przez świat. Tak jest napisane w Księdze Dobrej Uprawy, a jeśli nie, to powinno być. Mogę to naskrobać w Księdze, jeśli kiedykolwiek uciulam dość grosza z mojej grządki dyń, żeby ją sobie kupić. Chcesz to szkiełko?

- Tak! - zawołał Jack. - Tak, wspaniale! - Sięgnął po pieniądze patyki, zapominając o oszczędności. - Ile?

Handlarz zmarszczył brwi i rozejrzał się szybko, czy nikt na nich nie patrzy.

- Schowaj je, mój synu. Wetknij je głęboko, bo tak trzeba. Pokażesz grosiwo, stracisz je żywo. Na targowisku pełno doliniarzy.

- Kogo?

- Nieważne. To za darmo. No, weź. Połowa z nich i tak mi się tłucze w wozie, kiedy w dziesiętniku zabieram je wozem do składu. Mamuśki przyprowadzają swoje pociechy i oglądają, ale w końcu ich nie kupują.

- Cóż, przynajmniej pan się tego nie wypiera - odparł Jack.

Handlarz popatrzył na niego z niejakim zaskoczeniem, po czym obaj wybuchli śmiechem.

- Szczęśliwy chłopiec z niewyparzoną gębą - rzekł sprzedawca. - Przyjedź mnie odwiedzić, kiedy będziesz starszy i śmielszy, mój synu. Weźmiemy twą buzię, ruszymy na luzie i potroimy, co zarobimy.

Jack zachichotał. Gadka faceta brzmiała lepiej niż rapowa płyta Sugarhill Gang.

- Dziękuję - powiedział (a na pyszczku kota w odbiciu pojawił się wielgachny, niemożliwy uśmiech). - Dziękuję bardzo!

- Podziękuj za mnie Bogu - powiedział sprzedawca... oraz dodał jakby po namyśle: - I pilnuj swojej kiesy!

Jack ruszył dalej, wetknąwszy lusterko-zabawkę starannie pod kaftan obok butelki od Speedy'ego.

Po kilku minutach sprawdził, czy na pewno patyki są na swoim miejscu.

Podjeżdżał, że mimo wszystko wie, kim są doliniarze.

3

Dwa stoiska od straganu rymującego handlarza dywanami mężczyzna o zdeprawowanym wyglądzie, z krzywo założoną przepaską na oku i roztaczającym się wokół niego odorem mocnego trunku starał się sprzedać wieśniakowi dużego koguta. Wmawiał chłopu, że jeśli go kupi i dopuści do kur, to przez następne dwanaście miesięcy będzie miał wyłącznie jajka z dwoma żółtkami.

Jack jednakże nie zwracał uwagi ani na koguta, ani na zachęty sprzedawcy. Dołączył do tłumu dzieci gapiących się na główną atrakcję jednonokiego - papugę w wielkiej wiklinowej klatce. Ptak był prawie tak wysoki jak najmłodsze dziecko w grupce; miał gładkie, ciemnowozielone upierzenie, jak butelka heinekna. Oczy papugi skrzyły się jak złoto... wszystkie cztery. Podobnie jak muł w stajni pawilonu, ptak miał dwie głowy. Ścisnął poręcz wielkimi, żółtymi łapami i spokojnie rozglądał się w dwie strony naraz; dwa kosmate czuby niemal stykały się ze sobą.

Ku uciesze dzieciarni papuga rozmawiała ze sobą - jednak nawet mimo zdumienia Jack zauważył, że chociaż dzieci wsłuchiwały się pilnie w jej słowa, nie wydawały się ani oszołomione, ani nawet zbytnio zdziwione - nie jak maluchy siedzące po raz pierwszy w życiu w kinie, z idiotycznymi minami i wybałuszonymi oczyma, wciśnięte w fotele. Zachowywały się raczej jak nałogowi bywalcy zwykłego, cosobotniego pokazu kreskówek. Istotnie, była w nich ciekawość, ale nie taka, jak przy pierwszym razie - a komu cuda błędną szybciej niż bardzo młodym?

- Bauuurk! Jak wysoko jest góra? - zapytała Wschodnia Głowa.

- Tak, jak nisko jest dół - odpowiedziała Zachodnia Głowa, a dzieci zachichotały.

- Graaak! Jaka jest wielka prawda o szlachcicach? - zadała kolejne pytanie Wschodnia Głowa.

- Że król całe życie będzie królem, ale każdemu innemu wystarczy raz być rycerzem - odpowiedziała zawadiacko Zachodnia Głowa.

Jack uśmiechnął się, a kilka starszych dzieci się roześmiało, lecz młodsze najwidoczniej niczego nie rozumiały.

- A co jest w szafce pani Spratt? - sformułowała kolejne pytanie Wschodnia Głowa.

- Widok, jakiego żaden mężczyzna nie powinien oglądać - odrzekła Zachodnia Głowa i chociaż Jack nic z tego nie pojął, dzieci zaniosły się śmiechem.

Papuga z powagą poprawiła łapki na poręczy i ozdobiła odchodami słomę na dnie klatki.

- A co przestraszyło na śmierć Alana Destry'ego w nocy?

- Zobaczył swoją żonę - grouuuk! - gdy wychodziła z kąpieli!

Wieśniak już odchodził, a jednooki sprzedawca nadal był właścicielem koguta. Obrócił się z furią w stronę dzieciarni.

- Wynocha! Wynocha, zanim skopię wam dupska!

Dzieci się rozpierzchły. Jack odszedł za nimi, rzucając na ostatek pełne zadumy spojrzenie na cudowną papugę.

4

Przy kolejnym stoisku Jack dał dwie drewniane gałki za jabłko i chochlę mleka - najśłodsze, najgęstsze mleka, jakiego kiedykolwiek popróbował. Pomyślał, że gdyby takie mleko było w jego świecie, firmy Nestle i Hershey zbankrutowałyby w ciągu tygodnia.

Właśnie dopijał mleko, kiedy zobaczył idącą w jego stronę rodzinę Henrych. Oddał chochlę straganiarce, która dała dowód skąpstwa, zlewając reszkę do wielkiego drewnianego antałka stojącego obok. Jack ruszył spiesznie, ocierając wąsy z mleka i bojąc się, czy ten, kto pił z chochli przed nim, nie miał trądu, opryszczki czy czegoś w tym stylu. Nie wiedzieć czemu czuł jednak, że tak straszne rzeczy się tu nie zdarzają.

Powędrował główną aleją targowiska, mijając mimów, dwie tłuste kobiety handlujące garnkami i patelniami (Tupperware\*[\*Nazwa koncernu produkującego akcesoria domowe.] Terytoriów, pomyślał Jack i się uśmiechnął), znów cudowną, dwugłową papugę (jej jednooki właściciel pił teraz bez żadnego skrępowania prosto z glinianej flaszki, zataczał się od końca do końca straganu, trzymał wyraźnie ogłuszonego koguta za szyję i wrzeszczał wojowniczo na jakiegoś przechodnia - Jack skrzywił się z niesmakiem, widząc, że żyłaste ramię mężczyzny pokrywają ptasie odchody), wreszcie otwartą przestrzeń, na której zebrali się

wieśniacy. Przystanął tu na chwilę z zaciekawieniem. Wielu chłopów paliło gliniane fajki; Jack zobaczył też, że z rąk do rąk przechodzi kilka glinianych butelek, takich samych jak u sprzedawcy ptactwa. Na długim, porośniętym trawą polu mężczyźni przyprzęgali wielkie, włochate konie o spuszczonej łbach i łagodnych, głupkowatych ślepiach do wielkich głązów.

Jack minął stragan z dywanami. Handlarz na jego widok podniósł rękę. Jack odpowiedział takim samym gestem i zastanowił się, czy nie zawołać "Tak trzymaj, człowieku, ale nie przegnij!" - ale uznał, że lepiej tego nie robić. Nagle zdał sobie sprawę, że ogarnął go smutek. Znowu poczuł, że jest obcym, outsiderem.

Dotarł do skrzyżowania dróg. Ta, która wiodła na północ i południe, była niewiele szersza od polnej drogi. Szlak Zachodni był o wiele szerszy.

Stary dobry Jack Wędrowniczek, pomyślał i zmusił się do uśmiechu. Wyprostował ramiona i usłyszał stuknięcie butelki od Speedy'ego w lusterko. Oto stary dobry Jack Wędrowniczek, przemierzający Terytorialną wersję autostrady międzystanowej 1-90. Nie zawiedźcie mnie teraz, stopy!

Ruszył dalej i wkrótce pochłonął go wielki, senny kraj.

5

Około czterech godzin później, w środku popołudnia, Jack usiadł w wysokiej trawie przy drodze i patrzył, jak grupka ludzi - z tej odległości wyglądających na nie większych od owadów - wspina się na wysoką wieżę, sprawiającą wrażenie rozchwierutanej. Wybrał to miejsce na odpoczynek i zjedzenie jabłka, ponieważ właśnie stąd było najbliżej do wieży. Znajdowała się w odległości co najmniej trzech mil (być może dalej - niemal nadnaturalna przejrzystość powietrza sprawiała, że wyjątkowo trudno było ocenić dystans), chociaż chłopiec dostrzegł ją co najmniej godzinę wcześniej.

Jack zjadł jabłko, wyciągnął strudzone nogi i zastanawiał się, do czego może służyć wieża stojąca w całkowitym odosobnieniu pośród bezmiaru kołyszącej się trawy. Od czasu gdy opuścił targowisko, dął wiatr. Wieża znajdowała się po nawietrznej stronie Jacka, ale gdy tylko szum cichł na chwilę, chłopiec słyszał wołania tamtych ludzi... i śmiech. Nieustający śmiech.

Mniej więcej pięć mil od targowiska Jack przeszedł przez wioskę - jeśli ta definicja obejmowała pięć małych chat i najwyraźniej od dawna zamknięty sklepik. Od tamtej pory nie widział więcej ludzkich siedzib. Zanim jeszcze ujrzał wieżę, zastanawiał się nawet, czy nie dotarł do Rubieży, nie zdając sobie z tego sprawy. Przypominał sobie dokładnie słowa kapitana Farrena o Szlaku Zachodnim: *Za Rubieżami prowadzi donikąd... albo do piekła... Słyszałem jednak, że nawet Bóg nigdy nie zapuszcza się poza Rubieże.*

Jack lekko zadrżał.

W gruncie rzeczy nie przypuszczał, by dotarł tak daleko. Z pewnością nie czuł wcale narastającego niepokoju, jakiego doznał, zanim zabrnął pomiędzy ruchome drzewa, kiedy starał się ukryć przed karocą Morgana... Ożywione drzewa wydawały się mu teraz prologiem do tego wszystkiego, co spotkało go w Oatley.

W istocie odżyły w nim dobre uczucia, jakich doznawał od chwili przebudzenia się w ciepłym, zapewniającym wygodę stogu siana do momentu, gdy wieśniak Henry kazał mu zeskoczyć z wozu; miał wrażenie, że Terytoria bez względu na to, jakie zło mogło się w nich czaić, były zasadniczo dobre, a on może znaleźć tu sobie miejsce zawsze, gdy tylko zechce... w rzeczywistości nie jest tu obcy.

Zdał sobie sprawę, że przez długie okresy naprawdę był obywatelem Terytoriów. Gdy tak szedł niespiesznie Szlakiem Zachodnim, przyszła mu do głowy osobliwa myśl, sformułowana częściowo po angielsku, a częściowo w mowie Terytoriów: *Kiedy śnię, WIEM, że to sen tylko wtedy, gdy zaczynam się budzić. Jeśli śnię i obudzę się od razu - gdy zadzwoni budzik czy coś w tym rodzaju - jestem najbardziej zaskoczonym człowiekiem na świecie. Z początku to jawa wydaje się snem. Gdy śpię głęboko, nie jestem obcy tutaj, po tej stronie - czy o to mi chodziło? Niezupełnie, ale niemal. Założę się, że mój tata bardzo często śnił głęboko. Założę się też, że wujowi Morganowi nie zdarzało się to prawie nigdy.*

Postanowił, że napije się z butelki Speedy'ego i przeskoczy na drugą stronę, gdy tylko zobaczy coś potencjalnie groźnego... nawet jeśli to coś będzie tylko strasznie wyglądało. Jeżeli nie, to będzie wędrował tutaj przez cały dzień i dopiero na noc przeniesie się do stanu Nowy Jork. W istocie kusilo go, by spędzić noc w Terytoriach, tyle że miał do jedzenia wyłącznie jabłko. A nie mógł liczyć, że przy szerokim, opustoszałym Szlaku Zachodnim znajdzie sklep sieci 7-Eleven czy Stop-'n-Go.

Gdy tylko Jack minął ostatnią osadę, otaczające skrzyżowanie stare drzewa i targowisko ustąpiły miejsca otwartym łąkom rozciągającym się po obu stronach drogi. Zaczynał czuć się tak, jakby przemierzał nieskończony pomost, biegnący przez środek bezkresnego oceanu. Wędrował tego dnia samotnie pod jasnym, słonecznym niebem, ale było

chłodno (koniec września - pewnie, że jest chłodno, pomyślał, chociaż słowem, którym się posłużył, nie był “wrzesień”, ale termin z Terytoriów, dający się przetłumaczyć jako dziewiątnik). Nie minął ani jednego pieszego, ani jednego załadowanego czy pustego wozu. Wiatr dał dość równo, a po oceanie traw niósł się niski, przypominający westchnienie odgłos, jesienny i wywołujący poczucie osamotnienia. Od podmuchów po łąkach przebiegały wielkie zmarszczki.

Gdyby chłopca zapytać “Jak się czujesz, Jack?”, odpowiedziałby: “Dziękuję, całkiem dobrze. Pogodnie”. Pogodnie - takie właśnie określenie przyszyłoby mu do głowy, gdyby pytanie padło podczas wędrówki przez opustoszałe łąki. Na miejscu byłoby również słowo “zachwyty”, ale jego angielska wersja - *rapture* - kojarzyła mu się raczej z tytułem przeboju rockowej grupy Blondie. Zdumiałby się, gdyby usłyszał, że kilka razy płakał, gdy zatrzymywał się, by przyglądać się biegnącym w stronę horyzontu po trawach wielkim zmarszczkom. Chłonał widok, jaki mogły obserwować jedynie nieliczne amerykańskie dzieci jego czasów - wielkich, pustych połaci ziemi pod niebieskim, oszłamiająco szerokim i głębokim (i - tak, nawet długim) niebem. Było to niebo, którego kopuły nie poznały ani smugi kondensacyjne odrzutowców, ani ciemne jak sadza kłęby smogu.

Całkowicie nowe widoki, odgłosy i wonie bardzo pobudzały zmysły Jacka - równocześnie po raz pierwszy zabrakło innych bodźców, do których już dawno temu się przyzwyczał. Pod wieloma względami był bardzo wyrafinowanym dzieckiem - wychowanym z rodziną w Los Angeles, przez ojca agenta i matkę aktorkę. Dziwne byłoby, gdyby okazał się naiwny - ale mimo wszystko był jeszcze dzieckiem, wyrafinowanym czy nie, co stanowiło niezaprzeczalną korzyść... przynajmniej w takiej sytuacji. Dzień samotnej wędrówki przez trawiasty bezmiar u dorosłego z pewnością doprowadziłby do przeciążenia zmysłów, być może nawet halucynacji i uczucia obłądu. Dorosły zacząłby grzebać w poszukiwaniu butelki Speedy’ego - przypuszczalnie palcami zbyt rozdygotanymi, by pewnie ją schwycić - godzinę po wyjściu z targowiska, może nawet szybciej.

U Jacka pobudzenie przenikało przez świadomość, nie pozostawiając w niej nawet śladu. Trafiało jednak do podświadomości, więc kiedy poczuł do reszty błogość i zaczął płakać, naprawdę nie zdawał sobie sprawy ze swoich łez (z wyjątkiem chwilowego dwojenia przed oczyma, które przypisywał potowi) i pomyślał jedynie: Jezu, jak mi dobrze... powinno być strasznie, bo nikogo dookoła nie ma, ale wcale tak nie jest.

Dlatego właśnie Jack traktował swój zachwyty jako nic więcej niż pogodę ducha. Szedł samotnie Szlakiem Zachodnim, a jego cień wydłużał się coraz bardziej. Nie wpadło mu do głowy, że przynajmniej w części jego emocjonalne uniesienie mogło wynikać z faktu, iż



niecałe dwanaście godzin wcześniej był więźniem “Updike’s Oatley Tap” (wciąż miał na rękach krwawe bąble od ostatniej beczki, którą przygniół sobie palce); iż niecałe dwanaście godzin temu uciekł - ledwie! - przed jakąś morderczą bestią, którą zaczął nazywać w myślach kozłolakiem; że po raz pierwszy w życiu znalazł się na szerokiej, otwartej drodze, na której nie było nikogo prócz niego. Nigdzie nie było widać reklam Coca-coli ani billboardów Budweisera ze Światowej Sławy Rodziną Clydesdale’ow; wszędobylskie druty nie biegły po żadnej stronie traktu ani nie krzyżowały się nad nim, jak było w przypadku każdej drogi, jaką Jack widział w swoim życiu; nie było nawet odległego grzmotu boeingów 747, zniżających się nad lotniskiem LAX, ani F-111, stale startujących z bazy marynarki powietrznej w Portsmouth, a następnie nad Alhambrą przekraczających prędkość dźwięku z trzaskiem podobnym do tego, który wydawał pejcz Osmonda. Jack słyszał tylko odgłos swoich kroków na drodze i rytm oddechu.

Jezu, jak mi dobrze, pomyślał, nieuważnie ocierając oczy i uznając mylnie, że to “pogoda ducha”.

6

Do tego wszystkiego doszła wieża, teraz ją oglądał i się zastanawiał.

Rany, nikt by mnie nie zmusił, żebym na nią wlaź, pomyślał Jack. Obgryzł doszczętnie jabłko i nie zastanawiając się nawet nad tym, co robi, ani nie odrywając wzroku od wieży, wykopał palcami dołek w zbitej, sprężystej glebie i zagrzebał resztkę owocu.

Wieża wyglądała na zbudowaną z długich desek; Jack oceniał, że ma co najmniej pięćset stóp wysokości. Została postawiona na planie pustego kwadratu; skrzyżowane bele tworzyły szereg ustawionych na sobie liter X. Szczyt wieńczyła platforma. Zmrużywszy oczy, Jack zdołał dojrzeć, że przechadzało się po niej kilkoro ludzi.

Delikatny podmuch wiatru uderzył w plecy Jacka, który siedział na skraju drogi z podciągniętymi pod piersi kolanami i złożonymi na nich rękoma. Kolejna ze zmarszczek na trawie pomknęła w stronę wieży. Jack wyobraził sobie, jak krucha konstrukcja musi chwiać się na wietrze i poczuł ściśnięcie w żołądku.

NIGDY bym tam nie wszedł, pomyślał. Nawet za milion dolarów.

W tej samej chwili rzeczywiście stało się coś, czego się obawiał od chwili, gdy zobaczył, że na wieży są ludzie: jeden z nich spadł.

Jack poderwał się na równe nogi. Jego usta się rozchyliły, wskutek czego wyglądał jak człowiek będący w cyrku świadkiem wypadku akrobaty, który upada nie tak jak trzeba i leży

zwinięty bezwładnie na ziemi; kobiety, która nie sięga trapezu i pada z łoskotem w siatkę; ludzkiej piramidy, która niespodziewanie się wali, tworząc bezładne kłębowisko ciał.

*Och, kurwa, o rany, och...*

Oczy Jacka nagle się rozszerzyły. Po chwili jeszcze bardziej rozdziawił usta - w istocie żuchwa niemal dotknęła mu mostka. Potem zdołał ją unieść, a na jego ustach pojawił się uśmiech oszołomienia i niedowierzania. Człowiek nie spadł z wieży, nie został też z niej zdmuchnięty. Po obu stronach platformy znajdowały się językowate wypustki - wyglądały jak trampoliny - mężczyzna po prostu doszedł do końca jednej z nich i skoczył. W połowie drogi coś zaczęło się wokół niego rozwijać - spadochron, pomyślał Jack, który na pewno nie zdąży się otworzyć.

Nie był to jednak spadochron.

Tylko skrzydła.

Szybkość spadania mężczyzny zmniejszyła się, a gdy znajdował się pięćdziesiąt stóp nad wysoką trawą, zmaląła do zera. Człowiek poleciał z powrotem w górę, w bok od wieży, wymachując skrzydłami tak energicznie, że niemal stykały się nad nim - jak czuby na głowach papugi lokalnego sobowtóra Henny'ego Youngmana\*[\*Komik amerykański (1906-1998), aktywny od lat trzydziestych do osiemdziesiątych, nazywany królem ripost.] - po czym opadały z niesamowitą mocą, jak ramiona pływaka na ostatnich jardach wyścigu.

Ojeju - jęknął w duchu Jack. To był szczyt; to zakasowało wszystko. Ojeju, popatrzcie tylko, o jeju.

Z trampoliny na szczycie wieży skoczył drugi człowiek, po chwili trzeci i czwarty. W niecałe pięć minut w powietrzu znalazło się z pięćdziesięciu ludzi, wykonywali zawile, ale wyraźne ewolucje: odlot od wieży, ósemka, z powrotem i na drugą stronę, kolejna ósemka, z powrotem do wieży, lądowanie na platformie - i cały program od nowa.

Ludzie krążyli, tańczyli i przecinali sobie drogę w powietrzu. Jack zaczął śmiać się z zachwytem. Przypominało to nieco oglądanie wodnych baletów w filmowych ramotach z Esther Williams. Pływaczki - oczywiście przede wszystkim sama Esther Williams - sprawiały, że wydawało się to bardzo proste, jakbyś sam mógł tak nurkować i wirować w wodzie, jakbyś razem z paroma przyjaciółmi rzeczywiście mógł bez trudu równocześnie skoczyć z przeciwnych stron trampoliny i po zsynchronizowanym wejściu w wodę stworzyć ludzką fontannę.

Tutaj było jednak inaczej. Fruwający wokół wieży ludzie nie sprawiali wrażenia, że przychodzi im to bez żadnego wysiłku - widać było, że zużywają mnóstwo energii, by utrzymać się w powietrzu. Jack poczuł z nagłą pewnością, że to bolało, tak jak niektóre

ćwiczenia na lekcjach wychowania fizycznego - na przykład nożyce czy skłony do prostych kolan. Bez pracy nie ma kołaczy! - wołał nauczyciel, gdy ktoś śmiał się poskarżyć.

Jackowi przyszło do głowy coś jeszcze - wspomniał, jak matka zabrała go do swojej przyjaciółki Myrny, która była tancerką baletową i ćwiczyła w studiu na poddaszu, w dolnej części Wilshire Boulevard. Myrna wchodziła w skład grupy tanecznej. Jack widział ich występy - matka często zmuszała go, by z nią chodził, chociaż były zwykle nudne jak kościół czy edukacyjny "Sunrise Semester" w telewizji. Nigdy jednak nie widział Myrny ćwiczącej... i nigdy z tak bliska. Zrobiła na nim wrażenie i nieco przeraziła różnica między występem na scenie, gdzie każdy zdawał się ślizgać czy drobić bez wysiłku na czubkach palców baletek, a przyglądaniem się temu z odległości niecałych pięciu stóp, w surowym dziennym świetle wlewającym się przez sięgające od podłogi do sufitu okna, i bez akompaniamentu muzyki. Ćwiczeniom towarzyszyło jedynie rytmiczne klaskanie choreografa i jego głośne, krytyczne okrzyki. Nie padały pochwały, słychać było wyłącznie nagany. Po twarzach tancerek lał się pot. Kostiumy nim przesiąkały. Potem cuchnęła cała sala, chociaż była wielka i przewiewna. Gładkie mięśnie drżały i trzepotały na granicy wyczerpania. Postronki ścięgien wystawały jak izolowane przewody. Pulsujące żyły występowały na czoła i szyje. Z wyjątkiem klaskania choreografa i jego gniewnych, karcących okrzyków, słyszało się tylko "trup-lup" rąbiących w podłogę czubków baletek i chrapliwe, udręczone ziajanie. Do Jacka nagle dotarło, że tancerki nie tylko zarabiają na życie, ale i się zabijają. Przede wszystkim zostały mu w pamięci ich miny - pełna koncentracja mimo znużenia, cały ten ból... ale widział też coś, co nad nimi górowało, a przynajmniej kręciło się gdzieś po obrzeżach tych emocji: radość. W oczach tancerek dostrzegał bez wątplenia radość, co go wystraszyło, bo wydawało się niewytlumaczalne. Kim trzeba być, żeby robić sobie dobrze, poddając się tak ustawicznej, przygniatającej, niemiłosiernej udręce?

Pomyślał, że teraz też widzi ból. Czy to prawdziwi skrzydlaci ludzie, jak ptasia rasa w starych odcinkach "Flasha Gordona", czy też skrzydła były raczej spod znaku Ikara i Dedala - przypasywane? Jack doszedł do wniosku, że nie ma to większego znaczenia... przynajmniej dla niego.

*Radość.*

*Żyją pośród tajemnicy... ci ludzie żyją pośród tajemnicy.*

*Właśnie radość podtrzymuje ich na duchu.*

Było to najistotniejsze. Właśnie radość utrzymywała tych ludzi w powietrzu, bez względu na to, czy skrzydła wyrastały z ich pleców, czy trzymały się na sprzączkach i rzemieniach. Nawet mimo sporej odległości Jack widział, że to ten sam rodzaj wysiłku,

jakiemu przyglądał się tamtego dnia na poddaszu przy Wilshire Boulevard. Cały niezmierny wydatek energii, by uzyskać wspaniałe odwrócenie praw natury. Przykre, że takie odwrócenie wymagało tak wiele i trwało tak krótko; to, iż ludzie mimo wszystko do tego dążyli, było straszne i cudowne zarazem.

A poza tym to tylko zabawa, pomyślał Jack i nagle poczuł, że tak właśnie jest. Zabawa, a może nawet nie - może to tylko trening przed grą. tak jak pot i drzenie z wyczerpania na poddaszu w Wilshire też były tylko próbą. Próbą przedstawienia, na które pewnie przyjdzie niewielu ludzi i które wkrótce zdejną z afisza.

Radość, pomyślał znowu Jack; stał z twarzą zwróconą ku górze i przyglądał się latającym w oddali ludziom, czując omiatający mu czoło wiatr. Czas jego niewinności szybko dobiegał kresu (gdyby go przycisnąć, niechętnie potwierdziłby, że czuje jego zbliżanie - chłopiec nie mógł długo wędrować, nie mógł przejść wielu takich doświadczeń jak to, które spotkało go w Oatley, i liczyć na zachowanie niewinności), lecz w takich momentach jak ten, gdy wpatrywał się w niebo, niewinność wydawała się spowijać go jak młodego rybaka podczas krótkiej chwili objawienia w wierszu Elizabeth Bishop: wszystko było tęczą, tęczą, tęczą.

*Radość - do diabła, ale to pogodne słówko.*

Czując się tak dobrze, jak nie czuł się od chwili, gdy wszystko się zaczęło - a Bóg jeden wiedział, jak dawno to było - Jack energicznym krokiem ruszył dalej Szlakiem Zachodnim, a na twarzy miał niemądry, wspaniały uśmiech. Co jakiś czas oglądał się przez ramię; jeszcze bardzo długo widział latających ludzi. Powietrze Terytoriów było tak przejrzyste, że zdawało się niemal powiększać. Nawet kiedy Jack nie mógł ich już dostrzec, uczucie radości towarzyszyło mu nadal, jak tęcza w jego głowie.

7

Gdy zaczęło zachodzić słońce, Jack zdał sobie sprawę, że odkłada powrót do swojego świata - do swojego świata, do amerykańskich Terytoriów - i to nie tylko ze względu na obrzydliwy smak magicznego napitku. Odsuwał go, bo nie chciał stąd odchodzić.

Przez łąki wił się strumyk (zaczęły się pojawiać niewielkie kępy drzew - rozłożystych, z wierzchołkami osobliwie spłaszczonymi jak u eukaliptusów), który w tym miejscu skręcał w prawo, tak że płynął tuż przy drodze. Nieco dalej i po prawej widniało duże jezioro. W istocie było tak wielkie, że dopiero godzinę temu Jack zorientował się, że to nie kawałek

nieba o nieco bardziej błękitnym odcieniu. Wielkie jezioro, pomyślał, uśmiechając się. Przypuszczalnie w drugim świecie jest to jezioro Ontario.

Czuł się dobrze. Zmierzał we właściwym kierunku - może trochę za bardzo na północ, nie miał jednak wątpliwości, że niedługo Szlak Zachodni skręci w odpowiednią stronę. Uczucie niemal maniakalnej radości - które sam określał mianem pogody ducha - złagodniało, przechodząc w uroczy spokój, uczucie równie klarowne jak powietrze Terytoriów. Jedno tylko kalało ten błogostan - wspomnienie

*(szczęść, ma szczęść lat, Jack miał szczęść lat)*

o Jerry'ego Bledsoe. Dlaczego umysł tyle go umęczył, nim wykrztusił to wspomnienie?

*Nie-nie wspomnienie... dwa wspomnienia. Pierwsze: jak usłyszałem z Richardem, gdy pani Feeny powiedziała do swojej siostry, że elektryka wyszła i go usmażyła, że okulary stopiły się mu na nosie, że słyszała, jak pan Sloat tak właśnie powiedział przez telefon... i drugie: jak siedziałem za kanapą, w gruncie rzeczy nie zamierzając szpiegować czy podsłuchiwać, i usłyszałem, jak ojciec mówi: "Wszystko ma konsekwencje, a niektóre z nich mogą być raczej nieprzyjemne". Jerry'ego Bledsoe z pewnością spotkało coś nieprzyjemnego, prawda? Kiedy okulary topią ci się na nosie, istotnie można powiedzieć, że spotkało cię coś nieco nieprzyjemnego...*

Jack zatrzymał się, a raczej zamarł w miejscu.

*Co chcesz powiedzieć?*

*Wiesz, co chcę powiedzieć, Jack. Twój ojciec zniknął tego dnia - i on, i Morgan. Byli po tej stronie. Gdzie po tej stronie? Myślę, że w tym samym miejscu, gdzie po drugiej stronie znajdowało się ich biuro w amerykańskich Terytoriach. Coś tam zrobili, a przynajmniej zrobił któryś z nich. Może coś wielkiego, może nic poważniejszego niż rzut kamieniem... czy zagrzebanie w ziemi ogryzka po jabłku. W jakiś sposób... wzbudziło to tam echo. Takie echo, że wskutek tego zginął Jerry Bledsoe.*

Jack zadrzał. Och, tak, chyba domyślał się, dlaczego jego umysł tak długo wzbraniał się przed wykrztuszeniem tego wspomnienia - taksówki-zabawki, szmeru męskich głosów, dmącego w róg Dextera Gordona. Nie chciał go wykrztusić, bo

*(kto bawi się tymi zmianami, tato)*

sugerowało to, że sama jego obecność tutaj może powodować straszne rzeczy w drugim świecie. Początek trzeciej wojny światowej? Nie, raczej nie. Nie zamordował ostatnio żadnych królów. Czego jednak trzeba do wzbudzenia takiego echa, które zabiło Jerry'ego Bledsoe? Czy wuj Morgan zastrzelił Dwójnika Jerry'ego (jeśli elektryk go miał)? Starał się przekonać jakąś szychę z Terytoriów do elektryczności? A może chodziło o jakiś drobiazg...

coś nie bardziej wstrząsającego ziemią w posadach niż kupno kawałka pieczeni na wiejskim jarmarku? Kto bawił się tymi zmianami? Co bawiło się tymi zmianami?

Nagle Jackowi zaschło w ustach, jakby wypełniły się solą.

Podszedł do niewielkiego strumyka przy drodze, opadł na kolana i wyciągnął rękę, by nabrać wody. Wtem znieruchomiały mu dłonie. Gładka powierzchnia strumyka nabrała kolorów zbliżającego się zachodu słońca... lecz w te barwy raptownie wlała się czerwień, wskutek czego wydawało się, że obok traktu płynie strumień krwi, nie wody. Po chwili woda szerniała. Jeszcze moment później stała się przezroczysta, a Jack zobaczył...

Wymknęło się mu ciche piśnienie, gdy ujrzał toczącą się Szlakiem Zachodnim karoceę Morgana, ciągniętą przez trzynastkę spienionych koni z czarnymi pióropuszcami. Z prowadzącą niemal do omdlenia grozą chłopiec przyjrzał się bliżej nieustannie wywijającemu batem woźnicy, który stał na wysokim pomoście, opierając wysokie buty na chlapaczu. Był to Elroy. Bat nie tkwił jednak w dłoni, lecz czymś na kształt kopyta. To Elroy powoził tym koszmarnym pojazdem, Elroy uśmiechający się ustami pełnymi martwych kłów, Elroy niemogący się doczekać odnalezienia Jacka Sawyera, któremu rozpruje brzuch i wyciągnie trzewia.

Jack klęczał nad strumykiem z wytrzeszczonymi oczyma i drżącymi ze zgrozy ustami. W swojej wizji dojrzał jeszcze jedno - nic wielkiego, ale coś, czego następstwa były najbardziej przerażające. Ślepią koni wydawały się jarzyć. Gorzały, bo prześwietlał je blask - blask zachodzącego słońca.

*Karoca jechała na zachód tą samą drogą... jego śladem.*

Jack odpełznął od strumyka, niepewny, czy w ogóle zdołałby się podnieść. Dobrnął chwiejnie do drogi i padł płasko na ziemię. Butelka od Speedy'ego i lusterko od handlarza dywanami wbiły się mu w brzuch. Obrócił głowę bok i przycisnął z całej siły prawy policzek i ucho do powierzchni Szlaku Zachodniego.

Usłyszał niosący się przez twardą, suchą ziemię równy łoskot. Dobiegł z oddali... lecz się zbliżał.

Elroy na pomoście... Morgan w środku. Morgan Sloat? Morgan z Orris? Nieważne - obaj byli tym samym człowiekiem.

Jack wyrwał się z wysiłkiem spod hipnotycznego wpływu podziemnego łoskotu i wstał. Spod kaftana wyjął butelkę od Speedy'ego - taką samą w Terytoriach i w USA. Wyciągnął mech z szyjki najdokładniej, jak mógł, nie przejmując się, że jego okruchy posypały się do resztki zawartości - płynu zostało najwyżej parę cali. Obejrzał się nerwowo w lewo, oczekując, że czarna karoca wyłoni się zza horyzontu, ciągnięta przez konie z

prześwielonymi przez zachód słońca, gorejącymi jak latarnie ślepiami. Oczywiście niczego takiego nie zobaczył. Horyzont w Terytoriach był bliżej - Jack zauważył to już wcześniej - a dźwięk niósł się dalej. Karoca Morgana była dziesięć, może nawet dwadzieścia mil na zachód.

Wciąż depcze mi po piętach, pomyślał Jack i podniósł butelkę do warg. Za ledwie na sekundę, zanim zaczął pić, usłyszał w myślach krzyk: Hej, zaczekaj chwilę! Zaczekaj, matole, chcesz zginąć? Fajnie by wyglądał, gdyby stercząc na środku Szlaku Zachodniego, przeskoczył do drugiego świata i wylądował również na środku drogi, nieprawdaż? Zaraz by go pewnie przejechała rozpedzona ciężarówka czy furgonetka UPS.

Jack niezdarnie przeszedł na skraj traktu... po czym na wszelki wypadek wlaź jeszcze dziesięć czy dwadzieścia kroków w sięgającą ud trawę. Po raz ostatni odetchnął głęboko, czując słodką woń Terytoriów i starając się zapamiętać to uczucie spokoju... uczucie tęczy.

Nie mogę zapomnieć, jak mi było, pomyślał. To ważne... niewykluczone, że długo tu nie wrócę.

Rozejrzał się po łąkach, ciemniejących w obliczu zakradającej się ze wschodu nocy. Zrywał się coraz większy wiatr, przejmujący chłodem, lecz nadal wonny. Kotłował chłopcu włosy - i tak już splątane - podobnie jak wzburzał trawę.

*Jesteś gotów, Jack-O?*

Przymknął oczy. Przygotował się na ohydny smak i pewne wymioty.

- Banzai - szepnął i wypił łyk.

Zwymiotował cienką, purpurową stróżkę napitku, z twarzą zaledwie kilka cali od trawy pokrywającej długi stok, który opadał w stronę czteropasmowej autostrady. Potrząsnął głową i osunął się w tył. Świat - ten świat - cuchnął. Jack odepchnął się jeszcze dalej od ściekających po trawie nitek wymiocin; smród się zmienił, ale nie zmniejszył. W powietrzu unosiła się woń benzyny i innych bezimiennych trucizn. Sama atmosfera cuchnęła wyczerpaniem i zmęczeniem - nawet dobiegające z autostrady ryki zdawały się dobijać to powietrze. Nad głową chłopca górowała widziana od tyłu tablica, kojarzyła się z gigantycznym ekranem telewizyjnym. Jack dźwignął się chwiejnie na nogi. Daleko po drugiej stronie autostrady lśnił bezkresny zbiornik wodny, tylko trochę mniej szary niż niebo. Po powierzchni przemykała w nieokreślony sposób złowroga luminescencja. Z tej strony niósł się także odór metalowych opiłków i zmęczonego oddechu. Jezioro Ontario, a przycupniętym nad nim miasteczkiem było pewnie Olcott lub Kendall. Jack zboczył daleko z drogi - stracił co najmniej sto mil oraz cztery i pół dnia. Przeszedł pod tablicą, mając nadzieję, że nie jest jeszcze gorzej. Podniósł wzrok i odczytał czarne litery. Otarł usta. ANGOLA. Angola? Gdzie to było? Zapatrzył się na zadymione miasteczko. Pomału przyzwyczajał się do tutejszego powietrza.

Rand McNally, nieoceniony towarzysz, powiedział mu, że połączyć wody po drugiej stronie drogi to w istocie jezioro Erie - Jack nie stracił, lecz zyskał kilka dni drogi.

Zanim jednak chłopiec uznał, że najrozsądniej będzie przeskoczyć w Terytoria, gdy tylko wyda mu się to bezpieczne - to znaczy, gdy tylko karoca Morgana przetoczy się przez miejsce, w którym się znajdował - zanim zdołał to uczynić, zanim zdołał się choćby nad tym zastanowić, postanowił zejść do zadymionego miasteczka i dowiedzieć się, czy tym razem Jack Sawyer, Jack-O, zabawiał się którąkolwiek z tych zmian. Zaczął schodzić ze stoku - dwunastolatek w dzinsach i kraciastej koszuli, wysoki jak na swój wiek, już zaczynający nabierać zaniedbanego wyglądu. Na jego twarzy nagle pojawiła się aż za wielka troska.

W połowie długiego zbocza zdał sobie sprawę, że znowu myśli po angielsku.



Wiele dni później i daleko na zachód Buddy Parkins, który właśnie wyjechał z Cambridge w stanie Ohio autostradą US 40 i zatrzymał się, by zabrać wysokiego chłopca, przedstawiającego się jako Lewis Farren, zobaczył na jego twarzy troskę - dzieciak wyglądał, jakby zmartwienie zaczęło na dobre wnikać w jego rysy. *Rozchmurz się, synu, chociażby dla własnego dobra, jeśli nie dla kogokolwiek innego*, miał ochotę powiedzieć Buddy. Z opowieści chłopca wynikało jednak, że swoimi kłopotami mógłby obdarować dziesięciu ludzi. Chora matka, ojciec nie żył, chłopaka wysłano do ciotki nauczycielki w Buckeye Lake... Lewisa Farrena dręczyły kłopoty. Wyglądał, jakby od ostatniego Bożego Narodzenia nie miał przy duszy więcej niż pięć dolarów. Mimo to... w pewnym momencie Buddy pomyślał, że dzieciak wciska mu kit.

Po pierwsze, pachniał farmą, nie miastem. Buddy Perkins uprawiał z braćmi trzystuakrowe gospodarstwo niedaleko Amanda, około trzydziestu mil na południowy wschód od Columbus. Stąd wiedział, że nie może się mylić. Chłopak na milę zalatywał Cambridge w Ohio, a tutaj była wiejska okolica. Buddy wychował się pośród zapachów roli i stodoł, nawozu, rosnącej kukurydzy i upraw groszku, i nieprane ubranie chłopca przesiąkło wszystkimi tymi woniami.

Do tego dochodziło samo ubranie. Pani Farren musiała być strasznie chora, pomyślał Buddy, skoro wyprawiła chłopaka w drogę w porwanych dżinsach, sztywnych od brudu tak, że zmarszczki na nich wydawały się pokryte mosiądzem. Tenisówki Lewisa Farrena rozleciały się prawie do reszty: porwane sznurowadła były w wielu miejscach powiązane, a w każdym bucie ziało po parę dziur.

- A więc zabrali samochód twojego taty, tak, Lewis? - spytał Buddy.

- Tak jak powiedziałem. Zgadza się - wszawie tchórze przyjechały po północy i zabrały go prosto z garażu. Myślę, że nie powinno im być wolno robić czegoś takiego. Nie ludziom, którzy ciężko pracują i naprawdę zamierzają zacząć spłacać raty, kiedy tylko będą mogli, prawda? A pan jak myśli?

Chłopiec zwracał w jego stronę szczerą, opaloną twarz, jakby to była najważniejsza sprawa od przeprosin Nixona czy Zatoki Świń. Instynkty podpowiadały Buddy'emu, że powinien się zgodzić - zresztą byłby skłonny przyznać rację każdemu płynącemu z serca pogładowi, który wyrażał chłopak tak przesiąknięty zapachem pracy na farmie.

- Myślę, że jak się nad tym zastanowić, każda sprawa ma dwie strony - powiedział niezadowolony z siebie Buddy Parkins.

Chłopiec mrugnął, po czym wbił wzrok przed siebie. Buddy znów wyczuł obawę, obłok zmartwienia zdający się wisieć nad chłopcem. Niemal pożałował, że nie przyznał Lewisowi Farrenowi racji, skoro tak mu na tym zależało.

- Domyślam się, że twoja ciocia uczy w podstawówce w Buckeye Lake - rzekł Buddy, mając nadzieję, że przynajmniej częściowo uda mu się rozchmurzyć chłopca, kierując rozmowę na przyszłość, a nie przeszłość.

- Tak, proszę pana. Zgadza się, uczy w podstawówce. Helen Vaughan.

Twarz chłopca nie zmieniła wyrazu. Buddy usłyszał znowu to, co wcześniej - nie uważał się za Henry'ego Higginsa, tego profesorka z "My Fair Lady", ale wiedział z całą pewnością, że młody Lewis Farren nie mówił jak ktoś, kto się wychował w Ohio. Wymowa chłopca była zupełnie inna, głoski zlewały się ze sobą, a intonacja wznosiła się i opadała w całkowicie niewłaściwych miejscach. Nie był to w ogóle głos kogoś z Ohio, a na pewno nikogo z wiejskich okolic tego stanu. Był to akcent.

A może chłopak z Ohio mógł nauczyć się mówić w ten sposób? Bez względu na to, jak obłądny miał po temu powód? Buddy uznał, że to możliwe.

Z drugiej strony gazeta, którą ten cały Lewis Farren przez cały czas ścisnął pod lewą pachą, zdawała się potwierdzać najgłębsze i najgorsze podejrzenia Buddy'ego Parkinsa - iż jego woniejący młody towarzysz uciekł z domu, każde jego słowo było kłamstwem. Nazwa gazety, którą Buddy mógł dojrzeć, jeśli tylko odrobinę przekrzywił głowę, brzmiała "Angola Herald". Była Angola w Afryce, do której mnóstwo Anglików popędziło, by służyć jako najemnicy, ale była też Angola w stanie Nowy Jork - niedaleko, nad jeziorem Erie. Buddy niedawno widział zdjęcia z niej w telewizji - ale nie przypominał sobie dokładnie, o co chodziło.

- Chciałbym cię o coś spytać, Lewis - powiedział i odchrząknął.

- Tak? - odparł chłopiec.

- Jak to się stało, że chłopiec z małej miejsciny przy US 40 ma ze sobą gazetę z Angoli w stanie Nowy Jork? Piekielnie daleko stąd. Po prostu jestem ciekaw, synu.

Chłopiec opuścił wzrok na rozpląszczoną pod pachą gazetę i przycisnął ją jeszcze mocniej, jakby się bał, że może mu wypaść.

- Och - powiedział. - Znalazłem ją.

- Do diabła! - jęknął Buddy.

- Naprawdę, proszę pana. Leżała na ławce na dworcu autobusowym. Zabrałem ją przed odjazdem.

- Poszedłeś na dworzec dzisiaj rano?

- Zanim postanowiłem zaoszczędzić pieniądze i pojechać stopem. Panie Parkins, jeśli może mnie pan dowieźć do zjazdu do Zanesville, to zostanie mi tylko kawałek drogi. Pewnie nawet zdążę do cioci na kolację.

- Niewykluczone - odparł Buddy.

Przez kilka mil jechali w krępującym milczeniu. Buddy wreszcie nie wytrzymał tego dłużej.

- Uciekłeś z domu, synu? - zapytał, nie odrywając wzroku od drogi.

Lewis Farren zaskoczył go autentycznym uśmiechem - nie wyszczerzył zębów, tylko to imitując, lecz był najwyraźniej szczerze rozbawiony. Uznał, że sama myśl o ucieczce z domu jest śmieszna. Naprawdę wzbudziło to w nim wesołość. Popatrzył na Buddy'ego w ułamek sekundy po tym, gdy kierowca odwrócił głowę, i ich spojrzenia się spotkały.

Przez sekundę, dwie sekundy, trzy... jakkolwiek długo to trwało, Buddy Parkins zobaczył, że siedzący koło niego nieumyty chłopiec jest piękny. Był przekonany, że jest niezdolny użyć takiego słowa do opisu jakiegokolwiek istoty ludzkiej płci męskiej w wieku powyżej dziewięciu miesięcy, ale mimo podróznego brudu Lewis Farren był piękny. Jego poczucie humoru na moment uśmierciło troski; promieniowało z niego coś, co Buddy - mający pięćdziesiąt dwa lata i trzech nastoletnich synów - odebrał jako bezpośrednią dobroć, nadwerężoną jedynie przez bagaż niezwykłych doświadczeń. Lewis Farren, podający się za dwunastolatka, w jakiś sposób zaszedł dalej i widział więcej od Buddy'ego Parkinsa, i właśnie to, co widział i zrobił, uczyniło go pięknym.

- Nie, nie uciekłem z domu, proszę pana - rzekł chłopiec.

Następnie mrugnął, jego spojrzenie znów zwróciło się do wewnątrz i straciło swój blask - swoją promiennność. Chłopiec osunął się głębiej w siedzeniu. Podciągnął kolano, wsparł je o deskę rozdzielczą i wsunął gazetę głębiej pod biceps.

- Pewnie nie - odparł Buddy Parkins, ponownie patrząc na autostradę. Poczul ulgę, chociaż nie wiedział dokładnie dlaczego. - Myślę, że nie jesteś uciekinierem, Lewis. Jesteś jednak kimś. - Chłopiec nie odpowiedział. - Pracowałeś na farmie, prawda?

Lewis podniósł na niego zaskoczony wzrok.

- Tak, zgadza się. Przez minione dwa dni. Dwa dolary za godzinę.

A twoja mamuśka nie zadała sobie trudu, żeby na jakiś czas zapomnieć o chorobie i wyprać ci ubranie, zanim wysłała cię do siostry, tak? - pomyślał Buddy. Powiedział jednak:

- Lewis, chciałbym, żebyś się zastanowił: może pojedziesz do mnie? Nie mówię, że uciekłeś z domu ani nic takiego, ale jeśli naprawdę jesteś z Cambridge czy okolicy, to zjem tego starego grata z oponami i wszystkim. Sam mam trzech chłopaków, a najmłodszy, Billy,

ma ledwie trzy lata więcej od ciebie. W naszym domu wiemy, jak trzeba karmić chłopaków. Możesz zostać u nas, jak długo ci się spodoba, zależnie od tego, na ile pytań jesteś gotów odpowiedzieć - bo będę cię wypytywał, przynajmniej za pierwszym razem, kiedy połamiemy się chlebem. - Potarł dłonią siwą szczecinę na głowie i obejrzał się na pasażera. Lewis Farren wyglądał znowu bardziej na chłopca, a mniej na objawienie. Przyjęlibyśmy cię serdecznie, chłopcze.

- Naprawdę miło z pana strony, ale nie mogę - odparł z uśmiechem chłopiec. - Muszę jechać do mojej cioci w... ee, w...

- Buckeye Lake - odpowiedział Buddy. Chłopiec przełknął i znowu popatrzył przed siebie. - Pomogę ci, jeżeli potrzebujesz - powtórzył Buddy.

Lewis poklepał go po opalonym, grubym ramieniu.

- Bardzo mi pan pomógł, podwożąc mnie. Naprawdę.

Dziesięć minut później, spędzonych w niemal całkowitym milczeniu, Buddy patrzył, jak samotna figurka chłopca schodzi po zjeździe do Zanesville. Emmie pewnie rozkwasiłaby mu łeb, gdyby wrócił do domu z obcym, brudnym chłopakiem do nakarmienia, ale gdyby tylko zobaczyła Lewisa Farrena i z nim porozmawiała, na pewno wyciągnęłaby porządne talerze i szklanki, które dostała od matki. Buddy Parkins nie wierzył, że w Buckeye Lake mieszkała jakakolwiek Helen Vaughan i nie był nawet pewien, czy ów tajemniczy chłopiec rzeczywiście miał matkę - Lewis Farren wydawał się sierotą, mającym jakąś niezmiernie ważną misję do wykonania.

Buddy patrzył, aż krzywizna zjazdu pochłonęła chłopca, a w jego polu widzenia została tylko pusta przestrzeń i żółto-pomarańczowy znak centrum handlowego.

Przez sekundę miał ochotę wyskoczyć z samochodu i pobiec za dzieciakiem - spróbować namówić go, by pojechał z nim dalej... po czym przypomniał sobie wielkie ujęcie z dziennika o szóstej, przedstawiające pełną tłumów i dymu scenę z Angoli w stanie Nowy Jork. Jakaś katastrofa zbyt mała, by wspomnieć o niej więcej niż raz - to właśnie stało się w Angoli; jedna z tych małych tragedii, które świat zakopuje pod górami drukowanego słowa. Z przelotnego, zapewne niedokładnego wspomnienia Buddy potrafił wyłowić jedynie obraz wsporników zwalonych na zgruchotane samochody jak gigantyczne słomki i sterczących z dymiącej dziury w ziemi - dziury, która mogła prowadzić prosto do piekła.

Buddy Parkins obejrzał się jeszcze raz na puste miejsce na drodze, gdzie zniknął chłopiec, po czym wcisnął sprzęgło i wrzucił pierwszy bieg w starym samochodzie.

Pamięć Buddy'ego Parkinsa funkcjonowała lepiej, niż sobie wyobrażał. Gdyby mógł zobaczyć pierwszą stronę "Angola Herald" sprzed miesiąca, którą "Lewis Farren", ów tajemniczy chłopiec ścisnął tak silnie, a równocześnie z takim lękiem pod ramieniem, przeczytałby następującą wiadomość:

ZASKAKUJĄCE TRZĘSIENIE ZIEMI POCHŁANIA 5 OFIAR Joseph Gargan, etatowy reporter "Heralda"

Prace przy Rainbird Towers, w zamierzeniu najwyższym i najbardziej luksusowym blokiem mieszkalnym w Angoli, którego oddanie do użytku planowano za sześć miesięcy, zostały wczoraj zahamowane w straszliwych okolicznościach. Wstrząs sejsmiczny o bezprecedensowej sile doprowadził do runięcia budowli i wielu robotników zostało pogrzebanych pod gruzami. Spod ruin nieukończonego bloku wydobyto pięć ciał, dwóch innych osób nie udało się jeszcze odnaleźć, ale uważa się, że zginęły. Wszystkich siedmiu spawaczy i monterów zatrudniała firma Speiser Construction. W momencie wypadku pracowali przy wspornikach dwóch najwyższych pięter budynku.

Wczorajszy wstrząs był pierwszym trzęsieniem ziemi w znanej historii Angoli. Armin Van Pelt z Wydziału Geologii Uniwersytetu Stanu Nowy Jork scharakteryzował w dzisiejszej rozmowie telefonicznej trzęsienie jako "pęknięcie sejsmicznego pęcherza". Przedstawiciele Stanowej Komisji Bezpieczeństwa kontynuują badanie miejsca tragedii, podobnie jak zespół...

Zginęli: Robert Heidel, lat dwadzieścia trzy; Thomas Thielke, lat trzydzieści cztery; Jerome Wild, lat czterdzieści osiem; Michael Hagen, lat dwadzieścia dziewięć, oraz Bruce Davey, lat trzydzieści dziewięć. Dwoma wciąż zaginionymi byli Arnold Schulkamp, lat pięćdziesiąt cztery, i Theodore Rasmussen, lat czterdzieści trzy. Jack nie musiał już zaglądać na pierwszą stronę, by przypomnieć sobie nazwiska. Pierwsze trzęsienie ziemi w historii Angoli w stanie Nowy Jork nastąpiło tego dnia, gdy przeskoczył ze Szlaku Zachodniego i wylądował na obrzeżu miasteczka. Częścią duszy Jack Sawyer pragnął pojechać do domu masywnego, poczciwego Buddy'ego Parkinsa, zjeść z jego rodziną kolację przy stole - gotowaną wołowinę i grubą szarlotkę - a potem zagrzebać się w łóżku w pokoju gościnnym Perkinsów i nakryć się na głowę kołdrą. I nie ruszać się przez cztery czy pięć dni z wyjątkiem wstawania na posiłki. Kłopot polegał jednak na tym, że w drugiej części jego duszy odżywał obraz kuchennego stołu z sękatej sosny, zastawionego kruszącym się serem, a stół ów

znajdował się po drugiej stronie wyciętej w gigantycznej listwie przypodłogowej mysiej dziury, i widział również długie, cienkie ogony wystające z otworów w dżinsach trzech synów Parkinsa. Kto bawi się takimi zmianami, jak w przypadku Jerry'ego Bledsoe, tato? *Heidel, Thielke, Wild, Hagen, Davey, Schulkamp i Rasmussen*. Tymi zmianami, jak u Jerry'ego? Jack wiedział kto.

4

Wielka, żółtopurpurowa tablica z napisem: BUCKEYE MALL unosiła się przed Jackiem, gdy minął ostatni zakręt zjazdu z autostrady; zatoczyła łuk dookoła niego i wyłoniła się po drugiej stronie. Dopiero wtedy zobaczył, że zamontowano ją na parkingu centrum handlowego na trójnogu z wysokich, żółtych słupów. Samo centrum stanowiło futurystyczny kompleks budynków koloru ochry, najwidoczniej pozbawionych okien. Sekundę później Jack zorientował się, że centrum było zadaszone i jedynie stwarzało złudzenie, że składa się z oddzielnych budynków. Chłopiec wsunął rękę do kieszeni i namacał ciasno zwinięte dwadzieścia trzy dolary, stanowiące cały jego ziemski majątek.

W chłodnym blasku wczesnego jesiennego popołudnia przebiegł przez ulicę na parking centrum.

Gdyby nie rozmowa z Buddym Parkinsem, Jack zapewne zostałby na autostradzie US 40 i spróbował pokonać jeszcze z pięćdziesiąt mil - pragnął w dwa, trzy dni dotrzeć do Illinois, gdzie znajdował Richard Sloat. Myśl o zobaczeniu przyjaciela podtrzymywała go na duchu podczas dni nużącej, bezustannej pracy na farmie Elberta Palamountaina; obraz poważnej twarzy Richarda Sloata w okularach, w pokoju internatu Thayer School w Springfield w Illinois dodawał mu co najmniej tyle energii, co hojne posiłki pani Palamountain. Jack wciąż pragnął spotkać się z Richardem, i to jak najszybciej, lecz zaproszenie Buddy'ego w jakiś sposób odebrało mu zapał. Po prostu nie był w stanie wsiąść do kolejnego samochodu i jeszcze raz opowiedzieć Historyjki. (Tak czy inaczej, przypomniał sobie Jack, Historyjka traciła skuteczność). Centrum handlowe dawało mu idealną okazję do zatrzymania się na godzinę czy dwie, zwłaszcza jeśli było tu gdzieś kino - w tym momencie Jack mógłby gapić się na najnudniejszy wyciskacz łez w rodzaju "Love Story".

Gdyby dopisało mu szczęście i znalazł kino, przed seansem zająłby się paroma odkładanymi przez cały tydzień sprawami. Jack zauważył, jak Buddy Parkins przygląda się jego rozlatującym tenisówkom. Nie tylko rozłaziły się w szwach; niegdyś elastyczne i sprężyste podeszwy stały się w tajemniczy sposób twarde jak asfalt. Po dniach, kiedy chłopiec

musiał przemierzyć wielkie odległości - lub gdy musiał pracować przez całe dni na stojąco - stopy paliły go, jakby je sobie poparzył.

Drugie zadanie - zadzwonienie do matki - wiązało się z taką dawką poczucia winy i innych obaw, iż Jack niezupełnie mógł dopuścić myśl o nim do świadomości. Nie wiedział, czy po usłyszeniu głosu matki zdoła powstrzymać się od płaczu. A gdyby usłyszał w nim słabość - gdyby było słychać, że jest naprawdę chora? Czy zdołałby zmierzać dalej na zachód, gdyby Lily błagała go ochryple, aby wrócił do New Hampshire? Dlatego też Jack przypuszczał, że pewnie nie zadzwoni do matki. Umysł podsunął mu nagle bardzo wyraźny obraz rzędu automatów pod plastikowymi osłonami, przypominających suszarki w zakładzie fryzjerskim. Niemal natychmiast wyrzucił go z myśli - jakby Elroy lub jakiś inny stwór z Terytoriów mógł wyciągnąć rękę ze słuchawki i ścisnąć go za gardło.

W tym samym momencie trzy dziewczyny, starsze od Jacka, wyskoczyły z tylnych siedzeń subaru, który z fantazją zajechał na miejsce niedaleko głównego wejścia do centrum handlowego. Przez chwilę niezdarnie przybierały pozy eleganckich modelek, mające wyrażać zachwyt i zdumienie. Gdy zaczęły się zachowywać nieco normalniej, popatrzyły bez ciekawości na Jacka i z wprawą poprawiły sobie włosy. W obcisłych dzinsach wyglądały na długonogie, pewne siebie księżniczki z dziesiątej klasy. Gdy śmiały się, zasłaniały twarze dłońmi w sposób sugerujący, że sam śmiech jest godny śmiechu. Jack zwolnił kroku, tak iż szedł niemal w tempie lunatyka. Jedna z księżniczek spojrzała na niego i szepnęła coś do brązowowłosej dziewczyny obok siebie.

Jestem teraz inny, pomyślał Jack. Już nie jestem do nich podobny. Uświadomienie sobie tego faktu sprawiło, że poczuł się osamotniony.

Z siedzenia kierowcy podniósł się krępy blondyn w niebieskiej pikowanej kamizelce i skupił dziewczyny wokół siebie prostym manewrem: udawał, że nie zwraca na nie uwagi. Chłopiec - zapewne z ostatniej klasy gimnazjum i co najmniej zawodnik rezerwowego zespołu uniwersyteckiego - popatrzył na Jacka, a następnie z namysłem na fasadę kompleksu handlowego.

- Timmy? - odezwała się wysoka dziewczyna o brązowych włosach.

- Taa - odparł chłopak. - Taa. Właśnie się zastanawiałem, co tu tak śmierdzi gównem.

Nagrodził dziewczyny przelotnym, pełnym wyższości uśmiechem. Brązowowłosa księżniczka obejrzała się z szyderczym uśmiechem na Jacka, następnie ruszyła przez asfalt za swoimi towarzyszami. Trzy dziewczyny przeszły przez szklane drzwi, przed nimi sunął arogancki Timmy.

Jack, nim stanął na płycie uruchamiającej wejście, odczekał, aż widoczne przez szybę postacie Timmy'ego i jego świty zmniejszą się w przeciwnym końcu wielkiego kompleksu do rozmiarów szczeniaków.

Otoczyło go chłodne, lekko zużyte powietrze.

Woda pluskała z dwupiętrowej fontanny na środku obszernego, otoczonego ławkami basenu. Na obydwóch poziomach centrum znajdowały się sklepy z przeszklonymi witrynami. Spod sufitu barwy ochry sączyła się drętwa muzyka i osobiwej, mosiężnej barwy światło. Z archaicznego wózka emanowała woń prażonej kukurydzy, którą Jack wyczuł w chwili, gdy szklane drzwi zasunęły się za nim z szumem. Na parterze po lewej stronie fontanny, pod księgarnią "Waldenbooks", stał wózek, pomalowany na kolor strażackiej czerwieni. Jack natychmiast zorientował się, że w Buckeye Mall nie ma kina. Timmy i jego długonogie księżniczki wjeżdżali ruchomymi schodami w przeciwnym końcu centrum - pewnie do serwującej szybkie dania restauracji "Kapitański stół", która znajdowała się naprzeciw wylotu schodów. Jack znów wsunął rękę do kieszeni i namacał zwitek banknotów. Na dnie kieszeni gnieździła się kostka do gitary od Speedy'ego i moneta od kapitana Farrena, razem z garścią ćwierćdolarówek i dziesięciocentówek.

Między ciastkarnią Mr Chips i sklep monopolowy na parterze, reklamujący "NOWE NISKIE CENY" na chablis Inglenook i bourbona Hirama Walkera, wciśnięto magazyn obuwniczy Fayva. Jack niemal bezwiednie ruszył do długiego stołu z obuwem sportowym. Sprzedawczyni za kasą wychyliła się i obserwowała, jak Jack przebiera w butach, najwyraźniej podejrzewając, że chłopiec chce coś zwędzić. Nie było tu obuwia firm Nike czy Puma - buty nazywały się Speedster, Bullseye czy Zooms, a każda para miała powiązane razem sznurówki. Były to trampki, a nie prawdziwe buty do biegania. Jack uznał jednak, że dla niego nadadzą się wystarczająco.

Kupił najtańszą parę w swoim rozmiarze, jaka była w sklepie - niebieskie płócienne trampki z czerwonymi zygzakami po bokach. Nigdzie nie było widać nazwy jakiegokolwiek marki. Wydawały się niemal nie do odróżnienia od pozostałych butów na stole. Przy kasie odliczył sześć banknotów dolarowych i powiedział sprzedawczyni, że nie potrzebuje torby.

Usiadł na jednej z ławek przed fontanną i zsunął znoszone tenisówki, nie zadając sobie trudu, by je rozsnuować. Nałożył nowe buty, a jego stopy niemal westchnęły z wdzięczności. Wstał z ławki i wyrzucił stare obuwie do wysokiego, czarnego kosza z białym, naniesionym pistoletem malarskim napisem: NIE BĄDŹ BAŁAGANIARZEM. Poniżej widniał mniejszy: Ziemia to nasz jedyny dom.



Jack ruszył bez celu przez długi parter centrum, rozglądając się za telefonami. Rozstał się z pięćdziesięcioma centami przy wózku z prażoną kukurydzą i otrzymał tutkę o pojemności kwarty ze świeżymi, lśniącymi od tłuszczu ziarnami. Handlujący prażoną kukurydzą mężczyzna w średnim wieku, w meloniku, wąsem jak u morsa i w zarękawkach poinformował chłopca, że automaty telefoniczne są za rogiem na piętrze, obok sklepu Trzydzieści Jeden Smaków, i mało precyzyjnie wskazał gestem najbliższe ruchome schody.

Nagarniając prażoną kukurydzę do ust, Jack wjechał na piętro za kobietą pod trzydziestkę i jej starszą towarzyszką o biodrach tak szerokich, że niemal nie mieściła się na schodach. Obydwie miały na sobie dresy.

Czy gdyby Jack przeskoczył na drugą stronę z Buckeye Mall - czy nawet milę lub dwie dalej - to ściany by się zatrzęsły, a sufit runął, miażdżąc wszystkich nieszczęśników w środku cegłami, belkami, lampami i głośnikami, z których sączyła się muzyka? I czy księżniczki z dziesiątej klasy, a nawet arogancki Timmy, wyszliby z tego z pęknięciami czaszki, oderwanymi kończynami, zmiądzonymi klatkami piersiowymi i... Przez chwilę, zanim Jack dojechał do szczytu schodów, widział sypiące się w dół wielkie kawałki tynku i metalowe wsporniki, słyszał okropne trzaski pękającego stropu półpiętra - i krzyki; choć bezdźwięczne, mimo wszystko wisiały w powietrzu.

Angola. Rainbird Towers.

Jack poczuł, że jego dłonie zaczynają się pocić i swędzieć. Wytarł je w dzinsy.

TRZYDZIEŚCI JEDEN SMAKÓW - nazwa sklepu była podświetlona taflą mlecznego szkła po lewej stronie, która rzucała chłodny, biały blask. Jack odwrócił się w tym kierunku i ujrzał zakręcający w oddali korytarz oraz lśniące, brązowe płytki na ścianach i podłodze. Gdy tylko krzywizna korytarza zasłoniła mu widok na półpiętro, dostrzegł trzy telefony - rzeczywiście pod przejrzystymi plastikowymi osłonami. Po przeciwnej stronie korytarza znajdowały się wejścia do toalet.

Jack wszedł pod środkową osłonę, wybrał O, następnie numer kierunkowy, a wreszcie numer Alhambra Inn and Gardens.

- Opłata? - spytała telefonistka.

- Na koszt odbiorcy - pani Sawyer z czterysta siedem i czterysta osiem - odpowiedział chłopiec. - Dzwoni Jack.

- Jezu, dzieciaku, jak się cieszę, że ciebie słyszę! - odezwała się po chwili jego matka.

- Takiej starej dziewczynie jak mnie trudno pogodzić się z rolą bezdzietnej matki. Tęsknię za tobą - takim, kiedy nie boczysz się i nie pouczasz mnie, jak mam się odnosić do kelnerów.

- Masz za dużo klasy dla większości tych facetów, to wszystko - odparł Jack, myśląc, że pewnie rozplacze się z ulgi.

- Nic ci nie jest, Jack? Powiedz prawdę.

- Nie, wszystko w porządku. Po prostu musiałem się upewnić, że ty... no, wiesz.

Z telefonu dobiegał przez chwilę elektroniczny szmer, trzeszczenie statycznej elektryczności, brzmiące jak piasek niesiony wiatrem po plaży.

- U mnie w porządku - powiedziała Lily. - Wszystko dobrze - a przynajmniej nie gorzej, jeśli o to się martwisz. Prawdę mówiąc interesuje mnie, gdzie się podziewasz.

Jack przez chwilę nie odpowiadał. W słuchawce świszczalo i szemrało.

- Na razie w Ohio. Wkrótce powinienem odwiedzić Richarda.

- Kiedy wracasz do domu, Jack-O?

- Niestety. Nie umiem powiedzieć.

- Nie umiesz powiedzieć. Przysięgam, dzieciaku, gdyby ojciec nie nadał ci takiego głupiego przewiska i gdybyś zapytał mnie o to dziesięć minut wcześniej czy później...

Przyływ zakłóceń pochłoniął jej głos, a Jack przypomniał sobie, jak wyglądała w herbaciarni: osłabiona i wynędzniała, jak stara kobieta.

- Masz kłopoty z wujem Morganem? - spytał, gdy szum przycichł. - Zawraca ci głowę?

- Nagadałam mu tak, że mu w pięty poszło, i go pogoniłam - odparła Lily.

- Był u ciebie? Przyjechał? Wciąż cię męczy?

- Spławiłam Sloata mniej więcej dwa dni po twoim wyjeździe, mały. Nie marnuj czasu na przejmowanie się nim.

- Powiedział, dokąd jedzie? - spytał Jack, lecz gdy tylko wyrzekł te słowa, z telefonu wydobył się udręczony elektroniczny pisk, świdrujący mu w głowie. Skrzywił się i oderwał słuchawkę od ucha. Okropne, wyjące zakłócenia były tak głośne, że na pewno słyszał je każdy, kto go mijał. - MAMO! - krzyknął Jack, przysuwając słuchawkę tak blisko głowy, jak tylko mógł.

Pisk zakłóceń przybrał na sile, jakby nastawiono radio na maksymalną głośność.

Na linii nagle zapanowała cisza. Jack przycisnął słuchawkę do ucha. Docierało do niego jedynie milczenie martwego powietrza.

- Hej - rzekł.

Poruszał widełkami. Milczenie telefonu zdawało się zgniatać jego ucho.

Równie niespodziewanie, jakby spowodowało je manipulowanie widełkami, rozległ się na nowo ciągły sygnał - w tej chwili oaza rozsądku i normalności. Jack wepchnął rękę w kieszeń w poszukiwaniu kolejnej monety.

Przytrzymując niezgrabnie lewą ręką słuchawkę, prawą macał w kieszeni. Zamarł, gdy ciągły sygnał niespodziewanie odpłynął w międzygwiazdną przestrzeń. Ze słuchawki rozległ się głos Morgana Sloata - tak wyraźny, jakby dobry, stary wuj Morgan stał przy sąsiednim automacie:

- Zabieraj dupę do domu, Jack - głos mężczyzny ciął powietrze jak skalpel. - Zabieraj dupę do domu sam, zanim będziemy musieli zrobić to za ciebie.

- Zaczekaj... - powiedział Jack, jakby grał na zwłokę; w istocie był zbyt przerażony, by zdawać sobie sprawę, co mówi.

- Nie mogę dłużej czekać, druhu. Zostałeś mordercą, może nie? Jesteś mordercą. Nie możemy ci więc dawać więcej szans. Zbieraj tyłek w troki i wracaj do kurortu w New Hampshire. Natychmiast, bo inaczej pewnie wrócisz do domu w plastikowym worku.

Jack usłyszał szcęknięcie w słuchawce. Upuścił ją. Telefon, z którego korzystał, zadygotał, a potem się przekrzywił. Przez chwilę wisiał na płataninie przewodów, po czym z łoskotem zwałił się na posadzkę.

Drzwi męskiej toalety otwały się gwałtownie.

- Jasna CHOLERA! - rozległ się krzyk za plecami chłopca.

Jack odwrócił się i ujrzał szczupłego, ostrzyżonego najeża dwudziestolatka, który gapił się na automaty. Chłopak miał biały fartuch i muszkę - był to sprzedawca z któregoś sklepu.

- Ja tego nie zrobiłem - powiedział Jack. - Samo się stało.

- Cholera jasna.

Sprzedawca z językiem wytrzeszczył oczy, ułamek sekundy potem drgnął, jakby chciał zerwać się do biegu, po czym przegarnął dłonią po wierzchu głowy.

Jack ruszył z powrotem korytarzem. Gdy znajdował się w połowie drogi do ruchomych schodów, usłyszał krzyk sprzedawcy:

- Panie Olafson! Telefon! Panie Olafson!

Jack rzucił się biegiem.

Powietrze na zewnątrz było rześkie, zaskakująco wilgotne. Oszołomiony Jack ruszył przez chodnik. Pół mili dalej, po drugiej stronie parkingu, patrząc w stronę centrum, skręcał czarno-biały radiowóz. Jack zawrócił w bok i zaczął iść wzdłuż chodnika. Nieco przed nim

sześćcioosobowa rodzina starała się wnieść przez sąsiednie wejście ławkę ogrodową. Jack zwolnił i przyjrzał się, jak mąż i żona starają się ustawić długą ławkę po przekątnej, w czym przeszkadzały im mniejsze dzieci, które chciały na niej usiąść lub pomóc rodzicom. W końcu rodzinka wtarabaniła się do środka, w pozie niemal takiej, jak na sławnym zdjęciu żołnierzy zatykających flagę na Iwo Jimie. Radiowóz krążył powoli po wielkim parkingu.

Tuż za drzwiami, przez które udało się przenieść ławkę niezgodnej rodzinie, na drewnianej skrzynce siedział stary Murzyn z gitarą na kolanach. Jack podszedł bliżej i zobaczył metalową puszkę obok jego stóp. Twarz mężczyzny skrywały wielkie, brudne okulary przeciwsłoneczne i rondo filcowego, poplamionego kapelusza. Rękawy drelichowej kurtki miał pomarszczone niemal jak skóra słonia.

Jack skręcił na brzeg chodnika, by ominąć starego mężczyznę w takiej odległości, na jaką przez szacunek zasługiwał. Zauważył, że Murzyn ma na szyi tabliczkę z pociemniałej, białej tektury, z napisem zrobionym wielkimi, nierównymi literami. Uszedł jeszcze kilka kroków i ją odczytał:

ŚLEPY OD URODZENIA  
ZAGRA KAŻDĄ PIOSENKĘ  
NIECH BÓG WAS BŁOGOSŁAWI

Jack niemal minął mężczyznę ze starą, obtłuczoną gitarą, gdy dobiegł do niego chrapliwy, lecz soczysty szept:

- Się wie.

## Rozdział piętnasty - Śnieżka śpiewa

1

Jack odwrócił się w stronę czarnoskórego mężczyzny, a serce łomotało mu w piersi.

*Speedy?*

Murzyn namacał kubek, wyciągnął go przed siebie i potrząsnął. Na dnie zagrzechotało kilka monet.

To jest Speedy. Za czarnymi okularami to kryje się Speedy.

Jack był tego pewny. W chwilę później jednak stał się równie pewny, że to jednak nie Speedy. Dozorca z wesołego miasteczka nie miał szerokiej klatki piersiowej i masywnych barków; miał zaokrąglone ramiona, a jego piersi wydawały się wskutek tego wklęsłe. Wyglądał jak Mississippi John Hurt, nie jak Ray Charles.

*Pewności bym nabrał, gdyby zdjął te okulary.*

Otworzył usta, by na głos wypowiedzieć imię Speedy'ego, lecz stary mężczyzna nagle zaczął grać. Pomarszczone palce o matowej, ciemnej barwie, jak u starannie woskowanego, ale nigdy niepolerowanego drewna orzechowego, poruszały się szybko, zwinnie i z gracją po strunach i mostku. Murzyn doskonale sobie radził z grą po omacku. Po chwili Jack rozpoznał melodię. Pochodziła z jednej ze starszych płyt w kolekcji jego ojca - albumu "Mississippi John Hurt Today" w edycji Vanguard. Chociaż ślepiec nie śpiewał, Jack potrafił dopowiedzieć tekst:

*O laskawi przyjaciele, powiedzcie, czy to nie ciężko?*

*Zobaczyć starego Lewisa na nowym cmentarzu,*

*Anioły go tu złożyły...*

Jasnowłose gracz w futbol i trzy towarzyszące mu księżniczki wyszli głównym wejściem centrum. Każda z dziewczyn miała lody w stożku. Mister Wszechameryki trzymał w obu rękach po chili dogu. Podeszli pewnym krokiem w stronę Jacka. Całkowicie pochłonięty przyglądaniem się staremu Murzynowi chłopiec nawet ich nie zauważył. Sparaliżowała go myśl, że to Speedy. Mężczyzna jakby odczytał jego myśli - jak inaczej mógłby zacząć grać utwór Mississippi Johna Hurta w chwili, gdy Jack pomyślał, że starzec go przypomina? Na dodatek piosenkę zawierającą imię, jakie syn Lily Cavanaugh przybrał w trakcie wędrówki?

Jasnowłosy futbolista przełożył obydwie chili dogi w lewą rękę, a prawą z całych sił wyrzucił Jacka w plecy. Zęby chłopca zatrzasnęły się na jego języku jak paść na niedźwiedzie. Poczł nagły, przeszywający ból.

- Bujaj się, szczyłu - powiedział młokos.

Księżniczki chichotały i pokrzykiwały z rozbawienia.

Jack potknął się i kopnął puszkę ślepeca. Monety wypadły z niej i potoczyły się po ziemi. Łagodna bluesowa melodia urwała się nagle dysharmonijnym akordem.

Mister Wszecameryki i Trzy Małe Księżniczki ruszyli już dalej. Jack patrzył za nimi, czując znajomą bezsilną wściekłość. Niestety, gdy się było za młodym i na dodatek zdany na własne siły, to każdy mógł się nad człowiekiem pastwić - począwszy od psychotyka pokroju Osmonda po pozbawionego humoru starego luteranina w rodzaju Elberta Palamountaina, który wyobrażał sobie, że dzień solidnej pracy to babranie się przez dwanaście godzin w grząskim błocie podczas równo lejącego październikowego deszczu, nagrodą jest przerwa na obiad - kanapkę z cebulą jedzoną w sztywnej pozie w kabinie ciężarówki International Harvester - podczas którego należało wysłuchać fragmentów Księgi Hioba.

Jack nie czuł pragnienia, by zrewanżować się swoim prześladowcom, chociaż miał dziwne przeczucie, że byłby do tego zdolny, gdyby zechciał - że zyskiwał jakiegoś rodzaju moc, prawie jak ładunek elektryczny. Czasami miał wrażenie, że inni ludzie też to wyczuwali - że odbijało się to na ich twarzach, gdy mu się przyglądali. Jednak nie chciał się odgryźć - pragnął tylko, żeby go zostawiono w spokoju. Chciał...

Ślepiec macał dokoła siebie w poszukiwaniu rozsypanych monet. Wodził pulchnymi dłońmi po chodniku, niemal tak, jakby go odczytywał. Natrafił na dziesięciocentówkę, postawił prosto puszkę i wrzucił monetę do środka. Brzęk!

- Dlaczego pozwalają, żeby tu siedział? - dobiegło do Jacka z oddali ciche pytanie jednej z księżniczek. - Jest taki ohydny, no nie?

- No, jak słowo daję! - padł kolejny, jeszcze cichszy komentarz.

Jack ukląkł i zaczął pomagać ślepcowi zbierać monety do puszek. Znalazł się tak blisko niego, że czuł kwaśny pot, pleśń i jeszcze jakąś nachalną woń, jakby kukurydzy. Elegancko ubrani klienci omijali ich szerokim łukiem.

- Dzinkuje, dzinkuje - wystękał melodyjnym, monotonnym tonem ślepiec. Jack wyczuł zastarzałą woń chili w jego oddechu. - Dzinkuje, nich ci Bóg bogosławi, bogosławi, dzinkuje.

To jest Speedy.

To nie Speedy.

Jack wreszcie przemówił, ponieważ zostało mu bardzo mało magicznego napitku - powód ten wcale nie budził zdziwienia. Miał najwyżej dwa łyki. Nie wiedział, czy po tym, co stało się w Angoli, kiedykolwiek zdoła zmusić się do powrotu do Terytoriów, ale wciąż był zdecydowany ocalić matce życie, a to oznaczało, że pewnie będzie musiał przeskoczyć na tamtą stronę.

Poza tym, czymkolwiek był Talizman, Jack pewnie musiał znaleźć się w Terytoriach, by do niego dotrzeć.

- Speedy?

- Nich ci bogosławi, dzinki, nich ci Bóg bogosławi. Chyba żem słyszał, jak jedna się tamój potoczyła? - Wyciągnął rękę.

- Speedy! To ja, Jack.

- Niczego tutaj szybkiego\*[\* Speedy - szybki.] ni mo, chopcze. Na pewno nie, panie.

Jego ręce znów zaczęły sunąć z szemraniem w stronę, którą przed chwilą wskazał. Jedną z dłoni wymacał pięciocentówkę i wrzucił ją do puszek. Drugą przypadkowo dotknął pantofla elegancko ubranej młodej kobiety, która go w tej chwili mijała. Jej pusta, ładna twarz zmarszczyła się z niemal bolesnego niesmaku, gdy się spieszenie odsunęła.

Jack wygarnął ostatnią monetę spod krawężnika. Była to srebrna dolarówka - stary, duży krążek ze Statuą Wolności na awersie.

Łzy pociekły chłopcu z oczu po brudnej twarzy. Otarł je drżącym ramieniem. Opłakiwał Thielkego, Wilda, Hagenę, Daveya i Heidela. Opłakiwał martwego syna woźnicy, leżącego na drodze z wywróconymi na lewą stronę kieszeniami. Przede wszystkim jednak opłakiwał samego siebie. Wędrówka go wyczerpała. Może była to droga jak z bajki, gdy się jechało cadillakiem, ale kiedy łapało się okazje, wystawiając kciuk i posługując się oklepaną historyjką, kiedy zależało się od łaski wszystkich i wciąż stanowiło potencjalną ofiarę, był to jedynie szlak prób. Jack czuł, że został poddany już dostatecznej próbie... ale wiedział, że to wrażenie nie zniknie wraz z wylanymi przezeń łzami. Gdyby się poddał, rak pokonałby jego matkę. Równie dobrze wuj Morgan mógłby od razu dopaść Jacka.

- Chyba mi się nie uda, Speedy - zapłakał Jack. - Nie uda mi się, człowieku.

Ślepiec wyciągnął rękę tym razem w stronę Jacka, a nie rozsypanych monet. Dotknął delikatnymi, czytającymi palcami jego ramienia i je objął. Jack wyczuł twarde zgrubienia na opuszkach wszystkich palców. Ślepiec przyciągnął go do siebie - w strefę ciepła, woni potu i starego chili. Jack wtulił twarz w pierś Speedy'ego.

- Szszsz, chopcze. Nie znam żadnego Speedy'ego, ale coś mi tak wygląda, że go strasznie uważasz. Ty...

- Tęsknię za matką, Speedy, a Sloat mnie ściga - rzekł z płaczem Jack. - To właśnie on odezwał się przez telefon w centrum... on. Nie to jest zresztą najgorsze. Najgorsze stało się w Angoli... Rainbird Towers... trzęsienie ziemi... pięciu ludzi... To moja wina. Ja to zrobiłem, Speedy, zabiłem tych ludzi, kiedy przeskoczyłem do tego świata, zabiłem ich tak, jak mój tata i Morgan Sloat zabili tamtym razem Jerry'ego Bledsoe!

Powiedział to - wyrzucił z siebie najgorsze. Wykrztusił zalegający w gardle, dławiący go kamień winy. Znów ogarnął go gwałtowny płacz - tym razem jednak raczej z ulgi niż ze strachu. Powiedział, co trzeba. Przyznał się. Był mordercą.

- Hej, heeej! - zawołał czarnoskóry mężczyzna tonem jak gdyby perwersyjnego zachwytu. Przycisnął Jacka do siebie szczupłym, silnym ramieniem i nim zakołysał. - Starasz się tachać straszny ciężar, chopcze. Straszny, ni ma co. Możesz powinien popробować choć trocha mu ulżyć.

- Zabiłem ich - wyszeptał Jack. - Thielkego, Wilda, Hagena, Daveya...

- No, jakby ten twój przyjaciel Speedy tu był, chtokolwiek to je i gdzokolwiek je na tem szerokim świecie, to by ci pewnie rzek, że ni możesz tachać na barkach całego świata, synu - powiedział Murzyn. - Ni dasz rady. Nicht tego nie potrafi. Jak poprobujesz go tachać na barkach, no to pewne, że pierw se złamiesz grzbiet, a potem ducha.

- Zabiłem...

- Przystawiłeś komu pistolet do gowy i go zastrześliłeś, co?

- Nie... trzęsienie... Przeskoczyłem...

- Za diabła nic o tym ni wiem - powiedział czarnoskóry mężczyzna. Jack odsunął się nieco od niego i wpatrzył z nienasyconą ciekawością w pobrużdżoną twarz, lecz Murzyn wykręcił głowę w stronę parkingu. Jeśli naprawdę był ślepy, to musiał odróżnić równiejszy, odrobinę potężniejszy dźwięk silnika nadjeżdżającego radiowozu od odgłosów innych samochodów, ponieważ zwrócił twarz prosto w jego kierunku. - Wim tylko, że trochi przeginasz z tem całym "murdowaniem". Pewnie, jakby jaki gość padł tutaj trupem od ataku serca, jak se tutaj siedzim, to też byś se wymyślił, żeś go zabił. "Och, patrzta, zamurdowałem tego gościa bez to, że se tu tak siedzę, łój, biada mi, łój, biiida, łój, nyyyndza... łój, to, łój, śmo!". - Ślepiec punktował swoją przemowę przechodzeniem z tonacji G do C i z powrotem, aż wreszcie zaśmiał się zadowolony z siebie.

- Speedy...



- Niczego tutaj szybkiego ni mo - powtórzył Murzyn i ukazał poźółkłe zęby w krzywym uśmiechu. - Może tylko to, jak niechtóre ludzie so szybkie, coby zwałać se na gowe winę za różne rzeczy, co pewnie je inne pozaczynały. Może uciekasz, chopcze, może i ktoś cię goni. - Akord w tonacji G-dur. - A może w głowiźnie tylko ci się kotelmani. - Akord w tonacji C-dur, ze zgrabnym pasażem, który sprawił, że Jack mimo wszystko się uśmiechnął. - A może cię szuka stado inszych drani. - Znów tonacja G; ślepiec odłożył gitarę (podczas gdy w radiowozie dwaj policjanci rzucali monetą, który z nich zajmie się Starym Śnieżką, jeśli nie będzie chciał wsiąść po dobremu do samochodu). - Może biiida, może nyyyndza, a może to, a może smo... - Znów się roześmiał, jak gdyby nigdy nie słyszał niczego śmieszniejszego od obaw Jacka.

- Ale nie wiem, co może się stać, jeżeli...

- Nicht ni wi, co będzie, jak coś zrobio, no ni? - przerwał mu Murzyn, który mógł być, ale mógł też nie być Speedym Parkerem. - Ni. Ony ni widzo. Jakbyś nad tem dumał, tobyś siedział cały dzień w chaupie, bobyś się bał wylize! Za diabła ni wim, czem się tak kopoczesz, chopcze. Za nic nie chce tego wiedzieć. Może ci odbiło, jak gadasz o trzynsieniach ziemi i takich tam, ale żeś mi pomógł pozbirać piniondze i żeś żadnych nie pokradł - liczyłem każde brzdenknięcie, no to wim. No to dam ci jeszcze jedno rade. Na pewne rzeczy nic ni poradzisz. Czasem ludzie gino, bo chtoś coś zrobił... ale jakby tego ni zrobił, toby poginyła cała masa ludzi więcy. Kapujesz, o co mi chodzi, synu?

Zabrudzone okulary pochyliły się w stronę Jacka.

Chłopiec zadrzał, czując, że przenika go ulga. Zrozumiał, o co chodziło Murzynowi. Ślepiec mówił o trudnych decyzjach. Sugerował, że istniała różnica między podjęciem trudnej decyzji i kryminalnym zachowaniem. Oraz to, że może nikt tu nie był kryminalistą.

Mógł nim być natomiast człowiek, który pięć minut wcześniej kazał Jackowi zabierać tyłek do domu.

- Może być nawet, że wszystko suży Panu naszemu, jak mi mama mówiła i pewnie twoja ci mówiła, jak była dobra z ni krześcijanka - zauważył ślepiec, wydobywając z gitary posępny akord. - Może być, że wszystkie robimy jedno, a po prawdzie zupenie co innego. W Piśmie Swintym stoi, że wszystko, nawet to, co na złe wyglonda, służy Panu. A ty co myślisz, chopcze?

- Nie wiem - odparł szczerze Jack.

Czuł kompletny zamęt w głowie. Wystarczyło, że zamknął oczy, a widział spadający ze ściany telefon, zwisający na kablach jak jakaś niesamowita marionetka.

- No, pachnie na to, że bez to wszystko zaczynasz se popijać.

- Co? - zapytał zdumiony Jack, po czym pomyślał: Myślałem, że Speedy wygląda jak Missisipi John Hurt; wtedy ten człowiek zaczął grać bluesa Hurta... a teraz mówi o magicznym napitku. Jest ostrożny, ale przysięgam, że właśnie o nim mówi - na pewno tak! - Czytasz w myślach, prawda? - spytał Jack zniżonym głosem. - Nauczyłeś się tego w Terytoriach, Speedy?

- Nic ni wim o czytaniu w myślach, ale wew listopadzie bydzie czterdzieści dwa roków, jak zem stracił ślipia - odparł ślepiec. - Bez czterdzieści dwa roków nos i uszy się ucho, jak to trochi nadrobić. Czuć od ciebie tanim wińskiem, chopcze. Po prostu wieje, jakbyś se umył w nim gowe!

Jack doznał dziwnego uczucia winy, jakby mu się tylko śniło - zawsze tak się czuł, gdy coś mu zarzucano, chociaż w istocie był niewinny - no, w zasadzie niewinny. Od powrotu do tego świata najwyżej dotknął niemal pustej butelki. Samo pomacanie jej napawało go przerażeniem - zaczynał się czuć jak czternastowieczny europejski wieśniak mający w perspektywie dotknięcie drzazgi z Jedynego Prawdziwego Krzyża czy kostki z palca świętego. Istotnie, była to magia. Potężna magia. Czasami ginęli od niej ludzie.

- Naprawdę z niej nie piłem - zdołał wreszcie odpowiedzieć. - I tak poszło prawie wszystko. To... ja... człowieku, mnie to nawet nie smakuje! - Żołądek zaczął mu ścisnąć się nerwowo; sama myśl o magicznym napitku przyprawiała go o mdłości. - Ale muszę mieć tego jeszcze trochę. Na wszelki wypadek.

- Wincy Porpurowego Jezuska? - Ślepiec roześmiał się i wykonał odganiający ruch dłonią. - Do diabła, wcale ci tego nie trza, a wcaliście. Nichomu nie trza ty trucizny, coby wyndrować.

- Ale...

- Suchaj żeż, to zaśpiwam ci piosynke, coby cię podnieść na duchu. Patrzy mi na to, że ci się to przydo.

Zaczął śpiewać - głosem całkowicie odmiennym od tego, którym mówił - głębokim, przesywającym dreszczem i potężnym, pozbawionym kadencji w rodzaju Czarnucha Jima: "Ale ci to ubaw, paniczu Huck!". Był to, pomyślał Jack z podziwem, wyszkolony, kulturalny głos śpiewaka operowego, zabawiającego się wykonaniem popularnej błahostki. Bogaty, dźwięczny ton przyprawił chłopca o gęsią skórę na ramionach i grzbiecie. Przechodnie z chodnika, biegnącego koło matowej, ochrowej ściany centrum, zwracali głowy w tę stronę.

- *When the red, red robin goes bob-bob-bohbing along, ALONG, there'll be no more sobbin whe he starts throbbing his old... sweet SONG...*

Jacka uderzyło słodkie, a równocześnie straszne uczucie deja vu - słyszał już wcześniej tę piosenkę czy jakąś bardzo podobną. Gdy ślepiec zagrał przejście, szczerząc w uśmiechu pożółkłe nierówne zęby, Jack zdał sobie sprawę, skąd wzięło się to wrażenie. Wiedział, dlaczego wszyscy odwracali głowy, tak jakby po parkingu kompleksu przebiegł jednorożec. Głos mężczyzny był obdarzony piękną, obcą klarownością. Klarownością, powiedzmy, powietrza tak czystego, że można wyczuć rzodkiewkę, jeśli pół mili dalej ktoś ją wyrwie z ziemi. Był to dobry, stary szlagier z Tin Pan Alley... ale zaśpiewany głosem żywcem wziętym z Terytoriów.

*- Get up... get up, you sleepyhead... get out... get out, get outta bed... live, love, laugh and be ha...*

Zarówno gitara, jak i głos nagle umilkły. Jack, który do tej pory nie odrywał wzroku od twarzy ślepca (starając się za wszelką cenę przeniknąć spojrzeniem ciemne okulary i odgadnąć, czy kryje się pod nimi Speedy Parker), wreszcie zobaczył, że obok Murzyna stanęło dwóch policjantów.

- Wiesz, niczego nie słyszę - powiedział ślepy gitarzysta niemal z rozbawieniem - ale myślę, że wywęszyłem coś niebieskiego.

- Do diabła, Śnieżka, wiesz, że nie wolno ci pracować w centrum! - zawołał jeden z policjantów. - Co ci powiedział sędzia Hallas ostatnim razem, kiedy trafiłeś na jego salę? W śródmieściu, między Center Street i Mural Street. Nigdzie indziej. Rany, facet, zupełnie zdemenciałeś? Siusiak ci już zgnił i odpadł od tej francy, którą ci twoja baba podrzuciła, zanim związała? Chryste, po prostu nie mogę...

Partner policjanta położył mu dłoń na ramieniu i skinieniem głowy wskazał Jacka z miną mówiącą, że pewnych rzeczy nie należy gadać przy dzieciach.

- Idź, powiedz matce, że ma cię lepiej pilnować, mały - rzucił krótko pierwszy policjant.

Jack ruszył chodnikiem. Nie mógł zostać. Nawet gdyby mógł w czymś pomóc, musiał iść. Miał szczęście, że uwagę policjantów pochłaniał człowiek, którego nazywali Śnieżką. Gdyby przyjrżeli się chłopcu dokładniej, bez wątpienia zażądałoby od niego dokumentów. Chociaż miał nowe tenisówki, cała reszta jego stroju była obszarpana i poprzecierana. Policja bez trudu wykrywała uciekinierów z domu, a Jacka przecież nie można było zakwalifikować do innej kategorii.

Wyobraził sobie, że ląduje w ciupie w Zanesville, podczas gdy tutejsi policjanci, niebieskie chłopaki na schwał, codziennie słuchający Paula Harveya\*[\* Komentator radiowy i

felietonista, prezentujący swe konserwatywne poglądy od 1944 roku.] i popierający prezydenta Reagana, starają się dowiedzieć, czyim jest synem.

Nie, wołał, by gliniarze z Zanesville poświęcili mu co najwyżej przelotne spojrzenie.

Za jego plecami rozległ się zbliżający się, równo pulsujący odgłos silnika.

Jack podciągnął plecak nieco wyżej i wbił wzrok w tenisówki, jakby niezmiernie go zaintrygowały. Kącikiem oka dostrzegł, że radiowóz mija go powoli.

Ślepiec siedział z tyłu, obok niego sterczał gryf gitary.

Gdy radiowóz wyjechał na zewnętrzny pas drogi, ślepiec nagle odwrócił głowę i wyrzwał przez tylną szybę - wprost na Jacka...

...i chociaż chłopiec nie potrafił przebić wzrokiem zabrudzonych, ciemnych okularów, ujrzał bez cienia wątpliwości, że Lester "Speedy" Parker mrugnął do niego.

## 2

Jack powstrzymał się od rozmyślania, aż znalazł się z powrotem przy wjeździe na autostradę. Staął, wpatrując się w znaki, które nagle wydały się mu jedynymi ściśle zdefiniowanymi rzeczami, jakie zostały na świecie

*(światach?)*

podczas gdy wszystko inne zamieniło się w doprowadzający do szaleństwa szary wir. Czuł kłębiącą się wokół niego czarną depresję - wnikała weń, dążąc do unicestwienia jego postanowień. Zdawał sobie sprawę, że pewną rolę w tym przygnębieniu odgrywała tęsknota za domem, lecz w porównaniu z tym uczuciem wcześniejszy żal wydawał się szczeniacki i niedojrzały. Czuł się całkowicie zdany na łaskę losu; nie miał żadnego pewnika, przy którym mógłby obstawać.

Stojąc koło znaków i wpatrując się w ruch na autostradzie, zdał sobie sprawę, że niemal ma chęć popełnić samobójstwo. Przez jakiś czas zmuszał się do dalszej drogi, bo miał nadzieję, że wkrótce znów spotka Richarda Sloata (i chociaż w zasadzie nie przyznawał się przed sobą do tej myśli, nieraz przemknął mu przez głowę pomysł, by zabrać Richarda ze sobą w dalszą drogę na zachód - ostatecznie nie pierwszy raz Sawyer i Sloat wspólnie ruszaliby na niezwykle wędrowki, prawda?), ale ciężka praca na farmie Palamounainów i osobliwe wydarzenia w Buckeye Mall sprawiły, że zniknął fałszywy blask tej nadziei - oto kolejny raz złoto okazało się tombakiem.

Wracaj do domu, Jacky. Zostałeś pokonany, wyszeptał wewnętrzny głos. Jeśli pójdziesz dalej, to tak oberwiesz, że cię rodzona matka nie pozna... a następnym razem zginie może pięćdziesięciu ludzi. A może pięciuset.

Autostrada 1-70 - kierunek wschodni.

Autostrada 1-70 - kierunek zachodni.

Jack nagle sięgnął do kieszeni po monetę - tę, która w tym świecie była srebrną dolarówką. Niech bogowie, kimkolwiek są, zadecydują raz na zawsze. Był zbyt przybity, by zrobić to samemu. Wciąż piekły go plecy w miejscu, uderzył go Mister Wszechameryki. Reszka - Jack wejdzie po wschodniej rampie i ruszy do domu. Orzeł - skieruje się dalej na zachód... i nie będzie oglądał się więcej za siebie.

Stanął w kurzu na miękkim poboczu i podrzucił monetę w chłodne, październikowe powietrze. Wyleciała w górę, wirując i miotając refleksy. Jack przekrzywił głowę, by śledzić jej lot.

Mijająca go w starym kombi rodzina przestała się kłócić i popatrzyła na niego z zaciekawieniem. Kierowcy - łysiejącemu księgowemu, który budził się czasem w środku nocy i wyobrażał sobie, że czuje strzelające bóle w piersi, przenikające wzdłuż lewego ramienia - przyszedł do głowy nagły, absurdalny ciąg skojarzeń: Przygoda. Niebezpieczeństwo. Misja w jakimś szlachetnym celu. Sny o strachu i chwale. Mężczyzna potrząsnął głową, by odzyskać jasność myślenia. Popatrzył we wsteczne lusterko na chłopca, który właśnie schylał się, by czemuś się przyjrzeć. Chryste, pomyślał łysiejący księgowy, wybij to sobie z głowy, Larry, masz pomysły jak w jakiejś cholерnej książce przygodowej dla dzieci.

Larry wystrzelił na autostradę, szybko przyspieszył do siedemdziesięciu mil na godzinę i zapomniał o dzieciaku w brudnych dżinsach na poboczu. Gdyby zdołał dotrzeć do domu na trzecią, zdążyłby obejrzeć na kanale ESPN walkę o mistrzostwo w wadze średniej.

Moneta upadła. Jack pochylił się nad nią. Wypadł awers... ale to nie było wszystko.

Damą na monecie nie była Statua Wolności, lecz Laura DeLoessian, Królowa Terytoriów. Boże, jak bardzo różniło się jej oblicze od nieruchomej, bladej twarzy śpiącej kobiety, którą przez chwilę ujrzał w pawilonie, otoczoną przez wylężnione opiekunki w powiewnych, białych kornetach! Ta twarz należała do osoby doskonale orientującej się w otoczeniu i w pełni świadomej, skorej do dobrych uczynków i pięknej. Nie było to klasyczne piękno; linia szczęki była nieco zbyt słabo zarysowana, a widoczna na profilu kość

policzkowa nieco za delikatna. Urody jej nadawała po królewsku trzymana głowa i bijąca od całej postaci łaskawość, a także niepospolite zdolności.

Do tego - och, była tak podobna do matki Jacka.

Oczy zaszyły mu łzami. Zacisnął silnie powieki, by nie pocięły. Dość już się dziś napłakał. Los zdecydował, a on nie ma co płakać.

Kiedy ponownie otworzył oczy, Laura DeLoessian znikła; kobietą na monecie była znowu Statua Wolności.

Mimo to Jack uzyskał swoją odpowiedź.

Pochylił się, podniósł monetę z kurzu, wsunął ją do kieszeni i ruszył prowadzącym na zachód wjazdem autostrady międzystanowej numer 70.

3

Dzień później: biały woal w powietrzu o posmaku zbliżającego się lodowatego deszczu; granica między Ohio i Indianą nie więcej niż o rzut kamieniem stąd.

“Tutaj” było kępą lasu za parkingiem przy autostradzie 1-70 niedaleko Lewisburga. Jack stał ukryty - taką przynajmniej miał nadzieję - między drzewami i cierpliwie czekał, aż mężczyzna obdarzony grubym głosem wsiądzie z powrotem do swojego chevy nova i odjedzie. Miał nadzieję, że nastąpi to szybko, zanim zaczną padać. Dość przemarzył i nie chciał na dodatek przemoknąć; przez cały ranek miał zatkane zatoki i niewyraźnie mówił. Myślał, że wreszcie nabawił się przeziębienia.

Wielki łysy mężczyzna o grubym głosie przedstawił się jako Emory W. Light. Zabrał Jacka około jedenastej na północ od Dayton. Chłopiec niemal natychmiast poczuł ucisk w żołądku. Jechał już nieraz z Emorym W. Lightem. W Vermont Light nazywał się Tom Ferguson i twierdził, że jest kierownikiem sklepu z obuwem; w Pensylwanii miał on pseudonim Bob Darrent (“Prawie tak, jak facet, który śpiewa «Splish-Splash», a-ha-ha-ha”) i zmienił stanowisko na okręgowego kuratora szkół średnich; tym razem Light powiedział, że jest prezesem Pierwszego Banku Handlowego Paradise Falls w mieście o tej samej nazwie w Ohio. Ferguson był szczupły i ciemnowłosy, Darrent różowy i pulchny jak świeżo wykąpane niemowlę, natomiast Emory W. Light był masywny i przypominał sowę - to przez okulary bez oprawek, które skrywały oczy przypominające wyglądem gotowane jajka.

Jack doszedł do wniosku, że wszystkie te różnice były jednak tylko powierzchowne. Wszyscy wysłuchiwali Historyjki z zapartym z zaciekawienia tchem. Wszyscy pytali, czy ma w domu dziewczynę. Wcześniej czy później Jack czuł dłoń (wielką, łysą dłoń) na udzie, a

kiedy patrzył na Fergusona/Darrenta/Lighta, dostrzegał w jego/ich oczach wyraz na poły szaleńczej nadziei (pomieszanej z szaleńczym poczuciem winy) oraz kropelki potu na górnej wardze (w przypadku Darrenta pot lśnił pod ciemnym wąsikiem jak drobniutkie, białe oczka, wyglądające przez rzadkie poszycie).

Ferguson zapytał go, czy chce zarobić dziesięć dolarów.

Darren podbił stawkę do dwudziestu.

Light spytał go grubym głosem, który mimo to drżał i łamał się w kilku oktawach, czy nie przydałoby mu się pięćdziesiąt dolarów - zawsze trzyma pięćdziesiątkę w obcasie lewego buta, powiedział, i z radością dałby ją paniczowi Lewisowi Farrenowi. Mogli pojechać w takie jedno miejsce niedaleko Randolph. Do pustej stodoły.

Jack nie wyciągnął żadnego wniosku co do istnienia zbieżności między stale rosnącymi ofertami pieniężnymi od Lightów w różnych wcieleniach a zmianami, jakie mogły w nim samym następować wskutek przeżywanych przygód - nie był z natury skłonny do introspekcji i niezbyt interesował się autoanalizą.

Szybko nauczył się, jak radzić sobie z facetami w rodzaju Emory'ego W. Lighta. Pierwsze doświadczenie z Lightem - tym, który nazywał się Tom Ferguson - nauczyło go, że ostrożność to lepsza część odwagi. Gdy Ferguson położył mu rękę na udzie, Jack odpowiedział automatycznie pod wpływem kalifornijskiej postawy, iż homoseksualiści stanowią zaledwie element scenerii: "Nie, dziękuję panu. Jestem całkowicie hetero".

Oczywiście był już wcześniej obmacywany - głównie w kinach, jednak jeden ekspedient ze sklepu odzieżowego w północnym Hollywood bez żenady zaproponował, że obciągnie mu druta w przymierzalni (a gdy Jack podziękował za propozycję, ekspedient powiedział: "Nie ma sprawy, teraz przymierz ten niebieski blezer, dobrze?").

Były to nieprzyjemności, jakie przystojny dwunastolatek w Los Angeles uczył się po prostu znosić, tak jak ładna kobieta uczy się znosić obmacywanie co jakiś czas w metrze. Człowiek w końcu godził się z tym, by mu to nie zepsuło całego dnia. Przemyślane propozycje, jak w przypadku Fergusona, stanowiły mniejszy problem niż nagle podmacywanie z ukrycia. Takich facetów po prostu się splawiało.

Tak było przynajmniej w Kalifornii. Homoseksualiści ze wschodu kraju - zwłaszcza z zadupia - najwidoczniej inaczej reagowali na odtrącenie.

Ferguson zahamował z piskiem opon, zostawiając gumę na czterdziestu jardach jezdni za pontikiem i wzbijając w powietrze kłęby pyłu z pobocza.

- Kogo nazywasz homo? - ryknął. - Kogo nazywasz pedałem? Nie jestem pedałem! Jezu! Podwozisz jakiegoś kurewskiego gnojka, a on cię jeszcze nazywa kurewskim pedałem!

Jack popatrzył na niego z oszołomieniem. Nieprzygotowany na nagłe zatrzymanie, walnął solidnie głową o wyścielaną deskę rozdzielczą. Ferguson, który chwilę wcześniej gapił się w niego maślanymi, brązowymi oczami, wyglądał teraz na gotowego go zabić.

- Wsiadaj! - krzyknął Ferguson. - To ty jesteś pedałem, nie ja! Wsiadaj, mały pedale! Wynocha! Mam żonę! Mam dzieci! Pewnie mam bękarty w całej Nowej Anglii! Nie jestem pedałem! To ty jesteś pedałem, nie ja, WIĘC WYNOCHA Z MOJEGO SAMOCHODU!

Jack tak się nie wystraszył od spotkania z Osmondem, toteż szybko spełnił polecenie. Wciąż wrzeszczący Ferguson wcisnął pedał gazu i samochód wyskoczył z miejsca, obsypując chłopca żwirem. Jack doszedł na chwiejnych nogach do murka z kamieni, usiadł i zaczął chichotać. Chichot zamienił się w salwy śmiechu. Jack uznał, że powinien od ręki opracować POLITYKĘ, przynajmniej na czas, zanim wydostanie się z tych zabitych dechami stron. "Każdy poważny problem wymaga POLITYKI", powiedział kiedyś jego ojciec. Morgan przyznał mu gorliwie rację, ale Jack uznał, że nie powinno go to powstrzymywać.

Jego POLITYKA sprawdziła się nieźle w przypadku Boba Darrenta; nie miał powodów sądzić, że nie sprawdzi się równie wobec Emory'ego Lighta... na razie było mu jednak zimno i ciekło mu z nosa. Pragnął, żeby Light wreszcie zniknął. Stojąc wśród drzew, Jack wciąż go widział, jak spaceruje z rękami w kieszeniach i matowo błyszczącą pod pobielałym niebem wielką, łysą głową. Na rogatce warczały wielkie półciężarówki, napelniając powietrze odorem spalonego oleju dieslowskiego. Las był pełen śmieci, tak jak wszystkie zagajniki wokół pól wypoczynkowych przy autostradach międzystanowych. Na ziemi walały się puste opakowania po chrupkach. Rozgniecione pudełka po big macach. Pogięte puszki po pepsi i budweiserze z grzechoczącymi w środku uchwyty, jeśli sieje kopnęło. Rozbite butelki po wild irish rose i ginie five o'clock. Trochę dalej para porwanych nylonowych majtek z wciąż przylepioną do krocza pleśniejącą podpaską. Zatknięta na ułamaną gałąź prezerwatywa. Mnóstwo solidnych fantów, nie ma co, hej-hej-hej. I mnóstwo napisów, nabazgranych na ścianach męskiej toalety - prawie wszystkie o treści, z którą gość w rodzaju Emory'ego W. Lighta mógł się autentycznie solidaryzować: LUBIĘ SYSAC WIELKIE TŁUSTE QUTASY. BĄDŹ TU O 4 A CZEKA CIĘ NAJLEPSZE DMUCHANKO W ŻYCIU. WYGŹMOC MI ZADEK. Nawet homoseksualny poemat z wielkimi aspiracjami: NIEHAJ CAŁA LUDZKA RASA/NA MĄ GĘBĘ ZWALI KUTASA.

Tęsknię za domem - za Terytoriami, zdał sobie sprawę Jack bez najmniejszego zaskoczenia. Oto stał za dwoma ceglanyimi kiblami gdzieś przy autostradzie 1-70 w



zachodnim Ohio, dygotał w porwanym swetrze, kupionym za półtora dolara w sklepie z tanią odzieżą, i czekał, aż wielki, łysy facet dosiądzie z powrotem swojego konia i odjedzie.

POLITYKA Jacka prostsza już być nie mogła: nie stawiać się ludziom z wielkimi, łysymi łapami i grubym głosem.

Jack westchnął z ulgi: POLITYKA zaczęła się sprawdzać. Na wielkiej, łysej twarzy Emory'ego W. Lighta pojawił się wyraz będący mieszaniną gniewu i niesmaku. Mężczyzna podszedł do samochodu, wsiadł, cofnął tak szybko, że o mało co nie rąbnął w przejeżdżającego za nim pick-upa (rozległ się krótki, jazgotliwy klakson, a pasażer drugiego samochodu pokazał Emory'emu W. Lightowi środkowy palec), po czym odjechał.

Teraz trzeba było tylko dojść po rampie do miejsca, gdzie droga dojazdowa łączyła się z autostradą, wystawić kciuk... i żywić nadzieję, że złapie się okazję, zanim zacznie padać.

Jack mimowolnie rozejrzał się jeszcze raz wokół siebie. Paskudne, obrzydliwe. Słowa te same cisnęły się do głowy, gdy patrzył na zaśmiecone pustkowie na przyszczatym grzbiecie parkingu. Przyszło mu na myśl, że czuć tu śmiercią - nie tylko na tym konkretnym polu czy na autostradach międzystanowych. Wonią tą był głęboko zaimpregnowany cały kraj, który przemierzał. Czasami Jack miał wrażenie, że niemal dostrzega śmierć: miała przygnębiający odcień spieczonego brązu, jak kłęby spalin z rur wydechowych, sterczących przy kabinie przejeżdżającego w pędzie Jimmy-Pete'a - ciężarówki marki Jimmy Peterbilt.

Ponownie poczuł nową odmianę tęsknoty za domem - pragnienie, by znaleźć się w Terytoriach i znów móc patrzeć w ciemnoniebieskie niebo, lekką krzywizną widnokregu...

*Ale to oznacza zabawę zmianami, tak jak wtedy z Jerryem Bledsoe.*

*Za diabła nic o tym ni mim... Wim tylko, że trochi przeginasz z tem całym "murdowaniem".*

Po drodze na parking - naprawdę musiał się wysikać - Jack kichnął trzy razy w krótkich odstępach. Przełknął i skrzywił się, gdy poczuł gorące ukłucie w gardle. Zaczynam chorować, nie ma co. No, pięknie. Nie dotarłem jeszcze do Indiany, dziesięć stopni, zapowiadają deszcz, nie mam podwózki, a teraz...

Nagle Jack popatrzył na parking i szeroko rozchylił usta. Przez jedną straszną chwilę myślał, że zmoczy się w spodnie, gdy wszystko poniżej mostka zdawało się drętwieć i kurczyć.

Na jednym z około dwudziestu ukośnych miejsc parkingowych stało bmw wuja Morgana, ciemnozieloną karoserię pokrył kurz. Pomyłka nie wchodziła w rachubę - bez dwóch zdań. Wykluczała ją kalifornijska tablica rejestracyjna - dowód próżności; MLS oznaczało Morgana Luthera Sloata. Samochód wyglądał, jakby przebył długą trasę.

Jeżeli do New Hampshire przyleciał samolotem, to jak może tu stać jego samochód? - zajazgotało Jackowi w umyśle. To przypadek, Jack, tylko...

W tej samej chwili dojrzał mężczyznę przy automacie telefonicznym i pojął, że to nie żaden przypadek. Mężczyzna miał obszerną, podbitą futrem kurtkę w wojskowym stylu - strój bardziej odpowiedni do temperatury minus dwudziestu niż plus dziesięciu stopni. Chociaż jednak mężczyzna stał tyłem, to nie sposób było pomylić tych szerokich ramion i wielkiej, zwalistej sylwetki.

Mężczyzna przy telefonie zaczął się odwracać, przyciskając słuchawkę ramieniem do ucha.

Jack cofnął się pod ceglana ścianę męskiej toalety.

*Zobaczył mnie?*

Nie, odpowiedział samemu sobie. Nie, nie sędzę, ale...

Ale kapitan Farren powiedział, że Morgan - ten drugi - może go wyczuć jak kot szczura, i tak było. Z ukrycia w zdradzieckim lesie Jack zobaczył, jak zmienia się wyraz okropnej twarzy w oknie karocy.

Ten Morgan również go wyczuje. Jeżeli będzie miał dość czasu.

Zza rogu dobiegł odgłos zbliżających się kroków.

Z odrętwiałą, wykrzywioną ze strachu twarzą Jack niezdarnie ściągnął plecak. Upuścił go, czując, że się spóźnił, Morgan wyjedzie zaraz zza rogu i z nieukrywaną radością złapie go za szyję. *Cześć, Jacky! Wchodźta, wchodźta, wstęp wolny! Tyle tylko, że gra skończona, prawda, kutasino?*

Zza rogu toalety wyszedł wysoki mężczyzna w płaszczu w jodełkę, rzucił Jackowi pozbawione zainteresowania spojrzenie i podszedł do fontanny z wodą do picia.

Wracał. Jack wracał. Nie czuł winy, przynajmniej nie teraz, jedynie lęk, że wpadł w pułapkę, dziwacznie przemieszany z ulgą i przyjemnością. Otworzył drżącymi rękoma plecak. Położył dłoń na butelce od Speedy'ego, w której został niecały cal purpurowej cieczy,

*(Nichomu nie trza ty trucizny coby se wendrować ale ja jej potrzebuję Speedy naprawdę!)*

chlupoczącej na dnie. Nieważne. Wracał. Serce podskoczyło mu na samą tę myśl. Na jego twarzy pojawił się uśmiech wielki jak w sobotni wieczór, zadający kłam zarówno szarości dnia, jak i strachowi w jego sercu. Wracam, o, tak, kapujecie?

Rozległy się kolejne kroki. Tym razem należały do wuja Morgana - nie sposób było pomylić tego ciężkiego, lecz w jakiś sposób drobiącego stąpania. Lęk Jacka jednak zniknął.

Wuj Morgan coś wyczuł, ale kiedy skręci za róg, zobaczy wyłącznie puste torebki po chipsach i pogniecione puszki po piwie.

Jack wciągnął oddech - zaczerpnął w płuca tłustego smrodu dieslowskich oparów, spalin z rur wydechowych i zimnego jesiennego powietrza. Przystawił butelkę do ust. Wypił jeden z dwóch pozostałych łyków i mimo że przytknął oczy, zacisnął je jeszcze silniej, bo...

...mocne światło słońca padło na jego zamknięte powieki.

Oprócz miło dławiącego zapachu magicznego napitku Jack wyczuł coś jeszcze... ciepłą woń zwierząt. Dosłyszał też, jak poruszają się wokół niego.

Przestraszony, otworzył oczy, lecz z początku nic nie dostrzegł - różnica natężenia światła była tak duża, że czuł się, jakby ktoś nagle włączył w ciemnym pokoju baterię dwustuwatowych żarówek.

Ciepły, pokryty futrem bok otarł się o Jacka w niegroźny (taką przynajmniej miał nadzieję) sposób; zupełnie tak, jakby zwierzę chciało przekazać: "bardzo się spieszę, dziękuję". Chłopiec się właśnie podnosił, ale przewrócił się ponownie.

- Ej! Ej! Odejdź od niego! Właśnie tu i teraz! - Po głośnym, solidnym trzepnięciu rozległ się pełen niezadowolenia zwierzęcy odgłos będący czymś pomiędzy meczeniem i beczeniem. - Na ćwieki boskie! Nie ma żadnego rozumu! Odejdź od niego, zanim ci wygryzę te zagwożdżone przez Boga ślepia!

Oczy Jacka zdążyły przystosować się do jaskrawości niemal idealnego, jesiennego dnia w Terytoriach na tyle, że zdołał wypatrzeć młodego olbrzyma, który stał w środku stada zwierząt. Olbrzym walił je po bokach i lekko przygarbionych grzbietach nader ochoczo, ale wyraźnie bez wkładania w to zbytnej siły. Jack usiadł, automatycznie odszukał butelkę od Speedy'ego z jedynym pozostałym łykiem i schował ją do plecaka. Przez cały czas nie spuszczał wzroku z odwróconego do niego tyłem młodego mężczyzny.

Był wysoki - co najmniej sześć stóp pięć cali, ocenił Jack - i miał tak szerokie barki, że jego kark wydawał się nieco nieproporcjonalny wobec wzrostu. Długie, przetłuszczone i zmierzwione włosy sięgały mu łopatek. Jego mięśnie wybrzuszały się i napinały, gdy tak kręcił się między zwierzętami wyglądającymi na miniaturowe krowy. Odpędzał je od Jacka w stronę Szlaku Zachodniego.

Nawet z tyłu ta postać wyglądała dziwnie, ale Jacka najbardziej zdumiał jej strój. Wszyscy w Terytoriach (włącznie z nim samym) nosili bluzy, kaftany lub prymitywne spodnie.

Wyglądało na to, że olbrzym nosi farmerki.

Odrzucił się wreszcie, a Jack poczuł, że w gardle wzbiera mu koszmarna groza. Zerwał się na równe nogi.

Był to niby-Elroy.

Pasterzem okazał się niby-Elroy.

2

Tyle że był to ktoś inny.

Jack być może nie zatrzymałby się dość długo, by to dostrzec, i wszystko, co stało się później - kino, szopa i piekło w Sunlight Home - by się nie wydarzyło (albo przynajmniej wydarzyłoby się w zupełnie inny sposób), ale krańcowa zgroza sprawiła, że kiedy wstał, ogarnął go paraliż. Nie mógł uciekać, zupełnie jak jeleń zamierający w bezruchu w świetle latarki myśliwego.

Gdy postać w farmerkach podeszła do niego, Jack pomyślał: Elroy nie był tak wysoki ani szeroki w barach. Miał też żółte oczy... Oczy tej istoty miały jaskrawe, niemożliwie pomarańczowe odcień. Patrzenie w nie przypominało zagłębienie w otwory w dyni na Halloween. Podczas gdy uśmiech Elroya zapowiadał śmierć lub szaleństwo, szeroki uśmiech tego kogoś był pogodny i nieszkodliwy.

Pasterz miał wielkie, białe i łopatek stopy, z pogrupowanymi w pęczki po dwa i trzy palcami, ledwie widocznymi przez kępy sztywnych jak druty włosów. W ogóle nie przypominały kopyt, jak u Elroya, pomyślał Jack, częściowo tracąc zmysły z zaskoczenia, strachu i pojawiającego się rozbawienia. Te stopy bardziej przypominały łapy.

Gdy istota zbliżyła się do Jacka,

*(jej? jego?)*

oczy rozblęły jeszcze bardziej pomarańczową barwą. Przez moment nabrały fluoryzującego odcienia, czym przypominały mu stroje myśliwych i robotników drogowych. Po chwili zmieniły barwę na mętnie leszczynową. Jack zorientował się, że w uśmiechu istoty widać przyjaźliwość i dezorientację. Zdał sobie naraz sprawę z dwóch rzeczy: po pierwsze, ten ktoś był nieszkodliwy, nie dostrzegł w nim ani krztyny wrogości. Po drugie, był umyślowo ociężały. Być może nie niedorozwinięty, ale ociężały.

- Wilk! - zawołał z uśmiechem wielki, włochaty chłopak-zwierz. Miał długi, spiczasto zakończony język, a Jack pomyślał z drżeniem, że istota ta faktycznie wygląda dokładnie jak wilk. Nie jak kozioł, lecz jak wilk. Żywił nadzieję, że ma rację się, iż jest ona nieszkodliwa. *A jeśli się pomyliłem, nie będę musiał się martwić, że popełnię więcej błędów... nigdy więcej.* –  
Wilk! Wilk!

Pasterz wystawił rękę, a Jack dostrzegł, że podobnie jak stopy, pokrywało ją owłosienie, chociaż delikatniejsze i bujniejsze - można rzec, nawet eleganckie. Włosy rosły szczególnie gęsto na dłoniach, gdzie miały kolor miękkiej bieli, jak gwiazdka na końskim czole.

*Mój Boże, on chyba chce uścisnąć mi rękę!*

Ostrożnie, przypominając sobie słowa wujka Tommy'ego, który nakazywał mu nigdy nie odmawiać podania ręki, nawet najgorszemu wrogowi ("Walcz z nim później na śmierć i życie, jeśli musisz, ale najpierw uściśnij mu dłoń", powiedział wujek Tommy), Jack wyciągnął ją przed siebie, zastanawiając się, czy zostanie zgnieciona... lub też zjedzona.

- Wilk! Wilk! Ściska ręce właśnie tu i teraz! - zawołał z zachwytem chłopak-zwierz w farmerkach. - Właśnie tu i teraz! Dobry stary Wilk! Niech to Bóg przygwoździ! Właśnie tu i teraz! Wilk!

Mimo entuzjazmu uścisk ręki Wilka był dość delikatny - łagodziło go gęste, sprężyste włosie na dłoni. Farmerki i serdeczny uścisk dłoni gościa, wyglądającego jak przerośnięty syberyjski husky i pachnącego trochę tak, jak pole z sianem po deszczu, pomyślał Jack. Co dalej? Propozycja, żeby wybrać się w niedzielę do jego kościoła?

- Dobry stary Wilk, no pewnie! Dobry stary Wilk, właśnie tu i teraz!

Wilk skrzyżował ramiona na swej wielkiej piersi i roześmiał się, zachwycony samym sobą. Potem znowu chwycił Jacka za rękę.

Tym razem, ściskając mu dłoń, wymachiwał nią energicznie w górę i w dół. Należałoby w tej chwili jakoś zareagować, domyślił się Jack. Inaczej ten miły, chociaż raczej prosty młody człowiek może potrząsać jego ręką do zachodu słońca.

- Dobry stary Wilk - powiedział; wydawało się, że do tej frazy jego nowy znajomy żywi szczególne uczucie.

Wilk zaśmiał się i puścił rękę Jacka - trzeba przyznać, że chłopcu sprawiło to ulgę. Dłoń nie została zmiażdżona ani pożarta, lecz dostała nieco morskiej choroby. Wilk pompował nią szybciej niż gracz na automatach podczas pomyslniej passy.

- Obcy, no nie? - spytał Wilk.

Wepchnął włochate ręce w wycięcia po bokach farmerek i zupełnie niezakłopotany zaczął bawić się w kieszonkowy bilard.

- Tak - odparł Jack, zastanawiając się, co w tym wypadku znaczyło to słowo - po tej stronie miało ono czasem bardzo określony sens. - Tak, chyba właśnie nim jestem. Obcym.

- Prawda, niech Bóg to przygwoździ! Czuć to od ciebie! Właśnie tu i teraz, o tak. Och, rany! Wiesz, nie pachniesz źle, ale śmiesznie, nie ma co. Wilk! To ja. Wilk! Wilk! Wilk!

Odrzucił głowę w tył i się roześmiał. Zabrzmiało to niepokojąco podobnie do wycia.

- Jack - powiedział chłopiec. - Jack Saw... - Wilk znów chwycił go za rękę i zaczął nią potrząsać. - Sawyer - dokończył Jack, gdy nowy znajomy ją wypuścił.

Uśmiechnął się, jakby ktoś mu przyłożył po głowie wielką, nadmuchiwaną pałą do zabawy. Pięć minut temu kulił się pod zimnym ceglany murem sracza przy 1-70. Teraz rozmawiał z młodym chłopakiem, wyglądającym bardziej na zwierzę niż na człowieka.

I byłby gotów kląć się na wszystkie świętości, że przeszło mu przeziębienie.

3

- Wilk poznaje Jacka! Jack poznaje Wilka! Tu i teraz! Dobrze! Świetnie! Och, na Jasona! Krowy na drodze! Ale one głupie! Wilk! Wilk!

Pokrzykując, Wilk zbiegł po stoku na drogę, na której stała mniej więcej połowa stada. Zwierzęta rozglądały się dookoła z drętym zdziwieniem, jakby zastanawiały się, gdzie podziała się trawa. Rzeczywiście wyglądały jak jakaś dziwna krzyżówka krów i owiec. Jack zastanowił się, jak można by je nazwać. Od ręki do głowy przychodziło mu tylko jedno słowo: "krówce". Powinno się to odmieniać, jak "owca", pomyślał Jack: To Wilk, troszczy się o swoje stado krowiec. Oj, tak. Właśnie tu i teraz.

Jack znowu dostał w głowę nadmuchiwaną pałą. Przysiadł i zaczął chichotać, zakrywając usta dłonią, by nie było tego słychać.

Nawet największe krówce miały najwyżej cztery stopy wzrostu i kędzierzawe futro o mętym odcieniu, podobnym do barwy oczu Wilka - rzecz jasna, jeśli te nie rozpały się jak dynie na Halloween. Łby zwierząt wieńczyły krótkie, zwinięte rogi, wyglądające na absolutnie nieprzydatne. Wilk spędzał zwierzęta z drogi. Schodziły posłusznie, nie okazując żadnych oznak strachu. Gdyby krowa czy owca po mojej stronie zwietrzyła tego gościa, toby zginęła, starając się przed nim uciec, pomyślał Jack.

Chłopiec polubił jednak Wilka - od pierwszego wejrzenia, tak jak od pierwszego wejrzenia poczuł strach przed Elroyem. Rozróżnienie to było wyjątkowo na miejscu, Wilka i Elroya łączyło bowiem niezaprzeczalne podobieństwo - z wyjątkiem tego, że Elroy przypominał kozła, natomiast Wilk był... no, wilczy.

Jack podszedł powoli do miejsca, gdzie Wilk zapędził stado, by się pasło. Przypomniawszy sobie, jak szedł na palcach śmierzącym korytarzem na zapleczu "Oatley Tap" w stronę drzwi ewakuacyjnych i wyczuwał bliskość Elroya, tak jak on zapewne wyczuwał jego obecność i jak krowa po drugiej stronie na pewno wyczułaby Wilka. Pamiętał, jak ręce

Elroya zaczęły skręcać się i grubieć, jak nabrzmiął jego kark, jak jego usta zamieniły się w paszczę pełną czerniejących kłów.

- Wilk?

Wilk obrócił się i popatrzył na niego z uśmiechem. Jego oczy rozbłysły jaskrawopomarańczową barwą i przez chwilę wyglądały na dzikie i inteligentne zarazem. Po chwili blask przygasł i pozostało po nim jedynie to samo mętne, wiecznie zdziwione spojrzenie oczu o barwie zielonej leszczyny.

- Jesteś... jakimś wilkołakiem?

- Pewnie - odpowiedział Wilk z uśmiechem. - Dobiłeś ten ćwiek, Jack. Wilk!

Jack usiadł na kamieniu i popatrzył z namysłem na Wilka. Uważał za niemożliwe, że cokolwiek mogłoby go zaskoczyć bardziej niż do tej pory, ale Wilkowi udało się to bez wysiłku.

- Jak tam twój ojciec, Jack? - zapytał jego nowy znajomy obojętnym, nieobowiązującym tonem, zarezerwowanym na pytania o krewnych rozmówcy. - Jak się miewa Phil? Wilk!

4

Jack doznał dziwacznie trafnego, chociaż pomieszanego skojarzenia: poczuł, jakby jego mózg przestał oddychać. Przez moment tylko to miał w głowie; nie było w niej żadnej innej myśli, jak w radiostacji, emitującej jedynie falę nośną. Po chwili zobaczył, że mina Wilka się zmienia. Wyraz szczęścia i dziecięcego zaciekawienia zastąpił smutek. Dostrzegł też, że nozdrza Wilka gwałtownie się rozszerzają.

- Nie żyje, prawda? Wilk! Przykro mi, Jack. Niech Bóg mnie przygwoździ! Głupi jestem! Głupi!

Wilk walnął się ręką w czoło i tym razem naprawdę zawył. Dźwięk ten zmroził krew w żyłach Jacka. Krówce w stadzie rozejrzały się niespokojnie.

- Nic się nie stało - powiedział Jack. Swój głos usłyszał bardziej w uszach niż w głowie, jakby odezwał się ktoś inny. - Ale... skąd wiedziałeś?

- Twój zapach się zmienił - odparł Wilk. - Wiedziałem, że nie żyje, bo wyczułem to w twoim zapachu. Biedny Phil! Taki dobry człowiek! Mówię ci to właśnie tu i teraz, Jack! Twój ojciec był dobrym człowiekiem! Wilk!

- Tak, był dobry - rzekł Jack. - Ale skąd go znasz? I skąd wiesz, że był moim ojcem?



Wilk popatrzył na Jacka, jakby ten zadał pytanie tak proste, że nie warto się fatygować odpowiadaniem na nie.

- Pamiętam jego zapach, oczywiście. Wilk pamięta wszystkie zapachy. Pachniesz tak samo jak on.

Łup! Nadmuchiwana pałka znów spadła na głowę Jacka. Poczłł chęć, żeby się po prostu tarzać tam i z powrotem po gęstej, sprężystej murawie, trzymając się za brzuch i zanosząc śmiechem. Ludzie mówili mu, że ma oczy po ojcu, usta po ojcu, nawet dar szybkiego szkicowania po ojcu, ale jeszcze nigdy nie powiedziano mu, że ma zapach po ojcu. Mimo to uznał, że w tych słowach kryje się pewna obłądna logika.

- Jak go poznałeś? - zapytał znowu.

Wolf przez chwilę miał strapioną minę.

- Przyjechał z tamtym drugim - wykrztusił wreszcie. - Tym z Orris. Byłem jeszcze mały. Tamten drugi był zły. Wykradł niektórych z nas. Twój ojciec nie wiedział - dodał pośpiesznie, jakby Jack okazał gniew. - Wilk! Nie! Był dobry, twój ojciec. Phil. Tamten drugi...

Wilk powoli pokręcił głową. Na jego twarzy pojawił się wyraz jeszcze prostszy niż zadowolenie, wspomnienie jakiegoś dziecięcego koszmaru.

- Zły - rzekł. - Wyrobił sobie w tym świecie pozycję, powiedział mi ojciec. Przeważnie to był jego Dwójnik, ale on sam przyszedł z twojego świata. Wiemy, że był zły, czuliśmy to, ale kto słucha Wilków? Nikt. Twój ojciec wiedział, że tamten był zły, ale nie potrafił wywęszyć go tak dobrze jak my. Wiedział, że był zły, ale nie zdawał sobie sprawy jak bardzo.

Wilk znowu odrzucił w tył głowę i długo zawył - mrozącym krew w żyłach, pełnym dziecięcego smutku zawodzeniem, odbijającym się od ciemnoniebieskiej kopuły nieba.

## Interludium

### Sloat w tym świecie (II)

Morgan Sloat wyjął z kieszeni obszernej kurtki (kupił ją w przekonaniu, że na wschód od Gór Skalistych mniej więcej od pierwszego października Ameryka zamienia się w lodowate pustkowia - a teraz zalewały go strumienie potu) małe stalowe pudełko. Pod zamkiem znajdowało się dziesięć małych guzików i podłużne, mleczne szkiełko żółtej barwy, szerokości ćwierć i długości dwóch cali. Sloat starannie nacisnął paznokciem małego palca lewej dłoni kilka guziczków i w czytniku zaświecił się na chwilę szereg cyfr. Kupił ten gadżet w Zurychu, gdyż reklamowano go jako najmniejszy sejf świata. Według sprzedawcy nawet tydzień w piecu krematoryjnym nie nadwerżyłby hermetyczności pojemnika ze stali węglowej.

Obecnie sejf się otworzył.

Sloat odłożył dwa małe skrzydełka jubilerskiego aksamitu o barwie mahoni, odsłaniając coś, czego właścicielem stał się ponad dwadzieścia lat temu - na długo przed urodzeniem irytującego szczeniaka, który przysparzał mu teraz tylu zmartwień. Był to zaśniedział, blaszany kluczyk, którym niegdyś nakręcano mechanicznego żołnierzyka-zabawkę. Sloat ujrzał zabawkę w oknie sklepu ze starzyzną w niezwykłym miasteczku Point Venuti w Kalifornii - miasteczku, którym bardzo się interesował. Wiedziony przymusem zbyt silnym, by mu się oprzeć (zresztą w gruncie rzeczy nawet nie miał ochoty mu się opierać; przecież Morgan Sloat zawsze czynił z przymusu cnotę), wszedł do środka i zapłacił pięć dolarów za zakurzonego, pogiętego żołnierzyka... tak czy inaczej, nie na nim mu zależało. To kluczyk przykuł jego uwagę i zaszeptał w jego duszy. Sloat wyjął kluczyk z pleców żołnierzyka i schował do kieszeni, gdy tylko wyszedł na zewnątrz. Samą zabawkę wkrótce wyrzucił do kosza na śmieci koło księgarni "Dangerous Planet".

Stojąc obok samochodu na parkingu przy autostradzie pod Lewisburgiem, Sloat wyjął kluczyk i przyjrzał się mu z bliska. Podobnie jak kulka Jacka, blaszany kluczyk zamieniał się w Terytoriach w coś innego. Pewnego razu po powrocie Sloat upuścił go w holu budynku, w którym mieściło się jego dawne biuro. W kluczyku musiało pozostać trochę magii Terytoriów, bo ten idiota Jerry Bledsoe usmażył się niecałą godzinę później. Czy Jerry podniósł go z podłogi? A może nadepnął? Sloat nie wiedział i wcale go to nie obchodziło. Nie obchodził go też ani trochę sam Jerry - a zważywszy na fakt, iż konserwator wykupił polisę ubezpieczeniową z zagwarantowaną podwójną wypłatą w razie śmierci w wypadku (Sloat dowiedział się tego szczegółu od dozorczy budynku, z którym od czasu do czasu dzielił fajkę

haszyszu), był pewien, że Nita Bledsoe skacze kozły z radości - ale wpadł niemal w popłoch z powodu straty kluczyka. W końcu znalazł go Phil Sawyer i oddał mu go, mówiąc jedynie: "Masz, Mór. To twój amulet, prawda? Pewnie masz dziurę w kieszeni. Znalazłem go w holu po tym, jak wywieźli biednego Jerry'ego".

Tak, w holu. W holu, w którym wszystko śmierdziało jak silnik miksera Waring Blendor, włączonego na najwyższe obroty przez jakieś dziewięć godzin. W holu, gdzie wszystko było poczerńnięte, pogięte i stopione ze sobą.

Z wyjątkiem tego niepozornego kluczyka.

Który w innym świecie stanowił niesamowitą odmianę piorunochronu i który Sloat zawiesił sobie w tej chwili na szyi na delikatnym srebrnym łańcuszku.

- Idę po ciebie, Jacky - powiedział niemal czułym głosem. - Czas, żeby cały ten niedorzeczny interes zakończył się z donośnym hukiem.

## Rozdział siedemnasty

### Wilk i stado

1

Wilk mówił o wielu rzeczach, od czasu do czasu wstając, by zegnać stado z drogi, a raz, by pogonić je do strumienia około pół mili na zachód. Gdy Jack zapytał go, gdzie mieszka, Wilk tylko machnął ręką w stronę północy. Kiedy Jack kilka minut później poprosił o dokładniejsze wytłumaczenie, Wilk zrobił zdziwioną minę i powiedział, że nie ma pary ani dzieci - i że coś, co określił "wielkim księżycem rui" nadejdzie dla niego najwcześniej za rok czy dwa lata. Tego, że czekał z utęsknieniem na ów "wielki księżyc rui", dowodził niewinnie lubieżny uśmiech, jaki wypłynął na jego oblicze.

- Ale powiedziałaś, że mieszkasz z rodziną.

- Och, rodzina! Oni! Wilk! - Zaśmiał się. - Pewnie! Oni! Wszyscy żyjemy razem. Musimy utrzymywać bydło, wiesz. Jej bydło.

- Królowej?

- Tak. Niech nigdy, nigdy nie umrze. - Po czym Wilk oddał absurdalnie wzruszający pokłon, pochylając się na chwilę z przyłożoną do czoła prawą ręką.

Dzięki dalszemu wypytywaniu Jack zdołał nieco zrozumieć... takie przynajmniej odniósł wrażenie. Wilk był kawalerem (choć to słowo z jakiegoś powodu niemal zupełnie tu nie pasowało). Rodzina, o której mówił, była bardzo liczna - po prostu cały ród Wilków. Rasa nomadów, jednak żarliwie sobie oddanych. Przemierzali tam i z powrotem wielkie, puste przestrzenie na wschód od Rubieży, ale na zachód od "Osad", którym to terminem Wilk chyba określał miasteczka i wsie na wschodzie.

Wilcy (nie zaś Wilki - gdy Jack użył raz tej formy liczby mnogiej, Wilk śmiał się, aż z kącików oczu pociekły mu łzy) byli przeważnie solidnymi, oddanymi robotnikami. Ich siła była legendarna, lojalność - niepodważalna. Niektórzy wywędrowali na wschód do Osad, gdzie służyli Królowej jako strażnicy, żołnierze, a nawet członkowie ochrony osobistej. W ich życiu, wytłumaczył Wilk Jackowi, były dwa kamienie węgielne: Królowa i rodzina. Powiedział, że większość Wilków służyła władczyni tak jak on - strzegąc stad.

Krówce stanowiły w Terytoriach główne źródło mięsa, ubrania, łoju i oleju do lamp (Wilk nie powiedział tego Jackowi, ale chłopiec się domyślił). Całe bydło należało do Królowej, a ród Wilków pilnował go od niepamiętnych czasów. Na tym polegała ich praca. Jack dopatrzył się w tym dziwnego podobieństwa do relacji panującej między bawołami i

Indianami z amerykańskich Wielkich Równin... przynajmniej do czasu, gdy na tych terenach pojawił się biały człowiek i zburzył dotychczasową równowagę.

- Albowiem lew będzie leżał pospołu z jagnięciem, a Wilk z krowcą - mruknął Jack i się uśmiechnął.

Leżał na plecach ze splecionymi pod głową dłońmi. Ogarnęło go bezgranicznie wspaniałe uczucie spokoju i radości.

- Co, Jack?

- Nic - odparł. - Wilku, czy naprawdę zmieniasz się w zwierzę w czasie pełni?

- Pewnie, że tak! - powiedział Wilk ze zdumioną miną, jakby Jack zadał mu pytanie w rodzaju: *Wilku, czy na pewno podciągasz portki, kiedy się załatwisz? - Obcy tego nie robią, prawda?* Phil mi to powiedział.

- A... no, stado - rzekł Jack. - Gdy się zmieniasz, czy ono...

- Och, nie podchodzimy blisko stada, kiedy się zmieniamy - odparł Wilk z powagą. - Na Jasona, nie! Pożarlibyśmy je, nie rozumiesz? A Wilk, który kosztuje ze swojego stada, musi zostać wydany na śmierć. Tak stoi w Księdze Dobrej Uprawy. Wilk! Wilk! Mamy miejsca, gdzie chodzimy, w czasie pełni. Tak samo stado. Są głupie, ale wiedzą, że kiedy księżyc jest wielki, muszą uciekać. Wilk! Lepiej, żeby wiedziały, niech Bóg je przygwoździ!

- Ale jesz mięso, prawda? - spytał Jack.

- Nic, tylko pytania, tak samo jak twój ojciec - powiedział Wilk. - Wilk! Nie ma sprawy! Tak, jemy mięso. Oczywiście, że tak. Jesteśmy Wilcy, prawda?

- Ale jeśli nie jecie sztuk ze stada, to co?

- Jemy dobrze - odparł Wilk i nie chciał dalej rozwijać tematu.

Podobnie jak wszystko w Terytoriach, Wilk stanowił tajemnicę - zagadkę jednocześnie wspaniałą i przerażającą. Fakt, iż znał zarówno ojca Jacka, jak i Morgana Sloata - a przynajmniej raz spotkał ich Dwójników - stanowił przyczynę wyjątkowej aury tajemnicy, która spowijała Wilka, ale nie wyjaśniał jej całkowicie. Wszystko, czego Jack się od niego dowiadywał, budziło dziesiątki nowych pytań, na których większość Wilk nie potrafił - albo nie chciał - odpowiedzieć.

Przykładem tego była kwestia wizyt Philipa Sawtelle i Morgana z Orris. Zjawili się po raz pierwszy w czasie "małego księżycy", gdy Wilk żył z matką i dwoma "siostrami z miotu". Najwidoczniej wędrowali gdzieś indziej, jak Jack obecnie, tyle że kierowali się na wschód, nie na zachód ("Powie ci prawdę: jesteś chyba jedynym człowiekiem, jakiego widziałem tak daleko na zachód, który idzie jeszcze dalej na zachód", rzekł Wilk).

Sawtelle i Sloat tworzyli we dwójkę dość wesołą kompanię. Dopiero później zaczęły się kłopoty... kłopoty z Morganem z Orris. Stało się to po tym, gdy partner ojca Jacka “wyrobił sobie pozycję w tym świecie”, o czym Wilk co jakiś czas przypominał chłopcu - chociaż teraz wydawało się, że chodzi mu o Sloata w fizycznym przebraniu Morgana z Orris. Wilk twierdził, że Morgan wykradł jedną z jego siostr z miotu (“Matka przez miesiąc gryzła sobie ręce i nogi po tym, jak dowiedziała się, że to on ją zabrał”, powiedział rzeczowo Wilk), i od czasu do czasu porywał innych Wilków. Opuściwszy głos, z wyrazem przesądnego lęku na twarzy, Wilk powiedział Jackowi również, że “kulawy człowiek” zabrał niektórych z tych Wilków do innego świata, Siedziby Obcych, i nauczył ich, jak kosztować ze stada.

- To wielkie zło dla takich jak ty, prawda? - spytał Jack.

- Są przekłęci - odparł Wilk.

Jack początkowo pomyślał, że jego towarzysz mówi o porywaniu - ostatecznie użył czasownika, który stanowił terytorialny odpowiednik “zabierać”. Zaczął jednak się domyślać, że wcale nie chodzi o porwanie - chyba że Wilk w nieświadomie poetycki sposób chciał wyrazić, że Morgan porywał umysły niektórych z rodu Wilków. Chłopiec doszedł do wniosku, że chodziło mu w istocie o wilkołaki, które zerwały z odwieczną wiernością Koronie oraz stadu i oddały się pod rządy Morgana... Morgana Sloata i Morgana z Orris.

Co w dość zrozumiały sposób przywodziło na myśl Elroya.

*Wilk, który kosztuje ze swego stada, musi zostać wydany na śmierć.*

Przywodziło to na myśl ludzi w zielonym samochodzie, którzy zatrzymali się i wypytywali Jacka o drogę, zaproponowali mu batonik Tootsie Roll, a następnie próbowali wciągnąć go do środka. Oczy. Oczy, które się zmieniły.

*Są przekłęci.*

*Wyrobił sobie pozycję w tym świecie.*

Do tej pory Jack czuł się bezpiecznie, czuł radość, że wrócił do Terytoriów, gdzie chociaż w powietrzu panował chłodek, to jednak w niczym nie przypominał on kąsającego ziąbu z szarego zachodniego Ohio; czuł się bezpiecznie w towarzystwie wielkiego, przyjaznego Wilka, daleko na odludziu, całe mile od kogokolwiek i czegokolwiek.

Wyrobił sobie pozycję w tym świecie.

Jack zapytał Wilka o swojego ojca - Philipa Sawtelle w tym świecie - ale jego towarzysz tylko potrząsnął głową. Był dobrym człowiekiem, to pewne jak to, że Bóg wbija swoje ćwieki, a na dodatek Dwójnikiem - to znaczy, że na pewno Obcym - ale Wilk chyba nie wiedział nic więcej. Powiedział, że Dwójnicy mieli pewnie coś wspólnego z miotami ludzi, a o takich rzeczach nie śmiał się wypowiadać. Nie potrafił też opisać Philipa Sawtelle - nie

pamiętał go. Przypominał sobie tylko jego zapach. Wiedział jedynie tyle, i powiedział to Jackowi, że chociaż obaj Obcy wydawali się mili, tylko Phil Sawyer rzeczywiście był miły. Pewnego razu przyniósł prezenty dla Wilka oraz jego braci i siostr z miotu. Jednym z nich - który nie zmienił się po przeniesieniu ze świata Obcych - były farmerki dla Wilka.

- Noszę je cały czas - powiedział Wilk. - Moja matka chciała je wyrzucić, kiedy przechodziłem w nich jakieś pięć lat. Powiedziała, że są przetarte! że z nich wyrosłem! Wilk! Twierdziła, że łąty trzymają się na innych łątach! Ale i tak ich nie oddałem. Wreszcie dostała trochę materiału od domokrażcy udającego się na Rubieże. Nie wiem, ile za niego dała, bo - Wilk! - powiem ci prawdę, Jack, bałem się pytać. Ufarbowała je na niebiesko i uszyła mi sześć par. Na tych, które dostałem od twojego ojca, teraz śpię. Wilk! Wilk! To pewnie moja poduszka, niech mnie Bóg przygwoździ.

Wilk uśmiechnął się tak otwarcie - a jednocześnie żałośnie - że Jack poczuł się zmuszony wziąć go za rękę. Bez względu na okoliczności niczego podobnego nie zrobiłby w swoim dawnym życiu, ale teraz miał wrażenie, że tylko on na tym stracił. Był zadowolony, że trzyma silną, ciepłą dłoń Wilka.

- Cieszę się, że lubiłeś mojego ojca, Wilku - powiedział.

- Lubilem! Lubilem! Wilk! Wilk! A potem rozpętało się piekło.

2

Wilk zamilkł i rozejrzał się zaniepokojony dookoła. - Wilku? Co się dzie...

- Szszszsz!

Jack również usłyszał dźwięk, który dotarł najpierw do wyczulonych uszu Wilka. Odgłos szybko narastał; niedługo usłyszy go nawet głuchy, pomyślał Jack. Bydło zaczęło się rozglądać, a potem w panice odsuwać od źródła dźwięku, tworząc nierówne, zbite stado. Odgłos przypominał specjalny efekt dźwiękowy z radia - imitację bardzo powolnego rozdzierania prześcieradła, tyle że natężenie dźwięku rosło z każdą chwilą, aż Jack czuł, że oszaleje.

Wilk zerwał się na nogi. Wyglądał na oszołomionego, zdezorientowanego i przerażonego. Dźwięk darcia - niskie, nierówne warczenie - nadal narastał. Coraz głośniejsze beczało też bydło. Niektóre sztuki cofały się do strumienia. Gdy Jack obejrzał się w tę stronę, zobaczył, że jedna krowca pada z pluskiem, niezdarnie wymachując nogami. Rojące się, cofające towarzyszyki szybko wepchnęły ją pod wodę. Wydała z siebie przenikliwe beczenie. Kolejna krowca potknęła się o pierwszą i została tak jak ona stratowana przez stado w

powolnym odwrocie. Przeciwległy brzeg strumienia był błotnisty i grząski, porośnięty zieloną trzciną. Krowca, która pierwsza do niego dotarła, szybko ugrzęzła w mule.

- Oj, wy przygwożdżone przez Boga, nic niewarte bydlęta! - ryknął Wilk.

Pognał po stoku w stronę strumienia. Pierwsze zwierzę, które w nim padło, wyglądało na pogrążone w śmiertelnych konwulsjach.

- Wilk! - krzyknął Jack, jednak towarzysz go nie usłyszał.

Chłopiec sam siebie ledwie słyszał przez odgłos nierównego darcia. Przeniósł spojrzenie nieco w prawo, na tę stronę strumienia, i rozdziawił usta ze zdumienia. Coś działało się z powietrzem. Jego połać mniej więcej trzy stopy nad ziemią falowała i pokrywała się bąblami; wydawała się skręcać i szarpać w najrozmaitsze strony. Jack mógł przez nią dojrzeć Szlak Zachodni, ale droga była zamazana i podrygiwała, jakby spoglądało się na nią przez rozpalone, falujące powietrze nad spalarnią śmieci.

*Coś rozdziera powietrze jak ranę - coś przechodzi przez tę dziurę - z naszej strony? Och, Jasonie, czy tak to właśnie wygląda, kiedy tutaj przeskakuję? Mimo paniki i zamętu w głowie Jack czuł jednak, że w jego przypadku jest inaczej.*

Miał jednak solidne podstawy domyślać się, kto mógł przechodzić na tę stronę w tym gwałtownym stylu.

Zaczął zbiegać ze wzgórza.

3

Odgłos rozdzierania ciągle narastał. Wilk padł na kolana w strumieniu i próbował pomóc podnieść się drugiemu zwierzęciu. Pierwsze, sponiewierane i stratowane, płynęło bezwładnie z prądem.

- Wstawaj! Niech Bóg cię przygwoździ, wstawaj! Wilk!

Pasterz z całych sił popychał i walił otwartą dłońią kotłującą się w wodzie i wpychającą się na niego tyłem krowce. Potem objął tonące zwierzę za tułów i szarpnął je w górę.

- WILK! TU I TERAZ! - krzyknął.

Rękawy koszuli popękały szeroko na jego bicepsach, co przypomniało Jackowi wywoływane przez promienie gamma napady Davida Bannera, wskutek których przeistaczał się w Niewiarygodnego Hulka. Woda bryzgała na wszystkie strony. Wilk dźwignął się na nogi z gorejącymi pomarańczowo oczami. Jego przemoknięte farmerki nabrały czarnej



barwy. Woda sączyła się z nozdrzy zwierzęcia, a Wilk tulił je do piersi jak przerośnięte szczenię. Ślepią krowcy pokrywała lepka biel.

- Wilk! - krzyknął Jack. - To Morgan! To...

- Stado! - odkrzyknął Wilk. - Wilk! Wilk! Moje przygwożdżone przez Boga stado! Jack! Nie próbuj...

Reszta zginęła w chrzęszczącym, wstrząsającym ziemią grzmocie. Przez chwilę łoskot zagłuszył nawet przyprawiający o obłąd, monotony odgłos darcia. Jack, niemal równie zdezorientowany jak bydło Wilka, podniósł głowę i zobaczył przejrzyste, błękitne niebo, pozbawione chmur, jeśli nie liczyć paru kłębiastych obłoczków wiele mil dalej.

Grom wywołał w stadzie Wilka panikę. Zwierzęta próbowały zerwać się do ucieczki, ale w swej wyjątkowej głupocie wiele próbowało się cofać. Wpadały na siebie, przewracały się z pluskiem w wodę i ginęły pod powierzchnią. Jack usłyszał okropny trzask łamanej kości, po którym rozległo się beczenie oszalałego z bólu stworzenia. Wilk ryknął z furii, upuścił krówce, którą starał się uratować, i pobrnął w stronę przeciwnego brzegu strumienia.

Zanim zdołał do niego dotrzeć, wpadło na niego sześćcioro zwierząt i zważyło z nóg. Woda bryznęła cienkimi, skrzącymi się strumyczkami. Jack zdał sobie sprawę, że tym razem Wilkowi groziło, iż zostanie utopiony i stratowany przez durne, pierzchające zwierzęta.

Jack wbiegł do strumienia, który ciemniał od wzburzonego mułu. Prąd stale próbował pozbawić go równowagi. Rycząca, wywracająca obłądnie ślepiami krowca minęła go, kotłując się w strumieniu i omal nie zbijając go z nóg. Woda chlusnęła Jackowi w twarz; ledwie zdołał otrzeć sobie oczy.

Koszmary dźwięk zdawał się wypełniać cały świat: DDDRRRRR...

Wilk. Morgan stał się nieważny, przynajmniej na razie. Wilk znalazł się w tarapatkach.

Kudłata, przemoczona głowa pasterza na chwilę wychynęła z wody, po czym troje ze zwierząt przegalopowało po nim. Po chwili widać było tylko wymachującą, pokrytą futrem rękę. Jack brnął dalej, starając się omijać bydło - niektóre sztuki zdołały utrzymać się na nogach, inne padały i tonęły.

- Jack! - rozległ się ryk zagłuszający odgłos darcia. Chłopiec rozpoznał ten głos - należał do wuja Morgana. - Jack!

Rozległ się kolejny grom, jakby padał gigantyczny dąb. Przetoczył się po niebie jak odgłos artyleryjskiego wystrzału.

Zdyszany Jack obejrzał się przez ramię i przez zasłaniające oczy zmoczone włosy ujrzał... parking przy autostradzie 1-70 pod Lewisburgiem w Ohio. Widział jak przez faliste, źle odlane szkło... ale mógł go dojrzeć. Po lewej stronie pokrytej pęcherzami, skatowanej

połaci powietrza widniał skraj ceglanej toalety. Po prawej wyzierał przód samochodu - chyba chevroleta pick-upa; unosił się trzy stopy nad miejscem, gdzie Jack i Wilk siedzieli i spokojnie rozmawiali niecałe pięć minut temu. Na środku zaś, wyglądając jak statysta z filmu o wyprawie admirała Byrda na biegun południowy, stał Morgan Sloat z wykrzywioną morderczym gniewem toporną twarzą. Gniewem - i czymś jeszcze. Triumfem? Tak - Jack odniósł wrażenie, że właśnie nim.

Chłopiec stał w sięgającym pachwin strumieniu, otoczony przez mijające go z obu stron beczące i muczące bydło, i wpatrywał się z szeroko otwartymi oczyma i jeszcze szerzej rozdziawionymi ustami w okno wyrąbane w samej fakturze rzeczywistości.

*Znalazł mnie, och, Boże drogi, znalazł mnie.*

- Tu jesteś, mały zasańcu! - ryknął na niego Morgan. Jego głos brzmiał donośnie, ale był stłumiony i jakby martwy wskutek przenikania z rzeczywistości jednego świata do drugiego. Brzmiał jak u mężczyzny, wrzeszczącego w budce telefonicznej. - Teraz zobaczymy, nie? No nie?

Morgan ruszył do przodu. Jego twarz marszczyła się i falowała, jakby wykonano ją z giętkiego plastiku, a Jack miał czas dojrzeć, że Sloat ścisnął w ręce coś małego i srebrzystego, co wisiało na jego szyi.

Chłopiec stał sparaliżowany i patrzył, jak Sloat przepycha się przez dziurę między dwoma wszechświatami. Po drodze wykonał własną wilkołaczą sztuczkę - dokonała się w nim przemiana z Morgana Sloata, inwestora, spekulanta gruntami i byłego hollywoodzkiego agenta, w Morgana z Orris, pretendenta do tronu umierającej Królowej. Zarumienione, obwisłe policzki wychudły. Znikła ich rumiana barwa. Włosy odmłodziły, ich linia przesunęła się do przodu, najpierw zabarwiając okrągłość czaszki, jakby jakaś niewidzialna istota najpierw farbowała, a potem zakrywała głowę wuja Morgana. Dwójnik Sloata miał długie, czarne, powiewające i wyglądające jak martwe włosy, związane u podstawy karku. Jack dostrzegł jednak, że i tak większość luźno opadała.

Kurtka zamajaczyła, na chwilę znikła, a po chwili pojawiła się ponownie jako peleryna z kapturem.

Zamszowe półbuty Morgana Sloata zamieniły się w sięgające do kolan buty z ciemnej skóry z odwróconymi mankietami; z lewego sterczało coś, co pewnie było rękojeścią noża.

Mały, srebrny przedmiot w jego dłoni zamienił się natomiast w niewielką laskę, po której pełgały niebieskie ogniki. To laska, miotająca pioruny. O Jezu, to...

- Jack! - zabrzmiało ciche, bulgoczące, pełne wody wołanie.

Chłopiec odwrócił się niezgrabnie w strumieniu, ledwie unikając zderzenia z kolejną krowcą, martwą i pływającą na boku. Zobaczył, że głowa Wilka znów niknie pod powierzchnią, a ręce trzepocą w powietrzu. Ruszył z wysiłkiem w tamtą stronę, wciąż starając się wymijać bydło. Jedna sztuka uderzyła weń z rozpędem; Jack przewrócił się, woda wlała mu się do płuc. Szybko poderwał się na nogi, dławiąc się i kaszląc. Zacisnął dłoń na butelce pod kaftanem - przestraszył się, że porwała ją woda, ale wciąż znajdowała się na miejscu.

- Chłopcze! Odwróć się i popatrz na mnie, chłopcze!

*Nie mam na to czasu, Morgan. Przykro mi, ale nie chcę się utopić przez stado Wilka, a potem spróbuję uniknąć usmażenia twoją piekielną laską. Nie...*

Łuk błękitnego, skwierczącego ognia wzbił się nad ramieniem Jacka jak śmiercionośna, elektryczna tęcza. Trafił jedną z krowiec, które ugrzęzły w zarośniętym trzciną bagnisku po drugiej stronie strumienia. Nieszczęsne stworzenie po prostu eksplodowało, jakby nałykało się dynamitu. Na wszystkie strony bryznął prysznic kropli krwi, wokół Jacka zaczęły spadać ochłapy mięsa.

- Odwróć się i popatrz na mnie, chłopcze!

Poczuł moc tego polecenia, jakby na twarzy zacisnęły się mu niewidzialne ręce i starały się ją przekręcić.

Wilk dzwignął się nad powierzchnię, twarz oblepiały włosy; oszołomione oczy wyglądały przez ich kurtynę jak ślepie owczarka angielskiego. Krztusił się i zataczał na nogach, ponieważ chyba stracił orientację.

- Wilk! - krzyknął Jack, lecz jego wołanie zagłuszył grom, który znów przetoczył się po niebie.

Wilk zgiął się i wymiotował wielki potok mętnej wody. Po chwili wpadła na niego kolejna przerażona krowca i zwała go z nóg.

Po wszystkim, pomyślał z rozpaczą Jack. Już po nim, na pewno, daj temu spokój, uciekaj stąd...

Brnął jednak dalej w stronę Wilka, odpychając po drodze konającą, słabo podrygującą krowcę.

- Jason! - krzyknął Morgan z Orris.

Chłopiec wyczuł, że Morgan nie posłużył się zaklęciem z Terytoriów, lecz wołał jego, Jacka, po imieniu. Po tej stronie nie nazywał się Jack, tylko Jason.

*Ale syn Królowej umarł jako niemowlę, umarł, on...*

Znów zabrzmiał wilgotny, skwierczący syk elektryczności - zdawało się, że niemal zrobiła Jackowi przedziałek na głowie. Ponownie trafiła w przeciwległy brzeg, a kolejna ze

sztuk bydła Wilka zamieniła się w obłok pary. Nie - nie do końca, pomyślał Jack. Po stworzeniu pozostały nogi, które sterczały z błota jak kolki. Na jego oczach zaczęły bezwładnie padać w cztery różne strony.

**ODWRÓĆ SIĘ I POPATRZ NA MNIE, NIECH BÓG CIĘ PRZYGWOŹDZI!**

*Woda, dlaczego nie strzeli w wodę, nie usmaży mnie, Wilka i wszystkich zwierząt naraz?*

Przypomniał sobie lekcję fizyki z piątej klasy. Wniknąwszy w wodę, prąd elektryczny mógł podążyć w dowolną stronę... w tym z powrotem do generatora napięcia.

Widok oszołomionej twarzy Wilka pod powierzchnią pobudził Jacka do działania. Pasterz jeszcze żył, lecz częściowo uwiązał pod krowcą, która chociaż najwyraźniej nie odniosła żadnych obrażeń, była sparalizowana z trwogi. Wilk wymachiwał żałośnie rękami, z sekundy na sekundę coraz słabiej. Nim Jack pokonał resztę odległości, jedna z rąk opadła i unosiła się bezwładnie jak lilia wodna.

Nie zwalniając kroku, chłopiec lewym barkiem uderzył w krowce jak Jack Armstrong w sportowej historyjce dla dzieci.

Gdyby była to krowa zwykłych rozmiarów, zamiast zminiaturyzowanego modelu z Terytoriów, Jack pewnie nie zdołałby jej nawet ruszyć z miejsca, zwłaszcza przy stawiającym mu opór różnym nurcie strumienia. Na szczęście zwierzę było jednak mniejsze, a w chłopcu buzowała adrenalina. Stworzenie zaryczało, gdy Jack je uderzył, pogramoliło się w tył, na chwilę przysiadło na tylnych nogach, po czym skoczyło w stronę drugiego brzegu. Jack chwycił Wilka za ręce i szarpnął z całej siły.

Pasterz wynurzył się z wody opornie jak przesiąknięta kłoda. Miał półprzymknięte, zaszkłone oczy, woda lała się mu z uszu, nosa i ust. Zsiniały mu już wargi.

Szpice podwójnej błyskawicy zasyczały po obu stronach podtrzymującego Wilka Jacka. Wyglądali jak para pijaków próbujących zatańczyć walca w basenie. Na drugim brzegu kawałki kolejnej krowcy poleciały na wszystkie strony; oderwana głowa wciąż beczała. Gorące strużki ognia przemykały zygzakami po podmokłej ziemi, podpalając kępy trzciny, aż znalazły suchszą trawę tam, gdzie grunt zaczynał się podnosić.

- Wilk! - krzyknął Jack. - Wilk, na miłość boską!

- Auu! - jęknął Wilk i zwymiotował ciepłą, mętną wodę na ramię Jacka. - Auu...

Jack obejrzał się na stojącego na brzegu Morgana - wysoką postać w czarnej oponczy. Kaptur okalał ze swego rodzaju przygnębiającym romantyzmem bladą jak u wampira twarz. Jack zdążył pomyśleć, że magia Terytoriów zadziałała nawet na jego okropnego wuja. Po tej stronie Morgan nie był liczykrupą i lizusem z nadciśnieniem i nadwagą, hołubiącym piractwo

w sercu i morderstwo w duchu; po tej stronie jego twarz była węższa i obdarzona lodowatym, męskim pięknem. Morgan wymierzył srebrny drążek jak czarodziejską różdżkę-zabawkę. Błękitny ogień znowu rozdarł powietrze.

- A teraz ty i twój dumny przyjaciel! - krzyknął Morgan.

Jego cienkie wargi rozszerzyły się w triumfalnym uśmiechu, obnażając zapadnięte, żółte zęby, które raz na zawsze wybiły Jackowi z głowy, że wuj zyskał na urodzie.

Wilk zawył i szarpnął się w obolałych ramionach Jacka. Wpatrywał się w Morgana pomarańczowymi oczyma, wybałuszonymi z nienawiści i strachu.

- Ty diable! - ryknął Wilk. - Ty diable! Moja siostra! Moja siostra z miotu! Wilk! Wilk! Ty diable!

Jack wyciągnął butelkę spod kaftana. I tak został tylko jeden łyk. Nie był w stanie podtrzymać Wilka jedną ręką; upuszczał go, a pasterz najwyraźniej nie mógł sam utrzymać się na nogach. Nieważne. I tak nie mógł go zabrać ze sobą do innego świata... a może mógł?

- Ty diable! - krzyknął raz jeszcze Wilk.

Płakał, a jego mokra twarz zsuwała się z ramienia Jacka. Plecy jego farmerek wydeły się, unosząc się na wodzie.

Czuć było smród palącej się trawy i płonących zwierząt.

Rozległa się eksplozja gromu.

Tym razem rzeka ognia omiotła Jacka tak blisko, że pozwijały się mu przypalone włoski w nozdrzach.

- OCH, TAK, OBYDWAJ! OBYDWAJ! - zawodził Morgan. - NAUCZĘ CIĘ, ŻEBY NIE WCHODZIĆ MI W DROGĘ, TY BĘKARCIE! SPAŁĘ WAS OBU! JUŻ JA WAS PRZYGWOZDŻĘ!

- Trzymaj się, Wilku! - krzyknął Jack. Zrezygnował ze starań, by go podtrzymać; zamiast tego chwycił go za rękę i ścisnął ją z całych sił. - Trzymaj się mnie, słyszysz?!

- Wilk!

Jack przekrzywił butelkę i obrzydliwy, zimny smak gnijących winogron wypełnił jego usta po raz ostatni. Butelka była pusta. Gdy przełknął, usłyszał brzęk - Morgan trafił ją kolejną błyskawicą. Dźwięk tłukącego się szkła był jednak słaby... podobnie jak świerzbienie elektryczności... a nawet gniewne wrzaski Morgana.

Jack poczuł, jakby wpadał tyłem do dziury - być może grobu. Po chwili Wilk ścisnął mu rękę tak silnie, że Jack jęknął. Uczucie zawrotu głowy, jakby zrobił właśnie fikołka, zaczęło ustępować... po czym przygasł również blask dnia, zamieniając się w smętną, podszytą purpurą szarość październikowego zachodu słońca w centrum Ameryki. Zimny

deszcz smagnął Jacka po twarzy. Chłopiec zdał sobie niejasno sprawę, że stoi w wodzie o wiele zimniejszej niż ta, w której znajdował się zaledwie kilka sekund wcześniej. Gdzieś niedaleko rozlegało się znajome, przypominające pochrapywanie warczenie wielkich ciężarówek na autostradzie... tyle że w tej chwili rozbrzmiewało wprost nad jego głową.

Niemożliwe, pomyślał, ale czy rzeczywiście? Granice tego świata zdawały się naginać tak łatwo, jakby były z plastiku. Przez chwilę z zawrotem głowy wyobraził sobie latające ciężarówki rodem z Terytoriów, prowadzone przez tamtejszych mieszkańców z wielkimi, przypasanymi do grzbietów płóciennymi skrzydłami.

Z powrotem, pomyślał. Znow z powrotem, w tym samym czasie, na tej samej rogatce.

Kichnął.

I to samo przeziębienie.

Dwie rzeczy nie były jednak takie same.

Nie wylądował na parkingu przy autostradzie. Stał po uda w lodowatej wodzie strumienia płynącego pod wiaduktem na rogatce.

Wilk mu towarzyszył. To druga rzecz.

Do tego Wilk krzyczał.

Rozdział osiemnasty

Wilk idzie do kina.

1

W górze kolejna ciężarówka przejechała po wiadukcie z rykiem potężnego dieslowskiego silnika. Podłoże drogi się zatrzęsło. Wilk zajęczał i wczepił się w Jacka, przez co o mało obydwaj nie runęli w wodę.

- Przestań! - krzyknął Jack. - Puść mnie, Wilku! To tylko ciężarówka. Puszczaj!

Uderzył Wilka otwartą ręką w policzek. Nie chciał tego robić - przerażenie jego towarzysza budziło współczucie, lecz Wilk był niemal całą stopę wyższy i około stu pięćdziesięciu funtów cięższy od Jacka. Gdyby się nie opanował, na pewno obydwaj wywaliliby się w lodowatą wodę i dostali zapalenia płuc.

- Wilk! Nie podoba mi się! Wilk! Nie podoba mi się! Wilk! Wilk!

Jego uchwyt jednak zelżał. W chwilę później opuścił ręce. Gdy w górze zawarczała następna ciężarówka, Wilk skulił się, ale zdołał powstrzymać się od wczepienia się ponownie w Jacka. Popatrzył wszakże na niego z niemym, rozdygotanym błaganiem, mówiącym: *Zabierz mnie stąd, proszę, zabierz mnie stąd, wolałbym nie żyć, niż przebywać w tym świecie.*

*Na nic nie miałbym większej ochoty, Wilku, ale po tamtej stronie jest Morgan. Nawet gdyby go nie było, i tak nie mam już magicznego napitku.*

Opuścił wzrok i zobaczył, że w lewej ręce trzyma strzaskaną szyjkę butelki od Speedy'ego, jak mężczyzna gotujący się do porządnej knajpianej bijatyki. Wilk miał więcej szczęścia niż rozumu, że nie skaleczył się paskudnie, gdy ścisnął Jacka ze zgrozy.

Chłopiec wyrzucił szyjkę. Plum.

Nadjechały dwie ciężarówki - warkot był dwukrotnie głośniejszy. Wilk zawył z trwogi i zasłonił kurczowo dłońmi uszy. Jack dostrzegł, że po przeskoku z dłoni Wilka znikło niemal całe owłosienie - prawie, ale nie do końca. Zobaczył też, że dwa pierwsze palce jego dłoni mają taką samą długość.

- Chodź, Wilku - powiedział, gdy zgiełk ciężarówek nieco ucichł. - Wydostańmy się stąd. Wyglądamy jak para gości, czekających na chrzest w specjalnym wydaniu "PLT Club"\*.[ \*PLT - Praise the Lord - Chwała Panu. PLT była siecią ewangelizacyjną; zbankrutowała w 1988 roku.]

Wziął go za rękę i skrzywił się, gdy Wilk zacisnął panicznie dłoń. Pasterz dostrzegł jego minę i rozluźnił uścisk... trochę.

- Nie zostawiaj mnie, Jack - powiedział. - Proszę, proszę, nie zostawiaj mnie.

- Nie zostawię cię, Wilku - odparł Jack.

Pomyślał: Jakim cudem ładujesz się w takie sytuacje, matole? Proszę bardzo: sterczysz pod wiaduktem na autostradzie gdzieś w Ohio ze swoim udomowionym wilkołakiem. Jak to robisz? Ćwiczysz? Ach, a przy okazji: co z księżycem, Jack-O? Pamiętasz, jaka jest faza?

Nie pamiętał, a padający zimny deszcz i pokrywające niebo chmury sprawiały, że nie sposób było tego sprawdzić.

Jaka istniała szansa, że nie ma pełni? Trzydzieści do jednego na jego korzyść? Dwadzieścia osiem do dwóch?

Nie wyglądało to różowo, biorąc pod uwagę, jak się wszystko układało.

- Nie, nie zostawię cię - powtórzył i poprowadził Wilka ku przeciwnej stronie strumienia.

Na płyciźnie unosiły się brzuchem do góry rozkładające się resztki dziecięcej lalki, jej szkliste, niebieskie oczy wpatrywały się w narastającą ciemność. Mięśnie ramienia bolały Jacka po przeciągnięciu Wilka do tego świata, a staw barkowy pulsował jak spróchniały ząb.

Gdy wyszli z wody na porośnięty trzciną i zasłany śmieciami brzeg, Jack znów zaczął kichać.

2

Tym razem Jack przebył w Terytoriach łącznie pół mili na zachód - odległość, na jaką Wilk przegonił swoje stado, by mogło napić się ze strumienia, w którym pasterz potem niemal utonął. Po tej stronie było to dziesięć mil na zachód - tak przynajmniej wynikało z obliczeń Jacka. Wdrapali się na zbocze - w końcu to Wilk ciągnął chłopca za sobą przez większość drogi. W reszcie światła dnia Jack dojrzał odchodzącą w prawo, mniej więcej pięćdziesiąt jardów dalej, rampę zjazdową. Podświetlony napis na tablicy głosił:

ARCANUM OSTATNI ZJAZD W OHIO

DO GRANICY STANU 15 MIL.

- Musimy złapać okazję - powiedział Jack.

- Okazję? - powtórzył niepewnie Wilk.

- Przyjrzyjmy się, jak wyglądasz.

Doszedł do wniosku, że wygląd Wilka ujdzie - przynajmniej w ciemnościach. Pasterz nadal miał na sobie farmerki, tym razem naprawdę z naszywką firmy: OSHKOSH. Utkana w



domowych warunkach koszula zamieniła się w maszynowy wyrób z niebieskiego sztruksu, który wyglądał jak wzorcowy model z wojskowego demobilu. Na uprzednio bosych stopach znalazła się para wielkich, ociekających wodą tenisówek i białe skarpety.

Co najdziwniejsze, pośrodku wielkiej twarzy Wilka pojawiła się para okularów w drucianych oprawkach w stylu takich, jakie nosił John Lennon.

- Masz kłopoty ze wzrokiem, Wilku? Tam, w Terytoriach?

- Sam tego nie wiedziałem - odparł Wilk. - Pewnie tak. Wilk! Pewnie, że po tej stronie widzę o wiele lepiej dzięki tym szklanym oczom. - Popatrzył na grzmiące na rogatce samochody, a Jack przez chwilę zobaczył to samo co on: wielkie stalowe bestie z olbrzymimi, żółtobiałymi ślepiami, galopujące w ciemności z niewyobrażalną prędkością i pozostawiające na drodze ślady gumy. - Widzę lepiej, niż miałbym ochotę - dokończył żałośnie Wilk.

3

Dwa dni później para zmęczonych, kulejących chłopców minęła tablicę z informacją: GRANICA MIASTA na jednym poboczu autostrady numer 32 i restaurację "10-4 Dinner" na drugim, w ten sposób docierając do Muncie w stanie Indiana. Jack miał trzydzieści dziewięć stopni gorączki i niemal stale kaszlał. Wilk miał spuchniętą, przebarwioną twarz. Wyglądał jak mops, który przegrał pojedynek z drugim psem. Dzień wcześniej próbował zerwać trochę późnych jabłek z drzewa rosnącego obok porzuconej farmy przy drodze. Wlaź na drzewo i wrzucał pomarszczone jesienne owoce za pazuchę farmerek, gdy dobrały się do niego osy, które zbudowały sobie gniazdo gdzieś w poddaszu starej stodoły. Wilk błyskawicznie zlaź z powrotem, wyjąc przy tym rozpaczliwie; brązowa chmura otaczała jego głowę. Chociaż miał niemal całkowicie zamknięte oko, a jego nos zaczął przypominać wielką, purpurową rzepę, to upierał się, by Jack wziął najładniejsze jabłka. Żadne z nich nie było zbyt dobre - małe, kwaśne i robaczywe - a poza tym Jack nie miał zbyt chęci na jedzenie, ale po tym, co Wilk przeszedł, by je zdobyć, nie wypadało mu odmówić.

Wielki, stary camaro z tak podniesioną tylną osią, że przodem mierzył w ziemię, minął ich z rykiem silnika. "He-eejjj, dupki!" - rozległ się krzyk, po którym nastąpił wybuch głośniego, podsycanego piwem rechotu. Wilk zawył i chwycił Jacka. Chłopiec łudził się, że jego towarzyszy wreszcie zaczyna pozbywać się lęku przed samochodami, ale zrozumiał, że jest inaczej.

- Nic się nie stało, Wilku - powiedział ze znużeniem, zdejmując z siebie po raz dwudziesty czy trzydziesty tego dnia rękę pasterza. - Już pojechali.

- Za głośno! - jęknął jego towarzysz. - Wilk! Wilk! Wilk! Za głośno, Jack. Moje uszy! Moje uszy!

- Tłumik z włókna szklanego - odparł Jack, myśląc ze znużeniem: Pokochałbyś kalifornijskie autostrady, Wilku. Wybierzemy się na nie, jeśli wciąż będziemy wędrować razem, dobrze? Potem wybierzemy się na parę wyścigów wozów do kasacji i motocross. Na pewno dostaniesz świra na ich punkcie. - Wiesz, niektórzy faceci lubią ten dźwięk. Myślą...

Ogarnął go kolejny napad kaszlu, od którego zgiął się wpół. Przez chwilę świat przybrał szary odcień i zakręcił mu się przed oczyma. Zdołał odzyskać równowagę - ale bardzo, bardzo powoli.

- Lubią? - mruknął Wilk. - Na Jasona! Jak można to lubić? A te zapachy...

Jack wiedział, że dla Wilka zapachy są najgorsze. Byli po tej stronie niecałe cztery godziny, gdy jego towarzysz zaczął nazywać ją Krainą Złych Zapachów. Pierwszej nocy Wilk wymiotował z sześć razy. Początkowo zwracał na ziemię Ohio mętłą wodę ze strumienia płynącego w innym wszechświecie, ale potem miał już tylko suche torsje. Wszystko przez zapachy, wyjaśnił żałośnie. Nie miał pojęcia, jak Jack je znosił, jak ktokolwiek mógł je znieść.

Jack wiedział już, że po powrocie z Terytoriów zapachy, na jakie zwykle prawie nie zwracało się uwagi, zwały człowieka z nóg. Opary ropy, gazy z rur wydechowych, odpady przemysłowe, śmiecie, zła woda, rozkładające się chemikalia. W końcu człowiek przyzwyczajał się do nich z powrotem. Przyzwyczajał się albo po prostu tracił wrażliwość. Tyle że nie spotkało to Wilka. Nie znosił samochodów, nie znosił zapachów, nie znosił tego świata. Jack nie sądził, by jego towarzysz kiedykolwiek do tego wszystkiego przywykł. Czuł, że jeśli wkrótce nie zabierze Wilka z powrotem do Terytoriów, to jego towarzysz oszaleje. Przy okazji pewnie i mnie doprowadzi do obłądu, pomyślał. Zresztą i tak niewiele mi brakuje.

Przetoczyła się obok nich rozklekotana farmerska ciężarówka z kurami, a po niej rząd samochodów prowadzonych przez zniecierpliwionych kierowców - niektórzy naciskali na klaksony. Wilk o mało co nie wskoczył Jackowi na rękę. Osłabiony gorączką chłopiec zatoczył się do rowu zarośniętego krzakami i zasłanego śmieciami. Klapnął na ziemię tak ciężko, że zaszczekały mu zęby.

- Przepraszam, Jack - powiedział żałośnie Wilk. - Niech Bóg mnie przygwoździ.

- Nie twoja wina - odparł Jack. - Oduść sobie. Czas na pięć minut przerwy.

Wilk usiadł obok chłopca i w milczeniu pilnie się mu przyglądał. Wiedział, jak bardzo utrudnia wędrowkę Jackowi; orientował się, że chłopiec chce posuwać się jak najszybciej naprzód, częściowo po to, by oddalić się od Morgana, lecz głównie jednak z jakiegoś innego

powodu. Słyszał, jak Jack mamrocze we śnie o swojej matce, a niekiedy płacze. Na jawie rozplakał się tylko raz: kiedy Wilkowi trochę odbiło na wjeździe na autostradę pod Arcanum. Zdarzyło się to wówczas, gdy dotarło do niego, co Jack ma na myśli, mówiąc o "okazji". Kiedy Wilk powiedział mu, że nie sądzi, by mógł jechać autostopem - przynajmniej na razie, a może nigdy - Jack usiadł na najwyższym kablu zabezpieczającym pobocze i rozplakał się, ukrywając twarz w dłoniach. Wreszcie przestał, co było dobre... ale gdy odjął ręce od twarzy, popatrzył na Wilka w sposób, który świadczył o tym, że chłopiec zostawi go samego w straszliwej Krainie Złych Zapachów... a bez Jacka Wilk wkrótce postradałby rozum.

#### 4

Doszli do zjazdu do Arcanum skrajnym pasem autostrady. Wilk kulił się i wczepiał w Jacka za każdym razem, gdy jakiś samochód lub ciężarówka mijały ich w pogłębiającym się mroku. Za którymś razem dobiegło ich szydercze wołanie, niesione w strudze wzburzonego powietrza: "Gdzie macie samochód, cioty?". Jack wzdrygnął się jak otrząsający się z wody pies i szedł dalej. Brał Wilka za rękę i ciągnął go za sobą, gdy jego towarzysz zaczynał zwalniać lub skręcać w stronę lasu. Musieli zejść z autostrady, gdzie łapanie okazji było zakazane, i dotrzeć do wjazdu w kierunku zachodnim. W niektórych stanach zalegalizowano łapanie okazji na wjazdach na autostradę (tak przynajmniej powiedział Jackowi włóczęga, z którym przenocował raz w jakiejś szopie), a nawet w stanach, gdzie jazdę autostopem formalnie uznano za przestępstwo, policjanci patrzyli na to przez palce.

Najpierw musieli więc dotrzeć do rampy i liczyć na to, że po drodze nie napatoczy się żaden patrol policji stanowej. Jack wolał nawet nie myśleć, co byle gliniarz pomyślałby na widok Wilka. Pewnie doszedłby do wniosku, że złapał noszące lennonki wcielenie Charlesa Mansona z lat osiemdziesiątych.

Dotarli do wjazdu i przeszli na pas ruchu w kierunku zachodnim. Dziesięć minut później zatrzymali poobijanego, starego chryslera. Kierowca, krępy mężczyzna z byczym karkiem i zsuniętą na tył głowy czapką z napisem: CASE FARM EQUIPMENT, przechylił się i otworzył drzwi.

- Wskakujcie, chłopcy! Paskudna noc, nie?

- Pewnie, proszę pana. Dziękujemy - powiedział pogodnie Jack.

Jego umysł pracował na najwyższych obrotach, starając się obmyślić, jak mógłby włączyć Wilka do Historyjki. Dlatego właśnie nie zwrócił uwagi na minę swojego towarzysza.

Mężczyzna ją jednak dostrzegł.

Jego twarz nabrała twardszego wyrazu.

- Coś ci śmierdzi, synu?

Ton mężczyzny, równie twardy jak mina, przywrócił Jacka do rzeczywistości. Znikła z niego cała kordialność; wyglądał, jakby właśnie zawędrował do "Oatley Tap", żeby zjeść kilka piw i popić paroma szklankami.

Jack błyskawicznie obejrzał się na Wilka.

Jego towarzysz miał rozdęte nozdrza jak niedźwiedź, który właśnie wyczuł zastrzelonego skunksa. Nie tylko obnażył zęby; górną wargę miał zmarszczoną, całkowicie je odsłaniając. Skóra pod nosem utworzyła szereg drobnych garbków.

- A on co, niedorozwinięty? - zapytał Jacka zniżonym głosem mężczyzna w czapce z napisem CASE FARM EQUIPMENT.

- Nie, ee, on tylko...

Wilk zaczął warczeć.

To wystarczyło.

- Och, Chryste - powiedział mężczyzna tonem człowieka niepotrafiącego uwierzyć w realność wydarzeń. Nacisnął pedał gazu i z wyciem silnika zjechał po rampie. Opór powietrza zatrzasnął drzwi samochodu. Tylne światła zamigotały w dolnej części zjazdu krótko jak sygnalizator Morse'a w zalewanym deszczem mroku; rozmazane, czerwone strzały pomknęły po nawierzchni do miejsca, gdzie zostali Wilk z Jackiem.

- No, świetnie, jak rany - rzekł Jack i odwrócił się w stronę Wilka, który skulił się, widząc jego gniew. - Po prostu świetnie! Jeśli ma radio CB, to pewnie już wszedł na Kanał Dziewiętnasty, wrzeszczy, żeby przysłali policję i opowiada każdemu na lewo i prawo, że pod Arcanum dwóch czubków stara się złapać okazję! Na Jasona! Albo Jezusa! Albo Kogokolwiek, wszystko jedno! Chcesz zobaczyć parę wbijanych cholernych ćwieków, Wilku? Zrób tak jeszcze kilka razy, a poczujesz, jak to jest, kiedy się je wbija. W nas! To nas przygwoźdzą!

Wyczerpany, sfrustrowany, oszołomiony i niemal doszczętnie pozbawiony energii Jack natarł na kulącego się Wilka, który mógł stracić mu głowę z ramion jednym porządnym machnięciem ręki, gdyby tylko miał ochotę. Wilk cofnął się przed nim.

- Nie krzycz, Jack - jęknął. - Te zapachy... być tutaj... i nie móc uciec przed wszystkimi tymi zapachami...

- Ja nic nie czuję! - krzyknął Jack.

Głos mu się załamał, gardło zabolalo bardziej niż do tej pory, ale nie mógł się zatrzymać. Musiał krzyczeć, bo inaczej by zwariował. Mokra włosy opadły mu na oczy. Strząsnął je i walnął Wilka w ramię. Rozległo się krótkie trzaśnięcie; ręka natychmiast zaczęła go boleć, jakby rąbnął w głaz. Wilk zawył pokornie, co jeszcze bardziej rozgniewało Jacka. To, że sam kłamał, tylko podsycalo jego gniew. Tym razem był w Terytoriach niecałe sześć godzin, ale samochód mężczyzny cuchnął jak legowisko dzikich zwierząt. Czuć było surowe zapachy starej kawy i świeżego piwa (między nogami kierowca trzymał otwartą puszkę stroha), na wstecznym lusterku wisiał odświeżacz powietrza, który pachniał niczym suchy, słodkawy puder na policzku nieboszczyka. Do tego dochodziło coś jeszcze - mroczniejszego, bardziej wilgotnego...

- Nic! - krzyknął znów Jack załamującym się, chrapliwym głosem. Walnął Wilka w drugie ramię. Jego towarzysz zaskowyczał, odwrócił się i wtulił głowę w ramiona jak dziecko bite przez rozeźlonego ojca. Jack zaczął walić go po plecach obolałymi dłońmi, z farmerek ulatniały się miniaturowe kłęby wodnego pyłu. Za każdym razem, gdy ręka Jacka sięgała celu, Wilk wył. - Więc lepiej się do tego przyzwyczaj, (*klap!*), bo następny samochód to może być radiowóz (*klap!*), albo pan Morgan Sloat w swoim zielonym jak rzygowiny bmw (*klap!*), a jeśli będziesz się wciąż zachowywał jak duży dzieciak, to dostaniemy taki wpierdol, że się nie pozbieramy! (*klap!*). Zrozumiałeś?

Wilk milczał. Stał zgarbiony w deszczu, rozdygotany, odwrócony plecami do Jacka. Płakał. Jack poczuł, że rośnie mu gula w gardle, że jego też zaczynają palić oczy. Wszystko to tylko zwiększyło jego furię. Jakaś straszną częścią duszy chciał przede wszystkim zranić siebie samego i wiedział, że krzywdzenie Wilka to najlepszy na to sposób.

- Odwróć się!

Wilk usłuchał. Z jego mętnobrazowych oczu za okrągłymi okularami ciekły łzy. W nosie pokazały się smarki.

- Zrozumiałeś, co do ciebie mówię?

- Tak - jęknął Wilk. - Tak, zrozumiałem, ale nie mogłem z nim pojechać, Jack.

- Dlaczego?

Jack wpatrywał się w niego z gniewem, opierając pięści na biodrach. Och, straszliwie bolała go głowa.

- Bo umierał - odpowiedział zniżonym głosem Wilk. Jack zapatrzył się w niego, czując, jak znika cały gniew. - Nie wiedziałeś? - spytał cicho jego towarzysz. - Wilk! Nie czuleś tego zapachu?

- Nie - odparł Jack zduszonym, świszczącym tonem.

Przecież coś wyczuł, czyż nie? Coś, czego nie czuł nigdy wcześniej. Jakieś połączenie...

Nagle zrozumiał. Opuściły go siły. Usiadł ciężko na barierce i popatrzył na Wilka.

Gównno i gnijące winogrona. Z tym właśnie kojarzył się ów zapach. Nie odpowiadało to w stu procentach rzeczywistości, ale było koszmarnie blisko.

Gównno i gnijące winogrona.

- To najgorszy zapach - powiedział Wilk. - Czuć go wtedy, gdy ludzie przestają być zdrowi. Nazywamy go - Wilk! - Czarnym Morem. Chyba nawet nie wiedział, że go ma. A... ci Obcy nie potrafią wyczuć tego zapachu, prawda, Jack?

- Nie - szepnął.

Gdyby nagle został teleportowany do New Hampshire, do pokoju matki w Alhambrze - czy wyczułby ten zapach od niej?

Tak. Wyczułby od jego matki przenikający przez pory zapach, woń gównna i gnijących winogron - Czarny Mór.

- My to nazywamy rakiem - szepnął Jack.

*Nazywamy to rakiem, a moja matka go ma.*

- Po prostu nie wiem, czy mogę jechać okazją - powiedział Wilk. - Jeśli chcesz, spróbuję znowu, Jack, ale te zapachy... w środku... są wystarczająco złe na zewnątrz, w powietrzu, Wilk!, ale w środku...

Wówczas właśnie Jack ukrył twarz w dłoniach i się rozplakał, częściowo z desperacji, głównie jednak ze zwykłego wyczerpania. Wilk dojrzał na twarzy Jacka coś, czego się obawiał. Przez chwilę pokusa, by zostawić Wilka, była czymś więcej - stała się doprowadzającym do szału nakazem. Szansę, że w ogóle dotrze do Kalifornii i odnajdzie Talizman - czymkolwiek był - wyglądały i tak mizernie. Obecnie skurczyły się do wielkości punkcika na horyzoncie. Wilk nie tylko spowolniłby tempo wędrówki; pewnie prędzej czy później sprawiłby, że obydwaj wylądowałiby w więzieniu. Raczej prędzej. Poza tym jak Jack mógł wytłumaczyć Racjonalnemu Richardowi Sloatowi, kim jest jego towarzysz?

Wilk dostrzegł w tym momencie na twarzy Jacka wyraz zimnej kalkulacji, od którego ugięły się mu kolana. Opadł na nie i wyciągnął w stronę Jacka złożone ręce, jak kawaler z marnego wiktoriańskiego melodramatu.

- Nie odchodź! Nie zostawiaj mnie, Jack - zapłakał. - Nie zostawiaj starego, dobrego Wilka, nie zostawiaj mnie tutaj, to ty mnie tu sprowadziłeś, proszę, proszę, nie zostawiaj mnie samego...

Próbował powiedzieć coś jeszcze, ale wydobywało się mu z gardła tylko szlochanie. Jack poczuł, że opada go wielkie znużenie. Bardzo dobrze mu pasowało, jak za często wkładana marynarka. *Nie zostawiaj mnie tutaj, to ty mnie tu sprowadziłeś...*

W tym tkwiło sedno sprawy. Odpowiadał za Wilka, prawda? Tak. Och, tak, nie ma co. Złapał Wilka za rękę i wyciągnął go z Terytoriów do Ohio; na dowód tego bark pulsował mu bólem. Oczywiście nie miał wyboru: Wilk tonął, a gdyby nawet nie utonął, Morgan spaliłby go na popiół swoją miotającą pioruny laską czy czymkolwiek to było. Czy miał więc prawo znów czepić się Wilka, powiedzieć: *Co byś wolał, Wilku, stary druhu? Być tutaj i się bać, czy zostać po tamtej stronie i już nie żyć?*

Istotnie, mógłby to zrobić, a Wilk nie zdołałby odpowiedzieć, bo jego makówka nie pracowała za szybko. Wuj Tommy zwykł jednak cytować chińskie powiedzenie: *Jeśli kogoś uratujesz od śmierci, odpowiadasz za niego do końca swojego życia.*

Uniki i kombinowanie były na nic: Jack odpowiadał za Wilka.

- Nie zostawiaj mnie, Jack - dalej płakał jego towarzysz.

- Wilk-Wilk! Proszę, nie zostawiaj dobrego starego Wilka! Pomogę ci, będę cię strzegł w nocy, mogę dużo zrobić, tylko nie, nie...

- Przestać się mazgać i wstawaj - powiedział cicho Jack.

- Nie zostawię cię, ale teraz musimy stąd zniknąć na wypadek, gdyby temu facetowi przyszło do głowy przysłać tutaj gliny. Spadamy.

5

- Wykombinowałeś już, co teraz zrobimy, Jack? - spytał pokornie Wilk.

Od ponad pół godziny siedzieli w zarośniętym krzakami rowie tuż za granicą Muncie. Gdy Jack odwrócił się w jego stronę, Wilk z ulgą dostrzegł uśmiech na jego twarzy. Wprawdzie uśmiech pełen znużenia, na dodatek Wilkowi nie podobały się ciemne kręgi pod oczami Jacka (a jeszcze mniej podobaj mu się jego zapach - świadczący o chorobie), ale mimo wszystko uśmiech.

- Chyba wiem, gdzie powinniśmy teraz pójść - powiedział Jack. - Myślałem o tym samym kilka dni temu, kiedy kupiłem nowe trampki.

Zgiął stopy. Obaj z Wilkiem popatrzyli w milczeniu i z przygnębieniem na swoje obuwie. Było obszarpane, podarte i brudne. Podeszwa lewego trampka Jacka zęgnęła się czule z wierzchem. Jack kupił je... zmarszczył czoło z namysłem. Przez gorączkę miał

kłopoty z koncentracją. Trzy dni temu. Zaledwie trzy dni temu wybrał je z towarów z wyprzedaży w magazynie Fayva. Teraz wyglądały na stare. Stare.

- Tak czy inaczej... - westchnął Jack, po czym się rozchmurzył. - Widzisz ten budynek, Wilku?

Budynek - sarta szarej cegły - wznosił się jak wyspa na środku olbrzymiego parkingu. Wilk domyślił się, jak będzie pachniał asfalt na parkingu - jak zdechłe, rozkładające się zwierzęta. Od tego smrodu na pewno niemal się udusi, a Jack ledwie zwróci na to uwagę.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to na tamtej tablicy jest napisane: "Town Line Sixplex" - powiedział Jack. - Brzmi to jak ekspres do kawy, ale tak naprawdę chodzi o kino z sześcioma salami. Powinniśmy znaleźć jakiś film, który się nam spodoba. *A po południu nie będzie tam wielu ludzi i bardzo dobrze, bo masz irytujący zwyczaj dostawać świra, Wilku.* - Chodź!

Podniósł się chwiejnie.

- Co to jest film, Jack? - spytał Wilk.

Wiedział, że sprawia Jackowi straszne kłopoty - tak okropne, że wahał się teraz protestować przeciwko czemukolwiek, a nawet przejawiać niepokój. Doznał jednak koszmarne przecucia: iż "pójście na film" i "złapanie okazji" to to samo. Jack nazywał ryczące wozy i karety "samochodami", "chevroletami", "jartransami" i "kombi" (Wilk podejrzewał, że te ostatnie stanowią pewnie odpowiedniki dyliżansów z Terytoriów, wiozących pasażerów od stacji do stacji). Czy ryczące, śmierdzące powozy mogły nazywać się również "kino"? Brzmiało to bardzo prawdopodobnie.

- Cóż, łatwiej ci będzie to pokazać, niż opisać - odparł Jack. - Myślę, że ci się spodoba. Chodźmy.

Potknął się, wyłaząc z rowu, i na chwilę klęknął.

- Nic ci nie jest, Jack? - spytał z obawą Wilk.

Chłopiec pokręcił głową. Ruszyli przez parking, śmierdzący tak wstrętnie, jak Wilk sobie wyobrażał.

Jack pokonał większą część trzydziestu pięciu mil między Arcanum w stanie Ohio i Muncie w Indianie na szerokim grzbiecie Wilka. Wilk bał się samochodów, ciężarówki wzbudzały w nim grozę, niedobrze robiło mu się od zapachów prawie wszystkiego, był skłonny wyć i uciekać po usłyszeniu nagłych głośnych dźwięków. Był jednak również prawie



niezmordowany. Jeśli już o to chodzi, można skreślić “prawie”, pomyślał teraz Jack. O ile się orientuję, to jest niezmordowany.

Jack postarał się, by jak najszybciej oddalili się od wjazdu na autostradę pod Arcanum. Zmuszał mokre, obolałe stopy do ociężałego truchtu. W głowie pulsował mu ból, jakby miał tam śliską, zaciskającą się pięść, przenikały go na przemian fale gorąca i zimna. Wilk bez trudu maszerował po jego lewej stronie, krokami tak długimi, że dotrzymywał mu z łatwością tempa, jakby to była umiarkowanie szybka przechadzka. Jack wiedział, że jego lęk przed policjantami jest pewnie paranoiczny, ale mężczyzna w czapce z napisem CASE FARM EQUIPMENT wyglądał na autentycznie wystraszonego. I wkurzonego.

Nie uszli nawet ćwierć mili, gdy w boku Jacka zagnieździło się ostre, palące klucie. Zapytał Wilka, czy nie poniósłby go przez jakiś czas na barana.

- Że jak? - spytał Wilk.

- No, wiesz - odparł Jack i pokazał.

Na twarz Wilka wypłynął wielki uśmiech. Oto wreszcie było coś, co rozumiał; coś, co mógł zrobić.

- Na konika! - zawołał z zachwytem.

- No, pewnie tak...

- No tak! Wilk! Tu i teraz! Tak nosiłem swoich braciszków z miotu. Wskakuj, Jack!

Wilk pochylił się i wystawił przed siebie złożone ręce, by posłużyły Jackowi jako strzemiona.

- Kiedy zrobię się za ciężki, to mnie po prostu zsa...

Zanim zdołał dokończyć, Wilk poderwał go z ziemi i pobiegł bez wysiłku pogrążoną w mroku drogą. Naprawdę pobiegł - zimne, deszczowe powietrze zwiewało Jackowi włosy z rozpalonego czoła.

- Zmęczysz się, Wilku! - krzyknął.

- Nie ja! Wilk! Wilk! Biegnę tu i teraz!

Po raz pierwszy od znalezienia się po tej stronie w głosie Wilka słyhać było prawdziwą radość. Biegł przez następne dwie godziny, aż znaleźli się na zachód od Arcanum na pogrążonej w ciemności, nieoznakowanej dwupasmówce. Jack wypatrzył porzuconą stodołę pośrodku zarośniętego, nieuprawianego pola i w niej właśnie spędzili noc.

Wilk nie chciał mieć nic wspólnego ze śródmieściami i z ich powodziami hałasów i wznoszącymi się pod niebiosa chmurami cuchnącego dymu. Jack też nie miał ochoty się tam zapuszczać, Wilk zbytnio się wyróżniał. Jack wymusił wszakże jeden postój przy przydrożnym magazynie tuż za granicą Indiany, niedaleko Harrisville. Podczas gdy Wilk

czekał nerwowo przy szosie - kucając, grzebiąc w pyle, wstając, zataczając sztywno niewielkie kółka i znów kucając - Jack kupił gazetę i dokładnie przeczytał prognozę pogody. Następną pełnią przypadała trzydziestego pierwszego października - w Halloween, co stanowiło trafny zbieg okoliczności. Jack zajrzał z powrotem na pierwszą stronę, żeby zorientować się, jaki właśnie jest - był wczoraj - dzień. Był to dwudziesty szósty października.

7

Jack pociągnął połówkę szklanych drzwi i wszedł do holu "Town Line Sixplex". Rzucił za siebie ostre spojrzenie na Wilka, lecz ten wyglądał - przynajmniej w tej chwili - na całkowicie opanowanego. W istocie Wilk żywił nawet ostrożny optymizm... na razie. Nie miał ochoty przebywać we wnętrzu budynku, ale przynajmniej nie był to samochód. Panował tu dobry zapach - lekki i w pewien sposób smakowity - czy raczej panowałby, gdyby nie ukryta gdzieś pod spodem gorzka, niemal skwaśniała woń. Wilk odwrócił głowę w lewo i zobaczył szklane pudło, pełne czegoś białego. Właśnie to coś było źródłem dobrego, lekkiego zapachu.

- Jack? - szepnął.

- Hm?

- Chcę trochę tego białego, proszę. Ale nie siuszków.

- Siuszków? O czym ty mówisz?

Wilk poszukał bardziej oficjalnego słowa i je znalazł.

- Mocz. - Wskazał na coś, w czym zapalało się i gasło światło. Opatrzona to było napisem: SMAK MAŚLANY. - To jakiś mocz, prawda? Na pewno, bo tak właśnie pachnie.

- Prażona kukurydza bez imitacji masła. Pewnie - rzekł Jack, uśmiechając się ze znużeniem. - Zamknij się teraz, dobrze?

- Pewnie, Jack - odparł pokornie Wilk. - Właśnie tu i teraz.

Bileterka żuła do tej chwili wielki płatek gumy o smaku winogron. Urwała, popatrzyła na Jacka, a następnie na jego zwalistego towarzysza. Guma przykleiła się jej do języka we wpółotwartych ustach jak wielki, purpurowy guz. Przewróciła oczyma, obejrzawszy się na faceta przy kontuarze.

- Dwa, proszę - powiedział Jack.

Wyjął zwitek banknotów - brudnych dolarówek z oślimi uszami, z samotną, schowaną w środku piątką.

- Jaki film?

Bileterka przenosiła wzrok z Jacka na Wilka i z Wilka na Jacka, jakby patrzyła na zażartą partię tenisa stołowego.

- A co się zaczyna? - spytał Jack.

- No... - Spojrzała na przylepioną przed sobą taśmą kartkę. - Na sali czwartej leci film kungfu z Chuckiem Norrisem. - Jej oczy nadal przeskakiwały tam i z powrotem, tam i z powrotem. - A na sali szóstej jest podwójny seans. Dwie kreskówki Ralpa Bakshiego. "Wizards" i "Władca Pierścieni".

Jack poczuł ulgę. Wilk był nikiem innym, jak wielkim, przerośniętym dzieckiem, a dzieci uwielbiały kreskówki. Mimo wszystko mogło się udać. Może Wilk znajdzie w Krainie Złych Zapachów przynajmniej jedną rzecz, która mu się spodoba, dzięki czemu Jack zdoła się trzy godziny przespać.

- Na ten - powiedział. - Na kreskówki.

- Cztery dolary - rzekła dziewczyna. - Zniżka, na poranki kończy się o drugiej. - Nacisnęła guzik i ze szczeliny wysunęły się z mechanicznym klekotem dwa bilety. Wilk skulił się i cofnął z cichym okrzykiem. Dziewczyna popatrzyła na niego z uniesionymi brwiami. - Pan nerwowo?

- Nie, jestem Wilk.

Uśmiechnął się, ukazując mnóstwo zębów. Jack przysięgłby, że było ich znacznie więcej, niż gdy się uśmiechał dzień czy dwa temu. Dziewczyna popatrzyła na wszystkie te zęby. Zwilżyła usta.

- Nic mu nie jest. On tylko... - Jack wzruszył ramionami. - Rzadko wyjeżdża z farmy, wie pani. - Podał sierotce pięciodolarówkę. Ujęła ją, jakby żałowała, że nie ma szczypiec. - Chodź, Wilku.

Gdy podchodzili do stoiska ze słodyczami, a Jack chował dolara do kieszeni pokrytych brudem džinsów, bileterka powiedziała bezgłośnie do sprzedawcy: Popatrz na jego nos!

Jack obejrzał się i zobaczył, że nos Wilka marszczy się rytmicznie.

- Przestań - mruknął.

- Co mam przestać, Jack?

- Ruszać nosem.

- Och. Postaram się, Jack, ale...

- Szs.

- Czego potrzebujesz, synu? - zapytał sprzedawca.

- Junior Mints, ciastka Reese Pieces i superdużą porcję kukurydzy bez tłuszczu.

Sprzedawca przygotował, o co prosili. Wilk złapał rożek z prażoną kukurydzą i natychmiast zaczął pożerać ją z takim animuszem, że aż trzaskały mu szczęki.

Sprzedawca przyglądał się temu w milczeniu.

- Rzadko wyjeżdża z farmy - powtórzył Jack.

Część jego umysłu zaczęło drażnić pytanie, czy ta para nie naoglądała się dość dziwactw, by dojść do wniosku, że warto zadzwonić po policję. Pomyślał - nie po raz pierwszy - że tkwiła w tym prawdziwa ironia. W Nowym Jorku czy Los Angeles nikt pewnie nie poświęciłby Wilkowi drugiego spojrzenia... a jeśli nawet, na pewno nie trzeciego. Najwidoczniej poziom tolerancji na dziwactwo był w środku kraju o wiele niższy. Z drugiej strony Wilkowi niewątpliwie już dawno by odbiła palma, gdyby znajdowali się w Nowym Jorku czy Los Angeles.

- Założę się, że nieczęsto - zgodził się sprzedawca. - To będzie dwa osiemdziesiąt.

Jack zapłacił, krzywiąc się w duchu na myśl, że popołudnie w kinie kosztowało go jedną czwartą gotówki.

Wilk uśmiechnął się do sprzedawcy z ustami pełnymi kukurydzy. Jack poznał, że to Przyjazny Uśmiech Wilka nr 1, ale powątpiewał, czy sprzedawca interpretuje go tak samo. W tym uśmiechu było zbyt wiele zębów... wydawało się, że całe setki.

Poza tym Wilk znowu rozdymał nozdrza.

Chrzanić to, niech wzywają policję, jeśli mają na to ochotę, pomyślał ze znużeniem bardziej pasującym do dorosłego niż do dziecka. Nie stracimy przez to wiele więcej czasu niż do tej pory. Wilk nie może jeździć w nowych samochodach, bo nie może znieść zapachu katalizatorów, nie może też jeździć w starych, bo śmierdzą spalinami, potem, olejem i piwem. Pewnie nie może jeździć w żadnych samochodach przez swoją przeklętą klaustrofobię. Bądź szczery, Jack-O, choćby przed samym sobą. Cały czas wmawiasz sobie, że wkrótce się z tym upora, ale chyba niedoczekanie twoje. Co w takim razie powinniśmy zrobić? Pewnie przejść przez Indianę na piechotę. Poprawka: Wilk przejdzie przez Indianę na piechotę. Ja przejadę przez nią na konika. Najpierw jednak zabiorę Wilka do tego przeklętego kina i będę spał, aż skończy się drugi film lub zjawią się gliny. I to koniec całej opowieści, szanowni państwo.

- Życzę, żeby film się wam spodobał - powiedział sprzedawca.

- Na pewno - odparł Jack. Ruszył z miejsca i dopiero zdał sobie sprawę, że Wilk jest nieobecny duchem. Wpatrywał się w coś nad głową sprzedawcy z nieprzytomną miną, świadczącą o niemal przesadnym lęku. Jack podniósł wzrok i zobaczył kołysaną prądami

konwekcyjnymi makietę, reklamującą powtórkę “Bliskich spotkań trzeciego stopnia” Stevena Spielberga. - Idziemy, Wilku - rzucił.

8

Wilk wiedział, że się nie uda, gdy tylko przeszli przez drzwi.

Sala była mała, ciemna i wilgotna. Panowały tu straszne zapachy. Poeta, który czułby to, co Wilk w tej chwili, mógłby to nazwać smrodem skwaśniałych marzeń. Wilk nie był poetą. Wiedział tylko, że dominowała tu woń prażonej kukurydzy z moczem i nagle zachciało mu się wymiotować.

Potem światła zaczęły jeszcze bardziej przygasać, zamieniając salę w jaskinię.

- Jack - stęknął, chwytając chłopca za ramię. - Jack, powinniśmy stąd wyjść, dobrze?

- Spodoba ci się, Wilku - mruknął Jack, wyczuwając niepokój towarzysza, lecz nie jego nasilenie. Wilk ostatecznie stale odczuwał pewien niepokój. - Spróbuj.

- Dobrze - odparł Wilk.

Jack dosłyszał zgodę, ale nie ulotne drżenie głosu świadczące, że Wilk lada chwila może stracić nad sobą panowanie.

Wilk siedział przy przejściu z podciągniętymi niewygodnie pod siebie kolanami i przyciśniętym do piersi różkiem z kukurydzą (na którą stracił ochotę).

Przed nimi na chwilę zabłysła żółto zapalka. Jack wyczuł suchą woń trawki, tak znajomą z kin, że potrafił natychmiast po zidentyfikowaniu usunąć ją ze świadomości. Dla Wilka pachniało to jak pożar lasu.

- Jack...!

- Szsz, film się zaczyna.

*A ja utnę sobie drzemkę.*

Jack nigdy nie poznał rozmiarów heroizmu Wilka, na który zdobył się w ciągu kilku następnych minut. Wilk sam nie zdawał sobie z niego w pełni sprawy. Wiedział tylko, że musi dla Jacka spróbować przetrwać ten koszmar. Musi się udać, myślał. Słuchaj, Wilku, Jack właśnie zasypia, zasypia właśnie tu i teraz. Wiesz dobrze, że Jack nie zabrałby cię w Krzywdzące Miejsce, więc spróbuj wytrzymać... po prostu czekaj... Wilk!... Wszystko będzie dobrze...

Wilk był jednak stworzeniem cyklicznym, a jego cykl zbliżał się do comiesięcznej kulminacji. Instynkty wyjątkowo się wyostrzały; prawie nie potrafił im się oprzeć. Racjonalny umysł podpowiadał, że wszystko będzie dobrze, że Jack inaczej by go tu nie przyprowadził.

Wmawiał to sobie niczym ktoś, kogo drapało w nosie, a nie chciał kichać w kościele, bo to niegrzecznie.

Wilk siedział w ciemnej, cuchnącej jaskini i czuł woń pożaru lasu. Wzdrygał się za każdym razem, gdy przez przejście przenikał cień. W odrętwieniu czekał, aż coś z góry spadnie mu na głowę. Wreszcie w przedzie jaskini otworzyło się magiczne okno. Siedząc w kwaśnym odorze potu własnego strachu, z rozszerzonymi oczyma i zamienioną w upiorną maskę twarzą, Wilk patrzył, jak samochody wpadają na siebie i się przewracają, jak płoną budynki, jak jeden człowiek goni drugiego...

- Reklamy - wymamrotał Jack. - Mówiłem ci, że ci się spodoba...

Rozległy się Głosy. Jeden powiedział: *paleniezabronione*. Inny: *śmieceniezabronione*. Następny dorzucił: *dostępnecepy-grupowe*. Kolejny powiedział: *zniżkinaporankiwnkażdziejnroboczydoszesnastej*.

- Wyrolowali nas, Wilku - mruknął Jack; zaczął mówić coś jeszcze, ale zamieniło się to w chrapnięcie.

Ostatni Głos powiedział: *aterazporananaszpodwójnyseans*. Wtedy właśnie Wilk stracił panowanie nad sobą. "Władca Pierścieni" Bakshiego został nagrany w systemie Dolby, a operator miał przykazane podkreślać popołudniami dźwięk do oporu, bo wtedy właśnie złążyły się ćpyny, a ćpyny lubiły naprawdę głośne Dolby.

Rozległ się skrzeczący, dysharmonijny łoskot czyneli. Magiczne okno otworzyło się znowu, a Wilk zobaczył ogień - przeplatające się pomarańczowe i czerwone płomienie.

Zawył i zerwał się na równe nogi, pociągając za sobą pogrążonego niemal we śnie Jacka.

- Jack! - krzyknął. - Uciekamy! Musimy stąd uciekać! Wilk! Widać ogień! Wilk!  
Wilk!

- Siadać tam z przodu! - zawołał ktoś.

- Zamknij się, fiucie! - krzyknął ktoś inny.

Drzwi z tyłu sali szóstej się otworzyły.

- Co się tu dzieje?

- Cicho, Wilku! - syknął Jack. - Na miłość boską...

- OUUUUUU-OOOOOOOOOOOOOOOOOOOOOO! - zawył Wilk.

Jakaś kobieta zdołała się dobrze przyjrzeć Wilkowi, gdy padło na niego białe światło z holu. Wrzasnęła i zaczęła wlec swojego malucha za ramię. Dosłownie wlec - dzieciak upadł na kolana i ślizgał się po zasłanym prażoną kukurydzą dywanie w środkowym przejściu. Spadła mu jedna tenisówka.

-OUUUUUUUUU-OOOOOOOOOOOOOOOOOOO-HHHHHHHOOOOOOO-HHHHHOOOOOO

O!

Ćpun trzy rzędy w przedzie odwrócił głowę i przyjrzał się im z mętym zainteresowaniem. W dłoni trzymał tłącego się skręta, zapasowego miał zatkniętego za ucho.

- Ale... odlot - oświadczył. - Kurewskie wilkołaki z Londynu kontratakują, co?

- No dobrze - powiedział Jack. - No dobrze, wychodzimy stąd. Nie ma sprawy. Tylko... tylko nie rób tego więcej, dobrze? Dobrze?

Zaczął wyprowadzać Wilka. Znów opadło go znużenie.

Światła w holu poraziły jego oczy jak ostre igły. Kobieta, który wywlokła dziecko z sali szóstej, stała w kącie, tuląc je do siebie. Gdy zobaczyła, że Jack wyprowadza wciąż wyjącego Wilka, zgarnęła synka na ręce i rzuciła się do drzwi.

Sprzedawca, bileterka, operator i wysoki mężczyzna w sportowej marynarce, w której wyglądał na naganiacza z toru wyścigowego, zbili się w ciasną grupkę. Jack przypuszczał, że facet w kraciastej marynarce i białych butach to kierownik kina.

- Won! - zawołał mężczyzna. - Wynocha! Wezwałem już policję, będą tu za pięć minut.

Gówny prawda, pomyślał Jack, dostrzegając promyk nadziei. Nie miałeś na to czasu. A jeśli natychmiast się zerwiemy, to może - może - nie będziesz zawracał sobie tym głowy.

- Już idziemy - powiedział. - Niech pan posłucha: przepraszam. Po prostu... mój starszy brat to epileptyk i dopiero co dostał napadu. My... zapomnieliśmy zabrać lekarstwo. - Na słowo "epileptyk" bileterka i sprzedawca wzdrygnęli się, jakby Jack rzekł "trędowaty". - Chodź, Wilku.

Zobaczył, że kierownik opuszcza wzrok, a jego wargi wykrzywają się z obrzydzenia. Jack podążył za jego spojrzeniem i ujrzał wielką, ciemną plamę na przedzie farmerek. Wilk się zmoczył.

Wilk również to zobaczył. Wiele rzeczy w świecie Jacka było mu obcych, ale najwyraźniej dowiedział się dostatecznie wiele, by wiedzieć, co oznacza takie pogardliwe spojrzenie. Wybuchnął głośnym, zawodzącym, łamiącym serce szlochem.

- Jack, przepraszam, Wilk żałuje, BARDZO żałuje!

- Zabieraj go stąd - nakazał pogardliwie kierownik i się odwrócił.

Jack otoczył Wilka ramieniem i pchnął go w stronę wyjścia.

- Chodź, Wilku - powiedział cicho, z czułością. Ani razu nie współczuł jeszcze swojemu towarzyszowi tak, jak w tej chwili. - Chodźmy. To moja wina, nie twoja. Idziemy.

- Przepraszam - rzekł łamiącym się od szlochu głosem Wilk. - Jestem na nic, niech mnie Bóg przygwoździ, po prostu na nic.

- Wcale nie na nic - odparł Jack. - Chodźmy już.

Pchnął drzwi i wyszli w nieprzenikające pod skórę ciepło popołudnia końca października.

Kobieta z dzieckiem stała co najmniej dwadzieścia jardów dalej, ale gdy zobaczyła Jacka i Wilka, cofnęła się w stronę swojego samochodu, trzymając dziecko przed sobą jak osaczony gangster zakładnika.

- Niech on do mnie nie podchodzi! - krzyknęła. - Niech ten potwór nie zbliża się do mojego dziecka! Słyszysz? Niech on do mnie nie podchodzi!

Jack pomyślał, że powinien powiedzieć coś, co ją uspokoi, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Był zbyt zmęczony.

Odszedł z Wilkiem ukosem przez parking. W połowie odległości do drogi Jack się zachwiał. Świat na chwilę poszarzał mu przed oczyma.

Niejasno zdał sobie sprawę, że Wilk bierze go na ręce i niesie jak dziecko. Jak przez mgłę dotarło też do niego, że Wilk płacze.

- Jack, strasznie przepraszam, proszę, nie nienawidź Wilka, umiem być dobrym, starym Wilkiem, zaczekaj, zobaczysz...

- Nie nienawidzę cię - odrzekł Jack. - Wiem... jesteś dobrym, starym...

Zanim zdołał dokończyć, zapadł w sen. Gdy się ocknął, był zachód słońca, a Muncie znalazło się za nimi. Wilk zszedł z głównych szos na sieć dróg gruntowych i dojazdów do farm. Absolutnie niezdezorientowany brakiem znaków drogowych i mnóstwem możliwości wyboru, kierował się na zachód z nieomylnym instynktem wędrownego ptaka.

Tej nocy spali w pustym domu na północ od Cammack. Rankiem Jack pomyślał, że jego gorączka nieco spadła.

Było około dziesiątej rano - dwudziestego ósmego października - gdy zorientował się, że ręce Wilka znów pokryły się włosiem.



## Rozdział dziewiętnasty

### Jack w pudle

1

Tej nocy koczowali w ruinach wypalonego domu, po jego jednej stronie ciągnęło się szerokie pole i rosła kępa drzew. Po przeciwnej stronie pola stała farma, ale Jack uznał, że nic im nie zagrozi, jeśli będą siedzieli cicho i nie wyściubiali nosów. Po zachodzie słońca Wilk zniknął w lesie. Poruszał się powoli, trzymając głowę nisko przy ziemi. Zanim Jack stracił go z oczu, pomyślał, że Wilk przypomina krótkowidza poszukującego upuszczonych okularów. Chłopiec zdążył porządnie się zdenerwować (nękały go wizje Wilka złapanego w paść ze stalowymi szczękami, z uporem powstrzymującego się od wycia i odgryzającego własną nogę...), lecz wreszcie jego towarzysz wrócił, trzymając się tym razem niemal prosto i niosąc w obu rękach rośliny, których korzenie wystawały mu z pięści.

- Co tam masz, Wilku? - zapytał.

- Lekarstwo - odpowiedział z wielką powagą pasterz. - Ale nie są za dobre, Jack. Wilk! Nic nie jest za dobre w twoim świecie.

- Lekarstwo? O co ci chodzi?

Wilk nie powiedział jednak nic więcej. Wyciągnął z kieszeni na środku piersi swoich farmerek dwie drewniane zapalki, rozpałił niedające dymu ognisko i poprosił Jacka, by znalazł jakąś puszkę. Jack natrafił wreszcie w rowie na puszkę po piwie. Wilk powąchał ją i zmarszczył nos.

- Nowe złe zapachy. Potrzebna woda, Jack. Czysta woda. Pójdę, jeśli jesteś zbyt zmęczony.

- Wilku, chcę wiedzieć, co zamierzasz zrobić.

- Pójdę - powtórzył Wilk. - Po drugiej stronie pola jest zagroda. Wilk! Tam będzie woda. Ty odpoczywaj.

Jackowi przyszła do głowy wizja żony farmera, która wygląda przez kuchenne okno przy zmywaniu naczyń po kolacji i dostrzega Wilka, kręcącego się ukradkiem po podwórku z puszką po piwie we włochatej ręce oraz garścią korzeni i ziół w drugiej.

- Sam pójdę - powiedział.

Farma znajdowała się niecałe pięćset stóp od miejsca, gdzie się skryli; przez pole widać było wyraźnie ciepłe, żółte światła. Jack przeszedł przez zagon, nappełnił bez trudności

puszkę z kranu pod szopą i ruszył z powrotem. W połowie drogi przez pole zdał sobie sprawę, że widzi własny cień i popatrzył na niebo.

Nad wschodni horyzont wznosił się księżyc, niemal w pełni.

Zaniepokojony Jack dołączył do Wilka i podał mu puszkę z wodą. Jego towarzysz prychnął i znów się skrzywił, ale nic nie powiedział. Włożył puszkę do ogniska i zaczął wciskać przez otwór w wierzchu pogniecione kawałki roślin. Mniej więcej pięć minut później ohydny zapach - smród, by nie bawić się w eufemizmy - zaczął rozchodzić się wraz z parą. Jack się skrzywił. Wiedział doskonale, że Wilk zechce, by wypił ten napar, nie miał też złudzeń, że napitek go zabije - pewnie powoli i w męczarniach.

Przymknął oczy i zaczął głośno, teatralnie chrapać. Miał nadzieję, że jeśli Wilk uzna, iż śpi, to nie będzie go budził. Nikt przecież nie budzi chorych, prawda? A Jack był naprawdę chory. Po zachodzie słońca wróciła gorączka, szalała w jego organizmie i sprawiała, że czuł lodowaty ziąb, choć równocześnie pot płynął każdym porą.

Spojrzał przez rzęsy, obserwując Wilka. Pasterz odstawił puszkę, by ostygła, potem przysiadł i ze splecionymi na kolanach rękami popatrzył w niebo. Jego twarz przybrała marzycielski, w pewien sposób piękny wyraz.

Patrzy na księżyc, pomyślał Jack i poczuł ukłucie strachu.

*Nie podchodzimy blisko stada, kiedy się zmieniamy. Na Jasona, nie! Pożarlibyśmy je!  
Powiedz mi coś, Wilku: czy jestem teraz stadem?*

Jack zadrżał.

Pięć minut później - Jack do tej pory o mało co nie zasnął naprawdę - Wilk pochylił się nad puszką, wciągnął powietrze w nozdrza, pokiwał głową. Wziął puszkę w rękę i podszedł do chłopca opierającego się o przewróconą, poczerniałą od ognia belkę. Jack podłożył sobie wcześniej pod kark zapasową koszulę, by nie było mu jeszcze niewygodniej. Zamknął oczy i zaczął od nowa chrapać.

- Przestań, Jack - powiedział jowialnie Wilk. - Wiem, że nie śpisz. Nie możesz oszukać Wilka.

Jack otworzył oczy i popatrzył na niego z tępą niechęcią.

- Skąd wiedziałeś?

- Ludzie mają zapach snu i zapach czuwania - odrzekł Wilk. - Nawet Obcy na pewno to wiedzą, prawda?

- Pewnie nie wiemy - odparł Jack.

- Tak czy inaczej, musisz to wypić. To lekarstwo. Wypij je, Jack, właśnie tu i teraz.

- Nie chcę - rzekł Jack.

Zapach wydobywający się z puszek był kwaśny i kojarzył się z bagnem.

- Masz też zapach choroby, Jack - dodał Wilk. Chłopiec popatrzył na niego bez słowa.

- Tak! - rzekł jego towarzysz. - I robi się coraz gorszy. Nie jest naprawdę zły, jeszcze nie teraz, ale - Wilk! - zrobi się zły, jeśli nie wypijesz choć trochę lekarstwa.

- Wilku, założę się, że doskonale radzisz sobie z wywężowaniem ziół i takich tam w Terytoriach, ale to jest Kraina Złych Zapachów, pamiętasz? Pewnie nazbierałeś krostawca, trującego dębu, gorzkiej wyki i...

- To dobre rzeczy, tylko nie bardzo silne, niech Bóg je przygwoździ - wyjaśnił Wilk ze smutną miną. - Nie wszystko tu pachnie źle, Jack. Są też dobre zapachy, ale dobre zapachy są takie, jak te roślinne lekarstwa. Słabe. Myślę, że kiedyś były silniejsze. - Wilk znowu podniósł z rozmarzeniem wzrok na księżyc, a Jack poczuł nawrót wcześniejszego niepokoju. - Założę się, że kiedyś to było dobre miejsce - powiedział. - Czyste i pełne mocy...

- Wilku? - rzekł cicho Jack. - Wilku, znowu masz włosy na rękach.

Wilk drgnął i popatrzył na chłopca. Przez chwilę - być może był to skutek jedynie rozgorączkowanej wyobraźni Jacka - wpatrywał się w niego z tępym, łapczywym głodem. Potem otrząsnął się jak ze złego snu.

- Tak - powiedział. - Ale nie chcę o tym mówić, i nie chcę, żebyś ty o tym mówił. Nieważne, jeszcze nie teraz. Wilk! Po prostu wypij lekarstwo, Jack, nie musisz robić nic więcej.

Wilk najwyraźniej nie zamierzał przyjąć odmowy. Gdyby Jack upierał się, że nie chce lekarstwa, poczułby się pewnie zobligowany, by po prostu rozewrzeć mu szczęki i wlać mu paskudztwo do gardła.

- Pamiętaj, że jeśli to mnie zabije, zostaniesz sam - powiedział posępnie Jack, ujmując wciąż jeszcze ciepłą puszkę.

Na twarzy Wilka pojawił się wyraz okropnej trwogi. Podsunął wyżej okrągłe okulary.

- Nie chcę zrobić ci krzywdy, Jack... Wilk za nic nie chce skrzywdzić Jacka.

Miał tak nieszczęśliwą minę, że wydawałaby się absurdalna, gdyby nie była niezaprzeczalnie szczerą.

Jack poddał się i wypił zawartość puszek. Nie potrafił oprzeć się temu wyrazowi urażonej trwogi. Smak był dokładnie tak ohydny, jak podejrzewał... *I czy przez chwilę świat nie zamglil się? Czy nie zamajaczył tak, jakby Jack miał przeskoczyć w Terytoria?*

- Wilku! - krzyknął. - Wilku, złap mnie za rękę!

Wilk usłuchał go z miną świadcząca o trosce i podnieceniu.

- Jack? Jacky? O co chodzi?

Smak lekarstwa zaczął słabnąć w ustach chłopca. Równocześnie w jego brzuchu zaczęło narastać błogie ciepło - błogość tego rodzaju, jaką poczuł już kilkakrotnie, gdy matka częstowała go małymi łyżkami swojej brandy. Świat dookoła niego odzyskał solidność. Krótkie przymglenie to pewnie dzieło wyobraźni... chociaż Jack nie był do końca przekonany.

*Prawie przeszliśmy na drugą stronę. Przez chwilę niewiele brakowało. Może potrafię tego dokonać bez magicznego napitku... może potrafię!*

- Jack? Co się stało?

- Lepiej mi - odparł i zmusił się do uśmiechu. - Jest mi lepiej, to wszystko.

Poczuł, że faktycznie tak jest.

- I lepiej pachniesz - powiedział pogodnie jego towarzysz. - Wilk! Wilk!

2

Stan Jacka poprawiał się przez cały następny dzień, ale chłopiec był osłabiony. Wilk niósł go na konika, dzięki czemu dalej posuwali się powoli na zachód. O zmierzchu zaczęli rozglądać się za miejscem na nocleg. Jack wypatrzył drewnię w małym, zapaskudzonym jarze. Otaczały ją śmiecie i łyse opony. Wilk zgodził się niemal bez słowa, by się tu zatrzymać. Przez cały dzień zachowywał się cicho i posepnie.

Jack zasnął niemal natychmiast i około jedenastej obudził go przepełniony pęcherz. Obejrzał się i zobaczył, że Wilk zniknął. Pomyślał, że jego towarzysz pewnie poszedł nazbierać kolejną porcję ziół. Jack zmarszczył nos; jeśli jednak Wilk zechce namawiać go do wypicia nowej porcji lekarstwa, zamierzał go posłuchać. Z pewnością poczuł się dzięki niemu o niebo lepiej.

Przeszedł pod boczną ścianę szopy - wyprostowany, szczupły chłopiec w bokserkach, trampkach z rozwiązanymi sznurowadłami i rozpiętą koszulą. Wydawało mu się, że mocz oddawał bardzo długo, równocześnie patrzył w niebo. Była to jedna z tych mylących nocy, które zdarzają się czasem pod koniec października i na początku listopada, wkrótce potem zima zatrząskuje z okrucieństwem swoje okowy. Panujące ciepło kojarzyło się z tropikami, a lekki powiew przypominał pieszczotę.

W górze unosił się księżyc - biały, okrągły i śliczny. Rzucił na wszystko jasny, lecz dziwnie zwodniczy blask, który oświetlał i ukrywał zarazem. Jack zapatrzył się nań, czuł się niemal jak zahipnotyzowany, ale tym się nie przejmował.

*Nie podchodzimy blisko stada, kiedy się zmieniamy. Na Jasona, nie!*

*Czy jestem teraz stadem, Wilku?*

Na księżycu widniała twarz. Jack pojął, bez zaskoczenia, że to oblicze wilka... tyle że nie tak szerokie, otwarte i nieco zaskoczone. Twarz jego towarzysza wypełniało dobro i prostota. Księżycowe oblicze było natomiast wąskie - och, tak - i ciemne. Pociemniałe od owłosienia, ale nie to się liczyło. Malował się na nim mroczny zamiar.

*Nie podchodzimy blisko stada, pożarlibyśmy je, pożarlibyśmy je, pożarlibyśmy je, Jack, kiedy się zmieniamy, byśmy je...*

Twarz księżycy - wyrzeźbiony w kości światłocien - stanowiła pysk warczącej bestii o łbie przekrzywionym w ostatnim momencie przed skokiem, z rozdziawioną, pełną zębów paszczą.

*Pożarlibyśmy zabilibyśmy zabilibyśmy, zabili, ZABILI ZABILI.*

Palec dotknął barku Jacka i zsunął się powoli do pasa.

Chłopiec stał w tej chwili z członkiem w dłoni, ściskając lekko napletek między kciukiem i palcem wskazującym. Właśnie wycisnął z siebie silną strugę świeżego moczu.

- Przestraszyłem cię - powiedział Wilk zza jego pleców. - Przepraszam, Jack, niech Bóg mnie przygwoździ.

Przez chwilę chłopiec czuł, że Wilkowi wcale nie jest przykro.

Przez moment wydawało mu się, że Wilk się uśmiecha.

A Jack przez chwilę miał pewność, że zostanie pożarty.

Dom z cegieł? - pomyślał niezbornie. Nie mam nawet domu ze słomy, w którym mógłbym się schować.

Dopiero teraz ogarnął go strach - sucha zgroza w żyłach, gorętsza od jakiegokolwiek gorączki.

*Kto boi się wielkiego złego Wilka wielkiego złego Wilka wielkiego złego...*

- Jack?

*Ja, ja, och, Boże boję się wielkiego, złego Wilka...*

Obrócił się powoli.

Twarz Wilka, pokryta niewielką szczecina, gdy obydwójce kładli się w szopie, znikła pod gęstą brodą, która zaczynała się tak wysoko na policzkach, że niemal przechodziła na skronie. Oczy gorzały jaskrawym, czerwonopomarańczowym blaskiem.

- Wilku, nic ci nie jest? - zapytał Jack gardłowym, pozbawionym tchu szeptem - nie był w stanie odezwać się głośniejsze.

- Nic - odrzekł Wilk. - Biegałem z księżycem. Jest piękny. Biegłem... biegłem i biegłem, ale nic mi nie jest, Jack.

Wilk uśmiechnął się na potwierdzenie swoich słów, ukazując paszczę pełną olbrzymich, przystosowanych do rozszarpywania zębów. Jack cofnął się gwałtownie z odrętwiającą grozą. Przypominało to widok paszczy potwora z "Obcego".

Wilk dostrzegł jego minę; po pogrubiłych, surowych rysach przemknęło zmartwienie. Pod zmartwieniem - i to tylko trochę głębiej - kryło się coś jeszcze. Coś, co skakało z radości, uśmiechało się i szczyrzyło zęby. Coś gotowego do ścigania ofiary, aż krew popłynie jej z nosa ze zgrozy, aż będzie jęczała i błagała o litość. Coś, co by ze śmiechem rozdarło jej trzewia.

Śmiałoby się nawet, gdyby to on został ofiarą.

Zwłaszcza jeśli on stałby się ofiarą.

- Przepraszam, Jack - powiedział. - Zbliża się... pora. Musimy coś zrobić. Zrobimy... jutro. Musimy... musimy...

Podniósł spojrzenie, a na jego twarzy pojawił się hipnotyczny wyraz, gdy utkwiał wzrok w niebie.

Uniósł głowę i zawył.

Jackowi wydało się, że słyszy - bardzo cicho - w odpowiedzi wycie Wilka z księżyca.

Szybko i doszczętnie przeniknął go paraliżujący strach. Tej nocy już nie zasnął.

3.

Następnego dnia Wilkowi jakby się poprawiło. Przynajmniej trochę, ale był niemal chory z napięcia. Gdy starał się powiedzieć Jackowi, co trzeba zrobić - na tyle dokładnie, na ile mógł - wysoko nad nimi przeleciał odrzutowiec. Wilk podskoczył na równe nogi, wypadł z szopy i zawył za samolotem, potrząsając pięściami w powietrzu. Owłosione stopy znów miał gołe - obrzmiały, wskutek czego tanie tenisówki doszczętnie popękały.

Próbował powiedzieć Jackowi, co trzeba zrobić, ale mógł korzystać tylko ze starych bająn i plotek. Wiedział, jak Przemiana wygląda w jego świecie, ale wyczuwał, że może być o wiele gorsza - o wiele potężniejsza i bardziej niebezpieczna - w krainie Obcych. Teraz czuł to samo. Czuł, że przenika go moc, i był pewny, że tego wieczora, gdy wzejdzie księżyc, Przemiana dokona się w nim na pewno.

Raz za razem powtarzał, że nie chce zrobić Jackowi krzywdy, że wolałby sam się zabić, niż go skrzywdzić.

4.

Najbliższym miasteczkiem było Daleville. Jack dotarł do niego wkrótce po tym, gdy zegar na ratuszu wybił południe. Odnalazł sklep żelazny True Value. Jedną rękę trzymał w kieszeni, dotykając uszczuplonego zwitka banknotów.

- Czegoś potrzebujesz, synu?

- Tak, proszę pana - rzekł Jack. - Chcę kupić kłódkę.

- No dobrze, podejdź tutaj, to się rozejrzemy. Mamy yale, mossler, lok-tite, co zechcesz. Jakiej kłódki ci potrzeba?

- Dużej - powiedział Jack.

Popatrzył na sprzedawcę podkrążonymi oczyma, nie wiedząc czemu spojrzenie miał zaniepokojone. Twarz mu wychudła, lecz skutek osobliwego piękna wciąż miała przekonujący wyraz.

- Dużej - zastanowił się sprzedawca. - A do czego jej potrzebujesz, jeśli wolno spytać?

- Dla psa - odparł pewnie chłopiec. Historyjka. Zawsze chciano Historyjki. Tę przygotował sobie po drodze z szopy, w której spędzili ostatnie dwie noce. - Potrzebna mi dla mojego psa. Muszę go zamykać. Gryzie.

5.

Wybrana przez niego kłódka kosztowała dziesięć dolarów. Jackowi zostało jeszcze dziesięć przy duszy. Bolało go, że aż tyle musi wydać i o mało co nie wziął tańszej... po czym jednak przypomniał sobie, jak Wilk wyglądał zeszłej nocy, gdy był do księżyca, a z oczu bił mu pomarańczowy blask.

Zapłacił dziesięć dolarów.

Wystawiał kciuk przed każdym przejeżdżającym samochodem, gdy spiesznie wracał do szopy, ale oczywiście żaden się nie zatrzymał. Być może miał zbyt dzikie spojrzenie, wyglądał na zbyt rozgorączkowanego. Niewątpliwie tak właśnie się czuł. Gazeta, którą sprzedawca ze sklepu żelaznego pozwolił mu przejrzeć, obiecywała zachód słońca punkt szósta. Nie napisano, kiedy wschodzi księżyc, ale Jack przypuszczał, że najpóźniej o siódmej. Była już pierwsza po południu, a on nie miał pojęcia, gdzie zamknąć Wilka na noc.

*Musisz mnie zamknąć, Jack, powiedział Wilk. Musisz mnie porządnie zamknąć, bo jak się wydostanę, zrobię krzywdę wszystkiemu, co będę mógł dogonić i złapać. Nawet tobie, Jack. Nawet tobie. Dlatego musisz mnie zamknąć i nie pozwolić mi się wydostać, bez względu*

*na to, co zrobię czy powiem. Na trzy dni, Jack, aż księżyc zacznie z powrotem chudnąć. Na trzy dni... nawet cztery, jeśli nie będziesz zupełnie pewny.*

Tak, ale gdzie? Na pewno gdzieś z dala od ludzi, żeby nikt nie usłyszał Wilka, jeśli - kiedy, przyznał niechętnie - zacznie wyc. W zamknięciu o wiele solidniejszym od szopy, w której nocowali. Gdyby Jack użył swej doskonałej, nowej kłódki za dziesięć dolarów do zamknięcia jej drzwi, Wilk natychmiast wywaliłby dziurę w tylnej ścianie.

Gdzie?

Nie wiedział, ale zdawał sobie sprawę, że ma na znalezienie odpowiedniego miejsca tylko sześć godzin... może mniej.

Jack jeszcze bardziej przyspieszył kroku.

6.

Po drodze minęli kilka pustych domów, a w jednym nawet nocowali. Przez całą drogę powrotną z Daleville Jack rozglądał się za oznakami świadczącymi o braku mieszkańców - za oknami bez firanek i tablicami: NA SPRZEDAŻ, za trawą sięgającą drugiego stopnia schodów wiodących na ganek i aurą opustoszenia, roztaczaną przez porzucone domy. Nie chodziło o to, że miał nadzieję zamknąć Wilka w sypialni jakiejś farmy na trzy dni jego Przemiany. Wilk byłby w stanie wyważyć drzwi szopy czy domu. Jedna z farm, w których nocowali, miała jednak piwnicę, a to by wystarczyło.

Solidne dębowe drzwi, wypuszczone w porośniętą trawą wzgórek jak wejście w bajce, a za nią pomieszczenie bez ścian czy sklepienia - podziemna kryjówka, jaskinia, z której żadne stworzenie nie mogło wykopać sobie wyjścia szybciej niż w miesiąc. Piwnica powstrzymałaby Wilka, a polepa i ściany z ziemi uniemożliwiłyby mu wyrządzenie sobie krzywdy.

Pusta farma i piwnica zostały jednak co najmniej trzydzieści, czterdzieści mil za nimi. Nie mieli szans dotrzeć tam przed wschodem księżyca. Czy zresztą Wilk miałby jeszcze ochotę przebiec czterdzieści mil, zwłaszcza gdy groziło mu zamknięcie w izolacji, bez jedzenia, tak blisko pory Przemiany?

Załóżmy, że w istocie zmitrężyliby czas. Załóżmy, że Wilk znalazłby się zbyt blisko Przemiany i odmówił poddania się jakimukolwiek uwięzieniu? Co by się stało, gdyby kapryśna, łapczywa podszewka jego charakteru wydobyla się na powierzchnię i zaczęła rozglądać się po tym dziwnym, nowym świecie, zastanawiając się, gdzie tu się kryje



jedzenie? Wielka kłódka, od której mało co nie pękały szwy kieszeni Jacka, okazałyby się bezużyteczna.

Jack zdał sobie sprawę, że może zawrócić. Mógłby dotrzeć do Daleville i iść dalej. W ciągu dnia czy dwóch dotarłby do Lapel czy Cicero. Może załapałby się na popołudnie do pracy w sklepie spożywczym czy kilka rodzin roboty na farmie, zarobiłby parę dolarów czy wyprosił posiłek lub dwa, a potem w ciągu następnych kilku dni dotarłby aż do granicy Illinois. Stamtąd poszłoby już łatwo - Jack nie wiedział, jak miałby tego dokonać, ale był całkiem pewny, że zdołałby dotrzeć do Springfield i Thayer School w ciągu zaledwie dnia czy dwóch od osiągnięcia granicy stanu.

Poza tym, jak miałby wytłumaczyć obecność Wilka Richardowi Sloatowi, zastanawiał się, przystanąwszy z wahaniem na drodze ćwierć mili od szopy. Swojemu staremu kumplowi Richardowi, w okrągłych okularach, krawacie i sznurowanych sztruksowych półbutach? Richard Sloat był całkowitym racjonalistą - twardogłowym, chociaż inteligentnym. Jeśli nie mógł czegoś zobaczyć, uważał, że nie istniało. Kiedy Richard był dzieckiem, nigdy nie interesowały go bajki; nigdy nie podniecały go filmy Disneya o wrózkach-matkach chrzestnych, zamieniających dynie w powozy, i złych królowych - właścicielkach mówiących luster. Takie wymysły były zbyt absurdalne, by przypaść do gustu sześciolletniemu (czy też ośmio - lub dziesięcioletniemu) Richardowi - w odróżnieniu, powiedzmy, od fotografii spod mikroskopu elektronowego. Richard entuzjasmował się kostką Rubika, którą potrafił ułożyć w niecałe dziewięćdziesiąt sekund, jednak Jack nie sądził, by jego kolega był gotów zaakceptować istnienie mającego sześć stóp i pięć cali szesnastoletniego wilkołaka.

Przez chwilę Jack bezsilnie kręcił się po drodze - przez moment niemal doszedł do wniosku, że zdoła porzucić Wilka i ruszyć w dalszą wędrówkę, najpierw do Richarda, a następnie po Talizman.

A jeżeli jestem stadem? - zadał sobie w duchu pytanie. I przypomniał sobie, jak Wilk gramolił się po zboczach za swoimi biednymi, przerażonymi zwierzętami, jak rzucił się w wodę, by je ratować.

7.

Szopa była pusta. Gdy tylko Jack zobaczył uchylone, obwisłe drzwi, zorientował się, że Wilk gdzieś się oddalił. Zlął po stoku jaru i przedarł się przez śmiecie. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Wilk nie mógł odejść samemu dalej niż na tuzin stóp, a jednak to zrobił.

- Wróciłem - zawołał Jack. - Hej, Wilku?! Mam kłódkę.

Wiedział, że mówi sam do siebie, co potwierdził rzut oka do wnętrza szopy. Plecak leżał na małej drewnianej ławce, obok wznosił się stosik piśmideł z 1973 roku. W kącie pozbawionej okien drewnianej szopy bezładnie zwalono rozmaite kawałki uschniętych gałęzi, jak gdyby ktoś kiedyś bez przekonania zabrał się do nazbierania opału na zimę. Poza tym drewnia była pusta. Jack odwrócił się od rozchylonych drzwi i bezradnie powiódł wzrokiem po zboczach jaru.

Tu i ówdzie między chaszczami wały się stare opony oraz stos spłowiałych, gnijących broszur agitacyjnych, na których widniało jeszcze nazwisko LUGAR, pogięta, niebiesko-biała tablica rejestracyjna ze stanu Connecticut i butelki po piwie z wypłowiałymi do białości nalepkami... ale Wilka nie było. Jack złożył ręce przy ustach.

- Hej, Wilku, wróciłem!

Nie spodziewał się odpowiedzi i jej nie otrzymał. Wilk zniknął.

- Kurwa - zaklął pod nosem Jack i wsparł ręce na biodrach.

Ogarnęły go sprzeczne uczucia: rozpacz, ulga i lęk. Wilk odszedł, by ocalić Jackowi życie - tak należało tłumaczyć jego zniknięcie. Gdy tylko Jack ruszył do Daleville, jego partner bryknął. Uciekł na tych niezmordowanych nogach, a teraz znajdował się o wiele mil stąd i czekał na wschód księżyca. Do tej pory Wilk mógł dotrzeć wszędzie.

Uświadomienie sobie tego faktu w części tłumaczyło lęk Jacka. Wilk pewnie zagłębił się w las, widoczny za długim polem, do którego przylegał jar. Pewnie opychał się królikami, myszami polnymi i wszystkimi innymi stworzeniami, jakie tam żyły - kretami, świstakami i bohaterami "O czym szumią wierzby". Samo to byłoby cacy. Wilk mógł jednak zwietrzyć bydło i narazić się na prawdziwe niebezpieczeństwo. Mógł również, uświadomił sobie Jack, zwietrzyć jakiegoś farmera z rodziną. Albo jeszcze gorzej, mógł dotrzeć pod jedno z miasteczek na północy. Jack nie miał pewności, ale uważał, że przeistoczony Wilk potrafi zamordować co najmniej tuzin ludzi, nim ktoś go wreszcie zabije.

- Cholera, cholera, cholera - rzucił Jack i zaczął wspinać się po przeciwnym stoku jaru.

W gruncie rzeczy nie miał nadziei, że jeszcze zobaczy Wilka - zrozumiał, że pewnie już nigdy się nie spotkają. Za kilka dni natrafi po drodze w jakiejś małomiasteczkowej gazecie na pełen zgrozy opis rzezi, urządzonej przez olbrzymiego wilka, który zaplątał się na ulicę Główną, najwidoczniej w poszukiwaniu żywności. Będą temu towarzyszyć kolejne nazwiska. Kolejne nazwiska w rodzaju: Thielke, Heidel, Hagen...

Początkowo Jack oglądał się w stronę drogi, mając nadzieję, że mimo wszystko zobaczy przemykającą na wschód olbrzymią postać - jego towarzysz pewnie nie chciał

natknąć się na wracającego z Daleville chłopca. Długi odcinek drogi był jednak opustoszały tak samo jak szopa.

Oczywiście.

Słońce, równie pewny zegar jak ten, który Jack nosił na nadgarstku, zniżyło się nad horyzont.

Jack odwrócił się z rozpaczą w stronę szerokiego pola i lasu za nim. Nie poruszało się nic oprócz wierzchołków ścierni, gnących się pod chłodnym, wędrującym tu i tam powiewem.

TRWA OBLAWA NA WILKA-MORDERCĘ, taki nagłówek pewnie przeczyta za kilka dni.

Po chwili wielki, brązowy głaz na skraju lasu poruszył się, a Jack zorientował się, że to Wilk. Jego towarzysz przykucnął na piętach i wpatrywał się w niego.

- Och, ty denerwujący sukinsynu - powiedział Jack i mimo ulgi zdał sobie sprawę, że odczuwa w głębi duszy radość na widok Wilka.

Ruszył w jego stronę. Wilk ani drgnął, lecz był jakby bardziej spięty, podminowany i czujny. Zrobienie drugiego kroku wymagało od Jacka już pewnej odwagi.

Dwadzieścia jardów dalej spostrzegł, że w Wilku następowały nowe zmiany. Jego owłosienie stało się jeszcze gęstsze i bujniejsze, jak by je umył i wysuszył suszarką; broda naprawdę zaczynała się tuż pod oczyma. Całe ciało, chociaż zgarbione, wydawało się szersze i potężniejsze. Oczy, pełne płynnego ognia, jaśniały na pomarańczowo jak dynie w Halloween.

Jack zmusił się, by podejść jeszcze bliżej. Prawie stanął, gdy zobaczył, że Wilk ma łapy zamiast rąk, ale chwilę później zorientował się, że to jedynie dłonie i palce pokrywa strzecha grubych, ciemnych włosów. Wilk nadal wpatrywał się w niego gorejącymi oczami. Jack zmniejszył jeszcze o połowę dzielący ich dystans, po czym przystanął. Po raz pierwszy, od kiedy spotkał Wilka przy doglądaniu stada nad strumieniem w Terytoriach, nie potrafił nic wyczytać z wyrazu jego twarzy. Może Wilk stał się zanadto obcy, a może po prostu włosy zakrywały za dużą część twarzy. Tak czy inaczej, Jack był pewny, że Wilkiem targa jakieś silne uczucie.

Tuzin stóp od niego zatrzymał się na dobre i zmusił się do spojrzenia w oczy wilkołaka.

- Już wkrótce, Jacky - powiedział Wilk i jego usta rozchyliły się w strasznej parodii uśmiechu.

- Myślałem, że uciekłeś - odparł Jack.

- Siedziałem tutaj, żeby zobaczyć, jak wracasz. Wilk!

Jack nie wiedział, jak sobie wytłumaczyć to oświadczenie. Przypominało mu ono niejasno bajkę o Czerwonym Kapturku. Zęby Wilka wyglądały na wyjątkowo ostre, silne i było ich naprawdę dużo.

- Mam kłódkę - powiedział. Wyjął ją z kieszeni i podniósł w wyciągniętej ręce. - Wpadłeś na jakiś pomysł, kiedy mnie nie było, Wilku?

Cała twarz Wilka - oczy, zęby, wszystko - raziło Jacka.

- Teraz ty jesteś stadem - odrzekł, uniósł głowę i wydał przeciągłe, narastające wycie.

8.

Mniej przestraszony Jack powiedziałby pewnie: "Daj se siana, dobra?" albo "Jeśli nie przestaniesz, zlecą się tu wszystkie psy z okręgu", ale słowa uwięzły mu w gardle. Był zbyt przerażony, by wyrzec choćby słowo. Wilk znowu obdarzył go uśmiechem nr 1 - jego usta wyglądały jak telewizyjna reklama noży Ginsu - i bez wysiłku podniósł się na równe nogi. Lennonki zdawały się ginać w szczecinie wierzchu brody i pod gęstymi, opadającymi na skronie włosami. Jack miał wrażenie, że Wilk ma co najmniej siedem stóp wzrostu, a jego tułów zrobił się tak wielki, jak beczki piwa w magazynku "Oatley Tap".

- Macie dobre zapachy w tym świecie, Jack - powiedział Wilk.

Chłopiec wreszcie zidentyfikował jego nastrój. Wilka przepelniało uniesienie. Był jak człowiek, który mimo znikomych szans wygrał wyjątkowo trudną konkurencję. Na dzień tego triumfu kołatało się jednak radosne i dzikie nastawienie, które Jack wyczuł u niego wcześniej.

- Dobre zapachy! Wilk! Wilk!

Jack cofnął się ostrożnie o krok, zastanawiając się, czy stać po nawietrznej Wilka.

- Jeszcze nigdy nie powiedziałeś o nim nic dobrego - odezwał się niezupełnie z sensem.

- Przedtem to przedtem, a teraz to teraz - odparł Wilk. - Dobre rzeczy. Wiele dobrych rzeczy - wszędzie dookoła. Wilk je znajdzie, możesz się założyć.

To tylko pogorszyło sprawę, ponieważ Jack dostrzegł - prawie wyczuł - tępą, pewną siebie łąpczywość, całkowicie niemoralny gniew, wycierający z czerwonych oczu. Zjem wszystko, co złapię i zabiję, mówiło to spojrzenie. Złapię i zabiję.

- Mam nadzieję, że żadna z tych dobrych rzeczy to nie ludzie - szepnął Jack.

Wilk uniósł podbródek i wydał ciąg gulgoczących dźwięków - ni to wycie, ni to śmiech.

- Wilk potrzebuje jeść - powiedział, a jego ton również był rozradowany. - Och, Jacky, jak bardzo Wilcy potrzebują jeść. JEŚĆ! Wilk!

- Chcę cię zamknąć w szopie - powiedział Jack. - Pamiętasz, Wilku? Kupiłem kłódkę. Mam nadzieję, że wystarczy, aby cię powstrzymać. Chodźmy tam, Wilku. Boję się ciebie tak bardzo, że robię w portki.

- Boi się! - Tym razem gulgoczący śmiech dobywał się aż z klatki piersiowej jego towarzysza. - Wilk wie! Wilk wie, Jacky! Masz zapach strachu!

- Nie dziwię się - rzekł Jack. - Chodźmy już do szopy, dobrze?

- Och, nie idę do szopy - odparł Wilk, a spomiędzy jego warg wynurzył się długi, spiczasty język. - Nie, nie ja, Jacky. Nie Wilk. Wilk nie może iść do szopy. - Szczęki rozchyliły się, załśniły zęby. - Wilk sobie przypomniał, Jacky. Wilk! Właśnie tu i teraz. Wilk sobie przypomniał! - Jack cofnął się. - Jeszcze więcej zapachu strachu. Nawet na twoich butach. Butach, Jacky! Wilk!

Cuchnące strachem buty były najwidoczniej bardzo komiczne.

- Musisz pójść do szopy, to właśnie powinieneś sobie przypomnieć.

- Źle! Wilk. To ty idziesz do szopy, Jacky! Jacky idzie do szopy. Przypomniałem sobie! Wilk! - Kolor oczu wilkołaka zmienił się z gorejącego, czerwonawopomarańczowego na łagodny, sugerujący satysfakcję odcień purpury. - Z Księgi Dobrej Uprawy, Jacky. Przypowieść o Wilku, Który Nie Skrzywdzi Swojego Stada. Pamiętasz, Jacky? Stado idzie do szopy. Pamiętasz? Kłódkę wiesz na drzwiach. Kiedy Wilk wie, że zbliża się jego Przemiana, stado idzie do szopy, a kłódkę wiesz na drzwiach. Nie Skrzywdzi Swojego Stada. - Szczęki znów się rozchyliły, koniuszek długiego, ciemnego języka zwinął się w wyrazie bezgranicznego zachwytu. - Nie! Nie! Nie Skrzywdzi Swojego Stada! Wilk! Właśnie tu i teraz!

- Chcesz, żebym przez trzy dni siedział zamknięty w szopie? - spytał Jack.

- Muszę jeść, Jacky - odpowiedział po prostu Wilk, a chłopiec dostrzegł, że ze zmieniających się oczu wзира na niego coś ciemnego, szybkiego i złowieszczonego. - Kiedy księżyc zabiera mnie z sobą, muszę jeść. Są tu dobre zapachy, Jacky. Mnóstwo jedzenia dla Wilka. Kiedy księżyc mnie puści, Jacky wyjdzie z szopy.

- A jeśli nie mam ochoty siedzieć zamknięty przez trzy dni?

- To Wilk zabije Jacky'ego... i będzie przeklęty.

- To wszystko jest napisane w Księdze Dobrej Uprawy, tak?

- Przypomniałem sobie. - Wilk skinął głową. - Przypomniałem sobie na czas, Jacky. Kiedy na ciebie czekałem.

Jack starał pogodzić się z pomysłem Wilka. Trzy dni bez jedzenia w więzieniu, a Wilk będzie hasał po całym świecie. Zapewne to jedyny sposób, żeby przeżyć jego przeistoczenie. Mając do wyboru trzydniowy post lub śmierć, Jack wolał znosić głód. Nagle przyszło mu do głowy, że to odwrócenie ról jest jedynie pozorne - on wciąż będzie wolny, mimo że zamknięty w szopie, natomiast Wilk wciąż będzie uwięziony w szerokim świecie. Jego klatka będzie jedynie większa niż Jacka.

- No to niech Bóg błogosławi Księżę Dobrej Uprawy, bo mnie samemu nigdy by to nie przyszło do głowy.

Wilk znów się rozpromienił, po czym podniósł głowę i popatrzył w niebo z nieobecny, tęsknym wyrazem.

- Już niedługo, Jacky. Jesteś stadem. Muszę cię zamknąć.

- Dobrze - odparł Jack. - Chyba rzeczywiście musisz. Na to również Wilk zareagował jak na coś niezmiernie wesołego. Wydał wyjący śmiech, objął Jacka ramieniem w pasie i poniosł go przez całe pole.

- Wilk zajmie się tobą, Jacky - powiedział, gdy już zmęczył się wyciem.

Odstawił chłopca delikatnie na ziemię nad jarem.

- Wilku - rzekł Jack. Wilk rozwarł szczęki i zaczął pocierać krocze. - Nie wolno ci zabijać ludzi, Wilku. Pamiętaj - jeśli przypomniesz sobie tę przypowieść, to na pewno pamiętasz, że nie wolno ci zabijać ludzi. Jeśli zabijesz kogokolwiek, choćby jednego człowieka, to będzie cię ścigać wielu ludzi i w końcu cię uśmiercą. Dopadną cię, Wilku, to pewne. Przybiją twoją skórę do deski.

- Nie ludzi, Jacku. Zwierzęta pachną lepiej niż ludzie. Nie ludzi. Wilk!

Zeszli po stoku na dno jaru. Jack wyjął kłódkę z kieszeni i kilka razy przełożył ją przez metalowe ucho oraz pokazał Wilkowi, jak przekręcić klucz.

- Potem wsuń go pod drzwi, dobrze? - polecił. - Kiedy zmienisz się z powrotem, wypchnę ci go na zewnątrz.

Popatrzył pod drzwi - między nimi i ziemią widniał dwucalowy prześwit.

- Pewnie, Jacky. Wypchniesz mi go z powrotem.

- No dobrze, co teraz robimy? - spytał Jack. - Mam już wejść do szopy?

- Usiądź tutaj - polecił Wilk i wskazał miejsce na podłodze, jakąs stopę od wejścia.

Jack popatrzył na niego pytająco, po czym wszedł do drewni i usiadł. Wilk przykucnął tuż za uchylonymi drzwiami i nawet się nie oglądając, wyciągnął rękę w stronę chłopca. Jack ją ujął - przypominało to trzymanie w dłoni włochatego stworzenia rozmiarów królika. Wilk ścisnął mu rękę tak silnie, że Jack prawie krzyknął - czuł jednak, że gdyby

nawet to zrobił, to Wilk by go nie usłyszał. Jego towarzysz znów patrzył w górę z rozmarzoną, spokojną i zachwyconą miną. Po sekundzie czy dwóch Jack zdołał nadać dłoni w uścisku Wilka wygodniejszą pozycję.

- Długo tak będziemy siedzieć? - spytał.

Minęła prawie minuta, nim Wilk odpowiedział.

- Ile trzeba - rzekł i znowu ścisnął rękę chłopca.

9.

Przez całe godziny siedzieli tak bez słowa po obu stronach wejścia - aż światło dnia zaczęło wreszcie przygasać. Wilk niemal niezauważalnie drżał przez ostatnich dwadzieścia minut, a w miarę jak robiło się coraz ciemniej, dygotanie narastało. Jack pomyślał, że tak pewnie trzęsie się rasowy koń w boksie przed początkiem wyścigu, gdy czeka na odgłos wystrzału i otwarcie bramki.

- Zaczyna zabierać mnie z sobą - szepnął Wilk. - Wkrótce będziemy biegli razem, Jack. Szkoda, że ty tego nie potrafisz.

Odwrócił głowę i popatrzył na chłopca. Jack wyczuł, że chociaż Wilk mówił poważnie, duża część jego istoty mówiła równocześnie: *Mógłbym równie dobrze gonić ciebie, jak biec razem z tobą, mój mały przyjacielu.*

- Pewnie teraz musimy już zamknąć drzwi - powiedział Jack.

Spróbował wyciągnąć rękę z uścisku Wilka, lecz nie zdołał tego zrobić, dopóki jego towarzysz nie puścił jej niemal z pogardą.

- Zamkniemy Jacka w środku, zamkniemy Wilka na zewnątrz.

Oczy Wilka rozbłysły przez chwilę na żółto, jakby się stopiły, wskutek czego upodobił się do Elroya.

- Pamiętaj, że masz dbać o bezpieczeństwo stada - przypomniał Jack.

Cofnął się na środek szopy.

- Stado idzie do stodoły, a kłódkę wiesz na drzwiach. Nie Skrzywdzi Swojego Stada.

Z oczu wilka przestał skapywać ogień; przygasły i nabrały pomarańczowego odcienia.

- Załóż kłódkę na drzwi.

- Przecież właśnie to robię, niech to Bóg przygwoździ! - odparł Wilk. - Zakładam przygwożdżoną przez Boga kłódkę na przygwożdżone przez Boga drzwi, widzisz? - Kłapnął

nimi, natychmiast pograżając Jacka w ciemnościach. - Słyszysz, Jacky? To ta przygwożdżona przez Boga kłódka.

Jack usłyszał szcęknięcie kłódki o ucho, a następnie obracające się zapadki zamka.

- Teraz klucz - powiedział.

- Przygwożdżony przez Boga klucz, właśnie tu i teraz - rzekł Wilk.

Rozległ się szcęk wsuwanego, obracającego się i po chwili wysuwającego się klucza. Sekundę później klucz odbił się od pokrytej kurzem ziemi za drzwiami tak silnie, że pokoziołkował aż do listwy przy podłodze.

- Dziękuję - szepnął Jack.

Pochylił się i wodził palcami wzdłuż desek, aż namacał klucz. Przez chwilę ścisnął go tak silnie, że niemal przebił nim skórę - siniec w kształcie stanu Floryda został mu prawie przez pięć dni; podniecenie po aresztowaniu sprawiło jednak, że nie zauważył, kiedy zniknął.

Jack starannie wsunął klucz do kieszeni. Na zewnątrz Wilk dyszał regularnie, z wyraźnym podnieceniem.

- Jesteś na mnie zły, Wilku? - wyszeptał Jack przez drzwi.

Łupnęła w nie ciężka pięść.

- Nie! Nie zły! Wilk!

- To dobrze - odparł chłopiec. - Tylko nie ludzi, Wilku. Pamiętaj, bo inaczej urządują na ciebie łowy i cię zabijają.

- Tylko nie luUUOOOUUU-OOOOOOOOHHHOOOO! - Słowo przeszło w przeciągłe, płynne wycie. Ciało Wilka wpadło na drzwi, długie, pokryte czarnym futrem stopy wśliznęły się w prześwit między nimi. Jack zorientował się, że jego towarzysz rozpląszczył się o drzwi szopy. - Nie zły, Jack - wyszeptał Wilk, jakby zawstydzony swojego wycia. - Wilk nie jest zły. Wilk pragnie, Jack. To już wkrótce, niech to Bóg przygwoździ, wkrótce.

- Wiem - odparł Jack.

Nagle zebrało mu się na płacz - żałował, że nie może przytulić Wilka do siebie. Jeszcze bardziej żałował, że nie zostali kilka dodatkowych dni w pustym gospodarstwie, bo może w tym wypadku stałby sobie spokojnie pod piwnicą, w której zamknąłby bezpiecznie Wilka.

Przyszła mu znowu do głowy dziwna, niepokojąca myśl, że Wilk rzeczywiście jest bezpiecznie zamknięty.

Stopy Wilka wsunęły się jeszcze dalej pod drzwi, a Jackowi wydało się, że robią się jeszcze węższe i szczuplejsze.



Wilk mruknął, zadyszał, jeszcze raz mruknął. Odsunął się od drzwi. Wydał dźwięk, brzmiący jak: "Aaach!".

- Wilku? - rzekł Jack.

Z góry dobiegło wycie, od którego Jackowi mało nie popękały bębenki. Wilk wszedł na szczyt jaru.

- Uważaj na siebie - powiedział Jack, wiedząc, że Wilk go nie słyszy, i obawiając się, że nie zrozumiałby go, nawet gdyby stał wystarczająco blisko.

Wkrótce potem rozbrzmiał ciąg kolejnych wyc: odgłos uwolnionego stworzenia czy też pogrążonego w rozpacz, bo budzi się nadal w niewoli - Jack nie potrafił tego zinterpretować. Żałosne, dzikie i dziwnie piękne krzyki biednego Wilka przelatywały przez rozświetlone księżycem powietrze jak rzucone w noc szarfy. Jack nie zdawał sobie sprawy, że dygocze, dopóki nie objął się ramionami i nie poczuł, jak wibrują na jego piersi - zresztą ona też drżała.

Kolejne wycie było coraz słabsze i odległe. Wilk biegł z księżycem.

10.

Przez trzy dni i trzy noce Wilk niemal bez przerwy poszukiwał pożywienia. Spał od świtu prawie do południa w wyszukany przez siebie zagłębieniu pod pnem przewróconego dębu. Mimo przeczuć Jacka, Wilk z pewnością nie czuł się uwięziony. Lasy po obu stronach pola były rozległe i pełne naturalnego pożywienia wilka. Myszy, króliki, koty, psy, wiewiórki - bez trudu znajdował je wszystkie. Mógł ograniczyć się do lasu, a mimo to znalazłby w nim więcej jedzenia, niż potrzebował do następnej Przemiany.

Wilk jednak żeglował z księżycem i nie mógł trzymać się lasu, tak samo jak nie mógł wcześniej powstrzymać swojej Przemiany. Wiedziony przez księżyc, grasował po podwórkach i pastwiskach, krążył pod odizolowanymi podmiejskimi domostwami i po niewykończonych drogach, koło których stały buldożery i wielkie, asymetryczne walce, przypominające śpiące dinozaury. Połowę jego inteligencji stanowił zmysł węchu i nie byłaby przesadą sugestia, że nos Wilka, zawsze czujny, stał się wręcz narzędziem doskonałym. Nie tylko potrafił z odległości pięciu mil wywęszyć pełen kurnik i odróżnić zapachy kur od woni krów, świń i koni w tym samym gospodarstwie - to było proste - ale potrafił nawet wyczuć, kiedy kury się poruszały. Mógł wywęszyć, że jedna ze śpiących świń miała skaleczoną nogę, a jedna z krów - owrzodzone wymię.

Ten świat - czy bowiem nie wiódł go księżyc tego świata? - przestał cuchnąć chemikaliami i śmiercią. Podczas swych wędrówek Wilk napotykał stary, prymitywniejszy porządek rzeczy. Wdychał to, co pozostało z pierwotnej słodyczy i mocy ziemi - to, co zostało się z cech, jakie ten świat dzielił kiedyś z Terytoriami. Nawet gdy zbliżał się do ludzkiej siedziby, nawet gdy łamał kręgosłup domowego kundla, rozdzierał go na strzępy i przełykał bez gryzienia, Wilk wyczuwał płynące głęboko pod ziemią czyste, chłodne strumienie i zdawał sobie sprawę, że gdzieś daleko na zachodzie są góry pokryte skrzącym się śniegiem. Wydawało się to idealnym miejscem dla odmienionego Wilka, lecz gdyby zabił choć jedną istotę ludzką, stałby się przeklęty.

Nie zabił ani jednego człowieka.

Nie widział żadnego - może właśnie dlatego. Podczas trzech dni Przemiany Wilk zabił i pożarł przedstawicieli większości form życia, jakie można znaleźć we wschodniej Indianie, włącznie ze skunksem i całą rodziną rysi amerykańskich, zamieszkujących wapienne jaskinie na zboczu dwie doliny dalej. Pierwszej nocy w lesie złapał w szczęki nisko lecącego nietoperza, odgryzł mu głowę i przełknął wciąż podrygującą resztę. Całe szwadrony domowych kotów i plutony psów zniknęły w jego gardle. Z dziką uciechą wybił pewnej nocy wszystkie świnię w chlewni wielkiej jak miejska przecznica.

Dwa razy Wilk jednak w tajemniczy sposób został powstrzymany od zabicia ofiary, i to również sprawiało, że czuł się jak w domu w świecie, po którym grasował. Chodziło o miejsce, nie o jakiegokolwiek abstrakcyjne względy moralne - chociaż pozornie miejsca te były całkowicie zwyczajne. Pierwszym z nich była polana w lesie, na którą zagnał królika, drugim - zabałaganione podwórko farmy, gdzie na łańcuchu miotał się skowyczący pies. W chwili gdy znalazł się w tych miejscach, włosy stawały mu dęba i czuł przenikający cały kręgosłup elektryzujący dreszcz. Były to święte miejsca, a w świętych miejscach Wilkom nie wolno zabijać. I to wszystko. Jak wszystkie święte miejsca zostały ustalone dawno temu - tak dawno, że w pełni uzasadnione staje się użycie wobec nich określenia "prastare". Chyba żaden inny termin nie oddałby zresztą tej niezmierniejszej połaci czasu. Wilk wyczuł na podwórku farmy i małej polance ciężkie brzemie lat, skupionych na niewielkim, silnie naładowanym terenie. Wycofywał się więc po prostu ze świętych miejsc i ruszał gdzie indziej. Podobnie jak ujrzeni przez Jacka skrzydlaci ludzie, Wilk żył pośród tajemnicy i takie rzeczy nie budziły w nim niepokoju.

Nie zapominał też o swoich obowiązkach względem Jacka Sawyera.

W zamkniętej szopie Jack doszedł do wniosku, że musi polegać na swoim umyśle i charakterze bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

Jedynym meblem w drewnitni była mała drewniana ława, jedyną rozrywką - niemal dziesięcioletnie pisma. I tak nie mógł ich czytać. Ponieważ nie było okien, a tylko bardzo wczesnym rankiem pod drzwiami przesączało się trochę światła, Jack miał trudności nawet z obejrzeniem zdjęć. Tekst zamieniał się w ciąg szarych robaczek i nie sposób było go pojąć. Jack nie miał pojęcia, jak zniesie te trzy dni. Podszedł do ławy, rąbnął się o nią boleśnie kolanem i usiadł, żeby się zastanowić.

Od razu sobie uświadomił, że w szopie czas płynął inaczej niż na zewnątrz. Poza drewnitnią sekundy maszerowały szybko po sobie, stapiały się w minuty, a te scalały się w godziny.

Całe dni tykały po sobie jak metronomy, całe tygodnie. W czasie szopy sekundy uporczywie nie chciały się poruszać - rozciągały się w groteskowe sekundy-potwory, sekundy-plastikowe ludziki. Na zewnątrz mijała cała godzina, podczas gdy w drewnitni pęczniało i nabrzmiewało cztery czy pięć sekund.

Drugą rzeczą, z jakiej Jack zdał sobie sprawę, było to, że zastanawianie się nad powolnie mijającym czasem tylko wszystko pogarszało. Gdy zaczynał się koncentrować nad mijaniem sekund, niemal w ogóle przestawały biec. Próbował więc pomierzyć krokami wymiary swojej celi, byle tylko oderwać myśli od wieczności sekund, z których składały się trzy następne dni. Przystawiając jedną nogę przed drugą i odliczając kroki, ustalił, że szopa ma wymiary jakieś siedem na dziewięć stóp. Miał przynajmniej dość miejsca, by wyciągnąć się w nocy.

Okążenie całej szopy równało się pokonaniu około trzydziestu dwóch stóp.

Gdyby Jack okążył drewnitnię sto sześćdziesiąt pięć razy, uszedłby milę.

Wprawdzie nie miał nic do jedzenia, ale przynajmniej mógł chodzić. Zdjął zegarek i wetknął go do kieszeni, przyrzekając sobie, że nie spojrzy na niego, jeśli nie zostanie zmuszony.

Pokonał mniej więcej jedną czterdziestą pierwszej mili, gdy przypomniał sobie, że w szopie nie ma wody. Nie ma jedzenia ani wody. Przypuszczał, że trzeba więcej niż trzech czy czterech dni, żeby umrzeć z pragnienia. Jeśli tylko Wilk do niego wróci, wszystko będzie dobrze - no, może nie dobrze, ale przynajmniej Jack przeżyje. A jeśli Wilk nie wróci? Jack będzie musiał wtedy wyłamać drzwi.

W takim razie lepiej spróbować od razu, pomyślał, póki jeszcze ma dość sił.

Podszedł do drzwi i naparł na nie dłońmi. Pchnął je jeszcze silniej, aż zaskrzypiały zawiasy. W ramach eksperymentu rzucił się barkiem na skraj drzwi naprzeciw zawiasów. Ramię go rozboleło, jednak nie sądził, żeby zdołał drzwi choć nadwerężyć. Rąbnął barkiem jeszcze silniej. Zawiasy zaskrzypiały, ale nie drgnęły nawet o milimetr. Wilk mógłby wyrwać je jedną ręką, lecz Jack nie wierzył, że zdoła je poruszyć, choćby nawet w trakcie starań zamienił swe barki w hamburgera. Musiał po prostu czekać na Wilka.

Nim nastąpiła połowa nocy, Jack uszedł siedem czy osiem mil - stracił rachubę, ile razy zaliczył po sto sześćdziesiąt pięć okrążeń szopy, chyba jednak siedem czy osiem razy. W ustach wyszło mu na wiór, burczało w żołądku. Drewnutnia śmierdziała moczem, bo Jack był zmuszony siusiać pod przeciwną ścianą, gdzie dzięki szparze między deskami przynajmniej część moczu trafiała na zewnątrz. Odczuwał znużenie w całym ciele, ale nie sądził, by mógł zasnąć. Według czasu zegarowego, przebywał w zamknięciu dopiero pięć godzin; według czasu szopy, minęły raczej dwadzieścia cztery godziny. Bał się kłaść.

Umysł nie pozwalał mu na odpoczynek - tak właśnie się czuł. Starał się sporządzić listy wszystkich książek, które przeczytał w ciągu ubiegłego roku, wszystkich swoich nauczycieli, wszystkich zawodników drużyny Los Angeles Dodgers... do głowy jednak wciąż się mu wdierały niepokojące, chaotyczne obrazy. Ciągłe widział, jak Morgan Sloat wywala dziurę w powietrzu. Twarz Wilka unosiła się pod wodą, jego ręce lewitowały bezwładnie jak ciężkie wodorosty. Jerry Bledsoe podrygiwał i chwiał się pod tablicą rozrządową, okulary ściekały mu po nosie. Oczy mężczyzny nabierały żółtej barwy, jego dłoń zamieniała się w szpon-kopyto. Sztuczne zęby wujka Tommy'ego skrzyły się pod krawężnikiem na Sunset Strip. Morgan Sloat ścigał matkę Jacka, a nie jego samego.

- Piosenki Fatsa Wallera - powiedział, ruszając w kolejny obchód szopy w ciemnościach. - "Your Feet Too Big", "Ain't Misbehavin'", "Jitterbug Waltz", "Keep Out of Mischief Now".

Niby-Elroy wyciągał łapy do jego matki i szepcząc oblesnie, kładł jej rękę na biodrze.

- Państwa w Ameryce Środkowej. Nikaragua. Honduras. Gwatemala. Kostaryka.

Nawet gdy był tak zmęczony, że musiał zwinąć się w kłębek na podłodze, wykorzystując plecak jako poduszkę, Elroy i Morgan Sloat dalej grasowali w jego myślach. Osmond smagał pejcem Lily Cavanaugh po plecach, a jego oczy tańczyły. Wilk przeżył się, masywny i całkowicie nieludzki, a kula trafiała go prosto w serce.

Jacka obudziło pierwsze światło. Poczul zapach krwi. Całe ciało błagało go o wodę, a potem o jedzenie. Jack jęknął. Absolutnie nie sposób było przeżyć trzech takich kolejnych nocy. Płaski kąt padania promieni słońca umożliwił mu zobaczenie niewyraźnych zarysów ścian i dachu. Drewnitnia sprawiała wrażenie większej, niż wydawała się minionej nocy. Jack znów musiał się wysiusiać, chociaż nie wierzył, że jego ciało może wydalić jeszcze choćby odrobinę płynu. Wreszcie zdał sobie sprawę, że szopa sprawia wrażenie większej, bo on leży na podłodze.

Znowu poczul zapach krwi i obejrzał się w bok, w stronę drzwi. Przez szczelinę przepchnięto obdarty ze skóry zad królika. Leżał na grubych deskach i lśnił od ociekającej krwi. Pasma kurzu i długie, nierówne wgłębienie dowodziło, że wciśnięto go do środka siłą. Wilk starał się nakarmić Jacka.

- Och, Jezu - jęknął chłopiec.

Obdarte ze skóry nogi królika niepokojąco przypominały ludzkie. Żołądek Jacka zacisnął się w ciasną kulę, ale zamiast zwymiotować, chłopiec roześmiał się, zaskoczony absurdalnością porównania, jakie przyszło mu do głowy. Wilk przypominał domowego ulubieńca, co rano przynoszącego swoim właścicielom martwego ptaka czy mysz z wyprutymi trzewiami.

Jack ujął ostrożnie dwoma palcami obrzydliwą ofiarę i odłożył ją pod ławę. Wciąż miał ochotę się śmiać, ale oczy zaszyły mu łzami. Wilk przeżył pierwszą noc transformacji. Jack również.

Następnego ranka Wilk przyniósł absolutnie anonimowy, niemal jajowaty kawałek mięsa, otaczający zaskakująco białą, strzaskaną z obu końców kość.

12.

Rano czwartego dnia Jack usłyszał, jak ktoś zsuwa się w dół jaru. Przestraszony ptak zaskrzeczał, po czym zerwał się z hałasem z dachu drewnitni. Do drzwi zbliżyły się ciężkie kroki. Jack dzwignął się na łokciach i zmrużył oczy w ciemności.

Wielkie ciało rąbnęło z łoskotem o drzwi i tam pozostało. W szczelinie pokazała się para popękanych, wybrudzonych tenisówek.

- Wilku? - spytał cicho chłopiec. - To ty, prawda?

- Daj mi klucz, Jack.

Chłopiec wsunął dłoń do kieszeni, wyjął klucz i pchnął go po podłodze prosto w stronę tenisówek. W polu widzenia pojawiła się wielka, brązowa ręka i podniosła klucz.

- Przyniosłeś może wody? - zapytał Jack.

Mimo wilgoci, zawartej w makabrycznych ofiarach Wilka, chłopiec o mało nie uległ poważnemu odwodnieniu - miał obrzmiałe, spękane usta, a język wydawał się mu opuchnięty i spieczony.

Klucz wsunął się w kłódkę, Jack usłyszał, że zostaje otwarta. Po chwili ją zdjęto.

- Trochę - rzekł Wilk. - Zamknij oczy, Jack. Masz teraz nocne oczy.

Jack przycisnął do nich dłonie, gdy drzwi się uchylły, ale światło, które jakby z grzmotem i hukiem wdarło się do szopy, zdołało przecisnąć się między nimi i ugodzić go w źrenice. Syknął z bólu.

- Zaraz będzie lepiej - powiedział Wilk, który stanął przy Jacku. Otoczył go ramionami i podniósł z podłogi. - Nie otwieraj oczu - ostrzegł i wyszedł z nim tyłem z szopy.

Już w chwili, gdy Jack powiedział "wody" i poczuł, jak jego ust dotyka zardzewiały brzeg starego kubka, zrozumiał, dlaczego Wilk nie chciał zostać w drewnitni. Powietrze na zewnątrz wydawało się niewiarygodnie świeże i błogie - można by pomyśleć, że importowano je wprost z Terytoriów. Jack wciągnął przez usta mniej więcej dwie łyżeczki wody, smakującej jak najwspanialsze delicje na ziemi. Płyn wniknął w niego jak rozmigotany strumyk, ożywiający wszystko, z czym się zetknął. Jack poczuł się jak pustynna ziemia po irygacji.

Wilk odjął mu kubek od ust na długo, nim chłopiec zdołał się nasycić jego zawartością.

- Gdybym dat ci więcej, tobyś to tylko zwrócił - powiedział. - Otwórz oczy, Jack, ale tylko troszkę.

Chłopiec usłuchał. W jego oczy wtargnęły miliony cząstek światła. Krzyknął. Wilk usiadł, tuląc Jacka w ramionach.

- Łyknij - powiedział, ponownie przystawiając mu kubek do ust. - Otwórz trochę bardziej oczy.

Światło słońca raziło już znacznie mniej. Jack wyjrzał zza osłony rzęs na oślepiający zamęt barw, podczas gdy przez gardło ściekał mu kolejny cudowny strumyk wody.

- Ach - powiedział. - Dlaczego jest taka wspaniała?

- Przez zachodni wiatr - odparł natychmiast Wilk. Jack uchylił szerzej oczy. Rój plam zamienił się w zerodowany brąz szopy oraz zmieszana z jaśniejszym brązem zieleń jaru.

Chłopiec wspierał głowę na ramieniu Wilka; czuł wpijającą się w kręgosłup wypukłość jego żołądka.

- Wszystko w porządku, Wilku? - zapytał. - Znalazłeś dość jedzenia?

- Wilcy zawsze znajdują dość jedzenia - odrzekł jego towarzysz i poklepał chłopca po udzie.

- Dzięki, że przynosiłeś mi te kawałki mięsa.

- Obiecałem. Byłeś stadem, pamiętasz?

- Och, tak, pamiętam - powiedział Jack. - Mogę napić się jeszcze wody?

Zsunął się z szerokich kolan Wilka i usiadł na ziemi, twarzą do niego.

Wilk podał mu kubek. Założył z powrotem lennonki; jego broda zamieniła się w drobną, pokrywającą policzki szczecinę. Czarne włosy, nadal długie i przetłuszczone, odzyskały normalną długość. Twarz Wilka miała przyjacielski i spokojny, niemal zmęczony wyraz. Na farmerki nałożył szarą bluzę od dresu, mniej więcej dwa rozmiary za małą, z nadrukiem na przedzie: WYDZIAŁ WYCHOWANIA FIZYCZNEGO, UNIWERSYTET STANU INDIANA.

Przypominał istotę ludzką bardziej niż kiedykolwiek od chwili, gdy Jack go spotkał. Nie wyglądał na takiego, co poradziłby sobie z najprostszym kursem w college'u, ale nadałby się na porządnego zawodnika futbolu ze szkoły średniej.

Jack znów upił łyk wody; dłoń Wilka wisiała nad zardzewiałym blaszanym kubkiem, gotowa go wyrwać, gdyby chłopiec nie wykazywał umiaru.

- Naprawdę wszystko w porządku?

- Właśnie tu i teraz - odparł Wilk. Potarł drugą ręką brzuch, tak rozdęty, że napinał tkaninę dolnej części bluzy jak dłoń gumową rękawicę. - Jestem tylko zmęczony. Trochę snu, Jack. Właśnie tu i teraz.

- Skąd masz tę bluzę?

- Wisiała na sznurku - odparł Wilk. - Zimno tutaj, Jacky.

- Nie zrobiłeś nikomu krzywdy, prawda?

- Nie człowiekowi. Wilk! Wypij już tę wodę, powoli. - Jego oczy przez sekundę niepokojąco zamajaczyły pomarańczowym blaskiem, a Jack pomyślał, że o jego towarzyszu nigdy nie będzie można powiedzieć, iż przypomina zwyczajną istotę ludzką. Po chwili Wilk rozchylił wielkie usta i ziewnął. - Trochę snu.

Ułożył się wygodnie na stoku i oparł głowę na ziemi. Niemal natychmiast zapadł w sen.

Część III

Zderzenie światów



## Rozdział dwudziesty - Pojmani przez prawo

1.

O drugiej po południu tego samego dnia znajdowali się sto mil dalej na zachód, a Jack Sawyer czuł się taić, jakby on również biegł z księżycem - aż tak łatwo poszło. Mimo wyjątkowego głodu Jack popijał powoli wodę z zardzewiałego kubka i czekał, aż Wilk się obudzi. Wreszcie Wilk zawiercił się, powiedział "Już jestem gotowy, Jack", wsadził sobie chłopca na plecy i ruszył truchtem w stronę Daleville.

Podczas gdy Wilk usiadł na krawężniku i starał się nie zwracać na siebie uwagi, Jack wszedł do Burger Kinga. Zmusił się, żeby najpierw udać się do toalety i rozebrać do pasa. Nawet w toalecie doprowadzający do szału zapach smażonego mięsa sprawiał, że ślina wzbierała mu w ustach. Umył ręce, ramiona, pierś, twarz. Następnie wetknął głowę pod kran i umył włosy mydłem w płynie. Zmięte papierowe ręczniki rzucał jeden po drugim na podłogę.

Wreszcie był gotów podejść do lady. Dziewczyna w mundurku gapiła się na niego, gdy składał zamówienie - to przez te mokre włosy, pomyślał. Czekać na realizację zamówienia, dziewczyna cofnęła się i oparła o okienko do kuchni, wciąż bez żenady mu się przypatrując.

Wgryzł się w pierwszego whoppera i odwrócił się w stronę szklanych drzwi. Sos ściekał mu po podbródku. Był tak głodny, że prawie nie zawracał sobie głowy żuciem. W trzech wielkich kęsach pochłoniął niemal całą pierwszą kanapkę. Opróżnił usta na czwarty kęs, gdy przez drzwi zobaczył, że Wilk skupił na sobie uwagę grupki dzieci. Jack przestał gryźć mięso, a żołądek szczelnie się zacisnął.

Wypadł na zewnątrz, wciąż starając się przełknąć mielone żarcie, delikatne pieczywo, pikle, sałatę, pomidory i sos. Dzieci na ulicy otoczyły z trzech stron Wilka, gapiąc się na niego tak samo bez skrępowania jak kelnerka spoglądała na Jacka. Wilk, który siedział na krawężniku, maksymalnie się zgarbił - skłonił głowę i wciągnął kark w ramiona jak żółw. Zdawało się, że jego uszy przylgnęły się do czaszki. Kęs jedzenia utkwiał Jackowi w gardle jak piłka golfowa, a gdy konwulsyjnie przełknął, odrobinę opadł.

Wilk popatrzył na niego kątem oka i wyraźnie się odprężył. Wysoki mężczyzna przed trzydziestką w niebieskich dzinsach otworzył nieco dalej drzwi poobijanego pick-upa, oparł się o samochód i przyglądał się scenie z uśmiechem.

- Masz burgera, Wilku - powiedział Jack tak bez troski, jak tylko potrafił.

Podał towarzyszowi pudełko. Wilk obwąchał je, a następnie uniósł głowę i wgryzł się prosto w opakowanie. Zaczął metodycznie przeżuwać. Zdumione i zafascynowane dzieci przysunęły się bliżej. Kilkoro z nich chichotało.

- Co jemu? - zapytała mała dziewczynka z jasnymi mysimi ogonkami, związanymi postrzępionym sznurkiem do pakowania prezentów. - To jakiś potwór?

Ostrzyżony na języka siedmiolatek przepchnął się przed nią.

- To Hulk, prawda? - powiedział. - To naprawdę Hulk. Hej? Hej! No? Zgadza się?

Wilk zdołał wydostać z tekturowego pojemnika resztkę whoppera i wepchnął wszystko naraz dłonią w usta. Kawałki sałaty spadły między jego uniesione kolana, wysmarował sobie majonezem i sosem do mięsa podbródek i policzki. Wszystko inne zostało zmiażdżone na śmierć i zamieniło się między jego wielkimi zębiskami w brązową breję. Przełknął, po czym zaczął wylizywać wnętrze pudełka. Jack wyjął mu je delikatnie z rąk.

- Nie, to tylko mój kuzyn. Nie jest potworem ani Hulkiem. Może tak pójdziecie i zostawicie nas samych, co, dzieciaki? No, idźcie. Zostawcie nas samych. - Nadal gapiły się na Wilka, który zabrał się do oblizywania palców. - Jeżeli będziecie się dalej tak na niego gapić, to może się wściec, a wtedy sam nie wiem, co zrobi.

Chłopiec z językiem widział transformację Davida Bannera wystarczająco często, żeby mieć pojęcie, co może oznaczać gniew u mięsożercy z Burger Kinga. Cofnął się; większość dzieci poszła za jego przykładem.

- No, idźcie, proszę - rzekł Jack, lecz dzieci znów znieruchomiały.

Wilk dźwignął się jak góra z zaciśniętymi pięściami.

- NIE PATRZCIE SIĘ NA MNIE, NIECH WAS BÓG PRYZGWOŹDZI! - ryknął. NIE RÓBCIE TAK, ŻEBYM CZUŁ SIĘ DZIWNIE! KAŻDY TU SPRAWIA, ŻE CZUJĘ SIĘ DZIWNIE!

Dzieci się rozpierzchły. Wilk stał i patrzył, jak uciekają ulicą Główną i znikają za rogiem. Gdy wreszcie ich nie było, założył ręce na piersi i rzucił ukradkiem spojrzenie na Jacka. Był wyraźnie przygnębiony z powodu swojego wybuchu.

- Wilk nie powinien krzyczeć - powiedział. - To tylko maluchy.

- Przyda im się, jak ktoś porządnie ich nastraszy - rozległ się głos. Jack ujrzał, że młody mężczyzna z czerwonego pick-upa nadal opiera się o maskę i uśmiecha. - Sam jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. Kuzyni, tak? - Jack podejrzliwie kiwnął głową. - Ej, nie chciałem wtrącać się w wasze prywatne sprawy ani nic takiego. - Kierowca zrobił krok naprzód; był to ciemnowłosa, młody mężczyzna w pikowanej kurtce bez rękawów i tkanej koszuli, zachowywał się spokojnie. - Zwłaszcza nie chcę sprawić, żeby ktoś tu poczuł się

dziwnie, rozumiecie. - Urwał i podniósł ręce, wystawiając przed siebie dłonie. - Naprawdę. Po prostu pomyślałem, że obydwaj wyglądacie, jakbyście jakiś czas byli w drodze. - Jack obejrzał się na Wilka, który wciąż obejmował się z zawstyżeniem rękami, ale również spoza okrągłych okularów wpatrywał się niechętnie w tego człowieka. - Sam przez to przeszedłem - dodał mężczyzna. - Ech, tego roku, kiedy skończyłem starą dobrą DHS - gimnazjum w Daleville, kapujecie - wybrałem się stopem aż do północnej Kalifornii i z powrotem. Tak czy siak, jeśli jedziecie na zachód, to mogę was podrzucić.

- Nie mogę, Jacky - powiedział Wilk grzmiącym, scenicznym szeptem.

- Jak daleko na zachód? - zapytał Jack. - Chcemy dotrzeć do Springfield. Mam tam przyjaciela.

- Hej, no proobleema, seenyor. - Mężczyzna ponownie uniósł ręce. - Jadę prawie do samego Cayuga, tuż koło granicy Illinois. Dacie mi wtrząchnąć burgera, to zaraz spadamy. Prosto jak w mordę strzelił. Półtorej godziny, może niecałe - i będziecie mniej więcej w połowie drogi do Springfield.

- Nie mogę - wychrypiał znowu Wilk.

- Jest tylko jeden problem, kapujecie? Mam trochę towaru na przednim siedzeniu, więc jeden z was będzie musiał jechać z tyłu. Trochę go przedmucha.

- Nawet pan nie wie, jak to wspaniale - odparł Jack szczerze. - Będziemy czekać, aż pan wróci. - Wilk zaczął dreptać ze wzburzenia. - Naprawdę będziemy czekać, proszę pana. I dziękujemy.

Odwrócił się i zaczął szeptać Wilkowi do ucha, gdy tylko mężczyzna zniknął za drzwiami.

I tak doszło do tego, że gdy młody mężczyzna - Bili "Buck" Thompson, tak bowiem brzmiało jego nazwisko - wrócił do pick-upa z dwoma pojemnikami z whopperami, wyglądający na uspokojonego Wilk siedział na otwartym tyle z rękami wspartymi o boczną ściankę, z otwartymi ustami i już unoszącym się nosem. Jack zajął miejsce dla pasażera w kabinie, wcisnąwszy się obok sterty pękatych plastikowych worków, zamkniętych dokładnie pistoletem tapicerskim, zaklejonych taśmą, a wreszcie - sądząc po zapachu - intensywnie spryskanych odświeżaczem powietrza. Przez przejrzyste tworzywo toreb widać było długie, przypominające liście paproci ścinki średnio zielonej barwy. Amputowane pędy porastały grupki pąków.

- Wykombinowałem, że wciąż wyglądasz na trochę głodnego - powiedział Thompson i rzucił Wilkowi kolejnego whoppera, po czym zajął miejsce dla kierowcy, po przeciwnej

stronie worków niż Jack. - Pomyślałem, że złapie go w zęby - nie żebym chciał obrazić twojego kuzyna. Proszę, bierz, on już rozprawił się ze swoim.

W ten sposób ujechali sto mil na zachód: Wilk nie posiadał się z radości, gdy powiew omiatał mu głowę, siedział niczym zahipnotyzowany szybkością i różnorodnością zapachów, jakie po drodze wychwytywały jego nozdrza, jego oczy gorzały i miały iskry oczami, rejestrował każdą zmianę nasilenia wiatru. Wiercił się na pace, wystawiając nos pod prąd powietrza.

Buck Thompson przedstawił się jako farmer. Mówił non stop, przez siedemdziesiąt pięć minut prawie nie zdejmował nogi z gazu i nie odpowiedział na ani jedno pytanie Jacka. Gdy skręcił na wąską polną drogę przed granicą miejską Cayuga i zatrzymał samochód koło zdającego się ciągnąć całymi milami pola kukurydzy, sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął wyraźnie nietypowego papierosa w białej bibułce, przypominającej chusteczkę higieniczną.

- Słyszałem, co robi z człowiekiem bimber, ale twojemu kuzynowi naprawdę odbija - powiedział i upuścił papierosa w rękę Jacka. - Niech się tym sztachnie, kiedy się podkręci, dobra? Lekarz zalecił.

Jack nieuważnie wsunął skręta do kieszeni koszuli i wysiadł z wozu.

- Dzięki, Buck! - zawołał do kierowcy.

- Człowieku, pierwszy raz widziałem, żeby ktoś tak żarł jak on - rzekł Buck. - Jak go namawiasz, żeby za tobą szedł? Wołasz "do nogi"?

Gdy tylko do Wilka dotarło, że jazda się skończyła, wyskoczył z paki.

Czerwony pick-up potoczył się dalej, zostawiając za sobą długi pióropusz kurzu.

- Zróbmy to jeszcze raz! - zawołał śpiewnie Wilk. - Jacky! Zróbmy to jeszcze raz!

- Rany, sam bym chciał - odparł Jack. - Chodź, na razie się przejdziemy. Niedługo na pewno zdołamy kogoś zatrzymać.

Myślał, że odmieniło się jego szczęście, że lada chwila on i Wilk miną granicę Illinois - a ciągle był pewien, że wszystko pójdzie gładko, gdy tylko dostanie się do Springfield, Thayer School i Richarda. Umysł Jacka pracował jednak wciąż częściowo w czasie szopy, gdzie to, co nierealne, wykrzywia i zniekształca rzeczywistość. Gdy zaczęły się dzieć złe rzeczy, potoczyły się tak szybko, że nie potrafił ich kontrolować. Minęło wiele czasu, nim Jack zobaczył Illinois, a przez ten okres znalazł się z powrotem w szopie.

Oszałamiająco szybki bieg wydarzeń, który doprowadził do trafienia obu chłopców do Sunlight Home, zaczął się dziesięć minut po tym, gdy minęli prostą, małą tablicę, informującą, że znaleźli się w Cayuga, pop. 23 568. Samego Cayuga nigdzie nie widzieli. Po prawej ciągnęły się nieskończone pola kukurydzy; po lewej ogołocona ziemia pozwalała dojrzeć zakręt, za którym droga biegła dalej prosto ku płaskiemu horyzontowi. Gdy tylko Jack zdał sobie sprawę, że pewnie będą musieli dojść aż do miasta, nim złapią kolejną okazję, na drodze pojawił się szybko zmierzający w ich stronę samochód.

- Pojadę z tyłu? - zawołał Wilk, radośnie unosząc ręce nad głowę. - Wilk pojedzie z tyłu! Właśnie tu i teraz!

- Samochód jedzie w złą stronę - odrzekł Jack. - Uspokój się i pozwól, żeby nas minął, Wilku. Opuść ręce albo facet pomyśli, że dajesz mu znaki.

Wilk niechętnie posłuchał. Samochód dotarł niemal do zakrętu na drodze, za którym wiodła ona prosto w ich stronę.

- Nie pojadę z tyłu? - zapytał Wilk, krzywiąc się niemal jak dziecko.

Jack pokręcił głową. Zapatrzył się na owalne godło, wymalowane na zakurzonych drzwiach wozu. Okręgowa Komisja Parków, mogłoby głosić, albo Stanowa Rada Ochrony Dzikich Zwierząt. Mogło być to wszystko, od samochodu pracownika stanowej agencji rolnej po własność Departamentu Konserwacji Cayuga. Kiedy jednak samochód pokonał zakręt, Jack zdał sobie sprawę, że to radiowóz.

- To gliniarz, Wilku. Policjant. Idź dalej i zachowuj się miło i spokojnie. Nie chcemy, żeby się zatrzymał.

- A co to jest gliniarz? - Wilk zniżył głos tak, iż nabrał on jakby ciemnobrązowego odcienia; zauważył, że samochód jedzie prosto w ich stronę. - Czy gliniarz zabijają Wilków?

- Nie - odparł Jack. - Absolutnie nigdy nie zabijają Wilków. - Na nic jednak się to nie zdało; Wilk chwycił rękę Jacka w swą drżącą dłoń. - Puść mnie, proszę - powiedział błagalnie chłopiec. - Pomyśli, że coś tu śmierdzi.

Wilk opuścił dłoń.

Podczas gdy radiowóz zbliżał się ku nim, Jack popatrzył na sylwetkę za kierownicą, a następnie odwrócił się i czekał, aż Wilk wyprzedzi go o kilka kroków, by móc go obserwować. Nie zobaczył nic zachęcającego. Prowadzący wóz policjant miał szeroką, ciastowatą twarz, świadczącą o upodobaniu do tyranizowania. Przebarwione zwały tłuszczu tłoczyły się w miejscu, gdzie niegdyś były policzki. Na twarzy Wilka malowała się natomiast zgroza. Wytrzeszczał oczy, marszczył nos i szczyrzył zęby.

- Naprawdę podobała ci się jazda na tyle tamtej ciężarówki, prawda? - spytał go Jack.

Zgroza Wilka częściowo ustąpiła; zdołał się niemal uśmiechnąć. Radiowóz przejechał obok nich z wyciem silnika. Jack zdał sobie sprawę, że kierowca obraca głowę, by się im przyjrzeć.

- No dobrze - powiedział. - Jedzie dalej. Wyszliśmy cało, Wilku.

Odwrócił się z powrotem do przodu, gdy dosłyszał, że odgłos silnika radiowozu ponownie narasta.

- Glinicjant wraca!

- Pewnie jedzie do Cayuga - rzekł Jack. - Odwróć się i zachowuj tak jak ja. Nie gap się na niego.

Wilk i Jack ruszyli dalej, udając, że nie zwracają uwagi na samochód, który rozmyślnie trzymał się za nimi. Wilk wydał dźwięk, stanowiący na poły wycie, na poły jęk.

Radiowóz wyjechał na środek drogi i ich wyminął. Zabłyśły światła przy uruchomieniu hamulców, wóz skręcił ukosem przed chłopcami. Funkcjonariusz otworzył drzwi i wystawił nogi na jezdnię. Po chwili dźwignął się z siedzenia. Był mniej więcej wzrostu Jacka; cała jego masa skupiała się w twarzy i brzuchu. Nogi miał cienkie jak patyki, a ręce i ramiona jak u normalnie rozwiniętego człowieka. Opięte brązowym mundurem brzuszysko sterczało z obu stron szerokiego brązowego pasa jak piętnastofuntowy indyk.

- Nie mogę się po prostu doczekać - odezwał się, zgiął ramię i oparł się o otwarte drzwi. - Jaką macie historyjkę? No, walcie.

Wilk doczłapał do Jacka, przygarbił ramiona i głęboko wetknął ręce w kieszenie farmerek.

- Idziemy do Springfield, proszę pana - powiedział Jack. - Łapaliśmy okazje - myślę, że pewnie nie powinniśmy.

- Myślisz, że pewnie nie powinniście. Kurza błądź. A ten, co stara się schować za ciebie, to kto, Wookie?\* [Zniekształcone "Okie" - pogardliwe określenie mieszkańca wiejskich okolic Oklahomy.]

- To mój kuzyn. - Jack zastanowił się gorączkowo przez chwilę; musiał nagiąć Historyjkę tak, by znalazło się w niej miejsce dla Wilka. - Mam zabrać go do domu. Mieszka w Springfield z cicią Helen. To znaczy, z moją cicią, która uczy w szkole. W Springfield.

- Co on nawyprawiał, nawiał skądś?

- Nie, nic podobnego. Po prostu...

Gliniarz popatrzył na niego neutralnym wzrokiem. Jego twarz zdawała się skwierczeć z żaru.

- Nazwiska.

Chłopiec miał dylemat: Wilk na pewno będzie mówił na niego Jack, bez względu na to, jakie imię poda policjantowi.

- Jestem Jack Parker - rzekł.

- A on...

- Zaczekaj. Chcę, żeby ten kretyn sam mi powiedział. No, mów, ty tam. Pamiętasz, jak się nazywasz, czubku?

Wilk zawiercił się za Jackiem i wbił podbródek w wierzch farmerek. Wymruczał coś.

- Nie słyszę się, synu.

- Wilk - wyszeptał.

- Wilk. Chyba powinienem był się sam domyślić. Jak masz na imię, a może po prostu dali ci numer?

Wilk zacisnął kurczowo powieki i splótł nogi.

- Daj spokój, Phil - powiedział Jack, myśląc, że jest to jedno z niewielu imion, jakie Wilk pewnie zapamiętał.

Ledwie wypowiedział te słowa, gdy jego towarzysz podniósł głowę, wyprostował grzbiet i wrzasnął:

- JACK! JACK! WILK! WILK!

- Czasami mówimy mu: Jack - wtrącił się chłopiec, chociaż wiedział, że już jest za późno. - To dlatego, że tak bardzo mnie lubi. Czasem tylko ja potrafię przemówić mu do rozumu. Pewnie nawet zostaną w Springfield kilka dni, kiedy dostarczę go do domu, żeby się tylko upewnić, że wszystko z nim w porządku.

- Jak słowo daję, obrzydl mi już twój głos, Jack. Może ty i stary dobry Phil-Jack wsiądziecie na tył, to pojedziemy do miasta i wszystko sobie wyjaśnimy? - Jack nawet nie drgnął. Policjant położył rękę na rękojeści olbrzymiego pistoletu, wiszącego przy jego napiętym pasie. - Wsiadać do samochodu. On pierwszy. Chcę się dowiedzieć, dlaczego jesteście sto mil od domu, chociaż trwa rok szkolny. Do samochodu, i to już.

- Ach, panie oficerze... - zaczął Jack.

- Nie. Nie mogę - zaskrzeczał Wilk za jego plecami.

- Mój kuzyn ma mały problem - kontynuował Jack. - Ma klaustrofobię. Zamknięte przestrzenie, zwłaszcza wnętrza samochodów, doprowadzają go do szału. Zatrzymujemy tylko pick-upy, bo wtedy może jechać na pace.

- Wsiadać do samochodu - powtórzył policjant.

Zrobił krok i otworzył tylne drzwi.

- NIE MOGĘ - zaskowyczał Wilk. - Wilk NIE MOŻE. Śmierdzi, Jacky, tam śmierdzi!  
Nos i warga pokryły się mu fałdkami zmarszczek.

- Wsadź go do samochodu albo ja to zrobię - ostrzegł gliniarz Jacka.

- To nie potrwa długo, Wilku - rzekł chłopiec, wyciągając do niego dłoń.

Wilk niechętnie pozwolił ująć się za rękę. Jack pociągnął go w stronę tylnego siedzenia radiowozu; Wilk dosłownie szorował stopami po nawierzchni drogi.

Przez kilka sekund wydawało się, że się uda. Wilk zbliżył się wystarczająco blisko samochodu, by dotknąć drzwi. Cały zadygotał i w tej samej chwili wczepił się rękami w karoserię nad drzwiami. Wyglądało to, jakby zamierzał rozerwać na pół dach samochodu, tak jak siłacz z cyrku rozrywa na dwie części książkę telefoniczną.

- Proszę - powiedział cicho Jack. - Tak trzeba.

Wilk był jednak przerażony i strasznie brzydziło go to, co wywęszył. Potrząsnął gwałtownie głową. Ślina ciekła mu z ust i skapywała na dach radiowozu.

Policjant wyminął Jacka i odpiął zatrask przy pasie. Chłopiec miał zaledwie czas dojrzeć, że nie był to pistolet, nim gliniarz z wprawą zdzielił pałką Wilka w podstawę czaszki. Tułów Wilka opadł na dach samochodu, a po chwili cały Wilk zsunął się z gracją na zakurzoną drogę.

- Przejdź na jego drugą stronę - rozkazał gliniarz, przypinając pałkę do pasa. - Musimy wreszcie władować tę stertę gówna do wozu.

Dwie lub trzy minuty później - po tym, jak dwukrotnie upuścili nieprzytomnego Wilka na drogę - pędzili już w stronę Cayuga.

- Wiem już, co czeka ciebie i twojego skretyniałego kuzyna - jeżeli to twój kuzyn, w co wątpię.

Policjant popatrzył na Jacka we wstecznym lusterku; jego oczy przypominały rodzyнки zmoczone w świeżej smole.

Cała krew w ciele Jacka zdawała się spłynąć żyłami w dół, serce podskoczyło mu w piersi. Przypomniał sobie papierosa w kieszeni koszuli. Klepnął w nią dłonią, po czym oderwał ją. nim policjant zdołał cokolwiek powiedzieć.

- Muszę mu włożyć z powrotem buty - powiedział. - Spadły mu po drodze.

- Daj sobie spokój - rzekł gliniarz, ale nie sprzeciwił się, gdy Jack się schylił.

Zniknąwszy z pola widzenia w lusterku, chłopiec najpierw wepchnął jedną z tenisówek z popękkanymi szwami na gołą piętę Wilka, a następnie błyskawicznie wyszarpnął skręta z kieszeni i wrzucił go sobie do ust. Rozgryził go, na język wysypały się mu suche, grudkowate bryłki o osobliwym, ziołowym smaku. Coś zadrapało go w gardle. Konwulsyjnie



poderwał się w górę. Zatkanął dłońmi usta i usiłował odkrztusić z zaciśniętymi wargami. Gdy zdołał oczyścić gardło, spieszenie przełknął resztę zwilgotniałej, obecnie dość papkowatej marihuany. Przesunął językiem po zębach, zbierając wszystkie pozostałe drobinki.

- Czeka was kilka niespodzianek - powiedział policjant. - Wreszcie trochę słońca zaświeci w waszych duszyczkach.

- Słońca w duszy? - spytał Jack, myśląc, że gliniarz zobaczył, jak wpycha skręta w usta.

- A na rękach zrobi się wam parę pęcherzy - dodał policjant i popatrzył ze szczęśliwym wyrazem twarzy we wsteczne lustro na nękanego poczuciem winy Jacka.

Urząd miejski Cayuga stanowił pograżony w cieniu labirynt nieoświetlonych korytarzy i wąskich schodów, zdających się zataczać nieoczekiwane zakręty wokół równie wąskich pokoi. W rurach burczała i zawodziła woda.

- Pozwólcie, że wam coś wyjaśnię, dzieciaki - zaczął policjant, prowadząc ich w stronę ostatniej klatki schodowej po prawej stronie. - Nie jesteście aresztowani. Kapujecie? Nie zostaliście zatrzymani w celu przesłuchania. Nie chcę słyszeć żadnego pieprzenia o prawie do telefonu. Nikt nic o was nie wie, dopóki nie powiecie, kim jesteście i o co wam chodzi - kontynuował policjant. - Słyszycie? Nikt nic o was nie wie. Nigdzie was nie ma. Nigdzie. Czeka was spotkanie z Fairchildem - to sędzia magistralny - i jeżeli nie powiecie prawdy, czekają was kurewsko poważne konsekwencje. Na górę. Ruszcie się!

U szczytu schodów gliniarz pchnął drzwi. Kobieta w średnim wieku w okularach z drucianymi oprawkami i w czarnej sukience podniosła wzrok znad ustawionej skośnie do przeciwległej ściany maszyny do pisania.

- Dwaj kolejni uciekinierzy - poinformował policjant. - Powiedz sędziemu, że tu jesteśmy.

Kobieta kiwnęła głową, podniosła słuchawkę i wykrztusiła kilka słów.

- Możecie wejść - rzekła do nich sekretarka, przenosząc wzrok z Jacka na Wilka i z powrotem.

Gliniarz przepchnął ich przez przedpokój i otworzył drzwi do dwukrotnie większej sali. Jedna ściana zastawiona była półkami z książkami, na drugiej wisiały oprawione w ramki fotografie i dyplomy. W dużych oknach po przeciwnej stronie spuszczone żaluzje. Wysoki, chudy jak szczapa mężczyzna w ciemnym garniturze, pomiętej białej koszuli i wąskim krawacie bez żadnego określonego wzoru wstał zza wyszczerbionego drewnianego biurka długości co najmniej sześciu stóp. Twarz mężczyzny stanowiła mapę zmarszczek, a jego

włosy były tak czarne, że na pewno ufarbowane. W powietrzu wisiał wyraźny, zatęchły dym papierosów.

- No, co my tu mamy, Franky? - zapytał zdumiewająco głębokim, niemal teatralnym głosem.

- Dzieciaki, które zgarnąłem na French Lick Road niedaleko domu Thompsona.

Zmarszczki sędziego Fairchilda wygięły się w uśmiech, gdy popatrzył na Jacka.

- Masz przy sobie jakieś dokumenty, synu?

- Nie, proszę pana - odparł Jack.

- Powiedziałaś oficerowi Williamsowi całą prawdę? Pewnie tak nie uważa, skoro się tu znaleźliście.

- Całą prawdę, proszę pana - rzekł Jack.

- W takim razie opowiedz mi swoją historyjkę.

Sędzia okrążył biurko, wzbudzając warstwy dymu tuż nad swoją głową. Częściowo usiadł, częściowo oparł się o róg najbliższy Jacka. Zmrużył powieki i przypalił papierosa. Jack dojrzał wpatrując się w niego przez dym zapadnięte, blade oczy sędziego i zrozumiał, że nie ma co spodziewać się miłosierdzia.

Znów trafił w dzbanecznik.

Zaczerpnął głęboko tchu.

- Nazywam się Jack Parker. To mój kuzyn, on też ma na imię Jack. Jack Wilk. Tak naprawdę ma na imię Phil. Mieszkał jakiś czas z nami w Daleville, bo jego tata umarł, a mama zachorowała. Zabierałem go właśnie z powrotem do Springfield.

- Upośledzony na umyśle, co?

- Trochę ocięzwały - odparł Jack i popatrzył na Wilka; jego przyjaciel wydawał się ledwie przytomny.

- Jak się nazywa twoja matka? - spytał sędzia Wilka.

Wilk nie zareagował w żaden sposób. Zaciskał mocno oczy i trzymał wciśnięte w kieszenie ręce.

- Nazywa się Helen - powiedział Jack. - Helen Vaughan.

Sędzia odsunął się i podszedł powoli do Jacka.

- Piłeś, synu? Trochę się zataczasz.

- Nie.

Sędzia Fairchild zbliżył się na stopę od Jacka i pochylił.

- Chuchnij.

Jack otworzył usta i wypuścił powietrze z płuc.

- Nie. To nie gorzała. - Sędzia wyprostował się znowu. - Ale tylko w tej jednej sprawie powiedziałeś prawdę, nie? Próbujesz wciskać mi kit, chłopcze.

- Przepraszam, że jechaliśmy stopem - rzekł Jack, zdając sobie sprawę, że musi teraz zachować wielką ostrożność. Nie chodziło tylko o to, że od tego, co powie, zależało, czy zostaną puszczeni wolno. Miał pewne trudności z artykułowaniem słów - wszystko zdawało się dziać bardzo powoli. Jak w szopie, sekundy nie chciały zejść z metronomu. - Prawdę mówiąc, prawie nigdy nie łapiemy okazji, bo Wilk - to znaczy Jack - nie znosi przebywania w samochodzie. Nigdy więcej tego nie zrobimy. Nie zrobiliśmy nic złego, proszę pana, i to jest najprawdziwsza prawda.

- Nic nie rozumiesz, synu - powiedział sędzia i jego zapadnięte oczy o nieobecny wyrazie znowu załśniły. Jego to bawi, zrozumiał Jack. Sędzia Fairchild wrócił powoli na drugą stronę biurka. - Nie chodzi o jeżdżenie stopem. Wy dwaj, chłopcy, byliście sami na drodze. Przybywacie znikąd i zmiierzacie donikąd, łatwy cel dla kłopotów. - Głos sędziego przypominał ciemny miód. - No cóż, mamy w naszym stanie instytucję, którą uważamy za wyjątkową - przy okazji, aprobują ją i finansują władze stanu. Została zorganizowana specjalnie z myślą o chłopcach takich jak wy. Nazywa się Dom Pisma Świętego Sunlighta Gardenera Dla Zbłąkanych Chłopców. Praca pana Gardenera z młodzieńcami, którzy znaleźli się w niedoli, rzeczywiście zasługuje na miano cudownej. Wysyłaliśmy mu ciężkie przypadki, a on sprawiał, że w mig ci chłopcy na kolanach błagali Jezusa o przebaczenie. Moim zdaniem to coś wyjątkowego - prawda?

Jack przełknął. Miał wrażenie, że w ustach zaschło mu bardziej niż wtedy w szopie.

- Ee, proszę pana, musimy naprawdę szybko dotrzeć do Springfield. Wszyscy będą się martwić...

- Bardzo w to wątpię - odparł sędzia, uśmiechając się wszystkimi zmarszczkami. - Powiem wam jednak coś. Gdy tylko wy dwaj, łąziki, znajdziecie się w drodze do Domu Sunlighta, zadzwonię do Springfield, żeby dowiedzieć się o numer tej Helen... Wilk, tak? Czy też Helen Vaughan?

- Vaughan - powiedział Jack i palący rumieniec pokrył jego twarz, jakby miał gorączkę.

- Tak - rzekł sędzia. Wilk potrząsnął głową, po czym położył Jackowi rękę na ramieniu. - Dochodzisz do siebie, synu? - zapytał sędzia. - Możesz mi powiedzieć, ile masz lat?

Wilk mrugnął znowu i obejrzał się na Jacka.

- Szesnaście - powiedział Jack.

- A ty?

- Dwanaście.

- Och. Dałbym ci kilka lat więcej. Tym więcej jest powodów, żeby zadbać o pomoc dla ciebie, zanim popadniesz w naprawdę poważne kłopoty - nie przyznasz mi racji, Franky?

- Amen - rzekł policjant.

- Wróćcie tu za miesiąc, chłopcy - poinformował sędzia. - Wtedy zobaczymy, czy poprawiła się wam pamięć. Dlaczego masz tak przekrwione oczy?

- Bo mi się takie dziwne zrobiły - odrzekł Jack.

Policjant warknął. Dopiero po chwili Jack zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości był to śmiech.

- Zabierz ich, Franky - poprosił sędzia, właśnie podnoszący słuchawkę. - Za trzydzieści dni będziecie całkiem innymi chłopakami. Ręczę za to.

Gdy wychodzili po schodach z gmachu urzędu miejskiego, wybudowanego z czerwonej cegły, Jack zapytał Franky'ego Williamsa, dlaczego sędzia chciał znać ich wiek. Gliniarz zatrzymał się na najniższym stopniu i popatrzył na niego ponuro.

- Stary Sunlight zwykle bierze smarkaczy mniej więcej dwunastoletnich i wypuszcza ich, kiedy mają dziewiętnaście.

- Uśmiechnął się. - Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie słyszałeś go w radiu? Chyba on tu jest najślawniejszy. Na pewno o starym Sunlighcie Gardenerze słyszeli nawet w Daleville.

Jego zęby okazały się małymi, odbarwionymi, nierówno rozstawionymi pieńkami.

3

Dwadzieścia minut później z powrotem znaleźli się w wiejskiej okolicy.

Wilk zajął miejsce z tyłu radiowozu, zdumiewająco mało się opierając. Franky Williams wyciągnął pałkę zza pasa i zapytał:

- Chcesz znów tego popróbować, cholerny czubie? Kto wie, może od tego nabierzesz trochę rozumu.

Wilk zadrzał, zmarszczył nos, ale wsiadł z Jackiem do samochodu. Natychmiast zatkał ręką nozdrza i zaczął oddychać przez usta.

- Wydostaniemy się stamtąd, Wilku - szepnął mu Jack w ucho. - Parę dni, to wszystko, zanim się zorientujemy, jak to zrobić.

- Nie gadać! - dobiegło ich z przedniego siedzenia.

Jack czuł się dziwnie odprężony. Był pewien, że znajdą sposób ucieczki. Oparł się o plastikowe siedzenie, czując zaciśniętą na swej dłoni rękę Wilka, i zapatrzył się w przepływające za szybą pola.

- No, jest wreszcie - zawołał Franky Williams z przedniego siedzenia. - Wasz przyszły dom.

Jack ujrzał sterczące surrealistycznie spośród pól, stykające się wysokie mury z cegieł - zbyt wysokie, żeby coś przez nie zobaczyć. Mury wokół Sunlight Home były zwieńczone potrójnym rzędem drutu kolczastego oraz wpuszczonymi w cement kawałkami szkła. Radiowóz wjechał pomiędzy wyjałowione pola, chronione przez ogrodzenia z drutu, na przemian kolczastego i zwykłego.

- Mamy tu sześćdziesiąt akrów - powiedział Williams. - A wszystko ogrodzone albo murami, albo drutem - lepiej w to uwierzcie. Chłopcy sami to zrobili.

W miejscu, gdzie droga przechodziła na teren Sunlight Home, w murze znajdowała się przerwa na szeroką żelazną bramę. Gdy tylko radiowóz skręcił na podjazd, sterowana elektronicznym impulsem brama się otworzyła.

- Kamera telewizyjna - wyjaśnił policjant. - Już czekają na dwie świeże rybki.

Jack wychylił się do przodu i przyłożył twarz do szyby. Chłopcy w drelichowych kurtkach pracowali na szerokich polach po obu stronach - kopali, grabili i pchali taczki.

- Właśnie zarobiłem za was dwadzieścia dolców, zasrańcy - rzekł Williams. - Plus dwadzieścia dla sędziego Fairchilda. Może nie świetnie?

## Rozdział dwudziesty pierwszy - Dom Sunlighta

1.

Zdaniem Jacka dom prezentował się, jakby sklecono go z dziecinnych klocków - rozrastał się w przypadkowy sposób, w miarę jak potrzeba było więcej miejsca. Po chwili chłopiec zauważył, że liczne okna zabezpieczono kratami. Rozłożysty budynek natychmiast przybrał wygląd więzienia, a nie dziecięcej układanki.

Większość chłopców na polu odłożyła narzędzia, by przyjrzeć się przejeżdżającemu radiowozowi.

Franky Williams zatrzymał wóz na szerokim, zaokrąglonym końcu podjazdu. Gdy tylko zgasił silnik, z frontowych drzwi wyłoniła się wysoka postać. Przyglądała się im ze szczytu schodów, splótłszy przed sobą ręce. Pod wielką grzywą przydługich, białych włosów twarz tego człowieka wyglądała nierealistycznie młodzieńczo - jakby cyzelowane, przytłaczająco męskie rysy powstały wyłącznie lub przynajmniej w części przy asyście chirurgii plastycznej. Było to oblicze człowieka, który potrafił sprzedać wszystko, wszędzie i każdemu. Ubranie miał białe jak włosy: biały garnitur, białą koszulę i zwisający z szyi jedwabny biały szal. Gdy Jack i Wilk wysiedli, mężczyzna w bieli wyciągnął z kieszeni marynarki parę ciemnozielonych okularów przeciwsłonecznych, włożył je i przez moment badawczo przyglądał się nowo przybyłym. Następnie uśmiechnął się, przy czym na jego policzkach utworzyły się długie bruzdy. W końcu zdjął okulary i schował je do kieszeni.

- No, no - powiedział. - No, no, no. Co byśmy bez pana poczęli? - odezwał się do policjanta.

- Dzień dobry, wielebny - odrzekł Franky Williams.

- Chodzi o to, co zwykle? Czy ci dwaj śmiałkowie rzeczywiście zaangażowali się w jakąś kryminalną działalność?

- Włóczędzy - odparł gliniarz. Wsparłszy dłonie na biodrach, patrzył na Gardenera zmrużonymi oczyma, jakby raziła go cała ta biel. - Nie chcieli podać Fairchildowi prawdziwych nazwisk. Ten tu wielkolud - wskazał Wilka kciukiem - wcale nie chciał się odzywać. Musiałem mu dać w łeb, żeby w ogóle go wciągnąć do wozu.

Gardener potrząsnął głową teatralnym ruchem.

- Może ich pan podprowadzi, żeby mogli się przedstawić, a potem zajmiemy się rozmaitymi formalnościami. Czy jest jakiś powód, dla którego obydwaj wyglądają na, hm, powiedzmy, otumanionych?

- Tylko taki, że przyrznąłem wielkoludowi w łepetynę.

- Ummmmm. - Gardener zrobił krok w tył i na poziomie piersi złożył palce w piramidkę.

Gdy Williams popchnął chłopców w stronę schodów na ganek, wielebny przekrzywił głowę, przyglądając się nowo przybyłym. Jack wszedł po stopniach i ostrożnie przesunął się w bok po podeście. Franky Williams otarł czoło i z sapaniem wdrapał się za nimi. Gardener uśmiechał się słodko, ale spojrzenie jego oczu czujnie krążyło między chłopcami. Sekundę po tym, jak Jackowi rzuciło się w oczy coś twardego, zimnego i znajomego w jego spojrzeniu, wielebny znów wyszarpnął okulary z kieszeni na piersi i je nałożył. Nadal uśmiechał się słodziutko i pozornie wykwinnie, ale nawet gdy ukrył oczy, stwarzając pozory fałszywego bezpieczeństwa, Jack czuł się zmrożony tym wzrokiem - bo natknął się nań już wcześniej.

Wielebny Gardener zsunął okulary po grzbiecie nosa i popatrzył żartobliwie znad oprawek.

- Nazwiska? Nazwiska? Możecie podać nam swoje nazwiska, panowie?

- Jestem Jack - odrzekł chłopiec i urwał - nie miał ochoty powiedzieć ani słowa więcej, niż to było konieczne.

Otoczająca go rzeczywistość na moment jakby wypaczyła się i zwinęła. Miał uczucie, że coś porwało go z powrotem w Terytoria, które jednak stały się nagle złe i groźne. Powietrze wypełnił obrzydliwy dym, podskakujące płomienie i krzyki umęczonych ciał.

Potężna ręka zwarła się na jego łokciu. Zamiast ohydy i dymu, Jack poczuł woń zbyt hojnie dawkowanej, dusząco słodkiej wody kolońskiej. Para melancholijnych, szarych oczu wpatrywała się wprost w jego źrenice.

- Byłeś złym chłopcem, tak, Jacku? Byłeś bardzo złym chłopcem?

- Nie, po prostu jechaliśmy stopem i...

- Myślę, że jesteś na lekkim haju - powiedział wielebny Gardener. - Musimy dopilnować, by poświęcono ci nieco więcej uwagi, prawda? - Puścił jego łokieć, zgrabnie odsunął się w tył i z powrotem podsunął okulary. - Domyślam się, że masz jakieś nazwisko.

- Parker - rzekł Jack.

- Taaak. - Gardener ściągnął raptownie okulary z nosa, wykonał taneczny półobrót i przyjrzał się dokładnie Wilkowi. Nic w jego zachowaniu nie pozwalało się zorientować, czy uwierzył Jackowi. - Niech mnie - powiedział. - Zdrowy z ciebie okaz, nieprawdaż? Absolutnie dorodny. Z pewnością znajdziemy gdzieś tutaj użytek dla takiego wielkiego, silnego chłopca, chwała niech będzie Panu. Czy mógłbym cię prosić, byś raczył naśladować naszego pana Jacka Parkera i podał swoje nazwisko?

Jack obejrzał się z niepokojem na Wilka, który schylił głowę i oddychał ciężko. Lśniaca strużka śliny ściekała mu z ust na podbródek. Na przedzie ukradzonej bluzy z godłem Wydziału Wychowania Fizycznego znalazła się czarna smuga oleju zmieszanego z kurzem. Wilk potrząsnął głową, lecz ruch ten wydawał się pozbawiony sensu - równie dobrze mógłby oganiać się od muchy.

- Nazwisko, synu? Nazwisko? Nazwisko? Masz na imię Bill? Paul? Art? Sammy? Nie - na pewno coś wyjątkowo pospolitego. Może George?

- Wilk.

- Ach, bardzo ładnie. - Gardener rozpromienił się, spoglądając na obu chłopców. - Pan Parker i pan Wilk. Może będziemy im towarzyszyć do środka? - zwrócił się do policjanta. - I czyż to nie szczęście, że rezyduje już u nas pan Bast? Obecność pana Hectora Basta - przy okazji, jednego z naszych adiutantów - sprawia bowiem, że zapewne zdołamy ubrać pana Wilka. - Popatrzył na obu chłopców znad oprawek okularów. - W Domu Pisma Świętego wierzymy między innymi w to, iż żołnierze Pana maszerują najlepiej wtedy, gdy są odziani w mundury. Heck Bast jest niemal tak wielki jak twój kompan Wilk, młody Jacku Parkerze. Zatem zostaniecie odpowiednio ubrani i zapoznacie się z dyscypliną. Obsługa będzie doskonała. Pociuszające, prawda?

- Jack? - powiedział Wilk bardzo wątłym głosem.

- Tak?

- Boli mnie głowa, Jack. Bardzo boli.

- Boli cię główka, panie Wilk? - Wielebny Sunlight Gardener przysunął się do niego lekko tanecznym krokiem i delikatnie poklepał go po barku. Wilk szarpnął w tył ramię, na jego twarzy pojawił się odruchowy, przesadny wyraz wstrętu. Jack wiedział, że to przez wodę kolońską - ciężki, suszący odór był dla nozdrzy Wilka równie ohydny jak amoniak. - Nieistotne, synu - odezwał się Gardener, pozornie niezrażony unikami Wilka. - Pan Bast, pan Singer czy któryś inny z adiutantów się tym zajmie. Frank, wydaje mi się, że prosiłem cię, by ich zabrać do środka.

Williams zareagował, jakby ukłuto go igłą. Jego twarz nabrała rozgorączkowanego wyrazu. Wprawił w ruch swoje osobliwe cielsko i skierował się przez podest w stronę drzwi frontowych.

Sunlight Gardener mrugnął znowu do Jacka, który pomyślał, że dandysowate ożywienie stanowi dla wielebnego jedynie formę zabawy, która przysparza mu wiele uciechy: mężczyzna w bieli był w głębi duszy zimny i szalony. Z rękawa Gardenera wysunął się ciężki



złoty łańcuch i spoczął na podstawie kciuka. W uszach Jacka rozległ się świst przecinającego powietrze bicia. Dopiero teraz rozpoznał ciemnoszare oczy wielebnego.

Gardener był Dwójnikiem Osmonda.

- Do środka, panicze - powiedział wielebny, skłonił się lekko i wskazał otwarte drzwi.

2

- Przy okazji, panie Parker, czy to możliwe, że już się kiedyś spotkaliśmy? - zapytał Gardener, kiedy tylko znaleźli się wewnątrz. - Musi istnieć jakiś powód, dla którego wydaje mi się pan bardzo znajomy, nieprawdaż?

- Nie mam pojęcia - odrzekł Jack, rozglądając się uważnie po starym wnętrzu Domu Sunlighta.

Pod ścianami na dywanie koloru leśnej zieleni przycupnęły długie kanapy. W przeciwległym końcu holu ustawiono dwa masywne biurka. Zza jednego z nich popatrzył tępo na chłopców pryszczaty nastolatek, po czym przeniósł wzrok na monitor stojący przed nim, na którym telewizyjny kaznodzieja z kasety wideo wygłaszał filipikę przeciwko rock and rollowi. Chłopak przy sąsiednim biurku wyprostował się i utkwiał w Jacku agresywne spojrzenie. Był szczupły, miał czarne włosy, a jego wąska twarz wyrażała spryt i paskudny charakter. Do kieszonki białego golfu miał przyklejoną prostokątną tabliczkę z nazwiskiem: SINGER, podobną do tych, które noszą żołnierze.

- Myślę wszak, że już gdzieś się spotkaliśmy, nieprawdaż, mój chłopcze? Zapewniam cię, że musiało tak być - niczego nie zapominam. Jestem dosłownie niezdolny do zapomnienia twarzy jakiegokolwiek chłopca, którego spotkałem. Czy znalazłeś się już kiedyś w opałach, Jacku?

- Nigdy wcześniej pana nie widziałem - odparł Jack.

Po drugiej stronie holu z jednej z kanap dźwignął się otyły chłopak i stanął na baczność. Również miał biały golf z wojskową tabliczką. Jego dłonie wędrowały nerwowo od boków do pasa, do kieszeni niebieskich dżinsów i z powrotem do boków. Miał co najmniej sześć stóp trzy cale wzrostu i ważył chyba z trzysta funtów. Policzki i czoło znaczyły mu ślady po trądziku. Był to najwyraźniej Bast.

- Cóż, może przypomnę to sobie później - powiedział Sunlight Gardener. - Heck, podejź tu i pomóż obsłużyć naszych nowych gości, dobrze?

Bast z chmurnym wyrazem na twarzy pogramolił się w ich stronę. Celowo podszedł bardzo blisko Wilka, nim go ominął, nachmurzywszy się przy tym jeszcze bardziej. Gdyby

Wilk otworzył oczy, czego nie zrobił, Bast pewnie ujrzałyby w nich wyłącznie odbicie księżycowego krajobrazu swojego czoła oraz podstępnych, małych jak u niedźwiedzia ślepków, wytrzeszczonych pod zaropiałymi powiekami. Bast przeniósł wzrok na Jacka.

- Chodźta - mruknął i machnął ręką w stronę biurka.

- Zarejestruj ich, a potem zabierz do pralni po ubrania - polecił Gardener i uśmiechnął się promiennie jak chromowana stal. - Jack Parker - rzekł. - Zastanawiam się, kim naprawdę jesteś, Jacku Parkerze. Bast, dopilnuj, żeby powyjmował wszystko z kieszeni.

Bast zareagował uśmiechem.

Sunlight Gardener płynnie przeszedł przez hol w kierunku widocznie zniecierpliwionego Franky'ego Williamsa. Gładkim ruchem wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki długi skórzany portfel. Jack ujrzał, że wielebny zaczyna odliczać banknoty na dłoń policjanta.

- Uważaj, glucie - powiedział chłopak za biurkiem. Jack natychmiast odwrócił głowę w jego stronę. Chłopak bawił się ołówkiem. Uśmiezek na jego twarzy stanowił nie najlepszy kamuflaż dla tego, co rozbudzone zmysły Jacka odbierały jako wrzący w jego głębi i stale podsycany gniew. - On potrafi pisać?

- Jezu, nie sądzę - odrzekł Jack.

- W takim razie będziesz musiał zrobić to za niego. - Singer podsunął mu dwa arkusze. - Drukowanymi literami na górze, pod spodem normalny podpis. Tam gdzie krzyżyki.

Singer odchylił się na oparcie krzesła, wymownie się w nim osunął i uniósł ołówek do ust. Jack domyślał się, że sztuczki tej nauczył się od samego wielebnego Sunlighta Gardenera.

Napisał drukowanymi literami: JACK PARKER i naskrobał coś na kształt podpisu na dole strony. PHILIP JACK WILK. Kolejny gryzmoł, jeszcze bardziej odmienny od normalnego pisma Jacka.

- Od tej pory jesteście podopiecznymi stanu Indiana i będziecie nimi przez następne trzydzieści dni, chyba że zdecydujecie się zostać tu dłużej. - Singer obrócił kartki w swoją stronę. - Będziecie...

- Zdecydujemy? - spytał Jack. - Co to znaczy "zdecydujemy"?

Pod skórą policzków Singera pojawiły się łatki czerwieni. Szarpnął głową w bok i ułożył usta w coś podobnego do uśmiechu.

- Pewnie nie wiecie, że ponad sześćdziesiąt procent naszych chłopców jest tutaj dobrowolnie. Niemożliwe, ale fakt. Być może również postanowicie tu zostać. - Jack starał się, by jego twarz pozostawała bez wyrazu. Usta Singera gwałtownie drgnęły, jakby szarpnięto za tkwiący w nich haczyk. - To niezłe miejsce i jeśli kiedykolwiek usłyszysz, że je

obmawiacie, to dobiorę się wam do dupy. Jestem całkowicie pewny, że w żadnym lepszym nie byliście, i powiem wam jeszcze coś: nie macie wyboru. Musicie szanować Dom Sunlighta. Zrozumieliście? - Jack skinął głową. - A on? Też zrozumiał?

Jack przeniósł spojrzenie na Wilka, który powoli mrugał i oddychał przez usta.

- Myślę, że tak.

- Dobrze. Będziecie spali na sąsiednich pryczach. Dzień zaczyna się o piątej, od modłów w kaplicy. Do siódmej praca w polu, potem śniadanie w jadalni. Do południa z powrotem w polu, o tej porze lunch plus lektura Biblii - wszystkich to czeka, więc lepiej zacznijcie myśleć, co chcecie przeczytać. Bez rajcujących kawałków z Pieśni nad Pieśniami, chyba że chcecie dowiedzieć się, co znaczy prawdziwa dyscyplina. Po lunchu dalsza praca. - Wpił w Jacka ostre spojrzenie. - Ej, nie myśl, że pracujecie w Domu Sunlighta za darmo. W ramach umowy ze stanem każdy dostaje uczciwą stawkę godzinową, od której potrąca się koszty utrzymania - jedzenie, ubranie, elektryczność, ogrzewanie, takie rzeczy. Za każdą godzinę dopisuje się wam pięćdziesiąt centów. To znaczy, że za przepracowane przez dzień godziny dostajecie pięć dolarów - trzydzieści dolarów tygodniowo. Niedziele będziecie spędzać w Kaplicy Sunlighta z wyjątkiem godziny, kiedy występujemy na żywo w "Godzinie Ewangelii Sunlighta Gardenera". - Pąs rozpląnął się pod powierzchnią policzków Singera. Jack skinął głową, potwierdzając, że rozumie - czuł się w jakimś stopniu do tego zobowiązany. - Jeśli się sprawdzicie, a na dodatek umiecie mówić jak istoty ludzkie, czego większość i tak nie potrafi, to macie szansę załapać się do KZ - Kadry Zewnętrznej. Mamy dwie drużyny KZ. Jedna działa na ulicach, sprzedaje śpiewniki, kwiaty i broszury wielbnego Gardenera, druga dyżuruje na lotnisku. Tak czy siak, mamy trzydzieści dni, żeby was nawrócić, kupy łajna. Żebyście zrozumieli, jak brudne, parszywe, obrzydliwe i tandetne było wasze życie, zanim tu przybyliście. Od tego zaczynamy, i to już od tej chwili. - Singer wstał. Jego twarz przybrała barwę ognistego, jesiennego liścia. Delikatnie wsparł czubki palców na biurku. - Opróżnić kieszenie. Natychmiast.

- Właśnie tu i teraz - wymamrotał Wilk, jakby powtarzał rotę przysięgi.

- OPRÓŻNIĆ JE! - krzyknął Singer. - CHCĘ WIDZIEĆ WSZYSTKO, CO W NICH CHOWACIE!

Bast podszedł z tyłu do Wilka. Wielbny Gardener zdążył odprowadzić Franky'ego Williamsa do samochodu, a teraz bez żadnego wyrazu na twarzy płynnie zbliżył się do Jacka.

- Zauważyliśmy, że rzeczy osobiste zbytnio przykuwają uwagę naszych chłopców do przeszłości, a to ma destrukcyjny wpływ - mruknął mu w ucho. - Uznaliśmy, że odebranie ich jest bardzo przydatną metodą.

- OPRÓŻNIĆ KIESZENIE! - ryknął Singer, niemal nie kryjąc swojego gniewu.

Jack wyciągnął z kieszeni przypadkowe naleciałości, jakie zgromadziły się w nich przez czas w drodze. Była wśród nich czerwona chusteczka do nosa, którą żona Elberta Palamontaina dała mu, gdy zobaczyła, że wyciera nos rękawem, dwa pudełka zapalek, kilka banknotów i trochę bilonu, stanowiące cały jego majątek - łącznie sześć dolarów i czterdzieści dwa centy - oraz klucz do pokoju 407 w Alhambra Inn and Gardens. Zamknął w dłoni trzy przedmioty, które postanowił zatrzymać.

- Pewnie chcecie i mój plecak - powiedział.

- Oczywiście, ty żaloszny wypierdku! - zaniósł się krzykiem Singer. - Oczywiście, że chcemy twój obrzydliwy plecak, ale najpierw chcemy dostać to, co chowasz. Wyjmuj to - i to natychmiast.

Jack niechętnie wyjął kostkę do gitary od Speedy'ego, kulkę do zabawy i wielki krążek srebrnej dolarówki. Złożył je na rozpostartej chusteczce.

- To tylko rzeczy, które noszę ze sobą na szczęście.

- Hej, co to? - Singer porwał kostkę. - Mów, co to takiego?

- Kostka do gry na gitarze.

- Taa, pewnie. - Singer obrócił ją w palcach i powąchał. Gdyby ją przygryzł, Jack przywaliliby mu w twarz. - Kostka do gry. Wciskasz kit?

- Dostałem ją od przyjaciela - odparł Jack i nagle poczuł się tak osamotniony i wystawiony na ciosy losu, jak w najgorszych momentach wielotygodniowej wędrówki. Przypomniał sobie Śnieżkę pod centrum handlowym, kiedy ten popatrzył na niego oczyma Speedy'ego i w jakiś sposób, którego chłopiec nie pojmował, rzeczywiście był Speedym Parkerem. Którego nazwisko przybrał.

- Założę się, że ją zwędził - powiedział Singer do nikogo w szczególności i upuścił kostkę na chusteczkę obok kulki i monety. - Teraz plecak.

Gdy Jack go zdjął i podał, Singer przez kilka minut grzebał w nim z narastającym zawodem i niesmakiem. Odrazę wzbudzał w nim stan nielicznych ubrań, jakie pozostały chłopcu, natomiast frustrację - brak w plecaku jakichkolwiek narkotyków.

*Speedy, gdzie teraz jesteś?*

- Nie ma ani jednej działki - poskarżył się Singer. - Myśli pan, że mam go rozebrać i zrewidować?

Gardener pokręcił głową.

- Zobaczmy, czego uda się nam dowiedzieć od pana Wilka.

Bast jeszcze bardziej ściągnął ramiona.

- No? - rzucił Singer.

- Nie ma niczego w kieszeniach - powiedział Jack.

- Ma je OPRÓŻNIĆ! OPRÓŻNIĆ! - ryknął Singer. - WSZYSTKO NA STÓŁ!

Wilk wparł podbródek w pierś i zacisnął powieki.

- Nie masz niczego w kieszeniach, prawda? - zapytał Jack.

Wilk bardzo powoli kiwnął głową.

- Na pewno ma towar! Ten tępak ma towar - zaskrzeczał Singer. - No, wykładaj wszystko na stół, przerośnięty matołku! - Klasnął donośnie dwa razy. - Och, rany, Williams w ogóle go nie przeszukał! Ani Fairchild. Niewiarygodne, wyszli na skończonych idiotów.

Bast przystawił twarz do twarzy Wilka.

- Jeśli natychmiast nie opróżnisz kieszeni na stół, to oderwę ci głowę - warknął.

- Posłuchaj, Wilku - powiedział cicho Jack.

Wilk mruknął, po czym wyjął zwiniętą w pięść rękę z kieszeni farmerek. Pochylił się nad biurkiem, wyciągnął rękę przed siebie i otworzył dłoń. Na skórę upadły trzy drewniane zapalki i dwa małe, wypolerowane przez wodę kamyki, chropowate i pokryte barwnymi smużkami. Gdy rozwarł lewą pięść, obok nich potoczyły się dwa ładne otoczaki.

- Prochy! - Singer schwycił je w rękę.

- Nie bądź idiotą, Sonny - rzekł Gardener.

- Przez was wyszedłem na palanta - powiedział Singer niskim, lecz gwałtownym tonem, gdy wchodzili schodami na górę.

Stopnie pokrywał obskurny dywan z wzorkiem w róże. Jedyne główny hol na parterze Domu Pisma Świętego Sunlighta został udekorowany i upiększony - pozostała część była brzydka i zaniedbana. - Przyrzekam wam, że tego pożałujecie. Nikomu tutaj nie wolno robić Sonny'ego Singera w konia. Praktycznie ja tu rządzę, wy idioci. Chryste! - Przystawił rozpalone, wąskie oblicze do twarzy Jacka. - Nie ma co, wspaniała sztuczka z tym idiotą i jego kurewskimi kamykami. Minie wiele czasu, zanim się po tym pozbieracie.

- Nie wiedziałem, że ma cokolwiek w kieszeniach - powiedział Jack.

Idący krok przed chłopcem i Wilkiem Singer nagle się zatrzymał. Oczy zwężyły się mu, cała twarz ściągnęła. Jack domyślił się, co go czeka, na sekundę, nim Singer wymierzył mu palący policzek.

- Jack? - szepnął Wilk.

- Nic mi nie jest - odparł.

- Kiedy mi zaszkodzisz, odpłacę ci dwukrotnie mocniej - powiedział Singer do Jacka.  
- Kiedy mi zaszkodzisz przed wielbnym Gardenerem, odpłacę ci cztery razy mocniej, zrozumiałeś?

- No - rzekł Jack. - Chyba zrozumiałem. Podobno idziemy po jakieś ubrania?

Singer odwrócił się na pięcie i ruszył dalej. Przez sekundę Jack stał jeszcze nieruchomo i wpatrywał się w chude plecy wchodzącego na górę chłopaka. Ty też, powiedział sobie w duchu. Ty i Osmond. Jeszcze się doczekacie. Ruszył wreszcie dalej, a Wilk za nim.

W długiej, zastawionej pudłami sali Singer wiercił się niespokojnie przy drzwiach, podczas gdy wysoki chłopak z beznamiętną, pozbawioną wyrazu twarzą i zachowaniem godnym lunatyka szukał na półkach odpowiednich ubrań.

- Buty też. Masz mieć regulaminowe obuwie albo będziesz cały dzień machał łopatą - powiedział ode drzwi Singer, znacząco nie patrząc na magazyniera; znużone obrzydzenie było niewątpliwie kolejną lekcją podpatrzoną u Sunlighta Gardenera.

Chłopak wreszcie znalazł w kącie magazynu parę ciężkich, sznurowanych butów z kwadratowymi noskami - rozmiaru trzynaście. Jack włożył je Wilkowi na stopy. Singer zabrał ich jeszcze piętro wyżej - na poziom sypialni. Tu już nikt nie starał się ukrywać prawdziwej natury Domu Sunlighta. Przez całe najwyższe piętro - długości około pięćdziesięciu stóp - biegł wąski korytarz. Po obu jego stronach ciągnęły się rzędy wąskich drzwi z okienkami na wysokości twarzy. Tak zwane dormitorium wyglądało dla Jacka jak więzienie.

Singer podprowadził ich kawałek wąskim korytarzem i zatrzymał się obok jednych drzwi.

- Pierwszego dnia nikt nie pracuje. Od jutra zaczynacie według normalnego rozkładu. Właźcie więc do środka i do piątej czytajcie Biblię czy coś. Wypuszczę was przed godziną spowiedzi. Macie się przebrać w nasze ubrania, zrozumiano?

- To znaczy, że zamierzasz nas zamknąć na następne trzy godziny? - spytał Jack.

- A co, mam cię trzymać za rękę? - wybuchnął Singer i znowu poczerwieniał. - Słuchaj, jakbyś był tu za własną zgodą, to mógłbym pozwolić ci położyć i się rozejrzeć. Ponieważ jednak jesteś podopiecznym stanu, skierowanym przez miejscowy wydział policji, to jesteś tylko oczko wyżej od kryminalisty z wyrokiem. Może za trzydzieści dni zostanieie ochotnikami, jak będziecie mieli szczęście. Na razie macie tu wleźć i zacząć zachowywać się jak istoty ludzkie, stworzone na podobieństwo Boże, a nie jak zwierzęta. - Ze zniecierpliwieniem wsadził klucz w zamek, otworzył drzwi i stanął obok nich. - Włazić, bo mam robotę.

- Co się stanie z naszymi rzeczami?

- Myślisz, popaprańcu, że ktokolwiek miałby ochotę ci cokolwiek ukraść? - Singer westchnął teatralnie. Jack powstrzymał się od odpowiedzi. Singer westchnął ponownie. - No dobra. Trzymamy to wszystko dla was w teczkach z waszymi nazwiskami. W biurze wielebnego Gardenera na parterze - tam też trzymamy pieniądze do czasu, aż zostaniecie zwolnieni. Kumasz? Włażcie do środka, zanim doniosę, że jesteście nieposłuszni. Mówię poważnie.

Wilk i Jack weszli do pokoiku. Gdy Singer zatrzaskał drzwi, włączyło się automatycznie górne światło. Znaleźli się w klitce z metalową pryczą, małą umywalką w rogu, metalowym krzesłem - i niczym więcej. Na białych, pokrytych gipsowymi płytami ścianach żółknące ślady taśmy znaczyły miejsca, gdzie poprzedni mieszkańcy powiesili zdjęcia. Szczękniętą zatrzaskiwany zamek. Jack i Wilk odwrócili się i zobaczyli w małym, prostokątnym okienku naznaczoną obsesją twarz Singera.

- Macie się grzecznie zachowywać - powiedział z uśmiechem i zniknął.

- Nie, Jacky - jęknął Wilk. Sufit znajdował się najwyżej cal nad wierzchołkiem jego głowy. - Wilk nie może tu zostać.

- Lepiej usiądź - odrzekł Jack. - Chcesz spać na górze czy na dole?

- He?

- Weź dolną - a teraz usiądź. Jesteśmy w kłopotach.

- Wilk wie, Jacky. Wilk wie. To złe, złe miejsce. Nie mogę zostać.

- Dlaczego to złe miejsce? To znaczy, skąd o tym wiesz?

Wilk usiadł ciężko na dolnej pryczy, upuścił swoje nowe ubranie na podłogę i bezmyślnie podniósł pozostawione na pościeli dwie broszury i książkę. Książką była Biblia oprawiona w tworzywo sztuczne, wyglądające jak niebieska skóra. Jack popatrzył na identyczne broszury na swojej pryczy. Były zatytułowane: "Prosta droga do wiecznej łaski" i "Bóg cię kocha!".

- Wilk wie. Ty też to wiesz, Jacky. - Wilk podniósł wzrok i ściągnął nieco brwi. Następnie popatrzył na książki w dłoniach i zaczął je przekładać tak, jakby je tasował. Jack domyślał się, że jego towarzysz nigdy jeszcze nie miał książki w ręku. - Biały człowiek - powiedział Wilk tak cicho, że Jack go niemal nie dosłyszał.

- Biały człowiek?

Wilk uniósł jedną z broszur. Całą tylną stronę okładki zajmowało czarno-białe zdjęcie Sunlighta Gardenera. Wiatr wzdymał jego piękną fryzurę. Wyciągał ręce - ukochany przez Boga mąż, obdarzony wieczną łaską.

- To on - powiedział Wilk. - On zabija, Jacky. Biczami. To jedno z jego miejsc. Żaden Wilk nie powinien nigdy trafić do któregoś z jego miejsc. Ani Jack Sawyer. Nigdy. Musimy się stąd wydostać, Jacky.

- Wydostaniemy się - odparł Jack. - Obiecuję. Nie dzisiaj ani nie jutro - najpierw będziemy musieli to obmyślić. Ale niedługo.

Stopy Wilka wystawały daleko poza brzeg pryczy.

- Niedługo.

3

Niedługo, przyrzekł, Wilk zaś potrzebował tej obietnicy. Jego towarzysz był przerażony. Jack nie miał pojęcia, czy Wilk kiedykolwiek natknął się na Osmonda w Terytoriach, ale na pewno o nim słyszał. Reputacja Osmonda w tej krainie, przynajmniej pomiędzy członkami rodu Wilków, była jeszcze gorsza niż Morgana. Chociaż jednak zarówno Jack, jak i Wilk zidentyfikowali Osmonda w Sunlighcie Gardenerze, wolebny ich nie rozpoznał - co można było tłumaczyć dwojako. Albo Gardener jedynie z nimi igrał, udając ignorancję, albo był Dwójnikiem takim jak matka Jacka: postacią dogłębnie powiązaną z Terytoriami, lecz zdającą sobie z tego sprawę jedynie w najtajniejszych zakamarkach duszy.

Jeśli zaś było to prawdą - a Jack czuł, że właśnie tak jest - to wraz z Wilkiem mógł czekać na naprawdę dogodny moment do ucieczki. Mieli czas, by obserwować i poznawać sytuację.

Jack włożył nowy, drapiący strój. Czarne buciory o kwadratowych noskach zdawały się ważyć po kilka funtów i pasować na dowolną nogę. Z trudnością namówił Wilka, by przywdział uniform Domu Sunlighta, po czym obaj się położyli. Jack usłyszał, że jego towarzysz zaczyna chrapać. Po pewnym czasie sam zapadł w sen. Śniło mu się, że jego matka jest pogrążona w jakichś ciemnościach i nawołuje go, by jej pomógł... by jej pomógł.



## Rozdział dwudziesty drugi – Kazanie

1

O piątej po południu tego samego dnia na korytarzu zabręczał dzwonek elektryczny - długim, pozbawionym tonacji wyciem. Wilk poderwał się na pryczy i wyrzwał głową w metalową ramę górnego łóżka z taką siłą, że drzemiący Jack przebudził się od wstrząsu.

Dzwonek przestał hałasować po jakichś piętnastu sekundach, ale Wilk był dalej. Zatoczył się w kąt pokoju, ściskając głowę rękami.

- To złe miejsce, Jack! - krzyknął. - Złe miejsce, tu i teraz! Musimy się stąd wydostać! Musimy się stąd wydostać WŁAŚNIE TU I TERAŻ!

Rozległo się łomotanie w ścianę.

- Uciszyć tego durnia!

- Wreszcie trochę światła wleje się wam do duszy, chłopaki! - zabrzmiał rżący jak u konia, zawodzący śmiech z drugiej strony. - A ten wielgus drze się tak, że na pewno mu się to przyda!

Graniczący z krzykiem chrapliwy chichot rozległ się ponownie.

- Źle, Jack! Wilk! Na Jasona! Źle! Źle, źle...

W całym korytarzu słychać było otwierające się drzwi. Do Jacka dobiegł tupot mnóstwa stóp obutych w toporne obuwie - znak markowy Sunlight Home. Zszedł z górnej pryczy, zmuszając się do ruchu. Miał uczucie, jakby nie był pogrążony we śnie, ani naprawdę rozbudzony. Przejście przez niewielki pokój do Wilka kosztowało go tyle wysiłku, jakby musiał brnąć przez syrop klonowy.

Był bardzo zmęczony... doszczętnie wyczerpany.

- Wilku - powiedział. - Przestań, Wilku.

- Nie mogę, Jacky! - zaszlochał jego towarzysz. Wciąż ścisnął głowę, jakby się bał, że mu eksploduje.

- Musisz, Wilku. Musimy wyjść na korytarz.

- Nie mogę, Jacky - powtórzył Wilk. - To złe miejsce, same tu złe zapachy...

- Wychodź na spowiedź! - krzyknął ktoś na korytarzu; Jack domyślał się, że Heck Bast.

- Wychodź na spowiedź! - zawołał ktoś inny. Wszyscy zaczęli skandować: "Wychodź na spowiedź! Wychodź na spowiedź!". Przypominało to niesamowity doping na meczu.

- Musimy udawać, że jesteśmy spoko, jeśli mamy się stąd wydostać.

- Nie mogę, Jacky, nie mogę udawać, że jestem spoko! Źle...

Lada chwila drzwi ich celi mogły stanąć otworem. Pojawiłby się w nich Bast lub Sonny Singer... a może obydwaj. Jack i Wilk nie “wyszli na spowiedź”, czymkolwiek była. Chociaż nowi lokatorzy Sunlight Home zapewne mieli prawo do paru nawalank w okresie wstępnym, Jack uznał, że największe szansę na ucieczkę będą mieli wtedy, gdy wtopią się w tło tak dobrze, jak tylko można - i to jak najszybciej. Towarzystwo Wilka utrudniało to zadanie. Chryste, przepraszam, że cię w to wpakowałem, dryblasie, pomyślał Jack. Sytuacja jest jednak taka, jaka jest. Jeżeli nie znajdziemy się na wozie, to będziemy pod nim - dlatego jeśli będę dla ciebie surowy, to dla twojego własnego dobra... Mam nadzieję, dodał żałośnie w duchu.

- Wilku - szepnął. - Chcesz, żeby Singer znów mi przyłożył?

- Nie, Jack, nie...

- No to lepiej wyjdź ze mną na korytarz - poprosił. - Musisz pamiętać, że twoje zachowanie będzie miało wielki wpływ na to, jak Singer i ten cały Bast będą mnie traktowali. Singer przywalił mi z powodu twoich kamyków...

- Ktoś może jemu przywalić - powiedział Wilk niskim i spokojnym głosem, jednak nagle zwięziły mu się oczy i zalsnił w nich pomarańczowy blask.

Przez chwilę Jack dostrzegł błysk białych zębów między wargami swojego towarzysza - nie dlatego że się uśmiechnął, po prostu jego kły jakby nagle urosły.

- Nawet o tym nie myśl - rzekł posępnie Jack. - Pogorszylibyśmy tylko w ten sposób nasze położenie.

Wilk oderwał ręce od skroni.

- Jack, nie wiem...

- Spróbujesz? - spytał chłopiec, rzucając ponagląjące spojrzenie w stronę drzwi.

- Spróbuję - odrzekł drżącym szeptem Wilk.

W jego oczach zalsniły łzy.

2

Korytarz na piętrze powinien być zalany popołudniowym światłem, ale okazało się, że jest inaczej - jakby okna na jego końcu zasłonięte jakimś filtrem. Chłopcy mogli wyglądać - na zewnątrz, gdzie świeciło prawdziwe słońce, ale jego blask nie miał prawa dostać się do

środka. Promienie słońca zdawały się padać martwe na wąskie wewnętrzne parapety wysokich wiktoriańskich okien.

Przed dwudziestoma drzwiami - po dziesięcioro po każdej stronie - stało czterdziestu chłopców. Jack i Wilk wyszli na korytarz ze znacznym opóźnieniem, które jednak nie zostało zauważone. Singer, Bast i dwóch ich kompanów przyczepili się do kogoś innego i nie zawracali sobie głowy sprawdzaniem obecności. Ich ofiarą został mniej więcej piętnastoletni dzieciak w okularach, o zapadniętej klatce piersiowej. Stał w żalostnej imitacji postawy na baczność ze spuszczonej na czarne buty spodniami. Nie miał bielizny.

- Przestałeś już? - zapytał Singer.

- Ja...

- Zamknij się! - wrzasnął jeden z wyrostków, towarzyszących Singerowi i Bastowi. Wszyscy czterej mieli dżinsy zamiast płóciennych spodni i białe golfy. Jack wkrótce dowiedział się, że ten, który krzyknął, nazywa się Warwick. Czwartym był tłusciuch nazwiskiem Casey. - Kiedy będziemy chcieli, żebyś gadał, to cię poprosimy! - krzyczał dalej Warwick. - Dalej trzepiesz kapucyna, Morton?

Morton zadygotał i nie odpowiedział.

- ODPOWIADAJ! - ryknął Casey, pękaty chłopiec, przypominający nieco złośliwego Tweedleduma.

- Nie - szepnął Morton.

- CO? GADAJ GŁOŚNIEJ! - krzyknął Singer.

- Nie! - jęknął Morton.

- Jeśli zdołasz powstrzymać się przez tydzień, dostaniesz gacie z powrotem - powiedział Singer tonem władcy, który wyświadcza wielką łaskę niezasługującemu na to poddanemu. - Możesz podciągnąć portki, mała gnido.

Siąkający nosem Morton schylił się i podciągnął spodnie.

Chłopcy ruszyli na spowiedź i kolację.

3

Spowiedź odbywała się w wielkiej sali o gołych ścianach znajdujących się naprzeciw jadalni. Dostawały się do niej oszalałające wonie smażonej fasoli i hot dogów. Jack zobaczył, że nozdrza Wilka rytmicznie się rozchylają. Po raz pierwszy tego dnia z jego oczu zniknął drętwy wyraz i pojawiło się w nich coś na kształt zainteresowania.

Jack bardziej obawiał się “spowiedzi”, niż okazywał. Gdy leżał na górnej pryczy ze splecionymi pod głową rękami, dostrzegł w górnym rogu pokoju coś czarnego. Przez chwilę czy dwie myślał, że to jakiś martwy żuk czy pusty pancrzyk chrząszcza. Przypuszczał, że jeśli wychyli się w tę stronę, zobaczy pajęczynę, w którą wpadł owad. Istotnie, była to pluskwa - ale nie organicznego rodzaju. Był to mały, staromodnie wyglądający mikrofon, przymocowany do ściany wpuszczonym w uszko wkrętem. Z tyłu biegł przewód, znikający w nierównej dziurze w tynku. Nawet nie starano się ukryć podsłuchu. Wliczone w koszt obsługi, chłopcy. Sunlight Gardener Słyszy Lepiej.

Po wykryciu podsłuchu i obrzydliwej scenie z Mortonem na korytarzu Jack spodziewał się, że spowiedź będzie przebiegać w atmosferze gniewu, a może nawet trwogi i wrogości. Ktoś - być może Sunlight Gardener, ale raczej Sonny Singer czy Hector Bast - będzie starał się wydebić od niego przyznanie, że brał w drodze narkotyki, że włamywał się w środku nocy w różne miejsca, że napadał na trasie na ludzi, że pluł na każdy chodnik i że zabawiał się sam ze sobą po ciężkim dniu drogi. Gdyby nawet niczego takiego nie robił, przysaliby się do niego na tak długo, że i tak do wszystkiego by się przyznał. Staraliby się go złamać. Jack sądził, że wytrzymałby to, ale nie miał pewności, jak byłoby z Wilkiem.

Najbardziej niepokoiła go jednak ochota, z jaką lokatorzy Domu witali spowiedź.

Zaufana kadra - chłopcy w białych golfach - usiadła na przedzie sali. Jack obejrzał się i dostrzegł, że pozostali wpatrują się w otwarte drzwi w bezmyślnym oczekiwaniu. Sądził, że pewnie nie mogą doczekać się kolacji - pachniała piekielnie dobrze, zwłaszcza po długich tygodniach zjadanych w przelocie hamburgerów, okraszanych wielkimi dokładkami świeżego powietrza. Gdy wreszcie do środka rześko wmaszerował Sunlight Gardener, oczekiwanie na twarzach chłopców zamieniło się we wdzięczność. Najwyraźniej nie na kolację oczekiwali z takim utęsknieniem. Morton, który zaledwie kwadrans wcześniej kulił się na korytarzu na piętrze ze spuszczoneymi do kostek spodniami, wyglądał, jakby był niemal w ekstazie.

Chłopcy wstali. Wilk siedział dalej, a jego nozdrza rytmicznie się rozszerzały. Wyglądał na zdeorientowanego i wystraszonego. Jack chwycił wreszcie go za koszulę i podciągnął w górę.

- Rób to samo co oni, Wilku - mruknął.

- Siadźcie, chłopcy - powiedział z uśmiechem Gardener. - Siadajcie, proszę.

Usiedli. Gardener był ubrany w spłowiałe, niebieskie dzinsy i rozpiętą pod szyją, oślepiająco białą koszulę z jedwabiu. Popatrzył na swoich podopiecznych i uśmiechnął się niemal dobrodusznie. Większość chłopców odpowiadała mu spojrzeniami pełnymi uwielbienia. Jeden z nich - z falującymi, brązowymi włosami, schodzącymi się w klin między

głębokimi zakolami na czole, cofniętym podbródkiem i delikatnymi, małymi dłońmi tak bladymi jak porcelana z Delft wujka Tommy'ego - odwrócił się jednak w bok i zasłonił usta, ukrywając pogardliwy uśmiech. Jack poczuł przyływ otuchy. Najwidoczniej nie wszystkim poprzewracało się w głowie wskutek tego, co się tu wyprawiało... ale większości jednak - tak. Sądząc po rozgrywającej się scenie, doszczętnie się im pokićkało. Chłopaczysko z wielkimi, wystającymi zębami wpatrywał się w Sunlighta Gardenera z nabożnym podziwem.

- Pomódlmy się. Poprowadzisz nas, Heck?

Hecka nie trzeba było dłużej prosić. Modlił się szybko i mechanicznie. Przypominało to modlitwę z telefonicznego serwisu, nagrany przez dyslektyka. Heck Bast poprosił Boga o łaskę w nadchodzących dniach i tygodniach, przebaczenie grzechów i pomoc w staniu się lepszymi ludźmi, po czym wytrajkotał "TaknamdopomóżJezu-amen" i usiadł.

- Dziękuję, Heck - powiedział Gardener. Ujął w rękę krzesło bez poręczy, odwrócił je tyłem do przodu i usiadł na nim jak poganiacz bydła z westernu Johna Forda. Tego wieczoru prezentował się ze swej najbardziej czarującej strony; sterylny, samonapędzający się obłąd, jaki Jack dostrzegł w nim rano, znikł niemal całkowicie. - Wysłuchajmy tuzina spowiedzi, dobrze? Nie więcej. Poprowadzisz nas, Andy?

Miejsce Hecka zajął Warwick, mając na twarzy wyraz nedorzeczej pobożności.

- Dziękuję ci, wielebny - odezwał się, po czym popatrzył po chłopcach. - Spowiedź - rzekł. - Kto zacznie? - Rozległo się szemranie... po czym zaczęły unosić się ręce. Dwie... sześć... aż dziewięć. - Roy Owdersfelt - powiedział Warwick.

Wstał wysoki chłopiec z pryszczem na nosie wielkości nowotworu, międląc przed sobą wielkie łapska.

- Żem ukradł w zeszłym roku dziesięć dolców z portmonetki mamy! - oświadczył wysokim, krzykliwym głosem. Jedną z jego pokrytych strupami dłoni uniosła się, ulokowała na pryszczu i przygniotła go w obrzydliwy sposób. - Zabrałem je do "Wizard of Odds", rozmieniłem na dziesiątaki i grałem na wszystkich tych różnistych Pac-Manach i Laser Strike'ach, ażem je wszystkie przepuścił! Matulka odłożyła te forsy na rachunek za gaz i dlatego na jakiś czas odłączyły nam ciepło! - Roy Owdersfelt zamrugał. - A mój brat zachorował i musiał położyć się z zapaleniem płuc do szpitala w Indianapolis! Bo żem ukradł te forsy! To moja spowiedź!

Owdersfelt usiadł.

- Czy Royowi można przebaczyć? - zapytał Sunlight Gardener.

- Royowi można przebaczyć - odpowiedzieli zgodnym chórem chłopcy.

- Czy ktokolwiek spośród nas może mu przebaczyć, chłopcy?

- Nikt spośród nas.

- Kto może mu przebaczyć?

- Bóg mocą swojego jednorodzonego Syna, Jezusa.

- Pomodlisz się do Jezusa, żeby wstawił się za tobą? - zapytał Gardener Roya.

- No pewno! - zawołał Owdersfelt łamiącym się głosem i znowu ścisnął pryszcz.

Jack dostrzegł, że chłopiec płacze.

- A gdy twoja mama znowu tutaj przyjedzie, czy powiesz jej, że zdajesz sobie sprawę, iż zgrzeszyłeś w obliczu Boga przeciwko niej oraz twojemu braciszкови i że nikomu jeszcze nigdy nie było tak przykro jak tobie?

- Pewno!

Sunlight Gardener skinął głową Andy'emu Warwickowi.

- Spowiedź - powiedział Warwick.

Zanim nastąpiła szósta i spowiedź się skończyła, niemal wszyscy z wyjątkiem Jacka i Wilka podnieśli ręce w nadziei, że będą mogli wyznać zebranym jakiś grzech. Kilku opowiedziało o drobnych kradzieżach, inni - o podprowadzeniu trunku i upiciu się aż do wymiotów. Było też oczywiście wiele relacji o narkotykach.

Warwick wywoływał chłopców, lecz to od Sunlighta Gardenera wyczekiwali aprobaty, gdy tak przyznawali się i przyznawali bez końca.

Doprowadził ich do tego, że polubili swoje grzechy, pomyślał z niepokojem Jack. Kochają go, pragną jego aprobaty. Pewnie dostają ją tylko w rezultacie spowiedzi. Niektóre z tych smętnych łazęg pewnie po prostu zmyślają swoje winy.

Dochodzące z jadalni zapachy stawały się coraz silniejsze. Siedzącemu obok Jacka Wilkowi wciąż burczało wściekle w brzuchu. Podczas opowieści jednego z chłopców, jak to buchnął "Penthouse'a", żeby napatrzeć się na fotografie "wyseksowanych bab", jak to określił, Wilkowi zaburczało w żołądku tak głośno, że Jack szturchnął go łokciem.

Po ostatniej na ten wieczór spowiedzi Sunlight Gardener zmówił krótką, melodyjną modlitwę. Gdy chłopcy przechodzili do jadalni, ustawił się przy drzwiach - w nieformalnej pozycji, lecz mimo to wyglądając olśniewająco w dzinsach i białej jedwabnej koszuli. Kiedy mijali go Jack i Wilk, zacisnął rękę na nadgarstku chłopca.

- Już kiedyś się spotkaliśmy.

Przyznaj się, żądały oczy Sunlighta Gardenera. Jack czuł pragnienie, by właśnie to zrobić.

*Och, tak, istotnie się znamy. Tak mnie zbiliś pejcem, że krew lata mi się z grzbietu.*

- Nie - powiedział.

- Och, tak - odparł Gardener. - Och, tak. Już kiedyś się spotkaliśmy. W Kalifornii? W Maine? Oklahomie? Gdzie?

*Przyznaj się.*

- Nie znam pana - odrzekł Jack.

Gardener zachichotał. Jack nagle zdał sobie sprawę, że wielebny w duchu tańczy, podskakuje i strzela z pejcza.

- Tak samo powiedział Piotr, kiedy pytano go, czy zna Jezusa Chrystusa - powiedział.

- Piotr jednak skłamał. Moim zdaniem ty też kłamiesz. Może w Teksasie, Jack? W El Paso? Może w Jerozolimie w innym wcieleniu? Na Golgocie, Górze Czaszek?

- Mówię panu...

- Tak, tak, wiem, że dopiero co się poznaliśmy. - Sunlight Gardener znów zachichotał. Jack dostrzegł, że Wilk odsunął się od niego na tyle, na ile pozwalała szerokość przejścia - z powodu zapachu. Duszącej, dławiącej woni wody kolońskiej wielebnego. Podszytej odorem obłędu. - Nigdy nie zapominam twarzy, Jack. Nigdy nie zapominam twarzy ani miejsca. Przypomnę sobie, gdzie się spotkaliśmy. - Przeniósł spojrzenie na Wilka, który cicho stęknął i się odsunął, po czym ponownie popatrzył. - Życzę przyjemnej kolacji, Jack - powiedział. - Tobie też, Wilk. Od jutra zaczyna się wasze prawdziwe życie w Domu Sunlighta.

W połowie drogi do schodów przystanął i się obejrzał.

- Nigdy nie zapominam miejsca ani twarzy, Jack. Przypomnę sobie.

Boże, mam nadzieję, że nie, pomyślał zimno Jack. Przynajmniej, dopóki nie znajdę się dziesięć tysięcy mil od tego kurewskiego wie...

Coś rąbnęło weń z całą mocą. Wypadł na korytarz, obłędnie wymachując ramionami, by zachować równowagę. Wyrznął głową w gołą betonową posadzkę i ujrzał przed oczami splątany strumień gwiazd.

Gdy zdołał usiąść, zobaczył stojących nad nim, uśmiechniętych Singera i Basta. Za nimi sterczał Casey z rozpychającym biały golf brzuszyskiem. Wilk wpatrywał się w dwóch pierwszych; jego napięta postawa zaalarmowała Jacka.

- Nie, Wilku! - powiedział ostro.

Wilk opuścił ramiona.

- Nie, zabawmy się, tępaku - powiedział Hector Bast z cichym śmiechem. - Nie słuchaj go. Chodź, spróbuj mi dołożyć, jeśli masz ochotę. Zawsze lubiłem trochę rozgrzewki przed kolacją.

- Zostaw tego matola w spokoju. To tylko mięśniak - rzekł Singer, obejrzwawszy się na Wilka. Skinął głową Jackowi. - Głowa to ten tutaj. To tę głowę musimy zmienić. - Popatrzył z

góry na Jacka, wspierając na kolanach dłoń, jak dorosły, starający się zagadać ciepło do małego dziecka. - I zmienimy ją, panie Jacku Parkerze. Możesz być tego pewien.

- Odpierdzieli się, nachalny gnoju - powiedział z rozmysłem Jack.

Singer poderwał się, jakby został spoliczkowany. Na jego twarzy rozlał się rumieniec, który błyskawicznie się rozprzestrzenił na szyję. Heck Bast zrobił krok naprzód z gniewnym pomrukiem. Singer chwycił go za ramię.

- Nie teraz. - Wciąż przyglądał się Jackowi. - Potem.

Jack podniósł się z podłogi.

- Lepiej miejcie się przede mną na baczności - odezwał się spokojnie do nich obu.

Chociaż Hector Bast tylko łypnął na niego wrogo, Sonny Singer wyglądał na prawie przestraszonego. Przez chwilę miał wrażenie, że dostrzegł w twarzy Jacka Sawyera coś potężnego i onieśmielającego. Coś, czego nie było w niej dwa miesiące wcześniej, gdy o wiele młodszy chłopiec odwrócił się plecami do niewielkiego nadmorskiego miasteczka Arcadia Beach i ruszył na zachód.

4

Jackowi przyszło do głowy, że wujek Tommy zapewne scharakteryzowałby kolację - bez złośliwości - jako przykład Kuchni Z Amerykańskiej Remizy. Chłopcy siedzieli przy długich stołach. Obsługiwało ich czterech spośród nich, którzy przebrali się zaraz po spowiedzi w czyste mundury.

Po kolejnej modlitwie nastał wreszcie czas na posiłek. Wzdłuż stołów wędrowały wielkie szklane misy, pełne smażonej domowym sposobem fasoli, półmiski z parującymi, tanimi hot dogami czerwonej barwy, wazy z ćwiartkami konserwowanych ananasów, mnóstwo mleka w prostych kartonach, oznakowanych "DARY" i "KOMISJA MLECZARSKA STANU INDIANA".

Wilk jadł z ponurą koncentracją. Spuścił głowę, a w dłoni stale miał kawałek chleba, służący równocześnie do nabierania jedzenia i wycierania talerza. Na oczach Jacka pochłonał pięć hot dogów i trzy dokładki twardej jak kule karabinowe fasoli. Przypomniawszy sobie mały pokój z zamkniętym oknem, Jack poczuł obawę, że będzie potrzebował tej nocy maski przeciwgazowej. Podejrzewał, że to pewne - chociaż niewątpliwie maski nie dostanie. Z przerażeniem patrzył, jak Wilk nagarnia na talerz czwartą porcję.



Po kolacji wszyscy chłopcy wstali, ustawili się w kolejki i posprząтали ze stołów. Jack wziął naczynia, zdziesiątkowany przez Wilka bochenek chleba i dwa kartony na mleko. Miał oczy szeroko otwarte - napisy na opakowaniach podsunęły mu pomysł.

Dom Sunlighta nie był więzieniem ani poprawczakiem. Prawdopodobnie był traktowany jako szkoła z internatem lub coś w tym rodzaju i na pewno prawo wymagało, by znajdował się pod nadzorem lokalnych kuratorów i innych służb inspekcyjnych. Oko stanu Indiana na pewno najczęściej zaglądało do kuchni. Kraty w oknach na piętrze - no dobra. Ale w kuchni? Jackowi nie chciało się w to wierzyć. Wzbudziłyby to zbyt wiele pytań.

Kuchnia mogła stanowić dobrą odskocznnię do próby ucieczki, więc Jack dokładnie jej się przyjrzał.

Wyglądała bardzo podobnie do kuchni stołówki w jego kalifornijskiej szkole. Podłogę i ściany pokrywały płytki, blaty i wielkie zlewy z nierdzewnej stali. Szafki miały niemal rozmiary skrzyń na warzywa. Pod ścianą stała stara zmywarka z transporterem. Trzech chłopów pracowało przy omszałym antyku pod nadzorem mężczyzny w białym kucharskim ubraniu. Mężczyzna był wychudły, blady i obdarzony małą, szczurzą twarzą. Do wargi przykleił mu się papieros bez filtra, co zdaniem Jacka sugerowało, że może być sojusznikiem. Wątpił, by Sunlight Gardener pozwalał któremukolwiek ze swoich ludzi na palenie.

Na ścianie wisiał oprawiony w ramkę certyfikat głoszący, że ta publiczna kuchnia spełnia standardy zatwierdzone przez stan Indiana i rząd Stanów Zjednoczonych.

Poza tym w oknach z mlecznymi taflami istotnie nie było krat.

Szczurowaty facecik popatrzył na Jacka, odlepił pęta od dolnej wargi i wrzucił go do zlewu.

- Nowy narybek - ty i twój kumpel, prawda? - zapytał. - No, szybko zrobią się z was stare ryby. W Domu Sunlighta z każdego szybko się robi stara ryba, co, Sonny?

Uśmiechnął się beczelnie do Sonny'ego Singera. Nastolatek najwidoczniej nie miał pojęcia, jak sobie z czymś takim poradzić. Zrobił niepewną, zdezorientowaną minę; przez chwilę znów był dzieckiem.

- Wiesz, że nie powinieneś rozmawiać z chłopcami, Rudolph - powiedział.

- Możesz sobie wsadzić ten zakaz w dupę za każdym razem, kiedy nie zdołasz potoczyć go po ulicy czy kopnąć w powietrze, fajansiarzu - odrzekł Rudolph, omiatając Singera leniwym spojrzeniem. - Dobrze o tym wiesz, no nie?

Singer popatrzył na niego. Wargi najpierw mu zadrżały, potem zadygotały, aż musiał zacisnąć je z całej siły. Nagle się odwrócił.

- Wieczorne nabożeństwo! - krzyknął z furią. - Wieczorne nabożeństwo! No, ruszać się! Posprzątać te stoły i jazda na górę! Jesteśmy spóźnieni! Wieczorne nabożeństwo!

4

Chłopcy ruszyli tłumnie na dół po wąskich schodach, oświetlonych nagimi żarówkami w drucianych koszach. Tynk na ścianach był wilgotny, a Jackowi nie podobało się to, jak Wilk przewraca oczami.

Po korytarzu wygląd kaplicy w podziemiach był zaskakujący. Zajmowała ona większość tej kondygnacji - czyli przestrzeń znacznych rozmiarów. Urządzono ją w oszczędnym, nowoczesnym stylu. Było tu też lepsze powietrze - ani za ciepłe, ani zbyt chłodne. I świeże. Jack dosłyszał odgłos pracujących gdzieś blisko agregatów konwekcyjnych. Po obu stronach środkowego przejścia stało po pięć ławek. W przedzie znajdował się podest z mównicą. Na tle z purpurowego atlasu wisiał prosty drewniany krzyż.

Skądś dobiegał dźwięk organów.

Chłopcy zasiedli w ciszy w ławkach. Mikrofon przy mównicy zaopatrzone w wielki, profesjonalnie wyglądający tłumik. Jack gościł z matką w wielu studiach dźwiękowych. Często cierpliwie czytał książkę lub odrabiał prace domowe, podczas gdy Lily Cavanaugh nagrywała dubbing dla telewizji lub poprawiała niewyraźne dialogi z filmu. Stąd wiedział, że osłona miała zabezpieczyć mikrofon przed "przewatowaniem" przez mówiącą osobę. Pomyślał, że tak fachowy sprzęt dziwnie wygląda w kaplicy religijnego internatu dla zbłąkanych chłopców. Po obu stronach pulpitu stały dwie kamery wideo - jedna łowiła prawy profil Sunlighta Gardenera, druga lewy. Obie były tego wieczora wyłączone. Na ścianach wisiały ciężkie, purpurowe draperie. Po prawej stronie zasłaniały cały mur, po lewej jednak znajdował się szklany prostokąt. Jack dojrzał przez okienko Casey'a, zgarbionego nad wyjątkowo profesjonalnie wyglądającą konsolę. Przy prawej ręce tłuszcioch miał magnetofon szpulowy. Po chwili Casey zdjął z konsoly parę krytych słuchawek i nałożył je na uszy.

Jack podniósł wzrok i zobaczył sześć łuków z twardego drewna. Między nimi umieszczono dziurkowane płyty kompozytowe - izolację dźwiękową. Sala wyglądała jak kaplica, lecz było to w istocie profesjonalne studio radiowo-telewizyjne. Jackowi nagle przyszli do głowy telewizyjni kaznodzieje: Jimmy Swaggart. Rex Humbard, Jack Van Impe.

*Ludzie, połóżcie tylko ręce na waszych telewizorach, a będziecie UZDROWIENI!*

Jack nagle poczuł ochotę, by ryknąć ze śmiechu.

Otworzyły się małe drzwi po lewej stronie podestu i wyszedł z nich Sunlight Gardener. Ubrany był od stóp do głów na biało. Jack dostrzegł na twarzach wielu chłopców wyraz sięgający od egzaltacji po otwarte uwielbienie, ale sam znów musiał się powstrzymać od niepohamowanego śmiechu. Zbliżająca się do mównicy postać w bieli przypomniła mu serię reklamówek, które widział jako małe dziecko.

Pomyślał, że Sunlight Gardener wygląda jak Człowiek z Gład\*.[\* Czyli w zasadzie “pan Proper” (prezentował się podobnie i służył do tego samego celu - czyszczenia podłóg).]

- O co chodzi, Jack? - wyszeptał chrapliwie Wilk, odwróciwszy się w jego stronę. - Pachniesz, jakby tu było coś naprawdę śmiesznego.

Jack parsknął tak silnie w przystawioną do twarzy rękę, że wydmuchał na wszystkie palce bezbarwny śluz z nosa.

Sunlight Gardener, z promienną, świadczącą o doskonałym zdrowiu rumianą twarzą, wertował stronicę wielkiej Biblii na pulpicie, widocznie pogrążony w głębokim namyśle. Jack dostrzegł księżycowy krajobraz ponurej twarzy Hecka Basta oraz wąskie, podejrzliwe oblicze Sonny’ego Singera. Natychmiast spoważniał.

Casey wyprostował się w przeszklonej kabinie, czujnie przyglądając się Gardenerowi. Gdy wielebny uniósł przystojną twarz znad Biblii i wbił rozmarzone, półprzytomne i całkowicie szalone spojrzenie w swoją kongregację, chłopiec nacisnął przełącznik. Szpule wielkiego magnetofonu zaczęły się kręcić.

6

*Nie unos się gniewem z powodu złoczyńców*

- powiedział niskim muzykalnym, pełnym namysłu tonem Sunlight Gardener -

*ani nie zazdrość niesprawiedliwym,*

*bo znikną tak prędko jak trawa*

*i zwiędną jak świeża zieleń.*

*Miej ufność w Panu i postępuj dobrze,*

*mieszkaj w Terytoriach...*

(Jack Sawyer poczuł, że serce okrutnie podskoczyło mu w piersiach).

*...i zachowaj wierność.*

*Raduj się w Panu,*

*a On spełni pragnienia twego serca.*

*Powierz Panu swoją drogę*

*i zaufaj Mu: On sam będzie działał...*

*Zaprzeżaj gniewu i porzuć zapalczywość;*

*nie oburzaj się: to wiedzie tylko ku złemu.*

*Złoczyńcy bowiem wyginą,*

*a ufający Panu posiadą Terytoria\*.*

[\* Psalm 37 1-5, 7-9 (trochę zniekształcony).]

Sunlight Gardener zamknął Pismo Święte.

- Niech Bóg doda Swoje błogosławieństwo do lektury Jego Świętego Słowa.

Długo, bardzo długo wpatrywał się w swoje ręce. Szpule magnetofonu obracały się nadal w przeszklonej kabinie Caseya. Wielebny wreszcie uniósł głowę, a Jack usłyszał w duchu: Chyba nie "Królewskie Włości"? Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że przewróciłeś wóz pełen "Królewskich Włości", dumny koźli członku? Chyba nie chcesz mi tego powiedzieć, praaaaawdaaaaa?!

Sunlight Gardener przyjrzał się dokładnie i z powagą swojej młodej męskiej kongregacji. Miał przed sobą wpatrzone weń twarze nastolatków: okrągłe, podłużne, posiniaczone, rozpalone trądzikiem, przebiegłe, ale też otwarte, młodzieńcze i urocze.

- Co to znaczy, chłopcy? Czy rozumiecie Psalm Trzydziesty Siódmy? Czy rozumiecie tę piękną, prześliczną pieśń?

Nie, mówiły ich twarze - przebiegłe i otwarte, czyste i słodkie, pokiereszowane i pokryte wysypką. Nie za bardzo, dojechałem tylko do piątej klasy, włóczyłem się po drogach, zwiłem z domu, miałem kłopoty... powiedz... powiedz...

- Znaczy: WYLUZUJ SIĘ! - wrzasnął nagle i szokująco Gardener do mikrofonu.

Wilk szarpnął się w tył i cicho zajęczał.

- Teraz wiecie, co znaczy, prawda? Słyszeliście to określenie, chłopcy?

- No! - zawołał ktoś za plecami Jacka.

- OO-TAK! - zawtórował rozpromieniony Sunlight Gardener. - WYLUZUJ SIĘ! ZERO POTU! Dobre słowa, prawda, chłopcy? To dopiero są doooooobre słowa, OO-TAK!

- Taa!... TAA!

- Ten Psalm mówi, że nie trzeba się PRZEJMOWAĆ złoczyńcami. ZERO POTU! OO-TAK! Mówi, że nie trzeba się PRZEJMOWAĆ grzesznikami i niesprawiedliwymi. ZERO POTU! Psalm ten mówi, że jeśli będziesz SZEDŁ z Panem i MÓWIŁ jak Pan, WSZYSTKO BĘDZIE SPOKO! Zrozumieliście, chłopcy? Przychylacie ku temu rozumiejące ucho?

- Ta!

- Alleluja! - zawołał Heck Bast z nabożnym uśmiechem.

- Amen! - odpowiedział chłopak z makabrycznym zezem, którego nie mogły ukryć grube szkła okularów.

Sunlight Gardener ujął mikrofon z łatwością dowodzącą dużej wprawy, wskutek czego znów przypomniał Jackowi wykonawcę z restauracji w Las Vegas. Wielebny zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem drobionymi kroczkami. Czasami białe skórzane buty wykonywały pół kroku godne tancerza. W jednej chwili stąpał jak Dizzy Gillespie, w kolejnej jak Jerry Lee Lewis; naraz przypominał Staną Kentona, a po chwili Gene'a Vincenta - ogarnęła go gorączka dawania tańcem i śpiewem świadectwa Bóstwu.

- Nie, nie macie się czego bać! Oo, nie! Nie musicie się bać chłopaka, który chce wam pokazać album z brudnymi zdjęciami! Nie musicie się bać chłopaka, który mówi wam, że mach z jednego skręta wam nie zaszkodzi, a jak tego nie spróbujecie, to jesteście wymoczki! Oo, nie! BO GDY PAN JEST Z WAMI, MACIE IŚĆ RAZEM Z NIM, MAM RACJĘ?

- TAA!!!

OO-TAK. A KIEDY KROCZYCIE Z PANEM, TO MACIE MÓWIĆ TAK JAK ON, MAM RACJĘ?

- TAAK!

- NIE SŁYSZĘ! MAM RACJĘ?

- TAA!!! - krzyтели wszyscy; wielu w euforii kołysało się w przód i w tył.

- JEŚLI MAM RACJĘ, TO POWIEDZCIE: ALLELUJA!

- ALLELUJA!

- JEŚLI MAM RACJĘ, TO POWIEDZCIE: OO-TAAK!

OO-TAK!

Wszyscy się kołysali; Jack i Wilk nie mieli wyboru - musieli robić to samo. Jack zobaczył, że niektórzy z chłopców naprawdę płaczą.

- A teraz powiedzcie mi - rzekł Gardener, patrząc na chłopców czule - czy w Domu Sunlighta jest miejsce dla złoczyńcy? He? Jak myślicie?

- Nie, proszę pana! - zawołał chudy chłopiec z wystającymi zębami.

- Zgadza się - powiedział Sunlight Gardener, podchodząc z powrotem do podestu. Szybko i fachowo machnął mikrofonem, by odrzucić pałętający się pod nogami kabel, po czym wsunął go z powrotem w obejmę. - O to biega. Nie ma tu miejsca dla paplających kłamczuchów i czyniących niesprawiedliwość - powiedzcie: alleluja.

- Alleluja - rozległ się gromki chór głosów.

- Amen - zgodził się Sunlight Gardener. - Pan mówi - mówi to w Księdze Izajasza - że jeśli oprzesz się na Panu, otrzymasz - oo-tak! - skrzydła jak orły\*, [Księga Izajasza (40, 31).] a twoja siła będzie za dziesięciu. A ja wam powiadam, chłopcy, ŻE DOM SUNLIGHTA TO GNIAZDO ORŁÓW - POWIEDZCIE: OO-TAK!

- OO-TAK!

Nastąpiła kolejna pauza. Sunlight Gardener schwycił brzegi mównicy i skłonił głowę jak do modlitwy. Wspaniałe, białe włosy układały się na jego skroniach zdyscyplinowanymi falami. Kiedy znów się odezwał, mówił niskim, posępnym głosem. Nie podnosił głowy. Chłopcy słuchali go z zapartym tchem.

- Mamy jednak wrogów - powiedział wielebny.

Choć był to praktycznie szept, mikrofon go wychwycił i bezbłędnie przekazał. Chłopcy westchnęli - zabrzmiało to jak poszum wiatru w jesiennym listowiu.

Heck Bast rozglądał się wojowniczo, przewracając oczyma. Pryszcze gorzały mu tak głęboką czerwień, że wyglądał jak ofiara jakiejś tropikalnej gorączki. Pokaż mi tylko wroga, mówiła twarz Basta. Taa, pokaż no mi go tylko, a zobaczysz, co go czeka!

Gardener uniósł wzrok. Jego obłądne oczy wypełniły się łzami.

- Tak, mamy wrogów - powtórzył. - Stan Indiana już dwa razy próbował zamknąć mój dom. Wiecie co? Radykalni humaniści nie potrafią znieść myśli, że siedzę w Domu Sunlighta, uczę moich chłopców kochać Jezusa i ich kraj. Wściekają się z tego powodu - i wiecie co, chłopcy? Chcecie poznać głęboko ukryty, stary i mroczny sekret?

Słuchacze wychylili się naprzód, nie odrywając oczu do Sunlighta Gardenera.

- Nie tylko się przez nas wściekają - powiedział wielebny chrapliwym szeptem spiskowca. - Budzimy w nich prze-eeeeerażenie.

- Alleluja!

- Oo-tak!

- Amen!

Sunlight Gardener błyskawicznie porwał znów mikrofon i ruszył! W górę i w dół! W tył i wprzód! Chwilami stepował w dwutakcie tak gładko, jakby tańczył cakewalka rodem z

1910 roku. Głosił Słowo w rytmie bebopu, wymachiwał ręką w stronę chłopców, a potem ku niebu - gdzie Bóg pewnie przesunął swój fotel, by go lepiej słyszeć.

- Budzimy w nich przerażenie! Tak wielkie, że muszą strzelić jeszcze jeden koktajl albo jeszcze jednego skręta, albo kolejną linijkę kokainy! Budzimy w nich przerażenie, bo nawet cwani, starzy, zaprzeczający istnieniu Boga, nienawidzący Jezusa radykalni humaniści w ich rodzaju mogą wyczuć sprawiedliwość i miłość Bożą, a kiedy ją poczują, to zdają sobie sprawę, że z porów ich skóry czuć siarkę. I nie podoba im się ten zapach, o nie! Dlatego przysyłają tu jedną po drugiej inspekcje, żeby jej członkowie wpychali śmiecie pod kuchenne blaty, albo wpuszczali kilka karaluchów do mąki. Rozpuszczają ohydne pogłoski, że moi chłopcy są bici. Jesteście bici?

- NIE! - krzyknęli chłopcy z oburzeniem.

Jack z niebotycznym zdumieniem zauważył, że Morton wykrzyczał przeczenie równie entuzjastyczne jak wszyscy pozostali, chociaż na jego policzku zaczynał już tworzyć się siniec.

- Tak! Przysłali tu nawet bandę cwanych reporterów z jakiegoś przemądrzałego programu telewizyjnego tych całych radykalnych humanistów! - zawołał Sunlight Gardener z mieszaniną zdumienia i obrzydzenia. - Przyjechali tutaj i powiedzieli sobie: "No dobra, komu teraz wbijemy nóż w plecy? Zrobiliśmy to już sto pięćdziesiąt razy, jesteśmy ekspertami od szkalowania sprawiedliwych. Nie martwcie się, dajcie nam tylko parę skrętów i kilka koktajli, a potem pokażcie, do kogo mamy się zabrać". Ale ich wykiwaliśmy, prawda, chłopcy? - Zawtórowało mu grzmiące, niemal furiackie potwierdzenie. - Nie znaleźli nikogo przypasanego łańcuchem do belki w szopie, prawda? Nie znaleźli ani jednego chłopca w kaftanie bezpieczeństwa, o czym się nasłuchali w mieście od tych piekielnych ogarów z kuratorium, prawda? Nie znaleźli ani jednego chłopca z powyrywanyymi paznokciami ani ogoloną całą głową, ani niczego w tym rodzaju! Jedyne, co wyszperali, to to, że niektórzy chłopcy dostali różgą. I OWSZEM, dostali, i przysięgnę, że tak było, przed Tronem Wszechmogącego, z przypasanymi do obu ramion detektorami kłamstwa, bo w Piśmie napisane jest, że kto różgi ŻAŁUJE, NIE KOCHA syna\*.[\* Księga Przysłów(13,24)] I jeśli w to wierzycie, chłopcy, powiedzcie: alleluja!

- ALLELUJA!

- Nawet Rada Edukacji Stanu Indiana, chociaż tak bardzo pragnie się mnie pozbyć i dać wolną drogę diabłu, nawet ona musiała przyznać, że jeśli chodzi o różgę, Boże prawo i prawo stanu Indiana brzmi tak samo: NIE KOCHA syna, kto różgi ŻAŁUJE! Znaleźli tu

szczęśliwych chłopców. Znaleźli tu ZDROWYCH chłopców! Znaleźli tu chłopców, którzy chcą KROCZYĆ z Panem i MÓWIĆ jak Pan. Och, możecie powiedzieć: alleluja?

Mogli.

- Możecie powiedzieć: oo-tak!

To też mogli.

Sunlight Gardener wrócił na podest.

- Pan chroni tych, którzy go kochają. Pan nie pozwoli bandzie ćmiących trawkę, kochających komunizm radykalnych humanistów odebrać miejsca odpoczynku zmęczonym, zagubionym chłopcom. Było paru chłopców, którzy wygadywali szkaradne kłamstwa tym tak zwanym dziennikarzom - kontynuował wielebny. - Słyszałem, jak te kłamstwa powtarzano w programie telewizyjnym. Chociaż chłopcy kalający nasze gniazdo byli zbyt tchórzliwi, by pokazać na ekranie swoje twarze, poznałem - oo-tak - poznałem ich po głosach. Kiedy karmisz chłopca, kiedy tulisz go czule do piersi, gdy płacze po nocach za mamusią, to wtedy masz prawo znać jego głos. Ci chłopcy już odeszli. Bóg może im przebaczyć - mam nadzieję, że tak zrobi, oo-tak - ale Sunlight Gardener jest tylko człowiekiem.

Zwiesił głowę, by okazać, jak bardzo wstydlive jest to wyznanie. Kiedy jednak ją uniósł, oczy wciąż gorzały mu gniewem.

- Sunlight Gardener nie potrafi im przebaczyć. Dlatego Sunlight Gardener wysłał ich w dalszą drogę. Zostali wysłani do Terytoriów, ale nie zostaną tam nakarmieni; tam nawet drzewa mogą ich pożreć, jak zaczajone w mroku zwierzęta.

W kaplicy zapanowała pełna grozy cisza. Nawet Casey za szklaną taflą poblądł i nie wiedział, co ze sobą zrobić.

- W Piśmie stoi, że Bóg zesłał Kaina na wschód od Edenu, do kraju Nod. Wyrzucenie na drogę to to samo, moi chłopcy. Tutaj macie bezpieczną przystań. - Gardener powiódł po nich wzrokiem. - Jeśli jednak osłabiecie... jeśli będziecie kłamać... wtedy biada wam! Piekło czeka na osuwającego się bezwolnie w grzech tak samo, jak na chłopca czy mężczyznę, który robi to z rozmysłem. Pamiętajcie o tym, chłopcy. Pamiętajcie... Módlmy się.



Dojście do wniosku, że wypad w Terytoria to jedyny sposób ucieczki z Domu Sunlighta, zajęło Jackowi niecały tydzień. Był gotów spróbować, ale doszedł do wniosku, że zrobiłby prawie wszystko, podjął dowolne ryzyko, byle tylko uniknąć przeskoku z samego Domu.

Nie było po temu żadnej konkretnej przyczyny - jedynie podświadomy głos twierdzący, że złe miejsce tutaj po drugiej stronie na pewno jest jeszcze gorsze. Było to zapewne złe miejsce we wszystkich światach... jak zepsuty kawałek jabłka, sięgający aż do samego środka. Tak czy inaczej, Dom Sunlighta wydawał się wystarczająco okropny; Jack nie miał ochoty dowiedzieć się, jak wygląda jego odpowiednik z Terytoriów, jeśli nie zostanie zmuszony.

Mogła jednak istnieć inna droga ucieczki.

Wilk, Jack i pozostali chłopcy, którzy nie mieli dość szczęścia, by załapać się do Kadry Zewnętrznej - czyli większość - spędzali dni na tak zwanym przez weteranów Dalekim Polu. Znajdowało się półtorej mili od Domu, na skraju należących do Gardenera gruntów. Chłopcy całymi dniami wydłubywali z niego kamienie; o tej porze roku nie wchodziły w grę żadne inne prace polowe. Ostatnie plony zebrano w połowie października, lecz jak mówił wielebny każdego dnia podczas porannych modłów w kaplicy, na kamienie zawsze był urodzaj.

Co dzień rano Jack rozglądał się po Dalekim Polu, siedząc na pace jednej z dwóch rozlatujących się farmerskich ciężarówek Domu. Wilk zajmował miejsce obok niego, zawsze trzymał zwieszoną głowę, jakby miał kaca. Jesień na Środkowym Wschodzie okazała się deszczowa i Dalekie Pole zamieniło się w lepką, błotnistą breję. Przedwczoraj jeden z chłopców zaklął pod nosem i nazwał je "prawdziwym butosysem".

A gdybyśmy po prostu zaczęli biec? - zastanowił się Jack po raz czterdziesty. A gdybym tak po prostu krzyknął do Wilka "Zwiewamy!" i spróbowalibyśmy dać dyla? Dokąd? Na północ, bo rosną tam drzewa i jest kamienny mur. Tam kończy się ziemia Gardenera.

Mogło być tam ogrodzenie.

*Przelelibyśmy przez nie. Jeśli już o to chodzi, to w razie konieczności Wilk by po prostu mnie przez nie przerzucił.*

Mogło być zwieńczone drutem kolczastym.

*Przeleźlibyśmy pod spodem. Albo...*

Albo Wilk rozdarłby je gołymi rękami. Jack nie miał ochoty o tym myśleć, lecz wiedział, że Wilk jest wystarczająco silny... i zrobiłby to, gdyby chłopiec go poprosił. Wielkolud pokaleczyłby sobie ręce, ale i tak obecnie jeszcze bardziej cierpiał.

I co dalej?

Oczywiście przeskok na drugą stronę. O to chodziło. Gdyby tylko zdołali opuścić ziemię, należącą do Gardenera, mieliby realną szansę skutecznie uniknąć pogoni - podszeptował podświadomy głos.

*Ni mniej, ni więcej, tylko ucieklibyśmy na piechotę. Musimy spróbować. Lepiej niż przeskakiwać stąd, z Domu. Z...*

I nie chodziło tylko o narastające przygnębienie Wilka. Jack niemal tracił rozum, gdy myślał o Lily, która umierała pomału w New Hampshire, podczas gdy on skandował pod przymusem "alleluja".

*Spróbujemy. Z magicznym napitkiem czy bez niego. Musimy.*

Zanim jednak Jack dostatecznie przygotował się do tego duchowo, pierwszy spróbował Ferd Janklow.

Wielkie umysły myślą podobnie - możecie powiedzieć "amen"?

2

Gdy do tego doszło, wszystko potoczyło się błyskawicznie. W jednej chwili Jack słuchał zwykłego potoku cynicznych, zabawnych komentarzy Ferda Jankłowa. W następnej Ferd gnał na północ przez skąpane w półmroku pole ku kamiennemu murkowi. Do tej chwili dzień był równie posepnie zwyczajny jak każdy inny w Domu Sunlighta. Zimny i pochmurny. W powietrzu wisiał deszcz, a może nawet śnieg. Jack wyprostował się, by ulżyć obolałym plecóm i zobaczyć, czy w pobliżu nie kręci się Sonny Singer. Starszy chłopak z zapalem mu dokuczał. Dręczenie to miało przeważnie trywialny charakter. Deptał Jackowi po stopach, popychał go na schodach. Przez trzy posiłki po kolei wytrącał mu talerz z ręki - dopóki Jack nie nauczył się równocześnie przytrzymywać go przy ciele i ścisnąć tak silnie jak tonący.

Jack trochę się dziwił, dlaczego Singer nie zorganizował mu kocowy. Być może dlatego, że Sunlight Gardener osobiście zainteresował się nowym chłopcem. Jack nie chciał tak myśleć - budziło to w nim strach, ale takie wytłumaczenie miało sens. Singer hamował się, bo tak mu kazał Sunlight Gardener. Był to kolejny powód, by jak najszybciej się stąd wynieść.

Jack obejrzał się w prawo. Mniej więcej dwadzieścia jardów dalej Wilk, któremu na twarz opadały włosy, zgarniał kamienie. Bliżej stał chudy jak szczapa chłopak z wystającymi zębami - nazywał się Donald Keegan. Donny uśmiechnął się do Jacka z nabożnym szacunkiem, odsłaniając swe wielkie zębiska. Ślina pociekła z koniuszka jego wystającego języka. Jack szybko odwrócił wzrok.

Po lewej miał Ferda Janklowa - chłopca z wąskimi dłońmi jak z porcelany z Delft i głębokimi zakolami na czole. W ciągu tygodnia od uwięzienia w Domu Sunlighta Jack i Ferd zdążyli zostać dobrymi przyjaciółmi.

Ferd uśmiechnął się cynicznie.

- Donny zakochał się w tobie - powiedział.

- Odwal się - odparł nieswoim tonem Jack, czując wypełzający na policzki rumieniec.

- Założę się, że to Donny zwałiby ci, co trzeba, gdybyś mu tylko pozwolił - rzekł Ferd. - Prawda, Donny?

Donny Keegan zarżał hałaśliwie jak zardzewiałe tryby, najwyraźniej nie mając zielonego pojęcia, o co chodzi.

- Wolałbym, żebyś przestał - powiedział Jack, czując jeszcze większy niepokój.

*Donny zakochał się w tobie.*

Cholerna prawda była taka, że biedny, opóźniony w rozwoju Donny Keegan chyba rzeczywiście go pokochał... a na dodatek nie on jeden. Nie wiedzieć czemu Jackowi przypomniał się miły mężczyzna, który zaofiarował się, że podwiezie go do samego domu, a później zgodził się zostawić go przy zjeździe do kompleksu handlowego w Zaneville. On pierwszy to dostrzegł, pomyślał Jack. Cokolwiek we mnie wstąpiło, ten człowiek dostrzegł to pierwszy.

- Stałeś się tutaj bardzo popularny, Jack - rzekł Ferd. - No, myślę, że nawet stary Heck Bast obciągnąłby ci druta, gdybyś go o to poprosił.

- Chory jesteś, facet - odparł zarumieniony Jack. - To znaczy...

Ferd nagle upuścił dzwigany właśnie głaz. Wyprostował się, szybko rozejrzał się dookoła i upewnił się, że żaden z białych golfów nie patrzy w jego stronę. Odwrócił się w stronę Jacka.

- No, kochanie, to było naprawdę bardzo nudne przyjęcie, ale teraz muszę już lecieć - powiedział.

Zacmokał pod adresem Jacka, po czym na jego wąskiej, bladej twarzy pojawił się poszerzający ją promienny uśmiech. W chwilę później pędził ze wszystkich sił wielkimi, bocianymi krokami w stronę kamiennego murku na końcu Dalekiego Pola.

Udało mu się wykorzystać nieuwagę wartowników - przynajmniej do pewnego stopnia. Pedersen paplał o dziewczynach z Warwickiem i chłopakiem o końskiej twarzy, nazwiskiem Peabody - członkiem Kadry Zewnętrznej, któremu na jakiś czas powierzono obowiązki w obrębie Domu. Heck Bast dostąpił najwyższego zaszczytu towarzyszenia Sunlightowi Gardenerowi w jakiejś misji do Muncie. Ferd zdołał oddalić się spory kawałek, nim rozległ się krzyk zaskoczenia:

- Hej! Hej, ktoś nawiewa!

Jack gapił się z otwartymi ustami na Ferda, który był już sześć rzędów dalej i gnał jak szalony. Mimo przywłaszczenia jego planu, Jack poczuł przez chwilę triumfalne uniesienie. W sercu życzył drugiemu chłopcu jak najlepiej: *Uciekaj! Uciekaj, sarkastyczny sukinsynu! Uciekaj, na miłość Jasona!*

- To Ferd Janklow - zagulgotał Donny Keegan i wybuchnął donośnym, rżącym śmiechem.

3

Chłopcy jak zwykle zebrali się tego wieczora na spowiedź w świetlicy, aleją odwołano. Wszedł Andy Warwick, oznajmił o tym w szorstki, raptowny sposób, zapowiedział, że do kolacji mogą sobie urządzać godzinę "braterstwa", po czym wyszedł.

Jack pomyślał, że mimo patyny bezmózgiej autorytatywności Warwick wygląda na przestraszonego.

Ferda Janklowa nie było.

Jack rozejrzał się po sali. Przyszło mu do głowy, że jeśli tak wygląda nakazane przez Warwicka "powszechne braterstwo", to nie ma najmniejszej ochoty dowiedzieć się, jaką postać miałby "godzina ciszy". Trzydziestu dziewięciu chłopców w wieku od dziewięciu do siedemnastu lat siedziało w świetlicy, gapiło się na swoje ręce, dłubało przy strupach, posępnie obgryzało paznokcie. Wszyscy mieli takie same miny - jak narkomani na głodzie. Chcieli posłuchać wyznań; co więcej, pragnęli je składać.

Nikt nie wymówił nazwiska Janklowa, jakby chłopak o bladych dłoniach, krzywiący się w czasie kazań Sunlighta Gardenera, nigdy nie istniał.

Jack ledwie mógł się powstrzymać, by nie zerwać się na równe nogi i nie zacząć na nich krzyczeć. Za to zamyślił się tak głęboko, jak jeszcze nigdy w życiu.

*Nie ma go tutaj, bo go zabili. Wszyscy powariowali. Myślisz, że szaleństwo nie jest zaraźliwe? To tylko popatrz, co stało się tam, w Ameryce Południowej - gdzie facet w*

*lustrzankach kazał swoim ludziom pić napój z granatowych winogron, a oni mówili "tak jest, szefie" i go słuchali.*

Jack powiódł wzrokiem po przygnębionych, ściągniętych, zmęczonych, pozbawionych wyrazu twarzach i pomyślał, jak by się rozpromieniły, jak by się rozświetliły, gdyby wszedł Sunlight Gardener. Gdyby wkroczył do świetlicy tutaj i teraz.

*Zrobiliby to, gdyby Sunlight Gardener ich o to poprosił. Wypiliby, co by im kazał, a potem przytrzymałby Wilka oraz mnie i wlał nam to samo do gardel. Ferd miał rację - widzą coś na mojej twarzy lub w niej, coś, czego nabawiłem się w Terytoriach. Być może odrobinę mnie kochają... I pewnie to tak działa na Hecka Basta. Ten gbur nie przywykł do kochania kogokolwiek czy czegokolwiek. No więc tak, może trochę mnie kochają... ale Gardenera kochają o wiele bardziej. Naprawdę by to zrobili. Powariowali.*

To samo powiedziały mu Ferd. Siedzący z pozostałymi chłopcami w świetlicy Jack pomyślał, że Ferd pewnie właśnie to chciał mu przekazać.

Jack dowiedział się od niego, że do Domu Sunlighta wysłali go jego własni rodzice - odrodzeni chrześcijanie, padający na kolanach, gdy tylko ktoś w religijnym programie "The 700 Club" zaczynał recytować modlitwę. Ani ojciec, ani matka nie rozumieli Ferda, ulepionego z zupełnie innej gliny. Lękali się, że jest dzieckiem szatana - podrzutkiem komunistów i radykalnych humanistów. Gdy po raz czwarty uciekł z domu, zgarnął go nie kto inny jak tylko Franky Williams i wpakował oczywiście do Domu Sunlighta. Rodzice Ferda przyjechali tutaj i natychmiast zapalili miłością do Sunlighta Gardenera. Znaleźli wreszcie receptę na wszystkie kłopoty, jakie sprawiał im bystry, buntujący się, niesforny syn. Sunlight Gardener miał nawrócić go na ścieżkę Pana. Sunlight Gardener miał ukazać mu, jak bardzo pobłądził. Sunlight Gardener miał zdjąć go z karku rodzicom i sprawić, że zniknie z ulic Anderson.

- Przeczytali tamten artykuł o domu Sunlighta w "Home Report" - powiedział Ferd Jackowi. - Przysłali mi pocztówkę z napisem, że Bóg wrzuci kłamców i fałszywych proroków do jeziora ognia\*.[\* Apokalipsa św. Jana (19, 20).] Odpisałem im - Rudolph z kuchni przemycił mój list. Dolph to całkiem niezły gość. - Urwał. - Wiesz, jak brzmi definicja niezłego gościa według Ferda Jankłowa, Jack?

- Nie.

- To taki, który jak się go raz przekupi, pozostaje przekupiony - odparł Ferd i zaśmiał się cynicznie. - Za dwa dolce kupisz usługi pocztowe Dolpha. Napisałem im więc list, a w nim, że jeśli Bóg karze kłamców tak, jak twierdzą, to mam nadzieję, że Sunlight Gardener znajdzie sobie na tamtym świecie azbestowe kalesony, bo tak nakłamał o tym, co się tu

dzieje, aż się za nim kurzyło. Wszystko, co napisali w "Sunday Report" - pogłoski o kaftanach bezpieczeństwa i Pudle - to najprawdziwsza prawda. Och, nie mogą tego dowieść - ten facet to wariat, Jack, ale cwany wariat. Jeżeli kiedykolwiek pomyślisz, że jest inaczej, to zrobi prawdziwą krzywdę tobie, a na dodatek Nieustraszonemu Wilczkowi Philowi.

- Ci goście z "Sunday Report" zwykle są bardzo dobrzy w wyłapywaniu ludzi z łapami w korycie - rzekł Jack. - Tak przynajmniej mówi moja mama.

- Och, Gardener się spietrał. Dart się tak, że uszy puchły. Widziałeś kiedyś Humphreya Bogarta w "Buncie na okręcie"? Gardener zachowywał się w ten sposób cały tydzień przed ich przyjazdem. Kiedy wreszcie tu dotarli, ociekał słodyczą i rozsądkiem, ale tydzień wcześniej rozpętało się piekło. Pan Lodziarz robił w gacie ze strachu. Wtedy właśnie skopał Benny'ego Woodrufa ze schodów na drugim piętrze, bo złapał go z komiksem Supermana. Benny leżał jak kłoda przez trzy godziny i aż do wieczora nie wiedział dobrze, gdzie jest ani kim jest. - Ferd urwał na chwilę. - Gardener wiedział z góry o ich przyjeździe. Tak samo jak zawsze wie, kiedy inspektorzy z władz stanu przyjadą z niezapowiedzianą wizytą. Pochował na strychu kaftany bezpieczeństwa i wmawiał, że Pudło służy do suszenia siana. - Ferd znów zaśmiał się cynicznie i boleśnie. - Wiesz, co zrobili moi starzy? Wysłali Sunlightowi Gardenerowi ksero mojego listu. "Dla mojego własnego dobra", napisał mój papcio w kolejnym liście do mnie. I domyśl się, co dalej. Tym razem to Ferd wylądował w Pudle - dzięki moim staruszkom! - Znów zaśmiał się z bólem. - Powiem ci coś jeszcze. Facet nie żartował na wieczornych modłach. Wszystkie dzieciaki, z którymi rozmawiali ludzie z "Sunday Report", poznikały - przynajmniej te, do których mógł się dostać.

Tak, jak teraz zniknął Ferd, pomyślał Jack, patrząc na rozglądającego się z posępną miną po sali Wilka. Zadrzał i zdał sobie sprawę, że makabrycznie marzną mu dłonie.

*Twój przyjaciel Nieustraszony Wilczek Phil.*

Czy Wilk rzeczywiście robił się znowu bardziej włochaty? Tak szybko? Na pewno nie. Czekala go jednak Przemiana - była równie nieubłagana jak przypływ.

*A przy okazji, Jack, skoro tak tu sobie siedzimy i martwimy się, czym grozi tak tu sobie siedzenie, to co z twoją matką? Jak tam Droga Lily, Królowa Filmów klasy B? Traci na wadze? Ma bóle? Wreszcie zaczyna czuć to, co wżera się w nią drobnymi, szczerzymi ząbkami, podczas gdy ty zapuszczasz korzenie w tym popierniczonym więzieniu? Może Morgan nakręca swoją błyskawicę, żeby rak nie musiał się sam męczyć?*

Informacja o kaftanach bezpieczeństwa wstrząsnęła Jackiem. Chociaż widział Pudło - wielkie, blaszane szkaradziejstwo na dziedzińcu z tyłu Domu, przypominające niesamowitą, wyrzuconą lodówkę - nie potrafił uwierzyć, że Gardener naprawdę zamyka w nim chłopców.

Ferd go powoli przekonał, opowiadając zniżonym głosem, gdy zbierali kamienie na Dalekim Polu.

- Ma tu wspaniały układ - mówił. - Jakby dostał licencję na tłuczenie szmalu. Na całym Środkowym Zachodzie nadaje swoje religijne programy przez radio, a w prawie całej reszcie kraju w telewizji kablowej i niezależnych stacjach. Jesteśmy jego zachwyconą publicznością. Świetnie wypadamy w radiu i wspaniale wyglądamy w telewizji - to znaczy, kiedy Roy Owersfelt nie doi tego kurewskiego pryszczu na nochalu. Casey, pupilek-producent Gardenera, nagrywa na wideo wszystkie poranne modły, a na magnetofonie wszystkie wieczorne nabożeństwa w kaplicy. Klei potem obraz i dźwięk, podkreślając go tak, że Gardener wygląda jak Billy Graham\*,\*[- Bodajże najślawniejszy amerykański kaznodzieja.] a my hałasujemy jak tłum na Stadionie Jankesów podczas siódmego meczu Pucharu Świata w baseballu. To nie wszystko, czym się zajmuje Casey. To nasz domowy geniusz. Zauważyłeś pluskwę w twoim pokoju? To Casey je zmagistrował. Wszystko trafia do sterowni, a dostać się do niej można tylko przez osobisty gabinet Gardenera. Słyszałem, że Casey podłączył mu do telefonu taki gadżet, że może za friko prowadzić rozmowy międzymiastowe. Wiem na pewno, że podłączył się do kabla telewizyjnego, który biegnie przed Domem. Jak ci się podoba, że pan Lodziarz grzeje sobie tyłek w fotelu i gapi się na podwójny seans w Cinemaksie po ciężkim dniu sprzedawania Jezusa masom? Dla mnie bomba. Facet jest tak amerykański jak ażurowe dekle do kół, a w Indianie ludziska kochają go prawie tak bardzo, jak koszykówkę w gimnazjum.

Ferd wycharknął czarny śluz, skrzywił się, przekręcił głowę i splunął na ziemię.

- Żartujesz - powiedział Jack.

- Ferd Janklow nigdy nie żartuje na temat Maszerujących Matołów z Domu Sunlighta - odrzekł z przejmującą powagą. - Gardener jest cholernie bogaty. Nie musi deklarować ani grosza izbie skarbowej, a miejscowe kuratorium owinął sobie wokół palca. Śmiertelnie się go boją; jest taka kobieta, która dosłownie wyskakuje ze skóry za każdym razem, kiedy tu przyjeżdża. Patrzy na niego, jakby chciała zrobić znak przeciwko złemu urokowi czy coś takiego. Tak jak powiedziałem, zawsze wie wcześniej, kiedy ktoś z kuratorium stanowego przyjedzie na niezapowiedzianą wizytację. Sprzątamy tę budę od góry do dołu. Bast Bastard każe nam wynosić płócienne jesionki na strych, a Pudło zapełniamy sianem ze stodoły. Kiedy przyjeżdżają, zawsze siedzimy w klasie. Ile razy miałeś jakieś zajęcia szkolne od czasu, kiedy wylądowałeś w tutejszej wersji "Statku miłości" dla stanu Indiana, Jack?

- Ani razu - powiedział Jack.

- Ani razu! - zgodził się z zachwytem Ferd.

Zaśmiał się jeszcze raz cynicznym, świadczącym o poczuciu krzywdy tonem, który mówił: *Zgadnij, czego się nauczyłem, gdy skończyłem mniej więcej osiem lat? Dowiedziałem się, że życie mnie kurewsko roluje i nic się szybko nie zmieni. A może nigdy. I chociaż mnie to wnerwia, ma też swoją śmieszna stronę. Kumaszu, o co mi chodzi, kapuściana głowo?*

4

Takim właśnie torem biegły myśli Jacka, gdy nagle twarde palce wbiły się we wrażliwe na ucisk miejsca na jego karku i poderwały go z krzesła. Gdy odwrócił głowę, owionął go cuchnący oddech i dojrzał jałowy, księżycowy krajobraz twarzy Hecka Basta.

- Zanim jeszcze wyjechałem z wielebnym z Muncie, twojego pedałowatego, sprawiającego same kłopoty kumpla przywieźli do szpitala - powiedział. Palce Basta zaciskały się i rozluźniały ucisk, zaciskały się i rozluźniały. Sprawiało to Jackowi przeraźliwy ból. Jęknął, a Heck uśmiechnął się, przez co jego śmierdzący oddech stał się jeszcze dokuczliwszy. - Wielebny dowiedział się o tym przez pager. Janklow wyglądał jak tacy po trzech kwadransach w mikrofalówce. Minie sporo czasu, zanim tego chłopaka poskładają do kupy.

Heck nie mówi do mnie, pomyślał Jack. Mówi do całej sali. Mamy sobie wykombinować, że Ferd jeszcze żyje.

- Jesteś śmierdzącym kłamcą - powiedział. - Ferd nie...

Heck uderzył Jacka. Chłopiec rozciągnął się na posadzce. Inni pierzchli w popłochu na boki. Gdzieś zawył Donny Keegan.

Rozległ się ryk wściekłości. Jack podniósł z oszołomieniem głowę i potrząsnął nią, starając się odzyskać jasność myśli. Heck odwrócił się i zobaczył pochylonego nad Jackiem z troską Wilka, który ściągnął górną wargę i obnażył zęby. Światła pod sufitem dawały niesamowite, pomarańczowe odbłaski w jego okrągłych szklach.

- Aha, tępakowi zachciało się zatańczyć - powiedział Heck i zaczął się uśmiechać. - No i bardzo dobrze. Uwielbiam tańczyć. No, chodź, glucie! Chodź tutaj, to sobie zatańczymy!

Ślina ściekła Wilkowi na dolną wargę. Wciąż warcząc, ruszył do przodu. Heck wyszedł na jego spotkanie. Po linoleum zaszurały krzesła - chłopcy odsuwali je pospiesznie, by zrobić im miejsce.

- Co się tu dzie...



Był to Sonny Singer - stanął w drzwiach. Nie musiał kończyć pytania. Dostrzegł, o co chodziło. Z uśmiechem zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Przyglądał się wydarzeniom, ze skrzyżowanymi na wąskiej piersi rękami i rozpromienioną wąską, mroczną twarzą.

Jack przeniósł wzrok z powrotem na Hecka i Wilka.

- Ostrożnie, Wilku! - zawołał.

- Będę uważał, Jack - powiedział Wilk głosem niewiele donośniejszym od szeptu. - Będę uważał.

- Zatańczmy wreszcie, zasrańcu - mruknął Heck Bast.

Zamachnął się i ze świstem wymierzył hak godny wiejskiego kmiotka. Trafiony w prawy policzek Wilk zatoczył się trzy, cztery kroki do tyłu. Donny Keegan wydał z siebie wysoki, rżący śmiech; Jack zdążył się zorientować, że jest to u niego równie często dowód uciechy jak przerażenia.

Hak był potężny i dobrze wymierzony. W innych okolicznościach zapewne zakończyłby walkę. Niestety - dla Hectora Basta - był to jedyny cios, jaki zdołał zadać.

Ruszył pewnie przed siebie z uniesionymi na wysokość piersi pięściami i zamachnął się po raz drugi. Tym razem Wilk wystawił przed siebie rękę i złapał w nią dłoń Hecka.

Dłoń Hecka była duża. Ręka Wilka okazała się większa.

Pięść Hecka znikła w dłoni Wilka.

Wilk zacisnął rękę.

Rozległ się z niej dźwięk, przypominający najpierw pęknięcie, a następnie łamanie małych suchych patyczków.

Pewien siebie uśmiech Hecka najpierw zastygł na jego ustach, a następnie zamarł. W chwilę potem zaczął wrzeszczeć.

- Nie powinienes krzywdzić stada, bydłaku - wyszeptał Wilk. - Och, w twojej Biblii jest to, w twojej Biblii jest tamto, Wilk! - ale wystarczyłoby, żebyś wysłuchał sześciu wersów z Księgi Dobrej Uprawy, żeby wiedzieć, że nie wolno nigdy...

Trzask!

- ...nigdy...

Trzask!

- NIGDY krzywdzić stada.

Heck Bast osunął się na kolana, płacząc i wyjąc. Wilk wciąż ścisnął jego pięść. Z podniesioną do góry ręką Heck wyglądał jak faszysta, wykonujący na kolanach hitlerowskie pozdrowienie. Wilk trzymał rękę sztywno, ale na jego twarzy nie malował się najmniejszy wysiłek; z wyjątkiem gorejącego oczu miała niemal pogodny wyraz.

Spomiędzy jego placów zaczęła sączyć się krew.

- Przestań, Wilku! Wystarczy!

Jack obejrzał się szybko za siebie i zobaczył, że Sonny zniknął, pozostawiając otwarte drzwi. Prawie wszyscy chłopcy zerwali się z miejsc. Cofali się przed Wilkiem tak daleko, jak tylko pozwalały ściany. Na ich twarzach malował się lęk i zdumienie. Nieruchoma scena na środku sali trwała dalej: Heck Bast na kolanach, z wyciągniętą w górę ręką, z pięścią ukrytą w dłoni Wilka, spomiędzy której palców skapywała na podłogę krew.

W drzwiach zaroił się ludzie: Casey, Warwick, Sonny Singer, trzech innych zwalistych wyrostków. Oraz Sunlight Gardener, z niewielkim, czarnym pudełkiem w dłoni, przypominającym futerał na okulary.

- Powiedziałem, że wystarczy! - Jack rzucił tylko okiem na nowo przybyłych i podbiegł do Wilka. - Właśnie tu i teraz! Właśnie tu i teraz!

- Dobrze - odparł spokojnie Wilk. Puścił dłoń Hecka. Jack zobaczył coś okropnego, zmiążdżonego, przypominającego zgniecionego bąka. Palce Hecka sterczały pod przyprawiającym o mdłości kątem. Chłopak zaskowczał i ukrył zgruchotaną dłoń przy piersi.

- Dobrze, Jack.

Sześciu wyrostków dopadło Wilka. Odwrócił się do połowy, oswobodził rękę i pchnął. Warwick w jednej chwili wpadł na ścianę. Ktoś krzyknął.

- Trzymajcie go! - zawołał Gardener. - Trzymajcie go, na miłość boską!

Wielebny otworzył płaskie, czarne pudełko.

- Nie, Wilku! - krzyknął Jack. - Wystarczy!

Wilk szarpał się jeszcze przez chwilę, po czym rozluźnił się i pozwolił podepchnąć pod ścianę. Jack miał wrażenie, że patrzy na Liliputów mocujących się z Guliwerem. Mina Sonny'ego wreszcie dowodziła, że przestraszył się Wilka.

- Trzymajcie go - powtórzył Gardener, wyjmując z etui lśniąca strzykawkę. Na jego twarzy pojawił się szyderczy, niemal rozbawiony uśmiešek. - Przytrzymajcie go, chwała Jezusowi!

- To nie będzie potrzebne - odezwał się Jack.

- Jack? - Wilk obejrzał się; na jego twarzy nagle pojawił się lęk. - Jack? Jack?

Podchodząc do Wilka, Gardener potracił Jacka. Chłopiec poczuł przy tym dobrze rozwinięte, napięte jak postronki mięśnie wielebnego. Zatoczył się na Mortona, który zapiszczał i odskoczył w tył, jakby Jack był zarażony. Wilk poniewczasie zaczął się znów szarpać, ale przytrzymało go sześciu nastolatków - zbyt wielu, by zdołał sobie poradzić. Zapewne gdyby nastał czas Przemiany, byłoby inaczej.

- Jack! - zawył. - Jack! Jack!

- Przytrzymajcie go, chwała Jezusowi! - szepnął Gardener ze ściągniętymi makabrycznie wargami i wbił strzykawkę w ramię Wilka.

Wilk zeszywniał, odrzucił w tył głowę i zawył.

Zabiję cię, sukinsynu, pomyślał Jack. Zabiję cię, zabiję, zabiję...

Wilk szarpał się i rzucał. Gardener cofnął się i przyglądał się temu z lodowatym spokojem. Wilk wbił kolano w obszerne brzuszysko Caseya. Zaświstało wytłoczone z jego piersi powietrze. Nastolatek zatoczył się w tył i z powrotem przypadł do Wilka. Minutę lub dwie później Wilk zaczął się kołysać... a potem osuwać na podłogę.

Jack podniósł się, płacząc z wściekłości. Próbował rzucić się w stronę bandy białych golfów, trzymających jego przyjaciela, gdy zobaczył, że Casey wali pięścią Wilka w twarz, z którego nozdrzy zaczyna ciec krew. Jack jednak sam został przytrzymany. Przez chwilę szarpał się, potem odwrócił głowę - i zobaczył przerażone twarze chłopców, z którymi zbierał kamienie na Dalekim Polu.

- Macie go zamknąć w Pudle - powiedział Gardener, gdy pod Wilkiem wreszcie ugięły się kolana. Obejrzał się powoli na Jacka. - Chyba że... może raczej mnie pan oświecić, gdzie się wcześniej spotkaliśmy, panie Parker? - Jack wbił wzrok w swoje stopy i nie odpowiedział. Oczy paliły go od gorących łez nienawiści. - W takim razie do Pudła z nim! - dokończył Gardener. - Może zmieni pan nastawienie, kiedy pański przyjaciel zacznie dawać głos, panie Parker.

Wielebny wyszedł z sali.

5

Wilk wciąż wrzeszczał w Pudle, kiedy Jack i pozostali chłopcy zostali sprowadzeni na poranne modły. Spojrzenie Sunlighta Gardenera zdawało się zatrzymywać z ironią na poblądłej twarzy Jacka. Może teraz, panie Parker?

*Wilku, chodzi o moją matkę. Moją matkę...*

Wilk wciąż krzyczał, gdy chłopców, którzy mieli pracować w polu - w tym Jacka - podzielono na dwie grupy i wyprowadzono do ciężarówek. Kiedy mijał Pudło, musiał tłumić pragnienie, by zakryć uszy rękami. Nie był w stanie znieść pomruków i oszalałych szlochów przyjaciela.

Nagle obok niego znalazł się Sonny Singer.

- Wielebny Gardener czeka w swoim gabinecie. Przyjmie od ciebie spowiedź, i to zaraz, glucie - powiedział jedwabistym tonem, przybierając groźną minę. - Kazał ci powiedzieć, że wypuści tego tępaka z Pudła natychmiast, gdy tylko dowie się od ciebie tego, czego chce.

Wilk nadal wył, krzyczał, żeby go wypuścić, i zasypywał gradem ciosów nitowane domowym sposobem żelazne ściany Pudła.

*Ach, Wilku, chodzi o moją MATKĘ...*

- Nie potrafię mu tego powiedzieć - odparł Jack.

Odwrócił się nagle w stronę Sonny'ego, starając się emanować z maksymalną mocą tym, czym obdarzyły go Terytoria. Sonny zrobił dwa wielkie kroki do tyłu, na jego twarzy malowało się przerażenie i obłądny niepokój. Potknął się o własne stopy i zatoczył na bok jednej z podstawionych ciężarówek. Gdyby nie ona, wywaliłby się na ziemię.

- No dobra - rzekł spieszenie na wydechu, niemal zaskowyczał. - No dobra, dobra, nieważne. - Jego chuda twarz znów przybrała arogancki wyraz. - Wielebny Gardener kazał powiedzieć ci, jeżeli odmówisz, że twój przyjaciel krzyczy przez ciebie. Dotarło?

- Wiem, dlaczego krzyczy.

- Wsiadaj do ciężarówki! - powiedział ponuro mijający ich Pedersen... gdy jednak przechodził obok Sonny'ego, skrzywił się, jakby poczuł jakiś obrzydliwy zapach.

Jackowi wydawało się, że słyszy krzyki Wilka nawet wtedy, gdy ciężarówki ruszyły, chociaż ich silniki wyły przeraźliwie, a tłumiki stanowiły niewiele więcej niż kłębki żelaznych ostrużyn. Chłopiec w jakiś sposób nawiązał kontakt myślowy ze swoim przyjacielem i słyszał jego wołania nawet wtedy, gdy ekipy robocze dotarły na Dalekie Pole. Świadomość, że krzyki rozlegają się tylko w jego umyśle, w niczym nie poprawiała samopoczucia Jacka.

Mniej więcej w porze obiadu Wilk umilkł. Jack domyślił się - w jednej chwili i bez cienia wątpliwości - że Gardener kazał go wyprowadzić z Pudła, zanim krzyki i wycia przyciągną niepotrzebną uwagę. Po tym, co spotkało Ferda, na pewno nie chciał, by ktokolwiek interesował się Domem Sunlighta.

Gdy grupy chłopców wróciły późnym popołudniem z pola, drzwiczki Pudła stały otworem, a w środku nie było nikogo. Wilk leżał na dolnej pryczy w pokoiku na piętrze, który dzielił z Jackiem. Uśmiechnął się ciepło, gdy chłopiec wszedł do środka.

- Jak twoja głowa, Jack? Siniec wygląda trochę lepiej. Wilk!

- Nic ci nie jest, Wilku?

- Krzyczałem, prawda? Nic nie mogłem na to poradzić.

- Przepraszam, Wilku - powiedział Jack.

Wilk wyglądał dziwnie. Był zbyt blady, wydawało się, jakby się skurczył.

Umiera, pomyślał Jack. Nie, poprawił się w myślach. Wilk umierał od chwili, gdy przeskoczyli do tego świata, by umknąć przed Morganem. Teraz umierał jednak szybciej. Zbyt blady... skurczony... ale...

Jack poczuł, że przechodzi go dreszcz.

Gołe ręce i nogi Wilka nie były tak naprawdę gołe - pokrywało je delikatne futro. Jack był pewien, że nie było go dwie noce wcześniej.

Poczuł nieprzepartą chęć, by podskoczyć do okna i wyrzeć na zewnątrz - wypatrzeć księżyc i przekonać się, że nie umknęło mu z życiorysu około siedemnastu dni.

- To nie jest czas Przemiany, Jacky - powiedział suchym, pustym tonem Wilk, głosem inwalidy. - Zacząłem się jednak przemieniać w tym ciemnym, śmierdzącym miejscu, w którym mnie zamknęli. Wilk! Doszło do tego, bo byłem bardzo wściekły i przestraszony. Bo krzyczałem i wrzeszczałem. Krzyki i wrzaski potrafią same z siebie sprowadzić Przemianę, jeśli Wilk robi to dostatecznie długo. - Wilk przegarnął włosy na nogach. - To przejdzie.

- Gardener wyznaczył cenę za to, żeby cię wypuścić, lecz nie mogłem jej zapłacić - powiedział Jack. - Chciałem, ale... Wilku... moja matka...

Głos zaczął się mu łamać, słysząc w nim było skrywany płacz.

- Ssz, Jacky. Wilk wie. Właśnie tu i teraz.

Wilk uśmiechnął się znowu na swój straszny sposób i ujął Jacka za rękę.

## Rozdział dwudziesty czwarty - Jack wymienia planety

1

Kolejny tydzień w Domu Sunlighta, chwalcie Boga. Księżyc przybrał na wadze.

W poniedziałek uśmiechnięty Sunlight Gardener poprosił chłopców, żeby pochylili głowy i podziękowali Bogu za nawrócenie ich brata Ferdinanda Jankłowa. Oznajmił z promiennym uśmiechem, że podczas rekonwalescencji w szpitalu Parkland Ferd podjął płynącą z duszy decyzję, by stanąć po stronie Chrystusa. Ferd zadzwonił do rodziców na ich koszt i powiedział, że pragnie pozyskiwać dusze dla Pana. W czasie rozmowy międzymiastowej modlili się o przewodnictwo dla chłopca i jeszcze tego samego dnia przyjechali po niego. *Nie żyje i został pogrzebany w jakimś pokrytym szronem polu w Indianie... a może trafił do Terytoriów, gdzie nigdy nie znajdzie go stanowy patrol.*

We wtorek padał zbyt zimny deszcz, by można było wyjechać na prace w polu. Większości chłopców pozwolono zostać w pokojach i spać lub czytać. Dla Jacka i Wilka zaczęła się jednak pora szykan. W miecionym przez wiatr deszczu Wilk dźwigał jeden po drugim wory z odpadkami i śmieciami z obory i szop na pobocze drogi. Jack otrzymał rozkaz czyszczenia toalet. Domyślał się, że Warwick i Casey, którzy wydali mu to polecenie, uważali, że przydzielili mu naprawdę parszywy obowiązek. Najwyraźniej nigdy nie byli w światowej sławy męskiej toalecie w "Oatley Tap".

Kolejny, zwyczajny tydzień w Domu Sunlighta, możecie powiedzieć: oo-tak?

W środę wrócił Hector Bast z prawą ręką po łokieć w gipsie. Wielką, ciastowatą twarz miał tak bladą, że pryszcze odznaczały się na niej krzykliwie jak placki różu.

- Doktor powiedział, że może nigdy nie odzyskam w niej władzy - powiedział Bast. - Ty i twój durny kumpel będziecie musieli się nieźle tłumaczyć.

- Chcesz, żeby to samo spotkało twoją drugą rękę? - zapytał Jack.

W istocie czuł jednak lęk: w oczach Hecka dojrzał nie tylko chęć zemsty, ale i żądzę mordy.

- Nie boję się go - odrzekł Heck. - Sonny mówi, że Pudło wyciągnęło z niego prawie całą podłość. Powiedział, że twój kumpel zrobi prawie wszystko, żeby tylko nie trafić tam z powrotem. A co do ciebie...

Heck zamachnął się lewą pięścią. Posługiwał się nią jeszcze bardziej niezgrabnie niż prawą, ale wytrącony z równowagi zaciętym gniewem wyrostka Jack nie dostrzegł na czas, co

się święci. Uderzenie pod płaskim kątem rozciągnęło mu usta w makabrycznym uśmiechu; jedna z warg pękła. Chłopiec zatoczył się na ścianę.

Otworzyły się drzwi, na korytarz wyjrzał Billy Adams.

- Zamykaj te drzwi, albo sam dostaniesz dokładkę! - zawył Heck.

Adams nie miał ochoty na porcję uszkodzeń ciała i błyskawicznie go posłuchał.

Heck ruszył w stronę Jacka. Chłopiec odepchnął się chwiejnie od ściany i wznosił pięści. Heck stanął.

- Chciałbyś, nie? Bić się z kimś, kto ma sprawną tylko jedną rękę - rzucił; na twarz wypłynął mu rumieniec. Na korytarzu drugiego piętra rozległy się zbliżające się do schodów kroki. Heck popatrzył na Jacka. - To Sonny. No, idź już. Spadaj. Jeszcze cię dorwiemy, przyjacielu. Ciebie i tego matoła. Wielebny Gardener powiedział, że mamy co do was wolną rękę, chyba że powiesz mu to, czego chce się dowiedzieć. - Heck uśmiechnął się. - Zrób mi przysługę, glucie. Nie mów mu.

## 2

Jack doszedł do wniosku, że pobyt w Pudle rzeczywiście wyciągnął coś z Wilka. Minęło sześć godzin od konfrontacji z Heckiem Bastem na korytarzu. Zbliżała się pora dzwonek na spowiedź, na razie jednak Wilk spał twardo na dolnej pryczy. Na zewnątrz wiatr kołatał o mury Domu Sunlighta.

Nie chodziło o podłość; Jack zdawał sobie też sprawę, że nie był to tylko skutek nocy w Pudle. Ani nawet w Domu Sunlighta. Chodziło o cały świat. Wilk po prostu umierał z tęsknoty za domem. Stracił prawie całą swoją witalność. Rzadko się uśmiechał, głośno nie śmiał się w ogóle. Kulił się, kiedy Warwick nawrzeszczał na niego przy obiedzie, żeby nie jadł palcami.

*Musisz się pospieszyć, Jacky. Bo umieram. Wilk umiera.*

Heck Bast mówił, że nie boi się Wilka. Istotnie, było coraz mniej powodów do obaw. Wyglądało na to, że zmiżdżenie ręki Basta to ostatni pokaz siły, do którego Wilk był zdolny.

Rozległ się dzwonek na spowiedź.

Gdy tego wieczora po spowiedzi, kolacji i modłach w kaplicy Jack wrócił z Wilkiem do ich pokoju, zastali obydwu łóżka mokre i śmierdzące moczem. Jack zawrócił do drzwi, otworzył je szarpnięciem i zobaczył na korytarzu uśmiechniętych Sonny'ego, Warwicka i wielkiego osiłka Van Zandta.

- Pewnie pomyliliśmy pokój, glucie - powiedział Sonny. - Myśleliśmy, że to sracz, bo zawsze pływają tu gówna.

Van Zandt niemal nabawił się raptury ze śmiechu po tej błyskotliwej uwadze.

Jack popatrzył na nastolatków przez długą chwilę. Van Zandt przestał rechotać.

- Co się gapisz, srulu? Mam ci złamać tego kurewskiego nochała?

Jack zamknął drzwi i się obejrzał. Wilk, całkowicie ubrany, zasnął na mokrym łóżku. Odrastała mu broda, ale mimo to widać było bladą, ściągniętą i lśniącą skórę na jego twarzy. Przypominała oblicze inwalidy.

Lepiej daj mu spokój, pomyślał ze znużeniem Jack. Jeżeli jest tak bardzo zmęczony, to niech śpi.

Nie. Nie zostawisz go, żeby spał w zapaskudżonym łóżku. Nie zostawisz!

Jack ze znużeniem podszedł do Wilka i trochę dobudził go szarpaniem. Zdołał zwlec przyjaciela z mokrego, cuchnącego materaca i zdjąć z niego farmerki. Tej nocy spali zwinięci na podłodze.

O czwartej nad ranem otworzyły się drzwi i do środka wkroczyli Sonny i Heck. Zerwali Jacka z podłogi i zaciągnęli go do gabinetu Sunlighta Gardenera w podziemiu.

Gardener siedział ze stopami opartymi o róg biurka. Mimo wczesnej godziny był kompletnie ubrany, Za plecami miał obraz Jezusa, kroczącego po Jeziorze Galilejskim, przed którym uczniowie rozdziawiali usta ze zdumienia. Po prawej znajdowało się okno do pograżonego w ciemnościach studia, w którym Casey zajmował się technicznymi cudёнkami. Na szlufce przy pasie Gardenera wisiał ciężki pęk kluczy. Potrząsał nimi na otwartej dłoni.

- Od chwili kiedy się tu zjawiłeś, nie przedstawiłeś nam ani jednej spowiedzi, Jack - rzekł Sunlight Gardener z łagodną wymówką. - Spowiedź jest dobra dla duszy. Bez spowiedzi nie możemy dostąpić zbawienia. Och, nie chodzi mi o bałwochwalczą, pogańską spowiedź katolików. Myślę o wyznaniu grzechów przed twoimi braćmi i Zbawicielem.

- Wolę je zachować dla siebie i Zbawiciela, jeśli nie sprawia to panu różnicy - powiedział spokojnie Jack i mimo lęku oraz dezorientacji nie potrafił powstrzymać się od radości na widok furii, jaka pojawiła się na twarzy Gardenera.

- Ale mnie to sprawia różnicę! - krzyknął Gardener.

Ból eksplodował w nerkach Jacka. Upadł na kolana.

- Uważaj, jak odnosisz się do wielebnego, glucie - powiedział Sonny. - Niektórzy z nas stoją po jego stronie.

- Niech Bóg cię błogosławi za zaufanie i miłość, Sonny - rzekł z grobową powagą Gardener i zwrócił uwagę z powrotem na Jacka. - Wstań, synu. - Jack zdołał podnieść się z



podłogi, przytrzymując się brzegu biurka, które wykonano z jasnego, drogiego drewna. - Jak się naprawdę nazywasz?

- Jack Parker.

Zobaczył, że Gardener niemal niezauważalnie kiwa głową i spróbował się odwrócić, spóźnił się jednak. W nerkach ponownie eksplodował ból. Krzyknął i znowu osunął się na podłogę. Rąbnął przygasającym sińcem na czole o skraj biurka wielebnego.

- Skąd jesteś, kłamliwy, bezczelny pomocie szatana?

- Z Pensylwanii.

Ból rozgorzał tym razem w najgrubszej części uda Jacka. Chłopiec zwinął się w kłębek na białym karastańskim dywanie, przyciskając kolana do piersi.

- Podnieście go.

Sonny i Heck spełnili polecenie.

Gardener sięgnął do kieszeni białej marynarki i wyjął z niej zapalniczkę Zippo. Obrócił trybik i gdy pojawił się wielki, żółty płomień, zaczął przysuwać go powoli do twarzy Jacka. Dziewięć cali. Jack poczuł słodki, wonny zapach benzyny. Sześć cali. Dotarło do niego ciepło. Trzy cale. Jeszcze cal - może pół - a dyskomfort zamieni się w ból. Oczy Sun lighta Gardenera zrobiły się zamglone i szczęśliwe. Na jego drżących ustach wakat się cień uśmiechu.

- Taa! - Jack poczuł gorący, wionący spleśniałym pepperoni oddech Hecka przy jego słowach. - Taa, zrób to, wielebny!

- Skąd się znamy?

- Nigdy pana wcześniej nie widziałem! - stęknął Jack.

Płomyk zbliżył się jeszcze bardziej. Oczy Jacka zaczęły łzawić. Czuł, że ogień osmala mu skórę. Spróbował odsunąć głowę. Sonny Singer pchnął ją do przodu.

- Gdzie cię spotkałem? - wychrypiął Gardener. Odbicia płomienia tańczyły głęboko w jego żrenicach - dwie iskry-dwójniki. - Ostatnia szansa!

*Powiedz mu, na miłość boską, powiedz mu!*

- Jeśli kiedykolwiek się spotkaliśmy, to sobie tego nie przypominam - stęknął Jack. - Może w Kalifornii...

Zapalniczka zamknęła się ze szczękiem. Jack zaszlochał z ulgi.

- Zabierzcie go z powrotem - polecił Gardener.

Sonny i Heck powlekli go do drzwi.

- Wiesz, że na nic ci się to nie zda - oznajmił Sunlight Gardener. Odwrócił się i pogrążył się w udawanej medytacji nad obrazem Chrystusa kroczącego po wodzie. - Jeszcze

to z ciebie wydobędę. Jeśli nie dzisiaj wieczorem, to jutro. Jeśli nie jutro, to pojutrze w nocy. Dlaczego nie ułatwisz sobie życia, Jack?

Chłopiec nie odpowiedział. W chwili potem poczuł, że ma ręce wykręcane pod same łopatki. Jęknął.

- Powiedz mu! - szepnął Sonny.

W istocie część istoty Jacka chciała to zrobić - nie dlatego, że czuł ból - dlatego, że spowiedź jest dobra dla duszy.

Przypomniał sobie błotnisty dziedziniec, przypomniał sobie tego samego człowieka w innej cielesnej powłoce, który wypytywał, kim jest, przypomniał sobie, że myślał wtedy: Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć, żebyś tylko przestał gapić się we mnie tymi swoimi wariackimi ślepiami, pewnie, bo jestem tylko dzieckiem, a przecież tak właśnie robią dzieci: mówią, wszystko mówią...

Potem przypomniał sobie głos matki - twardy głos, pytający, czy wypapla wszystko temu facetowi.

- Nie mogę powiedzieć panu tego, czego nie wiem - rzekł.

Usta Gardenera rozchyliły się w wąskim, zimnym uśmiešku.

- Zabierzcie go z powrotem do jego pokoju - polecił.

3

Po prostu kolejny tydzień w Domu Sunlighta, możecie powiedzieć: amen, bracia i siostry? Po prostu kolejny, długi, nieskończenie długi tydzień.

Jack zamarudził w kuchni, gdy pozostali wyszli już po śniadaniu. Wiedział doskonale, że naraża się na kolejne pobicie, dalsze szykany... ale teraz wydawało się to już niezbyt istotne. Zaledwie trzy godziny wcześniej Sunlight Gardener o mały włos nie przypalił mu warg. Zajrzał w szalone oczy tego człowieka, wyczuł to w jego obłąkanym sercu. Po takim przeżyciu ryzyko pobicia wydawało się naprawdę niczym.

Kucharski uniform Rudolpha był prawie tak szary jak nisko wiszące na listopadowym niebie chmury. Gdy Jack zwrócił się do niego prawie szeptem, mężczyzna obrzucił go cynicznym spojrzeniem przekrwionych oczu. W jego oddechu czuć było silną woń taniej whisky.

- Lepiej stąd idź, nowa rybko. Mają cię cały czas na oku.

*Jakbym sam nie wiedział.*

Jack obejrzał się nerwowo na antyczną zmywarkę do naczyń, łoskoczącą, syczącą i ziejącą parującym, smoczym oddechem na zapelniających ją chłopców. Wydawali się nie patrzeć na Jacka i Rudolpha, lecz chłopiec zdawał sobie sprawę, że kluczowym słowem było tu "wydawali". Będą sobie opowiadać o ich rozmowie. Och, tak. W Domu Sunlighta odbierano im forszę, więc powtarzane nowinki stawały się swego rodzaju zastępczą walutą.

- Muszę się stąd wydostać - powiedział Jack. - Razem z moim roślą przyjacielem. Ile by pan wziął za to, żeby nie patrzeć w stronę tylnych drzwi, jeśli się przez nie wymkniemy?

- Więcej, niż zdołałbyś mi zapłacić, nawet gdybyś zatrzymał to, co ci zabrali, kiedy cię tutaj przywlekli, fajansiarzu - odparł Rudolph.

Zabrzmiało to twardo, jednak kucharz spoglądał na Jacka dość łaskawie.

Tak, oczywiście - wszystko znikło, wszystko mu zabrano. Kostkę do gry na gitarze, wielką kulkę, sześć dolarów... odebrano mu wszystko. Zapieczętowano w kopercie i gdzieś przetrzymywano - najpewniej w gabinecie Gardenera na dole. Ale...

- Niech pan posłucha, mogę napisać panu rewers.

- To prawie śmieszne. Przecież siedzimy w norze pełnej złodziei i narkomanów - odrzekł Rudolph z uśmiechem. - Olewam twój rewers, patafląsie.

Jack skierował na Rudolpha całą nową moc, która w niego wstąpiła. Potrafił ukryć tę moc, to piękno - przynajmniej do pewnego stopnia - jednak teraz pozwolił jej emanować z siebie w całości. Zobaczył, że Rudolph cofa się, a na jego twarzy na chwilę pojawia się niepewność i zamęt.

- Mój rewers miałby pokrycie i domyślam się, że pan o tym wie - rzekł spokojnie Jack. - Niech pan mi poda adres, to prześlę panu gotówkę. Ile? Ferd Janklow powiedział mi, że za dwa dolary wyśle pan każdemu list. Czy dycha wystarczy za to, że będzie pan patrzył w inną stronę, kiedy stąd wyjdziemy?

- Ani dycha, ani dwudziestka, ani setka - odparł cicho Rudolph. Popatrzył na chłopca ze smutkiem, który go porządnie przestraszył. Spojrzenie to jak wszystko inne - a może nawet bardziej - dowodziło, w jak fatalnej sytuacji znaleźli się Jack i Wilk. - Taa, robiłem to już wcześniej. Czasami za pięć dolców. Czasami za darmo, wierz mi lub nie. Zrobiłbym to za darmo dla Ferdiego Janklowa. To był dobry dzieciak. Te pojeby...

Rudolph uniósł zaczerwienioną od wody i detergentów rękę i pogroził nią pokrytej zielonymi płytkami ścianie. Dojrzał, że przygląda się mu oskarżony jakiś czas temu o walenie kapucyna Morton, i rzucił mu groźne spojrzenie. Morton natychmiast odwrócił głowę.

- To dlaczego nie? - zapytał z desperacją Jack.

- Bo się boję, stary - powiedział Rudolph.

- O co panu chodzi? Tej nocy, kiedy tu mnie przywieźli, kiedy Sonny zaczął robić panu kłopoty...

- Singer! - Rudolph zamachał pogardliwe dłonią. - Nie boję się Singera ani nie boję się Basta, chociaż to taki dryblas. Nie ich się boję.

- Gardenera?

- To diabeł z piekła rodem - powiedział Rudolph. Zawahał się i dodał: - Powiem ci coś, czego jeszcze nikomu nie mówiłem. Któregoś tygodnia spóźnił się z moją wypłatą. Zszedłem na dół do jego gabinetu. Zwykle tego nie robię, nie lubię tam chodzić, ale tym razem musiałem... no, musiałem zobaczyć się z tym facetem. Potrzebowałem na gwałt pieniędzy, rozumiesz, o co mi chodzi? Widziałem, że idzie korytarzem do swojego gabinetu, więc wiedziałem, że tam jest. Podszedłem, zastukałem do drzwi. Uchyliły się, bo niedokładnie je zamknął. I wiesz co, dzieciaku? Nie było go w środku.

Rudolph opowiadał swoją historię przyciszonym głosem; Jack ledwie mógł go dosłyszeć przez łoskot i wycie zmywarki. Oczy kucharza rozszerzyły się przy tym jak dziecku, które przypomina sobie straszny sen.

- Myślałem, że może poszedł do tego studia nagraniowego, które tu urządzili, ale nie. Nie udał się też do kaplicy, bo nie ma tam do niej żadnych drzwi. Z gabinetu można wyjść na dwór, ale te drzwi były zamknięte i zaryglowane od środka. No to gdzie się podział, fajansiarzu? Gdzie się podział?

Jack wiedział, ale mógł jedynie popatrzeć w milczeniu na Rudolpha.

- Myślę, że to diabeł z piekła rodem i zjechał na dół jakąś cholerną windą, żeby się zameldować w swojej kwaterze - powiedział Rudolph. - Chciałbym ci pomóc, lecz nie mogę. W całym Forcie Knox nie ma dość forsy, żebym się naraził Czarusiowi Sunlightowi. Idź już sobie, dobrze? Może nikt nie zauważy, że cię brakuje.

Nieobecność Jacka została jednak oczywiście dostrzeżona. Gdy wychodził przez wahadłowe drzwi, Warwick podkraść się do niego z tyłu i rąbnął go w krzyż dłońmi złożonymi w jedną gigantyczną pięść. Gdy Jack zatoczył się w stronę opustoszałej kafeterii, jak diabełek z pudełka wyłonił się znikąd Casey i podstawił mu nogę. Jack potknął się, zaplątał we własne stopy i runął pomiędzy ciasno stojące krzesła. Zdołał się podźwignąć, tłumiąc łyzy wściekłości i wstydu.

- Nie powinieneś tak się grzebać z odnoszeniem naczyń, glucie - powiedział Casey. - Może ci się stać krzywda.

- No! - Warwick się uśmiechnął. - Wyłaż na górę. Ciężarówki już czekają.

O czwartej nad ranem następnego dnia Jacka znowu obudzono i sprowadzono do gabinetu Sunlighta Gardenera.

Wielebny podniósł głowę znad Biblii, jakby był zaskoczony jego widokiem.

- Gotowy do spowiedzi, Jacku Parkerze?

- Nie mam nic...

Znowu zapalniczka. Ogień, tańczący zaledwie cal od czubka jego nosa.

- Przyznaj się. Gdzie się spotkaliśmy? - Płomień zatańczył jeszcze bliżej. - Zamierzam to z ciebie wydostać, Jack. Gdzie? Gdzie?

- Na Saturnie! - krzyknął Jack; nic innego nie przychodziło mu do głowy. - Na Uranie! Merkurym! Gdzieś w pasie asteroid! Na Io! Ganimedzie! Dej...

Gęsty, ołowiany ból nie do zniesienia eksplodował w jego podbrzuszu, gdy Hector Bast sięgnął mu pomiędzy nogi i ścisnął jądra.

- Proszę - powiedział Bast z pogodnym uśmiechem. - Należało ci się, piekielny szyderco.

Jack zwałił się ze szlochem na podłogę.

Sunlight Gardener pochylił się powoli z cierpliwym, niemal nabożnym wyrazem twarzy.

- Następnym razem czeka to twojego przyjaciela - poinformował łaskawie wielebny. - Jeśli o niego chodzi, nie będę się wahał. Zastanów się nad tym do jutrzejszej nocy, Jack.

Jutrzejszej nocy już nas tu nie będzie, postanowił Jack. Skoro zostawały im tylko Terytoria, musiały wystarczyć.....jeśli tylko raz jeszcze zdoła dostać się do nich z Wilkiem.

## Rozdział dwudziesty piąty - Jack i Wilk idą do piekła

1

Musieli przeskoczyć z parteru. Jack wolał się nie zastanawiać nad tym, czy im się to w ogóle uda. Prościej byłoby próbować w ich pokoju, ale żalosna izdebka znajdowała się na drugim piętrze - czterdzieści stóp nad ziemią. Jack nie wiedział, jak dokładnie geografia i topografia Terytoriów odpowiada stanowi Indiana, lecz nie zamierzał ryzykować, że obaj połamią karki.

Wy tłumaczył Wilkowi, co ich czeka.

- Zrozumiałeś?

- Tak - odrzekł niemrawo Wilk.

- Tak czy inaczej, powtórz, stary.

- Po śniadaniu idę do łazienki po drugiej stronie świetlicy. Jeżeli nikt nie zauważy, że mnie nie ma, wejdiesz za mną. I wrócimy do Terytoriów. Zgadza się, Jack?

- Zgadza się - odparł Jack. Położył dłoń na ramieniu przyjaciela i je ścisnął. Wilk uśmiechnął się słabo. Jack zawahał się i dodał: - Przepraszam, że cię w to wciągnąłem. To wszystko moja wina.

- Nie, Jack - odparł spokojnie Wilk. - Spróbujemy. Może...

Ulotny, smutny uśmiech zamajaczył na chwilę w jego oczach.

- Tak - powiedział Jack. - Może.

2

Jack za bardzo się bał i był zbyt podniecony, żeby mieć ochotę na śniadanie, ale doszedł do wniosku, że jeśli nie zje, może to zwrócić uwagę. Opychał się więc jajkami i ziemniakami, które smakowały jak trociny. Zdołał nawet wmusić w siebie tłusty kawałek boczku.

Pogoda się wreszcie wyklarowała. Ubiegłej nocy był przymrozek; kamienie na Dalekim Polu na pewno przypominały tego ranka bryły łupku, zanurzone w stwardniałym plastiku.

Należało odnieść talerze do kuchni.

Chłopcom wolno było wrócić do świetlicy, podczas gdy Sonny Singer, Hector Bast i Andy Warwick przygotowywali rozkład dnia.

Lokatorzy Domu Sunlighta siedzieli z nieobecnyimi minami. Pedersen trzymał nowy numer magazynu, publikowanego przez organizację Gardenera: "The Sunlight of Jesus" - "Światło Jezusa". Wertował nieuważnie strony, co jakiś czas podnosił głowę i rozglądał się po chłopcach.

Wilk popatrzył pytająco na Jacka. Jack skinął głową. Wilk wstał i wyszedł niezgrabnym krokiem z sali. Pedersen podniósł wzrok, zobaczył, że Wilk przechodzi na drugą stronę korytarza do długiej, wąskiej łazienki, i z powrotem wrócił do przeglądania pisma.

Jack odliczył do sześćdziesięciu, po czym zmusił się, by zrobić to raz jeszcze. Były to dwie najdłuższe minuty w jego życiu. Bał się potwornie, że Sonny i Heck wrócą do świetlicy i każą chłopcom wsiadać do ciężarówek. Musiał dotrzeć do łazienki, nim to nastąpi. Pedersen nie był jednak głupi. Gdyby Jack wyszedł zbyt szybko po Wilku, wyrostek na pewno zacząłby coś podejrzewać.

Jack wreszcie wstał i przeszedł przez salę w stronę drzwi. Wydawały się nieprawdopodobnie odległe, a ciężkie stopy jakby w ogóle nie chciały posuwać chłopca w tę stronę; przypominało to złudzenie optyczne.

- Gdzie idziesz, glucie? - Pedersen podniósł głowę.

- Do łazienki - odparł Jack.

Wysechł mu język. Słyszał, że ludziom zasycha w ustach, gdy się boją, ale że wysychają im języki?

- Za chwilę wyjdą na górę - powiedział Pedersen, wskazując skinieniem głowy schody na końcu korytarza, za którymi znajdowały się kaplica, studio i gabinet Gardenera. - Lepiej się wstrzymaj, to podlejesz Dalekie Pole.

- To poważniejsza sprawa - rzekł zdesperowany Jack.

*Pewnie. A może ty i twój wielki, durny przyjaciel chcecie sobie zwalić konia na dobry początek dnia. Tak sobie, ku pokrzepieniu serc. Siadaj, dobra?*

- No dobrze, idź - powiedział z rozdrażnieniem Pedersen. - Nie stercz tak i nie kwękaj.

Wbił wzrok z powrotem w pismo. Jack przeszedł przez korytarz i wszedł do łazienki.

3

Wilk wybrał niewłaściwą kabinę - w połowie rzędu. Zdradzały go wystające spod drzwi wielkie, toporne buty robocze. Kabina okazała się ciasna, gdy Jack wszedł do niej; bardzo mocno docierał do niego emanujący od Wilka silny, zdecydowanie zwierzęcy zapach.

- No dobrze - powiedział Jack. - Spróbujmy.

- Boję się, Jack.

Chłopiec zaśmiał się drżącym głosem.

- Ja też jestem przerażony.

- Jak się nam...

- Nie wiem. Podaj mi rękę.

Wydawało się to dobrym początkiem. Wilk włożył włochate ręce - prawie łapy - w dłonie Jacka. Chłopiec poczuł, że wlewa się weń przez nie niesamowita siła. Najwidoczniej energia Wilka jednak nie zgasła. Po prostu skryła się, tak jak źródło nikt nie czasem pod ziemią w trakcie piekielnie gorącej pory roku.

Jack przymknął oczy.

- Chcę wrócić - powiedział. - Chcę wrócić. Pomóż, Wilku!

- Tak! - wyszeptał Wilk. - Pomogę, jeśli tylko zdołam! Wilk!

- Tu i teraz.

- Właśnie tu i teraz!

Jack ścisnął silniej dłonie-łapy Wilka. Docierała do niego woń lizolu. Gdzieś rozległ się warkot przejeżdżającego samochodu. Zadzwoił telefon. Jack pomyślał: Piję magiczny napitek. Piję go w myślach, piję go właśnie tu i teraz. Czuję go, jest tak purpurowy, gęsty i świeży. Czuję jego smak, zaciska mi się gardło...

Smak napitku wypełnił jego usta. Świat zakołysał się pod nim i Wilkiem, zakręcił się wokół nich.

- Udało się, Jack! - zawołał Wilk.

Wytrąciło go to z wytężonej koncentracji i przez chwilę zdał sobie sprawę, że to tylko sztuczka, tak jak liczenie owiec, by zasnąć. Świat odzyskał równowagę. Znowu rozeszła się fala woni lizolu. Z oddali słychać było, jak ktoś swarliwie mówi do słuchawki: "Tak, halo? Kto mówi?".

*Nieważne, to nie sztuczka. To nie żaden trik - tylko magia. To magia. Udawało mi się to, kiedy byłem mały, więc mogę zrobić to znowu. Speedy tak powiedział, ślepy śpiewak Śnieżka też tak mówił. MAGICZNY NAPITEK JEST W MOIM UMYŚLE...*

Z całych swoich sił próbował precyzyjnie się między rzeczywistościami, wkładał w to maksymalny wysiłek woli... i łatwość, z jaką przeskoczyli, okazała się oszałamiająca - niczym cios wymierzony w coś, co wydawało się granitem, a okazało się sprytnie pomalowaną pustą powłoką z papier-mache. Uderzenie, które zdawało się grozić połamaniem wszystkich kości, nie napotkało żadnego oporu.



Zaciskający z całych sił oczy Jack miał najpierw wrażenie, jakby podłoga rozkruszyła się pod jego nogami... i do reszty znikła.

Och, kurwa, a jednak spadamy, pomyślał z przerażeniem.

Nie był to jednak na dobrą sprawę upadek, lecz osunięcie się w bok. W chwilę później stał pewnie z Wilkiem - nie na twardej terakocie w łazience, ale na ziemi.

Do nozdrzy wlał się im odór siarki, zmieszany z wonią kojarzącą się z otwartym szambem. Zapach ten nasuwał myśli o śmierci, a Jackowi przemknęło przez głowę, że oznacza to kres wszelkich nadziei.

- Na Jasona! Co tak śmierdzi? - jęknął Wilk. - Och, Jasonie, jak śmierdzi, nie mogę tu zostać, Jacky, nie mogę zostać...

Jack błyskawicznie rozchylił powieki. Równocześnie Wilk puścił jego rękę i zatoczył się do przodu, wciąż zaciskając oczy. Jack ujrzał, że kraciastą koszulę i niedopasowane płócienne spodnie na powrót zastąpiły farmerki, w których po raz pierwszy zobaczył rosłego pasterza. Znikły lennonki. Poza tym...

...Wilk brnął w stronę skraju przepaści, od której dzielił go dosłownie krok.

- Wilku! - Jack rzucił się za nim i otoczył go ramionami w pasie. - Wilku, nie!

- Nie mogę zostać, Jacky - jęknął jego przyjaciel. - To Jama, jedna z nich. Morgan je porobił. Och, słyszałem, że porobił je Morgan. Czuję ją...

- Wilku, tu jest urwisko! Spadniesz!

Wilk otworzył oczy. Szczęka mu opadła, gdy zobaczył rozpościerającą się u ich stóp zadymioną otchłań. W jej najgłębszych, skrytych w oparach regionach gorzały jak zainfekowane oczy czerwone ognie.

- Jama! - jęknął Wilk. - Och, Jacky, to Jama. Tam na dole są piece Czarne Serca. Czarne Serca w środku świata. Nie mogę zostać, Jacky, to najgorsze, co tylko może być.

Pierwszą spokojną myślą Jacka, gdy tak stali z Wilkiem na skraju Jamy i patrzyli z góry na piekło - czy też Czarne Serce w środku świata - było to, że topografia Terytoriów i Indiany jednak się różniła. W Domu Sunlighta nie było niczego, co przypominałoby tę otchłań, tę koszmarną Jamę.

Krok w prawo, pomyślał Jack z nagłą, przyprawiającą o mdłości zgrozą. Tyle wystarczyło - jedynie krok w prawo. Gdyby Wilk zrobił tak, jak mu kazałem...

Gdyby Wilk się go usłuchał, przeskoczyliby z pierwszej kabiny... i wówczas w Terytoriach znaleźliby się tuż za skrajem przepaści.

Nogi zrobiły mu się jak z waty. Znów chwycił się Wilka - tym razem by się o niego wesprzeć.

Wilka przytrzymał go nieuważnie. Jego rozszerzone oczy gorzały na pomarańczowo, a na twarzy widniała mieszanina odrazy i przerażenia.

- To Jama, Jacky.

W istocie zagłębienie przypominało nieco olbrzymią kopalnię odkrywkową molibdenu w Kolorado, do której Jack wybrał się z matką w trakcie zimowych wakacji trzy lata wcześniej. Pojechali do Vail na narty, lecz pewnego dnia było tak przejmująco zimno, że zdecydowali się pojechać autobusem na zwiedzanie odkrywki Continental Minerals niedaleko miasteczka Sidewinder. "Dla mnie wygląda to jak Gehenna, Jack-O", powiedziała Lily. Wyglądała przez obrzeżone szronem okno autobusu z taką miną, jakby miała smutny sen. "Chciałabym, żeby wszystkie takie miejsca pozamykali - co do jednego. Wydobywają z ziemi ogień i zniszczenie. To Gehenna, nie ma co".

Z głębin Jamy unosiły się gęste, dławiące pasma dymu. Grube żyły jakiegoś trującego, zielonego metalu przenikały zbocza urwiska. Zagłębienie miało średnicę około pół mili. Na dno biegła spiralna droga. Jack dostrzegł, że wędrują po niej zarówno w dół, jak i w górę utrudzone postacie.

Była to jakaś odmiana więzienia, tak samo jak Dom Sunlighta. Znajdowali się tu i więźniowie, i nadzorcy. Ci pierwsi byli nadzy, zaprzężeni parami do przypominających riksze wózków, które wypełniały wielkie bryły zielonej, wyglądającej na oleistą rudę. Ich poczerwiałe od sadzy, ściągnięte z cierpienia oblicza przypominały średniowieczne drzeworyty. Pokrywały je gęste, czerwone owrzodzenia.

Obok nich włóczyli się strażnicy. Jack z odrętwiającym przerażeniem zobaczył, że nie są to ludzie. W żadnym razie nie dałoby się podciągnąć ich pod to miano. Byli garbaci i powykręcani, ich dłonie kończyły się szponami, a uszy mieli spiczaste jak pan Spock ze "Star Treka". No proszę, to gargulce! - pomyślał. Koszmarne stwory z francuskich katedr - mama miała album. Myślałem, że obejrzymy je wszystkie w całym kraju, ale dała sobie spokój, kiedy miałem koszmar i zmoczyłem łóżko. Czy stąd się wzięły? Czy ktoś je tam widział? Ktoś ze średniowiecza, kto przeskoczył na drugą stronę, zobaczył to miejsce i pomyślał, że ujrzał piekło?

Nie była to jednak mistyczna wizja.

Gargulce miały bicze. Jack słyszał ich świst i strzelanie mimo potrzaskiwania skał, pękających wskutek nieustającego, piekącego żaru. Przyglądał się wraz z Wilkiem, jak para

ludzi przystanąła niemal u szczytu spiralnej drogi. Dygotały im z wysiłku nogi, na szyjach wystąpiły ścięgna.

Pilnujący ich potwór - pokręcona istota z przepaską na biodrach i linią sztywnego włosia, rosnącego na chudym ciele nad kręgosłupem - uderzył biczem najpierw jednego z ludzi, a potem drugiego. Wył przy tym coś w piskliwym, zawodzącym języku; słysząc to, Jack miał wrażenie, jakby wbijały się mu w głowę srebrne gwoździe bólu. Dojrzał takie same białawe metalowe ostrogi, jakie zdobyły pejcz Osmonda. Zanim zdołał mrugnąć, bicz rozplątał ramię jednego z więźniów i poharatał na kawałki skórę drugiego.

Dwóch ludzi, jęcząc, pociągnęło wózek z jeszcze większym wysiłkiem. Ich krew w żółtawym mroku miała niemal czarną barwę. Stwór skrzeczał coś gardłowo, a szara, pokryta łuskami łapa wymachiwała biczem nad głowami niewolników. Ostatecznym, desperackim szarpnięciem zdołali wciągnąć wózek na równy teren na szczycie. Jeden z więźniów upadł z wyczerpania na kolana; toczący się dalej do przodu wózek pchnął go tak, że rozciągnął się płasko na ziemi. Kolo przetoczyło się mu po grzbiecie. Do Jacka dobiegł jego krzyk, gdy złamało mu kręgosłup - zabrzmiało to jak strzał z pistoletu startowego.

Gargulec zaskrzeczał z wściekłości, bo wózek zakołysał się i wreszcie wywalił. Ładunek rozsypał się po popękany, wyschniętym gruncie na szczycie Jamy. Stwór dopadł dwoma skokami leżącego więźnia i uniósł bicz. W tym momencie umierający niewolnik uniósł głowę i popatrzył prosto w stronę Jacka.

Był to Ferd Jankłow.

Wilk również go poznał.

Chwycili się z Jackiem za ręce.

I przeskoczyli z powrotem.

3

Znaleźli się w ciasnej, zamkniętej przestrzeni - w istocie w kabinie łazienki. Jack ledwie mógł oddychać, bo Wilk ścisnął go kurczowo ramionami. Poczł ogarniającą stopę wilgoć. Jakimś cudem, gdy przeskoczył, jego noga trafiła do muszli klozetowej. Och, świetnie. Nic podobnego nigdy nie zdarza się Conanowi Barbarzyńcy, pomyślał z przygnębieniem Jack.

- Jack, nie, Jack, nie, Jama, to była Jama, nie, Jack...

- Przestań! Przestań, Wilku! Jesteśmy z powrotem!

- Nie, nie, n... - Wilk urwał. Powoli otworzył oczy. - Z powrotem?

- Pewnie, właśnie tu i teraz. Może byś mnie więc puścił? Łamiesz mi żebra, a poza tym noga uwięzła mi w przeklętej...

Drzwi z łazienki na korytarz otworzyły się z łoskotem - uderzyły w wewnętrzną, wykładaną glazurą ścianę z taką siłą, że rozleciała się tafła mlecznego szkła.

Szarpnięciem otworzono drzwiczki do kabiny. Andy Warwick rzucił do środka jedno spojrzenie i wyrzekł dwa pełne pogardy słowa:

- Kurewskie pedały.

Chwycił Wilka za front kraciatej koszuli i wywłókł na zewnątrz. Wilk zaczął spodniami o stalowy daszek nad rolką papieru toaletowego i oderwał cały dystrybutor ze ściany. Rolka odczepiła się z niego w locie i rozwijając, potoczyła się po podłodze. Warwick pchnął Wilka na umywalki - znajdujące się na takiej wysokości, że trafiły go w genitalia. Wilk osunął się na podłogę, ściskając krocze.

Warwick odwrócił się do Jacka. W drzwiach kabiny pojawił się Sonny Singer. Wsunął rękę do środka i złapał Jacka za przód koszuli.

- No dobra, cioto... - zaczął Sonny.

Nie zdołał dokończyć. Od chwili gdy Jack został z przyjacielem dostarczony na siłę do Domu Sunlighta, Sonny Singer stale się go czepiał. Sonny Singer o przebiegłej, ciemnej twarzy, pragnący wyglądać jak Sunlight Gardener (i to tak szybko, jak to tylko możliwe). Sonny Singer, który zwykł zwracać się do Jacka czarującym zawołaniem: "glucie". Sonny Singer, który niewątpliwie był autorem pomysłu, by nasikać im do łóżek.

Prawa pięść Jacka wystrzeliła do przodu - nie zamachnął się nią na oślep w stylu Hecca Basta, lecz wyprowadził silne, równe uderzenie od łokcia. Pięść trafiła w nos Sonny'ego. Rozległ się wyraźny chrzęst. Jack poczuł przez moment zadowolenie tak czyste, że niemal transcendentalne.

- Masz! - zawołał.

Wyciągnął nogę z muszli. Na jego twarzy wykwitł wielki uśmiech. Wysłał myśl pod adresem Wilka, wkładając w to całą energię.

Nie radzimy sobie najgorzej, Wilku - złamałeś rękę jednemu draniowi, a ja nos drugiemu.

Sonny zatoczył się w tył z krzykiem. Krew bryzgała mu spomiędzy palców.

Jack wyszedł z kabiny, unosząc przed siebie pięści w nie najgorszej imitacji Johna L. Sullivana.

- Powiedziałem ci, żebyś nie włąził mi w drogę, Sonny. Zaraz cię nauczę, jak mówić: alleluja.

- Heck! - wrzasnął Sonny. - Andy! Casey! Niech ktoś tu przyjdzie!

- Czyżbyś się bał, Sonny? - spytał Jack. - Nie mam pojęcia, dlaczego...

W tej samej chwili coś tak masywnego, jak pełne nosiłki cegieł, rąbnęło go w kark. Runął naprzód, w stronę luster nad umywalkami. Gdyby były ze szkła, pewnie porozbijałby je i paskudnie się pokaleczył. Wszystkie lustra były jednak z wypolerowanej stali - w Domu Sunlighta nikt nie miał ochoty oglądać samobójców.

Jack zdołał unieść rękę i nieco zamortyzować uderzenie, ale mimo to kręciło mu się w głowie, kiedy się odwrócił. Zobaczył uśmiechniętego Hecka Basta - uderzył go gipsem na prawej ręce.

Gdy na niego patrzył, zdał sobie w jednej chwili sprawę z czegoś, od czego zrobiło mu się niedobrze.

*To byłeś ty!*

- Piekielnie zabolalo - powiedział Heck, przytrzymując zagipsowaną prawą rękę w lewej. - Ale naprawdę było warto, glucie.

Ruszył naprzód.

*To byłeś ty! To ty stałeś w drugim świecie nad Ferdem i katowałeś go biczem na śmierć. To byłeś ty, to ty byłeś tym gargulcem, to był twój Dwójnik!*

Jacka ogarnął gniew tak dojmujący, że przypominał wstyd. Gdy tylko Heck znalazł się w jego zasięgu, Jack oparł się plecami o umywalkę, chwycił dłońmi jej skraj i wyrzucił przed siebie obie nogi. Stopami trafił Basta prosto w pierś. Impet ciosu sprawił, że Heck poleciał do otwartej kabiny. But, który wrócił do Indiany w muszli klozetowej, zostawił wyraźny, mokry odcisk na białym golfie. Heck wylądował na muszli z taką mocą, że aż zachlupotało. Wyrzwał gipsem z łoskotem o porcelit i był najwyraźniej oszołomiony.

Do łazienki wpadali kolejni ludzie. Wilk próbował się podnieść. Włosy opadały mu na twarz. Sonny podchodził do niego z wciąż przyciśniętą do nosa ręką - najwyraźniej zamierzał go powalić kopniakiem z powrotem na posadzkę.

- Tak, tylko podejdz i go dotknij, Sonny - szepnął Jack.

Sonny natychmiast skulił się i odsunął na bok.

Jack chwycił Wilka za ramię i pomógł mu wstać. Zobaczył jak we śnie, że Wilk jest znacznie bardziej owłosiony niż kiedykolwiek. *To wszystko to dla niego za duży stres. Wywołuje to w nim Przemianę, a na domiar złego to się nigdy nie skończy, Chryste, nigdy... nigdy...*

Cofnął się z Wilkiem przed pozostałymi - Warwickiem, Caseyem, Pedersenem, Peabodym, Singerem - w głąb łazienki. Heck wychodził z kabiny, w której wylądował po kopniaku Jacka. Chłopiec zobaczył jeszcze coś. Przeskoczyli z czwartej kabiny. Heck Bast wyrzucił się z piątej. Przesunęli się w drugim świetle o tyle, że wylądowali w sąsiedniej kabynie.

- Pieprzyli się tutaj! - zawołał stłumionym, nosowym tonem Sonny. - Kretyn i ten czaruś! Warwick i ja przyłapaliśmy ich z kutasami na wierzchu!

Jack dotknął pośladkami chłodnej glazury. Nie miał już gdzie uciekać. Puścił oszołomionego Wilka, który żałośnie się zgarbił. Jack wystawił przed siebie pięści.

- No, chodźcie! - powiedział. - Który pierwszy?

- Myślisz, że poradzisz sobie z nami wszystkimi? - zapytał Pedersen.

- Poradzę, jeśli będę musiał - odrzekł Jack. - Co, zafundujecie mi wyciąg dla Jezusa? No, chodźcie!

Na ułamek sekundy po twarzy Pedersena przemknął niepokój, a Casey zmarszczył się z wyraźnego strachu. Zatrzymali się... naprawdę się zatrzymali. Jack poczuł przez chwilę obłądną, idiotyczną nadzieję. Starsi chłopcy patrzyli na niego z takim niepokojem, jak dorośli na wściekłego psa, z którym można sobie poradzić... ale który najpierw kogoś ugryzie.

- Odsuńcie się, chłopcy - rozległ się potężny głos.

Chłopcy rozstąpili się ochoczo; na ich twarzach odmalowała się ulga. Był to wielebny Gardener. Wielebny Gardener na pewno wiedział, jak sobie poradzić.

Podszedł do zapędzonej w kąt pary. Tego ranka miał na sobie spodnie barwy węgla drzewnego i białą satynową koszulę z obszernymi, niemal bajronowskimi rękawami. W dłoni trzymał czarne etui ze strzykawką. Popatrzył na Jacka i westchnął.

- Wiesz, co Biblia mówi o homoseksualizmie, Jack? - Chłopiec tylko wyszczerzył zęby. Gardener pokiwał smutno głową, jakby niczego więcej po nim nie oczekiwał. - Cóż, wszyscy chłopcy są źli - powiedział. - To pewnik. - Otworzył etui. Zalśniła strzykawka. - Myślę jednak, że ty i twój przyjaciel robiliście coś jeszcze gorszego - podjął Gardener współczująco. - Wyprawialiście się w miejsca, które powinniście zostawić starszym i mądrzejszym od siebie. - Sonny Singer i Heck Bast wymienili wystraszone, zaniepokojone spojrzenia. - Myślę, że w pewnej części to zło... ta perwersyjność... to moja wina. - Wyjął strzykawkę, popatrzył na nią, po czym wyciągnął fiolkę. Podał etui Warwickowi i napełnił strzykawkę. - Nigdy nie wierzyłem w zmuszanie moich chłopców do wyznań, ale bez wyjawienia grzechów nie można opowiedzieć się po stronie Chrystusa, a bez stanięcia po jego stronie zło zakorzenia się jeszcze bardziej. Chociaż więc głęboko tego żałuję, uznałem,

że nadszedł czas przestać prosić i zacząć żądać w imię Boże. Pedersen, Peabody, Warwick, Casey - przytrzymajcie ich.

Chłopcy rzucili się naprzód jak tresowane psy. Jack zdołał rąbnąć raz Peabody'ego, po czym złapano go za ręce i przyciśnięto mu je do ciała.

- Tajcie, do bu brzyozę! - zawołał nowym, stłumionym głosem Sonny. Przepchał się przez tłumek chłopców. W oczach gorzała mu nienawiść. - Tajcie, do bu brzyozę!

- Nie teraz - powiedział Gardener. - Może później. Pomodlimy się za to, prawda, Sonny?

- No! - Blask w oczach Sonny'ego stał się wręcz gorączkowy. - Bedde się bodlił za do cay cień!

Wilk stęknął jak człowiek, który budzi się wreszcie z bardzo długiego snu. Rozejrzał się dookoła. Zobaczył unieruchomionego Jacka i igłę strzykawki. Oderwał ramię Pedersena tak, jakby to była dziecięca rączka. Z gardła Wilka wydobył się zaskakująco donośny ryk:

- Nie! Puśćcie GO!

Gardener zbliżył się tanecznym krokiem z tyłu do Wilka, z płynną gracją, która przypominała Jackowi, jak Osmond obszedł się z woźnicą na zabłoconym dziedzińcu. Igła zabłysła i pogrzyła się w ciele. Wilk obrócił się, zaryczał, jakby został użądłony... co w pewnym sensie było prawdą. Zamachnął się w stronę strzykawki, jednak Gardener zdołał wyrwać ją na czas.

Chłopcy, którzy gapili się na to z równie tępym oszołomieniem jak pozostali pensjonariusze Domu Sunlighta, zaczęli teraz tłoczyć się w panice do drzwi. Nie chcieli mieć do czynienia z rozwścieczonym wielkim, prostodusznym Wilkiem.

- Puśćcie GO! Puśćcie... go... puśćcie...

- Wilku!

- Jack... Jacky...

Wilk popatrzył na niego zdezorientowanymi oczami, zmieniającymi jak kalejdoskop barwę z leszczynowej na pomarańczową, a wreszcie mętnoczerwoną. Wyciągnął do Jacka owłosione ręce. W tym momencie Heck Bast podszedł do niego z tyłu i powalił go ciosem ręki w gipsie na podłogę.

- Wilku! Wilku! - Jack wbił w Hecka spojrzenie zwilgotniałych, pełnych furii oczu. - Jeśli go zabiłeś, skurwysynu...

- Ssz, panie Jacku Parkerze - wyszeptał mu Gardener do ucha. Chłopiec poczuł wbijającą się w ramię igłę. - Teraz tylko zachowuj się spokojnie. Zadbamy, żeby do twojej

duszy trafiło trochę światła. A później może przekonamy się, jak ci się podoba wciąganie załadowanego wózka po spiralnej drodze. Możesz powiedzieć: alleluja?

Ostatnie słowo podążyło za Jackiem w mroczne zapomnienie.

*Alleluja... alleluja... alleluja.*



## Rozdział dwudziesty szósty - Wilk w Pudle

1

Jack odzyskał świadomość na długo, nim zdał sobie sprawę, że tak jest w istocie. Stopniowo zdawał sobie jednak sprawę, kim jest, co się stało i w jakim znalazł się położeniu - w pewnym sensie był jak żołnierz, który przeszedł długi i gwałtowny ostrzał artyleryjski. Ręka tętniła mu bólem w miejscu, gdzie pogrzyła się strzykawka Sunlighta. Głowa bolała go tak bardzo, że nawet gałki oczne tętniły. Wściekle chciało mu się pić.

Wszedł jeszcze stopień po drabinie świadomości, gdy spróbował dotknąć bolącego miejsca na prawym ramieniu drugą dłonią. Nie był w stanie tego zrobić - z tej przyczyny, że ramiona miał w jakiś sposób zaplątane wokół ciała. Poczul woń starego, pleśniejącego płótna - przypominającą zapach odnalezionego po wielu latach na strychu harcerskiego namiotu. Dopiero wtedy (choć patrzył idiotycznie na to coś spod uchylonych powiek co najmniej przez dziesięć minut) Jack zdał sobie sprawę, co ma na sobie. Był to kaftan bezpieczeństwa.

Ferd wykombinowałby to szybciej, Jack-O, pomyślał. Myśl o Ferdzie działała otęzewiająco mimo makabrycznego bólu głowy. Jack zawiercił się, lecz ból w głowie i ramieniu sprawił, że jęknął. Nic nie mógł na to poradzić.

- Budzi się - zabrzmiał głos Hecka Basta.

Sunlight Gardener: Nie, nie budzi. Dałem mu dawkę tak dużą, że wystarczyłaby do sparaliżowania sporego aligatora. Odzyska świadomość najwcześniej o dziewiątej wieczór. Po prostu coś mu się przyśniło. Heck, idź na górę i poprowadź dzisiaj spowiedź chłopców. Powiedz im, że nie będzie wieczornych modłów. Muszę zdążyć na samolot, a zapowiada się, że to dopiero początek bardzo długiej nocy. Sonny, zostań ze mną i pomóż mi uzupełnić dokumentację.

Heck: Na pewno brzmiało to tak, jakby się budził.

Sunlight: Ruszaj, Heck. I każ Bobby Peabody'emu zajrzeć do Wilka.

Sonny (ze śmiechem): Nie bardzo mu się tam podoba, prawda?

Ach, Wilku, wsadzili cię znowu do Pudła, pomyślał żałośnie Jack. Przepraszam... to moja wina... to wszystko moja wina...

- Potępieńcy rzadko interesują się maszyną zbawienia - dobiegł go głos Sunlighta Gardenera. - Kiedy diabły w ich środku zaczynają umierać, robią to z wrzaskiem. No, idź już, Heck.

- Tak jest, wielebny.

Jack słyszał - ale nie widział - jak Heck wychodzi nierównym krokiem. Nie odważył się jeszcze podnieść głowy.

2

Wepchnięty do prymitywnie skleconego, zespawanego i znitowanego domowymi sposobami Pudła, jak ofiara przedwczesnego pogrzebu do żelaznej trumny, Wilk był cały dzień, walił o jej ścianki rękami, aż pociekła z nich krew, i uderzał nogami w podwójnie zaryglowane drzwiczki jak od pieca piekarskiego, aż ból rozprzestrzenił się od stóp po krocze. Wiedział, że nie wydobędzie się dzięki waleniu w ściany pięściami i kopaniu, tak samo jak zdawał sobie sprawę, że nie zostanie wypuszczony tylko dlatego, że wrzeszczał, by to zrobiono. Ale nie potrafił się pohamować. Wilcy niczego bardziej nie znosili niż zamknięcia.

Jego krzyki roznosiły się po najbliższych częściach Domu Sunlighta i docierały nawet na pobliskie pola. Słyszący je chłopcy spoglądali na siebie nerwowo, chociaż nic nie mówili.

- Widziałem go rano w łazience. Ale się wściekł - zwierzył się Roy Owdersfelt Mortonowi niskim, nerwowym głosem.

- Dupczyli się, tak jak mówił Sonny? - zapytał Morton.

Z przysadzistego, żelaznego Pudła wydobyło się kolejne Wilcze wycie. Obaj chłopcy popatrzyli w tę stronę.

- I to jak! - odpowiedział gorliwie Roy. - Właściwie zem tego nie widział, bo jestem za niski, ale Buster Gates stał z przodu i mówił, że ten niedorozwój ma wacka wielkiego jak hydrant z Akron. Tak właśnie mówił.

- Jezu! - rzekł z szacunkiem Morton, myśląc zapewne o własnym, mniejszym od normy wacku.

Wilk był przez cały dzień, lecz umilkł, gdy zaczęło zachodzić słońce. Zapadła cisza, którą chłopcy odebrali jako złowieszczą. Często popatrywali po sobie i z coraz większym niepokojem spoglądali w stronę żelaznego prostopadłościanu stojącego na środku łysego placu na dziedzińcu z tyłu Domu. Pudło miało sześć stóp długości i trzy stopy wysokości. Gdyby nie wycięty w zwróconej na zachód ścianie nierówny kwadrat, pokryty mocną stalową siatką, wyglądałaby dokładnie jak trumna. Co się w niej działo? - zastanawiali się chłopcy. Nawet podczas spowiedzi, gdy zwykle ogarniało ich nabożne zapamiętanie i zapominali o wszystkich innych sprawach, zwracali oczy ku jednemu oknu w świetlicy, chociaż wychodziło ono na stronę zupełnie przeciwną niż ta, po której było Pudło.

*Co się tam dzieje?*

Hector Bast czuł, że chłopcy nie potrafią skupić się na spowiedzi i doprowadzało go to do szewskiej pasji, ale nie potrafił ich odwieść od innych rozmyślań, bo nie wiedział, czego właściwie dotyczą. Pensjonariuszy Domu ogarnęło uczucie lodowatego oczekiwania. Twarze mieli jeszcze bledsze niż zazwyczaj; ich oczy błyszczały jak narkomanom w terminalnym stadium.

*Co się tam dzieje?*

Działo się coś dość prostego.

Wilk wędrował za księżycem.

Czuł, że się to dzieje, gdy jeszcze lata słonecznego blasku, wpadającego przez otwór wentylacyjny, wędrowała coraz wyżej, a on sam nabierał czerwonego odcienia. Było zbyt wcześnie, by powędrować za księżycem, który jeszcze nie osiągnął pełni, i zaszkodziłoby to tylko Wilkowi. Wydawało się to jednak nieuniknione. Zawsze zdarzało się to Wilkom, czy była właściwa pora, czy nie, jeśli dręczono ich zbyt długo i ciężko. Wilk i tak długo się powstrzymywał - tylko dlatego, że zależało na tym Jackowi. Dokonywał dla swojego przyjaciela w tym świecie heroicznych czynów. Jack niejasno podejrzewał niektóre z nich, lecz nie otarł się nawet o zrozumienie niewiarygodnej ich głębi i mnogości.

Ale Wilk umierał, toteż powędrował za księżycem, bo to czyniło śmierć znośniejszą - niemal uświęconą i z pewnością z góry przesądzoną przez los. Wilk odchodził z ulgą i zadowoleniem. Cudownie było nie musieć się dłużej męczyć.

W jego ustach nagle pojawiło się pełno zębów.

3

Po wyjściu Hecka zaczęły rozlegać się biurowe odgłosy: ciche szuranie przesuwanych krzeseł, szcęk kluczy przy pasku Sunlighta Gardenera, szmer otwieranej i zamykanej szafki na akta.

- Abelson. Dwieście czterdzieści dolarów i trzydzieści sześć centów.

Dźwięk naciskanych klawiszy. Peter Abelson był chłopcem z Kadry Zewnętrznej. Jak wszyscy do niej należący był bystry, przystojny i nie miał żadnych defektów fizycznych. Jack widział go tylko kilka razy, ale uznał, że Abelson przypomina Dondiego - bezdomną sierotę o wielkich oczach z kreskówek.

- Clark. Sześćdziesiąt dwa dolary i siedemnaście centów.

Odgłos wciskanych klawiszy. Maszyna zaszczekała, gdy Sonny nacisnął przycisk podsumowania.

- Znaczny spadek - zauważył.

- Nie ma strachu, porozmawiam z nim. Proszę, nie paplaj, Sonny. Pan Sloat przylatuje do Muncie o dziesiątej piętnaście, a to daleka droga. Nie chcę się spóźnić.

- Przepraszam, wielebny.

Gardener odrzekł coś, czego Jack nie dosłyszał. Nazwisko "Sloat" sprawiło, że doznał koszmarne szoku - mimo to nie był bez reszty zaskoczony. Część jego natury zdawała sobie sprawę, że coś podobnego wchodziło w grę. Gardener od początku odnosił się do niego z podejrzliwością. Jack domyślał się, że do tej pory wielebny nie chciał zwracać swojemu szefowi głowy drobiazgami. Być może nie miał też ochoty przyznać się, że bez pomocy nie potrafi wyciągnąć z Jacka prawdy. W końcu jednak zadzwonił - gdzie? Na Wschodnie Wybrzeże? Zachodnie? Jack dałby wiele, żeby się tego dowiedzieć. Czy Morgan był w Los Angeles, czy w New Hampshire?

*Halo? Pan Sloat? Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam, ale miejscowa policja przywiozła mi chłopca - właściwie dwóch, ale chodzi mi tylko o inteligentniejszego z nich. Mam wrażenie, że go znam. A może to moje... och, drugie ja go zna. Mówi, że nazywa się Jack Parker, ale... co? Opisać go? W porządku...*

I bomba poszła w górę.

*Proszę, nie paplaj, Sonny. Pan Sloat przylatuje do Muncie o dziesiątej piętnaście...*

Nie zostało już prawie wcale czasu.

*Mówiłem ci, żebyś zabierał dupę do domu, Jack... Teraz jest już za późno.*

*Wszyscy chłopcy są źli. To pewnik.*

Jack uniósł odrobinę głowę i rozejrzał się po pokoju. Gardener i Sonny Singer siedzieli razem po drugiej stronie biurka w podziemnym gabinecie wielebnego. Sonny stukał w klawisze kalkulatora, podczas gdy Gardener podawał mu kolejne liczby. Każda liczba następowała po podawanym w alfabetycznym porządku nazwisku członka Kadry Zewnętrznej. Sunlight Gardener miał przed sobą rejestr, długą stalową szufladę na teczki i nieporządną stos kopert. Gdy wielebny uniósł jedną z nich, by odczytać wypisaną na przedzie kwotę, Jack dojrzał, co jest na odwrocie: rysunek dwóch szczęśliwych dzieci z Bibliami w dłoniach, trzymały się za ręce i podskakiwały w drodze do kościoła. Poniżej znajdował się napis. BĘDĘ PROMIENIEM ŚWIATŁA DLA JEZUSA.

- Temkin. Równo sto sześć dolarów.

Koperta dołączyła w stalowej szufladzie do innych, które zostały już zarejestrowane.

- Myślę, że znowu podprowadza forszę - powiedział Sonny.

- Bóg widzi prawdę i jest cierpliwy - odparł łagodnie Gardener. - Victor jest w porządku. Zamknij się wreszcie, bo musimy skończyć do szóstej.

Sonny znów zabrał się do stukania w klawisze.

Obraz kroczącego po wodzie Jezusa odchyłono w bok. Pod spodem znajdował się sejf. Otwarty.

Jack wypatrywał jeszcze kilka godnych zainteresowania przedmiotów na biurku Gardenera: koperty. Jedna z napisem: JACK PARKER, druga - PHILIP JACK WOLFE. Oraz swój stary plecak.

Trzecią rzeczą był pęk kluczy Sunlighta Gardenera.

Jack przeniósł wzrok z kluczy na zamknięte drzwi po lewej stronie gabinetu - wiedział, że jest to prywatne wyjście wielebnego na zewnątrz. Gdyby tylko istniał jakiś sposób...

- Yellin. Sześćdziesiąt dwa dolary i dziewiętnaście centów.

Gardener westchnął, włożył ostatnią kopertę do długiej, stalowej szuflady i zamknął rejestr.

- Najwidoczniej Heck miał rację. Myślę, że nasz drogi przyjaciel pan Jack Parker się obudził. - Wstał, okrążył biurko i podszedł do Jacka. Jego zamglone oczy lśniły obłędem. Sięgnął do kieszeni i wyjął zapalniczkę. Jack poczuł, że na sam jej widok wzbiera w nim panika. - Tylko wcale nie nazywasz się Jack Parker, prawda, drogi chłopcze? Naprawdę nazywasz się Sawyer, czyż nie? Och, tak, Sawyer. Ktoś, kto bardzo, ale to bardzo się tobą interesuje, zjawi się tu niedługo. Będziemy mu mieli do powiedzenia najprzeróżniejsze ciekawe rzeczy, prawda? - Sunlight Gardener zachichotał cienko i podniósł zaniknięcie zapalniczki, pod którym pokazało się poczerńiałe kółko i pociemniała od dymu dysza. - Spowiedź jest dobra dla duszy - szepnął.

Nacisnął dźwigienkę zapalniczki.

4

Łup.

- Co to było? - zapytał Rudolph, podnosząc głowę znad rzędu podwójnych piekarników.

Trwały właśnie w najlepsze przygotowania do kolacji - pieczenie piętnastu wielkich indyjskich pasztetów.

- To znaczy co? - spytał George Irwinson. Obierający przy zlewie ziemniaki Donny Keegan wydał swój głośny, rżący śmiech. - Niczego nie słyszałem - dodał Irwinson.

Donny znowu zarechotał. Rudolph popatrzył na niego z rozdrażnieniem.

- Zamierzasz do reszty porzucić te przeklęte ziemniaki, idioto?

- Chłę-chłę-chłę!

*Łup!*

- No! Tym razem na pewno słyszałeś, nie?

Irwinson tylko potrząsnął głową.

Rudolph nagle poczuł lęk. Dźwięki dobiegały z Pudła - oczywiście według oficjalnej wersji suszarni siana. Siano, jak cholera. Wsadzono tam tego dryblas - tego, którego podobno tego ranka przyłapano z przyjacielem w niedwuznaczonej sytuacji, a ten przyjaciel dzień wcześniej próbował przekupić Rudolpha, żeby wypuścił ich na zewnątrz. Mówili, że wielki chłopak pokazał swoją wredną stronę, zanim Bast mu przyłożył... a niektórzy inni twierdzili, że dryblas nie złamał Bastowi ręki, lecz zgniół ją na miazgę. Oczywiście było to kłamstwo - musiało - ale...

*ŁUP!*

Tym razem Irwinson się rozejrzył. Rudolph zaś nagle zdecydował, że musi iść do łazienki. I być może wybierze się w tym celu aż na drugie piętro. I nie wyjdzie z niej przez jakieś trzy, cztery godziny. Czuł, że szykuje się czarna robota - bardzo czarna robota.

*ŁUP-ŁUP!*

Chromolić pasztety z indyka.

Rudolph zdjął fartuch, rzucił go na blat - na solonego dorsza, którego odświeżał na jutrzejszą kolację, i ruszył do wyjścia.

- Dokąd pan idzie? - zapytał Irwinson; jego głos nagle stał się piskliwy i drżący.

Donny Keegan z opadającymi na oczy włosami obierał z furią ziemniaki tak grubo, że z wielkości piłek futbolowych nabierały rozmiarów piłeczek golfowych.

*ŁUP! ŁUP! ŁUP-ŁUP-ŁUP!*

Rudolph nie odpowiedział na pytanie Irwinsona. Zanim dotarł na pierwsze piętro, już prawie biegł. W Indianie panowały ciężkie czasy, trudno było o pracę, a Sunlight Gardener dobrze płacił.

Mimo wszystko Rudolph zaczął się zastanawiać, czy nie nadszedł czas, by poszukać sobie nowej roboty, pragnął stąd zniknąć.

*ŁUP!*

Pękł górny rygiel klapy Pudła. Przez chwilę pojawiła się ciemna szczelina.

Przez moment panowała cisza. Potem:

*ŁUP!*

Dolny rygiel zaskrzypiał i się wykrzywił.

*ŁUP!*

Pękł.

Drzwiczki Pudła stanęły otworem, czemu towarzyszyło skrzypienie prostych, chałupniczo wykonanych zawiasów. Wyłoniły się z nich podeszwami do góry dwie wielkie, gęsto porośnięte futrem stopy. Długie pazury wbiły się w ziemię. Wilk zaczął wydostawać się na zewnątrz.

6

Płomyk krążył tam i z powrotem przed oczyma Jacka. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Sunlight Gardener wyglądał jak krzyżówka scenicznego hipnotyzera i aktora z dawnych czasów, grającego w biografii Wielkiego Naukowca, emitowanej w "The Late, Late Show". Na przykład Paula Muniego. Było to nawet zabawne - gdyby Jack nie bał się potwornie, toby się roześmiał. Być może roześmiałby się tak czy inaczej.

- Na razie mam do ciebie kilka pytań, a ty na nie nie odpowiesz - powiedział Gardener. - Pan Morgan na pewno wydobyłby z ciebie wyznanie - och, niewątpliwie bez trudu! - ale wolę nie zwracać mu tym głowy. A więc... od jak dawna potrafisz Migrować?

- Nie wiem, o co panu chodzi.

- Od jak dawna potrafisz Migrować do Terytoriów?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Płomień się przybliżył.

- Gdzie jest Czarnuch?

- Kto?

- Czarnuch. Czarnuch! - krzyknął Gardener przenikliwie. - Parker, Parkus, jakkolwiek się nazywa? Gdzie on jest?

- Nie wiem, o kim pan mówi.

- Sonny! Andy! - zawołał Gardener. - Rozwiążcie mu lewą rękę i ją przytrzymajcie.

Warwick pochylił się nad ramieniem Jacka i zaczął manipulować. W chwilę później razem z Sonnym odciągali rękę Jacka od jego pleców. Świerbiła go, czuł w niej ukłucia od zdrtwienia. Starał się szarpać, ale na nic się to nie zdało. Chłopcy podstawili rękę wielebnemu.

- Teraz rozłóżcie mu palce.

Sonny pociągnął mały i serdeczny palec Jacka w jedną stronę, Warwick - środkowy i wskazujący w drugą. W chwilę później Gardener przystawił płomień zapalniczki do fałdu skóry w powstałym w ten sposób trójkącie. Ból był nieprawdopodobnie silny - przenikał przez ramię i zdawał się wypełniać całe ciało. Jack poczuł w nozdrzach słodkawy zapach spalenizny. Własnego ciała. Płonął.

Wieczność później Gardener odjął zapalniczkę i ją zamknął. Jego czoło pokryły drobniutkie kropelki potu. Dyszał.

- Diabły krzyczą, zanim wyjdą z człowieka - rzekł. - Och, tak, naprawdę krzyczą. Czyż nie, chłopcy?

- Tak, Bogu niech będzie chwała - powiedział Warwick.

- Trafiłeś prosto w ten gwóźdź, wielebny - dodał Sonny.

- Och, tak, wiem to. Naprawdę wiem. Znam sekrety zarówno chłopców, jak i diabłów. - Gardener zachichotał piskliwie i pochylił się tak, że ledwie cal dzielił go od twarzy Jacka. Nozdrza chłopca przepełniła dusząca woń wody kolońskiej. Chociaż była ohydna, w tej chwili wydała mu się o wiele lepsza niż odór jego przypalonego ciała. - No, Jack. Od jak dawna Migrujesz? Gdzie jest czarnuch? Jak dużo wie twoja matka? Kto ci o tym powiedział? Czy to był czarnuch? Od tego zacznijmy.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Gardener obnażył zęby w uśmiechu.

- Chłopcy, jeszcze wpuścimy światło w duszę waszego kolegi - powiedział. - Przywiążcie mu prawą rękę i rozwiążcie lewą.

Sunlight Gardener ponownie otworzył zapalniczkę i zczekał, aż wykonają jego polecenie, trzymając cały czas kciuk na kółku.

7.

George Irwinson i Donny Keegan wciąż znajdowali się w kuchni.

- Ktoś tam jest - rzekł nerwowo George.



Donny nie odpowiedział. Skończył obierać ziemniaki i grzał się przy piekarnikach. Nie miał pojęcia, co dalej robić. Wiedział, że w głębi korytarza trwa spowiedź. Tam właśnie chciałby być - podczas spowiedzi nic nie groziło, a w kuchni bardzo, ale to bardzo się denerwował - ale Rudolph nie pozwolił im odejść. Najlepiej zostać na miejscu.

- Kogoś słyszałem - powiedział George.

- Chłe-chłe-chłe! - zarechotał Donny.

- Jezu, rzygać mi się chce od tego twojego śmiechu - rzekł George. - Mam pod materacem nowy komiks z Kapitanem Ameryką. Jak wyjrzysz, to pozwolę ci go obejrzeć.

Donny potrząsnął głową i znowu zarżał jak osioł.

George obejrzał się na drzwi. Coś tam było słyhać. Skrobanie. Tak właśnie to brzmiało. Jak skrobanie do drzwi. Jakby jakiś pies prosił, by wpuścić go do środka. Bezdomny, zagubiony szczeniak. Tylko jaki szczeniak skrobał u szczytu drzwi, które miały prawie siedem stóp wysokości?

George podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Nie mógł niemal niczego dojrzeć w mroku. Pudło stanowiło zaledwie ciemniejszy kształt wśród cieni.

Podszedł do drzwi.

8

Jack wrzasnął tak głośno, że pomyślał, iż na pewno popękało mu gardło. Do jego prześladowców dołączył Casey - Casey z wielkim, obwisłym brzuszyskiem. I bardzo dobrze - dla nich - bo w tej chwili wszyscy trzej, Casey, Warwick i Singer musieli szarpać się z Jackiem, by podstawić jego rękę pod zapalniczkę.

Gdy Gardener cofnął ją wreszcie, tym razem na boku dłoni Jacka pojawiła się czarna, pokryta pęcherzami i sącząca się plama wielkości ćwierćdolarówki.

Gardener wstał, wziął z biurka kopertę z napisem: JACK PARKER i wrócił z nią do chłopca. Wyjął kostkę do gry na gitarze.

- Co to jest?

- Kostka do gry - zdołał wydusić z siebie Jack.

W obu rękach palił go koszmarny ból.

- Czym jest w Terytoriach?

- Nie wiem, o co panu chodzi.

- Co to jest?

- Kulka. Co jest, oślepl pan?

- Czy w Terytoriach to też zabawka?
- Nie...
- Czy to lusterko?
- ...wiem...
- Czy też bąk, którego wierzch znika, gdy szybko się obraca?
- ...o czym...
- WIESZ! NAPRAWDĘ WIESZ, PEDAŁÓWATY, POTĘPIONY SZCZENIAKU!
- ...pan mówi.

Gardener rąbnął Jacka otwartą ręką w twarz.

Wyjął srebrną dolarówkę. Oczy mu załśniły.

- Co to jest?
- Amulet od cioci Helen.
- Czym jest w Terytoriach?
- Pudełkiem ryżowych chrupek.

Gardener uniósł zapalniczkę.

- Daję ci ostatnią szansę, chłopcze.
- Zamienia się w wibrafon i gra "Crazy Rhythm".
- Przytrzymajcie mu prawą rękę - powiedział Gardener.

Jack zaczął się szarpać, ale w końcu prześladowcy zdołali wyprostować mu dłoń.

9

Pasztety z indyka zaczęły przypalać się w piekarnikach.

George Irwinson stał pod drzwiami prawie pięć minut, zbierając siły, by je otworzyć. Odgłos skrobania się nie powtórzył.

- No, pokażę ci, że nie było się czego bać, tchórze - powiedział z animuszem George.
- Gdy jesteście silni w Panu, nigdy nie ma potrzeby się lękać.

Po tym pompatycznym stwierdzeniu otworzył szarpnięciem drzwi. Na progu stała wielka, włochata, pogrążona w cieniu istota z gorejącymi czerwono ślepiami w głębokich oczodołach. George powiódł wzrokiem za jedną z jej łap, która uniosła się w wietrznej, jesiennej ciemności i opadła ze świstem. W świetle padającym z kuchni zabłysły sześciocalowe pazury. Zmiotły głowę George'a Irwinsona z karku. Brocząc krwią, poszybowała przez kuchnię i trafiła w buty wciąż śmiejącego się głupkowato Donny'ego Keegana.

Wilk wskoczył do kuchni i opadł na cztery łapy. Minął Donny'ego Keegana, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem, i wybiegł na korytarz.

10

*Wilk! Wilk! Właśnie tu i teraz!*

Zgadza się, w umyśle Jacka rozlegał się głos Wilka, ale miał głębsze i bardziej stanowcze brzmienie, niż chłopiec kiedykolwiek słyszał. Przeniknęło ono przez otulającą jego umysł mgłę bólu z taką łatwością, jakby to był nóż z doskonałej szwedzkiej stali.

Wilk ruszył za księżycem, pomyślał Jack. Myśl ta wzbudziła w nim mieszaninę triumfu i smutku.

Sunlight Gardener podniósł głowę i zmrużył oczy. W tej chwili sam wyglądał jak bestia - zwierzę, które wyczuło z wiatrem zapach niebezpieczeństwa.

- Wielebny? - zapytał Sonny.

Nastolatek dyszał lekko i miał bardzo rozszerzone źrenice oczu. Doskonale się bawi, pomyślał Jack. Jeśli się odezwę, będzie bardzo rozczarowany.

- Coś słyszałem - powiedział Gardener. - Casey, idź sprawdzić, co się dzieje w kuchni i świetlicy.

- Dobra.

Casey ruszył spełnić polecenie. Gardener popatrzył na Jacka.

- Niedługo muszę wyjeżdżać do Muncie - powiedział. - Kiedy spotkam się z panem Morganem, chcę móc mu od razu przekazać trochę informacji, więc lepiej zacznij mówić, Jack. Oszczędź sobie dalszego bólu.

Jack podniósł na niego wzrok, żywiąc nadzieję, że łomotu jego serca nie zdradzi ani wyraz twarzy, ani przyspieszony, wyraźny puls na szyi. Jeśli Wilk wydostał się z Pudła...

Gardener uniósł w jednej dłoni kostkę, którą Jack dostał od Speedy'ego, a w drugiej - monetę od kapitana Farrena.

- Co to jest?

- Kiedy przeskakuję, zamieniają się w jądra morświna - powiedział Jack i histerycznie się roześmiał.

Twarz Gardenera pociemniała z gniewu.

- Zwiążcie mu znów ręce - rozkazał Sonny'emu i Andy'emu. - Zwiążcie mu ręce i ściągnijcie temu piekielnemu skurczybykowi portki. Zobaczmy, jak zareaguje, kiedy podgrzejemy mu jądra.

Heck Bast był śmiertelnie znudzony spowiedzią. Słyszał już niezliczone razy wszystkie te pospolite grzechy rodem z pocztowego katalogu. *Świsnąłem pieniądze z portmonetki matki, ćmiłem skręty na szkolnym boisku, nalewaliśmy kleju do papierowej torby i wachaliśmy. Zrobiłem to, zrobiłem tamto.* Dziecięce psoty. Nic ekscytującego. Nic, co mogłoby oderwać jego myśli od tępego pulsowania bólu w ręce. Heck żałował, że nie jest na dole i nie obrabia tego całego Sawyera. Potem mogliby zabrać się do tego wielkiego niedorozwoja, który jakimś cudem go zaskoczył i zgruchotał mu dobrą prawą rękę. Tak, obrabianie wielkiego niedorozwoja powinno być prawdziwą przyjemnością. Najlepiej za pomocą nożyc do cięcia drutu.

- ...no to ja i on żeśmy zobaczyli, że są w niej kluczyki, czaicie, o co mi biega - cedził w tej chwili chłopiec nazwiskiem Vernon Skarda. - No to on nadaje: "Wskakujmy do tej kurwy, przewieziemy się dookoła kwartału", tak mówi. Ale ja zatrybiłem, że coś jest nie tak, i tak mówię, a on na to: "Z ciebie to tylko zasrany tchórz". No to ja: "Nie jestem żaden zasrany tchórz". O tak. To on na to: "Udowodnij to". Żeby mu udowodnić. To ja: "Nie skręcę żadnej bryki", a on na to...

Och, Boże drogi, jęknął w duchu Heck. Ręka zaczynała mu naprawdę solidnie dokuczać, a proszki od bólu miał w swoim pokoju. Zobaczył, że Peabody w drugim końcu sali otwiera usta w ziewnięciu, mało sobie przy tym szczęki nie zwichnął.

- No to przejechaliśmy się dookoła kwartału, i on wtedy nadaje do mnie, nadaje...

Drzwi nagle otworzyły się z takim impetem, że spadły z zawiasów od siły uderzenia w ścianę. Po odbiciu się od niej przewróciły Toma Cassidy'ego i przygniotły do podłogi. Coś wskoczyło do świetlicy - Heck Bast z początku pomyślał, że to największy kurewski pies, jakiego widział w życiu. Chłopcy zaczęli wrzeszczeć i zrywać się z krzesel... po czym zamarli z rozszerzonymi z niedowierzania oczyma, gdy szaroczarna bestia, która była Wilkiem, wyprostowała się, wciąż w strzępach płóciennych spodni i kraciastej koszuli.

Vernon Skarda gapił się na niego z wybaluszonymi oczyma i rozdziawionymi ustami.

Wilk ryknął, wodząc gorejącymi ślepiami za cofającymi się przed nim chłopcami. Pedersen rzucił się do drzwi. Wilk - tak wysoki, że niemal sięgał głową do sufitu - ruszył płynnie z miejsca z oszałamiającą szybkością. Zamachnął się ramieniem tak grubym jak belka zapolnicy. Wyrwał pazurami szramy w grzbiecie Pedersena. Przez chwilę było wyraźnie widać

kręgosłup - wyglądał jak zakrwawiony kabel od przedłużacza. Pedersen zrobił jeszcze długi, nierówny krok na korytarz i zwałił się na podłogę.

Wilk odwrócił się... i jego gorejące spojrzenie spoczęło na Hecku. Bast podniósł się na nogi, w których nagle stracił czucie. Utkwił wzrok we włochatym monstrum o czerwonych ślepiach. Wiedział, kim jest... lub przynajmniej kim było.

W tym momencie Heck Bast oddałby wszystko na świecie za to, żeby tylko znów się nudzić.

12

Jack znowu siedział na krześle. Poparzone, pulsujące bólem ręce ponownie mu skrepowano za plecami - Sonny zasznurował wyjątkowo ciasno kaftan bezpieczeństwa, po czym rozpiął Jackowi spodnie i je ściągnął do kostek.

- Teraz posłuchaj mnie, i to uważnie, Jack - powiedział Gardener, podstawiając zapalniczkę tak, żeby chłopiec ją widział. - Zamierzam znowu zacząć zadawać ci pytania. Jeżeli tym razem nie odpowiesz na nie posłusznie i szczerze, to już nigdy nie będziesz mógł się oddawać praktykom homoseksualnym.

Sonny Singer zachichotał radośnie na te słowa. Mętny, półmartwy wyraz pożądania znów pojawił się w jego oczach. Zapatrzył się w twarz Jacka z przyprawiającą o mdłości odmianą żądy.

- Wielebny! Wielebny! - rozległ się krzyk najwyraźniej czymś wystraszonego Caseya. Jack otworzył oczy. - Na górze jest jakaś zadyma!

- Nie zwracajcie mi teraz głowy.

- Donny Keegan śmieje się w kuchni jak wariat! A...

- Wielebny powiedział, żeby nie zwracać mu głowy - upomniał Sonny. - Nie słyszałeś?

Casey był jednak zbyt przerażony, by przestać.

- ...a w świetlicy chyba doszło do buntu! Wrzeszczą tam! Krzyczą! Tak jakby...

W duchu Jack usłyszał nagle wołanie o niewiarygodnej sile i witalności: *Jacky! Gdzie jesteś? Wilk! Gdzie jesteś właśnie tu i teraz?*

- ...było tam całe stado pourywanym z łańcuchów psów czy coś!

Gardener popatrzył wreszcie na Caseya zmrużonymi oczyma i z całych sił zacisnął usta.

*W gabinecie Gardenera. Na dole! Tam gdzie byliśmy wcześniej!*

*Na DOLE? Jacky?*

*Po schodach! W dół po SCHODACH, Wilku!*

*Właśnie tu i teraz!*

Porozumieli się; głos Wilka ucichł w jego umyśle. Z góry dosłyszał łoskot i krzyk.

- Wielebny? - zapytał Casey. Jego zwykle rumiana twarz była w tej chwili śmiertelnie blada. - Wielebny, co się dzieje? Co...

- Zamknij się! - powiedział Gardener. Casey szarpnął się w tył, jakby został spoliczkowany. W jego rozszerzonych oczach pojawiło się poczucie krzywdy, wyraźnie zdrząły mu obwisłe policzki. Gardener minął go i podszedł do sejfu. Wyciągnął z niego wielki pistolet i wepchnął sobie za pas. Po raz pierwszy wielebny Sunlight Gardener wyglądał na zdezorientowanego i przestraszonego.

Na górze rozległ się stłumiony odgłos czegoś roztrzaskiwanego, a po nim skrzek. Singer, Warwick i Casey równocześnie zwrócili wzrok w górę. Wyglądali jak uciekinierzy w schronie przeciwlotniczym, nasłuchujący raptownie narastającego świstu.

Gardener obejrzał się na Jacka. Na twarzy wielebnego pojawił się uśmiech. Kąciki jego ust podrygiwały nieregularnie, jakby były do nich przywiązane sznurki, za które pociągał niespecjalnie dobry w swym fachu lalkarz.

- Przyjdzie tutaj, prawda? - spytał Sunlight Gardener i pokiwał głową, jakby usłyszał od Jacka odpowiedź. - Przyjdzie... ale chyba już stąd nie wyjdzie.

13

Wilk skoczył. Heck Bast zdołał zasłonić gardło ręką w gipsie. Poczul palący przypływ bólu, usłyszał trzask i zobaczył obłoczek rozpylonego gipsu, gdy Wilk odgryzł go - oraz to, co zostało z dłoni. Heck popatrzył bezmyślnie na miejsce po niej. Krew buchała z jego nadgarstka. Zalała gorącą, szkarłatną strugą jego golf.

- Proszę - zaskomlał Heck. - Proszę, proszę, nie...

Wilk wypluł rękę. Jego głowa wyskoczyła naprzód z szybkością atakującego węża. Heck poczul niejasne uczucie ciągnięcia, gdy Wilk rozpruł jego gardło - a potem nie czuł już nic.

14

Gdy Peabody wypadł ze świetlicy, poślizgnął się na krwi Pedersena. Upadł na kolano, poderwał się i pobiegł korytarzem parteru tak szybko, jak tylko potrafił, po drodze wymiotując na swoje ubranie. Wszędzie biegali wrzeszczący w panice chłopcy. Sam Peabody nie odczuwał aż tak krańcowego przerażenia. Pamiętał, co powinien zrobić w wyjątkowej sytuacji - chociaż nie podejrzewał, że ktokolwiek przewidział sytuację aż tak wyjątkową. Domyślał się, że wielebny Gardener wyobrażał sobie co najwyżej, że któremuś z chłopaków odpierdoli na maksa i pochlasta drugiego czy coś w tym rodzaju.

Za salonem, gdzie przyjmowano nowo przybyłych chłopców do Domu Sunlighta, znajdował się mały gabinet, z którego korzystały wyłącznie oprychy, czyli tak zwani przez Gardenera uczniowie-adiutantci.

Peabody zamknął się w tym pokoju, chwycił za telefon i wykręcił numer alarmowy. Po chwili mówił z Frankiem Williamsem.

- Peabody z Domu Sunlighta - powiedział. - Musi pan tu przyjechać i zabrać ze sobą tylu policjantów, ilu tylko pan zdoła. Rozpętało się tu...

Przez drzwi usłyszał zawodzący krzyk, po którym rozległ się trzask łamanego drewna. Następnie zabrzmiał warkliwy, gromki ryk, a krzyk urwał się nagle.

- ...istne piekło - dokończył Peabody.

- Jakie znowu piekło? - zapytał ze zniecierpliwieniem Williams. - Daj do telefonu Gardenera.

- Nie wiem, gdzie jest wielebny, ale na pewno chce, żeby pan tu przyjechał. Mamy zabitych. Zabite dzieciaki.

- Co?!

- Niech pan tu po prostu przyjedzie z mnóstwem ludzi - powiedział Peabody. - I mnóstwem broni.

Rozległ się kolejny krzyk. Załomotało i zadudniło coś ciężkiego - pewnie stary kredens we frontowym holu.

- Z karabinami maszynowymi, jeśli je pan ma.

Zagrzechotał kryształ - spadł wielki kandelabr w holu. Brzmiało to tak, jakby potwór rozwałął gołymi rękami cały dom na kawałki.

- Do diabła, przywieź pan bombę atomową, jeśli tylko pan możesz - rzucił Peabody, zaczynając się jękać.

- Co...

Peabody rozłączył się, zanim Williams zdążył dokończyć pytanie. Wpełził pod biurko. Otoczył głowę ramionami. I zaczął się gorliwie modlić, żeby to wszystko okazało się tylko snem - najgorszym kurewskim koszmarem, jaki mu się kiedykolwiek przyśnił.

15

Wilk szalał na korytarzu parteru między świetlicą i frontowymi drzwiami. Zatrzymał się tylko po to, żeby przewrócić kredens, po czym podskoczył i bez trudu chwycił za kandelabr. Zakołysał się na nim jak Tarzan, aż kandelabr oderwał się od sufitu, spadł i rozsiał rżnięte kryształy po całym bieżniku.

*Na DÓŁ. Jacky jest na DOLE. No... w którą to będzie stronę?*

Chłopiec, który nie potrafił znieść dłużej wyczekiwania, aż stwór zniknie, szarpnął drzwi szafki, w której się schował, i rzucił się w stronę schodów. Wilk złapał go i rzucił przez całą długość korytarza. Chłopiec wpadł z łoskotem na zamknięte drzwi do kuchni i osunął się na podłogę z pogruchotanymi kośćmi.

Wilkowi kręciło się w głowie od odurzającego zapachu świeżo przelanej krwi. Włosy zwisały mu w zakrwawionych dreadach dookoła szczęk i pyska. Próbował myśleć tylko o jednym, przychodziło mu to jednak z bezgranicznym trudem. Musiał bardzo szybko znaleźć Jacka, bo inaczej do reszty straciłby zdolność myślenia.

Pognał z powrotem do kuchni, przez którą dostał się do środka. Opadł na cztery łapy, bo w ten sposób poruszał się szybciej i łatwiej... nagle przypomniał sobie, gdy mijał zamknięte drzwi. Wąskie miejsce. Tak jakby schodził do grobu. Mokry i ciężki zapach w gardle...

*Na DÓŁ. Za tamtymi drzwiami. Właśnie tu i teraz!*

- Wilk! - krzyknął, jednak kryjący się na parterze i piętrze chłopcy usłyszeli tylko narastające, triumfalne wycie.

Wzniósł dwa potężnie umięśnione tarany - swoje ręce - i rąbnął nimi w drzwi. Pękły w połowie, rzygając drzazgami na schody. Wilk wpadł ich śladem - i istotnie odnalazł miejsce wąskie jak gardziel. Tędy można było się dostać do miejsca, gdzie Biały Człowiek mówił kłamstwa, a Jack i Słabszy Wilk musieli siedzieć i go słuchać.

Jack był na dole. Wilk wreszcie go wyczuwał węchem.

Czuł jednak również Białego Człowieka... i proch.

*Ostrożnie...*



Och, tak. Wilcy wiedzieli, co to ostrożność. Wilcy umieli biegać, rozszarpywać i zabijać, ale kiedy musieli... potrafili zachować ostrożność.

Zszedł na czworakach po schodach, cicho jak oleisty dym, z oczami czerwonymi jak światła hamulcowe.

16

Gardener z każdą chwilą denerwował się coraz bardziej; dla Jacka wyglądał jak człowiek, któremu za chwilę zupełnie odbije szajba. Nerwowo spoglądał to na studio, w którym Casey wytężał słuch, to na krzesło z Jackiem i wreszcie na zamknięte drzwi prowadzące na korytarz.

Hałasy na górze ustały niemal całkowicie już jakiś czas temu.

Sonny Singer ruszył wreszcie do drzwi.

- Pójdę na górę i sprawdzę...

- Nigdzie nie pójdziesz! Wracaj tutaj!

Sonny skulił się, jakby Gardener go uderzył.

- O co chodzi, wielebny? - zapytał Jack. - Wygląda pan na nieco zdenerwowanego.

Sonny wymierzył mu policzek tak silny, że chłopiec aż się zachwiał.

- Uważaj, jak się wyrażasz, glucie! Po prostu uważaj, co mówisz!

- Ty też wyglądasz na zdenerwowanego, Sonny. I ty, Warwick. A Casey...

- Zmuscie go, żeby się zamknął! - krzyknął nagle Gardener. - Nie potraficie niczego sami zrobić? Czy wszystko muszę tutaj robić własnymi rękami?

Sonny ponownie zdzielił Jacka w twarz, tym razem o wiele silniej. Chłopcu zaczęła ciec z nosa krew, ale mimo to się uśmiechnął. Wilk był już bardzo blisko... i zachowywał ostrożność. Jack zaczął mieć szaleńczą nadzieję, że mimo wszystko ujdą stąd z życiem.

Casey nagle się wyprostował, zdarł słuchawki z głowy i nacisnął klawisz interkomu.

- Wielebny! Słyszę syreny przez mikrofony na zewnątrz! Gardener zwrócił niesamowicie wytrzeszczone oczy w stronę Caseya.

- Co? Ile? Jak daleko?

- Chyba mnóstwo - odparł Casey. - Są jeszcze za daleko, ale się zbliżają - nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

W tym momencie Gardener stracił panowanie nad sobą. Jack dostrzegł to wyraźnie: wielebny siedział przez chwilę niezdecydowany, wreszcie otarł delikatnie usta brzegiem dłoni.

*Nie chodzi o to, co dzieje się na górze ani o syreny. On również wie, że Wilk jest blisko. Na swój sposób wyczuwa go... i wcale mu się to nie podoba. Wilku, chyba mamy szansę! Może nam się uda!*

Gardener podał pistolet Sonny'emu Singerowi.

- W tej chwili nie mam czasu na zajmowanie się policją ani bałaganem, którego ktoś chyba narobił na górze - powiedział. - Spotkanie z Morganem Sloatem ma dla mnie wyjątkowe znaczenie. Jadę do Muncie. Sonny, ty i Andy jedziecie ze mną. Miej na muszce naszego przyjaciela Jacka, dopóki nie wyprowadzę samochodu z garażu. Wyjdźcie, kiedy usłyszycie klakson.

- A co z Caseyem? - burknął Andy Warwick.

- Tak, dobrze, Casey też pojedzie - zgodził się natychmiast Gardener.

Jack pomyślał: Porzuca was, głupie szcyle. Zostawia was, to tak oczywiste, jakby wynajął billboard na Sunset Strip i to ogłosił, a wy macie tak pokićkane we łbach, że nawet nie potraficie tego dostrzec. Możecie siedzieć tutaj i czekać na klakson nawet dziesięć lat, jeśli wystarczy wam na tak długo żarcia i srajtaśmy.

Gardener wstał. Sonny Singer z zarumienioną od powierzonego obowiązku twarzą usiadł powoli za biurkiem i wycelował pistolet w Jacka.

- Jeśli pokaże się jego niedorozwinięty przyjaciel, to go zastrzel - powiedział Gardener.

- Jak może się tu pokazać? - spytał Sonny. - Siedzi przecież w Pudle.

- Nieważne - odparł Gardener. - Jest zły, obaj są źli, to niewątpliwe, to pewnik, ale jeśli ten niedorozwój się pokaże, to go zastrzel. Zastrzel ich obu. - Pogmerał wśród kluczy na kółku i wybrał właściwy. - Kiedy usłyszycie klakson - powtórzył.

Otworzył drzwi i wyszedł. Jack wyteżył słuch, czy nie rozlega się dźwięk syren, lecz bez rezultatu.

Za wielebnym Sunlightem Gardenerem zamknęły się drzwi.

17

Czas wydawał się rozciągać.

Minuta zdawała się trwać dwie, dwie wydawały się trwać dziesięć, dziesięć ciągnęło się godzinę. Trzech uczniów-adiutantów, których Gardener zostawił z Jackiem, wyglądało jak chłopcy przyłapani na grze w posągi. Sonny siedział za biurkiem wielebnego wyprostowany jakby kij połknął - w miejscu, którego pożądał i którym się teraz sycił. Przez cały czas

mierzył z pistoletu w twarz Jacka. Warwick stał przy drzwiach na korytarz. Casey siedział w jaskrawo oświetlonej kabinie, znowu ze słuchawkami na uszach. Przez okno wpatrywał się nieprzytomnie w pogrążoną w ciemnościach kaplicę; nic nie widział, tylko słuchał.

- Wiecie chyba, że nie zabierze was ze sobą - odezwał się nagle Jack.

Dźwięk własnego głosu zaskoczył nawet jego. Zabrział on spokojnie i nie słysząc w nim było ani cienia trwogi.

- Zamknij się, głucie - wypalił Sonny.

- Nie wstrzymuj oddechu, dopóki nie usłyszysz tego klaksonu - dodał Jack. - Nabawisz się porządnej sinicy.

- Jeśli powie jeszcze słowo, złam mu nos, Andy - powiedział Sonny.

- Pewnie - rzekł Jack. - Złam mi nos, Andy. Zastrzel mnie, Sonny. Jadą tu gliny, Gardener się zmył, a oni znajdą was trzech nad trupem w kaftanie bezpieczeństwa. - Urwał i poprawił się. - Trupem w kaftanie bezpieczeństwa i ze złamanym nosem.

- Przyłóż mu, Andy - rzucił Sonny.

Andy odsunął się od drzwi i podszedł do krzesła, na którym Jack siedział w kaftanie i ze spuszczonej do kostek spodniami.

Jack popatrzył Warwickowi prosto w oczy.

- No pewnie, Andy - powiedział. - Przyłóż mi. Nie będę się ruszał. Piekielnie łatwy cel.

Andy Warwick zacisnął pięść, odwiódł ją... i się zawahał. W jego oczach zamajaczyła niepewność.

Na biurku Gardenera stał zegar cyfrowy. Jack na chwilę przeniósł nań spojrzenie, po czym popatrzył z powrotem na twarz Warwicka.

- Minęły cztery minuty, Andy. Ile czasu potrzeba, żeby wyprowadzić samochód z garażu? Zwłaszcza jeśli facet się spieszy?

Sonny Singer wyskoczył z fotela Sunlighta Gardenera, okrążył biurko i rzucił się na Jacka. Na jego wąskiej, chytrej twarzyczce widniała furia. Zacisnął pięści i zamierzył się na Jacka. Większy od niego Warwick powstrzymał go. Na twarzy wyrostka malowała się w tej chwili niepewność - i głębokie zakłopotanie.

- Zaczekaj - rzekł.

- Nie muszę tego słuchać. Nie...

- Może zapytasz Caseya, jak blisko słysząc syreny? - zapytał Jack, a Warwick zmarszczył się jeszcze bardziej. - Wystawił was do wiatru, nie zdajecie sobie z tego sprawy?

Mam to wam narysować? Wszystko się tu wali. Gardener to zrozumiał - wywęszył to! Zostaliście z ręką w nocniku. Sądząc po tym, co słyhać z góry...

Singer wyrwał się z niepewnego uścisku Warwicka i rąbnął Jacka w policzek. Głowa chłopca zatoczyła się na bok i wróciła powoli do poprzedniego położenia.

- ...ten nocnik jest pełen najgorszego możliwego syfu - dokończył.

- Zamknij się albo cię zabiję - syknął Sonny.

Cyfry na zegarze na biurku wciąż się zmieniały.

- Minęło już pięć minut - rzekł Jack.

- Rozwiążmy go, Sonny - powiedział łamiącym się głosem Warwick.

- Nie! - W głosie Sonny'ego słyhać było furję, poczucie krzywdy... i bezgraniczne przerażenie.

- Wiesz, co powiedział wielebny - odrzekł raptownie Warwick. - Przedtem, zanim przyjechali ludzie z telewizji. Nikomu nie wolno zobaczyć kaftanów. Niczego by nie zrozumieli. Oni...

Szczęknął interkom.

- Sonny! Andy! - W głosie Caseya brzmiała panika. - Są bliżej! Syreny! Chryste! Co mamy robić?

- Wypuścić go, natychmiast! - Warwick pobladł, jedynie u szczytu jego policzków widać było dwie czerwone plamy.

- Wielebny Gardener powiedział też...

- Gównu mnie obchodzi, co jeszcze powiedział! - Warwick zniżył głos, w którym słyhać było teraz najgłębsze dziecięce obawy. - Złapią nas, Sonny. Złapią nas!

Jack również dosłyszał syreny, chociaż może rozbrzmiewały one jedynie w jego wyobraźni.

Sonny popatrzył w jego stronę ze straszliwym niezdecydowaniem człowieka, który znalazł się w pułapce. Uniósł trochę pistolet, a Jack pomyślał, że rzeczywiście go zastrzeli.

Minęło już jednak sześć minut, a bóstwo wciąż nie zatrąbiło. Dowodziło to, że deus ex machina jest już w tej chwili in machina w drodze do Muncie.

- Sam go wypuść - powiedział krnąbrnym głosem Sonny do Andy'ego Warwicka. - Nie chcę go nawet tknąć. To grzesznik. I pedał.

Sonny cofnął się za biurko, podczas gdy Andy zaczął rozwiązywać troczki kaftana bezpieczeństwa.

- Lepiej nic nie mów - wysapał. - Lepiej nie odzywaj się ani słowem, bo sam cię zabiję.

Prawą rękę uwolniono.

Lewą rękę uwolniono.

Obydwe opadły Jackowi bezwładnie na podełek. Znów poczuł klucie i mrowienie.

Warwick ściągnął z niego znienawidzony kaftan - koszmar ze spłowiałego płótna i rzemieni z niewyprawionej skóry. Wyrostek popatrzył na swoje dłonie i się skrzywił. Przebiegł przez pokój i zaczął upychać kaftan w sejfie Gardenera.

- Podciągnij portki - powiedział Sonny. - Myślisz, że mam ochotę oglądać twój interes?

Jack niezgrabnie podciągnął majtki, chwycił spodnie w pasie, upuścił je, aż wreszcie zdołał doprowadzić je do ładu.

Znowu szczęknął interkom.

- Sonny! Andy! - odezwał się spanikowany Casey. - Coś słyszałem!

- Zajeżdżają? - prawie krzyknął Sonny. Warwick podjął ze zdwojoną energią wysiłki upchnięcia kaftana w szafie. - Zajeżdżają pod Dom...

- Nie! Z kaplicy! Nic nie widzę, ale słyszałem coś w...

Eksplodowało rozlatujące się szkło i Wilk wskoczył do studia z pogrążonej w mroku kaplicy.

18

Casey odepchnął się od konsolety i zerwał się z fotela na kółkach. System nagłaśniający wychwycił jego krzyki i retransmitował je z koszmarnie spotęgowaną mocą.

W studiu rozszalała się szklana zamieć. Wilk wylądował na pochyłej konsolecie na wszystkich czterech kończynach. Zsunął się po niej kawałek, oczy gorzały mu czerwonym blaskiem. Długimi pazurami na oślepc wciskał klawisze i obracał pokrętła. Zaczęły się obracać szpule wielkiego magnetofonu Sony.

“...KOMUNIŚCI!” - ryknął głos Sunlighta Gardenera. Nastawiona na maksimum aparatura zagłuszała wrzaski Caseya i krzyki Warwicka, żeby Sonny zastrzelił to coś, zastrzelił, zastrzelił! Gardener miał jednak akompaniament. W tle jak piekielna muzyka rozlegało się stłumione buczenie mnóstwa syren - mikrofony Caseya wychwytyły odgłosy kawalkady policyjnych radiowozów, skręcających na podjazd Domu Sunlighta.

“OCH, BĘDĄ WAM WMAWIALI, ŻE OGLĄDANIE TYCH SPROŚNYCH PISEMEK NIC NIE SZKODZI! BĘDĄ WAM WMAWIALI, ŻE NIC NIE SZKODZI, IŻ PRAWO ZABRANIA MODLITW W SZKOŁACH PAŃSTWOWYCH. BĘDĄ WAM

WMAWIALI, ŻE NIE MA NAWET ZNACZENIA, IŻ SZESNASTU CZŁONKÓW IZBY REPREZENTANTÓW USA I DWÓCH GUBERNATORÓW STANÓW ZJEDNOCZONYCH TO ZDEKLAROWANI HOMOSEKSUALIŚCI! BĘDĄ WAM WMAWIALI...”.

Fotel Caseya potoczył się pod przeszkloną ściankę między studiem i gabinetem Sunlighta Gardenera. Chłopak odwrócił głowę i przez moment pozostali zobaczyli jego wytrzeszczone, udrećzone oczy. Potem Wilk zeskoczył z brzegu konsoly. Rąbnął głową w brzuszysko Caseya... i zatopił w nim zęby. Otwierał i zamykał szczęki z szybkością kombajnu do trzciny cukrowej. Bryznęła krew i zachlapała okno. Casey zaczął się skręcać w konwulsjach.

- Zastrzel to coś, Sonny, zastrzel to kurestwo! - ryczał Warwick.

- Myślę, że zastrzelę raczej jego - powiedział Sonny, oglądając się na Jacka.

Wypowiedział te słowa tonem człowieka, który doszedł właśnie do ważnego wniosku. Pokiwał głową i zaczął się uśmiechać.

“...NADCHODZI TEN DZIEŃ, CHŁOPCY! OCH, TAK WSPANIAŁY DZIEŃ. TEGO DNIA CI KOMUNISTYCZNI POTĘPIEŃCY, HUMANISTYCZNI ATEIŚCI PRZEKONAJĄ SIĘ, ŻE NIE OSŁONI ICH ŻADNA SKAŁA, ŻE MARTWE DRZEWO NIE DA IM SCHRONIENIA! PRZEKONAJĄ SIĘ - OCH, POWIEDZCIE: ALLELUJA - PRZEKONAJĄ SIĘ...”.

Wilk warczał i szarpał.

Sunlight Gardener gardłował wściekle przeciwko komunizmowi i humanizmowi, potępionym handlarzom narkotyków, którzy pragnęli, by modlitwa nigdy już nie wróciła do szkół państwowych.

Na zewnątrz wyły syreny, trzaskały drzwi samochodów. Ktoś krzyknął do kogoś innego, żeby się nie spieszył, bo dzieciak wyglądał na przestraszonego.

- Tak, ciebie. To przez ciebie te wszystkie kłopoty.

Sonny uniósł czterdziestkępiątkę. Lufa broni wydawała się tak wielka jak wylot tunelu pod Oatley.

Szklana ściana między studiem i gabinetem rozleciała się z głośnym, przypominającym kasznięcie trzaskiem. Do pokoju wskoczyła szaroczarna, kudłata postać z rozprutym niemal na pół przez szklany odłamek pyskiem i krwawiącymi stopami. Ryknęła prawie jak człowiek; do Jacka dotarła myśl tak potężna, że zatoczył się w tył.

*NIE BĘDZIESZ SZKODZIŁ STADU!*

- Wilku! - jęknął. - Uważaj! Uważaj, on ma pis...

Sonny dwukrotnie pociągnął za spust czterdziestkapiątki.

Wystrzały w zamkniętej przestrzeni były ogłuszające. Sonny nie celował w Wilka - ale w Jacka. Mimo to trafił w Wilka, bo w tym momencie znalazł się w pół skoku między dwoma chłopcami. Jack dojrzał dwie wielkie, poszarpane dziury, otwierające się w boku przyjaciela - rany wylotowe. Obydwa pociski odbiły się od żeber i żaden nie trafił Jacka, chociaż poczuł, że jeden z nich śmignął koło jego lewego policzka.

- Wilku!

Sprawny, zgrabny skok Wilka stracił wdzięk. Wilk zarzucił prawym ramieniem do przodu i wpadł z łoskotem na ścianę. Bryznęła krew, spadła oprawiona w ramkę fotografia Sunlighta Gardenera w fezie Shrinera\*.[\* Shrine of North America - jedna z łóż masońskich, prowadzących sieć szpitali dziecięcych. Czerwone ceremonialne fezy są jej wyróżnikiem.]

Sonny Singer odwrócił się ze śmiechem w stronę Wilka i strzelił do niego znowu. Chociaż trzymał pistolet w obydwóch dłoniach, barki podskoczyły mu od odrzutu. Otoczyła go gęsta, cuchnąca opończa wiszącego nieruchomo dymu. Wilk wygramolił się na cztery łapy i jakoś zdołał dźwignąć się z podłogi. Ogłuszający krzyk bólu i wściekłości zagłuszył grzmiący głos Sunlighta Gardenera z taśmy.

Sonny strzelił do Wilka po raz czwarty. Pocisk wyrwał ziejącą dziurę w lewym ramieniu, bryznęły chrząstki i krew.

*JACKY! JACKY! OCH, JACKY, BOLI, TO MNIE BOLI!*

Jack rzucił się naprzód i schwycił zegar cyfrowy z biurka Gardenera - była to pierwsza rzecz, jaka wpadła mu w rękę.

- Uważaj, Sonny! - krzyknął Warwick. - Uważaj...

W tej samej chwili Wilk z całym brzuchem zlepionym od krzepnącej wśród włosów krwi rzucił się na niego. Warwick zaczął się z nim szarpać; przez chwilę obydwaj wyglądali, jakby tańczyli.

*"...NA ZA WSZE DO JEZIORA OGNI! ALBO WIEM BIBLIA POWIADA..."*

Jack rąbnął z całych sił Sonny'ego w głowę zegarem z radiem w chwili, gdy wyrostek zaczął się odwracać. Zachrząścił miażdżony plastik. Cyfry na przedzie zaczęły chaotycznie migać.

Sonny zatoczył się, próbując unieść pistolet. Jack zamachnął się zegarem i trafił Sonny'ego w usta. Wargi chłopaka rozeszły się, układając w wielki uśmiech klauna z wesołego miasteczka. Rozległ się ulotny trzask łamanych zębów. Sonny mimowolnie zacisnął palec na spuście; kula trafiła pomiędzy jego stopy.

Wyrostek wpadł na ścianę, odbił się od niej i uśmiechnął skrwawionymi ustami do Jacka. Chwiejąc się na nogach, znowu uniósł pistolet.

- Potępiony...

Wilk rzucił Warwicka. Andy poszybował przez gabinet, jakby nic nie ważył, i rąbnął Sonny'ego w plecy w momencie, gdy ten naciskał spust. Kula zboczyła z toru i rozwalila na strzępy jedną z obracających się szpul magnetofonu w studiu nagraniowym. Bredzący, wrzaskliwy głos Sunlighta Gardenera umilkł. Z głośników wydobyło się potężne, basowe buczenie sprzężenia.

Chwiejający się Wilk z rykiem ruszył na Sonny'ego. Singer wycelował w niego i pociągnął za spust. Rozległ się suchy, jałowy szczęk. Uśmiech zamarł na zakrwawionych ustach wyrostka.

- Nie - powiedział cicho.

Pociągnął za spust... jeszcze raz... i jeszcze. Gdy Wilk zbliżył się do niego, rzucił pistolet i spróbował przebiec na drugą stronę wielkiego biurka. Broń odbiła się od czaszki Wilka, który w ostatecznym przyływie ubywających sił wskoczył na blat, rozrzucając wszystko, co się na nim znajdowało. Sonny szarpnął się w panice w tył, jednak Wilk go dosięgnął!

- Nie! - zawył Sonny. - Nie, nie rób tego, bo znów trafisz do Pudła, ja tu jestem najważniejszy, ja... ja... jayyyyyyyyyyyyy...!

Wilk wykręcił mu ramię. Rozległ się odgłos szarpnięcia, jakby nadmiernie entuzjastyczne dziecko wyrwało z indyczej pieczeni udko. Ramię Sonny'ego nagle zostało Wilkowi w wielkiej przedniej łapie. Chłopak zatoczył się w tył. Krew lała mu się strumieniem z barku. Jack dostrzegł wilgotną, białą gałkę kości. Odwrócił się i gwałtownie zwymiotował.

Przez chwilę cały świat przed jego oczami okrył się rozmazaną szarością.

19

Gdy Jack obejrzał się znowu, Wilk chwiał się na środku jatki, w którą zamienił gabinet Gardenera. W ślepiach Wilka tliły się żółte ogienki jak dopalające się świece. Coś dziwnego działo się z jego twarzą, ramionami i rękami... Jack zorientował się, że znów zamienia się w zwykłego Wilka. Po chwili zdał sobie w pełni sprawę, co to oznacza. Dawne legendy kłamały, że tylko srebrną kulą można zabić wilkołaka, lecz w niektórych sprawach najwidoczniej miały rację. Wilk zmieniał się z powrotem, bo umierał.



- Wilku, nie! - jęknął. Zdołał dźwignąć się z podłogi. Pokonał połowę dystansu, dzielącego go od przyjaciela, poślizgnął się na krwi i wstał ponownie. - Nie!

- Jacky...

Głos Wilka był niski, gardłowy, niewiele głośniejszy od warknięcia... ale zrozumiały.

Wydawało się to niewiarygodne, ale Wilk próbował się uśmiechnąć.

Warwick otworzył prywatne wyjście Gardenera. Wchodził tyłem po schodach, wciąż zaglądając do gabinetu z rozszerzonymi z szoku oczyma.

- Uciekaj! - krzyknął Jack. - Uciekaj! No, wynocha stąd!

Andy Warwick pierzchnął jak przerażony królik.

Przez monotonne buczenie sprzężenia przebił się głos z interkomu - należący do Franky'ego Williamsa.

- Chryste, popatrzta tylko na to! - Brzmiał w nim strach, ale i równocześnie ohydne, chorobliwe podniecenie. - Chyba komuś odpięrdoliło i złapał za tasak do mięsa! Niech ktoś zajrzy do kuchni!

- Jacky...

Wilk runął jak ścięte drzewo.

Jack przykląkł i go odwrócił. Włosy znikwały z policzków Wilka w niesamowity sposób, jakby to był poklatkowy film. Jego oczy znów przybrały leszczynową barwę. Dla Jacka wyglądał na straszliwie wyczerpanego.

- Jacky... - Wilk uniósł zakrwawioną dłoń i dotknął jego policzka. - Trafił... cię? Czy...

- Nie - odparł Jack, podtrzymując w ramionach głowę przyjaciela. - Nie, Wilku, nie trafił ani razu. Ani razu.

- Ja... - Wilk przymknął oczy, po czym powoli otworzył je znowu. Uśmiechnął się z niewiarygodną słodyczą i przemówił na nowo, starannie artykułując każde słowo; najwyraźniej pragnął za wszelką cenę przekazać to, co miał do powiedzenia: - Nie... dałem... skrzywdzić... stada.

- Nie, nie dałeś - powiedział Jack. Znowu zaczął płakać. Bolało. Tulił włochatą głowę wyczerpanego Wilka i płakał dalej. - Pewnie, że nie dałeś. Stary, dobry Wilk...

- Dobry... stary, dobry Jacky.

- Pójdę na górę, Wilku... tam są policjanci... karetka...

- Nie! - Wilk znowu zebrał z olbrzymim wysiłkiem siły. - Idź... musisz iść...

- Bez ciebie nie pójdę, Wilku! - Wszystkie światła podwoiły się, potroiły. Jack nie wypuszczał głowy Wilka z palących dłoni. - Bez ciebie nie pójdę, o nie, za nic na świecie...

- Wilk... nie chce żyć w tym świecie. - Wciągnął głęboko tchu w szeroką, poszarpaną klatkę piersiową i jeszcze raz spróbował się uśmiechnąć. - Pachnie... zbyt źle pachnie.

- Posłuchaj, Wilku... Wilku...

Wilk ujął go delikatnie za rękę. Jack czuł nikiące pod dłonią włosy. Było to niezwykle, upiorne uczucie.

- Kocham cię, Jacky.

- Ja też cię kocham, Wilku - powiedział Jack. - Właśnie tu i teraz.

Wilk się uśmiechnął.

- Wracam, Jacky... czuję to... Wracam.

Nagle dłoń Wilka w ręce Jacka wydała się bardzo niematerialna.

- Wilku! - krzyknął.

- Wracam do domu...

- Nie, Wilku! - Jack poczuł, że serce ściska się mu i zamiera w piersi. Och, zrozumiał w tej chwili, że serce naprawdę może pęknąć. - Wróć, Wilku! Kocham cię!

Wilk wydawał się w tej chwili bardzo lekki, jakby zamieniał się w dmuchawiec... lub mrzonkę i iluzję. Sen Na Jawie.

- ...żegnaj...

Wilk był znikającym szkłem. Znikającym... bez reszty - Wilku!

- ...kocham cię, J...

Wilk zniknął. Został po nim krwawy kontur na podłodze.

- Och, Boże! - jęknął Jack. - Och, Boże! Och, Boże!

Objął się ramionami i zaczął się kołysać z jękiem w zdemolowanym gabinecie.

## Rozdział dwudziesty siódmy - Jack znów rusza w drogę

1

Czas mijał. Jack nie miał pojęcia, jak szybko bądź jak wolno. Siedział, ściskając się ramionami, jakby znów znalazł się w kaftanie bezpieczeństwa. Kołysał się w przód i w tył, jęczał i zastanawiał się, czy Wilka naprawdę już nie było.

*Odszedł. Och, tak, odszedł. I zgadnij, kto go zabił, Jack? Zgadnij, kto?*

W pewnym momencie buczące sprzężenie zaczęło chrypieć, po chwili rozległo się potrzaskiwanie elektryczności statycznej, towarzyszące maksymalnemu wzmocnieniu. Wreszcie wszystko ucichło - buczenie, głosy z góry, zostawione na jałowym biegu silniki. Jack prawie tego nie zauważył.

*Idź. Wilk powiedział, żebyś ruszał.*

*Nie mogę. Nie potrafię. Jestem zmęczony. Cokolwiek zrobię, wychodzi źle. Gina ludzie...*

*Przestań użalać się nad sobą, palancie! Pomyśl o swojej matce, Jack.*

*Nie! Jestem zmęczony. Zostawcie mnie w spokoju.*

*I Królowej.*

*Proszę, zostawcie mnie tylko w spokoju...*

Wreszcie usłyszał otwierające się na górze drzwi. Pobudziło go to do działania. Nie chciał, by go tu znaleźli. Niech go zatrzymają na zewnątrz, na dziedzińcu za domem, ale nie w tym śmierdzącym, schlapanym krwią, zadymionym pokoju, w którym go torturowano i zginął jego przyjaciel.

Prawie nie zastanawiając się nad tym, co robi, chłopiec wziął w rękę kopertę z wypisanym na niej nazwiskiem JACK PARKER. Zajrzał do środka i zobaczył kostkę do gry na gitarze, srebrną dolarówkę, obszarpany portfelik i atlas drogowy Randa McNally'ego. Przechylił kopertę i zobaczył kulkę. Wsunął kopertę do plecaka i zarzucił go na ramionach. Czuł się, jakby był zahipnotyzowany.

Na schodach rozległy się powolne, ostrożne kroki.

- ...gdzie jest ten cholerny kontakt...

- ...dziwnie pachnie, jak w zoo...

- ...uważajcie, chłopcy...

Spojrzenie Jacka trafiło na stalową szufladę na teczki z równo poukładanymi kopertami z nadrukiem BĘDĘ PROMIENIEM ŚWIATŁA DLA JEZUSA. Wziął dwie z nich.

Teraz jak cię zgarną przy wyjściu, będą mogli oskarżyć cię nie tylko o morderstwo, ale i rabunek.

Nieważne. Jack ruszał się tylko po to, żeby się ruszać, nic więcej.

Dziedziniec za Domem wyglądał na kompletnie opustoszały. Jack stanął za drzwiami u szczytu schodów i wyjrzał na zewnątrz, ledwie mogąc uwierzyć własnym oczom. Z przodu dobiegały głosy, rytmicznie błyskały refleksy świetlne. Z nastawionych na maksimum policyjnych radionadajników sporadycznie wydostawały się szумы i głosy dyspozytorów, ale dziedziniec za domem był pusty. Wydawało się to pozbawione sensu. Jack przypuszczał, że funkcjonariusze byli porządnie zdezorientowani, wstrząśnięci tym, co znaleźli w środku...

- Chryste! - rozległ się wreszcie stłumiony głos niedaleko od Jacka. - Potrafisz w to uwierzyć!

Chłopiec odwrócił głowę. Na ubitej ziemi leżało przypominające średniowieczną trumnę Pudło. Ktoś świecił do środka latarką. Jack dojrzał sterczące pionowo podeszwy butów. Z drugiej strony przykucnięta, pogrążona w mroku sylwetka przyglądała się drzwiczkom.

- Wygląda na to, że wyrwano je z zawiasów - przypatrujący się funkcjonariusz zawołał do swojego kolegi wewnątrz Pudła. - Nie mam pojęcia, jak ktokolwiek mógłby to zrobić. Zawiasy są ze stali, ale ktoś je po prostu... wygiął.

- Nie zwracaj sobie głowy przekłętymi zawiasami - odpowiedział mu stłumiony głos. - To cholerstwo... trzymali w tym dzieciaki, Paulie! Naprawdę jestem o tym przekonany! Dzieciaki! Na ściankach są inicjały... - światło się poruszyło - ...i wersety z Biblii... - światło poruszyło się znowu - ... i obrazki. Małe obrazki. Ludziki z patyków, kobiety - tak, jak rysują dzieci... Chryste, myślisz, że Williams o tym wiedział?

- Na pewno - odrzekł Paulie, wciąż przyglądając się pogiętym i pourywanym zawiasom drzwiczek Pudła.

Paulie pochylał się; jego kolega wyłaził tyłem ze środka. Nie starając się zbytnio ukrywać, Jack przeszedł za ich plecami do otwartych wrót dziedzińca. Obszedł bok garażu i dotarł na pobocze drogi. Z tego miejsca widział pod kątem ostrym policyjne samochody, które bezładnie parkowały na dziedzińcu frontowym Domu. Zobaczył, że drogą nadjeżdża rozpędzona karetka z migającymi światłami i wyjącą syreną.

- Kochałem cię, Wilku - mruknął Jack.

Otarł ramieniem wilgotne oczy. Ruszył drogą w ciemności. Myślał, że pewnie złapie okazję, zanim ujdzie milę od Domu Sunlighta. Trzy godziny później wciąż jeszcze maszerował. Najwidoczniej policjanci mieli w przybytku wielebnego dość zajęcia.

Przed Jackiem znalazła się autostrada - za szczytem sąsiedniego czy też jeszcze następnego wzniesienia. Na horyzoncie widać było pomarańczowy blask lamp sodowych dużej mocy, wyły silniki wielkich ciężarówek.

Jack zatrzymał się w zasłanym śmieciami jarze. Umył twarz i ręce w strudze wody wypływającej z przelewu. Była niemal paraliżująco zimna, ale przynajmniej na jakiś czas uciszyła pulsujący ból w dłoniach. Prawie nieproszone odżywały w pamięci chłopca zapomniane środki ostrożności.

Przez długą chwilę stał nieruchomo pod czarnym niebem Indiany, wsłuchując się w szum olbrzymich ciężarówek.

Mamroczący w drzewach wiatr unosił jego włosy. Na sercu ciążyła mu strata Wilka, ale nawet to nie mogło zgasić uniesienia i radości, która towarzyszyła wyzwoleniu.

Godzinę później kierowca ciężarówki zwolnił na widok zmęczonego, bladego chłopca, stojącego z wystawionym kciukiem na skrajnym pasie. Jack wsiadł do środka.

- Dokąd się wybierasz, mały? - spytał kierowca.

Jack był zbyt wyczerpany i przygnębiony, żeby zawracać sobie głowę recytowaniem Historyjki - zresztą i tak ledwie ją pamiętał. Doszedł do wniosku, że w końcu ją sobie przypomni.

- Na zachód - powiedział. - Tak daleko, jak tylko pan jedzie.

- Czyli do połowy stanu.

- Świetnie - odparł Jack i natychmiast zasnął.

Wielka ciężarówka Diamond Reo potoczyła się przez lodowato chłodną noc Indiany. Z kasetowego odtwarza dobiegały utwory Charliego Danielsa. Wóz mknął na zachód w pościgu za własnymi światłami - w stronę Illinois.

## Rozdział dwudziesty ósmy

### Sen Jacka

1

Wilk oczywiście towarzyszył Jackowi. Wrócił do domu, ale jego wielki, wierny cień jechał obok Jacka wszystkimi ciężarówkami, furgonetkami Volkswagen i zakurzonymi samochodami, toczącymi się autostradami Illinois. Uśmiechnięty duch przepędził bólem serce chłopca. Czasami widział - prawie widział - pędzącą obok drogi wielką, włochatą sylwetkę, która hasała po ogołconych polach. Uwolniony Wilk wpatrywał się w niego rozpromienionymi oczyma barwy dyni. Gdy Jack odrywał wzrok, czuł brak ręki Wilka w swojej ręce. Brakowało mu przyjaciela tak bezgranicznie, że wstydził się teraz na samo wspomnienie, że okazywał mu zniecierpliwienie. Rumienił się wówczas i przypominał, że myślał o porzuceniu Wilka więcej razy, niż mógłby zliczyć. Wstyd, wstyd... Wilk był... dużo czasu zajęło Jackowi pojęcie tego, ale wreszcie nasunęło się odpowiednie słowo: szlachetny. Ta szlachetna istota, tak bardzo nie na miejscu w tym świecie, umarła dla niego.

*Nie dałem skrzywdzić mojego stada.* Jack Sawyer już nim nie był. *Nie dałem skrzywdzić mojego stada.* Niejednokrotnie kierowcy ciężarówek czy agenci ubezpieczeniowi, którzy zabierali z pobocza dziwnego, wywierającego nieodparty wpływ chłopca - chociaż był zakurzony i zarośnięty, chociaż jeszcze nigdy w życiu nie brali autostopowiczów - kątem oka widzieli, jak przetyka łązy.

Jack opłakiwał Wilka podczas błyskawicznego przejazdu do Illinois. Nie wiedzieć czemu miał pewność, że gdy tylko dotrze do tego stanu, nie będzie miał kłopotów z łapaniem okazji. Okazało się to prawdą: często wystarczyło mu wystawić kciuk i popatrzeć w oczy nadjeżdżającemu kierowcy, a natychmiast był zabierany. Większość kierowców nie potrzebowała nawet Historyjki. Wystarczyło, by Jack podał byle jakie, minimalne wytłumaczenie, dlaczego podróżuje sam. "Jadę odwiedzić przyjaciela w Springfield", "Muszę odebrać samochód i odprowadzić go do domu". "Dobrze, świetnie", odpowiadali kierowcy - czy w ogóle słyszeli, co do nich mówił? Jack nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. W duchu wertował wysoką na milę stertę obrazów przedstawiających Wilka: rozchlapującego wodę w strumieniu podczas ratowania w Terytoriach stada osobliwych stworzeń, wtykającego nos do wonnego pudełka z hamburgerem, wpychającego jedzenie do szopy, w której zamknął Jacka, wpadającego do studia nagraniowego, trafianego kulami, znikającego... Jack nie chciał

oglądać bezustannych powtórek tej sceny, ale nie potrafił się powstrzymać, choćby paliły go łzy w oczach.

Niedaleko za Danville niski, około pięćdziesięcioletni mężczyzna ze stalowosiwymi włosami i rozbawionym, lecz surowym wyrazem twarzy kogoś, kto dwadzieścia lat nauczał piątą klasę, cały czas rzucał na Jacka ukradkowe spojrzenia znad kierownicy.

- Nie jest ci zimno, brachu? - spytał wreszcie. - Powinieneś nosić coś cieplejszego niż tę kurtczynę.

- Może trochę - odparł Jack.

Sunlight Gardener uznawał drelichowe kurtki za dostatecznie dobre do pracy w polu przez całą zimę, teraz jednak zimno dźgało chłopca jak sztylet i wciskało się we wszystkie pory.

- Na tylnym siedzeniu mam płaszcz - powiedział mężczyzna. - Weź. Nie, nie próbuj nawet protestować. Płaszcz należy już do ciebie. Wierz mi, nie zamarznię.

- Ale...

- Nie masz nic do gadania. Teraz to twój płaszcz. Przymierz go.

Jack sięgnął przez oparcie fotela i wciągnął na kolana ciężki zwój tkaniny. Z początku płaszcz wydawał się bezkształtny, anonimowy. Wreszcie pojawiła się wielka kieszeń-łata, następnie kościany guzik. Była to lodenowa jesionka, pachnąca tytoniem fajkowym.

- Mój stary płaszcz - rzekł mężczyzna. - Trzymałem go w samochodzie, bo nie miałem pojęcia, co z nim zrobić.

W zeszłym roku dostałem od dzieci tę puchową kurtkę. Możesz go więc wziąć.

Jack wcisnął się z trudem w jesionkę, nie zdejmując drelichowej kurtki.

- O, rany - powiedział.

Poczuł się, jakby znalazł się w objęciach niedźwiedzia, rozmiłowanego w tytoniu Borkum Riff.

- Pasuje - ocenił mężczyzna. - Jeśli będziesz jeszcze kiedyś stał na zimnie i wietrze na drodze, będziesz mógł podziękować Mylesowi P. Kigerowi z Ogden w Illinois, że uratował ci skórę. Twoja...

Myles P. Kiger przez sekundę wyglądał, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze. Słowo zawisło w powietrzu, podczas gdy mężczyzna wciąż się uśmiechał. Moment później uśmiech zamienił się w wyraz prostodusznego zakłopotania i Kiger raptownie odwrócił głowę przed siebie. W szarym, porannym świetle Jack dostrzegł, że na policzkach mężczyzny pokazują się nierówne, czerwone plamy.

*Twoja (jakaś) skóra?*

Och, nie.

Twoja piękna skóra. Twoja stworzona do dotykania, całowania, podziwiania skóra... Jack wepchnął dłonie głęboko w kieszenie lodenowej jesionki i szczelnie się nią otulił. Myles P. Kiger z Ogden w Illinois wpatrywał się prosto przed siebie.

- Hhm - mruknął Kiger.

- Dziękuję za płaszcz - powiedział Jack. - Naprawdę. Będę panu za niego wdzięczny za każdym razem, kiedy go włożę.

- Pewnie, nie ma sprawy - rzekł Kiger. Przez moment miał jednak minę nieodparcie nasuwającą skojarzenie z Donnym Keeganem z Domu Sunlighta. - Niedaleko jest restauracja - powiedział Kiger urywanym tonem, pełnym fałszywej pogody ducha. - Możemy coś zjeść, jeśli masz ochotę.

- Nie mam już pieniędzy - odparł Jack; stwierdzenie to rozmijało się z prawdą dokładnie o dwa dolary i trzydzieści osiem centów.

- Nie musisz się o to martwić. - Kiger włączył już kierunkowskaz.

Zajechali na omiatany wiatrem, prawie pusty parking przed niskim, szarym budynkiem, wyglądającym jak wagon kolejowy. Neon nad środkowymi drzwiami głosił: EMPIRE DINER. Kiger zaparkował pod jednym z długich okien restauracji. Wysiedli. Jack zorientował się, że w płaszczu będzie mu naprawdę ciepło. Wełniana zbroja chroniła mu piersi i ramiona. Ruszył w stronę drzwi pod migającym neonem, ale odwrócił się, gdy zorientował się, że Kiger wciąż stoi koło samochodu. Siwowłosa mężczyzna, zaledwie cal czy dwa wyższy od Jacka, wpatrywał się w niego nad dachem wozu.

- Słuchaj... - zaczął Kiger.

- Jeśli chce pan, żebym panu oddał jesionkę, to nie ma problemu - powiedział Jack.

- Nie, jest teraz twoja. Po prostu pomyślałem, że właściwie nie jestem głodny, a jeśli pojedę dalej, to zarobię na czasie i zdołam dotrzeć trochę wcześniej do domu.

- Pewnie - odparł Jack.

- Złapiesz tu kolejną okazję. Bez trudności, obiecuję. Nie zostawiałbym cię tutaj, gdybyś miał ugrzęznąć.

- Doskonale.

- Poczekaj. Powiedziałem, że postawię ci obiad, i dotrzymam słowa. - Wsunął dłoń w kieszeń spodni i podał banknot Jackowi nad dachem samochodu. Lodowaty wiatr przegarniał włosy mężczyzny i przygniatał je do czoła. - Weź.

- Nie, naprawdę - rzekł Jack. - Nic się nie stało. Mam parę dolarów.



- Zamów sobie porządny stek - poradził Kiger i wychylił się nad dachem wozu z banknotem w dłoni, jakby podawał koło ratunkowe - albo właśnie po nie sięgał.

Jack niechętnie podszedł do Kigera i wyjął mu banknot spomiędzy palców. Było to dziesięć dolarów.

- Bardzo dziękuję. Naprawdę.

- Słuchaj, weź też gazetę, dobrze? Będziesz miał coś do czytania. Wiesz, jeśli ci przyjdzie czekać albo coś w tym rodzaju. - Kiger już otworzył drzwi. Pochylił się do środka po złożony brukowiec z tylnego siedzenia. - Już ją przeczytałem.

Rzucił gazetę Jackowi. Lodenowa jesionka miała tak obszerne kieszenie, że chłopiec bez trudu zdołał włożyć pismo do jednej z nich.

Myles P. Kiger przez chwilę stał przed otwartymi drzwiami samochodu i wpatrywał się w Jacka zmrużonymi oczyma.

- Czekasz na pewno ciekawe życie, coś tak czuję.

- Już jest bardzo interesujące - odparł szczerze Jack.

Stek Salisbury z dodatkiem frytek kosztował pięć dolarów i czterdzieści centów. Jack usiadł przy końcu kontuaru i rozłożył gazetę. Artykuł odnalazł na drugiej stronie - poprzedniego dnia widział nagłówki na pierwszej stronie gazety z Indiany. **ARESztOWANIA W ZWIĄZKU Z KOSZMARNĄ RZEZIĄ.** W trakcie śledztwa w sprawie śmierci sześciu chłopców w Domu Pisma Świętego Sunlighta Gardenera Dla Zbłąkanych Chłopców miejscowy sędzia magistratu Ernest Fairchild i funkcjonariusz policji Frank B. Williams zostali oskarżeni o sprzeniewierzenie funduszy publicznych i przyjmowanie łapówek. Popularny kaznodzieja Robert "Sunlight" Gardener najprawdopodobniej wymknął się z Domu krótko przed przybyciem policji. Chociaż nie wydano jeszcze nakazu jego aresztowania, władzom bardzo zależało, by go przesłuchać. **CZY TO KOLEJNY JIM JONES?** - pytał nagłówek pod fotografią Gardenera stojącego w wyjątkowo wspaniałej pozie - z rozpostartymi ramionami i włosami opadającymi w perfekcyjnych falach. Psy doprowadziły policję stanową na miejsce niedaleko ogrodzenia pod prądem, gdzie bezceremonialnie chowano zwłoki chłopców. Znalezione pięć ciał, przeważnie w takim stadium rozkładu, że identyfikacja była praktycznie niemożliwa. Władze powinny zidentyfikować Ferda Jankłowa. Jego rodzice zapewne urządzią mu prawdziwy pogrzeb. Przymuszczalnie cały czas będą zastanawiać się, gdzie właściwie popełnili błąd, jak ich miłość do Jezusa doprowadziła do zguby ich buntowniczego, inteligentnego syna.

Stek Salisbury okazał się przesolony i przypominał wełnę, ale Jack zjadł go do ostatniego okruszka. Wymoczył też gęsty sos niedosmażonymi frytkami. Prawie skończył

jeść, kiedy brodaty kierowca ciężarówki w nasadzonej na długie, czarne włosy czapce z nazwą drużyny Detroit Tigers, kurtce wyglądającej tak, jakby uszyto ją z wilczych skór, oraz grubym cygarem w ustach, przystanął obok chłopca.

- Potrzebujesz podwózki na zachód, mały? - zapytał. - Jadę do Decatur.

Proszę bardzo - połowę drogi do Springfield bez najmniejszego wysiłku.

2

Tej nocy w hotelu z noclegiem za trzy dolary, o którym dowiedział się od kierowcy ciężarówki, Jack miał dwa sny. Przynajmniej te dwa przypomniał sobie z mnóstwa tych, które znalazły drogę do jego łóżka. Może zresztą obydwie stanowiły w istocie jeden długi, połączony sen.

Zamknął drzwi, zrobił siusiu do poplamionej i spękanej umywalki w rogu, wsunął plecak pod poduszkę i zapadł w sen, trzymając w dłoni kulkę, która w innym świecie - Terytoriach - była lusterkiem. Przez chwilę miał wrażenie, że słyszy muzykę - niemal jak w kinowej przebitce. Ognisty, pobudzający bebop grał tak cicho, że Jack zdołał zorientować się tylko, że tempo nadawały dwa instrumenty: trąbka i saksofon altowy. Richard, pomyślał sennie Jack, jutro zobaczę Richarda Sloata. Zsunął się po stoku rytmu ku pęczniejącej nieświadomości.

Wilk biegł w jego stronę przez spustoszony, dymiący krajobraz. Dzieliły ich pasma drutu kolczastego, co jakiś czas skręcające się w fantastyczne, chaotycznie zawile konfiguracje. Jałową ziemię przecinały też głębokie okopy. Jeden z nich Wilk gładko przeskoczył, ale o mało co nie wpadł za nim na zasieki.

“Uważaj”, krzyknął Jack.

Wilk wyhamował, nim upadł na potrójne druty. Machnął wielką łapą, by pokazać Jackowi, że nic mu nie jest, po czym ostrożnie przestąpił przez druty.

Jack poczuł, że przenika go zdumiewający przyptyw szczęścia i ulgi. Wilk nie umarł; znowu będą razem.

Wilk pokonał drut kolczasty i znów zaczął biec. Dystans między nim i Jackiem w tajemniczy sposób stał się jakby dwakroć większy - szary dym, wiszący nad mnóstwem okopów, zasłaniał zbliżającą się wielką, kudłatą sylwetkę.

“Jason! - krzyknął Wilk. - Jason! Jason!”.

“Wciąż jestem tutaj!”, odkrzyknął Jack.

“Nie zdołam do ciebie dotrzeć, Jason! Wilk nie zdoła!”.

“Próbuj! - krzyknął z całych sił Jack. - Nie poddawaj się, do diabła!”.

Wilk przystanął przed niemożliwym do pokonania kłębem drutu. Poprzez dym Jack dojrzał, że jego przyjaciel opada na cztery kończyny, po czym krąży tam i z powrotem przed przeszkodą, szukając wolnej przestrzeni. Wilk wędrował w jedną i drugą stronę na coraz większą odległość. Z każdą sekundą był coraz wyraźniej zaniepokojony. Wreszcie wstał, zacisnął dłonie na gęstym kłębie drutu, rozciągnął go i przystawił usta do otworu.

“Wilk nie może! Wilk nie może, Jason!”.

“Kocham cię, Wilku!”, krzyknął Jack przez pokrytą dopalającymi się ogniami równinę.

“JASON! - odpowiedział wołaniem Wilk. - UWAŻAJ! IDĄ po ciebie! Jest ich coraz WIĘCEJ!”.

“Więcej kogo?”, chciał krzyknąć Jack, ale nie mógł.

Wiedział, o kogo chodzi.

Następnie albo zmienił się całkowicie charakter snu, albo zaczął się kolejny. Jack znalazł się z powrotem w zrujnowanym studiu nagraniowym przy gabinecie w Domu Sunlighta. W powietrzu gęsto było od woni prochu strzelniczego i spalonego mięsa. Zmasakrowane ciało Singera leżało bezwładnie na podłodze, martwa postać Caseya zwieszała się przez roztrzaskaną szklaną tafelę. Jack siedział na podłodze, tuląc Wilka w ramionach. Zdawał sobie sprawę, że Wilk umiera. Tyle że Wilk nie był Wilkiem.

Jack trzymał w ramionach drżące ciało Richarda Sloata. To Richard umierał. Za soczewkami pozbawionych upiększeń okularów w czarnych plastikowych oprawkach oczy Richarda błędziły bez celu, dowodząc cierpienia, jakie odczuwał.

“Och, nie! och, nie”, westchnął ze zgrozy Jack.

Richard miał zgruchotane ramię, a pierś widoczna spod zakrwawionej koszuli przypominała miazgę. Tu i ówdzie wystawały białe niczym zęby kości.

“Nie chcę umierać”, powiedział Richard; każde słowo kosztowało go nadludzki wysiłek. “Jason, nie powinieneś... nie powinieneś być...”.

“Nie możesz i ty umrzeć - powiedział błagalnie Jack. - Nie ty również...”.

Tułów Richarda podskoczył na rękach Jacka. Z gardła chłopca wymknął się przeciągły, wilgotny dźwięk. Richard nagle odzyskał klarowne i spokojne spojrzenie.

“Jason. - Dźwięk imienia, wydającego się niemal właściwym, zawisł w cuchnącym powietrzu. - Zabiłeś mnie”. Richard westchnął cicho.

Zabrzmiało to “zabi-eś mnie”; chłopiec nie zdołał złożyć ust do jednej ze zgłosek. Jego spojrzenie z powrotem straciło ostrość, a ciało w jednej chwili stało się jakby cięższe. Nie było w nim już życia. Wstrząśnięty Jason DeLoessian podniósł głowę...

3

...a Jack Sawyer poderwał się na zimnym, nieznanym łóżku w podłej norze w Decatur w Illinois. W żółtawym półmroku, rozpraszonym przez blask ulicznej latarni, dojrzał parę unoszącą się tak obficie, jakby była wydychana z dwojga ust. Powstrzymał się od krzyku tylko dzięki przyciśnięciu rąk - własnych obu dłoni - do warg. Przygniótł je tak silnie, że mógłby zmiażdżyć orzech. Z jego płuc wydobył się kolejny pióropusz białej pary.

Richard.

Wilk biegł przez martwy świat, wołając... co? Jason.

Serce chłopca podskoczyło gwałtownie w piersi, jak biorący przeszkodę koń.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Richard w Thayer

1

O jedenastej rano następnego dnia wyczerpany Jack Sawyer zdjął z ramion plecak, stał na skraju długiego boiska, pokrytego suchą, zbrązowiałą trawą. W oddali dwóch mężczyzn w kraciastych marynarkach i czapkach baseballowych trudziło się z dmuchawą do liści i grabiami nad uprzątnięciem pasa trawnika, który otaczał najdalszą grupę budynków. Po lewej stronie Jacka, bezpośrednio za tylną ścianą szkolnej biblioteki z czerwonej cegły, znajdował się parking. Z frontu Thayer School do wielkiej bramy docierała obsadzona drzewami droga dojazdowa, okrążająca poprzecinany wąskimi chodnikami wielki dziedziniec. Jeśli cokolwiek na kampusie się wyróżniało, to biblioteka - parowiec ze szkła, stali i cegły w stylu Bauhaus.

Jack zorientował się już, że druga brama przed biblioteką prowadziła na inną drogę dojazdową. Biegła ona przez dwie trzecie długości szkoły i kończyła się małym rondem przy kontenerach na śmieci. Tuż dalej grunt wznosił się ku równemu boisku do futbolu.

Jack ruszył przez boisko, zachodząc od tyłu budynki, w których odbywały się lekcje. Zamierzał dostać się do pokoju Richarda - przez piątą klatkę schodową w Nelson House - gdy uczniowie będą schodzili się do jadalni.

Uschnięta, zimowa trawa chrzęściła Jackowi pod stopami. Otulił się szczelniej wspaniałą jesionką od Mylesa P. Kigera - przynajmniej płaszcz prezentował się godnie ucznia prywatnej szkoły, chociaż z samym Jackiem było inaczej. Przeszedł pomiędzy Thayer Hali i dormitorium Upper School - gimnazjalnej części szkoły - o nazwie Spence House. Zmierzał w kierunku dziedzińca. Przez okna internatu rozbrzmiewały leniwe, przedobiednie odgłosy.

2

Jack popatrzył w stronę dziedzińca. Zobaczył posąg z pozieleniałego brązu, przedstawiający nieco zgarbionego starszego mężczyznę. Statua stała na cokole wysokości ławy stolarskiej i przyglądała się okładce masywnej książki. Jack domyślił się, że uwieczniała radnego Thayera. Założyciel szkoły miał sztywny kołnierzyk, powiewną krawatkę i surdut nowoangielskiego transcendentalisty. Pochylona nad woluminem spizowa głowa radnego Thayera skierowana była w przybliżeniu w stronę budynków lekcyjnych.

Po dotarciu do końca ścieżki Jack skręcił w prawo. Z okien na górze dobiegł nagły zgiełk - chłopcy wykrzykiwali sylaby, układające się w słowo brzmiące jak "Etheridge". Po chwili wołanie przerwały nieartykułowane okrzyki i odgłosy przeciąganych po drewnianej podłodze ciężkich mebli. "Etheridge!" - rozległo się raz jeszcze.

Jack usłyszał zamykane za swymi plecami drzwi. Obejrząwszy się, zobaczył, że po schodach Spence House zbiega wysoki chłopak z płowymi włosami o brudnym odcieniu. Nastolatek miał na sobie sportową marynarkę z tweedu, krawat i buty myśliwskie firmy L. L. Bean. Przed zimnem chronił go jedynie kilkakrotnie owinięty wokół szyi długi, żółto-niebieski szal. Jego pociągła twarz wyrażała jednocześnie zaszczucie i arogancję; w tej chwili było to oblicze ucznia najstarszej klasy ogarniętego świątobliwym gniewem na szczeniarnię. Jack postawił wyżej kołnierz lodenowej jesionki i ruszył dalej chodnikiem.

- Niech nikt nie śmie się ruszyć! - krzyknął wysoki chłopak w stronę zamkniętego okna. - Wy, pierwszorocznicy, macie siedzieć na miejscach!

Jack pospieszył w stronę sąsiedniego budynku.

- Przesuwacie krzesła! - krzyknął wysoki chłopak za jego plecami. - Słyszę, że to robicie! PRZESTAŃCIE!

Następnie ogarnięty furią uczeń krzyknął na Jacka. Chłopiec odwrócił się z łomoczącym sercem.

- Wracaj natychmiast do Nelson House, kimkolwiek jesteś! Natychmiast, raz-dwa, niezwłocznie! Inaczej pójde do twojego wychowawcy!

- Tak jest - odparł Jack.

Bez chwili ociągania ruszył w kierunku wskazanym przez prefekta - gospodarza uczniów.

- Spóźniłeś się co najmniej siedem minut! - krzyknął za nim Etheridge. Jack ruszył truchtem. - Natychmiast, powiedziałem!

Jack zamienił trucht w bieg.

Zmierzał w dół stoku (miał nadzieję, że to właściwy kierunek; przynajmniej wydawało się, że właśnie w tę stronę patrzył Etheridge), gdy zobaczył długi, czarny samochód - limuzynę. Wóz właśnie w tej chwili przejechał przez główną bramę i cicho zaczął pokonywać długi dojazd na dziedziniec. Jackowi przeniknęło przez głowę, że ktokolwiek siedział za przyciemnianymi szybami limuzyny, być może nie był niczym tak pospolitym jak rodzic ucznia drugiej klasy w Thayer School.

Długi, czarny samochód powoli parł bezczelnie naprzód.

Nie, pomyślał Jack. Sam wprawiam się w przerażenie.

Mimo to nie był w stanie ruszyć z miejsca. Patrzył, jak limuzyna dociera do dziedzińca i zatrzymuje się, ale silnik wciąż pracował. Czarny kierowca, szeroki w barach jak obrońca futbolowy, wysiadł i otworzył tylne drzwi po prawej stronie. Z siedzenia bez wysiłku wstał siwowłosa, nieznajomy mężczyzna w czarnej jesionce, w której wycięciu widać było nieskazitelnie białą koszulę i jednobarwny, ciemny krawat. Mężczyzna kiwnął głową szoferowi i ruszył z wysiłkiem przez dziedziniec w stronę głównego budynku. Nawet nie spojrzał w stronę Jacka. Szofer ostentacyjnie przegiął szyję i popatrzył w górę, jakby zastanawiał się, czy może spaść śnieg. Jack cofnął się i patrzył, jak starszy mężczyzna dochodzi do stopni Thayer Hali. Kierowca nadal demonstracyjnie wpatrywał się w niebo. Jack ruszył tyłem niepostrzeżenie w stronę rogu gmachu. Gdy węgiel go wreszcie go osłonił, odwrócił się i pobiegł.

Nelson House był trzykondygnacyjnym budynkiem z cegły, który usadowił się po przeciwnej stronie dziedzińca. Przez dwa okna na parterze Jack dojrzał około tuzina uczniów najstarszej klasy, napawających się swoimi przywilejami: czytali rozwaleni na sofach, grali bez troski w karty przy stoliku do kawy. Jeszcze inni gapili się na coś pod parapetem - pewnie telewizory.

Gdzieś w wyższej części wzniesienia klapnęły niewidoczne, zatraskiwane drzwi. Jackowi mignął Etheridge - wysoki blondyn z ostatniej klasy - maszerujący do swojego dormitorium po uporaniu się ze zbrodniami pierwszorocznych.

Jack przeszedł przed frontem budynku. Gdy tylko wyszedł za róg, zakłósał nim silny powiew wiatru. Zobaczył wąskie drzwi z tabliczką (tym razem drewnianą, z czarnym, gotyckim liternictwem), głoszącą: KLATKA 5. Rząd okien sięgał następnego rogu.

Przy trzecim oknie Jack wreszcie mógł pozwolić sobie na ulgę. W środku bowiem siedział Richard Sloat, z porządnie zahaczonymi za uszy okularami, równo zawiązanym krawatem i dłońmi jedynie odrobinę poplamionymi atramentem. Richard siedział prosto przy biurku i czytał jakąś opasłą księgę, jakby od tego zależało jego życie. Był zwrócony bokiem do Jacka, który miał czas nasycić się widokiem doskonale znanego profilu, nim zastukał w okno.

Richard poderwał głowę znad książki. Rozejrzał się nieprzytomnie dokoła, zaskoczony i przestraszony nagłym hałasem.

- Richard - powiedział cicho Jack.

Nagrodził go widok zdumienia na zwracającej się w jego stronę twarzy przyjaciela. Wskutek zaskoczenia Richard wyglądał prawie jak idiota.

- Otwórz okno - polecił Jack, składając przesadnie starannie usta, by przyjaciel mógł zrozumieć słowa z ruchu warg.

Richard wstał zza biurka; z powodu wstrząsu wciąż poruszał się powoli. Jack wykonał ruch, jakby otwierał okno. Gdy Richard do niego dotarł, położył ręce na framudze i przez chwilę popatrzył na Jacka surowo z góry. Krótkie, krytyczne spojrzenie wyrażało, co sądzi o brudnej twarzy Jacka, jego nieumytych, potarganych włosach, niezwykłym trybie odwiedzin i wielu innych sprawach. Coś ty znowu wymyślił, na miłość boską? Wreszcie otworzył okno.

- No cóż, większość ludzi korzysta z drzwi - powiedział.

- Doskonale - odparł prawie ze śmiechem Jack. - Kiedy będę jak większość ludzi, pewnie też będę tak robił. Odsuń się, dobrze?

Richard cofnął się parę kroków. Wyglądał jak ktoś przyłapany na wstydlwym uczynku. Jack podciągnął się na parapet i wśliznął głową naprzód.

- Uff!

- No dobrze. Cześć - rzekł Richard. - Pewnie nawet miło znowu cię widzieć, ale muszę niedługo iść na obiad. Chyba możesz wziąć prysznic. Wszyscy inni będą w jadalni na dole. - Umilkł, jakby przestraszył się, że powiedział za dużo.

Jack zdał sobie sprawę, że będzie musiał postępować z Richardem delikatnie.

- Będziesz mógł mi przynieść coś do zjedzenia? Naprawdę umieram z głodu.

- Wspaniale - odparł Richard. - Najpierw doprowadzasz swoją ucieczką do obłądu wszystkich włącznie z moim tatą. Potem włazisz tutaj jak włamywacz i jeszcze chcesz, żebym ukraść dla ciebie jedzenie. Świetnie. Pewnie. No dobrze. Świetnie.

- Musimy porozmawiać o wielu sprawach - rzekł Jack.

- Jeżeli - odpowiedział Richard i wychylił się nieznacznie do przodu z rękami w kieszeniach. - Jeżeli jeszcze dzisiaj ruszysz z powrotem do New Hampshire albo jeżeli pozwolisz mi zatelefonować do taty, żeby tu przyjechał i zabrał cię z powrotem, to spróbuję zabrać dla ciebie trochę jedzenia, które zostanie.

- Chcę porozmawiać z tobą o wszystkim, Richie. O wszystkim. Porozmawiamy nawet o moim powrocie, pewnie.

Richard pokiwał głową.

- Tak czy owak, gdzie się podziewałeś? - Wpatrywał się w Jacka przez grube soczewki. Wreszcie mrugnął, co było aż zaskakujące. - I jak, na miłość boską, potrafisz usprawiedliwić sposób, w jaki ze swoją matką traktujecie mojego ojca? Cholera, Jack, naprawdę uważam, że powinienes wrócić do tej dziury w New Hampshire.



- Wrócę - odrzekł Jack. - Obiecuję. Najpierw muszę jednak coś zdobyć. Mogę gdzieś usiąść? Nie chcę się skarżyć, ale padam z nóg.

Richard kiwnął głową w stronę łóżka, po czym - w typowy dla siebie sposób - poklepał fotel za biurkiem.

Na korytarzu trzasnęły drzwi. Głośno rozmawiający chłopcy minęli pokój Richarda, słysząc było szuranie wielu stóp.

- Słyszałeś kiedyś o Domu Sunlighta? - zapytał Jack. - Byłem tam. Zginęli w nim dwaj moi przyjaciele, a jeden z nich - posłuchaj mnie uważnie - był wilkołakiem.

Twarz Richarda stężała.

- Cóż, to zdumiewający przypadek, bo właśnie...

- Naprawdę byłem w Domu Sunlighta, Richard.

- Tak zrozumiałem - odparł Richard. - No dobrze. Mniej więcej za pół godziny wrócę z jedzeniem. Potem będę musiał ci powiedzieć, kto mieszkał w sąsiednim pokoju. To wszystko to hece z Seabrook Island, mam rację? Powiedz mi prawdę.

- Tak. Pewnie tak.

Jack pozwolił jesionce od Mylesa P. Kigera zsunąć się z ramion i opaść na oparcie fotela.

- Wrócę - powiedział Richard.

Wychodząc, pomachał niepewnie przyjacielowi.

Jack zrzucił buty i zamknął oczy.

3

Rozmowa, którą Richard określił jako "hece z Seabrook Island", a Jack zapamiętał równie dobrze jak jego przyjaciel, miała miejsce w ostatnim tygodniu ich ostatniego pobytu w letnisku o tej nazwie.

Za życia Phila Sawyera obie rodziny prawie co rok spędzały wspólnie wakacje. Latem po jego śmierci Morgan Sloat i Lily Sawyer spróbowali potrzymać tradycję i zamówili dla całej czwórki pokoje w olbrzymim, starym hotelu na Seabrook Island przy wybrzeżu Karoliny Południowej, gdzie wyjeżdżali przez kilka najszcześniejszych lat. Eksperyment się nie udał.

Chłopcy byli przyzwyczajeni do swojego towarzystwa. Przywykli również do miejsc w rodzaju Seabrook Island. Przez całe dzieciństwo Richard Sloat i Jack Sawyer pałętali się po letniskowych hotelach i pływających plażach - obecnie jednak klimat uległ tajemniczej zmianie. W ich życiu pojawiła się nieoczekiwana powaga i niezręczność.

Śmierć Phila Sawyera zmieniła nawet barwę przyszłości. Podczas ostatniego lata w Seabrook Jack zaczynał czuć, że pewnie nie zechce zasiąść w fotelu za biurkiem swego ojca - że pragnie od życia czegoś więcej. Więcej czego? Wiedział - była to jedna z niewielu rzeczy, z których zdawał sobie dokładnie sprawę - że ta potężna "większość" wiązała się ze Snami Na Jawie. Kiedy zaczął to w sobie dostrzegać, zdał sobie również sprawę z czegoś innego: iż jego przyjaciel Richard nie tylko nie jest w stanie wyczuwać owej "większości", ale w istocie wręcz chce czegoś przeciwnego. Richard chciał mniej. Richard nie miał ochoty na nic, czego nie mógł respektować.

Jack i Richard wymknęli się podczas sjeisty, nastającej we wszystkich dobrych letniskach w godzinach między obiadem i koktajlami. W istocie nie oddalili się zbyt - weszli jedynie na stok wznoszącego się za hotelem, porośniętego sosnami wzgórza. W dole migotała woda w wielkim, prostokątnym basenie. Lily Cavanaugh Sawyer przepływała w nim sprawnie i elegancko jedną długość za drugą. Przy jednym ze stolików, ustawionych w pewnej odległości od brzegu, siedział ojciec Richarda, owinięty w wybrzuszący się, mechaty szlafrok frotte, na stopach miał klapki. Równocześnie zajadał klubową kanapkę i omawiał interesy przez trzymany w drugiej ręce przenośny telefon.

- Tego właśnie chcesz? - spytał Richarda rozciągnięty na ziemi Jack; Richard siedział prosto obok przyjaciela i trzymał w ręce - czego można się było domyślić - książkę "Życie Tomasza Edisona".

- Czego chcesz? To znaczy, kiedy dorosnę? - Richardowi pytanie zdawało się sprawiać pewną trudność. - Chyba czegoś dość przyjemnego. Nie wiem zresztą, czy tego pragnę, czy nie.

- Czy w ogóle sam wiesz, czego chcesz, Richard? Zawsze mówisz, że chcesz być chemikiem eksperymentalnym - powiedział Jack. - Dlaczego tak mówisz? Co to oznacza?

- To znaczy, że chcę być chemikiem eksperymentalnym. - Richard się uśmiechnął.

- Wiesz, o co mi chodzi, prawda? Jaki to ma sens? Myślisz, że jako chemik będziesz się dobrze bawił? Myślisz, że znajdziesz lekarstwo na raka i uratujesz życie milionów ludzi?

Richard popatrzył na niego w bardzo otwarty sposób. Okulary, które zaczął nosić cztery miesiące wcześniej, pomniejszały mu oczy.

- Nie, nie myślę, że kiedykolwiek znajdę lekarstwo na raka, ale nawet nie o to chodzi. Chodzi o to, żeby dowiedzieć się, jak wszystko jest urządzone. Chodzi o to, że rzeczy funkcjonują w uporządkowany sposób, chociaż może się wydawać, że jest inaczej, można to ustalić.

- Porządek.

- Właśnie. Dlaczego się uśmiechasz?

- Pomyślisz, że oszalałem - odparł wciąż uśmiechnięty Jack. - Chciałbym znaleźć coś, przy czym to wszystko - wszyscy ci bogaci faceci, ganiający za piłkami golfowymi i wrzeszczący do telefonów - będzie wyglądało na chore.

- Naprawdę niedobrze robi się na sam taki widok - rzekł Richard, nie siląc się bynajmniej na ironię.

- Nie myślisz nigdy, że w życiu jest coś więcej niż porządek? - Jack popatrzył na niewinną, sceptyczną twarz przyjaciela. - Nie pragniesz odrobiny magii, Richard?

- Wiesz, czasami mam wrażenie, że tobie zależy wyłącznie na chaosie - odpowiedział Richard, rumieniąc się lekko. - Myślę, że stroisz sobie ze mnie żarty. Jeśli pragniesz magii, to burzysz wszystko, w co ja wierzę. W istocie burzysz samą rzeczywistość.

- Może istnieje więcej niż jedna rzeczywistość.

- Pewnie, w "Alicji w Krainie Czarów"!

Richard tracił panowanie nad sobą. Poderwał się, ruszył energicznie między sosnami, a Jack po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że rozmowa, sprowokowana jego odczuciami wobec Snów Na Jawie, wzbudziła w przyjacielu furię. Ponieważ miał dłuższe nogi, po kilku sekundach dogonił Richarda.

- Nie stroiłem sobie z ciebie żartów - zapewnił. - Po prostu byłem ciekawy, dlaczego stale powtarzasz, że chcesz być chemikiem.

Richard przystanął i popatrzył trzeźwo na Jacka.

- Przestań doprowadzać mnie do szału takimi hecami - powiedział. - Tylko na Seabrook Island mogę znieść twoją gadaninę. I tak jest ciężko być jednym z sześciu czy siedmiu zdrowych na umyśle ludzi w Ameryce, żeby znosić jeszcze to, że twojemu przyjacielowi kompletnie odbiło.

Od tej pory Richard jeżył się na wszelkie oznaki fantazji u Jacka; natychmiast zbywał je określeniem "hece z Seabrook Island".

4

Zanim Richard wrócił z jadalni, Jack zdążył wziąć prysznic. Z przylepiającymi się do ciemienia wilgotnymi włosami przeglądał książki na biurku przyjaciela. Gdy Richard wpadł do środka z zawiniętą w poplamioną serwetkę okazałą porcją jedzenia, Jack zastanawiał się, czy ich rozmowa przebiegłaby łatwiej, gdyby książkami tymi były "Władca Pierścieni" i "Wodnikowe Wzgórze" zamiast "Chemii organicznej" i "Zagadek matematycznych".

- Co było na obiad? - zapytał Jack.

- Masz szczęście. Pieczony kurczak - jedna z niewielu podawanych tu rzeczy, przy której nie musisz żałować zwierzęcia zabitego, żeby stało się częścią łańcucha pokarmowego.

Podał zatłuszczoną serwetkę Jackowi. Cztery grube, sownie garniowane kawałki kurczaka rozsiewały niemal niewiarygodnie dobry i gęsty aromat. Jack rzucił się najedzenie.

- Od jak dawna jesz jak prosię?

Richard podepchnął okulary na nosie i przysiadł na wąskim łóżku. Pod tweedową marynarką miał niebieski, wycięty w serek sweter we wzorek, obecnie wepchnięty w spodnie.

Jack przez chwilę zastanowił się z niepokojem, czy w ogóle można dyskutować o Terytoriach z kimś tak dopiętym na ostatni guzik, że nawet swetry upycha za pasek.

- Ostatni raz jadłem wczoraj - odrzekł łagodnie. - Około południa. Trochę zgłodniałem, Richard. Dziękuję, że przyniosłeś mi jedzenie. Kura jest znakomita. Jeszcze nigdy tak dobrej nie jadłem. Naprawdę wspaniały z ciebie gość - przecież ryzykujesz wydalenie ze szkoły.

- Myślisz, że to żart, prawda? - Richard zmarszczył czoło i szarpnął sweter. - Jeżeli ktokolwiek dowie się, że tu jesteś, pewnie naprawdę zostaną wydalony, więc nie sil się na dowcipy. Musimy wymyślić, jak wyprawić cię stąd do New Hampshire.

Na chwilę zapanowało milczenie. Jack obrzucił przyjaciela oceniającym spojrzeniem, Richard jego - surowym.

- Wiem, że chcesz, abym ci wytłumaczył, co robię, Richard - powiedział Jack z pełnymi ustami. - Wierz mi, nie będzie to łatwe.

- Zmieniłeś się, wiesz? - odezwał się Richard. - Wyglądasz... starzej, ale nie tylko o to chodzi. Zmieniłeś się.

- Wiem, że się zmieniłem. Ty też nie byłbyś taki sam, gdybyś towarzyszył mi od września.

Jack uśmiechnął się, popatrzył na nachmurzonego przyjaciela ubranego w strój porządnego chłopca i zdał sobie sprawę, że za nic nie zdoła powiedzieć przyjacielowi o jego ojcu. Po prostu nie był do tego zdolny. Gdyby wypadki ujawniły prawdę, niechby się tak stało; Jack jednak nie miał serca zabójcy, a to było potrzebne do wyjawienia tej konkretnej informacji.

Przyjaciel nadal wpatrywał się w niego ze zmarszczonym czołem. Najwyraźniej czekał na początek opowieści. Być może, aby odwlec chwilę, gdy będzie musiał spróbować przekonać Racjonalnego Richarda o tym, w co nie sposób uwierzyć, Jack spytał:

- Chłopak z sąsiedniego pokoju rzuca szkołę? Widziałem z korytarza, że ma walizki na łóżku.

- Hm, tak, to ciekawe - odrzekł Richard. - To znaczy, interesujące w świetle tego, co powiedziałeś. Rzeczywiście odchodzi - w istocie już wyjechał. Ktoś pewnie zgłosił się po jego rzeczy. Bóg jeden wie, jaką bajeczkę sobie z tego sklecisz, ale w sąsiednim pokoju mieszkał Reuel Gardener. Syn kaznodziei, od którego uciekłeś, jak twierdzisz. - Richard zignorował to, że Jack nagle się zakrztusił. - Muszę przyznać, że prawie pod każdym względem Reuel był normalnym chłopakiem. Pewnie nikt tutaj nie żałuje jednak zbytnio, że odszedł. Kiedy tylko rozeszły się wieści, że w zakładzie, który prowadził jego ojciec, umierały dzieci, dostał telegram z poleceniem, żeby natychmiast opuścić Thayer.

Jack zdołał wreszcie przełknąć kęs kury, który chciał go udusić.

- Syn Sunlighta Gardenera? Facet ma syna? Który uczył się tutaj?

- Przyjechał na początku semestru - odparł po prostu Richard. - To właśnie próbowałem ci wcześniej powiedzieć.

Thayer School nagle wydała się Jackowi groźna w sposób, którego jego przyjaciel nie mógł choćby zacząć rozumieć.

- Jaki on był?

- Sadysta - powiedział Richard. - Z pokoju Reuela słyszałem czasem naprawdę dziwne odgłosy. Raz widziałem zabitego kota w kontenerze na śmieci za domem. Nie miał ślepi ani uszu. Gdybyś zobaczył tego chłopaka, na pewno sam byś pomyślał, że to taki ktoś, kto może torturować kota. Pachniał jak zastała woda kolońska English Leather, takie przynajmniej miałem wrażenie. - Richard milczał przez starannie odmierzoną chwilę, po czym spytał: - Naprawdę byłeś w Domu Sunlighta?

- Przez trzydzieści dni. Było to piekło albo przynajmniej jego najbliższe sąsiedztwo. - Wciągnął powietrze w płuca i popatrzył na nachmurzonego, ale chyba częściowo przekonanego przyjaciela. - Wiem, że pewnie będzie ci to ciężko przełknąć, Richard, ale miałem wilkołaka za towarzysza. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie zginął, ratując mi życie.

- Wilkołak. Sierść na grzbietach dłoni. Zmienia się przy każdej pełni w krwiożerczą bestię. - Richard rozejrzał się z zastanowieniem po pokoju. Jack odczekał, aż ponownie na niego popatrzy.

- Chcesz wiedzieć, co robię? Chcesz, żebym ci powiedział, dlaczego wędruję autostopem na drugi koniec kraju?

- Zacznę wrzeszczeć, jeżeli tego nie zrobisz - rzekł Richard.

- No dobrze - westchnął Jack. - Próbuję uratować mojej matce życie.

Gdy wyrzekł to zdanie, wydało mu się pełne cudownej klarowności.

- Jak zamierzasz to osiągnąć? - zawołał Richard. - Twoja matka prawdopodobnie ma raka. Mój ojciec starał się ci uświadomić, że potrzebuje lekarzy, nauki... a ty ruszyłeś w drogę? Czego chcesz użyć, żeby ocalić matce życie? Magii?

- Trafieś w dziesiątkę. Richard, stary brachu.

Jacka zaczęły palić oczy. Podniósł rękę i wcisnął wilgotne już powieki w zagłębienie łokcia.

- Och, uspokój się. Ej, naprawdę... - rzekł Richard, gorączkowo szarpiąc za sweter. - Nie płacz, Jack, daj spokój, proszę. Wiem, że to straszne. Nie chciałem... po prostu...

Przeszedł w jednej chwili przez pokoik i niezgrabnie zaczął poklepywać Jacka po ramieniu i barku.

- Nic mi nie jest - odparł Jack. Opuścił rękę. - To nie żadna szalona fantazja, Richard, bez względu na to, co o tym sądzisz. - Usiadł prosto. - Ojciec nazywał mnie Jackiem Wędrowniczkiem. Tak samo zrobił stary człowiek w Arcadia Beach.

Miał nadzieję, że współczucie rzeczywiście pootwiera zatrzaśnięte drzwi w duszy Richarda. Gdy popatrzył mu w twarz, zyskał pewność, że miał rację. Jego przyjaciel był zmartwiony, wzruszony - i mu oddany.

Jack zaczął opowiadać.

## 5

Wokół dwóch chłopców toczyło się życie Nelson House, zarówno spokojne, jak i hałaśliwe na modłę szkół z internatem, punktowane krzykami, rykami i śmiechem. Za drzwiami człapały kroki, ale się nie zatrzymywały. Z pokoju piętro wyżej rozlegało się regularne łupanie i sporadyczne akordy, po których Jack rozpoznał wreszcie utwór Blue Oyster Cult. Zaczął opowiadać Richardowi o Snach Na Jawie. Od nich przeszedł do Speedy'ego Parkera. Opisał głos, który odezwał się do niego z leja w piasku. Wreszcie opowiedział Richardowi o tym, jak zażył magicznego napitku Speedy'ego i po raz pierwszy przeskoczył w Terytoria.

- Myślę jednak, że to było po prostu tanie wino - powiedział Jack. - Później, kiedy się skończyło, okazało się, że go nie potrzebuję, żeby przenosić się na drugą stronę. Potrafię zrobić to sam.

- Rozumiem - odezwał się Richard niezdradzającym emocji tonem.

Jack próbował jak najwierniej opisać przyjacielowi Terytoria: trakt dla wozów, widok letniego pałacu, ich beczasowość i wyjątkowość. Kapitan Farren i umierająca Królowa doprowadziły go do Dwójników - Osmonda. Opisał scenę w Wiosce Podręcznych i drogę na Rubieże, nazywaną także Szlakiem Zachodnim. Pokazał Richardowi swoją małą kolekcję świętych przedmiotów: kostkę do gry na gitarze, kulkę i monetę. Przyjaciel poobracał je tylko w palcach i zwrócił bez komentarza. Następnie Jack opisał nieszczęsny pobyt w Oatley. Richard wsłuchiwał się w opowieść w milczeniu, lecz z rozszerzonymi oczyma.

Jack starannie pominął Morgana Sloata i Morgana z Orris w relacji o scenie, jaka rozegrała się niedaleko Lewisburga, na parkingu przy autostradzie międzystanowej 1-70 w zachodnim Ohio.

Potem przyszło mu opisać Wilka, takiego, jakiego ujrzał po raz pierwszy: rozpromienionego olbrzyma w farmerkach. Poczuł, że znowu napływają mu łzy do oczu. Rozpłakał się, zaskakując Richarda, gdy opowiadał o tym, jak próbował wsadzać Wilka do samochodów. Przyznał się do irytacji na towarzysza, walcząc z napływającymi łzami. Przez jakiś czas dobrze sobie radził - zdołał opowiedzieć o pierwszej Przemianie Wilka bez łez ani ściskania w gardle. Potem znów miał trudności. Gniew uniemożliwił mu swobodną relację, aż dotarł do Ferda Jankłowa i ponownie poczuł palenie w oczach.

Richard długo nic nie mówił. Wreszcie wstał i przyniósł czystą chusteczkę z szuflady biurka. Jack hałaśliwie wytarł nos.

- To właśnie się działo - powiedział. - A przynajmniej to większość tego, co mnie spotkało.

- Czego się naczytałeś? Jakich filmów się naoglądałeś?

- Odpierdziel się - burknął Jack.

Wstał i ruszył po plecak, ale Richard wyciągnął rękę i zacisnął ją na jego nadgarstku.

- Nie sądzę, że wszystko zmyśliłeś. Nie uważam, że wymyśliłeś cokolwiek.

- Nie?

- Nie. Nie wiem, co mam sądzić, ale jestem pewien, że nie opowiadasz mi rozmyślnych kłamstw. - Wypuścił jego rękę. - Wierzę, że byłeś w Domu Sunlighta. Tak, wierzę w to. Wierzę też, że miałeś przyjaciela, który nazywał się Wilk i tam zginął. Przykro mi, ale nie mogę potraktować poważnie Terytoriów ani przyjąć, że twój przyjaciel naprawdę był wilkołakiem.

- Myślisz, że zwariowałem - powiedział Jack.

- Myślę, że masz kłopoty. Nie zadzwonię jednak do ojca ani nie będę cię zmuszał, żebyś zaraz ruszał z powrotem. Prześpisz tę noc w moim łóżku. Jeśli usłyszymy, że pan

Haywood przyjechał na kontrolę, to zdążysz schować się pod łóżkiem. - Richard przybrał nieco autorytarną manierę. Wsparł ręce o boki i rozejrzał się krytycznie po pokoju. - Musisz trochę wypocząć. Jestem pewien, że to część twoich kłopotów. Musiałeś tyrać na śmierć w tamtym strasznym miejscu. Umysł zaczął ci szwankować, toteż musisz trochę wypocząć.

- Rzeczywiście - przyznał Jack.

Richard przewrócił oczyma.

- Niedługo będę musiał pójść na trening koszykówki, ale możesz na razie się tu schować. Później przyniosę ci więcej jedzenia. Przede wszystkim musisz odpocząć i wrócić do domu.

- New Hampshire to nie mój dom - powiedział Jack.



## Rozdział trzydziesty

### W Thayer robi się dziwnie

1

Jack widział przez okno skulonych dla ochrony przed zimnem chłopców, którzy krążyli pomiędzy biblioteką i pozostałymi budynkami szkoły. Etheridge, chłopak z ostatniej klasy, który tego ranka rozmawiał z Jackiem, przemknął na dole z rozwianym za sobą szalikiem.

Richard wyjął tweedową sportową marynarkę z wąskiej szafy koło łóżka.

- Uważam, że powinieneś wrócić do New Hampshire i nic nie zmieni mojego zdania. Na razie muszę iść na koszykówkę, bo jak tego nie zrobię, pan Frazer każe mi zrobić dziesięć karnych okrążeń, kiedy tylko wróci. Na dzisiejszy trening ma przyjść ktoś na zastępstwo, ale Frazer powiedział, że wdepcze nas w ziemię, jeśli się pourywamy. Chcesz pożyczyć jakieś czyste ubranie? Mam przynajmniej koszulę, która będzie na ciebie pasowała - ojciec przysłał mi ją z Nowego Jorku, ale w Brooks Brothers pomylili rozmiary.

- Zobaczmy - odrzekł Jack.

Jego strój stał się zdecydowanie godny pogardy. Tak bardzo zeszywniał od plam, że za każdym razem, kiedy Jack zwracał na to uwagę, myślał, że wygląda jak Pigpen, postać z "Fistaszków", żyjąca w odium brudu i dezaprobaty. Richard podał mu białą koszulę z długimi rękawami, wciąż zapakowaną w plastikową torbę.

- Wielkie dzięki - powiedział Jack.

Wyjął koszulę i zaczął usuwać szpilki. Okazało się, że jest prawie dobra.

- Mam też kurtkę, którą możesz przymierzyć - dodał Richard. - To ta bluza, która wisi w końcu szafy. Przymierz ją, dobrze? Możesz też pożyczyć któryś z moich krawatów, na wypadek gdyby ktoś tu wszedł. Powiedz, że jesteś z Country Day w Saint Louis i przyjechałeś na wymianę dziennikarską. Robimy to dwa, trzy razy do roku - chłopcy od nas jadą tam, stamtąd przyjeżdżają tutaj i wymieniamy się przy redagowaniu szkolnej gazetki. - Podszedł do drzwi. - Wrócę przed kolacją i zobaczę, co u ciebie.

Jack zauważył, że jego przyjaciel ma równo pozapinane wszystkie guziki marynarki, a w kieszeni na piersiach plastikową wkładkę z dwoma długopisami.

W Nelson House w ciągu kilku minut zapanowała całkowita cisza. Z okna pokoju Jack widział chłopców siedzących za wielkimi stołami w bibliotece. Nikt nie spacerował po chodnikach czy kruchej, zrudziałej trawie. Rozległ się natarczywy dzwonek oznajmiający

początek czwartej lekcji. Jack przeciągnął się i ziewnął. Na nowo ogarnęło go poczucie bezpieczeństwa - otaczała go szkoła ze swoimi doskonale znajomymi rytuałami: dzwonekami, lekcjami i treningami koszykówki. Miał nadzieję, że zdoła zostać tu jeszcze dzień; może nawet uda mu się zatelefonować do matki z jednego z automatów w Nelson House. Na pewno odrobi zaległości w spaniu.

Jack podszedł do szafy i wyjął bluzę wiszącą tam, gdzie powiedział Richard. Przy jednym z rękawów wciąż dyndała metka; Sloat wysłał ją z Nowego Jorku, ale Richard nie włożył jej ani razu. Podobnie jak koszula, kurtka była o rozmiar za mała na Jacka w ramionach, poza tym miała jednak obszerny krój, a białe rękawy koszuli wystawały z niej na pół cala.

Jack zdjął krawat z haczyka - czerwony, z wzorkiem czerwonych kotwic. Włożył go na szyję i z trudem zawiązał. Przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze i zaśmiał się na głos. Pomyślał, że wreszcie mu się udało. Popatrzył na piękną, nową bluzę, klubowy krawat, śnieżnobiałą koszulę i pogniecione dżinsy. Proszę bardzo, znalazł się w prywatnej szkole dla dzieci bogaczy.

2

Jack doszedł do wniosku, że Richard został miłośnikiem Johna McPhee, Lewisa Thomasa i Stephena Jay Goulda. Wyjął "The Panda's Thumb" z rzędu książek na półkach, bo spodobał mu się tytuł, i położył się z powrotem do łóżka.

Richard nie wracał z treningu koszykówki niemożliwie długo. Jack zaczął wreszcie chodzić tam i z powrotem po pokoju. Nie miał pojęcia, co mogłoby zatrzymać przyjaciela, ale wyobrażenia podsuwała mu obrazy kolejnych nieszczęść.

Za piątym czy szóstym razem, gdy Jack popatrzył na zegarek, zauważył, że na terenie szkoły nie widać ani jednego ucznia.

Cokolwiek spotkało Richarda, dotyczyło całej szkoły.

Popołudnie dogasało. Richard też pewnie wyzionął ducha, pomyślał Jack. Może cała Thayer School umarła - a on, Jack, był zwiastunem śmierci, roznosicielem zarazy. Przez cały dzień nic nie miał w ustach z wyjątkiem kurczaka przyniesionego przez przyjaciela z jadalni, ale nie był głodny. Usiadł, czując odrętwiający żal. Wszędzie, gdzie trafiał, niósł ze sobą zniszczenie.

3

Na korytarzu wreszcie dały się słyszeć kroki.

Piętro wyżej rozległo się niewyraźnie rytmiczne pulsowanie gitary basowej; Jack po kilku chwilach rozpoznał nagranie Blue Oyster Cult. Kroki zatrzymały się pod drzwiami. Jack przypadł do wejścia.

Na korytarzu stał Richard. Dwóch chłopców z włosami kukurydzianej barwy i rozluźnionymi krawatami zajrzało do pokoju i nie zatrzymując się, poszło dalej. Po otwarciu drzwi rockową muzykę słychać było wyraźniej.

- Gdzie się podziewałeś całe popołudnie? - zapytał kategorycznie Jack.

- No, działo się coś dziwnego - powiedział Richard. - Odwołano wszystkie poobiednie zajęcia. Pan Dufrey nie pozwolił nawet chłopcom wrócić do szafek po ubrania. Potem wszystkim nam kazano pójść na trening koszykówki, a to było jeszcze bardziej niezwykle.

- Kto to jest pan Dufrey?

- Kto to pan Dufrey? - Richard popatrzył na Jacka, jakby właśnie wypadł z becika. - To dyrektor szkoły. Naprawdę niczego o niej nie wiesz?

- Nie, ale zaczynam orientować się w paru rzeczach - odparł Jack. - Co takiego dziwnego było w treningu?

- Pamiętasz, mówiłem ci, że pan Frazer poprosił jakiegoś swojego przyjaciela o zastępstwo na dzisiaj? No, zapowiedział, że wszyscy będziemy musieli zaliczyć karne okrążenia, jeśli spróbujemy się zerwać. Myślałem, że ten jego przyjaciel to jakiś facet w stylu Ala Maguire, no, wiesz, jakiś prawdziwy narwaniec. Thayer School nie ma specjalnych tradycji sportowych. Tak czy inaczej, wyobrażałem sobie, że ten jego zastępca to będzie ktoś wyjątkowy.

- Pozwól, że się domyśle. Nowy facet wyglądał, jakby nigdy w życiu nie miał nic wspólnego ze sportem.

Zaskoczony jego słowami Richard uniósł głowę i wystawił podbródek.

- Nie - odpowiedział. - Nie, nie miał. - Rzucił Jackowi baczne spojrzenie. - Przez cały czas palił. Miał naprawdę długie, przetłuszczone włosy - w ogóle nie wyglądał jak trener. Prawdę mówiąc, wyglądał jak ktoś, kogo większość trenerów miałaby ochotę rozdeptać. Nawet oczy miał dziwne. Założę się, że pali trawkę. - Richard pociągnął za swój sweter. - Myślę, że nie ma zielonego pojęcia o koszykówce. Nie kazał nam nawet ćwiczyć akcji, a zwykle to robimy po rozgrzewce. Tak sobie tylko biegaliśmy i rzucaliśmy do kosza, a on na nas pokrzykiwał. Śmiał się, jakby jeszcze nigdy nie widział nic równie śmiesznego jak

chłopcy grający w koszykówkę. Widziałeś kiedyś trenera, który uważa sport za śmieszny? Nawet rozgrzewka była dziwna. Facet po prostu powiedział: "No dobra, robić pompki" i zapalił papierosa. Nie wyliczał, nie narzucał rytmu. Każdy robił, na co miał ochotę. Potem powiedział: "Dobra, teraz trochę pobiegajcie". Wyglądał... naprawdę dziko. Myślę, że jutro poskarżę się panu Frazerowi.

- Na twoim miejscu nie skarżyłbym się ani jemu, ani dyrektorowi - rzekł Jack.

- Och, rozumiem - odparł Richard. - Pan Dufrey to jeden z nich. Jeden z ludzi z Terytoriów.

- Albo dla nich pracuje - powiedział Jack.

- Nie widzisz, że możesz absolutnie wszystko wpasować w ten wzór? Wszystko, co układa się nie tak, jak powinno? To zbyt proste - w ten sposób możesz wszystko sobie wytłumaczyć. Tak właśnie działa obłąd. Dostrzegasz związki, które naprawdę nie istnieją.

- I widzę rzeczy, których nie ma.

Richard wzruszył ramionami, lecz mimo iż gest był energiczny, na jego twarzy nadal widniała żalosna mina.

- Sam to powiedziałeś.

- Zaczekaj minutę - rzekł Jack. - Pamiętasz, mówiłem ci o budynkach, które się zawaliły w Angoli w stanie Nowy Jork?

- Rainbird Towers.

- Cóż za pamięć. Myślę, że ta katastrofa to moja wina.

- Jack, jesteś...

- Szalony. Wiem - odparł Jack. - Posłuchaj, czy ktoś by mnie zakapował, gdybyśmy poszli razem obejrzeć dziennik wieczorny?

- Wątpię. Większość chłopaków i tak się teraz uczy. Dlaczego pytasz?

Bo chcę wiedzieć, co się dzieje w okolicy, pomyślał Jack, ale nie powiedział tego na głos. Śliczne małe pożary, eleganckie minitrzęsienia ziemi - oznaki, że tamci przedzierają się na tę stronę. Po mnie. Po nas.

- Potrzebuję zmiany scenerii, brachu - powiedział Jack i ruszył za Richardem wodnistozielonym korytarzem.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

### Thayer idzie w diabły

1

Jack pierwszy zdał sobie sprawę ze zmiany. Dotarło do niego, co się zdarzyło, bo do podobnych wydarzeń doszło już raz wcześniej, podczas nieobecności przyjaciela, więc był na to wyczulony.

Wycie heavymetalowego "Tattoo Vampire" Blue Oyster Cult ucichło. Telewizor w świetlicy, z którego dobiegał rechot dograny do kolejnego odcinka "Hogan's Heroes", również zamilkł.

Richard odwrócił się w stronę Jacka, najwyraźniej chcąc coś powiedzieć.

- Nie podoba mi się to, Gridley. Ucichły tam-tamy tubylców. Jest za spokojnie - zacytował Jack.

- Ha-ha - rzucił bez przekonania jego przyjaciel.

- Mogę cię o coś zapytać, Richard?

- Tak, oczywiście.

- Boisz się?

Mina Richarda świadczyła, że najbardziej na świecie chciałby odpowiedzieć: *Nie, oczywiście, że nie - w Nelson House zawsze robi się cicho pod wieczór*. Niestety Richard był skrajnie niezdolny do kłamstwa. Drogi, dobry Richard. Jack poczuł przyływ czułości wobec przyjaciela.

- Tak - odparł Richard. - Trochę się obawiam.

- Mogę cię zapytać o coś jeszcze?

- Pewnie tak.

- Dlaczego obaj szepczemy?

Richard w milczeniu popatrzył na niego przez długą chwilę. Wreszcie ruszył dalej zielonym korytarzem.

Drzwi do innych pokoi przy drugim korytarzu były albo otwarte, albo uchylone. Jack wyczuł bardzo znajomy zapach, dobywający się zza półotwartych drzwi do pokoju oznaczonego numerem 4. Pchnął je palcami.

- Który z nich ćmi trawkę? - spytał Jack.

- Słucham? - odezwał się niepewnie

Richard. Jack wciągnął głośno powietrze w nozdrza.

- Czujesz?

Richard podszedł do niego i zajrzał do pokoju. Paliły się obydwie lampki do nauki. Na jednym z biurków leżał otwarty podręcznik historii, na drugim - numer "Heavy Metal". Ściany udekorowano plakatami: Costa del Sol, Eddie Van Halen, wreszcie Frodo i Sam brnący przez spękaną, dymiącą równinę Mordoru w stronę zamku Saurona. Na otwartym piśmie leżały słuchawki, z których dobywało się ciche brzęczenie muzyki.

- Skoro możesz zostać wyrzucony za przenocowanie przyjaciela pod łóżkiem, to wątpię, by przyłapanie cię na paleniu trawki skończyło się klępsem, prawda? - powiedział Jack.

- Oczywiście, wywaliliby cię za to.

Richard wpatrywał się jak zahipnotyzowany w skręta. Jack pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział przyjaciela tak wstrząśniętego i oszołomionego, nawet wtedy gdy pokazał mu gojące się rany między swoimi palcami.

- Nelson House jest pusty - powiedział Jack.

- Nie gadaj głupstw! - odrzekł ostro Richard.

- Jednak tak właśnie jest. - Jack pokazał ręką w głąb korytarza. - Zostaliśmy tylko my. Nie da rady wyprowadzić bez żadnego hałasu trzydziestu kilku chłopców z dormitorium. Oni nie wyszli ot tak po prostu - znikli.

- I trafili pewnie do Terytoriów.

- Nie wiem - odparł Jack. - Może są wciąż tutaj, ale na nieco innym poziomie rzeczywistości. Może przenieśli się tam. Może trafili do Cleveland, ale nie ma ich tutaj.

- Zamknij drzwi - polecił nagle Richard.

Jack nie ruszył się z miejsca na tyle szybko, by zadowolić przyjaciela; Richard zrobił to za niego.

- Chcesz zgasić...

- Nie chcę nawet tego dotykać - powiedział Richard. - Wiesz, powinienem o tym zameldować. Powinienem donieść o nich obydwóm Haywoodowi.

- Zrobiłbyś to? - spytał zafascynowany Jack.

- Nie... pewnie nie - odparł z miną zbesztanego chłopca Richard. - Ale mi się to nie podoba.

- Zachowali się nie w porządku - rzekł Jack.

- Tak. - Richard rzucił mu błyskawiczne spojrzenie zza okularów, mówiące, że tak właśnie było, że Jack trafił gwóździem w sam łebek, a jeśli mu się to nie podoba, to może się

wypchać. Ruszył dalej korytarzem. - Chcę wiedzieć, co się tu dzieje - powiedział. - Wierz mi, że się tego dowiem.

Może się to okazać o wiele niebezpieczniejsze dla twojego zdrowia niż marihuana, Richie, pomyślał Jack i poszedł za przyjacielem.

3

Stali w świetlicy i wyglądali na zewnątrz. Richard wskazał na dziedziniec. Jack zobaczył chłopców, którzy w luźnej grupie stali wokół pozielonej statuy radnego Thayera.

- Pałą! - zawołał z gniewem Richard. - Pałą, i to na samym dziedzińcu!

Jackowi natychmiast przypomniał się zapach marihuany na korytarzu internatu.

- Zgadza się, pałą - powiedział. - i to nie takie papierosy, jakie możesz kupić z dystrybutora.

Richard postukał ze złością kostkami w szybę. Jack zauważył, że jego przyjaciel zapomniał o niesamowicie opustoszałym internacie, przypalającym jednego papierosa od drugiego zastępcy nauczyciela wuefu w skórzanej kurtce, a nawet o domniemanych zaburzeniach psychicznych Jacka. Mina oburzenia i naruszonego poczucia porządku na twarzy Richarda mówiła: *Kiedy banda chłopaków tak sterczy i pali skręty na wyciągnięcie ręki od pomnika założyciela mojej szkoły, to tak, jakby ktoś starał się mi wmówić, że Ziemia jest płaska, liczby pierwsze mogą być czasami podzielne przez dwa albo coś równie niedorzecznego.*

Serce Jacka przepełniało współczucie dla przyjaciela, ale również podziw dla postawy, która przecież jego kolegom musiała wydawać się reakcyjna, a nawet ekscentryczna. Zastanawiał się, czy Richard będzie w stanie wytrzymać wstrząsy, które ich niewątpliwie czekały.

- Ci chłopcy nie są z Thayer, prawda, Richard? - spytał.

- Boże, naprawdę zwariowałeś, Jack. To chłopaki z Upper School. Poznaję ich wszystkich. Chłopak w tej idiotycznej czapce lotniczej to Norrington. Tamten w zielonych spodniach to Buckley. Widzę Garsona... Littlefielda... Ten w szaliku to Etheridge - dokończył.

- Jesteś pewny, że to Etheridge?

- Oczywiście, że to on! - krzyknął Richard.

Nagle przesunął rygiel okna, które otworzył gwałtownym szarpnięciem, i wychylił się na zewnątrz. Jack wciągnął go z powrotem.

- Richard, proszę, posłuchaj mnie tylko...

Jego przyjaciel nie miał na to ochoty. Odwrócił się i znów wychylił się na zewnątrz, gdzie zapadał chłodny zmierzch.

- Hej!

*Nie, nie zwracaj na nas ich uwagi, Richard, na miłość Chrystusa...*

- Hej, wy! Etheridge! Norrington! Littlefield! Co tam się wyprawia, do diabła?!

Rozmowa i prostackie śmiechy ustały. Na dźwięk głosu Richarda postać w szaliku Etheridge'a powoli się odwróciła. Przekrzywiła lekko głowę i popatrzyła na obu chłopców. Światła z biblioteki i posępny poblask zimowego zachodu padły na jej oblicze. Richard raptownie zakrył twarz dłońmi.

Prawa połowa twarzy postaci na trawniku istotnie przypominała nieco Etheridge'a - starsze jego wydanie, Etheridge'a zapuszczającego się w mnóstwo miejsc, do których nie powinni chodzić elegancyści uczniowie prywatnych szkół i dopuszczającego się rzeczy, których ci uczniowie robić nie powinni. Drugą połowę twarzy stanowiła masa splątanych blizn. Lśniący półksiężyc - być może oko - wзираł z krateru w bryłowatym fałdzie mięsa pod czołem. Przypominał kulkę do zabawy, wepchniętą głęboko w kałużę stygnącego wosku. Z lewego kąta ust sterczał pojedynczy kiel.

To jego Dwójnik, pomyślał Jack z całkowitą pewnością i spokojem. Tam stoi Dwójnik Etheridge'a. Czy to sami Dwójnicy? Dwójnik Littlefielda, Dwójnik Norringtona, Dwójnik Buckleya i tak dalej? To niemożliwe, prawda?

- Sloat! - zawołał niby-Etheridge.

Zrobił dwa chwiejne kroki w stronę Nelson House. Blask z ulicznych latarni padł prosto na jego pokiereszowaną twarz.

- Zamknij okno - wyszeptał Richard. - Zamknij okno. Nie miałem racji. Wygląda trochę podobnie do Etheridge'a, ale to nie on, może jego starszy brat, może ktoś oblał brata Etheridge'a kwasem z akumulatora albo czymś, a on od tego oszalał, ale to nie Etheridge, więc zamknij to okno, Jack, zamknij je natych...

W dole niby-Etheridge zrobił kolejny krok w ich stronę. Uśmiechnął się; koszmarnie długi język wysunął się z jego ust jak rozwijająca się zabawka.

- Sloat! - zawołał. - Oddaj nam swojego pasażera!

Jack i Richard popatrzyli na siebie z niebotycznym napięciem.

Wśród nocy rozległo się wycie... zapadła już bowiem noc, zmierzch dobiegi końca.

Richard popatrzył na Jacka, który dojrzał przez moment w oczach przyjaciela coś w rodzaju prawdziwej nienawiści, przez co trochę przypominał ojca. *Dlaczego musiałeś tu*



*przyjechać, Jack? Co? Dlaczego wpakowałeś mnie w to bagno? Dlaczego sprawiłeś, że porobiło się tu jeszcze gorzej niż na Seabrook Island?*

- Mam sobie pójść? - spytał cicho Jack.

Jeszcze przez chwilę w oczach Richarda widniał gniew, lecz moment później zastąpiła go jego zwykła poczciwość.

- Nie - odrzekł, przegarniając sobie w roztargnieniu włosy. - Nie, nigdzie nie pójdziesz. Tam są... tam są wściekłe psy! Zdziczałe psy, i to na terenie Thayer! Przecież... widziałeś ich?

- Tak, widziałem, Richie - powiedział delikatnie Jack.

Richard ponownie przecesał swoje do tej pory ułożone włosy, wprawiając je w jeszcze większy chaos. Elegancki i porządny przyjaciel Jacka zaczął nieco przypominać pogodnego, lecz szalonego wynalazcę Gyro Gearloose'a, kuzyna Kaczora Donalda.

- Trzeba zadzwonić po Boyntona, szefa straży kampusu - odezwał się Richard. - Zadzwonić po Boyntona albo po policję miejską, albo...

Ze zgęstniałych cieni pod drzewami po przeciwnej stronie dziedzińca rozległo się wycie - wznoszące się skomlenie, brzmiące niemal ludzko. Richard popatrzył w tamtą stronę. Usta drżały mu prawie tak, jak wiekowemu inwalidzie. Potem przeniósł spojrzenie na Jacka.

- Zamknij okno, Jack, dobrze? Czuję się, jakbym miał gorączkę. Może się przeziębilem?

- Pewnie, Richard - odparł Jack i zamknął okno, starając się jak najlepiej odizolować od wycia.

## Rozdział trzydziesty drugi

“Wydaj nam swojego pasażera!”

1

- Pomóż mi z tym cholerstwem, Richard - stęknął Jack.

- Nie chcę przestawiać biurka, Jack - odpowiedział dziecięcym, napominającym tonem przyjaciel. Ciemne kręgi pod jego oczyma były jeszcze wyraźniejsze niż w świetlicy. - Nie tam powinno stać.

Na dziedzińcu ponownie rozległo się wycie.

Drzwi już zatarasowali łóżkiem. W pokoju Richarda zapanował całkowicie odmienny porządek. Chłopiec rozglądał się po nim i mrugał oczyma. Wreszcie podszedł do łóżka i ściągnął koce. Podał jeden z nich bez słowa Jackowi, a swój rozpostarł na podłodze. Wyjął z kieszeni portfelik na banknoty i drobne. Ułożył je porządnie na biurku. Następnie położył się na środku koca i okrył się jego bokami. Leżał na podłodze, nie zdjęwszy nawet okularów, a jego mina świadczyła o nieszczęściu, które przeżywa w milczeniu.

Na zewnątrz panowała gęsta jak we śnie cisza, przerywana jedynie odległym warkotem wielkich ciężarówek na autostradzie. W samym Nelson House nie rozlegał się żaden odgłos.

- Nie chcę rozmawiać o tym, co dzieje się na zewnątrz - powiedział Richard. - Mówię to od razu.

- Dobrze, Richard - odparł kojącym tonem Jack. - Nie będziemy o tym rozmawiać.

- Dobranoc, Jack.

- Dobranoc, Richard.

Przyjaciel rzucił Jackowi słaby, wymuszony uśmiech. Było w nim jednak dość przyjaźni, tak że Jackowi zrobiło się cieplej na sercu, chociaż równocześnie się ono ścisnęło.

- Mimo wszystko cieszę się, że tu jesteś - rzekł Richard. - Rano o wszystkim porozmawiamy. Na pewno dostrzeżemy w tym wtedy więcej sensu. Mam niewysoką gorączkę, ale do tego czasu na pewno ustąpi.

Richard odwrócił się na prawy bok i zamknął oczy. Mimo twardości podłogi w pięć minut później spał już głęboko.

Jack długo siedział i wyglądał w ciemności. Czasami widział światła samochodów przejeżdżających Springfield Avenue. Kiedy indziej światła, a nawet same latarnie nikły,

jakby cała Thayer School usuwała się z rzeczywistości i przez jakiś czas unosiła się w otchłani, zanim do niej powracała.

Zrywał się coraz silniejszy wiatr. Jack słyszał, jak wstrząsał ostatnimi, zmrożonymi liśćmi drzewa na dziedzińcu. Kołatał gałęziami jak kośćmi i zimno zawodził w pustych przestrzeniach między budynkami.

2

- Ten facet tu idzie - powiedział z napięciem Jack. Minęła mniej więcej godzina. - Dwójnik Etheridge'a.

- Szszesso?

- Nieważne - rzekł Jack. - Śpij dalej. Nie będziesz chciał tego oglądać.

Richard jednak już siadał. Zanim zdołał skupić wzrok na przygarbionej w dziwaczny sposób, powykręcanej sylwetce, idącej w stronę Nelson House, przykuł jego uwagę widok reszty kampusu. Richard doznał głębokiego wstrząsu i poczuł przenikliwą trwogę.

Bluszcz na Monkson Fieldhouse, tego ranka przerzedzony jak szkielet, ale jeszcze zielony, przybrał obecnie obrzydliwie żółtą, chorobliwą barwę.

- Sloat! Wydadz nam swojego pasażera!

Nagle Richard zapragnął tylko jednego: spać dalej. Zapaść z powrotem w sen, aż skończy się jego grypa (przebudził się z myślą, że to musi być grypa - nie gorączka ani przeziębienie, lecz prawdziwa grypa). To przez chorobę i towarzyszącą jej gorączkę miał koszmarne, obłądne halucynacje. Nie powinien był w ogóle stawać przy otwartym oknie... ani wcześniej wpuścić przez nie Jacka. Gdy tylko Richard tak pomyślał, natychmiast poczuł głęboki wstyd.

3

Jack szybko rzucił z ukosa spojrzenie na Richarda. Bładość twarzy i wybałuszone oczy podpowiadały mu, że jego przyjaciel zagłębia się coraz dalej w Magiczną Krainę Przeciążenia.

Stojąca na zewnątrz istota była niska. Sterczała na pobielającym od szronu trawniku jak troll, który wypełził spod jakiegoś mostu. Miała na sobie drelichową, niezasuniętą i rozchyloną kurtkę o wojskowym kroju, z wytłoczonym nad lewą kieszenią nazwiskiem: ETHERIDGE. Pod spodem widać było porwaną i wymiętą koszulę firmy Pendleton z ciemną

plamą na boku - krwią lub wymiocinami. Istota miała też wymięty, niebieski krawat z wyszywanymi drobniotkami, złotymi literkami "E". Przyczepiło się do niego parę rzepów, przypominały groteskowe pinezki.

Jedynie połowa nowej twarzy Etheridge'a działała tak, jak należy. Miał błoto we włosach i liście na ubraniu.

- Sloat! Wydaj nam swojego pasażera!

Jack przyjrzał się ponownie potwornemu Dwójnikowi Etheridge'a. Zajrzał mu w oczy i przez jakiś czas nie mógł oderwać od nich wzroku. Zdawały się wibrować w oczodołach jak podrygujące w laboratoryjnych uchwytach stroiki. Jack wreszcie z wysiłkiem się odwrócił.

- Richard! - mruknął. - Nie patrz mu w oczy.

Richard nie odpowiedział. Wpatrywał się w uśmiechnięte, przypominające trolla wydanie Etheridge'a z bezmyślnym zaciekawieniem człowieka będącego pod działaniem narkotyku. Jack z przerażeniem szturchnął go barkiem.

- Och - stęknął Richard. Nagle chwycił Jacka za rękę i przycisnął sobie do czoła. - Jestem rozpalony? - spytał kategorycznie.

Jack oderwał dłoń od w najlepszym razie trochę ciepłego czoła przyjaciela.

- Bardzo - skłamał.

- Wiedziałem - odparł Richard z autentyczną ulgą. - Niedługo pójdę do izby chorych, Jack. Myślę, że potrzeba mi antybiotyku.

- Wydaj nam go, Sloat!

- Zatarasujmy okno biurkiem - powiedział Jack.

- Nic ci nie grozi, Sloat! - zawołał Etheridge.

Stwór - a właściwie lewa połowa jego twarzy - uśmiechnął się uspokajająco. Prawa nadal była rozdziawiona jak u trupa.

- Jak ten ktoś może tak bardzo przypominać Etheridge'a? - zapytał Richard z niepokojącym, niesamowitym spokojem. - Jak jego głos może tak wyraźnie docierać przez szybę? Co się stało z jego twarzą? - Jego głos stał się nieco ostrzejszy i pojawiło się w nim więcej trwogi, nim padło ostatnie pytanie, najistotniejsze ze wszystkich - przynajmniej dla Richarda Sloata: - Skąd ma krawat Etheridge'a, Jack?

- Nie wiem - odrzekł Jack.

*Nie ma co, jesteśmy z powrotem na Seabrook Island, Richie, i czeka nas tyle uciech, że aż się porzygamy.*

- Wydaj go nam, Sloat, albo sami przyjdziemy po niego!

Niby-Etheridge zaprezentował pojedynczy kiel we wściekłym, godnym kanibala uśmiechu.

- Podeślij nam swojego pasażera, Sloat! Już jest trupem! Jest trupem, a jak go szybko nie podeślesz, to poczujesz, gdy zacznie się rozkładać!

- Pomóż mi przestawić to cholerne biurko! - syknął Jack.

- Tak - odrzekł Richard. - Tak, dobrze. Przesuniemy biurko, potem się położę, a później może pójde do izby chorych. Jak myślisz, Jack? Co ty na to? To dobry plan?

Miną błagał przyjaciela o potwierdzenie.

- Zobaczymy - powiedział Jack. - Najpierw rzeczy najważniejsze. Przesławmy biurko. Mogą rzucać kamieniami.

4

Wkrótce potem Richard zaczął mamrotać i jęczeć we śnie, w który udało mu się ponownie zapaść. Samo to było fatalne; zaczęły mu ciec łzy z kącików oczu, co jeszcze pogorszyło sprawy.

- Nie mogę go wydać - jęczał Richard płaczliwym, oszołomionym tonem pięciolatka. Jack zapatrzył się na niego, czując chłód na skórze. - Nie mogę się go wyrzec. Chcę do tatusia, niech ktoś mi powie, gdzie jest tatuś, wszedł do szafy, ale go w niej teraz nie ma, chcę do tatusia, on mi powie, co mam robić, proszę...

Szyba rozleciała się z łoskotem wskutek uderzenia kamienia. Jack krzyknął.

Kamień rąbnął w tył zasłaniającego okno biurka. Kilka szklanych odłamków wypadło przez szczeliny po bokach biurka i porozbijało się na podłodze na jeszcze drobniejsze kawałki.

- Oddaj nam swojego pasażera, Sloat!

- Nie mogę - wyjęczał Richard, wierząc się pod kocem.

- Wydaj go nam! - krzyknął na zewnątrz kolejny roześmiany, wyjący głos. - Zabierzemy go z powrotem na Seabrook Island, Richard! Z powrotem na Seabrook Island, gdzie jest jego miejsce!

Poleciał kolejny kamień. Jack skulił się instynktownie, chociaż ten również odbił się od biurka. Psy wyły, czekały i skamlały.

- Tylko nie Seabrook Island - mruczał Richard we śnie. - Gdzie mój tatuś? Chcę, żeby wyszedł z tej szafy. Proszę, proszę, tylko bez hec z Seabrook Island, PROSZĘ...

Jack wreszcie przypadł na kolana i zaczął mocno szarpać Richarda. Mówił mu, żeby się obudził, że to tylko sen, żeby się obudził, na miłość boską, obudził!

- Prosze-prosze-prosze - zaintonował niesamowity chór chrapliwych głosów na zewnątrz, co przypominało słowa zwierzoczęłka z "Wyspy doktora Moreau" Wellsa.

- Obuć-sie, obuć-sie, obuć-sie - zawtórowała inna grupa.

Psy wyły nadal.

Posypała się lawina kamieni, wybijały kolejne szyby i waliły w biurko z takim impetem, że się trzęsło.

- TATA JEST W SZAFIE! - krzyknął Richard. - WYJDŹ, TATO, PROSZĘ, WYJDŹ, BOJĘ SIĘ!

- Prosze-prosze-prosze!

- Obuć-sie, obuć-sie, obuć-sie!

Richard wymachiwał rękami.

Kamienie nadal trafiały w biurko. Jack pomyślał, że na pewno niedługo wpadnie do środka głaz wystarczająco wielki, by wybić w nim dziurę lub je przewrócić.

Stwory na zewnątrz śmiały się, ryczały i zawodziły głosami koszmarnych trolli. Psy - wydawało się, że już całe stada - nadal wyły i warczały.

- TAATOOOOOO...!!! - krzyknął przeraźliwym, mrozącym krew w żyłach głosem Richard.

Jack go spoliczkował.

Richard natychmiast otworzył oczy. Przez chwilę wpatrywał się w przyjaciela, absolutnie go nie poznając, jakby sen sprzed chwili doszczętnie wypalił jego rozsądek. Wreszcie przeciągle wciągnął powietrze i wypuścił je z westchnieniem.

- Koszmar - odezwał się. - To pewnie część gorączki. Straszne... chociaż nie przypominam sobie nawet dokładnie, co w nim było! - dodał ostro, jakby obawiał się, że Jack go lada chwila o to zapyta.

- Chcę, żebyśmy wyszli z tego pokoju, Richard - powiedział Jack.

- Z tego... - Richard popatrzył na przyjaciela, jakby ten oszalał. - Nie mogę, Jack. Mam gorączkę... co najmniej trzydzieści dziewięć stopni, a może czterdzieści czy czterdzieści i pół. Nie mogę.

- Richard, temperaturę masz co najwyżej podniesioną o jeden stopień - rzekł spokojnie Jack. - Zapewne nawet mniej...

- Jestem cały rozpalony! - zaprotestował chłopiec.

- Tamci obrzucają nas kamieniami, Richard.

- Halucynacje nie mogą rzucać kamieni, Jack - rzekł Richard takim tonem, jakby tłumaczył umysłowo upośledzonemu prosty, lecz kluczowy fakt. - To hece z Seabrook Island. To...

Przez okno wpadła kolejna salwa kamieni.

- Podeślij swojego pasażera, Sloat!

- Chodź, Richard - powiedział Jack.

Podniósł przyjaciela za ramię. Podprowadził go do drzwi i je otworzył. Jack niezmiernie współczuł Richardowi - może nie tak jak Wilkowi... ale z sekundy na sekundę coraz bardziej.

- Nie... chory... gorączka... nie mogę...

Kolejne kamienie zadudniły o biurko z ich plecami.

Richard zapiszczał i wczepił się w Jacka jak tonący.

Z zewnątrz rozległ się oszalały, skrzeczący śmiech. Psy wyły i walczyły ze sobą.

Jack zobaczył, że twarz jego przyjaciela jeszcze bardziej zbieiała. Zachwiał się i na chwilę zdołał się opanować. Jack nie zdołał go jednak złapać, gdy runął bez przytomności na drzwi pokoju Reuela Gardenera.

## 5

Było to zwykłe omdlenie. Richard dość szybko doszedł do siebie, gdy Jack uszczypnął go we wrażliwą fałdę między kciukiem a palcem wskazującym. Richard nie chciał mówić o tym, co działo się na zewnątrz - w istocie udawał, że nie ma pojęcia, o co chodzi jego przyjacielowi.

Ruszyli ostrożnie korytarzem w kierunku schodów. Gdy dotarli do świetlicy, Jack wetknął głowę do środka i gwizdnął.

- Richard, popatrz tylko!

Richard niechętnie zajrzał do środka. W świetlicy panował straszliwy bałagan. Krzesła były przewracane, rozpruto obicie kanapy. Sprofanowano olejny portret radnego Thayera wiszący na przeciwległej ścianie - ktoś dorysował kredką diabelskie rogi nad równo ułożonymi siwymi włosami, ktoś inny dorzucił wąs pod nosem, ktoś jeszcze pilnikiem do paznokci czy podobnym narzędziem wydrapał prymitywnego fallusa między nogami. Szyby w gablotce z trofeami były roztrzaskane.

Jackowi nie spodobało się odrętwiąłe, niedowierzające, świadczące o grozie spojrzenie Richarda. Pod wieloma wzglądami Richardowi łatwiej byłoby znieść widok

maszerujących po korytarzach drużyn elfów czy smoków na dziedzińcu niż ustawiczną erozję Thayer School, którą poznał i pokochał... ponieważ Richard niewątpliwie uważał szkołę za ucieleśnienie dobra i szlachetności, niekwestionowaną ostoję przed światem, gdzie na nic nie można było liczyć zbyt długo - nawet, pomyślał Jack, na ojców, że wyjdą z szaf, w których znikali.

- Kto to zrobił? - spytał gniewnie Richard. - Ci popaprańcy - odpowiedział sam sobie.  
- To oni. - Popatrzył na Jacka, a na jego twarzy zaczęło się malować przytłaczające, mętne podejrzenie. - Może to Kolumbijczycy - powiedział nagle. - Być może to Kolumbijczycy. Pewnie jakaś narkotykowa wojna, Jack. Przyszło ci to do głowy?

Jack zdusił chęć, by wybuchnąć szaleńczym śmiechem. Oto było wyjaśnienie, na jakie mógł zapewne wpaść tylko Richard Sloat. Wszystkiemu byli winni Kolumbijczycy. Thayer School w Springfield w stanie Illinois objęły wojny o kokainowe rynki zbytu. Elementarne, drogi Watsonie.

- Myślę, że wszystko jest możliwe - powiedział Jack. - Zajrzyjmy na górę.

- Po co, na miłość boską?

- No... może znajdziemy jeszcze kogoś - odparł Jack. Nie wierzył w to, ale nic nie szkodziło tak powiedzieć. - Może ktoś się tam schował. Ktoś normalny, jak my.

Richard popatrzył na Jacka, po czym obejrzał się na chaos w świetlicy. Znowu miał bolesne, nawiedzone spojrzenie - mówiło: *Naprawdę nie mam ochoty na to patrzeć, ale z jakiegoś powodu wydaje się, że W ISTOCIE nie mam ochoty oglądać w tej chwili niczego innego; to okropny przymus, tak jak gryzienie cytryny, skrobanie paznokciami po tablicy czy drapanie widelcem po skraju muszli klozetowej.*

- Narkotyki to plaga w tym kraju - powiedział Richard niesamowitym tonem publicznego prelegenta. - Zaledwie w zeszłym tygodniu czytałem w "New Republic" artykuł, jak bardzo się rozprzestrzeniają. Jack, ci wszyscy ludzie na zewnątrz mogą być nafaszerowani narkotykami! Może są naćpani! Może...

- Chodź, Richard - szepnął Jack.

- Nie mam pewności, czy zdołam wspiąć się po schodach - powiedział nieco kłótliwie Richard. - Może mam za dużą gorączkę, żeby po nich chodzić.

- No, to postaraj się, jak przystało na ucznia Thayer - odrzekł Jack.

Poprowadził go w kierunku schodów.



Gdy dotarli na podest na piętrze, odgłosy stopiły się z gładką, niemal zdającą się pozbawioną tchu ciszą, która zapanowała w Nelson House.

Na zewnątrz czekały i powarkiwały psy - brzmiało to, jakby zebrały się ich tu nie dziesiątki, ale setki. Zadudniły zgiełkliwe dzwony w kaplicy.

Dzwony doprowadziły biegające we wszystkie strony po dziedzińcu kundle do absolutnego szału. Rzuciły się na siebie, przetaczały się tam i z powrotem po trawie - która stawała się coraz bardziej nierówna, zachwaszczona i zaniedbana - i szarpały wszystko, co wpadło im w pyski. Jack zobaczył, jak jeden z nich rzuca się na wiąz. Inny skoczył na posąg radnego Thayera. Gdy zatrzasnął rozdziawiony pysk na twardym brzoju, trysnęły strużki krwi. Jack odwrócił się; zrobiło mu się niedobrze.

- Chodź, Richard powiedział.

Richard niemal bez oporu ruszył jego śladem.

7

Pierwsze piętro zamieniło się w spiętrzony chaos poprzewracanych mebli, rozbitych okien, garści wyprutej wyściółki, najwidoczniej rzuconych jak serwo płyt i wywleczonych w beładzie ubrań.

Na drugim piętrze unosiły się kłęby pary i było tam ciepło jak w tropikalnej dżungli. Gdy Jack i Richard podeszli do drzwi z napisem: PRYSZNICE, zrobiło się gorąco jak w saunie. Mgła, która na schodach unosiła się cienkimi pasmami, tu stała się gęsta jak mleko i nieprzejrzysta.

- Zostań tutaj - polecił Jack. - Zaczekaj na mnie.

- Pewnie, Jack - odparł z niezmaconym spokojem Richard, podnosząc głos tylko po to, by go było słychać mimo łoskotu wody leżącej z pryszniców.

Zaparowały mu okulary, ale nie zadawał sobie trudu, by je obetrzeć.

Jack pchnął drzwi i wszedł do środka. Panował tu wilgotny, zgęstniały żar. Ubranie natychmiast przesiąkło mu potem i gorącą, mglistą wilgocią. Woda grzmiała i bębniła w wykładanym glazurą pomieszczeniu. Odkręcono wszystkich dwadzieścia pryszniców, a ich strumienie skierowano na zwal sprzętu sportowego na środku łazienki. Woda z trudem przesączała się przez stertę i zbierała się na podłodze. Jack zdjął buty i obszedł łazienkę; przysuwał się blisko pryszniców, by jak najmniej zmoknąć i uniknąć poparzenia wrzątkiem. Ktokolwiek poodkręcał krany, najwyraźniej nie zwracał sobie głowy kurkami z zimną wodą. Jack zakręcił je po kolei. Nie miał absolutnie żadnego powodu, aby to robić, i wyrzucał sobie,

że marnuje w ten sposób czas, zamiast obmyślać, jak wydostać się z Richardem z Nelson House i w ogóle terenu Thayer School, zanim spadnie topór.

Nie miał żadnego powodu, by zakręcać krany, ale tak jak Richard odczuwał potrzebę przekształcenia chaosu w ład... stworzenia porządku i jego utrzymania.

Wrócił na korytarz i zorientował się, że Richard zniknął.

- Richard? - Czuł, jak serce zaczyna mu bić szybciej. Odpowiedzi nie było. - Richard!

W powietrzu unosiła się ciężka woń rozlanej wody kolońskiej.

- Richard! Gdzie jesteś, do diabła?!

Dłoń przyjaciela spadła mu na ramię. Jack krzyknął.

8

- Nie mam pojęcia, dlaczego tak wrzeszczałeś - powiedział później Richard. - Przecież to byłem tylko ja.

- Po prostu jestem nerwowo - odparł cicho Jack.

Siedzieli na drugim piętrze, w pokoju chłopca, który nazywał się Albert Humbert. Richard powiedział Jackowi, że Albert, nazywany Bambarylą, był najgrubszym chłopcem w szkole. Jack uwierzył w to bez trudu, bo w pokoju wałało się zdumiewające mnóstwo podłego jedzenia. Był to zapas dzieciaka, którego największą obawą jest nie odpadnięcie ze szkolnej drużyny koszykówki czy oblanie testu z trygonometrii, ale obudzenie się w nocy i niemożność znalezienia chociażby jednego batonu Ring Ding czy ciastek Reese's Peanut Butter Cup. Wszędzie w beładzie leżało mnóstwo jedzenia. Szklany słoik z cukierkami Marshmallow Fluff został stłuczony, ale Jack nigdy za nimi nie przepadał. Darował sobie też krówki - Albert Bambarylą zadołował całe ich pudło na górnej półce szafy. Na jednym ze skrzydełek opakowania znajdował się napis: Wszystkiego najlepszego dla mojego drogiego dziecka od Kochającej Mamy w dniu urodzin.

Niektóre Kochające Mamy przysyłają pudła krówek, a niektórzy Kochający Tatusiowe - swetry od Brooks Brothers, pomyślał ze znużeniem Jack. Jeżeli istnieje jakaś różnica, to tylko Jasonowi jednemu wiadomo jaka.

W pokoju Alberta Bambarylę znaleźli dość jedzenia, by przyrządzić sobie wariacki posiłek: batony Slim Jim, kawałki pizzy z pepperoni, chrupki kukurydziane Salt'n Vinegar. Posiłek skończyli na pudełku ciastek Famous Amos. Jack przyniósł krzesło Alberta z korytarza i ulokował się pod oknem. Richard usiadł na łóżku.

- Nie ma co, naprawdę jesteś nerwowy - przyznał Richard i potrząsnął głową w geście odmowy, gdy Jack zaproponował mu ostatnie ciastko. - W gruncie rzeczy paranoiczny... To rezultat spędzenia kilku miesięcy na wędrówce autostopem. Dojdiesz do siebie, kiedy tylko wrócisz do matki, Jack.

- Przestań pieprzyć - odrzekł Jack i odrzucił puste pudełko po ciastkach. - Nie widzisz, co dzieje się na twoim kampusie?

- Przecież to wyjaśniłem. - Richard zwilżył wargi. - Mam gorączkę. Prawdopodobnie nic z tego nie dzieje się na prawdę, a jeśli nawet, to chodzi o całkowicie zwyczajne rzeczy, które mój umysł wykoślawia i wyolbrzymia. To jedna możliwość. Inna to... no, handlarze narkotyków. - Richard wychylił się do przodu na łóżku Alberta Bambarły. - Nie eksperymentowałaś z prochami po drodze, Jack? Na pewno? W jego oczach na nowo pojawiło się dawne lśnienie błyskotliwości. Oto prawdopodobne wyjaśnienie, możliwa droga umknienia temu szaleństwu, mówiło jego spojrzenie. Jack władował się w jakiś wariacki przekręt z narkotykami i wszyscy ci ludzie dotarli tutaj jego tropem.

- Nie - odparł ze znużeniem Jack. - Zawsze myślałem, że nikt lepiej od ciebie nie rozróżnia rzeczywistości od fikcji, Richard. Nie sądziłem, że doczekam się ujżenia, jak ty - właśnie ty! - posługujesz się swoim umysłem do przekręcania faktów.

- Jack, to czysty... bzdet, i dobrze o tym wiesz!

- Wojny narkotykowe w Springfield w Illinois? - spytał Jack. - I kto tu mówi o hecach z Seabrook Island?

W tej samej chwili przez okno pokoju Alberta Huberta wpadł nagle z łoskotem kamień, zasypując podłogę odłamkami szkła.

## Rozdział trzydziesty trzeci

### Richard w ciemnościach

1

Richard krzyknął i zasłonił twarz ramieniem. Szkło sypało się dalej.

- Podeślij go, Sloat!

Jack wstał; przepelniała go odrętwiająca furia. Richard chwycił go za ramię.

- Jack, nie! Nie zbliżaj się do okna!

- Pieprzę to! - niemal warknął Jack. - Zmęczyło mnie słuchanie, jak mówią o mnie, jakbym był pizzą.

Niby-Etheridge stał po drugiej stronie drogi, na chodniku na skraju dziedzińca i spoglądał w górę.

- Wynocha stąd! - krzyknął na niego Jack. Ogarnęło go nagłe natchnienie, przypominające rozbłysk słońca. Zawahał się, po czym zagrzmiał: - Rozkazuję, żebyście się stąd wynieśli! Rozkazuję wam odejść stąd w imię mojej matki, Królowej!

Niby-Etheridge skulił się, jakby dostał biczem po twarzy.

Po chwili wyraz bolesnego zaskoczenia znikł i niby-Etheridge zaczął się uśmiechać.

- Ona nie żyje, Sawyer! - krzyknął, lecz Jack wyostrzonym w jakiś sposób przez miesiące w drodze wzrokiem dostrzegł, że pod udawanym triumfem czai się rozdrażnienie i niepokój. - Królowa Laura nie żyje, twoja matka też... zmarła w New Hampshire... zdechła i śmierdzi.

- Przepadnij! - zagrzmiał Jack.

Miał wrażenie, że niby-Etheridge znów skulił się z bezsilnej furii.

Błady i zdekoncentrowany Richard dołączył do niego przy oknie.

- O czym wy obaj wrzeszczycie? - zapytał. Popatrzył nieruchomym wzrokiem na uśmiechniętą karykaturę w dole, po drugiej stronie drogi. - Skąd Etheridge wie, że twoja matka jest w New Hampshire?

- Sloat! - zaryczał niby-Etheridge. - Gdzie masz krawat?!

Po twarzy Richarda przemknęła zawstydzona mina; poderwał ręce do rozpiętego kołnierzyka koszuli.

- Tym razem ci darujemy, jeżeli podeślesz nam swojego pasażera, Sloat! - krzyknął niby-Etheridge. - Jeśli go podeślesz, to wszystko wróci do poprzedniego stanu! Chcesz tego, prawda?

Richard wpatrywał się w niby-Etheridge'a i kiwał głową - Jack zdawał sobie sprawę, że zupełnie nieświadomie. Twarz przyjaciela ściągnęła się z poczucia nieszczęścia, w oczach lśniły mu hamowane łzy. Och, tak pragnął, by wszystko znów było jak wcześniej.

- Nie kochasz tej szkoły, Sloat? - ryknął niby-Etheridge pod oknem pokoju Alberta.

- Kocham - mruknął Richard i przełknął szloch. - Tak, oczywiście, że ją kocham.

- Wiesz, co robimy z tymi, którzy nie kochają tej szkoły? Wydaj go nam! Będzie tak, jakby nigdy tu nie trafił!

Richard odwrócił się powoli i popatrzył na Jacka straszliwie nieobecny wzrokiem.

- Ty decydujesz, Richie - powiedział cicho Jack.

- Ma przy sobie narkotyki, Richard! - zawołał niby-Etheridge. - Cztery czy pięć rodzajów! Kokę, hasz, anielski pył! Handlował tym towarem, by zdobyć pieniądze na podróż na zachód! Jak myślisz, skąd ma tę jesionkę, w której stanął na twoim progu?

- Narkotyki - powiedział drżący Richard z niezmierną ulgą. - Wiedziałem.

- Ale w to nie wierzysz - rzekł Jack. - To nie od narkotyków zmieniła się twoja szkoła, Richard. A psy...

- Podeślij go, Sl... - Głos niby-Etheridge'a nagle ścichł.

Gdy obydwaj chłopcy wyjrżeli na dół, stwór zniknął.

- Jak myślisz, gdzie powędrował twój ojciec? - spytał cicho Jack. - Jak myślisz, gdzie się podział, kiedy zniknął w szafie, Richard?

Richard odwrócił się powoli i utkwiał w nim wzrok. Wydawało się, że jego twarz, zazwyczaj przepełniona spokojem i inteligencją, rozpada się na oddzielne fragmenty. Pierś zaczęła mu nieregularnie podrygiwać. Richard nagle wpadł Jackowi w ramiona i ścisnął go ze ślełą paniką.

- D-d-dotknęło m-mh-mhnieeee! - krzyknął. Jego ciało drżało pod dłońmi Jacka jak bliski zerwania kabel dźwigu. - Dotknęło mnie, d-dotknęło m-mnie, coś tam było i m-mnie dotknęło, A JA N-NIE WIEM, CO TO BYŁO!

2

Richard wykrztusił historię, którą nosił w sobie przez te wszystkie lata, przyciskając do ramienia Jacka rozpalone czoło. Dobyła się z niego małymi, twardymi porcjami, jak zdeformowane kule. Słuchając go, Jack przypomniał sobie, jak jego ojciec wszedł do garażu... i wrócił po dwóch godzinach z drugiego końca ulicy. Było to nieprzyjemne, ale to, co spotkało Richarda, było wielokroć gorsze. Tłumaczyło żelazne, bezkompromisowe

obstawanie Richarda za rzeczywistością, całą rzeczywistością i niczym poza rzeczywistością. Tłumaczyło, dlaczego odrzucał jakąkolwiek fantazję, nawet fantastykę naukową... a Jack wiedział z własnych szkolnych doświadczeń, że fani techniki w rodzaju Richarda zwykle jedli i pili sf... dopóki była to jej twarda odmiana, to znaczy zestaw podstawowy: Heinlein, Asimov, Arthur C. Clarke, Larry Niven. Prosimy, oszczędźcie nam metafizycznych bredni Robertów Silverbergów czy Barrych Malzbergów, ale będziemy wczytywać się w teksty, gdzie obliczają gwiazdne kwadranty i logarytmy, aż nam to wycieknie uszami. Z Richardem było jednak inaczej. Jego niechęć do fantazji tak głęboko się zakorzeniła, że nie brał do ręki żadnej powieści, jeśli nie miał jej zadanej. Jako dziecko pozwalał Jackowi wybierać sobie książki, by zaliczyć konieczną liczbę lektur nadobowiązkowych. Nie obchodziło go, co czytał; wszystko pochłaniał obojętnie jak owsiankę. Wyszukanie opowieści - jakiegokolwiek opowieści - która zadowoli Richarda, rozerwie Richarda, poniesie Richarda tak, jak czasem zdarzało się Jackowi przy lekturze dobrych powieści i opowiadań, stało się dla niego wyzwaniem... Jack przynajmniej uważał, że porządna literatura jest niemal tak dobra jak Sny Na Jawie; każda opowieść zawierała mapę własnych Terytoriów. Nie zdołał jednak nigdy wzbudzić u Richarda jakiegokolwiek dreszczyku, jakiegokolwiek iskry, najmniejszej reakcji. Czy chodziło o "Kasztankę"... Dragstrip Demon", "Buszującego w zbożu" czy..Jestem legendą", jego przyjaciel zawsze reagował tak samo: koncentrował się nad lekturą z mętным spojrzeniem i zmarszczonym czołem, a potem sadił wypocone, mętne wypracowanie, za który dostawał fleka lub troję na szynach, jeśli tego dnia nauczyciel angielskiego miał szczególnie dobry humor. Właśnie trójki z języka angielskiego sprawiły, że kilka razy na koniec semestru Richard nie otrzymał nagrody za oceny.

Gdy Jack skończył "Władcę much" Williama Goldinga, czuł się cały rozgorączkowany, a równocześnie zmrożony i rozedrgany - zarówno podekscytowany, jak i przerażony. Pragnął przede wszystkim tego, czego zawsze chciał przy końcu wyjątkowo dobrej opowieści - żeby się nie kończyła. By trwała i trwała, tak jak życie (choć życie zawsze było o wiele bardziej nudne i pozbawione celu niż opowieści). Wiedział, że Richard musi przygotować wypracowanie, więc dał mu wydanie w miękkiej oprawie z oślimi uszami. Myślał, że tym razem na pewno się uda, że tym razem sztuczka wypali, że Richard na pewno przejmie się historią zaginionych chłopców i ich obsunięcia się w dzikość. Richard jednak przebrnął przez "Władcę much" jak przez wszystkie wcześniejsze powieści i napisał wypracowanie równie pełne pasji i żaru, jak raport patologa z sekcji ofiary wypadku drogowego. *Co jest z tobą? - wybuchł zdesperowany Jack. Na miłość boską, co masz przeciwko dobrym historiom, Richard?* Przyjaciel zaś popatrzył na niego z oszołomieniem,

najwyraźniej w ogóle nie pojmując jego gniewu. *Cóż, przecież nie ma czegoś takiego, jak naprawdę dobra zmyślona historia, prawda?* - odpowiedział.

Jack pożegnał się z nim tego dnia, srodze przygnębiony całkowitym odrzuceniem przezeń fikcji. Wydawało mu się obecnie, że lepiej go rozumie - być może bardziej, niż miałby ochotę. Być może dla Richarda otwarcie okładki każdej książki z prozą przypominało otworzenie tamtej szafy. Być może każda jaskrawa okładka książki w miękkiej oprawie, przedstawiająca nierealnych ludzi tak, jakby istnieli naprawdę, przypominała Richardowi ranek, od kiedy Miał Raz Na Zawsze Dosyć.

3

*Richard widzi, jak jego ojciec wchodzi do szafy w wielkiej, frontowej sypialni i zamyka za sobą drzwi. Richard ma może pięć lub sześć lat... na pewno mniej niż siedem. Czeka pięć minut, potem dziesięć. Ponieważ jego ojciec wciąż nie wychodzi z szafy, zaczyna się trochę bać. Wola. Wola*

*(o swoją fajkę wola o swoją miskę wola)*

*ojca, a ponieważ ojciec nie odpowiada, woła coraz głośniejsze, podchodzi coraz bliżej drzwi, wciąż walając, i gdy wreszcie mija piętnaście minut, a jego ojciec nadal nie wychodzi, Richard odsuwa składane drzwi i wchodzi do środka. Wchodzi w ciemność jak w jaskini.*

*I coś się dzieje.*

*Gdy przepycha się przez szorstkie tweedy, gładkie bawełny i rozproszone tu i ówdzie śliskie jedwabie płaszczy, garniturów i sportowych marynarek ojca, zapach tkanin, galek przeciw molom i zamkniętej, ciemnej szafy zaczyna ustępować innej woni - gorącej, ognistej. Richard zaczyna brnąć naprzód, wykrzykując imię swojego ojca. Myśli, że musiał rozgorzeć tu pożar i może jego ojciec w nim płonie, bo pachnie ogniem... i nagle zdaje sobie sprawę, że deski znikły spod jego stóp i stoi na czarnej ziemi. Niesamowite, czarne owady z gronami oczu na długich szypułkach skaczą dookoła jego mechatycznych bamboszy. Tato! - krzyczy. Znikły pluszcze i garnitury, znikła podłoga, pod stopami nie ma jednak chrzęszczącego białego śniegu; to śmierdząca, czarna ziemia, stanowiąca najwidoczniej wylęgarnię tych nieprzyjemnych, czarnych, skaczących owadów; tego miejsca żadnym wysiłkiem woli nie da się uznać za Narnię. Na wołanie Richarda odpowiadają inne krzyki - krzyki i obłądny, potępieńczy śmiech. Wokół niego wznosi się dym, przegarniany przez bezmyślny, czarny wiatr. Richard odwraca się w tę stronę, z której przyszedł, potyka się w tym kierunku z*

wyciągniętymi jak ślepiec rękami, rozpaczliwie pragnie namacać pluszcze, wyczuć ulotny, kwaśny zapach galek przeciw molom...

Nagle na jego nadgarstku zaciska się jakaś ręka.

Tata? - pyta; kiedy jednak opuszcza wzrok, widzi nie ludzką rękę, lecz pokrytą łuskami, zieloną mackę z zaciskającymi się przyssawkami, połączoną z długim jak z gumy ramieniem, ciągnącym się w ciemność, ku parze żółtych, skośnych oczu, wpatrzonych w niego z ewidentnym głodem.

Skrzeczy ze strachu, oswabadza się i na oślep rzuca się w ciemność... i gdy tylko jego wyciągnięte palce trafiają z powrotem na sportowe marynarki i garnitury ojca, gdy słyszy błogosławiony, racjonalny odgłos brzęczących wieszaków, zielona, pokryta rzędami przyssawek sucha ręka tańczy po jego karku... i znika.

Czeka, drżący i pobladły jak popioły z poprzedniego dnia w wygasłym palenisku, przez trzy godziny pod tą przeklętą szafą, bojąc się wejść do niej z powrotem, bojąc się zielonej ręki i żółtych oczu, coraz bardziej pewien, że jego ojciec nie żyje. Kiedy wreszcie ojciec wchodzi do pokoju pod koniec czwartej godziny, nie z szafy, lecz przez drzwi łączące sypialnię z korytarzem na piętrze - drzwi ZA Richardem - kiedy to się dzieje, Richard raz na zawsze odrzuca fantazję. Richard neguje fantazję; Richard nie zamierza mieć do czynienia z fantazją, obcować z nią czy iść z nią na kompromis. Ma po prostu Raz Na Zawsze Dostyc. Zrywa się, podbiega do swojego ojca, do ukochanego Morgana Sloata, i ściska go tak silnie, że przez tydzień będą go bolały ramiona. Morgan podnosi go, śmieje się i pyta, dlaczego jest taki blady. Richard uśmiecha się i mówi, że pewnie od czegoś na śniadanie, ale czuje się już lepiej. Całuje ojca w policzek i czuje ukochaną mieszaninę zapachów potu i wody kolońskiej Raj. Później tego dnia zbiera wszystkie swoje książeczki - Małe Złote Książeczki, książki z rozkładanymi obrazkami, książeczki "Poczytaj mi, mamo", książki doktora Seussa, Zielone Księgi Bajek Dla Młodych Czytelników, wkłada je do pudła, wynosi do piwnicy i myśli: Nie przejąłbym się, gdyby było trzęsienie ziemi, otworzyła się dziura w podłodze i pochłonęła wszystkie te książki. Prawdę mówiąc, poczułbym ulgę. Prawdę mówiąc, poczułbym tak wielką ulgę, że śmiałybym się przez cały dzień i większość weekendu.

Tak się nie dzieje, jednak Richard czuje wielką ulgę, gdy książki są już zamknięte w podwójnej ciemności - pudła i piwnicy. Nigdy już na nie nie spojrzy, podobnie jak nigdy nie podejdzie do szafy ojca ze składanymi drzwiami, i chociaż czasem śni mu się, że coś kryje się pod jego łóżkiem lub w szafie, niekiedy z płaskimi, żółtymi ślepiami, nigdy nie wraca myślą do zielonej, pokrytej przyssawkami ręki - aż w Thayer School zaczynają dziać się dziwne rzeczy i wybucha nietypowym dla siebie płaczem w ramionach swojego przyjaciela, Jacka Sawyera.



Jak miał nadzieję, że po opowiedzeniu swej historii i wyłakaniu się Richard odzyska - mniej lub bardziej - swoją zwyczajną, kategorycznie racjonalną naturę. Nie obchodziło go, czy Richard potraktuje całą jego opowieść jako świętą prawdę. Gdyby tylko zdecydował się przyjąć to szaleństwo za punkt wyjścia, mógłby zaprząć swój godny podziwu umysł do tego, by pomóc Jackowi w znalezieniu sposobu ucieczki... przynajmniej z terenu Thayer. Potem pewnie znalazłby sposób na pozbycie się Jacka ze swojego życia, zanim mu kompletnie odbije.

Wydarzenia potoczyły się jednak inaczej. Gdy Jack próbował porozmawiać z Richardem - opowiedzieć mu, jak jego ojciec, Phil, wszedł do garażu i już z niego nie wyszedł - przyjaciel nie chciał go w ogóle słuchać. Zwierzył się z noszonej od dawna tajemnicy, co zdarzyło się tamtego dnia w szafie (no, powiedzmy; Richard wciąż upierał się, że była to halucynacja), ale nadal Miał Raz Na Zawsze Dosyć.

Następnego ranka Jack zszedł na dół. Zebrał wszystkie swoje rzeczy i to, co uznał za potrzebne Richardowi: szczoteczkę do zębów, podręczniki, zeszyty, czyste ubranie na zmianę. Postanowił, że dzień spędzą w pokoju Alberta Bambarły. Z jego okna mogli śledzić, co dzieje się na dziedzińcu i pod bramą. Jack liczył, że zdołają się wymknąć po zapadnięciu nocy.

Jack pogrzebał w biurku Alberta i znalazł w niej butelkę aspiryny dla dzieci. Przyjrzał się jej przez chwili i uznał, że mówi ona o Kochającej Mamie zaginionego Alberta równie dużo jak pudło krówek w szafie. Wytrząsnął na rękę pół tuzina tabletek i podał je Richardowi, który nieuważnie wziął je na dłoń.

- Chodź tutaj i połóż się - powiedział Jack.

- Nie - odrzekł drażliwym, niespokojnym i straszliwie nieszczęśliwym tonem Richard. Zawrócił pod okno. - Powinienem pełnić wartę. Będę dzięki temu mógł złożyć pełny raport... no... samorządowi. Później.

Jack położył lekko dłoń na czole Richarda.

- Wzrosła ci gorączka - powiedział, chociaż było chłodne - niemal lodowate. - Lepiej się połóż, aż zadziała aspiryna.

- Wzrosła? - Richard popatrzył na niego niemal z żalną wdzięcznością. - Naprawdę?

- Naprawdę - odrzekł poważnie Jack. - Chodź, połóż się wreszcie.

Pięć minut później Richard już spał. Jack usiadł w fotelu Alberta Bambaręły; sprężyny w nim osiadły niemal tak samo jak na środku materaca. Błada twarz Richarda zdawała się lśnić w narastającym blasku dnia.

## 6

Dzień jakimś cudem minął. Około czwartej Jack zapadł w sen. Przebudził się w ciemnościach, nie mając pojęcia, jak długo spał. Wiedział tylko, że nic mu się nie przyśniło, z czego był zadowolony. Richard wiercił się niespokojnie; Jack domyślał się, że pewnie niedługo się obudzi. Wstał, przeciągnął się i skrzywił, bo zeszywniały mu plecy. Podeszedł do okna, wyjrzał na zewnątrz i znieruchomiał z rozszerzonymi oczami. Od razu przyszła mu do głowy myśl: Nie chcę, żeby Richard to zobaczył. Nie dopuszczę do tego, jeśli tylko zdołam.

Och Boże, musimy się stąd wydostać, i to jak najszybciej, przemknęło mu po chwili przez głowę. Nawet jeśli te stwory z jakiegokolwiek powodu boją się przyjść prosto po nas.

Czy jednak naprawdę zamierzał zabrać Richarda ze sobą? Wiedział, że jego wrogowie liczą, że tego nie zrobi - mieli nadzieję, że nie będzie chciał narażać przyjaciela na dalsze szaleństwa.

*Przeskocz, Jack-O. Musisz przeskoczyć i dobrze o tym wiesz. Musisz też zabrać Richarda ze sobą, bo szkołę diabli wzięli.*

*Nie mogę. Od przeskoku w Terytoria Richard postradałby rozum do reszty.*

*Nieważne. Musisz to zrobić. Tak czy inaczej, to najlepsze rozwiązanie - może jedyne - bo się go nie spodziewają.*

- Jack? - Richard usiadł. Jego twarz miała bez okularów dziwnie nagi wygląd. - Już po wszystkim, Jack? To był tylko sen?

Jack przysiadł na łóżku i objął Richarda ramieniem.

- Nie - powiedział niskim, kojącym tonem. - To jeszcze nie koniec, Richard.

- Myślę, że mam jeszcze większą gorączkę - oświadczył Richard.

Odsunął się od Jacka. Podeszedł powoli do okna, ściskając delikatnie oprawkę okularów między prawym kciukiem i palcem wskazującym. Założył je i wyjrzał na zewnątrz. Postacie o lśniących oczach włóczyły się we wszystkie strony. Richard stał długo

nieruchomo, aż wreszcie zrobił coś tak nietypowego dla siebie, że Jack niemal nie mógł uwierzyć własnym oczom. Zdjął okulary i z rozmysłem upuścił je na podłogę. Rozległ się cichy chrzęst, gdy pękło co najmniej jedno szkło. Richard zdecydowanie nastąpił na okulary ponownie, ścierając obie soczewki na proszek.

Podniósł oprawki, popatrzył na nie, po czym nieuważnie rzucił je w kierunku kosza na śmieci Alberta Bambarły. W twarzy Richarda pojawiło się coś skrycie upartego, co mówiło: *Nie chcę niczego więcej widzieć, więc nic więcej nie zobaczę. Poradziłem sobie z tym problemem. Mam przecież Raz Na Zawsze Dosyć.*

- Popatrz tylko - odezwał się martwym, pozbawionym zaskoczenia tonem. - Stłukłem sobie okulary. Miałem drugą parę, ale rozbiły mi się dwa tygodnie temu na sali gimnastycznej. Bez nich jestem prawie ślepy.

Jack wiedział, że to nieprawda, ale był zbyt oszołomiony, by cokolwiek odpowiedzieć. Nie przychodziła mu do głowy żadna właściwa reakcja na radykalny uczynek Richarda - był to zanadto wykalkulowany, heroiczny i ostateczny sposób obrony przed obłędem.

- Myślę też, że dostałem jeszcze większej gorączki - powiedział Richard. - Masz jeszcze trochę aspiryny, Jack?

Jack otworzył szufladę biurka i bez słowa podał Richardowi buteleczkę. Chłopiec połknął sześć czy osiem tabletek i znowu się położył.

## 7

W miarę zapadania nocy Richard, który ciągle obiecywał, że porozmawia o ich sytuacji, stale łamał swe słowo. Powiedział, że nie może rozmawiać o opuszczeniu szkoły, nie może rozmawiać o niczym, nie teraz, miał gorączkę i czuł się o wiele gorzej. Był pewien, że ma czterdzieści, może nawet czterdzieści i pół stopnia. Twierdził, że musi się wyspać.

- Richard, na miłość boską! - krzyknął z całych sił Jack. - Zostawiasz mnie z ręką w nocniku! Ze wszystkich rzeczy, jakich mógłbym się po tobie spodziewać...

- Nie wygłupiaj się - przerwał mu Richard, kładąc się z powrotem na łóżku Alberta. - Po prostu jestem chory, Jack. Nie możesz oczekiwać po mnie, że będę z tobą dyskutował o tych wszystkich wariactwach, skoro jestem chory.

- Mam stąd uciekać i cię zostawić, Richard? Chłopiec na chwilę obejrzał się na Jacka przez ramię, mrugając oczyma.

- Nie zrobisz tego - powiedział i zapadł z powrotem w sen.

Około dziewiątej na terenie szkoły znów zaczął się okres niesamowitej ciszy. Być może wyczuwając, że rozmowa teraz nie pogorszy jego nadwątłego zdrowia psychicznego, Richard obudził się i zwiesił nogi z łóżka. Na ścianach pojawiły się brązowe plamy. Wpatrywał się w nie, aż dostrzegł podchodzącego Jacka.

- Czuję się o wiele lepiej - powiedział pospiesznie. - Naprawdę nie ma jednak sensu dyskutować o opuszczeniu szkoły, jest ciemno, a poza tym...

- Musimy uciekać dzisiaj w nocy - przerwał mu ponuro Jack. - Tamtym wystarczy na nas zaczekać. Na ścianie rośnie grzyb, nie mów mi, że tego nie widzisz.

Richard uśmiechnął się ze ślepą tolerancją, przez którą Jack o mało co nie wybuchł z wściekłości. Kochał swojego przyjaciela, ale z radością waliłby w tej chwili jego głową w najbliższą przegniłą od grzyba ścianę.

Dokładnie w tej samej chwili do pokoju Alberta Bambaryły zaczęły tłoczyć się długie, tłuste, białe robaki. Wpychały się przez brunatne, okolone grzybem plamy, jakby w jakiś tajemniczy sposób w nich właśnie się rodziły. Wiły się, wywieszane do połowy długości z brązowych placków, aż wreszcie spadały z pacnięciami na podłogę i ruszały na oślep w stronę łóżka.

Jack zaczynał się zastanawiać, czy Richard ma o wiele gorszy wzrok, niż to pamiętał, lub też czy nie pogorszył się znacznie od ich ostatniego spotkania. Doszedł jednak do wniosku, że słuszne jest jego początkowe podejrzenie. Ze wzrokiem Richarda nie było wcale najgorzej. Przynajmniej nie miał najmniejszych trudności z dostrzeżeniem wysypujących się ze ścian galaretowatych paskudztw. Wrzasnął i przycisnął się do Jacka; na jego twarzy widniała gorączkowa odraza.

- Robaki! Jack! Och, Jezu! Robaki! Robaki!

- Nic nam nie będzie - prawda, Richard? - powiedział Jack. Przytrzymał go w miejscu z siłą, o którą się nie podejrzewał. - Po prostu zaczekamy do rana, prawda? Nie ma sprawy, zgadza się?

Robaki wiły się dziesiątkami i setkami - tłuste, woskowo białe, przypominające przerośnięte poczwarki. Niektóre pękały przy uderzeniu o podłogę. Reszta garnęła się niemrawo w stronę chłopców.

- Robaki! Jezu, musimy się stąd wydostać, musimy...

- Dzięki Bogu, chłopak wreszcie dojrzał światło rozsądku - powiedział Jack.

Przerzucił plecak przez lewe ramię i chwycił drugą ręką Richarda za łokieć. Pociągnął go w stronę drzwi. Białe robaki pękały z chłupotem pod ich stopami. W tej chwili z dziur lał się już ich prawdziwy potop - odrażający, nieustający wielokrotny poród, trwający w całym pokoju Alberta. Grad białych robaków wysypał się z łąty na suficie; zwijające się obrzydlistwa wylądowały Jackowi we włosach i na ramionach. Ogarnął się z nich najdokładniej, jak potrafił, i pociągnął dalej krzyczącego, szarpiącego się Richarda.

Chyba wreszcie ruszyliśmy w drogę, pomyślał. Niech Bóg nam pomoże.

9

Znów znaleźli się w świetlicy. Okazało się, że Richard miał jeszcze mniejsze pojęcie, jak wymknąć się z terenu szkoły, niż jego przyjaciel. Jack wiedział jedno: nie zamierzał zaufać zwodniczemu spokojowi i wyjść przez którekolwiek z głównych drzwi Nelson House.

Wychyliwszy się maksymalnie w lewo przez szerokie okno w świetlicy, Jack dojrzał przysadzisty, ośmiokątny budynek.

- Co to jest, Richard?

- Hę? - Richard wpatrywał się w potoki lepkiej brei, płynące ociężale po pogrążającym się w mroku dziedzińcu.

- Ten mały, przysadzisty budynek z cegły. Ledwie go można stąd dojrzeć.

- Och. To Stacja.

- Stacja?

- Sama nazwa już nic nie znaczy - opowiedział Richard, wciąż wpatrując się z niepokojem w skąpany w błocie dziedziniec. - Tak samo jak w przypadku naszej izby chorych. Nazywa się Mleczarnia, bo naprawdę zbierano tam i butelkowano mleko, mniej więcej do tysiąc dziewięćset dziesiątego roku. To tradycja, Jack. Jest bardzo ważna. To jedna z przyczyn, dla których lubię Thayer. - Richard żałośnie popatrzył jeszcze raz na grzaskie trawniki. - Przynajmniej jedna z przyczyn, dla których lubię ją do tej pory.

- Mleczarnia - zgoda, ale dlaczego Stacja?

Richard powoli rozgrzewał się pod wpływem bliźniaczych idei Thayer i Tradycji.

- W tej części Springfield był kiedyś węzeł kolejowy - powiedział. - W istocie w przeszłości...

- O jak dawnej przeszłości mówimy, Richard?

- Och. Latach trzydziestych ubiegłego stulecia. Do dziewięćdziesiątych. Widzisz...

Richard zawiesił głos. Zaczął błędzić krótkowzrocznym spojrzeniem po świetlicy - Jack domyślił się, że w poszukiwaniu kolejnej fali robactwa. Nie pojawiło się... przynajmniej na razie. Na ścianach wykwitło już jednak kilka brunatnych plam. Robaki się jeszcze nie pokazały, ale wkrótce będzie ich tu bez liku.

- No, dalej, Richard - ponaglił go Jack. - Dawniej nie trzeba było cię namawiać, żebyś zaczął gadać bez końca.

Richard uśmiechnął się wątle i zwrócił spojrzenie na Jacka.

- Springfield było w dwóch ostatnich dekadach dziewiętnastego stulecia jednym z trzech lub czterech największych węzłów kolejowych w Ameryce. Pod względem geograficznym stanowiło dogodny punkt startu we wszystkie strony świata. - Chłopiec podniósł do twarzy prawą rękę, by poprawić uczonym gestem okulary na nosie. Zdał sobie sprawę, że ich nie ma i opuścił dłoń nieco zażenowany. - W Springfield zaczynały się główne linie kolejowe całego kraju. Szkoła powstała tylko dlatego, że Andrew Thayer dostrzegł ukryte możliwości i zrobił fortunę na transporcie kolejowym, głównie na zachodnie wybrzeże. Był pierwszym, który zrozumiał, że transport na zachód jest równie rentowny jak w drugą stronę.

W umyśle Jacka jakby nagle zapłonęło jaskrawe światło, kąpiąc w swym surowym blasku jego myśli.

- Zachodnie wybrzeże?

Ścisnął mu się żołądek. Nie potrafił jeszcze zidentyfikować nowego kształtu, jaki ukazał się mu w owym jaskrawym świetle, ale w głowie rozbrzmiało mu ogniste, bezgranicznie wyraźne słowo:

*Talizman!*

- Powiedziałeś: zachodnie wybrzeże?

- Oczywiście, że tak. - Richard spojrzał dziwnie na Jacka. - Co się stało, ogłuchłeś?

- Nie - rzekł Jack. *Springfield było jednym z trzech lub czterech największych węzłów kolejowych w Ameryce... - Nie, nic mi nie jest.*

*Był pierwszym, który dostrzegł ukryte możliwości transportu na zachód...*

- No cóż, przez chwilę wyglądałeś piekielnie dziwnie. Był, można rzec, pierwszym, który dostrzegł potencjał kryjący się w transporcie kolejowym na Rubieże.

Jack wiedział, z absolutną klarownością, że Springfield nadal stanowiło w jakiś sposób czułe miejsce - być może punkt przerzutowy. Niewykluczone, że właśnie dlatego tak dobrze działała tu magia Morgana.

- Były tu hałdy węgla, zwrotnice, parowozownie, wagonownie i mniej więcej milion mil torów i bocznic - mówił Richard. - Pokrywały cały teren, na którym znajduje się teraz Thayer School. Jeśli gdziekolwiek wkopiesz się na kilka stóp pod murawę, znajdziesz żużel, kawałki szyn i najrozmaitsze rzeczy. Ostał się jednak tylko ten budynek. Stacja. Oczywiście nigdy nie była to żadna stacja towarowa; widać bez trudu, że jest zbyt mała. Było to główne biuro kolei, w którym pełnili swoje obowiązki kierownik stacji i właściciel kolei.

- Piekielnie dobrze się na tym znasz - powiedział niemal automatycznie Jack; jego głowę wciąż przepelniało bezlitosne nowe światło.

- To część tradycji Thayer - odparł po prostu Richard.

- Do czego się ją teraz wykorzystuje?

- Jest tam teatrzyk. Wystawia tam nasz Klub Dramatyczny, ale w ciągu ostatnich kilku lat nie działał zbyt aktywnie.

- Myślisz, że jest zamknięta?

- Po co ktoś miałby zamykać Stację? - spytał Richard. - Chyba że komuś zależałoby na rąbnięciu paru dekoracji z inscenizacji "The Fantasticks" z siedemdziesiątego dziewiątego roku.

- Możemy tam wejść?

- Tak, myślę, że tak. Ale po co...

Jack wskazał na drzwi za stołami do ping-ponga.

- Co tam jest?

- Dystrybutory. I mikrofalówka na monety, w której można odgrzać przekąski i mrożone obiady. Jack...

- Chodź.

- Jack, czuję, że wraca gorączka - powiedział słabo Richard. - Może na razie powinniśmy tu zostać. Moglibyśmy zestawić na noc kanapy...

- Widzisz te brązowe łaty na ścianach? - spytał posępnie Jack.

- Nie, oczywiście, że nie widzę bez okularów!

- No, są tam. Mniej więcej za godzinę wylęgną się z nich te białe robaki...

- Dobrze - rzucił spiesznie Richard.

10

Dystrybutory cuchnęły.

Jack domyślał się, że zepsuły się w nich wszystkie towary. Niebieskawa pleśń pokrywała krakersy z serem, chrupki Doritos i Jax oraz plasterki smażonej wieprzowiny. Lepkie strugi roztopionych lodów ściekały po froncie automatu Hava-Kone.

Jack przyciągnął Richarda do okna i wyjrzał na zewnątrz. Z tego miejsca było całkiem dobrze widać Stację. Dalej ciągnęła się siatka ogrodzeniowa i droga zaopatrzeniowa.

- Za kilka sekund wychodzimy - szepnął Jack za siebie.

Odryglował okno i podniósł.

*Ta szkoła powstała tylko dlatego, że Andrew Thayer dostrzegł możliwości... a czy tyje widzisz, Jack-O?*

Podejrzewał, że tak.

- Są tam jacyś z tych ludzi? - zapytał nerwowo Richard.

- Nie - odrzekł Jack, rzucając w tę stronę bardzo pobieżne spojrzenie; w obecnej chwili nie miało to już większego znaczenia.

Jeden z trzech lub czterech największych węzłów kolejowych Ameryki... *fortuna na transporcie kolejowym... przeważnie na zachodnie wybrzeże... był pierwszym, który dostrzegł potencja! kryjący się w transporcie na zachód... zachód... zachód...*

Przez okno zaleciała do środka gęsta, mulista woń jak z rzecznej delty oraz odór odpadków. Jack przerzucił nogę przez parapet i chwycił Richarda za rękę.

- Chodź! - rozkazał.

Richard cofnął się; twarz wyciągnęła się mu z żalości.

- Jack... sam nie wiem...

- To buda się rozlatuje, a niedługo na dodatek zaroi się tu od robactwa - odparł Jack. - No, chodź już. Ktoś zobaczy, że siedzę w oknie, i stracimy szansę wymknięcia się stąd cicho jak para myszy.

- Niczego z tego nie rozumiem! - jęknął Richard. - Nie pojmuję, co się tutaj w ogóle wyprawia, do diabła!

- Zamknij się i chodź! - powtórzył Jack. - Inaczej cię zostawię, Richard. Przysięgam na Boga, że to zrobię. Kocham cię, ale moja matka umiera. Zostawię cię i będziesz musiał sam sobie radzić.

Richard popatrzył Jackowi w twarz i zrozumiał - nawet bez okularów - że przyjaciel mówi prawdę. Wziął Jacka za rękę.

- Boże, boję się - wyszeptał.

- Witaj w klubie - powiedział Jack.



Popchnął przyjaciela. W chwilę później sam, gdy wylądował obok Richarda, trafił stopami w pokryty błotem trawnik.

- Przejdziemy do Stacji - wyszeptał Jack. - Myślę, że to około pięćdziesięciu jardów. Jeżeli jest otwarta, włazimy do środka. Jeżeli nie, postaramy się ukryć od strony Nelson House. Gdy tylko się upewnimy, że nikt nas nie zobaczył i nadal panuje spokój...

- Pobiegniemy do ogrodzenia.

- Zgadza się. - A może będziemy musieli przeskoczyć w Terytoria, ale na razie nie zawracajmy sobie tym głowy. - Dostaniemy się na drogę służbową. Myślę, że kiedy tylko opuścimy teren szkoły, wszystko wróci do normy. Pewnie gdy ujdziemy ćwierć mili i obejrzysz się przez ramię, zobaczysz światła w sypialniach i bibliotece, jakby nic się nie stało, Richard.

- Byłoby naprawdę wspaniale - rzekł Richard z łamiącą serce, tęskną nutą.

- No dobrze. Jesteś gotów?

- Chyba tak - odparł Richard.

- Biegniemy do stacji. Przyczajamy się pod ścianą od tej strony. Kulimy się, żeby zasłoniły nas krzaki. Widzisz je?

- Tak.

- No dobrze... ruszamy!

Oderwali się od Nelson House i pobiegli w kierunku Stacji.

11

Pokonali niecałą połowę odległości; oddech buchał im z ust przejrzystymi, białymi kłębami, a stopy klaskały o błotnisty grunt, gdy dzwony w kaplicy podjęły koszmarną, szarpiącą nerwy kakofonię. Natychmiast odpowiedziały im wyjące chóralnie psy.

Wszystkie prefektołaki pojawiły się ponownie. Jack wyciągnął dłoń do Richarda i poczuł, że jego przyjaciel zrobił to samo. Spletli ręce.

Richard krzyknął i spróbował pociągnąć ich w lewo. Zacisnął rękę na dłoni Jacka, aż zachrzęściły trące o siebie, sztywniejące palce. Chudy, biały wilk - Prezes Rady Zarządczej Wilków - wypadł zza Stacji i biegł w ich kierunku. Jack domyślił się, że to starszy mężczyzna z limuzyny. Za nim zdążyły inne wilki i psy... aż Jack poczuł z przyprawiającą o mdłości pewnością, że nie wszystkie były psami. Niektórymi z nich byli przemienieni do połowy chłopcy i dorośli - pewnie nauczyciele.

- Panie Dufrey! - krzyknął piskliwie Richard, wskazując wolną ręką. (Jeju, widzisz naprawdę nieźle jak na kogoś, kto stracił okulary, Richie, pomyślał wariacko Jack). - Panie Dufrey! Och, Boże, to pan Dufrey! Panie Dufrey! Panie Dufrey!

Tak oto Jack ujrzał po raz pierwszy i ostatni dyrektora Thayer School - drobnego, starszego mężczyznę z siwymi włosami, wielkim, garbatym nosem i wychudłym, włochatym ciałem; Dufrey przypominał małą kataryniarza. Dyrektor biegł szybko na czterech łapach wraz z pozostałymi psami i chłopcami. Kwadratowy beret podskakiwał mu obłądnie na głowie, jakimś cudem się na niej utrzymując. Dufrey uśmiechnął się do Jacka i Richarda; długi, poplamiony na żółto nikotyną język sterczał mu spomiędzy warg.

- Panie Dufrey! Och, Boże! Och, Boże drogi! Panie Dufrey! Panie Du...

Richard coraz silniej szarpał Jacka w lewo. Jack był większy, jego przyjaciel wpadł jednak w panikę. Powietrzem wstrząsały wybuchy. Ohydny smród odpadków stawał się coraz silniejszy. Jack słyszał miękkie chlupanie i gulgotanie wydobywającego się spod ziemi mułu. Prowadzący zgraję biały wilk nieubłaganie się zbliżał; Richard próbował zejść mu z drogi i pociągnąć Jacka w stronę ogrodzenia. Miał rację, a równocześnie nie, bo powinni zmierzać w stronę Stacji, a nie siatki. Liczyło się właśnie to miejsce, ono było najważniejsze, bo znajdowało się w jednym z trzech lub czterech największych węzłów kolejowych Ameryki, bo Andrew Thayer pierwszy dostrzegł możliwości kryjące się w transporcie na zachód, bo Andrew Thayer dostrzegł możliwości, a teraz dojrzał je również on, Jack Sawyer. Oczywiście była to tylko kwestia intuicji, ale Jack zdążył w nią uwierzyć, bo w tak uniwersalnych sprawach jedynie na niej mógł polegać.

- Puść swojego pasażera, Sloat! - bełkotał Dufrey. - Puść swojego pasażera, jest dla ciebie za śliczny!

Ale co to jest: pasażer? - pomyślał Jack przez tych kilka ostatnich sekund. Richard nadal starał się ściągnąć go z kursu, on zaś szarpnął go w drugą stronę, w kierunku mieszanej zgrai kundli, chłopców i nauczycieli, biegnącej za wielkim, białym wilkiem - w kierunku Stacji. *Powiem ci, czym jest pasażer. To osoba, która znajduje się w podróży. A gdzie zaczyna się podróż? No, na stacji...*

- Jack, ugryzie cię! - krzyknął Richard.

Wilki wyprzedziły Dufreya i skoczyły w ich kierunku, rozchylając szczęki jak pułapkę z przynętą. Za plecami chłopców rozległ się donośny, chrzęszczący łomot - Nelson House zapadł się jak przegniła dynia.

Tym razem to Jack zgniatał kości palców Richarda. Zaciskał rękę silnie, silniej, najsilniej, podczas gdy noc rozbrzmiewała szalonymi dzwonami, rozplómiętała się koktajlami Mołotowa i potrzaskiwała petardami.

- Trzymaj się! - krzyknął. - Trzymaj się, Richard, skaczemy!

Miał czas pomyśleć jeszcze: Teraz role się odwróciły: teraz Richard jest moim stadem, moim pasażerem. Niech Bóg nam pomoże.

- Co się dzieje, Jack?! - zawołał Richard. - Co ty robisz? Przestań! PRZESTAŃ! PRZE...

Richard wciąż był, lecz Jack przestał go słyszeć - nagle i triumfalnie uczucie nadciągającej zagłady pękło jak czarne jajko, a jego umysł wypełniło światło - światło i słodycz czystego powietrza. Tak czystego, że czuć było, jeżeli ktoś wyciągnął z ziemi rzodkiewkę w grzędach pół mili dalej. Jack nagle odniósł wrażenie, że może po prostu odbić się i przeskoczyć cały dziedziniec... lub poszybować, jak ludzie z przypasanymi do grzbietów skrzydłami.

Och, ohydny smród odpadków zastąpiło światło i czyste powietrze. Ustąpiło uczucie przemierzania mrocznych otchłani i przez chwilę wszystko wydawało się czyste i pełne blasku; przez chwilę wszystko było tęczą, tęczą, tęczą.

Tak oto Jack Sawyer raz jeszcze przeskoczył w Terytoria, tym razem biegnąc na oślep przez dziedziniec rozpadającej się Thayer School, przy akompaniamencie łomotu popękanych dzwonów i psiego warczenia.

Tym razem pociągnął też za sobą syna Morgana Sloata.

## Interludium Sloat w tym świecie

### /Orris w Terytoriach (III)

Wkrótce po siódmej rano następnego ranka po zniknięciu Jacka i Richarda z Thayer, Morgan Sloat zjechał na krawężnik tuż pod główną bramą szkoły. Zaparkował na miejscu oznaczonym: TYLKO DLA OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH. Popatrzył obojętnie na tabliczkę, po czym sięgnął do kieszeni, wyciągnął fiolkę kokainy i zażył narkotyku. Po paru chwilach świat zdawał się zyskać na kolorze i witalności. Cudowna substancja. Sloat zastanawiał się, czy przyjęłaby się w Terytoriach i czy nie działałaby tam o wiele silniej.

Gardener osobiście obudził o drugiej nad ranem Sloata w domu w Beverly Hills, by przekazać mu, co się stało; w Springfield była o tej porze północ. Głos Gardenera drżał. Najwyraźniej bał się, że Morgan wpadnie w furję - z tego powodu, że rozminął się z Jackiem Sawyerem o niecałą godzinę.

- Ten chłopak... ten zły, zły chłopak...

Sloat nie wpadł w szal. W istocie czuł niesamowity spokój. Doznawał uczucia, że objawiło się przeznaczenie. Podejrzewał, że odpowiadała za nie druga część jego natury - ta, którą określał jako "jego Orissowość", co sugerowało królewski majestat.

- Uspokój się - polecił Gardenerowi. - Dotrę tam najszybciej, jak będę mógł. Trzymaj się, mały.

Przerwał połączenie, zanim Gardener zdążył powiedzieć coś więcej. Wyciągnął się z powrotem na łóżku, skrzyżował ręce na brzuchu i przymknął oczy. Przez chwilę ogarnęło go uczucie nieważkości... tylko przez moment, bo zaraz potem wyczuł pod sobą ruch. Usłyszał chrzęszczenie skórzanej upręży, łomotanie i poskrzypywanie prymitywnych żelaznych resorów oraz przekleństwa woźnicy.

Otworzył oczy jako Morgan z Orris.

Jak zawsze jego pierwszą reakcją był czysty zachwyt, przy którym kokaina działała równie słabo jak dziecięca aspiryna. Morgan miał tu węższą klatkę piersiową i mniej ważył. Tętno Morgana Sloata wahało się od osiemdziesięciu pięciu do stu dwudziestu uderzeń na minutę, kiedy był wkurzony; puls Morgana z Orris rzadko przekraczał sześćdziesiąt pięć. Morgan Sloat uzyskiwał w badaniu okulistycznym wynik 1,0/1,0, ale mimo to Morgan z Orris widział znacznie lepiej. Potrafił prześledzić bieg najdrobniejszej szczeliny w ścianie karocy, mógł sycić się subtelnością ażurowych firanek, wdmuchiwanym do środka przez wiatr. Kokaina osadzała się w nozdrzach Sloata i stępiała jego węch; Orris miał nos całkowicie

drożny i mógł napawać się zapachami pyłu, ziemi i powietrza - tak jakby mógł poczuć i docenić woń każdej cząsteczki.

Za plecami miał puste, podwójne łoże z wciąż odcisniętym zarysem jego wielkiego ciała. Siedział oto na obitej ławie, bardziej sprężystej od siedzenia kiedykolwiek wyprodukowanego rolls-royce'a, i jechał na zachód w stronę skraju Rubieży - ku miejscu, nazywanemu Stacją Rubieżną. Do człowieka nazwiskiem Anders. Wiedział to wszystko; orientował się dokładnie, gdzie się znajduje, bo Orris wciąż był tu, w jego głowie - mówił do niego tak, jak prawa półkula mózgu może przemawiać do racjonalnej lewej w trakcie marzeń na jawie, cichym, lecz idealnie wyraźnym głosem. Sloat komunikował się w ten sam sposób z Orrisem podczas tych nielicznych okazji, kiedy Orris Migrował do krainy, nazywanej przez Jacka amerykańskimi Terytoriami. Kiedy się Migrowało i zajmowało ciało swojego Dwójnika, rezultatem było swego rodzaju łagodne opętanie. Sloat czytał o jego znacznie gwałtowniejszych przypadkach i chociaż temat ten zbytnio go nie interesował, przypuszczał, że dotknięty nim nieszczęsny pechowiec w istocie łapał pasażera na gapę z innego świata. Niewykluczone zresztą, że autostopowiczów tych doprowadzała do szaleństwa sama Ameryka. Wydawało się to zupełnie prawdopodobne; na pewno biednemu, staremu Orrisowi porządnie obłuzowały się klepki podczas dwóch czy trzech razów, kiedy przeskoczył na tę stronę, chociaż był przestraszony i zarazem obłądnie podekscytowany.

Karoca potężnie podskoczyła - dobrze, że na Rubieżach w ogóle istniały jakieś drogi, i należało dziękować Bogu, gdy sieje odnalazło. Orris poprawił się na siedzeniu, czując odzywający się w chromej stopie tępy ból.

- Ciągnijcie równo, niech Bóg was przygwoździ! - wymamrotał na górze woźnica. Świsnął i trzasnął bat. - Jazda, skurwysyny! Jazda!

Sloat uśmiechnął się zadowolony, że jest w Terytoriach, chociaż miało to potrwać tylko kilka chwil. Dowiedział się już tego, czego potrzebował: podszeptał mu to głos Orrisa. Karoca zmierzała do Stacji Rubieżnej - Thayer School w drugim świecie - i powinna tam dotrzeć na długo przed świtem. Być może uda się dopaść chłopców, jeśli tam zmarudzą. Jeżeli nie, czekały na nich Spustoszone Ziemie. Świadomość, że Richard był teraz z tym bękartem Jackiem, dopiekała Morganowi i go rozwścieczała, jeżeli jednak potrzebna będzie ofiara... cóż, Orris stracił swojego syna i przeżył.

Jacka trzymało przy życiu do tej pory tylko jedno - jego wyjątkowa natura. Kiedy szczeniak przeskakiwał w jakimś miejscu, zawsze trafiał do jego odpowiednika w drugim świecie. Sloat jednak zawsze lądował tam, gdzie znajdował się w danej chwili Orris -

niekiedy o wiele mil od punktu, do którego powinien trafić, na przykład w tej chwili. Miał szczęście na parkingu przy autostradzie, ale okazało się, że Sawyer ma go więcej.

- Twoje szczęście niedługo się skończy, mój mały przyjacielu - powiedział Orris. Karoca znowu gwałtownie podskoczyła. Morgan skrzywił się, następnie uśmiechnął. Co najmniej jedno stawało się pewne: sytuacja robiła się coraz prostsza, podczas gdy ostateczna konfrontacja doprowadzi do poważnych następstw.

Dosyć.

Morgan przymknął oczy i skrzyżował ramiona. Tylko przez moment poczuł ponownie tępe łupanie bólu w zdeformowanej stopie... i gdy otworzył oczy, miał nad sobą sufit swojego mieszkania. Jak zawsze, przez moment doskwierało mu te kilka funtów więcej, a jego serce zareagowało na nie zaskoczonym dwutaktem, nim odzyskało normalny rytm.

Sloat wstał. Zadzwoił do firmy West Coast Business Jet. Siedemdziesiąt minut później startował z lotniska LAX. Ostry i nagły kął wznoszenia się learjeta sprawił, że Morgan jak zawsze poczuł się, jakby wsadzono mu w zadek palnik acetylenowy.

Wylądowali w Springfield o piątej pięćdziesiąt miejscowego czasu. W ten samej chwili Orris dojeżdżał pewnie w Terytoriach do Stacji Rubieżnej. Sloat wynajął czterodrzwiowy wóz w agencji Hertz. Doszedł do wniosku, że podróż przez Amerykę ma jednak swoje zalety.

Wysiadł z samochodu w chwili, gdy zabrzmiały poranne dzwony. Wszedł na teren Thayer School, dopiero co porzuconej przez jego syna.

Wszystko toczyło się tak, jak w zwykły roboczy poranek. Dzwony w kaplicy wygrywały normalną ranną melodię - coś klasycznego, nie dającego się jednak do reszty rozpoznać. Nieco przypominało "Te Deum", jednak nim nie było. Sloata mijali uczniowie, którzy udawali się do jadalni lub na poranne treningi. Zachowywali się może nieco ciszej niż zwykle i podobnie wyglądali - byli bladzi i nieco oszołomieni, jakby wszystkim przyśnił się niepokojący sen.

Oczywiście tak właśnie było, pomyślał Sloat. Przystanął na chwilę przed Nelson House i przyjrzał się mu z namysłem. Uczniowie nie zdawali sobie po prostu sprawy, jak bardzo są fundamentalnie nierealni - z konieczności dotyczyło to wszystkich istot żyjących w pobliżu miejsc, gdzie bariera między światami była cieńsza. Sloat obszedł budynek z boku i popatrzył, jak ekipy sprzątaczy zbierają potłuczone szkło, błyszczące na ziemi niczym fałszywe diamenty. Obróciwszy głowę, zobaczył, że w świetlicy Nelson House siedzi nadzwyczaj cichy Albert Bambaryła i gapi się tępo na kreskówkę z Królikiem Bugsem.

Sloat ruszył w stronę Stacji. Przypomnił sobie pierwszy przeskok Orrisa do tego świata. Zorientował się, że przypomina sobie ten okres z nostalgią; gdy się nad nią lepiej zastanowić, niemal cholernie groteskową - ostatecznie przecież o mało nie zginął. Obydwaj o mało nie zginęli. Było to jednak w połowie lat pięćdziesiątych, a obecnie to on miał ponad pięćdziesiąt lat - i na tym polegała zasadnicza różnica.

Sloat wracał wtedy z biura. Słońce w Los Angeles zachodziło pośród smug purpury i zadymionych zółci - działo się to, zanim jeszcze smog nad miastem zaczął rzeczywiście gęstnieć. Morgan wpatrywał się w tablicę przy Bulwarze Zachodzącego Słońca, reklamującą nową płytę Peggy Lee, gdy poczuł zimno w umyśle, jakby w jego podświadomości nagle otworzyło się źródło, z którego tryskała jakaś obca dziwność, przypominająca... przypominająca...

(przypominająca nasienie)

...no, właściwie nie potrafił orzec, co właściwie przypominała. Tyle że szybko zamieniła się w błogą świadomość. Morgan miał zaledwie czas zorientować się, że to on, Orris, i wszystko znów wywróciło się na drugą stronę, jak sekretne drzwi na zawiasach - jakby obróciła się na bok szafka z książkami po jednej stronie, a po drugiej garderoba w stylu chippendale, obydwie idealnie pasujące do wystroju pokoju. Za kierownicą fordka z 1952 roku z karoserią jak pocisk karabinowy siedział Orris, miał na sobie brązowy, dwurzędowy garnitur i krawat od Johna Penske. Sięgnął do krocza, nie żeby go coś uwierało, lecz po prostu był ciekawy, przecież Orris nigdy nie nosił bielizny.

Morgan przypomniał sobie, że przez chwilę ford niemal wjechał na chodnik. Wówczas Sloat - w tej chwili grający drugie skrzypce - przejął tę część operacji. Orris mógł za to odgrywać rolę pasażera, gapić się na wszystko wybałuszonymi oczami i odchodzić od zmysłów z uciechy. To, co pozostało z Morgana Sloata, również czuło radość, tak jak człowiek oprowadzający przyjaciela po swoim nowym domu, który podoba się przyjacielowi tak samo jak jemu samemu.

Orris zajechał do restauracji dla kierowców Fat Boy Drivein i po paru chwilach grzebania się z nieznanymi papierowymi pieniędzmi zamówił hamburgera z frytkami i gęsty koktajl czekoladowy. Bez trudu artykułował słowa; wypływały jak woda ze źródła z dennych pokładów umysłu. Za pierwszym razem ugryzł hamburgera ostrożnie... a potem pochłonął resztę z taką łapczywością, z jaką Wilk zjadł swojego pierwszego whoppera. Wpychał jedną ręką w usta frytki, równocześnie kręcąc gałką radia. Wsłuchiwał się w ekscytujące urywki bebopu, Perry Como, jakiegoś big bandu i wczesnego rhythm and bluesa. Opróżnił koktajl i zamówił jeszcze raz to samo.

W połowie drugiego hamburgera zrobiło się mu - zarówno Sloatowi, jak i Orrisowi - niedobrze. Smażona cebula nagle wydała się mu zbyt mocna i zapychająca; nagle zaczął mieć wrażenie, że wszystko przenika woń spalin. W jednej chwili zaczęły go szaleńczo swędzieć ramiona. Ściągnął dwurzędową marynarkę (drugi koktajl, tym razem o smaku mokki, zsunął się niepostrzeżenie, zachlapując siedzenie forda) i przyjrzał się rękom. Pojawiały się na nich szybko rosnące wstrętne, czerwone plamy z ciemniejszymi środkami. Ścisnął się mu żołądek. Morgan wychylił się i już w trakcie wymiotowania do podstawionej obok tacy poczuł, że Orris ucieka od niego, wraca do swojego świata...

- Mogę w czymś panu pomóc?

- Hm?

Wytracony z zadumy Sloat rozejrzał się dokoła. Obok niego przystanął wysoki blondyn, najwyraźniej uczeń ostatniej klasy. Miał strój godny absolwenta prywatnej szkoły: nieskazitelnie niebieski blezer z flaneli, koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i parę spłowiałych lewisow. Nastolatek odgarnął włosy sprzed oczu, w których czaiło się to samo oszołomione, senne spojrzenie.

- Nazywam się Etheridge, proszę pana. Po prostu zastanawiałem się, czy nie potrzebuje pan pomocy. Wyglądał pan na... zagubionego.

Sloat uśmiechnął się i zapragnął powiedzieć - czego ostatecznie nie zrobił: Nie, to ty tak wyglądasz, przyjacielu. Wszystko było w porządku. Bękart Sawyera wciąż przebywał na swobodzie, ale Sloat wiedział, dokąd się kieruje, więc równie dobrze Jacky mógł być na łańcuchu. Niewidocznym, ale mimo wszystko łańcuchu.

- Pogrążyłem się we wspomnieniach, to wszystko - rzekł. - O dawnych czasach. Jestem tu obcy, panie Etheridge, jeśli się pan o to martwi. Uczy się tu mój syn. Richard Sloat.

Oczy Etheridge'a przybrały przez chwilę jeszcze senniejszy wyraz - stropiony i bezradny. Po chwili odzyskały klarowność.

- Richard. Pewnie! - zawołał.

- Zaraz pójde do dyrektora, ale na razie chciałbym się rozejrzeć.

- Cóż, chyba nie zaszkodzi. - Etheridge spojrział na zegarek. - Mam poranny dyżur w jadalni, więc jeżeli na pewno niczego pan nie potrzebuje...

- Na pewno.

Etheridge skinął mu głową, uśmiechnął się w dość nieobecny sposób i odszedł.

Sloat patrzył, jak się oddala, po czym przeniósł spojrzenie na teren między Nelson House i miejsce, w którym stał. Znów zauważył stłuczone okno. Celny rzut. Można było zakładać z rozsądną dozą prawdopodobieństwa - jeśli nie pewnością - że dwaj chłopcy



Migrowali do Terytoriów gdzieś pomiędzy Nelson House i ceglanym, ośmiokątnym budynkiem. Gdyby miał ochotę, mógłby podążyć ich śladem. Po prostu wejść do środka - drzwi nie miały zamka - i zniknąć. Pojawiliby się po drugiej stronie tam, gdzie znajdowało się w tej chwili ciało Orrisa. Byłoby to gdzieś blisko; być może nawet naprzeciw samego gospodarza stacji. Tym razem na pewno nie Migrowałby bez sensu do jakiegoś miejsca oddalonego o setki mil od interesującego Morgana punktu Terytoriów w sytuacji, gdy mógł pokonać ten dystans jedynie konnym wozem lub - co gorsza - w sposób, który jego ojciec określał "dwójką".

Chłopcy najprawdopodobniej zdążyli już ruszyć dalej. Na Spustoszone Ziemie. Jeśli tak, to one ich wykończą. Poza tym Dwójnik Sunlighta Gardenera, Osmond, zdoła bez większej trudności wycisnąć z Andersa wszystkie informacje. Osmond i jego obrzydliwy syn. Nie było w ogóle potrzeby Migrować.

Może najwyżej po to, żeby się rozejrzeć. Dla odświeżającej przyjemności wcielenia się znowu w Orrisa, choćby na kilka sekund.

Oraz po to, żeby się Upewnić. Od dzieciństwa całe życie Sloata stanowiło ciąg działań, służących jednemu celowi: Upewnieniu się.

Sloat obejrzał się, żeby zyskać pewność, iż Etheridge rzeczywiście odszedł. Następnie otworzył drzwi Stacji i wkroczył do środka.

Panował tu zatęchły, mroczny i niewiarygodnie nostalgiczny zapach - woń starego makijażu i płóciennych dekoracji. Sloatowi przysła nagle do głowy obłądna myśl, że zrobił coś jeszcze bardziej niewiarygodnego niż Migracja. Poczul się tak, jakby przeniósł się z powrotem do czasów, gdy on i Phil Sawyer byli ogłupiałymi na punkcie teatru studentami.

Po chwili jego oczy przywykły do mroku. Dojrzał nieznajome, niemal amatorskie rekwizyty - gipsowy biust Pallas do inscenizacji "Kruka", ekstrawagancko pozłożoną klatkę dla ptaków, biblioteczkę pełną fałszywych grzbietów książek - i przypomniał sobie, że trafił do szkolnej namiastki "teatryku".

Na chwilę przystanął i wciągnął w nozdrza unoszący się kurz. Podniósł wzrok ku mętnej smudze światła, która wpadła przez małe okienko. Blask zamigotał i nabrał nagle głębszego, złotego odcienia - barwy płomienia lampy. Sloat znalazł się w Terytoriach. Tak po prostu - przeniósł się w Terytoria. Szybkość przeskoku przez chwilę wzbudziła w nim niemal oszałamiającą ekscytację. Zwykle działo się to po chwili przerwy i towarzyszyło temu uczucie prześlizgiwania się z jednego miejsca w drugie. Cezura ta zdawała się rosnać wprost proporcjonalnie do odległości, dzielącej jego dwa "ja": Sloata i Orrisa. Gdy kiedyś Migrował z Japonii - negocjował tam z braćmi Shaw umowę o prawa do koszmarnego powieściadła o

hollywoodzkich gwiazdach, którym zagrażał oszalały ninja - pauza trwała tak długo, iż przestraszył się, że na zawsze uwięźnie w pustym, pozbawionym odczuć zmysłowych czyścicu pomiędzy światami. Tym razem Sloat i Orris byli jednak blisko siebie - tak blisko! Pomyślał

(Orris pomyślał)

że przypomina to te nieliczne przypadki, gdy mężczyzna i kobieta osiągają równocześnie orgazm i umierają podczas aktu seksualnego.

Woń zaschniętej farby i płótna zastąpił lekki, przyjemny zapach oleju do lamp. Lampka na stole w Terytoriach ledwie się tliła, unosiły się nad nią czarne membrany dymu. Po lewej stronie Morgana znajdował się zastawiony stół. Reszki jedzenia stygły na prymitywnych talerzach. Trzech.

Orris zrobił krok do przodu, powłócząc nieco chromą stopą. Przekrzywił jeden z talerzy, pozwalając odblaskowi tłącego się płomienia pełgać po tłuszczu. *Kto z niego jadł? Anders, Jason czy Richard... chłopiec, który byłby również Rushtonem, gdyby mój syn przeżył?*

Rushton utonął w stawie niedaleko Wielkiego Pałacu. Stało się to podczas pikniku. Orris i jego żona wypili dużo wina. Paliło słońce. Chłopiec, niemal jeszcze niemowlę, drzemał. Orris kochał się z żoną, a potem oboje również zapadli w sen w błogim, popołudniowym cieple. Ze snu wytrącił go dziecięcy krzyk. Okazało się, że Rushton obudził się i wszedł do wody. Zdołał trochę upłynąć pieskiem, aż dostał się na zbyt głęboką dla siebie wodę i wpadł w panikę. Orris pokulał na brzeg, wskoczył do wody i popłynął w stronę znikającego pod powierzchnią chłopczyka. Stopa - ta przeklęta stopa - spowalniała jego ruchy i być może przez nią jego dziecko zginęło. Kiedy dotarł do chłopca, ten już tonął. Zdołał złapać go za włosy i dociągnąć do brzegu... ale do tego czasu Rushton już posiniał i umarł.

Margaret popełniła samobójstwo niecałe sześć tygodni później.

Siedem miesięcy potem synek Morgana Sloata prawie utonął w basenie YMCA w Westwood podczas zajęć grupy Małych Chłapaczy. Wyciągnięto go z basenu posiniałego i martwego jak Rushtona... ale ratownik zastosował oddychanie usta-usta i Richarda udało się reanimować.

Bóg wbija swoje ćwieki, pomyślał Orris. Głębokie, niewyraźne chrapnięcie sprawiło, że gwałtownie obrócił głowę.

Gospodarz stacji Anders leżał w nyży w kącie z zadartym do bryczesów kiltem. Obok walał się przewrócony kamionkowy dzban na wino. Spora jego ilość wsiąkła gospodarzowi we włosy.

Zachrapał znowu, a potem jęknął, jakby śniło mu się coś złego.

Żaden sen, jaki ci się przyśnił, nie może być tak paskudny jak przyszłość, która cię teraz czeka, pomyślał posepnie Orris. Podszedł krok bliżej, płaszcz łopotał wokół niego. Popatrzył z góry na Andersa bez współczucia.

Sloat potrafił zaplanować morderstwo, ale to Orris Migrował raz za razem, by je popełniać. To Orris w ciele Sloata próbował udusić Jacka Sawyera poduszką (chłopak był wtedy niemowlęciem), podczas gdy komentator w tle mamrotał sprawozdanie z meczu zapaśniczego. Orris nadzorował zamordowanie Phila Sawyera w Utah (podobnie jak nadzorował zamordowanie jego odpowiednika, ulubionego przez lud księcia Philipa Sawtelle w Terytoriach).

Sloat był żądny krwi, ale ostatecznie miał na nią taką alergię jak Orris na amerykańskie jedzenie i powietrze. To Morgan Orris, niegdyś obdarzany pogardliwym mianem Morgana Kulasa, zawsze popełniał zaplanowane przez Sloata czyny.

*Mój syn umarł; jego wciąż żyje. Syn Sawtelle'a umarł. Sawyer żyje nadal. Można jednak temu zaradzić. Zaradzi się. Nie dostaniecie Talizmanu, moi słodcy przyjaciele. Zmierzacie w stronę radioaktywnej wersji Oatley, a każdy z was winien jest rachunek śmierci. Bóg wbija swoje ćwieki.*

- A jeśli Bóg tego nie zrobi, to na pewno ja nie zapomnę - powiedział na głos.

Mężczyzna na podłodze jęknął znowu, jakby go usłyszał. Orris podszedł do niego jeszcze bliżej. Zapewne chciał wymierzyć mu kopniaka, ale przekrzywił głowę. W oddali usłyszał tętent kopyt, ciche skrzypienie i szcęknięcie uprzęży oraz chrapliwe wołania woźniców.

To na pewno Osmond. Doskonale. Niech Osmond zajmie się tutaj sprawami - Orrisa nie bardzo interesowało przesłuchiwanie skacowanego człowieka, skoro i tak wiedział, czego można się od niego dowiedzieć.

Orris poczłapał do drzwi, otworzył je i wyjrzał na piękny, brzoskwiniowej barwy świt w Terytoriach. Właśnie z tej strony - ze wschodu - dobiegały odgłosy zbliżających się jeźdźców. Orris przez chwilę sycił oczy uroczym blaskiem i znów odwrócił się w stronę zachodu, gdzie niebo wciąż miało barwę świeżego sińca. Na ziemi panował mrok... z wyjątkiem odbić pierwszych promieni słońca od dwóch równoległych, lśniących szyn.

Jedziecie po swoją śmierć, chłopcy, pomyślał Orris z zadowoleniem... po czym przyszła mu do głowy jeszcze bardziej satysfakcjonująca myśl: być może już nie żyli.

- Dobrze - powiedział Orris i przymknął oczy.

W chwilę później Morgan Sloat ścisnął klamkę teatrzyku w Thayer School, otwierał swoje oczy i planował drogę powrotną na zachodnie wybrzeże.

Pomyślał, że nadszedł czas odbyć sentymentalną podróż. Do kalifornijskiego miasteczka o nazwie Point Venuti. Może jednak najpierw zawróci na zachód - złoży wizytę Królowej - a potem...

- Morskie powietrze bardzo dobrze mi robi - zwrócił się do popiersia Pallas.

Zanurkował do środka, wciągnął kolejną porcję proszku z fiolki z kieszeni (niemal nie zwracając uwagi na zapachy płótna i makijażu). Odświeżywszy się w ten sposób, ruszył w dół wzniesienia do samochodu.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Anders

1

Jack nagle uświadomił sobie, że chociaż nadal biegnie, nogami przebiera w powietrzu, jak postać z kreskówki, która ma jeszcze czas na zamruganie z zaskoczenia oczyma, nim runie dwa tysiące stóp w dół. Dystans do ziemi okazał się jednak mniejszy. Jack zaledwie miał czas zdać sobie sprawę, że brak mu gruntu pod stopami, po czym spadł cztery czy pięć stóp. Zatoczył się i może nawet utrzymałby się na nogach, gdyby nie wpadł na niego Richard. Obydwaj zwałili się na ziemię.

- Uważaj, Jack! - krzyczał Richard; najwyraźniej nie był zainteresowany skorzystaniem z własnej rady, bo miał zaciśnięte powieki. - Uważaj na wilka! Uważaj na pana Dufreya! Uważaj...

- Przestań, Richard. - Wołanie bez tchu przyjaciela przerażało go bardziej niż cokolwiek innego. Richard sprawiał wrażenie absolutnego, skończonego wariata. - Przestań, nic nam nie jest! Tamci zniknęli!

- Uważaj na Etheridge'a! Uważaj na robaki! Uważaj, Jack!

- Richard, oni zniknęli! Rozejrzyj się, na Jasona!

Sam Jack nie miał jeszcze okazji tego zrobić, ale wiedział, że im się udało - powietrze było nieruchome i słodkie, a noc idealnie spokojna, jeśli nie liczyć błęgiego, ciepłego powiewu.

- Uważaj, Jack! Uważaj, Jack! Uważaj, uważaj...

Jackowi ożyły w myślach jak złe echo wołania chóru psów-chłopców pod Nelson House: *Obuć-sie, obuć-sie, obuć-sie! Proszę-proszę-proszę!*

- Uważaj, Jack! - jęknął Richard. Wyrznął twarzą w ziemię, przez co wyglądał jak nadgorliwy muzułmanin, starający się za wszelką cenę zaskarbić sobie łaskę Allaha. - UWAŻAJ! WILK! PREFEKCI! DYREKTOR! UWAŻA...

Na myśl, że Richard naprawdę zwariował, Jack szarpnął go w panice za tył kołnierzyka. Zdołał poderwać mu głowę i trzepnął go w policzek.

Richard nagle zamilkł. Popatrzył z rozchyłonymi ustami na przyjaciela, a Jack dojrzał na jego policzku wykwitający jak bladoczerwony tatuaż zarys dłoni. Przez chwilę poczuł wstyd, który zastąpiło palące pragnienie, by się dowiedzieć, dokąd trafili. Było jasno; inaczej Jack nie dojrzałby zarysu swej dłoni.

Częściową odpowiedź na to pytanie znalazł w sobie - była pewna i niepodważalna... przynajmniej w zakresie, który sama sobie wyznaczyła.

*Rubieże, Jack-O. Jesteś teraz na Rubieżach.*

Zanim jednak miałby czas to przetrwać, musiał doprowadzić Richarda do jako takiego ładu.

- Nic ci nie jest, Richie?

Przyjaciel popatrzył na Jacka w odrętwiały, wyrażający jednak zaskoczenie i poczucie krzywdy sposób.

- Uderzyłeś mnie, Jack.

- Spoliczkowałem cię. Tak należy postępować z histerykami.

- Nie wpadłem w żadną histerię! Nigdy w życiu nie wpadłem w histe... - Richard umilkł, poderwał się z ziemi i rozejrzał dziko dokoła. - Wilk! Musimy uważać na wilka, Jack! Jeśli przejdziemy przez ogrodzenie, to nas nie dopadnie!

Rzuciłby się sprintem w mrok w kierunku siatki, która została w drugim świecie, gdyby Jack go nie chwycił i przytrzymał.

- Wilk zniknął, Richard.

- Hę?

- Udało się nam.

- O czym ty mówisz...

- O Terytoriach, Richard! Jesteśmy w Terytoriach! Przeskoczyliśmy!

A ty o mało nie wyrwałeś mi ramienia ze stawu, niedowiarku, pomyślał Jack, masując pulsujący bólem bark. Jeżeli następnym razem spróbuję przeciągnąć kogoś na drugą stronę,

postaram się, żeby to był mały dzieciak, taki, co wciąż wierzy w Świętego Mikołaja i wielkanocnego króliczka.

- Idiotyzm - powiedział powoli Richard. - Nie ma niczego takiego jak Terytoria, Jack.

- Skoro nie, to dlaczego wielki biały wilk nie gryzie cię w dupę? - spytał poważnie Jack. - Czy twój piekielny dyrektor?

Richard popatrzył na Jacka, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i zamknął je ponownie. Rozejrzał się, tym razem nieco uważniej (lub przynajmniej Jack miał taką nadzieję). Jack zrobił to samo, napawając się równocześnie ciepłem i klarownością powietrza. Morgan i jego banda oszalałych jak kłębowisko węży pomagierów mogli lada chwila przedrzeć się na tę stronę, na razie jednak nie sposób było nie czuć czystej, zwierzęcej radości ze znalezienia się z powrotem w Terytoriach.

Stali na polu. Wysoka, żółta trawa z włochatymi kłosami - jak pszenica, ale niezupełnie; w każdym razie jakieś jadalne zboże - ciągnęła się pod osłoną nocy we wszystkich kierunkach. Ciepły powiew wzburzał ją, tworząc tajemnicze, lecz urocze fale. Po prawej stronie na niewielkim wzniesieniu stał drewniany budynek. Przed nim na tyczce wisiała lampa. Żółty płomień, niemal zbyt jaskrawy, by patrzeć na niego gołym okiem, płonął wewnątrz szklanej kuli. Jack dojrzał, że budynek ma kształt ośmiokąta. Dwaj chłopcy wylądowali w Terytoriach na zewnętrznym obrzeżu rzucanego przez lampę kręgu światła - a po jego przeciwnej stronie lśniło coś metalicznego, odbijającego rozkawałkowanymi refleksami światło lampy. Jack wpatrzył się w słaby, srebrzysty blask zmrużonymi oczyma... i zrozumiał, czym był. Poczł nie tyle zdumienie, ile spełnienie oczekiwania. Miał wrażenie, jakby dwa wielkie kawałki puzzli - amerykańskich i tutejszych Terytoriów - w tym miejscu zeszły się idealnie ze sobą.

Były to tory kolejowe. Chociaż w ciemności nie sposób było orzec, w jakim będą kierunku, Jack się domyślał.

Na zachód.

2

- Chodź - powiedział Jack.

- Nie chcę tam iść - odrzekł Richard.

- Dlaczego?

- Dzieje się za dużo wariackich rzeczy. - Richard zwilżył wargi. - W tym budynku może być Bóg wie co. Psy. Szaleńcy. - Ponownie zwilżył usta. - Robaki.

- Mówiłem ci, że jesteśmy już w Terytoriach. Całe szaleństwo zostało za nami - one są czyste. Do diabła, Richard, nie czujesz tego?

- Nie istnieje nic takiego jak Terytoria - powiedział słabym głosem Richard.

- Rozejrzyj się wokół.

- Nie - odparł Richard jeszcze wyższym tonem, jak u irytująco upartego dziecka.

Jack zerwał garść solidnie obrośniętej ośmi trawy.

- Popatrz na to!

Richard odwrócił głowę.

Jack zdusił chęć, by potrząsnąć przyjacielem. Zamiast tego wyrzucił trawę, odliczył w myślach do dziesięciu i ruszył w górę stoku. Opuścił wzrok i zobaczył, że ma teraz na sobie coś w rodzaju skórzanych spodni. Richard był odziany w podobny sposób; na szyi miał chustkę, przez co wyglądał jak postać z obrazu Fredericka Remingtona. Jack podniósł dłoń i namacał podobną chustkę. Przesunął rękami po ciele i doszedł do wniosku, że cudownie ciepły płaszcz od Milesa P. Kigera przypominał obecnie nieco meksykańskie serape. Założę się, że wyglądam jak z reklamy Taco Bell, pomyślał i się uśmiechnął.

Gdy Jack ruszył na szczyt wzniesienia i zostawił przyjaciela samego, na twarzy Richarda pojawił się wyraz absolutnej paniki.

- Dokąd idziesz?

Jack obejrzał się i zawrócił. Otoczył ramieniem Richarda i popatrzył mu poważnie w oczy.

- Nie możemy tu zostać - powiedział. - Niektórzy z nich na pewno widzieli, jak przeskakujemy. Może nie są w stanie ruszyć tuż za nami, ale może się mylę. Sam nie wiem. Mam takie pojęcie o prawach, rządzących tym światem, jak pięcioletnie dziecko o magnetyzmie - a pięciolatek wie tyle, że magnes czasem przyciąga, a czasem odpycha. Na razie jednak tyle mi wystarczy. Musimy stąd zniknąć. Koniec historii.

- To wszystko tylko mi się śni. Wiem, że tak jest.

Jack wskazał skinieniem głowy rozchwierutany drewniany budynek.

- Możesz pójść ze mną albo zostać tutaj. Jeśli wolisz zostać, to wrócę po ciebie, kiedy tylko sprawdzę, jak jest w środku.

- Nic z tego nie dzieje się naprawdę - powiedział Richard. Jego pozbawione szkieł oczy wydawały się rozszerzone, spłaszczone i jakby zakurzone. Przez chwilę popatrzył na czarne niebo Terytoriów z nieznanymi konstelacjami i zatrząsieniem gwiazd. Zadygotał i spuścił wzrok. - Mam gorączkę. To grypa. Zdarza się mnóstwo jej przypadków. To delirium. Zostałeś gwiazdą w moim majaczeniu, Jack.

- No cóż, kiedy tylko będę miał okazję, podeślę kogoś do Gildii Aktorów Deliryjnych z moją legitymacją AFTRA [Amerykańska Federacja Aktorów Telewizyjnych i Filmowych] - odparł Jack. - Na razie może po prostu zostaniesz tutaj, Richard? Skoro nic z tego nie dzieje się naprawdę, to nie masz się czego obawiać.

Ruszył znowu z miejsca, myśląc, że wystarczy jeszcze tylko kilka rozmówek z Richardem w stylu Alicji na herbatce, a dojdzie do przekonania, że on sam też zwariował.

Dotarł do połowy wzniesienia, gdy Richard dołączył do niego.

- Wróciłbym po ciebie - powiedział Jack.

- Wiem - odrzekł Richard. - Po prostu pomyślałem, że równie dobrze mogę pójść z tobą. Skoro to wszystko to tylko sen.

- No cóż, trzymaj buzię na kłódkę, jeżeli kogoś tam zastaniemy - nakazał Jack. - Wydaje mi się, że ktoś przyglądał mi się przez okno.

- Co zamierzasz zrobić? - spytał Richard.

- Grać ze słuchu, Richie. - Jack się uśmiechnął. - Tak właśnie robię od opuszczenia New Hampshire. Gram ze słuchu.

3

Dotarli do ganku. Richard ścisnął ramię Jacka z siłą zrodzoną z paniki. Jack odwrócił się w jego stronę ze znużeniem. Patentowane Kleszcze z Kansas City jego przyjaciela błyskawicznie mu się nudziły.

- Co jest? - spytał Jack.

- To tylko sen. Na pewno - rzekł Richard. - Potrafię tego dowieść.

- Jak?

- Przestaliśmy mówić po angielsku, Jack! Mówimy w jakimś innym języku, i to idealnie, ale to nie angielski!

- No - odparł Jack. - Straszne, nie?

Ruszył dalej po stopniach, zostawiając za sobą Richarda stojącego z rozdziawionymi ustami.

4

Chwilę później Richard opanował się i wdrapał po stopniach za Jackiem. Deski były spalone, obłuzowane i najeżone drzazgami. Spomiędzy nich sterczały źdźbła naszpikowanej



ośmiu trawy. Z głębokich ciemności dobiegało senne brzęczenie owadów - nie skrzywienie świerszczy, lecz o wiele bardziej błogi odgłos. Mnóstwo rzeczy jest tu bardziej błogich, pomyślał Jack.

Minęli lampę na zewnątrz; ich cienie padały na ganek, załamywały się pod kątem prostym i wspinały po drzwiach. Znajdowała się na nich stara, spłowiała tablica. Przez chwilę Jack miał wrażenie, że widnieje na niej dziwne, przypominające cyrylicę pismo, równie dla niego nie do odcyfrowania jak rosyjskie. Zdołał jednak bez trudu odczytać słowo. Nie budziło najmniejszego zdziwienia: STACJA.

Jack uniósł dłoń, by zastukać, po czym potrząsnął lekko głową. Nie. Nie zastuka. Nie było to prywatne mieszkanie. Tablica głosiła: STACJA, słowo to kojarzyło się mu z publicznymi budynkami - miejscami, gdzie czekało się na autobusy Greyhound i pociągi Amtrak, bramkami, przez które przechodziło się do samolotów linii Friendly Skies.

Pchnął drzwi. Na ganek popłynęło przyjazne światło lampy i zdecydowanie nieprzyjazny głos.

- Odejdź precz, ty diable! - zaskrzeczał nierówny głos. - Precz! Wyjdę rano! Przysięgam! Pociąg jest w szopie! Odejdź! Przysięgam, że przyjdę, i przyjdę, no to idź se teraz! Idź i zostaw mnie w spokoju!

Jack zmarszczył czoło. Richard otworzył usta. Izba była czysta, ale bardzo stara. Ściany z desek tak się wypaczyły, że wydawało się, iż falują. Na jednej z nich wisiał obraz, przedstawiający dylizans tak wielki, że zdawał się dorównywać rozmiarami statkowi wielorybniczemu. Przez środek izby, dzieląc ją na dwie części, biegła wiekowa lada, o powierzchni niemal tak samo pofałdowanej jak ściany. Za nią na przeciwległej ścianie wisiała czarna tablica przedzielona na dwie kolumny. Nad jedną znajdował się napis: PRZYJAZDY DYLIŻANSÓW, nad drugą - ODJAZDY DYLIŻANSÓW. Popatrzawszy na nią, Jack pomyślał, że od dawna nikt na niej nie pisał. Przyszło mu do głowy, że gdyby ktokolwiek chciał użyć nawet miękkiej kredy, tablica popękałaby i w kawałkach posypała się na podłogę.

Z boku kontuaru stała największa klepsydra, jaką Jack kiedykolwiek widział - rozmiarów butli szampana i wypełniona zielonym piaskiem.

- Nie możesz zostawić mnie samego? Obiecałem, że przyjdę, to przyjdę! Proszę, Morgan! Miejęż zmiłowanie! Obiecałem, a jak mi nie wierzysz, to zajrzyj do szopy! Pociąg jest gotów, przysięgam, że jest gotów!

Po czym nastąpiło dalsze mamrotanie i ciamkanie w tym samym duchu. W prawym rogu w głębi kulił się stary, zwalisty mężczyzna. Jack oszacował, że starzec ma co najmniej sześć stóp trzy cale wzrostu - nawet przy obecnej służalczej postawie. Niski sufit Stacji

znajdował się najwyżej cztery cale nad jego głową. Mężczyzna na oko miał siedemdziesiąt lat, ale równie dobrze mógł być nieźle zakonserwowanym osiemdziesięcioletkiem. Śnieżnobiała broda zaczynała się pod jego oczyma i opadała kaskadami na piersi, kończąc się delikatnymi jak u dziecka włosami. Miał szerokie ramiona, chociaż teraz tak zgarbione, że wyglądały jak połamane wskutek noszenia pod przymusem przez wiele lat masywnych ciężarów. Wokół kącików oczu rozpościerały się głębokie kurze łapki, jeszcze głębsze bruzdy wiły się na czole. Starzec miał woskowożółtą cerę. Ubrany był w biały kilt, przetykany jaskrawo-szkarłatnymi nićmi. Wyglądał na śmiertelnie przerażonego. Potrząsał grubą laską, ale w całkowicie niegroźny sposób.

Jack obejrzał się szybko na Richarda, gdy starzec wypowiedział imię jego ojca, lecz jego przyjaciel nie zwracał uwagi na takie niuanse.

- Idźta se! - zawodził starzec dalej. - Ani mi słowa! Wiem, że diabeł umie przywdziewać przyjemne oblicze! Idźta se! Zrobię, co trzeba. Jest gotów do drogi, z samego rana, jak trza! Powiedziałem, że to zrobię, i tak będzie, a teraz sobie idźta, dobra?!

Plecak na ramieniu Jacka zamienił się w sakwę. Chłopiec pogrzebał w nim, gdy dotarł do kontuaru. Odsunął na bok lusterko i kilka węzlastych pieniężnych patyków. Namacał to, czego szukał - i wyjął z sakwy monetę, którą tak dawno temu dostał od kapitana Farrena, z obliczem Królowej na awersie i gryfem na rewersie. Położył ją z traskiem na blacie. Światło odbiło się od pięknego profilu Laury DeLoessian. Jacka znów uderzyło podobieństwo tej kobiety do jego matki. *Czy od początku były tak do siebie podobne? Czy tylko dostrzegam coraz większe podobieństwo, im dłużej o nich myślę? Czy też w jakiś sposób sam je do siebie upodabnam, czynię z nich jedną osobę?*

Starzec skulił się jeszcze bardziej, gdy Jack podchodził do kontuaru. Można było odnieść wrażenie, że przecisną się przez ścianę budynku. Słowa nadal toczyły się z jego ust histeryczną powodzią. Gdy Jack kłapnął monetą o kontuar jak czarny charakter z westernu domagający się drinka, mężczyzna nagle ucichł. Wpatrzył się w monetę, oczy mu się rozszerzyły, a kąciki ust zaczęły podrygiwać. Przeniósł wreszcie wytrzeszczone oczy na Jacka i po raz pierwszy mu się przyjrzał.

- Jason - wyszeptał drżącym głosem. Znikła jego dotychczasowa, pozorowana zadzierzystość. Głos drżał mu nie z trwogi, lecz zdumienia. - Jason!

- Nie - odparł. - Nazywam się...

Urwał, zdając sobie sprawę, że słowo, które by wypowiedział, brzmiałoby w tym obcym języku nie Jack, ale...

- Jason! - zawołał starzec i padł na kolana. - Przybyłeś, Jasonie! Przybyłeś, i wszystko będzie dobrze, ano, wszystko będzie dobrze i wszelkie sprawy ułożą się dobrze!

- Ej - przerwał mu Jack. - Ej, naprawdę...

- Jason! Jason przybył, i z Królową będzie dobrze, i wszelkie sprawy ułożą się dobrze! Jack odwrócił się w stronę Richarda... nie doczekał się jednak pomocy z tej strony. Raczej przygotował się na podszytą przerażeniem wojowniczość starego gospodarza stacji niż na łzawą adorację. Richard wyciągnął się na podłodze po lewej stronie drzwi i albo zapadł w sen, albo piekielnie dobrze to symulował.

- Och, kurwa! - jęknął Jack.

Stary człowiek wciąż płakał i paplał na klęczkach. Sytuacja raptownie zmieniła charakter z jedynie niedorzecznej na kosmicznie komiczną. Jack znalazł podnoszoną przegródkę i przeszedł na drugą stronę.

- Ach, wstań, dobry, wierny sługo - powiedział. Zastanawiał się posępnie, czy Chrystus lub Budda mieli kiedykolwiek podobne kłopoty. - Podnieś się, facet.

- Jason! Jason! - szlochał starzec.

Pochylił się i zaczął całować sandały na stopach Jacka, zasłaniając je włosami. Nie było to bynajmniej lekkie pocałunki, lecz soczyste cmokanie jak przy migdaleniu się w sianie. Jack zachichotał bezradnie. Zdołał wyrwać się z przyjacielem z Illinois, i oto znaleźli się gdzieś na Rubieżach w rozlatującej się stacji dylizansów pośrodku wielkiego pola zboża, które niezupełnie było pszenicą, Richard spał przy drzwiach, a osobliwy staruszek całował mu stopy i łaskotał je brodą.

- Powstań! - zawołał Jack z chichotem. Usiłował się cofnąć, ale wpadł na kontuar. - Powstań, dobry sługo! Podnoś się na pierniczone nogi! Wstawaj, dość tego!

- Jason! - Cmok! - Wszystko będzie dobrze! - Cmok-cmok!

I wszelkie sprawy ułożą się dobrze, pomyślał obłądnie Jack.

Zachichotał, podczas gdy starzec nadal całował palce jego stóp przez sandały. Nie miałem pojęcia, że w Terytoriach też czytają Roberta Burnsa, ale pewnie tak...

*Cmok-cmok-cmok.*

*Och, wystarczy już tego. Naprawdę nie mogę tego znieść.*

- POWSTAŃ - zagrzmiął z całych sił.

Starzec wreszcie się podniósł; drżał, płakał i nie potrafił spojrzeć mu w oczy. Wyprostował jednak odrobinę niezwykle rozłożyste barki i przestał wyglądać na załamane, a Jack poczuł z tego powodu niejasne zadowolenie.

Dopiero po godzinie Jack zdołał nawiązać ze starcem składną rozmowę. Zaczynali rozmawiać, po czym Anders, zajmujący się wynajmem koni, dostawał kolejnego napadu spod znaku "O, Jasonie, mój Jasonie, któryś jest wspaniały". Jack starał się go wtedy szybko uciszyć... przynajmniej zanim znów zacznie się całowanie po nogach. Staruszek spodobał się jednak Jackowi; chłopiec w jakiś sposób mu współczuł. Aby go zrozumieć, wystarczyło wyobrazić sobie, jak sam by się poczuł, gdyby w miejscowej myjni samochodowej czy kolejce w szkolnej stołówce pojawił się Jezus lub Budda. Musiał uznać również jeszcze jeden dobitny, niewątpliwy fakt: jakaś część jego istoty nie była doszczętnie zaskoczona postawą Andersa. Chociaż czuł się jak Jack, coraz bardziej zaczynał odczuwać również jak... ten drugi.

*Ale on umarł.*

Prawda; niezaprzeczalna prawda. Jason umarł, a Morgan z Orris pewnie maczał palce w jego śmierci. Goście w rodzaju Jasona zwykli jednak wracać, nieprawdaz?

W końcu Anders zaczął mówić z sensem, więc Jack uznał, że nie zmarnował czasu. Richard z kolei znowu zasnął. I bardzo dobrze, bo Anders miał bardzo dużo do powiedzenia o Morganie.

Jack dowiedział się od niego, że była to niegdyś ostatnia stacja dyliżansów w znanym świecie - nosiła nieco dziwną nazwę Stacji Rubieżnej. Dalej świat zamieniał się w coś strasznego.

- W jaki sposób strasznego? - spytał Jack.

- Nie wiem - odparł Anders, zapalając fajkę. Wyjrzał z posępną miną w ciemność. - O Spustoszonych Ziemiach krążą różne opowieści, ale każda różni się od innej i zawsze zaczynają się mniej więcej tak: "Znam człowieka i ów człowiek zgubił się na trzy dni na skraju Spustoszonych Ziem, a potem opowiadał...". Nigdy jednak nie słyszałem żadnej historii, zaczynającej się: "Zgubiłem się na skraju Spustoszonych Ziem na trzy dni i powiadam...". Pojmujesz różnicę, mój panie?

- Pojmuję - odparł powoli Jack. Spustoszone Ziemie. Od samej nazwy włos mu się jeżył na ramionach i karku. - Nikt nie wie, jakie one są, tak?

- Nie na pewno - powiedział Anders. - Jeśli jednak ćwierć z tego, co słyszałem, to prawda...

- A co słyszałeś?

- Że żyją tam okropieństwa, przy których stwory z jam z rudą Orrisa wyglądają prawie normalnie. Że kule ognia przetaczają się tam po wzgórzach i pustych przestrzeniach,

pozostawiając za sobą długie, czarne ślady... Czarne przynajmniej za dnia, bo ponoć w nocy goreją blaskiem. A jeśli człowiek zbliży się za bardzo do tych kuł ognia, to robi się strasznie chory. Gubi włosy, na całym ciele pojawiają się mu wrzody, a potem zaczyna wymiotować. Niektórym się poprawia, ale przeważnie wymiotują i wymiotują, aż pękają im żołądki czy gardła i... - Anders wstał. - Panie mój? Dlaczego tak spoglądasz? Ujrzałeś coś przez okno? Dojrzałeś jakieś straszidło na tych dwakroć przeklętych torach?

Staruszek obejrzał się z trwogą w stronę okna.

Choroba popromienna, pomyślał Jack. Nie zdaje sobie z tego sprawy, ale opisał niemal dokładnie objawy choroby popromiennej.

W ubiegłym roku Jack przerabiał ze swoją grupą na kółku fizycznym zarówno broń jądrową, jak i skutki działania promieniowania. Ponieważ jego matka była co najmniej marginalnie zaangażowana w działalność ruchu na rzecz zamrożenia zbrojeń atomowych i ograniczenia liczby elektrowni jądrowych, Jack pilnie uważał na zajęcia.

Przemknęło mu przez głowę, jak dobrze choroba popromienna pasuje do samej idei Spustoszonych Ziemi. Po chwili zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze: na zachodzie kraju przeprowadzono pierwsze próby jądrowe. Tam właśnie zawieszono na wieży prototyp bomby, której użyto w Hiroszynie, i go zdetonowano. Tam właśnie armia zniszczyła wielką liczbę przedmieść, zamieszkałych przez manekiny wystawowe, by zyskać orientację w skutkach wybuchu jądrowego i następującej po nim burzy ogniowej. W końcu próby przeniesiono do Utah i Nevady, ostatnich prawdziwych amerykańskich Terytoriów, i przeprowadzano je pod ziemią. Jack wiedział, że wielkie połacie tych pustkowi stanowią własność rządu, a w labiryntach urwisk, płaskowyżów i pobrużdżonych pustyń testuje się nie tylko bomby.

Ile tego gówna Sloat ściągnął tutaj od śmierci Królowej? Ile tego gówna już kupił? Czy stacja dylżansów - i kolei - stanowiła punkt przeładunkowy broni?

- Nie wyglądasz najlepiej, mój panie, wcale nie. Pobiełałeś jak płótno; gotów jestem przysiąc, że takim właśnie się zdajesz!

- Nic mi nie jest - odparł powoli Jack. - Usiądź i opowiadaj dalej. I przypal fajkę - zgasła.

Anders wyjął ją z ust, przypalił i przeniósł spojrzenie z Jacka z powrotem do okna... W tym momencie na jego twarzy widniał nie tylko nieokreślony żal; wręcz ściągnęła się z trwogi.

- Pewnie wkrótce się dowiem, czy te opowieści są prawdziwe.

- Dlaczego?

- Bo jutro o świcie wyruszam przez Spustoszone Ziemie - odrzekł Anders. - Ruszam przez Spustoszone Ziemie i kieruję piekielną machiną Morgana z Orris, co stoi w tamtej szopie, i wiozę Bóg jeden wie jakie straszliwe diabelstwa.

Jack utkwiał w nim wzrok, czując łomotanie serca i szum krwi w uszach.

- Dokąd? Jak daleko? Nad ocean? Nad wielką wodę?

Anders pokiwał powoli głową.

- Ano - powiedział. Nad wodę. A... - Jego głos ścichł, zamienił się w pozbawiony siły szept. Starzec zerknął w stronę ciemnych okien, jakby bał się, że jakieś bezimienne, pilnujące go istoty zaglądną do środka i podsłuchują. - A Morgan będzie tam na mnie czekał, i mamy zabrać ładunek dalej.

- Dokąd? - spytał Jack.

- Do czarnego hotelu - dokończył niskim, drżącym głosem Anders.

6

Jack poczuł ochotę wybuchnąć znowu opętańczym śmiechem. Czarny hotel - brzmiało to tak tytuł podłej powieści kryminalnej. Mimo to... mimo to... wszystko zaczęło się w hotelu, nieprawdaż? Hotelu Alhambra w New Hampshire, na wybrzeżu Atlantyku. Czy nad brzegiem Pacyfiku stał jakiś inny hotel, być może nawet druga rozłożysta, wiktoriańska ohyda? Czy tam właśnie miała dobiec końca ta długa, niezwykła przygoda? W jakimś sobowtórce Alhambry, niedaleko którego znajdowało się podupadające wesołe miasteczko? Pomysł ten był niezwykle przekonujący; w osobliwy, a mimo to precyzyjny sposób zdawał się również łączyć z faktem istnienia Dwójników...

- Czemu na mnie tak spoglądasz, mój panie?

W głosie Andersa brzmiało podniecenie i zdenerwowanie. Jack szybko odwrócił wzrok.

- Przepraszam - rzekł. - Po prostu się zamyśliłem. - Uśmiechnął się uspokajająco. Wynajmujący konie starzec odpowiedział mu niepewnym uśmiechem. - I chciałbym, żebyś przestał mnie tak nazywać.

- Jak nazywać, panie mój?

- Panie mój.

- Panie mój? - rzekł Anders ze stropioną miną.

Nie powtórzył jak echo słów Jacka, ale prosił w ten sposób o wyjaśnienie. Chłopiec poczuł, że jeśli się przy tym uprze, przyjdzie mu wszystko tłumaczyć staruszkowi na kułaki.

- Nieważne - odezwał się i pochylił do przodu. - Chcę, żebyś mi wszystko opowiedział. Zdołasz?

- Spróbuję, panie mój - odparł Anders.

7

Z początku Anders mówił powoli. Samotnie spędził całe życie na Rubieżach i nawet w najlepszych czasach zbyt nie grzeszył rozmownością. Obecnie rozkazał mu mówić chłopiec, którego uważał co najmniej za członka królewskiego rodu, a może nawet za kogoś w rodzaju boga. Po trochu jednak jego opowieść nabierała tempa, aż pod koniec słowa wylewały się z niego niemal nieprzerwanym strumieniem. Jack nie miał trudności z nadążaniem za jego historią mimo akcentu starca; w duchu przekładał go automatycznie na namiastkę śpiewnej poezji Roberta Burnsa.

Anders znał Morgana, który po prostu był Władcą Rubieży. Jego prawdziwy tytuł, Morgan z Orris, aż tak nie imponował, lecz w praktyce te dwa tytuły stanowiły synonimy. Orris był najdalej na wschód wysuniętą marchią Rubieży - jedyną rzeczywiście zorganizowaną częścią tych wielkich, trawiastych terenów. Ponieważ Morgan sprawował w Orris absolutną i całkowitą władzę, tym samym władał resztą Rubieży. W ciągu ostatnich piętnastu lat zaczął się otaczać złymi Wilkami. Z początku nie miało to wielkiego znaczenia, ponieważ złych (Anders użył jednak słowa, które w uszach Jacka brzmiało raczej jak: wściekłych) Wilków było niewiele. Z roku na rok robiło się ich jednak coraz więcej. Anders słyszał opowieści, że od zachorowania Królowej zaraza przeżarła ponad połowę plemienia zmieniających postać pasterzy. Nie tylko te stwory wypełniały rozkazy Morgana z Orris. Istniały inne, jeszcze gorsze - powiadano, że jeden rzut oka na niektóre mógł doprowadzić człowieka do szaleństwa.

Jackowi przypomniał się Elroy, straszycło z "Oatley Tap". Zadrzał.

- Czy ta część Rubieży, w której się znajdujemy, ma jakąś nazwę? - spytał.

- Panie mój?

- Ta część, w której się znajdujemy.

- Nie ma prawdziwej nazwy, panie mój, ale słyszałem, że ludzie mówią na nie Przełomy Ellisa.

- Przełomy Ellisa - powtórzył Jack.

W jego umyśle wreszcie zaczynała kształtować się mapa Terytoriów, szkicowa i zapewne pod wieloma względami nieodpowiadająca prawdzie. Znajdowały się na niej

Terytoria, odpowiadające wschodniej części Stanów Zjednoczonych; Rubieże, odpowiadające amerykańskiemu Środkowemu Wschodowi i Wielkim Równinom (Przełomy Ellisa? Illinois? Nebraska?), oraz Spustoszone Ziemie - odpowiednik zachodniej części kraju.

Jack zapatrzył się na Andersa, aż wreszcie stajenny zaczął wiercić się niespokojnie.

- Przepraszam - powiedział chłopiec. - Mów dalej.

Ojciec Andersa był ostatnim woźnicą dyliżansów, który "wyjeżdżał był na wschód" ze Stacji Rubieżnej. Anders się u niego uczył. Powiedział, że nawet w tamtych czasach na wschodzie dochodziło do wstrząsów i zawieruch. Zaczęły się od zamordowania starego Króla i krótkiej wojny, która później nastąpiła. Chociaż wojna zakończyła się objęciem tronu przez Dobrą Królową Laurę, wstrząsy trwały do tej pory. Zdawało się, że biorą początek w jałowych, Spustoszonych Ziemach i rozprzestrzeniają się coraz bardziej na zachód. Niektórzy wierzyli, powiedział Anders, że zło miało źródło na najdalszym zachodzie.

- Nie mam pewności, czy dobrze cię zrozumiałem - powiedział Jack, chociaż w istocie wcale tak nie uważał.

- U kresu ziemi - rzekł Anders. - Na skraju wielkiej wody, dokąd mam pojechać.

*Innymi słowy, zaczęło się to tam, gdzie mieszkał mój ojciec... ojciec, ja i Richard... oraz Morgan. Stary Bloat.*

Kłopoty znalazły drogę na Rubieże, powiedział Anders, a plemię Wilków przeżarła zaraza. Nikt nie potrafił orzec jak dalece, ale stajenny powiedział Jackowi, że bał się, iż zaraza ta zwiastuje kres wszystkiego, jeśli wkrótce się jej nie powstrzyma. Zawieruchy dotarły aż tutaj, a nawet sięgnęły na wschód, gdzie, jak słyszał, złożona chorobą Królowa stała nad grobem.

- To kłamstwo, prawda, panie mój? - spytał niemal błagalnie Anders.

Jack przyjrzał się mu przez chwilę.

- Powinienem znać odpowiedź na to pytanie? - rzekł.

- Oczywiście - odparł Anders. - Nie jesteś jej synem?

Przez chwilę jakby cały świat pogrzyżył się w całkowitej ciszy. Umilkło błogie brzęczenie owadów na zewnątrz. Richard oddychał ciężko i powoli.

Serce Jacka też jakby się zatrzymało... być może przede wszystkim ono.

Tak... - odpowiedział wreszcie spokojnie. Jestem jej synem. To prawda... bardzo choruje.

- Umiera? - spytał z uporem Anders, patrząc przy tym błagalnie. - Umiera, panie mój?

Jack uśmiechnął się blado.

- To się jeszcze okaże.



Anders powiedział, że zanim zaczęły się zawieruchy, Morgan z Orris był mało znanym paniątkiem z pogranicza i niczym więcej. Odziedziczył swój tytuł rodem z opery komicznej po ojcu - spasionym, paskudnie cuchnącym bufonie. Rodziciel Morgana był za życia w gruncie rzeczy pośmiewiskiem, kontynuował Anders, i nawet sposób jego śmierci stanowił przedmiot żartów.

- Dostał rozwolnienia po całym dniu żłopania wina brzoskwiniowego i skonał od sraczki.

Ludzie byli gotowi traktować jak pośmiewisko również jego syna, ale odechciało im się tego wkrótce po tym, gdy w Orris stanęły szubienice. Kiedy zaś po śmierci starego króla zaczęły się lata zawieruchy, Morgan zyskał na znaczeniu, tak jak złowróźbna gwiazda pojawiająca się na nieboskłonie.

Wszystko to niewiele znaczyło tak daleko na Rubieżach - Anders twierdził, że wielkie, puste przestrzenie sprawiały, że polityka wydawała się całkowicie nieistotna. Jedynie śmiertelne zmiany w plemienu Wilków miały znaczenie. Ponieważ większość złych Wilków przenosiła się w Inne Miejsce, nawet to okazało się jednak w ostatecznym rozrachunku mało istotne. ("Mało się tym frasowaliśmy, panie mój" - tak słuch Jacka przełożył słowa starca).

Niedługo po tym, gdy wieści o chorobie Królowej dotarły tak daleko na zachód, Morgan przysłał zastęp groteskowych, zdeformowanych niewolników z rudonośnych jam na wschodzie. Pilnowani ich Wilcy-zaprzaczy i inne stwory. Ich wodzem był straszny człowiek z pejczem; gdy prace się zaczynały, był tu stale, potem jednak zniknął. Anders, który w trakcie tych potwornych tygodni i miesięcy większość czasu krył się w swoim domu, mniej więcej pięć mil na południe stąd, ucieszył się, gdy tamten odszedł. Słyszał plotki, że Morgan odwołał człowieka z pejczem na wschód, bo tego wymagały rozgrywające się tam wydarzenia. Anders nie wiedział, czy to prawda, i nic go to nie obchodziło. Był po prostu zadowolony ze zniknięcia człowieka, któremu towarzyszył żylasty, nie wiadomo dokładnie dlaczego straszący swoim wyglądem chłopak.

- Jaki chłopak? - zapytał z naciskiem Jack. - Jak się nazywał?

- Nie wiem, panie mój. Starszego Wilcy nazywali Człowiek Co Biję. Niewolnicy mówili na niego po prostu: diabeł. Po mojemu i jedni, i drudzy mieli rację.

- Ubierał się jak dandys? W aksamitne płaszcze? Może buty ze sprzączkami? - Anders pokiwał głową. - Polewał się silnymi perfumami?

- Ano! Tak robił!

- I miał pejcz z niewyprawionych rzemieni z metalowymi ostrogami na końcach.

- Ano, panie mój. Ohydny pejcz. Strasznie dobrze nim siekł, och, tak.

*To Osmond. Sunlight Gardener. Był tutaj i nadzorował jakiś plan Morgana... a potem Królowa zachorowała, a Osmond został odwołany do letniego pałacu, gdzie po raz pierwszy ujrzałem tę sympatyczną postać.*

- Jego syn - powiedział Jack. - Jak wyglądał?

- Chudy jak szczapa - odparł powoli Anders. - Jedno oko latało mu na wszystkie strony. To wszystko, co pamiętam. On... panie mój, synowi Biczownika ciężko było się przyjrzeć. Wilcy bali się go chyba jeszcze bardziej niż ojca, chociaż syn nie chodził z pejczem. Mówili, że jest niewyraźny.

- Niewyraźny - rzekł z zadumą Jack.

- Właśnie. Tak nazywają tych, którym trudno się przyjrzeć, bez względu na to, jak bardzo się człowiek stara. Niewidzialność jest niemożliwa - tak powiadają Wilcy - ale można stać się niewyraźnym, jeżeli człowiek zdoła nauczyć się tej sztuczki. Większość Wilków to umie, a ten skurwysyn też się tego nauczył. Pamiętam więc tylko, że był bardzo chudy, miał rozlatane oko i był szkaradny jak czarny, syfilityczny grzech. - Anders urwał na chwilę. - Lubił robić krzywdę. Małym stworzeniom. Zabierał je pod ganek. Słyszałem, jak strasznie krzyczały... - Zadygotał. - Wiesz, panie mój, to był jeden z powodów, dla których prawie nie opuszczałem domu. Nie lubię, jak cierpią maciupkie stworzenia. Strasznie mi wtedy źle, naprawdę.

Wszystko, co mówił Anders, budziło setki nowych pytań w umyśle Jacka. Pragnął szczególnie dowiedzieć się wszystkiego, co starzec wiedział o Wilkach - sam dźwięk tego słowa budził w jego sercu równocześnie przyjemność i tępą, głęboką tęsknotę za jego Wilkiem.

Czasu było jednak za mało; rano starzec miał ruszyć na zachód przez Spustoszone Ziemie, lada chwila horda oszalałych uczonych pod wodzą Morgana mogła wdrzeć się tu ze świata, który Anders nazywał Innym Miejscem. Richard mógł się obudzić i zacząć dopytywać, kim był Morgan, o którym rozmawiali, i kim był niewyraźny chłopak - z opisu dziwnie podobny do tego, który zajmował sąsiedni pokój w Nelson House.

- Przybyli tutaj - odezwał się Jack. - Przybył tu ten zastęp, którym kierował Osmond, przynajmniej dopóki nie został odwołany czy też nie mógł dalej odkładać wieczornych nabożeństw w kaplicy w Indianie...

- Panie mój? - Na twarzy Andersa znowu odmalowało się niezmiernie strapienie.

- Przybyli i zbudowali... co?

Był pewien, że już zna odpowiedź, ale pragnął usłyszeć ją z ust Andersa.

- No, tory - odrzekł starzec. - Tory na zachód, co biegną przez Spustoszone Ziemie. Po których jutro pojedę. - Zadrżał.

- Nie - rzekł Jack.

W jego piersi eksplodowało palące jak słońce straszliwe podniecenie. Wstał. W głowie jakby znów mu coś zaskoczyło, jeszcze raz doznał niesamowitego, przenikliwego uczucia, że łączą się elementy.

Anders runął na kolana na widok przepelniającej twarz Jacka olbrzymiej, straszliwej jasności. Richard zawiercił się na ten odgłos i usiadł w półśnie.

- Nie ty - powiedział Jack. - Ja. I on.

Wskazał Richarda.

- Jack? - Krótkowzroczny przyjaciel popatrzył na niego z oszołomieniem. - O czym ty mówisz? I dlaczego ten człowiek wacha podłogę?

- Panie mój... wola twoja, oczywiście... ale nie rozumiem...

- Nie ty - powtórzył Jack. - My. Pojedziemy za ciebie pociągiem.

- Ale dlaczego, panie mój? - zdołał wydusić z siebie Anders, nie ośmielając się podnieść wzroku.

Jack Sawyer wyjrzał w ciemności i odpowiedział:

- Bo myślę, że na końcu tych torów - na końcu albo niedaleko niego - jest coś, co muszę zdobyć.

## Interludium Sloat w tym świecie (IV)

Dziesiątego grudnia opatulony Morgan Sloat siedział przy łóżku Lily Sawyer na niewygodnym małym drewnianym krześle. Było mu zimno, więc otulał się ciężkim kaszmirowym płaszczem i wsuwał ręce głęboko w kieszenie, czuł się jednak o wiele lepiej, niż sugerowałby jego wygląd. Lily umierała. Oddalała się, odchodziła w miejsce, z którego nie ma powrotu, nawet jeśli jest się Królową w łożu wielkości boiska piłkarskiego.

Łóżko Lily nie było aż tak wspaniałe, a ona sama bynajmniej nie przypominała Królowej. Choroba odebrała jej prezencję, ociosała oblicze i błyskawicznie postarzyła o dwadzieścia lat. Sloat z zadowoleniem wodził wzrokiem po jej twarzy i czole, przypominającym żółwią skorupę. Jej ciało ledwie wybrzuszało koce i prześcieradła. Sloat wiedział, że personel hotelu Alhambra został hojnie opłacony, żeby nie zajmował się Lily Cavanaugh Sawyer - pieniądze bowiem pochodziły z jego kieszeni. Zrezygnowano z ogrzewania jej pokoju. Była jedynym gościem w hotelu. Poza recepcjonistą i kucharzem cały pozostały personel Alhambry składał się z trzech portugalskich pokojówek, które przez cały czas sprzątały hol. Na pewno właśnie one dostarczyły Lily koce. Sloat zajął apartament po drugiej stronie korytarza i polecił recepcjoniście oraz pokojówkom nie spuszczać Lily z oka.

- Lepiej wyglądasz, Lily - powiedział, by przekonać się, czy otworzy oczy. - Naprawdę myślę, że widać u ciebie oznaki poprawy.

- Nie mam pojęcia, dlaczego próbujesz okazać ludzkie uczucia, Sloat - odparła Lily, poruszając wyłącznie ustami.

- Jestem twoim najlepszym przyjacielem - powiedział.

Lily otworzyła wreszcie oczy. Miały o wiele mniej mętny wyraz, niżby mu to odpowiadało.

- Wynoś się stąd - wyszeptwała. - Jesteś obrzydliwy.

- Staram się ci pomóc, Lily, i pragnąłbym, byś pamiętała, że mam wszystkie dokumenty. Wystarczy, że je podpiszesz. Kiedy tylko to zrobisz, będziesz miała wraz z synem zagwarantowaną opiekę do końca życia. - Sloat przyjrzał się Lily, a na jego twarzy malowała się satysfakcja przemieszana z przygnębieniem. - Przy okazji, nie wiedzie mi się najlepiej z ustaleniem miejsca pobytu Jacka. Rozmawiałaś z nim ostatnio?

- Wiesz, że nie - odparła... i nie rozplakała się, na co liczył Sloat.

- Naprawdę uważam, że chłopiec powinien tu być, a ty jesteś innego zdania?

- Idź odlej się pod wiatr - powiedziała Lily.

- Myślę, że raczej skorzystam z twojej łazienki, jeżeli ci to nie przeszkadza - odrzekł i wstał. Lily zamknęła oczy, ignorując jego obecność. - Tak czy inaczej, mam nadzieję, że nie wpakuje się w żadne kłopoty - rzekł Sloat, okrążając łóżko.

- Chłopcom mogą przydarzyć się w podróży straszne rzeczy.

- Lily nie odpowiedziała. - Rzeczy, o których nawet nie chcę myśleć.

Doszedł do końca łóżka i skręcił w stronę łazienki. Leżąca pod kocami i prześcieradłami Lily przypominała zmiętą papierową serwetkę. Sloat wszedł do łazienki.

Zatarł ręce, delikatnie przymknął drzwi i odkręcił oba kurki nad umywalką. Z kieszeni marynarki wyjął małą, brązową fiolkę o pojemności dwóch gramów, a z wewnętrznej kieszonki - małe etui z lusterkiem, żyletką i krótką mosiężną fifką. Wystukał na lusterko jedną ósmą grama najczystszej kokainy marki Peruviański Płatek. Wprawnymi ruchami posiekał ją żyletką i uformował w dwie krótkie linijki. Wciągnął pierwszą przez mosiężną rurkę, zakrztusił się, zrobił gwałtowny wdech i wstrzymał go na sekundę lub dwie.

- Ach.

Nozdrza otworzyły się mu szeroko jak tunele. Gdzieś w głębi towar zaczął przenikać do krwiobiegu i dawać kopa. Sloat wsunął ręce pod strumień wody, po czym zwilżył trochę nozdrza wodą z kciuka i palca wskazującego. Na koniec wytarł ręce i twarz.

Wspaniały pociąg, pomyślał. Wspaniały pociąg. Nie ma co. Jestem z niego bardziej dumny niż z własnego syna.

Morgan Sloat napawał się wizją swojego rewelacyjnego pociągu, identycznego w obydwóch światach. Był to pierwszy wymierny rezultat żywionego przezeń od dawna planu importu nowoczesnej technologii do Terytoriów. Wyobraził sobie, jak wyładowany użytecznymi dobrami pociąg wjeżdża do Point Venuti. Point Venuti! Sloat uśmiechnął się, podczas gdy koka eksplodowała w jego mózgu, głosząc swe zwykłe przesłanie: wszystko się powiedzie, wszystko się powiedzie. Mały Jacky Sawyer będzie miał naprawdę mnóstwo szczęścia, jeśli kiedykolwiek opuści małe, niezwykle miasteczko. W istocie, będzie miał niezmierne szczęście, jeżeli w ogóle tam dotrze, zważywszy na to, że czeka go droga przez Spustoszone Ziemie. Narkotyk przypomniał jednak Sloatowi, że pod wieloma względami wolałby, aby Jack dotarł do groźnego, zdeprawowanego Point Venuti, by nawet przeżył zetknięcie z czarnym hotelem, który stanowił nie tylko nagromadzenie desek i gwoździ, cegieł i kamieni, ale również w pewien sposób żył... bo możliwe, że Jack wyjdzie stamtąd z Talizmanem w swych małych, złodziejskich rękach. Gdyby zaś do tego doszło...

Tak, gdyby nastąpiło to absolutnie cudowne wydarzenie, wówczas istotnie wszystko by się powiodło.

A zarówno Jack, jak i Talizman zostaliby złamani.

On zaś, Morgan Sloat, wreszcie znalazłby płótno odpowiednie dla swego talentu. Przez chwilę miał wizję siebie samego: rozpościerał ramiona przez rozgwieżdżony bezmiar, nad światami splecionymi jak kochankowie w łożu, nad wszystkim, czego strzegł Talizman i czego Sloat pożałował od chwili, gdy wiele lat temu kupił Agincourt. Jack mógł zdobyć dla niego to wszystko. Zaspokojenie. Chwałę.

Aby uczcić tę myśl, Sloat ponownie wyciągnął fiolkę z kieszeni. Nie zawracał sobie tym razem głowy żyletką i lusterkiem, lecz skorzystał z dołączonej do fiolki łyżeczki. Uniósł porcję białego proszku najpierw do jednej dziurki nosa, potem do drugiej. Tak... zaspokojenie.

Pociągając nosem, wrócił do sypialni. Lily wydawała się nieco bardziej ożywiona, ale nawet dowody nadal tłącego się w niej życia nie zepsuły obecnego nastroju Morgana. Oczy kobiety, lśniące i dziwnie pomniejszone w oczodołach, podążały za nim.

- Wujek Bloat ma nowy, paskudny nawyk - odezwała się.

- A ty umierasz - odparł. - Co byś wolała?

- Weźmiesz dosyć tego towaru i ty zaczniesz umierać.

Niezrażony jej wrogością Sloat wrócił do chwiejącego się drewnianego krzesła.

- Na miłość boską, doróżnij wreszcie, Lily - powiedział. - Każdy bierze teraz kokę.

Wypadłaś z obiegu - i to całe lata temu. Chcesz spróbować?

Wyjął fiolkę z kieszonki i zakołysał nią na łańcuszku.

- Wyjdź stąd.

Sloat zamachał fiolką bliżej jej twarzy.

Lily usiadła w łóżku błyskawicznie jak atakujący wąż i splunęła mu w twarz.

- Suka!

Sloat szarpnął się w tył, gwałtownie wyciągnął z kieszeni chusteczkę i zaczął wycierać spływającą po policzku ślinę.

- Skoro ten szajs jest tak wspaniały, to dlaczego zamykasz się w łazience, żeby go brać? Nie odpowiadaj, po prostu zostaw mnie samą. Nie chcę cię więcej oglądać, Bloat. Zabieraj stąd swoją tłustą dupę.

- Umrzesz sama, Lily - powiedział, czując przepelniającą go w tej chwili perwersyjną radość. - Umrzesz sama, a to komiczne miasteczko pogrzebie cię jak biedaka. Twój syn zginie, bo nie ma szans na to, by sprostać wyzwaniu, i nikt nigdy więcej o was nie usłyszy. - Uśmiechnął się do Lily, ale włochate dłonie mu pobieleły od zaciskania pięści. - Pamiętajsz

Ashera Dondorfa, Lily? Naszego klienta? Grał drugoplanową rolę w serialu "Flanagan and Flanagan". Czytałem o nim w "Hollywood Reporter" - w numerze sprzed kilku tygodni. Zastrzelił się w swoim salonie. Trochę jednak spudłował, bo zamiast go zabić, kula przebiła mu tylko podniebienie. Jest w śpiączce. Słyszałem, że może tak gnić latami. - Pochylił się nad Lily i zmarszczył czoło. - Coś czuję, że ty i stary Asher macie wiele wspólnego.

Odpowiedziała mu twardym spojrzeniem. Wydawało się, że jej oczy wczółgują się do wnętrza czaszki; w tej chwili przypominała starą, zahartowaną kobietę z czasów osadnictwa, ze strzelbą na wiewiórki w jednej ręce i Pismem Świętym w drugiej.

- Mój syn uratuje mi życie - powiedziała. - Jack uratuje mi życie, a ty nie zdołasz go powstrzymać.

- No, to się okaże, prawda? - odparł Sloat. - To się jeszcze okaże.

## Rozdział trzydziesty piąty

### Spustoszone Ziemie

1

- Ale czy będziesz bezpieczny, panie mój? - spytał Anders, klęczący przed Jackiem z rozpostartym na podłodze biało-czerwonym kiltem.

- Jack? - odezwał się Richard piskliwie.

- A czy ty będziesz bezpieczny? - odpowiedział pytaniem chłopiec. Anders przekrzywił w bok wielką, siwą głowę i popatrzył spod na wpół przymkniętych powiek na Jacka, jakby właśnie zadano mu zagadkę. Starzec wyglądał jak wielki, zdezorientowany pies.

- Przecież będę bezpieczny mniej więcej tak samo jak ty. O to tylko mi chodzi.

- Panie mój, ale...

- Jack? - znów rozległ się swarliwy głos Richarda. - Zasnąłem, wreszcie się obudziłem, ale wciąż jesteśmy w tym dziwnym miejscu, zatem muszę nadal śnić... ale chcę się obudzić, Jack. Nie chcę, żeby mi się to dalej śniło. Nie, nie chcę.

I właśnie dlatego rozdeptałeś swoje przeklęte okulary, powiedział sobie w duchu Jack.

- To nie sen, Richie - odparł na głos. - Zaraz ruszamy w dalszą drogę. Przejedziemy się pociągiem.

- Hę? - mruknął Richard.

Potarł twarz i usiadł. Podczas gdy Anders przypominał wielkiego, białego psa w spódnicy, Richard kojarzył się wyłącznie z dopiero co przebudzonym niemowlakiem.

- Panie mój - rzekł Anders; w tym momencie wyglądał, jakby miał się rozplakać. Z ulgi, pomyślał Jack. - Taka jest twoja wola? Chcesz pojechać tą piekielną machiną przez Spustoszone Ziemie?

- Pewnie - odrzekł Jack.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Richard. - Jesteś pewny, że nie trafią tu za nami?

Jack odwrócił się w stronę przyjaciela. Richard siedział na spaczonej, żółtawej podłodze i mrugał idiotycznie oczyma. Zgroza wciąż parowała z niego jak mgła.

- No dobrze - powiedział Jack. - Odpowiem na twoje pytanie. Jesteśmy w części Terytoriów o nazwie Przełomy Ellisa.

- Boli mnie głowa - oświadczył Richard i zamknął oczy.

- I pojedziemy pociągiem tego człowieka przez całe Spustoszone Ziemie aż do czarnego hotelu albo tak blisko niego, jak tylko zdołamy - kontynuował Jack. - To wszystko,



Richard. Wierz lub nie, ale im szybciej to zrobimy, tym szybciej umkniemy wszystkiemu, co nas ściga.

- Etheridge - wyszeptał Richard. - Pan Dufrey. - Rozejrzył się po wnętrzu Stacji, jakby spodziewał się, że lada chwila ich prześladowcy zaczną wynurzać się ze ścian. - Wiesz, mam pewnie guza mózgu - powiedział Jackowi skończenie racjonalnym tonem. O to właśnie chodzi, dlatego strasznie boli mnie głowa.

- Panie mój - powiedział równocześnie Anders i skłonił się tak nisko, że zamiótł siwymi włosami wypaczone deski podłogi. - Jak dobry jesteś, wasza wysokość, jak dobry dla swych najniższych sług, którzy niegodni są twej błogosławionej obecności, Jasonie...

Ruszył na czworakach naprzód, a Jack ze zgrozą zdał sobie sprawę, że znowu zacznie się durne całowanie po stopach.

- I to w porządnie zaawansowanym stadium, o ile się orientuję - wysunął hipotezę Richard.

- Proszę cię, wstań, Anders - powiedział Jack i się cofnął. - Podnieś się, wystarczy tego. Wstań. - Starzec czołgał się dalej, bełkocząc z ulgi, iż nie będzie narażony na przeprowadę przez Spustoszone Ziemie. - WSTAŃ! - zagrział Jack.

Anders podniósł głowę, marszcząc ze strapienia czoło.

- Tak, panie mój - powiedział i podniósł się powoli.

- Dawaj tutaj ten swój guz mózgu, Richard! - rozkazał Jack. - Musimy wykombinować, jak się kieruje tym piekielnym pociągiem.

2

Anders przeszedł za stary, spaczony kontuar i zaczął grzebać w szufladzie.

- Wierzę, że ciągną go diabły, panie mój - powiedział. - Dziwne diabły, ściśnięte wszystkie razem w środku. Można by pomyśleć, że są martwe, ale jest inaczej. Ano.

Wyciągnął z szuflady najdłuższą i najgrubszą świecę, jaką Jack kiedykolwiek widział. Z pudła na kontuarze Anders wyjął wąski skrawek miękkiego drewna długości stopy i przypalił jego koniec od tłącej się lampy. Gdy drewno zajęło się ogniem, starzec wykorzystał je do zapalenia olbrzymiej świecy, a potem zamachał "zapalką", aż płomyk zgasł pośród kłębu dymu.

- Diabły? - spytał Jack.

- Dziwne, kwadratowe rzeczy; jestem pewien, że w środku siedzą diabły. Czasami plują ogniem i iskrami! Pokażę ci, panie mój.

Bez zbędnych słów ruszył żwawo do drzwi. Ciepły blask świecy na chwilę wygładził zmarszczki na jego twarzy. Jack wyszedł za nim w świeże powietrze wyżynnej partii Terytoriów. Przypomniał sobie fotografię na ścianie "gabinetu" Speedy'ego Parkera - zdjęcie nawet wtedy przepelnione niewytłumaczalną siłą. Zdał sobie sprawę, że znajduje się niedaleko miejsca, w którym je zrobiono. W oddali piętrzyła się znajomo wyglądająca góra. Pola zboża zbiegały po stoku w najprzeróżniejszych kierunkach, pokrywając go szerokim, gładkim wzorem. Richard Sloat szedł z wahaniem obok Jacka i pocierał czoło. Na zachód ciągnęły się nieugięte srebrzyste wstęgi metalu, zupełnie niepasujące do scenerii.

- Szopa jest z tyłu, panie mój - powiedział cicho Anders i prawie z lękiem skręcił za róg Stacji.

Jack rzucił raz jeszcze okiem na odległą górę. W tym momencie mniej przypominała górę z fotografii Speedy'ego - była nowsza i znajdowała się na zachodzie, nie na wschodzie.

- Dlaczego on cały czas nazywa cię Jasonem? - szepnął Richard Jackowi prosto w ucho. - Mówi, jakbyście się znali.

- Trudno to wytłumaczyć - odparł Jack.

Richard szarpnął chustkę na szyi, po czym zwarł rękę na bicepsie przyjaciela w starym, dobrym Uścisku z Kansas City.

- Co się stało ze szkołą, Jack? Co się stało z psami? Gdzie jesteśmy?

- Nie pytaj, tylko chodź ze mną - rzeki Jack. - Pewnie wciąż śnisz.

- Tak - odparł Richard tonem najczystszej ulgi. - Tak, o to chodzi, prawda? Wciąż śpię. Naopowiadałeś mi wariackich rzeczy o jakichś Terytoriach, a teraz mi się przyśniły.

- No - powiedział Jack i ruszył dalej za Andersem.

Trzymając wielką świecę jak pochodnię, starzec schodził po tylnej stronie wzniesienia ku kolejnej, nieco większej budowli z drewna o kształcie ośmiokąta. Dwaj chłopcy podążali za nim przez wysoką, pożółkłą trawę. Sączące się z kolejnej przejrzystej kuli światło ukazywało, że drugi budynek jest otwarty z obu stron, jakby równo odcięto przeciwległe ściany. Do środka wnikały srebrzyste szyny kolejowe. Anders dotarł do wielkiej szopy i odwrócił się, by poczekać na chłopców. Przez tłącą się i rozbłyskującą świecę w uniesionej dłoni, długą brodę oraz strój starzec przypominał postać z legendy czy baśni - czarownika lub czarnoksiężnika.

- Siedzi tutaj, jak siedziała od chwili, gdy się tu znalazła; ażeby demony ją stąd wywiozły. - Anders popatrzył chmurnie na chłopców, a zmarszczki na jego czole się pogłębiły. - Piekielny wynalazek. Obrzydlistwo, pojmujecie? - Obejrzał się przez ramię na dwóch młodzieńców za plecami. Jack domyślił się, że starzec nie ma najmniejszej ochoty

choćby znaleźć się w szopie z pociągiem. - Połowa ładunku została już zapakowana, a i on cuchnie jak piekło.

Jack stanął w otartym boku szopy, zmuszając Andersa, by poszedł za nim. Potykając się i wciąż przecierając oczy, Richard podążył za nimi. Na szynach stał zwrócony w zachodnim kierunku niewielki pociąg - dziwnie wyglądająca lokomotywa, wagon towarowy i opięta wybrzuszoną się plandeką lora. Wzbudzający obrzydzenie Andersa zapach rozchodził się z ostatniego wagonu. Była to zła woń, nie na miejscu w Terytoriach - równocześnie metaliczna i oleista.

- Pojmujesz jej działanie, panie mój? - zapytał zniżonym głosem Anders.

Jack potrząsnął głową i ruszył wzdłuż szyn ku czołu pociągu. Natrafił wreszcie na "demony", o których mówił starzec. Tak jak chłopiec podejrzewał, były to akumulatory. Szesnaście, w dwóch rzędach, w metalowym pojemniku, wspartym na pierwszych czterech kołach lokomotywy. Cała przednia część pociągu przypominała udoskonaloną wersję wózka do rozwożenia towarów z napędem jak u roweru. Tam, gdzie zmodyfikowany rower miałby małą kabinę, znajdowało się jednak coś innego - coś, czego Jack nie potrafił od razu zidentyfikować.

- Demony słuchają tego sterczącego drążka - odezwał się Anders za plecami chłopca.

Jack podciągnął się i stanął w małej kabine. Drążkiem, o którym mówił Anders, była dźwignia zmiany biegów w szczelinie z trzema karbami. Jack wreszcie przypomniał sobie, z czym skojarzył się mu miniaturowy wagon. Cały pociąg funkcjonował na takiej samej zasadzie jak wózek golfowy. Był napędzany akumulatorami i miał tylko trzy biegi: do przodu, jałowy i wsteczny. Jedynie taki rodzaj pociągu mógł działać w Terytoriach, Morgan Sloat niewątpliwie kazał go skonstruować specjalnie dla siebie.

- Demony w skrzynkach plują i parszczą ogniem, i mówią do drążka, a drążek porusza pociągiem, panie mój - tłumaczył Anders.

Starzec zatrzymał się lękliwie obok kabiny; jego twarz ściągnęła się w niesamowitą sieć zmarszczek.

- Miałeś wyjechać rano? - zapytał go Jack.

- Ano.

- Ale pociąg jest już gotowy?

- Tak, panie mój.

Jack pokiwał głową i zeskoczył na ziemię.

- Jaki ma ładunek?

- Diabelstwa - powiedział ponuro Anders. - Dla złych Wilków. Mają go zabrać do czarnego hotelu.

Wyprzedziłbym Morgana Sloata, gdybym teraz wyruszył, pomyślał Jack i obejrzał się na Richarda, który zdołał ponownie zasnąć. Gdyby nie ośło uparty, hipochondryczny Racjonalny Richard, nigdy by nie trafił na ciuchnię Sloata, a Sloat na pewno zdołałby wykorzystać przeciw Jackowi "diabelstwa" - bez wątpienia jakąś broń - kiedy chłopiec dotarłby wreszcie w pobliże czarnego hotelu. Hotel stanowił cel jego wędrówki - Jack był tego już pewny. Wszystko zdawało się natomiast dowodzić, że obecność Richarda, bez względu na to, jak bezradny i irytujący był w tej chwili, miała większe znaczenie dla wyprawy Jacka, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał. Syn Sawyera i syn Sloata; syn księcia Philipa Sawtelle i syn Morgana z Orris. Przez chwilę świat zakręcił się Jackowi nad głową; przez moment wpadł mu do głowy pomysł, że Richard ma do odegrania kluczową rolę w tym, co sam musiał zrobić w czarnym hotelu. Richard jednak zachrapał i rozdziawił usta, a Jack, któremu wydawało się, że wszystko zrozumiał, powrócił myślami do rzeczywistości.

- Przyjrzyjmy się tym diabelstwom - powiedział.

Odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem wzdłuż pociągu. Po drodze zobaczył - dopiero teraz - że podłogę ośmiokątnej szopy podzielono na dwie sekcje. Większość stanowiło koło przypominające gigantyczny talerz. Okalała je gruba szczelina, dalej reszta podłogi dochodziła już bez przeszkód do ścian. Jack nigdy nie słyszał o obrotnicy, domyślił się jednak, jak funkcjonowała: środkowa część podłoga przekręcała się o sto osiemdziesiąt stopni. Zwykle jednak pociągi i dylizansy nadjeżdżały ze wschodu i zawracały w tym samym kierunku.

Plandekę przywiązano nad ładunkiem brunatną liną, tak grubą i włochatą, że przypominała druciak. Jack podciągnął z wysiłkiem jej skraj, zajrzał do środka i zobaczył tylko czerń.

- Pomóż - powiedział, odwracając się w stronę Andersa.

Starzec, marszcząc czoło, podreptał naprzód i jednym zgrabnych ruchem rozwiązał węzeł. Plandeka poluzowała się i zsunęła. Gdy Jack uniósł teraz jej skraj, zobaczył, że połowę lory zastawiono rzędami drewnianych skrzyń z odbitymi według szablonu napisami: CZĘŚCI DO MASZYN. Broń palna, pomyślał Jack. Morgan zbroił swe zbuntowane Wilki. Drugą połowę przestrzeni pod plandeką zajmowały pękate, prostopadłościennne paczki najwyraźniej dającej się ugniatać substancji, poowijanej w wiele warstw przejrzystego tworzywa sztucznego. Jack miał pewność, że to nie krochmal. Puścił brzeg plandeki i odsunął się, a Anders naciągnął grubą linę i zasupłał ją ponownie.

- Jedziemy jeszcze dzisiaj w nocy - powiedział Jack, właśnie podjąwszy taką decyzję.

- Ale, panie mój... Spustoszone Ziemie... w nocy... pojmujesz...

- Pewnie, że pojmuję - odparł Jack. - Pojmuję, że muszę działać z zaskoczenia.

Morgan i facet, którego Wilcy nazywają Człowiekiem Z Pejczem, będą na mnie czekali. Jeśli przyjadę dwanaście godzin przed spodziewanym terminem, może z Richardem ujdziemy z życiem.

Anders posępnie pokiwał głową. W tej chwili znów przypominał przerośniętego psa, godzącego się z przykrym faktem.

Jack ponownie obejrzał się na śpiącego z otwartymi ustami Richarda. Jak gdyby Anders czuł, co krąży Jackowi po głowie, również popatrzył na śpiącego chłopca.

- Czy Morgan z Orris miał syna? - spytał Jack.

- Miał, panie mój. Z krótkiego małżeństwa Morgana przyszło na świat potomstwo - chłopczyk imieniem Rushton.

- I co się z nim stało? I tak się pewnie domyślałam.

- Umarł - odparł po prostu Anders. - Morganowi z Orris nie sędzone było cieszyć się ojcostwem.

Jack zadrżał, przypomniał sobie, jak jego wróg wyrwał dziurę w powietrzu i niemal zabił całe stado Wilka.

- Jedziemy - powiedział. - Pomóż mi wsadzić Richarda do kabiny, dobrze, Anders?

- Panie mój... - Starzec zwiesił głowę, po czym uniósł ją i obdarzył Jacka spojrzeniem pełnym niemal rodzicielskiej troski. - Zajmie ci co najmniej dwa dni, może trzy, zanim dotrzesz na zachodni brzeg. Masz jedzenie? Potowarzyszysz mi przy wieczornym posiłku?

Jack potrząsnął głową, pragnął jak najszybciej rozpocząć ostatni etap podróży do Talizmanu. Nagle jednak zaburczało mu w brzuchu, przypominając, ile czasu minęło, zanim jadł cokolwiek poza ring-dingami i czerstwymi ciasteczkami z zapasów Alberta Bambarły.

- Cóż, myślę, że jeszcze pół godziny nie robi żadnej różnicy - powiedział. - Dziękuję ci, Anders. Pomóż mi postawić Richarda na nogi, dobrze?

Po za tym być może wcale nie czuł nieprzepartej potrzeby, żeby znaleźć się na Spustoszonych Ziemach.

Obydwaj dźwignęli Richarda z podłogi. Chłopiec otworzył oczy jak Suseł, [Narkoleptyczny gość na przyjęciu Szalonego Kapelusznika w "Przygodach Alicji w Krainie Czarów".] uśmiechnął się i znów zapadł w sen.

- Jedzenie - powiedział Jack. - Prawdziwe jedzenie. Masz na nie ochotę, chłopie?

- Nigdy nie jem we śnie - odparł Richard z surrealistyczną racjonalnością. Ziewnął i otarł oczy. Stopniowo zawierzał własnym nogom i przestał zwisać w ramionach Andersa i Jacka. - Prawdę mówiąc, rzeczywiście dość zgłodniałem. Mam jakiś bardzo długi sen, prawda, Jack?

Wydawał się z tego prawie dumny.

- No - rzekł Jack.

- Mówiłeś coś, że pojedziemy tym pociągiem? Wygląda jak z kreskówki.

- No.

- Potrafisz go prowadzić, Jack? To tylko sen, wiem, ale...

- Daje się prowadzić mniej więcej tak łatwo, jak moja stara kolejka elektryczna - powiedział Jack. - Dam radę nim kierować, i ty też byś zdołał.

- Nie chcę. - W tonie Richarda znowu pojawiła się skamłająca, tchórzliwa nuta. - Wcale nie chcę wsiadać do tego pociągu. Chcę z powrotem do mojego pokoju.

- Chodź, zjesz coś - powiedział Jack i zaczął wyprowadzać Richarda z szopy. - Potem ruszamy do Kalifornii.

Tak oto tuż przed wyjazdem na Spustoszone Ziemie Terytoria pokazały chłopcom jedno z najlepszych swoich obliczy. Dostali od Andersa wielkie, słodkie kromki chleba, najwyraźniej wypieczonego z rosnącego wokół Stacji zboża, przekładanec z delikatnych kawałków mięsa i soczystych warzyw oraz różowy sok o ostrym smaku, który z nieznanых powodów skojarzył się Jackowi z papają, chociaż wiedział, że wyciśnięto go z jakichś innych owoców. Richard żuł jedzenie w transie szczęścia. Sok ściekał mu po brodzie, aż Jack mu ją otarł.

- Kalifornia - powiedział w pewnej chwili. - Powinienem był się domyślić.

Zakładając, że przyjaciel robi aluzję do znanej ekscentryczności tego stanu, Jack nie zadawał mu żadnych pytań. Bardziej przejmował się tym, co pozostawiają ze skromnych zapewne zapasów żywności Andersa. Starzec cały czas nurkował jednak za kontuar, za którym on lub jego ojciec zainstalował mały piecyk na drewno, i wracał z kolejnymi porcjami jedzenia. Bułeczki kukurydziane, galaretki z cielęcych nówek, coś, co wyglądało jak kurze udka, ale smakowało... czym? Mirrą i kadzidłem? Kwiatami? Smak dosłownie eksplodował na języku Jacka. Pomyślał, że on też pewnie zacznie się ślinić.

Siedzieli we trzech przy małym stoliku w ciepłym, przytulnym pokoiku. Pod koniec posiłku Anders z pewną nieśmiałością przyniósł wielki dzban, wypełniony do połowy

czzerwonym winem. Czując, jakby odgrywał scenariusz napisany dla kogoś innego, Jack wypił małą szklaneczkę.

3

Dwie godziny później Jack zaczął odczuwać senność, zastanawiał się, czy olbrzymi posiłek nie był wielką pomyłką. Po pierwsze, wyjazd ze Stacji i Przełomów Ellisa nie poszedł zbyt gładko; po drugie groziło, że Richardowi naprawdę porządnie odbije, a po trzecie i najważniejsze, chodziło o same Spustoszone Ziemie. Nawet Richard przy nich wydawał się w miarę normalny; bezwarunkowo wymagały absolutnej koncentracji.

Po posiłku Jack, Richard i Anders wrócili do szopy. Od tego zaczęły się kłopoty. Jack czuł obawę przed tym, co go czeka - a teraz wiedział już na pewno, że jego lęk był w pełni usprawiedliwiony. Niewykluczone, że właśnie twoga sprawiała, iż zachowywał się gorzej, niż powinien. Pierwsza trudność wyłoniła się, gdy spróbował zapłacić staremu Andersowi monetą otrzymaną od kapitana Farrena. Anders zareagował, jakby ukochany Jason wbił mu sztylet w plecy. Błuznierstwo! Skandal! Oferując monetę, Jack nie tylko obraził starego koniuszego, w zasadzie obrzucił błotem jego religię. Cudownie przywrócone do życia boskie istoty nie miały prawa oferować pieniędzy swoim wyznawcom. Anders zdenerwował się tak bardzo, że rąbnął ręką w skrzynię "diabelską skrzynię", jak nazywał metalowy pojemnik na baterię akumulatorów. Jack poczuł, że starzec odczuwa pewnie potężną pokusę, żeby uderzyć w zupełnie inny cel. Chłopiec zdołał jakoś wypertraktować połowiczne zawieszenie broni; Anders nie chciał zresztą jego przeprosin, tak samo jak nie chciał pieniędzy. Staruszek uspokoił się, gdy tylko zdał sobie sprawę z rozmiarów przygnębienia chłopca, nie zaczął się jednak zachowywać normalnie, dopóki Jack nie rozmyślał głośno, czy moneta od kapitana Farrena nie mogła mu posłużyć do innych celów i mieć innych funkcji.

- Nie całyś ty Jason - zadumał się Anders - ale moneta z Królową może cię wspomóc w twem zamierzeniu.

Potrząsnął ciężko głową, a gdy wreszcie się pożegnał z Jackiem, zrobił to z wyraźnie mniejszym niż wcześniej animuszem.

Wynikało to również w znacznym mierze z zachowania Richarda. Dziecięca panika wkrótce zamieniła się we w pełni rozwiniętą zgrozę. Richard nie chciał za żadne skarby wsiąść do kabiny. Do tej chwili kręcił się po szopie; odwracał głowę od pociągu i wydawał się pogrążony w zobojętniałym oszołomieniu. Gdy jednak dotarło do niego, że Jack naprawdę

chce, by wsiadł do środka, odbiło mu. Co dziwne, z równowagi wytrącał go najbardziej pomysł, że trafi do Kalifornii.

- NIE! NIE! NIE MOGĘ! - wydarł się, gdy Jack pociągnął go w stronę lokomotywy. - CHCĘ Z POWROTEM DO SWOJEGO POKOJU!

- Tamci mogą tu za nami trafić, Richard - powiedział ze znużeniem Jack. - Musimy ruszać dalej. - Ujął przyjaciela za ramię. - To wszystko tylko sen, pamiętasz?

- Och, panie mój! Panie mój! - powtarzał Anders, kręcąc się bez celu po wielkiej szopie.

Jack zrozumiał, że tym razem staruszek nie zwraca się do niego.

- MUSZĘ WRÓCIĆ DO SWOJEGO POKOJU! - zapiszczał Richard.

Zaciskał oczy tak silnie, że od skroni do skroni biegła jedna bolesna zmarszczka.

Znów odezwały się echa Wilka. Jack próbował pociągnąć przyjaciela w stronę pociągu, ale Richard zapał się w miejscu jak muł.

- NIE MOGĘ TAM WSIAŚĆ! - krzyknął.

- No, nie możesz też zostać tutaj - odparł Jack. Znów daremnie spróbował szarpnąć Richarda w stronę lokomotywy, chociaż tym razem zdołał go przeciągnąć stopę czy dwie. - To idiotyczne, Richard - powiedział. - Chcesz zostać tu sam? Chcesz zostać sam w Terytoriach? - Drugi chłopiec potrząsnął głową. - W takim razie musisz jechać ze mną. Już czas. Za dwa dni będziemy w Kalifornii.

- Fatalna sprawa - mruknął Anders do siebie, przyglądając się chłopcom.

Richard dalej potrząsał w milczeniu głową.

- Nie mogę tam jechać - powtórzył. - Nie mogę wsiąść do pociągu i nie mogę tam jechać.

- Do Kalifornii? - Richard zacisnął usta tak, że w ogóle znikły wargi, znów zamknął oczy. - Och, do diabła! - powiedział Jack. - Możesz mi pomóc, Anders?

Wielki starzec rzucił mu niechętne spojrzenie, po czym przeszedł przez halę i chwycił Richarda na rękę - jakby miał do czynienia ze szczeniakiem. Chłopiec zresztą zapiszczał prawie jak psiak. Anders upuścił go na wyściełaną ławę w kabinie.

- Jack! - zawołał Richard, pewnie bojąc się, że jakimś cudem wyląduje sam w Spustoszonych Ziemiach.

- Tutaj jestem - odparł Jack; w istocie w tym momencie wsiadał już do kabiny z drugiej strony. - Dziękuję, Anders - powiedział do starego koniuszego, który pokiwał posępnie głową i cofnął się w kąt szopy. - Uważaj na siebie.

Richard zaczął płakać. Anders popatrzył na niego bez krzty współczucia.



Jack wcisnął guzik zapłonu. Z “diabelskiej skrzyni” strzeliły dwie olbrzymie, niebieskie iskry i silnik ożył z szumem.

- No to jedziemy - rzekł Jack i pchnął dźwignię do przodu.

Pociąg zaczął wysuwać się z szopy. Richard zaskowyczał i dźwignął się na kolana. Powtarzał słowa, brzmiące jak “nonsens” i “niemożliwe” - Jack nie słyszał niemal niczego oprócz syczących spółgłosek - i ukrył twarz między kolanami. Wyglądał, jakby próbował zamienić się w koło. Jack pomachał Andersowi, który odpowiedział mu tym samym.

Wyjechali z szopy; nad nimi roztoczyła się wyłącznie niezmiernie kopuła niebios. Sylwetka Andersa pojawiła się w otworze, przez który opuścili szopę - jakby starzec postanowił biec za nimi. Pociąg może jechać najwyżej trzydzieści mil na godzinę, pomyślał Jack. W tej chwili poruszał się z prędkością najwyżej ośmiu czy dziewięciu. Wydawało się to przeraźliwie powolnym tempem. Na zachód, powiedział sobie Jack, na zachód, na zachód, na zachód. Anders cofnął się w głąb szopy; broda kładła się mu na masywnej piersi jak powłoka szronu. Pociąg skoczył do przodu - w górę strzeliła kolejna skwiercząca, niebieska iskra - a Jack odwrócił się, by zobaczyć, co jest przed nimi.

- NIE! - krzyknął Richard tak niespodziewanie, że Jack o mało co nie wypadł z kabiny. - NIE MOGĘ! NIE MOGĘ TAM JECHAĆ!

Podniósł głowę spomiędzy kolan, ale nic nie widział - wciąż zaciskał kurczowo powieki, a cała jego twarz przypominała w tej chwili pięść.

- Bądź cicho - powiedział Jack.

Tory biegły prosto jak strzała przez pola kołyszącego się zboża. Między obłokami na zachodzie unosiły się przypominające stare zęby niewyraźne góry. Jack obejrzał się ostatni raz przez ramię i zobaczył, jak miniaturowa oaza ciepła i światła, którą była Stacja, niknie powoli w tyle. Anders stanął wysoki cień w oświetlonym wejściu. Jack pomachał mu ostatni raz, a cień zrobił to samo. Jack znów odwrócił się do przodu i popatrzył na bezmiar pól i daleki horyzont. Jeśli tak miały wyglądać Spustoszone Ziemie, to następne dwa dni zapowiadały się na czas autentycznego wypoczynku.

Oczywiście okazały się całkowicie odmienne - czego można się było spodziewać. Nawet w blasku księżyca Jack dostrzegł, że zboże rzadnieje i robi się karłowate. Zmiany zaczęły się pojawiać w pół godziny od opuszczenia Stacji. Nawet barwa zboża wydawała się inna, prawie sztuczna - żółcień czegoś, z czego prawie do reszty wysączyło się życie. W tej chwili takiemu opisowi odpowiadał także Richard. Przez jakiś czas oddychał głęboko i energicznie, a potem rozplakał się cicho i bez żenady, jak porzucona dziewczyna. Wreszcie zapadł w niespokojny sen i przez cały czas podrygiwał. Zdawało się, że wręcz się kurczył.

- Nie mogę wrócić - wymamrotał przez sen, albo przynajmniej tak zrozumiał jego słowa Jack.

Zaczął zmieniać się cały charakter krajobrazu. Rozległe przestrzenie Przełomów Ellisa przeszły w rojowisko małych, sekretnych jarów i mrocznych, wąskich dolin, w których tłoczyły się czarne drzewa. Wszędzie zalegały wielkie głazy - czaszki, jaja, gigantyczne zęby. Zmieniła się nawet ziemia, stała się o wiele bardziej piaszczysta. Dwukrotnie wzdłuż torów wzniosły się ściany dolin; po bokach widać było tylko czerwonawe, zerodowane urwiska, pokryte niską, płozącą się roślinnością. Co jakiś czas Jackowi wydawało się, że widzi umykające do kryjówki zwierzęta, ale światła było za mało, a stworzenia zbyt szybkie, by je zidentyfikować. Chłopiec miał jednak niesamowite uczucie, że gdyby zwierzę całkowicie znieruchomiało w samo południe na środku Rodeo Drive, mimo wszystko nie zdołałby go rozpoznać. Wrażenie, że stwór miał głowę dwakroć większą niż normalnie, prowadziło do wniosku, że pewnie nie powinien pokazywać się ludzkim oczom.

Nim minęło półtorej godziny, Richard jęczał we śnie, a krajobraz nabrał definitywnie niesamowitego charakteru. Za drugim razem, gdy wyjechali z budzącej klaustrofobię doliny, Jack z zaskoczeniem spostrzegł, że znaleźli się na otwartym terenie. Z początku poczuł się, jakby właśnie w tym momencie przeskoczył z powrotem w Terytoria, w krainę ze Snów Na Jawie. Potem jednak zauważył, nawet mimo ciemności, że drzewa są karłowate i powyginane. Wreszcie dotarła do niego woń: być może narastała w jego podświadomości, ale dopiero gdy zobaczył rzadko rozrzucone po czarnej równinie drzewka, poskręcane wokół siebie jak umęczone zwierzęta, dotarł do niego roznoszący się w powietrzu ulotny, lecz nieomylny odór zepsucia. Zepsucia, piekielnego ognia. W tych okolicach Terytoria śmierdziały.

Nad ziemią unosił się zaduch martwych od dawna kwiatów. Pod nim, tak samo jak w przypadku Osmonda, czaiła się prymitywniejsza, potężniejsza woń. Jeżeli Morgan w którymkolwiek ze swoich wcieleń był jej przyczyną, to faktycznie w pewnym sensie spowodował śmierć na Terytoria - tak przynajmniej wydawało się Jackowi.

Znikły doliny i jary, teren zamienił się w wielką, czerwoną pustynię. Pochyłe stoki niezmiernego pustkowia porastały gdzieś dziwnie pokurczone drzewa. Poprzez pograżoną w mroku czerwonawą pustkę ciągnęły się przed Jackiem bliźniacze srebrzyste szyny; po bokach jałowa pustynia znikła w ciemności.

Tak czy inaczej, czerwona kraina wydawała się opustoszała. Przez kilka godzin Jack ani razu nie dostrzegł niczego większego od zdeformowanych zwierzątek, skrywających się na zboczach zagłębienia, w którym biegły tory. Niejednokrotnie łowił jednak kątem oka nagły, płynny ruch. Odwracał głowę w tę stronę, lecz nie potrafił dojrzeć jego przyczyny. Z

początku myślał, że są śledzeni. Potem przez gorączkowe dwadzieścia minut czy pół godziny wpadł w popłoch, że ich śladem podążają niby-psy z Thayer School. Gdziekolwiek spojrzął, coś właśnie nieruchomiało - przyskało za jedno z pokręconych drzew lub zakopywało się w piasku. Przez ten czas rozległa pustynia Spustoszonych Ziem nie wydawała się ani pusta, ani martwa - lecz pełna ukradkowego, pełzającego życia. Jack popychał do przodu dźwignię zmiany biegów (jakby to mogło pomóc) i błagał w duchu, by mały pociąg jechał szybko, jeszcze szybciej. Richard osunął się bezwładnie w zagłębieniu swojego siedzenia. Jack wyobrażał sobie, że cała masa istot - ani psich, ani ludzkich, ale łączących cechy obu gatunków - gna w ich stronę. Modlił się, by Richard nie otwierał oczu.

NIE! - krzyknął przez sen Richard.

Jack o mało co nie wypadł z kabiny. Niemal zobaczył goniących ich wielkimi susami Etheridge'a i pana Dufreya. Doganiali ich, z wywieszonymi jęzorami i falującymi barkami. W następnej sekundzie zdał sobie sprawę, że w istocie widzi tylko towarzyszące jemu i Richardowi ich cienie. Gnający wzdłuż pociągu uczniowie i ich dyrektor znikli jak zdmuchnięte płomienie świec.

- NIE TAM! - zajęczał Richard.

Jack ostrożnie wciągnął powietrze w płuca. Nic im nie groziło. Niebezpieczeństwa Spustoszonych Ziem były przesadzone, głównie wyimaginowane. Za parę godzin nadejdzie kolejny wschód słońca. Jack podniósł zegarek do oczu - byli w drodze od niecałych dwóch godzin. Usta otworzyły się mu w gigantycznym ziewnięciu. Pożałował, że tak bardzo objadał się na Stacji.

Bułka z masłem, pomyślał, to będzie bułka...

Nim zdążył dokończyć parafrazę wersu poezji Burnsa, zacytowanego w dość niesamowity sposób przez starego Andersa, zobaczył pierwszą kulę ognia, która na dobre zburzyła spokój jego ducha.

4

Rozpalona, potrzaskująca kula ognia średnicy co najmniej dziesięciu stóp zatańczyła na skraju horyzontu i pomknęła prosto w stronę pociągu.

- Kurwa mać - mruknął Jack pod nosem, przypominając sobie, co opowiadał o nich Anders.

*Jeśli człowiek zbliży się za bardzo do tych kul ognia, to robi się strasznie chory... gubi włosy... na całym ciele pojawiają mu się wrzody... zaczyna wymiotować... wymiotuje i*

wymiotuje, aż pęka mu żołądek czy gardło... Jack przełknął ciężko, jakby miał w ustach paczkę gwoździ.

- Boże, proszę! - powiedział na głos.

Wielka kula ognia gnała w ich stronę, jakby była obdarzona rozumem i postanowiła zetrzeć Jacka Sawyera i Richarda Sloata z powierzchni ziemi. Choroba popromienna. Jackowi ścisnęło się w brzuchu, jądra przywarły mu do tułowia. *Choroba popromienna. Wymiotuje się i wymiotuje, aż pęknie żołądek.*

Omam nie zwrócił obfitej kolacji, którą uraczył go Anders. Kula ognia wciąż toczyła się wprost ku pociągowi, strzelając iskrami i skwiercząc od własnej, piekielnej energii. Za nią ciągnął się gorejący, złocisty ślad, od którego jak za sprawą magii odbiegały po czerwonej ziemi kolejne, potrzaskujące i płonące linie. W chwili gdy kula ognia podskoczyła zygzakiem jak gigantyczna piłka tenisowa i minęła ich nieszkodliwie z lewej strony, Jack wreszcie dojrzał wyraźnie stworzenia, które w jego przekonaniu cały czas podążały za nimi. Czerwonawo-złoty blask wędrującej kuli i reszkowa poświata wrytych dawniej przez inne kule śladów w ziemi padły na grupę zdeformowanych stworzeń, niewątpliwie sunących za pociągiem. Psy - lub przynajmniej były nimi niegdyś albo też miały ich za przodków. Jack obejrzał się z niepokojem na Richarda, by upewnić się, że jego przyjaciel nadal śpi.

Biegnące za pociągiem stwory rozpląszczyły się na ziemi jak węże. Jack dostrzegł psie łby, ale zadnie łapy były zaledwie szczątkowe. Z tego, co widział, nie miały włosów i ogonów. Wyglądały, jakby były mokre - ich goła, różowa skóra lśniła jak u mysich noworodków. Warczały - denerwowały się, że zostały wypatrzone. Te same ohydne, zmutowane psy Jack widział na zboczach wykopu kolejowego. Odsłonięte, rozpląszczone jak gady, zaczęły odpelzać z parsaniem i sykiem. One też bały się kuł ognia i pozostawianych przez nie na ziemi śladów. Do nozdrzy Jacka znowu dotarła woń kuli - gnała w jakby gniewny sposób ku przeciwległej stronie widnokręgu. Po drodze podpaliła cały rząd karłowatych drzew. Ogień piekielny, zepsucie.

Zza horyzontu wyłoniła się kolejna kula ognia i przemknęła po lewej stronie chłopców. Smród spóźnień na przesiadkach, zawiedzionych nadziei i występnych pragnień - Jack, któremu serce uwięzło tuż pod językiem, wyobrażał sobie, że wyczuwa to wszystko w rozchodzącej się od kuli woni. Rój skamlących psów-mutantów rozproszył się, zamieniając w groźbę lśniących zębów, szemranie ukradkowych ruchów, szuranie ciężkich, beznogich cielsk pełzających po czerwonym pyle. Ile ich było? U podstawy płonącego drzewa, usiłującego ukryć za pniem swoją koronę, dwa zdeformowane psy szczyrzyły długie kły w stronę Jacka.

Zza szerokiego horyzontu wytoczyła się jeszcze jedna kula ognia. Wyorała z dala od torów szeroki, gorejący ślad. Jack przez moment dostrzegł tuż pod łukiem pustynnego widnokregu rozpadającą się chatkę. Stała przed nią patrząca w tę stronę wielka, człekokształtna męska postać. Sprawiała wrażenie olbrzymiej, włochatej, obdarzonej brutalną siłą...

Jack nie potrafił oderwać myśli od świadomości, że miniaturowy pociąg Andersa porusza się beznadziejnie wolno, że jeśli coś chciałoby dokładniej zbadać jego i Richarda, nie napotkałoby żadnych przeszkód. Pierwsza kula ognia przepłoszyła koszmarnie niby-psy, ale ludzkich mieszkańców Spustoszonych Ziemi pewnie nie można było tak łatwo się po zbyć. Zanim ogień zamienił się w mżącą poświatą linię, Jack dojrzał, że postać przed chatą wodzi wzrokiem za pociągiem, obracając wielką, pokrytą kędzierzawymi włosami głowę. Skoro tak wyglądały tutejsze psy, to jak prezentowali się ludzie? W reszcie rozbłyskującego światła, pozostawionego przez ognistą kulę, człekokształtny stwór uskokczył za węgiel swojej sadyby. Mignął za nim zwieszający się pod grzbietem ogon. Istota znikła za rogiem, znów zrobiło się ciemno i niczego - psów, zwierzoczęła ani chaty - nie można było już dojrzeć. Jack nie mógł mieć nawet pewności, że rzeczywiście je widział.

Richard rzucił się we śnie. Jack napał na prostą dźwignię biegów. Psie hałasy stopniowo ucichły za ich plecami. Spocony Jack uniósł lewy nadgarstek na wysokość oczu i zobaczył, że od ostatniego razu, kiedy popatrzył na zegarek, minęło zaledwie piętnaście minut. Ze zdumieniem zauważył, że znowu ziewa. Jeszcze raz pożałował, że zjadł za dużo na Stacji.

- NIE! - krzyknął Richard. - NIE! NIE MOGĘ TAM POJECHAĆ!

Tam? - zastanowił się Jack. Czyli gdzie? Do Kalifornii? Czy też w jakiegokolwiek miejsce, zagrażające samokontroli Richarda - tak kruchej, że mógł ją utracić ją równie łatwo, jak spaść z nieułożonego konia?

5

Przez całą noc Jack stał przy dźwigni biegów, podczas gdy Richard spał. Chłopiec przyglądał się pozostawionym przez kule ognia gorejącym liniom, wykreślonym na czerwonej powierzchni pustyni. Powietrze przenikała ich woń - martwych kwiatów i ukrytego zepsucia. Od czasu do czasu rozlegał się jazgot psów-mutantów lub innych biednych stworzeń, dobiegający spod karłowatych, posplatanych ze sobą drzew, wciąż rosnących gdzieś w okolicy torów. Z szeregow akumulatorów sporadycznie skakały iskry. Richard

był w stanie głębszym do snu - otulił się nieświadomością, której potrzebował i pragnął. Przeszedł wydawać udęczone krzyki - w istocie wciśnięty w kąt kabiny jedynie oddychał powoli, jakby nawet ta czynność kosztowała go zbyt wiele energii. Jack częściowo modlił się o nadejście dnia, a częściowo się tego lękał. Po wchodzie słońca będzie mógł widzieć zwierzęta - ale co jeszcze?

Od czasu do czasu oglądał się na Richarda. Skóra jego przyjaciela wydawała się osobliwie blada - niemal upiornie szara.

## 6

Rankowi towarzyszyło rozluźnienie ciemności. Nad przypominającym skraj misy wschodnim brzegiem horyzontu pojawiło się różowe pasmo. Wkrótce narosła pod nim różana wstęga i podepchnęła pasmo w górę. Jack doznał uczucia, że oczy ma czerwone prawie tak, jak owa wstęga. Bolały go nogi. Richard leżał wyciągnięty na całą długość małego siedzenia w kabinie. Nadal oddychał płytko, niemal niechętnie. Jego twarz istotnie przybrała osobliwy, szarawy odcień. Powieki zatrzepotały mu we śnie, ale Jack miał nadzieję, że Richard nie wybuchnie kolejnym krzykiem. Chłopiec rozchylił usta i wysunął się z nich koniuszek języka, na szczęście nie rozległo się wołanie. Richard obliznął górną wargę, parsknął i znów zapadł w odrętwienie.

Chociaż Jack miał rozpaczliwą ochotę przysiąść i też zamknąć oczy, nie budził Richarda. Im więcej szczegółów Spustoszonych Ziem widział w nowym świetle, tym bardziej liczył na to, że Richard będzie nieprzytomny, dopóki tylko Jack będzie w stanie kierować kapryśnym pociągiem Andersa. Nie miał bynajmniej ochoty dowiedzieć się, jak Richard Sloat przyjmie obrzydliwość krajobrazu Spustoszonych Ziem. Pewna dawka bólu, porcja wyczerpania - to niewielka cena za spokój, bez wątpienia tymczasowy.

Poprzez zmrużone powieki Jack dostrzegł teren, gdzie bodajże nic nie uniknęło deformującym i okaleczającym wpływom. W blasku księżyca Spustoszone Ziemie wydawały się olbrzymią, chociaż poprzetykaną drzewami pustynią. Obecnie Jack zorientował się, że owa "pustynia" wcale nią nie była. To, co brał za czerwonawą odmianę piachu, stanowiło w istocie luźną, sproszkowaną glebę. Niewykluczone, że człowiek zapadłby się w niej po kostki, jeśli nie po kolana. Z jałowej ziemi wyrastały nieszczęsne drzewka. Gdy patrzyło się na nie wprost, prezentowały się tak samo jak w nocy - pokręcone, jakby próbowały pierzchnąć, potykając się o własne korzenie. Gdy jednak popatrzyło się na któreś z nich kątem oka, widziało się żywą, udęconą istotę - rozpostarte gałęzie zamieniały się w wyrzucone w górę

ramiona, a pień - w zamarłą w milczącym krzyku, umęczoną twarz. Dopóki Jack nie patrzył wprost na drzewa, widział wszystkie szczegóły tych skatowanych obliczy: otwarte kręgi ust, wytrzeszczone oczy, garbate nosy, biegnące po policzkach długie, świadczące o udreće zmarszczki. Drzewa przeklinały, błagały, wyły - ich niesłyszalne głosy wisiały w powietrzu jak dym. Jack jęknął. Podobnie jak całe Spustoszone Ziemie, te drzewa były zatrute.

Czerwonawa ziemia ciągnęła się milami po obu stronach. Tu i ówdzie pojawiały się laty żółtej trawy o odcieniu tak jaskrawym jak mocz czy świeża farba. Gdyby nie koszmarne kolorystyka wysokich traw, miejsca te przypominałyby oazy, pośrodku każdego z nich znajdował się bowiem mały, okrągły zbiornik wodny. Woda była jednak czarna, a na jej powierzchni unosiły się oleiste plamy - czegoś gęstego, samego w sobie oleistego i trującego. Gdy pociąg mijał drugą z takich fałszywych oaz, powierzchnia stawu zaczęła ociężałe falować. Jack początkowo pomyślał, że czarna woda żyje, że jest to stworzenie równie udrećzone jak drzewa, których nie miał już ochoty oglądać. Potem przez chwilę zobaczył, że coś wylania się spod powierzchni gęstej cieczy - szeroki, czarny grzbiet lub bok, który wypiętrzył się przez pojawieniem się wielkiej, łapczywej paszczy, zwierającej nadaremnie szczęki. Miał wrażenie, że stwór jest pokryty łuskami, które lśniłyby tęczą barw, gdyby nie odbarwiła ich woda. *O rany, to była ryba?* Miała według niego co najmniej dwadzieścia stóp długości - zbyt wielka, by żyć w małym stawie. Długi ogon wzburzył wodę, nim całe olbrzymie stworzenie znikło w najwyraźniej głębokim zbiorniku.

Jack przyjrzał się raptownie horyzontowi, bo wydało się mu, że wylania się zza niego okrągły łeb. Doznał wówczas kolejnego szoku, jakby przed chwilą dojrzał potwora z Loch Ness czy coś podobnego. Na miłość boską, jak głowa mogła wyrzeć zza horyzontu?

Ponieważ horyzont w istocie nim nie był, pojał wreszcie Jack. Przez całą noc, dopóki nareszcie nie dotarło do niego, co znajduje się na skraju pola widzenia, dramatycznie zaniżał rozmiary Spustoszonych Ziem. Podczas gdy słońce ponownie wdierało się na niebo. Jack pojał w końcu, że cały czas jedzie szeroką doliną, a odległe skraje po bokach to nie widnokraj, ale poszarpane szczyty łańcuchów wzgórz. Ktokolwiek i cokolwiek mogło podążać jego śladem, trzymając się po ich drugiej stronie. Przypomniał sobie człekokształtną istotę z krokodylim ogonem, która znikła za skrajem swej chaty. Może przez całą noc podążała tropem Jacka, czekając, aż zaśnie?

Pociąg toczył się ze stukotem posępną doliną - z nagle doprowadzającą do szału powolnością.

Jack przyjrzał się dokładnie całej długości łańcuchów wzgórz. Na skałach wysoko w górze wypatrzył jedynie złote refleksy słońca. Obrócił się w kabinie. Strach i napięcie, które

odczuwał w tym momencie, całkowicie odsunęły jego wyczerpanie. Richard nadal spał, zasłaniając oczy ramieniem. Co też dotrzymywało im kroku i czekało na dogodną chwilę do ataku?

Powolny, prawie trudny do uchwycenia ruch po lewej stronie sprawił, że dech uwiązł Jackowi w piersiach. Pełzło coś olbrzymiego... Jack miał wizję pół tuzina ludzi-krokodyli, przeczołgujących się przez szczyty wzgórz w ich kierunku. Osłonił dłońmi oczy i utkwiał wzrok w miejscu, gdzie - jak mu się wydawało - widział poruszenie. Skały miały tam taki sam czerwony odcień jak gleba; przez rozpadlinę między dwoma szczytami wiła się głęboko wydeptana ścieżka. Między dwoma sterczącymi skałami pełzło coś, co w najmniejszym stopniu nie przypominało człowieka. Wąż - tak przynajmniej wydawało się Jackowi... Stworzenie wpelzło na zasłonięty odcinek ścieżki, toteż Jack widział tylko olbrzymi, gładki i okrągły korpus gadziego cielska, które zniknęło między skałami. Skóra stworza wyglądała na osobliwie karbowaną... - i nadpaloną. To też chłopiec dostrzegł tylko w przelocie - szereg poszarpanych, czarnych dziur w boku, nim to coś znikło... Przekrzywił głowę, szukając miejsca, gdzie istota wynurzy się z powrotem. Po kilku sekundach stał się świadkiem wytrącającego z równowagi spektaklu: łeb gigantycznego czerwia, do jednej czwartej zagrzebanego w gęstym, czerwonym pyłu, zwrócił się w jego stronę. Ślepia wydawały się przesłonięte błoną i widniały nad nimi fałdy skóry, mimo wszystko był to jednak łeb robaka.

Jakieś inne zwierzę z wielką głową i ciężkim tułowiem wyskoczyło spod skały. Potężny łeb czerwia wystrzelił w jego stronę. Jack dojrzał, że uciekającym stworzeniem był zmutowany pies. Robak otworzył paszczę jak szczelinę skrzynki na listy i zgrabnie zgarnął w nią wystraszonego niby-psa. Wyraźnie rozległ się chrzęst łamanych kości. Skamlenie psa ucichło. Wielki czerw połknął go tak gładko, jakby to była tabletką. Tuż przed monstrualnym robakiem znalazła się jedna z wyrytych przez kule ognia czarnych bruzd. Jack ujrzał, że długi stwór zakopuje się w pyłu jak tonący w oceanie transatlantyk. Stwór najwidoczniej pojmował, że ślady po kulach ognia są szkodliwe, więc na sposób robaków przekopywał się pod nimi. Jack obserwował, jak poczwara znika w czerwonym proszku. Następnie powiódł niespokojnie wzrokiem po całym długim, rudawym zboczu, upstrzonym kępami lśniącej, żółtej trawy, przypominającymi owłosienie łonowe. Zastanawiał się, kiedy robak wyłoni się znowu.

Gdy Jack nabrał przekonania, że czerw nie spróbuje połknąć pociągu, wrócił do przyglądania się skalistym graniom.



Zanim Richard obudził się późnym popołudniem tego dnia, Jack zobaczył:  
co najmniej jedną głowę, wyglądającą spoza szczytów wzgórz;  
dwie kolejne śmiercionośne kule ognia, toczące się w podskokach po stoku w jego stronę;

bezgłowy szkielet czegoś, co początkowo wziął za olbrzymiego królika, a dopiero po chwili zidentyfikował, walcząc z mdłościami, jako resztki dziecka, które leżały skręcone na ziemi przy torach; po nich ujrzał:

okrągłą, lśniącą czaszkę tego samego dziecka, zagrzebaną do połowy w luźnej glebie.

Następnie:

zgraję wielkogłowych psów, bardziej uszkodzonych od widzianych wcześniej, żałośnie wlokących się za pociągiem i śliniących się z głodu;

trzy chaty z desek, ludzkie sadyby, wsparte na belkach wyrastających z gęstego pyłu; dowodziły, że gdzieś na cuchnącym, zatrutym pustkowiu, nazywanym Spustoszonymi Ziemią, ludzie snuli swoje plany i polowali, żeby zdobyć pokarm;

małego, skórzastego ptaka z brodatym, małpim pyszczkiem - mieszkańca prawdziwych Terytoriów - i wyraźnie zarysowanymi palcami sterczącymi z koniuszków skrzydeł;

oraz najgorsze ze wszystkiego (z wyjątkiem tego, co Jackowi wydawało się, że widział): dwa absolutnie niedające się zidentyfikować zwierzęta, pijące z jednego z czarnych stawów - stwory z długimi zębami, ludzkimi oczyma i przednimi częściami korpusów przypominającymi świńskie, a zadnimi jak u wielkich kotów. Ich pyski pokrywało kędzierzawe futro. Gdy pociąg mijał zwierzęta, Jack dojrzał, że samiec miał jądra nabrzmiałe do wielkości poduszek i powłóczył nimi po ziemi. Skąd brały się takie okropieństwa? Od nuklearnych uszkodzeń genów, doszedł do wniosku Jack, bo chyba nic innego nie miałyby aż takiej mocy deformowania natury. Szkaradne stworzenia chleptały zatrutą wodę i warczały na mijający je pociąg.

Nasz świat może pewnego dnia wyglądać tak samo, pomyślał Jack. Ale klawo.

Do tego dochodziły rzeczy, które Jack chyba tylko widział. Skóra zaczęła go palić i świerzbic - już wcześniej zrzucił na podłogę kabiny przypominające opończę okrycie, w które zamieniła się jesionka od Mylesa P. Kigera. Przed południem ściągnął też utkaną

chałupniczym sposobem koszulę. Czuł obrzydliwy smak w ustach - kwaskowate połączenie zardzewiałego metalu i zgniłych owoców. Był tak zmęczony, że zaczął śnić na stojąco, z otwartymi oczyma, w które palił go pot. Zobaczył wielkie zgraje ohydnych psów, przemykające po wzgórzach; dojrzał, jak czerwone chmury nad nimi rozstępują się, a pomiędzy nich po niego i Richarda sięgają długie, ogniste - diabelskie - ramiona. Kiedy wreszcie zamknął oczy, zobaczył Morgana z Orris, wysokiego na dwanaście stóp i ubranego na czarno, miotającego wokół siebie błyskawice, które wydzierały w ziemi wielkie, pyliste rozpadliny i kratery.

Richard jęknął.

- Nie, nie, nie - wymamrotał.

Morgan z Orris rozwiął się jak pasemko mgły. Jack z bólem rozwarł powieki.

- Jack? - powiedział Richard.

Na pustej przestrzeni przed pociągiem widać było tylko poczerniałe ślady po ognistych kulach. Jack przetarł oczy i obejrzał się na słabo przeciągającego się Richarda.

- No, jak się czujesz? - spytał. Richard oparł się o sztywne siedzenie i tylko mrugał poszarzałymi powiekami. - Przepraszam, że pytałem.

- Nie ma za co - odparł Richard. - Czuję się lepiej. Naprawdę. - Jacka chociaż częściowo opuściło go napięcie. - Wciąż boli mnie głowa, ale czuję się już lepiej.

- Bardzo hałasowałeś we... mm... - Jack urwał, niepewny, jak dużą dawkę rzeczywistości potrafi znieść jego przyjaciel.

- We śnie. No, myślę, że tak. - Mięśnie twarzy Richarda poruszyły się, ale tym razem Jack nie przygotował się na krzyk. - Wiem, że teraz nie śpię, Jack. I wiem, że nie mam guza mózgu.

- Wiesz, gdzie jesteśmy?

- W pociągu. Tamtego staruszka. W miejscu, które nazywał Spustoszonymi Ziemiemi.

- No, do kroćset - powiedział z uśmiechem Jack. Richard zaczerwienił się mimo poszarzałej cery. - Co ci się wreszcie stało? - spytał Jack, wciąż nie mogąc uwierzyć w przemianę, jaka dokonała się w jego przyjacielu.

- Cóż, wiedziałem, że nie śnię - powiedział Richard, a jego policzki nabrały jeszcze czerwieńszej barwy. - Myślę, że... myślę, że po prostu nadszedł czas przestać z tym walczyć. Jeśli jesteśmy w Terytoriach, to jesteśmy w Terytoriach, bez względu na to, jak bardzo to niemożliwe. - Odszukał wzrokiem spojrzenie Jacka i zaskoczył przyjaciela śladem humoru w oczach. - Przypominasz sobie tę wielką klepsydę na Stacji? - Jack skinął głową. - No, właśnie o to chodziło. Naprawdę... kiedy ją zobaczyłem, zdałem sobie sprawę, że nie

zmyślam wszystkiego. Ponieważ wiedziałem, że nie mógłbym wymyślić czegoś takiego. Nie mógłbym. Po prostu... nie mógłbym. Gdybym miał wymyślić prymitywny zegar, miałby najprzeróżniejsze kółka i wielkie balanse... byłby o wiele bardziej skomplikowany. A więc nie wymyśliłem klepsydry. Skoro tak, była prawdziwa. A skoro tak, cała reszta również istniała naprawdę.

- I jak się teraz czujesz? - spytał Jack. - Spałeś bardzo długo.

- Jestem tak zmęczony, że ledwie dźwigam głowę. Obawiam się, że ogólnie czuję się nie najlepiej.

- Muszę cię o coś zapytać, Richard. Czy istnieje jakiś powód, dla którego boisz się jechać do Kalifornii? - Richard opuścił głowę i nią pokręcił. - Słyszałeś kiedyś o miejscu nazywanym czarnym hotelem?

Richard nadal potrząsał głową. Nie mówił prawdy, ale o ile Jack był w stanie orzec, starał się ją odsunąć od siebie jak najdalej. Cała reszta - Jack bowiem nabrał pewności, że było tego więcej, o wiele więcej - musiała poczekać. Może aż dotrą do samego czarnego hotelu. Dwójnik Rushtona, Dwójnik Jasona: tak, wspólnie dotrą do domu i więzienia Talizmanu.

- No cóż, w porządku - powiedział. - Możesz chodzić?

- Pewnie tak.

- To dobrze, bo chcę coś zrobić, skoro nie umierasz już na guza mózgu. Potrzebuję twojej pomocy.

- W czym? - spytał Richard i otarł twarz drżącą ręką.

- Chcę otworzyć jedną czy dwie ze skrzyń na platformie i upewnić się, czy nie zdołamy się trochę uzbroić.

- Nienawidzę broni i nią gardzę - oświadczył Richard. - Ty też powinienes. Gdyby nikt nie miał broni, twój ojciec...

- Pewnie, a gdyby babcia miała wąsy, toby dziadkiem była - odrzekł Jack. - Jestem praktycznie pewien, że ktoś nas śledzi.

- Cóż, może mój tata - powiedział Richard pełnym nadziei głosem.

Jack mruknął i wysunął małą dźwignię biegów z pierwszej szczyrby. Pociąg zaczął wyczuwalnie hamować. Gdy się zatrzymał, Jack ustawił dźwignię w neutralnym położeniu.

- Jak myślisz, dasz radę zejść na ziemię?

- Och, pewnie - przytaknął Richard i podniósł się zbyt szybko. Ugięły mu się nogi i z powrotem opadł ciężko na ławkę. Jego twarz wyglądała na jeszcze bardziej szarą; pot wystąpił mu na czoło i górną wargę. - A może nie - wyszeptał.

- Po prostu się nie wysilaj - poradził Jack, podszedł do niego, jedną ręką wziął go za łokieć, a drugą przytknął do mokrego, ciepłego czoła Richarda. - Odpręż się.

Richard przymknął na chwilę powieki, po czym zajął Jackowi w oczy z wyrazem bezgranicznego zaufania.

- Próbowałem to zrobić zbyt szybko - powiedział. - Cały ścierpłem, bo zbyt długo byłem w jednej pozycji.

- No to próbuj pomalutku - rzekł Jack i pomógł podnieść się posykującemu przyjacielowi.

- Boli.

- Zaraz przestanie. Potrzebuję twojej pomocy, Richard.

Richard na próbę zrobił krok do przodu i znowu wciągnął z sykiem powietrze.

- Ooch!

Dostawił drugą nogę, następnie wychylił się lekko do przodu i zaczął klepać otwartymi dłońmi w uda i łydki. Jack patrzył, jak zmienia się wyraz twarzy Richarda - tym razem jednak odcisnął się na niej nie ból, lecz niemal komiczne zdumienie.

Jack powiódł wzrokiem za spojrzaniem przyjaciela i zobaczył, że przed pociągiem przelatuje jeden z beziórych ptaków z małpim pyszczkiem.

- Pewnie, mnóstwo tu śmiesznych stworzeń - powiedział. - Poczuję się o wiele lepiej, jeśli pod tą plandeką znajdziemy trochę broni.

- Jak myślisz, co jest po drugiej stronie wzgórz? - zapytał Richard. - Kolejne?

- Nie, myślę, że jest tam więcej ludzi - odparł Jack. - Jeśli można ich nazwać ludźmi. Dwa razy zauważyłem, że ktoś się nam przygląda. - Na widok nagłej paniki, która pojawiła się na twarzy Richarda, dodał: - Nie sądzę, żeby był to ktokolwiek z twojej szkoły. Może to być jednak coś równie złego. Nie próbuję cię nastraszyć, stary, ale naoglądałem się Spustoszonych Ziemi więcej niż ty.

- Spustoszone Ziemi - powtórzył z powątpiewaniem Richard. Popatrzył zmrużonymi oczami na czerwoną, pylistą dolinę z przypominającymi strupy kępami trawy barwy uryny. - Och, to drzewo... ach...

- Wiem - odparł Jack. - Musisz nauczyć się nie zwracać na nie uwagi.

- Na miłość boską, co mogło dokonać takiego spustoszenia? - spytał Richard. - Przecież widać, że to nienaturalne.

- Może któregoś dnia doświadczymy tego na własnej skórze. - Jack pomógł przyjacielowi wsiąść z kabiny; obydwoj stanęli na wąskiej listwie biegnącej nad kołami. -

Nie schodź na ziemię - ostrzegł Richarda. - Nie wiemy, jak gruba jest warstwa pyłu. Nie mam ochoty cię z niego wyciągać.

Richard zadrżał - być może jednak dlatego, że właśnie popatrzył kątem oka na udręczone, bezgłośnie krzyczące drzewa. Obaj chłopcy razem ruszyli wzdłuż stojącego pociągu, aż przeskoczyli na bufor pustego wagonu. Wdrapali się na dach po wąskiej metalowej drabinie. Po przeciwnej stronie zeszli po drugiej drabinie na lorę.

Jack szarpnął za grubą, włochatą linę, starając sobie przypomnieć, w jaki sposób Anders ją tak łatwo rozwiązał.

- Myślę, że to tutaj - powiedział Richard, podnosząc w ręce odcinek, zasupłany jak katowska pętla. - Jack?

- Spróbuj.

Richardowi brakowało sił, by samodzielnie rozluźnić węzeł, kiedy jednak Jack pomógł mu pociągnąć za wystający koniec, pętla gładko znikła, a plandeka opadła na stos skrzyń. Jack podniósł jej skraj. Zobaczył z brzegu CZEŚCI DO MASZYN - a dalej mniejszy stos skrzynek, oznakowanych: SOCZEWKI.

- Proszę bardzo - powiedział. - Szkoda, że nie mamy łyżki do opon. - Wyrżał w stronę skraju doliny, a umęczone drzewo otworzyło usta i bezdźwięcznie zawyło. Czy przypadkiem zza skał nie wyglądała kolejna głowa? Może w ich stronę pełzł kolejny olbrzymi robak? - Chodź, spróbujemy podważyć pokrywę którejś ze skrzyń - zaproponował Jack, a przyjaciel potulnie podszedł do niego.

Po sześciu potężnych szarpnięciach Jack wreszcie usłyszał skrzypienie gwoździ i poczuł, że brzeg wieka zaczyna się ruszać. Richard dalej ciągnął od swojej strony.

- Wystarczy - rzekł Jack. Richard wyglądał na jeszcze bardziej szarego i niezdrowego niż przed wysiłkiem. - Następnym razem na pewno mi się uda.

Richard odsunął się i o mało co nie runął na jedną z mniejszych skrzynek, ale wyprostował się i znowu zaczął grzebać pod obluzowaną plandeką.

Jack stanął przy wysokiej skrzyni i zacisnął szczęki. Zaczerpnął głęboko tchu i napał, aż zaczęły dygotać mu mięśnie. Już-już miał zmniejszyć nacisk, gdy gwoździe zaskrzypiały i zaczęły wysuwać się z drewna.

- AAAGH! - krzyknął Jack i zerwał pokrywę skrzyni.

Wewnątrz niej złożono pół tuzina oślizgłych od oliwy karabinków typu, jakiego Jack jeszcze nigdy nie widział: broń ulegającą metamorfozie w motyle, na połę mechaniczną, na połę owadzią. Chłopiec wyjął jeden z nich i przyjrzał się mu dokładniej, gdyż chciał wiedzieć, jak się nią posługiwać. To broń automatyczna, trzeba więc poszukać magazynków.

Jack schylił się i lufą broni podważył wieko skrzynki z napisem: SOCZEWKI. Jak się spodziewał, w mniejszej skrzynce stał rząd ek mocno naoliwionych magazynków, chronionych plastikowymi osłonami.

- To uzi - powiedział Richard za jego plecami. - Izraelskie pistolety maszynowe. Bardzo modna broń, o ile mi wiadomo. Ulubiona zabawka terrorystów.

- Skąd to wiesz? - spytał Jack, sięgając po drugi pistolet.

- A jak myślisz? Oglądam telewizję.

Jack poeksperymentował z magazynkiem. Najpierw próbował wcisnąć go w otwór do góry nogami, potem zorientował się, jaka jest właściwa pozycja. Następnie odszukał bezpiecznik i przesunął go ze szczękiem w obydwie strony.

- Są piekielnie szkaradne - powiedział Richard.

- Też taki dostaniesz, więc nie narzekaj.

Jack wziął od Richarda drugi magazynek. Po chwili wahania wyjął wszystkie ze skrzynki. Dwa wsunął w kieszenie, a dwa rzucił Richardowi, który zdołał je złapać. Pozostałe wcisnął do sakwy.

- Błę - powiedział Richard.

- To nasza polisa ubezpieczeniowa - oświadczył Jack.

9

Richard zwałił się na siedzenie, kiedy tylko wrócili do kabiny - gramolenie się w dół i w górę po drabinkach oraz przesuwanie się po wąskiej listwie nad kołami pochłonęło resztki jego energii. Posunął się jednak, by zrobić miejsce Jackowi, i przyglądał się spod opadających powiek, jak przyjaciel znów uruchamia pociąg. Jack podniósł następnie opończę i zaczął szorować nią broń.

- Co robisz?

- Wycieram oliwę. Lepiej też to zrób, kiedy skończę.

Przez resztę dnia obaj chłopcy siedzieli w otwartej kabinie pociągu. Oblewali się potem i starali nie zwracać uwagi na płaczące drzewa, towarzyszący mijanej scenerii odór zepsucia oraz doskwierający im głód. Jack zauważył, że dookoła ust Richarda utworzył się szereg sączących wrzodów. Wyjął wreszcie przyjacielowi uzi z ręki, wytarł z oliwy i wsunął magazynek. Od słonego potu piekły go spękane wargi.

Jack przymknął oczy. Może w rzeczywistości żadne głowy nie wychylały się nad skrajem doliny; może mimo wszystko nie byli śledzeni. Usłyszał, że akumulatory

zaskwierczały i trzasnęła w nich wielka iskra. Poczuł, że Richard podskoczył z przestraszu. W chwilę później Jack zapadł w sen i śnił o jedzeniu.

10

Gdy Richard potrząsnął ramieniem Jacka i wyrwał go ze świata, w którym jadł pizzę wielkości opony ciężarówki, po dolinie zaczynały kłaść się cienie, łagodzące mękę płaczących drzew. Nawet one, nisko pochylone i zasłaniające dłońmi twarze, wydawały się piękne w słabnących, nisko padających promieniach słońca. Gruba warstwa czerwonego pyłu mżyła i majaczyła światłem. Cienie chłopców mknęły po ziemi obok nich; prawie było widać, jak się wydłużają. Ohydna żółta trawa nabrała niemal przyjemnego pomarańczowego odcienia. Gasnące, szkarłatne światło malowało skośne wstęgi na skałach u obrzeża doliny.

- Po prostu pomyślałem, że chciałbyś to zobaczyć - powiedział Richard. - Wokół jego ust pojawiło się kilka kolejnych owrzodzeń. Uśmiechnął się słabo. - Wyglądała wyjątkowo - to znaczy, gama barw.

Jack poczuł obawę, że Richard wda się w naukowe wytłumaczenie przesunięcia barw o zachodzie słońca, ale jego przyjacielowi obrzydła fizyka lub się nią zmęczył. Obaj chłopcy w milczeniu przyglądali się, jak zmierzch pogłębia wszystkie kolory i zamienia niebo na zachodzie w purpurową płachtę.

- Wiesz, co jeszcze wieziemy? - zapytał Richard.

- Co? - odpowiedział pytaniem Jack.

W istocie mało go to obchodziło. Na pewno nic dobrego. Miał nadzieję, że dożyje jeszcze choćby jednego tak pięknego zachodu słońca, tak przepelnionego uczuciami.

- Plastik wybuchowy. Pakowany po dwa funty - tak przynajmniej mi się wydaje. Wystarczy go do wysadzenia całego miasta. Jeśli któryś z naszych pistoletów przypadkiem wypali albo ktoś właduje kulkę w te worki, to po całym pociągu zostanie tylko dziura w ziemi.

- Nic nie zrobię, jak ty zrobisz to samo - odparł nieco dziwacznie Jack.

Znów pozwolił ponieść się emocjom, wywołanym przez zachód słońca. Zmierzch wprawił Jacka w osobliwy nastrój. Przywiódł Jackowi na myśl wszystko, co przeszedł od opuszczenia Alhambra Inn and Gardens. W małej herbaciarni zobaczył matkę, nagle zrobiła się z niej stara, wyczerpana kobieta, ujrzał siedzącego pod drzewem Speedy'ego Parkera, doglądającego swojego stada Wilka, Smokeya i Lori z koszmarnego "Oatley Tap", wszystkie znienawidzone twarze z domu Sunlighta: Hecka Basta, Sonny'ego Singera i innych.

Brakowało mu Wilka, z czego boleśnie zdał sobie sprawę, ponieważ rozprzestrzeniający się i pogłębiający zmierzch pobudzał w pełni wspomnienia o nim; Jack nie potrafiłby zresztą wyjaśnić, dlaczego tak się stało. Pożałował, że nie może wziąć Richarda za rękę. Po chwili jednak pomyślał: A właściwie dlaczego? Przesunął dłoń po ławce, aż dotknął dość brudnej i lepkiej ręki przyjaciela. Zacisnął na niej palce.

- Czuję się bardzo chory - powiedział Richard. - To nie tak jak... przedtem. Strasznie boli mnie brzuch i swędzi mnie cała twarz.

- Myślę, że poczujesz się lepiej, kiedy tylko wydostaniemy się z tej okolicy - odrzekł Jack.

Ale jaki ma pan na to dowód, doktorze? - zastanowił się. Jaki masz dowód, że go po prostu nie uśmiercisz? Nie miał żadnego. Pocieszył się, że Richard miał odegrać kluczową rolę w tym, co nastąpi w czarnym hotelu. Czuł, że będzie potrzebował Richarda Sloata, i to nie tylko dlatego, że Richard Sloat potrafił odróżnić materiał wybuchowy od torby nawozu.

Czy Richard był kiedykolwiek wcześniej w czarnym hotelu? Czy znalazł się kiedyś naprawdę blisko Talizmanu? Jack obejrzał się na przyjaciela, który oddychał płytko i z wysiłkiem. Dłoń Richarda spoczywała w jego ręce jak zimna, woskowa rzeźba.

- Nie chcę już tego pistoletu - odezwał się Richard, spychając broń z kolan. - Niedobrze mi się robi od jego zapachu.

- W porządku - odparł Jack i położył sobie broń na kolanach.

Jedno z drzew zakradło się na skraj jego pola widzenia i bezdźwięcznie zawyło z rozpaczy. Niedługo zaczynała się pora grasowania psów-mutantów. Jack podniósł wzrok na wzgórze po lewej stronie - i zobaczył zsuwającą się pomiędzy skałami człekokształtną sylwetkę.

11

- Hej - zawołał prawie z niedowierzaniem. Obojętny na jego wstrząs wielobarwny zmierzch nadal był wyjątkowo piękny. - Hej, Richard!

- O co chodzi? Też się rozchorowałeś?

- Wydaje mi się, że zobaczyłem kogoś tam w górze, po twojej stronie.

Popatrzył ponownie między wysokie skały, ale nie dostrzegł żadnego ruchu.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparł Richard.

- Lepiej niech cię obejdzie. Widzisz, jaką wybrali porę? Chcą nas dopaść właśnie wtedy, gdy będzie na tyle ciemno, że nie będziemy mogli ich wypatrzeć.



Richard uchylił lewe oko i bez entuzjazmu rozejrzał się po okolicy.

- Nikogo nie widzę.

- W tej chwili ja też nie, ale cieszę się, że wzięliśmy pistolety. Siedź prosto i uważaj, Richard, jeśli zależy ci, żebyśmy wyjechali stąd żywi.

- Jezu, ale z ciebie męczydupa. - Richard jednak wyprostował się i otworzył oczy. - Naprawdę nic tam nie widzę, Jack. Robi się za ciemno. Pewnie wyobraziłeś sobie...

- Pst - odezwał się Jack. Miał wrażenie, że widzi kolejną postać, przeciskającą się między skałami na szczycie zbocza. - Jest drugi. Ciekawe, czy pokaże się następny?

- Ciekawe, czy jest tam ktokolwiek - odparł Richard. - Dlaczego ktoś miałby chcieć zrobić nam krzywdę? Przecież to nie...

Jack odwrócił głowę i powiódł wzrokiem wzdłuż torów. Coś poruszyło się za pnem płaczącego drzewa. Coś większego od psa, odnotował Jack.

- Oho - powiedział. - Chyba kolejny gość zaczął się przed nami.

Przez chwilę jego umysł nie mógł pracować ze strachu - nie potrafił wymyślić żadnego sposobu obrony przed trzema napastnikami. Poczul lodowate zimno w brzuchu. Podniósł uzi z kolan i popatrzył tępo na broń, zastanawiając się, czy potrafi jej użyć. Czy porywacze ze Spustoszonych Ziemi też byli uzbrojeni?

- Przepraszam, Richard - powiedział. - Tym razem jestem jednak przekonany, że czeka nas niezła draka, i dlatego będę potrzebował twojej pomocy.

- Co mam robić? - zapytał piskliwym głosem Richard.

- Weź pistolet - polecił Jack i mu go podał. - Powinniśmy klęknąć, żeby stanowić jak najmniejszy cel.

Przypadł na kolana, a Richard poszedł za jego przykładem tak powoli, jakby poruszał się pod wodą. Z tyłu rozległ się wrzask, z góry odpowiedział mu następny.

- Wiedzą, że ich wypatrzyliśmy - powiedział Richard. - Ale gdzie są?

Odpowiedź na to pytanie nastąpiła prawie natychmiast. Wciąż widoczny w ciemnopurpurowym zmierzchu człowiek - lub stwór go przypominający - wypadł z ukrycia i zaczął zbiegać w stronę pociągu. Okrywały go łopoczące za nim łachmany. Krzyczał jak Indianin i trzymał coś w rękach. Wyglądało to na giętką tyczkę. Jack wciąż starał się domyślić, do czego to służyło, gdy raczej usłyszał, niż zobaczył, jak coś smukłego przecina powietrze nad jego głową.

- Kurde mol! Mają łuki i strzały! - zawołał.

Richard jęknął, a Jack przestraszył się, że przyjaciel zaraz zwymiotuje.

- Muszę go zastrzelić - oświadczył. Richard przełknął i wydał jakiś dźwięk, który niezupełnie był słowem. - Och, do diabła! - warknął Jack.

Przerzucił bezpiecznik uzi. Uniósł głowę i dostrzegł, że obszarpaniec za pociągiem wypuszcza kolejną strzałę. Gdyby strzał był celny, Jack nie zobaczyłby już nic więcej, ale strzała nieszkodliwie łupnęła w bok kabiny. Jack poderwał uzi i nacisnął spust.

Nie spodziewał się takiego efektu. Myślał, że pistolet posłusznie pozostanie w jego rękach i wypuści kilka pocisków. Zamiast tego uzi podskoczył jak żywa istota i wydał ciąg hałasów dość głośniejszych, by popękały od nich bębniaki. Smród prochu zakręcił Jackowi w nosie. Obszarpaniec za pociągiem wyrzucił w górę ręce - ze zdumienia, nie dlatego że został trafiony. Jack wreszcie opamiętał się i zdjął palec ze spustu. Nie miał pojęcia, ile kul zmarnował ani ile zostało w magazynku.

- Trafiłeś go? Trafiłeś go? - zapytał Richard.

Obszarpaniec pobiegł z boku doliny, łomocząc o ziemię wielkimi, płaskimi stopami. Po chwili Jack zobaczył, że to wcale nie stopy, lecz wielkie jak talerze, przyczepione do nóg konstrukcje - odpowiednik rakiet śnieżnych ze Spustoszonych Ziemi. Obszarpaniec starał się ukryć za drzewem.

Jack uniósł oburącz uzi i popatrzył wzdłuż krótkiej lufy. Następnie lekko nacisnął spust. Pistolet podskoczył mu w dłoniach, ale słabiej niż za pierwszym razem. Kule poszybowały szerokim łukiem i co najmniej jedna trafiła w cel. Obszarpaniec rzuciło w bok, jakby wpadła na niego ciężarówka. Rakiety pospadały mu z nóg.

- Daj mi pistolet - powiedział Jack.

Wziął od Richarda drugie uzi. Wciąż klęcząc, wystrzelił połowę magazynka w mrok przed pociągiem, mając nadzieję, że zabił zaczajoną tam istotę.

Kolejna strzała zagrzechotała o pociąg, a jeszcze jedna szczęknęła donośnie, uderzając w bok wagonu. Richard trząśnięty i płakał na podłodze kabiny.

- Załaduj mój - polecił Jack i podstawił Richardowi pod nos wyciągnięty z kieszeni magazynek.

Rozejrzał się po stoku w poszukiwaniu drugiego napastnika. Zapowiadało się, że za minutę nie będzie można już dojrzeć niczego poniżej szczytu wzniesienia.

- Widzę go - zawołał Richard. - Widzę go, tam jest! Wskazał cień, który poruszał się cicho i szybko między skałami. Jack opróżnił resztę drugiego magazynka, strzelając w tamtą stronę. Gdy skończył, Richard wyjął mu pistolet maszynowy z ręki i podał drugi.

- Adne chopce, tobre chopce - rozległ się głos z prawej strony; nie sposób było ocenić, jak bardzo z przodu. - Stańta, to i ja stanę, kapujeta? Żeśmy zgończyli, to czaz na inderesy. Wy adne chopce, może zbrzedata mi tyn piztolet. Wizzę, że zdrasznie nim dobrze zabijata.

- Jack! - ostrzegł go Richard gorączkowym szeptem.

- Rzuć łuk i strzały! - zawołał Jack, wciąż skulony obok przyjaciela.

- Nie możesz, Jack! - szepnął Richard.

- Żem ji już rzudził - rozległ się głos, dobiegający z przodu. Coś lekkiego upadło, wzbijając kłęb pyłu. - Wy chopce przezdańda jechadź, zbrzedajta mnie piztolet, kapujeta?

- Dobra! - powiedział Jack. - Wyjdź, żebyśmy cię widzieli.

- Kapuji - odpowiedział głos.

Jack pociągnął dźwignię w tył. Pociąg zaczął hamować.

- Kiedy krzyknę, pchnij ją do przodu tak szybko, jak tylko zdołasz, dobrze? - wyszeptał do Richarda.

- Jezu.

Jack sprawdził, czy podany mu przez Richarda pistolet jest odbezpieczony. Strużka potu pociekła mu prosto w prawe oko.

- Wszystko już dobra, nie? - rozległ się głos. - Chopce mogo zionźć, nie? Ziądnijta, chopce.

*Obuć-sie, obuć-sie, proszę, proszę.*

Pociąg toczył się dalej w stronę zaczajonego człowieka.

- Połóż rękę na dźwigni - szepnął Jack. - Już niedługo. Drżąca dłoń Richarda, która wydawała się zbyt mała i dziecinna, by dokonać czegoś choćby o drobnym znaczeniu, spoczęła na dźwigni zmiany biegów.

Jack nagle przypomniał sobie starego Andersa, który klęczał przed nim na wypaczonych deskach podłogi i pytał: *Ale czy będziesz bezpieczny, panie mój?* Odpowiedział beztrąsko, właściwie nie traktując pytania poważnie. Co znaczyły Spustoszone Ziemie dla kogoś, kto targał beczki z piwem dla Smokeya Updike'a?

W tej chwili bał się o wiele bardziej, że narobi w spodnie, niż że Richard zwróci obiad na terytorialną wersję lodenowej jesionki od Mylesa P. Kigera.

W ciemności obok lokomotywy rozległ się nagle śmiech. Jack poderwał się, uniósł broń i krzyknął w chwili, gdy w bok kabiny uderzyło ciężkie ciało i do niego przywarło. Richard pchnął dźwignię do przodu i pociąg skoczył z szarpnięciem.

Gołe, włochate ramię wcisnęło się do środka. To tyle, jeśli chodzi o Dziki Zachód, pomyślał Jack w chwili, gdy wyrósł nad nimi cały tułów mężczyzny. Richard zaskrzeczał, a Jack o mało co rzeczywiście nie narobił w spodnie.

Twarz składała się niemal wyłącznie z zębów. Była tak instynktownie zła jak paszcza obnażającego kły grzechotnika. Kropla czegoś - zdaniem Jacka na pewno jad - oderwała się od jednego z długich, zakrzywionych zębów. Górujący nad chłopcami stwór przypominał człowieka z łbem węża, tylko ten drobny nos... W jednej dłoni z błonami między palcami dzierżył nóż. Jack w panice strzelił na oślep.

Stwór zmienił się w jednej chwili; przez moment trudno było mu się dokładnie przyjrzeć. Jack zorientował się wreszcie, że błoniasta dłoń i nóż znikły. Stwór zamachnął się broczącym krwią kikutem i zostawił na koszuli Jacka szkarłatną plamę. Przytomność umysłu na szczęście opuściła chłopca. Jego dłoń zdołała jednak podnieść z powrotem uzi, wycelować go w pierś stwora i nacisnąć spust.

Na środku plamistej piersi otworzyła się ziejąca, czerwona dziura. Ociekające zębiszcza zatrzasnęły się z kłapnięciem. Jack nie zdejmował palca ze spustu, lufa broni uniosła się sama, a pociski momentalnie zamieniły łeb stwora w całkowitą sieczkę. Istota wreszcie znikła. Jedyne wielka plama krwi na ścianie kabiny i szkarłatny ślad na koszuli Jacka świadczyły, że koszmarne spotkanie im się nie przyśniło.

- Uważaj! - krzyknął Richard.

- Dostałem go - westchnął Jack.

- Gdzie się podział?

- Spadł - odparł Jack. - Nie żyje.

- Odstrzeliłeś mu rękę - wyszeptał Richard. - Jak to zrobiłeś?

Jack uniósł przed siebie dłonie i zobaczył, że drżą. Rozchodził się od nich smród prochu.

- Po prostu naśladowałem kogoś obdarzonego dobrym celem.

Opuścił ręce i oblizal wargi.

Gdy dwanaście godzin później nad Spustoszonymi Ziemiami znów wstało słońce, żaden z chłopców nie spał - całą noc sterczeli sztywno jak żołnierze, trzymając karabinki na kolanach i wyteżając słuch, by wyłować najdrobniejsze hałasy. Jack co jakiś czas puszczał na oślep kilka serii w kierunku skraju doliny, zwłaszcza wtedy gdy przypominał sobie, ile amunicji wiezie pociąg. Nawet jeśli tę odległą część Spustoszonych Ziem zamieszkiwali ludzie czy potwory, to przez cały drugi dzień chłopcy mieli spokój. Co oznaczało, pomyślał

Jack ze znużeniem, że być może wiedzą, czym jest broń palna. Albo że tak blisko zachodniego wybrzeża nikt nie miał ochoty utrudniać przejazdu pociągowi Morgana.

Jack nie zwierzył się ze swoich podejrzeń Richardowi, który rozglądał się szklistymi, rozbieganymi oczami i przez większość czasu wyglądał na ogarniętego gorączką.

12

Wieczorem tego dnia Jack zaczął wyczuwać w kwaśnym powietrzu woń słonej wody.

## Rozdział trzydziesty szósty

### Jack i Richard ruszają na wojnę

1

Zachód słońca tego dnia zalał większy obszar czerwoną poświatą - teren stawał się coraz bardziej otwarty w miarę zbliżania się do oceanu - ale nie był tak widowiskowy. Jack zatrzymał pociąg na szczycie zerodowanego wzgórza i znów przełazi na lorę. Grzebał na niej prawie przez godzinę - aż ponure barwy spłówiały na niebie, a na wschodzie wzeszedł księżyc w kwadrze. Chłopiec zabrał na przód pociągu sześć skrzynek z napisami: SOCZEWKI.

- Otwórz je - polecił Richardowi. - Przelicz - zostałeś mianowany Zbrojmistrzem.

- Cudownie - odrzekł słabym głosem Richard. - Wiedziałem, że cała ta edukacja mi się na coś przyda.

Jack jeszcze raz przeszedł na lorę i podważył pokrywę skrzyni z napisem: CZĘŚCI DO MASZYN. W tej samej chwili usłyszał rozlegający się gdzieś w ciemności chrapliwy, gwałtowny wrzask, po którym nastąpił przenikliwy krzyk bólu.

- Jack? Jack, jesteś tam?

- Jestem! - odkrzyknął.

Pomyślał, że bardzo niemądrze z ich strony, że krzyczą się jak para praczek, ale ton Richarda sugerował, że jest bliski paniki.

- Zaraz wracasz?

- Za chwilę! - zawołał Jack.

Naparł silniej na lufę uzi. Zostawiali Spustoszone Ziemie za sobą, ale Jack mimo wszystko nie miał ochoty zatrzymać się zbyt długo. Prościej byłoby, gdyby przeniósł całą skrzynię do lokomotywy, ale była za ciężka.

Nie są ciężkie te moje uzi, pomyślał Jack i zachichotał cicho w ciemności.

- Jack? - W wysokim głosie Richarda pobrzmiwała trwoga.

- Tylko nie wyskocz z portek, chłopie - powiedział.

- Nie mów do mnie: chłopie - odciął się Richard. Gwoździe zaskrzeczały o pokrywę skrzyni, która wreszcie oblużowała się na tyle, że Jack zdołał ją oderwać. Chwycił dwa naoliwione pistolety i już zawracał, gdy zauważył jeszcze jedną skrzynkę, wielkości mniej więcej przenośnego telewizora. Wcześniej kryła ją fałda plandeki.

Jack przemknął w słabym księżycowym blasku po lorze, czując powiew na twarzy. Powietrze było świeże - nie cuchnęło zastarzającymi perfumami, nie czuć było w nim zepsucia, jedynie wilgoć i bez wątpienia woń soli.

- Co ty wyprawiasz? - jęczał Richard. - Mamy przecież pistolety, Jack! Mamy amunicję! Musiałeś leżeć tam po więcej? Coś mogło się tu podkraść w czasie, kiedy tam grzebałeś!

- Potrzebujemy więcej pistoletów, bo broń automatyczna rozgrzewa się przy ciągłym strzelaniu - odrzekł Jack. - Amunicja też jest niezbędna. Widzisz, ja też oglądam telewizję.

Zawrócił w kierunku lory. Pragnął sprawdzić, co jest w tamtej skrzynce.

Richard chwycił go za ramię. Panika sprawiła, że jego dłoń przypominała ptasie szpony.

- Wszystko będzie dobrze, Richard...

- Coś może cię porwać!

- Myślę, że jesteśmy już blisko granicy Spus...

- Coś może mnie porwać! Nie zostawiaj mnie samego, Jack!

Richard wybuchnął płaczem. Nie odwrócił się od Jacka ani nie zasłonił twarzy rękami; po prostu stał w miejscu ze zmarszczoną twarzą, a łzy tryskały mu z oczu. W tym momencie wydał się przyjacielowi okrutnie obnażony. Jack objął go i przytulił.

- Jak cię coś dopadnie i zabije, to co będzie ze mną? - zaszlochał Richard. - Jak zdołam się w ogóle stąd wydostać?

Nie wiem, pomyślał Jack. Naprawdę nie wiem.

2

I oto Richard towarzyszył Jackowi w ostatniej wyprawie do arsenału na lorze. Trzeba go było wepchnąć po drabince, pomóc mu przejść po wierzchu wagonu i uważać, jak schodzi na dół, tak jak asystuje się starszce w przechodzeniu przez ulicę. Racjonalny Richard wracał do formy, jeśli chodziło o umysł - ale fizycznie słabł coraz bardziej.

Skrzynkę oznakowano: OWOCE, chociaż spomiędzy deszczulek sączyła się zabezpieczająca oliwa. Nie był to zupełnie zły opis, stwierdził Jack, gdy ją otworzyli. Skrzynkę wypełniały granaty. Tylko nikomu nie radziłby ich jeść.

- Rany julek - wyszeptał Richard.

- Ktokolwiek to jest - zgodził się Jack. - Pomóż mi. Myślę, że zdołamy wcisnąć sobie po cztery czy pięć pod koszule.

- Po co ci tyle uzbrojenia? - zapytał Richard. - Spodziewasz się bitwy z całą armią?
- Coś w tym rodzaju.

3

Richard podniósł wzrok na niebo, gdy wspólnie z Jackiem przechodzili po dachu wagonu towarowego. Ogarnęła go fala mdłości. Zatoczył się i Jack musiał go przytrzymać. Richard zdał sobie sprawę, że nie rozpoznaje gwiazdozbiorów ani z północnej, ani z południowej półkuli. Nad sobą miał obce gwiazdy... układały się jednak w konstelacje, więc żeglarze tego nieznanego, niewiarygodnego świata mogli według nich nawigować. Myśl ta dowiodła Richardowi, że sytuacja, w jakiej się znalazł, jest rzeczywista - wbiła mu to do głowy z ostatecznym, nieodwołalnym łomotem.

- Hej, Richie! - dotarło do niego wreszcie dobiegające gdzieś z oddali wołanie Jacka. - Na Jasona! O mało co nie zleciałeś z dachu!

W końcu znaleźli się z powrotem w kabinie.

Jack pchnął dźwignię do przodu, nacisnął drążek gazu i przerośnięta latarka Morgana z Orris znów potoczyła się na zachód. Jack popatrzył na podłogę kabiny: cztery pistolety maszynowe uzi, sterta około dwudziestu magazynków i dziesięć granatów ręcznych z zawleczkami, przypominającymi otwieracze puszek z piwem.

- Jeżeli tego nam nie wystarczy, to z góry możemy dać sobie spokój - oświadczył Jack.

- Czego się spodziewasz? - Jack tylko potrząsnął głową. - Pewnie myślisz, że ze mnie prawdziwy palant, co? - spytał Richard.

- Zawsze to wiedziałem, chłopie. - Jack się uśmiechnął.

- Nie mów do mnie: chłopie!

- Chłopie, chłopie, chłopie!

Tym razem stary żart wywołał słaby uśmiech. Niezbyt szeroki i raczej podkreślający rozszerzającą się linię owrzodzeń wokół ust Richarda... ale lepszy niż nic.

- Sądzisz, że mogę się przespać? - spytał Richard. Zepchnął na bok magazynki i ulokował się w kącie kabiny. Jack narzucił na niego opończę. - To przez całe to wspinanie się i dźwiganie... Myślę, że chyba rzeczywiście jestem chory, bo czuję się wyczerpany.

- Poradzę sobie - rzekł Jack.

Istotnie, czuł, że łapie drugi oddech. Był pewien, że niedługo mu się przyda.

- Czuję zapach oceanu - powiedział Richard.



Jack dosłyszał w jego tonie zdumiewającą mieszaninę miłości, obrzydzenia, nostalgii i strachu. Oczy Richarda zamknęły się same.

Jack pchnął do oporu dźwignię przyspieszenia. Jak nigdy dotąd czuł, że zbliża się koniec, nadchodzi kres.

4

Ostatnie jałowe i żałosne resztki Spustoszonych Ziem znikły przed zachodem księżyca. Na nowo pojawiło się zboże. Było marniejsze niż na Przełomach Ellisa, mimo wszystko promieniowało jednak aurą czystości i zdrowia. Dobiegało odległe wołanie ptactwa, przypominające krzyk mew. Był to niewymownie samotny dźwięk - może za sprawą olbrzymich, otwartych połaci pól, pachnących słabo owocami, a silniej oceaniczną solą.

Po północy pociąg wjechał z szumem między kępy drzew. Przeważnie były to drzewa iglaste, a ich sosnowa woń, przemieszana ze słonym posmakiem powietrza, zdawała się cementować więź między miejscem, do którego zmierzał Jack, i tym, z którego wyruszał. Nigdy nie spędził więcej czasu z matką w północnej Kalifornii - może dlatego, że jeździł tam na wakacje Bloat - przypomniał sobie jednak słowa Lily, iż okolice między Mendocino i Sausalito są bardzo podobne do Nowej Anglii, włącznie z przypominającymi solniczki domami i luksusowymi rezydencjami w stylu preferowanym na Cape Cod. Firmy filmowe, poszukujące nowoangielskiej scenerii, zwykle wyprawiały się po prostu do północnej części stanu, zamiast wędrować na drugą stronę kraju, a większość publiczności nawet nie dostrzegала różnicy.

*Tak właśnie powinno być. W jakiś niesamowity sposób wracam do miejsca, z którego wyruszyłem.*

Richard: Spodziewasz się bitwy z całą armią?

Był zadowolony, że Richard zasnął i nie musiał mu odpowiedzieć na to pytanie - przynajmniej do tej pory.

*Anders: Diabelstwa. Dla złych Wilków. Mają je zabrać do czarnego hotelu.*

Diabelstwami okazały się pistolety maszynowe uzi, materiały wybuchowe, granaty. Jechały pociągiem, natomiast źli Wilcy - nie. Pusty wagon towarowy był jednak dla Jacka straszliwie podejrzany.

*Oto historyjka dla ciebie, Richie. Cieszę się, że śpisz, więc nie muszę ci jej opowiadać. Morgan wie, że się zbliżam, toteż planuje zaskakujące powitanie. Tym razem jednak z tortu wyskoczą nie nagie dziewczyny, ale wilkołaki, a uzi i granaty mają im posłużyć jako akcesoria*

do zabawy. No cóż, porwaliśmy ten pociąg i przyjeżdżamy mniej więcej dziesięć czy dwanaście godzin przed czasem, ale ponieważ zmierzamy do obozu pełnego Wilków, które mają złapać ciuchcię z Terytoriów - myślę, że tak właśnie jest - to potrzebujemy maksymalnego zaskoczenia.

Jack potarł dłonią policzek.

Łatwiej byłoby zatrzymać pociąg z dala od miejsca, w którym stacjonowała grupa uderzeniowa Morgana, i okrążyć obóz wielkim łukiem. Łatwiej i bezpieczniej.

*Ale w ten sposób źli Wilcy zostaliby za naszymi plecami, Richie - kumasz?*

Popatrzył na arsenał na podłodze kabiny i zastanowił się, czyżby rzeczywiście planował atak w stylu komandosów na Wilczą Brygadę Morgana. Nieźli komandos! Stary, dobry Jack Sawyer, Król Włóczęgów i Pomywaczy Naczyń, oraz Jego Śpiączkowy Kompan, Richard. Zastanowił się, czy nie oszalał. Pomyślał, że tak, skoro to właśnie planował - tego żaden z nich się nie spodziewał... a poza tym za dużo przeszedł. Po prostu za dużo: został wychłostany, a Wilk zginął. Jego wrogowie zniszczyli szkołę Richarda i prawie odebrali mu rozum, a Morgan Sloat mógł równie dobrze być w tej chwili w New Hampshire i dręczyć jego matkę.

Oszalał czy nie, nadszedł czas na rewanż.

Jack pochylił się i wziął w rękę jeden z załadowanych pistoletów maszynowych. Tymczasem pociąg toczył się wciąż naprzód po torach, a woń soli w powietrzu stawała się coraz silniejsza.

5

Nad ranem Jack na jakiś czas przysnął, oparty o dźwignię przyspieszenia. Musiał ją przytrzymywać, bo inaczej pociąg by stanął. Pewnie nie poczułby się lepiej, gdyby wiedział, że takie urządzenie nazywa się trupa waja. [czujnik aktywności maszynisty] Gdy nastał świt, obudził go Richard.

- Coś jest przed nami.

Zanim Jack popatrzył w tę stronę, przyjrzał się dokładnie przyjacielowi. Miał nadzieję, że w świetle dnia Richard będzie lepiej wyglądał, ale nawet kosmetyka świtu nie potrafiła ukryć prawdy, iż chłopiec jest chory. Blask nowego dnia zmienił barwę jego skóry z szarej na żółtą... i to wszystko.

- Hej! Pociąg! Halo, wielki, kurewski pociąg!

Krzyk był gardłowy, raczej przypominał zwierzęcy ryk. Jack popatrzył do przodu.

Zbliżali się do wąskiego, przypominającego blokhauz budyneczku.

Przed strażnicą stał Wilk - ale wszelkie podobieństwo do Wilka, przyjaciela Jacka, kończyło się na gorejących pomarańczowych oczach. Głowa tego Wilka wyglądała na okrutnie spłaszczoną, jakby jakaś wielka łapa skosiła wierzchnią krzywizną czaszki. Twarz sterczała przed cofniętą szczęką jak głaz balansujący na skraju wysokiej przepaści. Nawet radosne zaskoczenie, jakie odmalowało się na niej w tej chwili, nie mogło ukryć zatwardziałej, brutalnej bezmyślności. Przy policzkach Wilka zwisały małe, splecione warkoczyki, a jego czoło znaczyła blizna w kształcie litery X.

Wilk miał na sobie coś na kształt uniformu najemników - albo tak go sobie wyobrażał. Workowate, zielone spodnie wybrzuszały się nad czarnymi, wysokimi butami. Jack dostrzegł jednak, że noski butów odcięto, a z dziur sterczały włochate palce o długich pazurach.

- Pociąg! - częściowo warknął, częściowo szczeknął Wilk, gdy pojazd pokonał ostatnich pięćdziesiąt jardów. Zaczął podskakiwać z dzikim uśmiechem i strzelać palcami jak Cab Galloway. Obrzydliwa piana tryskała mu pomiędzy szczęk. - Pociąg! Pociąg! Kurewski pociąg WŁAŚNIE TU I TERAZ! - Rozwarł paszczę w wielkim budzącym grozę uśmiechu, ukazując mrowie połamanych, przypominających dzidy zębów. - Pospieszyliscie się, kurwa! I dobrze, kurwa!

- Co to jest, Jack? - zapytał Richard; gwoli uczciwości trzeba było przyznać, że mówił spokojnie, chociaż skutek paniki kurczowo ścisnął ramię przyjaciela.

- To Wilk. Jeden z Wilków Morgana.

*Proszę bardzo, Jack, wypowiedziałeś to imię. Bęcwał!*

Nie miał jednak czasu teraz się tym przejmować. Pociąg prawie zrównał się z wartownią, a Wilk najwyraźniej chciał wskoczyć do kabiny. Jack przyglądał się, jak wilkołak pląsał niezgrabnie w kurzu, łomocząc buciarami z wyciętymi noskami. Wilk miał nóż przy przerzuconym przez pierś jak bandolet skórzanym pasie - ale nie broń palną.

Jack ustawił bezpiecznik uzi na ogień pojedynczy.

- Morgan? Kto to jest Morgan? Który Morgan?

- Nie teraz - powiedział Jack.

Skupił się na wyłącznie jednym - na Wilku. Na jego użytek zdobył się na szeroki uśmiech jak z gumy, trzymając uzi przy nodze, poza jego polem widzenia.

- Pociąg Andersa. Kurwa, jak dobrze! Tu i teraz!

Po prawej stronie lokomotywy, nad szerokim, przypominającym listwę stopniem, znajdowała się poręcz stercząca jak wielka zszywka tapicerska. Uśmiechający się obłędnie,

parskający pianą na podbródek i najwyraźniej szalony Wilk chwycił ją i bez trudu wskoczył na stopień.

- Hej, gdzie stary? Wilk! Gdzie...

Jack podniósł uzi i strzelił w lewe oko Wilka.

Gorejący, pomarańczowy blask zgasł jak świeca przy silnym powiewie wiatru. Wilk spadł w tył ze stopnia jak człowiek nurkujący w dość idiotyczny sposób i runął z łoskotem na ziemię.

- Jack! - Richard szarpnął go za ramię. Jego twarz wyglądała równie dziko jak u Wilka - tyle że wykrzywiła ją zgroza, nie radość. - Chodziło ci o mojego ojca? Mój ojciec jest w to wmieszany?

- Ufasz mi, Richard?

- Tak, ale...

- W takim razie daj sobie spokój. Daj spokój. Nie ma na to czasu.

- Ale...

- Bierz pistolet.

- Jack...

- Bierz pistolet, Richard! Richard pochylił się po uzi.

- Nienawidzę broni - powtórzył.

- Tak, wiem. Sam szczególnie za nią nie przepadam, Richie, ale nadszedł czas na rewanż.

6

Pociąg dojeżdżał do wysokiego parkanu. Dobiegały zza niego pomruki i okrzyki, rytmiczne klaskanie, odgłosy uderzających w równym tempie w gołą ziemię obcasów. Rozchodziły się też inne, trudniejsze do zidentyfikowania dźwięki, wszystkie jednak pasowały Jackowi do dość określonego wzorca - szkolenia wojskowego. Dystans między wartownią i zbliżającym się parkanem wynosił pół mili. Biorąc pod uwagę to, co się za nim działo, chłopiec wątpił, czy ktokolwiek usłyszał pojedynczy strzał. Elektryczny pociąg jechał prawie bezgłośnie, dzięki czemu powinni mieć przewagę zaskoczenia.

Tory znikwały pod zamkniętą, podwójną bramą. Pomiędzy grubo ciosanymi belkami widać było szczeliny, przez które sączył się blask słońca.

- Lepiej zwolnij, Jack - powiedział Richard.

Znajdowali się już sto pięćdziesiąt jardów od bramy. Rozlegało się zza niej gromkie skandowanie: “Ooolejno-OLICZ! Az-dwa! Czy-czte-RY! Ooolejno-OLICZ!”. Jackowi znowu przypomniały się zwierozczłeki H. G. Wellsa i zadrżał.

- Nie da rady, chłopie. Taranujemy bramę. Zostało ci jeszcze dość czasu, żeby krzyknąć na wiwat.

- Oszalałeś, Jack!

- Wiem.

Sto jardów. Szemrały akumulatory. Przeskoczyła niebieska, skwiercząca iskra. Po obu stronach przepływała goła ziemia. Nie ma tu zboża, pomyślał Jack. Gdyby Noel Coward napisał sztukę o Morganie Sloacie, pewnie zatytułowałby ją “Skundlony duch”.

- A co będzie, jeśli ta dziwaczna kolejka wyskoczy z torów, Jack?

- No, to możliwe - odparł chłopiec.

- Albo jeżeli przejedziemy przez bramę, a tory kończą się tuż za nią?

- No to załatwimy się na cacy, nie?

Pięćdziesiąt jardów.

- Naprawdę postradałeś zmysły, Jack - prawda?

- Pewnie tak. Odbezpiecz broń, Richard. Richard przesunął bezpiecznik.

Łoskoty... pomruki... odgłosy marszu... skrzypienie skóry... krzyki... nieludzki wrzask, od którego Richard się skulił. Mimo to Jack dostrzegł w twarzy przyjaciela zdecydowanie, co wywołało w nim uśmiech dumy. Nie zamierza mnie porzucić... stary Racjonalny Richard nie zamierza mnie porzucić.

Dwadzieścia pięć jardów.

Krzyki... piski... wykrzykiwane komendy... i gruby, gadzi ryk - Groooo-OOOO - od którego Jackowi włosy stanęły dęba na karku.

- Jeśli wyjdziemy stąd żywcem, to kupię ci w Dairy Queen podwójnego chili doga.

- Bo się porzygam! - zawołał Richard.

Niewiarygodne, ale zaczął się uśmiechać. W tym momencie chorobliwa żółtość częściowo znikła z jego twarzy.

Pięć jardów - a okorowane bele, z których zbito bramę, wydawały się solidne, tak, bardzo solidne. Jack miał ledwie czas pomyśleć, czy nie popełnił wielkiego błędu.

- Pochyl się, chłopie!

- Nie nazywaj m...

Pociąg uderzył w bramę w parkanie. Obydwóch chłopców rzuciło do przodu.

Brama rzeczywiście była bardzo mocna, a na dodatek blokowały ją od wewnątrz dwie poziome, wielkie belki. Pociąg Morgana nie należał do zbyt dużych, a w trakcie długiej przeprawy przez Spustoszone Ziemie akumulatory niemal doszczętnie się wyczerpały. Na pewno wypadłby z torów od zderzenia, a obaj chłopcy mogliby zginąć w katastrofie, brama miała jednak piętę achillesową. Nowe zawiasy, wykute zgodnie ze współczesnymi amerykańskimi standardami, zostały dopiero zamówione. Jeszcze nie dotarły, a stare, żelazne, pękły, gdy lokomotywa staranowała bramę.

Pociąg przetoczył się na drugą stronę ogrodzenia z prędkością dwudziestu pięciu mil na godzinę, pchając przed sobą oderwaną bramę. Za parkanem zbudowano tor przeszkód. Wierzeje zaczęły spychać jak pług śnieżny prowizoryczne drewniane przeszkody - wywracały je, toczyły przed sobą, miażdżyły na drzazgi.

Trafiły również Wilka zaliczającego karne okrążenia. Stopy wilkołaka znikły pod poruszającą się bramą i zostały zmielone na proszek, razem z przerobionymi butami. U Wilka natychmiast zaczęła się Przemiana; warcząc i wrzeszcząc, zaczął na poły wdrapywać się, na poły podciągać na skrzydło bramy, posługując pazurami, które błyskawicznie stawały się tak długie i ostre jak kolce montera telefonicznego. Pociąg ujechał już czterdzieści stóp za ogrodzenie. W zdumiewający sposób Wilk zdołał wdrzeć się niemal na szczyt bramy, nim Jack przerzucił dźwignię w jałowe położenie. Pociąg stanął. Brama przewróciła się do przodu, wzbijając olbrzymi kłęb kurzu i miażdząc pod sobą nieszczęsnego Wilka. Jego stopy pod ostatnim wagonem wciąż obrastały futrem; miało to potrwać jeszcze przez kilka minut.

Sytuacja w obozie wyglądała lepiej, niż Jack się spodziewał. Pobudka najwidoczniej odbywała się tu wcześniej, jak to zwykle bywa w jednostkach wojskowych. Większość żołnierzy opuściła już koszary i odbywała dziwaczne odmiany ćwiczeń fizycznych i musztry.

- Po prawej! - krzyknął Jack.

- Co mam robić?! - odkrzyknął Richard.

Jack otworzył usta i krzyknął: za wujka Woodbine'a przejechanego na ulicy; za nieznanego woźnicę zatłuczonego na śmierć pejcem na zabłoconym dziedzińcu; za Ferda Janklowa; za Wilka zabitego w obrzydliwym gabinecie Sunlighta Gardenera; za swoją matkę - ale przede wszystkim, zorientował się, za Królową Laurę DeLoessian, która była również jego matką, i za zbrodnię, popełnianą na Terytoriach. Zawołał jako Jason, a jego głos był donośny jak grom.

- DAJMY IM CZADU! - zagrział Jack Sawyer/Jason DeLoessian i otworzył ogień.

8

Jack miał z boku prymitywny plac parad, a Richard - długi, zbity z bali budynek, wyglądający jak myśliwski szałas, który był jednak zapewne koszarami. W istocie miejsce to wyglądało dla Richarda o wiele bardziej znajomo niż wszystkie, jakie zobaczył w niesamowitym świecie, do którego zabrał go Jack. Podobne obozy widział w dziennikach telewizyjnych: wspierani przez CIA rebelianci szykowali się w nich do przewrotów w krajach Ameryki Środkowej i Południowej. Obozy takie znajdowały się jednak zwykle na Florydzie, a z tych baraków nie wylewali się Kubańczycy - chociaż Richard nie miał pojęcia, kim byli.

Niektórzy przypominali nieco diabły i satyrów ze średniowiecznych malowideł. Niektórzy z nich kojarzyli się ze zdegenerowanymi istotami ludzkimi - prawie jaskiniowcami. Jedna z istot, która chwiejnym krokiem wyszła na światło dnia, była natomiast pokryta łuskami i miała błony mrużne w oczach... Skojarzyła się Richardowi Sloatowi z jakimś cudem chodzącym pionowo krokodylem. Na jego oczach istota wydała okrzyk, który wcześniej słyszał z Jackiem: Gro-oo-OOOO! Richard miał ledwie czas dostrzec, że większość tych piekielnych stworów wygląda na całkowicie oszołomione, gdy uzi Jacka rozdarło świat grzmieniem.

Od strony Jacka około dwóch tuzinów Wilków ćwiczyło na placu parad. Tak jak okaz z wartowni, miały na sobie zielone polowe spodnie, buty z odciętymi noskami i bandolety. Podobnie jak wartownik, miały spłaszczony łby oraz wyglądały na głupie i złe do szpiku kości.

Przerwały w połowie serię podskoków i patrzyły, jak pociąg wjeżdża do środka obozu - z bramą i przylepionym do niej z przodu nieszczęśnikiem, który zaliczał karne okrążenie w niewłaściwym czasie i miejscu. Gdy Jack krzyknął, zaczęły się ruszać, ale było już za późno.

Pierwsza jazgotliwa, przeciągła seria z pistoletu maszynowego Jacka skosiła większość Wilczej Brygady, starannie dobieranej przez Morgana przez pięć lat ze względu na siłę i brutalność oraz strach i lojalność wobec swojego pana. Wilcy potykali się i zataczali w tył, ze zdruzgotanymi klatkami piersiowymi i krwawiącymi głowami. Warczeli z dezorientacji i wściekłości, wyli z bólu... jednak tylko niektórzy; większość z nich po prostu zginęła od razu.

Jack wyrzucił magazynek, chwycił kolejny, wsunął go na miejsce. Po lewej stronie placu parad zostało czterech całych Wilków; dwóch kolejnych na środku zeszło z linii strzału.

Ci ostatni byli ranni, lecz czołgali się w stronę pociągu, ryjąc długimi pazurami bruzdy w ubitym kurzu. Włosy porastały im twarze, gorzały ślepia. Gdy poderwali się w stronę lokomotywy, Jack zobaczył, jak w paszczach wyrastają im kły i przeciskają się między sztywnymi jak druty włosami, które na ich podbródkach stawały się coraz dłuższe.

Nacisnął spust uzi, z wysiłkiem przytrzymując rozgrzaną lufę, którą silny odrzut starał się poderwać. Obaj atakujący Wilcy zostali zmiecieni w tył z taką siłą, że wykonali salta w powietrzu jak akrobaci. Pozostali czterej nie czekali; rzucili się w kierunku miejsca, gdzie przed dwoma minutami stała jeszcze brama.

Zbiorowisko stworzeń, które wytoczyły się z przypominających szałas baraków, zdawało się wreszcie pojmwować, że chociaż nowo przybyli przyjechali pociągiem Morgana, nie sposób było ich uznać za przyjaźnie nastawionych. Istoty nie podjęły zgranego ataku, ruszyły jednak hurmem do przodu, dodając sobie odwagi pomrukami. Richard oparł lufę uzi na sięgającej piersi obudowie akumulatorów i otworzył ogień. Pociski rozszarpywały stwory i rzucały nimi do tyłu. Dwie istoty, wyglądające jak kozły, przypadły na ręce i kolana - czy też na kopyta - i umknęły do środka. Richard zobaczył, że trzy kolejne obracają się i padają, zmiecione siłą ognia. Ogarnęła go radość tak dzika, że zrobiło się mu od niej słabo.

Kule rozdarły również białawo-zielony brzuch niby-aligatora; zaczęła się zeń lać niemal czarna ciecz - posoka, nie krew. Stwór runął w tył, zamortyzował jednak upadek ogonem. Poderwał się z powrotem na równe nogi i rzucił w stronę Richarda. Znów wydał prymitywny, potężny ryk... lecz tym razem chłopiec miał wrażenie, że pobrzmiwa w nim coś koszmarnie kobiecego.

Richard pociągnął za spust uzi. Nic się nie stało. Magazynek był pusty.

Niby-aligator biegł powoli i łomotał stopami z niezgrabną determinacją. Oczy migotały mu morderczą furią... i inteligencją. Szczątkowe piersi podskakiwały na pokrytych łuskami żebrach.

Richard pochylił się i nie odrywając wzroku od aligatorki, natrafił po omacku na granat.

Seabrook Island, pomyślał jak we śnie. Jack nazywa to miejsce Terytoriami, ale naprawdę to Seabrook Island, więc nie ma potrzeby się bać, naprawdę nie ma potrzeby; to wszystko sen, a jeśli ten łuskowa ty stwór zaciśnie mi pazury na szyi, na pewno się obudzę, a jeżeli to nawet nie sen, Jack mnie jakoś uratuje - wiem, że to zrobi, wiem to, bo Jack jest tutaj jakiegoś rodzaju bóstwem.

Richard wyciągnął zawleczkę, zwalczył silną chęć, by go po prostu upuścić, i rzucił go lekko wznoszącym się łukiem.



- Padnij, Jack!

Jack natychmiast schował się za ściankę kabiny. Richard zrobił to samo, ale dopiero po tym, gdy zobaczył niewiarygodną, w czarny sposób komiczną rzecz: niby-aligator złapał granat... i próbował go zjeść.

Wybuch okazał się nie głuchym chrupnięciem, jakiego spodziewał się Richard, ale głośnym, ryczącym hałasem, świdrującym w uszach i paskudnie je katującym. Rozległo się chlupnięcie, jakby ktoś oblał bok lokomotywy wiadrem wody.

Richard podniósł wzrok i zobaczył, że lokomotywa, wagon towarowy i lora pokryły się gorącymi jelitami, czarną krwią i pasmami mięśni niby-aligatora. Wybuch zmiotł cały przód baraków. Znaczna część sterczących z rumowiska drzazg była uwalana krwią. Spośród nich wystawała włochata stopa w bucie z obciętym noskiem.

Chłopiec patrzył, jak coś rozpycha belki zwalone na kupę jak słomki. Zaczęły się spomiędzy nich wydobywać dwa kozłopodobne stwory. Richard pochylił się, wyszukał pełny magazynek i wcisnął go na miejsce. Zgodnie ze słowami Jacka broń zaczynała się grzać.

Juhuuu! - wrzasnął w myślach Richard i ponownie nacisnął spust.

9

Gdy Jack po wybuchu granatu wysunął głowę zza osłony, zobaczył, że czterej Wilcy, którzy uszli cało po dwóch pierwszych seriach, wybiegali z wyciem zgrozy przez dziurę po bramie. Gnali jeden obok drugiego, a Jack miał wolne pole ostrzału. Uniósł uzi i opuścił. Wiedział, że zobaczy ich znowu, pewnie w czarnym hotelu. Zdawał sobie sprawę, że postępuje jak głupiec... ale głupiec czy nie, nie potrafił strzelać im w plecy.

Zza baraków rozległ się wysoki, wręcz kobiecy krzyk:

- Wynocha stąd! Wynocha, mówię! Ruszcie się! Ruszajcie!

Jack poznał ten ton i głos. Kiedy słyszał go po raz ostatni, był zakutany w kaftan bezpieczeństwa. Poznałby go wszędzie.

*...Jeśli ten niedorozwój się pokaże, to go zastrzel.*

*No, to ci się udało, ale chyba nadszedł czas rewanżu - i sądząc po twoim głosie, chyba zdajesz sobie z tego sprawę.*

- Bierzcie ich! Co się z wami dzieje, tchórze?! Bierzcie ich! Mam wam wszystko tłumaczyć? Za nami! Za nami!

Zza ruin baraków wyłoniły się trzy stwory. Ale tylko Osmond miał zdecydowanie ludzką postać. W jednej dłoni miał pejcz, a w drugiej - automatycznego stena. Był ubrany w

czerwony płaszcz, czarne, wysokie buty i białe jedwabne spodnie z szerokimi, powiewającymi nogawkami, pochłapane świeżą krwią. Towarzyszyła mu kędzierzawa, koziego kształtu istota w dzinsach i butach w westernowym stylu. Stwór i Jack popatrzyli na siebie przez chwilę i rozpoznali się bez cienia wątpliwości. Był to potworny barowy kowboj z "Oatley Tap" sobowtór Randolpha Scotta. Elroy. Uśmiechnął się do Jacka; długi jęzor wysunął się mu z ust i oblizwał o górną wargę.

- Bierz go! - krzyknął Osmond do Elroya.

Jack próbował podnieść uzi, ale nagle broń wydała mu się straszliwie ciężka. Sam Osmond był zły, ponowne pojawienie się Elroya było jeszcze gorsze, ale istota, która znajdowała się między nimi, stanowiła żywe wcielenie koszmaru. Miał przed sobą tutejszą wersję Reuela Gardenera - syna Osmonda, czyli Sunlighta. Istotnie trochę przypominała dziecko - narysowane przez bystrego przedszkolaka z okrutnymi predyspozycjami.

Reuel był chudy jak szczapa, a cerę miał bladą jak serwatka. Jedna z rąk kończyła się przypominającą robaka macką, która skojarzyła się Jackowi z pejczem jego ojca. Oczy - jedno z nich uciekało we wszystkie strony - znajdowały się na różnych wysokościach. Policzki pokrywały wielkie, czerwone wrzody.

*Skutki choroby popromiennej... Na Jasona, myślę, że chłopak Osmonda dostat się za blisko którejś z kul ognia... ale reszta... Jasonie... Jezu... czym była jego matka? Na wszystko, co najdroższe na świecie, CZYM BYŁA JEGO MATKA?*

- Brać Uzurpatora! - darł się Osmond. - Oszczędźcie syna Morgana, ale bierzcie Uzurpatora! Bierzcie fałszywego Jasona! Wyłazić, tchórze! Skończyła się im amunicja!

Rozległy się ryki i wrzaski. Jack zdał sobie sprawę, że lada chwila świeża drużyna Wilków, wspomaganych przez Doborowe Pokraki i Straszydła, wychynie z końca jednego z długich baraków, gdzie uchowały się przed wybuchem i gdzie pewnie kryły się z łbami między nogami, gotowe wszystko przeczezać... gdyby nie Osmond.

- Nie powinieneś wychodzić na drogę, kurczaczku - powiedział Elroy.

Kiedy Elroy rzucił się w stronę pociągu, powietrze przeciął szum ogona. Reuel Gardener - lub to, czym Reuel był w tym świecie - wydał gruby, miauczący odgłos i spróbował ruszyć jego śladem. Osmond wyciągnął rękę i go powstrzymał. Jack miał wrażenie, że jego palce zagłębiają się w odrażającej, łupkowatej szyi chłopca-potwora.

Jack wreszcie podniósł uzi i wystrzelił cały magazynek z bliska w twarz Elroya. Pociski zerwały niby-koźlu całą głowę z ramion, ale mimo to bezgłowy stwór piął się jeszcze przez chwilę w górę. Jedna z rąk, ze stopionymi razem w dwie wypustki palcami w parodii rozszczępionego kopyta, na oślep macała w poszukiwaniu głowy Jacka, nim opadła w tył.

Chłopiec patrzył na nią oszołomiony. Wielokrotnie śniła mu się ostateczna konfrontacja w "Oatley Tap", kiedy to starał się uciec przed tym potworem przez śmietnik - mroczną dżunglę pełną sprężyn od łóżek i tłuczonego szkła. Natknął się jednak znowu na tego stwora i zdołał go zabić. Trudno było ogarnąć to rozumem - zupełnie, jakby zabił dziecięce straszidło.

Richard tymczasem krzyczał - a jego pistolet maszynowy zagrział, niemal ogłuszając Jacka.

- To Reuel! Och Jack och mój Boże och Jasonie to Reuel, to Reuel...

Uzi w rękach Richarda wykrztusiło jeszcze kolejną krótką serię i zamilkło z pustym magazynkiem. Reuel wyrwał się ojcu. Stwór miauczając, ruszył w niezgrabnych podskokach w stronę pociągu. Ściągnął górą wargę, odsłaniając długie zęby, które sprawiały wrażenie kruchych i fałszywych, jak woskowe szczęki zakładane przez dzieci na Halloween.

Ostatnia seria Richarda trafiła Reuela w pierś i szyję. Wybiła dziury w brązowym połączeniu kamizelki z kiltem, wydarła długie, nierówne bruzdy w ciele. Z ran pociekły pomału strużki ciemnej krwi - ale nic więcej. Reuel pewnie był kiedyś człowiekiem - Jack zakładał, że to możliwe. Jeśli nawet, to przestał nim już być. Trafiające go pociski nie sprawiły na nim wrażenia. Stwór, który przeskoczył niezgrabnie nad ciałem Elroya, był demonem. Cuchnął jak mokry muchomor.

Jack poczuł coś ciepłego na nodze. Początkowo ciepłego... a następnie gorącego. Co takiego? Zupełnie jakby miał w kieszonce czajniczek na herbatę. Nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Przed nim rozgrywały się kolejne wydarzenia. W technikolorze.

Richard upuścił uzi i zatoczył się w tył. Poprzez kratę z palców patrzył na Reuela.

- Zrób coś, żeby mnie nie dostał, Jack! Zrób coś, żeby mnie nie dostaaaaaał...

Reuel bulgotał i pomiaukiwał. Walnął dłońmi o bok lokomotywy; przypominało to odgłos wielkich płetw plaskających o wilgotny muł.

Jack dostrzegł, że istotnie między palcami ma grube, żółtawe błony.

- Wracaj! - krzyczał Osmond na syna, a w jego głosie brzmiał strach. - Wracaj! On jest zły, zrobi ci krzywdę, wszyscy chłopcy są źli, to pewnik, wracaj, wracaj!

Reuel zagulgotał i entuzjastycznie warknął. Podciągnął się, a Richard wrzasnął szaleńczo i cofnął się w kąt kabiny.

- ZRÓB COŚ, ŻEBY MNIE NIE DOSTAAAAAAŁ...

Zza rogu wypadli kolejni Wilcy i kolejne pokraki. Stwór ze sterczącymi z głowy na boki zakręconymi baraniami rogami, odziany jedynie w parę połatanych, przykrótkich spodni, upadł i został stratowany przez pozostałych.

Żar opasał nogę Jacka.

Reuel przerzucił chudą jak patyk nogę przez bok kabiny. Ślinił się, sięgał po Jacka, a noga się wiła. To wcale nie była noga, tylko macka. Jack uniósł uzi i wystrzelił.

Połowa twarzy niby-Reuela została ścięta jak pudding. Z reszty zaczęła wysypywać się powódź robactwa.

Reuel się jednak nie zatrzymał.

Sięgał po niego zrośniętymi błoną palcami.

Richard wrzeszczał. Jego wrzask zlewał się w jedno z krzykami Osmonda.

Żar na nodze Jacka przypominał przypiekanie żelazem do piętnowania. Nagle zdał sobie sprawę, co to takiego. Zrozumiał w chwili, gdy dłoń Reuela wpiła się w jego bark. Była to moneta od kapitana Farrena - ta, której nie chciał przyjąć Anders.

Sięgnął do kieszeni. Moneta przypominała bryłkę rudy. Ścisnął ją w garści i poczuł przenikającą go moc. Reuel również ją wyczuł. Jego triumfalne bulgoty i pomruki zamieniły się w wylężnione pomiaukiwanie. Próbował się cofnąć, wciąż patrząc obłądnie ocalałym okiem.

Jack wyciągnął monetę. Gorzała na jego dłoni, rozpalona do czerwoności. Czuł wyraźnie żar - ale go nie paliła.

Profil Królowej lśnił jak słońce.

- W jej imię, parszywy, poroniony stworze! - krzyknął Jack. - Zniknij z oblicza świata!

Otworzył rękę i przycisnął monetę do czoła Reuela.

Reuel i jego ojciec wrzasnęli równocześnie - Osmond tenorem, który graniczył z sopranem, jego syn brzęczącym, owadzi basem. Moneta zagłębiła się w czole Reuela jak czubek rozgrzanego pogrzebacza w kostce masła. Obrzydliwa, ciemna ciecz barwy mocnej herbaty pociekła po głowie stwora na rękę Jacka. Płyn był gorący, wiły się w nim maleńkie robaki. Wierciły się na skórze Jacka; czuł, jak go kłują. Mimo to przycisnął dwa pierwsze palce prawej ręki jeszcze silniej, wgniatając monetę w głowę potwora.

- Zniknij z oblicza świata, poczwaro! W imię Królowej i jej syna, zniknij z oblicza świata!

Stwór zawył i zaskowyczał; Osmond zawył i zaskowyczał razem z nim. Potwory biegnące z odsieczą zatrzymały się i bezradnie stały za plecami Osmonda, na ich twarzach malowała się groza. W ich oczach Jack jakby urósł i roztaczał wokół siebie potężne światło.

Reuel szarpnął się i wydał jeszcze jedno bulgoczące skrzeczenie. Czarna ciecz płynąca z jego głowy nabrała żółtej barwy. Z wypalonej przez monetę dziury wypełził wijący się,

ostatni biały robak. Spadł na podłogę kabiny. Jack rozdeptał go; poczuł jak pęka i tryska obrzydliwą mazią. Reuel zwał się bezwładnie na ziemię

Przez zakurzony plac przetoczył się krzyk furii i rozpacz tak głośny, że Jack przestraszył się, iż naprawdę pęknie mu czaszka. Richard zwinął się w kłębek jak płód, ściskając głowę.

Osmond też krzyczał. Wypuścił z rąk pejcz i pistolet maszynowy.

- Och, podły! - wołał, wygrażając Jackowi pięściami. - Zobacz, co zrobiłeś! Och, podły, zły chłopcze! Nienawidzę cię, nienawidzę na zawsze i jeszcze dłużej! Och, podły Uzurpatorze! Zabiję cię! Morgan cię zabije! Och, mój drogi, jedyny synu! PODŁY! MORGAN ZABIJE CIĘ ZA TO, CO ZROBIŁEŚ! MORGAN...

Pozostali zaczęli szeptem powtarzać za nim wołanie. Jackowi przypomnieli się chłopcy z Domu Sunlighta: *możecie powiedzieć: alleluja?* Wreszcie zamilkli, bo ucichły wszelkie dźwięki.

Jackowi stanęło natychmiast przed oczami popołudnie, które spędzali z Wilkiem nad strumieniem, gdy obserwował pasące się stado, pił i słuchał, jak Wilk opowiada o swojej rodzinie. Było to błogie popołudnie... przynajmniej do chwili pojawienia się Morgana.

Morgan zaś przybywał ponownie - nie przeskakiwał, lecz na swój sposób gwałtem wdzierał się do tego świata.

- Morgan! To...

- Morgan, Pan...

- Pan na Orris...

- Morgan... Morgan... Morgan...

Odgłos darcia stawał się coraz głośniejszy. Wilcy klękali pokornie na ziemi. Osmond podskakiwał, szurając stopami i depcząc czarnymi butami stalowe ostrogi na końcach rzemieni pejcza.

- Zły chłopiec! Podły chłopiec! Zapłacisz teraz! Przybywa Morgan! Przybywa Morgan!

Powietrze około dwudziestu stóp na prawo od Osmonda zaczęło mżyć i mętnieć, jak nad uruchomioną spalarką.

Jack rozejrzał się i zobaczył, że Richard zwinął się pośród śmietniska pistoletów maszynowych, amunicji i granatów jak mały chłopczyk, który zasnął podczas zabawy w wojnę. Zdawał sobie jednak sprawę, że Richard nie śpi i że to nie jest zabawa, a jeśli jego przyjaciel zobaczy wyłaniającego się z dziury pomiędzy światami ojca, to oszaleje.

Jack wyciągnął się na podłodze kabiny obok przyjaciela i otoczył go ramionami. Odgłos przypominający rozdzieranie prześcieradła narastał.

- Co ten pociąg robi tu O TEJ PORZE, głupcy?! - rozległ się grzmiący, straszliwe gniewny ryk Morgana.

- Podły Uzurpator zabił mi syna! - wyjął Osmond.

- Ruszamy, Richie - mruknął Jack i objął silniej wychudzony tułów przyjaciela. - Czas opuścić okręt.

Zamknął oczy, skoncentrował się... i przez chwilę poczuł zawrót głowy. Przeskoczyli do innego świata.

## Rozdział trzydziesty siódmy

### Richard pogrąża się we wspomnieniach

1

Obydwaj chłopcy doznali uczucia przetaczania się w bok i w dół, jakby między dwoma światami była krótka rampa. Jack usłyszał gasnący, a wreszcie zamierający wrzask Osmonda: “Żli! Wszyscy chłopcy! Pewnik! Wszyscy chłopcy! Podli! Podli!”.

Przez chwilę zawisli w rozrzedzonym powietrzu. Richard krzyknął. Chwilę później Jack runął barkiem na ziemię. Głowa Richarda odbiła się od jego piersi. Jack nie otworzył oczu, lecz jedynie leżał na ziemi, tuląc przyjaciela, nasłuchując i badając zapachy.

Panowała cisza. Nie bezgraniczna i nieskończona, ale wielka - śpiew dwóch czy trzech małych ptaków był kontrapunktem dla jej rozmiarów.

Pachniało chłodem i solą. Dobry zapach... lecz nie tak dobry, jak woń świata w Terytoriach. Nawet tutaj - gdziekolwiek to było - Jack wyczuwał słaby odorek, przypominający zapach starego oleju, który wsiąkł w betonowe posadzki garaży na stacjach benzynowych. Woń zbyt wielu ludzi, zapuszczających zbyt wiele silników; skaziła całą atmosferę. Nos Jacka był na nią uwrażliwiony, więc wyczuł ją nawet w miejscu, gdzie nie słyszało się żadnych samochodów.

- Jack? Nic się nam nie stało?

- Pewnie, że nie - powiedział Jack i otworzył oczy, by przekonać się, czy nie skłamał.

Pierwsze spojrzenie sprawiło, że do głowy przyszedł mu przerażający pomysł: jakimś cudem w trakcie gorączkowej ucieczki, chcąc umknąć przed przybyciem Morgana, nie przeskoczył z przyjacielem w amerykańskie Terytoria, ale pchnął ich naprzód w czasie. Miejsce było to samo, lecz jakby starsze, porzucone, jakby minęło stulecie czy dwa. Pociąg wciąż stał na torach i wyglądał dokładnie tak, jak poprzednio. Wszystko inne się zmieniło. Tory, przecinające zarośnięty chwastami plac musztry, na którym wciąż stali, i biegnące Bóg wie gdzie dalej, były stare i spęczniałe od rdzy. Podkłady wyglądały na gąbczaste i przegniłe. Pomiędzy nimi rosło wysokie zielsko.

Jack mocniej przytulił Richarda, który poruszył się słabo w jego ramionach i otworzył oczy.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Jacka, rozglądając się dookoła.

W miejscu przypominających szalasy baraków stała długa szopa z prefabrykatów o dachu z blachy falistej, pokrytym łatami rdzy. Tylko dach było widać, cała reszta ginęła w

gąszczu powoju i dzikich chwastów. Przed szopą stała para słupów, na których pewnie niegdyś wisiała tablica informacyjna. Teraz nie pozostał po niej nawet ślad.

- Nie wiem - odparł Jack. Spoglądając w miejsce, gdzie był tor przeszkód - obecnie ledwie widoczne koleiny w ziemi, zarośnięte resztkami dzikich floksów i nawłoci - dał wyraz swym obawom. - Może przeniosłem nas do przodu w czasie.

Ku jego zdumieniu Richard się roześmiał.

- Dobrze w takim razie wiedzieć, że w przyszłości niewiele się zmieni - powiedział.

Wskazał arkusz papieru, przybity do jednego z masztów przed magazynem/barakami. Papier był nieco wypłowiały, ale dawało się na nim bez trudu przeczytać:

**OBCYM WSTĘP WZBRONIONY!**

Z nakazu Biura Szeryfa Okręgu Mendocino

Z nakazu Kalifornijskiej Policji Stanowej

**ZŁAMANIE ZAKAZU BĘDZIE KARANE!**

2

- No, skoro wiedziałeś, gdzie jesteśmy, to po co pytałeś? - rzekł Jack, czując wielką ulgę i wiedząc jednocześnie, że zachowuje się idiotycznie.

- Dopiero zauważyłem tablicę - odparł Richard.

Jeśli nawet Jack miał ochotę ochrzanić Richarda, to mu przeszło. Jego przyjaciel strasznie wyglądał - jakby rozwinęła się u niego koszmarna odmiana gruźlicy, która obejmowała mózg, a nie płuca. Nie chodziło jedynie o wstrząsającą w posadach zdrowiem umysłowym podróż do Terytoriów i z powrotem - wydawało się, że Richard zdołał się do tych przesądów przyzwyczaić. Dowiedział się jednak niedawno czegoś innego. Nie chodziło tylko o to, że rzeczywistość okazała się całkowicie odmienna od jego wyobrażeń; z tym mógłby się pogodzić, gdyby miał na to dość czasu. Kiedy jednak dowiadujesz się, że twój ojciec to jeden z facetów w czarnych kapeluszach, trudno to uznać za jeden z fajniejszych momentów w życiu.

- Dobra - powiedział, starając się, by jego głos brzmiał pogodnie; w istocie rzeczywiście poczuł lekki przyływ optymizmu. Wydostanie się z łap takiego potwora jak Reuel tchnęłoby nieco pogody ducha nawet w dziecko umierające na raka, pomyślał. - No, zbieraj się, raz-dwa, Richie. Marny jeszcze parę obietnic do spełnienia, kilka mil do zrobienia, a ty ciągle masz łeb z kamienia.



- Ktokolwiek ci wmówił, że masz poczucie humoru, zasługuje na to, żeby go rozstrzelać, chłopie. - Richard się skrzywił.

- Pocauj mon dipa, mon ami.

- Dokąd idziemy?

- Nie wiem - odparł Jack - ale gdzieś niedaleko. Czuję to, jakbym miał haczyk w umyśle.

- Do Point Venuti?

Jack odwrócił głowę i przeciągle przyjrzał się Richardowi. Zmęczone oczy przyjaciela miały nieprzenikniony wyraz.

- Dlaczego tak sądzisz, chłopie?

- Tam właśnie idziemy?

Jack wzruszył ramionami. Może. Może nie.

Zaczęli powoli okrążyć zarośnięty chwastami plac parad. Richard zmienił temat.

- Czy to wszystko wydarzyło się naprawdę? - Zbliźali się do zardzewiałej bramy o dwóch skrzydłach. Nad zielenią widać było kreskę spłowiałego, niebieskiego nieba. - Czy cokolwiek z tego zdarzyło się naprawdę?

- Spędziliśmy parę dni w elektrycznym pociągu, jadącym dwadzieścia pięć, góra trzydzieści mil na godzinę - powiedział Jack. - Jakoś udało się nam dotrzeć ze Springfield w Illinois prawie na wybrzeże w północnej Kalifornii. Może ty mi powiesz, czy to wydarzyło się naprawdę?

- Tak... tak, ale...

Jack wyciągnął ręce. Nadgarstki miał pokryte wściekle czerwonymi, swędzącymi i palącymi bąblami.

- Ugryzienia robaków - wyjaśnił. - Robaków, które wyleciały z głowy Reuela Gardenera.

Richard odwrócił się i hałaśliwie zwymiotował.

Jack przytrzymał go; był pewien, że inaczej Richard po prostu padłby na ziemię. Przeraził się, gdy zobaczył, jak wychudł jego przyjaciel, gdy dotknął kościstego ciała, które kryło się pod koszulą ucznia prywatnej szkoły.

- Przepraszam, że to powiedziałem - rzekł, gdy Richard nieco doszedł do siebie. - Zachowałem się dość grubiańsko.

- Zgadza się. Może to jednak był jedyny sposób, by mnie... no, wiesz...

- Przekonać?

- No. Może. - Richard popatrzył na niego spojrzeniem rannego zwierzęcia. Całe jego czoło pokrywały już pryszcze, a wrzody okalały usta. - Jack, muszę cię o coś zapytać i chcę, żebyś mi odpowiedział... wiesz, szczerze. Chcę cię zapytać...

*Och, wiem, o co chcesz mnie zapytać, Richie.*

- Za parę minut - powiedział Jack. - Za parę minut odpowiem na wszystkie pytania, jeśli tylko potrafię. Na razie musimy jednak zająć się pewną inną sprawą.

- Jaką?

Zamiast odpowiedzi Jack podszedł do małego pociągu. Stał przed nim chwilę, przyglądając się pieńkowatej lokomotywie, wagonowi towarowemu i lorze. Czyżby jakimś cudem zdołał przetrzymać cały pociąg do północnej Kalifornii? Nie sądził. Przeskok z Wilkiem stanowił dla niego wielki wysiłek, przy przeciągnięciu Richarda do Terytoriów z kampusu Thayer School o mało nie wyrwał sobie ramienia z barku. Obydwa przeskoki wymagały od niego świadomego wysiłku woli. O ile sobie przypominał, w ogóle nie myślał o pociągu przy przeskoku - jedynie o wyrwaniu Richarda z paramilitarnego obozu szkoleniowego, nim zobaczy swojego starego. Przy przechodzeniu z jednej strony na drugą wszystko inne przybierało nieco odmienną postać - akt Migracji wymagał równocześnie aktu translacji. Koszule zamieniały się w kaftany; dżinsy stawały się wełnianymi spodniami, a pieniądze - patykami udającymi walutę. Pociąg wyglądał jednak tak samo jak po drugiej stronie. Morganowi udało się stworzyć coś, co nie traciło niczego podczas aktu Migracji.

*Wilcy mieli też na sobie niebieskie dżinsy, Jack-O.*

*No. A chociaż Osmond miał ulubiony pejcz, nosił również pistolet maszynowy.*

*Pistolet maszynowy Morgana. Pociąg Morgana.*

Po grzbiecie Jacka przebiegł lodowaty dreszcz. Usłyszał w duchu pomruk Andersa: Fatalna sprawa.

Tak, te słowa wiernie opisywały sytuację. Bardzo fatalna sprawa. Anders miał rację; wszystkie diabły stłoczyły się w ciasnej przestrzeni. Jack sięgnął do kabiny, wyciągnął z niej uzi, wsunął nowy magazynek i ruszył z powrotem do miejsca, gdzie Richard rozglądał się dookoła z zainteresowaniem.

- Wygląda to jak stary obóz szkoły przetrwania - powiedział.

- Taki, gdzie udający najemników amatorzy przygotowują się do trzeciej wojny światowej?

- No, coś w tym rodzaju. W północnej Kalifornii jest sporo takich miejsc... powstają i przez jakiś czas prosperują. Ponieważ trzecia wojna światowa nie wybucha, ludzie tracą zainteresowanie albo zostają zgarnięci za nielegalne posiadanie broni czy narkotyków, albo

coś w tym rodzaju. Mój... ojciec mi to powiedział. - Jack się nie odzywał. - Co chcesz zrobić z tym pistoletem, Jack?

- Spróbuję pozbyć się tego pociągu. Masz coś przeciw? Richard zadrżał; usta wykrzywiły się mu w grymasie niesmaku.

- Absolutnie nic.

- Dam radę wysadzić go tym uzi? Jeśli strzelę w cholerny plastik?

- Jedną kulą nie. Całym magazynkiem - może.

- Zobaczymy.

Jack przełożył bezpiecznik. Richard chwycił go za ramię.

- Może przed podjęciem eksperymentu mądrzej będzie cofnąć się do ogrodzenia - powiedział.

- Dobra.

Pod obrośniętą powojem siatką Jack wycelował uzi w płaskie, pogniecione opakowania plastiku. Nacisnął spust, a pistolet rozszarpał ciszę na strzępy. Przez chwilę ogień mistycznie unosił się z wylotu lufy. Strzały zabrzmiały szokująco głośno w grobowej ciszy panującej w opustoszałym obozie. Ptactwo zaskrzeczało ze strachu i zaskoczenia i umknęło w cichsze zakątki lasu. Richard skrzywił się i przycisnął ręce do uszu. Plandeka podskakiwała i kokieteryjnie falowała. Pistolet wreszcie przestał strzelać, chociaż Jack wciąż naciskał spust. Skończył się magazynek, a pociąg stał jakby nigdy nic.

- No, fajnie było - powiedział Jack. - Masz jakieś inne po...

Lora eksplodowała falą błękitnego ognia i z ogłuszającym hukiem. Jack zobaczył, że faktycznie unosi się nad ziemię, jakby startowała do lotu. Chwycił Richarda za szyję i przygiął do ziemi.

Eksplozje trwały długo. Metal przelatywał ze świstem nad głowami chłopców i spadał jak prysznic na dach blaszanej szopy. Co jakiś czas większe odłamki brzęczały jak chiński gong lub rozlegało się chrzęszczenie, gdy naprawdę wielkie bryły wybijały dziury w dachu. Wreszcie coś rąbnęło w ogrodzenie tuż nad głową Jacka i zostawiło w nim olbrzymią dziurę. Uznał, że czas pryskać. Pociągnął Richarda w stronę bramy.

- Nie! - krzyknął Richard. - Torami!

- Co?

- To... - Jakiś odłamek zaświszczał nad ich głowami. Obydwaj chłopcy przypadli do ziemi, zderzając się głowami. - Torami! - zawołał Richard, trąc czaszkę bladą dłonią. - Nie drogą! Chodźmy torami!

- Kapuję!

Jack był zaskoczony, ale nie kwestionował propozycji przyjaciela. Musieli dokądś pójść.

Dwaj chłopcy zaczęli czołgać się wzdłuż zardzewiałej siatki, jak żołnierze pokonujący ziemię niczyją. Richard pełził nieco w przód, w kierunku dziury w ogrodzeniu, przez którą biegły tory.

Jack oglądał się po drodze przez ramię - przez uchyloną bramę widział tyle, ile potrzebował czy też chciał. Większość pociągu jakby po prostu wyparowała. Pokręcone kawałki metalu, niektóre wciąż dające się zidentyfikować, ale przeważnie anonimowe, rozsypały się szerokim kręgiem dookoła miejsca, gdzie pociąg przybył do Ameryki - tam gdzie go zbudowano, kupiono i za niego zapłacono. To, iż chłopcy nie zginęli od fruwających szrapneli, było zdumiewające; trudno uwierzyć, lecz nie zostali nawet draśnięci.

Najgorsze minęło. Wydostali się za bramę i wstali (choć byli gotowi do uników i biegu, jeśli nastąpią kolejne wybuchy).

- Mojemu ojcu nie spodoba się, że wysadziłeś jego pociąg, Jack - powiedział Richard.

Mówił idealnie spokojnym głosem, gdy jednak Jack obejrzał się na niego, zobaczył, że przyjaciel płacze.

- Richard...

- Nie, wcale mu się to nie spodoba - powtórzył Richard, jakby odpowiadał sam sobie.

3

Gęsty, bujny pas sięgającego kolan zielska rósł między torami, które według oceny Jacka wybiegały z obozowiska mniej więcej na południe. Same tory były zardzewiałe i od dawna nieużywane; miejscami osobliwie się powyginały - wypaczyły.

To skutek trzęsień ziemi, doszedł do wniosku Jack.

Za ich plecami wciąż wybuchał plastik. Jack cały czas myślał, że wreszcie się to skończyło, po czym rozległo się kolejne przeciągłe, warczące BREEE-APPP! Pomyślał, że przypomina to chrząkanie giganta. Albo puszczenie wiatrów. Obejrzał się i zobaczył wiszącą na niebie czarną opończę dymu. Nasłuchiwał, czy nie rozlegnie się grube, ciężkie potrzaskiwanie ognia - jak każdy, kto mieszkał dłużej na kalifornijskim wybrzeżu, bał się pożarów - płomienie się jednak nie rozprzestrzeniły. Nawet las wydawał się tutaj nowoangielski, gęsty i ciężki od wilgoci. Na pewno była to antyteza blado-brązowych okolic Baja California z ich przejrzystym, wysuszonym na kość powietrzem. Las w tym miejscu niemal pysznił się życiem; same tory stanowiły szramę, powoli niknącą pod naporem drzew,

krzewów i wszędobylskiego bluszczu (założę się, że trującego bluszczu, pomyślał Jack, drapiąc podświadomie ukąszenia na dłoniach). Kreska spłowiałego nieba niemal dorównywała szerokością przecince. Nawet żwir między podkładami porastał mech. Miejsce to wydawało się tajemnicze, stworzone do sekretów.

Jack narzucił ostre tempo - nie tylko po to, by zatrzeć po sobie ślady, nim zjawią się policjanci czy straż pożarna. Podczas szybkiego marszu Richard milczał. Musiał wysilać się, by dotrzymać Jackowi kroku... i nie miał już siły, by zadawać pytania.

Uszli mniej więcej dwie mile, a Jack wciąż gratulował sobie zduszającego w zarodku rozmowę fortelu, gdy Richard zawołał słabym, świszczącym głosem:

Hej, Jack...

Odwrócił się na czas, by zobaczyć, jak Richard, który został nieco w tyle, wali się na twarz. Krosty odbijały się od jego papierowo bladej skóry jak znamiona.

Jack ledwie zdążył go podtrzymać. Richard zdawał się ważyć nie więcej niż papierowa torebka.

- Och, Chryste, Richard!

- Jeszcze sekundę czy dwie temu czułem się nieźle - powiedział Richard takim samym słabym, świszczącym głosem. Oddychał bardzo szybko i sucho. Miał półprzymknięte oczy; Jack dostrzegał tylko białka i małe łuki niebieskich tęczy. - Po prostu... zasłabłem. Przepraszam.

Za ich plecami rozległ się kolejny ciężki, przypominający beknięcie wybuch, a po nim grzechot resztek pociągu, które spadały na dach blaszanego magazynu. Jack obejrzał się w tę stronę, po czym z obawą popatrzył wzdłuż torów.

- Możesz się mnie przytrzymać? Poniosę cię trochę na barana.

Cienie Wilka, pomyślał.

- Wytrzymam.

- Powiedz, jeśli nie możesz.

- Jack, gdybym nie mógł wytrzymać, tobym powiedział - odparł Richard z napawającym otuchą śladem swojej zwykłej, drażniącej manieri.

Jack postawił Richarda na nogi. Chłopiec utrzymał się na nich, ale zataczał się i wyglądał, jakby na ziemię mógł go powalić jeden cios. Jack odwrócił się i przykucnął, podeszwy butów oparł na starym, przegniłym podkładzie. Złożył ręce w strzemię. Richard objął go za szyję. Jack wstał i ruszył wzdłuż podkładów szybkim krokiem - prawie truchtem. Dźwiganie Richarda nie stwarzało żadnego problemu nie tylko dlatego, że chłopiec stracił na wadze. Jack wytaczał beczki z piwem, dźwigał pudła, zrywał jabłka. Przez jakiś czas zbierał

kamienie na Dalekim Polu u Sunlighta Gardenera, możecie powiedzieć: alleluja. Wszystko to stanowiło zaprawę. Zaprawa ta jednak nie sprowadzała się tylko do prostych i bezmyślnych ćwiczeń fizycznych, dotyczyła również jego ducha. Nie chodziło również o proste przeskakiwanie między dwoma światami, czy o to, że ów inny świat - bez względu na to, jak wspinały - zostawiał na nim swój ślad jak mokra farba. Jack domyślał się niejasno, że stara się uczynić coś donioślejszego niż tylko uratować życie matki; od samego początku chodziło o coś poważniejszego. Starał się zrobić dobry uczynek, a obecnie mętnie docierało do niego, że takie wariackie przedsięwzięcia zawsze hartują.

Przeszedł w trucht.

- Jeśli dostanę przez ciebie choroby morskiej, to po prostu zwymiotuję ci na głowę - odezwał się Richard głosem przerywanym w rytm kroków Jacka.

- Wiedziałem, że mogę liczyć na ciebie, Richie - wystękał z uśmiechem Jack.

- Czuję się... wyjątkowo głupio. Jak ludzki drządek pogo.

- Pewnie dokładnie tak wyglądasz, chłopie.

- Nie... mów do mnie: chłopie - wyszeptał Richard, a Jack uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Och, Richard, ty draniu, żyj wiecznie, pomyślał.

4

- Znałem tego człowieka - wyszeptał Richard znad ramienia Jacka.

Zaskoczył go tym tak, jakby Jack drzemał. Wziął przyjaciela na barki dziesięć minut temu, uszli kolejną milę i wciąż nie było widać jakichkolwiek oznak cywilizacji - oprócz torów. W powietrzu ciągle czuło się sól.

Tory, zastanowił się Jack. Czy biegną tam, gdzie się domyślałam?

- Jakiego człowieka?

- Tego z batem i pistoletem maszynowym. Znałem go. Widywałem go u nas.

- Kiedy? - wydyszał Jack.

- Dawno temu. Kiedy byłem mały. - Po chwili Richard dodał bardzo niechętnie: - Mniej więcej wtedy, kiedy miałem ten... ten dziwny sen w szafie. - Urwał na chwilę. - Chociaż to pewnie nie był sen, prawda?

- Nie. Pewnie nie.

- Tak... Czy człowiek z batem to był ojciec Reuela?

- A jak myślisz?

- Tak - odparł posępnie Richard. - Pewnie, że to był on.

Jack przystanął.

- Dokąd biegna te tory, Richard?

- Wiesz dokąd - odrzekł Richard z osobliwym spokojem ducha.

- No, myślę, że wiem. Chcę jednak usłyszeć, jak sam to mówisz. - Jack urwał. -  
Myślę, że potrzebuję usłyszeć, jak to mówisz. Dokąd biegna?

- Do miasteczka Point Venuti - powiedział Richard znowu takim tonem, jakby miał się rozplakać. - Jest tam wielki hotel. Nie wiem, czy to miejsce, którego szukasz, czy nie, ale myślę, że prawdopodobnie tak.

- Ja również - odparł Jack.

Ruszył dalej, z nogami Richarda pod pachami i nasilającym się bólem grzbietu. Wzdłuż torów, które prowadziły go - ich obu - do miejsca, gdzie mogło czekać wybawienie dla jego matki.

## 5

Richard mówił w trakcie marszu. Nie przeszedł od razu do kwestii zaangażowania jego ojca w te szaleńcze wydarzenia, ale zaczął powoli wokół niej krążyć.

- Znałem tego człowieka z dawnych czasów - powiedział. - Jestem tego praktycznie pewien. Przychodził do naszego domu. Zawsze wchodził od tyłu. Nie dzwonił ani nie pukał. Tak jakby... drapał do drzwi. Strasznie się tego bałem. Tak bardzo, że prawie lałem w gacie. Był wysoki - och, wszyscy dorośli wydają się wysocy małym dzieciom, ale ten facet był bardzo wysoki - i miał białe włosy. Przeważnie nosił ciemne okulary. Kiedy zobaczyłem program o nim w "Sunday Report", wiedziałem, że skądś go znam. Tamtej nocy, kiedy nadano ten program, ojciec siedział na górze i zajmował się jakimiś papierami. Siedziałem przed telewizorem, a kiedy ojciec zszedł i zobaczył, co oglądam, niemal wypuścił drinka z ręki. Potem zmienił kanał na powtórkę "Star Treka". Tyle że facet nie przedstawiał się jako Sunlight Gardener, kiedy odwiedzał mojego ojca. Nazywał się... nie mogę sobie dokładnie przypomnieć. Brzmiało to jak Banlon... czy Orion...

- Osmond?

- Właśnie tak. - Richard się rozpromienił. - Nigdy nie dowiedziałem się, jak ma na imię. Przychodził co miesiąc lub dwa. Czasami częściej. Kiedyś przez tydzień odwiedzał nas niemal co drugi wieczór, a potem zniknął prawie na pół roku. Zwykłem zamykać się w swoim pokoju, kiedy się zjawiał. Nie podobał mi się jego zapach. Skrapiał się czymś... pewnie wodą

kolońską, lecz pachniało to jeszcze silniej. Jak perfumy. Tanie perfumy z drogerii. Ale poza tym...

- Ale poza tym śmierdział, jakby nie kąpał się mniej więcej od dziesięciu lat. - Richard popatrzył na niego rozszerzonymi oczami. - Ja też poznałem Osmonda - wyjaśnił Jack. - Wyjaśnił to już - przynajmniej częściowo - lecz Richard go nie słuchał. Obecnie uważał jednak na jego słowa. - W części Terytoriów, odpowiadającej New Hampshire, zanim poznałem go jako Sunlighta Gardenera w Indianie.

- W takim razie musiałeś widzieć to... to coś.

- Reuela? - Jack pokręcił głową. - Reuel musiał być wtedy na Spustoszonych Ziemiach, na paru kolejnych terapiach kobaltem. - Jackowi przypomniały się ciekące owrzodzenia na twarzy stwora i wyłazące z niej robactwo. Popatrzył na zaczerwienione i obrzmiałe ślady ukąszeń na nadgarstkach i zadrżał. - Reuela spotkałem dopiero na końcu i nigdy nie widziałem jego amerykańskiego Dwójnika. Ile miałeś lat, kiedy Osmond zaczął do was przychodzić?

- Musiałem mieć cztery lata. To, co mnie spotkało... no wiesz, szafa... jeszcze się nie wydarzyło. Pamiętam, że po tym jeszcze bardziej się go bałem.

- Po tym, jak ta istota dotknęła cię w szafie.

- Tak.

- A to się stało, kiedy miałeś pięć lat.

- Tak.

- Kiedy obydwaj mieliśmy po pięć lat.

- Tak. Możesz mnie postawić. Na razie zdołam iść.

Jack go posłuchał. Ruszyli w milczeniu, ze spuszczoneymi głowami, nie patrząc na siebie. Gdy Richard miał pięć lat, coś sięgnęło po niego z ciemności i go dotknęło. Kiedy obaj mieli sześć

*(sześć lat, Jacky miał sześć)*

lat, Jack podsłuchiwał rozmowę ojca i Morgana Sloata o miejscu, do którego się wyprawiali - miejscu, które sam nazywał krainą Snów Na Jawie. Później w tym samym roku coś sięgnęło z ciemności i dotknęło jego i jego matkę. Był to ni mniej ni więcej tylko głos Morgana Sloata. Telefon Morgana Sloata z Green River w stanie Utah. Szlochał. On, Phil Sawyer i Tommy Woodbine wyjechali trzy dni wcześniej na coroczne listopadowe polowanie. Kolejny kumpel z college'u, Randy Glover, był właścicielem luksusowej chatki myśliwskiej w Blessington w stanie Utah. Glover zwykle polował z nimi, ale tego roku wybrał się na wycieczkę transatlantykiem po Karaibach. Morgan zadzwonił z informacją, że



Phil został zastrzelony, najprawdopodobniej przez jakiegoś myśliwego. Morgan i Tommy Woodbine wynieśli go z dziczy na skleconych prowizorycznie noszach. Phil odzyskał świadomość na tyle jeepa Cherokee Glovera, powiedział Morgan, i poprosił go, żeby przekazał Lily i Jackowi wyrazy miłości. Umarł kwadrans później, kiedy Morgan jechał jak szalony do najbliższego szpitala w Green River.

Morgan nie zabił Phila; Tommy mógł zaświadczyć, że wszyscy trzej byli razem, kiedy rozległ się strzał, gdyby było potrzebne zeznanie (czego, oczywiście, nigdy nie wymagano).

Nie znaczyło to jednak, że Morgan nie mógł wynająć kogoś, by strzelił w jego imieniu, pomyślał teraz Jack. Nie znaczyło to również, że wujek Tommy nie żywił żadnych podejrzeń. Jeśli tak, być może wujka Tommy'ego nie zabito wyłącznie po to, żeby Jack i jego umierająca matka zostali pozbawieni ochrony przed knowaniami Morgana. Może zginął, bo Morgana zmęczyło zastanawianie się, czy stara ciota nie napomknie wreszcie pozostałemu przy życiu synowi Phila Sawyera, że śmierć ojca mogła nie być wypadkiem. Jack poczuł dreszcze odrazy i przerażenia.

- Czy ten człowiek odwiedzał was, zanim twój i mój ojciec pojechali ostatni raz na polowanie? - spytał gwałtownie.

- Jack, miałem tylko cztery lata.

- Nie, nieprawda. Miałeś sześć lat. Miałeś cztery, kiedy zaczął do was przychodzić, ale miałeś sześć, kiedy mój ojciec zginął w Utah. Poza tym ty niewiele zapominasz, Richard. Czy przychodził do was mniej więcej w tym czasie, kiedy zginął mój ojciec?

- Wtedy właśnie przez tydzień przychodził niemal co noc - odrzekł ledwie słyszalnym głosem Richard. - Tuż przed ostatnim wyjazdem na polowanie.

Chociaż, ściśle rzecz biorąc, Richard niczemu nie zawinił, Jack nie zdołał ukryć goryczy.

- Mój ojciec zginął w wypadku na polowaniu w Utah. Wujek Tommy został przejechany w Los Angeles. Procent zgonów przyjaciół twojego ojca jest kurewsko wysoki.

- Jack... - zaczął Richard słabym, drżącym głosem.

- No, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem - powiedział Jack. - Kiedy jednak zjawiłem się w twojej szkole, powiedziałaś, że zwariowałem.

- Jack, nie różu...

- Nie, myślę, że nie. Byłem zmęczony, a ty pozwoliłaś mi się u siebie przespać. Świetnie. Byłem głodny, a ty mnie nakarmiłaś. Fajnie. Potrzebowałem jednak od ciebie przede wszystkim tego, żebyś mi uwierzyła. Wiedziałem, że zbyt wiele oczekuję, ale niech to cholera! - znałeś faceta, o którym ci opowiadałem. Wiedziałaś, że skumał się dawniej z twoim

ojcem. A ty mi powiedziałeś tylko coś w stylu: “Dobry stary Jack przesiedział za długo na słońcu na Seabrook Island, bla, bla, bla!”. Jezu, Richard, myślałem, że jesteśmy lepszymi przyjaciółmi.

- Wciąż nie rozumiesz.

- Czego? Że za bardzo bałeś się hec z Seabrook Island, żeby mi choć trochę uwierzyć?

- Głos Jacka zadrżał ze znużenia i rozdrażnienia.

- Nie. Obawiałem się czegoś o wiele poważniejszego.

- Och, tak? - Jack przystanął i zajął wojowniczo w bladą, nieszczęśliwą twarz Richarda. - Co mogło być poważniejszego dla Racjonalnego Richarda?

- Bałem się - odpowiedział idealnie spokojnym głosem Richard. - Bałem się, że jeśli dowiem się jeszcze czegokolwiek o tych otorbionych sekretach... o Osmondzie albo tym, co siedziało wtedy w szafie, nie będę mógł dłużej kochać mojego ojca. I miałem rację.

Richard ukrył twarz w chudych, brudnych dłoniach i się rozplakał.

6

Jack stał, patrzył na płaczącego Richarda i przeklinał w duchu, że okazał się po dwudziestokroć głupcem. Bez względu na to, kim jeszcze jest Morgan Sloat, jest również ojcem Richarda. Duch Morgana czaił się w kształcie dłoni syna i kościach jego twarzy. Czyżby o tym zapomniał? Nie - ale przez chwilę gorycz i rozczarowanie Richardem wymiotły mu to z pamięci. Pewną rolę odegrała również narastająca nerwowość. Talizman znajdował się już bardzo, bardzo blisko. Jack wyczuwał to zakończeniami nerwowymi tak, jak koń wyczuwa wodę na pustyni lub odległy pożar stepu na równinie. Niepokój ów sprawiał, że niemal jak wierzchowiec był gotów podskakiwać przy każdym dźwięku.

*No, dobra, ten facet to podobno twój najlepszy kumpel, Jack-O - bocz się na niego, jak masz ochotę, ale nie wdeptuj go w ziemię. Dzieciak jest poza tym chory, gdybyś tego nie zauważył.*

Wyciągnął ręce do Richarda. Przyjaciel próbował go odepchnąć, lecz Jack do tego nie dopuścił. Przyciągnął go do siebie. Obydwaj stali przez chwilę na środku opustoszałych torów. Richard złożył głowę na ramieniu Jacka.

- Posłuchaj - powiedział niezgrabnie Jack. - Postaraj nie przejmować się za bardzo... no wiesz... tym wszystkim... chociaż na razie, Richard. Po prostu spróbuj przystosowywać się do zmian, rozumiesz?

Rany, zabrzmiało to naprawdę idiotycznie. Jakby powiedzieć komuś, że ma raka, ale niech się nie przejmuje, bo niedługo "Gwiazdne wojny" będą na kasetach, więc będzie mógł się rozerwać.

- Pewnie - odrzekł Richard. Odsunął się od Jacka. Łzy wyłobily ślady na jego ubrudzonej twarzy. Otarł oczy ramieniem i spróbował się uśmiechnąć. - Będzie dobrze, będzie dobrze...

- I wszelkie sprawy ułożą się dobrze - włączył się Jack i dokończyli razem, a potem razem się roześmieli, i czuli, że wszystko jest jak dawniej.

- Chodź - powiedział Richard. - Idziemy.

- Dokąd?

- Po twój Talizman - odparł Richard. - Z tego, co mówisz, wynika, że jest w Point Venuti. To następna stacja. Chodź, Jack. Ruszajmy, lecz idź powoli, jeszcze nie skończyłem opowiadać.

Jack popatrzył na niego z zaciekawieniem. Ruszyli dalej, ale powoli.

7

Wreszcie pękła tama i Richard zaczął wspominać, okazał się nieoczekiwaną kopalnią wiedzy. Jack zaczynał czuć się, jakby układał puzzle, nie wiedząc, że brakuje kilku kluczowych elementów. Okazało się, że przez cały czas miał je Richard. Richard był wcześniej w obozie fanów przetrwania; był to pierwszy kawałek. Obóz należał do jego ojca.

- Jesteś pewny, że to to samo miejsce? - spytał z powątpiewaniem Jack.

- Naturalnie - odparł Richard. - Wyglądało nawet trochę podobnie, po drugiej stronie. Kiedy wróciliśmy... tutaj... byłem już pewny. - Jack pokiwał głową, nie wiedział, jak zareagować. - Zatrzymaliśmy się w Point Venuti. Zawsze się tam zatrzymaliśmy, zanim tu przyjechaliśmy. Pociąg to była fantastyczna zabawka. Przecież ilu ojców ma na własność cały pociąg?

- Niewielu - rzekł Jack. - Myślę, że Diamond Jim Brady i niektórzy jemu podobni mieli prywatne pociągi, ale nie wiem, czy byli ojcami, czy nie.

- Och, mój tata nie mógł się z nimi równać - powiedział Richard i się roześmiał. Byłbyś zaskoczony, Richardzie, pomyślał natomiast Jack. - Przyjeżdżaliśmy do Point Venuti wynajętym samochodem. Zatrzymaliśmy się stale w tym samym motelu. Tylko nas dwóch. - Richard urwał. Oczy zamgliły mu się od miłości i wspianych wspomnień. - Potem - kiedy się tam trochę poobijaliśmy - jechaliśmy pociągiem mojego taty do Camp Readiness. To był

tylko mały pociąg. - Obejrzał się nagle na Jacka. - Pewnie taki jak ten, którym tu przyjechaliśmy.

- Camp Readiness?

Wydawało się jednak, że Richard go nie usłyszał. Wpatrywał się w zardzewiałe tory. Tutaj były całe, ale Jack podejrzewał, że Richardowi przypomniały się wypaczone odcinki, które minęli jakiś czas temu. W paru miejscach końce szyn sterczały w powietrze jak pęknięte struny. Jack domyślał się, że w Terytoriach tory są w doskonałym stanie - starannie i z troską pielęgnowane.

- Widzisz, tutaj biegła linia tramwajowa - powiedział Richard. - Jeszcze w latach trzydziestych, tak mówił ojciec. Czerwona Linia Okręgu Mendocino. Ale nie należała do okręgu, tylko do prywatnej firmy, która splajtowała, bo w Kalifornii... sam wiesz...

Jack kiwnął głową. W Kalifornii wszyscy jeździli samochodami.

- Może mi opowiesz o tym obozie, Richard?

- To jedyne, o czym ojciec zabronił mi tobie mówić. Razem z rodzicami wiedzieliście, że czasami wyjeżdżamy na wakacje do północnej Kalifornii. Mówił, że to w porządku, ale miałem nie mówić ci o pociągu ani o Camp Readiness. Powiedział, że jeśli ci wypaplam, to się wścieknie, bo to tajemnica. - Richard urwał na chwilę. - Powiedział, że jeśli się wygadam, to nigdy więcej mnie tu nie zabierze. Myślałem, iż to dlatego, że nasi ojcowie powinni być we wszystkim współnikami. Teraz wiem, że chodziło o coś więcej. Linia tramwajowa splajtowała przez samochody i autostrady. - Urwał z namysłem. - Jedno zwróciło moją uwagę w miejscu, do którego mnie zabrałeś, Jack. Chociaż to niesamowite, nie śmierdziało tam węglowodorami. Mógłbym dostać świra na tym punkcie. - Jack ponownie pokiwał w milczeniu głową. - Spółka tramwajowa sprzedała w końcu całą linię - razem z klauzulą o zasiedzeniu i całą resztą - firmie zajmującej się zabudową terenów. Ta z kolei miała nadzieję, że ludzie zaczną osiedlać się w głębi lądu. Tyle że się nie doczekali.

- A potem kupił ją twój ojciec.

- Tak. Chyba tak, naprawdę nie wiem. Nigdy nie mówił zbyt dużo o kupnie linii... ani o tym, jak zastąpił tory tramwajowe kolejowymi. - Kosztowało to na pewno mnóstwo pracy, pomyślał Jack. Przypomniały mu się odkrywki z rudą i pozornie niewyczerpane zasoby niewolników Morgana z Orris. - Wiem, że je zastąpił, ale tylko dlatego, że dostałem książkę o kolei i dowiedziałem się, że jest różnica w rozstawie osi. Tramwaje jeżdżą po torach rozmiaru dziesięć, a to jest szesnastka. - Jack przykląkł. Istotnie dojrzał bardzo słaby, podwójny zarys pomiędzy szynami - ślady po dawnych torach kolejowych. - Miał mały, czerwony pociąg - powiedział z rozmarzeniem Richard. - Tylko lokomotywę i dwa wagony. Jeździł na oleju

dieslowskim. Ojciec śmiał się z tego i mówił, że jedyną rzeczą odróżniającą chłopców od mężczyzn jest cena ich zabawek. Na wzgórzu nad Point Venuti znajdowała się stara zajezdnia tramwajowa. Zajeżdżaliśmy tam wynajętym samochodem i wchodziliśmy do środka. Przypominam sobie, jak pachniała stacja - staro, ale miło... tak jakby była pełna blasku słońca. A pociąg tam stał. A mój tata... mówił: "Wszyscy pasażerowie do Camp Readiness proszeni są o wsiadanie. Richard! Masz bilet?". Była lemoniada... albo herbata z lodem... a my wsiadaliśmy do kabiny... czasami zostawialiśmy z tyłu rzeczy... zapasy... ale wsiadaliśmy z przodu... i... i... - Richard przełknął i otarł dłonią oczy. - I bardzo dobrze się bawiliśmy. - Tylko on i ja. Było naprawdę klawo. - Rozejrzył się z oczami lśniącymi od nieprzelanych łez. - W Camp Readiness umieszczono obrotnicę do zawracania pociągu - powiedział. - W tamtych czasach. Dawnych czasach.

Chłopiec wydał straszliwy, zduszony szloch.

- Richard...

Jack spróbował go dotknąć. Richard strząsnął jego rękę i cofnął się, ocierając łzy z policzków grzbietami dłoni.

- Nie byłem wtedy tak dorosły - kontynuował z uśmiechem. - Nic wtedy nie było takie dorosłe, prawda, Jack?

- Owszem - zgodził się Jack i nagle sam się rozplakał.

*Och, Richard. Mój drogi.*

- Nie było - powtórzył Richard z uśmiechem, rozglądając się po napierających na tory zaroślach i ocierając łzy brudnymi grzbietami dłoni. - Nic wtedy nie było takie dorosłe. W dawnych czasach, kiedy byliśmy po prostu dziećmi. Wtedy, kiedy żyliśmy w Kalifornii i nikt nie mieszkał gdzie indziej. - Popatrzył na Jacka i spróbował się uśmiechnąć. - Pomóż mi, Jack - powiedział. - Czuję się, jakby noga uwięzła mi w jakiejś dur-durnej puł-łapce i... i...

Richard osunął się na kolana i włosy mu opadły na zmęczoną twarz, Jack ukląkł obok niego, a ja nie jestem w stanie powiedzieć wam nic więcej - jedynie to, że pocieszali się najlepiej, jak potrafili, a to, jak pewnie wiecie z własnego gorzkiego doświadczenia, nigdy nie wystarcza.

8

- Siatka była wtedy nowa - odezwał się Richard, gdy jako tako wrócił do równowagi. Uszli nieco dalej. Lelek zaśpiewał na wysokim, krzepkim dębie. Woń soli w powietrzu stała się jeszcze silniejsza. - Pamiętam to. I znak - CAMP READINESS na nim napisano. Był tam

tor przeszkód, liny do wspinaczki i inne liny, na których się przeskakiwało nad wielkimi kałużami. Przypominało to nieco obozy piechoty morskiej z filmów o drugiej wojnie światowej. Goście, którzy posługiwali się tym sprzętem, wcale jednak nie wyglądali jak marines. Byli tłuści i wszyscy ubierali się tak samo - w szare dresy z niewielkim napisem: CAMP READINESS na piersiach i czerwonymi lamówkami na bokach nogawic. Wszyscy wyglądali, jakby lada chwila mieli dostać zawału serca czy udaru, a może jednego i drugiego naraz. Czasami tu nocowaliśmy. Parę razy zostaliśmy na cały weekend. Nie w tym blaszaku - to były baraki dla gości, którzy płacili za to, żeby nabrać kondycji.

- Jeśli o to właśnie im chodziło.

- No, zgadza się. O to właśnie im chodziło. Tak czy inaczej, nocowaliśmy w wielkim namiocie na pryczach. Czacha dymiała. - Richard znów uśmiechnął się z rozrzewnieniem. - Masz rację, Jack, nie wszyscy klienci, którzy się tu przewijali, wyglądali jak biznesmeni, starający się zdobyć kondycję. Inni...

- Co z tymi innymi? - zapytał cicho Jack.

- Niektórzy z nich - mnóstwo - wyglądali jak te wielkie, włochate stwory z tamtego świata - powiedział Richard tak niskim głosem, że Jack musiał wyteńczyć słuch. - Wiley. To znaczy, przypominali normalnych ludzi, ale nie za bardzo. Wyglądali... surowo. Wiesz, o co mi chodzi? - Jack pokiwał głową. Wiedział. - Pamiętam, że trochę się bałem zaglądać im w oczy. Co jakiś czas błyskały w nich śmieszne ogniki... jakby paliły się im mózgi. Inni... - W oczach Richarda pojawił się blask zrozumienia. - Inni przypominali tego trenera koszykówki na zastępstwie, o którym ci opowiadałem. Tego, który nosił skórzaną kurtkę i palił papierosy.

- Jak daleko stąd do Point Venuti, Richard?

- Dokładnie nie wiem, lecz docieraliśmy na miejsce w kilka godzin, a pociąg nigdy nie jechał zbyt szybko. Może z prędkością biegnącego człowieka, ale nie szybciej. Ogółem z Camp Readiness jest do miasteczka ze dwadzieścia mil. Może nieco mniej.

- W takim razie zostało nam piętnaście mil lub mniej. Do...

(do Talizmanu)

- No. Racja.

Jack podniósł wzrok na ciemniejące niebo. Jakby chcąc udowodnić, że żałosna sztampa nie jest wcale tak żałosna, słońce znikło pod opończą chmur. Zrobiło się pozornie o dziesięć stopni chłodniej, a dzień stał się bardziej ponury. Lelek umilkł.

Richard pierwszy zobaczył znak - zwyczajną, wyblakłą tablicę z drewna, na której wymalowano czarne litery. Stała po lewej stronie torów, najwidoczniej od bardzo dawna, bo bluszcz obrósł jej słupki. Jej treść była zupełnie aktualna. Brzmiała: DOBRE PTASZKI NIECH LATAJĄ, A ŻLI CHŁOPCY UMIERAJĄ. TO WASZA OSTATNIA SZANSA. WRACAJCIE DO DOMU.

- Możesz odejść, Richie - powiedział cicho Jack. - Nie będę miał do ciebie pretensji. Puszczą cię, nie ma sprawy. To wcale nie twój interes.

- Myślę, że mój - odparł Richard.

- Ja cię w to wciągnąłem.

- Nie - rzekł Richard. - Mój ojciec mnie w to wciągnął. Albo los. Albo Bóg. Albo Jason. Ktokolwiek to był, zostaję.

- No dobrze - powiedział Jack. - Chodźmy dalej.

Gdy mijali tablicę, Jack zrobił wymach nogą w dość zgrabnym ciosie kungfu i ją przewrócił.

- Musisz jeszcze poćwiczyć, chłopie - rzekł Richard z ulotnym uśmiechem.

- Dzięki. Nie mów mi tylko: chłopie.

10

Chociaż Richard pobladły i zaczął wyglądać na wycieńczonego, mówił przez następne pół godziny. W tym czasie schodzili wzdłuż torów, pogrążając się w stale narastającej woni Pacyfiku. Z Richarda wylewały się spiętrzone przez lata wspomnienia. Chociaż Jack nie dawał tego po sobie poznać, był oszołomiony z zaskoczenia... i głębokiego, wzbierającego współczucia dla samotnego dziecka, gorliwie chwytającego każdy strzęp aprobaty ojca. Taki właśnie zaprezentował mu się teraz Richard, czy czynił to świadomie, czy nie.

Jack patrzył na bladość Richarda, owrzodzenia na jego policzkach, czole i dookoła ust; wsłuchiwał się w jego niepewny ton - prawie szept, chociaż Richard nie wahał się ani nie ustawał w mówieniu o wszystkich ukrywanych sprawach, skoro przyszedł na to wreszcie czas. Jack ponownie poczuł zadowolenie, że Morgan Sloat nie był jego ojcem.

Richard powiedział, że pamięta wszystkie punkty orientacyjne na tym odcinku kolei. W pewnym miejscu nad drzewami widać było dach obory ze spłowiałą tablicą reklamową papierosów Chesterfield Kings.

- "Dwadzieścia pysznych tytoni daje dwadzieścia cudownych dymów" - zacytował z uśmiechem Richard. - W tamtych czasach widać było jednak całą oborę.

Wskazał wielką sosnę z rozdwojonym czubkiem, a po piętnastu minutach powiedział Jackowi:

- Po drugiej stronie tego wzgórza był głaz, który wyglądał jak żaba. Zobaczmy, czy wciąż tam jest.

*Był, a Jack przyznał, że istotnie wygląda jak żaba. Może pomaga, jeśli ma się trzy lata. Albo cztery. Albo siedem. Albo tyle, ile miał wtedy Richard.*

Chłopiec uwielbiał kolej i myślał wówczas, że Camp Readiness jest naprawdę fajny, bo można było w nim biegać po torze przeszkód, skakać i wspinać się po linach. Richard nie lubił jednak Point Venuti. Po paru minutach poszturchiwania swej pamięci przypomniał sobie nawet nazwę motelu, w którym zatrzymywał się z ojcem podczas pobytów w nadmorskim miasteczku. Królewskie Włości - powiedział... a Jack się zorientował, że ta nazwa nie jest mu nieznajoma.

Motel Królewskie Włości stał kawałek od starego hotelu, którym od zawsze interesował się jego ojciec, powiedział Richard. Chłopiec widział hotel z okna pokoju; też mu się nie podobał. Była to wielka, rozłożysta budowla z wieżyczkami, szczytami, dwuspadowymi dachami, kopułami i blankami; na wszystkich ostatnich kręciły się spiżowe kurki o dziwacznych kształtach. Obracały się nawet wtedy, kiedy nie wiał wiatr, powiedział Richard - wyraźnie przypominał sobie, że stał przy oknie w motelowym pokoju i przyglądał się, jak się kręcą i kręcą, dziwne, mosiężne stworzenia w kształcie półksiężyców, skarabeuszy i chińskich ideogramów, mrugające w słońcu, podczas gdy w dole pieniał się i grzmiał ocean.

*Ach, tak, doktorze, wszystko sobie wreszcie przypominam, pomyślał Jack.*

- Stał pusty? - zapytał.

- Tak. Był na sprzedaż.

- Jak się nazywał?

- Agincourt - Richard urwał, po czym dodał kolejny kolor - kredkę barwy, którą dzieci zwykle zostawiają w pudełku. - Był czarny. Zbudowano go z drewna, ale wyglądało jak kamień. Stary, czarny kamień. Tak właśnie nazywał go mój ojciec i jego przyjaciele: Czarny Hotel.

11

- Twój ojciec kupił ten hotel? - spytał Jack Richarda, częściowo - ale nie całkowicie - by odwrócić jego uwagę. - Tak jak Camp Readiness?

Richard zastanowił się chwilę i skinął głową.



- Tak - powiedział. - Wydaje mi się, że tak. Po jakimś czasie. Kiedy zaczął mnie tu zabierać, na bramie z frontu wisiała tablica "Na sprzedaż", lecz gdy za którymś razem tu przyjechaliśmy, już jej nie widziałem.

- Ale nigdy w nim nie byłeś?

- Boże, nie! - Richard zadygotał. - Ojciec mógłby mnie tam zaciągnąć jedynie na łańcuchu... a może nawet i wtedy nie wszedłbym do środka.

- Nigdy tam nie byłeś?

- Nie. Nigdy nie byłem ani nie będę.

*Ach, Richie, czy nikt nigdy nie nauczył cię, żeby nie mówić: nigdy?*

- To samo odnosi się do twojego ojca? Nigdy nawet nie wszedł do środka?

- O ile mi wiadomo, nie - powiedział swoim najlepszym profesorskim tonem Richard. Jego palec wskazujący powędrował do grzbietu nosa, jakby chciał podepchnąć okulary, których tam nie było. - Gotów jestem założyć się, że nigdy nie wszedł do środka. Bał się go tak samo jak ja. Jeżeli o mnie chodzi, to wszystko... po prostu się bałem. Jeśli chodzi o ojca, to było coś więcej. Miał...

- Miał - co?

- Moim zdaniem miał obsesję na punkcie tego budynku. - Richard urwał i popadł w namysł, a jego spojrzenie stało się nieobecne. - Chodził pod hotel i stawał naprzeciwko niego każdego dnia, kiedy byliśmy w Point Venuti. Nie na kilka minut czy coś w tym rodzaju, sterczał pod nim na przykład trzy godziny. Czasami dłużej. Przeważnie chodził sam. Ale nie zawsze. Miał... dziwnych przyjaciół.

- Wilków?

- Pewnie tak - powiedział prawie z gniewem Richard. - No, myślę, że niektórzy z nich to pewnie byli Wilcy, czy jak tam ich zwać. Wyglądali, jakby źle się czuli w ubraniach - zawsze się drapali, zwłaszcza w tych miejscach, w które nie powinni się drapać dobrze wychowani ludzie. Inni wyglądali jak zastępca trenera. Sprawiali wrażenie twardych i podłych. Niektórych z nich widywałem też w Camp Readiness. Coś ci powiem, Jack: ci goście bali się hotelu jeszcze bardziej niż mój ojciec. Po prostu kulili się ze strachu, kiedy do niego podchodzili.

- A Sunlight Gardener? Był kiedyś tutaj?

- E-e - zaprzeczył Richard. - Ale w Point Venuti przypominał bardziej człowieka, którego widzieliśmy po drugiej stronie...

- Osmonda.

- Właśnie. Ci ludzie nie zjawiali się tu jednak zbyt często. Przeważnie pod hotel chodził tylko mój ojciec - sam. Czasami kazał w restauracji naszego motelu zapakować sobie kilka kanapek. Siadał na ławce przy ulicy i zjadał obiad, przyglądając się hotelowi. Ja wystawałem w oknie holu Królewskich Włości i patrzyłem, jak ojciec ogląda hotel. Nigdy nie podobała mi się wtedy jego mina. Wyglądał, jakby się obawiał, ale i tak, jakby... jakby triumfował.

- Triumfował - powtórzył z zadumą Jack.

- Czasami pytał mnie, czy mam ochotę pójść z nim. Zawsze odmawiałem. Kiwał głową; pamiętam, że kiedyś powiedział: "Nadejdzie pora. Wszystko zrozumiesz, Rich... w swoim czasie". Pamiętam, jak pomyślałem, że jeśli chodzi o czarny hotel, to nie chcę rozumieć... - Po chwili przerwy Richard mówił dalej: - Raz, gdy był pijany, powiedział, że tam coś jest. Pamiętam, że leżeliśmy w łóżkach. Tej nocy wiał silny wiatr. Słyszałem, jak fale wpadają na plażę i piszczą kurki na szczytach wież Agincourt. Był to przerażający dźwięk. Myślałem o tym miejscu, o wszystkich tych pokojach, wszystkich pustych...

- Nie licząc duchów - mruknął Jack.

Wydało mu się, że słyszy kroki, i szybko się obejrzał. Nic; nikogo. Jak daleko sięgał wzrokiem, droga była pusta.

- Zgadza się: nie licząc duchów - przyznał Richard. - Spytałem wtedy: "To coś cennego, tato?". "To najcenniejsza rzecz, jaka w ogóle istnieje", odparł. "W takim razie jakiś ćpun może się tam włamać i ją ukraść", powiedziałem. Nie był to - jak mam to ująć - temat, który chciałbym rozwijać, ale nie chciałem też, żeby ojciec zasnął. Nie przy takim wietrze i piszczeniu obracających się w nocy kurków. Roześmiał się, a ja usłyszałem szczekanie, gdy nalewał sobie trochę więcej bourbona z butelki na podłozie. "Nikt tego nie ukradnie, Richie - rzekł. - A każdy ćpun, który włamie się do Agincourt, zobaczy rzeczy, jakich nigdy wcześniej nie widział". Wypił swojego drinka, ja zaś zorientowałem się, że robi się senny. "Tylko jedna osoba na całym świecie może dotknąć tej rzeczy, ale ona nigdy nawet się do niej nie zbliży, Rich. Mogę ci to zagwarantować. Interesuje mnie jeszcze jedno: to coś wygląda tak samo po drugiej stronie. Nie zmienia się - przynajmniej o ile wiem. Chciałbym to mieć, lecz nawet nie zamierzam próbować tego zdobyć. Przynajmniej na razie, a może nigdy. Mógłbym z tym czymś dokonać wielkich rzeczy - możesz się założyć! - jednak ogólnie rzecz biorąc, myślę, że najlepiej jest, jeśli to coś leży tam, gdzie w tej chwili". Samemu chciało mu się coraz bardziej spać, ale zapytałem go, czym jest to coś, o czym mówił.

- I co odpowiedział? - spytał z zaschniętymi ustami Jack.

- Nazwał to... - Richard zawahał się i zmarszczył z namysłem czoło. - Nazwał to "osią wszystkich możliwych światów". Potem się roześmiał. Potem nazwał to inaczej. Nie spodobałoby ci się.

- Czyli jak?

- Wściekniesz się.

- No, Richard, wykrztuś to.

- Nazwał to... no... nazwał to "szaleństwem Phila Sawyera".

Jack poczuł nie gniew, ale przyływ palącego, przyprawiającego o zawrót głowy podniecenia. Tak właśnie było, zgoda; tym właśnie był Talizman. Osią wszystkich możliwych światów. Ilu? Bóg jeden raczył wiedzieć. Amerykańskich Terytoriów, samych Terytoriów, hipotetycznych Terytoriów Terytoriów i tak dalej - jak rozwijające się bez końca paski z obracającego się cyruliczego słupa. Uniwersum światów, wielowymiarowy makrokosmos światów - a w nich wszystkich tylko jedna rzecz pozostawała zawsze taka sama, jedna jednocząca, niezaprzeczalnie dobra siła, nawet jeśli w tej chwili była uwięziona w złym miejscu: Talizman, oś wszystkich możliwych światów. Czy był również przedmiotem szaleństwa Phila Sawyera? Zapewne tak. Szaleństwem Phila... szaleństwem Jacka... Morgana Sloata... Gardenera... i oczywiście nadzieją dwóch Królowych.

- To coś więcej niż Dwójnicy - powiedział Jack ściszym głosem.

Richard brnął naprzód, przyglądając się, jak przegniłe podkłady znikają pod jego stopami. Podniósł nerwowo wzrok na Jacka.

- To coś więcej niż Dwójnicy, bo istnieją więcej niż dwa światy. Istnieją trójnicy... czwórnicy... kto wie? Morgan Sloat tutaj, Morgan z Orris po drugiej stronie; może Morgan, księżę Azreelu gdzieś indziej. *Ale nigdy nie wszedł do środka hotelu!*

- Nie wiem, o czym ty mówisz - odparł zrezygnowanym głosem Richard.

*Ale jestem pewien, że na tym nie poprzestaniesz, mówił ten ton. Przejdziesz od nonsensów do otwartych wariactw. Wszyscy pasażerowie na Seabrook Island - wsiadać!*

- Nie może wejść do środka. To znaczy, Morgan z Kalifornii nie może - i wiesz dlaczego? Bo Morgan z Orris nie może. A Morgan z Orris nie może, bo Morgan z Kalifornii nie może. Jeżeli którakolwiek z jego wersji nie może dostać się do czarnego hotelu w swoim świecie, to żadna z nich nie może tego zrobić. Rozumiesz?

- Nie.

Rozgorączkowany po dokonaniu tego odkrycia Jack w ogóle nie usłyszał odpowiedzi Richarda.

- Dwaj Morganowie czy ich dziesiątki - nieważne. Dwie Lily czy ich dziesiątki - dziesiątki Królowych w dziesiątkach światów, Richard, pomyśl tylko! Nie robi ci to wody z mózgu? Dziesiątki czarnych hoteli - tyle że w niektórych światach mogą to być czarne wesołe miasteczka... albo czarne place domów na kółkach... albo sam nie wiem, co. Ale, Richard...

Urwał, chwycił Richarda za ramiona i utkwił w nim spojrzenie gorejących oczu. Przyjaciel próbował przez chwilę się cofnąć, po czym znieruchomiał, zahipnotyzowany ognistym pięknem w twarzy Jacka. Nagle przez moment Richard uwierzył, że to wszystko jest możliwe. Nagle przez moment poczuł się uzdrowiony.

- Co? - szepnął.

- Niektóre rzeczy mogą się tam dostać. Niektórzy ludzie mogą wejść do środka. Są... no... mają pojedynczą naturę. Nie potrafię nijak inaczej tego określić. Są jak on - Talizman. Mają pojedynczą naturę. Jak ja. Mam pojedynczą naturę. Miałem Dwójnika, lecz umarł. Nie tylko w świecie Terytoriów, ale we wszystkich światach oprócz tego jednego. Wiem to - czuję. Mój tata też to wiedział. Myślę, że właśnie dlatego nazywał mnie Jackiem Wędrowniczkiem. Kiedy jestem tutaj, nie ma mnie tam. Kiedy jestem tam, nie ma mnie tutaj. Coś jeszcze, Richard: tak samo jest z tobą! - Richard utkwił w nim nieme spojrzenie. - Nie pamiętasz. Bujalesz prawie przez cały czas w krainie szajby, kiedy rozmawiałem z Andersem. Powiedział mi jednak, że Morgan z Orris miał chłopczyka. Rushtona. Wiesz, kim był Rushton?

- Tak - szepnął Richard. Wciąż nie potrafił oderwać wzroku od Jacka. - Był moim Dwójnikiem.

- Zgadza się. Chłopczyk zginął - tak powiedział Anders. Talizman ma pojedynczą naturę. My też. Twój ojciec nie. Widziałem Morgana z Orris w tamtym świecie. Przypomina twojego ojca, ale nie jest nim. Nie mógłby wejść do czarnego hotelu. Teraz nie może. Wie jednak, że masz pojedynczą naturę, tak samo jak wie, że ja ją mam. Pragnie mojej śmierci. Potrzebuje, żebyś stanął po jego stronie. Bo jeśli uzna wtedy, że naprawdę chce Talizmanu, to zawsze będzie mógł wysłać ciebie, byś mu go przyniósł, prawda? - Richard zaczął drżeć. - Nieważne - powiedział ponuro Jack. - Nie będzie się musiał już tym martwić. Zabierzemy stamtąd Talizman, ale on go nie dostanie.

- Jack, nie sądzę, żebym mógł tam wejść - powiedział Richard - jednak cichym, pozbawionym siły szeptem, a Jack, który już ruszył z miejsca, go nie dosłyszał.

Richard potruchtał, by dołączyć do niego.

Rozmowa ugrzęzła. Nadeszło południe i minęło. W lesie zrobiło się bardzo cicho. Dwukrotnie Jack zobaczył rosnące bardzo blisko torów drzewa o osobliwych, węzlastych korzeniach. Niezbyt mu się spodobały. Wyglądały za znajomo.

Wpatrujący się w niknące pod stopami podkłady Richard potknął się w końcu, upadł i uderzył w głowę. Jack wziął go znowu na barana.

- Tam, Jack! - zawołał Richard po - zdawałoby się - wieczności.

Przed nimi tory znikwały w starej zajezdni. Stożące otworem wrota ukazywały pograżone w cieniu wnętrze - jakby zmętniałe i nadzarte przez mole. Za zajezdnią (która może była niegdyś tak ładna jak w opisach Richarda, ale obecnie wydawała się Jackowi upiorna) znajdowała się autostrada - numer 101, domyślił się Jack.

Za nią ciągnął się ocean, słychać było łoskot przyboju.

- Myślę, że jesteśmy na miejscu - powiedział Jack suchym tonem.

- Prawie - odparł Richard. - Point Venuti jest mniej więcej milę dalej wzdłuż tej drogi. Boże, nie chciałbym, żebyśmy tam szli, Jack... Jack? Dokąd idziesz?

Jack się jednak nie obejrzał. Zszedł z torów, okrążył jedno z osobliwie wyglądających drzew (niedorównujące wielkością nawet krzewom) i skierował się ku drodze. Wysokie trawy i zielska ocierały się o jego obszarpane w drodze dzinsy. Coś we wnętrzu zajezdni tramwajowej - kiedyś prywatnej stacji kolejowej Morgana Sloata - poruszyło się w ohydny, pełzający sposób, ale Jack nawet nie obejrzał się w tę stronę.

Dotarł do drogi, przeszedł na drugą stronę i stanął na jej skraju.

13

*Blisko połowy listopada 1981 roku Jack Sawyer stal w miejscu, gdzie stykało się morze z lądem. Z dłońmi w kieszeniach dzinsów spoglądał na nieruchomy Pacyfik. Miał dwanaście lat i był nadzwyczajnie piękny jak na swój wiek. Miał brązowe, długie - prawdopodobnie zbyt długie - włosy, ale morska bryza odgarniała je mu z równego, pięknie zarysowanego czoła. Rozmyślał o swojej umierającej matce i o przyjaciółach, zarówno obecnych, jak i nieobecnych, oraz światach bez liku, krążących po swoich orbitach.*

Pokonałem cały dystans, pomyślał i zadrżał. Od wybrzeża do wybrzeża z Wędrującym Jackiem Sawyerem. Jego oczy nagle wypełniły się łzami. Zaczerpnął głęboko słonego powietrza. Oto się tu znalazł - a Talizman był już niedaleko.

- Jack!

Jack nie obejrzał się od razu; jego wzrok przykuwał Pacyfik i blask słońca odbijający się złoto od wierzchołków fal. Dotarł tutaj; udało się mu. On...

- Jack!

- He?

- Popatrz! - Richard, rozchylając usta, wskazywał, wzdłuż drogi w kierunku, w którym zapewne znajdowało się Point Venuti. - Tylko popatrz!

Jack posłuchał. Zrozumiał zaskoczenie Richarda, lecz sam go nie odczuwał - a przynajmniej nie bardziej, niż gdy przyjaciel podał mu nazwę motelu, w którym zatrzymywał się z ojcem w Point Venuti. Nie, zaskoczenie nie było duże, ale...

Ale cudownie było znów widzieć matkę.

Jej twarz miała dwadzieścia stóp wysokości; było to oblicze młodsze, niż Jack pamiętał. Tak wyglądała Lily u szczytu kariery. Włosy w pięknym mosiężnoblonde odcieniu miała upięte w kok w stylu aktorki Tuesday Weld. Jednak zadzierzysty, posyłający wszystko do diabła uśmiech niezaprzeczalnie należał tylko do niej. Nikt inny w filmach nie uśmiechał się w ten sposób - wynalazła ten uśmiech i wciąż miała na niego patent. Oglądała się przez obnażone ramię. Na Jacka... na Richarda... na Pacyfik.

Była to matka Jacka... ale kiedy mrugnął, twarz uległa subtelnej przemianie. Linia podbródka i szczęki zaokrągliła się, policzki stały się mniej wypukłe, włosy ciemniejsze, a oczy bardziej niebieskie. Było to teraz oblicze Laury DeLoessian, matki Jasona. Jack mrugnął ponownie, i znów miał przed sobą swoją matkę - w wieku dwudziestu ośmiu lat, uśmiechała się na przekór całemu światu z miną mówiącą: "pocałujta mnie w dupę, jak nie znacie się na żartach".

Była to tablica reklamowa. U jej góry biegł następujący napis:

TRZECI DOROCZNY ZABÓJCZY FESTIWAL

FILMÓW KLASY B

POINT VENUTI, KALIFORNIA

BITKER THEATER

10-20 GRUDNIA

TEGOROCZNA GWIAZDA: LILY CAVANAUGH

"KRÓLOWA FILMÓW KLASY B"

- To twoja matka, Jack - powiedział ochryplym ze zdumienia głosem Richard. - To tylko przypadek? Nie, to niemożliwe, prawda?

Jack potrzęsnał głową. Nie, to nie był przypadek.

Słowem, do którego wciąż biegło jego spojrzenie, było oczywiście: KRÓLOWA.

- Chodź - powiedział do Richarda. - Myślę, że jesteśmy prawie na miejscu.

Obydwaj ruszyli ramię w ramię drogą do Point Venuti.

## Rozdział trzydziesty ósmy

### Kres drogi

1

Jack przyjrzał się przygarbionemu grzbietowi i lśniącej twarzy idącego obok niego Richarda. Jego przyjaciel wyglądał, jakby poruszał się wyłącznie dzięki sile woli. Na jego twarzy wykwitło jeszcze kilka wilgotnych z wyglądu pryszczycy.

- Nic ci nie jest, Richie?

- Nie czuję się najlepiej, ale mogę jeszcze iść, Jack. Nie musisz mnie nieść.

Pochylił głowę i z uporem dalej przestawiał nogę za nogą. Jack zobaczył, że jego przyjaciel, który miał mnóstwo wspomnień, dotyczących osobliwej kolejki i osobliwej stacyjki, cierpi znacznie bardziej na widok obecnej rzeczywistości - pokrytych rdzą, połamanych podkładów, chwastów, trującego bluszczu... i rozpadającego się budynku na końcu trasy, na którym wypłowiwała cała niegdyś jaskrawa farba. Budynek, gdzie coś wierciło się niespokojnie w ciemnościach.

*Czuję się, jakby noga uwięzła mi w jakiejś durnej pułapce*, powiedział Richard, a Jack domyślał się, że rozumie to dość dobrze... lecz bez takiej głębi, jak jego przyjaciel. Był za to pewien, że Richard nie może znieść właśnie tej świadomości. Spory kawałek jego dzieciństwa został wypalony, wyrzucony na lewą stronę. Kolej i martwa stacja ze zdajacymi się gapić na nich oknami o wybitych szybach na pewno wydawały się Richardowi okrutnymi parodiami - kolejnymi okruchami przeszłości, które uległy zniszczeniu, gdy on dowiadywał się prawdy o ojcu i przyjmował ją do wiadomości. Tak samo jak w przypadku Jacka, całe życie Richarda zaczynało się układać według wyznaczonego przez Terytoria schematu, ale Richard był o wiele gorzej przygotowany na taką transformację.

2

Jeśli chodzi o to, co Jack opowiedział Richardowi o Talizmanie, gotów byłby przysiąc, że mówił prawdę - Talizman wiedział, że się zbliżają. Jack zaczął to czuć, gdy zobaczył obraz swojej matki na tablicy reklamowej. W tej chwili wrażenie to było już tak potężne i naglące, jakby kilka mil dalej przebudziło się wielkie zwierzę, a ziemia rezonowała od jego pomruku... albo zapaliła się każda żarówka w stupiętrowym budynku tuż za horyzontem, dając taką jasność, iż nikał przy niej blask gwiazd. Albo ktoś włączył



największy elektromagnes na świecie, który ciągnął Jacka za sprzączkę u paska, bilon w kieszeniach oraz wypełnienia w zębach, i nic nie mogło go zadowolić, prócz wciągnięcia chłopca w swe jądro. Pomruk wielkiego zwierzęcia, nagłe i gwałtowne oświetlenie, magnetyczna tęsknota - wszystko to odbywało się echem w piersiach Jacka. Coś tam, coś w kierunku Point Venuti, pragnęło Jacka Sawyera, a Jack Sawyer zdawał sobie sprawę przede wszystkim z tego, że wzywający go obiekt jest wielki. Wielki. Nic małego nie mogłoby władać taką mocą. Było wielkości słonia, rozmiarów miasta.

Jack zastanawiał się natomiast, czy poradzi sobie z czymś tak potężnym. Talizman był uwięziony w magicznym i złowieszczym czarnym hotelu. Zapewne umieszczono go tam nie tylko dlatego, żeby nie wpadł w złe ręce, ale przynajmniej częściowo po to, by trudno było komukolwiek się nim posłużyć. Może tylko Jason mógł go użyć, rozmyślał Jack - może tylko on potrafił zrobić to bez szkody dla siebie samego czy Talizmanu. Wyczuwając moc i nagłość jego zewu, Jack mógł jedynie mieć nadzieję, że on sam nie okaże przed nim słabości.

- "Zrozumiesz, Rich" - Odezwanie się Richarda zaskoczyło Jacka; jego przyjaciel mówił zniżonym głosem. - Tak powiedział mój ojciec: że zrozumiem. "Zrozumiesz, Rich".

- No - odparł Jack, spoglądając ze zmartwieniem na przyjaciela. - Jak się czujesz, Richard?

Oprócz otaczających usta owrzodzeń Richard miał już również zbiór palących, czerwonych i wypukłych krost czy też plam na pokrytych trądzikiem czole i skroniach. Wyglądało to tak, jakby tuż pod powierzchnią protestującej skóry zakopał się mu rój owadów. Przez chwilę Jackowi stanął przed oczami Richard Sloat tego ranka, gdy Jack wlaźł do niego przez okno w Nelson House w Thayer School: Richard Sloat z mocno osadzonymi na nosie okularami i równo wpuszczonym w spodnie swetrem. Czy ten doprowadzający do furii poprawny, niewzruszony chłopiec mógł kiedykolwiek powrócić?

- Wciąż mogę iść - powiedział Richard. - Ale czy jemu o to chodziło? Czy to właśnie miałem zrozumieć, to miało do mnie dotrzeć, czy też, do diabła, cokolwiek...?

- Masz nowe krosty na twarzy - oznajmił Jack. - Chcesz trochę odpocząć?

- Nie - odparł Richard wciąż takim tonem, jakby mówił z dna wysłanej szlamem beczki. - Czuję tę wysypkę. Swędzi. Myślę, że mam ją też na całych plecach.

- Zobaczę - rzekł Jack.

Richard zatrzymał się na środku drogi posłusznie jak pies. Zamknął oczy i oddychał przez usta. Czerwone plamki gorzały na jego skroniach i czole. Jack okrążył go, podniósł mu marynarkę i zadarł tył wyplamionej i brudnoniebieskiej koszuli. Krosty były na plecach

mniejsze, nie tak wypukłe i rozpalone; rozciągały się od szczupłych łopatek po łądzwie i były nie większe od kleszczy.

Richard nieświadomie wydał wielkie, zniechęcone westchnienie.

- Masz je i tam, ale nie wyglądają tak źle - powiedział Jack.

- Dzięki - odparł Richard. Wciągnął powietrze i uniósł głowę. Szare niebo nad nimi zdawało się wystarczająco ciężkie, by runąć na ziemię. Ocean tłukł się między skałami na końcu długiego, nierównego stoku. - Zostało jeszcze tylko kilka mil, naprawdę - rzekł Richard. - Wytrzymam.

Poniosę cię na barana, jeśli zajdzie taka potrzeba - oświadczył Jack, mimowolnie zdradzając, że jego przyjacielowi niedługo będzie znowu niezbędna pomoc.

Richard potrząsnął głową i bezskutecznie spróbował upchnąć koszulę w spodnie.

- Czasami myślę... czasami wydaje mi się, że nie mogę...

- Musimy wejść do tego hotelu, Richard - oznajmił Jack, obejmując przyjaciela ramieniem i zmuszając go do ruszenia z miejsca. - Ty i ja. Razem. Nie mam najmniejszego pojęcia, co nas czeka, ale tam wejdziemy. Bez względu na to, kto spróbuje nas powstrzymać. Nie zapominaj o tym.

Richard rzucił mu częściowo przestraszone, częściowo wdzięczne spojrzenie. Jack dostrzegł nieregularne zarysy guzów, nabrzmiewających pod powierzchnią jego policzków. Znowu zdał sobie sprawę z przyciągającej go siły, zmuszającej go do marszu tak, jak on Richarda.

- Chodzi ci o mojego ojca - powiedział Richard.

Mrugnął, a Jack pomodlił się w duchu, żeby się nie rozplakał - wyczerpanie zwiększało emocje Richarda.

- Chodzi mi o wszystko - odparł niezupełnie szczerze. - Ruszajmy, stary brachu.

- Ale co mam zrozumieć? Nie mam...

Richard rozejrzał się dookoła i zamrugał. Jack przypomniał sobie, że świat dla jego przyjaciela składa się przeważnie z mętnych zarysów.

- I tak wiele już rozumiałeś, Richie - rzekł.

Przez chwilę na ustach Richarda pojawił się niepokojąco gorzki uśmiech. Musiał zrozumieć o wiele więcej, niż pragnął kiedykolwiek wiedzieć, a jego przyjaciel przez moment pożałował, że nie uciekł sam w środku nocy z Thayer School. Pora, kiedy można było jeszcze zachować niewinność Richarda, już dawno minęła, jeśli kiedykolwiek rzeczywiście istniała - Richard był Jackowi niezbędny w trakcie misji. Jack poczuł zaciskające się na jego sercu silne ręce - Jasona, Talizmanu.

- Ruszamy w drogę - powiedział, a Richard dostosował się do tempa jego kroków.

- W Point Venuti spotkamy mojego ojca, prawda? - spytał.

- Zatrąszczę się o ciebie, Richard - odparł Jack. - Jesteś teraz stadem.

- Słucham?

- Nikt nie zrobi ci krzywdy, jeśli sam nie zadrąpiesz się na śmierć.

Richard mruknął coś do siebie, brnąc chwiejnie dalej. Uniósł dłonie do pokrytych zapalnymi zmianami skroni i tarł je niemłosiernie. Co jakiś czas wsuwał palce we włosy, drapał się jak pies i pomrukiwał.

3

Wkrótce po tym, gdy Richard podniósł koszulę i pokazał czerwone placki na plecach, zobaczyli pierwsze z drzew Terytoriów. Rosło przy autostradzie od strony lądu. Gęstwina ciemnych gałęzi i kolumna grubej, nierównej kory wznosiły się z czerwonej kępy trującego bluszczu, przypominającej atrapę z wosku. Szeroko rozwarte dziury po sękach - oczy czy usta - zwrócone były w stronę chłopców. Szemranie niezaspokojonych korzeni w zwartym gąszczu trującego bluszczu wzburzało woskowatymi liśćmi w górze, jakby przegarniał je powiew wiatru.

- Przejdźmy na drugą stronę - zaproponował Jack.

Miał nadzieję, że Richard nie zauważył drzewa. Za plecami wciąż słyszał grube, gumowate korzenie, szperające wśród łodyg bluszczu.

*Czy to CHŁOPIEC? Może tam jest CHŁOPIEC? Może WYJĄ TKOWY chłopiec?*

Richard cały czas drapał boki, ramiona, skronie i ciemię. Druga fala wypukłych krost na jego policzkach przypominała charakterystycę z horroru - chłopiec mógłby być niedojrzałym monstrem z któregoś ze starych filmów Lily Cavanaugh. Jack spostrzegł, że czerwone guzki wysypki na grzbietach dłoni przyjaciela zamieniają się w wielkie, szkarłatne pręgi.

- Naprawdę możesz iść dalej, Richard? - zapytał.

- Pewnie. - Richard skinął głową. - Na razie. - Zmrużył oczy i popatrzył na drugą stronę drogi. - To nie jest zwykłe drzewo, prawda? Nigdy takiego nie widziałem, nawet w książce. To drzewo z Terytoriów, prawda?

- Niestety - powiedział Jack.

- To znaczy, że Terytoria są naprawdę blisko?

- Pewnie tak.

- W takim razie przed nami będzie jeszcze więcej takich drzew?

- Jeśli znasz odpowiedzi, to po co pytasz? - rzucił Jack. - Och, palnąłem głupotę. Przepraszam, Richie, chyba miałem nadzieję, że go nie zauważysz. Taa, myślę, że niedaleko będzie ich więcej. Po prostu nie podchodźmy do nich.

Tak czy inaczej, "niedaleko" było określeniem niezbyt odpowiednim, biorąc pod uwagę tempo, jakim się posuwali, chociaż droga zdecydowanie zbiegała w dół po równej pochyłości. Każde sto stóp zdawało się ujmować nieco światła. Wydawało się, że wszystko zostaje objęte inwazją Terytoriów.

- Możesz obejrzeć mi plecy? - poprosił Richard.

- Pewnie. - Jack znowu zadarł mu koszulę. Zmusił się do milczenia, chociaż instynktownie chciał jęknąć. Plecy Richarda pokryły się wypukłymi, czarnymi plamami, które niemal promieniowały ciepłem. - Wygląda to trochę gorzej - rzekł w końcu.

- Tak myślałem. Tylko trochę?

- Tylko trochę.

Jack pomyślał, że niedługo Richard będzie piekielnie przypominał walizkę ze skóry aligatora - Chłopiec-Aligator, syn Człowieka-Słonia.

Nieco dalej rosły razem dwa drzewa; ich pokryte brodawkami pnie splatały się ze sobą w sposób sugerujący raczej przemoc niż miłość. Jack przyjrzał się im, gdy spieszenie przechodzili obok. Wydało mu się, że w korze otwierają się czarne dziury - paszcze, tchnące przekleństwami lub pocałunkami. Na pewno usłyszał szcękające o siebie u podstawy zespolonego pnia korzenie. (*CHŁOPIEC! Tam jest CHŁOPIEC! Tam jest NASZ chłopiec!*).

Chociaż była dopiero połowa popołudnia, powietrze pociemniało i zrobiło się dziwnie ziarniste, niczym stara gazetowa fotografia. Przy autostradzie od strony lądu rosła trawa i kwitła na biało delikatna biała marchew, natomiast po drugiej stronie ziemię pokrywał kobierzec niskich, niedających się rozpoznać chwastów. Przez brak kwiatów i ubóstwo listowia przypominały splecione ze sobą węże, a pachniały słabo olejem silnikowym. Słońce co jakiś czas przeblyskiwało przez ziarnisty mrok jak mętnopomarańczowa flara. Jackowi przypomniła się widziana niegdyś fotografia Gary w stanie Indiana - piekielne ognie, żywiące się trucizną z czarnego, skażonego nieba. Talizman ściągał go w dół z siłą olbrzyma, który zaciska rękę na jego ubraniu. Złącze wszystkich możliwych światów. Jack zabierał Richarda do piekła - gotów walczyć z całym światem o jego życie - nawet gdyby miał go tam zawlec siłą. Richard zaś musiał dostrzec w Jacku tę determinację, bo maszerował posłusznie przy jego boku, drapiąc się po żebrach i ramionach.

Zrobię to, powtarzał w duchu Jack, starając się nie zwracać uwagi, jak bardzo próbuje jedynie dodać sobie w ten sposób odwagi. Zrobię to, chociażbym miał przejść przez tuzin różnych światów.

4

Trzysta jardów dalej kępa paskudnych drzew z Terytoriów sterczała jak banda rozbójników przy trakcie. Przechodząc na drugą stronę drogi, Jack zajrzał między splątane korzenie i zobaczył uwięziony między nimi, zagrzebany do połowy w ziemi mały, zbiełały szkielet - zapewne ośmio - lub dziewięcioletniego chłopca, wciąż w butwiejącej koszuli w zielono-czarną kratę. Jack przełknął ślinę i ruszył spieszenie dalej, ciągnął za sobą Richarda jak psa na smyczy.

5

Kilka minut później Jack po raz pierwszy zobaczył Point Venuti.

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

### Point Venuti

#### 1

Point Venuti wznosiło się nisko nad horyzontem i przylegało do zboczy urwiska schodzącego nad ocean. Za nim w mrocznym powietrzu wznosiło się kolejne pasmo wzgórz, masywnych i poszarpanych. Wyglądały jak pokryte gigantycznymi zmarszczkami wiekowe słonie. Droga wiodła wzdłuż wysokich ścian z drewna, aż wreszcie skręcała przy brązowym metalowym budynku, fabryce lub magazynie i nikła pośród rzędu zstępujących tarasów - dachów innych magazynów. Ze swej pozycji Jack mógł dojrzeć jej dalszy ciąg dopiero na zboczu przeciwległego wzgórza na południu, w stronę San Francisco. Dostrzegł jedynie przypominający schody ciąg dachów magazynów, ogrodzone siatką parkingi i zimową szarość oceanu po prawej stronie. Na widocznej dla niego części drogi nie było ani jednego człowieka; nikogo nie można też było zobaczyć przez rząd niewielkich okien w tylnej ścianie najbliższej fabryki. Po pustych parkingach kłębił się kurz. Point Venuti wyglądało na opustoszałe, ale Jack wiedział, że to tylko pozory. Morgan Sloat i jego kohorta - przynajmniej ci, którzy przeżyli niespodziewany przyjazd ciuchci w Terytoriach - na pewno czekali na pojawienie się Jacka Wędrowniczka i Racjonalnego Richarda. Talizman przyzywał Jacka grzmiącym głosem, pchając go naprzód.

- No, to jest to, dzieciaku - powiedział i ruszył dalej.

W polu jego widzenia natychmiast znalazł się kufer limuzyny cadillaca. Jack dostrzegł tylko szklisty, czarny lakier, lśniący zderzak i kawałek tylnych świateł. Natychmiast gorączkowo pożałował, że Wilk-renegat za kierownicą nie został jedną z ofiar w Camp Readiness. Chłopiec przeniósł następnie wzrok na ocean. Szara, spieniona woda toczyła się ku brzegowi. Jego uwagę przykuł powolny ruch nad dachami fabryki i magazynów. CHODŹ TU, zawołał Talizman w nagłący, magnetyczny sposób. Wydawało się, że Point Venuti zaciska się jak pięść. Widoczny dopiero teraz nad dachami ciemny, lecz bezbarwny kurek w kształcie łba wilka obracał się chaotycznie w najprzeróżniejsze strony, całkowicie niezależnie od kierunku wiatru.

Gdy Jack zobaczył krnąbrny kurek, skręcający z lewa w prawo, potem z prawa w lewo, a następnie wykonujący pełny obrót, zdał sobie sprawę, że właśnie zobaczył po raz pierwszy czarny hotel - a przynajmniej jego część. Z dachów magazynów i drogi w przedzie, z całego niewidocznego miasta emanowała wrogość. W Point Venuti przesączały się

Terytoria, uświadomił sobie Jack; rzeczywistość była tutaj do cna przetarta. Wilczy łeb kołował bezsensownie w powietrzu, a Talizman wciąż przyciągał Jacka. PRZYJDŹ TU, CHODŹ TU, CHODŹ JUŻ, PRZYJDŹ JUŻ... Jack zdał sobie sprawę, że oprócz niewiarygodnego, narastającego przyciągania Talizman również śpiewa dla niego. Bez słów, bez melodii, ale śpiewał - w narastającej i opadającej wielorybiej tonacji, niesłyszalnej dla nikogo innego.

Talizman wiedział, że chłopiec właśnie zobaczył kurek na hotelu.

Point Venuti jest pewnie najbardziej zdeprawowanym i niebezpiecznym miejscem w całej Ameryce Północnej i Południowej, pomyślał Jack, którego odwaga jakby nagle wzrosła o połowę. Charakter miasta nie mógł go jednak powstrzymać od wejścia do hotelu Agincourt. Odwrócił się w stronę Richarda, czując się, jakby przez miesiąc wyłącznie odpoczywał i nabierał sił. Starał się ukryć przerażenie na widok twarzy przyjaciela, na której malowało się cierpienie. Richard również nie mógłby go powstrzymać - gdyby musiał, wepchnąłby go do środka tego przeklętego hotelu przez ściany. Zobaczył, że udręczony Richard skrobie paznokciami we włosach i po przypominającej pokrzywkę wysypce na skroniach i policzkach.

- Zrobimy to, Richard - powiedział. - Wiem, że zrobimy. Nie obchodzi mnie, jakim zwariowanym gównem nas zarzucą. Zrobimy to i tyle.

- Nasze kłopoty będą miały z nami kłopoty - powiedział Richard, cytując - na pewno nieświadomie - doktora Seussa. Urwał na chwilę. - Nie wiem, czy dam radę. To prawda. Jestem skonany. - Rzucił Jackowi spojrzenie pełne nieukrywanej udręki. - Co się ze mną dzieje, Jack?

- Nie mam pojęcia, ale wiem, jak temu zapobiec.

Miał nadzieję, że to prawda.

- Czy mój ojciec mi to robi? - spytał żałośnie Richard. Przesunął na próbę dłońmi po obrzękniętej twarzy, następnie wyciągnął koszulę ze spodni i przyjrzał się zlewającej się wysypce na brzuchu. Guzki, układające się mniej więcej w kształt stanu Oklahoma, rozpoczynały się w pasie i sięgały na boki, prawie po szyję. - Wygląda to jak wirus albo coś. To ojciec mnie zaraził?

- Nie sądzę, żeby zrobił to celowo, Richie - powiedział Jack. - Jeżeli to coś znaczy.

- Nic - odparł Richard.

- To wszystko ustanie. Ekspres na Seabrook Island dojeżdża do końca trasy.

Jack zrobił krok do przodu - Richard go nie odstępował - i zobaczył, że światła cadillaca zapalają się i gasną, po czym limuzyna znika.

Tym razem niemożliwy był atak z zaskoczenia, żadne cudowne staranowanie parkanu pociągiem wyładowanym bronią i amunicją. Jeśli jednak nawet wszyscy w Point Venuti wiedzieli o przybyciu chłopców, to Jack i tak zamierzał dotrzeć do celu. Poczł się nagle, jakby przywdział zbroję i dźierzył magiczny miecz. Nikt w Point Venuti nie miał takiej mocy, by wyrządzić mu krzywę, przynajmniej aż dotrze do hotelu Agincourt. Szedł do celu, Racjonalny Richard obok niego, i wszystko miało być dobrze. Zanim zrobił kolejne trzy kroki, z mięśniami grającymi w rytm śpiewu Talizmanu, przyszło mu do głowy lepsze, bardziej odpowiednie wyobrazenie siebie niż księcia w drodze na plac boju. Obraz ten, jakby dostarczony przez niebiański telegraf, pochodził wprost z filmu z udziałem jego matki. Jack wyobraził sobie siebie na koniu, z kapeluszem o szerokim rondzie i przypasanym do boku rewolwerem, jadącego zrobić porządek w Deadwood Gulch.

Przypomniał sobie: "Last Train to Hangtown", z Lily Cavanaugh, Clintem Walkerem i Willem Hutchinsem, z 1960 roku. Niech będzie.

2

Cztery czy pięć drzew z Terytoriów walczyło o przetrwanie w twardej, brunatnej glebie przed pierwszym z porzuconych budynków. Może rosły tu przez cały czas, wysuwając ukradkiem gałęzie nad drogą prawie do białej linii, może nie. Jack nie przypominał sobie, żeby je zobaczył, kiedy po raz pierwszy rozglądał się po ukrytym mieście. Łatwiej było jednak przegapić drzewa niż zgrają dzdiziałych psów. Gdy podchodził z Richardem do magazynu, słyszał skrobiące po powierzchni ziemi korzenie.

*(NASZ chłopiec? NASZ chłopiec?)*

- Przejdźmy na drugą stronę drogi - powiedział do Richarda, ujął go za obrzmią dłoń i poprowadził za sobą.

Gdy tylko znaleźli się na przeciwległym krawężniku, jedno z terytorialnych drzew wyraźnie wyprężyło korzenie i gałęzie w ich stronę. Gdyby drzewa miały żołądki, chłopcy usłyszeliby burczenie. Węzłasta gałąź i gładki, przypominający węża korzeń smyrnęły przez żółtą linię i zdołały pokonać połowę dzielącego je od chłopców dystansu. Jack pchnął łokciem zadyszanego Richarda, a gdy to nie przyniosło oczekiwanego skutku, chwycił go za ramię i powłókl za sobą.

*(MÓJ MÓJ MÓJ CHŁOPIEC! TAAAK!)*

- Och, mój Boże - rzekł Richard. - Wyrwało się za nami z ziemi.

Dokładnie to samo pomyślał Jack.



- Drzewo-kamikaze - powiedział. - Myślę, że w Point Venuti czeka nas trochę zwariowanych atrakcji.

- Z powodu czarnego hotelu?

- Pewnie, ale także z powodu Talizmanu. - Powiódł wzrokiem wzdłuż drogi i mniej więcej dziesięć jardów dalej dojrzał kolejną kępę mięsożernych drzew. - W tym miejscu wibracje, atmosfera, czy jakkolwiek chcesz nazwać to cholerstwo, są kompletnie popieprzone, bo pomieszało się wszystko złe i dobre, czarne i białe.

Nie zatrzymał się, żeby to powiedzieć. Nie odrywał wzroku od kępy drzew, w miarę jak do nich podchodzili. Zobaczył, że najbliższe drzewo zafalowało koroną w ich stronę, jakby usłyszało jego głos.

Może całe to miasto to jedno wielkie Oatley, pomyślał Jack. Może zdoła przez nie przejść; ale jeśli dalej czeka go tunel, to Jack wejdzie do niego tylko w ostateczności. Szczerze nie miał ochoty spotkać tutejszej wersji Elroya.

- Boję się - szepnęła Richard idący z tyłu. - Jack, a jeśli więcej tych drzew potrafi tak po prostu wyskoczyć z ziemi?

- Wiesz co? - odparł Jack. - Zauważyłem, że chociaż te drzewa są ruchome, nie potrafią zbyt daleko się przemieścić. Nawet taka sierota jak ty powinna prześcignąć drzewo.

Pokonywali właśnie ostatni zakręt i schodzili w dół w kierunku magazynów. Talizman ciągle wołał, równie wymownie jak śpiewająca harfa olbrzyma z "Jasia Fasoli".

Jack wreszcie doszedł do końca zakrętu. Roztoczyła się przed nim pozostała część Point Venuti.

Ta strona jego natury, którą można było uznać za Jasona, poganiała go dalej. Point Venuti było być może niegdyś miłym, małym kurortem, ale te dni dawno minęły. Obecnie całe miasteczko przypominało tunel przed Oatley, Jack musiał przejść przez nie do końca. Spękana, nierówna powierzchnia drogi opadała w stronę strefy wypalonych domów, otoczonych drzewami z Terytoriów. W małych drewnianych domkach mieszkali pewnie pracownicy opustoszałych fabryk i magazynów. Z jednego czy dwóch budyneczków zostało wystarczająco dużo, by zorientować się, czym były. Tu i ówdzie między domami stały poskręcane, poprzerastane gęstym zielskiem resztki wypalonych samochodów. Wśród zdruzgotanych fundamentów powoli grasowały korzenie terytorialnych drzew. Wypalone podwórka usiane były poczerniałymi ceglami i deskami, wywróconymi do góry nogami i pozgniatanymi wannami oraz poskręcanymi rurami. Coś białego zamajaczyło w polu widzenia Jacka, odwrócił jednak wzrok, gdy zorientował się, że są to bezładnie rozrzucone kości szkieletu, przyszpilonego do ziemi gąszczem korzeni. Niegdyś po tych ulicach krążyły

dzieci na rowerach, w kuchniach zbierały się gospodynie, by ponarzekać na płace i bezrobocie, mężczyźni woskowali samochody na podjazdach - ale wszystko to się skończyło. Przewrócona huśtawka, pokryta sproszkowaną rdzą, wystawiała kończyny pomiędzy rumowiskiem i zielskiem.

Na mroczniejącym niebie rozbłyskiwały czerwonawe ogniki.

Poniżej zajmującej dwie przecznice strefy wypalonych domów i pożywiających się nimi drzew nad pustym skrzyżowaniem wisiał nie działający sygnalizator. Po drugiej stronie na bocznej ścianie zwęglonego budynku widać było fragment napisu "OHO-HO! LEPIEJ KUP MAA...", znajdował się nad pokrytym dziurami i pęcherzami wielkim zdjęciem samochodu, przebijającego okno wystawowe. Ogień nie rozprzestrzenił się dalej, ale Jack żałował, że tak się nie stało. Point Venuti zostało skażone, a ogień był lepszy niż zepsucie. Budynek ze zniszczoną do połowy tablicą reklamową lakierów Maaco był pierwszym z rzędu sklepów. Księgarnia "Dangerous Planet"; "Tea & Sympathy", sklep ze zdrową żywnością "Ferdys Wholefood Healthstore", "Neon Village" - Jack potrafił odczytać tylko niektóre szyldy, z większości bowiem farba już dawno złuszczyła się lub spęzła. Sklepy wyglądały na zamknięte, tak samo jak fabryki i magazyny na wzgórzu. Nawet z miejsca, w którym stał, Jack widział, że witryny zostały wybite tak dawno, iż okna przypominały okulary bez soczewek - lub puste oczy idioty. Fronty sklepów udekorowane były rozmazanymi farbami, czerwoną, czarną i żółtą, w mętym, szarym powietrzu dziwnie przypominającymi jaskrawe blizny. Na zaśmieconej ulicy przed sklepami naga kobieta, tak zagłodzona, że można było policzyć jej zębra, obracała się równie powoli i ceremonialnie jak kurek. Nad bladym tułowiem o obwisłych piersiach i z kępą owłosienia łonowego twarz o oślepiającym pomarańczowym makijażu. Kobieta miała również ufarbowane na pomarańczowo włosy. Jack znieruchomiał i przyglądał się, jak wariatka z usmarowaną twarzą i pomalowanymi włosami unosi ramiona, wygina tułów równie powoli, jakby wykonywała ćwiczenie tai chi, robi wykop lewą nogą nad obsiadłym przez muchy trupem psa i nieruchomieje jak posąg. Szalona kobieta pozostawała w jednej pozycji, jakby zamieniła się w emblemat Point Venuti. Wreszcie powoli opuściła stopę i odwróciła chude ciało.

Za kobietą i rzędem pustych sklepów Ulica Główna przechodziła w dzielnicę rezydencji - przynajmniej Jack przypuszczał, że taki charakter miała niegdyś ta część miasta. Tu również budynki szpeciły jaskrawe blizny farby - niewielkie piętrowe domy, niegdyś śnieżnobiałe, obecnie pokrywały szramy farby i graffiti. Jedno hasło od razu rzuciło się chłopcu w oczy: JUŻ JESTEŚ TRUPEM. Nabazgrano je na bocznej ścianie oblażącego z

farby, stojącego osobno budynku, który w przeszłości na pewno był pensjonatem. Słowa bez wątpienia wymalowano już dawno.

POTRZEBUJĘ CIĘ, JASONIE, zagrział Talizman, a dźwięk lokował się jednocześnie powyżej i poniżej progu słyszalności.

- Nie mogę - wyszeptał Richard obok niego. - Wiem, że nie mogę, Jack.

Za rzędem oblażących z farby, budzących uczucie beznadziejności domów droga znów opadała. Jack mógł dostrzec jedynie tyły dwóch czarnych limuzyn cadillaców, parkujących z dwóch stron ulicy Głównej przodem w dół stoku; ich silniki pracowały. Górna część - połowa? jedna trzecia? - czarnego hotelu wznosiła się nad kuframi samochodów i wywołującymi rozpacz budynkami, jakby to był fotomontaż. Hotel wydawał się nieprawdopodobnie wielki i niemożliwie złowrogi. Zasłonięty krzywizną ostatniego wzniesienia, zdawał się unosić w powietrzu.

- Nie mogę tam wejść - powtórzył Richard.

- Nie jestem nawet pewny, czy zdołamy minąć te drzewa - odrzekł Jack. - Nie wyskakuj z portek, Richie.

Richard wydał osobliwy, siąkający odgłos. Jack potrzebował sekundy, by rozpoznać, że to dźwięk płaczu. Objął przyjaciela ramieniem. Hotel dominował w scenerii. Point Venuti, powietrze nad nim i ziemia pod nim należały do czarnego hotelu. Jack dostrzegł, że kurki kręcą się w przeciwnych kierunkach. Na tle szarego nieba wieżyczki i dwuspadowe dachy przypominały brodawki. Agincourt istotnie wyglądał, jakby zbudowano go z kamienia - tysiącletniego, czarnego jak smoła. W jednym z okien na górze nagle zamigotało światło - a Jack miał wrażenie, jakby hotel mrugnął do niego, potajemnie rozbawiony, że wreszcie chłopiec znalazł się tak blisko. Miał wrażenie, że od okna odsunęła się jakaś niewyraźna postać. Sekundę później po tafli szkła przepłynęło odbicie chmury.

Gdzieś we wnętrzu hotelu Talizman wyśpiewywał pieśń, którą tylko Jack mógł usłyszeć.

3

- Myślę, że zrobił się większy - powiedział bezdźwięcznie Richard. Zapomniał o drapaniu się, odkąd ujrzał unoszący się nad ostatnim wzniesieniem hotel. Łzy ściekały mu między obrzmiałymi, czerwonymi plamami na policzkach. Jack spostrzegł, że oczy Richarda całkowicie otoczyła wysypka - chłopiec nie musiał już mrużyć oczu. - To niemożliwe, ale hotel był dawniej mniejszy, Jack. Jestem tego pewien.

- Teraz już nic nie jest niemożliwe - odparł Jack; już dawno znaleźli się w królestwie niemożliwości, Agincourt zaś był tak olbrzymi i przytłaczający, że odbiegał szaleńczo proporcjami od reszty miasteczka.

Architektoniczna ekstrawagancja czarnego hotelu, wszystkie dodane do wysmukłych wież kurki z brązu i wieżyczki, kopuły i dwuspadowe dachy powinny nadać mu charakter zabawnej fantazji. Zamiast tego jednak stawał się przez nie groźny i koszmarny. Wyglądał tak, jakby jego miejsce znajdowało się w jakiegoś rodzaju anty-Disneylandzie, w którym Kaczor Donald udusił Hueya, Deweya i Louiego, a Miki wstrzyknął Mysze Minnie końską dawkę heroiny.

- Boję się - powiedział Richard; Talizman zaś zaśpiewał: PRZYJDŹ JUŻ, JASONIE.

- Trzymaj się tylko blisko mnie, stary, a przejdziemy przez to tak łatwo jak nóż przez masło.

PRZYJDŹ JUŻ, JASONIE!

Gdy Jack ruszył dalej, zaszeleściła rosnąca w przedzie kępa terytorialnych drzew.

Przestraszony Richard został z tyłu - możliwe, uświadomił sobie Jack, że do tej pory prawie zupełnie oślepl z braku okularów i coraz większego obrzęku, który zamykał powieki. Sięgnął w stronę przyjaciela i pociągnął go za sobą, czując, jak bardzo wychudła jego dłoń i nadgarstek.

Potyając się, Richard ruszył razem z nim. Chudy jak patyk nadgarstek palił Jacka w rękę.

- Cokolwiek zrobisz, nie zwalnij - ostrzegł Jack. - Musimy tylko przejść się obok nich.

- Nie mogę - zaszlochał Richard.

- Chcesz, żebym cię poniósł? Mówię poważnie, Richard. Nie zapominaj, że mogło być o wiele gorzej. Założę się, że gdybyśmy nie rozwalili tyłu jego żołnierzy, co pięćdziesiąt stóp stałyby tu warty.

- Gdybyś mnie niósł, nie mógłbyś się dość szybko poruszać. Spowolniłbym cię.

A jak myślisz, co teraz robisz, do diabła? - przemknęło Jackowi przez głowę.

- Zostań z przeciwnej strony i biegnij, jakby cię wszystkie szatany goniły, Richie - powiedział jednak na głos. - Kiedy doliczę do trzech. Kapujesz? Raz... dwa... trzy!

Szarpnął Richarda za ramię i rzucił się biegiem wzdłuż drzew. Richard potknął się, stęknął, po czym zdołał się wyprostować i pobiec dalej. U podstawy drzew pojawiły się gejzery kurzu oraz rojąca się mieszanina ziemi i pierzchających stworzeń, przypominających olbrzymie żuki, które lśniły jak wypastowane. Mały, brązowy ptak zerwał się z zielsk,

rosnących blisko kępy spiskujących drzew. Giętki korzeń, gruby jak trąba słoniowa, poderwał się z pyłu i zgarnął go w locie.

Kolejny korzeń pomknął w stronę lewej kostki Jacka, ale jej nie dosięgnął!. Paszcze w grubo rzeźbionej korze wyły i skrzeczały.

*(KOCHAŚŚŚŚ? KOCHANECZEEK?)*

Jack zacisnął zęby i spróbował zmusić Richarda Sloata do szybszego biegu. Korony tajemniczych drzew zaczęły kołysać się i kłaniać. Całe gniazda i rodziny korzeni pełzły w stronę białej linii, jakby obdarzone niezależną wolą. Richard zmylił krok, po czym obejrzał się nad ramieniem Jacka w stronę sięgających po nich drzew i zwolnił.

- Rusz się! - krzyknął Jack i szarpnął go za ramię.

Zaczerwienione guzki pod skórą Richarda wydawały się gorące jak rozżarzone węgle. Jack jeszcze energiczniej pociągnął Richarda, bo widział zbyt wiele szarpających się korzeni, radośnie dosięgających białej linii. Objął ręką przyjaciela w tej samej chwili, gdy długi korzeń przeciął ze świstem powietrze i owinął się dookoła ramienia Richarda.

- Jezu! - krzyknął Richard. - Jason! Złapało mnie! Złapało mnie!

Jack ze zgrozą zobaczył, że koniec korzenia podnosi się jak łeb ślepego robaka i wpatruje w niego. Korzeń zadrżał ociężale w powietrzu i znowu owinął się wokół rozpalonego ramienia Richarda. Kolejne macki pełzły przez drogę w ich stronę.

Jack szarpnął przyjaciela najsilniej, jak tylko potrafił. Zyskał kolejnych sześć cali. Korzeń na ramieniu Richarda się napiął. Jack splótł ręce na tułowiu przyjaciela i bezlitośnie pociągnął go. Richard wydał niezmierny, zdający się unosić w powietrzu ryk. Przez chwilę Jack przestraszył się, że wyrwał mu ramię, ale donośny głos w jego wnętrzu podpowiedział mu: CIĄGNIJ! Zaparł się więc i pociągnął jeszcze silniej.

Obydwaj o mało nie runęli w kępę pełzających korzeni, bo macka na ramieniu Richarda ostatecznie pękła. Jack utrzymał się na nogach tylko dlatego, że gorączkowo przebierał stopami. Jednocześnie wygiął się w pasie, starając się zapobiec upadkowi Richarda. Zdołali w ten sposób minąć ostatnie drzewa. Równocześnie rozległy się odgłosy pęknięcia i rozdzierania, które już raz słyszeli. Tym razem Jack nie musiał kazać Richardowi gnać ile sił.

Najbliższe drzewo wyrwało się z rykiem z ziemi i runęło na nią z łoskotem zaledwie trzy czy cztery stopy za Richardem. Pozostałe waliły się za nim na nawierzchnię drogi, wymachując korzeniami niczym rozwianymi włosami.

- Ocaliłeś mi życie - powiedział Richard.

Znów się rozplakał, tym razem raczej ze słabości, wyczerpania i szoku niż ze strachu.

- Od tej pory jedziesz na barana, stary - odrzekł zdyszany Jack i pochylił się, by pomóc Richardowi wspiąć się mu na plecy.

4

- Powiniennem ci powiedzieć - wyszeptał Richard, przyłożywszy usta do ucha Jacka. Jego twarz paliła drugiego chłopca w szyję. - Nie chciałem, żebyś mnie znienawidził, ale nie winiłbym cię, gdybyś to zrobił, naprawdę. Wiem, że powiniennem ci powiedzieć.

Wydawał się ważyć nie więcej niż pusta łupina, jakby nic nie zostało w jego wnętrzu.

- O czym?

Jack usadowił Richarda mniej więcej na środku swojego grzbietu i znowu doznał niepokojącego uczucia, że niesie jedynie pusty worek skóry.

- O człowieku, który odwiedzał mojego ojca... o Camp Readiness... i szafie. - Jack poczuł na plecach drżenie pustego ciała Richarda. - Powiniennem ci powiedzieć, ale nawet sobie samemu nie potrafiłem powiedzieć.

Jego podniecony oddech, gorący jak skóra, wpadał Jackowi w ucho.

To Talizman go do tego zmusza, pomyślał Jack. Po chwili poprawił się: Nie. To czarny hotel zmusza go do tego...

Dwie limuzyny, zaparkowane na skraju następnego wzniesienia przodem w dół stoku, znikły gdzieś podczas walki chłopców z terytorialnymi drzewami, ale hotel pozostał na poprzednim miejscu. Z każdym krokiem chłopców rósł w oczach. Wychudła naga kobieta - kolejna z ofiar hotelu - wciąż wykonywała powolny, obłądny taniec przed rzędem zdewastowanych sklepów. Drobne, czerwone rozbłyski wirowały, krążyły i przygasały w mętным powietrzu. Czas całkowicie zniknął. Nie było ani południe, ani rano, ani wieczór - znaleźli się na Spustoszonych Ziemiach czasu. Hotel Agincourt istotnie wydawał się zbudowany z kamienia, chociaż Jack wiedział, że jest inaczej. Drewno wyglądało na zbutwiałe i zgęstniałe, poczerniałe od środka na zewnątrz. Kurki z brązu - wilk, wrona, wąż i zagadkowe koliste figury, których Jack nie rozpoznawał - kręciły się, podległe przeciwnym wiatrom. Kilka okien zamrugowało ostrzegawczo do Jacka; równie dobrze mogły to być odbicia jednego z czerwonych rozbłysków. Chłopiec wciąż nie mógł dojrzeć podstawy wzniesienia i parteru Agincourt; pewnie uda mu się dopiero wtedy, gdy minie księgarnię, herbaciarnię i inne sklepy, które uszły cało przed ogniem. Gdzie podziewał się Morgan Sloat?

Jeśli już o to chodzi, to gdzie się ukrył przeklęty komitet powitalny? Jack zacisnął silniej dłonie na patykowatych nogach Richarda. Ponownie usłyszał zew Talizmanu i poczuł, że dźwiga się w nim potężniejsza istota.

- Wybacz mi, że nie mogłem... - powiedział Richard, nie zdoławszy dokończyć zdania.

JASONIE, CHODŹ JUŻ, CHODŹ JUŻ!

Jack ścisnął wychudzone nogi Richarda i ruszył przez wypalony kwartał, gdzie stało niegdyś mnóstwo domów. Terytorialne drzewa, wykorzystujące bloki ruin jako swoje osobiste blaty na posiłki, szemrały i wiły się, ale były zbyt daleko, by sprawiać Jackowi kłopoty.

Kobieta na środku pustej, zasłanej śmieciami ulicy obróciła się powoli i zdała sobie sprawę z obecności schodzących ze wzgórza chłopców. Wykonywała właśnie złożone ćwiczenie, jednak wszelkie pozory, że zajmuje się tai chi chuan, natychmiast znikły. Opuściła ramiona i wyciągniętą nogę. Stojąc obok zdechłego psa nieruchomo jak kamień, przyglądała się, jak Jack zbliża się w jej stronę ze swoim brzemieniem. Przez chwilę wydawała się mirażem - zagłodzona kobieta ze sterczącymi włosami i twarzą tej samej pomarańczowej barwy zbyt przypominała halucynację, żeby być rzeczywista. Wreszcie niezgrabnie przemknęła przez ulicę i skryła się w jednym z bezimiennych sklepów. Jack uśmiechnął się, nie mając nawet pojęcia, że to robi - niemal doszczętnie zaskoczyło go poczucie triumfu i czegoś, co potrafił określić jedynie jako zbrojną cnotę.

- Naprawdę możesz tam wejść? - stęknął Richard.

- W tej chwili mogę wszystko - odrzekł Jack.

Dałby radę zanieść Richarda z powrotem aż do Illinois, gdyby uwięziony w hotelu wielki, śpiewający przedmiot mu to nakazał. Jack znów doznał uczucia, że zbliża się rozwiązanie. Tak tu ciemno, bo tłoczą się tu wszystkie światy, nakładają na siebie jak na potrójnie naświetlonej klatce filmowej, pomyślał.

5

Jack wyczuł mieszkańców Point Venuti, zanim ich zobaczył. Wiedział, że go nie zaatakują - nabrał takiego przekonania od chwili, gdy wariatka uciekła do jednego ze sklepów. Obserwowali go. Wyglądali z ganków i z głębi pustych pokojów, chociaż Jack nie potrafił orzec, czy śledzili go ze strachem, gniewem, czy frustracją.

Siedzący na jego grzbiecie Richard zapadł w sen lub stracił przytomność. Oddychał chrapliwymi, urywanymi sapaniami.

Jack okrążył zdechłego psa i obejrzał się w stronę dziury po oknie wystawowym księgarni "Dangerous Planet". Z początku zobaczył jedynie przypominające kluski igły do strzykawek, rozrzucone bezładnie po podłodze i walających się tu i ówdzie otwartych książkach. Wysokie, puste regały pod ścianami przypominały ziewające usta. Po chwili wzrok Jacka przykuł konwulsyjny ruch w niewyraźnie widocznej głębi sklepu. Z mroku wyłoniły się dwie blade sylwetki. Byli to dwaj nadzy, wysocy, brodaci mężczyźni, na których ciałach odznaczały się jak postronki ściętna. Zabłyły dwie pary ogarniętych obłędem oczu. Jeden z nagich mężczyzn uśmiechał się; miał tylko jedną rękę. Wymachiwał wzwiedzionym członkiem, który przypominał grubą, białą pałkę. Nie, to nie może dziać się naprawdę, powiedział sobie Jack. Gdzie mężczyzna miał drugą rękę? Obejrzał się za siebie. Dojrzał jedynie płataninę wychudzonych, białych kończyn.

Jack zrezygnował z zagłędania do okien kolejnych sklepów, ale jego marsz wciąż śledziły z ukrycia cudze oczy.

Wkrótce dotarł do niewielkich, piętrowych domków. Na bocznej ścianie jednego z nich rzucał się w oczy napis: JUŻ JESTEŚ TRUPEM. Nie będę zagłędował do okien, przyrzekł sobie Jack, nie będę.

Pomarańczowe twarze, zwieńczone pomarańczowymi włosami, kiwały się w oknie na parterze.

- Dzieciątko - wyszeptała kobieta w następnym domu. - Słodkie dzieciątko Jason.

Tym razem Jack się obejrzał. Już jesteś trupem. Kobieta stała po drugiej stronie rozbitego okna, gmerała przy przeciągniętym przez sutki łańcuszku i uśmiechała się krzywo do chłopca. Jack popatrzył w jej puste oczy, a kobieta opuściła ręce i z wahaniem cofnęła się od okna. Łańcuch opadł jej pomiędzy piersi.

Oczy mieszkańców Point Venuti śledziły Jacka z głębi pograżonych w ciemnościach pokojów, spomiędzy żaluzji, z pustych przestrzeni pod gankami.

Hotel wznosił się w przedzie, ale już nie na wprost Jacka. Droga musiała skrócić, bo Agincourt znajdował się w tej chwili zdecydowanie po lewej. Czy rzeczywiście tak górował, jak się wydawało? Ta strona natury Jacka, która była Jasonem, rozgorzała gniewem. Czarny hotel istotnie był duży, ale nie zasługiwał na miano wielkiego jak góra.

CHODŹ, POTRZEBUJĘ CIĘ TERAZ, śpiewał Talizman. MASZ RACJĘ, NIE JEST TAK WIELKI, JAK CHCE, ŻEBY CI SIĘ WYDAWAŁO.



Na szczycie ostatniego wzniesienia Jack zatrzymał się i odwrócił: zgadza się, dotarli tu wszyscy. A przed sobą miał czarny hotel, w całej swojej okazałości. Ulica Główna zbiegała do plaży; tu i tam z białego piasku sterczały wielkie skały, przypominające nierówne, odbarwione zęby. Agincourt piętrzył się niedaleko po lewej stronie Jacka. Od oceanu odgradzał go masywny kamienny falochron, wybiegający daleko w morze. Przed hotelem stało rzędem tuzin długich, czarnych limuzyn. Niektóre zakurzone, inne lśniące jak lustra, czekały z włączonymi silnikami. Z większości unosiły się smugi białych spalin - nisko płynące obłoki, bielsze od powietrza. Ogrodzenie patrolowali ludzie w czarnych jak u agentów FBI garniturach, chodzili wzdłuż niego i osłaniali dłońmi oczy. Gdy Jack dostrzegł podwójny, czerwony błysk przed twarzą jednego z mężczyzn, odruchowo zanurkował za mur jednego z domków - zanim jeszcze zrozumiał, że strażnicy są wyposażeni w lornetki.

Musiał odznaczyć się jak latarnia morska, gdy przez sekundę czy dwie przystanął na szczycie wzniesienia. Zdał sobie sprawę, że przez chwilową nieuwagę mało go nie wykryto. Przez chwilę ciężko dyszał, opierając się ramieniem o pokrywające dom, oblażące z farby deszczułki. Poprawił sobie Richarda, który wciąż siedział mu na plecach.

Zdał sobie sprawę, że tak czy inaczej będzie musiał w jakiś sposób podejść do hotelu od strony morza, co znaczyło, że musi się niepostrzeżenie przedostać przez plażę.

Gdy się znów wyprostował, wyjrzał zza węgła i popatrzył w dół stoku. Przerzedzona armia Morgana Sloata siedziała w limuzynach lub kręciła się bezładnie jak mrówki przed wysokim czarnym ogrodzeniem. Przez chwilę Jackowi przypomniało się, jak pierwszy raz przelotnie spojrzął na letni pałac Królowej. Tam również stał powyżej terenu, po którym ludzie rozłazili się pozornie bez celu we wszystkie strony. Jak tam było w tej chwili? Tamtego dnia - który zdawał się należeć do prehistorii, tak daleko Jack musiał sięgnąć pamięcią - tłumy przed pałacem, cała sceneria, wszystko emanowało niezaprzeczną aurą spokoju i porządku. Jack czuł, że teraz nie ma o tym mowy. Wielkim namiotem na pewno zawładnął Osmond, a ci śmiałkowie, którzy jeszcze odważali się zapuścić do środka pawilonu, na pewno zakradali się tam z opuszczonymi głowami. A co z Królową? - zastanowił się Jack. Nie potrafił powstrzymać się od wspomnienia wstrząsająco znajomej twarzy, spoczywającej wśród białej pościeli.

W tym momencie serce mu niemal stanęło, a obraz pawilonu i chorej Królowej pierchnął w odległy zakamarek jego pamięci. W pole widzenia Jacka wszedł Sunlight Gardener z megafonem w ręce. Wiatr od morza zdmuchnął mu pasmo białych włosów na okulary. Przez chwilę Jack był pewny, że czuje rozchodzący się wokół Gardenera słodki odór wody kolońskiej i gnijącego poszycia dżungli. Przez jakieś pięć sekund chłopiec zapomniał o

oddychaniu. Stał w bezruchu pod popękana i obłaząca z farby ścianą z deszczulek, wpatrując się w szaleńca, który wyrzaskiwał rozkazy do ludzi w czarnych garniturach, zataczał piruety, wskazywał coś, czego Jack nie mógł dojrzeć, i robił wymowny gest dezaprobaty.

Jack przypomniał sobie, żeby zaczerpnąć powietrza.

- No, mamy tu ciekawą sytuację, Richard - powiedział. - Hotel, który może stać się dwa razy większy, jeśli znajdzie go taka ochota - tak przynajmniej podejrzewam - a przed nim największy wariat na świecie.

Jack myślał, że Richard śpi, ale przyjaciel zaskoczył go, mruczając coś, co zabrzmiało jak: "guffuf".

- Co powiedziałeś?

- Do dzieła - wyszeptał słabo Richard. - Rusz się, chłopie.

Jack szczerze się roześmiał. W chwilę później ostrożnie schodził w dół zbocza, w stronę plaży; droga wiodła wśród wysokich skrzypów rosnących z tyłu za domami.

## Rozdział czterdziesty

### Speedy na plaży

1

U podnóża wzniesienia Jack wyciągnął się na brzuchu i popęzł dalej, ciągnąc za sobą Richarda tak, jak niegdyś swój plecak. Kiedy dotarł do skraju wysokich, żółtych zielsk, obrastających drogę, podciągnął się i wyjrzał. Na wprost niego po drugiej stronie drogi zaczynała się plaża. Wysokie, starte przez wiatr skały sterczały z szarawego piasku; spieniona woda tej samej barwy zalewała brzeg. Jack wyjrzał w lewo, wzdłuż ulicy. Niedaleko za hotelem, na plaży od strony lądu, stała długa, podupadająca budowla, przypominająca napoczęty tort weselny. Nad nią drewniana tablica z wielką dziurą głosiła: MOT LEWSKIE WŁOŚCI. Motel Królewskie Włości, przypomniał sobie Jack, w którym Morgan Sloat instalował się ze swoim synkiem podczas obsesyjnych inspekcji pod czarnym hotelem. Dalej po ulicy krążyła tam i z powrotem biała plama, czyli Sunlight Gardener. Wymachiwał ręką w stronę wzgórza i najwyraźniej strofował kilku ubranych na czarno ludzi. Nie wie, że jestem już tu, na dole, uświadomił sobie Jack, gdy jeden z ludzi ruszył drogą wzdłuż plaży, rozglądając się na boki. Gardener wykonał kolejny nagły, rozkazujący gest. Zaparkowana u podnóża ulicy Głównej limuzyna odtoczyła się spod hotelu i zaczęła jechać obok człowieka w czarnym garniturze. Gdy tylko mężczyzna dotarł na chodnik przy ulicy, rozpiął marynarkę i z kabury pod pachą wyjął pistolet.

Kierowcy limuzyn obserwowali wzniesienie. Jack błogosławił swoje szczęście - gdyby spóźnił się pięć minut, Wilk-renegat z wielgachnym pistoletem skończyłby jego marsz ku wspaniałej, śpiewającej rzeczy w hotelu.

Jack widział tylko dwa górne piętra Agincourt oraz obracające się wariacko kurki na architektonicznych ekstrawagancjach dachu. Z jego żabiej pozycji falochron przecinający wodę na prawo od hotelu wydawał się mieć co najmniej dwadzieścia stóp wysokości i maszerował z piasku prosto w fale.

CHODŹ JUŻ, CHODŹ JUŻ, wołał Talizman słowami, które w rzeczywistości stanowiły niemal fizyczne ponaglenie.

Mężczyzna z pistoletem zniknął; szedł na wzniesienie w kierunku szaleńców z Point Venuti, ale kierowcy wciąż patrzyli za nim. Sunlight Gardener uniósł megafon.

- Wykurcie go! - zagrzemiał. - Macie go wykurzyć! - Szturchnął megafonem w stronę kolejnego człowieka w czarnym garniturze, który właśnie unosił lornetkę, by popatrzeć w dół

ulicy, w stronę Jacka. - Ty! Świński ryju! Masz pójść drugą stroną ulicy... i wykurzyć tego najzłejszego chłopca, och tak, najzłejszego chłopca.

Zawiesił głos, bo inny mężczyzna przebiegł na przeciwległy chodnik, już trzymając pistolet w dłoni.

Jack zdał sobie sprawę, że lepszej szansy mieć nie będzie - w tej chwili wszyscy stali odwrócenii od równoległego do plaży odcinka drogi.

- Trzymaj się mocno - wyszeptał do nieruszającego się Richarda. - Czas na potańcówkę.

Ugiął nogi i zdał sobie sprawę, że plecy Richarda pewnie widać nad żółtymi zielskami i wysoką trawą. Pochylił się, wypadł z chaszczy i postawił stopę na drodze przy plaży.

Po kilku sekundach Jack Sawyer leżał płasko na brzuchu na zwirowatym piasku i pełzył do przodu. Dłoń Richarda zacisnęła mu się na ramieniu. Czołgał się po piachu, aż dotarł za pierwszą sterczącą wysoko skałą. Wówczas po prostu znieruchomiał, podkładając ręce pod twarz. Lekki jak piórko Richard dyszał ciężko na jego plecach. Woda, oddalona najwyżej o dwadzieścia stóp, wpadała z łoskotem na brzeg. Jack wciąż słyszał obłędne skrzeczenie Sunlighta Gardenera - ze szczytu ulicy Głównej niosły się przekleństwa pod adresem niekompetentnych imbecylów. Talizman wciąż poganiał chłopca, nie ustawał...

Richard zsunął się z grzbietu przyjaciela.

- Nic ci nie jest?

Richard uniósł wychudzoną rękę i dotknął palcami czoła, a kciukiem kości jarzmowej.

- Chyba nic. Widziałeś mojego ojca?

- Jeszcze nie. - Jack przecząco potrząsnął głową.

- Ale jest tutaj.

- Pewnie tak. Musi być.

Jackowi stanęły przed oczami Królewskie Włości o obskurnej fasadzie i dziurawa tablica. Morgan Sloat na pewno przywarował w motelu, w którym tak często gościł sześć czy siedem lat wcześniej. Jack natychmiast wyczuł bliskość ogarniętego furiją Morgana Sloata, jakby przywołała go świadomość.

- Cóż, nie przejmuj się nim. - Głos Richarda wydawał się cienki jak papier. - To znaczy, nie przejmuj się, że ja się nim przejmuję. Myślę, że on nie żyje, Jack.

Jack obejrzał się na przyjaciela z obawą: czy Richard naprawdę tracił rozum? Na pewno miał gorączkę. Na wzgórzu Sunlight Gardener ryknął przez megafon: "ROZSTAWCIE SIĘ!".

- Myślisz...

W tej samej chwili Jack usłyszał inny głos - ten sam, który po raz pierwszy zaszeptał równocześnie z gniewnym rozkazem Gardenera. Był to głos na poły znajomy; Jack rozpoznał jego tembr i kadencję, zanim rzeczywiście go zidentyfikował. Co dziwne, zdał sobie sprawę, że dźwięk tego szczególnego głosu wprawia go w rozluźnienie - prawie tak, jakby mógł wreszcie przestać martwić się i układać plany, bo wszystko zostanie dopilnowane. Poczł to, zanim zdołał nazwać właściciela głosu.

- Jack Sawyer - powtórzył głos. - Tutaj, synu.

Głos należał do Speedy'ego Parkera.

- Tak myślę - rzekł Richard.

Zamknął opuchnięte oczy i znów wyglądał jak wyrzucony przez fale nieboszczyk.

*Myślę, że mój ojciec naprawdę nie żyje*, chciał powiedzieć Richard, ale Jack nie miał teraz głowy do bredzenia przyjaciela.

- Tutaj, Jacky! - zawołał znowu Speedy.

Jack zorientował się, że głos dobiega z największej grupy wysokich skał - trzech połączonych ze sobą pionowych stert, wznoszących się kilka stóp od brzegu oceanu. Ciemna linia, znacząca najwyższy poziom przyływu, rysowała się w jednej czwartej wysokości gładów.

- Speedy - szepnął Jack.

- Się wie - padła odpowiedź. - Przedostań się tutaj, zanim te umarlaki cię zobaczą, dobra? I przyrowadź swojego przyjaciela.

Richard wciąż leżał na piasku twarzą do góry, zakrywając ją ręką.

- Chodź, Richie - szepnął mu do ucha Jack. - Musimy przejść kawałek plażą. Tam jest Speedy.

- Speedy? - odpowiedział Richard tak cicho, że Jack z trudnością rozpoznał to słowo.

- Przyjaciel. Widzisz te skały tam dalej? - Podniósł głowę Richarda, czemu towarzyszyło zgięcie chudej jak patyk szyi. - Jest za nimi. Pomoże nam, Richie. W tej chwili przyda się nam trochę pomocy.

- Prawie nic nie widzę - poskarżył się Richard. - I jestem strasznie zmęczony...

- Wleż mi na plecy.

Odwrócił się i prawie doszczętnie rozpląszczył na piasku. Richard wsunął ramiona na jego barki i zdołał szepnąć rękę.

Jack wyjrzał za skraj skały. Na drodze przy plaży Sunlight Gardener przyglądał włosy. Kierował się do frontowych drzwi Królewskich Włości. Czarny hotel piętrzył się majestatycznie i przerażająco. Talizman otworzył usta i zawołał Jacka Sawyera. Gardener

zawahał się pod drzwiami motelu i przyglądał dłońmi włosy. Potrząsnął głową, raptownie się odwrócił i ruszył o wiele szybszym krokiem wzdłuż długiego rzędu limuzyn. Uniósł megafon.

MELDOWAĆ CO PIĘTNAŚCIE MINUT! - zaskrzeczał. - WARTA! MACIE ZGŁOSIĆ, JEŚLI ZAUWAŻYCIE CHOĆBY ROBAKA! MÓWIĘ POWAŻNIE, NAPRAWDĘ!

Gardener odchodził w przeciwną stronę; wszyscy oglądali się za nim. Jack wyskoczył z ukrycia za skałą. Pobiegł plażą pochylony, ściskając wychudzone ramiona Richarda. Wzbijał stopami grudy mokrego piasku. Trzy połączone skalne kolumny, które wydawały się tak blisko, gdy rozmawiał ze Speedym, obecnie jakby odsunęły się na pół mili - otwarta przestrzeń między chłopcami a głazami nie chciała się zmniejszać, jakby skały cofały się, by nie mogli ich dogonić. Jack spodziewał się lada chwila usłyszeć huk strzału. Czy najpierw poczuje kulę, czy też usłyszy wystrzał, a dopiero później padnie? Trzy skały wreszcie urosły w jego polu widzenia. Dopadł ich, runął na piasek i przepelzł w ukrycie.

- Speedy! - zawołał radośnie mimo powagi sytuacji.

Widok Speedy'ego, który siedział obok kolorowego małego koca i opierał się o środkową skałę, zdusił śmiech w jego gardle - i uśmiercił co najmniej połowę jego nadziei.

2

Speedy Parker był bowiem w jeszcze gorszym stanie niż Richard. O wiele gorszym. Skinął ze znużeniem głową - miał spękaną twarz, pokrytą sączącymi się ranami - a chłopiec pomyślał, że wygląd Speedy'ego potwierdza, iż przyjaciel jest w beznadziejnym stanie. Murzyn miał na sobie tylko parę podniszczonych brązowych szortów. Wydawało się, że chorobowe zmiany pokrywają całą jego skórę, jakby miał trąd.

- Usiądź wreszcie, stary Jacku Wędrowniczku - wyszeptał Speedy chrapliwym, łamiącym się głosem. - Mam ci mnóstwo do powiedzenia, więc lepiej otwórz szeroko uszy.

- Jak się czujesz? - spytał Jack. - To znaczy... Jezu, Speedy... mogę dla ciebie cokolwiek zrobić?

Złożył ostrożnie Richarda na piasku.

- Otwórz uszy, jak powiedziałem. Nie zamartwiaj się Speedym. Nie jest mi za wygodnie, tak jak mnie widzisz, ale może mi znowu być wygodnie, jak zrobisz, co trzeba. To tatko twojego małego przyjaciela zrobił mi taką krzywdę - i widzi mi się, że swojemu chłopakowi także. Stary Bloat nie chce, żeby jego dziecko weszło do hotelu, o nie, szanowny panie - ale musisz go tam zabrać, synu. Nie ma na to rady. Musisz to zrobić.

Jack miał wrażenie, jakby kontakt ze Speedym co chwila się urywał, a potem wracał. Chłopiec miał wielką ochotę wyć i wrzeszczeć, co mu się nie zdarzyło od śmierci Wilka. Paliły go oczy i zdawał sobie sprawę, że z trudem powstrzymuje się od płaczu.

- Wiem, Speedy - powiedział. - Sam do tego doszedłem.

- Dobry z ciebie chłopiec - rzekł starszy mężczyzna. Przekrzywił w tył głowę i przyjrzał się uważnie Jackowi. - Zgadza się, to ciebie było potrzeba. Widzę, że droga zostawiła na tobie ślady. To ciebie było potrzeba. Uda ci się.

- Jak moja mama, Speedy? - spytał Jack. - Powiedz mi, proszę. Wciąż żyje, prawda?

- Możesz do niej zadzwonić, kiedy tylko będziesz miał okazję, i sam się dowiedzieć - odparł Speedy. - Ale najpierw musisz wydostać Talizman, Jack, bo jak go nie dostaniesz, ona umrze. Tak samo Królowa Laura. Ona też umrze. - Speedy podciągnął się, skrzywił i wyprostował grzbiet. - Coś ci powiem. Prawie wszyscy na dworze spisali ją na straty - zachowują się, jakby już umarła. - Na jego twarzy odmalowało się obrzydzenie. - Wszyscy boją się Morgana, bo wiedzą, że Morgan obedrze ich ze skóry, jeśli mu nie poprzysięgną teraz wierności - kiedy Laurze zostało jeszcze trochę tchu w piersiach. Na dalekich Terytoriach krążą jednak węże na dwóch nogach w rodzaju Osmonda i jego bandy i wmawiają ludziom, że ona już umarła. Jeśli ona umrze, Jacku Wędrowniczku, jeśli umrze... - uniósł pokiereszowaną twarz ku chłopcu - ...to w obu światach czeka nas czarna zgroza. Czarna zgroza. Zadzwoni do swojej mamy, pewnie. Ale najpierw musisz go wydostać. Musisz. To wszystko, co nam teraz zostało. - Jack nie musiał pytać, co Speedy ma na myśli. - Cieszę się, że rozumiesz, synu.

Speedy przymknął oczy i oparł głowę o kamień. Po chwili ponownie uchylił oczy.

- Przeznaczenie. Tylko o to chodzi. Przeznaczenie tylu ludzi, życie tylu ludzi, że nawet nie masz pojęcia ilu. Słyszałeś kiedyś imię Rushton? Domyślam się, że pewnie tak, bo upłynęło mnóstwo czasu. - Jack kiwnął głową. - Przeznaczenie wszystkich tych ludzi to powód, dla którego twoja matka zabrała cię do hotelu Alhambra, Jacku Wędrowniczku. A ja tak sobie siedziałem i czekałem, bo wiedziałem, że się zjawisz. Talizman cię tu przywołał, chłopcze. Jasonie. Czuję, że to imię też słyszałeś.

- To ja - powiedział Jack.

- No to wydostań Talizman. Zabrałem ze sobą ten drobiazg. Może ci trochę pomoże.

Ze znużeniem uniósł brzeg koca. Jack dopiero w tej chwili zorientował się, że jest z gumy, czyli to w ogóle nie był koc.

- Ale jak mam dostać się do hotelu? - zapytał. - Nie mogę przeleźć przez płot i nie dopłynę do niego z Richardem.

- Nadmuchaj.

Speedy przymknął z powrotem oczy.

Jack rozwinął niby-koc. Okazało się, że to nadmuchiwana łódka w kształcie beznogiego konia.

- Poznajesz ją? - W głosie Speedy'ego, chociaż brzmiących straszliwie, pojawiła się nuta nostalgii. - Jakiś czas temu ją przynosiliśmy, ty i ja. Wytłumaczyłem ci, jak się nazywa - ona i reszta.

Jack nagle przypomniał sobie, jak przyszedł do Speedy'ego w dniu, który wydawał się pełen czarnych i białych zygzaków, i zastał go w okrągłej hali, kiedy reperował konie z karuzeli. *Spoufalisz się z nią, ale pewnie nie będzie jej to przeszkadzać, jeśli pomożesz mi ją wsadzić na właściwe miejsce.* Również to zdanie zdawało się mieć obecnie głębszy sens. Kolejny element świata znalazł się dla Jacka na właściwym miejscu.

- Srebrna Dama - powiedział.

Speedy mrugnął do niego, a Jack ponownie doznał niesamowitego uczucia, że wszystko w jego życiu spiskowało, żeby zawieść go właśnie do tego miejsca.

- Twojemu przyjacielowi nic nie jest? - Pytanie Speedy'ego stanowiło manewr dla odwrócenia uwagi.

- Myślę, że wytrzyma.

Jack obejrzał się z niepokojem na Richarda, który przetoczył się na bok i płytko dyszał z zamkniętymi oczyma.

- Jeśli tak myślisz, to nadmuchaj wreszcie starą Srebrną Damę. Musisz zabrać ze sobą tego chłopaka, choćby nie wiem co. On też ma rolę do odegrania.

Odcień skóry Speedy'ego zdawał się pogorszyć nawet w trakcie rozmowy na plaży - stał się chorobliwie szary, jak popiół.

- Nie mogę nic dla ciebie zrobić, Speedy? - zapytał Jack, zanim rozpoczął dmuchanie łódki.

- Pewnie. Idź do drogerii w Point Venuti i przynieś mi butelkę maści Lydii Pinkham. - Speedy potrząsnął głową. - Wiesz, jak pomóc Speedy'emu Parkerowi, chłopcze. Wydostań Talizman. Niepotrzebna mi żadna inna pomoc.

Jack dmuchnął.



W jakiś czas później Jack wpychał korek, umieszczony przy ogonie łódki - czterostopowego gumowego konia z nienormalnie szerokim grzbietem.

- Nie wiem, czy zdołam przeprowadzić na tym Richarda - powiedział; nie skarżył się, jedynie myślał na głos.

- Zdoła słuchać rozkazów, stary Jacku Wędrowniczku. Wystarczy, że będziesz siedział za nim i pomożesz mu się przytrzymać. To wystarczy.

W istocie Richard przepełził na zawietrzną stronę skał. Oddychał równo i regularnie przez otwarte usta. Jack nie potrafił orzec, czy śpi, czy nie.

- W porządku - powiedział Jack. - Czy za hotelem jest molo lub coś w tym rodzaju?

- Coś lepszego od mola, Jack. Jak dostaniesz się za falochron, to zobaczysz wielkie słupy - zbudowali hotel częściowo na wodzie. Przy tych słupach ujrzysz drabinę. Wsadzisz Richarda na drabinę i wyjdziecie na wielki taras z tyłu. Są tam wielkie okna - służą także jako drzwi, rozumiesz? Otworzysz jedno z tych drzwi-okien i dostaniesz się do jadalni. - Speedy zdołał się uśmiechnąć. - Kiedy będziesz w jadalni, to myślę, że sam już wywęszysz Talizman. Nie bój się go, synu. Czeka na ciebie, sam przyjdzie ci do ręki posłusznie jak pies.

- A co powstrzyma wszystkich tych gości przed ściganiem mnie?

- Rany, oni nie mogą wejść do środka czarnego hotelu. - Głupota Jacka sprawiła, że na pomarszczonej twarzy Speedy'ego pojawił się grymas niezadowolenia.

- Wiem, chodziło mi o wodę. Nie będą mnie ścigali łodzią ani niczym takim?

- Nie, i myślę, że sam zobaczysz dlaczego, Jacku Wędrowniczku. - Speedy zdobył się tym razem na bolesny, lecz szczery uśmiech. - Stary Bloat i jego kompania będą trzymali się z daleka od wody, he-he. Nie martw się tym teraz, pamiętaj tylko, co ci powiedziałem, i wydostań to, co masz wydostać, słyszysz?

- Zaraz tam będę - powiedział Jack.

Podszedł do skał i spojrzał w stronę drogi biegnącej wzdłuż plaży i hotelu. Zdołał przeciąć jezdnię i dotrzeć do Speedy'ego niezauważony; na pewno mógł przeciągnąć Richarda tych kilka stóp do brzegu i załadować go na łódkę. Przy odrobinie szczęścia zdoła niepostrzeżenie dotrzeć do podpór - Gardener i jego ludzie z lornetkami obserwowali przede wszystkim wzniesienie i miasteczko.

Jack wyjrzał po raz drugi zza skraju wysokiego skalnego słupa. Limuzyny wciąż stały przed hotelem. Chłopiec wysunął głowę jeszcze cal czy dwa dalej i rozejrzał się po ulicy. Człowiek w czarnym garniturze wychodził właśnie frontowymi drzwiami ze zdewastowanego motelu Królewskie Włości. Jack zauważył, że mężczyzna stara się nie patrzeć w stronę czarnego hotelu.

Rozległ się gwizdek, wysoki i przenikliwy jak kobiecy krzyk.

- Ruszajcie! - szepnął chrapliwie Speedy.

Jack poderwał głowę i zobaczył na szczycie porośniętego trawą pagórka, który wznosił za zrujnowanymi domami, człowieka w czarnym garniturze. Facet stał, dmuchał w gwizdek i pokazywał prosto w ich stronę. Ciemne włosy kołysały się wokół jego barków. Przez czarny garnitur, okulary przeciwsłoneczne i włosy wyglądał jak Anioł Śmierci.

- ZNAJDŹCIE GO! ZNAJDŹCIE GO! - ryczał Gardener. - ZASTRZELCIE GO! TYSIĄC DOLARÓW DLA BRATA, KTÓRY PRZYNIESIE MI JEGO JAJA!

Jack szarpnął się w tył, za dające osłonę skały. Pół sekundy później kula zrykoszetowała od środkowej kolumny - na moment przed tym, nim rozległ się strzał. Teraz już wiem, pomyślał Jack, chwytając Richarda za ramię i ciągnąc go w stronę łódki. Najpierw padasz, dopiero później słyszysz wystrzał.

- Musicie już ruszać - wyrzucił z siebie bezdźwięczne słowa Speedy. - Za pół minuty zaroi się od strzelców. Trzymajcie się falochronu, dopóki będziecie mogli, a potem płyńcie prosto na drugą stronę. Wydostań go, Jack.

Jack rzucił Speedy'emu rozgorączkowane, przelotne spojrzenie, gdy druga kula ugrzęzła w piachu przed ich małą redutą. Dociągnął Richarda do łódki i z pewnym zadowoleniem zauważył, że jego przyjaciel miał dość przytomności umysłu, by wczepić się w parę kosmyków gumowej grzywy. Speedy uniósł prawą dłoń w geście będącym jednocześnie machnięciem i błogosławieństwem. Jack pchnął łódkę tak silnie, że znalazła się prawie na skraju wody. Usłyszał kolejny przenikliwy gwizd. Dźwignął się z piachu i pędem zepchnął łódkę z piasku. Wciąż biegł, aż woda sięgała mu po pas, i wtedy wspiął się na gumową tratwę.

Powiosłował rękami prosto ku falochronowi. Gdy do niego dotarł, wypłynął na odsłonięte, otwarte wody i wiosłował dalej.

4

Od tej chwili Jack koncentrował się wyłącznie na wiosłowaniu. Zdecydowanie wyrzucił z umysłu wszelkie pytania, co zrobi, jeśli ludzie Morgana zabiją Speedy'ego. Musiał dostać się pod wsporniki, to wszystko. Mniej więcej sześć stóp od niego kula trafiła w wodę, wzbijając miniaturowy gejzer. Jack usłyszał, jak kolejna wpadła do wody z melodyjnym piknięciem. Wytężył wszystkie siły.

Minęło trochę czasu, sam nie wiedział ile. W pewnej chwili Jack zsunął się z łódki i ulokował się za nią; przebijając nogami, mógł pchać ją jeszcze szybciej do przodu. Niemal niewyczuwalny prąd znosił go w stronę celu. Wreszcie zaczęła się palisada - wysokie, obrośnięte kolumny z drewna, grubości słupów telefonicznych. Jack zobaczył niemożliwie wielki hotel - wyrastał nad szerokim, czarnym tarasem i zdawał się pochylać w jego stronę. Spojrzał w tył i na prawo, ale Speedy nie ruszył się z miejsca. A może? Chyba miał inaczej ułożone ręce. Może...

Na długim, porośniętym trawą stoku, za rzędem walących się domów coś się zaroilo. Jack obejrzał się w tę stronę i dostrzegł, że na plażę zbiegają czterej mężczyźni w czarnych garniturach. Przez łódkę przetoczyła się fala i prawie wyrwała ją chłopcu z rąk. Richard jęknął. Dwaj mężczyźni wyciągnęli ręce w ich stronę. Poruszali ustami.

Kolejna wysoka fala zakołysała łódkę; jak tak dalej pójdzie, to za chwilę Jack znajdzie się na plaży.

Fala? - pomyślał Jack. Jaka fala?

Wyjrzał znad łódki, gdy tylko opadła z fali. Pod powierzchnią nikał szeroki, szary grzbiet jakiegoś stworzenia zbyt wielkiego, żeby było rybą. Rekin? Jack z niepokojem zdał sobie sprawę, że jego nogi majtają się w wodzie. Zanurzył głowę pod powierzchnię, bojąc się, że zobaczy mknący w jego stronę żołądek w kształcie cygara uzbrojonego w zęby.

Nie dojrzał niczego takiego - niezupełnie - ale to, co zobaczył, wprawiło go w niebotyczne zdumienie.

W wodzie, w tym miejscu chyba bardzo głębokiej, niczym w akwarium roiło się od stworzeń, chociaż nie od ryb o normalnych rozmiarach i wyglądzie. W tym akwarium pływały tylko potwory. Pod nogami Jacka krążył cały zwierzyniec przerośniętych, czasami koszmarnie szpetnych stworzeń. Musiały płynąć pod nim i łódką od chwili, gdy tylko Jack dotarł na dostateczną głębokość. Tłoczyły się wszędzie. Stwór, który wzbudził przerażenie Wilków-renegatów, prześlizgiwał się dziesięć stóp poniżej chłopców; był długi jak pociąg towarowy. Wygiął się w górę i popatrzył na Jacka. Mignęły błony mrużne w jego oczach. Długie wąsy wlokły się za przypominającą jaskinię paszczą. Jest wielka jak drzwi od windy, pomyślał Jack. Stwór minął go, fala, którą wywołał, pchnęła łódkę jeszcze bliżej hotelu. Uniósł ociekającą paszczą nad powierzchnię. Włochatym profilem przypominał neandertalczyka.

Stary Bloat i jego kompania będą trzymali się z daleka od wody, powiedział Speedy i się roześmiał.

Jakakolwiek siła zatrzasnęła Talizman w czarnym hotelu, wypuściła te stworzenia na wody dookoła Point Venuti, by strzegły go przed niepożądanymi osobami, a Speedy o tym wiedział. Potwory delikatnie posuwały wielkimi cielskami łódkę coraz bliżej pali, jednak wzbijane przez nie fale prawie całkowicie uniemożliwiały Jackowi dostrzeżenie, co dzieje się na brzegu.

Łódka wyjechała na grzbiet fali i chłopiec dojrzał, że Sunlight Gardener z rozwianymi włosami stoi obok czarnego ogrodzenia i mierzy w głowę Jacka z długiej i ciężkiej strzelby myśliwskiej. Tratewka osunęła się; kula przeleciała wysoko nad głową chłopca z brzęczeniem przypominającym odgłos kolibra. Po chwili dotarł do niego huk wystrzału. Gdy Gardener wystrzelił ponownie, przypominająca rybę istota długości dziesięciu stóp z wielką jak żagiel płetwą grzbietową wydzwignęła się pionowo z wody i własnym ciałem zasłoniła Jacka, po czym płynnie opadła w tył i zanurzyła się pod powierzchnię. Jack zdołał dojrzeć wielką, ziejącą dziurę w jej boku. Gdy znowu znalazł się na szczycie fali, Gardener biegł truchtem przez plażę, najwyraźniej w kierunku motelu Królewskie Włóści. Olbrzymia ryba pchała łódkę po przekątnej w stronę palisady.

## 5

Drabina, powiedział Speedy. Gdy tylko Jack znalazł się w półmroku pod szerokim tarasem, rozejrzał się, starając się ją zlokalizować. Grube słupy, porośnięte glonami, pąklami i ociekającymi wodorostami, stały w czterech rzędach. Jeśli drabina została zamocowana wtedy, kiedy zbudowano taras, mogła nie nadawać się już do użytku - jeśli wykonano ją z drewna, to pokryła się pąklami oraz wodorostami i na pewno trudno będzie ją wypatrzeć. Wielkie, wyglądające jak owłosione słupy były o wiele szersze niż niegdyś. Jack wciągnął się do środka łódki, opierając się o gruby ogon z gumy. Potem rozdygotany rozpiął przemoczoną koszulę - tę samą, zapinaną z przodu i co najmniej o rozmiar za małą, którą dostał od Richarda po drugiej stronie Spustoszonych Ziemi. Upuścił ją z plaśnięciem na dno łódki. Buty spadły mu w wodzie; ściągnął mokre skarpety i rzucił je na koszulę. Richard przycupnął na kolanach, wychylał się do przodu na dziobie łódki, zaciskając usta i oczy.

- Szukamy drabiny - powiedział do niego Jack. Richard przyjął to do wiadomości ledwie zauważalnym kiwnięciem głowy. - Myślisz, że zdołasz wspiąć się po drabinie, Richie?

- Może - szepnął chłopiec.

- No, jest gdzieś tutaj. Pewnie przymocowana do któregoś z tych słupów.

Jack powiosłował oburącz i wprowadził łódkę między dwa słupy w pierwszym rzędzie. Zew Talizmanu był już nieustanny; wydawał się prawie dość silny, by wyciągnąć chłopca z łódki i przenieść go na taras. Dryf zniósł ich między pierwszy i drugi rząd słupów; znaleźli się już pod ciężką, czarną płaszczyzną pomostu. Podobnie jak na zewnątrz, i tutaj małe, czerwone rozbłyski pojawiały się w powietrzu, kołowały i gasły. Jack przeliczył; cztery rzędy słupów, po pięć w każdym. Dwadzieścia miejsc, gdzie mogła znajdować się drabina. Mrok zalegający pod tarasem i mnóstwo przejść między słupami powodowały, że wędrówka przypominała wyprawę do katakumb.

- Nie zastrzelili nas - powiedział Richard bez cienia emocji w głosie; tym samym tonem mógłby rzec: "Skończył się chleb w sklepie".

- Mieliliśmy trochę pomocy.

Jack obejrzał się na skulonego przyjaciela. Richard w żaden sposób nie da rady wejść po drabinie, chyba że podziała na niego jakiś potężny bodziec.

- Dobijamy do słupa - oznajmił Jack. - Wychyl się i odepchnij nas, dobrze?

- Słucham?

- Nie dopuść, żebyśmy rąbnęli w słup - powtórzył Jack. - Daj spokój, Richard. Potrzebuję twojej pomocy.

Prośba poskutkowała. Richard rozchylił z trudem lewe oko i wystawił prawą rękę. Gdy podpłynęli bliżej słupa, wysunął i lewą, by zamortyzować uderzenie. Coś cmoknęło na słupie, jak otwierane wilgotne wargi.

Richard stęknął i cofnął rękę.

- Co to było? - zapytał Jack.

Richard nie musiał odpowiadać - obydwaj chłopcy dostrzegli przywierające do słupów, przypominające ślimaki stworzenia. Miały pozamykane oczy - i pyski. Podekscytowane, zaczęły wiercić się na słupach i szczekać zębami. Jack zanurzył ręce w wodzie i zdołał odwrócić dziób łódki od wspornika.

- Och, Boże - powiedział Richard. W pozbawionych warg, małych paszczach tkwiło mnóstwo zębów. - Boże, nie wytrzymam...

- Musisz, Richard - odparł Jack. - Nie słyszałeś, co Speedy powiedział na plaży? Może nawet już nie żyje, a jeśli tak, to zginął dlatego, że chciał się upewnić, czy wiem, że musisz wejść do hotelu. - Richard znowu zamknął oczy. - I nie obchodzi mnie, ile ślimaków będziemy musieli zabić, by wejść po drabinie, Richard. To wszystko. To wszystko.

- Zesraj się - odpowiedział Richard. - Nie musisz mówić do mnie w ten sposób. Niedobrze mi się robi, że się tak szarogęsisz. Wiem, że muszę wejść po drabinie,

gdziekolwiek jest. Pewnie mam czterdzieści dwa stopnie gorączki, ale wiem, że muszę wejść po drabinie. Po prostu zupełnie się nie orientuję, czy to wytrzymam, więc idź do diabła. - Richard wygłosił całą tę przemowę z zamkniętymi oczyma. Z wysiłkiem uchylił je znowu. - Czubek.

- Potrzebuję cię - powiedział Jack.

- Czubek. Wleżę po tej drabinie, dupo wołowa.

- W takim razie lepiej ją znajdę - rzekł Jack.

Pchnął łódkę w stronę następnego rzędu wsporników i zobaczył drabinę.

6

Drabina wystawała pionowo pomiędzy dwoma wewnętrznymi rzędami słupów i kończyła się mniej więcej cztery stopy nad lustrem wody. Niewyraźny czworokąt u jej szczytu świadczył, że znajduje się tam kłapa. Częściowo widoczna w ciemności drabina przypominała własnego ducha.

- Wchodzimy do gry, Richie - oświadczył Jack.

Ostrożnie wyminął łódką kolejny słup, upewniając się, że się o niego nie otrze. Setki przyklepionych do niego ślimakowatych stworzeń obnażyły zęby. Kilka sekund później koński łeb na przedzie łódki znalazł się pod drabiną. Jack mógł dosięgnąć najniższego szczebla.

- No dobrze - powiedział.

Najpierw zawiązał na szczeblu jeden z przemoczonych rękawów koszuli, a drugi - na sztywnym, gumowym ogonie. Dzięki temu tratwa będzie czekać na nich, jeśli wydostaną się z hotelu. Jackowi nagle zaschło w ustach. Talizman przyzywał go swym śpiewem. Chłopiec stanął ostrożnie w łódce i uczeplił się drabiny.

- Ty pierwszy - polecił. - Nie będzie łatwo, ale ci pomogę.

- Nie potrzebuję twojej pomocy - rzucił Richard. Stanął i mało nie runął naprzód, wyrzucając ich obu z łódki.

- Spokojnie.

- Odwal się.

Richard wyciągnął obie ręce i odzyskał równowagę. Zaciskał kurczowo usta, jakby bał się w ogóle oddychać. Zrobił kroczyk do przodu.

- Dobrze.

- Dupa wołowa. - Richard przesunął lewą stopę do przodu, uniósł prawą rękę, dostawił prawą nogę. Spód drabiny znalazł się w jego zasięgu. Przyjrzał się jej dramatycznie zmrużonym prawym okiem. - Widzisz?

- Dobra - powiedział Jack i wyciągnął przed siebie dłonie na znak, że nie obrazi Richarda ofertą fizycznej pomocy.

Richard podciągnął się na drabinie, a jego nogi w nieunikniony sposób wygięły się w przód, pociągając za sobą łódkę. Po chwili wisiał nad wodą - jedynie koszula Jacka uniemożliwiła łódce wyśliznięcie się spod stóp Richarda.

- Ratunku!

- Podciągnij nogi do tyłu.

Richard posłuchał i wyprostował się, ciężko dysząc.

- Pozwól, że ci pomogę, dobra?

- Dobra.

Jack popęzł po łódce, aż znalazł się bezpośrednio za przyjacielem. Wyprostował się z wielką ostrożnością. Dygoczący Richard ścisnął w obu rękach najniższy szczebel. Jack położył ręce na jego wychudzonych biodrach.

- Pomogę ci się dźwignąć. Postaraj się nie wierzgać - po prostu podciągnij się i wesprzyj kolanem na szczeblu. Najpierw przełóż ręce na następny.

Richard uchylił oko i spełnił polecenie.

- Gotowy?

- Dawaj.

Łódka wyśliznęła się do przodu, ale Jack zdołał poderwać Richarda tak wysoko, że chłopiec nie miał żadnych trudności z ułożeniem kolana na najniższym szczeblu. Następnie Jack chwycił poręcz drabiny i siłą ramion oraz nóg ustabilizował łódkę. Richard postękiwał, starając się umieścić na szczeblu drugie kolano. Po sekundzie mu się udało. Po dwóch następnych Richard Sloat stał prosto na drabinie.

- Nie zdołam wejść dalej - powiedział. - Myślę, że spadnę. Jest mi strasznie niedobrze, Jack.

- Wejdz tylko jeszcze jeden szczebel, proszę. Proszę. Wtedy będę mógł ci pomóc.

Richard z wysiłkiem przełożył dłonie szczebel wyżej. Jack wyjrzał w stronę tarasu i zorientował się, że drabina ma ze trzydzieści stóp wysokości. - Teraz przestaw nogi. Proszę, Richard.

Richard powoli przełożył na następny szczebel jedną stopę, a potem drugą.

Jack zacisnął dłonie na szczeblu obok stóp Richarda i się podciągnął. Łódka zatoczyła półokrąg, chłopiec zdołał jednak unieść kolana i oprzeć się nogami na pierwszym szczeblu. Dzięki koszuli Jacka łódka wróciła na poprzednie miejsce jak pies na smyczy.

W jednej trzeciej drogi po drabinie Jack musiał objąć Richarda ramieniem w pasie, by nie zwałił się w czarną wodę.

Czworokątny właz z czarnego drewna zarysował się wreszcie wprost nad głową Jacka. Przycisnął do siebie nieprzytomnego Richarda - jego głowa opadła mu na piersi - lewą ręką obejmował zarówno jego, jak i drabinę, a prawą spróbował odchylić klapę. A jeśli została zabita gwoździami? Otworzyła się jednak natychmiast i opadła z łoskotem na pomost. Lewą ręką Jack objął pewnie Richarda pod pachami i wyciągnął go z ciemności przez dziurę w tarasie.



## Interludium

### Sloat w tym świecie (V)

Motel Królewskie Włości stał prawie od sześciu lat pusty i nabawił się zapaszku pożółkłego papieru gazetowego, typowego dla porzuconych od dawna budynków. Woń z początku denerwowała Sloata. Jego babka ze strony matki umarła w domu, kiedy był chłopcem - zajęło jej to cztery lata, ale wreszcie zdołała zaliczyć ten egzamin - woń jej konania była podobna. Sloat nie chciał takiego zapachu ani takich wspomnień w chwili, która powinna stać się jego największym triumfem.

Obecnie jednak nie miało to już znaczenia. Nie liczyły się nawet budzące furię straty, jakie Jack wyrządził swoim przedwczesnym pojawieniem się w Camp Readiness. Gniew i przerażenie zamieniły się w gorączkową, nerwową ekscytację. Ze spuszczoną głową, drgającymi ustami i gorejącymi oczyma Sloat krążył po pokoju, w którym zatrzymywał się z Richardem w dawnych czasach. Czasami spletał ręce za plecami, czasami walił pięścią w drugą otwartą dłoń, czasami gładził łysinę. Przeważnie jednak chodził tam i z powrotem jak w college'u, z zaciśniętymi pięściami i wbijającymi się wściekle w dłonie paznokciami. Żołądek go palił i od tego dostawał zawrotów głowy.

Sprawy zbliżały się do punktu kulminacyjnego.

Nie, nie. Słuszna myśl, ale źle sformułowana.

Sprawy zbiegały się w jedno.

*Richard już nie żyje. Mój syn nie żyje. Na pewno. Przeżył Spustoszone Ziemie - ledwie - ale nie ma szans przeżyć w Agincourt. Nie żyje. Nie łudź się fałszywą nadzieją. Jack Sawyer go zabił i za to żywcem wylupię mu oczy.*

- Ale ja też go zabiłem - szepnął Morgan, zatrzymawszy się na chwilę.

Nagle pomyślał o swoim ojcu.

Gordon Sloat był ponurym luterańskim pastorem z Ohio. Morgan całe dzieciństwo spędził, próbując ucieczek przed tym twardym, przerażającym człowiekiem. W końcu zwiął do Yale. W ostatniej klasie liceum nastawił cały swój umysł i ducha na dostanie się do Yale przede wszystkim z jednego powodu, do którego nie potrafił świadomie się przyznać, ale który był równie niewzruszony jak skalna opoka: ten wieśniak, jego chamski ojciec nigdy by nie ośmielił się tam przyjechać. Gdyby jego ojciec kiedykolwiek spróbował postawić stopę na kampusie Yale, coś by się z nim stało. Co dokładnie, tego licealista Sloat nie wiedział... ale przypominałoby to mniej więcej to, co spotkało Złą Wiedźmę, gdy Dorotka chlusnęła na nią wiaderkiem wody. Przekonanie to okazało się słuszne: stopa ojca Morgana nigdy nie postąpiła

w kampusie Yale. Od pierwszego dnia na uniwersytecie władza Gordona Sloata nad synem zaczęła maleć - samo to rekompensowało wszystkie trudy i starania.

Kiedy jednak Morgan Sloat stał tak z zaciśniętymi pięściami i wbijającymi się w miękkie dłonie paznokciami, odezwał się jego ojciec: *Cóż bowiem za korzyść stanowi dla człowieka zyskać świat cały, a swojego syna utracić?*

Przez chwilę żółta, wilgotna woń - zapach pustego motelu, babki, śmierci - wypełniła nozdrza Morgana Sloata/Morgana z Orris. Miał wrażenie, że się dusi, i poczuł strach.

*Cóż bowiem za korzyść dla człowieka...*

*Albowiem jest napisane w Księdze Dobrej Uprawy: nie będziesz przywoził owocu nasienia swego do jakiegokolwiek miejsca ofiarnego, cóż bowiem...*

*Cóż bowiem za korzyść...*

*Ten człowiek będzie przeklęty, przeklęty, przeklęty.*

*...stanowi dla człowieka zyskać świat cały, a swojego syna utracić?*

Śmierzący tynk. Sucha woń wiekowych mysich bobków, rozpadających się na proszek w mrocznych zakamarkach za ścianami. Wariaci. Po ulicach chodzili wariaci.

*Cóż bowiem za korzyść dla człowieka...*

Martwy. Jeden syn martwy w tamtym świecie, jeden syn martwy w tym.

*Cóż bowiem za korzyść dla człowieka...*

Twój syn nie żyje, Morgan. Na pewno. Utonął, leży martwy pod palami albo unosi się między nimi na wodzie, albo zginął - na pewno! - na górze. Nie mógł wytrzymać. Nie mógł...

*Cóż bowiem za korzyść dla człowieka...*

Morganowi nagle przyszła do głowy odpowiedź.

- Korzyścią jest świat cały! - krzyknął w niszczącym pokoju. Zaczął się śmiać i krążyć dalej. - Korzyścią jest świat cały, a to wystarczy, na Jasona!

Śmiejąc się, chodził coraz szybciej, a niedługo z jego zaciśniętych pięści zaczęła sączyć się krew.

Około dziesięciu minut później przed motelem zaparkował samochód. Morgan podszedł do okna i zobaczył wypadającego z cadillaca Sunlighta Gardenera.

Po kilku sekundach rozległo się łomotanie do drzwi, jakby kapryśny trzylatek walił w napadzie złości pięściami w podłogę. Morgan zrozumiał, że Gardener doszczętnie oszalał. Zastanowił się, czy to dobrze, czy źle.

- Morganie! - ryknął Gardener. - Otwórz drzwi, panie mój! Wieści! Przynoszę wieści!

*Myślę, że wszystkie twoje wieści widziałem przez lornetkę. Potłucz jeszcze trochę w drzwi, Gardener, zanim się zdecyduję. Czy to dobrze, że zwariowałeś, czy źle?*

Dobrze, uznał Morgan. W Indianie Gardener spietrał w kluczowej chwili i uciekł, nie załatwiwszy Jacka raz na zawsze. Obecnie jednak obłądna rozpacz uczyniła go ponownie godnym zaufania. Gdyby Morgan potrzebował pilota-kamikaze, Sunlight Gardener pierwszy zasiadłby w kokpicie.

- Otwórz mi, panie mój! Wieści! Wieści! Wie...

Morgan otworzył drzwi. Chociaż sam był dziko podniecony, zaprezentował Gardenerowi niemal nieziemsko spokojne oblicze.

- Spokojnie - powiedział. - Spokojnie, Gard, bo pięknie ci żyłka.

- Popłynęli do hotelu... z plaży... strzelaliśmy do nich, kiedy byli na plaży... głupie zasrańce spudłowały... myślałem, że na wodzie... że dostaniemy ich na wodzie... potem wypłynęły stwory z głębin... miałem go na celowniku... miałem tego złego, złego chłopca DOKŁADNIE NA MOIM CELOWNIKU... a potem... stwory... one... one...

- Zwolnij - powiedział uspokajająco Morgan.

Zamknął drzwi i z wewnętrznej kieszeni wyjął piersiówkę. Podał ją Gardenerowi, który odkręcił korek i upił dwa wielkie łyki. Morgan czekał z łaskawą, niezmaczenie spokojną twarzą, jednak żyła pulsowała na jego czole. Zaciskał i otwierał dłonie, otwierał je i zaciskał.

Dostali się do hotelu. Tak. Morgan widział absurdalną tratawkę z malowanym końskim łbem i kiwającym się gumowym ogonem.

- Mój syn - powiedział do Gardenera. - Żył czy nie żył, kiedy Jack wsadzał go do łódki?

Gardener potrząsnął głową, ale jego oczy przekazywały, co sądzi naprawdę.

- Nikt nie wie na pewno, mój panie. Niektórzy twierdzą, że widzieli, jak się ruszał. Niektórzy mówią, że się nie ruszał.

*Nieistotne. Jeśli wtedy jeszcze żył, to teraz jest martwy. Jeden oddech w hotelu, a jego płuca eksplodują.*

Policzki Gardenera poczerwieniały od whisky; oczy zaszyły mu łzami. Nie oddał piersiówki, lecz wciąż trzymał ją w ręce. Sloat nie miał nic przeciwko temu. Nie miał ochoty ani na whisky, ani na kokainę. Przeżywał coś, co popaprańcy z lat sześćdziesiątych nazywali naturalnym hajem.

- Zacznij od początku - polecił Morgan. - Tym razem składnie.

Jedyną rzeczą, której Morgan nie wydedukował z pierwszego, nieskładnego wybuchu Gardenera, była informacja o obecności starego czarnucha na plaży, lecz Sloat prawie potrafił

sam się tego domyślić. Mimo to pozwolił Gardenerowi kontynuować. Jego głos wpływał na niego kojąco, jego gniew dodawał mu wigoru.

Podczas relacji Gardenera Morgan dokonał ostatni raz przeglądu możliwości działania, usuwając swojego syna z równania z przelotnym dreszczem zmartwienia.

*Cóż bowiem za korzyść dla człowieka? Korzyścią jest świat cały, a to wystarczy... albo, w tym wypadku, światy. Dwa na początek, a jeśli się powiedzie, to więcej. Jeśli mi się spodoba, mogę władać nimi wszystkimi - mogę być kimś w rodzaju Boga Wszechświata.*

*Talizman. Talizman jest...*

Kluczem?

Nie och, nie.

Nie kluczem, ale drzwiami. Zamkniętymi drzwiami między Morganem a jego przeznaczeniem. Nie chciał otwierać tych drzwi, lecz je zniszczyć, doszczętnie, kompletnie i na zawsze, by nigdy nie można było zatrzaskać ich z powrotem ani nawet zamknąć.

Po zniszczeniu Talizmanu wszystkie światy będą jego - Morgana.

- Gard! - rzucił i znów zaczął krążyć błędnie po pokoju.

Gardener popatrzył na niego pytająco.

- Cóż bowiem za korzyść dla człowieka? - zapytał Morgan tak rażno, jakby swiergotał.

- Mój panie? Nie różu...

Morgan zatrzymał się z rozgorączkowaną twarzą i krzeszącymi iskry oczami przed Gardenerem. Jego twarz falowała. Zamieniła się w oblicze Morgana z Orris. Jednak z powrotem stała się twarzą Morgana Sloata.

- Korzyścią jest świat cały - powiedział Morgan, kładąc Gardenerowi ręce na barkach. Gdy po chwili je zdjął, Osmond znów był Gardenerem. - Korzyścią jest świat cały, a to wystarczy.

- Mój panie, nie rozumiesz? - powiedział Gardener, patrząc na Morgana jak na szaleńca. - Myślę, że oni weszli do środka. Tam gdzie TO jest. Próbowaliśmy ich zastrzelić, ale te potwory... stwory z głębin... wypłynęły i ich osłoniły, właśnie tak jak napisano w Księdze Dobrej Uprawy... A skoro są w środku... - Głos Gardenera przybierał coraz wyższe tony; Osmond przewrócił oczyma, w których błyszczały nienawiść i przerażenie.

- Rozumiem - odparł pocieszająco Morgan. Jego twarz i głos stały się z powrotem spokojne, ale cały czas zaciskał i rozwierał dłonie, rozwierał i zaciskał, a krew skapywała na nadpleśniały dywan. - Się wie, jak amen w pacierzu, jak bonie-dydy. Weszli do środka, ale mój syn już stamtąd nie wyjdzie. Straciłeś swojego syna, Gard, a teraz ja - swego.

- Sawyer! - warknął Gardener. - Jack Sawyer! Jason! Ten...

Gardener zaczął wiązanek srogich przekleństw, która trwała prawie pięć minut. Przeklinał Jacka w dwóch językach; głos mu chrypiał, sączyła się zeń rozpacz i obłądana furia. Morgan czekał w miejscu, aż Gardener zdoła dać upust tym uczuciom. Gdy przerwał z zadyszką i upił kolejny łyk z piersiówki, Morgan powiedział:

- Zgadza się. Trzeba to jeszcze przemnożyć dwa razy i ozłocić. A teraz słuchaj mnie uważnie - słuchasz, Gard?

- Tak, mój panie.

W oczach Gardenera/Osmonda lśniły gorycz i skupienie.

- Mój syn nigdy nie wyjdzie z czarnego hotelu i sądzę, że Sawyerowi też to się nie uda. Są bardzo duże szanse, że jest jeszcze nie dość Jasonem, żeby poradzić sobie z tym, co jest w środku. TO go prawdopodobnie zabije, doprowadzi do szaleństwa albo rzuci sto światów stąd. Może jednak stamtąd wyjść. Do diabła, może.

- To najgorszy, najgorszy bękart suki, jaki kiedykolwiek oddychał - wyszeptał Gardener.

Zacisnął dłoń na piersiówce... jeszcze bardziej... i jeszcze... aż jego palce rzeczywiście zaczęły wgniatać stalowe naczynie.

- Mówisz, że stary czarnuch jest na plaży? - Tak.

- Parker - powiedział Morgan.

- Parkus - rzekł równocześnie Osmond.

- Nie żyje? - zapytał Morgan bez zbytniego zainteresowania.

- Nie wiem. Tak sądzę. Mam posłać ludzi, by go zabrali?

- Nie! - rzucił ostro Morgan. - Nie, to my zejdziemy na dół, tam gdzie on. Mam rację, Gard?

- Zejdziemy?

Morgan zaczął się uśmiechać.

- Tak. Ty... ja... my wszyscy. Bo jeśli Jack wyjdzie z hotelu, tam pójdzie najpierw. Nie zostawi swojego starego kumpla asfalta na plaży, prawda?

Gardener również zaczął się uśmiechać.

- Prawda - powiedział. - Nie zostawi.

Dopiero teraz Gardener zdał sobie sprawę z tępego bólu pulsującego w dłoniach. Rozwarł je i popatrzył z namysłem na krew, która wypływała z głębokich, półksiężycowatych ran. Uśmiech nie zgasł mu na twarzy - wręcz przeciwnie, stał się jeszcze szerszy.

- Korzyścią jest świat cały - szepnął. - Możecie powiedzieć: alleluja? - Jego usta rozciągnęły się jeszcze bardziej. Uśmiechał się jak wilk samotnik z żółtymi kłami - stary, ale wciąż przebiegły, uparty i pełen sil wilk. - Chodź, Gard - powiedział. - Idziemy na plażę.

## Rozdział czterdziesty pierwszy

### Czarny hotel

1

Richard Sloat nie umarł, ale kiedy Jack go podniósł, był nieprzytomny.

Kto teraz jest stadem? - spytał Wilk w jego głowie. Ostrożnie, Jacky! Wilk! Bądź...

CHODŹ DO MNIE! CHODŹ JUŻ! - śpiewał Talizman potężnym, bezdźwięcznym głosem. CHODŹ DO MNIE, PRZYPROWADŹ STADO, A WSZYSTKO BĘDZIE DOBRZE, WSZYSTKO BĘDZIE DOBRZE I...

- ...wszelkie sprawy ułożą się dobrze - wychrypiał Jack.

Ruszył naprzód i niewiele brakowało, aby wypadł przez otwór klapy, jak dzieciak uczestniczący w makabrycznej zabawie w podwójną egzekucję. Zahuśtaj się z przyjacielem, pomyślał obłądnie Jack. Tętno łomotało mu w uszach. Przez chwilę bał się, że zwymiotuje prosto w szarą wodę, pluskając o podpory. Opanował się jednak i zatrzasnął stopą klapę. Od tej chwili rozlegały się już tylko odgłosy kurków - kabalistycznych figur z brązu, które obracały się bez przerwy na tle nieba.

Jack odwrócił się w stronę Agincourt.

Zorientował się, że stoi na szerokim, przypominającym werandę tarasie. W latach dwudziestych i trzydziestych modnie przesiadywali tu podczas godziny koktajlów, pili gin, może czytali najnowszą książkę Edgara Wallace'a lub Ellery Queen, a może jedynie wyglądali w stronę, gdzie niewyraźnie majaczyła wyspa Los Cavernes - grzbiet śpiącego na horyzoncie siwoniebieskiego wieloryba. Mężczyźni w bieli, kobiety w pastelowych barwach.

Kiedyś - może.

Obecnie deski były wypaczone, pogięte i popękane. Jack nie wiedział, na jaki kolor dawniej pomalowano taras, lecz do tej pory zamienił się on w czerń, podobnie jak reszta hotelu. Chłopiec wyobrażał sobie, że dokładnie taką samą barwę muszą mieć guzy w płucach jego matki.

Dwadzieścia stóp dalej znajdowały się "okna-drzwi" Speedy'ego, przez które wychodzili na taras goście w tamtych dawnych, zapomnianych czasach. Tafle szkła zamalowano wapnem, szerokimi pociągnięciami pędzla, przypominały oczy ślepeca.

Na jednej z szyb widniał napis:

MASZ OSTATNIĄ SZANSĘ WRACAĆ DO DOMU

Dźwięczały fale. Dźwięczało obracające się żelastwo na pochyłych dachach. Cuchnęła morską sól i rozlane w przeszłości drinki - dawno temu, przez pięknych ludzi, obecnie pomarszczonych lub martwych. Cuchnął sam hotel. Jack znowu popatrzył na zamalowane okno i w gruncie rzeczy nie zdziwiło go wcale, że komunikat zdążył się zmienić:

JUŻ JEST TRUPEM, JACK, WIĘC PO CO  
ZAWRACASZ SOBIE GŁOWĘ?

*(i kto teraz jest stadem?)*

- Ty, Richie - powiedział Jack. - Ale nie tylko ty. - Richard wydał chrapiący, protestujący odgłos na rękach Jacka. - Idziemy - rzekł Jack i ruszył z miejsca. - Jeszcze tylko mila. Mniej więcej.

2

Zamalowane wapnem okna rzeczywiście zdawały się rozszerzać w miarę, jak Jack zbliżał się do Agincourt, jakby czarny hotel wpatrywał się weń ze ślepym, lecz pogardliwym zaskoczeniem.

*Naprawdę myślisz, chłoptasiu, że możesz tu wejść i łudzić się, że jeszcze kiedykolwiek stąd wyjdiesz? Naprawdę wydaje ci się, że tyle masz w sobie z Jasona?*

Po drugiej stronie mętnego szkła rozbłyskiwały i wirowały czerwone iskierki, podobne do widzianych wcześniej nad miastem. Przez chwilę nabrały kształtów - Jack ze zdumieniem przyglądał się, jak zamieniły się w drobniutkie, ogniste chochliki. Ślizgały się po mosiężnych poręczach drzwi, tworząc miniaturowe zgromadzenie. Klamki zaczęły lśnić mętnym blaskiem, jak żelazo w kowalskim piecu.

*No, chłoptasiu. Dotknij. Spróbuj.*

Jako sześciolatek Jack przytknął kiedyś palec do zimnej spirali elektrycznego grzejnika, po czym ustawił pokrętło na maksimum. Był po prostu ciekaw, jak szybko rozgrzeje się piecyk. Po sekundzie oderwał palec z okrzykiem bólu - już pokrywał się pęcherzami. Przybiegł Phil Sawyer, rzucił okiem i zapytał, odkąd Jack czuje makabryczny przymus spalania się żywcem.

Jack stał z Richardem na rękach, wpatrując się w mętnie lśniące klamki.



*No, chłoptasiu. Pamiętasz, jak parzył grzejnik? Myślałeś, że będziesz miał mnóstwo czasu, żeby zabrać palec. - " Do diabła" - myślałeś - ten drut robi się czerwony dopiero po minucie" - ale sparzył cię od razu, prawda? No, jak myślisz, jak się teraz poczujesz, Jack?*

Kolejne czerwone iskierki ześlizgiwały się jak ciecz po klamkach balkonowych drzwi. Mosiądz zaczął nabierać czerwonego i podszytego bielą odcienia metalu, który znajduje się najwyżej sześć stopni od punktu topnienia i zaraz zacznie ściekać w dół. Gdyby Jack dotknął którejś z klamek, zagłębiłaby się w jego ciało, zwęglałając tkanki i doprowadzając krew do wrzenia. Poczulby ból, jakiego nie doświadczył nigdy w życiu.

Odczekał chwilę, trzymając Richarda na rękach, miał nadzieję, że Talizman zawoła go ponownie albo górę weźmie ta strona jego natury, która jest Jasonem. W jego głosie rozległ się jednak zachrypnięty głos matki:

*Czy zawsze ktoś bądź coś musi cię popychać, Jack-O? Daj spokój, dryblasie - sam się do tego zabrałeś, więc jeśli naprawdę chcesz, ciągnij dalej. Czy ten drugi gość zawsze musi robić wszystko za ciebie?*

- Dobrze, mam - powiedział Jack. Uśmiechnął się blado, ale głos drżał mu z trwogi. - Na twoją cześć. Mam tylko nadzieję, że ktoś nie zapomniał zapakować solarkainy.

Wyciągnął dłoń i zacisnął ją na rozpalonej do czerwoności klamce.

Tyle że nie była rozpalona; uległ złudzeniu. Klamka była ciepła; to wszystko. Gdy Jack ją nacisnął, czerwony blask jej i jej sąsiadki zniknął. Kiedy zaś pchnął szklane drzwi do środka, Talizman zaśpiewał znowu, sprawiając, że na całym ciele Jacka pojawiła się gęsia skórka.

**DOBRA ROBOTA! JASONIE! DO MNIE! CHODŹ DO MNIE!**

Z Richardem na rękach Jack wszedł do jadalni czarnego hotelu.

3

Przechodząc przez próg, poczuł nieożywioną siłę - coś przypominającego martwą rękę - starającą się go odepchnąć z powrotem. Napał na nią i po sekundzie czy dwóch ustąpiło uczucie, że jest odpychany.

W sali nie było szczególnie ciemno - ale przez pomalowane wapnem okna we wnętrzu panowała monochromatyczna biel, która nie spodobała się Jackowi. Poczul się otulony przez mgłę i oślepiiony. Od wewnętrznych ścian rozchodziła się jakby pożółkła woń rozkładu - zamieniającego się w papkę lasującego się tynku. Zapachy dawnych lat i skwaśniałych ciemności. Było tu jednak coś jeszcze, z czego Jack zdawał sobie sprawę i czego się obawiał.

*Sala nie była pusta.*

Nie orientował się dokładnie, co może znajdować się w środku - ale wiedział, że Sloat nigdy nie odważył się wejść do hotelu, i podejrzewał, że nie ośmielił się na to również nikt inny. Wypełniające płuca Jacka powietrze było ciężkie i nieprzyjemne, jakby sączyła się w nie powoli działająca trucizna. Jack wyczuwał istnienie dziwnych półpięter, pochyłych przejść, sekretnych pokoików i ślepych zaułków; tłoczyły się wokół niego jak ściany wielkiej i zawilej krypty. Było tu szaleństwo, chodząca śmierć i odbierająca rozum irracjonalność. Jackowi brakowało słów, by to wyrazić, ale i tak to wyczuwał... wiedział, z czym ma do czynienia - tak samo jak wiedział, że wszystkie Talizmany kosmosu nie mogą obronić go przed tymi rzeczami. Podjął niezwykły, przypominający taniec rytuał, którego wynik nie był bynajmniej z góry przesądzony.

Musiał polegać tylko na sobie.

Coś połaskotało go w kark. Jack otarł go ręką; to coś uskoczyło w bok. Richard stęknął ciężko.

Na nitce zwisał wielki, czarny pajak. Jack podniósł głowę i zobaczył pajęczynę utkaną na nieruchomym wentylatorze pod sufitem. Brudne kłęby wczepiały się pomiędzy łopatki z twardego drewna. Pajak miał wielki odwłok; Jack widział oczy stworzenia. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział oczy pajaka. Zaczai przesuwając się w stronę stołu. Pajak obrócił się na końcu nici, śledząc go wzrokiem.

- Churefski szłociej! - zapiszczał nagle.

Jack krzyknął i w panice przycisnął Richarda kurczowo do siebie, jakby przebiegł go prąd. Krzyk chłopca przetoczył się echem pod wysokim sklepieniem jadalni. Gdzieś w mroku za nią coś szcęknięło metalicznie i rozległ się czyjś śmiech.

- Churefski szłociej, churefski SZŁOCIEJ! - zapiszczał znowu pajak, a potem pomknął do swojej sieci pod kasetonami sufitu.

Jack przeszedł z łomoczącym sercem przez jadalnię i położył Richarda na jednym ze stołów. Chłopiec bardzo cicho jęknął. Jack wyczuwał zlewające się guzki pod ubraniem przyjaciela.

- Muszę cię na razie zostawić, stary - powiedział.

- ...dobrze... naprawdę dobrze... się nim zajmę, churefski szłociej... churefski szłociej - rozległo się z cieni pod sufitem, po czym nastąpił mroczny, brzęczący chichocik.

Pod stołem, na którym Jack położył Richarda, zwalono stertę obrusów. Dwa z wierzchu lepiły się od pleśni, lecz w środku stosu chłopiec wyszukał jeden w dość dobrym stanie. Rozpostarł go i okrył Richarda po szyję. Ruszył dalej.

Głos pająka szemrał cicho spomiędzy styku łopatek wentylatora z piastą, sączył się przez ciemność, śmierdzącą rozkładającymi się muchami i osami w jedwabistych kokonach.

- ...Zajmę się nim, ty churefski szłocieju...

Jack podniósł głowę, ale nie dostrzegł pająka. Wyobrażał sobie zimne oczka, lecz to wszystko. Przyszedł mu do głowy dręczący, budzący mdłości obraz: pająk spuszcza się na twarz Richarda, wciska się pomiędzy jego bezwładne wargi i zagrzebuje w jego ustach, cały czas mamrocząc: *churefski szłocieju, churefski szłocieju, churefski szłocieju...*

Jack zastanowił się, czy Richarda ust nie nakryć obrusem. Doszedł jednak do wniosku, że nie może zmienić go w imitację trupa - stanowiłoby to niemal zaproszenie.

Zawrócił do Richarda i stanął nad nim z niezdecydowaniem. Wiedział, że ukryte w hotelu moce muszą być szczęśliwe - cieszyły się z wszystkiego, co nie puszczało go do Talizmanu.

Sięgnął do kieszeni i wyjął wielką, zieloną kulkę - magiczne lustro w drugim świecie. Nie miał powodów sądzić, że było obdarzone jakąś wyjątkową siłą przeciwko złym mocom, ale pochodziło z Terytoriów... a jeśli nie brać pod uwagę Spustoszonych Ziemi, Terytoria były ucieleśnieniem dobra. Ucieleśnienie dobra z kolei - według rozumowania Jacka - powinno mieć własną moc ochrony przed złem.

Zacisnął dłoń Richarda na kulce. Ręka przyjaciela zamknęła się i powoli ponownie rozchyliła, gdy tylko Jack zdjął z niej dłoń.

Gdzieś z góry rozległ się sapiący, obleśny śmiech pająka.

Jack pochylił się nisko nad Richardem, starając się nie zwracać uwagi na odór choroby - tak bardzo przypominający woń hotelu.

- Trzymaj ją w ręce, Richie - wyszeptał. - Ściskaj ją całym siłą, chłopie.

- Nie... chłopie - wymamrotał Richard, ale jego dłoń zacisnęła się słabo na kulce.

- Dzięki, Richie - powiedział Jack.

Pocałował delikatnie przyjaciela w policzek i ruszył przez jadalnię w stronę zamkniętych podwójnych drzwi w przeciwnym końcu. Tak samo jak w Alhambrze, pomyślał. Tam z jadalni wychodzi się do ogrodu, tutaj - na taras nad wodą. W obu hotelach są podwójne drzwi, które prowadzą do pozostałej części budynku.

Gdy przechodził przez salę, znów poczuł, że napiera na niego martwa ręka - hotel odrzucał go, starał się wypchnąć na zewnątrz.

Odczep się, pomyślał Jack i szedł dalej.

Nacisk prawie natychmiast ustąpił.

*Mamy inne sposoby, szepnęły podwójne drzwi, gdy Jack się do nich zbliżył. Chłopiec ponownie usłyszał niewyraźne, dudniące szczęknięcie metalu.*

*Przejmowałeś się Sloatem, szeptały podwójne drzwi - tyle że nie był to już głos tylko ich, lecz całego hotelu. Przejmowałeś się Sloatem, złymi Wilkami, istotami przypominającymi kozły i trenerami koszykówki, którzy nimi naprawdę nie byli: przejmowałeś się pistoletami, materiałami wybuchowymi i magicznymi kluczami. Mu tutaj nie przejmujemy się niczym takim, malutki. Takie rzeczy są dla nas niczym. Morgan Sloat to jedynie krzątająca się mrówka. Zostało mu raptem dwadzieścia lat życia, a dla nas to mniej niż przerwa między oddechami. Nas w czarnym hotelu obchodzi tylko Talizman - złącze wszystkich możliwych światów. Przybywasz jak bandyta, który chce ukraść naszą własność. Powtarzamy ci raz jeszcze: mamy inne sposoby na poradzenie sobie z takimi jak ty churefskimi szlociejami. Jeśli się uprzesz, to dowiesz się, na czym polegają. Przekonasz się na własnej skórze.*

4

Jack pchnął po kolei obydwie połowy rozsuwanych drzwi. Wpuszczone w ościeżnicę prowadnice zaskrzypiały przy pierwszym od wielu lat użyciu.

Za drzwiami był mroczny korytarz. Prowadzi do holu, pomyślał Jack. Skoro hotel jest taki sam jak Alhambra, to będę musiał wejść po głównych schodach na pierwsze piętro.

Na piętrze powinna znajdować się wielka sala balowa, w niej zaś to, po co przybył.

Jack obejrzał się na przyjaciela, ale ten leżał tak, jak go zostawił; Jack wyszedł na korytarz i zamknął drzwi za sobą.

Ruszył powoli korytarzem, szurając brudnymi, wystrzępionymi butami po gnijącym dywanie.

Nieco dalej dostrzegł kolejne podwójne drzwi z wymalowanymi na nich ptakami.

Bliżej znajdował się szereg sal konferencyjnych. Była tu sala "Golden State", a naprzeciwko - "Forty Niner". Pięć kroków dalej w stronę podwójnych drzwi z wymalowanym ptactwem znajdowała się sala "Mendocino" (na dolnej płycie jej mahoniowych drzwi wyrżnięto słowa: TWOJA MATKA UMARŁA Z WRZASKIEM!). Daleko - niemożliwie daleko! - w głębi korytarza sączyło się wodniste światło. Padało z holu.

*Szczęk.*

Jack błyskawicznie się odwrócił i złowił ślad ruchu tuż za drzwiami w kamiennej gardzieli korytarza zwieńczonymi ostrołukami...

*(?kamienie?) (?ostrołukowe drzwi?)*

Mrugnął niespokojnie. Wzdłuż korytarza ciągnęła się ciemna mahoniowa boazeria, zaczynająca gnąć od oceanicznej wilgoci. Drzwi do sali "Golden State", "Forty Niner" i "Mendocino" były tylko drzwiami - prostokątnymi, bez żadnych ostrołuków. Mimo to przez chwilę Jack miał wrażenie, że widzi przejścia w kształcie zmodyfikowanych katedralnych łuków. Przegradzały je żelazne, opuszczane bramy - takie, jakie podnosiło się za pomocą kołowrotu. Opuszczane bramy z łapczywymi żelaznymi szpikulcami u dołu. Gdy brama opadała, szpice gładko wchodziły w otwory w posadzce.

*Nie ma tu żadnych kamiennych tuków, Jack-O. Sam się przekonaj. Po prostu drzwi. Widziałeś takie opuszczane bramy w londyńskiej Tower, gdy byłeś na wycieczce z mamą i wujkiem Tommym trzy lata temu. Po prostu trochę ci odbija, to wszystko...*

Uczucia ściskania w żołądku Jacka nie można było jednak z niczym pomylić.

*Były tu i już. Przeskoczyłem - przez moment znajdowałem się w Terytoriach.*

*Szczęk.*

Jack obrócił się w drugą stronę. Pot występował mu na policzkach i czole, włosy zaczynały mu stawać dęba na karku.

Znów dojrzał to samo - błysk czegoś metalicznego w cieniu jednej z sal. Zobaczył olbrzymie, czarne jak grzech kamienie o nierównej, popstrzonej zielonym mchem powierzchni. Ohydne, wyglądające na miękkie robaki-albinosy wiły się w wielkich porach rozsypującej się zaprawy między głazami. Co piętnaście, dwadzieścia stóp znajdowały się puste obejmy na pochodnie - które dawno już znikły.

*Szczęk.*

Tym razem Jack nawet nie mrugnął. Świat usunął się w bok przed jego oczami, jak obiekt widziany przez przejrzystą, bieżącą wodę. Zamiast kamiennych bloków ściany znów pokrywał prawie czarny mahoń. Drzwi były drzwiami, a nie opuszczanymi bramami z kutego żelaza. Dwa światy, oddzielone błoną równie cienką jak pończocha, zaczynały nakładać się na siebie.

Jack zdał sobie niejasno sprawę, że jego istota zaczyna zlewać się z naturą Jasona - i w rezultacie powstawał amalgamat, będący kimś trzecim.

*Nie wiem, co to dokładnie za połączenie, ale mam nadzieję, że jest silne, bo coś czai się za tymi drzwiami... za wszystkimi.*

Jack zaczął posuwać się dalej w stronę holu.

*Szczęk.*

Tym razem światy nie zamieniły się miejscami; lite drzwi pozostały drzwiami, a Jack nie dostrzegł żadnego poruszenia.

*Tuż za nimi. Na pewno. Tuż za...*

Usłyszał dźwięk, dobiegający zza malowanych, podwójnych drzwi. Na niebie nad przedstawiającą bagno sceną znajdował się napis: HERON BAR - bar "Czapla". Odgłos kojarzył się z uruchomieniem wielkiej, zardzewiałej maszynerii. Jack obrócił się w stronę

*(Jason obrócił się w stronę)*

otwierających się drzwi,

*(podnoszonej bramy)*

wsunął rękę

*(do mieszka)*

do kieszeni

*(który nosił przy pasie kaftana)*

dżinsów i zacisnął dłoń na kostce do gry na gitarze, którą tak dawno temu dostał od Speedy'ego

*(i zacisnął dłoń na zębie rekina).*

*Czekał, co wyjdzie z baru, a ściany hotelu szemrały niewyraźnie: Mamy sposoby, żeby poradzić sobie z takimi jak ty churefskimi szłociejami. Powinieneś być uciekać, póki był jeszcze czas...*

*...bo teraz, chłoptasiu, twój czas się skończył.*

5

*Szczęk... ŁUP!*

*Szczęk... ŁUP!*

*Szczęk... ŁUP!*

Metaliczny hałas wydawało coś wielkiego i niezgrabnego. Było w nim coś nieugiętego i nieludzkiego, co przerażało Jacka bardziej niż jakikolwiek dźwięk, jaki mógłby wydać człowiek.

Coś brnęło naprzód w idiotycznie powolnym tempie:

*Szczęk... ŁUP!*

*Szczęk... ŁUP!*

Nastąpiła długa pauza. Jack czekał przy przeciwległej ścianie kilka stóp od malowanych drzwi. Miał nerwy tak napięte, że wydawały się brzęczeć. Bardzo długo się zupełnie nic nie działo. Jack zaczynał żywić nadzieję, że szczękający stwór wpadł w otwór jakiejś między wymiarowej klapy - z powrotem do świata, z którego pochodził. Zorientował

się, że rozboleł go grzbiet od nienaturalnie nieruchomej, wyprężonej jak struna pozycji. Przygarbił się.

Nagle rozległ się łoskot gruchotanego drewna. Wielka dłoń w kutej rękawicy ze sterczącymi na kostkach dwucalowymi ćwiekami przebiła się przez oblażące błękitne niebo na drzwiach. Jack stęknął i znów skulił się pod ścianą.

I mimowolnie przeskoczył w Terytoria.

6

Po drugiej stronie podnoszonej bramy stała sylwetka w prawie czarnej, rdzewiejącej zbroi. Cylindryczny hełm znaczyła jedynie czarna szczelina na oczy, szerokości nie więcej niż cal. Hełm wieńczył niechlujny czerwony pióropusz - wierciło się w nim białe robactwo. Jason dostrzegł, że takie samo, jak to, które wylatywało ze ścian w pokoju Alberta Bambarły, a potem w całej Thayer School. Spod hełmu spływała kolczuga, która opadała na pordzewiałe barki zbroi jak kobieca etola. Ramiona i przedramiona pokrywały ciężkie stalowe pierścienie, połączone nałokcicami. Zlepiły je niezliczone warstwy zastarzałego brudu. Gdy rycerz się ruszył, nałokcice zapiszczały wysokim tonem jak rozwydrzona, domagająca się czegoś dzieciarnia.

Zbrojne pięści pokrywała obłędna liczba kolców.

Jason stał pod kamienną ścianą i przyglądał się rycerzowi; w istocie nie potrafił oderwać od niego wzroku. W ustach zaschło mu, jakby gorączkował. Miał wrażenie, że gałki oczne nabrzmiwiają mu w oczodołach i kurczą się w rytm uderzeń serca.

W prawej ręce rycerz dzierżył *le martel de fer* - młot bojowy z zardzewiałym, trzydziestofuntowym obuchem, niemy jak morderstwo.

*Opuszczana brama; pamiętaj, że brama oddziela cię od niego...*

Jednakże chociaż w pobliżu nie było żadnej ludzkiej dłoni, w tym momencie kołowrót zaczął się kręcić. Żelazny łańcuch o ogniwach tak długich jak przedramię Jacka zaczął nawijać się na bęben, a brama - unosić.

7

Pięść w zbrojnej rękawicy znikła za drzwiami. Pozostawiona przez nią poszarpana wyrwa zmieniła w jednej chwili charakter spłowiałego malowidła z romantycznej, pastoralnej sielanki w bękarcie znamię surrealizmu. Wyglądało teraz, jakby jakiś apokaliptyczny łowca w

przyplwywie złości władował w niebo porcję śrutu na ptaki. Po chwili głownia młota wyrwała w drzwiach wielką dziurę, uśmiercając jedną z dwóch czapli starającą poderwać się do lotu. Jack uniósł rękę, by zasłonić się przed drzazgami. Młot zniknął. Nastąpiła kolejna pauza, prawie dość długa, by Jack mógł się zastanowić, czy uciekać, po czym rękawica z kolcami znów przebiła panel. Obróciła się w jedną i drugą stronę, rozszerzając wyrwę, po czym cofnęła. Chwilę później młot ugodził w kępę sitowia i wielki kawał prawej połowy drzwi runął na dywan.

Jack mógł już dojrzeć zwałistą sylwetkę w zbroi we wnętrzu baru. Zbroja wyglądała odmiennie niż u rycerza stojącego do walki z Jasonem w czarnym zamku; tamten rycerz nosił prawie cylindryczny hełm z czerwonym pióropuszem. Sylwetka w hotelu miała hełm, który wyglądał jak wypolerowana głowa stalowego ptaka. Po obu stronach znajdowały się sterczące w górę rogi, zaczynały się mniej więcej na poziomie uszu. Jack dojrzał napierśnik, kilt z metalowych łusek i wystającą spod niego koleczugę. Młot był taki sam w obydwóch światach. W obu rycerze Dwój nicy upuścili go w tej samej chwili, jak gdyby w geście pogardy - kto potrzebowałby bojowego młota do poradzenia sobie z tak żalonym przeciwnikiem?

*Uciekaj, Jack! Uciekaj!*

*Zgadza się, wyszeptał hotel. Uciekaj! Tak właśnie zwykli robić churefscy szłocieje!*  
*Uciekaj! UCIEKAJ!*

Ale Jack nie zamierzał uciekać. Mógł umrzeć, lecz nie zamierzał uciec - bo podstępny szept miał rację. Ucieczka była właśnie tym, co robili churefscy szłocieje.

A ja nie jestem złodziejem, pomyślał ponuro Jack. Ten stwór może mnie zabić, ale nie ucieknę. Bo nie jestem złodziejem.

- Nie ucieknę! - krzyknął, patrząc w pozbawioną rysów ptasią twarz z wypolerowanej stali. - Nie jestem złodziejem! Słyszysz mnie?! Przyszedłem po to, co moje, i NIE JESTEM ZŁODZIEJEM!

Z otworów do oddychania pod spodem ptasiego hełmu rozległ się jękliwy krzyk. Rycerz wznosił kolczaste pięści i rąbnął nimi w wypadające z prowadnic połowy drzwi. Prowadnice zaskrzypiały... Gdy drzwi padały w stronę Jacka, zobaczył, że ocalała czapla faktycznie zrywa się do lotu jak w kreskówce Walta Disneya, a oczy lśnią jej ze strachu.

Zbroja ruszyła w jego stronę jak robot-zabójca, unosząc stopy i waląc nimi z łoskotem w podłogę. Miała ponad siedem stóp wysokości. Gdy przekraczała drzwi, sterczące z hełmu rogi wyryły nierówne bruzdy w górnej części futryny, wyglądały jak znaki zapytania.

*Uciekaj!* - krzyczał nachalnie głos w umyśle Jacka.

*Uciekaj, szłocieju,* szeptał hotel.



Nie, odpowiedział Jack. Utkwił wzrok w zbliżającym się rycerzu i zacisnął z całych sił rękę na kostce do gry, którą miał w kieszeni. Nabijane ćwiekami rękawice uniosły się do szpary wzrokowej ptasiego hełmu. Zdjęły go. Jack jęknął.

Wnętrze hełmu było puste.

Następnie kolczaste ręce wyciągnęły się w jego stronę.

8

Kolczaste rękawice uniosły się i chwyciły za boki cylindrycznego hełmu. Uniosły go powoli, odkrywając siną, obrzękłą twarz człowieka, który miał co najmniej trzysta lat. Wiekowa czaszka była z jednej strony wgnieciona; spod skóry sterczały odłamki kości, które przypominały rozbitą skorupkę jajka. Ranę pokrywała zaschnięta, rozkładająca się czarna masa; Jason domyślał się, że to resztki mózgu. Rycerz nie oddychał, ale jego wpatrujące się w Jasona oczy, otoczone czerwonymi obwódkami, migotały piekielnym animuszem. Upiór uśmiechnął się, a chłopiec ujrzał ostre jak igły zęby, gotowe rozszarpać go na kawałki.

Rycerz ruszył naprzód, nierównemu krokowi wtórował szczęk... rozległ się jednak jeszcze inny dźwięk.

Jason obejrzał się w lewo, w stronę komnaty paradnej

*(holu)*

zamku

*(hotelu)*

i zobaczył drugiego rycerza, który miał na głowie płytką, miskowatą osłonę, zwaną hełmiszczem. Za nim pojawił się trzeci rycerz... i czwarty. Szli powoli korytarzem - ruchome, pradawne zbroje, w których zagnieździła się jakaś odmiana wampirów.

Jack poczuł chwytające go za ramiona ręce. Stępałe kolce wbiły się mu w barki i łopatki. Popłynęła ciepła krew, a na sinej, pomarszczonej twarzy pojawił się ohydny, łapczywy uśmiech. Nałokcice zaskrzypiały i zapiszczały, gdy martwy rycerz przyciągnął chłopca do siebie.

9

Jack zawył z bólu - krótkie, tępe kolce na rękawicach pogrążyły się w nim, były w nim. Zrozumiał raz na zawsze, że to dzieje się naprawdę i że za chwilę ta istota go zabije.

Szarpięto go w stronę ziejącej, czarnej pustki wewnątrz hełmu...

*Czy jednak rzeczywiście hełm był pusty?*

Jack miał niejasne wrażenie, że w mroku lśnią dwa czerwone punkty... przypominające nieco oczy. Gdy dłonie w zbrojnych rękawicach uniosły go, zrobiło mu się lodowato zimno, jakby naraz wszystkie zimy połączyły się ze sobą, zamieniły jakimś cudem w jedną... Był to skutek buchającej z pustego hełmu strugi przeszywająco zimnego powietrza.

*Naprawdę mnie zabije, a moja matka umrze, umrze i Richard, Sloat zwycięży, chce mnie zabić, chce (rozerwać mnie na strzepy rozszarpać zębami)*

*zamrozić na kamień...*

JACK! - rozległo się wołanie Speedy'ego.

*(JASON! - rozległo się walenie Parcusa).*

*Kostka, chłopcze! Użyj kostki! Zanim będzie za późno! NA MIŁOŚĆ JASONA, UŻYJ KOSTKI, ZANIM BĘDZIE ZA PÓZNO!*

Jack zacisnął na niej rękę. Była gorąca jak wcześniej moneta. Triumf zastąpił odrętwiające zimno. Jack wyciągnął kostkę z kieszeni, wrzeszcząc z bólu podczas poruszania przebitymi kolcami mięśniami. Nie stracił jednak poczucia triumfu - upajającego uczucia żaru Terytoriów, tego klarownego uczucia tęczy.

Kostka - znów była to bowiem kostka - tkwiła pomiędzy jego palcami: ciężki trójkąt z kości słoniowej, pokryty filigranową, tworzącą zawile figury inkrustacją. W tym momencie Jack.

*(i Jason)*

spozregł, że linie układają się w kształt twarzy - oblicza Laury DeLoessian

*(twarzy Lily Cavanaugh Sawyer).*

10

- W jej imię, ohydna, poroniona istoto! - krzyknęli razem, lecz był to tylko jeden krzyk - owej pojedynczej natury, Jacka/Jasona. - Zniknij z oblicza świata! W imię Królowej i jej syna, zniknij z oblicza tego świata!

Jason wbił kostkę w białą, wychudłą twarz starego niby-wampira w zbroi; w tym samym momencie bez zmrużenia oka przeszedł w Jacka i zobaczył, że kostka pogrąża się w lodowatej, czarnej pustce. W kolejnej chwili Jason zobaczył, że niby-wampir wybałusza czerwone ślepią z niedowierzania, a róg kostki pogrąża się w jego głęboko pomarszczonym czole. Moment później oczy, już zachodzące mgłą, eksplodowały, a czarna, parująca posoka pociekła po dłoni i nadgarstku chłopca. Pływało w niej pełno gryzącego robactwa.

Rycerz odrzucił Jacka na ścianę. Chłopiec uderzył się w głowę, ale utrzymał kostkę w dłoni, chociaż ból przeszywał jego ciało od ramion w górę.

Zbroja grzechotała jak strach na wróble wykonany z pustych puszek. Jack miał czas jeszcze dojrzeć, że jakby nabrzmiewała. Natychmiast zasłonił ręką oczy.

Zbroja uległa samozniszczeniu. Nie posypała na wszystkie strony szrapnelami, ale po prostu się rozleciała. Jack pomyślał, że gdyby zobaczył to w kinie, a nie w rzeczywistości, skulony na korytarzu śmierdzącego hotelu ze ściekającą pod pachami krwią, toby się roześmiał. Hełm z wypolerowanej stali, tak bardzo podobny do ptasiego łba, upadł ze stłumionym szczękiem na podłogę. Osłona na szyję, chroniąca przed sztyletem lub ostrzem włóczni, wpadła do środka zbroi i zaszczeła o ciasne ogniwa koleczugi. Pancierz rozpadł się jak pogięte stalowe zakładki dla książek. Rozsypały się nagolenice. Metal walił się na spleśniały dywan przez dwie sekundy, po czym została na nim jedynie sterta złomu.

Jack odepchnął się do ściany, wpatrując się w blachy rozszerzonymi oczami, jakby spodziewał się, że za moment mogą z powrotem złożyć się w zbroję. W istocie nie wykluczał takiej możliwości. Gdy jednak nic się nie stało, obrócił się w lewo, w stronę holu... i zobaczył idące powoli w jego stronę trzy kolejne zbroje. Jedna z nich dzierżyła porośniętą pleśnią jak serem chorągiew ze znanym Jackowi symbolem: widział ją na proporcach asysty Morgana z Orris, która towarzyszyła czarnej karocy w drodze z Rubieży ku pawilonowi Królowej Laury. Znak Morgana - lecz Jack niejasno wyczuł, że nie były to jednak jego stwory. Chorągiew Morgana była jedynie makabrycznym żartem z przerażonego natręta, który miał na tyle odwagi, by próbować ukraść jedyną rację ich istnienia.

- Już dosyć - szepnął chrapliwie Jack.

Kostka zadrżała mu pomiędzy palcami. Musiało coś się z nią stać; w jakiś sposób uszkodził ją, gdy zniszczył istotę, która wyłoniła się z hotelowego baru. Kostka pokryła się drobnymi szczelinami.

Poszczekujące zbroje maszerowały w równym tempie w stronę chłopca. Jedna z nich powoli dobyła długiego miecza z okrutnie rozdwojonym końcem.

- Już dosyć - jęknął Jack. - Och, Boże, proszę, już dosyć, jestem zmęczony, nie mogę, proszę, już dosyć, już dosyć...

*Jacku Wędrowniczku, stary Jacku Wędrowniczku...*

- Nie mogę, Speedy! - krzyknął.

Łzy zaczęły żłobić mu bruzdy w brudzie pokrywającym twarz. Zbroja zbliżała się nieuchronnie jak stalowe kadłuby na taśmie montażowej w fabryce samochodów. Jack dosłyszał arktyczny wiatr, świszczący w zimnych, czarnych przestrzeniach.

*...do Kalifornii trafisz, by go wydostać.*

- Proszę, Speedy, już dosyć!

Sięgały po niego - robocie twarze z czarnego metalu, zardzewiałe rękawice, poplamione mchem i upstrzone pleśnią kolczugi.

*Musisz dać z siebie wszystko, Jacku Wędrowniczku,* wyszeptał wyczerpany Speedy i zniknął.

Jack został sam, skazany na własne siły.

## Rozdział czterdziesty drugi

### Jack i Talizman

1

Zrobiliście błąd, odezwał się upiorny głos w umyśle Jacka, gdy stał pod barem w czarnym hotelu i wpatrywał się w zbliżające się do niego wiekowe broje. W duchu otworzył szeroko oczy i zobaczył rozgniewanego mężczyznę - w gruncie rzeczy przerośniętego chłopca - idącego główną ulicą miasteczka z Dzikiego Zachodu w stronę kamery i zapinającego dwa pasy z rewolwerami tak, że krzyżowały się na jego brzuchu. Zrobiliście błąd - powinniście byli zabić obu braci Ellisów!

2

Ze wszystkich filmów z udziałem swojej matki Jackowi zawsze najbardziej podobał się "Last Train to Hangtown", który został nakręcony w roku 1960, a wszedł na ekrany rok później. Wyprodukowało go studio Warner Brothers, a główne role - podobnie jak w wielu niskobudżetowych westernach, nakręconych przez nie w tym okresie - odtwarzali aktorzy ze nagrywanych na bieżąco przez tę firmę seriali telewizyjnych. W "Last Train" grali Jack Kelly (postać Światowego Karciarza) z "Mavericka" oraz Andrew Duggan z "Bourbon Street Beat" (Zły Magnat-Hodowca Bydła). Clint Walker, grający w telewizji postać Cheyenne Bodiego, odtwarzał rolę Rafę Ellisa (Szeryfa Na Emeryturze, Który Musi Ostatni Raz Przypassać Rewolwer). Rolę Dziewczyny Z Tanc-budy O Chętnych Ramionach I Złotym Sercu miała grać panna Inger Stevens, ale dostała paskudnego zapalenia oskrzeli. Zastąpiła ją Lily Cavanaugh. Rolę tę mogłaby zagrać porządnie nawet w śpiączce. Gdy kiedyś rodzice myśleli, że Jack śpi, i rozmawiali w salonie na dole, chłopiec podsłuchał coś zdumiewającego, kiedy bosy poczłapał do łazienki po szklankę wody... w każdym razie było to coś tak osobliwego, że nigdy tego nie zapomniał. "Wszystkie kobiety, które grałam, wiedzą, jak się pieprzyć, ale żadna nie ma pojęcia, jak pierdnąć", powiedziała Lily do Phila.

Will Hutchins, który był gwiazdą jeszcze innego programu studia Warner Brothers (pod nazwą "Sugarfoot"), również występował w tym filmie. "Last Train to Hangtown" był faworytem Jacka głównie ze względu na odtwarzaną przez Hutchinsa postać. Właśnie ona - czyli Andy Ellis - wychynęła z głębin umysłu zmęczonego, chwiejącego się na nogach,

przytłoczonego chłopca, wpatrującego się w maszerujące w jego stronę mrocznym korytarzem zbroje.

Andy Ellis był Tchórzliwym Małym Braciszkiem, Który Wścieka Się Na Ostatniej Szpuli. Przez cały film czaił się po kątach i zmykał przed niebezpieczeństwem, ale ostatecznie stanął twarzą w twarz z podłymi pacholkami Duggana po tym, gdy Główny Siepacz (grany przez złowieszczygo, zarośniętego Jacka Elama z zaszklonym wzrokiem, który grał Głównych Siepaczy w najprzeróżniejszych westernach Warner Brothers, zarówno telewizyjnych, jak i kinowych) zabił jego brata Rafe'a strzałem w plecy.

Hutchins wyszedł na pylistą, panoramiczną ulicę, zapinał niezgrabnymi palcami pasa z rewolwerami po bracie i krzychał: "No, chodźcie! No, chodźcie, jestem gotowy! Zrobiliście błąd! Powinniście byli zabić obu braci Ellisów!".

Will Hutchins nigdy nie był jednym z największych aktorów wszech czasów, ale w tej scenie zawarł - przynajmniej w oczach Jacka - chwilę klarownej prawdy i autentycznego geniuszu. Czuło się, że dzieciak idzie na śmierć i zdaje sobie z tego sprawę, lecz i tak nie zamierza się cofnąć. Mimo że był przerażony, szedł ulicą na pojedynek bez cienia niechęci. Kroczył śmiało, pewien tego, co chce zrobić, chociaż cały czas musiał grzebać przy sprzączkach pasów z bronią.

Zbroje zbliżały się ku Jackowi. Zmniejszały dystans, kołysząc się jak roboty-zabawki. Powinny im sterceć kluczyki z pleców, pomyślał Jack.

Obrócił się ku nim z poślódką kostką w prawej dłoni, jakby zabierał się do grania melodii.

Zbroje jakby się zawahały, jak gdyby wyczuły jego brak trwogi. Sam hotel jakby nagle się zawahał, a może po prostu dojrzał niebezpieczeństwo. Skrzypiały deski podłogi, gdzieś kłapnęło kilkoro drzwi, a mosiężne ozdoby na dachu na chwilę przestały się obracać.

Zaraz potem zbroje ruszyły dalej ze szcękaniem. Przypominały poruszającą się ciągłą ścianę łusek, kolczug, rękawic, hełmów i błyskających osłon na szyję. Jedna z nich uniosła morgenstern; druga - młot bojowy. Środkowa dzierżyła miecz z rozdwojonym szpicem.

Jack nagle ruszył w ich stronę. Zablęskły mu oczy. Wciągnął przed siebie kostkę. Jego twarz przepelniła światłość - pochodząca od Jasona. Na chwilę

przesunął się

w Terytoria i

stał się Jasonem. Będący kostką żab rekina zdawał się gorzeć tu płomieniem. Gdy chłopiec podszedł do trzech zbroi, jedna ściągnęła hełm, ukazując kolejną starczą, bladą twarz

- tę dla odmiany z puciołowatymi policzkami i zwisającym w fałdach podbródkiem, który przypominał wosk roztopionej świecy. Rzuciła hełmem w Jasona. Uskoczył bez trudu

i

przesunął się z powrotem

w jaźń Jacka, podczas gdy hełm odbił się od boazerii za jego plecami. Przed nim stała bezgłowa zbroja.

Myślisz, że się tego przestraszę, pomyślał Jack z pogardą. Widziałem już tę sztuczkę. Nie boję się tego, nie boję się ciebie - wydostanę go, i to wszystko.

Tym razem nie tylko poczuł, że hotel nasłuchuje; tym razem budynek jakby cofnął się od niego, jak tkanka układu pokarmowego kurczy się przed porcją zatrutego pokarmu. Na piętrze w pięciu pokojach, w których umarło pięciu Rycerzy Straży, pięć okien zatrzęsnęło się z odgłosem przypominającym wystrzał. Jack szedł dalej w stronę zbroi.

Talizman zaśpiewał gdzieś z góry klarownym i cudownie triumfującym tonem:

*JASONIE! DO MNIE!*

- No, chodźcie! - krzyknął Jack pod adresem zbroi i zaczął się śmiać. Nic nie mógł na to poradzić. Jeszcze nigdy śmiech nie wydawał się mu tak potężny, tak dobry. Przypominał wodę ze źródła lub głębokiej rzeki. - Chodźcie, jestem gotowy! Nie mam pojęcia, od jakiego popieprzonego Okrągłego Stołu wstaliście, ale powinniście byli przy nim zostać! Zrobiliście błąd!

Śmiejąc się donośniej niż kiedykolwiek, lecz wewnątrz bardziej zdeterminowany od Wotana na skale Walkirii, Jack skoczył w stronę bezgłowej, chwiejącej się postaci w środku.

- Powinniście byli zabić obu braci Ellisów! - krzyknął.

Gdy kostka do gry na gitarze pogrążyła się w strefie lodowatego powietrza w miejscu, gdzie powinna być głowa rycerza, zbroja się rozpadła.

3

W swojej sypialni w Alhambrze Lily Cavanaugh Sawyer nagle podniosła wzrok znad czytanej przez siebie książki. Wydało się jej, że usłyszała kogoś - nie, nie kogoś, Jacka! - który wołał z głębi opustoszałego korytarza, a może nawet z holu. Nasłuchiwała z szeroko otwartymi oczyma, zaciśniętymi ustami i nadzieją w sercu... ale bez skutku. Jack-O wciąż był gdzieś daleko, rak pożerał Lily kęs po kęsie i zostało jej jeszcze półtorej godziny, nim będzie mogła wziąć kolejną z brązowych, wielkich jak dla konia tabletek, odrobinę tłumiących ból.

Coraz częściej rozmyślała, czyby nie wziąć wszystkich tabletek naraz. Nie tylko by to przytłumiło trochę ból; skończyłoby go raz na zawsze. *Mówią, że nie ma lekarstwa na raka, ale nie wierz w te pierdoły, szanowny panie, co chodzisz tyłem. Łyknę ze dwadzieścia tych prochów. I co ty na to? Masz ochotę spróbować?*

Powstrzymała ją przed tym myśl o Jacku - tak bardzo pragnęła zobaczyć go znowu, że zaczęła wyobrażać sobie głos syna... i to nie tylko w prostym, chociaż sztamkowym akcie, kiedy woła ją po imieniu, lecz wówczas, gdy cytuje tekst jednego z jej starych filmów.

- Ale z ciebie zwariowana suka, Lily - wychrypiała i zapaliła wychudłymi, drżącymi palcami herberta tarrytoona. Zaciągnęła się dwa razy i go zgasiła. Ostatnio mogła to tylko robić nie więcej niż dwa razy, w przeciwnym razie zaczynała kaszleć, a od tego charczenia czuła się, jakby pękała na kawałki. - Zwariowana, stara suka.

Wzięła z powrotem książkę do ręki, lecz nie mogła czytać. Łzy ciekły jej po twarzy, bolało ją w brzuchu, och, jak bolało. Chciała wziąć wszystkie brązowe tabletki naraz, ale pragnęła najpierw go zobaczyć - swojego drogiego syna o gładkim, przystojnym czole i lśniących oczach.

Wróc tu, Jack-O, pomyślała. Proszę, wróc, bo następnym razem pogadamy na seansie spirytystycznym. Proszę, Jack, proszę, wróc do mnie.

Zamknęła oczy i spróbowała zasnąć.

4

Rycerz z morgensternem chwiał się jeszcze przez chwilę, ukazując puste wnętrze, po czym również eksplodował. Ostatni uniósł młot bojowy... i po prostu zwałił się na stos żelastwa. Jack przez chwilę stał wśród ich resztek, wciąż się śmiejąc, po czym urwał - bo popatrzył na kostkę od Speedy'ego.

Nabrała ciemnożółtego, wiekowego odcienia; rysy na szklawie zamieniły się w gąszcz pęknięć.

*Nieważne, Jacku Wędrowniczku. Ruszaj dalej. Myślę, że gdzieś tutaj może kręcić się jeszcze jedna z tych chodzących puszek maxwell house. Jeśli nawet, to sobie z nią poradzisz, prawda?*

- Poradzę, jeśli będę musiał - mruknął na głos Jack.

Kopnął na bok nagolenicę, hełm, napierśnik. Ruszył środkiem korytarza po mlaskającym pod butami dywanem. Dotarł do holu i szybko się rozejrzył.

JACK! CHODŹ DO MNIE! JASONIE! CHODŹ DO MNIE! - śpiewał Talizman.



Jack ruszył po schodach w górę. W połowie drogi zajął na półpiętro i zobaczył ostatniego z rycerzy, który przypatrywał mu się z góry. Gigantyczna postać miała ponad jedenaście stóp wzrostu. Zbroja i pióropusz były czarne, a przez szczelinę na oczy w hełmie padał złowieszczy, czerwony blask.

Jedna dłoń w rękawicy ze stalowych ogniw dzierżyła olbrzymią maczugę.

Jack zamarł przez chwilę na schodach, a następnie ruszył dalej.

5

Najlepsze zostawili na koniec, pomyślał Jack. Idąc w równym tempie w kierunku czarnego rycerza,

przesunął się

znowu

w jaźń Jasona. Rycerz nadal miał czarną zbroję, ale innego typu. Uniesiona zasłona ukazywała twarz, niemal doszczętnie przeżartą przez stare, zaschnięte owrzodzenia. Jack je rozpoznał - gość dostał się trochę za blisko kuł ognia przetaczających się po Spustoszonych Ziemiach, żeby mu wyszło to na zdrowie.

Na schodach mijaly go inne postacie, którym nie był w stanie przyrzeć się dokładnie. Wiódł palcami po szerokiej poręczy - tutaj nie z mahoniu z Indii Zachodnich, lecz jakiegoś twardego drewna z Terytoriów. Postacie w kubrakach, postacie w bluzach z pojedynczego kawałka jedwabiu, kobiety w obszernych, powłóczystrych sukniach z lśniącymi białymi kapturami, odrzuconymi z kunsztownie udrapowanych włosów. Ludzie ci byli piękni, lecz potępieni. Być może żywym duchy zawsze się takie wydają; dlaczego inaczej sam pomyśl widm napawa taką grozą?

JASONIE! DO MNIE! - śpiewał Talizman. Przez moment wszystkie przegrody między rzeczywistościami zdawały się runąć. Jack nie przeskakiwał, lecz jakby spadał przez światy, jak człowiek walący się przez jedną po drugiej przegniłą podłogę wiekowej, spróchniałej wieży. Nie czuł strachu. Przyszło mu do głowy, że nie zdoła powrócić do punktu wyjścia - że będzie już wiecznie spadał poprzez ciąg rzeczywistości - ale natychmiast odrzucił tę myśl. Wszystko to zdarzyło się Jasonowi

*(i Jackowi)*

w mgnieniu oka - szybciej, niż zajęłoby mu przestawienie nogi z jednego stopnia na drugi. Wiedział, że wróci; miał pojedynczą naturę i nie wierzył, żeby taka osoba mogła się

zagubić między światami, bo we wszystkich nich było dla niej miejsce. Ale nie istnieją równocześnie we wszystkich, pomyślał Jason

*(Jack).*

*O to chodzi; na tym polega różnica. Przemykam po kolei przez wszystkie światy, prawdopodobnie zbyt szybko, by można mnie było dostrzec. Zostawiam po sobie ranę w rzeczywistości, jak kłaśnięcie dłoni czy huk przy przekraczaniu prędkości dźwięku, gdy powietrze wpływa z powrotem w miejsce, gdzie bytem przez milisekundę.*

W wielu z tych światów czarny hotel był czarną ruiną. W światach tych, pomyślał niejasno Jack, zło, czyhające na napiętej strunie pomiędzy Kalifornią i Terytoriami, rzeczywiście się zdarzyło. W jednym ze światów morze napierało z warczeniem i grzmotem na martwy brzeg, który miał chorą, zieloną barwę; niebo odcieniem przypominało gangrenę. W innym chłopiec spostrzegł wielkie jak wóz osadniczy latające stworzenie, które złożyło skrzydła i jak jastrząb runęło ku ziemi. Porwało zwierzę rozmiarów owcy i poderwało się z powrotem z wystającym z dzioba zakrwawionym zadem.

*Skok... skok... skok.* Światy migwały przed oczami Jacka jak karty tasowane przez szulera z rzecznoego parostatku.

Znow znalazł się w hotelu. Górowało nad nim tuzin wersji czarnego rycerza, ale każda miała takie same zamiary, a różnice między nimi były równie nieistotne jak detale stylistyczne konkurujących marek samochodowych. Znalazł się w czarnym namiocie, przesiąkniętym gęstą wonią suchego, przegniłego płótna - porozrywanego w tylu miejscach, że wewnątrz rozświeślały krzyżujące się w zapyłonym powietrzu promienie słońca. W kolejnym świecie Jack/Jason trzymał się konstrukcji z lin, jakby takielunku, a czarny rycerz stał w drewnianym koszu przypominającym bocianie gniazdo. Wspinając się wyżej, chłopiec przeskoczył znowu... i jeszcze raz... i jeszcze raz.

W następnym świecie płonął cały ocean; czarny hotel wyglądał mniej więcej tak jak w Point Venuti, lecz był częściowo pogrążony w falach. Przez chwilę Jack miał wrażenie, że jedzie windą, a rycerz stoi na jej dachu i zagląda do środka kabiny przez klapę ewakuacyjną. Moment później znalazł się na rampie, której szczytu strzegł olbrzymi wąż o długim, muskularnym cielsku pokrytym lśniącoymi, czarnymi łuskami.

*Kiedy wreszcie się to skończy? Kiedy przestanę przebijać się na wylot przez te przegrody i po prostu polecę w ciemność?*

**JACK! JASONIE!** - nawoływał Talizman - we wszystkich światach. **DO MNIE!**

Jack poszedł więc do niego, a przypominało to powrót do domu.

Zobaczył, że miał rację: wszedł tylko stopień wyżej. Rzeczywistość okrzepła jednak z powrotem. Czarny rycerz - jego, Jacka Sawyera, czarny rycerz - zagradzał półpiętro. Uniósł maczugę.

Jack bał się, ale wspinał się dalej z wystawioną przed siebie kostką od Speedy'ego.

- Nie zamierzam się z tobą ceregielić - powiedział chłopiec. - Lepiej zejź mi z...

Czarna postać zamachnęła się maczugą z niewiarygodną siłą. Trafiła w stopień, na którym stał Jack, i rozwalila go w drzazgi, które posypały się w mroczną dziurę.

Postać wyszarpnęła maczugę z otworu. Jack wskoczył dwa stopnie wyżej, wciąż trzymając kostkę od Speedy'ego między kciukiem i palcem wskazującym... Nagle kostka po prostu rozleciała się mu w rękach, jakby była kruchą skorupką jajka; pożółkłe drobiny kości słoniowej posypały się chłopcu między placami. Sporo z nich wylądowało na butach Jacka. Zagapił się na nie idiotycznie.

Rozległ się martwy śmiech.

Dwie zbrojne rękawice uniosły maczugę. Przyczepiły się do niej małe drzazgi i kawałeczki starego, wilgotnego dywanu. Przez szparę hełmu bił od widma pałacy, czerwony blask. Jack czuł, jakby promienie przecinały jego uniesioną twarz na wysokości grzbietu nosa.

Znów rozległ się sapiący śmiech - Jack go nie słyszał, wiedział bowiem, że hełm jest pusty jak reszta zbroi, że jest to jedynie stalowa powłoka nieumarłego ducha, śmiech grzmiał we wnętrzu głowy. *Przegrałeś, chłopcze - naprawdę myślałeś, że dzięki temu drobiażdżkowi zdołasz przejść obok mnie?*

Maczuga znowu opadła ze świstem, tym razem po przekątnej. Jack na czas oderwał wzrok od czerwonego blasku i zdążył się schylić. Czuł, jak główica maczugi muska wierzch jego przydługich włosów, a następnie ujrzał, że wyłamuje czterostopowy odcinek balustrady, który z impetem poszybował w powietrze.

Zazgrzytał metal, gdy rycerz nachylił się ku chłopcu, przekrzywiwszy hełm w koszarnej, a równocześnie sarkastycznej parodii uprzejmości. Po chwili znów dźwignął maczugę i przygotował się do następnego druzgoczącego uderzenia.

*Nie potrzebowałeś magicznego napitku, żeby przeskoczyć, Jack, to i nie potrzebujesz żadnej magii, żeby dać w kość tej puszce po kawie!*

Maczuga zaczęła opadać ze świstem - wiiiiiuusz! Jack szarpnął się w tył i wciągnął brzuch. Mięśnie obręczy barkowej zawyły mu z bólu, gdy napięły się wokół dziur pozostawionych przez rękawicę z kolcami.

Głowica minęła skórę na piersiach chłopca o niecały cal. Zmiotła fragment mahoniowej balustrady, jakby to były wykałaczkę. Jack zachwiał się nad pustą przestrzenią, czując się jak Buster Keaton. Machnął dłonią w stronę poręczy po lewej i w nagrodę wbił sobie drzazgi pod dwa paznokcie. Zabolęło, jakby w ciele utkwiły igły; przez chwilę czuł, jakby od bólu miały mu eksplodować gałki oczne. Zdołał jednak chwycić poręcz prawą ręką i odzyskać równowagę. Odsunął się od skraju schodów.

*Cała magia jest w TOBIE, Jack! Jeszcze to do ciebie nie dotarło?*

Przez chwilę Jack stał nieruchomo i dyszał. Następnie ruszył dalej po schodach, utkwiwszy spojrzenie w pozbawionej rysów żelaznej twarzy nad sobą.

- Racz lepiej odejść, sir Gawainie.

Rycerz przekrzywił ponownie wielki hełm w takim samym, osobliwie delikatnym geście - *Wybacz, chłopcze... czyżbyś rzeczywiście mówił do mnie?* Potem raz jeszcze zamachnął się maczugą.

Być może ze względu na zaślepienie przez strach Jack nie zauważył do tej pory, jak wiele czasu zabierał rycerzowi każdy zamach, z jakim wyprzedzeniem można było odgadnąć trajektorię ruchu oręża. Może przerdzewiały spojenia zbroi, przemknęło chłopcu przez głowę. Tak czy inaczej, dzięki temu, że przejaśniło mu się w głowie, zdołał bez większego trudu zanurkować pod spadającą maczugą.

Wspiął się na palce, wyciągnął ręce i chwycił w nie czarny hełm. Metal był tak ciepły, że ogarniały od tego mdłości - jakby dotykał stwardniałej skóry kogoś owładniętego gorączką.

- Znikaj z oblicza tego świata - powiedział niskim i spokojnym, niemal konwersacyjnym tonem Jack. - Rozkazuję ci w jej imię.

Czerwone światło w hełmie zgasło jak zdmuchnięta świeca w dyni. Nagle Jack poczuł w dłoniach cały ciężar hełmu - co najmniej piętnaście funtów - bo nic go już więcej nie podtrzymywało. Cała zbroja posypała się na stopnie schodów.

- Powinieneś być zabić obu braci Ellisów - powiedział Jack.

Rzucił pusty hełm przez półpiętro. Żelastwo uderzyło z donośnym łoskotem o posadzkę daleko w dole i potoczyło się jak bąk. Hotel jakby się skulił.

Jack obrócił się w stronę szerokiego korytarza na piętrze. Tutaj wreszcie było jasno: przejrzysty, czysty blask przypominał tamten dzień, kiedy Jack widział ludzi na niebie. Korytarz kończył się kolejnymi podwójnymi drzwiami. Były zamknięte, lecz nad i pod nimi oraz przez pionową szparę pomiędzy skrzydłami przesączało się dość światła, by Jack mógł się zorientować, że po ich drugiej stronie jest niezwykle jasno.

Bardzo pragnął zobaczyć to światło - i jego źródło. Po to przecież pokonał szmat drogi, do tego często w atramentowych ciemnościach.

Drzwi były ciężkie i inkrustowane delikatnymi zawijasami. Nad nimi widniały litery ze złotych płatków, miejscami odłazających, lecz mimo wszystko układające się w zrozumiały napis: SALA BALOWA TERYTORIA.

- Hej, mamó - powiedział Jack Sawyer cicho, jakby z wahaniem i wszedł w blask. Serce przepełniało mu szczęście, uczucie będące tęczą, tęczą, tęczą. - Hej, mamó, myślę, że dotarłem na miejsce. Naprawdę myślę, że mi się udało.

Delikatnie i wręcz z nabożnym szacunkiem ujął w dłonie obydwie klamki i je nacisnął. Otworzył drzwi i w tym momencie na jego twarz, na której widniał wyraz zadumy, padła rozszerzająca się smuga białego, czystego światła.

7

Tak się złożyło, że Sunlight Gardener oglądał się na plażę w tej samej chwili, gdy Jack pozbywał się ostatniego z pięciu Rycerzy Straży. Gardener usłyszał głuchy łoskot, jakby gdzieś w hotelu eksplodował ładunek dynamitu. W tym samym momencie w oknach na piętrze Agincourt rozbłysło jaskrawe światło. Wszystkie wyrzeźbione z brązu symbole - księżycy, gwiazdy, planetoidy i niesamowite, zdeformowane strzałki - równocześnie znieruchomiały.

Gardener wystroił się jak członek brygady antyterrorystycznej z Los Angeles. Na białą koszulę włożył wydymającą się, czarną kamizelkę kuloodporną; przez ramię przerzucił pasek radionadajnika, którego gruba, krótka antenka chwiała się w tył i naprzód w rytm jego kroków. Przez drugie ramię przewiesił sztucer Weatherbee 360, wielki prawie jak działko przeciwlotnicze. Nawet Robert Ruark [dziennikarz i prozaik. Znany z cyklu powieści, będących plonem rocznych towów w Afryce: "Horn of the Hunter", "Something of Value", "Uhuru", "The Honey Badger".] zaśliniłby się na jego widok z zazdrości. Gardener kupił go sześć lat temu, kiedy musiał się pozbyć starej strzelby myśliwskiej. Pokrowiec sztucera, ze skóry zebry, leżał w bagażniku czarnego cadillaca - razem z ciałem syna Gardenera.

- Morgan!

Sloat się nie odwrócił. Stał nieco po lewej za zbiorowiskiem pochyłych skał sterczących z piasku jak czarne kły. Dwadzieścia stóp za nimi i zaledwie pięć stóp nad linią przyływu leżał Speedy Parker, znany też jako Parkus. W tym drugim wcieleniu rozkazał niegdyś napiętnować Morgana z Orris. Morgan wciąż miał sine blizny po wewnętrznej stronie

umięśnionych białych ud - co w Terytoriach było znamieniem zdrajcy. Jedynie dzięki wstawiennictwu samej Królowej Laury blizny znalazły się nie na policzkach, lecz w miejscu niemal zawsze zakrytym przez ubranie. Morgan - i jeden, i drugi - nie pokochał bardziej Królowej za wstawiennictwo... za to wykładniczo wzrosła jego nienawiść do Parkusa, który wcześniej zwierzył spisek.

Obecnie Parker/Parkus leżał twarzą do dołu na plaży, a jego czaszkę pokrywały jątrzące się wrzody. Z uszu leniwie sączyły się strużki krwi.

Morgan chciał wierzyć, że Parker jeszcze żyje i wciąż cierpi, ale starszy człowiek ostatni raz odetchnął, gdy Gardener i Sloat zeszli na plażę - około pięciu minut temu.

Morgan nie odwrócił się, kiedy wołał go Gardener, ponieważ był pochłonięty obserwowaniem swojego dawnego, obecnie bezsilnego wroga. Ktokolwiek twierdził, że zemsta nie jest słodka, nie miał racji.

- Morgan! - syknął ponownie Gardener.

- No co? - Sloat odwrócił się tym razem i zmarszczył brwi.

- Popatrz na dach hotelu!

Morgan ujrzał, że wszystkie kurki i ornamenty na dachu - figury z kutego brązu, obracające się z tą samą szybkością niezależnie od tego, czy było całkowicie bezwietrznie, czy wiał huragan - znieruchomiały. W tej samej chwili ziemia zadrżała lekko pod ich stopami, po czym się uspokoiła, jakby żyjące pod nią gigantyczne zwierzę zawierciło się w zimowym śnie. Morgan byłby prawie gotów uwierzyć, że sobie to tylko wyobraził, gdyby nie dostrzegł rozszerzonych, przekrwionych oczu Gardenera. Założę się, że żałujesz, iż w ogóle opuściłeś Indianę, Gard, pomyślał Morgan. W Indianie nie ma trzęsień ziemi, zgadza się?

We wszystkich oknach Agincourt ponownie bezdźwięcznie rozblęzło światło.

- Co to znaczy, Morgan? - zapytał chrapliwym głosem Gardener. Sloat zobaczył, że po raz pierwszy obłądna furia Sunlighta, wywołana stratą syna, przerodziła się w strach o samego siebie. Nieco to rozczarowywało, ale w razie konieczności Gardenera można było bez trudu wprawić w poprzednią wściekłość. Na razie jednak Morgan nie miał ochoty tracić energii na cokolwiek, co nie wiązało się bezpośrednio ze sprawą usunięcia z tego świata - ze wszystkich światów - Jacka Sawyera. Chłopak zawsze był zarazą, a teraz stał się najkoszmarniejszym problemem w życiu Morgana.

Zapisał nadajnik na plecach Gardenera.

- Dowódca Drużyny Czerwonej Cztery do Słonecznego Człowieka! Słoneczny Człowiek, odbiór!

- Tu Słoneczny Człowiek do Dowódcy Drużyny Czerwonej Cztery - warknął Gardener. - Co się dzieje?

Gardener odebrał po kolei cztery dokładnie takie same meldunki bełkoczących z podniecenia dowódców. Dowiedział się jedynie o tym, co mógł zobaczyć lub poczuć wraz z Morganem. Mówiono o błyskach światła, znieruchomiałych kurkach, wstrząsie, który mógł poprzedzać trzęsienie ziemi - ale mimo to Gardener z bystrą miną i entuzjazmem odbierał każdy meldunek, zadawał ostro pytania, pod koniec każdego zdania wyrzucał z siebie "Odbiór!", a czasami przerywał słowami: "Powtórz" lub "Zrozumiano". Sloat pomyślał, że Gardener zachowuje się jak statysta w filmie katastroficznym.

Jeśli jednak zmniejszało to napięcie Gardenera, to Sloat nie miał nic przeciwko temu. Oszczędzało mu to konieczności odpowiadania na pytanie Sunlighta... a gdy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że być może Gardener nie chciał jej usłyszeć i z tego powodu prowadził pogawędki przez radionadajnik.

Strażnicy Talizmanu nie żyli lub nie nadawali się do walki. Dlatego znieruchomiały kurki; to właśnie oznaczały rozbłyski światła. Jack nie miał Talizmanu... przynajmniej jeszcze nie. Gdyby go dostał, to całe Point Venuti zaczęłoby na dobre szumieć, szurać i szeleścić. Sloat pomyślał, że Jack rzeczywiście wydostanie Talizman... że zawsze było to jego przeznaczeniem. To go jednak nie przerażało.

Sięgnął do zawieszzonego na szyi kluczyka.

Gardenerowi skończył się zapas "odbiorów", "bez odbiorów" i "zrozumień". Przewiesił radionadajnik z powrotem przez ramię i popatrzył na Morgana rozszerzonymi ze strachu oczyma. Zanim zdołał wyrzec choćby słowo, Sloat położył mu delikatnie ręce na ramionach. Jeśli potrafił odczuwać miłość do kogokolwiek prócz swego biednego, nieżyjącego syna, to kochał - bez wątpienia w jakiś mocno dziwaczny sposób - tego człowieka. Znali się od dawna, zarówno jako Morgan z Orris i Osmond, jak i Morgan Sloat oraz Robert "Sunlight" Gardener.

Ze strzelby podobnej do przewieszzonego właśnie przez ramię sztucera Gardener zabił w Utah Phila Sawyera.

- Posłuchaj, Gard - powiedział spokojnie Morgan. - Wygramy.

- Jesteś tego pewny? - wyszeptał Gardener. - Myślę, że chłopak pozabijał Strażników, Morgan. Wiem, że zabrzmi to wariacko, ale uważam...

Urwał, a usta drżały mu jak u inwalidy i pokryły się ciemną warstewką śliny.

- Wygramy - powtórzył tym samym spokojnym tonem Morgan.

Był o tym przekonany. Przenikało go uczucie, że ostateczny rezultat jest z dawna przesądzony. Czekał na to wiele lat; przez cały czas był zdecydowany zwyciężyć i nadal miał taki zamiar. Spodziewał się, że Jack wyjdzie z hotelu z Talizmanem w rękach. Był to przedmiot o niezmiernie dużej mocy... ale delikatny.

Popatrzył na sztucer z celownikiem, z którego można było powalić szarżującego nosorożca, po czym znowu dotknął klucza sprowadzającego błyskawice.

- Jesteśmy przygotowani na jego wyjście - powiedział Morgan i dodał: - W obu światach. Wszystko będzie dobrze, jeśli nie stracisz odwagi, Gard. Jeżeli tylko będziesz się mnie trzymał.

- Morgan, oczywiście, że... - Drżenie warg nieco zmalowało.

- Pamiętaj, kto zabił twojego syna - powiedział cicho Sloat.

W tym samym momencie, gdy Jack Sawyer przytknął rozpaloną monetę do czoła potwora w Terytoriach, Reuel Gardener, cierpiący od szóstego roku życia (tego samego, od którego syn Osmonda zaczął wykazywać oznaki tak zwanego Moru Spustoszonych Ziemi) na niegroźne napady padaczkowe typu petit mal, najprawdopodobniej dostał ataku uogólnionego - grand maina tylnym siedzeniu kierowanego przez Wilka Cadillaca, jadącego autostradą międzystanową 1-70 z Illinois do Kalifornii.

Syn Sunlighta Gardenera umarł w jego ramionach, zsiniał z niedotlenienia.

Sam Gardener zaczął obecnie wytrzeszczać oczy.

- Pamiętaj - powtórzył spokojnie Morgan.

- Zły - wyszeptał Gardener. - Jak wszyscy chłopcy. To pewne. Zwłaszcza ten chłopiec.

- Racja! - przyznał Morgan. - Trzymaj się tej myśli! Możemy go powstrzymać, ale chcę mieć cholerną pewność, że będzie mógł wyjść z hotelu tylko od strony łądu.

Podprowadził Gardenera do skały, przy której przyglądał się Parkerowi. Zobaczył, że muchy - opasłe albinosy - zaczęły obsiadać martwego czarnucha. I kławo jak cholera, pomyślał. Gdyby muchy miały odpowiednik magazynu "Variety", to Morgan wykupiłby w nim szpaltę na ogłoszenie z miejscem pobytu Parkera. Wstęp wolny, wszystkie muchy mile widziane. Mogłyby składać jaja w fałdach jego rozkładającej się skóry, a człowiek, przez którego Dwójnik Morgana nosił blizny na udach, stałby się pożywką dla larw. Nic nie ucieszyłoby go bardziej.

Sloat wskazał taras.

- Tratwa jest pod spodem - powiedział. - Wygląda jak koń, Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego. Wiem, że zawsze byłeś piekielnie dobrym strzelcem. Jeśli zdołasz, to właduj w nią parę kulek, Gard. Zatop to kurestwo.



Gardener zdjął sztucer z ramienia i popatrzył przez celownik. Lufa wielkiego karabinu długo zataczała minimalne łuki.

- Widzę ją - wyszeptał Gardener uradowanym głosem. Nacisnął spust. Echo odbiło się po wodzie długim, opadającym wskutek zjawiska Dopplera dźwiękiem, który wreszcie ucichł. Gardener uśmiechnął się tak samo, jak uśmiechał się po powrocie z misji w Utah. - To już tylko pusta powłoka na wodzie. Chcesz popatrzeć przez celownik?

Wyciągnął karabin w stronę Morgana.

- Nie - odparł Sloat. - Jeżeli mówisz, że trafiłeś, to tak jest. Jack musi teraz wyjść od strony lądu, więc wiemy, z której strony się tu pojawi. Myślę, że będzie miał ze sobą to, co tak wiele lat stało nam na drodze. - Gardener popatrzył na niego lśnącymi oczami. - Proponuję, żebyśmy tam przeszli.

Wskazał stary drewniany chodnik - tuż za ogrodzeniem, spod którego przez niezliczone godziny przyglądał się czarnemu hotelowi i rozmyślał o tym, co znajdowało się w sali balowej.

- W porzą...

W tej samej chwili ziemia zaczęła jęczeć i dźwigać się pod ich stopami. Podziemna istota przebudziła się, otrząsała i porykiwała.

Równocześnie każde okno Agincourt wypełniło oślepiające białe światło - blask tysiąca słońc. Wszystkie szyby jednocześnie wyleciały na zewnątrz, okruchy szkła posypały się jak prysznic diamentów.

- SŁUCHAJ MNIE I PAMIĘTAJ O SWOIM SYNU! - zagrział Sloat. Znów odczuwał klarowne uczucie predestynacji - jasne i niezaprzeczalne. Mimo wszystko zwycięstwo musiało przypaść właśnie jemu.

Razem z Sunlightem zaczęli biec przez dźwigającą się plażę w stronę chodnika.

8

Jack szedł powoli po twardym parkiecie sali balowej, czuł się cudownie. Patrzył przed siebie rozgorączkowanym wzrokiem. Jego twarz skąpała klarowna, biała światłość, będąca wszystkimi kolorami - wchodu, zachodu, tęczy. Talizman obracał się powoli wysoko w górze i śpiewał dla niego.

Była to kryształowa kula średnicy około trzech stóp - otaczała ją korona blasku tak jaskrawego, że trudno było dokładnie ocenić jej rozmiary. Wydawało się, że jej powierzchnię pokrywają wdzięcznie wyrzeźbione krzywe, przypominające południki i równoleżniki...

Dlaczego nie? - pomyślał Jack, wciąż pogrążony w głębokim oszołomieniu, wywołanym podziwem i zachwytem. To świat - WSZYSTKIE światy - w mikrokosmosie. Więcej: to oś wszystkich możliwych światów.

Talizman śpiewał, obracał się, gorzał światłem.

Jack stanął pod nim, skąpany w blasku i odczuciu przychylnej siły; stał jak we śnie, czując wlewającą się weń tę moc, przypominającą czysty, wiosenny deszcz, budzący ukryte siły miliarda drobnych nasion. Odczuwał rozbłyskującą w świadomości jak rakietą bezgraniczną radość.

Jack Sawyer uniósł obydwie ręce nad głowę. Śmiał się zarówno w odpowiedzi na radość, jak i wtórując jej narastaniu.

- No to chodź do mnie! - zawołał

i przesunął się

(równoległe? prostopadle?)

w

Jasona.

- No to chodź do mnie! - zawołał znowu w kojąco płynnym i lekko zlewającym się języku Terytoriów.

Zawołał to ze śmiechem, ale po policzkach ciekły mu łzy. Zrozumiał, że wędrówkę po Talizman rozpoczął drugi chłopiec i on musi ją zakończyć, wobec czego zrezygnował z oporu i

przesunął się

z powrotem

w

Jacka Sawyera.

Talizman zadrżał nad nim w powietrzu - wirował powoli, emanował światłem, ciepłem, odczuciem prawdziwego dobra i bieli.

- Chodź do mnie!

Talizman zaczął się zniżać.

9

Tak oto po wielu tygodniach i trudach, po ciemności i rozpacz, po znajdowaniu i traceniu przyjaciół, po dniach pełnych znoju i nocach spędzonych w wilgotnych stogach, po stawianiu czoła demonom w mrocznych miejscach (z których nie najpośledniejsze żyły w

zakamarkach chłopięcej duszy) - po tym wszystkim w ten właśnie sposób Talizman przyszedł do Jacka Sawyera.

Jack patrzył, jak się opuszcza, i chociaż nie bał się, przytłaczało go uczucie, że waży się losy całych światów. Czy ta strona jego natury, która była Jasonem, istniała naprawdę? Syn Królowej Laury zginął; był duchem, na którego klęli się mieszkańcy Terytoriów. Mimo to Jack uznał, że jest i Jasonem. Wyprawa po Talizman - misja, którą powinien wypełnić Jason - sprawiła, że drugi chłopiec na jakiś czas ożył. Jack naprawdę miał Dwójnika, przynajmniej w pewnym sensie. Skoro Jason był podobnie jak rycerze duchem, mógł zniknąć, gdy promienista, wirująca kula dotknie jego wyciągniętych palców. Możliwe było, że Jack znów go zabije.

Nie martw się, Jack, szepnął czyjś głos, ciepły i klarowny.

Opuszczała się - kula, świat, wszystkie światy. Była chwałą i ciepłem, dobrem, ponownym nadejściem bieli. I tak jak zawsze biel, cechowała ją wyjątkowa delikatność.

W miarę jak się opuszczała, w głowie Jacka zawirowały światy. Nie miał już wrażenia, że przebija się przez warstwy rzeczywistości, ale że widzi cały ich makrokosmos, wszystkie zachodzące na siebie ogniwa, składające się na

*(rzeczywistość)*

kolczugę.

*Wyciągasz ręce po całe uniwersum światów, po kosmos dobra, Jack. Głos ten należał do jego ojca. Nie upuść go, synku. Na miłość Jasona, nie upuść go.*

Mnóstwo światów, niektóre cudowne, niektóre piekielne - wszystkie przez moment oświetliło ciepłe, białe światło gwiazdy, będącej jednocześnie kryształową kulą, pokrytą subtelnie wrytymi liniami. Opuściła się powoli ku wyciągniętym, rozedrganym palcom Jacka.

- Chodź do mnie! - krzyknął do Talizmanu tak, jak on śpiewał jemu. - Chodź już do mnie!

Talizman był trzy stopy nad jego dłońmi, omywał je swym miękkim, uzdrawiającym blaskiem. Był już o dwie stopy... o stopę. Przez chwilę zawahał się, obracając się wokół odrobinę nachylonej osi. Jack dojrzał na jego świetlistej powierzchni zmienne zarysy kontynentów, oceanów i czap polarnych. Talizman zawahał się... i powoli spoczął w wyciągniętych dłoniach chłopca.

## Rozdział czterdziesty trzeci

### Wieści zewsząd

1

Lily Cavanaugh, która wyobraziła sobie wcześniej, że słyszy rozlegający się gdzieś z dołu głos Jacka, usiadła teraz wyprostowana na łóżku. Po raz pierwszy od wielu tygodni na jej woskowożółtych policzkach pojawił się rumieniec. Oczy zaślniły jej szaleńczą nadzieją.

- Jason? - jęknęła.

Zmarszczyła brwi; jej syn miał przecież inaczej na imię. Jednakże we śnie, z którego się właśnie przebudziła, tak właśnie nazywał się jej syn, a ona sama była kimś innym. Oczywiście to вина narkotycznych leków. Przez prochy miała doszczętnie pokręcone sny.

- Jack? - próbowała ponownie. - Jack, gdzie jesteś? Odpowiedź nie nadeszła... ale czuła Jacka, wiedziała, że na pewno żyje. Po raz pierwszy od dawna - może od pół roku - poczuła się naprawdę dobrze.

- Jack-O - powiedziała.

Sięgnęła po papierosy. Przez chwilę przyglądała się im, po czym cisnęła je w drugi koniec pokoju. Wylądowały w kominku na reszcie sterty, którą zamierzała spalić później tego dnia.

- Myślę, że po raz drugi i ostatni w życiu rzucę palenie, Jack-O - rzekła. - Trzymaj się, mały. Twoja mama cię kocha.

Przylapała się na tym, że bez powodu uśmiecha się idiotycznie i szeroko.

2

Donny Keegan, któremu trafił się dyżur w kuchni Domu Sunlighta, gdy Wilk wy dostał się z Pudła, przeżył tę straszną noc. George Irwinson, z którym chłopiec miał dyżur, nie miał tyle szczęścia. Donny znajdował się obecnie w bardziej konwencjonalnym sierocińcu w Muncie w stanie Indiana. W odróżnieniu od niektórych innych chłopców z Domu Sunlighta Donny był autentyczną sierotą; Gardener musiał przyjąć kilka sierot, by zadowolić władze stanowe.

Pogrążony w bezmyślności Donny zmywał właśnie podłogę ciemnego korytarza na piętrze. Nagle podniósł głowę. Rozszerzył mętne oczy. Na zewnątrz chmury, plujące rzadkim śniegiem na grudniowe pola, niespodziewanie rozstały się na zachodzie, przepuszczając

pojedynczy promień słońca, straszny i zarazem podnoszący na duchu przez swoje izolowane piękno.

- Tak jest, NAPRAWDĘ go kocham! - krzyknął triumfalnie Donny. Adresatem jego wołania był Ferd Janklow, chociaż Donny, mający zbyt wiele obłuzowanych klepek, by pod czaszką zmieściło się mu dużo mózgu, zapomniał już nazwisko drugiego chłopca. - Jest piękny i NAPRAWDĘ go kocham!

Donny zarżał swoim matołkowanym śmiechem, chociaż w tej chwili nawet ów śmiech był prawie piękny. Paru innych chłopców pootwierało drzwi i przyglądało się Donny'emu ze zdumieniem. Twarz chłopca była skąpana w świetle samotnego, efemerycznego promienia słońca. Jeden z chłopców wyszeptał tej nocy do swojego bliskiego przyjaciela, że przez chwilę Donny Keegan wyglądał jak Jezus.

Chwila minęła; chmury nasunęły się z powrotem na niesamowite, przejrzyste miejsce na niebie. Do wieczora opady śniegu nasiliły się i nadeszła pierwsza tej zimy wielka zawieja. Donny wiedział - przez jedną krótką chwilę - czym jest naprawdę uczucie miłości i triumfu. Minęło to szybko, jak sny po przebudzeniu... ale nigdy nie zapomniał samego uczucia, tego niemal przyprawiającego o omdlenie doznania łaski, chociaż raz darowanej i spełnionej, a nie obiecanej i niezrealizowanej - uczucia klarowności i błogiej, wspaniałej miłości; wrażenia ekstazy, wywołanej ponownym nastaniem bieli.

### 3

Sędzia Fairchild, który wysłał Jacka i Wilka do Domu Sunlighta, nie był już żadnym sędzią. Po odrzuceniu ostatnich apelacji miał wyładować w więzieniu. Nie było wątpliwości, że do niego trafi i że czekają go tam ciężkie czasy. Mógł w ogóle nie wyjść z niego żywy. Był starym, nie najzdrowszym człowiekiem. Gdyby nie znaleźli tych przeklętych ciał...

Zachowywał maksymalny możliwy w danych okolicznościach optymizm, ale gdy tak siedział przy kuchennym stole i czyścił paznokcie długim ostrzem swojego scyzoryka, ogarnęła go wielka, szara fala depresji. Nagle oderwał nożyk od grubych paznokci, przez chwilę przyglądał mu się z namysłem, a następnie wsadził ostrze w lewe nozdrze. Moment trzymał je nieruchomo.

- Och, kurwa - szepnął. - Dlaczego nie?

Poderwał rękę w górę, wysyłając sześciocalowe ostrze w krótką, śmiercionośną misję. Przeszyło najpierw jego zatoki, a potem mózg.

Smokey Updike siedział przy stoliku w "Oatley Tap", przekładał rachunki i zliczał sumy na kalkulatorze - tak samo jak tego dnia, gdy poznał go Jack. Obecnie był jednak wczesny wieczór i Lori obsługiwała pierwszych klientów. Z szafy grającej rozlegało się "I'd Rather Have a Bottle in Front of Me (Than a Frontal Lobotomy)".

W jednej chwili wszystko było normalnie. W następnej Smokey wyprostował się jak świeca, a papierowy czepek zleciał mu z głowy. Ścisnął białą koszulkę z krótkimi rękawami na lewej piersi, którą przeszła błyskawica przypominającego srebrny gwóźdź bólu. Bóg wbija swoje ćwieki, powiedziałaby Wilk.

W tej samej chwili grill eksplodował z głuchym łoskotem. Wskoczył w powietrze, trafił w wywieszkę reklamową piwa Busch i zerwał ją spod sufitu. Tablica runęła z hukiem na podłogę. Prawie natychmiast zaplecze baru wypełniła mocna woń benzyny. Lori krzyknęła.

Szafa grająca przyspieszyła obroty: 45 na minutę, 78, 150, 400! Serio-komiczny babski lament zamienił się w szybkostrzelną paplaninę ogłupiających wiewiórek na saniach rakietowych. Chwilę później pokrywa szafy grającej eksplodowała; wszędzie posypało się kolorowe szkło.

Smokey opuścił wzrok na kalkulator i zobaczył, że w okienku mruga na czerwono ciągle to samo słowo:

TALIZMAN - TALIZMAN - TALIZMAN - TALIZMAN

Po chwili eksplodowały jego oczy.

- Zakręć zawór, Lori! - wrzasnął jeden z klientów. Zerwał się z krzesła i odwrócił w stronę Updike'a. - Smokey, po wiedz jej...

Jęknął z przerażenia na widok krwi, tryskającej z dziur po oczach Smokeya Updike'a.

Po chwili całe "Oatley Tap" eksplodowało pod samo niebo. Zanim wozy straży pożarnej zdążyły dojechać z Dogtown i Elmiry, większość centrum miasteczka ogarnęły płomienie.

Niewielka strata, dzieci - możecie powiedzieć: amen?

W Thayer School, gdzie normalność królowała obecnie jak zawsze (z wyjątkiem krótkiego interludium, które mieszkańcy kampusu pamiętali jedynie jako ciąg niejasnych, porozrywanych snów), zaczęła się ostatnia godzina lekcyjna. Lekki śnieg w Indianie w Illinois przeradzał się w lodowatą mżawkę. Uczniowie siedzieli w klasach, zadumani bądź rozmarzeni.

Nagle zaczęły bić dzwony w kaplicy. Podnosiły się głowy, rozszerzały się oczy. W całej Thayer School przygasające sny nagle nabrały nowej mocy.

6

Etheridge siedział na zajęciach z matematyki dla zaawansowanych i rytmicznie przesuwając dłonią po nabrzmiałym członku, utkwivszy niewidzące spojrzenie w piętrzonych przez starego pana Hunkinsa na tablicy logarytmach. Etheridge myślał o fertycznej kelnerce z miasta, którą zamierzał później posuwać. Nosila pas zamiast rajstop i nie trzeba było jej namawiać, żeby została w pończochach, gdy się pieprzyli. Etheridge w pewnej chwili utkwiał jednak wzrok w oknie. Zapomniał o kelnerce z długimi nogami w gładkich pończochach, ponieważ nagle bez żadnego uchwytnego powodu przyszedł mu do głowy Sloat. Sztywny, mały Richard Sloat, którego powinien bez trudu uznać za wymoczka - co mimo wszystko było niemożliwe. Etheridge pomyślał o Sloacie i zadał sobie pytanie, czy nic mu się nie stało. Nie wiedzieć czemu pomyślał, że Sloat, który opuścił bez usprawiedliwienia szkołę przed czterema dniami i od tej pory nie dał znaku życia, popadł w tarapaty.

W gabinecie dyrektora pan Dufrey dyskutował z wściekłym - i bogatym - ojcem George'a Hatfielda o wydaleniu chłopca za oszukiwanie, kiedy dzwony zaczęły wybijać niezapowiedzianą melodię. Gdy dobiegła końca, pan Dufrey zauważył, że klęczy na czworakach z wywieszonym językiem, a włosy spadają mu na oczy. Hatfield starszy stał przy drzwiach - na dobrą sprawę się przy nich kulił - z wytrzeszczonymi oczyma i rozdziawionymi ustami. Ze zdumienia i strachu zapomniał o gniewie. Pan Dufrey pełzał w kółko po dywanie i szczekał jak pies.

Albert Bambaryla właśnie brał przekąskę, gdy zaczęły bić dzwony. Przez moment obejrzał się w stronę okna i zmarszczył czoło jak ktoś niepotrafiący sobie przypomnieć tego, co ma na końcu języka. Wzruszył ramionami i wrócił do otwierania torebki chipsów Nacho - matka właśnie przysłała mu całe pudło. Oczy mu się rozszerzyły. Wydało mu się - przez chwilę, ale to wystarczyło - że torebka jest pełna wijących się, tłustych białych robaków.

Zemdlał.

Kiedy odzyskał przytomność i zdobył się na dość odwagi, by ponownie zajrzeć do torebki, doszedł do wniosku, że była to jedynie halucynacja. Oczywiście! Cóż innego? Mimo to halucynacja ta wywarła na niego w przyszłości niezwykle wpływ: kiedykolwiek otworzył torebkę chipsów, opakowanie batona czy puszkę wołowiny Big Jerk, w duchu widział robactwo. Do wiosny Albert schudł trzydzieści pięć funtów, zaczął grać w drużynie tenisowej Thayer School i przespał się z dziewczyną.

W tym momencie Albert odczuwał niemal deliryczną ekstazę. Po raz pierwszy w życiu czuł, że da radę przeżyć miłość swojej matki.

7

Wszyscy rozglądali się, kiedy zaczęły bić dzwony. Niektórzy śmiali się, inni marszczyli brwi, kilku chłopców wybuchło płaczem. Gdzieś zawyla para psów, co było niezwykle dziwne, ponieważ żadne psy nie miały prawa przebywać na terenie kampusu.

Wygrywana przez dzwony melodia nie należała do skomputeryzowanego repertuaru - potwierdził to później zbity z pantałyku kierownik administracyjny. Pewien dowcipniś zasugerował w gazetce szkolnej z tego tygodnia, że jakiś nadgorliwiec zaprogramował melodię z myślą o feriach bożonarodzeniowych.

Melodią była kolęda "Happy Days Are Here Again" - "Znów nastały szczęśliwe dni".

8

Chociaż matka Wilka, przyjaciela Jacka Sawyera, była przekonana, że jest za stara, by zająć w ciążę, w porze Przemiany mniej więcej dwanaście miesięcy temu nie dostała krwawienia. Przed trzema miesiącami urodziła trojaczki - dwie córki i syna. Miała ciężki poród, a na dodatek przeczuwała, że umrze jedno z jej starszych dzieci. Czuła, gdy syn powędrował w Inne Miejsce; wiedziała, że zrobił to, by chronić stado, i że nigdy go już nie zobaczy. Wyjątkowo nad tym bolała i płakała bardziej niż w bólach porodowych.

Mimo to, gdy ze swoimi młodymi spała pod księżycem w pełni, na ten czas bezpiecznie odizolowanymi od stada, przewróciła się na bok z uśmiechem na twarzy, przyciągnęła do siebie syna i zaczęła go lizać. Wciąż śpiące Wilczątko objęło ramionami jej włochatą szyję i przycisnęło policzek do porośniętej puszkiem piersi. Oboje się uśmiechnęli, a



w zesłanym Wilczy snie pojawiła się ludzka myśl: Bóg wbija swe ćwieki prosto i tam, gdzie trzeba.

Blask księżycy przepięknego świata, w którym wszystkie zapachy były dobre, padał na matkę obejmującą syna i śpiące koło nich dziewczynki.

9

W miasteczku Goslin w stanie Ohio (niedaleko Amandy i około trzydziestu mil na południe od Columbus) Buddy Parkins wygarniał o zmierzchu nawóz z kurnika. Miał nałożoną na usta i nos maseczkę z gazy, niedopuszczającą do zadławienia się białym, sproszkowanym guanem, którego kłęby unosiły się w cuchnącym amoniakiem powietrzu. Głowa bolała go od smrodu. Bolał go również grzbiet, bo był wysoki, a kurnik niski. Biorąc wszystko pod uwagę, musiał przyznać, że trafiła się mu paskudna robota. Miał trzech synów, ale każdy z tych łapserdaków robił się nieuchwytny, kiedy trzeba było sprzątnąć kurnik. Mógł się jedynie pocieszać, że prawie skończył, a...

*Ten chłopak! Chryste! Ten chłopak!*

Nagle przypomniał sobie z absolutną klarownością i oszałamiającą miłością chłopca, który przedstawił się jako Lewis Farren. Tego, który twierdził, że jedzie do swojej ciotki, Helen Vaughan, w miasteczku Buckeye Lake. Chłopca, który odwrócił się w stronę Buddy'ego, gdy ten zapytał go, czy uciekł z domu, i w tym momencie ukazał twarz przepełnioną uczciwością, dobrocią i nieoczekiwanym, zdumiewającym pięknem. Pięknem, które przywiodło Buddy'emu na myśl widziane pod koniec burzy tęcze oraz zachody, wieńczące dni, wypełnione jękami i postępowaniem przy ciężkiej pracy.

Buddy wyprostował się z westchnieniem i tak silnie rąbnął głową w powalę kurnika, że oczy zaszczyły mu łzami... a mimo to przez cały czas uśmiechał się jak wariat. Och, mój Boże, ten chłopak jest TAM! Jest TAM! - pomyślał Buddy Parkins i chociaż nie miał pojęcia, gdzie jest to "tam", nagle ogarnęło go słodkie poczucie, absolutnej, gwałtownej przygody. Od czasu przeczytania "Wyspy skarbów" w wieku dwunastu lat i ujęcia w dłoń dziewczęcej piersi w wieku lat czternastu nigdy nie czuł się równie oszołomiony, równie podekscytowany, równie pełen błogiej radości. Zaczął się śmiać. Wypuścił z rąk łopatę. Podczas gdy kury przyglądały mu się z tępym zdumieniem, Buddy Parkins odtńczył w ich łajnie niezgrabny taniec, śmiejąc się pod maską i strzelając palcami.

- Jest tam! - wołał ze śmiechem do kur. - Jak bonie-dydy, jest tam, udało mu się tam dotrzeć, jest tam i dostał to!

Później myślał prawie - prawie, ale zawsze niezupełnie - że od smrodu kurzego nawozu musiał przez jakiś czas być na haju. Ale to nie wszystko, do diabła, nie wszystko. Doznał jakiegoś objawienia, ale nie potrafił przypomnieć sobie, czego dotyczyło... domyślał się, że to samo spotkało tego angielskiego poetę, o którym opowiadał im nauczyciel w gimnazjum: facet naćpał się wielką dawką opium i kompletnie nawalony zaczął pisać wiersz o jakimś wymyślonym burdelu Chińczaków... a kiedy haj minął, nie potrafił go dokończyć.

Właśnie tak, myślał, ale w jakiś sposób wiedział, że to nieprawda, i chociaż nie potrafił przypomnieć sobie dokładnie przyczyny radości - podobnie jak Donny Keegan nigdy nie zapomniał tego, jak go ogarnęła - nigdy nie zapomniał słodkiego, gwałtownego uczucia, że zetknął się z jakąś wielką przygodą, że zjrzał na chwilę w jakieś piękne, białe światło, będące w istocie wszystkimi kolorami tęczy.

10

Istnieje stara piosenka Bobby'ego Darina z następującym tekstem: "A grunt kaszle korzeniami/w butach i z drelichu koszulami, /zabierzcie je stąd... zabierzcie je stąd".

Dzieci z okolic Cayuga w Indianie mogłyby entuzjastycznie z nią sympatyzować, gdyby nie została nagrana jakiś czas przed ich urodzeniem. Dom Sunlighta stał pusty zaledwie od nieco ponad tygodnia, a już zyskał wśród miejscowej dzieciarni opinię nawiedzonego. Zważywszy na koszarne szczątki odkryte przez koparki pod kamiennym murkiem za Dalekim Polem, nie było to zaskakujące. Tablica: NA SPRZEDAŻ, wystawiona przez lokalnego agenta handlu nieruchomościami, mogła tkwić na trawniku rok zamiast dziewięciu dni. Agent już raz opuścił cenę i zastanawiał się nad zrobieniem tego znowu.

Tak się złożyło, że nie musiał. Gdy z ołowianych chmur nad Cayuga zaczął sypać się pierwszy śnieg (a mniej więcej dwa tysiące mil dalej Jack Sawyer dotykał Talizmanu), eksplodowały zbiorniki benzyny w kuchni. Pracownik zakładów Eastern Indiana Gaś and Electric przyjechał w poprzednim tygodniu i odessał wszystką ciecz do cysterny. Byłby gotów przysiąc, że można by wczołgać się do każdego ze zbiorników z zapalonym papierosem. Zbiorniki jednak eksplodowały - dokładnie w tej samej chwili, gdy wybuch wymiótł na zewnątrz okna "Oatley Tap" (oraz sporą liczbę klientów w butach i koszulach z drelichu... a zabrały ich stamtąd ekipy ratownicze z Elmiry).

Dom Sunlighta błyskawicznie spłonął do fundamentów.

Możecie powiedzieć: alleluja?

We wszystkich światach coś poruszyło się i ułożyło w nieco odmiennej pozycji - jak wielkie zwierzę... W Point Venuti bestią była sama ziemia. Przebudziła się i ryczała. Według Instytutu Sejsmologii Kalifornijskiego Instytutu Technologicznego zasnęła dopiero po siedemdziesięciu dziewięciu sekundach.

Zaczęło się trzęsienie ziemi.

## Rozdział czterdziesty czwarty

### Trzęsienie ziemi

1

Minęło trochę czasu, nim Jack zorientował się, że Agincourt dygocze i rozpada się wokół niego na kawałki. Wcale go to nie zaskoczyło. Jack wciąż znajdował się w stanie bezgranicznego uniesienia. W pewnym sensie nie był wcale w Agincourt ani w Point Venuti, w okręgu Mendocino, w Kalifornii, w amerykańskich Terytoriach. Równocześnie był w nich - i w nieskończonej liczbie innych światów. Nie przebywał też po prostu w jednym miejscu w każdym z nich; był wszędzie jednocześnie, ponieważ stanowił te światy. Wydawało się, że Talizman ma większą moc, niż kiedykolwiek podejrzewał jego ojciec. Był nie tylko osią wszystkich możliwych światów, ale i nimi samymi - światami i przestrzeniami pomiędzy nimi.

Doznanie tak transcendentalne doprowadziłoby do obłędu mieszkającego w jaskini tybetańskiego świętego. Jack Sawyer był wszędzie; Jack Sawyer był wszystkim. Żdźbło trawy obumarło wskutek braku wody na pozbawionej znaczenia równinie gdzieś w centrum kontynentu mniej więcej odpowiadającego położeniem Afryce na świecie oddzielonym o pięćdziesiąt tysięcy innych od Ziemi; Jack umarł wraz z nim. W innym świecie smoki kopulowały w środku chmury wysoko nad ziemią, a ogniste oddechy ich ekstazy mieszały się z zimnym powietrzem, powodując deszcze i powodzie na Ziemi. Jack był smokiem; Jack był smoczycą. Był jajem i nasieniem. Daleko w eterze milion wszechświatów stąd trzy pyłki unosiły się blisko siebie w przestrzeni międzygwiazdnej. Jack był tym pyłem i przestrzenią między nimi. Galaktyki rozwijały się w jego głowie jak długie papierowe wstęgi, a los sztancował je w przypadkowy sposób, zamieniając je w makrokosmiczne taśmy do pianoli, które wygrywały melodie od żałobnych nokturnów po ragtime'y. Jack ze szczęściem wbił zęby w pomarańczę; rozdierane kłami ciało Jacka wyło z nieszczęścia. Był trylionem kłębków kurzu pod miliardem łóżek. Był młodym kangurem, śniącym o swym poprzednim wcieleniu w torbie matki, skaczącej po purpurowej równinie, po której biegały z gracją króliki wielkości jeleni. Był mięśniem w pęcieniu zwierzęcia w Peru i jajami w gnieździe jednej z kwok w wyprząniętym przez Buddy'ego Parkinsa kurniku w Ohio. Był sproszkowanym kurzem łajnem w nosie Buddy'ego Parkinsa; był drżącymi włoskami, które niedługo miały sprawić, że Buddy kichnie; był bakteriami w śluzie; był atomami w tych bakteriach; był

tachionami atomów wędrujących pod prąd czasu w kierunku wielkiego wybuchu na początku stworzenia.

Jego serce zmyliło rytm, a tysiące słońc rozblęło jako nowe.

Był googopleksem wróbli z googopleksu światów i wiedział, jak czuje się każdy z nich.

Umarł w gehennie odkrywek rudy w Terytoriach.

Żył jako wirus grypy na krawacie Etheridge'a.

Unosił się z wiatrem nad dalekimi miejscami.

Był...

Och, był...

*Był Bogiem. Bogiem lub kimś tak do niego podobnym, że różnica była niezauważalna.*

*Nie! - krzyknął ze zgrozy Jack. Nie, nie chcę być Bogiem! Proszę! Proszę, nie chcę być bogiem, CHCĘ TYLKO URATOWAĆ ŻYCIE MOJEJ MATCE!*

Nieskończoność zamknęła się tak nagle, jak szuler składa w ręce przegrywające karty. Zwęziła się w wiązkę oślepiająco białego światła, za którą Jack wrócił do sali balowej "Terytoria", gdzie minęło zaledwie kilka sekund. Wciąż trzymał Talizman w dłoniach.

## 2

Na zewnątrz grunt zaczął podrygiwać jak striptizerka z wesołego miasteczka. Podnoszący się przypływ rozmyślił się i zaczął cofać, odsłaniając piasek barwy opalonych ud gwiazdki filmowej. Na odkrytym piachu ciskały się niezwykle ryby; niektóre z nich wyglądały jak żelatynowe pęki samych oczu.

Urwiska za miasteczkiem były teoretycznie utworzone ze skał osadowych, jednak dowolnemu geologowi wystarczyłoby rzucić na nie okiem, by stwierdzić, że miały się do nich jak nuworysze do Czterystu.[ Four Hundreds - określenie z przełomu wieków, obejmujące członków najbogatszych rodów amerykańskich (Astorowie, Pierpoint Morganowie, Rothschildowie itd.)] Wyżyna Point Venuti stanowiła w istocie wyłącznie zeszywniałe od erekcji błoto, które teraz pękało i rozszczepiało się w tysiącu obłądnych kierunków. Przez moment urwiska się trzymały, chociaż nowe szczeliny otwierały się i zamykały w nich jak ziejące paszcze. Potem ziemia zaczęła osuwać się na miasto. W zstępujących lawinach brył znajdowały się głązy wielkości fabryk opon z Toledo w Ohio.

Jack i Richard zdziesiątkowali Wilczą Brygadę Morgana podczas ataku z zaskoczenia na Camp Readiness. Obecnie jej liczebność spadła jeszcze bardziej - wielu Wilków uciekło z

przesadnymi krzykami i wyciem. Niektórzy katapultowali się z powrotem do swojego świata. Innym udało się ująć cało, większość jednak zginęła w następujących po sobie wstrząsach. Od Point Venuti szerzyły się przez wszystkie światy podobne kataklizmy, jakby zostały przebite wydrążonym próbnikiem geologicznym. Grupa trzech Wilków, ubranych w skórzane kurtki z godłem Demonów z Fresno, zdołała dotrzeć do swojego samochodu - rzeńskiego, starego lincolna Mark IV. Ujechali półtorej przecznicy przy ryczącej z odtwarzacza orkiestrze dętej Harry'ego Jamesa, nim z nieba runęła skała, która sprasowała wóz jak naleśnik.

Inni po prostu uciekali z wrzaskiem ulicami, ogarniani Przemianą. Kobieta z łańcuszkiem między sutkami wyszła z niezmałym spokojem na ich spotkanie. Z równie niezmałym spokojem wrywała sobie kępki włosów z głowy. Podsunęła jedną z nich Wilkowi. Zakrwawione cebulki chwiały się jej między placami jak morska trawa, podczas gdy ona tańczyła w miejscu na drgającej ziemi.

- Proszę! - zawołała, uśmiechając się z niezmałym spokojem. - Bukiet! Dla ciebie!

Wilk, który był wyjątkowo niespokojny, odgryzł jej głowę jednym kłapięciem szczęk i pobiegł dalej, dalej, dalej.

3

Jack przyglądał się temu, co miał w rękach, zaparło mu dech jak dziecku, które skłoniło lęklive leśne zwierzątko do wyjścia z trawy i jedzenia mu z ręki.

Talizman lśnił w jego dłoniach - to jaśniej, to ciemniej, to ciemniej, to jaśniej.

W rytm bicia mojego serca, pomyślał Jack.

Wydawało się, że Talizman jest ze szkła, jednak ugiął się minimalnie pod jego dłońmi. Jack nacisnął powierzchnię kuli i zauważył, że nieco ustępuje. Wokół miejsc nacisku rozlały się wiry o oszalamiających barwach: od lewej dłoni - atramentowego fioletu, od prawej - najgłębszego karminu. Chłopiec uśmiechnął się... po czym uśmiech zgasł mu na ustach.

*Robiąc to, możesz zabijać miliard ludzi - pożarami, powodzią, Bóg wie czym. Przypomnij sobie budynek, który zawalił się w Angoli w stanie Nowy Jork po tym...*

*Nie, Jack, szepnął Talizman, a chłopiec zrozumiał, dlaczego ustąpił pod łagodnym naciskiem jego rąk. Talizman żył. Oczywiście, że tak: Wszystko będzie dobrze... wszystko będzie dobrze... i wszelkie sprawy ułożą się dobrze. Wierz tylko, bądź wierny, stój dumnie i nie zwątpij.*

Był w nim spokój - och, jak głęboki spokój.

Tęcza, tęcza, tęcza, pomyślał Jack. Zastanowił się, czy kiedykolwiek zdobędzie się na to, by wypuścić z rąk tę cudowną błyskotkę.

4

Na plaży pod drewnianym chodnikiem Gardener upadł z przerażeniem na brzuch. Wbił zakrzywione jak haki palce w luźny piasek. Skamlał.

Morgan zatoczył się w jego stronę jak pijak i zerwał mu z ramienia radionadajnik.

- Nie wchodźcie do środka! - ryknął do mikrofonu, po czym zdał sobie sprawę, że zapomniał o naciśnięciu guzika nadawania. Zrobił to i krzyczał dalej: NIE WCHODŹCIE DO ŚRODKA! JEŻELI SPRÓBUJECIE UCIEC Z MIAS TA, TO ZWAŁĄ SIĘ NA WAS TE W MORDE JEBANE URWISKA! WRACAĆ TUTAJ! DO MNIE! TO TYLKO POKAZ CHOLERNYCH EFEKTÓW SPECJALNYCH! OTOCZCIE PLAŻĘ! CI, KTÓRZY TU PRZYJDA, ZOSTANĄ NAGRODZENI! CI, KTÓRZY NIE PRZYJDA, ZDECHNĄ W JAMACH I NA SPUSTOSZONYCH ZIEMIACH! SCHODŹCIE TUTAJ! TO OTWARTY TEREN! TU NIC NA WAS NIE SPADNIE! SCHODŹCIE TUTAJ, DO CHOLERY!

Odrzucił radionadajnik, który się rozleciał, z jego wnętrza zaczęły wylazić dziesiątkami żuki z długimi czułkami.

Morgan pochylił się i dźwignął na nogi wyjącego, bladego jak kreda Gardenera.

- Podnoś się, piękniśiu - powiedział.

5

Gdy stolik strząsnął z siebie Richarda, ten krzyknął, chociaż nie odzyskał przytomności. Jack usłyszał krzyk; wyrwał go on z zafascynowania Talizmanem.

Uświadomił sobie, że Agincourt skrzypi jak statek podczas sztormu. Rozejrzał się i zobaczył pękające deski podłogi, odsłaniające zakurzone legary. Belki przesuwwały się tam i z powrotem jak czółenka warsztatu tkackiego. Wijące się białe robaki pierzchały przed czystym światłem Talizmanu.

- Idę, Richard! - zawołał Jack.

Ruszył po posadzce. W pewnym momencie stracił równowagę pod wpływem wstrząsu i upadł, ale utrzymał w górze gorejącą kulę. Wiedział, że jest krucha - pękłaby, gdyby uderzyć ją wystarczająco silnie. Bóg jeden wie, co by się wtedy stało. Jack dźwignął się na kolano, z powrotem musiał usiąść. Wreszcie zdołał się podnieść.

Na dole Richard krzyknął znowu.

- Richard! Już idę!

Z góry rozległ się dźwięk przypominający dzwonki sanek. Chłopiec podniósł głowę i zobaczył kołyszący się coraz szybciej jak wahadło kandelabr. Na jego oczach pękł łańcuch i kandelabr spadł na rozsypujący się parkiet jak bomba z rżniętymi kryształami zamiast materiału wybuchowego w główicy. Szklane odłamki rozsypały się na wszystkie strony.

Jack odwrócił się i wybiegł z pokoju wielkimi susami. Wyglądał jak komik z burleski, udający pijanego marynarza.

Pobiegł korytarzem. Rzuciło nim najpierw na jedną ścianę, potem na drugą. Podłoga chwiała się jak równoważnia i pękała. Za każdym razem, gdy Jack wpadał na ścianę, wyciągał w drugą stronę ręce z Talizmanem, jakby dzierzył w kleszczach rozpalony do białości węgiel.

*Za nic nie zdołasz zejść na dół.*

*Muszę. Muszę.*

Dotarł do półpiętra, gdzie stawił czoło czarnemu rycerzowi. Świat zakołysał się w nowy sposób; Jack zatoczył się i dojrzał, że hełm toczy się po podłodze w przeciwnym kierunku.

Nadal patrzył w dół. Schody kołysały się wielkimi, udręczonymi falami, na których widok chłopcu zbierało się na wymioty. Jeden ze stopni pękł, odsłaniając ziejącą dziurę pełną wijących się kształtów.

- Jack!

- Idę, Richard!

*Za nic nie zejdziesz na dół po tych schodach. Nie dasz rady, maty.*

*Musze. Musze.*

Trzymając w rękach cenny, kruchy Talizman, Jack ruszył po schodach, wyglądających w tej chwili jak arabski latający dywan, który trafił w tornado.

Stopnie wybrzuszyły się i rzuciły Jacka w stronę wyrwy, przez którą wypadł hełm czarnego rycerza. Chłopiec krzyknął i zatoczył się tyłem w stronę dziury. Przyciskał prawą ręką Talizman do piersi, a lewą wymachiwał, żeby się czegoś przytrzymać. Bezskutecznie - trafił piętami w wyrwę i zaczął osuwać się w pustkę.



Minęło pięćdziesiąt sekund od początku trzęsienia ziemi. Jedynie pięćdziesiąt sekund - ale ci, którzy przeżyli trzęsienie ziemi, wiedzą, że w jego trakcie obiektywny, zegarowy czas traci znaczenie. Trzy dni po trzęsieniu w Los Angeles w 1953 roku reporter telewizyjny zapytał człowieka, który znajdował się blisko epicentrum, ile ono trwało.

“Wciąż trwa”, odpowiedział spokojnie ów człowiek.

Sześćdziesiąt dwie sekundy od rozpoczęcia trzęsienia prawie cała wyżyna Point Venuti postanowiła ulec naporowi przeznaczenia i zostać niziną Point Venuti. Runęła na miasto z wilgotnym odgłosem: kunummmmp. Ostał się tylko klin nieco twardszej skały, mierzący w Agincourt jak oskarżycielski palec. Z jednego z nowych, przypłaszczonych pagórków sterczał brudny komin, przypominający stojący w pogotowiu penis.

7

Morgan Sloat i Sunlight Gardener stali na plaży i obejmowali się, jakby chcieli zatańczyć hula. Gardener zdjął sztucer z ramienia. Dołączyło do nich kilku Wilków, ich oczy na przemian wytrzeszczały się ze zgrozy i gorzały piekielną furią. Co jakiś czas zjawiali się kolejni. Wszyscy albo już ulegli Przemianie, albo ją przechodzili. Ubrania wisiały na nich w łachmanach. Morgan zobaczył, że jeden z Wilków rzucił się na piasek i zaczął go gryźć, jakby niespokojna ziemia była wrogiem, którego można zabić. Sloat popatrzył na to szaleństwo i wyrzucił je z myśli.

Furgonetka z wymalowanym na bokach psychodelicznymi literami napisem: DZIKIE DZIECKO gnała jak oszalała przez główny plac Point Venuti, na którym dzieci niegdyś wypraszały od rodziców lody i proporce z podobizną Agincourt. Furgonetka zdołała dojechać na drugą stronę, podskoczyła na krawężniku i z rykiem skierowała się w stronę plaży, wpadając na zabite deskami kioski. W ziemi otwarła się jednak ostatnia rozpadlina, a DZIKIE DZIECKO, które zabiło Tommy’ego Woodbine’a, wpadło w nią maską naprzód i zniknęło na zawsze. Ekspłodował bak, buchnęła pionowa struga ognia. Patrząc na to, Sloat przypomniał sobie niejasno kazania ojca dotyczące zielonoświątkowych płomyków. Rozpadlina w ziemi zatrzaskała się z powrotem.

- Trzymaj się - krzyknął Morgan do Gardenera. - Myślę, że hotel zwali się mu na łeb i go sprasuje na miazgę, ale jeśli się wydostanie, masz go zastrzelić.

- Będziemy wiedzieli, jeśli TO się rozbije? - zapiszczał Gardener.

Morgan Sloat uśmiechnął się jak dzik w bambusowym gaju.

- Zorientujemy się - powiedział. - Słońce stanie się czarne.

Minęły siedemdziesiąt cztery sekundy.

8

Jack zdołał zacisnąć lewą rękę na poszarpanych resztkach poręczy. Talizman lśnił ogniście przy jego piersi. Opasujące go równoleżniki i południki gorzały tak jasno jak druty w żarówce. Podeszwy butów przekrzywiły się pod ciężarem Jacka, jego stopy zaczęły zsuwać się w pustkę.

*Spadam! Speedy! Spadnę...*

Minęło siedemdziesiąt dziewięć sekund.

Trzęsienie ustało.

Po prostu nagle ustało.

Tyle że dla Jacka, podobnie jak dla owej osoby, która przeżyła trzęsienie w 1953 roku, nadal trwało - przynajmniej w części umysłu. W części jego mózgu ziemia już zawsze miała podrygiwać jak galaretkę z kościelnego pikniku.

Jack odciągnął się od wyrwy i zatoczył na środek wypaczonego stopnia. Stał zdyszany, z twarzą lśniącą od potu, przyciskając do piersi jaskrawą gwiazdę Talizmanu. Tkwił nieruchomo i wsłuchiwał się w ciszę.

Coś ciężkiego - być może biurko lub garderoba - co balansowało na skraju równowagi, wreszcie runęło gdzieś w głębi hotelu z rezonującym echem łoskotem.

- Jack! Proszę! Chyba umieram! - Jękliwy, bezradny głos Richarda rzeczywiście brzmiał, jakby przyjaciel miał wydać ostatnie tchnienie.

- Idę, Richard!

Jack zaczął schodzić w dół po pogiętych, wypaczonych i niepewnych stopniach. Wiele z nich znikło; musiał przestępować przez puste przestrzenie. W pewnym miejscu brakowało aż czterech stopni. Jack skoczył, przytrzymując jedną ręką Talizman do piersi; drugą sunął po wypaczonej poręczy.

Wciąż sypały się różne sprzęty. Brzęczało rozbijające się szkło. Gdzieś raz za razem maniakalnie działała spłuczka w toalecie.

Sekwojowe biurko recepcji w holu pękło na pół. Podwójne drzwi uchyliły się jednak i wpadał przez nie klin jaskrawego światła. Stary, wilgotny dywan zdawał się pod wpływem blasku parować i skwierczeć w proteście.

Chmury się rozeszły, pomyślał Jack. Na zewnątrz świeci słońce. A następnie: Wyjdziemy tymi drzwiami, Richie. Ty i ja. Wielcy jak giganci i dwakroć bardziej dumni.

Wiodący obok hotelowego baru korytarz przypomniał mu dekoracje z niektórych starych odcinków "Strefy mroku", gdzie wszystko było pokrzywione i niedopasowane. Podłoga przechylała się to w lewą stronę, to w prawą; gdzie indziej tworzyła podwójny garb jak u wielbłąda. Jack pokonał mętny pasaż, oświetlając sobie drogę Talizmanem, jakby to była największa latarka świata.

Wcisnął się do jadalni i zobaczył, że Richard leży na podłodze w rozsypanej stercie obrusów. Krew ciekła mu z nosa. Gdy Jack podszedł bliżej, zobaczył, że niektóre z twardych, czerwonych guzków popękały, a z ciała Richarda wydobywały się przez nie białe robaki. Pełzały ociężale po policzkach chłopca; na oczach Jacka jeden z nich wynurzył się z nosa przyjaciela.

Richard krzyknął słabym, bulgoczącym, pełnym udręki głosem i zaczął wydrapywać robaka. Wyglądał, jakby za chwilę miał skonać.

Wierzące się robactwo unosiło mu koszulę.

Jack ruszył w jego stronę, potykając się na powybrzuszanej podłodze... a pająk opuścił się z mroku pod sufitem i trysnął na oślep w powietrze trucizną.

- Churefski szłociej! - zabrzączał piszczącym, owadziim tonem. - Och, ty churefski szłociej, zanieś to z powrotem, zanieś to z powrotem!

Jack bez zastanowienia uniósł Talizman. Kula rozbłysła czystym ogniem - światłem tęczy. Pająk poczerniał i się skurczył. Po sekundzie był już tylko dymiącym węgielkiem, zataczającym na nitce coraz mniejsze łuki.

Nie było czasu gapić się na ten cud. Richard umierał.

Jack dotarł do niego, przypadł na kolana i ściągnął obrus, jakby to była pościel.

- Wreszcie jestem z powrotem, chłopie - wyszeptał, starając się nie patrzeć na wypełzające z Richarda robaki.

Uniósł Talizman, zastanowił się, a następnie przytknął go do czoła przyjaciela. Richard wrzasnął żałośnie i spróbował się odsunąć. Jack położył rękę na jego wychudłej piersi i go przytrzymał. Nie sprawiało to większego trudu. Rozszedł się smród, gdy robaki zaczęły smażyć się pod wpływem Talizmanu.

*I co teraz? Potrzeba czegoś jeszcze, ale czego?*

Rozejrzał się po sali. Jego wzrok padł na zieloną kulkę, którą zostawił Richardowi - w drugim świecie magiczne lustro. Na jego oczach kulka przetoczyła się samoistnie sześć stóp i zatrzymała. Tak, przetoczyła się. Potoczyła się, bo była kulką, a zadaniem kulki jest się toczyć. Kulki były okrągłe. Okrągłe - tak samo jak Talizman.

W kłębiących się myślach Jacka zabłysło światło.

Przytrzymując Richarda, powoli potoczył Talizman po jego ciele. Gdy dotarł do piersi, Richard przestał się szarpać. Jack pomyślał, że przyjaciel pewnie zemdłał, ale szybki rzut oka powiedział mu, że jest inaczej. Richard wpatrywał się w niego z narastającym zdumieniem...

*...a pryszcze na jego twarzy znikły! Przygasały twarde, czerwone guzki!*

- Richard! - krzyknął Jack i zaśmiał się jak wariat. - Hej, Richard, popatrz tylko! Bwana robi juju!

Przetoczył powoli dłonią Talizman po brzuchu przyjaciela. Kula lśniła jaskrawo i wyśpiewywała klarowną, bezsłowną harmonię zdrowia i uleczenia. Dotarła do pachwin Richarda. Jack złożył wychudłe nogi przyjaciela i potoczył Talizman w brudzie między nimi do kostek. Talizman zaśnił jaskrawym błękitem... purpurą... żółcią... zielenią czerwcowej trawy.

Wreszcie stał się znów biały.

- Jack - szepnął Richard. - Czy to jest to, po co tu przybyliśmy?

- Tak.

- Piękny - powiedział Richard. Zawahał się. - Mogę go potrzymać?

Jack nagle poczuł przyływ skąpstwa godnego Scrooge'a. Przez chwilę przyciskał Talizman do siebie. *Nie! Możesz go rozbić! Poza tym jest mój! Przemierzyłem w jego poszukiwaniu cały kraj! Walczyłem o niego z rycerzami! Nie możesz go mieć! Jest mój! Mój! Mój!*

Talizman w jego dłoniach nagle zaczął emanować straszliwym zimnem. Przez chwilę - bardziej przerażającą dla Jacka niż wszystkie trzęsienia ziemi na wszystkich światach, w których kiedykolwiek był i miał się znaleźć - stał się gotycko czarny. Zgasł jego biały blask. W wypełnionym gromami tanatotropowym wnętrzu Talizmanu Jack zobaczył czarny hotel. Na wieżyczkach, blankach i stromych dachach, na kopułach wypiętrzających się jak tłuste, rakowate narośle, z powrotem zaczęły się obracać kabalistyczne symbole - wilk, wrona i zawiła genitalna gwiazda.

Zamierzasz zostać nowym Agincourt, tak? - wyszeptał Talizman. Nawet chłopiec może być hotelem... jeśli ma taką wolę.

W głowie Jacka rozległ się klarowny głos jego matki: *Jeżeli nie chcesz się nim podzielić, Jack-O, jeśli nie potrafisz zmusić się, żeby zaryzykować i powierzyć go swojemu przyjacielowi, to równie dobrze możesz tu zostać. Jeżeli nie potrafisz zmusić się do podzielenia nagrodą - zaryzykowania - to nie zawracaj sobie głowy powrotem. Dzieciaki słuchają takich pierdoł całe życie, ale kiedy masz do wyboru: wóz albo przewóz, to*

*niezupełnie to samo, prawda? Jeżeli nie potrafisz się nim podzielić, to pozwól mi umrzeć, chłopie, bo nie chcę żyć za taką cenę.*

Talizman nagle wydał się mu niezmiernie ciężki, tak jak ciężkie jest martwe ciało. Mimo to Jack zdołał go jakoś udźwignąć i włożył go w białe, przypominające szkielet ręce Richarda... Jego przyjaciel utrzymał go natomiast bez trudu, a Jack zdał sobie sprawę, że wrażenie ciężkości było wytworem wyłącznie jego wyobraźni, chorej, niewłaściwej pożądlivosti. Talizman ponownie rozblysnął wspaniałym białym blaskiem, Jack zaś poczuł, że rozwiewa się jego własna wewnętrzna ciemność. Przyszło mu niejasno do głowy, że posiadanie czegokolwiek można wyrazić jedynie przez to, jak łatwo można się tego zrzec... Myśl minęła.

Richard uśmiechnął się, a jego twarz stała się dzięki temu piękna. Jack wiele razy widział uśmiech przyjaciela, ale obecnie pojawił się w nim spokój, jakiego nigdy jeszcze nie dostrzegł - spokój przekraczający zdolność zrozumienia. W białym, uzdrawiającym świetle Talizmanu zobaczył, że twarz Richarda, chociaż nadal wychudzona, pobladła i skatowana, staje się zdrowa. Richard przycisnął Talizman do piersi jak dziecko i uśmiechnął się znowu z lśniącymi oczyma do Jacka.

- Jeśli to jest ekspres na Seabrook Island, to może wykupię przejazdówkę - powiedział. - Jeżeli w ogóle się stąd wydostaniemy.

- Lepiej się czujesz?

Uśmiech Richarda lśnił jak światło Talizmanu.

- O niebo lepiej - odparł. - Pomóż mi wstać, Jack.

Jack przysunął się, żeby ująć go za ramię. Richard wyciągnął Talizman.

- Lepiej go najpierw weź - rzekł. - Jestem jeszcze słaby, a on chce wrócić do ciebie.

Czuję to.

Jack wziął od niego Talizman i pomógł mu wstać. Richard objął ramieniem jego szyję.

- Jesteś gotowy... chłopie?

- No - odparł Richard. - Gotowy. Nie wiem czemu, ale czuję, że nie mamy co próbować wydostać się przez taras. Wydaje mi się, że słyszałem, jak się wali podczas tej demolki.

- Wyjdziemy drzwiami frontowymi - oświadczył Jack. - Jeżeli nawet Bóg spuścił nam z nieba chodnik od drzwi na taras do plaży, to i tak wyjdziemy drzwiami frontowymi. Nie zrywamy się stąd cichaczem, Richie. Opuszczamy hotel jak goście, którzy zapłacili za pobyt. Czuję, że dużo nas on kosztował. A ty jak myślisz?

Richard wyciągnął chudą dłoń wnętrzem do góry. Wciąż widać było na niej przygasające, gojące się plamy.

- Myślę, że warto spróbować - powiedział. - Przybij piątkę, Jacky.

Jack walnął dłonią w rękę Richarda. Obydwaj ruszyli w stronę korytarza. Richard nie zdejmował ręki z szyi Jacka.

W połowie drogi do wyjścia Richard zagapił się na stertę martwego metalu.

- Co to jest, u diabła?

- Puszki po kawie - powiedział Jack i się uśmiechnął. - Maxwell house.

- Na miłość boską, Jack, o co ci...

- Nieważne, Richard - odparł, nadal się uśmiechając.

Wciąż czuł się doskonale, powoli jednak zaczynał odczuwać szarpiące jak druty napięcie. Trzęsienie ziemi skończyło się... chociaż jeszcze trwało. Na pewno czekał już na nich Morgan. I Gardener.

*Nieważne. Niech wszystko będzie, jak ma być.*

Dotarli do holu, a Richard obejrzał się z zastanowieniem na schody, połamane biurko recepcji, zwalone trofea i stojaki na flagi. Wypchany łeb czarnego dzika ugrzązł nosem w jednej z przegródek na listy, jakby wyczuł coś apetycznego - na przykład miód.

- Jeju - powiedział Richard. - Chyba cała ta buda po prostu się zawałiła.

Jack podprowadził Richarda do podwójnych drzwi i spostrzegł, że Richard prawie łapczywie napawa się wątlym potokiem słonecznego światła.

- Jesteś gotowy na dalsze wydarzenia, Richardzie?

- Tak.

- Tam jest twój ojciec.

- Nie, nie ma go. On nie żyje. Jest tam tylko... jak go nazywasz? Jego Dwójnik.

- Och.

Richard pokiwał głową. Mimo bliskości Talizmanu znów zaczynał wyglądać na wyczerpanego. - Tak.

- Czeka nas piekielna zadyma.

- No, pomogę, jak tylko będę mógł.

- Kocham cię, Richard.

- Ja też cię kocham, Jack. - Richard uśmiechnął się słabo. - Chodźmy już, zanim stracę zapal.

Sloat naprawdę wierzył, że ma wszystko pod kontrolą - sytuację, oczywiście, ale co ważniejsze, siebie samego. Wierzył w to, dopóki nie zobaczył swojego syna, najwyraźniej chorego i osłabionego, lecz żywego, wychodzącego z czarnego hotelu z ramieniem na szyi Jacka Sawyera i wspierającego głowę o jego bark.

Sloat wierzył również, że wreszcie opanował uczucia, jakie żywił wobec szczeniaka Phila Sawyera - to właśnie gniew sprawił, że nie dopadł Jacka najpierw w pawilonie Królowej, a potem na Środkowym Zachodzie. Chryste, szczeniak pokonał bez szwanku Ohio - a Ohio było tylko kawałek od Orris, twierdzy drugiego Morgana. Wskutek furii Sloat przestał jednak kontrolować swoje postępowanie, dzięki czemu chłopak się przemknął. Morgan stłumił swój gniew - lecz obecnie rozgorzał on na nowo ze złowieszczą, niepohamowaną swobodą, jakby ktoś polał z węża naftą solidnie spiętrzone ognisko.

*Jego syn wciąż żył. Jego ukochany syn, któremu pragnął przekazać królowanie nad światami i wszechświatami, wspierał się na dodatek na Sawyerze.*

To nie było wszystko. W dłoniach Sawyera migotał i lśnił Talizman - jak gwiazda, która spadła na ziemię. Nawet z tej odległości Sloat czuł go - jakby pole grawitacyjne nagle stało się silniejsze, przyginało go do ziemi i zmuszało serce do większego wysiłku. Jak gdyby czas przyspieszał, rozmazywał jego wzrok i wysuszał ciało.

- Boli! - jęknął stojący obok Gardener.

Większość Wilków, którzy wytrzymali trzęsienie i wrócili do boku Morgana, teraz zataczała się, zasłaniając rękami oczy. Kilku bezradnie wymiotowało.

Morgan poczuł przez chwilę prowadzący do omdlenia strach... po czym gniew, podniecenie i szaleństwo, żywiące się coraz bardziej megalomańskimi snami o potędze i władzy - zdruzgotały karby, w których się utrzymywał.

Sloat uniósł kciuki do uszu i wepchnął je tak daleko do środka, że poczuł ból. Wystawił język i zamachał palcami, strojąc minę pod adresem Pana Jacka Wstrętnego Skurwiela, Niedługo Trupa Sawyera. W chwilę potem szczęki zatrzęsły się mu jak opuszczana brama i obcięły koniuszek wymachującego języka. Sloat nawet tego nie zauważył. Chwycił Gardenera za kuloodporną kamizelkę. Sunlight miał minę ogłupiałą z przerażenia.

- Wyszli! Wydostał TO! Morgan... mój panie... powinniśmy uciekać, musimy uciekać...

- ZASTRZEL GO! - krzyknął Sloat prosto w twarz Gardenerowi. ZASTRZEL GO, TY ETIOPSKI POJEBIE! ZABIŁ TWOJEGO SYNA! ZASTRZEL GO I ZASTRZEL TEN KUREWSKI TALIZMAN! STRZEL MU W RĘCE I ROZBIJ GO!

Sloat zaczął podskakiwać powoli przed Gardenerem, jakby tańczył. Stroił koszmarnie miny z wetkniętymi w uszy kciukami i wymachiwał palcami przy głowie. Chował i wystawiał amputowany język, przypominający sylwestrowe, rozwijające się z trąbieniem zabawki. Wyglądał jak dzieciak z morderczymi tendencjami - groteskowo, a zarazem strasznie.

- ZABIŁ TWOJEGO SYNA! POMŚCIJ CHŁOPAKA! ZASTRZEL GO! ZASTRZEL GO! ZABIŁ JEGO OJCA, TERAŻ ZABIJ I JEGO!

- Reuel - powiedział z zadumą Gardener. - Tak. Zabił Reuela. To najzłeszy bękart suki, jaki kiedykolwiek oddychał. Wszyscy chłopcy... To pewnik, ale on... on...

Odwrócił się w stronę czarnego hotelu i przyłożył sztucer do ramienia. Jack i Richard zeszli do podnóża powyginanych frontowych schodów i kierowali się właśnie ku szerokiemu chodnikowi - jeszcze kilka minut temu równemu, a obecnie obłędnie pofałdowanemu. W celowniku karabinu dwaj chłopcy wydawali się wielcy jak domy na kółkach.

- ZASTRZEL GO! - ryknął Morgan.

Wystawił krwawiący język i wydał koszmarnie triumfalny wrzask dziecka ze złości: Jada-jada-jada-ja! Cały czas tupał nogami, na których miał pantofle od Gucciego. Jednym z nich trafił na odgryziony koniuszek języka i wdeptał go w piasek.

- ZASTRZEL GO! ZASTRZEL GO! - wył dalej Morgan.

Lufa sztucera zataczała miniaturowe kółka tak samo jak wtedy, gdy Gardener przygotowywał się do strzału do gumowego konia. Wreszcie znieruchomiła. Jack niósł Talizman przy piersi. Skrzyżowane linie celownika znalazły się dokładnie w centrum kręgu rozmigotanego światła. Pocisk kalibru 360 powinien trafić weń, rozbić go, a słońce stanie się czarne... Ale zanim to nastąpi, pomyślał Gardener, zobaczę, jak eksploduje pierś tego złego, najzłeszego chłopaka.

- Już jest trupem - wyszeptał Gardener i zaczął zwiększać nacisk na spuście sztucera.

10

Richard podniósł z wielkim wysiłkiem głowę. Odbite światło słońca boleśnie ukłuło go w oczy.



W oddali stało dwóch ludzi. Jeden z nich przekrzywił lekko głowę, drugi zdawał się tańczyć. Znow błysnęło światło słońca, a Richard zrozumiał, co się dzieje. Zrozumiał... a Jack nie patrzył tam, gdzie trzeba. Oglądał się w stronę skal, za którymi leżał Speedy.

- Uważaj, Jack! - krzyknął Richard.

Jack obejrzał się z zaskoczeniem.

- Co...

Wszystko wydarzyło się błyskawicznie. Jack niemal zupełnie to przegapił. Richard widział i rozumiał, ale nigdy nie był w stanie wytłumaczyć Jackowi, co się dokładnie stało. Blask słońca znow odbił się od celownika sztucera. Promień trafił tym razem w Talizman. Talizman zaś odbił go z powrotem w stronę strzelca. Tak właśnie powiedział później Richard Jackowi, przypominało to jednak stwierdzenie, że Empire State Building ma kilka pięter.

Talizman nie tylko odbił odbłysek - w jakiś sposób go spotęgował. Wysłał z powrotem smugę czarnego światła, które wyglądało jak promienie śmierci z filmu fantastycznego. Trwała tylko sekundę, lecz jej powidok pozostał na siatkówkach Richarda jeszcze prawie przez godzinę - najpierw biały, potem zielony, niebieski, a gdy wreszcie przygasł, cytrynowożółty jak blask słońca.

11

- Już jest trupem - wyszeptał Gardener.

W tym samym momencie celownik wypełnił się żywym ogniem. Grube szklane soczewki rozleciały się na kawałki. Dymiące, stopione szkło wbiło się w prawe oko Gardenera. Naboje w magazynku sztucera eksplodowały, wyrывая Sunlightowi dziurę w brzuchu. Jeden z metalowych odłamków odciął mu prawie cały prawy policzek. Reszta pogiętych, haczykowatych kawałków stali poszybowała wokół Sloata, w niewiarygodny sposób nie wyrządzając mu krzywdy. Z trzech Wilków, którzy zostali do tej pory na plaży, dwaj pierzchli. Ostatni leżał martwy na plecach i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w niebo. Spust sztucera utkwiał dokładnie między jego oczami.

- Co? - ryknął Morgan i otworzył szeroko zakrwawione usta. - Co? Co?

Gardener upiornie przypominał Wile'a E. Coyote'a z kreskówek ze Strusiem Pędziwiatrem po przedwczesnej eksplozji któregoś z urządzeń Acme Corporation.

Karabin wyleciał mu z ręki. Sloat zobaczył, że Gardowi urwało wszystkie palce lewej ręki.

Prawą ręką Gardener wyciągnął zza paska koszulę - osobliwie zniewieściałym, manierycznym ruchem. Po wewnętrznej stronie paska miał pochwę z nożem - wąski pokrowiec z doskonale wyprawionej koźlęcej skóry. Gardener wyciągnął z niej rękojeść z kości słoniowej z chromowanymi okuciami. Nacisnął guzik i wysunęło się z niej siedmiocalowe ostrze.

- Zły - wyszeptał. - Zły! - Jego głos zaczął się podnosić. - Wszyscy chłopcy! Żli To pewnik. PEWNIK!

Pobiegł przez plażę w stronę chodnika pod Agincourt, gdzie stali Richard i Jack. Jego głos był coraz wyższy, aż zamienił się w cienki, gorączkowy wrzask:

- ZŁY! PODŁY! ZŁY! POODŁY! ZŁYYYY! POOOOOOOOOOOOOO...

Morgan stał jeszcze przez chwilę nieruchomo, po czym chwycił kluczyk na szyi. Ujmując go, jednocześnie jakby ujął w karby swe rozpierzchłe, spanikowane myśli.

Pójdzie do starego czarnucha. Tam właśnie go dostanę

- OOOOOOOOOOOOOO... - wył Gardener z wystawionym przed siebie bandyckim nożem.

Morgan odwrócił się i pobiegł po plaży w drugą stronę. Niejasno zdał sobie sprawę, że wszyscy Wilcy uciekli. Nic to nie szkodziło.

Zamierzał własnoręcznie zająć się Jackiem Sawyerem - i Talizmanem.

## Rozdział czterdziesty piąty

W którym wiele spraw wyjaśnia się na plaży

1

Sunlight Gardener biegł jak potępieniec; zmasakrowaną twarz, która broczyła krwią, zwrócił w stronę Jacka. Były kaznodzieja zamienił się w epicentrum zdegenerowanego szaleństwa. W jaskrawym, spopielającym blasku słońca - na pewno padającym tu po raz pierwszy od dziesięcioleci - Point Venuti stało się ruiną zawalonych budynków, popękanych rur i płyt chodnikowych, spiętrzonych krzywo jak bezładnie zwalone na półkę książki. Tu i ówdzie poniewierały się prawdziwe książki; ich obszarpane okładki trzepotały w rozpadlinach. Za plecami Jacka hotel Agincourt wydał odgłos niesamowicie przypominający jęknięcie. Po chwili chłopiec posłyszał dźwięk tysięcy walących się na siebie desek i ścian, które osuwały się w postaci lawiny spękanej zaprawy i kruszącego się tynku. Jack niejasno zdawał sobie sprawę, że przypominająca trutnia postać Morgana Sloata przemieszcza się przez plażę. Po chwili dotarło do niego, że jego wróg kieruje się w stronę Speedy'ego Parkera - bądź jego zwłok.

- On ma nóż, Jack - wyszeptał Richard.

Zmasakrowaną ręką Gardener bezmyślnie rozsmarowywał krew po niegdyś nieskazitelnie białej jedwabnej koszuli.

- POOOOODŁY! - zaskrzeczał głosem wciąż słabo przebijającym się przez stały łomot fal o plażę i nieustające, chociaż przerywane odgłosy destrukcji. - POOOOOOOOO...

- Co chcesz zrobić? - spytał Richard.

- A skąd mam wiedzieć? - odparł Jack. Bardziej szczerzej odpowiedzi nie mógł udzielić. Nie miał pojęcia, jak pokonać tego szaleńca. Mimo to wiedział, że da sobie radę. Był tego pewny. - Powinieneś być zabić obu braci Ellisów - powiedział do siebie.

Wrzeszczący Gardener nadbiegał w jego stronę po plażę. Był jeszcze dość daleko, mniej więcej w połowie drogi między ogrodzeniem i frontem hotelu. Pół jego twarzy pokrywała szkarłatna maska. Z bezużytecznej lewej ręki na piaszczyste podłoże ściekała nieustannie strużka kropel krwi.

Wydawało się, że w jednej sekundzie dystans między szaleńcem i chłopcami zmniejszył się do połowy. Czy Morgan Sloat dotarł już na plażę? Jack poczuł ponaglenie, takie samo jak to, które było dziełem Talizmanu. Musiał ruszyć z miejsca. Musiał.

- Podły! Pewnik! Podły! - wył Gardener.

- Przeskocz! - powiedział głośno Richard...

a Jack

przesunął się

tak, jak w czarnym hotelu.

I ujrzał, że stoi przed Osmondem w palącym słońcu Terytoriów. Natychmiast opuściła go niemal cała pewność siebie. Wszystko było takie samo, lecz równocześnie zupełnie inne. Bez oglądania się chłopiec poczuł, że za plecami ma coś o wiele gorszego od Agincourt. Nie widział z zewnątrz zamku, którym był hotel w Terytoriach, ale nagle wyczuł bez cienia wątpliwości, że przez wielkie frontowe drzwi wysuwa się w jego stronę gigantyczny jęzor... a Osmond chce zepchnąć jego i Richarda w tym kierunku.

Osmond miał przepaskę na prawym oku i poplamioną rękawicę na lewej dłoni. Zawile macki pejcza zsunęły się z szelestem z jego barku.

- Och, tak - częściowo syknął, częściowo szepnął. - Ten sam chłopak. Chłopak kapitana Farrena. - Jack przycisnął obronnym ruchem Talizman do brzucha. Skomplikowane biczyśko prześliznęło się po ziemi, tak posłuszne drobnym ruchom ręki i nadgarstka Osmonda jak koń wyścigowy dżokejowi. - Cóż bowiem za korzyść stanowi dla chłopca zyskać szklaną błyskotkę, a świat cały utracić? - Pejcz jakby z własnej woli uniośł się nad ziemię. - **ŻADNĄ! NIC!**

Prawdziwy zapach Osmonda - gnijących odpadków i ukrytego zepsucia - niósł się od niego z niebywałą mocą. Jego chuda, naznaczona obłędem twarz jakby falowała, jak gdyby krążyła pod nią potrzaskująca błyskawica. Uśmiechnął się promiennie i nieprzytomnie, po czym wzniośł pejcz nad ramię.

- Koźli członek - powiedział prawie z lubością.

Rzemienie pejcza pomknęły ze śpiewnym odgłosem w stronę Jacka. Chłopiec cofnął się, ogarnięty wystraszającą zmysły paniką, ale nie zdołał odsunąć się wystarczająco daleko.

Richard chwycił go za ramię, gdy znowu przeskoczył, a straszliwy, w jakiś sposób kojarzący się ze śmiechem odgłos pejcza natychmiast rozplynął się w powietrzu.

Nóż! - usłyszał chłopiec głos Speedy'ego.

Zwalczywszy odruch, Jack wszedł wewnątrz zataczanego przez pejcz łuku - nie zaś cofnął, jak podpowiadała mu prawie cała jego natura. Dłoń Richarda zsunęła się z jego barku; głos Speedy'ego zakończył się jękliwą nutą. Jack przycisnął lewą dłonią promieniejący Talizman do brzucha, a prawą wystawił przed siebie. Jego palce zamknęły się jak za sprawą magii na kościstym nadgarstku.

Sunlight Gardener zachichotał.

- JACK! - zawołał donośnie Richard za plecami przyjaciela.

Jack znalazł się ponownie w swoim świecie - pod potokami oczyszczającego światła słońca. Nóż w dłoni Sunlighta Gardenera nadal zmierzał w jego stronę. Zmasakrowana twarz kaznodziei znalazła się zaledwie kilka cali od jego głowy. Otaczał ich smród, kojarzący się z rozjechanymi zwierzętami na drodze.

- Nic - powiedział Gardener. - Możesz powiedzieć: alleluja?

Wyprowadził pchnięcie eleganckim, śmiercionośnym nożem, a Jack ledwie zdołał przytrzymać jego rękę.

Nie wiesz, co zrobił Sunlight? - odezwał się głos Speedy'ego. Jeszcze się nie domyśliłeś?

Jack popatrzył prosto w szaleńczo wirujące oko Sunlighta. Wiedział.

Richard podbiegł do kaznodziei i kopnął go w kostkę, a następnie słabo zdzielił pięścią w skroń.

- Zabiłeś mojego ojca - powiedział Jack.

W odpowiedzi pokazały się iskry w ocalałym oku Sunlighta.

- Zabiłeś mojego syna, najzłeszy bękarcie!

- Morgan Sloat kazał ci zabić mojego ojca, a ty go posłuchałeś.

Nóż Gardenera znalazł się jeszcze bliżej celu. Z dziury po prawym oku Sunlighta wydobył się pęczeryk krwi i grudka żółtej, chrząstkowatej tkanki.

Jack krzyknął ze zgrozy, wściekłości - oraz od dawna skrywanych uczuć porzucenia i beznadziejności, jakie towarzyszyły mu od śmierci ojca. Zorientował się, że odepchnął nóż Gardenera na taką samą odległość, jak na początku. Krzyknął znowu. Sunlight walnął pozbawioną palców ręką w lewe ramię Jacka. Chłopiec zdołał właśnie wykręcić Gardenerowi nadgarstek, gdy poczuł, że broczący krwią, miękki kikut wciska się mu pod pachę. Richard nadal skakał wokół nich. Gardener zdołał jednak przysunąć dłoń bez palców bardzo blisko Talizmanu.

Kaznodzieja przystawił głowę tuż do twarzy Jacka.

- Alleluja! - wyszeptał.

Jack wykonał zwrot całym ciałem, nie podejrzewając, że ma aż tyle siły. Pociągnął za rękę, w której Gardener trzymał nóż. Druga dłoń, pozbawiona palców, zsunęła mu się z boku. Jack ścisnął prawy nadgarstek Gardenera. Poczul naprężające się pod palcami ścięgna. Nóż wypadł z ręki kaznodziei, nagle równie nieszkodliwy jak kikut bez palców, którym Gardener bezustannie tłukł Jacka po żebrach. Chłopiec szarpnął się całym ciałem, wytrącając Gardenera z równowagi, i odepchnął go od siebie.

Jack wystawił Talizman w jego stronę. Co ty wyprawiasz? - zapiszczał Richard. Tak trzeba było, trzeba, trzeba. Chłopiec ruszył w stronę Gardenera, wciąż szczerzącego do niego zęby - chociaż z mniejszą pewnością siebie. Jeszcze bardziej wysunął przed siebie Talizman. Gardener uśmiechnął się - w jego pustym oczodole pojawił się kolejny pęcherzyk krwi - i zamachnął się z całych sił na Talizman. Nie trafił, a gdy pochylał się po nóż, Jack skoczył naprzód i dotknął pokrytą rytami, ciepłą powłoką kuli skóry Gardenera. Okazało się, że jaki syn, taki ojciec. Sunlight odskoczył w tył.

Kaznodzieja zawył jak ranne, skazane na śmierć zwierzę. W miejscu, gdzie dotknął go Talizman, skóra poczerniała, po chwili zamieniła w powoli ściekający płyn i zaczęła złączyć z czaszki. Jack cofnął się o krok. Gardener osunął się na kolana. Cała skóra na jego głowie nabrała konsystencji wosku. Po pół sekundzie nad kołnierzykiem zniszczonej koszuli sterczała jedynie lśniąca czaszka.

Ciebie mam już z głowy - pomyślał Jack. Krzyżyk na drogę!

2

- W porządku - powiedział Jack. Czuł, że przepelnia go obłądna pewność siebie. - Idziemy po niego, Richie. Chodźmy... - Obejrzał się na przyjaciela i zorientował się, że Richard o mało co nie zemdał ponownie. Chłopiec zataczał się na piasku, miał półprzymknięte oczy i idiotyczny wyraz twarzy. - Po namyśle doszedłem do wniosku, że może przeczekasz to na siedząco - dodał Jack.

Richard pokręcił głową.

- Idę, Jack. Seabrook Island. Do samego końca... do ostatniego przystanku.

- Będę musiał go zabić - powiedział Jack. - To znaczy, jeśli mi się uda.

- To nie mój ojciec. - Richard potrząsnął głową z bezgranicznym uporem. - Mówiłem ci. Ojciec nie żyje. Jeśli mnie zostawisz, poczołgam się za tobą. Nawet przez resztki tamtego gościa, jeśli będę musiał.

Jack obejrzał się w stronę skał. Nie widział Morgana, lecz nie miał większych wątpliwości, że Sloat tam jest. Jeśli zaś Speedy wciąż żył, to Morgan mógł właśnie w tej chwili próbować go zabić. Jack spróbował się uśmiechnąć, ale nie zdołał.

- Pomyśl o zarazkach, jakie mógłbyś złapać. - Zawahał się jeszcze chwilę, po czym niechętnie wyciągnął Talizman w stronę Richarda. - Poniosę cię, ale ty musisz nieść kulę. Nie upuść jej, Richard. Jeśli ją upuścisz... - Jak to ujął Speedy? - Jeśli ją upuścisz, wszystko stracone.

- Nie upuszczę.

Jack włożył Talizman Richardowi w rękę. Przyjaciel znów odżył, gdy go dotknął... ale tym razem tylko nieznacznie. Miał straszliwie bladą twarz. Skąpana w jaskrawym blasku Talizmanu, wyglądała jak twarzyczka martwego dziecka na policyjnym zdjęciu wykonanym przy użyciu flesza.

*To hotel. Zatrzyma go.*

Nie była to jednak wyłącznie wina hotelu - raczej Morgana. To Morgan truł Richarda.

Jack odwrócił się i doszedł do wniosku, że nie ma ochoty choćby na chwilę odrywać wzroku od Talizmanu. Pochylił się i złożył dłonie w strzemień.

Richard wspinał się mu na grzbiet. Jedną ręką przytrzymywał Talizman, a drugą objął szyję przyjaciela. Jack chwycił go za uda.

*Jest lekki jak oset. Ma swojego własnego raka. Nosił go całe życie. Morgan Sloat jest radioaktywny od zła i dlatego Richard umiera na chorobę popromienną.*

Wyczuwając światło i ciepło Talizmanu tuż nad sobą, pobiegł truchtem w kierunku skał, za którymi leżał Speedy.

3

Z Richardem na plecach obiegł z lewej strony zbiorowisko skał. Wciąż czuł się przepełniony wariacką pewnością siebie... a to, iż naprawdę była wariacka, uświadomiono mu z ordynarną nagłością. Pulchna noga w jasnobrązowych wełnianych spodniach (pod którymi Jack dojrzał niewyraźnie idealnie dopasowaną brązową skarpetę) nagle wysunęła się zza ostatniej skały jak szlaban przy wjeździe na płatną autostradę.

Kurwa! - zawołał Jack w duchu. Zaczaił się na ciebie, ty skończony bęcwale!

Richard krzyknął. Jack próbował wyhamować, ale nie zdołał.

Morgan podstawił mu nogę równie łatwo, jak szkolny brutal młodszemu chłopcu na boisku. Zmierzył się już ze Smokeyem Updikiem, Osmondem, Gardenerem, Elroyem i stworem wyglądającym jak krzyżówka aligatora z czołgiem marki Sherman, a tu na ziemię powalił go otyły, chorujący na nadciśnienie Morgan Sloat, który przycupnął za skałą i czekał, aż nadmiernie pewien siebie Jack Sawyer właduje się w podskokach prosto na niego.

- Jiiyyyy! - wrzasnął Richard, gdy jego przyjaciel runął przed siebie.

Jack dojrzał niewyraźnie sunący po piasku po lewej stronie połączony cień swój i Richarda - miał tyle ramion co hinduskie bóstwo. Poczuł, że psychiczny ciężar Talizmanu przemieszcza się... aż staje się ciągnącym w dół balastem.

- UWAŻAJ NA NIEGO, RICHARD! - krzyknął.

Richard zwałił się z wytrzeszczonymi ze strachu oczyma na kark Jackowi. Ściągną na szyi chudsze chłopca wystąpiły na wierzch jak struny fortepianu. Padając, uniósł Talizman. Kąciki ust ściągnęły się mu w desperackim grymasie. Wyrznął twarzą w ziemię jak stożek zdefektowanej rakiety. Piasek wokół miejsca, gdzie leżał Speedy, był właściwie mieszaniną ziarenek, drobnych kamyków i muszelek. Richard zwałił się na kamień, wykrztuszony spod powierzchni przez trzęsienie ziemi. Rozległ się krótki łoskot. Przez chwilę Richard wyglądał jak struś chowający głowę w piasku. Kręcił w powietrzu tyłkiem w brudnych spodniach z lśniącej bawełny. W innych okolicznościach - którym nie towarzyszyłoby na przykład okropne łupnięcie - byłaby to komiczna poza, godna uwiecznienia na kliszy Kodachrome: "Racjonalny Richard WyduRNA Się Na Plaży". Sytuacja nie była jednak śmieszna. Richard powoli rozchylił dłonie... a Talizman potoczył się trzy stopy po niewielkim spadku i zatrzymał się, odbijając niebo i chmury - nie powierzchnią, lecz łagodnie rozświetlonym wnętrzem.

- Richard! - ryknął znowu Jack.

Miał Morgana gdzieś za plecami, ale na razie o nim zapomniał. Znikła cała jego pewność siebie; opuściła go w chwili, gdy okryta brązową wełną noga wysunęła się przed nim jak szlaban. Dał się podejść jak brzdąc ze żłobka, a Richard... Richard był...

- Rich...

Richard przewrócił się na plecy, a Jack zobaczył, że zabiedzoną, znużoną twarz przyjaciela w całości pokrywa sącząca się krew. Kawałek skóry ze skroni zwieszał się prawie do oka jak trójkątny, poszarpany żagiel. Widać było sterzące pod spodem włosy, ocierały się o policzki Richarda jak piaskowej barwy trawa... W miejscu, z którego została zdarta owłosiona skóra, lśniła odsłonięta czaszka Richarda Sloata.

- Rozbił się? - zapytał Richard łamiącym się, graniczącym z krzykiem głosem. - Rozbił się, kiedy upadłem, Jack?!

- Jest cały, Richie... jest...

Richard wybałuszył zalewane krwią oczy, patrząc nad ramieniem przyjaciela.

- Jack! Jack, uwa...!

Coś jakby skórzana cegła - jeden z pantofli od Gucciego Morgana Sloata - wylądowało między nogami Jacka, zgniatając jądra. Był to strzał w dziesiątkę; chłopiec zwałił się na twarz, nagle doświadczając najkoszmarniejszego bólu w swym życiu - takiej fizycznej męki jeszcze nigdy nie doznał. Nie był w stanie nawet krzyknąć.

- On jest cały - powiedział Morgan Sloat - ale ty nie wyglądasz najlepiej, Jack.



Wcale

nie.

Mężczyzną podchodzącym w stronę Jacka - powoli, bo sycił się sytuacją - był człowiek, któremu chłopiec nigdy właściwie nie został przedstawiony. Przez parę chwil stanowił białą twarzą w oknie wielkiej, czarnej karocy, oblicze o ciemnych oczach, które w jakiś sposób go wytropiły; zmieniający się kształt o falujących zarysach, wdzierający się siłą w rzeczywistość pola, na którym Wilk opowiadał Jackowi o takich cudach jak rodzeństwo z miotu i wielki księżyc rui. Stanowił cień w oczach Andersa.

Tak naprawdę do tej pory nigdy nie widziałem Morgana z Orris, pomyślał Jack. Wciąż był Jackiem - miał na sobie wypłowiałe, brudne spodnie z bawełny w rodzaju noszonych przez azjatyckich kulisów i sandały z niewyprawionych rzemieni, ale nie stał się Jasonem. Był Jackiem. Krocze bolało go koszmarnie.

Dziesięć jardów od niego leżał Talizman i rzucał promienisty blask na czarny piasek plaży. Richarda tu nie było, ale dotarło to do świadomości Jacka dopiero odrobinę później.

Morgan był odziany w ciemnoniebieską pelerynę, spiętą pod szyją zapinką z kutego srebra. Spodnie miał z takiej samej jasnej bawełny jak Sloata, ale w tym świecie były one wpuszczone w wysokie buty.

Ten Morgan chodził lekko utykając, zdeformowana lewa stopa pozostawiała na piasku ciąg myślników. Po kilku krokach srebrna brosza obsunęła się luźno, a Jack zdał sobie sprawę, że wcale nie była zapinką - jej funkcję pełnił zwykły ciemny kordonek. Morgan miał wisiorek. Przez chwilę Jackowi wydawało się, że to miniatura kija golfowego, ozdoba tego rodzaju, jaką kobieta może odpiąć od bransolety na szczęście i z własnej inicjatywy nosić na szyi. Gdy jednak Morgan podszedł bliżej, okazało się, że ozdoba jest zbyt cienka; nie kończyła się główką, lecz szpicem.

Wyglądała jak laska do miotania piorunów.

- Nie, wcale nie wyglądasz dobrze, chłopcze - powiedział Morgan z Orris. Podszedł do Jacka, który leżał z podkulonymi nogami, trzymał się za krocze i jęczał. Pochylił się, wsparł dłonie na udach i przyjrzał się chłopcu, jakby był zwierzęciem, które właśnie przejechał samochodem. Raczej mało interesującym zwierzęciem, w rodzaju świstaka czy wiewiórki. - Nawet bardzo niedobrze. - Morgan pochylił się jeszcze bardziej. - Narobiłeś mi dużo kłopotów - powiedział. - Wyrządziłeś wielkie szkody, ale ostatecznie...

- Chyba umieram - szepnął Jack.

- Jeszcze nie. Och, wiem, jak to boli, ale wierz mi, jeszcze nie umierasz. Za jakieś pięć minut dowiesz się jednak, jak naprawdę smakuje śmierć.

- Nie... naprawdę... coś pękło... mi w środku - wystękał Jack. - Pochyl się... Chcę powiedzieć... prosić... błagać...

Ciemne oczy Morgana załśniły w jego bladej twarzy - być może na myśl o tym, że Jack błaga. Pochylił się, aż niemal dotknął głową twarzy chłopca. Jack podkulił wcześniej nogi pod siebie w reakcji na ból. Obecnie wyrzucił je przed siebie jak tłok. Przez chwilę czuł się, jakby przez genitalia wbijano mu w brzuch zardzewiałe ostrze, ale odgłos uderzenia sandałami w twarz Morgana, miażdżenia mu warg i gniecienia nosa stanowił więcej niż dostateczną rekompensatę za ból.

Morgan z Orris zatoczył się w tył, wymachując rękami oraz rycząc z bólu i zaskoczenia. Peleryna załopotała mu jak skrzydła wielkiego nietoperza.

Jack się podniósł. Przez chwilę zobaczył czarny zamek - o wiele większy niż Agincourt; w istocie wydawało się, że zajmuje całe akry - po czym pobiegł, kulejąc, obok nieprzytomnego (lub martwego!) Parkusa. Rzucił się po Talizman, roztaczający spokojnie swój blask po piasku. Po drodze

przeskoczył z powrotem  
w amerykańskie Terytoria.

- Och, ty bękarcie! - ryknął Morgan Sloat. - Ty zgniły gnojku! Moja twarz! Moja twarz! Uszkodziłeś mi twarz!

Rozległo się trzeszczące skwierczenie, powietrze zapachniało ozonem. Jaskrawa niebieskobiała błyskawica śmignęła tuż obok Jacka i stopiła piasek na szkło.

W następnej chwili chłopiec chwycił Talizman - miał go znowu! Pulsujący w kroczu ból, jakby wbił sobie tam cierń, zaczął natychmiast ustępować. Jack odwrócił się w stronę Morgana z uniesioną szklaną kulą.

Morganowi Sloatowi krwawiła warga. Trzymał się ręką za policzek - Jack miał nadzieję, że udało mu się połamać kilka zębów Morganowi. W drugiej ręce Sloat trzymał przypominający klucz przedmiot, z którego właśnie posłał topiącą piach błyskawicę.

Jack przesunął się w bok z wyciągniętymi przed siebie rękami. Kolory Talizmanu zmieniały się, jakby był maszyną do produkcji tęczy. Wielka, pokryta rytami kula jak gdyby zdawała sobie sprawę z bliskości Sloata, bo zaczęła wydawać poddźwiękowy pomruk, który Jack bardziej wyczuwał jak świerzbiecie w palcach, niż słyszał. Na powierzchni Talizmanu utworzyło się pasmo jaskrawej bieli, jakby przez jego środek przenikał snop światła. Sloat szarpnął się w bok i wymierzył kluczyk w głowę Jacka. Otarł krwawą smugę z dolnej wargi.

- Zraniłeś mnie, śmierdzący gnojku - powiedział. - Nie myśl, że ta szklana kula coś ci pomoże. Zostało jej jeszcze mniej czasu niż tobie.

- To dlaczego się jej boisz? - spytał Jack, znów wystawiając Talizman przed siebie.

Sloat zrobił unik w bok, jakby kula również mogła miotać błyskawice. Sloat nie wie, do czego jest zdolna, uświadomił sobie Jack. W gruncie rzeczy nic o niej nie wie, tylko tyle, że chce ją mieć.

- Połóż ją, natychmiast! - powiedział Sloat. - Puść ją, mały kanciarzu, albo zmiotę ci czubek głowy. Puść ją.

- Boisz się - odparł Jack. - Masz wreszcie Talizman przed sobą, ale boisz się podejść po niego.

- Nie muszę po niego podchodzić - rzekł Sloat. - Cholerny uzurpator. Puść go. Popatrzmy, jak sam go tłuczesz, Jacky.

- Chodź po niego, Bloat - odrzekł Jack, czując przenikający go, mobilizujący do reszty gniew. Jacky. Nienawidził używanego przez matkę zdrobnienia w wilgotnych ustach Sloata. - Nie jestem czarnym hotelem, Bloat. Jestem tylko dzieckiem. Nie potrafisz nawet zabrać dziecku szklanej kulki?

Zdawał sobie jasno sprawę, że dopóki trzyma Talizman w rękach, trwa impas. Ciemnoniebieska iskra, równie rozedrgana jak "demony" Andersa, rozbłysła w środku Talizmanu i przygasła. Zaraz po niej pojawiła się kolejna. Jack wciąż wyczuwał potężny pomruk, emanujący z jądra pokrytej złozeniami szklanej kuli. Wydostanie Talizmanu było jego przeznaczeniem - to właśnie on powinien mieć go w rękach. Talizman wiedział o jego istnieniu od urodzenia, zdał sobie sprawę Jack; od tego momentu czekał, aż chłopiec go uwolni. Potrzebował Jacka Sawyera i nikogo innego.

- Chodź, spróbuj go wziąć - rzucił szyderczo.

Sloat wyciągnął z warknięciem kluczyk w jego stronę. Krew pociekła mu po podbródku. Przez chwilę wydawał się tak wytrącony z równowagi, sfrustrowany i rozwścieczony jak byk w zagrodzie, że Jack aż się uśmiechnął. Potem spojrział w bok, ku leżącemu na piasku Richardowi. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Twarz Richarda pokrywała krew; ciecz zlepiła jego pociemniałe włosy.

- Ty drą... - zaczął mówić Jack, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, odwracając głowę.

Pałący snop żółto-niebieskiego światła trafił w piasek bezpośrednio przed nim. Odwrócił się w stronę Sloata, który właśnie miotał kolejną błyskawicę, wymierzoną w jego

nogi. Jack odskoczył w tył tanecznym krokiem, a wiązka niszczycielskiego światła zamieniła piach w żółty płyn, który niemal natychmiast stężał w długie, proste pasmo szkła.

- Twój syn umiera - powiedział Jack.

- Twoja matka umiera - odwarknął Sloat. - Puść to cholerstwo, zanim urznę ci łeb. Już! Puszczaj!

- Możesz sobie zwalić konia - rzucił Jack.

- Zwałę twojego trupa! - zaskrzeczał Morgan Sloat, ukazując w otwartych ustach rząd prostokątnych, zakrwawionych zębów.

Wymierzył kluczyk w głowę Jacka, lecz po chwili jego dłoń zadrżała i zwróciła się w bok. Oczy Sloata się zaświeciły; szarpnął rękę w górę, tak że wycelował klucz w niebo. Długa błyskawica wydobyła się jakby wprost z jego pięści, rozszerzając się w miarę sięgania coraz wyżej. Niebo poczerniało. W ciemnościach, które nagle zapadły, świecił zarówno Talizman, jak i twarz Morgana Sloata - ta ostatnia dlatego, że padał na nią blask szklanej kuli. Jack zdał sobie sprawę, że i jego twarz musi być oświetlona. Gdy tylko wyciągnął raz jeszcze rozjarzony Talizman w stronę Sloata, starając się Bóg jeden wie co osiągnąć - zmusić go do upuszczenia kluczyka, rozwścieczyć, dopiec mu jego bezradnością - pojął również, że możliwości Morgana Sloata nie zostały jeszcze bynajmniej wyczerpane. Z ciemnego nieba posypały się grube płatki śniegu. Sloat zniknął za gęstniejącą, białą kurtyną. Do Jacka doleciał jego chrapliwy śmiech.

4

Lily niczym inwalidka wygramoliła się z trudem z łóżka i podeszła do okna. Wyjrzała na martwą, grudniową plażę, oświetloną pojedynczą latarnią stojącą przy drewnianym chodniku. Nagle na zewnętrznym parapecie wylądowała mewa. Z kąta dzioba wystawało jej pasmo chrząstki. Lily przyszedł w tej chwili do głowy Sloat. Mewa była do niego podobna.

W pierwszym odruchu szarpnęła się w tył, następnie przysunęła z powrotem do okna. Poczła absolutnie niedorzeczny gniew. Mewa nie mogła być podobna do Sloata, nie mogła też wtargnąć na jej terytorium... nie było to słuszne. Lily postukała w zimne szkło. Ptak zatrzepotał skrzydłami, ale nie odleciał. Lily usłyszała natomiast myśl dobiegającą z jej zimnego umysłu tak wyraźnie, jakby to była audycja radiowa:

*Jack umiera, Lily... Jack umiieeeeeraaa...*

Ptak wystawił łeb do przodu i zastukał w szybę równie celowo jak kruk Poego.

*Umiieeeeeraaaa...*

- NIE! - krzyknęła Lily. - ODPIERDOL SIĘ, SLOAT!

Nie stuknęła po prostu w szkło, ale rąbnęła w nie pięścią, aż szyba pękła. Mewa zerwała się z łopotem skrzydeł i piskiem. O mało nie spadła z parapetu. Przez dziurę w szybie wleciało do środka lodowate powietrze.

Krew skapywała z ręki Lily - nie, nie tylko skapywała: lała się. Zacięła się paskudnie w dwóch miejscach. Wyjęła odłamki szkła z kantu dłoni, a potem wytarła ją o nocną koszulę.

- NIE SPODZIEWAŁEŚ SIĘ TEGO, POJEBANĆCU? - krzyknęła na ptaka kołującego niespokojnie nad ogrodem. Wybuchła płaczem. - Zostaw go wreszcie w spokoju! Zostaw go w spokoju! ZOSTAW W SPOKOJU MOJEGO SYNA!

Krew zalewała ją całą. Zimne powietrze wpadało przez rozbitą szybę. Zobaczyła, że na zewnątrz pierwsze płatki śniegu spadają w krąg blasku samotnej latarni.

5

- Uważaj, Jacky.

Cichy głos rozległ się z lewej strony.

Jack obrócił się na pięcie w tę stronę, unosząc przed sobą Talizman jak reflektor - wiązka padającego zeń światła załamywała się na niezliczonych płatkach śniegu.

I niczym więcej. Ciemność... śnieg... odgłos oceanu.

- Nie w tę stronę, Jacky.

Chłopiec odwrócił się w prawo, ślizgając się po lodowatej warstewce opadu. Głos był bliżej. Coraz bliżej. Jack wznosił Talizman jeszcze wyżej.

- Chodź, weź go, Bloat!

- Nie masz żadnych szans, Jack. Mogę cię skasować, kiedy tylko mi przyjdzie na to ochota.

Głos rozległ się zza pleców chłopca... i jeszcze bliżej. Kiedy jednak Jack wystawił przed siebie gorejący Talizman, nie zobaczył Sloata. Śnieg trafiał go w twarz - niemal z rykiem. Trochę płatków wpadło Jackowi w usta. Zakrztusił się z zimna.

Sloat zachichotał na wprost niego.

Jack szarpnął się w tył i o mało co nie potknął się o Speedy'ego.

- Hu-hu, Jacky!

Z ciemności po lewej wyłoniła się ręka i szarpnęła Jacka za ucho. Odwrócił się w tę stronę z łomoczącym sercem i wytrzeszczonymi oczyma. Pośliznął się i upadł na kolano.

Richard wydał gdzieś blisko gruby, chrapliwy jęk.

W górze rozlegała się kanonada piorunów, rozpętana jakimś cudem przez Sloata.

- Rzuć nim we mnie! - zawołał szyderczo Sloat. Wyłonił się tanecznym krokiem z burzliwej ciemności,

która przypominała wielokrotnie naświetlaną klatkę filmu. Przytykał palcami prawej ręki, a w lewej trzymał blaszany kluczyk. Jego ruchy miały szarpany, synkopowany charakter. Jackowi skojarzyły się w obłądny sposób z liderem jakiegoś starego latynoskiego big bandu - na przykład Xavierem Cougatem.

- Rzuć nim we mnie, dobra? Zabawmy się w strzelnicę, Jack. Wielki, stary wujek Morgan jako gliniany gołąbek! Co ty na to, Jack? Spróbujesz? Rzuć piłką i wygraj lalkę!

Jack zorientował się, że przyłożył Talizman do prawego ramienia, jakby rzeczywiście chciał to zrobić. *Straszy cię, próbuje wzbudzić w tobie panikę, chce, żebyś wypuścił go z rąk, żebyś...*

Sloat zniknął w mroku. Wiatr tworzył wiry z płatków śniegu.

Jack obrócił się nerwowo, ale nigdzie nie mógł dojrzeć Morgana. *Może sobie poszedł. Może...*

- No, co z tobą, Jacky?

Nie, wciąż tu był. Gdzieś po lewej stronie.

- Śmiałem się, kiedy twój stary odwalił kitę, Jacky. Śmiałem się mu w twarz. Kiedy wreszcie kopnął w kalendarz, poczułem się...

Głos zawibrował. Na chwilę ścisł. Znow stał się głośniejszy. Po prawej. Jack odwrócił się w tę stronę, nie rozumiejąc, co się dzieje. Miał coraz bardziej zszarpane nerwy.

- ...jakby moje serce dostało skrzydeł. Leciało - o tak, Jack.

Z ciemności wypadł kamień - wymierzony nie w Jacka, ale w Talizman. Chłopiec uskoczył. Przez moment dojrzał mętny zarys Sloata. Morgan znow zniknął.

Chwila przerwy... po czym Sloat zaczął odtwarzać nową płytę.

- Pieprzyłem twoją matkę, Jacky - zaszydził zza jego pleców.

Wielka, tłusta łapa złapała chłopca za siedzenie.

Jack błyskawicznie się obrócił, tym razem o mało nie potknął się o Richarda. Łzy - gorące, bolesne, gniewne - zaczęły ciec mu z oczu. Nienawidził za to sam siebie, ale pojawiły się i nic na świecie nie potrafiło ich powstrzymać. Wiatr wył jak smok w tunelu aerodynamicznym. Magia jest w tobie, powiedział wcześniej Speedy, ale gdzie się teraz podziała? Gdzie, och, gdzie?

- Zamknij się! Nie wolno ci mówić takich rzeczy o mojej mamie!

- Pieprzyłem ją, i to wiele razy - dodał Sloat z obleśnym zadowoleniem.

Znów znalazł się z prawej strony. Tłusty kształt tańczył w ciemności.

- Pieprzyłem ją na jej prośbę, Jacky!

Głos zabrzmiał za nim. Blisko!

Jack obrócił się na pięcie. Wyciągnął Talizman przed siebie. Buchnęła z niego wiązka białego światła. Sloat wyszedł tanecznym krokiem z jej zasięgu, ale Jack zdążył dojrzeć grymas cierpienia i gniewu na jego twarzy. Światło padło na Sloata i sprawiło mu ból.

*Nieważne, co mówi - to same kłamstwa i doskonale o tym wiesz. Tylko jak on to robi? Jest jak Edgar Bergen. Nie... jak Indianie, podkradający się w ciemności do karawany osadników. Jak on to robi?*

- Przypaliłeś mi tym razem trochę wąsiki, Jacky - powiedział Sloat i zachichotał jak wariat. Wydawało się, że jest zdyszany - ale tylko trochę. Za mało. Jack złażał jak pies w gorący letni dzień, gorączkowo przeszukując burzliwą ciemność w poszukiwaniu wroga. - Nie mam ci jednak tego za złe, Jacky. No, zobaczmy. O czym to rozmawialiśmy? Ach, tak. O twojej matce.

Lekka wibracja... zniknęła... Kamień wyleciał z ciemności po prawej i ugodził Jacka w skroń. Chłopiec odwrócił się, ale Sloat zdążył już zniknąć, odskoczywszy zgrabnie pod osłonę śniegu.

- Ścisnęła mnie swoimi długimi nogami, aż wylem, żeby się zmiłowała - oświadczył Sloat z tyłu po prawej stronie Jacka. - OUUUOOOOOO!

*Nie pozwól wyprowadzić się z równowagi, nie pozwól...*

Nie potrafił na to jednak nic poradzić. Ten świntuch mówił o jego matce. O matce Jacka.

- Przestań! Zamknij się!

Sloat znalazł się na wprost niego - tak blisko, że Jack widział go wyraźnie mimo kłębiącego się śniegu. Jego twarz majaczyła jednak, jakby znajdowała się pod wodą w nocy. Kolejny kamień wyleciał z ciemności i rąbnął Jacka w tył głowy. Chłopiec zatoczył się naprzód i prawie potknął się o Richarda - błyskawicznie znikającego pod powłoką śniegu.

Zobaczył gwiazdy przed oczyma... i zrozumiał, co się dzieje.

*Sloat przeskakuje! Przeskakuje... rusza się... i przeskakuje z powrotem!*

Jack obrócił się chwiejnie o trzysta sześćdziesiąt stopni, jak człowiek nękaný przez setkę nieprzyjaciół, a nie tylko jednego. W ciemności rozbrzysnął wąski, zielonkawoniebieski snop błyskawicy. Chłopiec wystawił Talizman w tę stronę, mając nadzieję, że odbije ją z powrotem w stronę Sloata. Spóźnił się - światło zgasło.

*To jakim cudem go tam nie widzę? Po drugiej stronie - w Terytoriach?*

Odpowiedź olśniła go jak rozbłysk światła... i jakby w odpowiedzi Talizman rozjarzył się wspaniałą, białą poświatą, przecinającą śnieżną ciemność jak reflektor lokomotywy.

*Nie widzę go po tamtej stronie, bo mnie tam NIE ma. Jason odszedł... a ja mam pojedynczą naturę. Sloat przeskakuje na plażę, na której jest tylko Morgan z Orris i martwy lub umierający człowiek nazwiskiem Parkus. Nie ma tam też Richarda, bo Rushton, syn Morgana z Orris, umarł dawno temu, więc Richard też ma pojedynczą naturę. Kiedy przeskoczyłem tam wcześniej, Talizman tam był... ale Richarda nie było! Morgan przeskakuje e... rusza się... przeskakuje z powrotem... stara się zamącić mi w głowie...*

- Hu-hu, Jacky!

Głos z lewej.

- Tutaj!

Głos z prawej.

Jack przestał jednak nasłuchiwać, z której strony dobiega głos. Zajrzał w Talizman, czekając na pauzę między nutami. Najważniejszą pauzę między nutami w jego życiu.

Z tyłu. Tym razem głos powinien rozleć się z tyłu.

Talizman rozbłysnął w ciemności jak potężna lampa.

Jack obrócił się... i równocześnie przeskoczył w Terytoria - w jaskrawe światło słońca. I znalazł się naprzeciw Morgana z Orris we własnej osobie, jeszcze dwakroć szkaradniejszego. Morgan przez chwilę nie zdawał sobie sprawy, że chłopiec połapał się w jego sztuczce. Kulał szybko do miejsca, w którym po przeskoczeniu w amerykańskie Terytoria znalazłby się za plecami Jacka. Na jego twarzy widniał paskudny łobuzerski uśmiešek. Powłóczył lewą stopą, pokrywając piach dookoła nierównymi bazgrołami. Morgan krążył wokół Jacka i dręczył go, obrzucając go kamieniami i kłamstwami na temat jego matki - a równocześnie cały czas przeskakiwał w jedną i drugą stronę.

- WIDZĘ CIĘ! - krzyknął Jack z całych sił.

Morgan rozejrzał się dookoła z bezgranicznym zdumieniem, wciąż ścisnął w ręce srebrną laskę.

- WIDZĘ CIĘ! - krzyknął znowu Jack. - Masz ochotę na jeszcze jedną rundkę, Bloat?

Morgan z Orris zamachnął się laską. Przez chwilę miał minę zagubionego prostaczka, lecz już patrzył przebiegle - niczym sprytny człowiek, który błyskawicznie dostrzega wszystkie możliwości. Przymknął oczy.

W chwili gdy Morgan z Orris wymierzył w chłopca srebrną laskę i zmrużył oczy, celując dokładnie, Jack prawie przeskoczył z powrotem w amerykańskie Terytoria - co by go zgubiło. Zanim jednak ostrożność czy też panika skłoniła go do czynu, który równałby się



wskoczeniu pod rozpędzoną ciężarówkę, ocalił go ten sam instynkt, który podpowiedział mu, że Morgan przeskakuje pomiędzy światami. Jack przejrzał sposób postępowania przeciwnika. Został na miejscu, znów czekając na kolejną pauzę. Przez ułamek sekundy Jack Sawyer wstrzymał oddech. Gdyby Morgan był odrobinę mniej dumny ze swej przebiegłości, pewnie zdołałby go w tej chwili zamordować, a chyba niczego bardziej nie pragnął.

Zamiast tego postać Morgana nagle znikła z Terytoriów - właśnie tego Jack się spodziewał. Wciągnął powietrze. Ciało Speedy'ego (Parkusa, zdał sobie sprawę Jack) leżało niedaleko bez ruchu. Nadeszła pauza. Jack wypuścił oddech i przeskoczył z powrotem.

Nowy pas szkła, dzielący plażę Point Venuti, załśnił nagle w strudze białego światła, która trysnęła z Talizmanu.

- Spudłowałeś, co? - wyszeptał z ciemności Morgan Sloat.

Śnieg siekł Jacka, zimny wiatr mroził jego kończyny i gardło. Twarz Sloata majaczyła od niego o długość samochodu, zmarszczone w znajome bruzdy czoło i zakrwawione, otwarte usta. Wyciągał kluczyk przez zamieć w stronę chłopca. Na wierzchu brązowego rękawa marynarki utworzył się stosik puchu śnieżnego. Jack dojrzał strużkę czarnej krwi, która sączyła się z lewego otworu niedorzecznie małego nosa. W ciemności załśniły przekrwione z bólu oczy Sloata.

## 6

Richard Sloat otworzył oczy. Nie miał pojęcia, co się dzieje. Zimno przenikało wszystkie części jego ciała. Początkowo pomyślał bez żadnych emocji, że umarł. Spadł skądś, pewnie ze stromych, podstępnych schodów za audytorium w Thayer School. Był teraz zimny i martwy, nic więcej nie mogło mu się przydarzyć. Przez sekundę doznał zawrotu głowy z ulgi.

Głowa zaoferowała mu jednak świeżą porcję bólu, poczuł też sączącą się po zmarzniętej ręce ciepłą krew. Obydwa doznania stanowiły dowód, że bez względu na to, na co miałby w tej chwili ochotę, Richard Llewellyn Sloat jeszcze nie umarł. Był tylko rannym, cierpiącym stworzeniem. Czuł się, jakby odcięto mu cały wierzchołek głowy. Nie wiedział dokładnie, gdzie się znajduje. Było mu zimno. Zdołał skupić wzrok na dość długo, by zmysł ten poinformował go, że leży w śniegu. Nastąpiła zima. Z nieba spadało na Richarda coraz więcej śniegu. W końcu usłyszał głos swojego ojca i wszystko mu się przypomniało.

Przytrzymując ręką czubek głowy, Richard bardzo powoli przekrzywił ją w stronę, z której dobiegał głos ojca.

Jack Sawyer trzymał w rękach Talizman, dotarło do Richarda. Talizman był cały. Chłopiec poczuł częściowy nawrót ulgi, której doznał na myśl, że jest już martwy. Nawet bez okularów widział, że Jack prezentuje się bardzo nieugięcie, niepokornie. Wyglądał... no, jak bohater. I tyle. Wyglądał jak umorusany, rozczochrany, niedorzecznie młodzieńczy bohater. Prawie pod każdym względem niepasujący do tej roli, ale mimo wszystko bez wątpienia bohater.

Jack był w tej chwili po prostu sobą, zrozumiał Richard. Znikła nadzwyczajna dodatkowa wartość, tak jak u gwiazdy filmowej, godzącej się chodzić w przebraniu obszarpanego dwunastolatka. Czyniło to jednak jego przyjaciela jeszcze odważniej szym.

Jego ojciec uśmiechnął się chytrze. Tyle że nie był to jego ojciec. Ojciec Richarda dawno temu stał się pustym w środku - opustoszał wskutek zawiści do Phila Sawyera, w rezultacie swych chciwych ambicji.

- Możemy tak kręcić się w nieskończoność - powiedział Jack. - Nigdy nie oddam ci Talizmanu, a ty za nic nie zdołasz zniszczyć go tym swoim bajerem. Daj sobie spokój.

Czubek kluczyka w dłoni ojca Richarda powoli przesunął się w bok i w dół, mierząc podobnie jak jego pożądliva, pełna chciwości twarz w jego syna.

- Najpierw rozwalę Richarda - rzekł Sloat. - Naprawdę chcesz patrzeć, jak twój kumpel Richard smaży się niczym boczek? Hm? Chcesz? Oczywiście nie zawaham się wyświadczyć tej samej przysługi zarazie, która leży obok niego.

Jack i Sloat wymienili krótkie spojrzenia. Richard zdawał sobie sprawę, że jego ojciec nie żartuje. Zabiłby go, gdyby Jack nie oddał mu Talizmanu. A potem zabiłby starego Murzyna - Speedy'ego.

- Nie rób tego - zdołał wyszeptać Richard. - Niech się wypcha, Jack. Powiedz mu, żeby spierdalał.

Jack prawie doprowadził go do utraty zmysłów, mrugając doń okiem.

- Po prostu upuść Talizman - rozległ się głos jego ojca.

Richard patrzył ze zgrozą, jak Jack przechyla dłonie i pozwala Talizmanowi się z nich stoczyć.

7

- Jack, nie!

Jack nie obejrzał się na Richarda. Nic nie jest twoje, jeśli nie potrafisz się tego wyrzec, dudniło mu w myślach. Nic nie jest twoje, jeśli nie potrafisz się tego wyrzec. Cóż bowiem

stanowi za korzyść dla człowieka - nic, zero, ale nie uczysz się tego w szkole, uczysz się tego w drodze, uczysz się tego od Ferda Jankłowa, Wilka oraz Richarda, który wyrzwał łepetyną w kamienie jak Titan II, co nie odpalił jak należy.

Uczyłeś się tego albo ginąłeś w świecie, gdzie nie świeciło jasno słońce.

- Dość już zabijania - powiedział w pełnym śniegu mroku spowijającym kalifornijską plażę.

Powinien czuć się doszczętnie wyczerpany - bądź co bądź, miał za sobą cztery dni okropności, a na koniec wypuścił z rąk kulę jak początkujący bramkarz, który musi się jeszcze mnóstwo nauczyć. Zrezygnował z niej i wszystkiego, co się z nią wiązało. Mimo to usłyszał pewny głos Andersa - klęczącego przed nim z pochyloną głową i mówiącego: *Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze i wszelkie sprawy ułożą się dobrze.*

Talizman załśnił na piasku. Śnieg topniał, tworząc spływające po jego brzemiennych bokach kropelki, a w każdej z nich była tęcza, i w tym samym momencie Jack zdał sobie sprawę z oszałamiającą klarownością, że wyrzeczenie się go było właśnie tym, co należało zrobić.

- Dostyc już tej jatki. No chodź, rozbij go, jeśli zdołasz - powiedział Jack. - Żal mi ciebie.

Ostatnie słowa doprowadziły Morgana Sloata do samozagłady. Gdyby został mu chociaż strzęp racjonalnej myśli, wygrzebałby z efemerycznego śniegu jakiś kamień i rozbiłby nim Talizman - jeśli można by było rozbić jego nieopancerzoną kruchość.

Zamiast tego wymierzył weń kluczyk.

Gdy to robił, jego myśli wypełniły umiłowane, a równocześnie znenawidzone wspomnienia o Jerrym Bledsoe i jego żonie. Jerrym Bledsoe, którego zabił, i Nicie Bledsoe, która powinna być Lily Cavanaugh... Lily, która przywaliła mu tak mocno, że krew polalała się mu z nosa, przy tym jedynym razie, kiedy próbował jej dotknąć.

Ogień buchnął ze śpiewem - zielononiebieski płomień, wydobywający się z tandetnej tulejki blaszanego kluczyka. Sięgnął łukiem Talizmanu, trafił weń, rozpląnął się po nim i zamienił go w rozjarzone słońce. Przez chwilę pojawiły się w nim wszystkie kolory... przez moment były w nim wszystkie światy. Potem znikły.

Talizman połknął ogień z kluczyka Morgana.

Strawił go ze szczętem.

Wróciła ciemność. Nogi ugięły się pod Jackiem, który osunął się z łoskotem na bezwładnie wyciągnięte łydki Speedy'ego. Murzyn wydał nieokreślony pomruk i drgnął.

Nastąpiła dwusekundowa pauza, w ciągu której wszystko trwało w bezruchu... a potem powódź ognia wylała się nagle z Talizmanu z powrotem. Jack otworzył szeroko oczy mimo gorączkowej udręczonej myśli

(oślepniesz! Jack! Oś...),

a odmieniony obszar Point Venuti rozświetlił się, jakby Bóg Wszystkich Wszechświatów pochylił się, by zrobić zdjęcie z lampą błyskową. Jack dojrzał częściowo zrujnowany, przykurczony Agincourt oraz wyżynę, która osunęła się i została doliną. Zobaczył leżącego na plecach Richarda oraz wyciągniętego na brzuchu ze zwróconą w bok twarzą Speedy'ego. Uśmiechniętego Speedy'ego.

Morgana Sloata odrzuciło w tył i spowiło pole ognia z jego własnego kluczyka - ognia, który Talizman wchłonął tak samo, jak refleksy światła od soczewek celownika sztucera Sunlighta Gardenera, i który tak samo został odbity z tysiącokrotnie większą mocą.

Między światami otworzyła się dziura - wielkości prowadzącego do Oatley tunelu - i Jack zobaczył, że Sloat znika w niej w płonącym, eleganckim garniturze, wciąż ściskając kluczyk w mięknącej jak wosk ręce. Gałki oczne wrzały w oczodołach Morgana... ale nadal miał rozszerzone źrenice... wiedział, co się z nim dzieje.

Gdy zniknął, Jack dojrzał jeszcze, jak się zmienia - pojawił się płaszcz, przypominający opalone w płomieniu pochodni skrzydła nietoperza, palące się buty, płonące włosy. Zobaczył, jak kluczyk zamienia się w miniaturową laskę do miotania piorunów.

Zobaczył... światło dnia!

8

Blask zalał plażę jak powódź. Oszolomiony Jack odtoczył się w drugą stronę. W uszach - a równocześnie w głębinach umysłu - słyszał zamierający głos Morgana Sloata, ciśniętego poprzez wszystkie światy w otchłań nicości.

- Jack? - Richard właśnie siadał chwiejnie, trzymając się za głowę. - Co się stało, Jack? Chyba spadłem ze schodów na stadionie.

Speedy podrygiwał na śniegu. Zrobił coś w rodzaju pompki i popatrzył na Jacka. Jego oczy zdradzały wyczerpanie... znikły jednak krosty z jego twarzy.

- Dobra robota, Jack - powiedział i się uśmiechnął. - Dobra...

Nim zdołał dokończyć, upadł z powrotem zdyszany na piasek.

Tęcza, pomyślał z zawrotem głowy Jack. Podniósł się i znowu upadł. Pokrywający jego twarz marznący śnieg dopiero teraz zaczął topnieć i ściekać jak lzy. Jack dźwignął się na

kolana i wstał ponownie. Pole widzenia wypełniały mu czarne łaty... ale zobaczył wielki, wypalony obszar wśród śniegu, tam gdzie stał Morgan, z jednej strony wyciągniętą tak, iż miała kształt łzy.

- Tęcza! - krzyknął Jack Sawyer i uniósł ręce z płaczem oraz śmiechem ku niebu. -  
Tęcza! Tęcza!

Podszedł do Talizmanu i wciąż płacząc, wziął go w ręce.

Zaniósł go Richardowi Sloatowi, który był Rushtonem, oraz Speedy'emu Parkerowi, którym był, kim był.

Uzdrowił ich.

*Tęcza, tęcza, tęcza!*

## Rozdział czterdziesty szósty

### Kolejna podróż

1

Jack uzdrowił ich, ale nigdy nie zdołał odtworzyć dokładnie, jak tego dokonał - nie pamiętał żadnych szczegółów. Przez pewien czas Talizman gorzał i śpiewał w jego rękach, a jemu pozostało wyjątkowo niewyraźne wspomnienie, że ogień dosłownie przepływał po nich, aż cali byli skąpani w niezemskim świetle. Tylko tyle potrafił sobie przypomnieć.

W końcu wspaniałe światło Talizmanu ściemniało... przygasło... zniknęło.

Mysłąc o swojej matce, Jack wydał chrapliwy, jęczący krzyk.

Speedy podszedł do niego chwiejnie po topniejącym śniegu i otoczył go ramieniem.

- Ono wróci, Jacku Wędrowniczku - powiedział Speedy. Uśmiechnął się, ale wyglądał na znacznie bardziej zmęczonego od Jacka. Speedy został uzdrowiony... lecz nie odzyskał jeszcze w pełni sił. Ten świat go zabija, pomyślał niejasno Jack. Przynajmniej zabija tę jego część, która jest Speedym Parkerem. Talizman go uzdrowił... jednak mimo wszystko nadal umiera.

- Zrobiłeś coś dla niego - powiedział Speedy - i powinieneś wiedzieć, że on zrobi coś dla ciebie. Nie martw się. Podejdź tu, Jack. Chodź, tutaj leży twój przyjaciel.

Jack posłuchał. Richard spał na topniejącym śniegu. Okropny płat oderwanej skóry zniknął, ale przez włosy na jego skroni przeświecała jednak długa, biała kreska - pasmo, na którym już nigdy nie miały wyrosnąć włosy.

- Weź go za rękę.

- Dlaczego? Po co?

- Przeskoczmy.

Jack popatrzył pytająco na Speedy'ego, ale Murzyn nie zaoferował jakiegokolwiek wyjaśnienia. Pokiwał jedynie głową, jakby chciał powiedzieć: Tak, nie przestyszałeś się.

Cóż, pomyślał Jack, ufałem mu do tej pory...

Ujął Richarda za rękę. Speedy uściskał drugą dłoń Jacka.

Prawie bez najmniejszego szarpnięcia wszyscy trzej znaleźli się po drugiej stronie.

2

Niejasne przeczucie Jacka okazało się trafne - stojąca przed nimi postać po tej stronie, na czarnym piasku, poznaczonym wszędzie chromą stopą Morgana z Orris, była najwyraźniej zdrowa, krzepka i rześka.

Jack popatrzył z niezmiernym zdumieniem - i pewnym niepokojem - na nieznajomego, który wydawał się młodszym bratem Speedy'ego Parkera.

- Speedy - to znaczy, panie Parkus - co pan...

- Potrzebujecie odpoczynku, chłopcy - powiedział Parkus. - Ty na pewno, a twój młody giermek jeszcze bardziej. Znajdował się bliżej śmierci, niż ktokolwiek oprócz niego potrafi zrozumieć... a nie sądzę, żeby był zbytnio gotów to przyznać, nawet przed samym sobą.

- No - odparł Jack. - Święta racja.

- Po tej stronie lepiej wypocznie - powiedział Jackowi Parkus.

Ruszył po plaży, z Richardem na rękach, oddalając się od zamku. Jack starał się dotrzymać mu kroku, stopniowo zostawał jednak w tyle. Szybko się zadyszał, a nogi zrobiły się mu jak z waty. Po ostatecznym starciu rozboleła go głowa - domyślał się, że to bitewny kac.

- Dlaczego... dokąd... - zdołał wysapać.

Przyciskał Talizman do piersi. Powierzchnia kuli zmatowiała, stała się nieprzejrzysta, jakby pokryta sadzą i nieciekawa.

- Jeszcze tylko kawałek - powiedział Parkus. - Ani ty, ani twój przyjaciel nie chcecie chyba odpoczywać tam, gdzie był Morgan, prawda?

Mimo wyczerpania Jack potrząsnął głową.

Parkus obejrzał się przez ramię, po czym popatrzył ze smutkiem na Jacka.

- Tam cuchnie złem - powiedział. - I twoim światem. Dla mnie obydwie te rzeczy za bardzo śmierdzą, by mieć dobre samopoczucie.

Ruszył dalej, dźwigając Richarda.

3

Parkus zatrzymał się czterdzieści jardów dalej na plaży. Piach stał się szary. Parkus delikatnie złożył na nim Richarda. Jack wyciągnął się obok niego. Piasek był przyjemnie ciepły - nie spadł tu śnieg.

Parkus usiadł ze skrzyżowanymi nogami obok chłopca.

- Powinieneś się teraz przespać - powiedział. - Może obudzisz się dopiero jutro. Jeśli nawet, to nikt nie będzie ci przeszkadzał. Popatrz.

Parkus machnął ręką w stronę, gdzie w amerykańskich Terytoriach było Point Venuti. Jack dojrzał najpierw czarny zamek - cała jedna jego strona rozkruszyła się i zawaliła, jakby w środku doszło do potężnej eksplozji. Zamek wyglądał w tej chwili niemal zwyczajnie. Zagrożenie w nim wypaliło się, jego bezprawnie przetrzymywany skarb został zabrany. Budowla na powrót stała się jedynie stertą złożonych w określony sposób kamieni.

Spojrząwszy dalej, Jack doszedł do wniosku, że trzęsienie ziemi po tej stronie przebiegało łagodniej - poza tym było tu mniej do zniszczenia. Zobaczył kilka zawalonych chat, wyglądały, jakby sklecono je głównie z naniesionego przez morze drewna. Dojrzał sporo rozbitych powozów, które w amerykańskich Terytoriach mogły, ale nie musiały być cadillacami. Tu i ówdzie leżały włochate ciała.

- Ci, którzy tu przeżyli, uciekli - powiedział Parkus. - Wiedzą, co się stało, wiedzą, że Orris nie żyje i nie będą ci sprawiać więcej kłopotów. Znikło zło, które się tu kryło. Zrozumiałeś? Czujesz to?

- Tak - szepnął Jack. - Ale... proszę pana... nie zamierza pan... nie...

- Czy odejdziesz? Tak. Wkrótce. Ty i twój przyjaciel porządnie się wyśpicie, lecz najpierw muszę z tobą porozmawiać o paru sprawach. Nie zajmie to wiele czasu, więc proszę cię, postaraj się nie zasnąć przynajmniej na razie. - Z niejakim wysiłkiem Jack dźwignął głowę i otworzył szeroko oczy. Parkus kiwnął głową. - Kiedy się obudzicie, ruszcie na zachód... ale nie przeskakujcie! Na razie zostańcie tutaj. Zostańcie w Terytoriach. Po waszej stronie będzie bardzo duży ruch - ekipy ratownicze, telewizyjne, Jason jeden wie, co jeszcze. Przynajmniej śnieg stopnieje, zanim ktokolwiek go zobaczy, z wyjątkiem tych paru ludzi, którzy zostaną zlekceważeni jako wariaci.

- Dlaczego musi pan odejść?

- Muszę się trochę pokręcić, Jack. Mam tutaj bardzo dużo roboty. Wieści o śmierci Morgana już wędrują na wschód. I to szybko. Już jestem za nimi, ale muszę je wyprzedzić, jeśli tylko zdołam. Chcę dotrzeć z powrotem na Rubieże - i na wschód - zanim mnóstwo bardzo szpetnych typków zacznie szukać sobie kryjówek. - Parkus popatrzył na ocean oczyma zimnymi i szarymi jak otoczaki. - Z niektórymi trzeba wyrównać rachunki. Morgana już nie ma, ale pozostał po nim dług.

- Jest pan tutaj kimś w rodzaju policjanta, tak?

- Można by mnie nazwać sędzią najwyższym oraz lordem egzekutorem w jednej osobie. Po tej stronie. - Kiwnął głową i położył Jackowi na głowie silną, ciepłą dłoń. - Po



tamtej stronie jestem tylko gościem, który włóczy się z miejsca na miejsce, wykonuje dorywcze prace, brzdąka kilka melodii. Uwierz mi, niekiedy jest to o wiele przyjemniejsze. - Uśmiechnął się znowu i tym razem był Speedym. - Od czasu do czasu zobaczysz tego gościa, Jacky. No, od czasu do czasu oraz tu i ówdzie. Może w centrum handlowym, a może w parku. - Mrugnął.

- Ale Speedy... nie czuje się dobrze - powiedział Jack. - Cokolwiek mu było, Talizman nie mógł na to nic zaradzić.

- Speedy jest stary - odparł Parkus. - Jest w moim wieku, lecz twój świat uczynił go starszym ode mnie. Mimo wszystko zostało mu jeszcze kilka lat. Może nawet sporo. Nie frasuj się, Jack.

- Obiecuje pan? - spytał Jack.

- Się wie. - Parkus się uśmiechnął. Jack odpowiedział znużonym uśmiechem. - Ruszaj ze swoim przyjacielem na wschód. Macie przejść mniej więcej pięć mil. Kiedy przedostaniecie się za te niskie wzgórza, dalej będzie już wam łatwo maszerować. Rozglądajcie się za wielkim drzewem - największym drzewem, jakie kiedykolwiek widzieliście. Podejdziecie do niego. Weźmiesz Richarda za rękę i przeskoczycie. Po drugiej stronie rośnie gigantyczna sekwoja, w której pniu wycięto tunel, przebiega przezeń droga numer siedemnaście. Znajdziecie się w północnej Kalifornii na obrzeżach małego miasteczka Storeyville. Pójdźcie do niego. Koło sygnalizatora jest stacja Mobil.

- I co dalej?

- Nie wiem. - Parkus wzruszył ramionami. - Nie na pewno. Może spotkasz kogoś, kogo poznasz, Jack.

- Ale skąd będę wiedział, że...

- Szsz - szepnął Parkus i położył mu rękę na czole tak, jak robiła matka, kiedy był *(zaśnij już, Jacky, kochanie, tatuś pojechał na polowanie. I reszta tych bidetów, la-la, zaśnij, Jacky, wszystko jest dobrze, wszystko jest dobrze i)* bardzo mały.

- Dość pytań. Myślę, że wszystko będzie już dobrze z tobą i Richardem.

Jack położył się. Przytulił do siebie ciemną kulę. Miał wrażenie, że do obu powiek ma przywiązane pustaki.

- Byłeś dzielny i wierny, Jack - powiedział ze spokojem i powagą Parkus. - Szkoda, że nie jesteś moim synem... Składam ci hołd za odwagę. I wiarę. Mnóstwo ludzi w wielu światach ma wobec ciebie dług wdzięczności. Myślę zresztą, że tak czy inaczej większość z nich to czuje.

Jack zdobył się na uśmiech.

- Zostań jeszcze trochę - zdołał powiedzieć.

- W porządku - odparł Parkus. - Aż zaśniesz. Nie frasuj się, Jack. Nie spotka cię tu żadna krzywda.

- Moja mama zawsze mówiła...

Zanim zdołał dokończyć myśl, pochłonął go sen.

4

Sen trzymał go w swej tajemnej mocy przez cały następny dzień, chociaż się obudził. A jeśli nie sen, to chroniące go odrętwienie - talent umysłu, dzięki któremu cały ten dzień upłynął powoli i jak we śnie. Wraz z podobnie powoli poruszającym się i małomównym Richardem stanęli pod najwyższym drzewem na świecie. Dookoła na leśnym poszyciu kładły się łaty światła. Dziesięciu dorosłych ludzi, trzymających się za ręce, nie zdołaloby objąć tego drzewa. Piętrzyło się, masywne i pozbawione sąsiadów. W całym lesie wysokich drzew było lewiatanem - czystym przykładem terytorialnej wybujałości.

Nie frasuj się, powiedział Parkus, wówczas gdy groziło, że rozplynie się w powietrzu jak Kot z Cheshire. Jack przekrzywił głowę i popatrzył w kierunku wierzchołka drzewa. Niezupełnie zdawał sobie z tego sprawę, ale był emocjonalnie wyczerpany. Ogrom drzewa wywołał w nim tylko drgnienie podziwu. Oparł dłoń o zaskakująco gładki pień. Zabiłem człowieka, który zabił mojego ojca, powiedział do siebie. W drugiej ręce trzymał ciemną, pozornie martwą kulę Talizmanu. Richard wpatrywał się w gigantyczną koronę drzewa, które osiągnęło wysokość drapacza chmur. Morgan nie żył, Gardener też, a śnieg na pewno stopniał już na plaży. Mimo to nie zniknął całkiem. Jack czuł się, jakby miał w głowie całą pokrytą śniegiem plażę. Pomyślał wcześniej - wydawałoby się, że tysiąc lat temu - że jeśli kiedykolwiek zdoła wziąć Talizman w ręce, na pewno przepełnią go uczucia triumfu, podziwu i podniecenia, że będzie wprost kipiał od ich natłoku. Zamiast tego czuł obecnie co najwyżej ulotny cień tych emocji. W jego głowie padał śnieg. Potrafił jedynie myśleć o instrukcjach od Parkusa. Zdał sobie sprawę, że trzyma się na nogach tylko dlatego, że wspiera się o niewiarygodnie wielkie drzewo.

- Weź mnie za rękę - rzekł.

- Jak dostaniemy się do domu? - spytał Richard.

- Nie frasuj się - odparł Jack.

Zacisnął dłoń Richarda w swojej. Jack Sawyer nie potrzebował drzewa, by ustać. Jack Sawyer przemierzył Spustoszone Ziemie i pokonał czarny hotel. Jack Sawyer był wierny i dzielny. Jack Sawyer był zmordowanym dwunastolatkiem, w którego głowie padał śnieg. Przeskoczył bez wysiłku do własnego świata, a Richard pokonał u jego boku wszelkie dzielące rzeczywistości bariery.

5

Puszcza skurczyła się - stała się amerykańskim lasem. Szczyt delikatnie falujących gałęzi wyraźnie się obniżył, same drzewa stały się znacznie mniejsze niż w tej części Terytoriów, do której skierował chłopców Parkus. Jack niejasno zdał sobie sprawę ze zmiany rozmiarów wszystkiego, co go otaczało, zanim zobaczył asfaltową dwupasmówkę biegnącą na wprost. Dwudziestowieczna rzeczywistość jednak prawie natychmiast wymierzyła mu kopniaka: gdy tylko ujrzał drogę, usłyszał przypominający pracę miksera warkot małego silnika i instynktownie pociągnął Richarda w tył, nim przemknął obok nich mały renault le car. Samochód natychmiast zniknął w tunelu wyciętym w pniu drzewa (tutaj niewiele większego niż połowa jego terytorialnego odpowiednika). Co najmniej jedna dorosła osoba i dwoje dzieci nie patrzyło jednak na sekwoje, które przybyli podziwiać aż z New Hampshire ("Żyj wolny lub umrzyj!" - jak głosiło zawołanie tego stanu). Kobieta i para maluchów obrócili się na siedzeniach i z wytrzeszczonymi oczyma oraz ustami przypominającymi małe, czarne jaskinie gapili się na Jacka i Richarda. Przed chwilą zobaczyli, że dwaj chłopcy pojawili się na skraju drogi jak duchy - w cudowny sposób w jednej chwili zmaterializowali się z nicości jak kapitan Kirk i Mr Spock po teleportacji z pokładu "Enterprise".

- Dasz radę iść jeszcze trochę?

- Pewnie - powiedział Richard.

Jack wyszedł na drogę numer siedemnaście i dotarł do wielkiej dziury w drzewie.

Może to wszystko tylko mi się śni, pomyślał. Może wciąż leży na plaży w Terytoriach, Richard śpi nieprzytomnie obok niego, a Parkus łaskawie spogląda na nich obydwóch. *Moja mama zawsze mówiła... Moja mama zawsze mówiła...*

6

Poruszając się jak w gęstej mgle (choć w istocie dzień w tej części północnej Kalifornii był suchy i słoneczny), Jack Sawyer wyprowadził Richarda Sloata z sekwojowego lasu na stok wiodący między wyschniętymi grudniowymi łąkami.

*...że najważniejszą osobą w każdym filmie jest zwykle kamerzysta...*

Jego ciało potrzebowało więcej snu. Jego umysł potrzebował wakacji.

*...że wermut to rujnacja porządnego martini...*

Richard podążał za nim w milczeniu i zadumie. Szedł o tyle wolniej od Jacka, że jego przyjaciel musiał przystawać na skraju drogi i czekać, aż do niego dołączy. Mniej więcej pół mili przed nimi rozciągało się miasteczko - na pewno Storeyville. Po obu stronach drogi przycupnęło kilka niskich, białych budyneczków. ANTYKI, głosił napis na jednym z nich. Za budynkami nad pustym skrzyżowaniem wisiał sygnalizator. Jack mógł odczytać kawałek napisu na zewnątrz stacji benzynowej - MOBIL. Richard szedł ociężale w jego stronę z głową tak bardzo zwieszoną, że brodą prawie dotykała piersi. Gdy znalazł się bliżej, Jack spostrzegł, że jego przyjaciel płacze. Objął go.

- Chcę, żebyś o czymś wiedział - rzekł.

- O czym? - Twarz Richarda była zapłakana.

- Kocham cię - powiedział Jack.

Richard wlepił wzrok w nawierzchnię drogi. Jack nie zdejmował ręki z ramion przyjaciela. Po chwili Richard podniósł twarz, popatrzył wprost na Jacka i pokiwał głową. Była to sytuacja, jaką Lily Cavanaugh Sawyer rzeczywiście raz czy dwa opisała synowi: *Czasami nie musisz gadać tego, co ci ślina przyniesie na język, Jack-O.*

- Idziemy dalej, Richie - powiedział Jack. Odczekał, aż Richard otrze oczy. - Myślę, że chyba ktoś ma czekać na nas na stacji benzynowej.

- Może Hitler?

Richard przycisnął grzbiety dłoni do oczu. Po chwili był gotów do dalszej drogi.

Chłopcy dotarli do Storeyville.

7

Czekał na nich cadillac, zaparkowany po ocienionej stronie stacji Mobil - el dorado z przypominającą bumerang anteną telewizyjną na kufrze. Był wielki jak dom na kółkach i czarny jak śmierć.

- Och, Jack, kuuurewski syf - jęknął Richard. Rozszerzyły się mu oczy, zadrżały wargi. Chwycił Jacka za ramię.

Jack poczuł, że adrenalina znów chlusta do jego krwiobiegu. Nie pobudziła go już - sprawiła, że poczuł się jeszcze bardziej wyczerpany. Przeszedł zbyt wiele, po prostu zbyt wiele.

Przyciskając do siebie kryształową kulę ze sklepu ze starzyzną, w którą zamienił się Talizman, Jack ruszył ze wznesienia w stronę stacji benzynowej.

- Jack! - krzyknął słabo Richard zza jego pleców. - Co ty wyprawiasz, u diabła? To jeden z NICH! Taki sam samochód jak w Thayer! Taki sam jak w Point Venuti!

- Parkus powiedział, żebyśmy tu przyszli - odparł Jack.

- Zwariowałeś, chłopie - wyszeptał Richard.

- Wiem. Ale wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. I nie mów do mnie: chłopie.

Drzwi cadillaca otworzyły się i na zewnątrz wysunęła się potężnie umięśniona noga w spłowiałym niebieskim drelichu. Niepokój zamienił się w przerażenie, gdy Jack ujrzał, że czubek czarnych traperów kierowcy został wycięty, a na zewnątrz sterczały długie, włochate palce.

Richard zapiszczał jak polna mysz.

Był to Wilk, istotnie - Jack domyślił się tego, zanim kierowca odwrócił się w ich stronę. Miał prawie siedem stóp wzrostu, włosy długie, kędzierzawe i niezbyt czyste. Zwiślały mu w strąkach po kołnierzyk. Wczepiło się w nie kilka rzepów. Wielka sylwetka odwróciła się, Jack zobaczył błysk pomarańczowych oczu - i zgroza zamieniła się w jednej chwili w radość.

Jack pomknął sprintem ku gigantycznej postaci, nie zwracając uwagi na ekspedienta, który wyszedł ze stacji benzynowej i patrzył się na niego, oraz gapiów spod sklepu wielobranżowego. Pęd zmiotł chłopcu włosy z czoła. Łomotał rozczłapanymi butami. Na twarzy pojawił mu się idiotyczny uśmiech; jego oczy lśniły jak sam Talizman.

Farmerki typu Oshkosh. Okrągłe okulary bez oprawek - lennonki. I wielki, powitalny uśmiech.

- Wilk! - krzyknął Jack Sawyer. - Żyjesz, Wilku! Żyjesz!

Był jeszcze pięć stóp od Wilka, gdy skoczył mu na rękę.

Wilk pochwycił go z gracją i bez najmniejszego wysiłku, uśmiechając się przy tym z zachwytem.

- Jack Sawyer! Wilk! Popatrzcie tylko! Tak jak mówił Parkus! Czekam w tym zagwoźdzonym przez Boga miejscu, śmierdzącym jak gówno w bagnie, ale ty też tu jesteś! Jack ze swoim przyjacielem! Wilk! Dobrze! Świetnie! Wilk!

To zapach Wilka powiedział Jackowi, że nie jest to jego towarzysz, lecz podpowiedział również, że jest to jego krewny... i to na pewno bardzo bliski.

- Znałem twojego brata z miotu - powiedział Jack, wciąż we włochatych, silnych ramionach Wilka.

Przyjrząwszy się jego twarzy, spostrzegł, że jest starsza i mądrzejsza. Mimo to łaskawa.

- Mój brat Wilk - powiedział Wilk i postawił Jacka na ziemi. Wyciągnął rękę i dotknął Talizmanu czubkiem palca. Jego twarz wyrażała bezgraniczny szacunek i podziw. Gdy dotknął kuli, pojawiła się samotna, jaskrawa iskra, która znikła w jej głębi jak spadająca kometa.

Wilk wciągnął powietrze, popatrzył na Jacka i się uśmiechnął. Jack odpowiedział tym samym.

Doszedł do nich Richard, przyglądając się im ostrożnie z zdumieniem.

- W Terytoriach są dobrzy i źli Wilcy... - zaczął mówić Jack.

- Mnóstwo dobrych Wilków - przerwał mu Wilk.

Wyciągnął rękę do Richarda. Chłopiec cofnął się na sekundę, po czym ją uściśnął. Wyraz jego twarzy podpowiadał Jackowi, że Richard spodziewa się, iż zostanie potraktowany tak, jak dawno temu Heck Bast.

- To brat z miotu mojego Wilka - powiedział z dumą Jack. Odchrząknął, nie wiedząc dokładnie, jak ma wyrazić uczucia, którymi darzył brata tej istoty. Czy Wilcy wiedzieli, czym są kondolencje? Czy wchodziły w skład ich rytuałów? - Kochałem twojego brata - powiedział. - Uratował mi życie. Oprócz Richarda był chyba najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem. Przykro mi, że nie żyje.

- Jest teraz na księżycu - odrzekł brat Wilka. - Nie wróci. Wszystko odchodzi, Jacku Sawyerze, tak jak księżyc. Wszystko wraca, tak jak księżyc. Chodź, chcę się wydostać z tego śmierdzącego miejsca.

Richard rozejrzał się zdezorientowany, ale Jack zrozumiał Wilka i co najmniej mu współczuł - stacja benzynowa była skąpana w gorącym, oleistym odorze spalonych węglowodorów, jakby otaczał ją przejrzysty, brunatny całun.

Wilk podszedł do cadillaca i otworzył tylne drzwi jak szofer - którym właściwie był, jak przypuszczał Jack.

- Jack? - Richard wyglądał na przestraszonego.

- Wszystko w porządku - odparł Jack.

- Ale dokąd...

- Myślę, że do mojej matki - powiedział Jack. - Przez cały kraj do Arcadia Beach w New Hampshire. Podróż pierwszą klasą. Chodź, Richie.

Podeszli do samochodu. Z boku szerokiego tylnego siedzenia wepchnięto stary, obdrapany pokrowiec na gitarę. Jack poczuł, że znów ścisną się mu serce.

- Speedy! - Odwrócił się do brata z miotu Wilka. - Speedy jedź z nami?

- Nie znam nikogo szybkiego - odparł Wilk. - Miałem wuja, który był dość prędko, ale potem okulał - Wilk! - i nawet nie mógł biec ze stadem.

Jack wskazał pokrowiec na gitarę.

- Skąd to się wzięło?

Wilk uśmiechnął się, ukazując mnóstwo wielkich zębów.

- Od Parkusa - powiedział. - Zostawił dla ciebie coś jeszcze. Niemal bym zapomniał.

Wyjął z tylnej kieszeni bardzo starą pocztówkę. Na przedniej stronie widniała karuzela pełna wielu znajomych koni - były wśród nich Ella Speed i Srebrna Dama. Kobiety na pierwszym planie nosiły jednak turniury, chłopcy - krótkie spodenki, a wielu z mężczyzn - meloniki i wąsy. Pocztówka była jedwabista w dotyku ze starości.

Jack odwrócił ją w ręce i od razu rzucił mu się napis na środku: KARUZELA W ARCADIA BEACH, 4 LIPCA 1894.

Dwa zdania w miejscu na tekst napisał Speedy - nie Parkus. Miał chwiejne, niezbyt wyrobione pismo; użył miękkiego ołówka ze stępionym końcem.

*Dokonałeś wielkich cudów, Jack. Użyj z pokrowca tyle, ile ci potrzeba - a resztę zatrzymaj albo wyrzuć.*

Jack wsunął pocztówkę do kieszeni na biodrze i wsiadł na tył cadillaca. Przesunął się po grubo wyściełanym siedzeniu. Jedna z zapinek pokrowca była ułamana; Jack otworzył trzy pozostałe.

Richard wsiadł za Jackiem.

- O rany! - wyszeptał.

Pokrowiec od gitary wypełniony był dwudziestodolarowymi banknotami.

8

Wilk zawiózł ich do domu i chociaż wiele z wydarzeń tej jesieni szybko zatarało się w pamięci Jacka, każda chwila tej podróży wyrwała się w jego wspomnieniach na resztę życia. Siedzieli z Richardem na tyle el dorado, a Wilk wioził ich na wschód, na wschód, na wschód. Wilk znał drogę i zabrał ich w nią. Czasami puszczał nagrania Creedence Clearwater Revival

- jego ulubionym utworem wydawał się "Run Through the Jungle" - tak głośno, że prawie pękały bębniaki. Potem spędzał długi czas na wsłuchiwaniu się w tonalne wariacje wiatru, manipulując przyciskiem sterującym oknem po jego stronie. Wydawało się, że bezgranicznie go to fascynuje.

Na wschód, na wschód, na wschód - każdego ranka ku wstającemu słońcu, każdego zmierzchu w tajemniczo pogłębiający się granat, wsłuchując się na przemian w Johna Fogerty'ego i wiatr, znowu w Johna Fogerty'ego i ponownie w wiatr.

Jedli w barach sieci Stuckey's. Jedli w Burger Kingach. Zatrzymali się pod Kentucky Fried Chickens. W tym ostatnim miejscu Jack i Richard zamówili obiady, a Wilk Wiaderko Familijne i pochłonął wszystkie dwadzieścia jeden kawałków. Sądząc po odgłosach, zjadł też większość kości. Przypomniało to Jackowi Wilka i prażoną kukurydzę. Gdzie to było? W Muncie. Na obrzeżach Muncie - w kinie "Town Line Sixplex". Tuż przed chwilą, gdy ich złapano i wsadzono do Domu Sunlighta. Uśmiechnął się... i natychmiast poczuł, jakby jego serce przeszła strzała. Wyrzwał przez okno, by Richard nie zauważył lśnienia łez w jego oczach.

Na drugą noc zatrzymali się pod Julesburg w Kolorado. Wilk przyrządził im obfity piknik na przenośnym grillu, który wyciągnął z bagażnika. Jedli na zaśnieżonym polu w świetle gwiazd, spowici w grube kurtki, kupione za gotówkę z pokrowca na gitarę. Na niebie rozbłyskiwał rój meteorów, a Wilk tańczył na śniegu jak dziecko.

- Kocham tego faceta - powiedział z namysłem Richard.

- No, ja też. Powinieneś być poznać jego brata.

- Szkoda, że nie poznałem. - Richard zaczął zbierać śmieci. Powiedział następnie coś, czym kompletnie zaskoczył Jacka: - Zapominam mnóstwo rzeczy, Jack.

- O co ci chodzi?

- O to, co mówię. Z każdą milą pamiętam trochę mniej z tego, co się wydarzyło. Jak gdyby wszystko otaczała mgła. I myślę... myślę, że na to właśnie mam ochotę. Posłuchaj, jesteś naprawdę pewny, że twojej matce nic się nie stało?

Jack trzy razy próbował dodzwonić się do matki. Nikt nie odbierał. Niezbyt się tym przejął. Wszystko było dobrze. Przynajmniej taką miał nadzieję. Będzie na niego czekała, gdy wróci na zachód. Chora... ale jeszcze żywa. Taką miał nadzieję.

- Tak.

- To dlaczego nie odbiera telefonów?



- Sloat coś z nimi porobił - powiedział Jack. - Założę się, że zrobił też coś z personelem Alhambry. Matka jakoś się trzyma. Jest chora... ale trzyma się. Jeszcze żyje. Czuję to.

- I jeśli uda ci się ją uzdrowić... - Na twarzy Richarda na moment pojawił się grymas, po czym dokończył: - Nadal myślisz... To znaczy, nadal myślisz, że pozwoli mi... no wiesz, zostać z wami?

- Nie - powiedział Jack, pomagając Richardowi zbierać resztki kolacji. - Pewnie woli, żebyś wylądował w sierocińcu. A może w więzieniu. Nie bądź durniem, Richard. Oczywiście, że możesz zamieszkać z nami.

- No... po tym, co zrobił mój ojciec...

- To był twój ojciec, Richie - odparł po prostu Jack. - Nie ty.

- I nie będziesz mi zawsze tego wypominał? No wiesz... dawał do zrozumienia?

- Nie, jeśli chcesz o tym zapomnieć.

- Chcę, Jack. Naprawdę chcę.

Wracał Wilk.

- Jesteście gotowi? Wilk!

- Zupełnie gotowi - odrzekł Jack. - Posłuchaj, Wilku, a może włączysz kasetę Scotta Hamiltona, którą kupiłem w Cheyenne?

- Pewnie, Jack. A potem może trochę Creedence?

- Pewnie "Run Through the Jungle"?

- Dobry kawałek, Jack! Bajer! Wilk! Bajerowski kawałek, niech go Bóg przygwoździ!

- No pewno, Wilku.

Jack przewrócił oczyma, patrząc na Richarda. Richard odpowiedział tym samym i się uśmiechnął.

Następnego dnia przejechali przez Nebraskę i Iowę. Dzień później minęli wypalone zgliszcza Domu Sunlighta. Jack pomyślał, że Wilk zabrał ich tędy celowo - zapewne chciał zobaczyć miejsce śmierci swojego brata. Nastawił odtwarzacz - z kasetą Creedence Clearwater Revival - na maksymalną głośność, lecz mimo wszystko Jackowi wydawało się, że słyszy szloch Wilka.

Czas - dryfujące odcinki czasu. Jack czuł się prawie tak, jakby się unosił w powietrzu. Miał poczucie triumfu i uniesienia. Spełnionego z honorem obowiązku.

O zmierzchu piątego dnia dotarli do Nowej Anglii.

## Rozdział czterdziesty siódmy

### Koniec wędrówki

#### 1

Wydawało się, że cała długa droga z Kalifornii do Nowej Anglii, gdy już do niej dotarli, zajęła zaledwie pojedyncze popołudnie i wieczór. Popołudnie, które trwało wiele dni; wieczór być może długości całego życia, nabrzmiały zachodami słońca, muzyką i uczuciami. Do stu tysięcy par fur beczek, naprawdę nie kontaktując, pomyślał Jack, gdy po raz drugi w ciągu - we własnym odczuciu - pół godziny popatrzył na dyskretny, mały zegar, wpuszczony w deskę rozdzielczą i przekonał się, że w mgnieniu oka minęły trzy godziny. Czy w ogóle był to ten sam dzień? Powietrze pulsowało "Run Through the Jungle"; Wilk kiwał głową do rytmu, uśmiechał się nieustannie i nieomylnie wyszukiwał najlepsze drogi; w tylnym oknie było widać całe niebo, pokrywane się wielkimi smugami barw zmierzchu: purpury, granatu i szczególnej głębokiej czerwieni zachodzącego słońca. Jack przypominał sobie każdy szczegół tej długiej, długiej podróży, każde słowo, każdy posiłek, każdy niuans muzyki, Zoota Simsa, Johna Fogerty'ego czy też po prostu Wilka, zachwycającego się odgłosami powietrza, ale prawdziwy czas skurczył się w jego umyśle do okruchu o gęstości diamentu. Spał na miękkim tylnym siedzeniu i otwierał oczy w świetle dnia lub ciemnościach, w blasku gwiazd lub słońca. Pośród rzeczy, które zapamiętał z wyjątkową ostrością, gdy dojechali do Nowej Anglii, a Talizman zaczął znów lśnić, sygnalizując powrót do normalnego czasu - a może powrót samego czasu do Jacka Sawyera - były twarze ludzi, zaglądających na tył el dorado (ludzi na parkingach, marynarza i dziewczyny o krowiej twarzy w kabrioletcie pod światłami w słonecznym miasteczku w Iowie, chudego jak szczapa chłopaka w Ohio w stroju dojazdy rowerem rodem z filmu "Co dalej?"). Pewnie chcieli sprawdzić, czy przypadkiem Mick Jagger lub Frank Sinatra nie zdecydowali się złożyć im wizyty. Nie da rady, to tylko my, ludziska. Sen cały czas wykradał go w swoje objęcia. Obudził się raz (w Kolorado? Illinois?) wskutek łomotu rockowej muzyki - Wilk strzelał palcami, gładko prowadząc wielki samochód, niebo eksplodowało pomarańczem, purpurą i błękitem - i zobaczył, że Richard dorwał gdzieś książkę i czytają przy wpuszczonej w dach lampce. Książka miała tytuł "Broca's Brain". Richard zawsze wiedział, która jest godzina. Jack wzniosł oczy i pozwolił się pochłonąć muzyce oraz wieczornym barwom. Udało się im, dokonali wszystkiego... wszystkiego z wyjątkiem tego, co musieli zrobić w opustoszałym miasteczku letniskowym w New Hampshire.

Pięć dni czy jeden długi, senny zmierzch? “Run Through the Jungle”; saksofon tenorowy Zoota Simsa, mówiący: *Oto opowieść dla ciebie - czy ci się podoba?* Richard był jego bratem. Bratem.

Czas wrócił do Jacka mniej więcej wtedy, gdy Talizman ożył - w trakcie magicznego zachodu słońca piątego dnia. Oatley, pomyślał Jack szóstego dnia, mogłem pokazać Richardowi tunel pod Oatley i to, co zostało z “Oatley Tap”. Mogłem pokazać Wilkowi, którędy jechać... Lecz Jack nie miał ochoty ujrzeć więcej na oczy Oatley: nie miałby z tego żadnej satysfakcji ani przyjemności. Zdawał sobie też sprawę, jak blisko znaleźli się celu, jak daleko zawędrowali, podczas gdy on dryfował przez czas jak puch ostu. Wilk dowiózł ich do wielkiej, szerokiej arterii 1-95. Znajdowali się w Connecticut, a Arcadia Beach była tylko kilka stanów dalej, w górę wklęsłego nowoangielskiego wybrzeża. Od tej pory Jack liczył mile - i minuty.

## 2

Kwadrans po szóstej dwudziestego pierwszego grudnia, około trzech miesięcy po tym, gdy Jack Sawyer zwrócił twarz - i swe nadzieje - na zachód, czarny cadillac el dorado zajechał na zwirowany podjazd Alhambra Inn and Gardens w miasteczku Arcadia Beach w New Hampshire. Na zachodzie słońce słało łaskawe pożegnanie czerwienią i przechodzącymi w żółć pomarańczowym... granatem... i królewską purpurą. W ogrodach ogołocone gałęzie klekotały na przenikliwym zimowym wietrze. Jeszcze niecały tydzień temu było pośród nich drzewo, które chwyciło i zjadało małe zwierzęta - ptaki, świstaki, wygłodzonego kota z zapadniętymi bokami, który należał do recepcjonisty. Małe drzewo raptownie obumarło. W pozostałych roślinach w ogrodzie, chociaż przypominały szkielety, nadal tliło się życie.

Opony ze stalowymi pasami skrzypiały i potrzaskiwały na żwirze. Z wnętrza zza szyb z polaryzowanego szkła rozlegał się odgłos piosenki Creedence Clearwater Revival. “Ci, którzy znają moją magię, wypełnili ten kraj dymem”, śpiewał John Fogerty.

Cadillac zatrzymał się przed szerokimi podwójnymi drzwiami. Za nimi była tylko ciemność. Podwójne reflektory zgasły i długi samochód skrył się w cieniu. Z rury wydechowej sączył się biały dym, lśniły czerwone światła postojowe.

Tutaj, u kresu dnia. Tutaj, gdzie wachlarz barw okrywał chwałą zachodnie niebo o zmierzchu.

*Tutaj:*

*Właśnie tu i teraz.*

Tył kabiny cadillaca rozświetlił się słabym, niepewnym blaskiem. Talizman zamigotał... ale słabo, niewiele jaśniej od zdychającego robaczka świętojańskiego.

Richard odwrócił się powoli w stronę Jacka. Miał pobladłą, wystraszoną twarz. Ścisnął oburącz książkę Carla Sagana w miękkiej oprawie, tak jak praczka wyżyma prześcieradło.

Talizman Richarda, pomyślał Jack i się uśmiechnął.

- Chcesz, Jack...

- Nie - odparł. - Zaczekaj, aż zawołam.

Otworzył tylne drzwi po prawej stronie, zaczął wysiadać z samochodu, po czym obejrzał się na Richarda. Jego przyjaciel siedział skurczony, mnąc książkę w dłoniach. Wyglądał żałośnie.

Jack bez zastanowienia pochylił się do środka i pocałował Richarda w policzek. Richard zarzucił mu ręce na szyję i przez chwilę przytulił go kurczowo do siebie. Potem go puścił. Żaden z nich nic nie powiedział.

Jack ruszył w kierunku prowadzących na parter schodów... po czym skręcił w prawo i na chwilę przeszedł na skraj podjazdu. Była tu żelazna poręcz, za którą spękane skały opadały tarasami ku plaży. Dalej po prawej na ciemniejącym niebie rysował się kształt kolejki z Wesołego Miasteczka Arcadia.

Jack zwrócił twarz ku wschodowi. Grasujący po dekoracyjnych ogrodach wiatr zmiotł mu w tył włosy z czoła.

Chłopiec uniósł Talizman w rękach, jakby ofiarowywał go oceanowi.

*Dwudziestego pierwszego grudnia 1981 roku Jack Sawyer stał blisko miejsca, gdzie woda styka się z lądem, trzymając w dłoniach obiekt o niejakiej wartości i spoglądając na spokojny w nocy Atlantyk. Tego dnia chłopiec skończył trzynaście lat, chociaż o tym nie pamiętał. Był wyjątkowo piękny. Jego brązowe włosy były długie - pewnie za długie - ale*

*morska bryza zmiatała je mu z gładkiego, czystego czoła. Stał tak, myśląc o swojej matce i pokojach, które zajmowali w tym hotelu. Zastanawiał się, czy włączy w nich światło. Podejrzewał, że tak.*

Jack odwrócił się, a jego oczy zabłyśły jak szalone w świetle Talizmanu.

6

Lily przesuwiała po ścianie drżąca, chuda jak u szkieletu dłonią w poszukiwaniu włącznika. Znalazła go i zapaliła światło. Ktokolwiek zobaczyłby ją w tej chwili, pewnie odwróciłby wzrok. W ciągu ostatniego tygodnia rak pożerał ją galopem, jakby czuł, że zbliża się coś, co może zniweczyć jego wysiłki. Lily Cavanaugh ważyła obecnie siedemdziesiąt osiem funtów. Miała trupio bladą skórę, opinającą jak pergamin czaszkę. Brązowe kręgi pod oczami nabrały nieodwołalnie czarnej barwy; w oczach spoglądających z oczodołów widać było gorączkę, wyczerpanie, ale i inteligencję. Zniknął jej biust. Znikły mięśnie ramion. Na pośladkach i tylnych powierzchniach ud wykwitły odleżyny.

To nie wszystko. W ciągu ostatniego tygodnia rozwinęło się u niej zapalenie płuc.

Biorąc pod uwagę wyniszczenie jej organizmu, rozwój choroby układu oddechowego nie powinien nikogo dziwić. Zapalenie płuc mogłoby się rozwinąć w najlepszych warunkach... a te, które panowały w hotelu, zdecydowanie nie były najlepsze. Kaloryfery zaprzestały conocnego bulgotania już jakiś czas temu. Lily nie była pewna jak dawno - czas stał się dla niej rozmyty i niemożliwy do zmierzenia, tak jak dla Jacka w el dorado. Wiedziała jedynie, że przestali grzać tego samego wieczora, kiedy rozbiła pięścią szybę, zmuszając do odlotu przypominającą Sloata mewę.

Od tamtego wieczora Alhambra stała się opustoszałą lodownią. Kryptą, w której Lily czekała rychłą śmierć.

Jeśli Sloat ponosił odpowiedzialność za to, co stało się z Alhambra, spisał się piekielnie dobrze. Wszyscy zniknęli. Wszyscy. Pokojówki nie pchały już po korytarzach skrzypiących wózków. Nie gwizdali konserwatorzy. Nie było już obleśnych recepcjonistów. Sloat wsadził sobie wszystkich do kieszeni i zabrał.

Cztery dni temu - gdy nie znalazła w pokoju choćby tyle jedzenia, by zaspokoić resztki swego apetytu - Lily wstała z łóżka i powoli wyprawiała się korytarzem do windy. Zabrała ze sobą krzesło; na przemian przysiadła na nim, zwieszając z wyczerpania głowę, i

wykorzystywała je jako chodzik. Pokonanie czterdziestu stóp korytarza do windy zajęło jej czterdzieści minut.

Raz po raz naciskała guzik, ale kabina się nie zjawiała. Guzik nawet się nie zaświecił.

- O żeż kurwa - mruknęła chrapliwie Lily i przegięta przez oparcie krzesła wybuchła niedającym się opanować kaszlem.

Może nie słyszeli wołania, ale, kurwa mać, muszą słyszeć, jak wycharkuję resztę płuc, pomyślała.

Nikt się jednak nie pojawił. Krzyknęła raz, drugi, dostała kolejnego ataku kaszlu, a wreszcie ruszyła z powrotem korytarzem, który wydawał się tak długi, jak nitka autostrady w Nebrasce w przejrzysty dzień. Nie miała odwagi zejść po schodach. Wiedziała, że nie zdołałaby wrócić na górę. Na dole zresztą nikogo nie było - ani w holu, ani w "Saddle of Lamb", ani w kawiarni, nigdzie. Nie działały też telefony. Przynajmniej aparat w jej pokoju nie działał; zresztą nie słyszała choćby jednego dzwonka w całym tym mauzoleum. Nie było warto. Zakład się nie opłacał. Nie miała ochoty zamarznąć na śmierć w holu.

- Jack-O - mruknęła. - Gdzie się, u diabła, po...

Zaczęła znowu kaszleć. Tym razem atak był naprawdę paskudny; runęła na bok i zemdląca. Ściągnęła na siebie szkaradne krzesło z saloniku i przez pół godziny leżała na zimnej podłodze. Pewnie właśnie wtedy zapalenie płuc wprowadziło się do raptownie podupadającego sąsiedztwa, którym stało się ciało Lily Cavanaugh. *Cześć, panie, co chodzi tyłem! Jestem nowy na tej ulicy! Możesz mnie wolać: Ognisty. Ścigamy się, kto pierwszy do mety?*

Jakimś cudem Lily zdołała dotrzeć do swojego pokoju. Od tej pory egzystowała na zbiegającej w dół spirali gorączki. Nasłuchiwała, jak oddech staje się coraz głośniejszy, aż w swoim rozgorączkowanym umyśle zaczęła sobie wyobrażać, że jej płuca stały się dwoma organicznymi akwariami, w którym szcękają zanurzone pod wodą łańcuchy. Mimo to trzymała się - część jej umysłu chwytła się bowiem z obłądną, zawodzącą pewnością myśli, że Jack wraca.

7

Początek jej terminalnej śpiączki przypominał dołek w piasku - dołek, zaczynający wirować jak lej odpływowy. Odgłos zatopionych łańcuchów w piersi zamienił się w długi, suchy wydech: *Hahhhhhhhh...*

Wreszcie coś wytrąciło ją z tej pikującej spirali i w zimnej ciemności zaczęła macać po ścianie w poszukiwaniu włącznika. Podniosła się z łóżka. Nie miała na to dość sił; lekarz roześmiałby się na taki pomysł. Mimo to udało się jej. Dwa razy upadła, wreszcie dźwignęła się, z opuszczonymi w grymasie wysiłku kącikami ust. Pomacała w poszukiwaniu krzesła, odnalazła je i zaczęła brnąć przez pokój w stronę okna.

Lily Cavanaugh, Królowa Filmów Klasy B, znikła. Po podłodze sunął żywy trup, przeżarty przez raka, wypalony narastającą gorączką.

Dotarła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

Zobaczyła w dole ludzki kształt - i świecąca kulę.

- Jack! - spróbowała krzyknąć.

Wydobył się z niej jedynie szurający szept. Uniosła rękę i spróbowała pomachać.

Ogarnęła ją

*(Hahhhhhhhh)*

słabość. Zacisnęła dłoń na parapecie.

- Jack!

Nagle kula w dłoniach postaci jaskrawo rozblęła, oświetlając jej twarz. Naprawdę była to twarz Jacka - to był Jack, och, Bogu dzięki, to był Jack. Jack wrócił do domu.

Postać zerwała się do biegu.

*Jack!*

Zapadnięte, umierające oczy stały się jeszcze bardziej lśniącej. Po pośliskach, obciążonych skórą policzkach pociekły łzy.

8

- Mamo!

Jack przebiegł przez hol. Dojrzał, że staroświecka centralka telefoniczna poczerniała i się stopiła, jakby elektryczność spowodowała jej pożar, ale natychmiast wyrzucił to z myśli. Zobaczył matkę. Wyglądała okropnie - na tle okna przypominała stracha na wróble.

- Mamo!

Wbiegł z łomotem stóp po schodach, najpierw po dwa stopnie, potem po trzy. Talizman zabłysł na chwilę wiązką różowoczerwonego światła, a później ponownie zgasł w jego rękach.

- Mamo!

Pobiegł korytarzem do ich pokoiów, prawie frunąc nad podłogą. Wreszcie usłyszał jej głos - nie zadzierzysty i grzmiący ani nawet nie lekko gardłowy i chichoczący, tylko strudzone charczenie istoty balansującej na krawędzi śmierci.

- Jacky?

- Mamo!

Wpadł do pokoju.

9

Na dole zdenerwowany Richard Sloat wyglądał przez polaryzowaną szybę samochodu. Co on tam robi - co Jack tam robi? Richarda rozboleły oczy. Wysilał wzrok, by dojrzeć w mętym półmroku okna na piętrze. Przegięty w bok z zadartą głową dostrzegł, że w kilku z nich zabłysło oślepiająco białe światło. Przez chwilę cały front hotelu spowiła niemal namacalna jasność. Richard opuścił głowę między kolana i jęknął.

10

Lily leżała na podłodze pod oknem - Jack zobaczył ją dopiero po długiej chwili. Skotłowane, jakby pokryte kurzem łóżko stało puste; cała sypialnia, w której panował bałagan jak u dziecka, wydawała się pusta... Jackowi ścisnął się żołądek, a słowa cofnęły w gardle. Po chwili Talizman rozbłysnął kolejny raz rozświetlającym wszystko blaskiem; przez moment wszystko w pokoju skąpało się w czystej, bezbarwnej bieli.

- Jacky? - wychrypiała Lily raz jeszcze.

- MAMO! - zawołał Jack z całych sił, widząc, że leży pod oknem jak zmięty papierek po cukierku.

Jej cienkie włosy ścieliły się po brudnym dywanie. Blade, gmerające bezwładnie ręce przypominały drobne zwierzęce łapki.

- Och, Jezus, mammo, och, kurde, och, rany boskie - wymamrotał bezmyślnie Jack.

W jakiś sposób przemierzył pokój, nie robiąc ani jednego kroku; uniósł się, przepłynął przez zagraconą, wyziębioną sypialnię w ciągu chwili, przez którą wszystko docierało do niego tak ostro, jak utrwalony na kliszy fotograficznej obraz: jej zwinięte na wyświechtanym dywanie włosy, jej małe, węzlaste dłonie.

Wciągnął w płuca gęsty odór choroby, zbliżającej się śmierci. Jack nie był lekarzem i w zasadzie nie miał pojęcia o tym, co nie działało należycie w ciele Lily. Wiedział wszak



jedno - jego matka umierała, życie przesączało się przez niewidoczne szczeliny i zostało jej bardzo niewiele czasu. Dwa razy wypowiedziała jego imię - na nic więcej nie pozwalała ta odrobina życia, jaka się jeszcze w niej tliła. Straciła przytomność. Zaczął płakać, położył rękę na jej głowie, a Talizman złożył na podłodze obok. Miał wrażenie, jakby miała pełno piasku we włosach; jej czoło było rozpalone.

- Och, mamó, mamó - powiedział i wsunął pod nią rękę.

Wciąż nie mógł dojrzeć jej twarzy. Przez cienką koszulę nocną jej biodro wydawało się gorące jak drzwiczki pieca. Pod drugą dłońią Jack wyczuł łopatkę, pulsującą takim samym żarem. Kości nie pokrywała już sprężysta warstwa ciała - przez obłądną sekundę zatrzymanego czasu miał wrażenie, jakby trzymał małe, brudne dziecko, zostawione samemu sobie w chorobie. Nagle z oczu pociekły mu nieproszone łzy. Uniósł ją, jakby podejmował z podłogi naręcze ubrań. Jęknął. Ramiona Lily opadły na boki.

*(Richard)*

Richard... nie był w tak złym stanie nawet wtedy, gdy sprawiał wrażenie wydrążonej łupiny, którą Jack niósł na plecach, kiedy schodzili z ostatniego wzniesienia przed Point Venuti. Z Richarda zostało wtedy niewiele więcej niż pryszczki i wysypka; jego również trawiła gorączka. Jack ze zgrozą zdał sobie jednak sprawę, że w Richardzie nawet wówczas było więcej życia, że był bardziej materialny niż jego matka w tej chwili. Mimo to zawołała go po imieniu.

*(a Richard o mało nie umarł)*

Zawołała go po imieniu. Chwycił się kurczowo tej myśli. Dotarła do okna. Zawołała go po imieniu. Było niemożliwe, niepojęte, niemoralne wyobrazić sobie, że mogła umrzeć. Jedno z jej ramion wisiało przed nim jak trzcina, kwalifikująca się do ścięcia sierpem... obrączka ślubna zsunęła się z palca. Jack płakał nieświadomie, nierówno, niepowstrzymanie.

- Już dobrze, mamó - mówił. - Już dobrze, teraz będzie już dobrze, już dobrze...

Z jej wiotkiego ciała na jego rękach dobyła się wibracja, mogąca oznaczać zgodę.

Delikatnie ułożył ją na łóżku. Bezwładnie przetoczyła się na bok. Jack wsparł się na kolanie i pochylił nad nią. Włosy zsunęły się z jej twarzy.

Już raz, na samym początku swej wędrówki, przez napawającą wstydem chwilę Jack ujrzał swoją matkę jako starą kobietę - wyczerpaną, zmęczoną życiem staruszkę w herbaciarni. Gdy tylko ją poznał, złudzenie znikło, a Lily Cavanaugh Sawyer przestała się

starzeć. Ponieważ prawdziwa, autentyczna Lily Cavanaugh Sawyer nie mogła się nigdy zestarzeć - była blondynką z ostrym jak scyzoryk uśmiechem i malującym się na twarzy rozbawieniem, posyłającym wszystko do diabła. Obraz takiej właśnie Lily Cavanaugh na tablicy reklamowej dodał ducha jej synowi.

Kobieta na łóżku była bardzo mało podobna do aktorki z plakatu. Jacka na chwilę oślepiły łzy.

- Och, nie, nie, nie - powiedział i przyłożył dłoń do jej poźółkłego policzka.

Nie wyglądała, jakby miała dość siły, by unieść rękę. Ujął jej wyschniętą, odbarwioną, przypominającą szpon dłoń.

- Proszę, proszę, proszę, nie...

Nie potrafił nawet wypowiedzieć tego słowa.

Zdał sobie w tym momencie sprawę, jak olbrzymiego wysiłku dokonała ta skurczona kobieta. Zrozumiał w olbrzymim, przytłaczającym błysku zrozumienia, że właśnie jego wyglądała przez okno. Jego matka wiedziała, że się zbliża. Ufała, że wróci i na sposób, który na pewno miał coś wspólnego z Talizmanem, wiedziała dokładnie, kiedy to nastąpi.

- Jestem tu, mamó - wyszeptał.

Z jego nozdrzy pociekły wilgotne pęcherzyki. Bezceremonialnie wytarł je rękawem kurtki.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że cały drży.

- Przywiozłem go - powiedział. Przez chwilę poczuł absolutną, promienną dumę z niesamowitego osiągnięcia. - Przywiozłem Talizman - powtórzył.

Delikatnie położył jej suchą jak orzech rękę na kołdrze.

Talizman nadal lśnił obok krzesła na podłodze, na której położył go (równie delikatnie) Jack. Lśnił jednak słabo, mętnie, jakby z wahaniem. Jack uzdrowił Richarda, po prostu tocząc Talizman po ciele przyjaciela; tak samo zrobił ze Speedym. Tym razem potrzeba było jednak czegoś innego. Jack to czuł, ale nie wiedział, co musi zrobić... lub też wiedział, lecz nie chciał w to uwierzyć.

Za nic nie mógłby rozbić Talizmanu, nawet po to, by uratować życie jego matki - tyle wiedział.

Wnętrze Talizmanu wypełniło się powoli mleczną bielą. Impulsy światła zlały się ze sobą i stały potokiem równego blasku. Jack złożył ręce na Talizmanie, on zaś rozjarzył się oślepiającą falą światła, tęczą! - zdającą się niemal mówić: NARESZCIE!

Jack wrócił przez pokój do łóżka. Talizman podskakiwał w jego rękach, a potoki światła odbijały się od podłogi przez ściany po sufit, kładąc na łóżku nierówne łaty blasku.

Gdy tylko Jack stanął obok matki, poczuł, że faktura Talizmanu ulega pod jego palcami subtelnej przemianie. Jego szklista twardość w jakiś sposób zmieniła się, stała mniej śliska, bardziej porowata. Czubki palców chłopca niemal wbiły się w jego wnętrze. Wypełniający go mleczny opar zawrzał i ściemniał.

W tym samym momencie Jack doświadczył silnego - w istocie przemożnego - uczucia, które uznałby za niemożliwe tamtego dnia, gdy po raz pierwszy wyruszył w Terytoria. Wiedział, że Talizman, obiekt związany z takim mnóstwem krwi i kłopotów, w jakiś nieprzewidywalny sposób się zmieni. Zmieni się na zawsze, a Jack go utraci. Talizman nie będzie już jego. Przezrzysta powłoka kuli zachodziła mgiełką, a cała przepiękna, pokryta żłobkami powierzchnia miękła. Miał wrażenie, że w rękach trzyma nie szkło, lecz rozgrzewający się plastik.

Jack spiesznie włożył zmieniający się Talizman w dłonie matki. Talizman wiedział, co ma robić; stworzono go z myślą o tej chwili w jakiejś bajecznej kuźni - stworzono go, by spełnił wymogi tej szczególnej chwili i żadnej innej.

Jack nie wiedział, czego się spodziewać. Eksplozji światła? Zapachu lekarstwa? Wielkiego wybuchu, jak u początku wszechświata?

Nie stało się nic. Jego matka nadal wyraźnie, lecz w bezruchu umierała.

- Och, proszę - wymamrotał Jack. - Mamo... proszę...

Oddech zamarł mu w piersi. W powierzchni Talizmanu utworzyła się szczelina - do tej chwili jedna z pionowych rys. Światło wylało się powoli przez nią i zebrało w dłoniach matki. Przez rozchyloną szczelinę z mlecznego wnętrza wiotczającej, opróżniającej się kuli wydobywało się go coraz więcej.

Z zewnątrz dobiegła nagła, głośna muzyka ptactwa, świętującego swoje istnienie.

12

Jack zdawał sobie wszakże z tego sprawę jedynie mimochodem. Pochylił się bez tchu naprzód i patrzył, jak Talizman przelewa się na łóżko jego matki. Cały czas wzbierała w nim chmurna jasność, ożywiana wstęgami i iskrami światła. Powieki matki drgnęły.

- Och, mamo - wyszeptał. - Och...

Powódź szarozłotego światła wylewała się przez otwór w Talizmanie i jak opar unosiła ku ramionom matki. Jej ziemista, pomarszczona twarz ledwie zauważalnie drgnęła.

Jack nieświadomie wciągnął powietrze.

(Co?)

*(Muzyka?)*

Szarzłoty opar z serca Talizmanu rozszerzał się po ciele matki, okrywając je przejrzystą - choć nie do końca - minimalnie poruszającą się powłoką. Jack patrzył, jak płynna membrana wpełza na żałośnie zasuszone piersi Lily i sunie w dół po jej wynędzniałych nogach. Z otwartej w powierzchni Talizmanu szczeliny pospołu z szarzłotym obłokiem wydobywał się wspaniały zapach, woń słodka i niesłodka, kwiecista i ziemna, całkowicie dobra, drożdżowa. Woń narodzin, pomyślał Jack, chociaż nigdy nie był świadkiem prawdziwego porodu. Wciągnął powietrze w piersi i mimo swego zdziwienia przyszło mu na myśl, że on sam, Jack-O Sawyer, narodził się w tej minucie - a następnie nieco zaskoczony spostrzegł, że otwór w Talizmanie nieco przypominał pochwę. (Oczywiście nigdy nie widział pochwy i miał jedynie szczątkowe wyobrażenie o jej budowie). Popatrzył prosto w otwór w rozдутym, powoli opróżniającym się Talizmanie.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z niewiarygodnego zgiełku, w jakiś sposób pomieszanego z ulotną muzyką, wyczynianego przez ptaki za ciemnymi oknami.

*(Muzyka? Co...?)*

Mała, barwna, pełna światła kula przemknęła przez chwilę przez jego pole widzenia - zabłysła na moment w otwartej szczelinie i pograżyła się w mlecznej powierzchni Talizmanu, niknąc w rojących się w jego wnętrzu gazach. Jack mrugnął. Przypominała... Po niej podążyła kolejna, a tym razem Jack miał zaledwie czas dojrzeć na powierzchni drobnej kuli niebieskie, brązowe i zielone zarysy: linie wybrzeży i miniaturowe pasma górskie. Przyszło mu do głowy, że na drobniutkim świecie stał zamarły ze zdumienia Jack Sawyer, który patrzył na jeszcze drobniejszą plamkę, a na niej stał Jack-O wielkości pyłku kurzu, zapatrzony w światek wielkości atomu. Po pierwszych dwóch pojawił się kolejny świat, niknący i wyłaniający się, wyłaniający i niknący w wypływającym z Talizmanu rozszerzającym się obłoku.

Matka Jacka poruszyła prawą dłoń i jęknęła.

Jack zaczął otwarcie płakać. Wreszcie nabrał przekonania, że będzie żyła. Wszystko wyszło tak, jak przepowiadał Speedy, a Talizman wciskał życie z powrotem w wyniszczone chorobą, wyczerpane ciało Lily, mordując zabijając ją zło. Jack pochylił się do przodu, przez chwilę prawie ulegając obrazowi, który uformował się w jego myślach: że całuje Talizman. Nozdrza wypełniły mu wonie jaśminu, hibiskusa i świeżo wzruszonej ziemi. Łza spłynęła mu na koniec nosa i zamigotała jak klejnot w snopach światła z Talizmanu. Zobaczył unoszący się przez otwartą szczelinę pas gwiazd, kwitujące w niezmierzonej czarnej przestrzeni promieniste, żółte słońce. Zdawało się, że muzyka wypełnia Talizman, pokój, cały świat. W

otwartej szczelinie pojawiła się twarz nieznanego kobiety. Potem twarze dzieci, oblicza innych kobiet... Łzy potoczyły się Jackowi po policzkach, bo dojrzał pośród nich również twarz swojej matki - Królowej pół setki naprędce kręconych filmów - na której widniała pewność siebie, ironia i czułość. Kiedy dojrzał własną twarz pomiędzy wszystkimi światami i istnieniami, zapadającymi się wewnątrz Talizmanu ku chwili jego własnych narodzin, poczuł się, jakby miał pęknąć od uczuć. Urósł. Wciągnął w płuca światło. I wreszcie zdał sobie sprawę z rozbrzmiewających wokół niego odgłosów zdumienia, gdy dojrzał, że jego matka potrafi utrzymać otwarte powieki aż przez dwie sekundy...

(ponieważ dotarły do niego żywe jak ptaki - jak zawarty w Talizmanie świat - dźwięki trąbek i puzonów, wołania saksofonów, połączone głosy żab, żółwi i synogarlic: Ci, którzy znają moją magię, napelnili ten kraj dymem; wraz z nimi rozlegały się głosy Wilków, śpiewających do księżyca wilczą muzykę. Woda klaskała o burtę okrętu, ryba klaskała bokiem o powierzchnię stawu, tęcza klaskała o ziemię, a wędrujący chłopiec strząsał ślinę z palca, by wybrać, w którą stronę ma skręcić; klepnięty noworodek marszczył buzię i otwierał usta; rozległ się donośny dźwięk orkiestry, śpiewającej całym swym masywnym sercem, a pokój przepęłniła przypominająca dym kadencja głosu, wznoszącego się coraz wyżej i wyżej, aż zdominował wszelkie pozostałe dźwięki. Zgrzytały biegi ciężarówek, rozbrzmiewały fabryczne gwizdki, gdzieś pękła dętka, gdzie indziej głośno eksplodowała petarda, kochanka szepnęła "jeszcze raz", zapiszczało dziecko, a głos wznosił się coraz wyżej, Jack zaś przez chwilę nie zdawał sobie sprawy, że nic nie widzi, lecz po chwili znowu widział).

Lily szeroko otworzyła powieki. Jej utkwione w Jacku oczy wyrażały zaskoczenie: "Gdzie ja jestem?". Był to wyraz twarzy noworodka obudzonego kłapsem do życia. Lily nabrała powietrza...

...wyciągając z Talizmanu rzekę światów, ukośnych galaktyk i wszechświatów. Wydobywały się z jego wnętrza potokiem tęczy barw. Wsączały się w jej usta i nozdrza... Osiadały lśniące na ziemistej skórze jak kropelki rosy, topniały i zapadały się. Przez chwilę matka była skąpana w świetle...

*...przez chwilę matka Jacka była Talizmanem.*

Cała choroba znikła z jej twarzy. Nie stało się to tak, jak na poklatkowej sekwencji w filmie. Nastąpiło to natychmiast, w jednej chwili. Była chora... a potem zdrowa. Jej policzki miały zdrową, różową barwę. Rzadkie pasemka stały się gęste, gładkie i bujne, barwy ciemnego miodu.

Jack popatrzył na nią, gdy podniosła wzrok na jego twarz.

- Och... och... mój BOŻE... - wyszeptła Lily.

Tęczowa światłość gasła, lecz zdrowie pozostało.

- Mamo?

Jack pochylił się naprzód. Coś zachrząściło w jego palcach. Była to krucha powłoka Talizmanu. Odłożył ją na nocny stolik, spychając w tym celu kilka buteleczek lekarstw. Niektóre poleciały z łoskotem na podłogę, ale nie miało to znaczenia. Lily nie potrzebowała już lekarstw. Jack odłożył powłokę delikatnie, z rewerencją. Podejrzewał - nie, wiedział - że nawet ona wkrótce zniknie.

Jego matka uśmiechnęła się - uroczo, z poczuciem spełnienia i niejakim zaskoczeniem: *Halo, świecie, znowu tu jestem! I co ty na to?*

- Wróciłeś do domu, Jack - powiedziała wreszcie i przetarła oczy, jakby chciała się upewnić, że to nie złudzenie.

- Pewnie - odrzekł. Spróbował się uśmiechnąć. Wyszło mu nawet nieźle mimo łez spływających po twarzy. - Możesz się założyć, że tak.

- Czuję się... o wiele lepiej, Jack-O.

- Taa? - Uśmiechnął się i otarł mokre oczy. To dobrze, mamo.

Popatrzyła na niego promiennie.

- Przytul mnie, Jacky.

W pokoju na trzecim piętrze opustoszałego hotelu w letniskowym miasteczku, na miniaturowym wybrzeżu New Hampshire trzynastoletni Jack Sawyer wychylił się do przodu, przymknął oczy i z uśmiechem objął mocno swoją matkę.

Zdał sobie sprawę, że od tej właśnie chwili mógł powrócić do zwyczajnego życia: szkoły, przyjaciół, gier i muzyki. Życia, gdzie były szkoły, do których się chodziło, oraz nakrochmalona pościel do wślizgiwania się pod nią w nocy. Zwyczajnego życia trzynastolatka (jeśli tak barwne i pełne przygód życie może być kiedykolwiek uznane za zwyczajne). To również było dziełem Talizmanu. Kiedy sobie o nim przypomniał i odwrócił się w jego stronę, już go nie było.

## Epilog

W pełnej wylęknionych kobiet sypialni o wydymających się płóciennych ścianach  
Laura DeLoessian, Królowa Terytoriów, otworzyła oczy.

## Zakończenie

I tu kończy się nasza opowieść. Zważywszy, że jest to tylko historia chłopca, należy ją zamknąć w tym miejscu, inaczej bowiem byłyby to już dzieje mężczyzny. Jak się pisze opowieść o dorosłych, to się wie, na czym ją skończyć - oczywiście na weselu. Ale kto się zajmuje osobami nieletnimi, powinien skończyć pisanie tam, gdzie mu to wyjdzie najlepiej.

Większość osób występujących w tej książce żyje jeszcze. Dobrze im się powodzi i są szczęśliwi. Być może pewnego dnia uznamy, że warto podjąć opowieść o młodych bohaterach tej książki, i wtedy zobaczymy, jacy to mężczyźni i jakie kobiety z nich wyrosły. Dlatego też najrozsądniej będzie w tej chwili nie zdradzać ich dalszych losów.

Mark Twain, "Przygody Tomka Sawyera"

(przeł. Paweł Łopatka)